Przemysław Słowiński

OTTO SKORZENY

PIERWSZY KOMANDOS TRZECIEJ RZESZY

BELLONA

Przemysław Słowiński

OTTO SKORZENY

PIERWSZY KOMANDOS TRZECIEJ RZESZY

BELLONA WARSZAWA

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

* * *

Prolog. Operacja „Eiche”

Rozdział 1. Anschluss

Rozdział 2. Fall „Gelb” i Fall „Barbarossa”

Rozdział 3. Friedenthaler Jagdverbände

Rozdział 4. Teheran

Rozdział 5. Zamach

Rozdział 6. „Panzerfaust”

Rozdział 7. W Ardenach

Rozdział 8. Nad Odrą

Rozdział 9. Mityczna „Reduta Alpejska”

Rozdział 10. W niewoli

Rozdział 11. Po wojnie

Fotografie

Bibliografia

Indeks

Okładka

Starzy żołnierze nigdy nie umierają. Bledną jedynie ich gwiazdy.
Douglas MacArthur

* * *

Adolf Hitler uważał go za najlepszego fachowca od zadań specjalnych, a wśród aliantów słynął jako „najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie”. Przeprowadzonej przez niego spektakularnej operacji oswobodzenia uwięzionego w górskim hotelu w Abruzzach Benito Mussoliniego nie wymyśliliby nawet scenarzyści z Hollywood. Planował likwidację Roosevelta, Churchilla i Stalina podczas konferencji w Teheranie. We Francji miał aresztować marszałka Pétaina – Hitler odwołał rozkaz w ostatniej chwili. W Budapeszcie porwał syna admirała Horthyego i po brawurowej akcji opanował siedzibę regenta na Zamku Królewskim, co uniemożliwiło zawarcie przez Węgry pokoju z aliantami. Podczas niemieckiej kontrofensywy w Ardenach wprowadził mnóstwo zamieszania w szeregach alianckich wojsk, wysyłając na ich tyły oddział ubrany w amerykańskie mundury. To tylko kilka spośród wielu niezwykłych akcji Otto Skorzenego dokonanych podczas II wojny światowej.

19 kwietnia 1945 roku uczestniczył w pacyfikacji czeskiej wioski Plostina. Po zakończeniu wojny walnie przyczynił się do budowania legendy pierwszego zawadiaki Europy. W tajemniczy sposób uciekł w lipcu 1948 roku z obozu dla jeńców wojennych w Darmstadt, w którym osadzili go alianci. Potem widziano go w Szwajcarii, Włoszech, Francji, Austrii. Przez pewien okres pracował w „oddziale historycznym” służby bezpieczeństwa armii amerykańskiej. Na koniec dostał się do Hiszpanii, gdzie w 1951 roku założył własną firmę, zajmującą się handlem zagranicznym.

Kilka następnych lat spędził na podróżach handlowych pomiędzy Buenos Aires a Madrytem. Jego rozległe kontakty nawiązane w trakcie tych podróży umożliwiły mu zawarcie znajomości z prezydentem Argentyny Juanem Domingo Perónem i jego małżonką Evitą. Prezydent złożył Skorzenemu propozycję zajęcia się szkoleniem argentyńskiej tajnej policji. Ten zgodził się i w niedługim czasie Argentyna dysponowała już doskonale wyszkolonymi oddziałami specjalnymi.

Niektóre źródła historyczne podają, iż jest wysoce prawdopodobny romans Skorzenego i Evity. Pewny natomiast jest fakt udaremnienia przez niego zamachu terrorystycznego na życie pani prezydentowej. Podobno zorganizował też ucieczkę Perón a paragwajską kanonierką. Podobno również w roku 1950, tuż przed śmiercią Evity, wydobył od niej sto milionów dolarów nazistowskiego depozytu, który przewiózł z powrotem do kraju, aby finansować różne faszystowskie projekty i pomóc w założeniu IV Rzeszy. Podobno, podobno, podobno… Tak naprawdę to niewiele wiadomo na temat powojennej działalności Pierwszego Komandosa III Rzeszy.

Podobno był związany z tajną nazistowską organizacją o kryptonimie „Odessa", która miała ułatwiać przerzut zbrodniarzy hitlerowskich do krajów, które nie podpisały umowy o ekstradycji, takich jak na przykład Argentyna, Brazylia czy Chile. (Brak jest jednoznacznych dowodów jej istnienia, lecz wielu badaczy historii przytacza dość wiarygodnie brzmiące hipotezy). Działał też w Międzynarodówce Faszystowskiej i Neonazistowskiej oraz współpracował z organizacją weteranów SS i „Deutscher Soldatenbund". Podobno założył organizację „Die Spinne" (Pająk) i opracował wyrafinowany system „bezpiecznych domów", obejmujący teren Niemiec i Austrii. Niektórzy twierdzą do dziś, że to właśnie on ukrył gdzieś słynny Skarb III Rzeszy – miliony marek w złocie i banknotach.

Z całą pewnością natomiast był współtwórcą tak zwanej Organizacji Gehlena, która ze swoimi kontaktami, sięgającymi samej Moskwy, stała się podstawowym źródłem informacji wywiadu amerykańskiego w sprawach

rosyjskich, a z czasem przekształciła się w oficjalny zachodnioniemiecki wywiad BND (Bundesnachrichtendienst). Podobno pomagał także brytyjskim agentom w penetrowaniu portów wschodniego Bałtyku kutrami torpedowymi obsadzonymi byłymi marynarzami Kriegsmarine i asystował w imieniu brytyjskiego wywiadu MI-6 agentom zrzucanym nad Albanią. Wiele udokumentowanych źródeł wskazuje na to, że udało mu się zaszantażować samego Winstona Churchilla…

W Hiszpanii cieszył się swobodą i ochroną, jaką zapewnił mu dyktator Francesco Franco. Za jego czasów były esesman udzielał wywiadów prasowych i swobodnie brylował w wielkim świecie. Korzystając z tego statusu, pomógł między innymi w emigracji do Hiszpanii belgijskiemu naziście, Leonowi Degrelle. Przyjacielskie stosunki obu panów doprowadziły do utworzenia przez nich w 1960 roku międzynarodowej organizacji, która miała pomagać w emigracji byłych członków SS, NSDAP i innych grup z okresu III Rzeszy, nad którymi wisiało widmo sądu ze strony aliantów.

Od egipskiego prezydenta Gamala Abdela Nasera przyjął propozycję zorganizowania i wyszkolenia jego tajnych służb w zakresie sabotażu i dywersji. Wśród podopiecznych Skorzenego znalazły się podobno osławione palestyńskie jednostki terrorystyczne. W brawurowej akcji przemycił najnowszą automatyczną broń z Włoch i Belgii. W 1963 roku został poproszony przez Mossad o udzielenie informacji na temat Niemców pracujących w Egipcie – zwłaszcza naukowców pracujących nad programem rakietowym.

W końcu lat pięćdziesiątych kupił farmę w Irlandii, na której spędzał wakacje. Korzystając ze zgromadzonego majątku i bezkarności zapewnionej mu przez wpływowych znajomych, wiódł szczęśliwy i dostatni żywot emeryta, krążąc między hiszpańskimi plażami a irlandzkimi zielonymi polami.

Zmarł w Madrycie 5 lipca 1975 roku. Tak jak wielu ludzi, którzy kiedyś na co dzień obcowali z gwałtowną śmiercią, umarł w łóżku, na raka płuc. Ciało zostało poddane kremacji, a prochy umieszczono w Döblinger

Friedhof w Wiedniu. Gdy urnę z prochami chowano w rodzinnym grobie, jego dawni żołnierze podnieśli ręce w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Do dzisiaj poorana bliznami twarz Otto Skorzenego jest na całym świecie ikoną neonazistów.

Kim naprawdę był Otto Skorzeny? Inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, wplątanym w tryby maszynerii okrutnej wojny czy zimnym mordercą, gotowym wykonać każde powierzone mu zadanie? Obdarzonym wielką fantazją poszukiwaczem przygód czy fanatycznym nazistą? Bohaterskim żołnierzem czy zwykłym przeciętniakiem, zawdzięczającym swoją sławę umiejętnej autoreklamie?

Opracowanie niniejsze stanowi próbę odpowiedzi na te pytania.

Prolog

Operacja „Eiche”

Był czwartek, 26 lipca 1943 roku. Z Berlina, stolicy Wielkich Niemiec, których granice z woli Führera rozciągały się od Ukrainy po Atlantyk, leciał ponad postrzępionymi chmurami samotny w pustce powietrznego oceanu transportowy samolot Ju-52/3M. Zawieszony gdzieś w przestworzach, tonął w gęstej białej mgle, prześwietlonej złotem promieni zachodzącego słońca. To złoto załamywało się i lśniło na skrzydle, które wydawało się być wykonane nie z aluminium, lecz miedzi.

Wielki, trzysilnikowy samolot przypominał skrzydlatą stodołę z pordzewiałej blachy. Junkersy, wciągnięte w niemiecką machinę wojenną w charakterze jucznych koni, przewoziły żołnierzy i wyposażenie do i z odległych ziem, jakie zdążyli do tej pory zagarnąć naziści. Początkowo pełniły służbę jako samoloty pasażerskie i transportowe. Chrzest bojowy przeszły podczas hiszpańskiej wojny domowej, kiedy żołnierze generała Franco zrzucali z ich pokładów tysiące bomb na oddziały komunistów.

Jedynym pasażerem był wysoki, prawie dwumetrowy mężczyzna o suchej, ponurej twarzy bez uśmiechu i niebieskich zimnych oczach, przypominających strzelnicze otwory. Sylwetka i uroda tego potężnego człowieka zachęcały raczej do trzymania się od niego jak najdalej. Z jego ciała płynęła skondensowana siła i energia. Twarz miał tak pokiereszowaną, jakby zetknął się ze wszystkim prócz pachołka do uwiązywania liny holowniczej – od czubka brody aż po ucho, przez cały lewy policzek biegła paskudna blizna. Była to twarz, która niczego nie musiała się obawiać,

ponieważ wszystko, co można by pomyśleć, już się jej przydarzyło. Ciemne, po wojskowemu krótko przycięte włosy nosił gładko przyczesane, ale fryzura ta miała swój styl i z pewnością nie była dziełem żadnego ze sztabowych fryzjerów.

Nazywał się Otto Skorzeny, liczył sobie trzydzieści pięć lat i miał stopień Hauptsturmführera[1] SS. Od 20 kwietnia 1943 roku był dowódcą Friedenthaler Jagdverbände (Batalionu Friedenthal), oddziału niemieckich komandosów.

Samolot leciał równo w spokojnym, wieczornym powietrzu. Chmury przetarły się na chwilę i Hauptsturmführer, odłożywszy na bok studiowane dokumenty, spojrzał na przesuwającą się w dole ziemię. Był to okręg Warty – Warthegau, który przed czterema laty przywróciła Niemcom ich niezwyciężona armia. Dla wielu niemieckich oficerów ta właśnie ziemia była ziemią ojczystą, skąd ich ojców wypędziła słowiańska przemoc.

Kilka godzin wcześniej, kiedy Skorzeny spożywał obiad w berlińskim hotelu „Eden", otrzymał niespodziewane wezwanie do Kwatery Głównej wodza. Samolot miał czekać na niego o piątej na lotnisku Tempelhof.

– Niech Radl uda się do mojego pokoju, zabierze mundur i podrzuci mi go na lotnisko – zdążył tylko przekazać telefonicznie sekretarce dowódcy jednostki. – Czy wiadomo, kto mnie wzywa? – dodał jeszcze zaciekawiony.

– Podobno sam Führer chce się z panem widzieć.

– Führer? Ze mną? To chyba jakiś żart?

– Myślę, że to nie jest żart – odparła poważnym głosem sekretarka. – Oni tam, w Kwaterze Głównej, raczej nie zwykli żartować.

– Ale o co chodzi?

– Tego nie wiem, niczego więcej nie przekazano.

Junkers, którym leciał Skorzeny, został przerobiony na salonkę dla ważnych osobistości: nie zapomniano nawet o barku. Młody oficer wysączył dwa kieliszki koniaku, zastanawiając się, co też mogło być powodem tego nagłego wezwania, lecz nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Postanowił więc po prostu poczekać, licząc, że wszystkiego dowie się na miejscu.

*

Po trzech godzinach podróży samolot obniżył znacznie pułap, zataczając koło nad drzewami. Pasażer przysunął się bliżej okna, żeby przyjrzeć się uważniej wyłaniającemu się z gęstwiny lotnisku. W dole, obrzeżona półkolem sosnowego boru, połyskiwała tafla jeziora. Pomarańczowa kula słońca zawisła nad ścianą lasu, rozpalając na granatowym niebie krwistoczerwone płomienie. Męczący lot z Berlina do Wilczego Szańca w Rastenburgu (Kętrzynie) dobiegał właśnie końca.

– Hauptsturmführer Skorzeny? – stwierdził raczej niż zapytał stojący przy trapie sierżant, obrzucając uważnie wzrokiem potężną sylwetkę przybyłego.

– To ja.

Sierżant wyjął mu z ręki walizkę, wskazując jednocześnie na stojący obok samochód, ciemnowiśniowy „Mercedes” 170V Cabrio, wyposażony w czterocylindrowy silnik o pojemności 1697 cm^3.

– Mam rozkaz natychmiast dostarczyć pana do Kwatery Głównej.

Skorzeny usadowił się na fotelu obok kierowcy i samochód ruszył. Silnik mruczał cicho, jak oswojony kot. Kilka minut później drogę zagrodził im pomalowany w biało-zielone pasy drewniany szlaban pierwszego posterunku. Obok wznosiła się wartownia zbudowana z grubych, nieociosanych bali. Sierżant zatrzymał samochód i udał się do środka budynku, aby załatwić odpowiednie formalności.

Wykorzystując okazję, Skorzeny przyjrzał się zabezpieczeniom. W cieniu gęstych koron drzew krzyżowały się świeżo usypane drogi i ścieżki. Wśród gęstwiny zieleni, tam, gdzie teren opadał stromo w stronę jeziora, jego fachowe oko wyłowiło zamaskowany starannie betonowy bunkier. Z otworów strzelniczych wychylały się groźnie lufy karabinów maszynowych. Jeżeli ktoś chciałby ominąć posterunek, natychmiast natrafiłby na zasieki, za którymi rozpościerało się pole minowe.

W ostatnim okresie ochrona Führera znacznie się wzmogła. Opowiadano sobie po cichu, że „Wolfschanze”[2] stał się ośrodkiem zainteresowania

radzieckiego wywiadu. Podobno nawet znalazł się pewien śmiałek, który zdołał ujść uwagi patroli strefy zewnętrznej i przekroczyć pierwszy z trzech pasów zaporowych. Komendant ochrony, SS-brigadenführer Johann Rattenhuber, nazywany przez niektórych po prostu Rattenbube[3], zrobił wszystko, co tylko leżało w jego mocy, aby osłony Wilczego Szańca nie przestąpił nawet najsprytniejszy kot. Wzmocniono też kontrolę zarówno osób przybywających do głównej kwatery wodza, jak i opuszczających ją, ograniczając poza tym liczbę odwiedzających do niezbędnego minimum. Specjalnie przeszkoleni esesmani czuwali nad tym bacznie.

Trzy ochronne kręgi „Wolfschanze" były – prawdę mówiąc – trzema pasami śmierci. Każda żywa istota, której udało się w jakiś sposób dostać w strefę działania najbardziej wymyślnych sposobów zabijania, rozstawała się z życiem niemal natychmiast. Las otaczający Kwaterę Główną znany był z tego, że nie śpiewały w nim ptaki. Trzydzieści milionów marek, które kosztowała budowa Wilczego Szańca, poszło nie tylko na zbudowanie potężnych, ukrytych w głębi ziemi bunkrów, zdolnych przeciwstawić się najpotężniejszym nawet atakom lotniczym. Wiele pieniędzy pochłonęło zamaskowanie obiektu oraz najprzeróżniejsze środki bezpieczeństwa, mające na celu zagwarantowanie Hitlerowi długiego życia: tysiące przeróżnego rodzaju min, najnowocześniejsze karabiny maszynowe, rozsiane wszędzie fotokomórki i mikrofony rejestrujące każdy dźwięk i ruch…

Tak zwana IV (wewnętrzna) strefa bezpieczeństwa zajmowała obszar niespełna czterech kilometrów kwadratowych. Znajdowała się za wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego, tak dobrze zamaskowanym, że praktycznie było ono całkowicie niewidoczne od strony drogi. Wzdłuż ogrodzenia rozmieszczono bunkry, stanowiska artylerii przeciwlotniczej i gniazda karabinów maszynowych, a całą strefę otaczało pole minowe o szerokości od pięćdziesięciu do trzystu pięćdziesięciu metrów, z pięćdziesięcioma czterema tysiącami min. Patrole sprawdzały ogrodzenie oraz posterunki na terenie Kwatery Głównej. Wokoło pola minowego znajdowało się wiele betonowych stanowisk artyleryjskich

zlokalizowanych w pobliżu skrzyżowań, z których można było skutecznie ostrzeliwać wiodące do Wilczego Szańca drogi.

Budynki Führerhauptquartier znajdowały się po obu stronach asfaltowej szosy, wiodącej z Kętrzyna do Augustowa. Sam las miał średnicę około dwóch kilometrów; ponieważ między kępami wysokich sosen było wiele polan, zaistniała konieczność rozwieszenia siatek maskowniczych nad niektórymi instalacjami kwatery, by ukryć bunkry przed wzrokiem nieprzyjacielskich lotników. Umieszczone wysoko na drzewach siatki kamuflujące tamowały dopływ światła słonecznego, pogłębiając tylko panującą tu mroczną i ponurą atmosferę. Na północ od wspomnianej szosy przebiegała linia kolejowa wiodąca do Augustowa i dalej na wschód. Na południe od lasu znajdowała się niewielka stacyjka Gierłoż, na której została ułożona bocznica, a same zabudowania stacyjne znacznie powiększono latem 1941 roku.

*

Skorzeny złożył podpis w rejestrze, który podsunął mu jeden z wartowników, i wrócił do auta. Dalej droga biegła przez brzozowy las, mijała przejazd kolejowy i prowadziła do drugiego szlabanu.

– *Halt!* – kolejny esesman uważnie sprawdził jego książeczkę wojskową i przepustkę.

– Kto pana wezwał?

– Führer – odpowiedział zgodnie z prawdą niedawny pasażer Junkersa.

Na twarzy wartownika pojawił się wyraz niedowierzania. Nie mówiąc ani słowa, cofnął się kilka kroków do budki wartowniczej i podniósł słuchawkę telefonu. Lufa jego automatu wciąż wymierzona była w obydwu gości. Wrócił po chwili, znacznie uspokojony.

Zapewne po drugiej stronie kabla ktoś wyjaśnił mu, na czyj rozkaz Skorzeny pojawił się w Wilczym Szańcu, ponieważ urzędową arogancję zastąpił dużo przyjaźniejszy ton.

– Jest pan oczekiwany w Nowej Herbaciarni, *herr hauptmann* – oddając dokumenty, wartownik zasalutował regulaminowo i trzasnął kopytami. – Rudi, dźwigaj belkę! – krzyknął w stronę stojącego przy szlabanie kolegi.

Zapadał już zmrok, kiedy samochód zatrzymał się przy Herbaciarni, dwuskrzydłowym pawilonie wykonanym z sosnowych bali. Wielki przedpokój wyłożony był puszystym, tłumiącym kroki wełnianym dywanem. Skorzeny zajął miejsce w jednym z kilkunastu stojących tam wygodnych skórzanych foteli. Trzydziestopięcioletni wojskowy czuł się w tym dostępnym tylko dla wybrańców miejscu trochę nieswojo. Miły dla oczu widok komfortowo urządzonego wnętrza nie zmniejszał bynajmniej wciąż dręczącego go niepokoju. Dobrze wiedział, że Wilczy Szaniec jest najlepiej strzeżoną siedzibą najwyższego dowództwa. Stąd Hitler i jego generałowie próbowali zapanować nad losami wojny. Dla Skorzenego było to miejsce najświętsze ze świętych.

Za chwilę pojawił się kolejny esesman. Typowy płowowłosy Niemiec, którego nie sposób rozpoznać w tłumie. Może z wyjątkiem oczu… Miał je jasne i tak świdrujące, że przeszyłyby osłonę wojennego okrętu.

– Hauptsturmführer Skosheny?

Znany z opanowania i zimnej krwi dowódca Friedenthaler Jagdverbände zareagował gwałtownie, co nieczęsto mu się zdarzało.

– Nie, nie nazywam się Skosheny. To chyba nie takie trudne wymówić prawidłowo moje nazwisko. Wystarczy podzielić: Skor-ce-ny. I tyle[4].

Wyjątkowo nie lubił tych lalusiów ze sztabu, którzy przez wiele lat służby w SS nie odważyli się pojechać na front, uważając, że to zbyt niebezpieczne.

– Przepraszam – bąknął esesman. – Proszę za mną – pokazał w kierunku znajdujących się po drugiej stronie poczekalni tylnych drzwi. – Zaprowadzę pana do Führera.

Wyszli na zewnątrz i po kilkudziesięciu metrach dotarli do innego budynku. Oczekujący tam adiutant wprowadził gości do dużego pokoju, pośrodku którego stał olbrzymi stół zawalony mapami. Na ścianie wisiał obraz Albrechta Dürera *Bukiet fiołków*, oprawiony w lśniącą ramę. Ta

subtelna martwa natura najsłynniejszego niemieckiego twórcy okresu Renesansu, ulubionego artysty Hitlera, była jednym z licznych zagrabionych dzieł sztuki, którymi ozdobiono Wilczy Szaniec, i wyjątkowo nie pasowała do mrocznej atmosfery Kwatery Głównej. Wszystkie okna zasłonięte były ciężkimi, nieprzepuszczającymi światła storami, a wokół znajdującego się po prawej stronie monumentalnego kominka ustawiono kilka wygodnych krzeseł.

Otworzyły się drzwi w drugim końcu pokoju i do pomieszczenia wszedł wódz.

Ubrany był w pozbawioną dystynkcji szarą kurtkę mundurową, białą koszulę i czarny krawat. W lewej klapie miał wpięte dwa medale, które zdobył podczas I wojny – Krzyż Żelazny i Verwundetenabzeichen (Order Za Rany). Postąpiwszy kilka kroków, podniósł ramię w charakterystycznym powitaniu, tak dobrze znanym ze zdjęć i filmowych kronik.

Otto widział go do tej pory trzykrotnie, ale zawsze z daleka. W 1936 roku mógł go oglądać na trybunie honorowej podczas berlińskich Igrzysk Olimpijskich, kiedy to czarnoskóry sprinter Jesse Owens zakpił sobie z rasowych teorii Führera, zdobywając cztery złote medale. Dwa lata później, tkwiąc na rusztowaniu obok kilku robotników, Skorzeny patrzył na tryumfalny wjazd Hitlera do Wiednia po anschlussie Austrii. I wreszcie po raz trzeci widział go w roku 1941 na froncie wschodnim, kiedy stojąc na zaimprowizowanym podwyższeniu, w otoczeniu sztabu generalnego i wyższych dowódców Leibstandarte, wódz dziękował swoim żołnierzom za wykazane męstwo.

„Od niezrozumiałego strachu ugięły się pode mną nogi – wspominał w swoich pamiętnikach. – Za kilka chwil po raz pierwszy w życiu miałem znaleźć się w obecności Adolfa Hitlera, Führera Wielkich Niemiec i wodza naczelnego niemieckiej armii!”.

Hitler starzał się z każdym dniem. Był coraz bardziej przygarbiony; zniknęła gdzieś bezpowrotnie jego dawna dziarskość, którą starał się imponować otoczeniu. Przydługa kurtka jeszcze bardziej kurczyła nieforemną postać. Spoglądał na swego gościa nieruchomym wzrokiem,

jakby oślepłym. Na pozbawione wyrazu, uciekające w tył czoło spadał legendarny kosmyk tłustych włosów. Oblicze Führera było szarobiałe, nalane, niczym ulepione z rzadkiej, porowatej substancji. Co uderzało szczególnie niemiło, to widoczne już z daleka worki pod oczyma, odskakujące ustawicznie przy najmniejszym ruchu mięśni twarzy.

Dopiero we wrześniu nękani przez zabójcze mazurskie komary mieszkańcy Wilczego Szańca mogli wreszcie trochę odetchnąć. Jesień była czasem odpoczynku od insektów i wilgotnego upału, przed którym można było schronić się tylko w zimnych ścianach gigantycznych bunkrów. Teraz jednak, pod koniec lata, Hitler był podłamany i rozdrażniony, nie komarami jednak, ale rozwijającą się na frontach niekorzystną sytuacją.

Rok 1943 przyniósł Niemcom klęskę pod Stalingradem i utratę całej 6. Armii. Straty wojsk Osi w rejonie Wołgi, Donu i Stalingradu wyniosły około półtora miliona ludzi, trzy i pół tysiąca czołgów i trzy tysiące samolotów. Ponad sto czterdzieści tysięcy żołnierzy poległo, reszta dostała się do niewoli, w tym dwudziestu czterech generałów, z feldmarszałkiem Friedrichem von Paulusem na czele. Linia frontu przesunęła się na zachód o dwieście pięćdziesiąt kilometrów. Strategiczne, ale także psychologiczne znaczenie bitwy stalingradzkiej było olbrzymie. Morale narodu niemieckiego zaczęło się od tego czasu załamywać. Pawłograd, Diemiańsk, Rżew… Sowieci wydawali się co kilka godzin wyzwalać kolejne nowe miasto.

Straty w ludziach i sprzęcie rosły bardzo szybko, a przedłużająca się wojna z Rosją Sowiecką pochłaniała olbrzymie zasoby III Rzeszy. Zdecydowana większość niemieckich armii tkwiła na froncie o długości około półtora tysiąca kilometrów, rozciągającym się od Leningradu na północy po Rostów na południu. Wehrmacht znajdował się w swoistym impasie strategicznym i najwyższe dowództwo niemieckie zdawało sobie sprawę, że Rosjanie będą dalej coraz potężniej nacierać. Ponadto wojska na wschodzie zostały znacznie osłabione, ponieważ w pierwszych miesiącach 1943 roku część jednostek trzeba było przerzucić do Tunezji, by wspomóc wycofujące się resztki Afrika Korps.

W maju 1943 roku wojska angielsko-amerykańskie pokonały Włochów i Niemców w północnej Afryce. Sytuacja pod Kurskiem[5] również nie napawała optymizmem. 10 lipca Hitler otrzymał wiadomość, iż poprzedniego dnia wojska alianckie (jednostki brytyjskiej 8. Armii i amerykańskiej 7. Armii) wylądowały na Sycylii (operacja „Husky”). Żołnierze sił sprzymierzonych szybko opanowali wyspę, przymierzając się do kolejnej wielkiej ofensywy, której celem miał być Rzym. A nie dalej jak wczoraj we Włoszech doszło do zamachu stanu, w wyniku którego od władzy odsunięty został i uprowadzony w nieznane miejsce jeden z najwierniejszych sojuszników Adolfa, Benito Mussolini… Ogniste piekło, w jakie Niemcy wtrącili świat niemal cztery lata wcześniej, pożerało stopniowo III Rzeszę.

Adiutant, Sturmbannführer Otto Günsche, przedstawił gościa Führerowi. Skorzeny wyprężył się na baczność, trzaskając głośno obcasami. Rachityczny, chudy i niezbyt sprawny fizycznie wódz uwielbiał umięśnionych herosów, których sławili w swoich obrazach niemieccy malarze i filmowcy, tacy chociażby jak jego ulubiona artystka, Leni Riefenstahl. Skorzeny pasował do tego wizerunku jak tunika do Nessosa. Wysoki, barczysty, nieokrzesany, a jednak sprytny, i przede wszystkim oddany jak ulubiony owczarek niemiecki Hitlera, Blondie. Adolf zabierał tego psa ze sobą wszędzie, nawet do kwater położonych w pobliżu frontu: do Kętrzyna, Połtawy czy Winnicy. Karmił Blondie najlepszymi kąskami, a nawet znajdował czas na codzienną tresurę. Nic dziwnego, że pies reagował na każde jego słowo i każde polecenie.

– Zna pan Włochy? – Hitler od razu przeszedł do rzeczy. Mówił cicho, oszczędzając głos.

– Byłem tam dwukrotnie, *Mein Führer*. Na motocyklu. Ale nie dalej niż w Neapolu.

– Jakie ma pan zdanie o tym kraju?

Pytanie o było nie było sojusznika Niemiec zabrzmiało dość zaskakująco, a jego ogólność nakazywała raczej zachowanie ostrożności.

– Jako Austriak nigdy nie wybaczę im zagarnięcia południowego Tyrolu – uśmiechnął się Skorzeny[6].

„Grofaz”[7], jak ironicznie nazywali go wojskowi opozycjoniści, również się uśmiechnął, po czym oparł się swoim zwyczajem obiema rękami o zawalony mapami stół.

– Chciałbym panu powierzyć bardzo ważną misję, Otto – powiedział powoli i z namaszczeniem. – Jak pan już zapewne słyszał, Benito Mussolini, mój oddany przyjaciel i współpracownik, został wczoraj aresztowany przez tych zdradzieckich Włochów. Nie możemy zostawić bez pomocy człowieka, który jest wcieleniem starożytnej wielkości Rzymu. Rozumie pan?

– *Ja, Mein Führer*.

– Powołany właśnie do życia nowy włoski rząd z pewnością opuści naszą koalicję. Nie możemy do tego dopuścić. To mogłoby mieć zgubny wpływ na przebieg działań na Półwyspie Apenińskim. Nie możemy sobie pozwolić na utratę Rzymu. Gdyby do tego doszło, to byłaby katastrofa. Nasz śródziemnomorski partner musi pomóc nam bronić południowego frontu. Gdyby Włosi nagle otworzyli bramy przed wrogiem, wojska amerykańskie i brytyjskie mogłyby pospieszyć w górę półwyspu i zaatakować Rzeszę, która w tej chwili angażuje większość swoich sił w walkę z gigantyczną armią sowiecką na wschodzie. Rozumie pan?

– *Ja, Mein Führer*.

– Trzeba szybko wyciągnąć Mussoliniego z łap tych zdrajców, zanim oddadzą go aliantom. Tę misję chcę powierzyć właśnie panu, Otto. Jeśli zdoła pan tego dokonać, awans pana nie minie.

Skorzeny słuchał słów wodza jak urzeczony. Przejęty zaufaniem Führera, gotów był ruszyć do akcji choćby natychmiast.

– I jeszcze jedno, chyba najważniejsze – kontynuował Hitler. – Wszystko musi pozostać w najgłębszej tajemnicy. Oprócz pana i mnie o naszych planach wiedzą tylko cztery osoby. I tak ma pozostać. Zostanie pan oddelegowany do Luftwaffe, pod komendę generała Kurta Studenta. Od niego otrzyma pan dalsze instrukcje.

*

Tak naprawdę to, co zdarzyło się w stolicy Włoch, nie powinno być dla Hitlera niespodzianką. Rzymski rezydent SD Wilhelm Hoettl raportował stamtąd już w kwietniu 1943 roku, że opozycja przeciwko rządom Mussoliniego narasta z siłą lawiny.

W miarę, jak szala zwycięstwa w straszliwej wojnie zaczęła się powoli przechylać na stronę aliantów, włoskie społeczeństwo miało coraz bardziej dość tej wojny. Dość ponoszonych ofiar, dość przelanej krwi, dość nędzy i upokorzeń. Od miesięcy ich wojska ponosiły właściwie tylko straty. 13 maja w Tunezji skapitulowała włoska 1. Armia, dowodzona przez gen. płk. Giovanniego Messe. Tym samym zakończyły się ostatecznie ciężkie i krwawe walki w Afryce Północnej.

Jednocześnie miasta włoskie były celem coraz częstszych ataków alianckiego lotnictwa bombowego. W Rzymie nastroje społeczne uległy szczególnie gwałtownemu pogorszeniu 19 lipca, po nalocie amerykańskiego lotnictwa, którego bomby spustoszyły dzielnice Tiburtino, Prenestino, Nomentana i San Lorenzo, zabijając około 1500 cywilnych osób. Szczególnie ciężkie było lato 1943 roku pod apenińskim niebem. To, co się pod nim działo, do reszty rozwiało mit o niezwyciężonym pochodzie faszyzmu i potędze Osi Berlin – Rzym. Społeczeństwo nie dawało się już dłużej nabierać na komunikaty o konieczności ciągłego wycofywania się na „z góry upatrzone pozycje”. Burzyło się już nie tylko chłopstwo, urzędnicy czy prości robotnicy, ale również przemysłowcy, arystokracja i bankierzy.

Jeszcze tak niedawno Mussolini był ich mężem opatrznościowym, człowiekiem, który miał uchronić Italię przed komunistycznymi wywrotowcami. Poza tym faszyzm zapewniał też możliwość robienia dobrych interesów. Ale teraz wszystko się odwróciło. Rozum i kupiecki instynkt nakazywały jedyne w tej sytuacji rozsądne wyjście: ratować skórę przed rachunkiem, jaki szykował się przedstawić im doprowadzony do rozpaczy naród mający dość faszyzmu, dość cierpień, a przede wszystkim dość samobójczej wojny, która ostatnio nie przynosiła mu niczego innego

oprócz coraz większych strat. Powoli stawało się jasne, że dalsze utrzymywanie faszystowskiej dyktatury i sojuszu z hitlerowskimi Niemcami może tylko zamienić Italię w pustynię i jedno wielkie cmentarzysko gruzu. Niewielu miało ochotę podążać wraz z duce prosto do grobu.

Mussolini nie był durniem. Też to dostrzegał. Już pod koniec 1942 roku jego otoczenie zauważyło znaczną zmianę w jego zachowaniu i wyglądzie. Duce zawsze szczycił się swoją inteligencją i znakomitą pamięcią. Nagle jednak wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Mussolini jakby raptownie postarzał się o kilka lat, na jego twarzy malował się wysiłek spowodowany prowadzeniem długotrwałej ciężkiej wojny, a jego umysł nie był już tak przenikliwy jak kiedyś. Nawet Galeazzo Ciano, mąż Eddy Mussolini, ukochanej córki dyktatora, został odseparowany od teścia, choć do tej pory współdecydował wraz z nim o losach państwa. I choć Mussolini wciąż próbował sprawiać wrażenie człowieka obeznanego znakomicie ze wszystkimi aspektami spraw politycznych i wojskowych, jak dawniej wtrącał się do wszystkiego i jak dawniej wymagał bezwzględnego posłuszeństwa od podwładnych, ci coraz częściej po prostu go oszukiwali. W rezultacie coraz bardziej tracił kontakt z realnym światem.

Nic więc w tym dziwnego, że tuż pod bokiem duce, dosłownie kilka metrów od Pallazzo Venezia – jego rzymskiej rezydencji, rodziły się spiski, zmowy i bunty. Najwyżsi dowódcy wojskowi i wielu ministrów rządu Mussoliniego uważało, że wojna jest już przegrana i że najmądrzejsze, co można zrobić w tej sytuacji, to nie dopuścić, aby ta wojna toczyła się dalej na Półwyspie Apenińskim. Groźba zniszczenia całego kraju oraz zabytków jego wspaniałej historii była aż nadto realna.

Na terytorium Włoch działały jednocześnie agentury dwóch niemieckich wywiadów: wojskowego (Abwehry), podlegającego Wilhelmowi Canarisowi, i wywiadu SS – Sicherheitstdienst (SD), kierowanego przez Heinricha Himmlera. Obydwie te organizacje, zwalczające się wzajemnie i nienawistne sobie, zgodne były jednak co do tego, że Włochom nie należy ufać.

19 lipca Hitler otrzymał od Himmlera raport wywiadowczy, w którym przewidywano, iż w najbliższej przyszłości może dojść do zamachu stanu, uwięzienia Mussoliniego i utworzenia nowego rządu, na którego czele miałby stanąć marszałek Pietro Badoglio. Hitler nie uwierzył. Nawet wtedy, kiedy z Rzymu przyszła informacja o projekcie zwołania po raz pierwszy od wielu lat Wielkiej Rady Faszystowskiej, zbagatelizował wydarzenie, mówiąc:

– To spotkanie nie przyniesie żadnych rezultatów. Pogadają tylko, pokrzyczą, jak to Włosi, i rozjadą się do domów.

Jak do tej pory Wielka Rada rzeczywiście była jedynie gromadą posłusznych potakiwaczy na usługach duce.

Tymczasem sprawy potoczyły się zgoła inaczej…

*

Naciskany, żeby pozbył się Mussoliniego, król Wiktor Emanuel III początkowo zdecydowanie odmawiał. Odejście duce mogłoby wtrącić cały kraj w potworny chaos, którego bardzo się obawiał. Jeszcze bardziej bał się tego, do czego zdolni byliby broniący Sycylii Niemcy i ich stacjonująca pięćdziesiąt kilometrów od Rzymu pancerna dywizja M. Ostatecznie jednak podjął tę decyzję podczas narady odbytej 19 lipca w małym miasteczku Feltre koło Wenecji. Wzięli w niej udział również niemieccy i włoscy szefowie sztabów generalnych, Adolf Hitler oraz sam Benito Mussolini.

– Musicie zmobilizować społeczeństwo! – wrzeszczał Hitler. – Musicie wzmocnić obronę i zastosować wszelkie dostępne środki, które mogą zatrzymać aliantów! Bądźcie pewni, że Niemcy wam w tym pomogą.

Nie podał jednak żadnych szczegółów dotyczących rzeczy najważniejszej, a mianowicie rozmiarów pomocy, jakiej Rzesza mogłaby udzielić swoim sojusznikom. Mussolini do końca siedział cicho, jak mysz pod miotłą, nie zająknąwszy się ani słowem na temat tego, w jak opłakanym stanie znajdują się włoskie wojska. Nie raczył również

wspomnieć, na jakie konkretnie wsparcie liczy. Dopiero później, pożegnawszy już Adolfa, który z lotniska Treviso odleciał do siebie, duce wyjaśnił towarzyszącemu mu generałowi Vittorio Ambrosio:

– Nie widziałem najmniejszej potrzeby mówienia tego Hitlerowi. Wystarczy, że przyrzekł solennie dać wszystko, czego nam potrzeba. I tego właśnie będziemy się domagali. Oczywiście, nasze żądania muszą mieścić się w granicach rozsądku…

Parę minut potem, siedzący już w samochodzie generał Ambrosio mruknął do swego adiutanta:

– Duce chyba kompletnie oszalał! Ten człowiek jest po prostu obłąkany!

Wielka Rada Faszystowska, główny kolegialny organ doradczy Narodowej Partii, zebrała się w sobotę 24 lipca 1943 roku o godzinie 17.00 w Palazzo Venezia. Panował nieznośny upał, na niebie nie było widać ani jednej chmurki, termometry wskazywały prawie 40 stopni w cieniu. O tej porze dnia i roku w mieście zawsze bywało ogromnie gorąco. Stolica zaczynała więdnąć w blasku śródziemnomorskiego słońca. Każdy kamień nagrzany był tak silnie, że gdy się go nieopatrznie dotknęło gołą ręką, natychmiast wyskakiwały bąble. Na ulicach i bulwarach świeciło pustkami. Story większości kawiarni, traktierni i barów espresso zasunięte były na głucho. Rolety w oknach domów mieszkalnych opuszczono.

Prawie wszystkie szyby oklejone były paskami z gazet. Według instrukcji wydanych przez organizację obrony przeciwlotniczej (UNPA) miało to zabezpieczyć je przed skutkami wybuchów bombowych. Byli nawet tacy, którzy w to wierzyli – do czasu, gdy bomby padały gdzie indziej, daleko na północ i na południe od Rzymu. Ale wtorkowy nalot, pierwszy wielki nalot samolotów alianckich na „Wieczne Miasto”, otworzył im oczy. Kiedy pierwsza fala amerykańskich Liberatorów zrzuciła bomby na dzielnicę San Lorenzo, szyby powypadały w całej okolicy.

Zgodnie ze starym obyczajem Wielka Rada rozpoczęła zebranie od uroczystego apelu, który przeprowadził jej sekretarz Carlo Scorza. Starsi panowie w czarnych mundurach, obwieszonych frędzlami, szlifami i akselbantami, spróbowali na chwilę wciągnąć wystające spod pasa

brzuchy. Stanęli na baczność jak za dawnych czasów, gdy jako członkowie pierwszych Drużyn Szturmowych szykowali się do wielkiego marszu na Rzym. Dziś jednak nikt nie rozczulał się wspomnieniami. Ceremoniał skrócono do minimum. Zebrani zajęli miejsca; było ich – łącznie z Mussolinim – dokładnie trzydziestu. Za uchylonym oknem widać było żałośnie obwisłe gałęzie drzew zwarzone upałem.

W sali konferencyjnej zapadła cisza, przecinana tylko monotonnym szumem zainstalowanego na suficie wentylatora, którego praca zdawała się jednak psu na budę. Pomieszczenie przypominało wnętrze rozpalonego pieca hutniczego, tak rozgrzane były ściany budynku w słonecznym żarze. Gęste, gorące powietrze z trudem dawało się wciągać do płuc. Była to jednak cisza przed burzą. Wszyscy członkowie Wielkiej Rady patrzyli na człowieka, który przez ostatnich dwadzieścia lat przewodził im, stojąc na czele całego ruchu. Człowieka, który decydował dosłownie o wszystkim, co działo się w Italii.

Benito Mussolini również milczał. Wyglądał bardzo źle, cerę miał ziemistą, policzki wychudłe. Krawat przy czarnej koszuli zwisał niedbale. W jego oczach za nic nie można było dopatrzyć się dawnego blasku. Być może wspominał przechwałki Hitlera, który powiedział przed rokiem, że jeśli ktokolwiek zrzuci bomby na Rzym, jego flota powietrzna zrówna z ziemią miasto nieprzyjaciela.

Wreszcie jako pierwszy zabrał głos główny inicjator dzisiejszego spotkania, hrabia Dino Grandi di Mordano, dawny ulubieniec duce. Mówił o tym, o czym i tak wiedzieli już wszyscy. O złej sytuacji na froncie, o ślepym zaułku, w jakim znalazła się partia faszystowska i całe Włochy. Zaczął swoje wystąpienie głosem bardzo niepewnym, raz po raz zerkając, jak na jego słowa zareaguje Mussolini. Mówił krótkimi, urywanymi zdaniami, przerywając co chwila w oczekiwaniu poparcia ze strony pozostałych członków Rady. Jednak w miarę mówienia jego głos potężniał, nabierając z czasem siły wodospadu.

– Pan, duce, wprowadził nas w tę niszczycielską wojnę wbrew honorowi, uczuciom i interesom narodu. W czasie pierwszej wojny

światowej poświęciliśmy sześćset tysięcy zabitych dla ocalenia ojczyzny. Dziś znowu mamy Niemców w naszym domu, a włoskie matki wołają: Mussolini zabił naszych synów! […]. Narzucił pan Włochom dyktaturę, zniszczył pan bojowego ducha naszych sił zbrojnych […]. Przez całe lata, wybierając jednego z kilku kandydatów na ważne stanowisko, nieodmiennie wskazywał pan najgorszego.

Jeszcze niedawno taka jawna krytyka byłaby w obecności dyktatora niemożliwa. Nie napotykając sprzeciwu, Grandi rozpalał się coraz bardziej. Z charakterystyczną afektacją mówił o konieczności utworzenia we Włoszech „silnego frontu wewnętrznego”:

– Moim zdaniem – teraz już prawie krzyczał – nasz najjaśniejszy król, Wiktor Emanuel III musi wystąpić teraz na plan pierwszy i przejąć całą odpowiedzialność za losy ojczyzny i za armię!

Gdy skończył, znów zapadła cisza. Znów oczy wszystkich uczestników narady skierowały się na duce.

Mussolini siedział nieporuszony, tak jakby wszystko, co do tej pory tutaj się działo, nie obchodziło go w najmniejszym stopniu. A przecież każde zdanie wypowiedziane przez Grandiego to był cios wymierzony w prestiż wodza narodu…

Potem głos zabrał Galeazzo Ciano, były już wówczas minister spraw zagranicznych. Mówił o stosunkach niemiecko-włoskich, przytoczył przykłady dwulicowej polityki Hitlera wobec duce.

– W naszych stosunkach z Niemcami w żadnym momencie nie byliśmy zdrajcami, we wszystkich przypadkach zdradzili nas Niemcy! – Całe ciało lśniło mu od potu, jakby ktoś oblał go wiadrem wody.

Hrabia Ciano mówił bez ogródek o podrzędnej, upokarzającej roli, które zmuszone są odgrywać Włochy u boku swego hitlerowskiego „brata” i „przyjaciela”. Nie szczędził też gorzkich słów temu, który wbrew jego radom, zaleceniom i błaganiom zdecydował się przed trzema laty na przystąpienie do wojny. Wojny, która przybrała teraz tak nieszczęśliwy dla Włoch i dla faszyzmu obrót.

Kończąc swe wywody, Ciano poparł wniosek Grandiego o przekazanie królowi pełnej władzy nad wojskiem:

– Uważam, że jest to jedyne wyjście, które nam pozostało, jeśli chcemy uratować jeszcze coś niecoś przed ostateczną klęską – powiedział.

Głos zabierali kolejno pozostali członkowie Rady. Nikt nie dbał już o jakikolwiek porządek. Mówili jeden przez drugiego, przekrzykując się wzajemnie, ale ich słowa jakby roztapiały się w gorącym powietrzu i zdawały się nie docierać do Mussoliniego. Ludzie z cienia zwrócili swoje sztylety przeciwko współczesnemu Cezarowi, ale duce poczuł jedynie ukłucia: irytujące, lecz nie zabójcze.

Posiedzenie Wielkiej Rady było bardzo burzliwe i przeciągnęło się do późnej nocy. Spiskowcy wyrażali swoje pretensje bardzo otwarcie; nic dziwnego, że kilku z nich, żeby zabezpieczyć się przed aresztowaniem, włożyło do teczek pistolety i ręczne granaty. Duce, którego nazwisko padało tu raz po raz, ciągle milczał. Nie odezwał się nawet wtedy, gdy głos zabrali ci, na których liczył najbardziej. Najbliżsi, zdawało się, przyjaciele i współpracownicy. Ludzie, których wyciągnął kiedyś z błota, zapewnił im najwyższe w kraju dostojeństwa i zaszczyty. Ludzie, którzy tylekroć przy różnych okazjach przysięgali mu dozgonną wdzięczność, Carlo Scorza, Roberto Farinacci… Ludzie, którzy jeszcze wczoraj na jedno jego skinienie gotowi byli skakać w ogień, siedzieli teraz zimni, obojętni i wrodzy. W obliczu klęski i niepowodzeń drżeli już tylko i jedynie o własną skórę. Od dawna znękany i przygnębiony duce, udręczony silnym bólem żołądka, biernie wysłuchiwał coraz głośniejszego chóru niezadowolonych, nie czyniąc najmniejszego ruchu, by uciszyć odstępców.

*

Mówiąc szczerze, sam był sobie w ogromnym stopniu winien. Zlekceważył wszelkie ostrzeżenia. Na decydujące o jego losach posiedzenie przybył, nie wyobrażając sobie ani przez chwilę, jaki będzie ono miało przebieg. Wygłosił wcześniej długie przemówienie, pełne maksym, cytatów

i epigramatów, przeświadczony, że jak zawsze ujarzmi nim słuchaczy. Szybko jednak zorientował się, że *belcanto* przestało ich urzekać. Tak więc pokonany i znużony przedłużającymi się obradami, zgodził się wreszcie, by poddano pod głosowanie wniosek przewodniczącego Rady Dino Grandiego, przewidujący przywrócenie królowi władzy konstytucyjnej nad krajem i wzywający go do objęcia dowodzenia siłami zbrojnymi.

Wynik tego głosowania wprawił go w osłupienie. Dziewiętnastu członków Wielkiej Rady Faszystowskiej głosowało za odwołaniem wodza, tylko siedmiu było przeciw. W niedzielę 25 lipca o trzeciej nad ranem Mussolini został pozbawiony urzędu. Dwudziestoletni nimb, cała legenda wytworzona wokół jego osoby, wszystko prysło teraz jak mydlana bańka. W fotelu, za stołem konferencyjnym, siedział już tylko cień dawnego duce. Był śmiertelnie zmęczony i gotów na wszystko, byleby tylko ten upokarzający spektakl nareszcie się skończył.

W końcu, oparłszy zaciśnięte pięści o stół, dyktator podniósł się ciężko.

– Podjęliście decyzję o daleko idących skutkach – powiedział gorzko. – Kryzys rządowy, spowodowany akurat w tym momencie, nie jest chyba najlepszym wyjściem z trudnej sytuacji. Zabiliście faszyzm!

Pozostało mu jednak jeszcze jedno wyjście – audiencja u króla. Nie mieściło mu się w głowie, że „mały król”, jak sam pogardliwie nazywał Wiktora Emanuela III, zdobędzie się na jakiś samodzielny krok wymierzony bezpośrednio przeciwko niemu. Wręcz przeciwnie. Sam nosił się z zamiarem ukarania zdrajców, jak nazywał tych, którzy odważyli się wystąpić z atakiem na niego i na jego politykę.

Na uzgodnioną audiencję do Villa Savoia przybył punktualnie co do minuty o godzinie 17.00. Mierzący sto pięćdziesiąt centymetrów wzrostu król już na niego czekał. Miał na sobie mundur marszałkowski ze wszystkimi orderami. Jego drobna twarz zdradzała silne zdenerwowanie. Mała, wypielęgnowana dłoń, którą podał gościowi przy powitaniu, drżała wyraźnie.

– Drogi duce – odezwał się trochę niepewnym głosem. – Muszę panu powiedzieć, że sytuacja jest niezwykle trudna. Tak dalej nie może być.

Włochy są rozdarte. Morale wojska zagrożone. Żołnierze po prostu nie chcą się bić. Strzelcy alpejscy śpiewają, że nie chcą walczyć za Mussoliniego: *Abbasso Mussolini, assasino degli alpini* (Precz z Mussolinim, mordercą strzelców alpejskich) – zacytował refren piosenki śpiewanej przez niedobitków z frontu wschodniego.

Dyktator wzruszył tylko ramionami.

– Wotum nieufności Wielkiej Rady… – kontynuował Wiktor Emanuel. – Dziewiętnaście głosów za wnioskiem Grandiego… Zapewne nie ma pan już złudzeń na temat uczuć, jakimi obecnie darzą pana Włosi? Nie może pan już liczyć na nikogo, prócz mnie…

– No właśnie – ożywił się Benito. – Wielka Rada jest tylko ciałem doradczym i nie ma prawa podejmować takich decyzji. W tej sytuacji…

– Nic podobnego – przerwał mu stanowczo król. – Wielka Rada jest organem państwa ratyfikowanym przez dwie izby włoskiego parlamentu i dlatego każdy, podkreślam, każdy jej akt jest wiążący.

– Wobec tego według Waszej Wysokości muszę zrezygnować? – zapytał Mussolini z wyraźnym wysiłkiem.

– W tej sytuacji, drogi duce, doszedłem do wniosku, że najodpowiedniejszym człowiekiem, zdolnym do objęcia władzy wykonawczej, będzie… marszałek Pietro Badoglio. Utworzy on gabinet złożony z urzędników, aby zapewnić funkcjonowanie administracji państwowej i kontynuowanie wojny.

Po tych słowach Mussolini pochylił się, jakby otrzymał cios w piersi. Dźwięk tego nazwiska musiał mu dopiec do żywego. W roku 1940, kiedy Włochy przeżyły największe dotychczas upokorzenie podczas tej wojny, dyktator osobiście zwolnił Badoglia z kierowania Comando Supremo (Najwyższym Dowództwem). A teraz król oznajmiał mu, że to właśnie ten stary nieudacznik ma stanąć na czele nowego rządu…[8].

– A więc to już koniec… – jęknął płaczliwie. – I co się stanie ze mną? I z moją rodziną?

– Nie potrzebuje pan żywić najmniejszych obaw o swoje osobiste bezpieczeństwo – zapewnił go król. – Sam zadbam o to, aby zapewniono

panu należytą ochronę.

Rozmowa Mussoliniego z królem trwała zaledwie dwadzieścia minut. O 17.20 Wiktor Emanuel odprowadził swego gościa do drzwi. Według relacji członków straży pałacowej „mały król” po tej ciężkiej rozmowie zdawał się być jeszcze mniejszy i bardziej drobny.

*

Gdy zamknęły się drzwi i Mussolini schodził zamyślony po schodach rezydencji, podszedł do niego kapitan karabinierów.

– Ekscelencjo, Jego Królewska Mość wydał mi rozkaz, abym panu towarzyszył dla ochrony przed tłumem.

– Nie widzę potrzeby – mruknął duce z wyraźnym niezadowoleniem. – Ale jak chcecie, to możecie ze mną jechać.

Chciał skierować się do swojego samochodu, oczekującego przy bramie, ale kapitan zastąpił mu drogę, wskazując na stojącą obok wojskową sanitarkę.

– Przepraszam bardzo, ale musi pan wsiąść tutaj.

Mussolini spojrzał na swojego sekretarza, Nicolę de Cesare, który czekał nań w limuzynie, i zawahał się przez chwilę.

„Kto wie, czy w tym właśnie niepozornym pojeździe rzeczywiście nie będę bezpieczniejszy” – pomyślał. – „Ostatecznie mój wóz jest w Rzymie zbyt znany, a taka popularność jest obecnie zupełnie niepożądana. Przecież król zapewnił mi ochronę… Może to i lepiej…”.

Wzruszył ramionami i wsiadł do sanitarki. W tej samej chwili wskoczyło za nim do środka dwóch ubranych po cywilnemu agentów, trzech karabinierów oraz opiekujący się nim oficer. Ktoś zatrzasnął drzwiczki i ambulans szybko odjechał.

Nad miastem w szaleńczym pędzie mknęły chmury, jakby uciekały przed pogonią. Niektóre ich strzępki przelatywały tak nisko, że prawie zahaczały o drzewa chylące się w tę samą stronę, i wyglądało to tak, jak gdyby ktoś

zamiatał nimi niebo. Deszcz chłostał ściany stojących wzdłuż ulicy domów, które z szarych stawały się czarne.

Deszcz przestał padać, gdy pół godziny później ambulans zatrzymał się u wejścia do koszar oddziału karabinierów, stacjonującego na Zatybrzu przy Via Quentino Sella. Przed bramą stali żołnierze w szyku bojowym, z bagnetami na karabinach.

Oficer poprowadził Mussoliniego do dyżurki. Tutaj dopiero po zachowaniu się karabinierów Benito Mussolini wywnioskował wreszcie, na czym ma polegać owa „osobista opieka" króla. Stąd wieczorem przetransportowano go do gmachu szkoły kadetów policji przy Via Legnano, gdzie przebywał do wieczora 27 lipca.

Około północy, po wielu godzinach nerwowego oczekiwania, wręczono mu odręczne pismo marszałka Badoglia, który w krótkich słowach zakomunikował, iż duce znajduje się w „areszcie ochronnym, zarządzonym w trosce o jego osobiste bezpieczeństwo, wobec poważnych meldunków o przygotowywanym na życie dyktatora zamachu".

Wczesnym rankiem na ulicach Rzymu i innych włoskich miast pojawiły się pospiesznie wydrukowane plakaty z odezwą:

Włosi! W doniosłej godzinie, ciążącej na losach ojczyzny, obejmuję naczelne dowództwo nad wszystkimi rodzajami broni. Niechaj każdy zajmuje stanowisko, jakie wyznacza mu obowiązek, wiara i walka […]. Niechaj każdy z Włochów pochyli głowę w obliczu głębokich ran, zadanych świętej ziemi ojczystej. Polegając na dzielności swych sił zbrojnych oraz na zdecydowanej woli wszystkich obywateli, Włochy wkraczają na drogę ponownego odrodzenia. Włosi! Bardziej niż kiedykolwiek łączy mnie dzisiaj z wami niewzruszona wiara w nieśmiertelność ojczyzny.

Wiktor Emanuel III

Tuż obok widniało pierwsze orędzie nowo mianowanego szefa rządu, marszałka Pietra Badoglio:

[…] Z rozkazu króla przejmuję nad krajem rządy o charakterze wojskowym, wraz ze wszystkimi pełnomocnictwami. […] Mimo że Włochy otrzymały ciężkie ciosy, dotrzymają wierności danemu słowu, albowiem są czujnym strażnikiem tysiącletniej tradycji […] Wojna trwa nadal! […].

*

I wojna trwała nadal…

Meldunek o aresztowaniu Mussoliniego przekazał Führerowi 25 lipca o godzinie 21.30 niemiecki ambasador w Rzymie, Rudolf Rahn.

– Duce ustąpił! – Hitler wykrzyknął w największym oburzeniu do stojącego obok feldmarszałka Wilhelma Keitla, szefa Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu (Oberkommando der Wehrmacht – OKW). – Rządy w Rzymie objął ten łajdak Badoglio, najgorszy z naszych wrogów!

Upadek Mussoliniego wywołał w niemieckiej Kwaterze Głównej prawdziwy wstrząs. Duce był jedynym człowiekiem we Włoszech, któremu Hitler mógł ufać, przywódcą związanym przez los z Führerem na dobre i na złe. Adolf natychmiast wezwał na konferencję pozostałych przywódców Rzeszy. Przybyli: Goebbels, Göring, Himmler i Heinz Guderian – Generalny Inspektor Wojsk Pancernych, szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych. Albert Speer znajdował się już na miejscu; Joachim von Ribbentrop, dochodzący do siebie po zapaleniu płuc, był osłabiony i blady. Z grupą swoich podwładnych przybył admirał Karl Dönitz, naczelny dowódca Kriegsmarine.

– Bez wątpienia w swojej wiarołomności ogłoszą, że pozostaną wobec nas lojalni, ale to jest zdrada – stwierdził. – Oczywiście nie pozostaną lojalni. W każdym razie ten, jak on tam się nazywa… Badoglio, powiedział wprost, że wojna będzie kontynuowana, ale to nic nie znaczy. Musi tak mówić. My podejmiemy tę samą grę: wszystko ma być gotowe do błyskawicznego uderzenia w tę całą klikę i wyrzucenia ich! Jutro rano

wyślę kogoś, aby przekazał dowódcy 3. Dywizji rozkaz wejścia do Rzymu, aresztowania króla, całej bandy oszustów, następcy tronu, schwytania tych wszystkich szumowin, zwłaszcza Badoglia i jego gangu. Zobaczycie, oni pękną jak przekłuty balon i w ciągu dwóch lub trzech dni będzie całkiem inna sytuacja!

Dwie godziny później, w czasie narady o północy, Hitler wydał następne instrukcje:

– Rzym musi być okupowany! Nikt nie może opuścić Rzymu, a wtedy wejdzie tam 3. Dywizja Grenadierów Pancernych.

– Czy Watykan zostanie otoczony, a bramy tego państwa zablokowane? – zapytał nieśmiało Walter Hewel, przedstawiciel ministra spraw zagranicznych w kwaterze Hitlera.

– To nie ma znaczenia – odpowiedział Führer. – Ja wkroczę wprost do Watykanu. Sądzicie, że się go obawiam? Watykan przekształcił się w gniazdo szpiegów i w centrum propagandy wymierzonej przeciwko narodowemu socjalizmowi. Cały dyplomatyczny korpus się tam schroni. Nie popuszczę im. Jeżeli wszyscy tam się znajdą, my wyjmiemy stamtąd wiele świń – mówił o Żydach, którym Watykan dał schronienie. – Potem powiemy, że przepraszamy. Łatwo możemy to zrobić[9].

– A co z papieżem?

– W zależności od rozwoju sytuacji militarnej i politycznej polecę umieścić go w Niemczech lub Liechtensteinie.

Hitler słynął z tego, że w sytuacjach kryzysowych potrafił działać niezwykle szybko, a przy tym często brutalnie i przebiegle. Jeżeli coś postanowił, to przestawały dla niego istnieć jakiekolwiek bariery moralne czy prawne. Po prostu dążył do wytyczonego celu, z wdziękiem i rozmachem taranu. Dzięki temu zwykle wyprzedzał przynajmniej o krok swoich przeciwników. Był dużo bardziej skuteczny niż oni, i właśnie dzięki temu wygrywał. Przynajmniej przez jakiś czas.

Tym razem także głęboko wierzył w możliwość zażegnania włoskiego kryzysu. Ba! Przekonany był nawet, że z całego zamieszania wyciągnie jeszcze korzyści. Nieprzypadkowo w czasie nocnej narady wspomniał

o możliwości zajęcia Watykanu. Aresztowanie duce, konszachty włoskiego rządu z aliantami, możliwość inwazji wojsk wroga na Półwysep Apeniński – wszystko to stwarzało mu doskonały pretekst do uwięzienia papieża i przejęcia watykańskich skarbów.

Przez kilka następnych dni Hitler odbył serię narad z udziałem co najmniej trzydziestu osób; wszyscy byli stłoczeni w jednym dusznym pomieszczeniu. W czasie tych długotrwałych debat podjęto ważne decyzje dotyczące Osi. Na jedno Führer kładł przez cały czas zdecydowany nacisk:

– Mussolini musi z powrotem znaleźć się na czele rządu.

Prawie nikt z jego najbliższych współpracowników nie miał pojęcia, że w tajemnicy podjął już stosowne kroki, aby do tego doprowadzić.

Panowanie nad sobą odzyskiwał dopiero w obecności swoich sekretarek i prywatnie pozwolił sobie na parę gorzkich komentarzy dotyczących obalenia duce.

– Mussolini jest znacznie słabszy, niż sądziłem – powiedział cicho pewnego razu. – Osobiście go popierałem, a jednak upadł. Ale na Włochów nigdy nie mogliśmy liczyć. Straciliśmy przez nich więcej prestiżu i ponieśliśmy więcej klęsk, niż przysporzyli nam sukcesów.

Fakt, że w końcu doszło we Włoszech do oczekiwanego przez niego już od dawna kryzysu, zdawał się raczej przynosić mu ulgę niż przygnębiać. W tym trudnym dla siebie czasie był w stanie chłodno kalkulować, prezentując nie tylko determinację i energię – konieczne dla opanowania kryzysu – ale też taktyczną maestrię. To właśnie, w połączeniu z opieszałością Brytyjczyków i Amerykanów, którzy nie zdołali wykorzystać dogodnej okazji, umożliwiło w końcu Niemcom opanowanie sytuacji na południowej flance.

Nowy rząd Włoch oficjalnie kontynuował wojnę z aliantami, jednocześnie jednak rozpoczął z nimi tajne negocjacje. Hitler nie ufał aktualnemu premierowi i wprowadził na terytorium Italii dużą jednostkę niemiecką pod pretekstem walk z inwazją. 8 września 1943 roku rząd Badoglio ogłosił zawieszenie broni z aliantami, ale nie wypowiedział wojny

Niemcom, pozostawiając armię bez rozkazów. Premier i rodzina królewska przemieścili się do regionów kontrolowanych przez aliantów.

Wiadomość o podpisaniu przez Włochy zawieszenia broni znów spadła na Hitlera niespodziewanie. Był właśnie na Zaporożu, na Ukrainie, zajęty wydarzeniami na południowym odcinku frontu wschodniego, i tuż przed nadejściem wspomnianej wiadomości powrócił do swej Kwatery Głównej. Jego wściekłość nie miała granic. Z chwilą kapitulacji Włoch „miękkie podbrzusze" III Rzeszy zostałoby całkowicie pozbawione obrony. Włosi aż do ostatniej chwili zachowali pozory, toteż udało im się całkowicie zaskoczyć Niemców; starczyło im tylko tyle czasu, ile trzeba było na wysłanie umówionego hasła marszałkowi Albertowi Kesselringowi, zwanemu przez aliantów „Uśmiechniętym Albertem", który dowodził w południowych Włoszech, bo komunikacja prawie natychmiast została przerwana i wiadomości rozchodziły się bardzo skąpo.

W szary, wilgotny poranek do Kętrzyna przyjechał wezwany tam przez Hitlera Heinrich Himmler. Führer był zgorzkniały, oburzony na Włochów, że zdołali go tak podstępnie podejść. „Duce przejdzie do historii jako ostatni Rzymianin – pisał Joseph Goebbels, niemiecki minister propagandy i oświecenia publicznego, członek ścisłego kierownictwa partii narodowosocjalistycznej, a później w ostatnich dniach życia kanclerz Rzeszy. – Ale za jego spiżową postacią naród Cyganów osiągnął stan rozkładu".

Goebbels wszystkimi siłami starał się namówić Hitlera do wygłoszenia przemówienia przez radio. Po raz ostatni Adolf przemawiał w marcu, z okazji Dnia Pamięci Poległych Bohaterów. Tak źle odczytał jednak przy tym swój tekst, że wywarł jak najgorsze wrażenie na słuchaczach. Od chwili aresztowania Mussoliniego nie chciał występować publicznie, toteż Goebbelsowi tylko z najwyższym trudem udało się przełamać jego opór.

Mowa nie zawierała niczego specjalnie ciekawego. Hitler w podniosłych słowach mówił o Mussolinim, nazywając go „największym synem włoskiej ziemi od czasu upadku Rzymu" i podkreślił lojalny do niego stosunek: „Nie nauczyłem się zmieniać własnych poglądów stosownie do okoliczności lub

po prostu, by się ich zaprzeć”. Oświadczył również, że zdrada Włochów będzie powodem narodowego wstydu dla ich przyszłych pokoleń, ale nie wpłynie w żaden sposób na wynik wojny:

– Od miesięcy we Włoszech walczyły już tylko niemieckie wojska. Będziemy teraz walczyli dalej, wolni od uciążliwego balastu […]. W tych gigantycznych zmaganiach względy taktyczne mogą nas zmusić czasem do niewielkiego odstąpienia na jakimś froncie, ale nigdy nie wpłynie to na przełamanie stalowego pierścienia chroniącego Rzeszę.

Mowa ta została nadana 10 września wieczorem i poprzedził ją specjalny biuletyn oznajmiający o uderzającym sukcesie Niemców we Włoszech. Hitler zdołał tam podnieść liczebność sił niemieckich do szesnastu dywizji, które przystąpiły teraz do rozbrajania znacznie liczniejszych wojsk włoskich oraz do zajmowania kluczowych pozycji, łącznie z Rzymem, nie napotykając przy tym poważniejszego oporu. Król i Badoglio uciekli ze stolicy, chroniąc się pod skrzydła aliantów. W ciągu paru godzin Niemcy zdołali opanować większą część Półwyspu Apenińskiego.

*

Skorzeny wrócił tymczasem do holu Nowej Herbaciarni w stanie wielkiego poruszenia. Zapalił papierosa, łapczywie wciągając pierwszy haust dymu. Po chwili pojawił się Otto Günsche, zawiadamiając, że generał Student już na niego czeka.

Generaloberst Kurt Arthur Benno Student, jowialny oficer, którego umiejętności i odwaga były już w Wehrmachcie legendą, urodził się 12 maja 1890 roku w Birkholz w Brandenburgii. W czasie I wojny światowej był asem niemieckiego lotnictwa myśliwskiego, z łączną liczbą sześciu powietrznych zwycięstw. 1 lipca 1938 roku już jako generał major otrzymał zadanie rozbudowania utworzonego trzy lata wcześniej Batalionu Spadochronowego „Hermann Göring” w 7. Dywizję Lotniczą. 10 maja 1940 roku został zrzucony wraz z żołnierzami 7. Dywizji w okolicach Rotterdamu. 14 maja odniósł ciężką ranę kolana, kiedy spadochroniarze

zostali omyłkowo ostrzelani przez straż przednią jednostki pancernej Waffen-SS. W 1941 roku opracował plan zdobycia Krety przez wojska powietrznodesantowe. Podczas ataku dowodził osobiście XI korpusem lotniczym (7. Dywizja Spadochronowa i 5. Dywizja Górska). Kreta została zajęta, ale straty spadochroniarzy były tak duże, że wydano zakaz przeprowadzania dużych operacji powietrznodesantowych. Pomimo tego zakazu Student – za zgodą Oberkommando der Wehrmacht (OKW) – Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu oraz samego Adolfa Hitlera, opracował plan desantu na Maltę, który jednak nie został zrealizowany. W 1943 roku powierzono mu dowództwo niemieckich jednostek spadochronowych we Włoszech[10].

Skorzeny wszedł do małego biura i przywitał się z generałem, pod którego dowództwo został oddany i któremu powierzono dowodzenie całą operacją. Uznał, że Student wygląda całkiem przyjaźnie, chociaż jego czoło również przecinała głęboka blizna, pamiątka po trafieniu przez snajpera w 1940 roku.

Ledwo obaj panowie zdążyli wymienić słowa powitania, w drzwiach pojawił się kolejny gość. Tym razem nie miał na sobie munduru, co zdarzało mu się nadzwyczaj rzadko. Ubrany był w tweedowy garnitur, białą koszulę i czarny krawat. Srebrne binokle nadawały mu wygląd mało sympatycznego dyrektora szkoły.

Reichsführer Heinrich Himmler. Ongiś hodowca kurczaków, był obecnie budzącym powszechną grozę dowódcą SS i najpotężniejszym człowiekiem III Rzeszy. Nigdy nie gardził luksusem, jednakże ponad wszystko na świecie, ponad pałace i świecidełka, perskie dywany i szelest banknotów, kochał władzę. Jej poświęcał myśli i marzenia, dla niej wzniósł ołtarz w głębi swego bezlitosnego serca. Nie było takiej zbrodni, przed którą by się cofnął w uporczywym dążeniu do ugruntowania swej potęgi.

Niezwykły dowód jego ciemnej duszy, a raczej szaleństwa opisał najstarszy syn Martina Bormanna – Martin Adolf. Dla swojej sekretarki i kochanki, Hedwig Potthast, Himmler kupił dom w pobliżu Berchtesgaden, gdzie – ze względu na bliskość rezydencji Hitlera – swoje wille postawili

również Martin Bormann i Hermann Göring. Pewnego dnia syn Bormanna wraz z matką, Gerdą Buch (córką sędziego najwyższego sądu partyjnego Waltera Bucha), i młodszą siostrą złożyli wizytę pani Potthast. Gospodyni zaprowadziła ich na piętro i otworzyła drzwi dużego pokoju.

„Weszliśmy tam – wspominał Martin Adolf Bormann. – Nie rozumieliśmy, co to za sprzęty znajdują się w pokoju, dopóki nam nie wyjaśniła całkiem naukowo. Były to krzesła i stoły zrobione z części ludzkiego ciała. Stało tam krzesło. Siedzenie zrobiono z ludzkiej miednicy, nogi były ludzkimi nogami i opierały się na ludzkich stopach. Z dużej sterty podobnych książek [Hedwig Potthast] podniosła książkę *Mein Kampf* i pokazała nam okładkę pokrytą ludzką skórą. Wyjaśniła, że więźniowie w Dachau, którzy robili te książki, używali skóry z pleców".

Pani Bormann, równie wstrząśnięta jak dzieciaki, pospiesznie wyprowadziła je z domu. Od tej pory Bormannowie już nigdy nie składali wizyt pani Potthast. Marin Adolf Bormann − w akcie sprzeciwu wobec zbrodniczej działalności ojca – został katolickim księdzem i misjonarzem. W 1953 roku otrzymał święcenia kapłańskie i pełnił swoją posługę przez wiele lat w zakonie Misjonarzy Najświętszego Serca Jezusowego w belgijskim Kongu[11].

„Widziałem go przy tej okazji po raz pierwszy z bliska – wspominał szefa SS i Gestapo Otto Skorzeny. – Muszę powiedzieć, że nie wywarł na mnie pozytywnego wrażenia. Miał wiotki uścisk dłoni i uciekające za binoklami spojrzenie".

Nikt jednak nie mógł odebrać Himmlerowi zasługi uczynienia z SS największej siły w III Rzeszy. Stanął na czele tej formacji w 1929 roku, kiedy liczyła sobie niespełna trzystu członków. Trzy lata później, zanim jeszcze narodowi socjaliści dorwali się do władzy, miał już pod swoimi rozkazami ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a ich liczba ciągle wzrastała. Potem SS opanowało całe Niemcy. Honorowe tytuły otrzymywali najważniejsi politycy i najwybitniejsi naukowcy. Siłę organizacji uzupełniły fanatyczne, świetnie uzbrojone i znakomicie wyszkolone oddziały Waffen-SS, które w szczytowym okresie osiągnęły stan blisko miliona żołnierzy.

Potęga policyjna i militarna SS szła w parze z jej siłą gospodarczą. W administrowanych przez Schutzstaffel obozach koncentracyjnych siedemset tysięcy więźniów wynajmowano niemieckim koncernom, zarabiając krocie na ich niewolniczej pracy.

– Siadajcie panowie – rzekł zaskakująco łagodnym głosem Himmler, kiedy obaj oficerowie wyprężyli się na jego widok w postawie zasadniczej.

Patrząc ostrym wzrokiem zza szkieł charakterystycznego pince-nez, przedstawił krótko własną analizę sytuacji.

– Przy najbliższej okazji Badoglio zdradzi Oś i zawrze odrębny pokój z aliantami – zawyrokował nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Część Włochów pozostała wierna Hitlerowi, ale większość z nich to zwykli zdrajcy.

Coraz bardziej podniecony, wymieniał po kolei wszystkie włoskie przewinienia, zasypując rozmówców nazwiskami i datami. Podawał kolejne nazwiska włoskich polityków i dowódców, oceniając jednocześnie, do jakiego stopnia można im ufać. W pewnym momencie zauważył, że Skorzeny robi notatki.

– Czy pan stracił rozum?! – wrzasnął. – Nie słyszał pan, że wszystko, co mówię, jest ściśle tajne?! – Głos miał wysoki jak u kastrata i nieco przyduszony, jakby usiłował mówić pod silny wiatr.

Otto pośpiesznie schował notes i ołówek.

– Proszę to natychmiast podrzeć i spalić – zażądał Reichsführer. – Kiedy podniósł wzrok, zza srebrnych binokli patrzyła zimna i pozbawiona uczuć twarz. – Proszę polegać tylko i wyłącznie na własnej pamięci. Chyba ma pan wystarczająco dobrą pamięć, Hauptsturmführer?

– *Jawohl!* – przyświadczył Otto.

– To dobrze. – Himmler zdjął binokle, wskazującym palcem potarł lekko grzbiet nosa, po czym starannie założył je z powrotem. Było w tym geście coś nieskończenie złowieszczego. – Ja też – dorzucił niespodziewanie.

Zabrzmiało to dwuznacznie i groźnie jednocześnie.

– Odstępstwo Włoch jest pewne – ciągnął dalej. – Jedyne pytanie brzmi: kiedy do tego dojdzie?

Wyczerpawszy temat, wdał się w dłuższą dyskusję ze Studentem. Skorzeny spojrzał na zegarek. Dochodziła 23.00, postanowił więc zadzwonić do swojego biura do Berlina i powiadomić podwładnych, że jeszcze jakiś czas będzie nieobecny.

Czekając na połączenie, stanął na korytarzu i zapalił papierosa. W tym momencie pojawił się tam również Himmler.

– Nie do wiary! – wrzasnął. – Nie ma pan dość siły woli, żeby rzucić palenie? Wciąż te śmierdzące niedopałki! Widzę, że nie jest pan człowiekiem, jakiego nam trzeba do wykonania tak trudnej misji.

Nim Skorzeny zdążył odpowiedzieć, Reichsführer zniknął.

„Nieźle się zaczyna” – pomyślał komandos, gasząc papierosa na obcasie. Zastanawiał się, czy już został zwolniony.

*

Zaraz po przybyciu do Włoch Hauptsturmführer Skorzeny zameldował się u głównodowodzącego wojsk niemieckich Alberta Kesselringa, który rozlokował się wraz ze swym sztabem we Frascati. Tam też poczęły zbiegać się wszelkie nici akcji przygotowującej porwanie.

Obaj panowie S, Student i Skorzeny, byli doświadczonymi żołnierzami i obaj dobrze wiedzieli, iż w przypadku powodzenia operacji „Eiche” (Dąb) – bo taki nadano jej kryptonim – zaszczyty i wyróżnienia, jakie otrzymają, będą ogromne. Kiedy był zadowolony, Hitler potrafił naprawdę szczodrze się odpłacić. Skorzeny szybko zorientował się, że wielka akcja wymyka mu się z rąk, a dowódca spadochroniarzy zamierza przeprowadzić ją tylko przy pomocy swoich ludzi, wyznaczając esesmanowi rolę ochroniarza uwolnionego Mussoliniego. Późnym wieczorem zadzwonił więc do Berlina, do swojego zastępcy Karla Radla.

– Mamy rozkaz wyruszyć jutro rano – rzucił do słuchawki. – Na razie nie mogę dodać nic więcej, muszę to wszystko jeszcze przemyśleć. Powiem ci tylko jedno, że tej nocy nie będziecie spokojnie spali. Przygotuj transport, gdybyśmy mieli zabrać nasz ekwipunek. Wybierz pięćdziesięciu

ludzi, tylko najlepszych, którzy znają włoski. Przekaż mi, których oficerów masz zamiar wybrać, a ja powiem ci o moim wyborze. Wszystko musi być gotowe na piątą rano.

Celem Skorzenego było postawienia Kurta Studenta przed faktem dokonanym. Liczył przy tym na to, że generał nie odważy się przeciwstawić człowiekowi wykonującemu rozkaz samego Führera. I rzeczywiście, Student – choć niechętnie – ale jednak wyraził zgodę na udział w akcji jego ludzi. Drużyna Skorzenego wylądowała więc 28 lipca na lotnisku w Pratica di Mare, na południowy zachód od Rzymu.

Komandosi byli gotowi do akcji w każdej chwili, tylko… ciągle nikt nie wiedział, gdzie przebywa Mussolini. Niemiecki wywiad stawał dosłownie na głowie, lecz przez dłuższy czas bez żadnych konkretnych efektów. Pragnąc zdobyć dla Hitlera za wszelką cenę potrzebne informacje, nazistowscy tropiciele zaczęli szukać pomocy nawet u… mediów, jasnowidzów, astrologów i innych znawców nadprzyrodzonych mocy. „Zdaje się, że to sam Himmler chętnie odwoływał się do takich «mędrców» – pisał Otto Skorzeny. – Pewne jest jednak, że we Włoszech ani fusy od kawy, ani tarot, ani kryształowe kule w niczym nam nie pomogły”.

Himmler zawsze czuł respekt do sił nadprzyrodzonych. Od marca 1944 roku korzystał z usług niemieckiego jasnowidza Wilhelma Theodora Heinricha Wulffa, autora autobiografii wydanej pod tytułem *Zodiak i swastyka*, którego umiejętnie podsunął mu szef wywiadu SD Walter Schellenberg. Wulffowi udało się uzyskać przemożny wpływ na szefa Gestapo, w którym astrologia zawsze budziła zabobonny lęk i respekt. Schellenberg nakazał wcześniej Wulffowi, aby w horoskopach zawsze starał się podkreślać jego znaczenie w powodzeniu różnych projektów szefa SS.Wulff często opracowywał przepowiednie dla Himmlera i zrobił na nim tak duże wrażenie, że ten konsultował z jasnowidzem każdą niemalże decyzję.

Zanim jeszcze Wulff został przedstawiony Himmlerowi, ułożył nadzwyczaj trafny horoskop dla Schellenberga. Przewidział również, że 20 lipca 1944 roku życie Hitlera znajdzie się w niebezpieczeństwie.

[Chodziło o zamach Clausa von Stauffenberga – opisany w rozdziale V]. Przepowiednia Wulffa głosiła, że Führer odejdzie z tego świata przed 7 maja 1945 roku, co także okazało się prawdą. Podejrzewa się jednak, że astrolog po fakcie dodawał sobie powagi i koloryzował własną biografię. Ostatnie zdanie *Zodiaku i swastyki* brzmi: „Narodowy socjalizm został zmiażdżony i zniknął z historii. Astrologia natomiast… pozostała”.

W samym Rzymie aż huczało od plotek na temat losów duce. Niektórzy informatorzy donosili, że Mussolini został zamknięty w szwajcarskim szpitalu dla umysłowo chorych. Inni zapewniali, że popełnił samobójstwo. Niemcy nie mieli innego wyboru, jak sprawdzać każdą ze sprzecznych wersji wydarzeń, marnując pieniądze i przede wszystkim niezwykle cenny czas. „Z całą pewnością udało nam się tylko ustalić, że po południu 25 lipca duce został wezwany do króla – napisał Skorzeny. – Od tego momentu nikt go więcej nie widział”.

Ze źródeł nieco bardziej wiarygodnych napływały wciąż nowe, często jednak sprzeczne ze sobą informacje. A to widziano Mussoliniego na wyspie Ponza, później w Santa Maddalena niedaleko Sardynii, w cieśninie Bonifacio. Wbrew pozorom obie wiadomości były prawdziwe, ponieważ dyktatora często przewożono w różne miejsca. Włosi słusznie podejrzewali, że ich dotychczasowi koalicjanci mogą wpaść na pomysł odbicia duce. Choć na pierwszy rzut oka podobna operacja nie mogła mieć racji bytu, byli tacy, którzy twierdzili inaczej. Wybrali zatem najprostsze z możliwych rozwiązań – nieustannie zmieniali miejsce uwięzienia, przenosząc Mussoliniego z miejsca na miejsce w taki sposób, aby nikt nie wykrył, gdzie obecnie się znajduje. Pierwszy tydzień aresztu dyktator spędził na wyspie Ponza, następnie przeniesiono go na wyspę La Maddalena, do domu o nazwie Villa Kern.

Przebrany za rybaka Skorzeny wybrał się do portu La Maddalena w towarzystwie mówiącego perfekcyjnie po włosku porucznika Wargera. Będący abstynentem porucznik ruszył w kurs po miejscowych barach (czegóż nie robi się dla sprawy), Skorzeny zaś na łodzi motorowej opłynął wyspę, aby zapoznać się z ogólną sytuacją.

Rajd Wargera po knajpach przyniósł mu fatalne samopoczucie, ale okazał się opłacalny. W pijackiej rozmowie z miejscowym handlarzem, który dostarczał warzywa i owoce do Villa Kern, niemiecki oficer uzyskał wiadomość, że Mussolini przebywa tam z całą pewnością. Plan odbicia mógł wejść w fazę realizacji.

Stwierdziwszy, że budynek jest pilnie strzeżony przez oddziały naziemne i artylerię przeciwlotniczą, Skorzeny zdecydował się powrócić na ląd Heinklem 111, aby jak najszybciej sprowadzić na wyspę oddział swoich spadochroniarzy. Była środa 18 sierpnia 1943 roku. Siedział w samolocie pochłonięty własnymi myślami, kiedy nagle usłyszał okrzyk:

– *Achtung!* Dwa samoloty od tyłu! – A po chwili: – To angielskie myśliwce!

Błyskawicznie rzucił się do najbliższego karabinu maszynowego. Pilot zanurkował. Wtem lewy silnik przestał pracować i Heinkel runął w dół z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę. Nie było szansy na skok ze spadochronem.

– Trzymać się! – ktoś krzyczał ochryple i bombowiec z hukiem uderzył w wodę.

Skorzeny poczuł, jak pękają mu żebra. Cały świat wypełniła głęboka czerń, zmieszana z krwistą czerwienią. A potem cisza. Wszystko zamarło bez ruchu. Nawet krew. Stracił przytomność.

Szczęście jednak go nie opuściło. Po jakimś czasie, trudno powiedzieć po jakim, bo mogła to być zarówno jedna sekunda, jak i wieczność, odzyskał świadomość, stwierdzając, że pilot zdołał napompować łódkę ratunkową, a on sam jest w stanie utrzymać się na powierzchni. Kwadrans później uratował ich włoski okręt. Marynarze pożyczyli im suche ubrania i wysadzili na Sardynii.

Okazało się, że Skorzeny ma złamane trzy żebra, nie miał jednak czasu na zajmowanie się swoim zdrowiem. Zabandażował pospiesznie kontuzjowane miejsce i skierował się do najbliższej niemieckiej jednostki. Następnego dnia powrócił do Rzymu.

*

Tymczasem z Kwatery Głównej nadeszła wiadomość, że miejsce pobytu Mussoliniego ustalili ludzie Wilhelma Canarisa, szefa Abwehry. Zgodnie z tymi informacjami duce miał być przetrzymywany na Elbie, w jednym z dawnych więzień Napoleona. Skorzeny nie krył irytacji, nie ufał Canarisowi, czując, że stary admirał rozmyślnie wprowadza Hitlera w błąd.

Zapewne zresztą miał rację z tym rozmyślnym wprowadzaniem. Jak się później okazało, Canaris był zdecydowanym przeciwnikiem polityki Adolfa Hitlera i współzałożycielem oraz wieloletnim członkiem antyhitlerowskiej organizacji Schwarze Kapelle – Czarna Orkiestra. Poza tym był monarchistą i zadeklarowanym antykomunistą. Skupił wokół siebie wielu najwyższych rangą niemieckich oficerów przekonanych, że polityka nazistów doprowadzi Niemcy do zguby. Bezskutecznie usiłował nawiązać kontakt z rządem brytyjskim, co uważał za niezbędny warunek dokonania zamachu stanu i obalenia Hitlera. Po wybuchu wojny przeciwdziałał wielu planom Hitlera i wielokrotnie świadomie przekazywał mu fałszywe informacje.

„Miałem okazję […] poznać jego dwulicowy charakter – napisał po latach Skorzeny w książce *Nieznana wojna. Moje operacje specjalne*. – Było w nim równocześnie coś z meduzy, którą można bez widocznego rezultatu przebić palcem, jak i z wymykającego się śliskiego węgorza. Zapytuję dotąd sam siebie: po co Canaris miał na biurku portret Hitlera? Przecież oblicza Roosevelta, Churchilla lub Stalina byłyby bardziej adekwatne”.

Korzystając z protekcji generała Studenta, Skorzeny zdołał uzyskać ponowną audiencję u Hitlera, podczas której przedstawił dowody co do przetrzymywania Mussoliniego jednak na La Maddalena. W Wilczym Szańcu znalazł się w tej samej sali, w której kilka tygodni wcześniej Führer wydał mu rozkaz odnalezienia i porwania jego włoskiego przyjaciela. Tym razem przy stole obecni byli również najwyżsi dygnitarze Rzeszy. Po prawej stronie Hitlera feldmarszałek Wilhelm Keitel i generał pułkownik

Alfred Jodl, z lewej strony minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop, Heinrich Himmler, Kurt Student, a dalej wielki admirał Karl Dönitz i marszalek Hermann Göring.

– Wierzę panu, Hauptsturmführer – po wysłuchaniu raportu Hitler ujął w spontanicznym geście rękę Skorzenego. – Ma pan całkowitą rację. Odwołuję atak na Elbę. Czy przygotował pan już plan ataku na La Maddalenę?

– Oczywiście, *Mein Führer.*

– Proszę go przedstawić.

Skorzeny w możliwie zwięzłych słowach przedstawił główne założenia planu, zaaprobowanego wcześniej przez generała Studenta.

– Operacja nosi kryptonim „Alarich". Zgodnie z poczynionymi przeze mnie osobiście spostrzeżeniami willi „Weber", w której przebywa Mussolini, strzeże w dzień i w nocy około stu pięćdziesięciu karabinierów i policjantów. W przeddzień rozpoczęcia akcji niemiecki okręt złoży kurtuazyjną wizytę na La Maddalena. W tym samym czasie mała flotylla szybkich łodzi motorowych, *R-bootów*, wpłynie do portu i zacumuje tam na noc. Każdy ścigacz wyposażony będzie w dwie torpedy i dwa działka 20 mm. Następnego dnia o świcie wyspę otoczą trałowce wiozące na pokładzie moich ludzi oraz kompanię żołnierzy Waffen-SS z Brigade Korsika, którą mi podporządkowano.

– Skąd pan weźmie te trałowce? – zapytał Keitel.

– Z położonej naprzeciw wyspy bazy w Palau. Pod osłoną dział niemieckich okrętów uderzymy na Villa Kern. Baterie artylerii przeciwlotniczej z Korsyki i Sardynii zapewnią nam ochronę przed samolotami, chociaż specjalna grupa otrzymała już rozkaz unieszkodliwienia stacjonujących na La Maddalena dwóch włoskich myśliwców.

– Mówi pan o stu pięćdziesięciu policjantach i żołnierzach, Skorzeny – zauważył Jodl. – Czy nie zapomniał pan o koszarach Regia Marina, w których stacjonuje około dwustu włoskich podchorążych?

– Nie zapomniałem, *Herr General*. Przed rozpoczęciem akcji linia telefoniczna łącząca willę z koszarami zostanie przecięta. Zanim zdążą się połapać o co chodzi i zorganizować ewentualną pomoc, ani nas, ani duce już tam nie będzie

– To bardzo śmiały plan – zauważył Hitler. – Pytanie, czy aby nie za bardzo śmiały. Jakie, według pana, ma szanse powodzenia?

– Jeżeli wykonamy wszystko odpowiednio szybko, a przekonany jestem, że jesteśmy w stanie to zrobić, to powinno się obyć bez większych strat z naszej strony. Włoscy strażnicy będą tak przestraszeni samym widokiem nacierających, że bez wątpienia uznają wszelki opór za beznadziejny.

Hitler wyraził zgodę na realizację planu, na koniec jednak przestrzegł jeszcze Skorzenego.

– Musi pan wiedzieć jedno, Hauptsturmführer. Jeśli się panu nie uda, być może będę się musiał pana wyprzeć. Rozumie pan, nominalnie Włochy są wciąż naszym sprzymierzeńcem. Ze względu na rację stanu będę zmuszony utrzymywać, że działał pan bez rozkazu, że oszukał pan nas wszystkich, i że kierowała panem nadgorliwość oraz źle pojęta ambicja.

– Rozumiem, *Mein Führer.*

– I nie będzie miał pan szansy na rehabilitację…

– To również jest dla mnie oczywiste.

– Ale panu się uda, prawda, Skorzeny?

Jeżeli mnie zawiedziesz – mówiły oczy Hitlera – będziesz zgubiony. Jeżeli zrobisz wszystko, jak należy, będziesz moim towarzyszem i będziesz mógł uczestniczyć w moim łupie.

„Kiedy to mówił, był tak pewny siebie, że aż mnie tą pewnością zaraził – wspominał Skorzeny w swoich pamiętnikach. – Wiele słyszałem o hipnotycznych zdolnościach Adolfa Hitlera. Tamtego dnia doświadczyłem ich na sobie”.

Do ataku na Villa Kern nigdy jednak nie doszło. Kilka dni później, kiedy wszystko było już dopięte niemalże na ostatni guzik, Skorzeny i Warger popłynęli jeszcze raz na wyspę w przebraniu cywilnych żeglarzy. Kręcąc się w pobliżu miejsca przetrzymywania Mussoliniego, natknęli się na

jednego ze strażników. Z początku Włoch nie dawał się wciągnąć w rozmowę, lecz kiedy Skorzeny wspomniał (a Warger przetłumaczył), że wiedzą, iż duce nie żyje, strażnik nie wytrzymał.

– Opowiadacie bzdury, panowie. Sam go niedawno widziałem.

– Ha, ha – zaśmiał się Skorzeny. – Niedawno, to znaczy kiedy? Wtedy mógł jeszcze żyć.

– Niedawno, to znaczy dzisiaj rano – wyjaśnił Włoch, po czym dodał: – Widziałem go, jak wsiadał do białego hydroplanu, którym odleciał.

Obu Niemcom szczęki opadły na brodę. Miny mieli takie jak święci, którzy właśnie przed chwilą dowiedzieli się, że zabrakło dla nich miejsca w niebie.

– *Herr Feldmarschall*, niestety znowu nic z tego – zameldował Skorzeny parę godzin później Kesselringowi.

Kesselring przygryzł wargi. Właśnie przed chwilą odebrał telefon z Kwatery Głównej od Führera. Adolf Hitler bardzo się niecierpliwił. Dłuższe pozostawanie Mussoliniego „w miejscu odosobnienia” osłabiało jego osobisty autorytet.

– Musi pan uczynić wszystko, aby duce odzyskał jak najszybciej wolność – polecił przed odlotem Skorzenemu.

Informatorzy donosili wprawdzie o kolejnych miejscach pobytu Mussoliniego, wieści docierały jednak spóźnione, więc żołnierze Studenta i Skorzenego nie byli w stanie przygotować się do akcji, zanim więzień po raz kolejny nie zmienił miejsca pobytu. Ale ślad stawał się coraz wyraźniejszy. W chaosie towarzyszącym zmianie władzy nie było trudno o znalezienie pośród włoskich policjantów wielu zwolenników faszyzmu. Żeby zachęcić ich do wzmożonej pracy, wywiad SS przeznaczył na ten cel pięćdziesiąt tysięcy fałszywych funtów szterlingów, o których będzie jeszcze mowa.

Wreszcie na początku września niemiecki nasłuch radiowy odnotował wzmożoną pracę włoskiej radiostacji w rejonie Gran Sasso. To mogło świadczyć, że właśnie tam Włosi przetrzymywali aresztowanego dyktatora. Dodatkowe informacje, które napłynęły od wywiadu, zdawały się ten fakt

potwierdzać. Mussolini więziony był najprawdopodobniej w hotelu „Albergo-Rifugio” znajdującym się na terenie ośrodka narciarskiego „Campo Imperatore”, 120 kilometrów na północny wschód od Rzymu.

*

Miejsce wybrano wprost idealnie. Gran Sasso d’Italia jest najwyższym masywem Apeninów, o maksymalnej wysokości 2912 metrów n.p.m. (Corno Grande). Hotel usytuowany był na stromym zboczu góry, na poziomie 2112 metrów. Wybudowano go w roku 1938, w ramach programu rozwoju kultury fizycznej włoskiej młodzieży faszystowskiej. Dostęp do niego zapewniała jedynie kolejka linowa z pobliskiej doliny. Dolna stacja wyciągu, Fonte Cerreto, znajdowała się na wysokości 1120 metrów.

Mussolini otrzymał wygodny apartament nr 201, ulokowany na drugim piętrze kompleksu. Nie bez ironii określił go jako „najwyższe więzienie świata”. Znał je dobrze, gdyż parę lat temu osobiście dokonał otwarcia tego nowoczesnego obiektu wysokogórskiej turystyki.

Pilnujące go oddziały dowodzone przez generała Giuseppe Gueli, liczące około dwustu żołnierzy, wystawiły dziesięć posterunków przy wejściach i wokół hotelu oraz obsadziły dolną stację kolejki. Rygor więzienia zaostrzono, gdy do Gran Sasso dotarła informacja o kapitulacji Włoch. Zgromadzone wcześniej siły wzmocniono czterdziestoma trzema karabinierami porucznika Alberto Faioli i dosłano jeszcze około czterdziestu – pięćdziesięciu ludzi z różnych oddziałów. Przy drzwiach apartamentu Mussoliniego ustawiono wartę, przed hotelem pojawiły się karabiny maszynowe. Ustanowiono też łączność z pobliskim lotniskiem Aquila i przygotowano cztery muły, umożliwiające w razie potrzeby wywiezienie jeńca w głąb masywu górskiego.

Zupełnie odcięty od świata były dyktator nie miał do dyspozycji ani książek, ani gazet, poza paroma starymi numerami „Lavoro Italiano”, pozostawionymi tu przez kogoś na stole. Studiując z nudów te gazety,

znalazł w nich parę niezwykle ważnych dla niego – chociaż niespecjalnie podnoszących na duchu – wiadomości.

Rzym. 16.08.1943. Agencja „Stefani” donosi:

Rząd włoski podjął uchwałę ogłoszenia Rzymu, stanowiącego centrum katolickiego świata, miastem otwartym […]. Na nowych pozycjach frontu sycylijskiego wojska włoskie i niemieckie stawiają zacięty opór i powstrzymują napór nieprzyjaciela. […]. Ubiegłej nocy samoloty nieprzyjacielskie zrzuciły na Mediolan bomby zapalające i burzące. Powstało wiele pożarów. Baterie obrony przeciwlotniczej zniszczyły trzy samoloty wroga […].

I wreszcie znalazł wiadomość najważniejszą, datowaną dnia 6 września 1943 roku:

Po gwałtownym przygotowaniu artyleryjskim, przeprowadzonym przez liczne baterie, ustawione na wybrzeżu sycylijskim, i przy wsparciu ognia floty wojennej oraz przeważającego liczebnie lotnictwa, brytyjsko-amerykańskim siłom zbrojnym udało się wczoraj utworzyć kilka przyczółków lądowych na najbardziej na południe wysuniętym cyplu Kalabrii […].

A więc – inwazja! Dla więźnia hotelu „Campo Imperatore” była to wiadomość straszna. Teraz pozostawała mu już tylko nadzieja, że Hitler go nie opuści, że przyjdzie mu z pomocą jak niegdyś, kiedy duce ugrzązł w Grecji. Na razie spędzał czas grywając w karty z Guelim i Faiolą. Mógł też spacerować w pobliżu hotelu. Pewnego dnia spotkał niespodziewanie pasterza owiec.

– Ekscelencjo – powiedział mu wieśniak. – Niemcy są już pod bramami Rzymu. Jeżeli rząd jeszcze nie uciekł, uczyni to niedługo. My wszyscy jesteśmy nadal faszystami. Nikt nas w wiosce nie ruszał. Zamknięto tylko lokale partyjne. Ciągle mówią o tobie. Jedni, że uciekłeś do Hiszpanii, inni,

że cię zabito lub że umarłeś w czasie operacji w jednym ze szpitali rzymskich. Mówią także, że cię rozstrzelano w Forte Boccea. Sądzę, że Niemcy cię uwolnią, gdy dowiedzą się, gdzie się znajdujesz. Teraz wracam z moimi owcami w doliny i powiem Niemcom, gdzie cię trzymają. Będę szybko wśród nich, bo owce będą odtransportowane koleją. Gdy powiem żonie, że cię widziałem, pomyśli, że zwariowałem. Podoficer nadchodzi. Do szczęśliwego zobaczenia.

Jeszcze w pierwszych dniach sierpnia duce wysłał list do żony:

> *Droga Rachelo, byłaś godna człowieka innego niż ja. Przyczyniałem ci zawsze goryczy i zmartwień. Proszę cię, przyślij mi cieplejsze odzienie, ponieważ mam tylko to, w którym udałem się na dwór królewski. Także buty, które mam, są już zbyt zniszczone i cieszyłbym się, gdybym miał parę o mocniejszych podeszwach. Powiedz Romano i Annie Marii, by nie martwili się szkołą: mają czas, by nadrobić, co stracą. Powiedz też Vittorio, by zgłosił się do dowódcy niemieckiej 14. Armii, generalobersta Eberharda von Mackensena, prosząc o przyjęcie do Luftwaffe. Ściskam cię i wszystkich naszych drogich – Twój Benito.*

Gdy przyszła wiadomość o upadku Rzymu, Mussolini zaobserwował „dziwną atmosferę niepewności i oczekiwania”, jaka zapanowała na Gran Sasso. Wiadomość o ucieczce króla i Badoglia pogorszyła jeszcze nastroje ludzi pilnujących duce. 11 września 1943 roku w Radiu Berlin więzień usłyszał niepokojącą wiadomość: „Sztab aliantów wydał oficjalny komunikat, że warunki rozejmu obejmują oddanie Mussoliniego aliantom”. Mussolini poprzysiągł sobie wtedy, iż nigdy nie pozwoli oddać się w ręce aliantów. Próbował ponoć nawet podciąć sobie żyły żyletką. Po tym incydencie porucznik Faiola kazał usunąć wszystkie ostre przedmioty z pokoju aresztanta.

Faktycznie wśród warunków zawieszenia broni znalazł się artykuł 29 o treści następującej: „Benito Mussolini, jego główni, faszystowscy

współpracownicy oraz wszystkie osoby podejrzane o popełnienie zbrodni wojennych lub analogicznych wykroczeń, których nazwiska znajdą się na liście podanej przez Narody Zjednoczone, zostaną niezwłocznie zatrzymani i wydani Narodom Zjednoczonym”.

Jak wspominał później sam Mussolini, komendant karabinierów Faiola obiecał mu wtedy ze łzami w oczach:

– Na godzinę, zanim się to stanie, będzie pan ostrzeżony i dana panu będzie wszelka możliwość ucieczki. Przysięgam na życie mojego jedynego syna.

*

Chociaż tarcia między Skorzenym a spadochroniarzami miały się okazać trwalsze niż sama wojna, generał Student i esesman nadal pracowali razem. Początkowo nie wiedzieli, jak przyjrzeć się hotelowi na Gran Sasso, nie wzbudzając niepokoju strażników. Jakiekolwiek podejrzenia mogły przecież doprowadzić do ponownego przeniesienia Mussoliniego, a wtedy mogliby już tylko rwać sobie włosy na głowie z rozpaczy. W końcu wpadli na pomysł. Kto konkretnie wpadł – nie wiadomo, już bowiem po wojnie każdy z osobna twierdził, że pomysł wyszedł od niego.

Mówiącemu płynnie po włosku oficerowi sanitarnemu ze sztabu Studenta o nazwisku Leo Krutoff zlecono odbycie pielgrzymki na Gran Sasso w celu zorientowania się, czy „Campo Imperatore” nadaje się na miejsce rekonwalescencji dla chorych żołnierzy niemieckich. Powiedziano mu, żeby dokładnie przyjrzał się rozkładowi budynku i zanotował wszystkie ważne szczegóły. (Oczywiście Krutoff nie miał zielonego pojęcia, co naprawdę kryje się za jego misją). Wyruszył tam samochodem 8 września.

Chcąc dokonać rozpoznania, Skorzeny i Radl przelecieli tego samego dnia bombowcem na wysokości pięciu tysięcy metrów nad Gran Sasso. Pilot wiedział tylko, że chcieli przelecieć nad Rimini, Ankoną i Pescarą oraz wrócić tą samą trasą, prowadzącą nad Abruzzami i Gran Sasso aż do

Ravenny. Ich Heinkel He 111 wyposażony był w kamerę z potężnymi obiektywami, pozwalającą na robienie zdjęć z dużej odległości, wystarczająco dokładnych, żeby można było rozpoznać potem wszystkie obiekty znajdujące się na szczycie góry.

Tuż przed celem okazało się jednak, że kamera jest zepsuta. Być może przyczyną awarii sprzętu była panująca w samolocie zbyt niska temperatura. Powodzenie całej akcji wywiadowczej stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Na szczęście Skorzeny miał ze sobą również zwykły, amatorski aparat fotograficzny, którym udało mu się zrobić potrzebne zdjęcia, po wypchnięciu okienka w podłodze kadłuba. Wpadający do środka lodowaty wicher powodował, że skostniałe z zimna dłonie odmawiały mu posłuszeństwa. Temperatura na zewnątrz wynosiła minus 25 stopni Celsjusza, a samolot pędził na wysokości pięciu tysięcy metrów z szybkością trzystu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Przy okazji przeżyli dodatkowe chwile grozy, gdy w niewielkiej odległości pojawiła się eskadra wrogich myśliwców.

„Nie uwierzyłbym, że może być tak zimno, a wiatr może być aż tak kąśliwy – wspominał po latach Skorzeny. – Przesunąłem klatkę piersiową przez otwór, a Radl trzymał mnie za nogi […]. Szare i brązowe skały, ogromne nagie urwiska, kilka lodowców, a potem przelecieliśmy nad naszym celem, hotelem. Budynek był wielki, nawet widziany z tej wysokości. Zrobiłem pierwsze zdjęcie, potem, trzymając lewą ręką bardzo ciężki aparat, przekręciłem korbę, żeby przesunąć kliszę. Dopiero w tej chwili zdałem sobie sprawę, że dłonie mi zesztywniały”.

Podczas lotu powrotnego miejsce Skorzenego zajął Radl, który wykonał jeszcze kilka dodatkowych zdjęć.

Hauptsturmführer przyglądał się górze z ogromnym sceptycyzmem. Sforsowanie urwistych ścian przez komandosów graniczyło z nieprawdopodobieństwem. Poza tym podczas wielogodzinnej wspinaczki po nagich skałach intruzów mógłby dostrzec każdy wartownik, który nie byłby ślepy. Spadochrony? Też niewykonalne. Skok musiałby nastąpić z wysokości sześćdziesięciu metrów, na teren wielkości boiska

piłkarskiego. Raczej niewielu śmiałków przeżyłoby taką zabawę. W pewnej chwili, patrząc przez obiektyw aparatu, Skorzeny dostrzegł w pobliżu budynku niewielką łąkę, łagodnie opadającą w stronę skalnej krawędzi. To była jedyna szansa! Na takim płachetku ziemi, z trudem, bo z trudem, ale mogłoby wylądować kilka szybowców….

Zaaferowany odkryciem esesman nie zauważył jednak, że łąka kończy się na urwistej grani. „Wyglądało to jak zeskok z wielkiej skoczni narciarskiej" – opisał później to miejsce. Wobec skalistego podłoża szacowano możliwe straty na 80%!

*

Chmury, które od świtu krążyły nad bazą Pratica di Mare, zostały rozdarte tu i ówdzie przez zimne i niepewne słońce. Kilka ciężarówek pełnych żołnierzy w zielonoszarych mundurach, dowodzonych przez majora Morsa, wyruszyło stamtąd około godziny 4.00 nad ranem. Ich zadaniem było zajęcie pobliskiego lotniska Aquila oraz prowadzącej do „Campo Imperatore" kolejki górskiej, która umożliwiała bezpieczny powrót żołnierzy Skorzenego i Studenta. Liczący sobie zaledwie 32 lata Otto Harald Mors był już jednak bardzo wytrawnym oficerem. Dowodził oddziałami powietrznymi podczas niemieckiej inwazji na Holandię oraz zwycięskim, choć niezwykle kosztownym uderzeniem na Kretę.

Dziewięć szybowców DFS 230 w wersji CI, umożliwiającej wylądowanie na bardzo krótkim odcinku trójkątnej polany, którymi dowodził Oberleutnant Georg Freiherr von Berlepsch, wystartowało z lotniska Pratica di Mare o godzinie 13.00. Wszystkie należały do 12. eskadry 1. pułku szybowcowego porucznika Willego Heidenreicha. Każdy szybowiec niósł na pokładzie – oprócz pilota – dziewięciu komandosów.

Zgodnie z planem miało ich być dwanaście, lecz tuż przed planowanym startem lotnisko Pratica di Mare zostało zbombardowane przez alianckie lotnictwo. Bombardowanie nie wyrządziło wprawdzie szkód niemieckim samolotom ani szybowcom, ale bomby zryły pas startowy i nie było już

czasu, aby wypełnić betonem leje. Dwa szybowce wpadły w nie podczas startu, zmuszone w ten sposób do wyczepienia lin holujących i przerwania operacji. Kolejny wyczepił się już w powietrzu, na skutek samoczynnego zadziałania spustu zamka.

Szybowce podzielono na trzy sekcje. Dwa miały zabezpieczyć strefę lądowania, cztery wiozły grupę przeznaczoną do szturmu na hotel, a żołnierze pozostałych sześciu mieli otoczyć hotel i odciąć dopływ ewentualnych posiłków od strony stacji kolejki linowej.

Spadochroniarze generała Kurta Studenta lecieli w szybowcach grupy pierwszej i trzeciej, zaś esesmani Skorzenego – drugiej. Tego rodzaju szyk uformowany został na rozkaz generała, Student pragnął bowiem, aby to jego żołnierze wylądowali wcześniej i żeby to oni uwolnili Musoliniego. Nie przewidział jednak, że Skorzeny i tym razem go przechytrzy.

Pierwszy szybowiec holowany był przez samolot marki Junkers 52/3m. Jego pilot, kapitan Horst Langguth, z wielką obawą patrzył na wznoszące się wokół lotniska góry. Maszyna nabierała wysokości bardzo powoli i pilot obawiał się roztrzaskania o skały. Zdecydował się więc zatoczyć kilka kręgów, dopóki nie wzbije się na bezpieczny pułap. Wprawdzie z powodu obowiązującej ciszy radiowej nie mógł przekazać tej informacji pozostałym kolegom, ale przekonany był, że ci, doświadczeni lotnicy, sami zorientują się, iż tak właśnie należy czynić. W tym momencie ze zdumieniem spostrzegł jednak, że lecący za nim samolot, holujący szybowiec z komandosami Skorzenego, kieruje się najkrótszą drogą w stronę zdradliwych gór. W ten sposób głodny sławy i zaszczytów Otto, ryzykując życiem, postanowił ubiec ludzi Studenta.

– Lądowanie awaryjne, jak najbliżej hotelu! – krzyknął do pilota, porucznika Elimara Meyer-Wehnera, któremu w tej sytuacji nie pozostał na myślenie nawet ułamek sekundy.

Instynktownie przechylił samolot na prawe skrzydło, gwałtownie opadając w kierunku łąki, która zdawała się nie być większa od pocztowego znaczka. Tuż przed dotknięciem ziemi wypuścił spadochrony hamujące szybowiec. Gwałtowny wstrząs rzucił wszystkich na bok. Podskakując na

nierównościach gruntu, szybowiec przez kilkanaście sekund przesuwał się coraz bliżej i bliżej przepaści, aż wreszcie, dosłownie kilka metrów przed końcem urwiska, przechylił się na skrzydło i zamarł.

Udało im się wylądować na tyłach hotelu, jakieś piętnaście metrów od prawego narożnika budynku. Chroniący dotychczas głowy w ramionach przed uderzeniem komandosi zerwali się z biegnącej przez środek szybowca drewnianej ławki i wyskoczyli na zewnątrz. Po kilkunastu krokach padli na ziemię, spodziewając się ulewy ognia, lecz od strony budynku nie padł ani jeden strzał. Wymierzając lufy automatów w kierunku wroga, zajęli się osłanianiem lądowania pozostałych szybowców. Pionowe skały nagiego łańcucha gór przypominały kły potwora czającego się, by dopaść swe ofiary i wciągnąć je w paszczę głębokiej doliny.

– Herr Hauptsturmführer – do Skorzenego podbiegł radiotelegrafista.

– Co jest?

– Major Mors melduje, że jego żołnierze opanowali stację kolejki i kierują się na szczyt.

Nie czekając na wydostanie się z lądujących szybowców spadochroniarzy Studenta, uzbrojeni w pistolety maszynowe MP 40 komandosi Skorzenego ruszyli biegiem w stronę hotelu „Albergo-Rifugio”, wrzeszcząc przy tym co sił w płucach:

– *Mani in alto!* (Ręce do góry!).

– Alarm! – krzyknął zaskoczony wartownik, ale nikt nie zareagował. Przerażeni niespodziewanym atakiem karabinierzy stali przed wejściem do budynku z opuszczoną bronią, nie mając pojęcia, czy strzelać, czy zastosować się do wezwania i podnieść ręce do góry. Ktoś jednak zaczął w końcu strzelać. W wyniku krótkiej, lecz gwałtownej wymiany ognia jeden włoski policjant zginął, a dwóch żołnierzy Skorzenego odniosło rany.

Strzegący Mussoliniego karabinierzy zobaczyli ze zdziwieniem na czele biegnących w ich kierunku ludzi wysokiego Włocha w generalskim mundurze. Swój czy obcy? Porucznik Faiola nie wiedział, co robić.

– Niech pan się natychmiast schowa – krzyknął tylko do duce, który zaciekawiony hałasem wychylił się ze swego okna.

Ale duce ani myślał usłuchać. Wychylił się jeszcze bardziej.

– Żołnierze! Co wy robicie? – zawołał do stojących na dole karabinierów, z których kilku ustawiło karabiny maszynowe i wyraźnie szykowało się do obrony. – Do kogo chcecie strzelać? Czy nie widzicie, że tam jest włoski generał?

Dopiero później okazało się, że grupie niemieckich żołnierzy towarzyszył namówiony przez Skorzenego włoski generał Fernando Soletti z Korpusu Policji Metropolitalnej, który miał pośredniczyć pomiędzy napastnikami a obroną. Na widok środka transportu przewidzianego do operacji zaczął trząść się ze strachu jak osika i zrobił się równie zielony jak jego mundur.

– Nie chcę brać w tym udziału! – krzyczał. – To samobójstwo!

Załadowano go na pokład pod groźbą użycia broni. Próbował się nawet zastrzelić, zanim wsiadł do szybowca, ale udało się go obezwładnić. To, w jakiej misji ma wziąć udział i jak ma ona przebiegać, powiedziano mu dopiero w dniu operacji. Oczywiście był jedynym członkiem zespołu, który nigdy nie leciał wcześniej szybowcem.

Należałoby w tym miejscu nadmienić, że obawy miał nie tylko biedny Włoch. Karl Radl przyznał później, iż oczekując w kolejce na odlot, sam ledwo panował nad pęcherzem. Nietrudno zrozumieć powody ich obaw. „Dla niewtajemniczonych konstrukcja DFS 230 nie przedstawiała się solidnie – pisze Greg Annussek w książce *Jak Hitler uratował Mussoliniego*. – Zbudowany głównie ze stalowych rur w otulinie z materiału samolot wydawał się kruchą łupiną. Choć mierzył 11 metrów, a rozpiętość skrzydeł wynosiła ponad 21 metrów, pusty samolot ważył niecałą tonę. Lekka konstrukcja sprawiała, że DSF 230 był wyjątkowo mało odporny na ogień nieprzyjaciela. Przed zestrzeleniem miały go chronić karabiny maszynowe, jednak tym razem Niemcy zamierzali ich użyć dopiero w razie najwyższej konieczności. Waga maksymalnie załadowanych szybowców przygotowanych do akcji musiała się zbliżać do granicy tolerancji, która wynosiła niewiele ponad 2300 kilogramów. We wnętrzu nie zostało dużo wolnego miejsca. Niemcy stłoczyli się na

biegnącej środkiem ławie, upychając sprzęt, gdzie tylko się dało. Po starcie szybowce miały odrzucić koła (dwukołowe wózki), żeby lądować na pojedynczych płozach przymocowanych do podwozia. Podczas przygotowań do misji Niemcy owinęli płozy drutem kolczastym, co powinno zwiększyć tarcie podczas lądowania. Do spowolnienia lotu można było również wykorzystać spadochron zamocowany na ogonie”.

*

W każdym razie numer z włoskim generałem okazał się całkiem udany. Karabinierzy byli wyraźnie zdezorientowani. Ten moment niepewności i zamieszanie zdecydowały chyba o wszystkim. Dopadnięcie oniemiałych Włochów zabrało napastnikom kilkanaście sekund. Zabrali im broń i kazali położyć się na podłodze. Któryś z komandosów wysadził kilkoma silnymi kopniakami drzwi z futryny i cała grupa wpadła do holu. Pierwszym człowiekiem, którego tam zobaczyli, był trzęsący się ze strachu radiotelegrafista, wykonujący jakieś manipulacje przy nadajniku. Skorzeny wykopał spod niego krzesło, w wyniku czego Włoch z ogłupiałą miną wylądował na podłodze. Wypuszczona z automatu krótka seria rozbiła nadajnik w drzazgi.

Tymczasem na polance lądowały kolejne szybowce. Jeden z nich, posadzony przez pilota zbyt gwałtownie na ziemi, uległ całkowitemu rozbiciu, nikt jednak przy tym nie zginął.

Wrzaski generała Solettiego pogłębiały jeszcze panujące zamieszanie. W normalnej sytuacji z ukrytych w solidnym budynku stanowisk ogniowych można było wystrzelać lądujących spadochroniarzy jak kaczki. Ale nikt nie zdecydował się na otwarcie ognia.

Niebo po północnej stronie gór było szaroczarne i skłębione. Tutaj, w samym sercu Gran Sasso, przypominało oko Cyklopa zasnute mleczną kataraktą. Nie czekając na innych, Skorzeny pobiegł w kierunku wejścia do hotelu, które według jego oceny znajdowało się za rogiem budynku. Tam natrafił jednak na piętrzący się przed nim, wysoki na kilka metrów mur

tarasu. Jeden z komandosów, SS-Scharführer[12] Otto Himmel, pochylił się i oparł rękami o ścianę. Skorzeny wskoczył mu na plecy, dzięki czemu zdołał dosięgnąć balustrady. Podciągnąwszy się na rękach, przełożył nogę na drugą stronę i po chwili stał już na tarasie, gotowy do dalszej akcji. Na jego szczęście Włosi byli zbyt zaskoczeni, by podjąć jakąkolwiek próbę obrony. Nikt nie pojawił się w szeroko otwartych drzwiach. Wokół panowała głucha cisza, zakłócona jedynie dobiegającymi z oddali komendami dowódców lądujących spadochroniarzy.

W ślad za swoim dowódcą na taras dotarło tą samą drogą paru innych spadochroniarzy. W tym momencie w otwartych drzwiach pojawiła się grupa włoskich żołnierzy. Zapachniało masakrą. Wystarczyła jednak krótka puszczona przez któregoś z niemieckich komandosów w powietrze seria, by wszyscy rozpierzchli się w popłochu. Otto pobiegł w kierunku wiodących na piętro krętych schodów. Przedarł się przez rojący się od spanikowanych Włochów ciemny korytarz, docierając na koniec do pokoju, w którym przebywał uwięziony dyktator.

– Hauptsturmführer Otto Skorzeny – zameldował się, trzaskając głośno obcasami. – Przysłał mnie po pana osobiście sam Führer. Duce, jest pan wolny.

Mussolini ścisnął mu wylewnie dłoń. Dawno już nikt nie stał przed nim na baczność i nie meldował się tak sprężyście.

– Przewidziałem to – powiedział. – Ani przez chwilę nie zwątpiłem, że mój przyjaciel Adolf uczyni wszystko, aby mnie wydostać. Dziękuję panu, kapitanie Skorzeny, jak i pana towarzyszom, którzy podjęli to ryzyko.

„Był nieogolony i wyglądał na chorego – wspominał później spotkanie z dyktatorem major Mors. – Mówił, że cieszy się, że wyzwolili go Niemcy, nie Anglicy. Powiedział też, żebyśmy nikogo nie rozstrzeliwali”.

Zaskoczenie było całkowite, sytuacja została błyskawicznie opanowana. Cała akcja rozegrała się w trakcie niecałych czterech minut. (Nawiasem mówiąc, Skorzeny chcąc zrobić z siebie bohatera, przedstawił później niektóre wypadki o wiele bardziej dramatycznie, opisując śmierć kolegów i podając całą masę innych bzdur). O pomyślnym przebiegu akcji pierwszy

poinformował Hitlera Reichsführer SS Heinrich Himmler, który główną zasługę uwolnienia Mussoliniego przypisał Skorzenemu i jego żołnierzom, pomijając milczeniem wysiłek spadochroniarzy generała Studenta.

*

Mussolini został wprawdzie uwolniony, ale nie był to bynajmniej koniec „zabawy". Pozostał jeszcze odwrót, który mógł się okazać dużo trudniejszy niż sam atak. Oczywiście przed rozpoczęciem akcji Student i Skorzeny opracowali kilka wariantów ucieczki. Dokładnie mówiąc: trzy.

Pierwszy, przy całkowitym powodzeniu – również zadania, które miał wykonać major Mors – zakładał, że z uwolnionym dyktatorem wszyscy zjadą na dół kolejką. Stamtąd skierują się w stronę pobliskiego lotniska w Aquila de Abruzzi, które wcześniej zostanie zajęte i utrzymane do momentu, aż wylądują tam trzy samoloty He 111. Pierwszy miał wziąć na pokład duce, dwa pozostałe zaś, krążąc w powietrzu, osłaniałyby odwrót i utrzymywały wojska włoskie w odpowiedniej odległości od pasa startowego.

Kolejkę udało się zdobyć, o lotnisku nic nie było wiadomo, ponieważ radiooperator Skorzenego, pomimo wielu prób, nie zdołał nawiązać kontaktu z ludźmi, którzy mieli je opanować. Wobec takiego rozwoju wypadków jedna droga odwrotu została odcięta.

Zgodnie z wariantem drugim, na polu przy dolnej stacji kolejki linowej miał wylądować niewielki samolot Fieseler Fi 156 Storch i zabrać Mussoliniego. To rozwiązanie wydawało się najbezpieczniejsze, ale w praktyce również okazało się niemożliwe do wykonania. Jeszcze na górze, rozmawiając przez telefon z żołnierzami obsadzającymi dolną stację, Skorzeny dowiedział się, że samolot wprawdzie wylądował, lecz uszkodził przy tym podwozie w sposób uniemożliwiający ponowny start. Kolejna z branych pod uwagę opcji została stracona. Pozostał więc wariant trzeci i ostatni, ten najbardziej ryzykowny…

Nad miejscem akcji krążył drugi Fieseler Storch. Za jego sterami siedział kapitan Heinrich Gerlach, osobisty pilot generała Studenta. Jakimś cudem udało mu się posadzić maszynę na kawałku zasłanej szybowcami niewielkiej łączki. Lądowanie „pod górkę” odbyło się na dystansie zaledwie trzydziestu metrów! Teraz jednak trzeba było jeszcze stamtąd odlecieć. Kapitan Gerlach był prawdziwym asem lotnictwa, lecz postawione przed nim zadanie wydawało się niewykonalne. Dodatkowy problem stanowiła długość wyboistej powierzchni, przymusowo zamienionej na pas startowy. Lądowisko stromo opadało w przepaść, a droga startu była bardzo krótka.

– Co robimy? – spytał z wyraźnym niepokojem w głosie Skorzeny.

Pilot rozejrzał się uważnie po okolicy.

– Jeżeli uprzątniecie stąd to całe gówno, to spróbuję wystartować – powiedział z flegmą.

– Jakie są szanse na to, że start się uda i że się nie rozwalimy?

– Pół na pół.

– Dobra – zdecydował błyskawicznie Hauptsturmführer. – Zresztą i tak nie mamy innego wyjścia. Otto! – zawołał głośno w stronę Scharführera Himmela. – Bierz swoich ludzi i tych wszystkich włoskich śmierdzieli i zabierajcie się za sprzątanie.

Z pomocą Włochów, wciąż drżących o własne życie, w ciągu niecałej godziny oczyszczono teren z kamieni i wraków celem bezpiecznego startu obciążonego samolotu.

Nie mając właściwie innego wyboru, Gerlach zaczął się przygotowywać do odlotu. Mussolini zajął miejsce za nim. Ubrany po cywilnemu, w kapeluszu wciśniętym głęboko na oczy sprawiał wrażenie drobnego urzędnika albo wiejskiego nauczyciela. Wrażenie to pogłębiała skórzana teczka, trzymana w zaciśniętych dłoniach na kolanach. (Do tej teczki wrócimy jeszcze w dalszej części niniejszej opowieści).

Kiedy pilot zwolnił już hamulce, ku jego nieopisanemu zdziwieniu, do samolotu wgramolił się jeszcze dodatkowy „bagaż” w postaci olbrzymiego Skorzenego. Jego sto kilogramów żywej wagi zwiększyło do maksimum

i tak już wielkie ryzyko, Fieseler Storch był w zasadzie małą awionetką, mającą oprócz miejsca dla pilota tylko jeden fotel. Dowódca komandosów nie miał najmniejszego zamiaru zrezygnować z osobistego przekazania uwolnionego dyktatora Führerowi. Doskonale bowiem zdawał sobie sprawę, że albo poleci z Mussolinim i wszelkie zaszczyty związane z udaną akcją przypadną jemu, albo też straci je na rzecz generała Studenta.

„Rozważyłem każdy aspekt tej sprawy najbardziej starannie i w pełni zdawałem sobie sprawę z wielkiej odpowiedzialności, jaką niosło dołączenie do pozostałych dwóch – wspominał w pamiętniku. – Ale jak mógłbym wytłumaczyć, że pozwoliłem duce wylecieć samotnie z Gerlachem? Gdyby wydarzyło się nieszczęście, wszystko, co by mi pozostało, to kula z mojego własnego rewolweru; Adolf Hitler nigdy by mi nie wybaczył takiego zakończenia całego przedsięwzięcia. Jeśli nie było innej możliwości dostarczenia duce bezpiecznie do Rzymu, to lepiej było dzielić z nim niebezpieczeństwo, nawet jeżeli moja obecność je zwiększała. Gdyby się nie udało, spotkałby nas ten sam los”.

– Niech pan wysiądzie – zaprotestował energicznie pilot.

– Ani mi się śni – warknął krótko Skorzeny.

– Nie uda nam się wystartować z dodatkowym obciążeniem.

– Uda.

– Ja jestem dowódcą tego samolotu, Hauptsturmführer, i twierdzę, że to zbyt duże ryzyko – nie ustępował Gerlach.

– A ja otrzymałem rozkaz od samego Führera, który kazał mi osobiście odeskortować Mussoliniego.

Powołanie się przez komandosa na najwyższy autorytet ucięło dalszą dyskusję. Tuż po godzinie 15.00 dwunastu żołnierzy przytrzymało samolot, chcąc uzyskać efekt katapulty, a pilot zwiększył obroty silnika do maksymalnych, po czym na dany ręką znak uwolniona maszyna szybko rozpędziła się na stromym zboczu o długości zaledwie osiemdziesięciu metrów. Storch przetoczył się przez całą długość pochyłej łąki, szybko zbliżając się do przepaści. Zbyt szybko. Nie zdążył jeszcze nabrać dostatecznej prędkości, która umożliwiłaby mu wzbicie się w powietrze.

Silnik ryczał na pełnych obrotach, wydając przeraźliwe jęki, jakby potępieni otwarli właśnie wrota piekieł i zaczęli wychodzić na zewnątrz.

Pas startowy skończył się i samolot zaczął gwałtownie opadać. Skorzeny mógłby przysiąc, że poczuł w nozdrzach zapach świeżo rozkopanej ziemi, zupełnie jak na cmentarzu. Mussolini zamknął oczy, drżąc na całym ciele. Strach rozdarł mu umysł i spłynął niżej. Wnętrzności zamieniły się w wodę, lodowaty pot sączył się wszystkimi porami. Wydawało się przez chwilę, że śmierć zacisnęła na nich swą kościstą dłoń.

Po kilku sekundach jednak, które zdawały się trwać wieki, jakiś zbawienny podmuch wiatru czy też prąd powietrza uniósł samolot w górę. Nie na długo. Po chwili maszyna opadła o parę metrów, a lewe koło uderzyło o skałę. Dziób pochylił się gwałtownie i wydawało się, że samolot jak ptak z przetrąconym skrzydłem zwali się w przepaść.

I rzeczywiście się zwalił. Był to jednak dowód stalowych nerwów i mistrzowskiego opanowania sztuki pilotażu przez kapitana Gerlacha. Świadomie pozwolił maszynie pikować, żeby uzyskać prędkość niezbędną do lotu. Po kilku sekundach, które wydawały się trwać wieczność, był już w stanie ją uzyskać. Kolejny, szczęśliwy prąd powietrza wywindował ich na bezpieczny pułap.

„Słychać było jeszcze jakieś krzyki, widać było machające dłonie, a potem otoczyła nas cisza – wspominał ten start Benito Mussolini. – Kiedy otworzyłem oczy, Gerlach panował nad maszyną i powoli ustawiał ją w poziomie”.

„Nie mogłem się powstrzymać i położyłem rękę na ramieniu duce, który był równie blady, jak Gerlach i ja” – opowiadał z kolei Skorzeny.

Na ziemi z ust Niemców i karabinierów wydobył się gromki okrzyk „Hurra!”. Żołnierze machali z radości czapkami.

Lecąc na wysokości trzydziestu metrów na południowy wschód doliną Avezzano, około godziny 17.00 dotarli do lotniska Pratica di Mare, gdzie przeżyli jeszcze jeden moment grozy, lądując z uszkodzonym podwoziem. Tam pasażerowie przesiedli się do transportowego Heinkla He 111, którym

udali się do Wiednia. Ich samolot wylądował na lotnisku Aspern około godziny 23.00.

– Teraz naprawdę możemy uznać misję za zakończoną – powiedział z ulgą Skorzeny, kładąc dłoń na ramieniu Mussoliniego.

Tymczasem wieczorem jednostka atakująca hotel, po wymontowaniu cennych instrumentów i wyposażenia radiowego, zniszczyła wszystkie szybowce materiałami wybuchowymi, zabrała rannych z rozbitego szybowca i zjechała na dół kolejką górską. Podstawionymi samochodami wszyscy wrócili na lotnisko wyjściowe.

W całej akcji nie chodziło tylko o uratowanie samego duce, lecz także jego żony, donny Racheli Mussolini, oraz dwojga najmłodszych dzieci dyktatora, szesnastoletniego Romano i czternastoletniej Anny Marii. Od 26 lipca do 2 sierpnia donnę Rachelę dokładnie strzeżono w Rzymie, w willi książąt Torlonia, którą w 1930 roku oddali do dyspozycji duce. Dom był otoczony przez trzystu żołnierzy i samochody pancerne. Potem przeniesiono ją wraz z dziećmi do aresztu domowego w należącym do dyktatora zamku Rocca delle Caminate w Romanii.

„Trochę się o nią niepokoiłem – wspominał Skorzeny – tym bardziej że domu strzegli karabinierzy. Akcja przedstawicieli «ludowej sprawiedliwości» (grup rewolucyjnych) była zawsze możliwa, a karabinierzy nie stawialiby im prawdopodobnie większego oporu. Wiedziałem, że donna Rachela była niezwykle odważna, a ponadto bardzo lubiana w swoich stronach. Powiedziała mi jednak później w Monachium, że kiedy dowiedziała się o zabiciu starego i wiernego towarzysza męża, Ettore Mutiego, bała się o dzieci. Udało mi się przekazać jej wiadomość; mieli wychodzić z domu tylko w razie koniecznej potrzeby i całkowicie nam zaufać. Byli swego rodzaju zakładnikami rządu Badoglia”.

Tego samego dnia, 12 września 1943 roku, równolegle z akcją porwania duce z Gran Sasso grupa esesmanów dowodzona przez SS-Untersturmführera Hansa Mandela uwolniła też jego żonę oraz ich dwoje najmłodszych dzieci. Dyktatura Benito Mussoliniego została uratowana. Jak się później okazało – tylko na krótko.

W swoim dzienniku Skorzeny zanotował, jakie znaczenie miała dla niego akcja w Gran Sasso:

„Grecki filozof Tales dziękował bogom za to, że uczynili go człowiekiem, a nie zwierzęciem, mężczyzną, a nie kobietą, Grekiem, a nie barbarzyńcą. Ja dziękuję bogom, że oszczędzili mi farsy procesu w Madison Square Garden w Nowym Jorku, od którego wolałbym po stokroć, żeby mnie po prostu powieszono w londyńskim Tower".

Przeprowadzona w wysokich górach z wykorzystaniem szybowców desantowych akcja zaskakuje do dnia dzisiejszego swoją śmiałością i działa na wyobraźnię, przypominając momentami scenariusz filmu sensacyjnego. Operacja „Eiche" przyciąga jednak uwagę nie tylko ze względu na swój przebieg, ale przede wszystkim z powodu jej dalekosiężnych skutków. Gdyby spadochroniarze i esesmani nie uwolnili duce, to z pewnością na kontrolowanym przez wojska niemieckie obszarze środkowych i północnych Włoch nie powstałoby nowe państwo faszystowskie, Włoska Republika Socjalna, ze wszystkimi tego tragicznymi konsekwencjami, prześladowaniami, terrorem i wreszcie bratobójczymi walkami pomiędzy Włochami.

*

Hotel „Imperial" w Wiedniu mieści się przy Kärmter Ring, dawnym Ring Boulevard, pod numerem 16. Wzniesiony został w roku 1863 jako rezydencja księcia Wirtembergii i po dziesięciu latach przebudowany. Tam właśnie Skorzeny wraz z uwolnionym Mussolinim mieli spędzić noc przed podróżą do Rastenburga. Ledwie Otto wszedł do obszernego hollu, recepcjonista poinformował, że jest do niego telefon. To był sam Heinrich Himmler, Reichsführer SS, wszechwładny szef Reichssicherheitshauptamt RSHA – Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Dzwonił, żeby osobiście pogratulować udanej akcji. Potem słuchawkę przejął Göring, by dołączyć swoje gratulacje. Po nim przyszła kolej na feldmarszałka Keitla.

Wyglądało to tak, jakby cały sztab generalny przepychał się w kolejce do słuchawki.

Chwilę później pojawił się dowódca miejscowego garnizonu i oznajmiając, że działa na rozkaz samego Führera, zawiesił Skorzenemu na szyi Krzyż Rycerski Żelaznego Krzyża (Ritterkreuz des Eisernen Kreuzes – najwyższe odznaczenie wojskowe III Rzeszy nadawane w praktyce, gdyż wyższym odznaczeniem był Krzyż Wielki Krzyża Żelaznego, nadany jedynie słynącemu z zamiłowania do orderów Hermannowi Göringowi). Porucznik Elimar Meyer-Wehner i kapitan Heinrich Gerlach otrzymali Krzyże Rycerskie Krzyża Żelaznego, major Mors i porucznik Otto von Berlepsch – Złote Krzyże Niemieckie, generała Studenta zaś udekorowano Liśćmi Dębowymi do Krzyża Rycerskiego.

Wreszcie do przebywającego w hotelu „Imperial” Otto Skorzenego zatelefonował sam Führer.

– Wykonał pan wojskowe przedsięwzięcie, które stanie się częścią historii – powiedział. – Zwrócił mi pan mojego przyjaciela Mussoliniego. Odznaczyłem pana Krzyżem Rycerskim i promuję pana do stopnia SS-Sturmbannführera[13]. Najserdeczniejsze gratulacje.

Wydawało się, że Hitler odzyskuje kontrolę nad sytuacją we Włoszech. Jego wojska opanowały stolicę, główne miasta i najważniejsze punkty strategiczne kraju. Mussolini miał poprowadzić do walki swoich zwolenników, których miał jeszcze wielu. Górzysty teren i silnie rozbudowane linie obronne przecinające Półwysep Apeniński sprawiały, że dla wojsk alianckich droga na północ mogła się okazać bardzo krwawa. Kto chciał przekroczyć owe linie, musiał zdobyć Monte Cassino…

Następnego dnia Skorzeny towarzyszył Mussoliniemu w locie z Wiednia do Monachium. „Odświeżony duce wspominał mi o swoich planach – czytamy w pamiętnikach esesmana. – Były wielkie. Jego nowy ruch, Republikańska Partia Faszystowska, miał odrodzić naród włoski. Dom Sabaudzki nie tylko nie poparł rewolucji faszystowskiej, ale ją sabotował. Niemający pojęcia o rządzeniu król i jego dworacy nie przestawali potajemnie zwalczać Mussoliniego i w końcu go zdradzili”.

Na monachijskim lotnisku Riem wzruszony duce spotkał się z donną Rachelą i dwójką swych dzieci, a rankiem 14 września Hitler udał się na kętrzyńskie lądowisko, by osobiście powitać samolot, którym przyleciał wymizerowany włoski dyktator. Kiedy Mussolini stanął na pruskiej ziemi, uściskał swego wybawiciela ze łzami w oczach. Triumfalne spotkanie obu dyktatorów w Wilczym Szańcu zostało zarejestrowane przez operatorów niemieckiej kroniki filmowej, którą wyświetlano we wszystkich kinach Rzeszy i za granicą. Na rwanych, czarno-białych obrazach widzimy, jak duce, wysiadłszy z Junkersa Ju-52 na lotnisku w pobliżu Kętrzyna, przyjmuje entuzjastyczne powitanie Adolfa. Ubrany jest w ciemny garnitur i filcowy kapelusz–fedorę, sprawia wrażenie drobnego przedsiębiorcy, zmęczonego po długim locie. Dwaj mężczyźni długo ściskają sobie dłonie i wymieniają ciepłe, najwyraźniej, słowa. Podobno Hitler również miał łzy w oczach.

Później, w samym „Wolfschanze”, kiedy zniknęli już filmowcy, nastrój rozmowy znacznie się ochłodził. Tam Hitler nie miał ochoty na czułości. Nakazał Mussoliniemu wracać do Włoch i poderwać rodaków do walki.

W najbliższych tygodniach i miesiącach Führer zajął się omawianiem z bezpośrednimi współpracownikami problemów związanych z wojną na wielu frontach i szczupłością niemieckich rezerw. Krwawe i zażarte zmagania z bolszewizmem na froncie wschodnim stanowiły dla wojennej gospodarki Rzeszy potworne obciążenie. Jednocześnie Führer dostrzegał inne, zbliżające się szybko niebezpieczeństwo związane z perspektywą lądowania aliantów we Francji. Teraz dniami i nocami rozmyślał o sytuacji na Zachodzie, czytając pilnie doniesienia wywiadu: „Gdzie też, do cholery, te świnie dokonają inwazji na kontynent?”.

Na naradę 30 października przyszedł przekonany, że do inwazji na północną Francję dojdzie wiosną 1944 roku. Alfred Jodl i Gerd von Rundstedt[14] podzielali tę opinię.

– Trzeba zorganizować kilka linii obronnych – polecił Hitler von Rundstedtowi. – Jeśli aliantom uda się umocnić na przyczółkach, wówczas porażka Niemiec w tej wojnie stanie się nieuchronna.

Oficjalnie jednak nie miał najmniejszego zamiaru przyznawać, iż Rzesza balansuje już od dawna na krawędzi klęski, był zdecydowany zdusić w zarodku wszelkie przejawy słabości i defetyzmu.

*

Nie mając innego wyjścia, duce zrobił tymczasem to, co kazał mu Hitler. Przez kolejne półtora roku próbował zmagać się z tym, co było nieuchronne – widmem klęski. 23 września utworzył na okupowanych przez Niemców terytoriach Włoch nowe państwo faszystowskie, Repubblica Sociale Italiana (RSI), nazywane też „republiką Saló", od nazwy miasteczka Saló nad jeziorem Garda, tam bowiem znajdowała się siedziba władz tego operetkowego tworu.

W marionetkowym państewku Mussolini otoczył się ostatnimi zwolennikami, z resztek wiernych mu oddziałów utworzył *Guardia Nazionale Repubblicana* i Czarne Brygady (Brigate Nere). Przez przełęcz Brenner w Alpach pędzono kolumny aresztantów na zagładę do obozów koncentracyjnych. Watahy czarnych koszul znowu panoszyły się na ulicach włoskich miast i miasteczek. Specjalny Trybunał osądził też tych, którzy w lipcu 1943 roku głosowali za odsunięciem go od władzy. Większość skazano na karę śmierci, w tym zięcia duce – Galeazzo Ciano. Warto wspomnieć, iż egzekucja piątki wrogów politycznych Mussoliniego przeprowadzona została 11 stycznia 1944 roku. Wszystko sfilmowano, a duce miał zapewne okazję do niejednokrotnego obejrzenia makabrycznego widowiska. Makabrycznego tym bardziej, że trzeba było aż trzech salw, aby uśmiercić więźniów.

W tym samym czasie włoskie społeczeństwo płaciło własną krwią za powrót Mussoliniego. Z rezydencji Rocca nad jeziorem Garda wychodziły polecenia nowego rządu duce, w rzeczywistości przygotowywane przez Obergruppenführera[15] Karla Wolffa – byłego adiutanta Himmlera – naznaczonego na stanowisko wyższego dowódcy Waffen-SS i policji we Włoszech.

Tymczasem wojna zbliżała się do końca – wokół Berlina zaciskały się radzieckie kleszcze. Sprzeciw większości ludności wobec niemieckiej okupacji doprowadził do powstania ruchu oporu i wybuchu na terenie Włoskiej Republiki Socjalnej wojny domowej. Mussolini coraz bardziej tracił grunt pod nogami. Odrzucił jednak propozycję ucieczki do Ameryki Południowej, swojej kochance, Clarze Petacci, zasugerował natomiast, aby uciekła do Hiszpanii. Z propozycji tej skorzystała skwapliwie większa część jej rodziny, lecz ona sama zdecydowała się do końca dzielić swój los z ukochanym duce.

Ostatecznie Mussolini spróbował przekroczyć szwajcarską granicę przebrany za niemieckiego żołnierza – żołnierzom Wehrmachtu komunistyczni partyzanci pozwalali opuścić kraj. Pierwszy posterunek udało się oszukać, na jednym z kolejnych dyktator został aresztowany. Podążająca za nim jak cień Clara na własne życzenie została wraz z Mussolinim zatrzymana.

– Jeśli zabijecie jego, zabijcie mnie także – błagała.

Jej życzeniu stało się zadość. Rozstrzelano ich 28 kwietnia 1945 roku w miejscowości Giulino di Mezzegra, 29 kilometrów od granicy szwajcarskiej. Podobno Claretta, stojąc przed plutonem egzekucyjnym, wyszeptała: „Jesteś zadowolony, że zostałam z tobą do końca?”. 29 kwietnia ciała Mussoliniego i Petacci zostały powieszone głowami w dół i wystawione na widok publiczny na Piazzale Loreto w Mediolanie.

Zaczęły się krwawe igrzyska: ktoś oddał do martwych strzały, tłum pluł na wiszące ciała, niektórzy nawet oddawali na nie mocz. Na martwym ciele Clary Petacci spódnica opadła na głowę, odsłaniając bieliznę. Jeden z partyzantów podniósł spódnicę i obwiązał ją wokół kolan martwej kobiety. Trzynaście lat wcześniej duce stwierdził:

– Każdy umiera taką śmiercią, jaka odpowiada jego naturze…

Tego samego dnia, 29 kwietnia, milionowa armia hitlerowska we Włoszech bezwarunkowo skapitulowała.

Podobnie jak śmierć Adolfa Hitlera, również rozstrzelanie włoskiego dyktatora wzbudza sporo kontrowersji. Oprócz oficjalnej, opisanej

powyżej, istnieje jeszcze inna wersja, która głosi, że zabójstwo Mussoliniego zostało przygotowane i wykonane (lub współwykonane razem z partyzantami) przez brytyjski wywiad. Według tej wersji Mussolini posiadał kompromitującą dla Winstona Churchilla korespondencję i sporą ilość pieniędzy, za które chciał kupić sobie wolność. Aby listy nie wyszły na jaw, wywiad brytyjski przygotował zamach lub nadzorował egzekucję Mussoliniego. Wersję tę potwierdził w 1990 roku Bruno Giovanni Lonati – były partyzant z oddziału, który pochwycił duce. Według niego Mussolini został zabity przez niego i pewnego oficera brytyjskich służb specjalnych o pseudonimie „John”. Wersja Lonatiego nigdy jednak nie została potwierdzona, nie można też jej zweryfikować, ponieważ nie są znane żadne dokumenty świadczące o takim przebiegu wydarzeń. Wrócimy jeszcze do tego wątku pod koniec książki.

Benito Mussolini stworzył faszystowskie państwo, rzucając je w wir światowej wojny. I ta wojna go pochłonęła. Po wkroczeniu aliantów do Mediolanu jego ciało zostało pochowane w nieoznaczonym grobie na mediolańskim cmentarzu. W 1950 roku przeniesiono je i pochowano w miejscu urodzin duce, Predappio. Wcześniej nie było to możliwe ze względu na emocje, jakie jego nazwisko wciąż wywoływało w powojennej Italii. Wielu starszych Włochów do dziś wspomina z sentymentem czasy Mussoliniego, kiedy, jak mówią: „pociągi jeździły punktualnie”.

Na nagrobku dyktatora można znaleźć zarówno napisy pełne uwielbienia, jak i nienawiści. Jeszcze w roku 1971 doszło w Predappio do zamieszek wywołanych przez zwolenników i przeciwników dyktatora. Jedni widzieli w nim sprawcę włoskiego dramatu z lat II wojny światowej, inni traktowali go jako synonim ładu i dyscypliny, silnego człowieka na trudne czasy. Po prostu duce, czyli wodza.

Przypisy

1 Hauptsturmführer – w Trzeciej Rzeszy stopień paramilitarny w Sturmabteilung (SA) i w Schutzstaffel (SS), odpowiadający stopniowi Hauptmanna (kapitana) w Wehrmachcie.

2 Budowę Wilczego Szańca, osiem kilometrów od Kętrzyna, Hitler rozpoczął w 1940 roku. To właśnie stąd przez 800 dni dowodził Rzeszą. W zamaskowanym miasteczku w lesie mieściło się dwieście budynków, schrony, baraki, dwa lotniska, dworzec kolejowy, wodociągi, ciepłownia, a nawet kino, sauna, herbaciarnia i stołówka. Wilczy Szaniec miał skomplikowany system bezpieczeństwa wewnętrznego, kilkukondygnacyjne podziemia i tunele, które łączyły się z sąsiednimi bunkrami. Cały teren zajmował około dwustu pięćdziesięciu hektarów i obejmował trzy koncentrycznie położone strefy bezpieczeństwa. W roku 1944 mieszkało tu ponad 2 tys. osób. Sekretarka Führera, Christa Schroeder, napisała o „Wolfschanze" między innymi: „Bunkry są rozrzucone po lesie, pogrupowane według rodzaju zadań […]. Nasz bunkier sypialny ma rozmiary przedziału kolejowego i jest bardzo wygodny, wyłożony piękną boazerią z jasnego drzewa […]. Ponieważ przeszkadzał nam hałas wentylatora […], postanowiłyśmy wyłączyć go na noc, wskutek czego […] następnego dnia jesteśmy bardzo ociężałe. Mimo to wszystko byłoby pięknie, gdyby nie straszna plaga komarów […]. Mężczyźni, dzięki swoim wysokim oficerkom i grubym mundurom, są przed nimi zabezpieczeni lepiej od nas. Ich jedynym wrażliwym miejscem na ukłucia jest kark. Z tego powodu niektórzy przez cały dzień chodzą w moskitierze. Gdy tylko zjawia się jakiś komar, zaczyna się polowanie […]. Szef [Hitler] powiadał, że [polowanie na komary] powinno się pozostawić Luftwaffe. Podobno na miejsce tych małych komarów mają się z końcem czerwca pokazać inne, dużo bardziej dokuczliwe. Boże, zlituj się nad nami!… Wewnątrz jest prawie zimno […] las chroni przed upałem; dostrzega się to dopiero po wyjściu z niego na drogę, gdzie ukrop natychmiast dopada człowieka".

3 *Ratte* znaczy po niemiecku szczur. Połączenie słów *Ratte* i *Bube* odpowiada określeniu „szczurzy łotrzyk".

4 Niemcy zazwyczaj wymawiali jego nazwisko Skorceny lub Szkorceny, gdyż właściwa wymowa, trudna dla nich, brzmiała: Skożeny. Jedną z niewielu osób, która potrafiła poprawnie wymówić austriackie nazwisko Skorzenego, był sam Adolf Hitler, który również pochodził z Austrii.

5 Chociaż właściwie operacja na południowej flance występu kurskiego zaczęła się dopiero 3 sierpnia 1943 roku, to poprzedzające ją walki rozpoczęły się już 16 lipca. Po fiasku ataku na Prochorowkę niemieckie oddziały rozpoczęły odwrót pod osłoną artylerii. Następnego dnia niektórym oddziałom sowieckim udało się posunąć 5–6 kilometrów do przodu. Kolejnego dnia dołączyły do nich oddziały 6. Armii Gwardii oraz 1. Armii Pancernej, ale bez wsparcia piechoty czołgi posuwały się bardzo powoli i do 18 lipca front przesunął się zaledwie o 2–3 kilometry. Dopiero 20 lipca pięć sowieckich armii wolno ruszyło do boju, zajmując 5–7 km terenu. Ofensywa nabrała tempa i 22 lipca wojska frontów Woroneskiego i Stepowego przerwały niemieckie linie, osiągając do końca następnego dnia pozycje z 5 lipca.

6 Ta zwięzła odpowiedź była prawdopodobnie zamierzonym efektem dramatycznym; miała przypominać o tradycyjnej wrogości między Austrią i Włochami, która dodatkowo pogłębiła się po I wojnie światowej. Austria, która poniosła w tym konflikcie klęskę, musiała w 1919 roku oddać Włochom dużą część swojego terytorium. Południowy Tyrol, czyli Alto Adige (Adyga) w terminologii włoskiej, był domem około 200 tys. niemieckojęzycznych obywateli austriackich.

7 Słowo *Grofaz* było skrótem od *Gröster Feldherr aller Zeiten* – największy wódz wszystkich czasów – tak określał Hitlera jego aparat propagandowy.

8 Siedemdziesięciodwuletni Pietro Badoglio miał za sobą długą, choć nie zawsze chwalebną, karierę wojskową, lecz brakowało mu zdecydowanie politycznego doświadczenia. Stojąc na czele Comando Supremo, poprowadził Włochów w 1936 roku do brutalnego triumfu w Etiopii, w związku z czym został okrzyknięty narodowym bohaterem.

Z równym powodzeniem jednak – jak zauważali mu niechętni – oddawał się w epoce faszystowskiej gromadzeniu pieniędzy. Skompromitował się w roku 1940, kiedy to włoska inwazja na malutką Grecję zakończyła się kompletną klęską. Zawiedziony i rozgoryczony Mussolini odebrał mu wtedy stanowisko głównodowodzącego armii. Od tego momentu Badoglio spędzał czas głównie na drzemkach, grze w karty i piciu szampana, przyglądając się z boku upadkowi Włoch. Choć ambitny i dążący do samodzielnej władzy, był jednak posłuszny królowi i rzadko podejmował jakiekolwiek działania bez jego aprobaty.

9 Plan porwania i ewentualnego zgładzenia papieża Piusa XII oraz splądrowania Watykanu, uknuty przez Adolfa Hitlera, istniał naprawdę. Akcja miała zostać przeprowadzona jesienią 1943 roku, a zaszczyt jej realizacji miał przypaść wywiadowi SS (SD-Ausland, inaczej Amt. VI RSHA) oraz wyznaczonemu przez Himmlera SS-Obergruppenführerowi Karlowi Wolffowi, szefowi osobistego sztabu Reichsführera (Persönliches Stab des RFSS). Sprawa była traktowana przez Hitlera priorytetowo i mało brakowało, żeby doszła do skutku. Po aresztowaniu duce Führer doszedł do przekonania, że ten wielki zawód, jaki go spotkał, musiał być wynikiem brudnych machinacji Watykanu. Watykan miał w tej kwestii współpracować z włoskim dworem królewskim, gdyż tylko te dwie siły mogły – zdaniem Hitlera – skorzystać na upadku Mussoliniego. Podejrzewał również, że za murami Watykanu ukrywają się Żydzi. Szefowi SD we Włoszech, dr. Wilhelmowi Harsterowi, Wolff wydał rozkaz wyłowienia spośród żołnierzy wywodzących się z południowego Tyrolu tych znających język włoski. Do przeprowadzenia operacji zamierzał wydzielić około 2 tys. żołnierzy Waffen-SS, którzy mieli szczelnie otoczyć Watykan oraz zablokować ewentualne stare przejścia podziemne do innych części Rzymu. Celem operacji było bowiem również wyłapanie ukrywających się tam różnych osób, szpiegów, dezerterów i Żydów. Nie przewidywano walki w samych murach Państwa Kościelnego, zamierzano jedynie wystosować ultimatum i w razie niepodporządkowania się – wziąć ukrywających się głodem. Wydzielona grupa specjalna miała pojmać

samego Piusa XII, opanować rozgłośnię watykańską oraz aresztować wiele osobistości, których nazwiska umieszczono na specjalnej liście, między innymi kardynałów, patriarchę Wenecji Adeodato Giovanniego Piazzę i arcybiskupa Mediolanu Alfreda Ildefonsa Schustera. Dodatkowo liczące 30–50 ludzi grupy, złożone z ekspertów, miały się zająć watykańskim skarbcem i archiwaliami. Oceniano, że trzeba będzie przetransportować do Rzeszy około pół miliona tomów różnych księgozbiorów, 60 tys. obrazów i 7 tys. inkunabułów, czyli książek wydrukowanych (lub wykaligrafowanych) przed rokiem 1500. Hitler miał w tym dodatkowy cel – miał to być przyczynek do ideologicznej rozprawy z chrześcijaństwem (poprzez odszukanie domniemanych dowodów potwierdzających ukrywanie prawd historycznych przez papieży, wspierających tezę o negatywnym wpływie Kościoła na „cywilizację germańską” oraz poprzez pokazanie światu legendarnych bogactw Watykanu).

Wolff czterokrotnie przylatywał do Rastenburga (Kętrzyna), aby zdać Hitlerowi dokładne sprawozdania ze stanu przygotowań. W połowie grudnia 1943 roku mógł już zameldować o pełnej gotowości do rozpoczęcia akcji. Jednocześnie jednak wszelkimi siłami starał się odwieść Führera od jego zamiarów. Podkreślał, że papież wielokrotnie wspominał o toczącej się śmiertelnej walce z hydrą komunizmu, która w przeciwnym wypadku zalałaby już Europę. Dowodził, iż według ocen SD po upadku Mussoliniego zaledwie 5–10% Włochów popiera faszyzm, „a ludność patrzy na nas jak na niepożądanych zwolenników kontynuowania wojny”, zaś „jedynym niekwestionowanym autorytetem pozostaje dla nich Kościół katolicki”. „Bez pomocy Kościoła, który apeluje do ludności o zachowanie spokoju – twierdził – byłoby mi trudno utrzymać w szachu 200 tys. komunistycznych partyzantów. Uprowadzenie papieża zrujnowałoby całą tę koncepcję, odbiłoby się też negatywnie na postawie niemieckich katolików, tak w Rzeszy, jak i na froncie”. Wolff obawiał się nie tylko gwałtownej reakcji Włochów na takie posunięcie, chodziło mu też o własną reputację. Choć najwyraźniej nie przejmował się zbytnio tym, że jego nazwisko będzie kojarzone z deportacją i śmiercią milionów Żydów, przerażała go

perspektywa, że potomność wiązać go będzie z uprowadzeniem – a być może także zamordowaniem – papieża. Siła tych argumentów dotarła w końcu do Hitlera, który po głębszej analizie doszedł do wniosku, że korzyści z takiej akcji byłyby dość niepewne, a uderzenie w gruncie rzeczy wzmocniłoby tylko Kościół. „Nie będę z nich robił męczenników – powiedział któregoś razu w Wilczym Szańcu. – Uczynię ich śmiesznymi i budzącymi wstręt".

Przeciwni planom porwania niemieccy dygnitarze w Rzymie ostrzegli papieża, że albo będzie milczał, albo, krytykując politykę Hitlera – przypieczętuje swój los. 13 września, trzy dni po inwazji na Rzym, niemieccy żołnierze w pełnym rynsztunku bojowym, uzbrojeni w działa przeciwczołgowe i pistolety maszynowe, wyskoczyli nagle z wojskowych ciężarówek i rozstawili się na placu św. Piotra wzdłuż granic Państwa Watykańskiego. Zaledwie parę godzin przed przybyciem żołnierzy tajny raport wstępny SSdonosił z entuzjazmem: „Z zadowoleniem przyjęto wiadomość, że niemieckie wojska zajęły się ochroną Państwa Watykańskiego i że pod kontrolą osobistych strażników Adolfa Hitlera Watykan przestanie odtąd służyć jako centrum szpiegostwa". Autor raportu podsumował rzecz następująco: „Teraz papież jest bliższy Himmlera niż Himmel [nieba]". A kilka dni później berlińskie radio zapowiedziało, że podjęte zostaną „surowe środki, jeśli papież nie zaakceptuje polityki Hitlera oraz włoskiego faszyzmu". Przejęto wszystkie składy żywności, obcinając o połowę watykańskie racje, przesyłki pocztowe z Watykanu zostały wstrzymane, a linie telefoniczne łączące miasto z Rzymem znalazły się na podsłuchu – wszystko to w tym samym czasie, gdy Ernstowi von Weizsäckerowi, wysokiemu i siwowłosemu Ambasadorowi Rzeszy przy Watykanie, polecono zapewnić Stolicę Apostolską, że Niemcy będą „chronić Watykan przed walkami".

Sprzeczne sygnały z Berlina najwyraźniej zdezorientowały Watykan. Podczas gdy surowe środki ostrzegały papieża, że jeśli zaprotestuje publicznie podczas obławy na rzymskich Żydów, on oraz Watykan znajdą się w prawdziwym niebezpieczeństwie, zapewnienia, że nic mu nie grozi,

zachęcały go do większej śmiałości. Tymczasem prezydent Roosevelt, oświadczając 1 października, że „marsz aliantów na północ jest swoistą krucjatą, mającą na celu oswobodzenie Rzymu, Watykanu oraz papieża", wzbudził wśród nazistowskich przywódców obawę przed możliwą akcją ratunkową sprzymierzonych. Trzy dni później Ribbentrop zadepeszował do Weizsäckera: „Jako że Roosevelt nabrał przekonania, iż papież jest więźniem, a Watykan został odcięty od świata, i zarazem usiłuje obarczyć nas odpowiedzialnością za wszelkie zniszczenia Rzymu oraz Watykanu, jakie mogą powstać od chwili obecnej, wskazane byłoby jasno dać do zrozumienia, że Niemcy postanowiły uszanować Państwo Watykańskie pod każdym względem […]. W związku z tym proszę, by wystarał się pan o audiencję u papieża, aby w dobitnych słowach zwrócić jego uwagę na złośliwą kampanię Weizsäckera i naszych przeciwników. Przy tej okazji może pan wygłosić następujące oświadczenie: «Wiadome jest kurii, że odkąd tylko niemieckie wojska wkroczyły do Rzymu, wroga propaganda, posługując się najróżniejszymi wymysłami, usiłuje ukazać Watykan jako ofiarę niemieckiej przemocy. Zachowanie niemieckich żołnierzy wyraźnie zadało już kłam tym twierdzeniom. Mimo to kalumnie ciskane na Niemcy przez naszych przeciwników nie milkną. Ostatnio na przykład dołączył do nich prezydent Stanów Zjednoczonych (Roosevelt). W związku z tym rząd Rzeszy zapewnia, że Niemcy szanują w całej pełni suwerenność i integralność Państwa Watykańskiego i że zachowanie obecnych w Rzymie żołnierzy i oficerów niemieckich sił zbrojnych jest zgodne z tą postawą. Rząd Rzeszy wyraziłby zadowolenie, gdyby kuria ze swej strony opublikowała rzetelny opis sytuacji i w ten sposób przyczyniła się do rozpowszechnienia prawdy. Może pan też powiadomić papieża, że rząd Rzeszy byłby szczególnie wdzięczny, gdyby sprostowanie to wyszło z ust samego Ojca Świętego»". Jednocześnie Ribbentrop upoważnił Weizsäckera do przekazania kardynałowi Luigiemu Maglione następującej deklaracji: „Strona niemiecka zapewnia raz jeszcze, że suwerenność i integralność terytorialna Watykanu zostanie uszanowana i że niemieckie wojska w Rzymie będą zachowywać się stosownie do tego. Strona niemiecka

obiecuje także, że dołoży wszelkich starań, by Państwo Watykańskie pozostało poza zasięgiem działań zbrojnych”.

Poprzez Ambasadora Rzeszy przy Watykanie Wolff nawiązał tymczasem bezpośredni kontakt z Piusem XII. Do spotkania, mającego charakter ściśle tajny, doszło 10 maja 1944 roku. Było to już po pierwszych negocjacjach Obergruppenführera z aliantami na temat kapitulacji wojsk niemieckich we Włoszech oraz po nawiązaniu przez niego w Szwajcarii kontaktu z Allenem Dullesem, szefem amerykańskiego wywiadu (OSS) w Europie. Szczegółowa treść rozmów do dzisiaj pozostaje tajemnicą. Z pewnością jednak dowódca Waffen-SS we Włoszech doszedł do wniosku, że wojna jest już przegrana i nie warto się narażać na potępienie, zarówno ziemskie, jak i wieczne.

W wielu źródłach historycznych (czy też raczej pseudohistorycznych) podawana jest informacja, że porwania papieża miał dokonać Otto Skorzeny. Nie ma w tym ani odrobiny prawdy. Operacja ta mylona jest z planem „Alarich”, przygotowywanym przez Niemców w maju 1943 roku na wypadek opuszczenia przez Włochy koalicji hitlerowskiej. Przewidywano opanowanie Włoch i terytoriów przez nie okupowanych oraz między innymi rozbrojenie wojsk włoskich, zablokowanie w portach włoskiej floty, przejęcie wszystkich samolotów oraz ewakuację niektórych wysp (między innymi Sardynii i Korsyki). Po obaleniu i aresztowaniu Mussoliniego przez króla Wiktora Emanuela III plan został przemianowany na „Achse”. Podobnie jak w akcji „Eiche”, kierowniczą rolę miał odegrać generał Kurt Student. Oddział Skorzenego natomiast miał się zająć aresztowaniem królewskiego syna, księcia Umberto (przyszłego Umberto II), i jego rodziny. Operacja „Alarich” – „Achse” nigdy nie wyszła poza fazę wstępnego planowania. Przedstawiciele monarchistycznego rządu włoskiego, zawierając 3 września potajemny rozejm z Amerykanami i Anglikami, przypuszczali, że będą mieli czas ewakuować się do 9 września. Wiadomość o kapitulacji podano 8 września po południu w Radiu-Algier. Rząd włoski schronił się w budynku Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a następnie w koszarach karabinierów. Przerażony

Badoglio pierwszy opuścił Rzym 9 września o trzeciej nad ranem. Król, jego świta i większość generałów podążyli jego śladem godzinę później.

10 Kurt Student we wrześniu 1944 roku, już w stopniu generała pułkownika, uczestniczył w likwidacji alianckiego desantu pod Arnhem w Holandii (operacja „Market-Garden”). Od 29 kwietnia 1945 roku zarządzał niemieckimi wojskami broniącymi Meklemburgii. W maju 1947 roku stanął przed brytyjskim sądem wojskowym oskarżony o zbrodnie wojenne. Został skazany na 5 lat więzienia. Po zwolnieniu w 1948 roku z powodów zdrowotnych poświęcił się pisaniu książek na tematy wojskowe. W roku 1952 wybrano go prezesem Związku Niemieckich Spadochroniarzy. Zmarł 1 lipca w 1978 roku w Lemgo.

11 W 1969 roku Martin Adolf Bormann uległ wypadkowi, w którego następstwie powracał do zdrowia pod opieką siostry Corduli, która później zrezygnowała ze stanu zakonnego. Stali się parą i wzięli ślub w 1971 roku. Bormann został nauczycielem teologii i przeszedł na emeryturę w 1992 roku. Zmarł 11 marca 2013 roku.

12 Scharführer – podoficerski stopień paramilitarny w SS i SA, który w SS odpowiadał stopniowi Unterfeldfebla (plutonowego) w Wehrmachcie, w SA zaś Unteroffiziera (kaprala). Na patkach Scharführera znajdowała się jedna gwiazdka z belką, natomiast pagon był obwiedziony białym pasem. Ranga SS-Scharführera była równoważna w SA z Oberscharführerem.

13 Sturmbannführer odpowiadał stopniowi majora w Wehrmachcie. Pełna nazwa różniła się zależnie od organizacji. W SA brzmiała: SA-Sturmbannführer, a w SS: SS-Sturmbannführer.

14 W marcu 1942 roku Gerd von Rundstedt został wyznaczony do organizowania obrony w zachodniej Europie (obszaru operacyjnego „Zachód”). Konflikt dowódczy z Erwinem Rommlem spowodował, że bezpośrednie dowodzenie wojskami pancernymi we Francji przejął sam Hitler. (Rommel uważał, iż siły pancerne muszą znajdować się blisko wybrzeży, by szybko zareagować na ewentualny desant; Rundstedt z kolei twierdził, iż pozbawi to wojska pancerne możliwości manewru i narazi na ostrzał okrętowy). W czerwcu 1944 roku von Rundstedt nalegał, aby

zawrzeć porozumienie pokojowe z aliantami (miał podobno powiedzieć wówczas Keitlowi: „Zakończcie wojnę, bando idiotów!”). Hitler usunął go i na jego miejsce mianował generała Günthera von Kluge. 2 lipca 1944 roku ponownie przeszedł w stan spoczynku. Po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku przewodniczył sądowi honorowemu badającemu sprawy oficerów podejrzanych o współudział w spisku. 9 września 1944 roku powrócił na stanowisko głównodowodzącego obszaru „Zachód”. W grudniu 1944 roku nadzorował niemieckie kontruderzenie w Ardenach – operację „Wacht am Rhein”. 7 marca 1945 roku, obarczony winą za niepowodzenia, został ponownie (i ostatecznie) zdymisjonowany, a stanowisko głównodowodzącego na froncie zachodnim objął feldmarszałek Albert Kesselring.

15 Obergruppenführer – stopień paramilitarny obowiązujący w SS i SA. Jego odpowiednikiem w siłach lądowych i powietrznych Wehrmachtu był stopień generała.

Rozdział 1

Anschluss

Na początku XX stulecia Wiedeń wciąż jeszcze był imperialnym sercem dynastii Habsburgów, słynącym ze swej różnorodności: od pełnych przepychu budynków z okresu baroku aż po współczesną „złotą” secesję. Był miastem Dunaju, wcale nie tak modrego – bo w rzeczywistości wody rzeki są mętne i żółtawe, Straussowskich[1] walców oraz czekoladowych tortów, na sam widok których już przybierało się na wadze. Miastem historii i chwały, a także niepewności, intryg i romansów.

Był również miastem Żydów, których społeczność, dzięki napływowi pobratymców ze wschodnich obszarów monarchii, sięgnęła 175 tysięcy, stanowiąc jedenaście procent populacji ówczesnego Wiednia. Na przełomie XIX i XX wieku panowało przekonanie, że prawie wszyscy wiedeńscy Żydzi mieszkają w Leopoldstadt. Stworzyli tu własną kolonię, zachowując swój język, zwyczaje, religię oraz narodową kuchnię. W związku z powyższym dzielnicę zwano powszechnie „wyspą macy”, od przaśnego chleba wypiekanego przepisowo na dni Pesach, święta upamiętniającego wyjście Izraelitów z Egiptu, kiedy w pośpiechu nie było czasu na zakwaszenie ciasta.

W okresie rozkwitu panowania cesarza Franza Josefa i wiedeńskiej operetki, w której najlepsze wystawiane utwory były w większości komponowane przez Węgrów, w stolicy pełno było kawiarni mogących zaspokoić wszystkie, najwybredniejsze nawet gusta. Do historycznej sławy przyczyniły się niektóre literackie kawiarnie, jak na przykład Café Central

i Café Herrenhoff, do których przychodzili najsławniejsi literaci, od Petera Altenberga do Stefana Zweiga. W Café Rebhuhn i w Café L'Europe spotykali się dziennikarze, w Café Parsifal siedzieli muzycy z pobliskiej filharmonii i najwybitniejszy satyryk obszaru niemieckojęzycznego w XX wieku Karl Kraus ze swoją młodzieżą. Dla przeciętnego wiedeńczyka kawiarnia, w której bywał, stawała się w opisywanych czasach jego drugim domem, a co do artystów, to można było przypuszczać, że jest ich głównym miejscem zamieszkania.

Od dziesiątej rano do południa, a potem od szóstej do ósmej wieczorem wiedeńczycy spacerowali przed majestatycznymi hotelami koło Opery, wzdłuż Ringu i pod podwójnymi rzędami kasztanowców na Praterze. Śmietanka towarzyska nie zażywała przechadzek w niedziele, kiedy ulice zapełniały się masami robotników, korzystających z wolnego dnia.

W opisywanym czasie były tylko dwa miasta na świecie, które potrafiły ubrać kobietę – Paryż i Wiedeń. Stolica monarchii austro-węgierskiej potwierdzała tę reputację, prezentując całą elegancję i wykwint kreacji. Bufiaste suknie z szerokimi rękawami, z tafty, z jedwabiu, z weluru, futra, kolorowe kapelusze ozdobione pióropuszami ze strusich i czaplich piór były obnoszone przez najpiękniejsze kobiety tego rozległego i różnorodnego cesarstwa: roześmiane i jasnowłose Wiedenki, arystokratyczne Czeszki, czarnowłose Węgierki o migdałowych oczach, zgrabne i wiotkie Polki o głębokim, melancholijnym spojrzeniu, Chorwatki i Słowenki urodzone pod południowym niebem. Ludzie z kręgów finansjery, ludzie interesu i artyści mieszali się ze światem dworskim z ową swobodą, która zaciera różnice i ułatwia wzajemne obcowanie.

Życie nad Dunajem miało szczególny smak. Urok wieczornych spotkań w operze, rautów i karnawałowych bali nieodmiennie towarzyszył porze jesienno-zimowej. Latem miasto stawało się męczące, duszne, mniej ludne. Życie towarzyskie wiedeńskiego *high life'u* przenosiło się na wieś, do dworów i pałaców, rezydencji wiejskich, gdzie w rozległych plenerach angielskich parków spędzano czas na spacerach w eleganckich powozach, miękko resorowanych i wygodnych. Zdawały się być one dostosowane do

wytwornych, długich sukien z tiurniurą, ściśniętych w pasie, opiętych w gorsie, eksponujących kobiecą sylwetkę. Gigantyczne kapelusze z pękami kwiatów romantycznie ocieniały delikatne, blade twarzyczki o naiwno-dziecięcych oczach. Czar kobiety, czar powozu, czar wiejskiej sielanki. Opary wiedeńskich ulic przyprawiały o zawrót głowy nawet takich marzycieli, którzy patrzyli na potoki lśniących powozów i – coraz częściej – samochodów, z wysokości mansardowych okienek.

Otto Skorzeny urodził się w Wiedniu w upalny dzień 12 czerwca 1908 roku. Jego rodzina wywodziła się z Wielkopolski, konkretnie z miejscowości Skorzęcin w obecnym województwie wielkopolskim (powiat gnieźnieński). Ojciec, Anton Skorzeny, z zawodu inżynier architekt, był w tym czasie – jak to mówią – średniozamożnym przedsiębiorcą, a poza tym oficerem rezerwy artylerii, w związku z czym dzieci Antona i Flory Skorzenych – Otto, Alfred (1900–1970) i Elisabeth (1909–1982), wychowywane były od samego początku w ostrym, wojskowym drylu.

Niecały rok później, we wrześniu 1909 roku, w schronisku przy Meldemannstrasse 25–27 w XX dzielnicy Wiednia, zamieszkał nikomu wtedy jeszcze bliżej nieznany człowiek o twarzy starszego kelnera. Nazywał się Adolf Hitler i miał w życiu Otto Skorzenego odegrać bardzo ważną rolę, z czego – oczywiście – siusiający jeszcze w tym czasie w pieluchy osesek zupełnie nie zdawał sobie sprawy.

Hitler mieszkał w Wiedniu aż do roku 1912. „W tym czasie – napisał w swoim sztandarowym dziele *Mein Kampf* – ukształtował się u mnie obraz świata i światopogląd, które stały się granitowym fundamentem mojej ówczesnej działalności”. Biograf Hitlera, Werner Maser, sądzi, że być może w okresie wiedeńskim należy między innymi szukać przyczyn „bezwzględnej twardości, okrucieństwa i wrogiego stosunku do innych”. Pewne jest, że późniejszy wódz wtedy właśnie po raz pierwszy, jak sam napisał, zetknął się z „antysemickimi broszurami”. Były to publikacje serii „Biblioteka Korespondencyjna Blondynów i Obrońców Praw Mężczyzny”, której wydawcą był Jörg Lanz von Liebenfels.

W Wiedniu również Hitlerowi dwukrotnie odmówiono przyjęcia do Akademii Sztuk Plastycznych, co niewątpliwie wywołało jego nienawiść do tego miasta. Młody Hitler wykazywał duże zdolności plastyczne i zamierzał swoje życie poświęcić sztuce. To, że stało się inaczej, zawdzięczamy wysokiemu poziomowi Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu i dwukrotnemu oblaniu przez Adolfa egzaminów wstępnych. Zawiedziony przeniósł się w 1912 roku do Monachium, gdzie biedował, utrzymując się z dorywczych prac i sprzedaży malowanych przez siebie akwarel i widokówek.

Ówczesny Wiedeń śnił swój sen o światowej sławie, tymczasem w rzeczywistości grodu wygrzewało się niepozorne na razie jajo, które już za dwadzieścia parę lat miało się okazać jajem węża… Współcześni Austriacy wolą unikać wspominania ponurej przeszłości. Zdają się cierpieć na zbiorową amnezję i w ogóle nie pamiętają okresu sprzed 1945 roku. Po co rozmawiać o ponurych czasach, które dawno już odeszły w przeszłość?

*

Kilka dni po szóstych urodzinach Ottona, 28 czerwca 1914 roku, w Sarajewie pewien serbski student nazwiskiem Gawriło Princip podbiegł do samochodu wiozącego następcę tronu monarchii austro-węgierskiej, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga i jego małżonkę Zofię von Chotek. Dwukrotnie nacisnął spust rewolweru. Pierwsza kula trafiła Franciszka Ferdynanda w szyję i rozerwała tętnicę. Druga raniła śmiertelnie Zofię, która osunęła się na kolana męża. Arcyksiążę, usiłując zatamować ręką wypływającą z rany krew, tulił żonę i krzyczał:

– Sofrel! Sofrel! Nie umieraj! Musisz żyć dla naszych dzieci!

Lekarz był na miejscu, ale niewiele mógł pomóc. Książęca para skonała po kilku minutach.

Principa, który wyrzucił pistolet i zaczął uciekać, otoczyli policjanci i żołnierze z eskorty arcyksięcia. Wtedy zamachowiec włożył do ust ampułkę z cyjankiem i przegryzł szkło. Był przekonany, że lada chwila

umrze. Mijały sekundy. Zamiast śmierci przyszły gwałtowne torsje. Zwietrzała trucizna nie działała. Policjanci wepchnęli kulącego się od bólu zabójcę do karetki i powieźli w stronę miejskiego więzienia.

Powodem zamachu było powszechne mniemanie, że Franciszek Ferdynand lada chwila może zastąpić na tronie bardzo leciwego już, bo 84-letniego, Franciszka Józefa I. Wiadomo było, że po objęciu władzy doprowadzi on do głębokich zmian w monarchii, które utrudnią zjednoczenie południowych Słowian pod przewodem Serbii i wyzwolenie ich z habsburskiej niewoli, o czym marzył Gawriło Princip i jego koledzy z organizacji „Młoda Bośnia".

Patriotyzm i entuzjazm kazały im dokonać tego szaleńczego czynu, ale młodzi ludzie byli tylko narzędziem w rękach innych. Decyzję o zamachu podjęli oficerowie serbskiego wywiadu skupieni w nielegalnym stowarzyszeniu „Crna Ruka" (Czarna Ręka). Zaplanowali ten akt w każdym najdrobniejszym szczególe i wykorzystali chłopców z „Młodej Bośni".

Data 28 czerwca też nie była bynajmniej wybrana przypadkowo. Dla Serbów był to Vidovan – Dzień Świętego Wita, dzień pamięci i zemsty na wrogach, przypominający klęskę armii południowych Słowian w bitwie na Kosowym Polu w 1398 roku, w której następstwie Turcy podbili Bałkany.

4 lipca odbył się pogrzeb książęcej pary. Wyglądało na to, że sprawa dobiegła końca. Zamachowcy byli w więzieniu, ofiary pogrzebano. Cały europejski porządek opierał się na solidnych – wydawało się – zasadach, które sto lat wcześniej sformułował kongres wiedeński. Sarajewo leżało gdzieś na peryferiach kontynentu i nikomu nie przychodziło do głowy, żeby umierać za „śmierdzących Serbów" czy „pijanych Rosjan" – jak napisał pewien londyński dziennik. Ale, jak powiada Pismo Święte: „*Quia ventum seminabunt, et turbinem metent* – Bo wiatr siać będą, a zbiorą burzę" (Z Wulgaty, Ozeasz 8–7). W stolicach państw europejskich zaczynała tymczasem działać straszliwa machina…

Wiedeń wystosował ultimatum, w którym zażądał kontroli Austriaków nad Belgradem, a w razie nieprzyjęcia żądań groził wojną. Serbia poparta przez Rosję odrzuciła ultimatum. Niemcy poparły Austrię, która 28 lipca

wypowiedziała Serbii wojnę. W ten sposób podpalono lont, jedni wypowiadali wojnę drugim i w końcu rzuciły się sobie do gardła dwa ogromne obozy zbrojne. Z jednej strony koalicja Serbii, Rosji, Francji, Belgii, Wielkiej Brytanii z dominiami, Czarnogóry oraz Japonii, do których wkrótce dołączyły Italia i Rumunia, z czasem zaś Portugalia i Stany Zjednoczone – ze strony zaś przeciwnej mocarstwa centralne, zwane tak od ich położenia w Europie, to jest Niemcy i Austro-Węgry, do których dołączyły Turcja i Bułgaria. Europa dosłownie oszalała.

Wszyscy znaleźli jakieś polityczne uzasadnienie, aby „dokopać" drugim. Austro-Węgry chciały się umocnić na Bałkanach, Rosja chciała je stamtąd wyrzucić i dotrzeć do cieśnin czarnomorskich: Bosforu i Dardaneli. Niemcy pragnęli rozbić Rosję i Francję, i upomnieć się o nowe kolonie. Wielka Brytania z kolei obawiała się wzrostu potęgi Niemiec na kontynencie. Wojnie sprzeciwiał się tylko pewien schorowany starzec, Giuseppe Melchiorre Sarto, znany bardziej jako Pius X. Na prośbę austriackiego ambasadora, aby pobłogosławił cesarza i jego armię, osiemdziesięcioletni papież odpowiedział: „Niech pan powie cesarzowi, że nie mogę błogosławić ani wojny, ani tych, którzy jej pragną. Ja błogosławię pokój!".

Do natychmiastowego zawieszenia działań wezwał też jego następca, Benedykt XV. W pierwszym orędziu po wyborze na tron Piotrowy napisał: „Przez pokój można zyskać wszystko, przez wojnę wszystko się traci". W euforii nacjonalistycznego zaczadzenia nikt jednak nie zamierzał go słuchać. Zarówno na europejskich dworach, jak i wśród europejskich elit politycznych dominowała zdecydowanie głęboka niechęć wobec Kościoła katolickiego, pogłębiana przez bardzo wówczas wpływowe środowiska masonerii.

Wojna wywołała wszędzie potężny wybuch nacjonalizmu. Otumanione i podjudzone tłumy ludzi manifestowały przeciw „śmiertelnym wrogom" w imię „sprawiedliwości dziejowej" i „historycznej racji". Niewielu zdawało sobie sprawę, że tak naprawdę to ta wojna toczy się w interesie monopoli kapitalistycznych o nowy podział świata, o źródła surowców i o rynki zbytu. Śmierć tymczasem zbierała krwawe żniwo, jak nigdy

przedtem jeszcze w dziejach świata. Setkami tysięcy wykrwawiała się i topniała odarta z rozsądku ludność: nad Marną, na polach Flandrii, nad Narwią, pod Lwowem, na Kaukazie, w Mezopotamii, na Bałtyku, na Morzu Północnym i na wodach Atlantyku.

W lutym 1916 roku ruszyła gigantyczna ofensywa Niemców pod dowództwem Ericha von Falkenhayna. W okopach pod Verdun rozpoczęła się wielomiesięczna obustronna hekatomba, która pochłonęła życie czterystu czterdziestu tysięcy żołnierzy francuskich i dwustu osiemdziesięciu tysięcy niemieckich. Równocześnie szalała okrutna bitwa nad Sommą, gdzie alianci przeszli do kontrnatarcia.

*

Klęska Austro-Węgier zbliżała się nieuchronnie. W całej wielonarodowej monarchii trwały strajki, powszechnie żądano zawarcia pokoju. Coraz częściej dochodziło do buntów w oddziałach wojskowych. Cesarz Karol I Habsburg, kierujący państwem od roku 1916, po śmierci sędziwego cesarza Franciszka Józefa I, podjął ostateczną próbę ratowania monarchii, ogłaszając manifest o przekształceniu Austro-Węgier w państwo federacyjne. Jednak narody monarchii dążyły już tylko do utworzenia własnych państw.

Jako pierwsza z państw centralnych 29 września 1918 roku skapitulowała Bułgaria. Załamanie frontu bałkańskiego zadecydowało o losach państwa Habsburgów. 4 października austriacki minister spraw zagranicznych zwrócił się do prezydenta Stanów Zjednoczonych o zawarcie pokoju na zasadach jego czternastopunktowego orędzia ze stycznia 1918 roku. Od tego momentu wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Stany Zjednoczone uznały niepodległość Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców oraz Czechosłowacji. W Zagrzebiu powstała Rada Narodowa Królestwa SHS, w Wiedniu utworzono Niemiecko-Austriacką Radę Narodową, a w Budapeszcie Radę Narodową Węgier. 3 listopada Austro-

Węgry poprosiły Włochy o pośrednictwo w zawarciu rozejmu. Kilkanaście dni później cesarz Karol I zrzekł się tronu.

Rozpad Austro-Węgier odsłonił południowo-wschodnie granice Rzeszy. Militarna sytuacja Niemiec stała się katastrofalna. Kiedy cesarz Wilhelm II rozkazał flocie Rzeszy wypłynąć na samobójczy rejs przeciwko marynarce brytyjskiej, marynarze niemieccy zbuntowali się 29 października w porcie w Wilhelmshaven. 30 października skapitulowała Turcja. 7 listopada Bawaria stała się republiką, a w ciągu kilku następnych dni upadły wszystkie monarchie w krajach Rzeszy. Wobec takiej sytuacji cesarz Wilhelm II abdykował i udał się na emigrację do neutralnej Holandii. 9 listopada proklamowano w Niemczech republikę.

11 listopada 1818 roku w wagonie kolejowym w lesie Compiègne zawarto rozejm na froncie zachodnim. Francuski marszałek Ferdynand Foch podyktował Niemcom bardzo ciężkie warunki rozejmu. Wojska niemieckie musiały wydać aliantom większość dział, karabinów maszynowych, samochodów i taboru kolejowego. Ich oddziały musiały natychmiast wycofać się na wschodni brzeg Renu. Marynarka wojenna Rzeszy miała wydać aliantom wszystkie okręty podwodne i większość jednostek nawodnych. Pokój brzeski zawarty pomiędzy Niemcami a bolszewicką Rosją uznano za nieważny, ale wojska niemieckie miały pozostać na wschodzie do czasu dalszych postanowień koalicji.

Wojna, która rozgorzała latem 1914 roku, była największym konfliktem zbrojnym od czasu wojen napoleońskich. Nie przypominała żadnej z poprzednich. Była zderzeniem XX-wiecznej techniki z XIX-wieczną strategią i taktyką. W okopach tkwiły wielomilionowe armie, a na ich potrzeby pracowały wszystkie fabryki i sztaby uczonych. Na frontach wojowały już nie tylko państwa i narody, ale także – a może nawet właściwiej byłoby rzec: przede wszystkim – nowoczesne przemysły i coraz doskonalsze techniki zabijania. W trakcie jej trwania po raz pierwszy w historii zastosowano broń chemiczną, samoloty, okręty podwodne i czołgi.

W armii habsburskiej walczyło osiem milionów żołnierzy. Ponad milion poległo. Prawie dwa miliony odniosło rany. Szacuje się, że łącznie I wojna światowa kosztowała życie sześciu milionów ludzi. W ciągu czterech lat działań wojennych zrujnowano doszczętnie cały kontynent. Zginęło dziewięć milionów żołnierzy i trzy miliony osób cywilnych. Ponad sześć milionów ludzi zostało inwalidami. Jednym z tych, którym udało się szczęśliwie wrócić z frontu do domu, był ojciec Otto Skorzenego.

*

Runęła Europa cesarzy i skoligaconych ze sobą panujących rodzin. Udział wielonarodowej monarchii austro-węgierskiej w I wojnie światowej jako głównego sojusznika Niemiec doprowadził do jej rozpadu i proklamowania w 1918 roku republiki z socjaldemokratą Karlem Rennerem na czele. W ciągu dosłownie kilku tygodni ogromna monarchia rozleciała się na niezliczone kawałki, niczym filiżanka z porcelany upuszczona na kamienną podłogę. Powstały nowe państwa, takie jak Polska, Czechosłowacja czy SHS (Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców)[2]. Z pięćdziesięciu jeden milionów obywateli monarchii pozostało sześć milionów Austriaków. Na mocy traktatu pokojowego w Saint-Germain-en-Laye Austria objęła tylko rdzenne ziemie dawnego księstwa, ograniczono liczebność jej armii, zabroniono połączenia z Niemcami. Przez kilka kolejnych lat projekt przyłączenia Austrii do Niemiec miał jednak poparcie socjaldemokratycznego rządu Karla Rennera, wtórował temu także obóz wszechniemiecki. Zdecydowanie przeciwni anschlussowi byli chrześcijańscy demokraci, którzy opowiadali się za niezależnością państwa. W 1920 roku uchwalono w Austrii nową demokratyczną konstytucję. W wyborach do parlamentu zwyciężyli chadecy.

Powstawał nowy świat, a żyjące w nim społeczeństwa odrzucały dotychczasowe kanony. W malarstwie, teatrze, literaturze i muzyce rodziły się nowe trendy. To samo dotyczyło mody, która po wojennym wstrząsie zrywała z nakazami starego świata.

Lata I wojny światowej i dekada następująca bezpośrednio po nich były w Austrii okresem chaosu i niepokoju, który ogarnął wszystkie dziedziny życia: latami stopniowego rozkładu i upadku monarchii, utworzenia republiki, sporów o jej kształt, wrzeń wewnętrznych, nierzadko prowadzących do rozlewu krwi, kryzysu gospodarczego, powodującego upadek wielu potężnych banków i w następstwie ruinę tysięcy rodzin. Wszystko to działo się w kraju, który przez całe wieki rozwijał się w miłym poczuciu spokoju, sytości i wygodnej izolacji od reszty świata. Żył po prostu w innej rzeczywistości, rzeczywistości rotmistrzów, kawalerii, dworskich aktorów i szermierczych klubów. Drzemał, grzejąc się w cieple trwałego – jego zdaniem – bezpieczeństwa, aliansów, zamożności i dobrobytu.

Dopiero po przegranej wojnie zobaczono, jak słuszny był wcześniejszy pesymizm niektórych, jak proroczy niepokój, jak kruchy ów opisywany świat i jak gigantyczną zakończył się katastrofą. Austriacy znaleźli się nagle na obcym i niebezpiecznym lądzie, pozbawieni swej idylli „ojcowskiego” dworu i romantycznego lasku wiedeńskiego, wydobyci z ochronnej skorupy potężnej, wielonarodowej monarchii, narażeni na wszystkie drgnienia europejskiej i światowej koniunktury. Nie żyli już na spokojnej wyspie. Za sobą mieli koszmar wojny i związane z nim wspomnienia, przed sobą – przyszłość, która rysowała się im bardzo niepewnie.

Wiedeń nie był już tym wesołym miastem, gdzie tańczyło się na ulicach i komentowało przy kawiarnianym stoliczku urodę przechodzących obok kobiet. Wojna światowa poderżnęła gardło *la belle époque*. Stali bywalcy wiedeńskich kafejek znaleźli śmierć w okopach, w lepszym razie miejsce na cmentarzu, w najlepszym – pryczę w szpitalu. Stolica została opanowana przez wyrostków zawodowo uprawiających homoseksualizm. Na tarasach kawiarni siedzieli głównie smutni starcy, którymi nie interesowały się nawet tanie dziewczyny. Wiedeń był ciemny, źle zamieciony, ale cały przeniknięty pełnymi niepokoju i dwuznacznymi rozmowami.

W takich warunkach szczególnie chętnie szuka się ucieczki w wizjach z pogranicza snu i rzeczywistości, schodzi się – jakby po ratunek –

w najgłębsze rejony psychiki, traktując to żarliwe sondowanie własnego wnętrza niemal tak, jak ludzie wierzący traktują pociechę znajdowaną w religii. Wiedeń lat dwudziestych nie przypadkiem stał się widownią powszechnych sukcesów nauki Zygmunta Freuda, która właśnie wtedy opuściła na dobre uniwersyteckie aule, stając się przedmiotem zainteresowania salonów i kawiarni literackich. Twórca szkoły psychoanalitycznej przywracał dręczonym niepokojem Austriakom ich prawo do irracjonalnych lęków, sankcjonował i sekularyzował obsesje, wyjaśniał kompleksy. Odsuwał na dalszy plan strach przed codziennością i jutrem, otwierał zamknięte dotąd drzwi, za którymi kryć się mogły nie mniejsze zagrożenia: zagadki podświadomości, koszmary wyrosłe z najgłębszych pokładów psychiki.

Dość zamożna dotąd rodzina Skorzenych, podobnie jak większość jej rodaków, wiele wycierpiała w chudych latach po zakończeniu wojny, kiedy wartość austriackiej waluty ledwie dorównywała wartości papieru, na którym ją drukowano. W wyniku kryzysu ekonomicznego fabryka Skorzenych zbankrutowała, oni sami zaś musieli korzystać z pomocy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Kiedy piętnastoletni wówczas Otto po raz pierwszy od wielu lat skosztował masła, ojciec powiedział mu:

– W biedzie nie ma niczego złego, synu. Może to nawet wcale niegłupie, nie przyzwyczajać się zbytnio do lekkiego życia.

Była to zarazem lekcja i rada, którą młody Otto wziął sobie głęboko do serca.

W 1926 roku rozpoczął studia inżynierskie w wiedeńskiej Technische Hochschule – Wyższej Szkole Technicznej.

*

„Ojciec, mając liberalne poglądy, uważał, że system demokratyczny stanowił postęp w stosunku do anachronicznej podwójnej monarchii – napisał w swych wspomnieniach Otto Skorzeny. – Jego zdaniem, politykę powinni prowadzić wybrani specjaliści o wysokich kwalifikacjach i morale,

by obywatele nie musieli się wtrącać do rządzenia. Lecz takiego idealnego rządu nie stworzyli ani socjaldemokraci, ani Partia Chrześcijańsko-Społeczna, która pierwszych zastąpiła. Muszę wyznać, że prowadzona przez nich polityka mało interesowała moje pokolenie; mnie także nie zajmowała".

Interesowała go natomiast działalność studenckiego stowarzyszenia Schlagene Burschenschaft „Markomania" – Uderzająca Korporacja Studencka „Markomania", do której się zapisał. Markomanowie byli jednym z plemion germańskich, które pod wodzą panującego w latach 8 p.n.e. – 19 n.e. Marboda opanowało ziemie dzisiejszych Czech. Następnie rozszerzyli swe panowanie na południe, aż do Dunaju, skąd zostali wyparci w roku 20. Za panowania cesarza Marka Aureliusza, w roku 167 najechali Cesarstwo Rzymskie i w wyniku tak zwanych wojen markomańskich, trwających do roku 180, zostali przez Rzymian prawie całkowicie spacyfikowani. Na szczęście dla nich okrutny tyran, cesarz Lucius Aurelius Commodus, zawarł z nimi bardzo niekorzystny dla Rzymian traktat pokojowy, w wyniku którego legiony opuściły ziemie Markomanów. Podczas kryzysu cesarstwa w III wieku Markomanowie wiele razy wdzierali się na jego terytorium, a w V stuleciu przekroczyli Dunaj, osiedlając się ostatecznie na terenie dzisiejszej Bawarii.

Korporacje, takie jak Markomania, Saxo-Borussia, Burgundia czy Teutonia, były sławne w Niemczech i Austrii od czasu rewolucji 1848 roku, odgrywając w tych krajach bardzo ważną rolę. Do tradycji tych studenckich stowarzyszeń należała „menzura"[3] – zwyczajowy pojedynek na szpady, zwane *Paukboden*, o długich, obosiecznych głowniach. „Należało nigdy nie cofać się przed przeciwnikiem, a nawet nie cofać twarzy – wspominał Otto Skorzeny. – Walczyło się z głową wysuniętą do przodu. Była to moim zdaniem szkoła odwagi, zimnej krwi i silnej woli. Oczywiście, nie należeliśmy do «potulnych baranków»; ja sam walczyłem czternaście razy, po czym pozostały mi na twarzy liczne blizny".

To właśnie dzięki tym bliznom w amerykańskich i brytyjskich kwaterach w czasie II wojny światowej nazywano Skorzenego, podobnie jak Ala

Capone, *Scarface* – Człowiek z blizną. Francuzi z kolei, biorąc wzór z Henryka Gwizjusza, obdarzyli go przezwiskiem *le Balafré* – pokryty bliznami, bądź też krócej: pokiereszowany.

Swój pierwszy pojedynek Skorzeny stoczył już na pierwszym roku studiów. Jak wyznał po latach w swoich pamiętnikach, było to zajęcie szarpiące nerwy: „Czułem, jak szybko bije moje serce. Przez drucianą kratkę maski widziałem niewyraźnie twarz przeciwnika. Ostrze przeciwko ostrzu! […]. Jedyne przerwy to krótkie chwile, kiedy ostrze mojej szabli było dezynfekowane […]. Nagle, po siedemnastej rundzie poczułem ostry, silny cios w głowę. O dziwo, nie bolało za bardzo. Martwiłem się tylko tym, że w porę nie zrobiłem uniku".

Pojedynkowanie się nie było jednak dla niego tylko i wyłącznie sportem. „W późniejszym czasie często chwaliłem sobie samodyscyplinę, której nauczyliśmy się w klubie studenckim – napisał. – W ogniu walki nigdy nie czułem się tak źle, jak w wieku osiemnastu lat, kiedy miałem stoczyć swój pierwszy pojedynek pod krytycznym spojrzeniem moich kolegów studentów. Przy szabli poznałem ból, dzięki czemu nigdy później już się nie bałem. Na wojnie, tak jak w pojedynku, musisz skupić swoje myśli na uderzeniu w głowę przeciwnika. Nie możesz tracić szasu na flinty i uniki. Musisz namierzyć cel i ruszyć do ataku […].

W Markomanii nosiliśmy białe czapki, a pierś przepasywaliśmy czarno-biało-złotymi szarfami. Każdego roku, w pierwszą niedzielę września, wszystkie stowarzyszenia uczniów, licealistów i studentów mieszały się na placu Bohaterów z tłumem wiedeńczyków, by oficjalnie – pod czarno-biało-czerwonymi sztandarami – dać wyraz poparciu unii z Niemcami. To była jedyna manifestacja polityczna, w jakiej brałem regularnie udział w latach 1920–1934".

Wyżej wymienione stowarzyszenia studenckie zniesiono w Niemczech w 1935 roku na wniosek ówczesnego szefa Hitlerjugend, a przyszłego Gauleitera Austrii, Baldura von Schiracha. (Wielu nie omieszkało go wtedy oskarżyć o zemstę za dawne wykluczenie przez rodzimą korporację, po odmowie wzięcia udziału w pojedynku). Skorzeny poskarżył się Hitlerowi

na to zarządzenie podczas jednej z audiencji, której Führer udzielił mu w roku 1943.

– Korporacje studenckie narodziły się w 1848 roku w całej Rzeszy w momencie, gdy młodzież niemiecka potwierdzała wolę dokonania rewolucji – powiedział. – Tradycja ta była do tego stopnia podtrzymywana w Austrii, iż członkowie korporacji jako wolontariusze podejmowali pracę wakacyjną w charakterze robotników i chłopów, w prawdziwie socjalistycznym i narodowym duchu. Ogromna większość korporacjonistów walczyła potem na ulicy z Czerwonym Frontem, nie mogąc pojąć, jak von Schirach śmiał ich nazwać snobami, fanfaronami i pijakami.

Wygłaszanie opinii, które mogły być sprzeczne z osobistymi poglądami Führera, było aktem dużej odwagi. Hitler jednak wysłuchał swojego ulubieńca z uwagą, po czym odrzekł:

– Pańskie argumenty, Skorzeny, są słuszne i do zaakceptowania. Dziękuję panu za ich szczere przedstawienie. Ale na razie pojedynek toczy się w innej skali. Trzeba, byśmy wpierw wygrali wojnę. Później porozmawiamy o tych sprawach.

*

Młody Otto Skorzeny nie interesował się specjalnie polityką, chociaż po zamieszkach w 1927 roku, kiedy marksiści usiłowali narzucić swoje prawo uczelni, został jednym ze współzałożycieli Legii Akademickiej. Ale gdy do Legii przeniknęli – a potem właściwie wchłonęli ją – członkowie Heimwehry, tworząc tzw. Heimatblock (Blok Ojczyźniany), opuścił organizację.

Poza tym uprawiał aktywnie sporty: szermierkę, piłkę nożną, lekkoatletykę, narciarstwo i boks. Pływał także kajakiem po Dunaju lub alpejskich jeziorach i brał udział w mistrzostwach uczelni w strzelaniu z pistoletu, zajmując z wynikiem 56 punktów (na 60 możliwych) drugie miejsce w zawodach. Zwycięzca, student z Grazu, uzyskał jeden punkt

więcej, a srogi rewanż Otto wziął na nim podczas późniejszego opijania tryumfu.

W 1929 roku zawarty został układ o unii celnej, walutowej i ekonomicznej między Republiką Austrii a Niemcami, zwany „ukrytym anschlussem", unieważniony jednak wkrótce decyzją Rady Ligi Narodów. W roku 1931 Skorzeny zdał końcowy egzamin na studiach, zdobywając dyplom inżyniera. Egzaminy trwały sześć niekończących się dni, a najważniejszy z nich polegał na sporządzeniu planów produkcji samochodowego silnika dieslowskiego.

Tymczasem Wielki Kryzys, który rozpoczął się w Ameryce, dotarł również do Europy i do Austrii. Druga połowa lat dwudziestych była okresem prosperity dla całych Stanów Zjednoczonych, w których produkowano ponad połowę światowych towarów przemysłowych. W dniu 24 października 1929 roku, nazwanym potem „czarnym czwartkiem", na giełdzie nowojorskiej nastąpił wielki krach. Maklerzy reprezentujący posiadaczy największych pakietów akcji rzucili na sprzedaż i – bez względu na proponowane coraz niższe ceny – zaczęli sprzedawać je jak szaleni. Za nimi poszli oczywiście mali spekulanci giełdowi, sprzedając swoje akcje już za grosze. Tylko tego jednego dnia łączne straty inwestorów wyniosły dziesięć miliardów dolarów, czyli ponad dwa razy więcej niż wynosiła suma wszystkich pieniędzy znajdujących się w obiegu w całych Stanach. Kilka dni po owym pechowym czwartku dla nikogo już nie było tajemnicą, że nastąpiła wielka katastrofa. W jej wyniku produkcja przemysłowa zmniejszyła się o połowę, dochód narodowy spadł o 38%, a liczba bezrobotnych wzrosła z półtora miliona do trzynastu milionów. W ciągu jednego dnia ludzie tracili majątki, które gromadzili przez całe życie, a często nawet przez kilka pokoleń. Przyczyny Wielkiego Kryzysu były złożone. Z całą pewnością jednym z czynników było amerykańskie przeinwestowanie w kulejącą gospodarkę powojennej Europy, a także nadmierna wiara w rynek papierów wartościowych. Do tego doszedł zmniejszający się eksport i ujemny bilans handlowy, coraz większe

dysproporcje między wzrostem produkcji artykułów konsumpcyjnych a wzrostem płac i wiele innych błędów polityki ekonomicznej.

Wielki Kryzys zachwiał całym międzynarodowym systemem finansowym i programem pożyczek międzynarodowych, dotykając również Europę i Amerykę Północną. Ucierpiały też inne części świata, zwłaszcza kolonie, gdyż ich handel i gospodarka zależały od eksportu żywności i surowców do Europy i Ameryki Północnej. Wiele ludzi na całym świecie traciło miejsca pracy, co powodowało wzrost niepokojów i rozprzestrzenianie się nastrojów nacjonalistycznych. Zwłaszcza widoczne stało się to w Niemczech, które znalazły się w tragicznej sytuacji ekonomicznej. Bezrobocie i nędza przyczyniały się do radykalizacji nastrojów. Rozpętana wówczas na niebywałą skalę propaganda hitlerowska wyzyskiwała te nastroje bardzo skutecznie. Zebrania i wiece, w których uczestniczyły dziesiątki tysięcy słuchaczy, odbywały się na wolnym powietrzu, na placach i stadionach. Kryzys doprowadził także do wzrostu znaczenia komunistów na całym świecie – ZSRS jako jedyne państwo nie zostało dotknięte tymi problemami.

Przyszłość, jaka otwierała się przed młodymi Austriakami, niezależnie od ich pochodzenia, również rysowała się ponuro. Początek lat trzydziestych był w ich kraju okresem inflacji, braku żywności, węgla i podstawowych surowców. Dla ponad pół miliona Austriaków bezrobocie stało się na długo niemal zawodem. Kraj pogrążony był w marazmie. Okres do 1932 roku cechowała pogarszająca się sytuacja ekonomiczna, narastanie konfliktów społecznych i nastrojów rewolucyjnych, przy jednoczesnej aktywizacji elementów nacjonalistycznych. Rządy przedstawicieli Partii Chrześcijańsko-Społecznej wyróżniały się silnym wpływem Kościoła katolickiego na bieg spraw w kraju.

Od roku 1929 wzrosły również w Austrii wpływy Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotniczej (NSDAP). Wielu, szczególnie młodych, zwolenników połączenia z Niemcami oceniało ten ruch bardzo przychylnie. Nie mogło być zresztą inaczej. Hitler opowiadał się zdecydowanie za zjednoczeniem wszystkich niemieckich narodów.

*

Skorzeny miał szczęście, udało mu się objąć kierownicze stanowisko w firmie, która jako jedyna w całej Austrii stawiała ciężkie rusztowania budowlane. Zespół, któremu przewodniczył Otto, wsławił się wynalezieniem nowatorskiego systemu łączenia drewnianych podpór na śruby, dzięki czemu można było między innymi dokonać generalnego remontu wiedeńskiej katedry Świętego Stefana.

Żyjący z pożyczek naród stał się zależny od drapieżnych i coraz bardziej wymagających cudzoziemskich wierzycieli, od których chadecki rząd nie mógł bądź też nie umiał się uwolnić. Zagrożenie wpływami komunistów było coraz bardziej wyraźne. „Widziałem, jak masowa manifestacja przeradzała się w ciągu dwóch dni w krwawe zamieszki – pisze Skorzeny. – Obserwowałem komunistów szturmujących prefekturę policji i podpalających Pałac Sprawiedliwości, który stanął niebawem w gigantycznych płomieniach. Ogień pochłonął wszystkie zdeponowane w nim akty własności i to był bez wątpienia jeden z celów marksistowskiej mobilizacji. Te gwałtowne walki uliczne wydawały mi się bardzo głupie, ale mieszczanie z pewnością przeżyli chwile lęku”.

Marksiści pierwsi zorganizowali uzbrojoną milicję – Republikanischer Schutzbund (Republikański Związek Obronny)[4], której przeciwstawiła się niebawem Heimwehra romantycznego księcia Ernsta Rüdigera von Starhemberga i Heimatschutz Emila Feya. Obie te organizacje współpracowały ściśle w walce z lewicą i często traktowano je jako jeden ruch. Heimwehra powstała z bardzo licznych ugrupowań paramilitarnych, istniejących w Austrii po porażce w I wojnie światowej, składających się ze zdemobilizowanych żołnierzy armii austriackiej. Jej oddziały formowano głównie w krajach alpejskich, a także na pograniczu węgierskim. Ostatecznie Heimwehra została rozwiązana 10 października 1936 roku, wraz z innymi organizacjami paramilitarnymi (poza rządową), a kilka tygodni później ostatni jej członkowie zostali usunięci z rządu. Von Starhemberg i Fey próbowali jeszcze kontynuować działalność, jednak bez

większych efektów. Ten pierwszy marzył, że zostanie regentem Austrii, na wzór regenta Węgier, admirała Miklósa Horthyego, lecz jego nadzieje się nie spełniły. Ostatecznie pocieszył się w ramionach aktorki filmowej Nory Gregor.

*

Decydującym wydarzeniem w życiu Otto Skorzenego okazał się przyjazd do Wiednia w roku 1932 Josepha Goebbelsa, który wygłosił tam jedno ze swych płomiennych przemówień.

„A któż to taki? To przedstawiciel rosłej, zdrowej, jasnowłosej i niebieskookiej rasy nordyckiej” – taki podpis zamieściła jedna z lewicowych austriackich gazet pod karykaturą tego czarnowłosego, pokracznego człowieczka. W wieku czterech lat Josepha Goebbelsa dotknęła atrofia mięśni stopy na skutek porażenia dziecięcego. Ten poważny defekt fizyczny sprawił, ze wyrósł na niezwykle ambitnego, przesadnie surowego, a nawet okrutnego człowieka, dążącego za wszelką cenę do kompensaty swej cielesnej ułomności. W 1924 roku jako dwudziestosiedmiolatek zanotował w swoim dzienniku: „Długie leczenie. Stopa sparaliżowana na całe życie. Badanie w Bonn w klinice uniwersyteckiej. Wzruszenie ramionami. Od tej pory młodość pozbawiona radości. Jedno z decydujących wydarzeń mego dzieciństwa”.

I dwa lata później:

„Noga bardzo mi dokucza. Myślę o niej bezustannie, a to zatruwa mi całą przyjemność przebywania między ludźmi”.

Nawet gdy już od dawna wespół z Hitlerem i Göringiem tworzył triumwirat Trzeciej Rzeszy, „brunatne koszule” opowiadały o nim ordynarne dowcipy; nazywano go także „wychowankiem jezuitów”, „pół-Francuzem”, „Ziutkiem” lub „naszym małym doktorem”. Długo, ale nie dość długo udawało mu się mydlić oczy opinii publicznej, gdy pozował na byłego żołnierza frontowego i wplatał w swoje przemówienia formułkę: „my, podziurawieni przez kule wojny światowej…”. Fakt, że ktoś

niepełnosprawny fizycznie, człowiek słabej konstytucji związał się akurat z ruchem narodowosocjalistycznym, nosi wszelkie znamiona groteskowej pointy historycznej.

Działalność NSDAP nie była jeszcze wówczas w Austrii zakazana, toteż zebranie, które odbyło się na terenie wiedeńskiego lodowiska, pod otwartym niebem i przy wyjątkowo ciepłej pogodzie, miało olbrzymi oddźwięk.

„Ilu z nas stało ściśniętych w miejscu, na które zazwyczaj przybywaliśmy jeździć na łyżwach lub podziwiać mistrzów olimpijskich, mojego kolegę z uczelni Karla Schäfera[5] i Fritza Bergera? – zanotował Otto Skorzeny. – Z pewnością ponad dwadzieścia tysięcy. Na zewnątrz porządku pilnowała policja austriacka, ale wewnątrz powierzono to zadanie umundurowanej SA. Flagi ze swastyką, śpiewy i ceremoniał nadały temu mityngowi wspaniałą oprawę. Publiczność wiedeńska uchodziła za trudną. Mówcy często musieli się od niej nasłuchać. Goebbelsowi jednak nie przerwano ani razu. Liczni handlarze kanapek i napojów chłodzących, którzy zazwyczaj hałaśliwie prowadzili swoje interesy, zachowali ciszę. Byliśmy zresztą zbyt stłoczeni, by mogli krążyć w tłumie.

Goebbels mówił przez dwie godziny, tak jak potrafił to robić w swoim najlepszym okresie. Najbardziej uderzył mnie fakt, że było to wystąpienie w całym tego słowa znaczeniu niedemagogiczne. Przeprowadzona przez niego analiza sytuacji międzynarodowej, żałosnego stanu powersalskiej Europy, jałowych walk międzypartyjnych oraz pozycji Austrii wobec Niemiec była solidna, perfekcyjnie logiczna i oparta na faktach, a także na woli stworzenia wspólnego, wreszcie zjednoczonego narodu. Mówca odniósł ogromny sukces. W czasie trwania wiecu nigdzie nie doszło do najmniejszego incydentu.

Przyznaję, że podobnie jak wielu rodaków przystąpiłem do ruchu kilka tygodni później”.

Wpływy partii narodowosocjalistycznej rosły w Austrii bardzo szybko. W roku następnym, 19 czerwca 1933, kanclerzowi Engelbertowi Dollfussowi, ze względu na podły wzrost – zaledwie 165 cm – zwanemu

„Millimetternich”, pozostał już tylko jeden sposób na powstrzymanie jej wzrostu – zakazanie prowadzenia działalności. To był jego pierwszy błąd. Ustanowił dyktaturę Frontu Ojczyźnianego, rozwiązał parlament i dobrał się do skóry organizacjom lewicowym, myląc walkę z marksistami z polowaniem na robotników.

12 lutego 1934 roku komendant Heimwehry Emil Fey podjął próbę rozbrojenia bojówek Schutzbundu w Linzu. Starcia, które tam wybuchły, objęły natychmiast inne miasta Austrii, w tym Wiedeń, gdzie Schutzbund zajął budynki rady miejskiej. Przeciwko Schutzbundowi wystąpiła Heimwehra, policja oraz oddziały regularnej armii, w Wiedniu użyto przeciwko jego oddziałom artylerii. Do uczestników zamieszek strzelano z karabinów i broni maszynowej, po czym na rozkaz Dollfussa wyjechały czołgi. Krew płynęła strumieniami.

Walki zakończyły się już po paru dniach (w Wiedniu – 13 lutego), lecz w wyniku starć padło czterystu zabitych i dwa tysiące rannych. W ten sposób Front Ojczyźniany uczynił sobie wrogów z robotników, których zginęło dwustu osiemdziesięciu, a tysiąc trzystu zostało rannych. Represje policyjne były bezwzględne. Skazano i stracono dziewięciu liderów Schutzbundu, wielu jego członków zostało aresztowanych, około stu uciekło do Czechosłowacji i ZSRS. (Z tych ostatnich wielu padło potem ofiarą stalinowskich czystek). Austriacki rząd zakazał także działalności socjaldemokratycznej SDAPÖ i związanych z nią związków zawodowych.

Kilka miesięcy później, w maju tego roku, kanclerz Dollfuss uchylił obowiązującą konstytucję i wprowadził dyktaturę. W polityce zagranicznej przeciwstawiał się przyłączeniu Austrii do III Rzeszy, zginął jednak 25 lipca 1934 roku w trakcie nieudanego nazistowskiego puczu, zastrzelony przez esesmana Otto Planettę. Jego następca Kurt von Schuschnigg pod presją Adolfa Hitlera dopuścił do rządu narodowych socjalistów.

„Nawet, jeśli nie spodoba się to pewnym historykom, oświadczam, że nie brałem udziału ani w zorganizowaniu spisku, ani w samym puczu – napisał Skorzeny. – Byłem tuż po ślubie, zawartym w maju z dziewiętnastoletnią Gretl, którą znałem od czterech lat. Na motocyklu

z przyczepą wyjechaliśmy oboje do Włoch. W czasie tej bardzo sportowej podróży poślubnej odwiedziliśmy Bolonię, Wenecję, Rawennę, Florencję, Rzym i Abruzję.

W Rzymie, na Piazza Venezia, usłyszałem po raz pierwszy Benito Mussoliniego, który przemawiał do tłumu z balkonu dawnej ambasady austriackiej, skonfiskowanej w 1916 roku. Duce zrobił na mnie wspaniałe wrażenie, zauważyłem też, że żyjąc pośród Włochów przestałem się uprzedzać do Italii. W czasie późniejszych podróży po innych krajach Europy doszedłem do podobnego stwierdzenia. Jesteśmy wielką rodziną i możemy łatwo żyć w zgodzie ze wszystkimi, pod warunkiem wzajemnego szacunku i utrzymania tego, co stanowi o oryginalności każdego z nas. Europa to tęcza narodów, której kolory powinny się od siebie odróżniać".

*

Ważne wypadki, które wpłynęły na losy całego świata, w tym także na życie Otto Skorzenego, zaszły tymczasem w Niemczech. 30 stycznia 1933 roku, tuż przed godziną 11.00 rano, prezydent Paul von Hindenburg mianował kanclerzem Rzeszy Adolfa Hitlera.

„Lepiej Hitler niż komunizm" – mówili ci, którzy dość niechętnie widzieli go na tym stanowisku.

Jeszcze w grudniu 1932 roku niewiele wskazywało na to, że Hitler będzie mógł sięgnąć po nieograniczoną władzę. W tle jednak już od pewnego czasu czaiła się coraz bardziej realna groźba nazizmu, a im była bliższa ziszczenia, tym bardziej Berlin bawił się do zatracenia, jakby kolejnego dnia miał nastąpić koniec świata. I w pewnym sensie nastąpił, właśnie 30 stycznia. Tego dnia definitywnie dobiegła kresu era Republiki Weimarskiej. Nastąpił kres wolności, niezależnej wielkiej sztuki i rozwoju nauki. Rozpoczął się najbardziej mroczny okres w całych dziejach Europy.

Kiedy Adolf Hitler zdobywał sobie uznanie i poparcie Niemców, niewielu było takich, którzy wierzyli w to, iż ten krzykacz z Monachium będzie kiedyś władał połową Europy. Mimo wszystko był on jednak

zagrożeniem dla Niemiec. Dla innych jednak stał się wielką szansą – szansą na odzyskanie potęgi Rzeszy, powrót do tradycji Świętego Cesarstwa Rzymskiego, którego główną częścią były niegdyś Niemcy.

W ciągu pierwszych stu dni sprawowania władzy Adolf zlikwidował Republikę Weimarską, rozwiązał związki zawodowe, na których miejsce powołał jednolitą organizację – Niemiecki Front Pracy, oraz wprowadził cenzurę. Tajemniczy pożar Reichstagu, który wybuchł 27 lutego, stanowił dla nazistów pretekst do wyeliminowania z życia politycznego (a później w ogóle z życia) komunistów. W marcu zostały uruchomione obozy koncentracyjne w Dachau i Oranienburgu, w których umieszczono między innymi politycznych przeciwników. 1 kwietnia rozpoczął się bojkot żydowskich sklepów. Rozpętano kampanię antysemicką i antykomunistyczną – nazistowskie bojówki w brunatnych koszulach organizowały żydowskie pogromy, napady na komunistów, socjalistów oraz intelektualistów.

26 kwietnia powstało Gestapo, tajna policja polityczna utworzona przez Hermanna Göringa, stosująca terror i tortury wobec przeciwników hitleryzmu. Większość działaczy opozycyjnych opuściła Niemcy, udając się na emigrację. Wszystkich uciekinierów naziści pozbawili niemieckiego obywatelstwa. W lipcu na dziedzińcu Uniwersytetu Berlińskiego odbyło się publiczne palenie „nieprawomyślnych” książek.

– Precz ze zdradą żołnierzy wojny światowej! – krzyczeli nazistowscy studenci. Ku kształceniu narodu w duchu męstwa rzucamy pisma Ericha Marii Remarqua w ogień!

W tym samym miesiącu NSDAP pozostało jedyną legalną partią, a rząd wydał ustawę o sterylizacji umysłowo chorych i kryminalistów. W listopadzie Niemcy opuściły Ligę Narodów. Każdy, kto nie wyznawał idei nazizmu, stawał się automatycznie wrogiem.

Wydawało się, że opozycja została zmieciona z powierzchni ziemi. W rzeczywistości jednak istniała, nawet w samym łonie partii, i była tak groźna, że straszliwy triumwirat – grofaz, grubas i kuternoga – musiał zadać jej piorunujący cios. W czerwcu następnego roku wierne Hitlerowi

oddziały SS, jego przybocznej gwardii, rozprawiły się z nią krwawo, organizując pogrom przywódców SA oraz innych niewygodnych ludzi z NSDAP[6]. Ten, któremu dyktator zawdzięczał swoją armię przyboczną i nazywał „swoim najwierniejszym przyjacielem", Ernst Röhm, został tej nocy obudzony ze snu przez samego wodza, a w parę godzin później zastrzelony. Po tych wydarzeniach na jedno z czołowych miejsc w III Rzeszy wysunął się Heinrich Himmler, dowódca SS.

Młodzież niemiecką zaczęto uczyć, że słowo „pacyfista" to największa obelga. Młodzież nie czytała już Goethego czy Platona, zajęta ćwiczeniami strzeleckimi i rzucaniem bomb. Ta wojskowo zorganizowana, zdyscyplinowana i wymusztrowana młodzież miała już tylko jeden cel, jedną perspektywę: wojnę. Alzacja i Lotaryngia są niemieckie! Holandia jest niemiecka! Ukraina jest niemiecka! Niemcy muszą odzyskać kolonie! Cały kraj przemienił się w jeden wielki obóz wojenny, przemysł zbrojeniowy kwitnął. Zagranica zaś patrzyła jak urzeczona na to imponujące, budzące grozę widowisko niczym królik na węża, który zaraz go pożre.

Nową najwyższą sztuką stała się propaganda, będąca na usługach ideologii nienawiści i kultu wojny. Sami naziści ćwiczyli zresztą tę nienawiść na sobie nawzajem. Goebbels gardził Göringiem; Göring nienawidził Rudolfa Hessa; wszyscy razem zaś nie znosili Alfreda Rosenberga. Była to prawdziwa kipiel morderczych złośliwości i nieustannej wrogości. Zebrania i wiece, w których uczestniczyły dziesiątki tysięcy słuchaczy, odbywały się na wolnym powietrzu, na placach i stadionach. W licznych pochodach i manifestacjach brały udział setki tysięcy uczestników. Wysoki udział chłopstwa w ruchu partii spowodowany był naciskiem, jaki Adolf Hitler kładł na zaniedbany dotąd teren wiejski. Zdumiewająco wysoki odsetek członków partii stanowili robotnicy i chłopi. Propaganda adresowana była do drobnego posiadacza. Mówiła ona chłopu, że stanowi sól ziemi niemieckiej, że jest najczystszym ucieleśnieniem rasy aryjskiej – i co najważniejsze, że w państwie rządzonym przez narodowych socjalistów czeka go dobrobyt i spokój.

*

Na placu boju pozostał tylko całkowicie pozbawiony poczucia humoru Adolf Hitler i jego świta. Monumentalne, totalne wizje III Rzeszy i jej wodza realizowali architekt Albert Speer i reżyserka filmowa Berta Helene Amalie Riefenstahl, zwana Leni. Oni to stworzyli oprawę dla politycznych widowisk masowych, które przybrały formę nocnych germańskich obrzędów, mających na celu wskrzeszenie aryjskiego ducha, aby jego mocą obdarzyć Führera.

Mimo braku formalnego wykształcenia Hitler był uderzająco i wszechstronnie oczytany. Rozporządzał doskonałą pamięcią, szybką orientacją, zmysłem organizacyjnym, darem dostrzegania istotnych zagadnień i przedstawiania ich w sposób prosty oraz łatwo zrozumiały. Sam zresztą powiedział kiedyś o sobie: „Posiadam dar sprowadzenia wszystkich problemów do najprostszego mianownika”. W istocie był jednym z owych *terribles simplificateurs* historii, o których pisał w końcu XIX stulecia szwajcarski historyk sztuki, literatury i kultury, teoretyk renesansu i baroku Jacob Burckhardt. Ale w dążeniu do swych jednoznacznie straszliwych celów stosował taktykę integralną i giętką, łatwo i bezkompromisowo rozprawiając się z sojusznikami, którzy torowali mu drogę do władzy, licząc w skrytości ducha, że pozbędą się go, gdy tylko przestanie im być potrzebny, to znaczy upora się z komunizmem. Jakże bardzo mieli się przeliczyć.

W bezpośrednim zetknięciu roztaczał wielki urok osobisty, głównie dzięki niezwykłym szaroniebieskim oczom. Chociaż jego powierzchowność wydaje się bardzo przeciętna, a nawet brzydka, cieszył się powodzeniem u kobiet, które w latach dwudziestych nazywały go „pięknym Adolfem”. Dużo bardziej jednak zastanawiające jest wrażenie, jakie wywierał na swoich współpracownikach, jak również na cudzoziemcach, nieraz bardzo inteligentnych. Nikt nie odnosił wrażenia, że Hitler jest człowiekiem ograniczonym. Skala opinii wahała się tylko między geniuszem a diabolicznym opętańcem.

Leni Riefenstahl opisała w swoich *Pamiętnikach* jedno z jego przemówień w sposób następujący: „Byłam zbyt daleko, bym mogła dojrzeć twarz Hitlera, ale gdy wrzaski zamarły, usłyszałam jego głos: – Towarzysze Niemcy i Niemki! – W tej samej chwili doznałam niemal apokaliptycznej wizji, której nigdy nie zapomnę. Wydawało mi się, że powierzchnia ziemi rozwiera się przede mną, a z jej środka wytryskuje olbrzymia struga wody, tak potężna, że sięga nieba, a ziemia trzęsie się w posadach. Byłam jak sparaliżowana. Choć nie mogłam zrozumieć większości tego, co mówił, byłam tym urzeczona i miałam poczucie, że ta widownia poszłaby za nim wszędzie”.

Jednocześnie zaczęła się zmniejszać rzesza bezrobotnych i to w sposób drastyczny. W 1934 roku ich liczba spadła z sześciu milionów do dwóch i pół miliona. Nic więc dziwnego, że rządom Hitlera towarzyszyła od początku fala entuzjazmu i poparcia większości obywateli. Naród niemiecki z ulgą przyjął kres weimarskich „zwad politycznych” oraz „przywrócenie spokoju i porządku” po okresie kryzysu politycznego i gospodarczego.

Wysocy urzędnicy kraju zbierali na ubogich rodaków hojne datki, którymi finansowano propagandę zagraniczną Trzeciej Rzeszy. Śpiewano patriotyczne pieśni, wygłaszano nieskończoną liczbę przemówień. Reżim totalitarnej dyktatury kroczył tymczasem swoją drogą, wzdłuż której piętrzył się coraz wyższy stos trupów. Wrześniowe ustawy norymberskie, w tym „Ustawa o ochronie krwi i honoru niemieckiego”, dyskredytowały Żydów. Liga Narodów zadowoliła się symbolicznym potępieniem tego faktu.

W marcu 1936 roku Hitler podważył układ z Locarno. Wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenii, zdemilitaryzowanej na mocy traktatu wersalskiego. Gnuśniejąca w poczuciu własnego bezpieczeństwa Francja nie zdecydowała się nawet na pogrożenie palcem. I tak pewnego mglistego poranka, dokładnie 7 czerwca 1936 roku, górzysta okolica pomiędzy Wogezami a Schwarzwaldem zaroiła się od żołnierzy, taborów samochodowych i ogromnych parków artyleryjskich z działami pomalowanymi łamanymi liniami w pstre kolory. Grzmiały czołgi

i samochody pancerne, w górze huczały samoloty. Demokratyczne kraje, sparaliżowane jeszcze wspomnieniem I wojny, wciąż chciały zachować złudzenie, że da się uratować pokój.

W ciągu kilku lat Hitler zdołał dokonać tego, co wcześniej wydawało się po prostu niemożliwe. Rozkolebanych piwoszy z monachijskich piwnic przemienił w zawodowych morderców, lekarzy w katów, prawników w ludzi gwałcących prawo, urzędników bankowych w plutony egzekucyjne, ekspedientki i fryzjerów z małych miasteczek w sadystów i oprawców, praczki i modelki w zwyrodniałe walkirie strzegące koncentracyjnych obozów.

Cudzoziemcy, którzy spędzili kilka dni w Niemczech, wychwalali pod niebiosa idealną czystość i porządek, które zapanowały w tym upodlonym kraju wraz z dojściem Hitlera do władzy. Wokół widzieli tylko uśmiechnięte twarze, doszli więc do wniosku, że „cały naród kocha i czci swego Führera”.

*

1 sierpnia 1936 roku Otto Skorzeny siedział wśród tłumu widzów na berlińskim stadionie podczas uroczystego otwarcia Igrzysk Olimpijskich. Po raz pierwszy tego dnia, choć z daleka, widział Adolfa Hitlera.

Niestety, polityka wtargnęła brutalnie również do sportu. Rozegrane w 1936 roku, na trzy lata przed wybuchem II wojny światowej, Igrzyska Olimpijskie w Berlinie stały się apoteozą hitlerowskich Niemiec. Mimo protestów opinii publicznej i środowisk sportowych Niemcy postawili jednak na swoim i otrzymali prawo organizacji zawodów. To miała być olimpiada wykazująca wyższość rasy białej nad kolorowymi, wyższość nordyków nad innymi i wreszcie, wyższość „narodu panów” nad całą resztą. Powiewające sztandary ze swastykami rywalizowały z flagami olimpijskimi na każdym publicznym gmachu, malując niebo nad Unter den Linden złowieszczą czerwienią.

Oczywiście MKOl nie tylko zabiegał, ale wręcz domagał się, by w całości przestrzegano Karty Olimpijskiej, szczególnie by nie doszło do żadnych incydentów rasistowskich. Niemcy zagwarantowali spełnienie żądań, formułując między innymi słynne zdanie: „w zasadzie Żydzi niemieccy nie zostaną wykluczeni z Igrzysk XI Olimpiady". Ta „humanitarna" zasada nie została złamana, co hitlerowcy szczególnie podkreślali, gdy w turnieju floretowym kobiet po srebrny medal sięgnęła „nieczysta rasowo" Helene Mayer. Na czele komitetu organizacyjnego stanął również syn Narodu Wybranego, Teodor Levalda.

Wówczas jeszcze świat łudził się nadzieją, że wszystko będzie dobrze i że znicz olimpijski, który po raz pierwszy specjalna sztafeta przeniosła z Olimpii na miejsce sportowych zmagań, zapłonie także w 1940 roku w Tokio.

Nakręcony podczas trwania Igrzysk film Leni Rifenstahl *Olympia – Fest der Voelker* (Olimpiada – święto narodów) jest bardzo cennym dokumentem historycznym tamtych ponurych czasów. Na monstrualnej ilości taśmy filmowej (pół miliona metrów – z czego w filmie wykorzystano jedynie 6500) pokazano nie tylko przebieg berlińskich Igrzysk, ale także specyficzną atmosferę towarzyszącą zawodom. Igrzyska miały pokazać światu potęgę totalitarnego systemu i jedność całego narodu niemieckiego skupionego wokół swego Führera.

Organizatorzy zrobili wszystko, aby zwyciężyć w klasyfikacji drużynowej, stąd wiele skandalicznych decyzji i werdyktów sędziowskich. Niemcy odniosły największy sukces w historii swego sportu, zdobywając trzydzieści trzy złote medale i wyprzedzając takie potęgi sportowe, jak Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. Nie trzeba dodawać, że sukces ten został wyzyskany w pełni przez wszystkie tuby propagandowe Josepha Goebbelsa. Mogący pomieścić ponad sto pięć tysięcy widzów ogromny stadion berliński był potem wykorzystywany do organizowania faszystowskich wieców, spotkań młodzieży z Hitlerjugend i tak zwanych dni partyjnych NSDAP.

Do rangi symbolu urósł wspaniały, czarnoskóry sprinter Jesse Owens, zdobywca czterech złotych medali: w biegach na sto i dwieście metrów, w skoku w dal i sztafecie 4x100 m[7]. Do dzisiaj krąży jeszcze opowieść o tym, jak to Adolf Hitler uciekł z trybuny honorowej, nie chcąc uścisnąć Owensowi ręki. Piękna historyjka, tyle że nieprawdziwa.

Po pierwsze, nie chodziło tu o Owensa, lecz innego czarnoskórego lekkoatletę, tryumfatora skoku wzwyż, Corneliusa Johnsona. A po drugie, Hitler zrobił unik rzeczywiście, ale nieprawda, że później także wielokrotnie uciekał z loży. Po prostu kanclerz Niemiec pierwszego dnia lekkoatletycznych finałów zażyczył sobie, by przyprowadzono mu medalistów w celu złożenia im gratulacji, co stanowiło samowolę naruszającą protokół olimpijski. Przewodniczący MKOl, belgijski hrabia Henri de Baillet-Latour, bardzo ostro zaprotestował. Hitler złożył wyrazy ubolewania i w następnych dniach gratulował już tylko sportowcom niemieckim, i to w przyległym do loży salonie, nie zaś publicznie.

Skorzeny był świadkiem tryumfu czarnoskórego sprintera w biegu na sto metrów, niestety, w konkurencjach lekkoatletycznych Austriacy nie zdobyli żadnego medalu. Jedyny złoty krążek wywalczył Gregor Hradetzky w kajakarskim wyścigu K-1 na 1000 metrów, czego Otto nie widział, siedział bowiem w tym czasie na sali bokserskiej. Wiele radości natomiast przeżył, oglądając mecze piłki nożnej.

Najważniejszym wówczas człowiekiem w austriackim futbolu był syn żydowskiego bankiera mieszkający w Wiedniu – Hugo Meisl, jednocześnie Sekretarz Generalny Austriackiego Związku Piłkarskiego i trener pierwszej drużyny. Najwybitniejszymi graczami austriackiej jedenastki byli w tym czasie Anton Schall, Josef „Pepi” Bican, a zwłaszcza Matthias Sindelar, jeden z najsławniejszych napastników w historii futbolu, z powodu elegancji, z jaką dryblował przeciwników i zdobywał bramki, zwany „Mozartem futbolu”. Cały zespół Meisla nazywano „wunderteamem”, czyli drużyną marzeń.

W 1934 roku we Włoszech rozegrano II Mistrzostwa Świata i – pod nieobecność Anglików – to właśnie Austria była głównym faworytem do

tytułu. Włosi, z którymi spotkali się w półfinale, okazali się jednak za mocni. Austriacy narzekali na mokre boisko, które uniemożliwiało im grę po ziemi, a zwłaszcza na ostrą grę przeciwników, przy której technicznie grający piłkarze Hugo Meisla nie mieli szans. Meisl nazwał później to spotkanie „uliczną burdą, a nie piłkarskim meczem” i na zawsze zerwał przyjaźń z trenerem Włochów Vittorio Pozzo.

Za stuprocentowego faworyta do olimpijskiego złota uchodziła w Berlinie reprezentacja Niemiec. Jednak w ćwierćfinałach w obecności Hitlera, Göringa i Goebbelsa uległa jedenastce z Norwegii, która zdobyła ostatecznie medal brązowy. Austriacy pokonali w pierwszym spotkaniu Egipt 3:1, a w ćwierćfinale reprezentację Peru po dogrywce 4:2. Po meczu Austriacy złożyli protest z powodu wtargnięcia na boisko peruwiańskich kibiców, gdy zdobyli czwartą bramkę w ostatniej minucie. FIFA nakazała powtórkę meczu, jednak reprezentacja Peru się nań nie stawiła w proteście przeciwko werdyktowi. Do półfinału awansowała więc reprezentacja Austrii.

11 sierpnia na stadionie olimpijskim naprzeciw Austriaków stanęła reprezentacja Polski. Wraz z tłumem widzów Skorzeny poderwał się na równe nogi, kiedy w 14 minucie bramkę dla wunderteamu zdobył Karl Kainberger. Ponownie uczynił to po przerwie, gdy w 55 minucie Adolf Laudon podwyższył na 2:0. Boiskowy zegar wskazywał siedemdziesiątą trzecią minutę, kiedy kontaktową bramkę dla Polaków strzelił Hubert Gad. Ożywieni tym golem biało-czerwoni mocno przycisnęli, lecz straszliwa kontra Austriaków w 88 minucie ustaliła wynik spotkania na 3:1.

W meczu finałowym drużyna Austrii zmierzyła się z zespołem Włoch, aktualnymi mistrzami świata. Oglądało go sto tysięcy widzów, wypełniających berliński stadion do ostatniego miejsca, a wśród nich Otto Skorzeny. Emocje trwały aż 120 minut. Po bezbramkowej pierwszej połowie Włosi uzyskali prowadzenie w 65 minucie ze strzału Annibale Frossiego, ale na 10 minut przed końcem wyrównał Karl Kainberger. W dogrywce rozstrzygnięcie padło już w 2 minucie, a zdobywcą bramki na wagę złotego medalu dla Włochów został również Frossi[8].

*

Przybywające do Berlina gwiazdy ekranu i inni bogaci ludzie w trosce o swój prestiż zatrzymywali się z reguły w luksusowym hotelu „Adlon”. Oprócz tego wśród gości z najwyższych sfer dobrą opinią cieszyły się hotele „Eden” i „Kempinski” – jeden z międzynarodowej sieci założonej przez polskiego Żyda, Bertholda Kempińskiego (urodzonego 10 października 1843 roku w Raszkowie, absolwenta katolickiego Królewskiego Gimnazjum w Ostrowie). Do ogrodu na dachu hotelu „Eden” w pobliżu zoo chadzano latem na popularne „herbatki tańcujące”.

Hotele, kawiarnie i restauracje odegrały ogromną rolę w życiu kulturalnym i towarzyskim stolicy Niemiec. Gwiazdy teatru po spektaklach pojawiały się na kolacjach w restauracji „U Schwaneckego”. „U Schwaneckego, w restauracji, która wydawała mi się luksusowa, być może dlatego, że przychodzili tam wszyscy dopiero po spektaklu; kłębiło się wprost od sławnych ludzi teatru – pisał w powieści *Pochodnia w uchu* szwajcarski literat, tłumacz, eseista, poeta i socjolog Elias Canetti. – Ledwie się zauważyło jednego, już pojawiał się następny, który uchodził za jeszcze bardziej godnego uwagi; było ich w tym okresie świetności teatru tak wielu, że wkrótce przestawało się ich rozróżniać. Ale przychodzili również pisarze, malarze i mecenasi sztuki, krytycy i uznani dziennikarze… utracjusze… Nie chodziło wyłącznie o rozrzutność panującą w tych wytwornych lokalach… odpychała pawia próżność artystów. Każdy chciał wszystkich zadziwić, zakasować, powietrze dosłownie gęstniało od egocentrycznego nadęcia […]. Bardzo ważne było, by wciąż się pokazywać w ciągu dni, tygodni, miesięcy […]. Kto nie chciał być zapomniany, musiał się pokazywać”.

Berlińska bohema przesiadywała również „U Schlichtera”, tam jadano obiady, tam można było spotkać aktorów, których twarze znano z ekranów kin, scen teatralnych i z ilustrowanych czasopism. Restauracja mieściła się przy Martin-Luther-Strasse w Schönbergu. Nazwę zawdzięczała nazwisku swojego założyciela i właściciela, Maxa Schlichtera, brata malarza Rudolfa

Schlichtera, który od dzieciństwa znał stałego bywalca tego miejsca, George'a Grosza, uczęszczali bowiem razem do szkoły. Grosz odcisnął na restauracji silniejsze piętno niż którykolwiek inny z licznych jadających tam artystów. Jego karykaturalne rysunkowe portrety zaprzyjaźnionych słynnych gości tego miejsca widniały na ścianach lokalu.

Skorzenego nie stać było ani na pobyt w luksusowych hotelach, ani na jadanie w drogich knajpach. W czasie Igrzysk Olimpijskich mieszkał w małym pensjonaciku na obrzeżach dzielnicy Grunewald, położonej wśród lasów i jezior, na końcu Kurfürstendamm, gdzie dzisiaj mają swoje przedstawicielstwa liczne państwa, w tym Polska.

Bywający tam często w opisywanym czasie angielski pisarz Christopher Isherwood przedstawił tę dzielnicę w powieści *Pożegnanie z Berlinem* w niezasłużonym chyba do końca negatywnym świetle: „Większość najbogatszych rodzin berlińskich mieszka właśnie w Grunewald. Trudno zrozumieć dlaczego. Ich wille, reprezentujące wszystkie możliwe style kosztownej brzydoty, od ekscentrycznego rokokowego szaleństwa do kubistycznych pudełek o płaskich dachach, ze stali i szkła, tłoczą się w tym ponurym mrocznym sosnowym lesie. Tylko nieliczni mogą sobie pozwolić na duży ogród, ponieważ grunt jest tam nieprawdopodobnie drogi, a najczęściej widok z okien to tyły domu sąsiada, otoczonego siatką i strzeżonego przez złego psa. Lęk przed włamaniem i rewolucją wtrącił tych nieszczęsnych ludzi w stan permanentnego oblężenia. Nie mają ani prywatności, ani słońca. Tak naprawdę jest to dzielnica slumsów dla milionerów".

Pensjonat z maleńkimi pokoikami, w którym mieszkał Otto, zasiedlali głównie Żydzi z Polski. Jeden z nich, ku utrapieniu Austriaka, pisał coś bez przerwy na małej maszynie do pisania. Nigdzie nie można było dostać planu Berlina. Ciągle w rękach któregoś z pensjonariuszy Skorzeny widział jakąś książkę, która wyglądała jak plan, ale gdy pytał, czy mógłby do niej zajrzeć, okazywało się, że to coś zupełnie innego: spis szkół miasta Berlina, statystyki podatkowe lub coś w tym rodzaju.

*

Jeżeli już pozwalał sobie na zjedzenie czegoś na mieście, to najczęściej wstępował do słynnej robotniczej knajpy „Aschingera”, na grochówkę z bułką, gdzie swego czasu bywali Elias Canetti z Izaakiem Bablem. Od czasu dojścia Hitlera do władzy słynne knajpy stolicy opustoszały zresztą, jak portfel emeryta przed wypłatą renty. Większość twórców wyemigrowała. Skończyły się czasy wspaniałego Berlina.

„Franek sprzedaje teraz gazety narodowe – przedstawił obraz stolicy Niemiec Alfred Döblin w powieści *Berlin Alexanderplatz*. – Franek nie ma nic przeciwko Żydom, ale jest zwolennikiem porządku. Bo w raju musi być porządek, to jasne. I widział chłopaków ze Stahlhelmu, widział ich przywódców, to jest już coś konkretnego. Franek stoi przy wyjściu z kolei podziemnej na Potsdamerplatz, na Friedrichstrasse, przed stacją Alexanderplatz […]. Narodowi niemieckiemu na pierwszą niedzielę adwentu: Zdruzgoczcie wreszcie wasze miraże i ukarzcie szarlatanów, którzy karmią was złudzeniami. Nadejdzie dzień, kiedy na polu walki ukaże się prawda niosąc oręż prawa i lśniącą tarczę, aby pokonać wroga”.

Wstrząsający obraz Berlina lat trzydziestych pokazał *Kabaret*, słynny film Boba Fosse’a z Michaelem Yorkiem i Lizą Minelli w rolach głównych, nakręcony na podstawie powieści Christophera Isherwooda *Pożegnanie z Berlinem*. „Dziś wieczór, po raz pierwszy tej zimy, jest bardzo mroźno. Głuchy ziąb trzyma w uścisku miasto, wypełnione nieruchomą ciszą… Berlin to kościec, który na zimnie boli; to mój własny bolący kościec. Czuję w kościach przenikliwy ból mrozu w dźwigarach kolei żelaznej, w żelaznych balustradach balkonów, w mostach, w przewodach linii tramwajowych, w słupach latarnianych i szaletach. Żelazo drży i kurczy się, kamień i cegły sprawiają tępy ból, tynk kostnieje […].

Co wieczór przesiaduję w ogromnej, pustawej kawiarni artystów nieopodal Gedächtnis Kirche, w której Żydzi i lewicujący intelektualiści pochylają ku sobie głowy nad marmurowymi stolikami, rozmawiając przyciszonymi, zalęknionymi głosami. Wielu z nich wie, że niechybnie

zostaną aresztowani – jeśli nie dziś, to jutro lub za tydzień. Są więc dla siebie uprzejmi, dobrotliwi, uchylają przed sobą kapeluszy i dopytują o rodziny. O wieloletnich, notorycznych sprzeczkach literackich zapomniano. Prawie co wieczór także odwiedzają kawiarnię ci z SA. Czasem przychodzą tylko po kweście, a wtedy każdy jest zmuszony coś im dać. Niekiedy przychodzą kogoś aresztować. Któregoś razu pewien pisarz żydowski, który tam przebywał, pobiegł zadzwonić po policję, lecz naziści wyciągnęli go z kabiny i zabrali ze sobą. Nikt nie ruszył palcem. Póki się nie wynieśli, można było usłyszeć spadającą szpilkę […].

Dziś świeci przepyszne słońce; powietrze jest łagodne, ciepłe… Słońce świeci, a Hitler jest panem tego miasta. Słońce świeci, a dziesiątki moich przyjaciół – moi uczniowie ze Szkoły Robotniczej, kobiety i mężczyźni – siedzą w więzieniu, a może już nie żyją… Dostrzegam własną twarz w sklepowym lustrze i przeraża mnie to, że się uśmiecham. Trudno się nie uśmiechać w tak piękną pogodę. Tramwaje jeżdżą po Kleiststrasse tak jak zawsze. I one, i ludzie na chodnikach, i podobna do poduszki na czajniczek herbaciany kopuła dworca przy Nollendorfplatz mają w sobie coś dziwnie swojskiego, przypominają rzeczy zapamiętane z przeszłości jako normalne i przyjemne – jak bardzo dobra fotografia.Nie. Jeszcze teraz nie mogę ani rusz uwierzyć, że to wszystko naprawdę się zdarzyło”.

Literatura opisująca Berlin lat trzydziestych przesiąknięta jest nieprzyjemnymi opisami nazistowskiej atmosfery i wszechobecnej duchoty czynszowych kamienic, z których dobywała się woń gotowanej kapusty, tak sugestywnie oddana przez Isherwooda. Tymczasem berlińska kuchnia oferowała całą masę przysmaków, gdzie indziej w ogóle nieznanych. Zaliczała się do nich na przykład potrawa o nazwie *Hackbraten*, przypominająca pieczeń rzymską, przygotowywana z mielonego mięsa mocno doprawionego czosnkiem. Za jedno z najbardziej znanych dań stolicy uchodziła też *Kalbsleber Berliner Art*, wątróbka cielęca z rusztu, serwowana pod plasterkami duszonych jabłek i przyrumienionej na złoto cebuli. Za najpopularniejszą berlińską przekąskę – co nie zmieniło się

zresztą do dziś – uchodziły kiełbaski na gorąco, najczęściej obficie popijane piwem.

Na zakończenie Igrzysk Olimpijskich właścicielka pensjonatu, w którym mieszkał Otto, przygotowała *Entenkeulen mit Teltower Rübchen*, czyli udka kacze w czerwonym winie, podawane z różnymi rodzajami małych rzepek z okolic Teltow i mieszanką duszonej cebuli oraz gotowanych marchewek w sosie mięsnym.

Teltow to miejscowość w Brandenburgii leżąca na południowy zachód od stolicy. Pochodzące z tego regionu białe rzepki charakteryzują się ostrym smakiem, który cenił onegdaj wysoko sam Johann Wolfgang Goethe. Otto zdołał oczarować właścicielkę pensjonatu i uzyskać od niej przepis na potrawę. Po powrocie do Wiednia przekazał go swojej żonie, Margarecie Skorzeny z domu Schreiber, zwanej Gretl, która przyrządzała kacze udka w czerwonym winie aż do rozwodu.

Do przygotowania *Entenkeulen mit Teltower Rübchen* (na dwie osoby) potrzebne były następujące składniki: dwa kacze udka, ćwierć kilo rzepek z Teltow, ćwierć kilo marchewek, sto mililitrów bulionu z kury, cztery ziarenka ziela angielskiego, cztery listki laurowe oraz sól i pieprz do smaku. Rzepki i marchewki należało opłukać i obrać, marchewki pokroić w grube krążki, rzepki zostawić w całości. Następnie warzywa z przyprawami wkładało się do żaroodpornego naczynia, najlepiej glinianego, i podlewało bulionem. Naczynie z zawartością wkładało się do piekarnika rozgrzanego do temperatury 200oC. Po umyciu i osuszeniu udek trzeba było naciąć na nich skórę i przysmażyć na patelni bez tłuszczu przez trzy minuty, po czym ułożyć na wierzchu warzyw oraz posypać solą i pieprzem. Piekło się to wszystko pod przykryciem przez pięćdziesiąt minut, co pewien czas podlewając bulionem. Po upływie tego czasu zdejmowało się przykrywkę i grilowało potrawę od góry, aż skórka zrobiła się apetycznie chrupiąca.

*

Skoro już mówimy o sporcie, to po Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie, dwa lata później, jeszcze jedno wydarzenie, tym razem w Nowym Jorku, przykuło uwagę Otto Skorzenego. Na Nowy Jork zwróciły się zresztą wtedy oczy i uszy całego świata. 22 czerwca 1938 roku na Yankee Stadium doszło do bokserskiej walki o tytuł mistrza świata wszechwag pomiędzy obrońcą tytułu, amerykańskim Murzynem Joe Louisem, i pretendentem, Niemcem Maxem Schmelingiem. Ich pojedynek wstrząsnął całym globem i wszedł na stałe do historii pięściarskich zmagań.

To było coś więcej niż zwykły boks. Dwadzieścia lat od zakończenia Wielkiej Wojny, w której ludzie mordowali się nawzajem z nienotowanym dotąd natężeniem, nad Europą unosił się już swąd zapowiadający nową wojnę. Z Rzymu dolatywały wściekłe okrzyki Mussoliniego, ulicami niemieckich miast maszerowały hitlerowskie bojówki, w kołach wojskowych Francji, Hiszpanii i innych krajów zawiązywano tajne spiski. W roku 1938 na Europę padał głęboki, mroczny cień szalonej polityki Adolfa Hitlera. Niemcy wyraźnie szykowały się do wojny. *Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt* – Bo dzisiaj należą do nas Niemcy, a jutro cały świat[9].

W roku 1938 w Niemczech utworzono „Oberkommando der Wehrmacht” (Naczelne Dowództwo Sił Zbrojnych), a 4 lutego Führer zwolnił trzydziestu pięciu generałów niechętnych jego planom podboju Europy. 12 marca, wczesnym rankiem, wojska niemieckie pokonały granicę austriacką, dokonując *anschlussu*, o którym (i o roli w nim Otto Skorzenego) będzie jeszcze mowa.

Opanowane przez nazistów Niemcy i honor aryjskiej rasy reprezentował właśnie Max Schmeling. Czarny Joe Louis, z kolei, walczył w obronie demokratycznych ideałów i „wolnego świata”. Obie propagandy, nazistowska i amerykańska, uczyniły z meczu coś daleko wykraczającego poza sportową rywalizację. Pojedynek Louisa ze Schmelingiem stał się z jednej strony walką w obronie demokratycznych ideałów, z drugiej zaś bitwą o honor aryjskiej rasy i wyższość niemieckiej tężyzny fizycznej.

Wielu ludzi czuło przez skórę, że już wkrótce walka ta będzie kontynuowana nie na pięści, ale za pomocą broni palnej i bomb.

Hitler nakazał Schmelingowi zwyciężyć dla Trzeciej Rzeszy, co udowodnić miało wszystkim nie tylko, że biali są lepsi od czarnych, ale że niemieccy biali są lepsi niż wszyscy inni biali.

Panujący w Niemczech nazizm był doktryną skomponowaną na użytek przegranych, rozczarowanych, spragnionych odwetu; stanowił przepełniony nienawiścią program negacji powersalskiego ładu w Europie. Zwracał się przeciwko liberalizmowi, systemowi wielopartyjnemu i parlamentaryzmowi, demokracji oraz pacyfizmowi i zapowiadał ich unicestwienie. Funkcjonując jako światopogląd i program politycznych działań, głosił skrajny antyindywidualizm („Ty jesteś niczym. Twój naród jest wszystkim"). Dążył do zawładnięcia „całym człowiekiem", wymagając odeń nie tylko lojalności i posłuszeństwa, ale i czynnego wspierania ruchu oraz polityki państwa. Nazistowska technika „rządu nad duszami" polegała na utrzymywaniu społeczeństwa w permanentnym stanie zafascynowania polityką wodza, przede wszystkim przez stałą gotowość do walki o urzeczywistnienie zasad wpisanych do katalogu narodowosocjalistycznego światopoglądu. Nawiązując do idei romantyzmu niemieckiego i rasizmu, głosił nazizm skrajny nacjonalizm, uznający naród za wspólnotę krwi, zdeterminowaną rasowo i biologicznie. Opierając się na darwinizmie społecznym, uznawał siłę i walkę za podstawowe prawo społeczne. Uczył, że całe życie jest walką, że kto chce żyć, musi walczyć, kto zaś nie walczy, nie zasługuje na to, by żyć.

Wyrazem nacjonalizmu były teorie „krwi i ziemi", braku przestrzeni życiowej, pochwała wojny. Nazizm demagogicznie łączył ideę nacjonalizmu z ideą socjalizmu, stojąc na stanowisku, że każdy naród ma prawo do własnego kształtu socjalizmu. Nacjonalistyczne i socjalistyczne hasła przyciągnęły do nazizmu przeważającą część niemieckiego społeczeństwa, które w decydującym momencie udzieliło poparcia szowinistycznej i totalitarnej polityce Adolfa Hitlera. Syntezą ideologii nazizmu była zasada charyzmatycznej władzy wodza, spersonifikowanej

naturalnie w osobie *Herr* Schicklgrubera[10]. Czerpiąca z poglądów Fryderyka Nietzschego zasada wodzostwa znalazła instytucjonalny wyraz w dyktaturze Führera, będącego najwyższym podmiotem władzy w Trzeciej Rzeszy, identyfikującego swą wolę z wolą państwa i narodu (*Ein Volk, ein Reich, ein Führer*), nadającego woli wodza charakter wiążącej normy prawa. Nazizm był w Niemczech w latach 1933–1945 faktyczną ideologią państwową, stanowił też podmiot integrujący społeczeństwo niemieckie wokół hitlerowskiej polityki. Umożliwił ugruntowanie w Niemczech totalitarnej dyktatury, podniósł bezprawie do rangi jednego z podstawowych działań państwa, uzasadniał wywołanie przez Rzeszę II wojny światowej, stworzył teoretyczną podbudowę dla wszystkich dokonanych przez hitlerowców zbrodni.

Jak na ironię tylko Joe Louis, reprezentujący w tym pojedynku demokrację, nie mógł w pełni korzystać z wszystkich jej praw. Ale Joe nie dbał o to. Joe kochał Amerykę.

Na kilka dni przed meczem został zaproszony na lunch do Białego Domu przez samego Franklina Delano Roosevelta. Prezydent chwycił w ręce prawą pięść championa, serdecznie ją uścisnął i powiedział:

– Joe, cała Ameryka wierzy w tę pięść!

*

Pierwszą transmisję radiową z walki o bokserskie mistrzostwo świata wszechwag przeprowadzono 2 lipca 1921 roku. Na ringu w Jersey City ówczesny champion Jack Dempsey pobił wtedy w czterech rundach Francuza Georgesa Carpentiera. W gorącą noc 22 czerwca 1938 roku Otto Skorzeny zasiadł przed odbiornikiem, aby wysłuchać radiowej transmisji z odbywającego się za oceanem pojedynku.

Sporo ludzi do dzisiaj uważa, że radio wymyślił Guglielmo Marconi. Otóż nie, nieprawda. Należy skorygować stan zasobów wiedzy – radio wymyślił Nikola Tesla. Marconi miał po prostu znacznie lepszy – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – PR. Pomogli mu Thomas Edison i jeden

z najbogatszych ludzi swego czasu Andrew Carnegie, którzy zainwestowali spore pieniądze w jego firmę. Dopiero w 1943 roku, kilka miesięcy po śmierci Tesli, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych przywrócił prawa patentu radiowego 645,576 prawowitemu właścicielowi. Zrobił to zresztą z takich samych powodów, z jakich wcześniej Biuro Patentowe przyznało patent Marconiemu: firma Marconi pozwała do sądu rząd amerykański za wykorzystanie „jej" patentowych rozwiązań w czasie I wojny światowej. Sąd w prosty sposób uniknął problemu, przyznając pierwszeństwo patentowe Tesli, przed Marconim. Aczkolwiek te wiadomości dopiero docierają do encyklopedii, współczesne autorytety radiotechniki zgadzają się co do pierwszeństwa Tesli w dziedzinie, która przez lata była zakłamana przez zmienne w treści oświadczenia sporej liczby wielkich międzynarodowych sław.

W hitlerowskim systemie totalitarnym propaganda odgrywała rolę pierwszoplanową. Już w 1925 roku Josephowi Goebbelsowi, bezrobotnemu doktorowi filozofii i autorowi kilku książek, których nikt nie chciał drukować, zaproponowano stanowisko sekretarza Georga Strassera, drugiej osoby po Hitlerze w NSDAP. Wkrótce został prawą ręką samego wodza. Przed propagandą stawiał dwa zadania: musi pozyskiwać nowych członków i niszczyć doktrynę politycznych przeciwników. Jedynym kryterium poprawności propagandy czynił skuteczność. Za najskuteczniejszą uważał propagandę słowną. Sam Hitler był przecież przekonany, że słowa posiadają „tajemną i cudowną moc". Cenił je tak dalece, że można by zaryzykować twierdzenie, iż na początku nazizmu było słowo. Ale słowo umiejętnie użyte. Słów używali naziści jak harpunów, wbijając je w delikatną materię podświadomości. Pożądany efekt osiągano poprzez nieustanne posługiwanie się sloganami, nadużywanie formy rozkazującej czy też ciągłe powtarzanie słów zabarwionych mistycyzmem. Hitlerowska nowomowa ogromnie przypominała komunistyczną – w obu przypadkach chodziło o to, by język przestał być narzędziem komunikacji i opisu, a stał się narzędziem indoktrynacji.

Ludzie szukają przede wszystkim pewności, oparcia, autorytetu, wiary, że jest ktoś wielki i potężny, kto myśli o nich i za nich. Dlatego skuteczna propaganda musiała ograniczać się do niewielu punktów, które z kolei musiały być lansowane tak długo, aż każdy zrozumiał, co przez ten slogan chce się powiedzieć. Goebbels wyraził tę myśl bardzo dosadnie, stwierdzając, że „stukrotnie powtórzone kłamstwo staje się prawdą". Po pierwsze, propaganda musiała podkreślać i uwidaczniać siłę partii; po drugie, przemówienia oraz plakaty miały koncentrować się na kilku tylko wybranych symbolach i krótkich, wyrazistych sloganach; po trzecie, należało pamiętać, że racjonalna argumentacja w kontakcie z wyborcami jest bezużyteczna. W politycznej grze liczyła się przede wszystkim psychotechnika, czyli naukowo podbudowana umiejętność wpływania na masy.

„Słowa o jak najbardziej nieokreślonym znaczeniu oddziałują z o wiele większą siłą, aniżeli te, których znaczenie dokładnie pojmujemy" – twierdził z kolei staruszek Le Bon[11], z którego dorobku propaganda hitlerowska czerpała pełnymi garściami. Tłum zachowuje się w sposób irracjonalny, kieruje się emocjami. Przemówienia Hitlera i Goebbelsa były od strony logicznej bełkotem, a przecież oceniane miarą skuteczności były prawdziwym majstersztykiem. „Sztuka propagandy polega na umiejętności budzenia wyobraźni mas przez zwrócenie się do ich uczuć, znalezienia właściwej formy psychologicznej, która przykuje uwagę i zaapeluje do serc narodu", pisał w *Mein Kampf* sam wódz narodu.

Dla kierującego propagandą NSDAP Goebbelsa najważniejsze było zrewolucjonizowanie dotychczasowych technik agitacji. Wyborcza retoryka narodowych socjalistów musiała – jego zdaniem – zdecydowanie wyróżniać się na tle przegadanego i mało dynamicznego wizerunku innych ugrupowań. Należało sięgnąć po nowe środki wyrazu – skupić się bardziej na dźwięku i obrazie, odwoływać do emocji wyborców, zamiast przekonywać ich starannie dobranymi argumentami.

Odpowiednio udekorowane sale, na których odbywały się spotkania NSDAP, pełne były sztandarów, transparentów i nazistowskich symboli.

Wrażenie potęgowano poprzez odpowiedni dobór efektów świetlnych i dźwiękowych. Rozlegała się jednostajna muzyka, której towarzyszył stały warkot werbli, przerywany od czasu do czasu dźwiękiem fanfar i ekstatycznymi okrzykami: *Sieg heil!* Atmosfera emocjonalna rosła w miarę, jak przedłużało się oczekiwanie na bohatera. Gdy już wydawało się, że napięcie sięga szczytu, wówczas nagle gasły światła i zapalał się jeden reflektor skierowany w stronę wejścia. I oto ukazywał się on. Niemiecki tytan, Adolf Hitler… Czyż może być coś mocniej oddziałującego na wyobraźnię tłumu?

W swych *Wspomnieniach* Albert Speer napisał:

„Szczególnego rodzaju orgie flag urządzałem w wąskich ulicach Goslaru i Norymbergi, zawieszając jedną przy drugiej na wszystkich domach, tak że prawie nie widać było nieba”.

Oprócz monumentalizmu flag Speer stosował także monumentalizm światła. Podczas jednej z manifestacji w Norymberdze użył stu trzydziestu reflektorów przeciwlotniczych, tworząc – jak sam pisze – „wrażenie olbrzymiego pomieszczenia, w którym pojedyncze smugi świetlne wydawały się potężnymi podporami nieskończenie wysokich ścian. Co jakiś czas przez ten wieniec świateł przesuwała się chmura, dodając do imponującego efektu element surrealistycznej nierealności; przyjmuję, że ta «katedra świetlna» była pierwszym tego rodzaju tworem architektury, a dla mnie pozostanie nie tylko moim najpiękniejszym, lecz także jedynym dziełem przestrzennym, które w pewien sposób przetrwało w czasie”.

Opisywane inscenizacje tworzyły poczucie uczestnictwa w czymś o oszałamiającej wielkości. Podobnie jak w symbolice religijnej, budowały namacalną łączność pomiędzy ziemią a niebem, czyli tym, co realne, i tym, co niewyobrażalne. Zarówno niebo przesłonięte hitlerowskimi flagami, jak i katedra świetlna czy łoskot werbli wnosiły w nazistowskie manifestacje element transcendentalny, nadprzyrodzony.

Część hitlerowskich dygnitarzy darzyła te wszystkie psychologiczne chwyty dużą niechęcią. Goebbelsowi zarzucano, że amerykanizuje retorykę nazistów i sprzeniewierza się w ten sposób ideałom ruchu. Nie przejmował

się tym jednak i dalej robił swoje. Krytyka ta zresztą pojawiała się tylko w końcu lat dwudziestych i na początku trzydziestych. Potem już nikt nie odważał się oponować. Po styczniu 1933 roku, kiedy większość swobód i praw obywatelskich została zniesiona, propaganda nastawiona na pozyskiwanie wyborców straciła rację bytu. Retoryka narodowych socjalistów uległa gwałtownej ideologizacji i schematyzacji, z narzędzia manipulowania społeczeństwem przekształciła się w zbiór rytuałów.

*

Szef propagandy Joseph Goebbels wśród jej instrumentów stawiał znacznie wyżej radio niż prasę. Zdeterminowanym zwolennikiem propagandy radiowej był również sam Hitler, porównujący skutki jej działania do przygotowania artyleryjskiego przed atakiem piechoty. Za pomocą radia Joseph Goebbels – dobierając odpowiednio proporcje groźby, pochlebstw, półprawd i całkowitej nieprawdy – kształtował przekazywane treści w zależności od tego, do jakiej publiczności przekaz był kierowany. Sprawę ułatwiał fakt, że po przejęciu władzy przez Hitlera wszystkie bez wyjątku rozgłośnie radiowe znalazły się całkowicie pod kontrolą nazistów, podczas gdy znaczna część prasy jeszcze przez długi czas pozostawała własnością prywatną. Oczywiście samodzielność niepartyjnych dzienników była bardzo ograniczona, mimo wszystko jednak nie były one organami NSDAP, w przeciwieństwie do radia, gdzie naziści panowali niepodzielnie.

Zadania radia III Rzeszy określił krótko szef rozgłośni „Saarbrücken” Adolf Raskin: „W radiu nie może istnieć nic, co w ostatecznym rachunku nie służyłoby propagandzie”. I rzeczywiście, zdecydowaną większość niemieckiego społeczeństwa udawało się utrzymać w stanie permanentnej, fanatycznej euforii głównie przy pomocy radia. W związku z powyższym pod względem radiofonizacji III Rzesza prześcignęła wszystkie kraje, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Dużo szybciej niż ktokolwiek inny Niemcy zorientowały się, że młoda jeszcze stosunkowo technika radiowa stwarza nieograniczone wręcz możliwości oddziaływania propagandowego.

W 1939 roku III Rzesza dysponowała już trzydziestoma sześcioma rozgłośniami (dwa lata wcześniej ich liczba wynosiła zaledwie dwadzieścia pięć). Zgodnie z zarządzeniem władz przesączone propagandą dzienniki nadawano od tego roku siedem razy dziennie (wcześniej cztery razy). Obok prac na rzecz objęcia siecią radiową całego kraju, spory wysiłek szedł na stworzenie łączności między Rzeszą a mniejszościami niemieckimi za granicą oraz oddziaływanie propagandowe na ludność krajów będących – bądź też mających być w niedalekiej przyszłości – celem hitlerowskiej ekspansji. Już w marcu 1933 roku, dwa miesiące po objęciu władzy przez Hitlera, rozpoczęto nadawanie audycji do Ameryki Północnej, a wkrótce do Południowej, jak również Afryki i Azji. W programach przeznaczonych dla mniejszości niemieckiej specjalizowały się rozgłośnie w Königsbergu (Królewcu), Breslau (Wrocławiu), Lipsku i Monachium, a także centralna rozgłośnia Rzeszy „Deutschlandsender".

Ważnym elementem rozbudowy radiowego imperium propagandowego III Rzeszy stało się dosłowne zalanie wewnętrznego rynku tanimi odbiornikami, zwanymi *Volksempfänger*. Kosztowały zaledwie trzydzieści pięć marek, a dla tych, którzy mimo wszystko nie mogli sobie pozwolić na kupno, Goebbels stworzył specjalną fundację, przekazującą odbiorniki bezpłatnie. Większość z nich dostosowana była do odbioru jedynie stacji niemieckich, żeby ludziom nie mąciła w głowie zagraniczna propaganda. (Po wybuchu wojny wydano zakaz słuchania zagranicznych stacji, za którego łamanie groziła nawet kara śmierci).

Biedniejsi (dziesięć procent odbiorców) mogli również korzystać z prawa do zwolnienia z opłat, które i tak ogólnie były śmiesznie niskie. Nic więc w tym dziwnego, że w 1939 roku w całej ówczesnej Rzeszy, z Austrią i Czechosłowacją włącznie, było dwanaście i pół miliona abonentów radiowych (dane z czerwca tego roku), a w momencie wybuchu wojny siedemdziesiąt procent niemieckich gospodarstw mogło się wykazać posiadaniem własnego aparatu.

Zbiorowe słuchanie radia organizowano w domach kultury, wiejskich świetlicach i partyjnych lokalach. Cały kraj objęto siecią głośników

publicznych, instalowanych na dworcach, w restauracjach lub wprost na ulicy. Podczas gdy większość zachodnioeuropejskich rozgłośni kończyła nadawanie o północy, niemieckie programy prowadziły swoje audycje z reguły do drugiej, a nawet do trzeciej nad ranem.

Specjalnością hitlerowskiego radia były wyreżyserowane w najdrobniejszym szczególe transmisje z różnych wieców, parad i zjazdów, gdzie wykorzystywano bez reszty magię nowoczesnej techniki transmisyjnej, grając głownie na emocjach i uczuciach. Imprezy sportowe również zaliczały się do tego nurtu, a boks wzbudzał wśród nich zawsze największe emocje. Był najbardziej pierwotną formą walki. Zawsze liczyła się wielkość, dlatego mistrza wagi ciężkiej uważano za najsilniejszego i najgroźniejszego człowieka, przynajmniej w USA. A w USA znaczyło również: na świecie, z czym oczywiście nie bardzo godziły się hitlerowskie Niemcy. Najsilniejszy człowiek świata mógł być tylko Niemcem.

22 czerwca 1938 roku w Nowym Jorku „übermensch" miał walczyć z „podczłowiekiem". Bokserski pojedynek przekształcił się w starcie dwóch narodów. Dwóch filozofii. W walkę dobra ze złem. Hitlera z Ameryką.

Wprawdzie to hitlerowcy jako pierwsi na świecie wyzyskali w polityce na tak masową skalę strategię i metody znane dotychczas wyłącznie agencjom reklamowym, ale i Amerykanie nie pozostawali daleko w tyle. W Stanach Zjednoczonych królowała demokracja, Roosevelt jednak równie dobrze wiedział, jak silnym orężem jest socjotechnika i wszystko to, co się z nią wiąże. Swoje zwycięstwo w wyborach w 1932 roku zawdzięczał przecież w ogromnej mierze umiejętnie sterowanej propagandzie. Także i w dzisiejszym świecie sztuka politycznej promocji pozwala chwytliwymi sloganami maskować autorytarne zapędy i podejrzane interesy, a spece od brudnych tricków zamieniają społeczeństwo obywatelskie w bezwolną masę. Joe Louis był propagandowo równie cenny dla Franklina Delano, jak Max Schmeling dla Adolfa.

*

Za zdecydowanego faworyta pojedynku uchodził w oczach fachowców urzędujący champion, Joe Louis. Ale nie dalej jak dwa lata wcześniej, 19 czerwca 1936 roku, w ich pierwszym spotkaniu również większość stawiała na Amerykanina.

Maximilian Adolpf Otto Siegfried Schmeling urodził się 28 września 1905 roku w Brandenburgu, mieście położonym nad rzeką Hawelą, pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Berlina. Imię odziedziczył po ojcu, matką była *frau* Amanda Fuchs. Miał jeszcze młodsze rodzeństwo, brata Rudolpha oraz siostrę o imieniu Edith, która zginęła w wypadku samochodowym w wieku czternastu lat.

Mając również 14 lat, Max zmuszony był porzucić szkołę i zająć się pracą zarobkową. Przez trzy lata był gońcem w jednej z hamburskich gazet, potem poniosło go w szeroki świat. Przez kolejny rok pracował na farmie koło Duisburga, w kopalni węgla pod Düsseldorfem i w odlewni metali w Essen. W 1923 roku zatrudnił się jako „pompiarz” na stacji benzynowej w Mulheim. W mieście tym działał klub bokserski i zapaśniczy, którego członkiem został Max po kilku tygodniach pracy.

Początkowo trenował zapasy. Pewnego dnia, nie mogąc sobie dać rady z silniejszym i dużo bardziej doświadczonym zapaśnikiem, huknął go po prostu z całej siły w szczękę. Przeciwnika zniesiono nieprzytomnego z maty, a Schmeling został oczywiście zdyskwalifikowany, jako że zadawania ciosów zapaśniczy regulamin nie przewiduje.

Wydarzenie to okazało się dla Maxa brzemienne w skutki, od tego bowiem momentu zdecydował się zająć na serio boksem. Jako amator nie osiągnął wiele. Jego największym sukcesem było dotarcie do półfinału turnieju w Chemnitz, gdzie występując w wadze średniej, przegrał na punkty z Otto Nispulem. Szybko jednak podpisał zawodowy kontrakt i 2 sierpnia 1924 roku zadebiutował na ringu w Düsseldorfie, pokonując przez k.o. w szóstej rundzie Hansa Czappa. Po trzech kolejnych zwycięstwach przegrał niespodziewanie przed czasem w czwartym starciu z Maxem Dickmannem, lecz potem szło mu już dużo lepiej.

W 1925 roku do Europy zawitał urzędujący champion wszechwag, wspaniały „Młocarz z Manassy” – Jack Dempsey. Podczas pobytu w Kolonii przedstawiono mu niemiecką nadzieję wagi półciężkiej, Maxa Schmelinga. Obaj pięściarze stoczyli nawet ze sobą kilkurundową pokazówkę, po której Jack „Tygrys” zwrócił się do młodego rywala tymi oto słowami:

– Posłuchaj dzieciaku. Ty naprawdę potrafisz walczyć. Tak trzymaj. Trenuj pilnie, to może któregoś dnia zajmiesz nawet moje miejsce.

Wzięto wtedy te słowa Dempseya po prostu za kurtuazję, ale po latach miały się one okazać prorocze.

Tymczasem 24 sierpnia 1926 roku w Berlinie Max zrewanżował się Dickmannowi za porażkę sprzed dwóch lat i znokautował go już w pierwszym starciu, zdobywając tym samym tytuł mistrza Niemiec w wadze półciężkiej. W swej trzydziestej pierwszej walce znokautował 19 czerwca 1927 roku w Dortmundzie w czternastym starciu Belga Fernanda Delarge’a, zdobywając tytuł mistrza Europy wagi półciężkiej. Niemalże rok później, 4 kwietnia 1928 roku, pokonał na punkty Franza Diennera, wywalczając mistrzostwo Niemiec wagi ciężkiej, i popłynął na podbój Ameryki, przywożąc ze sobą sławę boksera, który odniósł trzydzieści dziewięć zwycięstw w czterdziestu pięciu walkach oraz rozbitą na szczęce Diennera prawą pięść.

Amerykańscy chirurdzy poskładali mu ją tak dobrze, że już 23 listopada mógł użyć tej pięści do znokautowania w ósmym starciu cenionego Joe Monte’a. Po pokonaniu Johnny’ego Risko i Paolino Uzcuduna uzyskał prawo do pojedynku z Jackiem Sharkeyem o opuszczony przez Gene Tunneya tron króla wszechwag.

Amerykanin wygrał wysoko trzy pierwsze rundy, a w czwartej posadził Schmelinga na macie precyzyjnym ciosem w splot słoneczny. Schmeling leżał bezwładnie na macie. Na wykrzywionej z bólu twarzy malował się najwyższy stopień oburzenia. Zaciskał kurczowo ręce na pachwinie i od czasu do czasu zezował to w kierunku swojego narożnika, to w stronę

arbitra Jima Crowleya. Był faul czy go nie było? Był! – zadecydował po dłuższych naradach Crowley. Uderzenie trafiło poniżej pasa.

W takich okolicznościach, leżąc na deskach, Max Schmeling zdobył 12 czerwca 1930 roku tytuł mistrza świata wagi ciężkiej. Był to pierwszy, i jak dotychczas jedyny w dziejach championatu wszechwag przypadek przejścia tytułu w ręce zawodnika, który skończył mecz w pozycji horyzontalnej.

*

3 lipca 1931 roku na „Cleveland Municipal Stadium” Max obronił swój tytuł, zmuszając do poddania Williama „Young” Striblinga. Nastąpiło to na czternaście sekund przed końcem ostatniej, piętnastej rundy.

21 czerwca 1932 roku stanął do rewanżowego pojedynku z Jackiem Sharkeyem. Po piętnastu rundach nudnej raczej i nieciekawej walki Max tryumfalnie podniósł w górę ramiona. Tym razem on był zawodnikiem zdecydowanie lepszym. Szeroki uśmiech ozdobił mu twarz. To było zwycięstwo, którego pragnął jak niczego innego na świecie. Speaker przestudiował pilnie podane mu przez sędziów karty punktowe. Chwycił w ręce mikrofon i oznajmił:

– Zwycięzcą i nowym championem jest… Jack Sharkey!

Schmeling otworzył usta ze zdumienia, jak gdyby w drewnianym kościele spadła mu na głowę cegła. Jego manager Joe Jacobs zastygł nieruchomo jak żona Lota. Kiedy wreszcie odzyskał głos, zaczął biegać po całym ringu, wrzeszcząc wniebogłosy:

– Obrabowali nas! Obrabowali!

Komisja bokserska Nowego Jorku została zmuszona przez Jacobsa do drobiazgowego śledztwa, ale kiedy kurz wokół pojedynku opadł, Max był dalej już tylko byłym mistrzem świata.

Rozbieżności w punktacji były niespotykane. Prowadzący walkę w ringu, wyśmienity dawniej pięściarz Edward „Gunboat” Smith, dał Sharkeyowi siedem rund, Schmelingowi trzy, a pięć uznał za remisowe. Sędzia George Kelly przyznał Sharkeyowi osiem rund, Schmelingowi zaś

siedem, natomiast trzeci sprawiedliwy, pan Charles F. Mathison, widział wygraną Maxa w stosunku 11:4.

Po utracie tytułu Schmeling jeszcze przez rok przebywał w Stanach. Znokautował w ósmej rundzie Mickeya Walkera, a potem przegrał z Maxem Baerem. Kolejna porażka, poniesiona z rąk Steve'a Hamasa, zachęciła go do powrotu do Niemiec. Ożenił się tam z piękną aktorką filmową Anny Ondrą i nie planował bynajmniej powrotu do Ameryki.

Tymczasem manager Louisa Mike Jacobs (brat Joego Jacobsa) widział go jako kolejnego przeciwnika dla Joe Louisa. Przez ostatnie dwa lata kibice w USA nie zdążyli jeszcze zapomnieć Schmelinga i na jego nazwisku ciągle można było zbić niezłą kasę. Poza tym stary mistrz przekroczył trzydziestkę i najlepsze lata dawno miał już za sobą, wobec czego dla idącego jak burza „Brązowego Bombardiera" nie powinien stanowić większego zagrożenia.

Bracia dogadali się w sprawach finansowych i po otrzymaniu telegramu Schmeling wsiadł na najbliższy statek odpływający z Bremen. Warunki finansowe były nie do pogardzenia, ale przede wszystkim zamierzał odzyskać swój tytuł mistrza świata, z którego go obrabowano, a który znajdował się obecnie w rękach Jima Braddocka. Ewentualne zwycięstwo nad Louisem mogło mu otworzyć do tego drogę. Zainstalował się w obozie treningowym w Napanoch i rozpoczął pilne przygotowania. Któregoś dnia odwiedzili go tam dziennikarze.

– Trzęsiesz portkami przed Louisem, co, Max? – zapytał go przedstawiciel „Chicago Tribune"

– Przed nikim nie trzęsę portkami – zdenerwował się Schmeling. – Zobaczycie, że spiorę tego waszego Louisa na kwaśne jabłko.

– Ciekawe, jak to zrobisz? – chciał wiedzieć inny żurnalista.

– W bardzo prosty sposób. Louis jest świetny w ataku, ale słaby w obronie. Tym razem to ja będę atakował.

– Ha, ha, ha – odpowiedział mu gromki śmiech kilku dziennikarzy. – Najpierw Joe musiałby ci na to pozwolić, a on nikogo nie dopuszcza do ataku.

– Tym razem będzie inaczej – zapewnił Max Schmeling. – Zobaczycie wszyscy. Już niedługo.

Przystępując do spotkania z Louisem, Niemiec miał stoczone pięćdziesiąt jeden walk, z których czterdzieści trzy wygrał, w tym trzydzieści dwie przed czasem, pięć przegrał, a trzy były remisowe. Na koncie „Brązowego Bombardiera" zaś widniało dwadzieścia siedem pojedynków, wszystkie zakończone jego zwycięstwem, z czego dwadzieścia trzy przez k.o. Schmeling przegrał trzy lata wcześniej – i to przez nokaut – z Maxem Baerem, a Louis sprawił niedawno temu samemu pięściarzowi tęgie lanie. Joe znajdował się ponadto – jak zawsze – w świetnej dyspozycji i był zdecydowanym faworytem tego meczu w stosunku 10:1.

Rozpoczął walkę bardzo skoncentrowany, często trafiał lewą. Po ciosie jednak opuszczał zbyt nisko rękę i kiedy tylko to czynił, Niemiec błyskawicznie karcił go swoją prawą. Jeden z takich prawych sierpów rzucił niespodziewanie Louisa w czwartej rundzie na deski. Schmeling boksował z zimną krwią, w sposób przemyślany i konsekwentny zdobywając w kolejnych starciach coraz wyższą przewagę. Joe tracił siły w chaotycznych atakach, a Max spokojnie cofał się i kontrował. Co chwila jego prawa pięść znajdowała ponad opuszczoną lewą ręką Louisa dostęp do szczęki rywala. To był rezultat dokładnego rozpracowania przez Maxa stylu walki Joe Louisa. Przed pojedynkiem Niemiec dziesiątki razy aż do znudzenia oglądał filmy z poprzednich spotkań „Bombardiera". Oglądał, analizował i wyciągał wnioski. Zauważył, że atakując, Joe obniża zawsze lewą rękę, odsłaniając podbródek. W tym właśnie upatrywał swojej szansy. To był wymarzony moment do ulokowania swojej prawej. Co zaplanował przed pojedynkiem, realizował teraz z żelazną konsekwencją.

W dwunastej rundzie Joe był już nieźle porozbijany. Dolna warga nabrała rozmiarów banana. Jego ciosy były nerwowe, niepewne, brak im było zupełnie ognia. Nigdy dotąd jeszcze nie walczył na tak długim dystansie. W pewnej chwili władował Schmelingowi potężny lewy sierp, dobre piętnaście centymetrów poniżej pasa. Arbiter Arthur Donovan

zareagował natychmiast. Louis poderwał się znów do ataku, lecz Max całą serią ciosów z obu rąk rzucił go na liny. Trzasnął prawym sierpowym jeszcze raz… I jeszcze raz… W głowie „Brązowego Bombardiera” eksplodowały miliony gwiazd. Był tak zamroczony, że zupełnie nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Słyszał, że coś upadło, ale nie wiedział, że to on sam. Czterdzieści dwa tysiące widzów na „Yankee Stadium” wydało z siebie przeciągły, głośny jęk. Joe Louis klęczał na deskach, usiłując rozpaczliwie wspiąć się po linach na nogi. Nie dał rady. Gdzieś z oddali, jakby zza gęstej mgły, dotarł do niego stłumiony głos arbitra:

– *Ten! And you are out!*[12]

*

Powrót Maxa Schmelinga do Berlina stał się wielkim świętem hitlerowskiej propagandy. Setki tysięcy ludzi witały swego bohatera kwiatami i wzniesionymi w górę w tradycyjnym pozdrowieniu prawicami: *Heil!, Heil!, Heil!* Czerwone flagi ze swastyką dumnie łopotały na wietrze. W kilka tygodni później podczas otwarcia Igrzysk Olimpijskich wejście idola na trybunę honorową berlińskiego stadionu powitano głośną owacją i brawami na stojąco.

Joseph Goebbels był oczarowany. Niemcy potrzebowali idoli, wzorów do naśladowania, ludzi zdolnych pociągnąć za sobą tłumy. Największym był oczywiście sam Führer, wyrastający ponad wszelką przeciętność, ponad wszelkie ludzkie słabości. Wegetarianin, abstynent, stroniący od kobiet, żyjący w samotności i prostocie. Pół mnich, a pół żołnierz, wyrzekający się życia osobistego, poświęcający je całkowicie dla dobra partii i narodu. Wykreowana przez Goebbelsa sylwetka wodza wydawała się być istotą z innego świata. Ale było miejsce i dla innych herosów, takich właśnie jak Max, pod którego pięściami padali najmocniejsi wojownicy na planecie. Totalitarna partia nazistowska pierwsza nauczyła się pozyskiwać wyborców za pomocą chwytów psychologicznych, jakie po wojnie zaczęto stosować w rozwiniętych i światłych demokracjach.

Adolf Hitler był również zachwycony sukcesem Schmelinga. Oto właśnie dowiedziono, że Niemcy bez wątpienia są rasą panów. Max wraz z żoną zostali honorowymi gośćmi podczas uroczystego obiadu, wydanego przez Führera w jego rezydencji w zameczku górskim Berghof, w Obersalzber koło Berchtesgaden.

– Los przeznaczył mnie do tego, bym nikczemnie puszczone w ruch przez rewolucję francuską oraz przez rewolucję bolszewicką koło historii osadził z powrotem na właściwej osi – powiedział wtedy Hitler. – Dokonam tego, odegram tę rolę od początku do końca. Świat może być tego pewien. – W oczach wodza znowu pojawiły się owe niebezpieczne błyski, które napełniały Maxa podziwem i strachem. – My nie będziemy uprawiali krwawego procederu zemsty z takim dyletantyzmem jak Francuzi czy Rosjanie. Będziemy to robili z niemiecką żelazną dokładnością. Potoczą się głowy, tylko że będzie ich o wiele więcej. Będzie to olbrzymia, sięgająca dachów piramida.

Ostatnie słowa wypowiedział niemal szeptem, ale z dzikim nasileniem. Teraz spoglądał przed siebie zdecydowanie i w zachwyceniu. Max pobladł. Doznał takiego uczucia, jak kiedyś, przed wieloma laty, kiedy jako chłopak szedł po wąskiej krawędzi, ostrożnie stawiając nogi, pełen lęku, a równocześnie poczucia szczęścia, że tak kroczy od jednego niebezpiecznego wierzchołka ku drugiemu.

Hitler zauważył, jakie wrażenie wywarły na Schmelingu jego wizje. Ucieszył się. Znowu stał się przyjacielski, zaczął nawet żartować:

– Panu jest łatwiej, drogi Maxie – powiedział z uśmiechem. – Panu jest dane dokonywać zemsty jedynie za pomocą pięści. I ja pragnąłbym tego.

Louis natomiast był załamany. Zrobił, co mógł, ale tej nocy za Maxem Schmelingiem stali wszyscy germańscy bogowie. Thor z rodu Azów – władca burzy i piorunów wyposażył prawą rękę Maxa w kilka swoich gromów, zaś bóg wojny Odyn, stary cwaniak i mistrz czarów, czuwał nad taktyczną stroną walki. Nad ringiem, jak nad polem bitwy, unosiła się Walkiria, jedna z dziewic Odyna, wybierających tych, którzy mieli polec. Tym razem wybrała Joe Louisa.

Niczego nie pragnął bardziej jak rewanżu.

– Nie będę się uważał za prawdziwego championa, dopóki powtórnie nie spotkam się ze Schmelingiem i nie zrehabilituję za doznaną z nim porażkę – powtarzał przy okazji każdego niemal wywiadu.

Tymczasem Max już kilka razy na ponawiane propozycje Jacobsa odpowiadał krótko:

– *Nein!*

Od czasu sławetnego zwycięstwa nad „Brązowym Bombardierem" stoczył trzy zwycięskie pojedynki ze słabszymi przeciwnikami. Większość czasu spędzał w zakupionym w 1937 roku majątku Ponikiel, znajdującym się na terenach dzisiejszego Pojezierza Pomorskiego, niedaleko miejscowości Hammersmühle (obecne Kępice, powiat słupski). Było to prawie tysiąc hektarów gruntu, z czego 80% stanowiły lasy, głównie sosnowe z domieszką niewielkiej ilości buków, olch, brzóz i dębów. Schmeling nabył je za sumę osiemdziesieciu tysięcy marek od Jesko Ludwiga Günthera Nikolausa barona von Putkamera, z polecenia pana Ludolfa von Alvensliebena, asystenta marszałka Göringa.

Kiedy w sierpniu przyjechał tam po raz pierwszy wraz z małżonką, na widok schowanej pośród leśnej głuszy posiadłości Annie Ondra zalała się rzewnymi łzami. Z czasem jednak polubiła to miejsce tak bardzo, że oboje z Maxem nazywali je rajem na ziemi. Lasy słynęły z obfitości zwierza, przede wszystkim jeleni, a także zajęcy, dzików, lisów i borsuków. Nad okolicznymi jeziorami i bagnami spotykało się czaple siwe, czarne bociany, perkozy, siewki i wiele gatunków kaczek. Schmeling, zapalony myśliwy, namiętnie oddawał się polowaniom, w których często towarzyszył mu trener, Max Machon, mający ponadto za zadanie przygotować boksera do kolejnych potyczek. Jednak walka z idącym jak burza przez światowe ringi Joe Louisem w najmniejszym nawet stopniu nie wchodziła w rachubę.

W końcu jednak Mike Jacobs dopiął swego. Zwykle osiągał to, co chciał. Skuszony możliwością odzyskania tytułu mistrzowskiego i czekiem na 175 tysięcy dolarów, Schmeling wyraził zgodę. Championowi zagwarantowano zarobek w wysokości 350 tysięcy.

*

W Wiedniu był już 23 czerwca, godzina 3.00 rano. W Nowym Jorku przedstawiono publiczności i zgromadzonym przy radioodbiornikach słuchaczom obu bohaterów dzisiejszego wieczoru. Walka, którą śledził pilnie cały świat, miała się za chwilę rozpocząć. *Via* Hamburg Niemcy transmitowali ją przez wszystkie swoje rozgłośnie.

Przewidziana była na piętnaście rund, co dawało łącznie czterdzieści pięć minut plus czternaście minut na przerwy międzyrundowe. W sumie więc godzinne słuchowisko. Hamburski spiker zapowiedział transmisję z Nowego Jorku wyjątkowo uroczystym i podniosłym tonem, w którym odczuwało się wyraźnie pewność zwycięstwa. Potem z bardzo daleka na załamującej się fali dźwięku, niby na nadpływającej i odpływającej fali Atlantyku, dobiegał nas głos ringowego announcera, który obwieścił, że pierwszy znalazł się między linami Max Schmeling, a za nim Joe Louis.

Z całej transmisji Skorzeny usłyszał jeszcze dźwięk gongu na rozpoczęcie walki i zaraz potem nieartykułowany wrzask, który się wznosił i opadał, ale trwał nieprzerwanie. Nie można było wyłowić ani jednego zrozumiałego słowa. Wyglądało to na jakieś poważne, a nieoczekiwane zakłócenia w odbiorze. Bezskutecznie próbował regulować radioodbiornik. I raptem w głośniku zaległa kompletna cisza.

Po upływie może pół minuty rozległ się zupełnie wyraźny, ale jakoś odmieniony w brzmieniu głos hamburskiego spikera:

– Z Nowego Jorku przeprowadziliśmy transmisję z meczu bokserskiego o mistrzostwo świata pomiędzy Maxem Schmelingiem a Joe Louisem… – I po chwili przerwy – *Heil Hitler!*

To było wszystko! Nie podano wcale wyniku walki! Cóż to mogło znaczyć? W tym wypadku swoją wyższość okazała prasa. Z jej to łamów następnego dnia Otto poznał wynik i przebieg pojedynku.

Reprezentujący Amerykę Joe Louis powitany został długo niemilknącą wrzawą i brawami. Na przeciskającego się do ringu przedstawiciela Herrenvolku spadł deszcz pomarańczowych skórek i plastykowych

kubków. Natychmiast po gongu Joe wyprysnął ze swojego narożnika jak eksplodujący granat, zasypując Schmelinga gradem ciosów. Max poczuł, że znajduje się pod ścianą walącego się budynku. Całą przestrzeń wokół wypełniały fruwające odłamki, które raniły boleśnie, bardzo boleśnie. Próbował stopować przeciwnika lewym prostym, ale równie dobrze mógłby chcieć zatrzymać pędzącą ciężarówkę. Skontrował prawą i trafił, ale Louis nawet nie mrugnął powieką. Popędził Niemca przed sobą i przyparł go do lin. Tam straszliwy prawy hak z dołu i ponowny prawy sierp na szczękę mało nie urwały Schmelingowi głowy. Złapał się za liny, aby nie upaść. Sędzia krzyknął: *Break!* Joe odstąpił krok do tyłu. To było zupełnie jak w *Requiem* GiuseppeVerdiego *Dies irae* (Dzień gniewu):

Dzień gniewu, dzień wściekłości, świat w popiół przemieni…
Wszystko zadrży straszliwie, gdy przybędzie sędzia
Rozpadnie się i w proch zamieni.

Wielu z siedemdziesięciu tysięcy zgromadzonych widzów poprawiło się wygodniej na swych krzesłach. Niektórzy sięgnęli do kieszeni po cygara, trzasnęli zapałkami o draskę i… przegapili walkę, tak szybko wszystko się stało. Następna straszna seria Louisa rzuciła Maxem o deski, aż się przeturlał. Ambitny Niemiec zerwał się natychmiast, ale stawiał nogi niczym oszalały paralityk i przenosił ciężar ciała raz na jedną, raz na drugą stronę, chcąc za wszelką cenę utrzymać równowagę. Joe przyłożył mu kolejny raz, solidnie i z uczuciem. Max znowu zapoznał się z deskami. Wstał „na pięć”, ale Louis momentalnie dopadł go i ponownie skosił z nóg straszliwym sierpem. Przy „czterech” trener Schmelinga Max Machon rzucił na ring ręcznik. Walka, którą śledził pilnie cały świat, trwała zaledwie dwie minuty i cztery sekundy.

Po spotkaniu Niemiec twierdził, że został sfaulowany ciosem w nerkę, co zupełnie go sparaliżowało i doprowadziło do porażki, ale tę opinię podzielał obok niego tylko Adolf Hitler. Adolf znał się na pewno na polityce, ale o boksie nie miał zielonego pojęcia. Podobno w chwili, gdy

rozpoczynała się walka, nadeszła do Schmelinga depesza podpisana przez Führera: – „Pozdrawiam mistrza świata!”. Doręczono ją adresatowi już po meczu w szatni.

Poproszony o komentarz „Brown Bomber” udzielił przedstawicielom prasy bardzo krótkiego wywiadu. Składał się tylko z pięciu słów: „Teraz możecie nazywać mnie championem!”.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że sami główni aktorzy tego spektaklu nienawiści byli i pozostali dobrymi przyjaciółmi. W 1970 roku Max został nawet zaproszony przez Joego do Las Vegas na przyjęcie z okazji jego pięćdziesiątych urodzin. Sześćdziesięciopięcioletni wtedy Schmeling powiedział o ich pojedynku:

– To była tylko zwykła prasowa propaganda. Normalne postępowanie, żeby sprzedać jak najwięcej biletów. W Niemczech nigdy nie było żadnych słów krytyki pod adresem Louisa, ani politycznych, ani rasistowskich. Nigdy nie traktowałem tej walki jako spotkania „lepszego” człowieka z „gorszym”.

Trzydzieści z górą lat zabrało Maxowi dojście do takiego wniosku. Powinien był powiedzieć to Louisowi tej czerwcowej nocy 1938 roku, być może Joe potraktowałby go wtedy nieco delikatniej.

Po fatalnym dla siebie rewanżu z Louisem Schmeling przez cały rok odpoczywał i wyszedł na ring dopiero w lipcu 1939 roku w Stuttgarcie. Zdobył wtedy tytuł mistrza Europy wszechwag, nokautując już w pierwszej rundzie swego rodaka Adolfa Hausera. Dwa miesiące później wybuchła wojna.

20 maja 1941 roku wojska niemieckie rozpoczęły powietrzno-morską operację desantową „Merkur”, mającą na celu zajęcie greckiej wyspy na Morzu Śródziemnym – Krety, bronionej przez czterdzieści jeden tysięcy żołnierzy brytyjskich, australijskich, nowozelandzkich i greckich. Czterysta trzydzieści samolotów bombowych i sto dziewięćdziesiąt myśliwskich VIII korpusu lotniczego, dowodzonego przez generała Wolframa Richthofena, zasypało lawiną ognia pozycje broniących się aliantów, po czym Niemcy przeprowadzili desant powietrzny. Do końca dnia siedem tysięcy żołnierzy

z 7. Dywizji Spadochronowej i 5. Dywizji Górskiej z XI korpusu dowodzonego przez generała-leutnanta Kurta Studenta wylądowało na spadochronach i szybowcach w najważniejszych punktach wyspy: na brzegach zatoki Suda i na lotniskach: Maleme, Heraklion i Rethymnon.

W nocy z 21 na 22 maja do brzegów wyspy zbliżyły się dwie niemieckie eskadry inwazyjne, liczące po około trzydziestu jednostek, ale zostały odparte przez okręty dwóch zespołów brytyjskiej Floty Aleksandryjskiej. W tej zaciętej bitwie morskiej Niemcy stracili prawie pięć tysięcy ludzi i ciężki sprzęt, ale samoloty bombowe zatopiły trzy niszczyciele brytyjskie i dwa krążowniki oraz uszkodziły kilka innych jednostek, w tym pancerniki „Valiant" i „Warspite", zmuszając okręty brytyjskie do wycofania.

Obrońcy Krety, pozbawieni ciężkiego sprzętu, broni i osłony przeciwlotniczej, nie mogli długo stawiać skutecznego oporu. Po krwawych bojach zostali w dniach od 28 maja do 1 czerwca ewakuowani. W czasie walk na Krecie straty alianckie wyniosły cztery tysiące zabitych i rannych, Niemcy stracili sześć tysięcy pięciuset trzydziestu trzech zabitych i rannych oraz dwieście trzydzieści samolotów.

Wśród lądujących na Krecie spadochroniarzy 7. Dywizji znalazł się Maximilian Schmeling. W trakcie walki został trafiony aliancką kulą.

„Max Schmeling zginął na Krecie" – podały nazajutrz niemieckie gazety, ale było w tym tyle prawdy, ile w całej hitlerowskiej propagandzie. Bokser został jedynie – chociaż ciężko – ranny w obie nogi i trafił do szpitala. W późniejszym czasie wycofano go w ogóle z frontowej służby.

Po zakończeniu działań wojennych Schmeling pomimo przekroczonej czterdziestki zdecydował się w 1947 roku na wznowienie pięściarskiej kariery. Stoczył jeszcze pięć walk, z których trzy wygrał, a dwie przegrał. Po zakończeniu kariery dał się poznać jako obrotny biznesmen. Prowadził liczne interesy zarówno w Europie, jak i Ameryce. Przez długi czas był przedstawicielem na Niemcy koncernu „Coca-Cola".

Zmarł 2 lutego 2005 roku w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, ciesząc się do końca w swoim kraju wielkim szacunkiem. W ceremonii pogrzebowej w hamburskim kościele St. Michaelis wzięło udział ponad

dwa tysiące osób, w tym znane osobistości ze świata polityki, kultury, gospodarki i sportu, a wśród nich minister spraw wewnętrznych Otto Schilly, Franz Beckenbauer, Uwe Seeler, bokserzy Władymir Kliczko, Dariusz Michalczewski i Henry Maske, a także mistrz olimpijski w dziesięcioboju Christian Schenk[13].

*

Trzy miesiące wcześniej, zanim w Nowym Jorku odbył się opisany wyżej pojedynek bokserski, w ojczyźnie Otto Skorzenego rozegrały się daleko ważniejsze wypadki.

Przez cały okres międzywojenny w Austrii narastały tendencje do *anschlussu* z Rzeszą. Niemieckie słowo *anschluss* oznacza przyłączenie. Wprawdzie traktat wersalski wyraźnie tego zakazywał, ale po zdobyciu przez Hitlera władzy w Niemczech dążenia te bardzo wyraźnie się nasiliły. Pierwszą próbę hitlerowskiego puczu w Austrii uniemożliwił Benito Mussolini, który skoncentrował armię włoską na granicach z Austrią i Niemcami. Wobec późniejszego zbliżenia pomiędzy faszystowskimi Włochami a III Rzeszą austriaccy hitlerowcy rozpoczęli przygotowania do nazistowskiego przewrotu w Wiedniu. Jednocześnie Austrię zmuszono do zawarcia wielu niekorzystnych układów z III Rzeszą.

12 lutego 1938 roku podczas spotkania Adolfa Hitlera z austriackim kanclerzem Kurtem von Schuschniggiem w Obersalzberg w pobliżu Berchtesgaden rozegrała się walka o przyszłość Austrii. Hitler wymagał od swojego gościa wprowadzenia w życie zapisów zawartych w traktacie z 11 lipca 1936 roku, który przewidywał amnestię dla wszystkich uwięzionych nazistów, połączenie obydwu krajów i prowadzenie przez Austrię „polityki niemieckiej”. Von Schuschnigg, uprzedzony o intencjach Hitlera przez nazistów wiedeńskich, obawiał się inwazji Wehrmachtu na Austrię. Zaproponował więc Hitlerowi memorandum „wypunktowanych akcji”, które zawierać miało najważniejsze cechy traktatu z 1936 roku. Hitler odrzucił to memorandum. Mimo to von Schuschnigg zaakceptował wiele

żądań, które wystawiły Austrię na niebezpieczeństwo: obiecał amnestię dla nazistów najpóźniej do 18 lutego, zgodził się na wejście w skład rządu osoby oddanej sprawie nazistów. Człowiekiem tym miał być nie tyle nazista, ile germanofil, Arthur Seyss-Inquart.

Zaledwie w miesiąc po negocjacjach w Berchtesgaden kanclerz Austrii musiał ustąpić przed polityką agresji Adolfa Hitlera. Wydarzenia potoczyły się szybciej od 9 marca, kiedy von Schuschnigg ogłosił na 13 marca referendum, w którym naród austriacki miał się wypowiedzieć na temat swojej przyszłości. Po otrzymaniu tej wiadomości Berlin skontaktował się z Seyss-Inquartem, mianowanym w lutym na żądanie Hitlera ministrem spraw wewnętrznych, stawiając mu jednocześnie ultimatum, w którym domagał się przełożenia referendum. Kanclerz początkowo odmówił, podał jednak do wiadomości, że wojska niemieckie zbliżają się do granic austriackich. W drugim ultimatum Berlin zażądał dymisji von Schuschnigga.Nowym kanclerzem, mianowanym przez prezydenta Wilhelma Miklasa, został poparty przez socjaldemokratów austriackich Arthur Seyss-Inquart, który o godzinie 20.18 zaapelował przez radio do ludności o zachowanie spokoju, wysyłając jednocześnie telegram do Hitlera z prośbą o pomoc wojskową. O godzinie 20.45 Hitler podpisał rozkaz interwencji.

Nocą 12 marca wojska niemieckie pokonały granicę austriacką dokonując *anschlussu*. O godzinie 1.30 z balkonu kancelarii parlamentu ogłoszono utworzenie rządu nazistowskiego. Stanowiło to realizację starego marzenia Niemców o Wielkiej Rzeszy. Niemcy użyli do akcji zajęcia Austrii około stu pięciu tysięcy żołnierzy Wehrmachtu, około czterdziestu tysięcy esesmanów oraz policjantów i jednostki lotnicze (łącznie około dwustu tysięcy ludzi). Jak się okazało, całkiem niepotrzebnie, bo wkraczająca do Austrii armia niemiecka nie napotkała żadnego oporu, wprost przeciwnie, przyjęto ją tam radośnie. Jeszcze tego samego dnia Hitler przyjechał do Wiednia, przekroczywszy granicę w swoim rodzinnym mieście Brunau-am-Inn. Powitał go nowy kanclerz, Arthur Seyss-Inquart, wyrażając życzenie „przywrócenia Austrii ojczyźnie – Rzeszy

Niemieckiej”. W ciągu siedmiu dni wywieziono do obozów koncentracyjnych siedemdziesiąt sześć tysięcy ludzi, głównie działaczy lewicowych i katolików.

Mocarstwa zachodnie ograniczyły się jedynie do złożenia not protestacyjnych. Wielka Brytania stosowała wobec Hitlera politykę *appeasement*, co oznacza uspokajanie, łagodzenie, dążenie do pokoju. Politykę tę Winston Churchill określił obrazowo jako „karmienie krokodyla”.

*

„Byłem jeszcze z towarzyszami przed Urzędem Kanclerskim, kiedy Seyss-Inquart pojawił się na balkonie – wspominał Otto Skorzeny. – Powitała go wspaniała owacja. Zrozumieliśmy, że został kanclerzem. Wygłosił krótkie przemówienie, z którego we wrzawie nie usłyszeliśmy ani słowa. Nagle zapadła wielka cisza i odkrywszy głowy ogromny tłum zaśpiewał hymn niemiecki. Nigdy nie zapomnę tej chwili, która była zadośćuczynieniem za wiele kłopotów, poświęceń i poniżeń.

Czytałem, że przy tej okazji «złamano zasady demokratyczne». Przecież w Austrii nie było nawet cienia demokracji. Kanclerz Dollfuss rozwiązał parlament w marcu 1933 roku. Miklas mianował Schuschnigga kanclerzem po tragicznej śmierci Dollfussa bez konsultacji z kimkolwiek. Żeby zrozumieć naszą postawę, niezbędna jest dobra wola i choćby pobieżna znajomość historii […].

Widzę się jeszcze podczas tej pamiętnej nocy w towarzystwie moich druhów z Deutscher Turnerbund [Niemieckiej Organizacji Gimnastycznej]. Byliśmy w pogotowiu od wczesnego popołudnia, ubrani w okrycia alpinistów, mogące od biedy uchodzić za kurtki mundurowe, oraz bryczesy lub spodnie narciarskie. Nie mieliśmy opasek. Byliśmy tak szczęśliwi, że nie czuliśmy ani głodu, ani zimna”.

W pewnym momencie Skorzeny usłyszał, jak ktoś go woła:

– Otto, Otto!

To był Bruno Weiss, prezes Deutscher Turnerbund. Wydawał się bardzo zdenerwowany.

– Czy ma pan do dyspozycji samochód, inżynierze Skorzeny? – zapytał.

– Tak, mam.

– To znakomicie. Szczęście, że pana spotkałem. Potrzebujemy właśnie rozsądnego i spokojnego człowieka z samochodem.

– W czym rzecz, prezesie?

– Czy widział pan przed chwilą wielką, czarną limuzynę?

– Owszem, widziałem.

– W środku jest prezydent Wilhelm Miklas – prezes ściszył głos. – Wraca do swojego pałacu przy Reisnerstrasse, obsadzonego przez oddział Batalionu Gwardii. Dowiedzieliśmy się właśnie, że oddział Sturmabteilungen z Florisdorfu otrzymał rozkaz wyjazdu na Reisnerstrasse, gdyż prezydent także powinien być chroniony przez nowy rząd. W żadnym wypadku nie wolno dopuścić do starcia pomiędzy Batalionem Gwardii a SA. Pan mnie rozumie?

– Oczywiście, drogi prezesie – zapewnił go Skorzeny. – Ale ja nie mam ani odpowiedniej władzy ani żadnego upoważnienia do…

– W imieniu nowego kanclerza powierzam panu obowiązek udania się na Reisnerstrasse i spokojnego, lecz zdecydowanego interweniowania w celu uniknięcia jakichkolwiek incydentów – przerwał mu Weiss. – Niech pan zabierze kilku towarzyszy, ale proszę nie tracić nawet minuty. Uprzedzę kanclerza, że powierzyłem panu tę misję. Kiedy już pan tam dojedzie, proszę zadzwonić do Urzędu Kanclerskiego.

– Jak pan sobie życzy, prezesie.

– Dziękuję. A teraz niech pan już jedzie, drogi inżynierze. Każda minuta jest na wagę złota.

Podczas *anschlussu* Miklas stawił najtwardszy opór kapitulacji wobec III Rzeszy, nawet po wymuszonej zgodzie kanclerza von Schuschnigga. Ponadto był bardzo niepopularny wśród nazistów, albowiem po wspomnianym wyżej puczu odmówił skorzystania z prawa łaski wobec ich kolegów skazanych na śmierć przez powieszenie.

Skorzeny zebrał dziesięciu towarzyszy, z których część upchnęła się w jego samochodzie, reszta zaś wskoczyła na własne motocykle. Pod pałac prezydencki przybyli dokładnie w tym samym momencie, kiedy wjeżdżał do niego Wilhelm Miklas. Skorzeny wydał rozkaz zamknięcia głównej bramy. Z galerii na pierwszym piętrze wyskoczył jakiś młody podporucznik Batalionu Gwardii, wymachując pistoletem. Krzyki gwardzistów i członków otoczenia prezydenta oraz pojawienie się prezydenckiej małżonki sprawiły, że zamieszanie sięgnęło szczytu. Od strony ulicy narastał hałas. Ludzie z SA wyskakiwali z ciężarówek, domagając się otwarcia bramy.

– Proszę o ciszę! – wrzasnął Skorzeny.

– Ładuj broń! – rozkazał podporucznik swoim ludziom.

– Spokój, panowie! – powtórzył Skorzeny. – Panie prezydencie, proszę mnie wysłuchać – zwrócił się do Miklasa.

Prezydent spojrzał na niego zaskoczony.

– Kim pan jest i czego pan chce?

– Inżynier Otto Skorzeny. Jestem wysłannikiem kanclerza federalnego, który polecił mi czuwać nad pańskim bezpieczeństwem.

– Ma pan jakiś dokument potwierdzający ten fakt? – Miklas nie wydawał się przekonany.

– Niestety nie, nie było na to czasu. Ale proszę zatelefonować do kanclerza. Z pewnością powie, że jestem tu z jego polecenia.

Na szczęście prezes Weiss zrobił to, co obiecał, i Seyss-Inqart potwierdził w rozmowie z Miklasem wyznaczone Skorzenemu zadanie. Nowy kanclerz rozmawiał przez chwilę z prezydentem, po czym poprosił o oddanie słuchawki Skorzenemu.

– Gratuluję panu zdecydowanej postawy – powiedział. – Do czasu otrzymania nowych rozkazów proszę, aby objął pan dowództwo oddziału Batalionu Gwardii czuwającego nad bezpieczeństwem wewnątrz siedziby prezydenta.

– A co z SA? – zapytał Skorzeny.

– Oddział SA zapewni bezpieczeństwo na zewnątrz – usłyszał odpowiedź.

„Przez trzy dni i trzy noce wypełniałem skrupulatnie moją misję ku ogólnemu zadowoleniu – pisze Skorzeny. – Nie zdarzył się żaden incydent. Wszystko zakończyło się gorącym uściskiem dłoni kanclerza Seyss-Inquarta. Byłem wówczas jeszcze młody, toteż nieco naiwnie myślałem, że wszedłem do aktywnej polityki nie tylko przez przypadek, ale głównym wejściem”.

*

Tak przynajmniej opisał wypadki, które zaszły po *anschlussie* Austrii, i sprawę ochrony prezydenta Miklasa sam bohater tej książki. Czy tak było naprawdę? Trudno powiedzieć. W swych wspomnieniach zatytułowanych *Nieznana wojna* autor dość często rozmija się z rzeczywistością i prawdą historyczną, budując sobie przy okazji coś w rodzaju małego pomniczka. Pisze na przykład: „Kampania polska trwała tylko osiemnaście dni”. Niezorientowanym w temacie należy w tym miejscu przypomnieć, że walki nad Bzurą zakończyły się 22 września, Warszawa skapitulowała 27 września, a twierdza Modlin – 28. Ostatnie walki stoczyła samodzielna grupa operacyjna Polesie, dowodzona przez generała brygady Franciszka Kleeberga, w dniach 2–5 października.

Wyżsi oficerowie SS to dla Skorzenego niemalże bez wyjątku „ludzie honoru”.

Wzruszające są wywody Skorzenego uzasadniające przyczyny, z powodu których Niemcy nie zdołali wyprodukować w odpowiednim czasie bomby atomowej. Otóż stało się tak dlatego, iż jej przeciwnikiem był pewien kontrowersyjny polityk niemiecki, wielki humanista i człowiek gołębiego serca, nazwiskiem… Adolf Hitler. „Hitler nie był zachwycony ewentualnością, że ziemia pod jego panowaniem mogłaby się zamienić w rozżarzoną gwiazdę”.

Do łez doprowadza cytowany we wspomnieniach bohatera tej książki fragment jego rozmowy z Führerem na ten temat:

„Hitler wbił we mnie błyszczący, gorączkowy wzrok i odrzekł:

– Czy pan wie, Skorzeny, że gdyby użyć energii uwolnionej przez rozszczepienie atomu i wykorzystać radioaktywność do celów wojskowych, byłby to koniec tej planety?

– Efekty mogłyby być straszne…

– Byłyby na pewno! Załóżmy, że radioaktywność mogłaby być kontrolowana, a następnie użyta jako broń. Także wtedy skutki byłyby katastrofalne. Kiedy był u mnie doktor [Fritz] Todt, przeczytałem, iż jedna bomba, której radioaktywność byłaby w zasadzie kontrolowana, mogłaby uwolnić energię o sile porównywalnej do wielkich meteorytów, które spadły w Arizonie i na Syberii, nad jeziorem Bajkał. Oznacza to, że każdy rodzaj życia, nie tylko ludzki, ale także zwierzęcy czy roślinny, zostałby zniszczony w promieniu czterdziestu kilometrów. Byłaby to apokalipsa. A poza tym, czy można utrzymać taki sekret? To niemożliwe! Nie! Żaden naród ani żadna grupa cywilizowanych ludzi nie może świadomie przyjąć takiej odpowiedzialności. Przecież po następujących po sobie atomowych uderzeniach i przeciwuderzeniach ludzkość sama by się unicestwiła. Być może tylko ludy mieszkające nad górną Amazonką lub w dżungli Sumatry miałyby szansę przetrwania”.

Według Skorzenego bomby atomowej zdecydowali się użyć dopiero ci straszni Amerykanie w atakach na Hiroszimę i Nagasaki: „Był to akt bezcelowy, albowiem cesarz Japonii już wcześniej kazał zapytać Amerykanów o ich warunki zawarcia pokoju”.

A wracając do *anschlussu*, to rzetelne materiały historyczne na jego temat nic nie wspominają o Skorzenym. Akcję obezwładniania całego systemu władzy państwowej i zajęcia najważniejszych punktów w Wiedniu na rozkaz Berlina prowadziły w austriackiej stolicy bojówki SS Standarte 89. Jeżeli więc nawet robił to, co pisze, to jako członek tej jednostki, a nie „gimnastyk” z Deutscher Turnerbund.

*

Triumfalny wjazd Hitlera do Wiednia Otto oglądał z bardzo wysoka, bo z rusztowania wzniesionego w celu odnowienia jednego z muzeów przy Ringstrasse, reprezentacyjnej ulicy Wiednia, otaczającej centrum miasta. „Moi robotnicy wykazywali jeszcze więcej entuzjazmu – wspominał Skorzeny. – Rozumiałem ich. Przyjmowali jednego ze swoich, jednego z naszych. Z wysokości rusztowania patrzyliśmy na nadzwyczajnego człowieka. Warto może przypomnieć, że w Wiedniu przymierał głodem. Oto, w naszej obecności, zajmował w naszej historii miejsce największych władców Austrii […]".

Hitler przybył tam w poniedziałek 14 marca po godzinie 17.00 witany owacyjnie przez niezliczone tłumy. Było morze sztandarów, niekończące się brawa, wojskowa orkiestra i kwiaty, którymi ludzie obrzucali samochód Führera. Na spotkanie wyjechała delegacja członków rządu austriackiego z niemieckim ministrem spraw wewnętrznych doktorem Wilhelmem Frickiem oraz przywódcami narodowych socjalistów. Na granicy miasta kanclerz Niemiec powitany został przez burmistrza Wiednia i delegację zarówno niemieckich, jak i utworzonych tymczasem austriackich SA i SS. Gęsto wzniesione w hitlerowskim pozdrowieniu ręce, nieustające wiwaty i okrzyki towarzyszyły wolno posuwającemu się wśród objawów niebywałego entuzjazmu korowodowi. Samochody Hitlera i jego świty poprzedzały formacje oddziałów Reichswehry, wojska austriackiego, SS i SA.

Cały hitlerowski Wiedeń wyległ na ulice. Gmachy urzędów i budynki mieszkalne przystrojono odświętnie, z dachów powiewały w nieskończonej liczbie chorągwie ze swastyką. „Nigdy nie zdołałem zrozumieć, gdzie moi rodacy znaleźli dziesiątki tysięcy flag ze swastyką – pisał Skorzeny. – Prawdopodobnie każda rodzina przechowywała jedną lub dwie w przewidywaniu «gwałtu na Austrii» […]. W pewnym momencie przeszedł przez niezliczony tłum szmer podniecenia; pojawiła się osobista gwardia Führera – SS Leibstandarte «Adolf Hitler». Postawa żołnierzy

zrobiła na nas wrażenie. Nie przypuszczałem, że już niebawem znajdę się w jej szeregach”.

Wszystko zlewało się ze sobą – czarne groźne swastyki w białych kołach na podniecająco krwawoczerwonych płótnach sztandarów, brunatne mundury, hałas, wyziewy i tępa żądza masy czekającej, by wywrzeszczeć swój entuzjazm dla Führera, niemieckiego Mesjasza.

Entuzjazm tłumów wzmógł się, kiedy błękitny mercedes, wiozący ubranego w brązowy mundur wodza, zbliżył się do śródmieścia. Powoli wśród niemilknącej wrzawy podjechał do placu Schwarzenberga, pod hotel „Imperial”, gdzie przygotowano kwaterę. Wysiadłszy z samochodu wśród ogłuszającego ryku wiwatujących tłumów, Hitler podszedł do kompanii honorowej Reichswehry i oddziału austriackiego. Żołnierze zaprezentowali broń. Orkiestra zagrała hymn niemiecki, którego dźwięki zginęły jednak ponownie w ryku tłumu. Okrzyki: „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz!” i „Dziękujemy Tobie wodzu!”, nie milkły nawet wtedy, gdy Hitler zniknął w drzwiach hotelu. Tłum energicznie domagał się jego ukazania w oknie.

Po długim oczekiwaniu, nieustannie wywoływany przez wiwatujący na jego cześć tłum, Führer ukazał się wreszcie o godzinie 19.00 na balkonie, skąd wzniesioną ręką podziękował ludziom za złożony hołd.

Dziękując za zgotowane mu gorące przyjęcie, następnego dnia z balkonu ratusza w Linzu Hitler wygłosił krótkie przemówienie:

„Niemcy i Niemki, panie kanclerzu związkowy!

Dziękuję panu za słowa powitania, dziękuję wszystkim, którzy tu przybyli, aby dać świadectwo prawdzie, iż stworzenie wielkiego państwa niemieckiego nie jest wolą i pragnieniem tylko nielicznych, lecz jest wolą i pragnieniem całego narodu niemieckiego.

Chciałbym, aby niektórzy z dobrze nam znanych międzynarodowych poszukiwaczy prawdy mogli być tu obecni, aby zobaczyć rzeczywistość i przekonać się o niej”.

Hitler przechodził sam siebie w gwałtownym *crescendo*. Pienił się, grzmiał, syczał, schlebiał i szydził.

„Kiedyś, gdy wychodziłem z tego miasta, niosłem w sobie to samo przeświadczenie i wiarę, która mnie dziś napełnia. Proszę zrozumieć moje wzruszenie, gdy po tylu długich latach ta wiara i to przeświadczenie stają się teraz rzeczywistością. Gdy Opatrzność kazała mi kiedyś wyjść z tego miasta i powołała do kierownictwa Rzeszą – powierzyła mi wtedy posłannictwo, abym powrócił mą drogą ojczyznę Rzeszy Niemieckiej. Wierzyłem w to posłannictwo, żyłem dla niego i walczyłem. Wierzę, że posłannictwo to teraz wypełniam. Jesteście wszyscy świadkami i gwarantami tego.

Nie wiem, którego dnia powołam was. Mam nadzieję, że dzień ten jest niedaleki. Wtedy stawicie się z własną wiarą, a ja będę mógł przed całym narodem niemieckim z dumą wskazać na moją ojczyznę. Trzeba, ażeby ten wynik wykazał całemu światu, że każde przyszłe usiłowanie, zmierzające do rozerwania naszego narodu, będzie bezpłodne. Całe Niemcy są gotowe tak samo jak i wy wnieść swój udział dla przyszłości narodu niemieckiego i udział ten wnoszą już w dniu dzisiejszym.

W żołnierzach niemieckich, którzy ze wszystkich ziem Rzeszy wkraczają w tej chwili do was, widzicie ofiarnych bojowników o jedność i całość wielkiego narodu niemieckiego, o naszą potęgę państwową, o wielkość i wspaniałość na dzień dzisiejszy i na zawsze.

Niech żyją Niemcy!”.

Przypisy

1 *Nad pięknym modrym Dunajem* (*An der schönen blauen Donau*, op. 314) – walc autorstwa Johanna Straussa II, został skomponowany w 1867 roku na zamówienie Wiedeńskiego Męskiego Towarzystwa Śpiewaczego. Premierowe wykonanie chóralne 15 lutego spotkało się z dość chłodnym przyjęciem. Popularność walc zyskał dopiero w wersji instrumentalnej.

2 Królestwo SHS (Kraljevina SHS) – państwo istniejące od 1 grudnia 1918 do 1929 roku, kiedy to zostało przekształcone w Królestwo Jugosławii.

3 Menzura – tradycyjny rytuał, wywodzący się z pojedynku. Pojęcie wywodzi się od łacińskiego słowa *mensura* – „odmierzenie”, co nawiązuje do stałego odstępu pomiędzy przeciwnikami podczas starć. Menzury były nierozerwalnym, tradycyjnym elementem w społecznościach korporacji akademickich Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Litwy, Łotwy, Estonii i Polski. Podczas menzury stawali naprzeciw siebie członkowie dwóch różnych korporacji akademickich. Używało się wyłącznie broni białej, a przebieg menzury był ściśle ustalony w odpowiednich kodeksach. Kodeksy menzurowe, jak i wybór broni były różne, w zależności od danego miasta uniwersyteckiego. (Obecnie podczas menzur stosuje się bandaże i osłony uniemożliwiające zadanie śmiertelnego obrażenia). W menzurze oprócz dwóch pojedynkujących się studentów i członków ich korporacji brali udział: sędzia, sekundanci, lekarze, osoby odpowiedzialne za stan broni i jej dezynfekcję oraz czasami zaproszeni goście.

4 Republikanischer Schutzbund (Republikański Związek Obronny) – lewicowa organizacja paramilitarna, istniejąca w Austrii w okresie międzywojennym. Powstała w 1923 roku na bazie wcześniej istniejących lewicowych bojówek jako paramilitarna przybudówka jednej z dwóch największych austriackich partii politycznych, Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Austrii (SDAPÖ). Była jedną z licznych w tym czasie organizacji paramilitarnych w Austrii, skupiających głównie weteranów I wojny światowej. Jej zadaniem było pokazanie gotowości do obrony interesów robotników i partii oraz zapewnienie równowagi sił (wobec dominującej wówczas wśród bojówek prawicowej Heimwehry oraz zdominowanych przez prawicowy rząd wojska i policji). Była jednolicie zuniformizowana i zorganizowana na wzór wojskowy, a także znakomicie wyposażona. Na jej czele stał Julius Deutsch. 30 stycznia 1927 roku w Schattendorfie doszło do starcia pomiędzy członkami Schutzbundu oraz Heimwehry, wskutek którego śmierć poniosły dwie osoby. Oskarżonych

o to członków Heimwehry uniewinniono, co doprowadziło w lipcu 1927 roku do masowych protestów, zwanych „rewoltą lipcową”. Protestujący spalili wówczas Pałac Sprawiedliwości w Wiedniu, a rząd użył przeciwko nim siły. W wyniku rewolty zginęło 84 ludzi. Po tych wydarzeniach liczebność Schutzbundu osiągnęła apogeum – 80 tys. członków.

5 Karl Schäfer (1909–1976) był dwukrotnym mistrzem olimpijskim (1932 i 1936) w jeździe figurowej na lodzie. Poza tym siedmiokrotnym mistrzem świata (1930, 1931, 1932, 1933, 1934, 1935 i 1936) oraz ośmiokrotnym mistrzem Europy (1929, 1930, 1931, 1932, 1933, 1934, 1935 i 1936), nie licząc srebrnych i brązowych medali zdobytych na tych zawodach.

6 Przeprowadzona w nocy z 29 na 30 czerwca 1934 roku akcja schwytania i wymordowania przeciwników Adolfa Hitlera wewnątrz ruchu narodowosocjalistycznego przeszła do historii pod nazwą „Nocy długich noży” (niem. *Nacht der langen Messer*). Tej nocy SS i wojsko zajęły główną siedzibę dowództwa SA (Sturmabteilung) i aresztowały jego dowódcę Ernsta Röhma. Razem z nim ofiarą akcji padły setki starych członków partii, którzy stali się zbyt oporni. Równocześnie zgładzono pokaźną liczbę komunistów, a że zaczęła się już rzeź w wielkim stylu, Hitler, Göring i Goebbels polecili przy okazji usunąć tych wszystkich, do których mieli jakąś pretensję osobistą, albo tych, którzy wydali im się niebezpieczni w przyszłości: generałów, literatów czy emerytowanych premierów. Według oficjalnych danych zabitych zostało 77 osób, choć przypuszcza się, że naprawdę zamordowano około 400. Pretekstem do podjęcia tych działań miał być rzekomo planowany przez nich zamach stanu. Władza Röhma i jego pełna przemocy organizacja przerażały jego rywali. Hermann Göring i Heinrich Himmler poprosili Reinharda Heydricha, aby ten zgromadził *dossier* sfabrykowanych dowodów na to, że Francja zapłaciła Röhmowi 12 mln marek niemieckich za próbę obalenia Hitlera. Himmler zaprezentował te „dowody” Hitlerowi, rozpalając w nim podejrzenie, że Röhm chciał użyć SA, by wprowadzić plan w życie. W tym

samym czasie Himmler organizował własną jednostkę paramilitarną, nazwaną później SS (Schutzstaffel).

7 James Cleveland Owens, zwany Jesse Owensem, był bez wątpienia jednym z największych lekkoatletów XX wieku. Nie bez przyczyny porównywano z nim później Carla Lewisa. Ich osiągnięcia były podobne, jednakże warunki, w jakich Owens odnosił zwycięstwa (biegał i skakał nie na tartanie), spowodowały, że stał się postacią legendarną. Temu wnukowi niewolników, urodzonemu w roku 1914 w miejscowości Deratur w Alabamie, udało się zdobyć w Berlinie cztery złote medale. Był to najlepszy dowód na bezsensowność rasistowskich tez o nierówności ras. Owens był również sześciokrotnym rekordzistą świata, między innymi w biegu na 100 metrów i w skoku w dal, które to rekordy przetrwały bez mała ćwierć wieku.

8 Świetna passa Włochów na tym się nie skończyła. W 1938 roku podczas mistrzostw świata we Francji ponownie zdobyli tytuł mistrzów świata. W jednym z najładniejszych spotkań olimpijskiego turnieju pomiędzy zespołami Norwegii i Polski, którego stawką był brązowy medal, Polacy niestety ulegli 2:3 (2:2).

9 Fragment pieśni zatytułowanej *Horst Wessel Lied*, ułożonej przez zamordowanego w styczniu 1930 roku pół-studenta, pół-sutenera, Horsta Wessela, która z czasem stała się hymnem bojówek SA.

10 Może niektórych to zdziwi, ale Adolf Hitler pochodził z rodziny o żydowskich korzeniach. Jego ojciec Alois był nieślubnym synem Marii Anny Schicklgruber, późniejszej żony Georga Hiedlera. Czterdziestojednoletni Alois, dobrze sytuowany urzędnik celny, zmienił nazwisko na Hitler, zbliżone do nazwiska jego ojczyma, co – jak sądził – pomoże mu w karierze. Ożeniwszy się po raz trzeci z panną Klarą Polzl, Alois spłodził z nią sześcioro dzieci. Czworo zmarło wcześnie, uchowała się tylko dwójka: Paula i – niestety – Adolf. Przyszedł na świat 20 kwietnia 1889 roku w austriackim miasteczku Braunau nad rzeką Inn.

11 Gustave Le Bon (1841–1931), francuski socjolog i psycholog społeczny, jeden z głównych przedstawicieli tak zwanego psychologizmu

w socjologii, autor znanego dzieła *Psychologia tłumu.*

12 *Ten and you are out!* – sakramentalna formuła wypowiadana przez arbitra na końcu wyliczania znokautowanego boksera. W języku polskim zwrot ten właściwie nie funkcjonuje. Można by go przetłumaczyć jako: „Dziesięć i po tobie!”, bądź też: „Dziesięć i jesteś załatwiony!”.

13 W październiku 1993 roku w fachowym miesięczniku „Bokser” przeczytałem ze zdumieniem artykuł zatytułowany: *Max Schmeling nie był nazistą*. Podobno badania historyków z Uniwersytetu Rhode dowiodły, że to tylko propaganda doktora Goebbelsa uczyniła z niego sympatyka faszyzmu, którym w rzeczywistości nigdy nie był. Okazało się nawet, że podczas „kryształowej nocy” 9 listopada 1938 roku ukrywał w swym domu dwóch żydowskich chłopców. „Przypuszczam, że wątpię” – mogę tylko powtórzyć za Stefanem „Wiechem” Wiecheckim. Aby nie być gołosłownym, przytoczę tutaj fragment wywiadu z Maxem Schmelingiem, zamieszczonego w „Przeglądzie Sportowym” z 22 czerwca 1936 roku: „Nasz kanclerz zaprowadzi pokój powszechny. Po traktacie z Polską przyjdzie porozumienie z Anglią i Francją. Z dwoma tylko krajami nie pogodzimy się nigdy – z Sowietami i Litwą. Jest rzeczą niesłychaną, żeby takie państewko bez żadnej przeszłości politycznej szykanowało wielkiego sąsiada! Ale Führer im pokaże! […] Hitler bardzo mnie lubi. Podczas Dnia Partii zaprosił mnie do Norymbergi. Spędziliśmy na rozmowie długą godzinę. Kanclerz prywatnie jest czarującym człowiekiem! *Wirklich charmant!*”.

Czytelnikom, którzy opuścili znajdujący się powyżej fragment dotyczący tego, co działo się w przedwojennych Niemczech, przypominam, że trzy lata wcześniej, 27 lutego 1933 roku, zapłonął tam Reichstag, że następnego roku (30 czerwca 1934) miała miejsce krwawa „noc długich noży”, że od dwóch już lat funkcjonowały zbrodnicze ustawy norymberskie i obóz koncentracyjny w Dachau. Tak, zaiste uroczego człowieka wychwalał pod niebiosa Max Schmeling. Podobnie jak kilka lat później w sąsiednim kraju za Odrą bardzo wielu z entuzjazmem kontynuowało dzieło pewnego dobrodusznego fajczarza. Nazywał się Józef Wisarionowicz Dżugaszwili

i nosił ksywę Stalin. A teraz okazuje się, że wszyscy byli przeciw. „Dobra pamięć, to umieć zapomnieć to, czego lepiej nie pamiętać” – powiedział już prawie 200 lat temu cesarz Napoleon Bonaparte.

Rozdział 2

Fall „Gelb” i Fall „Barbarossa”

Niemcy maszerują – tak określano lata poprzedzające bezpośrednio wybuch II wojny światowej. „Krok grenadierów z Poczdamu stał się krokiem narodu niemieckiego!” – wykrzykiwał Göring. „Środki i drogi nie mają żadnego znaczenia. Ważny jest tylko cel!” – wołał Goebbels w Stuttgarcie, a słuchacze szaleli z zachwytu. Przypominano słowa Ericha Ludendorffa z jego pracy o wojnie totalnej: „Chodzi o to, aby nieprzyjaciela wytępić doszczętnie”.

W Czechosłowacji Niemcy stanowili niemal czwartą część ludności (3,3 mln w 1930 roku), a w niektórych powiatach – na pograniczu z Niemcami i Austrią – niemal 90% mieszkańców. Ta właśnie część, zwana przez Niemców „Sudetenlandem”, stanowiła 40% potencjału ekonomicznego całego kraju. Wśród zamieszkujących go Niemców działało wiele organizacji nacjonalistycznych. W 1938 roku między innymi właśnie te organizacje posłużyły Hitlerowi jako czynnik prowadzący do rozbicia Czechosłowacji.

Niezwłocznie po *anschlussie* Austrii rozpoczęła się trwająca pięć miesięcy wojna nerwów, której celem było oderwanie od Czechosłowacji Sudetów i zlikwidowanie w ten sposób systemu obronnego tego kraju, okrążonego po przyłączeniu Austrii od północy, zachodu i południa. System obronny opierał się na umocnieniach zbudowanych w Sudetach na granicy niemieckiej. Na południowej granicy z Austrią Czesi nie mieli żadnych fortyfikacji. Hitlerowska V kolumna[1], zorganizowana przez partię

Niemców sudeckich, gromadziła broń i materiały wybuchowe, szkoliła dywersantów. W Niemczech utworzono z uciekinierów Legion Sudecko-Niemiecki. Kiedy Hitler zażądał bezwarunkowego przekazania spornych terenów w Sudetach, nasiliły się natychmiast zamieszki i starcia z policją czeską.

Brytyjski premier Arthur Neville Chamberlain z przerażeniem przyglądał się narastającemu kryzysowi. 15 września odwiedził Hitlera w jego górskiej rezydencji w Obersalzbergu, próbując podjąć rokowania. Gotów był do wszelkich ustępstw kosztem Czechosłowacji, również z tego powodu, że po prostu nienawidził Czechów, których nazywał „narodem z dolnej półki". Jego niechęć do nich pogłębiła się po tym, gdy Erich Kordt – pierwszy sekretarz ambasady III Rzeszy w Londynie – przekazał mu zarejestrowany przez niemiecki wywiad zapis rozmowy czeskiego ambasadora w Wielkiej Brytanii Jana Masaryka z prezydentem Czechosłowacji Edvardem Benešem.

– Ten stary sukinsyn Chamberlain gotów jest lizać dupę Hitlerowi – mówił Masaryk pod adresem Chamberlaina. – Nawet już wystawił język.

– To wepchnij mu go z powrotem do gęby – stwierdził Beneš. – Może to przywróci mu zdrowy rozsądek.

– Łatwo mówić. On postradał wszystkie zmysły, z wyjątkiem węchu. Tym węchem wyczuwa nazistowskie gówno z kilometra i kręci się wokół niego jak mucha.

– Wobec tego spróbuj porozmawiać z Horace'em Wilsonem [doradca Chamberlaina] – nalegał prezydent. – Niech wytłumaczy premierowi, że jeśli Niemcy nas połkną, Anglia również znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Z nim też nie da się rozmawiać – protestował Masaryk. – To zwykły ścierwojad.

W trakcie poufnej rozmowy w salonie willi w Obersalzbergu Chamberlain i Hitler ustalili, że Sudetenland powinien uzyskać autonomię.

Czechosłowacja, ufając w siłę swego sojuszu z Francją [ha, ha ha, ha!] i licząc na poparcie Wielkiej Brytanii, ogłosiła powszechną mobilizację. Jesienią 1938 roku dysponowała dobrze wyposażoną armią z silnymi, jak

na owe czasy, lotnictwem i bronią pancerną. Armię skoncentrowano na granicach. Wkrótce jednak okazało się, że nie może liczyć na pomoc z zewnątrz.

*

W nocy z 29 na 30 września 1938 roku z inicjatywy Benito Mussoliniego (działającego na prośbę premiera brytyjskiego, który za wszelką cenę chciał uniknąć wojny) doszło w Monachium do konferencji szefów rządów Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii i Francji. Zdecydowano na niej o rozbiorze Czechosłowacji – oddaniu Niemcom bez walki Sudetów. Tereny te zajmowały powierzchnię 39 tys. km^2, co stanowiło jedną piątą terytorium państwa. Rząd Czechosłowacji musiał też zwolnić ze służby w wojsku i policji wszystkich pragnących tego Niemców sudeckich, oraz zwolnić z więzień tych Niemców sudeckich, którzy odbywali kary za przestępstwa polityczne. W zamian za to Wielka Brytania i Francja zagwarantowały nowe granice czechosłowackie. Polska inkorporowała Zaolzie. Przedstawicieli Czechosłowacji dopuszczono jedynie do wysłuchania ostatecznej decyzji mocarstw.

W wyniku I arbitrażu wiedeńskiego z 2 listopada 1938 roku Węgrzy zajęli południową Słowację i Ruś Zakarpacką. Niemcy, zajmując Sudety, uzyskały dobrze umocnione tereny, a także wielkie zakłady przemysłowe, w tym zakłady wojskowe „Škoda” o zdolności produkcyjnej równej ówczesnemu przemysłowi zbrojeniowemu Anglii. Czechosłowacja straciła w ten sposób 2/3 swoich kopalń węgla, 86% przemysłu chemicznego, 70% hut żelaza i stali, 40% przemysłu drzewnego oraz liczne przedsiębiorstwa wytwarzające energię. Militarnie i gospodarczo kraj stał się po prostu kaleką.

Po powrocie z Monachium Chamberlain oświadczył na lotnisku w Londynie:

– Przyjaciele, po raz drugi w historii honorowy pokój nadszedł z Niemiec. Wierzę, że jest to początek pokoju dla naszej epoki. Wracajcie

do domów i śpijcie spokojnie.

W całej Anglii wywołało to istną falę radości. Premier zbierał gratulacje. Winszowano mu: „Miliony matek będą błogosławić pańskie imię za to, że uratował pan ich synów od okropnej wojny". Było to jednak chyba najbardziej krótkowzroczne oświadczenie w historii polityki.

– Wielka Brytania i Francja miały wybrać między wojną i hańbą – skomentował je Winston Churchill. – Wybrały hańbę i będą miały wojnę.

Nawet on jednak nie przeczuwał, co czeka ludność Europy, a przede wszystkim Żydów.

Europa 1938 roku rozbrzmiewała warkotem werbli i jazgotem pruskich piszczałek. Przypisywano Hitlerowi „austriacką łagodność i wyrozumiałość", ale w łoskocie czołgowych gąsienic padły szlabany graniczne Austrii i Czechosłowacji. Padły granice, lecz w ich obronie nie padł ani jeden strzał. Ani jeden okrzyk protestu. Świat zatkał uszy; trwał w złudzeniu, że po burzliwych tygodniach wrócą beztroskie weekendy; że Sudety to już ostatnia sprawa, która uniemożliwiała udział Trzeciej Rzeszy w równoprawnej i demokratycznej współpracy państw europejskich, że rachunek wystawiony przez hitleryzm zapłacą pokolenia następne. Ufano traktatom i układom, bagatelizowano słowa odsłaniające prawdziwe zamiary i cele.

A przecież wystarczyłoby nieco bardziej zdecydowane działanie dyplomatyczne Francji i Wielkiej Brytanii, żeby Führer w ogóle wycofał się ze swoich planów. Nie kiwnięto jednak palcem. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo prosta. Demokratyczny Zachód potrzebował Hitlera i jego sił zbrojnych, które w sytuacji zagrożenia sowiecką ekspansją mogłyby stanowić pierwszą linię obrony Zachodu.

Dokąd mogliby dotrzeć bolszewicy? Czy Stalin nie zechce czasami urzeczywistnić marzenia Lenina, Trockiego i każdego szczerego komunisty, i doprowadzić swoją rewolucję do wysuniętego najbardziej na zachód krańca Europy? Przekroczyć kanał La Manche i zatknąć czerwony sztandar na gmachu brytyjskiego Parlamentu?

– Kto nam zagwarantuje, że w Niemczech również nie zapanuje bolszewizm? – pytał retorycznie Arthur Neville Chamberlain francuskiego premiera Édouarda Daladiera? – Kto może powstrzymać wschodnie hordy?

I od razu sam sobie odpowiedział:

– Hitler!

Jeszcze we wrześniu Hitler oświadczył publicznie, że „po włączeniu do Rzeszy niewątpliwie niemieckich obszarów w Sudetach Niemcy nie będą już miały żadnych dalszych roszczeń terytorialnych w Europie". W kilka miesięcy po konferencji monachijskiej, wbrew wcześniejszym zapewnieniom, przystąpił jednak do ostatecznej likwidacji niepodległej Czechosłowacji.

Ułatwiły mu to odśrodkowe działania Słowaków, dążących do stworzenia własnego państwa. 14 marca 1939 roku parlament słowacki, po wcześniejszych uzgodnieniach z Berlinem, ogłosił powstanie niepodległego, a w rzeczywistości całkowicie zależnego od Niemiec państwa słowackiego. Na czele rządu stanął ksiądz Jozef Tiso. Nazajutrz wojska niemieckie wkroczyły do stolicy Czechosłowacji – Pragi. Hitler ogłosił utworzenie z ziem Czech i Moraw niemieckiego protektoratu[2]. Tydzień później Niemcy oderwały od Litwy Kłajpedę.

W latach wojennych zmagań mówiono, nadrabiając miną: wystarczy przeżyć wojnę, potem będzie już dobrze. Zanim wybuchła wojna, należało mówić: będziesz żył, jeśli przeżyjesz Tysiącletnią Rzeszę. Brzmiało to absurdalnie, bo Rzesza porastała w siły, Europa grzęzła w złudzeniach i postanowioną wojnę usiłowała zagadać jednym ustępstwem za drugim.

*

W sierpniu 1939 roku Otto Skorzeny przebywał na wakacjach nad austriackim jeziorem Wörthersee w towarzystwie rodziny konstruktora samochodów Ferdinanda Porsche oraz swojej nowej żony Emmi Linhart, poślubionej 9 marca 1938 roku.

„Wiadomość o podpisaniu paktu niemiecko-sowieckiego wprawiła nas w osłupienie – wspominał ten czas. – Historia zna mało przykładów podobnie sensacyjnego odwrócenia sojuszów. Gdyby poprzedniego roku ktoś powiedział mi, że Hitler będzie układał się ze Stalinem, z pewnością bym w to nie uwierzył. Oba rządy wyjaśniły wprawdzie, iż nie uważają swoich ideologii za artykuł eksportowy, ale niebawem zrozumieliśmy, co oznaczał ten pakt".

Latem 1939 roku prowadzono w Moskwie rozmowy wojskowych delegacji ZSRS, Wielkiej Brytanii i Francji w sprawie współpracy militarnej mocarstw zachodnich i Związku Sowieckiego przeciwko nazistowskiej III Rzeszy. Choć rozmowy te zakończyły się niepowodzeniem, to dla opinii międzynarodowej zaskakującą informacją było zawarcie układu o nieagresji pomiędzy ZSRS i III Rzeszą. Do wiosny 1939 roku trwały tajne kontakty niemiecko-sowieckie w sprawie zawarcia tego sojuszu. 23 sierpnia 1939 roku po wymianie depesz pomiędzy Hitlerem a Stalinem do Moskwy przybył minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop i tego samego dnia doszło do podpisania niemiecko-sowieckiego układu o nieagresji. Do układu był dołączony tajny protokół, w którym ustalono strefy wpływów w Europie Środkowej obu totalitarnych reżimów. Ze strony niemieckiej pakt podpisał von Ribbentrop, ze strony sowieckiej – minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow, pełniący wówczas również funkcję przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych, czyli szefa rządu sowieckiego.

„1. Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru należącego do państw bałtyckich (Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa) północna granica Litwy tworzy automatycznie granicę interesów niemieckich i ZSRS, przy czym strony uznają roszczenia Litwy do terytorium wileńskiego.

2. Na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego sfery interesów Niemiec i ZSRS będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew – Wisła – San. Kwestia,

czy w interesie obu krajów uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległego państwa polskiego, zostanie definitywnie zdecydowana dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypadków politycznych. W każdym razie oba rządy rozwiążą tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia.

3. Jeżeli chodzi o południowy wschód Europy, to ze strony rosyjskiej podkreśla się zainteresowanie Besarabią. Ze strony Niemiec stwierdza się zupełne *désintéressement* odnośnie do tego terytorium.

4. Protokół ten traktowany będzie przez obie strony w sposób ściśle tajny".

Sowiecko-niemiecki układ z 23 sierpnia, a zwłaszcza jego tajne klauzule, nosił wszelkie znamiona antypolskiego sojuszu.

1 września hitlerowskie wojska uderzyły na Polskę. Rozpoczęła się II wojna światowa.

Kiedy pod koniec sierpnia Hitler odbywał ze swoimi dowódcami odprawę dotyczącą wojny z Polską, jedynym niemieckim generałem, który zaprotestował przeciwko wojnie, był Georg Thomas, szef zarządu ekonomicznego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Argumentował, że Niemcy nie dadzą sobie rady z gospodarczym ciężarem wojny z zachodnimi potęgami. Został natychmiast ostro zrugany przez generała Wilhelma Keitla, dowódcę naczelnego OKW. Keitel wyzwał go od głupków i stwierdził, że wojna przeciwko Polsce będzie jedynie ograniczonym konfliktem, w którym ani Anglia, ani Francja nie wezmą udziału. 3 września, gdy Polsce udało się wciągnąć Londyn i Paryż w wojnę, władze III Rzeszy były w szoku.

Miały jednak również wielkie szczęście. Polski opór okazał się tak silny, że pod koniec września 1939 roku niemieckie siły zbrojne dysponowały zapasem amunicji wystarczającym na zaledwie dwa tygodnie walk. Gdyby francuskie czołgi ruszyły wówczas na Wschód, Niemcy nie mieliby czym się przed nimi bronić. Hitlera uratowały wówczas od klęski bezczynność Francuzów i sowieckie wsparcie. Według niemieckiego historyka Karla-Heinza Friesera dowódcy III Rzeszy spodziewali się, że wojna z Francją

będzie długotrwałą wojną pozycyjną. Blitzkrieg i przebicie się pod Sedanem udały się niejako przypadkiem, dzięki przerażającej głupocie francuskich dowódców, o czym za chwilę

W Berlinie spodziewano się, że Armia Czerwona niezwłocznie przekroczy granice Polski i przystąpi do zajmowania terytoriów wymienionych w cytowanym wyżej tajnym protokole. Niemcom, wobec groźby ofensywy francuskiej, zależało na czasie. Jednak mimo ponagleń Moskwa zwlekała. Oczekiwano tam nie tylko na rozwój wypadków w Polsce, ale i na Zachodzie.

Decyzja o agresji ZSRS na Polskę została podjęta dopiero 14 września. Wówczas to marszałek Kliment Woroszyłow rozkazał wojskom obydwu frontów (Białoruskiego i Ukraińskiego), aby przekroczyły granicę państwową z Polską 17 września o świcie, z zadaniem błyskawicznego ataku i zniszczenia wojsk polskich znajdujących się na wschód od linii rzek: Pisa, Narew, środkowa Wisła i San, do granicy z Węgrami i Rumunią.

W dniu rozpoczęcia inwazji, 17 września o godzinie 3.00 rano, wezwano ambasadora RP w Moskwie Wacława Grzybowskiego do Komisariatu Spraw Zagranicznych ZSRS, gdzie przedstawiono mu notę stwierdzającą, że państwo polskie przestało istnieć, a zawarte przez to państwo układy straciły moc. Dlatego rząd ZSRS polecił swojemu wojsku przekroczyć granicę i wziąć pod opiekę życie i majątek ludności zachodnich części Białorusi i Ukrainy. Ambasador, uznając treść noty za sprzeczną z faktami, odmówił jej przyjęcia. Wówczas wrzucono ją do skrzynki na listy w polskiej ambasadzie. Mołotow przekazał ją do wiadomości innym ambasadom z wyjaśnieniem, że ograniczona akcja Armii Czerwonej nie może być interpretowana jako odejście od radzieckiej neutralności.

Sowiecka agresja zbrojna była dla władz polskich całkowitym zaskoczeniem. Granica wschodnia była praktycznie bezbronna. Obsadzały ją tylko słabe oddziały Korpusu Ochrony Pogranicza, który większość swych sił skierował do walki z Niemcami.

*

Po wybuchu wojny trzydziestojednoletni inżynier z Wiednia, Skorzeny, zgłosił się na ochotnika do Luftwaffe. Miał nadzieję, że zostanie pilotem, ponieważ wcześniej latał już na jednosilnikowych samolotach. Czekało go jednak spore rozczarowanie. Zaproponowano mu tylko pracę w obsłudze naziemnej, oświadczając, że na pilota wojskowego jest za stary. Z tym ambitny Otto nie mógł się pogodzić. Czuł się jak czystej krwi koń wyścigowy, który ciągnie wózek z mlekiem. Nie zamierzał spędzić wojny jako dekownik w którymś z biur czy warsztatów. Natychmiast zgłosił się do elitarnej jednostki SS Leibstandarte Adolf Hitler (LAH), zwanej „Strażnikami Hitlera", która wywarła na nim tak wielkie wrażenie podczas *anschlussu* Austrii.

Warunki przyjęcia do Leibstandarte wymagały od kandydatów żelaznego zdrowia (nie mogli na przykład mieć nawet jednego zaplombowanego zęba). Musieli oni także mieć proporcjonalną budowę ciała oraz zobowiązani byli dostarczyć dowody pochodzenia aryjskiego, dla szeregowych od roku 1800, dla oficerów zaś od 1750.

Chętnych było wielu, dziewięciu na jedno miejsce. Po serii wszechstronnych badań lekarskich i niezwykle wymagających egzaminów sprawnościowych Skorzeny został przyjęty.

Jednostka wywodziła się ze 120-osobowego oddziału straży przybocznej Führera „SS-Stabswache Berlin", utworzonego w marcu 1933 roku przez doświadczonego czołgistę, surowego Bawarczyka Josepha Dietricha, zwanego popularnie Sepp, w celu zastąpienia stanowiących dotychczasową ochronę Hitlera oddziałów SA. W listopadzie tego samego roku liczącą już 835 ludzi jednostkę przemianowano na Leibstandarte Adolf Hitler – LAH (SS dodano później). Przyjmowano do niej jedynie ochotników, którzy następnie byli poddawani starannej selekcji. Hasłem dywizji, wypisanym na klamrach białych pasów, było: *Meine Ehre heisst Treue* – Moim honorem jest wierność.

W lipcu 1934 roku żołnierze LAH wzięli aktywny udział w *Nacht der langen Messer* – „Nocy długich noży", akcji schwytania i wymordowania przeciwników Adolfa Hitlera wewnątrz ruchu narodowosocjalistycznego,

opisanej w przypisie do poprzedniego rozdziału. Pod koniec tego roku jednostka została zmotoryzowana i z czasem osiągnęła siłę pułku, złożonego z trzech batalionów piechoty i pododdziału artylerii. W marcu 1935 roku esesmani z LAH uczestniczyli w zajęciu Saary, w marcu 1936 roku w remilitaryzacji Nadrenii, zaś w marcu i wrześniu 1938 roku w *anschlussie* Austrii i zajęciu Sudetenlandu.

Choć formalnie stanowiła ona część nikczemnej organizacji, znanej jako Schutzstaffel (SS), Leibstandarte zawsze była, co trzeba przyznać, znakomicie wyszkolona, dzielna i wyjątkowa. *Kameraden*[3] byli w pełni świadomi, iż stanowią część elitarnej organizacji, całkowicie oddzielonej od armii i policji, i nie ma wątpliwości, że widzieli siebie jako spadkobierców dawnych rycerzy krzyżackich. (Jej członkom wydano z dala widoczne oporządzenie w kolorze białym, a na lewych rękawach mundurów nosili opaski z nazwiskiem Führera). Z całą pewnością zachęcał ich do tego szef SS Heinrich Himmler, kiedy mówił im, że „są arystokratycznym kręgosłupem narodu niemieckiego". Mimo zaprzeczeń Skorzenego nie ulega też wątpliwości, że mieli świadomość polityki rasowej Hitlera, szczególnie wobec Żydów – nawet gdy „ostateczne rozwiązanie" nie zostało jeszcze sformułowane. (Przykładowo kursy szkolenia nowych oficerów Leibstandarte odbywały się na obszarze obozu koncentracyjnego w Dachau i nie mogli oni nie zdawać sobie sprawy z tego, co się tam dzieje).

Oczywiście sam Otto Skorzeny miał o SS całkowicie odmienne zdanie niż na przykład Polacy czy Rosjanie. Jego wspomnienia *Nieznana wojna* pełne są zachwytów nad tą jednostką. „Pierwsi SS-mani nie byli ludźmi z innego świata – pisał. – Wielu z nich zginęło w bojach z «czerwonym frontem» […]. Koleżeństwo, zaufanie i wzajemny szacunek stały się regułą […]. Prawdziwym twórcą Waffen-SS był generał Paul Hausser[4], którego z sympatii nazywaliśmy «Papą». Wraz z nim wspomniany już Sepp Dietrich oraz weteran walk w krajach bałtyckich, Feliks Steiner, nadali formacji specyficzny styl i postawę w boju, które porównać można do gwardii Napolona. Czy można nie zauważyć, że ta licząca niemal milion

młodych Europejczyków armia, w której każdy prezentował w obliczu śmierci zimną krew, była zaprzeczeniem mglistych «nordyckich» doktryn Reichsführera SS Heinricha Himmlera? Doktryn, których nie podzielał nawet Hitler.

Niektórych zaskoczy zapewne fakt, że w Waffen-SS panowała całkowita wolność sumienia. Znajdowali się w naszych szeregach agnostycy, protestanci i praktykujący katolicy. Kapelanem francuskiej Ochotniczej Brygady Grenadierów SS «Charlemagne» był biskup Mayol de Lupé, przyjaciel papieża Piusa XII[5].

Podczas gdy członkowie SA należeli w większości do partii narodowosocjalistycznej, w Waffen-SS wstąpienie do partii nie było obowiązkowe ani nawet zalecane. Tego właśnie wielu ludzi nie chce zrozumieć. Z pewnością byliśmy żołnierzami politycznymi, ale broniliśmy ideologii stojącej ponad polityką i partiami. Pozwalaliśmy sobie, na przykład krytykować niektóre koncepcje partii i decyzje niektórych Gauleiterów".

W odniesieniu do religii warto w tym miejscu przytoczyć opinię redaktora polskiej edycji wspomnień Skorzenego, Witolda Śmiśniewicza:

„Bardzo powierzchownie przedstawił autor kwestię stosunku do religii w Waffen-SS. Był on praktycznie taki sam w całej SS. Posłannictwem SS było stworzenie dla narodu niemieckiego odrębnych postaw światopoglądowych w duchu germańskim, mających w istocie charakter antychrześcijański. Oficjalnie członkowie SS mogli podawać swe wyznanie według formuły «gottgläubig» (wierzący w Boga), co było formułą obrony wobec zarzutów o neopogaństwo. Wstęp do Kościoła, zwłaszcza dla kadry SS, regulowały szczególne przepisy".

*

Plany Hitlera dotyczące ekspansji Niemiec wymagały znacznego powiększenia Wehrmachtu. Proces ten ogarnął również Leibstandarte. W ciągu czterech lat ten wyjątkowy pułk piechoty rozrósł się do rozmiarów

korpusu o teoretycznej sile około czterdziestu pięciu tysięcy ludzi i czterystu czołgów. Od sierpnia 1939 roku, gdy pułk opuścił swoją siedzibę w koszarach Lichterfelde w Berlinie, aż do swej ostatecznej kapitulacji w Austrii w maju 1945 roku brał udział w najbardziej zaciętych bitwach tej wojny.

Podczas kampanii wrześniowej w Polsce w 1939 roku jednostka walczyła pod Łodzią, Modlinem i Warszawą. Jeszcze jako pułk biła się w Holandii i Francji. 28 maja 1940 roku żołnierze LAH zamordowali pod Wormhoudt niedaleko Dunkierki od 65 do 85 jeńców brytyjskich, o czym – oczywiście – Otto Skorzeny nie raczył wspomnieć w swoich pamiętnikach.

Wiosną 1940 roku dotychczasowy pułk został przemianowany na całkowicie samodzielny zmotoryzowany pułk piechoty pod nazwą Verstärte Leibstandarte SS Adolf Hitler. Po inwazji na Holandię i Francję w 1940 roku oraz na Bałkany w 1941 roku przekształcono go w pełną dywizję o sile dziesięciu tysięcy ludzi. Hitler rozkazał wtedy, by zmienić nazwę na: Dywizja SS Leibstandarte Adolf Hitler. Pod koniec 1942 roku dywizja znów została przeformowana w Dywizję Grenadierów Pancernych o sile dwudziestu jeden tysięcy ludzi, a w październiku 1943 roku otrzymała swą ostateczną nazwę: 1. Dywizja Pancerna SS Leibstandarte Adolf Hitler.

W lutym 1940 roku przeniesiono Skorzenego do 2. kompanii zapasowego batalionu SS Leibstandarte w Berlinie-Lichterfelde, gdzie przez sześć tygodni intensywnie szkolił się w towarzystwie siedemnasto- i osiemnastolatków. Podobnie jak inni poborowi w bardziej podeszłym wieku – lekarze, farmaceuci, prawnicy czy inżynierowie – musiał zaciskać zęby, by wytrzymać tempo szkolenia kompanii, zasłużenie nazywanej „księżycową”, z powodu uciążliwego zwyczaju jej dowódcy przeprowadzania większości ćwiczeń nocą.

„Wiele napisano na temat koszarowych metod, do których miałem spore zastrzeżenia – skarżył się w swych pamiętnikach. – Na pewno niezbędne jest fizyczne przygotowanie żołnierza i wykształcenie pewnych

dyscyplinujących nawyków. Jestem jednak przeciwny wzorowanej na dawnym pruskim drylu mechanicznej tresurze, czyli łamaniu osobowości”.

W tym samym również miesiącu, lutym, Otto otrzymał wiadomość, że został szczęśliwym ojcem. W jego pięknej willi przy Peter Jordanstrasse 37 w XIX dzielnicy Wiednia Emmi Linhart (Skorzeny) urodziła córeczkę, której nadano imię Waltraut (obecnie Waltraut Riess). Był troszeczkę zawiedziony tym faktem, ponieważ liczył na syna. Wymyślił już nawet dla niego imię – Klaus…

Po zakończeniu szkolenia opuścił „romantyczną kompanię księżycową”, by odbyć staż specjalistyczny w batalionie zapasowym pułku Waffen-SS Germania w Hamburgu-Langenhorn. Na początku maja 1940 roku zdał w Berlinie pomyślnie wszystkie egzaminy i został kandydatem na oficera, określanym mianem *Fähnricha*. Pod koniec tego samego miesiąca znalazł się już na drogach Holandii i Belgii, a potem Francji; w mundurze *feldgrau* z orłem na ramieniu, wraz z pułkiem artylerii SS-Verfügungsdivision, dowodzonej przez „Papę” Haussera. W jej skład wchodziły trzy pułki piechoty zmotoryzowanej: „Deutschland”, „Germania” i „Der Führer”, oraz pułk artylerii złożony z trzech dywizjonów artylerii lekkiej i jednego dywizjonu artylerii ciężkiej, w którym właśnie służył Skorzeny.

Dywizja ta została utworzona w kwietniu 1940 roku z różnych luźnych oddziałów zbrojnych SS. We Francji walczyła jako dywizja SS-Verfügungsgruppe, na froncie wschodnim zaś jako Dywizja Zmotoryzowana SS „Das Reich”. W połowie roku 1942 została przekształcona w dywizję grenadierów pancernych, a w październiku 1943 stała się 2. Dywizją Pancerną „Das Reich”. W przededniu bitwy pod Kurskiem dywizja liczyła sto sześćdziesiąt trzy czołgi, a więc dwa razy więcej od podobnych formacji pancernych Wehrmachtu (np. 3. Dywizja Pancerna posiadała wtedy dziewięćdziesiąt czołgów, a 9. Dywizja Pancerna zaledwie osiemdziesiąt trzy)[6].

„Dywizja spisała się bardzo dobrze zarówno w Brabancji, jak we Flandrii i Artois – pisze Skorzeny. – 6 i 7 czerwca przekroczyliśmy, staczając zaciekłe walki, Sommę; linia Weyganda została zdobyta. Po

wcześniejszych trudnych walkach, w czasie których dywizja pozostawała nieustannie na czele i poniosła duże straty, otrzymaliśmy uzupełnienie w sile 2000 żołnierzy. Dywizjon artylerii ciężkiej został zbombardowany przez alianckie lotnictwo oraz precyzyjnie ostrzelany przez francuską artylerię. Wyleciała w powietrze jedna z ciężarówek, a mina rozerwała naszego kapitana.

12 czerwca znaleźliśmy się w Creusot, znanym z wielkich zakładów zbrojeniowych Schneidera. Początkowo osłanialiśmy lewe skrzydło dywizji pancernych posuwających się w kierunku Dijon, potem otrzymaliśmy rozkaz zwrotu na południowy zachód".

Niemiecki atak na zachodnie demokracje, oznaczony kryptonimem „Fall Gelb", rozpoczął się 10 maja 1941 roku. Rankiem na niebie pojawiły się eskadry bombowców, a desant powietrzny umożliwił wrogowi opanowanie kluczowych pozycji na zapleczu frontu. Źle uzbrojona i słabo przygotowana armia holenderska tylko przez pięć dni stawiała opór napastnikowi, a po barbarzyńskim zbombardowaniu Rotterdamu przez Luftwaffe – skapitulowała. Osłupiali Holendrzy zadawali sobie tylko dziecinne wręcz pytanie: dlaczego? Królowa Wilhelmina i rząd ewakuowali się do Londynu. Kraj znalazł się pod okupacją.

Należałoby przy tym dodać, iż kapitulacja dotyczyła tylko europejskiej części kraju; kolonie były nadal administrowane przez znajdujący się w Wielkiej Brytanii rząd emigracyjny, stacjonująca zaś w koloniach flota holenderska (także handlowa) przyłączyła się do aliantów w walkach z Niemcami, a później i Japonią na morzu.

Leibstandarte przekroczyła granicę holenderską 10 maja o godzinie 5.35. W ciągu wspomnianych pięciu dni kosztem jedynie pięciu poległych (oraz siedmiu rannych) operacja została zakończona i pułk podążył, by dołączyć do równie udanej inwazji na Francję. Podczas tej kampanii Leibstandarte poniosła znacznie większe straty – pięciuset jeden zabitych – lecz 25 czerwca generał Fedor von Bock, dowódca Grupy Armii B, mógł już wydać pamiętny rozkaz, rozpoczynający się od trudnych do uwierzenia słów: „Wojna z Francją jest zakończona". W ciągu jedynie czterdziestu czterech

dni zwycięska armia niemiecka zmusiła holenderskie, belgijskie i francuskie armie do kapitulacji, a brytyjską do opuszczenia kontynentu.

Paryż poddał się 14 czerwca. Niemiecka 6. Armia przemaszerowała po Polach Elizejskich i po placu Concorde. Generał Henri Dentz, wojskowy gubernator Paryża, z okien swojego nowego biura w Pałacu Inwalidów podziwiał paradę niemieckich żołnierzy kroczących po moście Aleksandra III. Przed Ratuszem prefekt witał przedstawicieli wojsk niemieckich: trójkolorowa flaga francuska została na maszcie opuszczona, wciągnięto flagę ze swastyką. Zaczęła się niemiecka okupacja. Nad Wieżą Eiffla powiewała flaga okupanta. Wielkie Bulwary ziały pustką jak wymarłe. Niektórzy płakali. Thierry de Martel, chirurg amerykańskiego szpitala w Neuilly pod Paryżem, gdzie swą polityczną karierę w niemal pół wieku później rozpocznie prezydent Nicolas Sarkozy, był jednym z piętnastu paryżan, którzy na wieść o hitlerowskiej okupacji odebrali sobie życie.

Hitler, któremu towarzyszył piewca narodowosocjalistycznego stylu w architekturze Albert Speer, zachwycił się Operą, którą uznał za najpiękniejszy budynek teatralny na świecie, obejrzał Wieżę Eiffla, plac Trocadéro i Madelaine oraz ulicę Rivoli, które znów wywołały u Führera zachwyt, po czym oddał w milczeniu hołd Napoleonowi w kościele Inwalidów. Hitlerowi nie przypadła do gustu bazylika Sacré-Coeur, którą uznał za „brzydactwo”. Jego komentarz po obejrzeniu Paryża nie wymaga… komentarza. Hitler oświadczył mianowicie, że już myślał, iż trzeba będzie zburzyć Paryż, żeby Berlin stał się najpiękniejszym miastem świata. Chwilowo jednak nie było to potrzebne. Berlin będzie rozbudowany i tym samym zepchnie Paryż w cień. Paryż ocalał. Nie pierwszy i nie ostatni raz w czasie tej wojny. Główną kwaterą władz okupacyjnych stał się Hotel Crillon, ten sam, do którego przychodzili dwie dekady wcześniej Hemingway i Scott Fitzgerald. Pałac Meurice stał się siedzibą władz wojskowych. Luftwaffe rozgościła się w Pałacu Luksemburskim – tam gdzie dzisiaj mieści się Senat. Gestapo znalazło dla siebie dwa miejsca, jedno z nich przy Avenue Foch. W okolicach placu Etoile i w Neuilly zakwaterowano wysokich rangą oficerów hitlerowskich.

Niemieckiej nawale opierała się wciąż jeszcze tylko samotna wyspa. W czerwcu 1940 roku Wielka Brytania była oblężoną twierdzą. Samotnie przeciwstawiała się straszliwemu zagrożeniu ze strony hitlerowskiego Wehrmachtu, który po przeciwnej stronie kanału La Manche szykował się do zajęcia Wysp Brytyjskich. Licząc się z przegraną, opracowano już plan ewakuacji rodziny królewskiej do Kanady. Wielka Brytania, nieprzygotowana do wojny totalnej, pogrążona była w chaosie i zamęcie. 10 maja król Jerzy VI mianował premierem Winstona Churchilla.

*

O czym zapomniał wspomnieć w swym pamiętniku Otto Skorzeny, to o pewnym przykrym dla niego incydencie, jaki nastąpił w Holandii, która skapitulowała 14 maja.

Okupacja miała tam początkowo dość łagodny przebieg. Jednym z powodów był fakt, iż według rasistowskich kryteriów szalonego Adolfa Holendrzy uważani byli za czystej krwi Germanów, których należało wręcz hołubić[7]. Aryjscy mitomani zachwycali się szczególnie czystością rasową holenderskich chłopów. W swych dalekosiężnych planach Hitler zamierzał użyć ich do kolonizacji Wschodu. Głównym celem Rzeszy było wykorzystanie potencjału gospodarczego Holandii i jej siły roboczej do zapewnienia maksymalnych dostaw kierowanych do Niemiec i na front. Gospodarka niemiecka korzystała w dużym stopniu z holenderskiej siły roboczej, zrazu na zasadzie dobrowolności, później przy stosowaniu przymusu, w ostatniej zaś fazie – prowadzonych na szeroką skalę łapanek.

Najeźdźcy wprowadzili administrację cywilną, na czele której stanął jako Komisarz Rzeszy austriacki nazista, mecenas Arthur Seyss-Inquart, przez jakiś czas zastępca Hansa Franka w okupowanej Polsce. Naród holenderski zachował autonomię polityczną, a w czasie pierwszej, najłagodniejszej fazy okupacji (do lutego 1941 roku) Niemcy zezwolili na kontynuowanie działalności partii politycznych różnych orientacji z wyjątkiem komunistycznej. Administracja holenderska wszelkich szczebli

funkcjonowała przez cały czas okupacji. Sekretarze generalni ministerstw przejęli faktycznie funkcje ministrów.

Dość wysokie przydziały podstawowych artykułów żywnościowych i innych stabilizowały warunki życia, które płynęło – rzec można – zwykłym torem. W sposób niezakłócony pracował przemysł, szkolnictwo wszystkich stopni, administracja, transport, handel i usługi. Pracownicy zachowali prawo do urlopów, bez przeszkód toczyło się życie kulturalne, przepełnione były kina, teatry i sale koncertowe, a Holandia stała się jedynym krajem podbitej Europy, gdzie nie zmalał przyrost naturalny. Nieświadomi szlachetnych germańskich intencji cywilni mieszkańcy Holandii zajmowali się głównie przyziemnymi problemami okupacji.

Pod jednym tylko względem okupacja hitlerowska nie odbiegała tu od okupacji znanej innym krajom europejskim. Z maniakalną konsekwencją realizowane było prześladowanie Żydów. W Amsterdamie stara społeczność żydowska została całkowicie zniszczona, pozostawiając po sobie jedynie opustoszały Jodenhoek i dziennik Anny Frank jako dokument straszliwych wydarzeń.

Prowincja Overijssel to kawał szarej podmokłej równiny ciągnącej się od granicy niemieckiej na północy i wschodzie po Geldrię na południu i Flevoland na zachodzie. Krajobraz jest tu płaski jak stół, tyle że pocięty kanałami i kanalikami. Nie ma specjalnie co tu oglądać, holenderski krajobraz nie został zresztą stworzony do wprawiania w ekstazę. Kanały są dosłownie wszędzie; w miastach, miasteczkach i wsiach. Wzdłuż kanałów, wśród pól i łąk – wiatraki.

Położone nad rzeką IJssel miasto Deventer było kiedyś kwitnącym ośrodkiem nauki i kultury. Miało za sobą prawie tysiąc lat historii zaklętej w kamieniu. Tu właśnie u schyłku XIV wieku Gerrit Groot założył Bractwo Wspólnego Życia, na wpół klasztorną wspólnotę, głoszącą tolerancję i humanizm w ramach filozoficznego nurtu w religii nazywanego *devotio moderna*, czyli nowoczesna pobożność. Ta niezwykle postępowa jak na owe czasy interpretacja chrześcijaństwa przyciągała do miasta najwybitniejsze umysły. Studiowali tu między innymi Thomas á Kempis

i Erazm z Rotterdamu. Ale w czwartej dekadzie XX wieku Deventer było niczym więcej jak tylko cichym i spokojnym miasteczkiem, w którym rzadko zdarzało się nawet, aby ktoś głośniej puścił bąka.

Dzień był wyjątkowo paskudny, trwała typowa holenderska wiosna – z mgłą i deszczem. Niebo zakryła nieprzenikniona zasłona, przez którą tylko gdzieniegdzie przebijały migocące światła miasta. Wokół wirowały kłęby mgły, wprawiane w ruch przez wiejący znad Morza Północnego wiatr.

Zapewne ta pustka i psia pogoda sprawiły, że Otto wraz z kilkoma kolegami schronił się w jakiejś knajpie w bocznej uliczce, lokalu z podartym czerwonym pluszem i szarym, zadymionym powietrzem. Zamówili parę butelek *jonge jenever*, narodowego trunku holenderskiego. *Jenever* to gin o gęstej konsystencji, wytwarzany w destylatorach kotłowych ze słodu jęczmiennego i przyprawiony owocami krzaków jałowca. Holendrzy pijają go przeważnie małymi łyczkami, delektując się bogactwem smaku trunku. Holenderskie giny są mocniej aromatyzowane i mają niższą zawartość alkoholu niż angielskie (około 36–40%). Dzielą się na *jonge* (młode) oraz *oude* (stare), które leżakują nawet do 12 lat w dębowych beczkach.

Po wypiciu kilku kieliszków Otto zaczął wygłaszać mowę na temat „wolnej od Żydów kultury niemieckiej” i o tym, że „naród niemiecki musi być zdolny do obrony”. Oczy mu płonęły, od jego czoła bił dziwny blask.

– Nasz Führer przywróci honor narodowi niemieckiemu! – wykrzykiwał tak głośno, że paru obecnych w knajpie miejscowych aż kuliło się z przerażenia.

Głos mu ochrypł, wygrażał pięścią, pewien ostatecznego zwycięstwa:

– Chcemy odzyskać honor. Każdy uczciwy Niemiec tego żąda, a uczciwi Niemcy są wszędzie!

W pewnej chwili zauważył wiszący na ścianie portret księcia Bernharda zur Lippe-Biesterfeld, małżonka przyszłej holenderskiej królowej Juliany van Oranje-Nassau, który przed wojną uchodził za zwolennika polityki niemieckiej. W czasie spotkania z Bernhardem Hitler wskazywał na szanse

sojuszu niemiecko-holenderskiego, którego osoba księcia miała być gwarantem. Brat księcia, Aschwin zur Lippe-Biesterfeld, publicznie poparł politykę Hitlera i był członkiem konnej SS.

Po niemieckiej agresji książę Bernhard zyskał jednak swoimi działaniami uznanie Holendrów, zajmując zdecydowanie antynazistowską postawę. Żonę z dziećmi wysłał do Kanady, sam zaś pozostał w Anglii, gdzie służył jako pilot (nie zaakceptowano jego oferty pracy w wywiadzie), wspierając holenderski ruch oporu w kraju[8].

– Proszę natychmiast zdjąć ten obraz! – zażądał Skorzeny od właściciela przybytku.

– A niby dlaczego? – postawił się Holender.

– Bo to zdrajca.

– Czyj zdrajca? Holendrów czy Niemców?

– Zdrajca wszystkich – wyjaśnił Otto. – Przecież uciekł do Londynu wraz z całą rodziną i całym, pożal się Boże, rządem.

– A co miał robić, kiedy wy wtargnęliście tutaj z czołgami?

– Nie zamierzam z panem dyskutować na ten temat – w oczach Skorzenego pojawił się groźny błysk. – Proszę w tej chwili zdjąć portret!

– Ani mi się śni.

Skorzeny nie czekał dłużej. Z kabury przy pasie wyciągnął pistolet. Siedząca w kącie grupka Holendrów zamarła z przerażenia. Właściciel przybytku zamknął oczy, zapewne w myślach żegnał się już z życiem.

Otto skierował jednak lufę w kierunki portretu, wymierzył starannie i jednym celnym strzałem strącił go na ziemię. Obraz spadł na podłogę, szkło się potłukło, a popijawa trwała w najlepsze dalej.

Niemcy wysuszyli jeszcze parę buteleczek *jonge jenevera*, po czym na mocno chwiejnych nogach ruszyli w ciemność nocy. Szum wyjącego jak potępieniec wichru łączył się z szumem ulewy, która albo bębniła prostopadle w dachy, albo pod naporem porywistego wiatru zacinała wzdłuż ulicy, krok po kroku zdobywając przestrzeń swymi chłoszczącymi strumieniami. Pioruny biły bez przerwy, raz za razem, zlewając się w jeden monotonny huk. W blasku błyskawic ukazywała się umykająca w głąb ulica

z pochylonymi drzewami, uciekającymi w tym samym kierunku. Otto i jego kompani nie przejmowali się tym jednak w najmniejszym stopniu. Maszerowali spleceni ramionami, wyjąc na całe gardło hitlerowski szlagier o placu Hitlera:

Am Adolf Hitler platz
Steht eine junge eiche
Sie strebt zur sonne auf
Von sturm und not
Sie ist uns vorbild
Treu und brav zu streiten
Für unser vaterland
Bis in den tod.

Hell erklinget deutscher sang
Unser ganzes leben lang
Treue frohe lieder
Klingen immer wieder
Durch die ganze welt[9]

Niestety, incydent w knajpie miał dla Skorzenego poważne konsekwencje. Holender zameldował o nim dowódcy jednostki, „Papie" Hausserowi, a strzelec wyborowy trafił na dywanik. Niemcy bardzo dbali jeszcze w tym czasie o dobre stosunki z podbitymi Holendrami. Mający nastąpić lada dzień awans Skorzenego na podporucznika wstrzymano, a on sam otrzymał sześciotygodniowy ZOK (zakaz opuszczania koszar).

*

„Podczas toczonych walk i przemierzania kraju, tak pięknego jak Francja, uderzyło mnie ohydne oblicze wojny – napisał Skorzeny w swoich pamiętnikach – ruiny, porzucone gospodarstwa, opustoszałe wsie ze

zrabowanymi sklepami, gnijące trupy, wreszcie pożałowania godne tłumy uchodźców: starców, kobiet i dzieci przybyłych często jeszcze z Belgii, które mijaliśmy i niekiedy żywiliśmy w czasie postoju. Wojna między ludźmi Zachodu była absurdem, toteż zawieszenie broni, podpisane 22 czerwca z rządem francuskim, wydało mi się zrazu początkiem trwałego pokoju europejskiego. Na próżno szukałbym dziś w pamięci oznak nienawiści ze strony ludności cywilnej, może poza jedną starą kobietą z Maubeuge, która przechodząc powoli przed naszym pojazdem pokazała nam zaciśniętą pięść".

Któregoś dnia, siedząc samotnie za kierownicą samochodu terenowego, Otto przejeżdżał przez przedmieścia Bordeaux. Wyglądało tak, jakby nie było żadnej wojny. Mężczyźni grali w kule, siedzące na progach swych domów kobiety robiły na drutach, a dzieci bawiły się z piskiem w berka. W powietrzu unosił się zapach sadzy, zupy cebulowej i skoszonej trawy. Z otwartych drzwi kafejek i barów docierały odgłosy rozmów i wybuchy śmiechu. Bielizna schła w ogrodach, na środku ulicy spały psy, które podnosiły się w ostatniej chwili, spoglądając pogardliwym wzrokiem na automobilistę.

Nagle ludzie zaczęli dawać Skorzenemu rozpaczliwe znaki. Zwolnił i usłyszał krzyki:

– Zwierzę… tam… Dzikie zwierzę – po czym wszyscy zniknęli jak kamfora.

Nie wiedział, czy mają na myśli jego samego, czy też coś innego. Wkrótce zrozumiał, co się stało.

Kilkaset metrów dalej w poprzek uliczki leżał wielki tygrys, racząc się wołowym udem porwanym z pobliskiej jatki. Odruchowo sięgnął po pistolet, lecz natychmiast zdał sobie sprawę z bezcelowości takiego zachowania. Z podobnym skutkiem mógłby strzelać do słonia z procy. Na tylnym siedzeniu leżał karabin maszynowy. Zatrzymał samochód, złapał tę broń i długą serią położył zwierzę trupem. Od rzeźnika dowiedział się później, że tygrys uciekł z objazdowego cyrku, który rozłożył się obozem

w pobliżu. Dzięki uprzejmości tego człowieka mógł później również odebrać sprawioną profesjonalnie skórę zwierzęcia.

Pod koniec roku ogłoszono alarm. Bożonarodzeniowe przepustki zostały wstrzymane, po czym 18 grudnia przyszedł rozkaz wymarszu. Wrócili do Francji przez Düsseldorf, Wiesbaden, Moguncję, Mannheim i Karlsruhe. Po przejechaniu Wogezów dotarli do Vesoul. „Ta okrężna podróż była dla mnie koszmarem, bo w zaśnieżonych Wogezach musiałem ciągle zawracać, by zabrać z drogi przeszło 150 samochodów i ciężarówek” – wspominał Skorzeny.

W ostatnich dniach marca 1941 roku SS-Verfügungsdivision, nosząca już wówczas nazwę „Das Reich”, otrzymała nagły rozkaz wyruszenia przez Ulm i Augsburg na południe Rumunii. Pogoda była fatalna, sprzęt zaczynał odczuwać jej skutki, drogi znajdowały się w stanie opłakanym, niczym plantacja cebuli. Tak było już podczas całej kampanii na Bałkanach.

W niedzielę 6 kwietnia o godzinie 5.59, po pięciominutowym przygotowaniu artyleryjskim, jednostka Skorzenego ruszyła do ataku. Serbowie odpowiedzieli ogniem, walcząc za szerokim rowem przeciwczołgowym, ale nie byli w stanie długo przeciwstawiać się przeważającej sile Niemców.

„Przed rozpoczęciem ognia żołądek miałem ściśnięty jak przed pojedynkiem na szable” – wspomina Skorzeny.

Hauptsturmführera Hansa Neugebauera szczerze ubawił ten widok.

– Trzęsiemy portkami, co? – zapytał.

– W żadnym wypadku – zaprzeczył mężnie Otto.

– To dlaczego pan tak nagle zbladł, hę?

– Od urodzenia jestem blady.

– Niech pan pociągnie łyk, Skorzeny – Hauptsturmführer wręczył mu manierkę ze sznapsem. – To powinno pomóc.

„Po przekroczeniu rowu przeciwczołgowego, mijając zabitych i rannych, parliśmy niepowstrzymanie naprzód aż do Pančewa – czytamy dalej w *Nieznanej wojnie*. – Tam dowiedzieliśmy się, że nasza dywizyjna grupa

rozpoznawcza, dowodzona przez Hauptsturmführera [Fritza] Klingenberga, weszła pierwsza do Belgradu, wykorzystując zaskoczenie.

Wysłano mnie na rozpoznanie na czele dwóch małych grup zmotoryzowanych, liczących 24 żołnierzy. Przeszedłem przez Vršac, które zachowało charakter starego miasta monarchii austro-węgierskiej. Gdy zbliżaliśmy się ostrożnie do Karlsdorfu, rozentuzjazmowana ludność wyszła nam na spotkanie; była to osiadła tam ludność niemiecka. Otrzymaliśmy meldunek o pojawieniu się oddziałów serbskich. Przejechaliśmy przez miejscowość i weszliśmy z nimi w kontakt bojowy na pofałdowanym i zakrzewionym terenie. Bardzo intensywny ogień nieprzyjaciela był wprawdzie niecelny, ale obawialiśmy się okrążenia. Pobiegłem na prawe skrzydło mojej grupy, gdzie żołnierze, mimo zażartych ataków, utrzymywali pozycję. Starcie trwało już co najmniej kwadrans, gdy zobaczyłem około trzydziestu żołnierzy przeciwnika, wychodzących przede mną z zarośli. Odniosłem wrażenie, że się zawahali. Natychmiast wydałem rozkaz przerwania ognia i krzyknąłem najgłośniej jak mogłem do nadal posuwających się Serbów: «Stój!».

Zaskoczeni, usłuchali polecenia, ale zaczęli nagle nadchodzić ze wszystkich stron. Przeszły mi ciarki po plecach. Zastanawiałem się, co mam robić: strzelać, czy nie? Na szczęście część moich żołnierzy zaszła ich od tyłu, co skłoniło Serbów do rzucenia broni i uniesienia rąk do góry.

Wróciliśmy do Karlsdorfu z wziętymi do niewoli pięcioma oficerami i przeszło sześćdziesięcioma żołnierzami, ale sami staliśmy się więźniami w tej miejscowości przez co najmniej trzy godziny. Przed ratuszem miejscowy burmistrz wygłosił mowę powitalną, a ja musiałem ściskać jego dłoń, gdy uroczyście oświadczył, że miejscowa ludność nigdy nie zapomniała niemieckiej ojczyzny. Uczestniczyliśmy później we wspólnym posiłku, który wydano na naszą cześć w budynku szkoły. Sądzę, że ani Bruegel, ani Teniers nie mieli nigdy okazji do namalowania podobnej fety”.

*

Kilka dni po opisanej potyczce Skorzeny został wezwany do kasyna oficerskiego przez Standartenführera Dietera Hansena.

– Za przeprowadzenie niedawnego zwiadu i wzięcie jeńców należy się panu Krzyż Żelazny – oświadczył oficer.

– To wspaniale – ucieszył się Otto.

– Ale ja nie przedstawiłem pana w raporcie do odznaczenia – ostudził jego radość Standartenführer.

„Cholera, o co znowu tym razem chodzi" – myślał gorączkowo Skorzeny, szukając w swoim zachowaniu w ciągu ostatnich dni jakiegoś naruszenia regulaminu czy innego wykroczenia przeciw dyscyplinie.

– Nie przedstawiłem pana do odznaczenia – kontynuował tymczasem Hansen – ponieważ wolałem awansować pana do stopnia Untersturführera [podporucznika]. Moją propozycję zaaprobowano w dowództwie, w związku z czym szczerze panu gratuluję i mam nadzieję, że takie rozwiązanie panu odpowiada.

– Jak najbardziej, Standartenführer – na twarz Skorzenego powrócił uśmiech.

Kilka godzin później Otto ponownie otrzymał wezwanie do Standartenführera Hansena.

– Mam z panem problem, Skorzeny – westchnął ciężko dowódca.

– Co się stało? – przestraszył się Otto.

– Właśnie nadeszła drogą służbową pańska nominacja.

– Coś z nią nie w porządku?

– No właśnie. Nadeszła z ważnością wsteczną, od 30 stycznia 1941 roku.

– I co teraz?

– No cóż, skoro pan już był Untersturführerem, to ta nominacja czyni z pana automatycznie Obersturmführera [porucznika]. A teraz może pan odmaszerować.

– Szybko awansowałeś – ucieszył się ojciec, kiedy Otto w mundurze oficerskim przyjechał na kilka dni do Wiednia w ramach związanego z awansem urlopu. – Gratuluję ci. Nie wyobrażaj sobie jednak, że któregoś dnia dostaniesz Krzyż Rycerski. Bądź realistą.

– Oczywiście, ojcze – odpowiedział posłusznie.

– To ogromny zaszczyt, być oficerem – ciągnął tymczasem stary pan Skorzeny. – Teraz musisz dawać przykład inteligencji i odwagi, szczególnie w najtrudniejszych okolicznościach. Synu, twój obowiązek wobec ojczyzny jest rzeczą świętą!

Na Jugosławię Niemcy, do spółki z Włochami i Węgrami, napadli 6 kwietnia 1941 roku. 15 kwietnia król Piotr II Karadziordziewić wraz z rządem udał się na emigrację, a 17 kwietnia armia jugosłowiańska skapitulowała. Część terytorium Jugosławii okupanci włączyli do swoich państw: Niemcy – północną Słowenię, Włosi południową Słowenię i część Dalmacji, dołączając także do okupowanej już przez nich Albanii większość Kosowa i zachodnią Macedonię. Węgrzy zajęli Baczkę i Baranię, Bułgaria – wschodnią Macedonię, niewielkie obszary Kosowa i Serbii. W okrojonej Serbii Niemcy powołali marionetkowy rząd Milana Acimovicia (zastąpionego niebawem przez generała Milana Nedicia). Z pozostałej części powstało Królestwo Czarnogóry (pod protektoratem Włoch) oraz Niepodległe (czy też raczej półsuwerenne, bo zależne w dużym stopniu od Niemiec i Włoch) Państwo Chorwackie, które objęło także Bośnię i Hercegowinę i na którego czele stanął Ante Pavelić.

8 kwietnia 1941 roku 12. Armia feldmarszałka Wilhelma Lista, w której czołówce znajdowała się Leibstandarte SS Adolf Hitler, przełamała linię Metaksasa i następnego dnia zajęła Saloniki. Kiedy 27 kwietnia niemieckie wojska wkraczały tryumfalnie do Aten, Brytyjczycy większość swoich wojsk ewakuowali pospiesznie na Kretę.

*

W połowie czerwca 1941 roku przyszedł rozkaz załadowania dywizji „Das Reich” do wagonów. Po ominięciu Czech konwój wjechał na Górny Śląsk, a następnie do Polski.

– Dokąd jedziemy? – zastanawiali się żołnierze, puszczając wodze wyobraźni.

– Pewnie razem z Rosjanami przekroczymy Kaukaz, aby opanować złoża ropy naftowej w Zatoce Perskiej – powiedział Skorzeny.

– Eee tam – zaprotestował jeden z jego kolegów. – Po co zawieraliśmy pakt przyjaźni i wzajemnej pomocy z Turcją? [17 czerwca 1941].

– No, po co?

– Po to, by po przekroczeniu Kaukazu przemaszerować przez ten kraj w kierunku Suezu i Egiptu, i zaatakować Anglików od tyłu. W tym samym czasie Rommel i Włosi też przejdą do ofensywy.

Nikomu nie przyszło do głowy, jakie były rzeczywiste cele rozkazu.

22 czerwca 1941 roku rozpoczął się nowy rozdział w historii II wojny światowej. Jak mówi stare porzekadło: nosił wilk razy kilka… Tuż przed świtem tego właśnie dnia, o godzinie 3.30, wojska niemieckie uderzyły na ziemie swego dotychczasowego sojusznika. Rozpoczęła się realizacja długo przygotowywanego przez hitlerowców planu „Barbarossa”.

„Żołnierze niemieccy! – brzmiały ostatnie zdania rozkazu dziennego Führera z 22 czerwca. – Wraz z tymi działaniami rozpoczynacie twardą walkę, która pełna będzie odpowiedzialności: los Europy, przyszłość Rzeszy Niemieckiej i istnienie naszego Narodu jest teraz w waszych rękach. Niech pan Bóg dopomoże nam wszystkim w tej ciężkiej bitwie”.

Klęska Francji w czerwcu 1940 roku spowodowała rewizję dotychczasowych planów militarno-politycznych III Rzeszy. Pomoc Związku Sowieckiego nie wydawała się już tak potrzebna, jak w początkowym okresie. Hitler nie musiał się obawiać jednoczesnej wojny na dwóch frontach. Zdawał sobie również sprawę z tego, że nie uda mu się w pełni opanować kontynentu europejskiego bez zniszczenia ZSRS. Jednocześnie zakładał, że dopóki istnieje to państwo, Wielka Brytania nie straci nadziei na pomyślny dla niej zwrot w przebiegu działań. Do ataku zainspirowało go także przekonanie, że pod względem wojskowym państwo to jest przysłowiowym kolosem na glinianych nogach.

Opinia ta zrodziła się w Niemczech w wyniku analizy wyjątkowo niefortunnych działań Armii Czerwonej w Finlandii zimą 1939/1940 roku. Niekompetencja dowódców różnych szczebli, słabe wyszkolenie

i wyposażenie żołnierzy do walk w warunkach zimowych doprowadziły wówczas do ogromnych strat wśród czerwonoarmistów. W tej sytuacji wojna z dotychczasowym sprzymierzeńcem miała być dla Wehrmachtu kolejnym Blitzkriegiem.

Jeszcze w ostatnich dniach czerwca 1940 roku w niemieckim Sztabie Generalnym rozpoczęto wstępne prace nad stworzeniem planu wojny przeciwko ZSRS. 31 lipca Hitler spotkał się z wyższymi dowódcami wojsk lądowych, lotnictwa i marynarki wojennej. Stwierdził wówczas jednoznacznie:

„Rosja powinna być zlikwidowana […]. Im szybciej ją zniszczymy, tym lepiej. Operacja tylko wtedy będzie miała sens, jeśli jednym uderzeniem rozgromimy to państwo".

Miał zamiar zaatakować Związek Sowiecki jeszcze w 1940 roku, jednak zmusiłoby to armię niemiecką do kampanii zimowej, co było zbyt ryzykowne. Dlatego zdecydował się uderzyć w maju 1941 roku.

18 grudnia 1940 roku Hitler podpisał dyrektywę nr 21. Zawierała ona ogólny plan wojny przeciwko ZSRS, ukryty pod wspomnianym wyżej kryptonimem „Fall Barbarossa". We wstępie do dyrektywy stwierdzono między innymi:

„Niemieckie siły zbrojne powinny być gotowe do rozbicia Rosji Sowieckiej w krótkotrwałej kampanii. W tym celu wojska lądowe powinny użyć wszystkich jednostek, jakimi dysponują, z wyjątkiem koniecznie niezbędnych do osłony obszarów okupowanych […]. Zadaniem lotnictwa będzie wydzielenie w czasie kampanii wschodniej takich sił do wsparcia wojsk lądowych, ażeby można było liczyć na szybkie zakończenie prowadzonych przez nie operacji […]".

Wielki nacisk położono na konieczność zniszczenia na początku kampanii wojsk sowieckich znajdujących się w zachodnich okręgach wojskowych. „Nie można pozwolić tym siłom – podkreślono w dyrektywie – na wycofanie się na szerokie przestrzenie rosyjskiego terytorium". Dlatego bliższym celem operacji „Barbarossa" było rozbicie Armii Czerwonej w republikach nadbałtyckich, na Białorusi i prawobrzeżnej

Ukrainie. Zamierzano w pierwszym etapie osiągnąć ogólną linię: Kijów z umocnionym przedmościem na wschodnim brzegu Dniepru, Smoleńsk oraz rejon na południe i zachód od jeziora Ilmeń. Dalszym celem strategicznym miało być zajęcie na południu Zagłębia Donieckiego, na północy – Leningradu oraz zdobycie stolicy kraju, Moskwy, co miałoby decydujące znaczenie polityczne i militarne dla końcowego zwycięstwa III Rzeszy.

„Ostatecznym celem operacji jest utworzenie bariery przeciwko Rosji azjatyckiej na ogólnej linii Wołga–Archangielsk – czytamy w wymienionym dokumencie. – W ten sposób, w razie konieczności, można będzie sparaliżować z pomocą lotnictwa ostatni okręg przemysłowy znajdujący się w rękach Rosjan na Uralu”.

Zwycięstwo w wojnie z ZSRS miało zostać przesądzone w roku kampanii trwającej 6–8 tygodni, w najgorszym wypadku 3–4 miesiące. Przywódcy III Rzeszy oceniali bardzo optymistycznie możliwości własnych sił zbrojnych. Zbyt optymistycznie. W działaniach u boku Wehrmachtu mieli wziąć udział także żołnierze państw sprzymierzonych z Niemcami – Finlandii, Rumunii i Węgier.

Operacja „Barbarossa” miała rozpocząć się w maju 1941 roku, jednak w związku z niemiecką agresją na Jugosławię i Grecję w kwietniu tego roku, naruszony został harmonogram ześrodkowania wojsk przeznaczonych do ataku na ZSRS. Dlatego w połowie maja Hitler zdecydował, że nastąpi on dopiero 22 czerwca.

*

Państwo Stalina było zupełnie nieprzygotowane do wojny, a przynajmniej do wojny z tak potężnym przeciwnikiem. Szybko wyjaśniło się, że męstwo żołnierza dawnego typu – człowieka ogromnego wzrostu, wąsatego i o bohaterskiej prezencji, umiejącego galopować, rąbać i nie kłaniać się kulom – zupełnie się przeżyło. Na pierwsze miejsce w nowoczesnej wojnie został wysunięty sprzęt techniczny i organizacja tyłów. Od żołnierzy

wymagano przede wszystkim, żeby z uporem i posłusznie umierali w miejscach wyznaczonych przez dowódców na mapie.

Zdezorganizowana Armia Czerwona, pozbawiona w wyniku stalinowskich czystek najzdolniejszych oficerów, zupełnie nie potrafiła przeciwstawić się niemieckiej machinie wojennej, odnoszącej sukcesy na trzech frontach. Rozstrzelani zostali trzej marszałkowie: Michaił Tuchaczewski, Aleksander Jegorow i Wasilij Blücher, siedemdziesięciu pięciu z osiemdziesięciu komdiwów i kombirgów (generałów) będących członkami Najwyższej Rady Obrony, zlikwidowano trzynastu z piętnastu dowódców armii oraz trzystu sześćdziesięciu siedmiu innych generałów. Od maja 1937 roku do lutego roku 1938 skazano w ZSRS na karę śmierci przeszło trzydzieści dwa tysiące oficerów. Armia Czerwona straciła prawie całą kadrę dowódczą, którą Stalin zastąpił oddanymi partii fanatykami, bez wojskowego wykształcenia[10].

W ciągu czterech miesięcy wróg przemaszerował przez państwa bałtyckie, zdobył Mińsk i Smoleńsk, obległ Leningrad, zajął Kijów i większość Ukrainy. Tylko w ciągu kilku pierwszych dni walk Rosjanie stracili tysiąc dwieście samolotów, kilka tysięcy czołgów i dział, a setki tysięcy żołnierzy znalazły się w niewoli. Takiej straszliwej klęski Rosja nie zaznała od czasów kampanii napoleońskiej. Carscy generałowie z lat I wojny światowej, którym sowiecka historiografia zarzucała skrajną nieudolność, nigdy nie ponosili tak druzgocących porażek.

Żaden rozum nie mógł wytłumaczyć, dlaczego ludzkość tępi sama siebie żelazem, dynamitem i głodem. Zaczęły pękać jakieś odwieczne wrzody. Odzywało się dziedzictwo przeszłości, ale i to niczego nie tłumaczyło. Sentymentalne uchwały konferencji haskiej – jaki sposób zabijania jest etyczny, a jaki nieetyczny – zostały po prostu podarte. I razem z rozniesionymi przez wiatr strzępkami papieru rozleciały się nikomu niepotrzebne przeżytki moralnych praw.

„Wierzę głęboko – napisał Otto Skorzeny – że gdyby Hitler nie wydał nam wówczas rozkazu do ataku, państwa europejskie i większość świata byłyby dziś zbolszewizowane. Prawda, że była to wojna potworna.

Ogromna Rosja straszliwie ucierpiała. Nasi żołnierze walczyli bohatersko. To w końcu niemiecką ziemię, niemiecki lud i jego armię poświęcono w tej gigantycznej walce. Żołnierzy europejskich, którzy nie padli na polu chwały, najczęściej okrutnie ukarano. Jeżeli jednak istnieje Europa i cywilizacja zachodnia, to im właśnie zawdzięczają one istnienie […]. Możliwe, że blok komunistyczny sięgałby dziś od Brestu do Władywostoku, w Afryce – od Algieru po Przylądek Dobrej Nadziei, poza Chinami ogarnąłby Japonię i Australię. Stalin nie darowałby nikomu".

W skład Grupy Armii „Nord", dowodzonej przez feldmarszałka Wilhelma von Leeba, wchodziły dwie armie, 16. i 18., oraz oraz jedna grupa pancerna (4. Gpanc). Postawiono przed nią cel zajęcia państw bałtyckich i Leningradu.

Grupa Armii „Süd" feldmarszałka Gerda von Rundstedta, złożona z trzech armii niemieckich, 6., 11. i 17., dwóch rumuńskich marszałka Iona Antonescu (3. i 4.) oraz z 1. Grupy Pancernej, miała posuwać się na południe od bagien Prypeci, przeciąć zachodnią Ukrainę i zająć Kijów.

Najsilniejsza była, dowodzona przez feldmarszałka Fedora von Bocka, Grupa Armii „Mitte", która miała operować między bagnami Prypeci a Suwałkami, w kierunku na Smoleńsk. W jej skład wchodziły dwie armie, 4. i 9., i dwie grupy pancerne, 2. i 3., z których pierwsza, dowodzona była przez „Szybkiego Heinza", generała Heinza Guderiana, a druga przez generała Hermanna Hotha. Dywizja „Das Reich" wchodziła w skład 2. Grupy Pancernej.

O ile sam Brześć padł szybko, to stara, zbudowana na skale przy ujściu Muchawca do Bugu twierdza brzeska broniła się jeszcze przez trzy dni. Była to ta sama twierdza i ten sam Brześć, w którym zaledwie półtora roku wcześniej oddziały sowieckie i niemieckie defilowały wspólnie ramię w ramię po najechaniu Polski. Obrona twierdzy przez Sowietów w 1941 roku, mimo że w propagandzie urosła do rangi symbolu bohaterstwa sowieckiego żołnierza, nie miała żadnego strategicznego znaczenia. Sowieci nie obsadzili całej twierdzy i nie przygotowali jej do obrony. W okresie pierwszej okupacji sowieckiej aż do 22 czerwca 1941 roku

służyła im przede wszystkim jako katownia, w której likwidowano polskich patriotów. Traktowano ją też jako punkt etapowy, w którym gromadzono więźniów przeznaczonych do dalszej deportacji.

„Nie pomogły intensywny ogień artyleryjski i bombardowania lotnicze – pisze Skorzeny. – Zbliżyłem się do twierdzy wraz z plutonem dział szturmowych. Rosyjscy strzelcy wyborowi odpowiadali ze schronów, do których strzelaliśmy na wprost. Nasze straty były ciężkie. Widziałem, jak ginęło wielu dobrych kolegów. Rosjanie walczyli po bohatersku do ostatniego naboju. Podobnie było na dworcu, którego piwnice trzeba było zalać wodą, by opór ustał.

Straciliśmy w Brześciu przeszło 1000 rannych i 482 zabitych, w tym 80 oficerów, ale nasze straty wynosiły tam 5% niemieckich strat w Rosji poniesionych w pierwszych ośmiu dniach wojny”.

*

– Żołnierze niemieccy!

Donośny głos rozniósł się po pokrytym kurzem dziedzińcu.

– Żołnierze Waffen-SS!

Führer stał w otoczeniu sztabu i wyższych dowódców Leibstandarte na zaimprowizowanym pospiesznie podwyższeniu w centralny punkcie Brześcia, zwanym jeszcze niespełna dwa lata temu placem Traugutta.

– Walczyliście bohatersko. Żadna armia na świecie nie potrafiłaby dokonać tego, czego wy dokonaliście w ciągu kilku ostatnich dni. Nie zawiedliście mnie pomimo ogromu poniesionych strat. Wasza krew nie została jednak przelana na darmo…

Głos wodza osłabł na chwilę, widać było, że jego emocje są szczere i autentyczne, że nie stanowią żadnej gry aktorskiej.

Adolf Hitler naprawdę przejmował się poniesionymi stratami.

– Wszystkim, którzy noszą na rękawach opaski z moim nazwiskiem, składam pokorny pokłon podziwu za wasze poświęcenie, za wasz idealizm i za waszą wiarę w sprawę narodowego socjalizmu!

Jego mocny głos odbijał się echem od linii drzew, potwornie okaleczonych podczas kilku poprzednich dni walk.

– Nad Bugiem odnieśliśmy oto wspaniałe zwycięstwo. Niezapomniane. Wzięliście do niewoli prawie milion sowieckich żołnierzy. Wszystko, czego jeszcze teraz potrzeba, to zadać kilka ciosów, które całkowicie powalą wroga.

Hitler pisał źle, językiem niepoprawnym słownikowo i gramatycznie, pełnym pustego werbalizmu i przesadnie superlatywnych wyrażeń. Natomiast mówcą był fenomenalnym. Efekt jego przemówień nie polegał na toku logicznym – ich stenogramy robią wrażenie bardzo mierne – lecz na operowaniu tonacją i gestami, na żywiołowym temperamencie i – pozorowanej lub rzeczywistej – sile wewnętrznego przekonania. Jego przemówienia były nie słowem, lecz czynem. Słuchacze, zwłaszcza jeśli zgromadzeni w masie, ulegali zbiorowemu uniesieniu.

– Teraz musicie uderzyć go w splot słoneczny – kontynuował Adolf. – Odciąć go od żywności i paliw na Ukrainie i Kaukazie. – Wódz uniósł ręce do góry w obrazowym geście, jakby obok stał sam Józef Stalin, którego właśnie zamierzał powiesić. – A kiedy już to zrobimy… – zawiesił dramatycznie głos i machnął ręką w dół, jakby zadawał śmiertelny cios – odetniemy bestii łeb, aby spadł u jej stóp!

Niecierpliwym ruchem głowy odrzucił czarny kosmyk włosów spadających mu na oczy. Wojowniczo wysunąwszy do przodu dolną szczękę, wzniósł wzrok do góry, jakby rzucał wyzwanie samemu Bogu, zagradzającemu mu drogę do osiągnięcia wyznaczonego celu.

– Obiecuję to wam bezwarunkowo! – ryknął nagle niczym lew, aż pierwsze szeregi stojących żołnierzy przysiadły niemal z wrażenia. – Obiecuję, że wróg na wschodzie zostanie powalony i nigdy więcej się nie podniesie! Żołnierze, przed nami ostatnie, najważniejsze zadanie, Moskwa!

Stojący gdzieś w środku placu, w sporej odległości od przemawiającego Otto Skorzeny, wraz z tysiącem innych wyrzucił rękę do przodu w hitlerowskim pozdrowieniu, krzycząc na całe gardło:

– *Sieg Heil!* (Cześć zwycięstwu!) *Sieg Heil! Sieg Heil!*

Stojący obok wodza na podwyższeniu działacze i wojskowi, a wśród nich między innymi Martin Bormann, Heinrich Himmler i Wilhelm Keitel, stanęli na baczność, również wyciągając ręce w partyjnym pozdrowieniu lidera.

– *Sieg Heil! Sieg Heil! Sieg Heil!*

Okrzyki narastały jak deszcz walący w bęben podczas burzy. Uderzały jak grom w sklepienie nieba i wracały na dół ze zdwojoną mocą, aż można było ogłuchnąć.

Usytuowana na prawo od podwyższenia orkiestra zaczęła grać hymn narodowy. Po chwili podjęli go wszyscy zgromadzeni. *Deutschland, Deutschland über alles!* – Niemcy, Niemcy ponad wszystko![11].

Skorzeny patrzył na Führera i czuł, jak wstrząsają nim dreszcze. Pot spływał mu cienką strużką po plecach. Czuł wyraźnie, że uczestniczy w ważnym momencie historii. Przytłaczająco wielkim momencie, o którym będzie kiedyś opowiadał swoim dzieciom. Tak jak jemu samemu opowiadał ojciec, wspominając pierwsze dni wojny 1914 roku. Jeśli oczywiście, tak jak ojcu, uda mu się przeżyć.

*

Od 22 do 29 czerwca jednostka Skorzenego przeszła wraz z grupą pancerną Guderiana od Bugu do Berezyny, wspierana przez pułk (w późniejszym czasie dywizję) „Grossdeutshland”. Brakowało im artylerii i amunicji, rwała się też łączność radiowa. 3 lipca jeden z batalionów dywizji „Das Reich” wraz z baterią artylerii i batalionem piechoty zdołał uchwycić przyczółek na Berezynie, w miejscowości Brodec. Tego samego dnia czołowe oddziały 3. Grupy Pancernej Hotha z północy i 2. Grupy Pancernej Guderiana z południa zacisnęły pętlę za Mińskiem. W rezultacie operacji wzięto do niewoli 287 704 jeńców i zniszczono lub zdobyto 2585 sowieckich czołgów, w tym najcięższe.

W czasie walk od Berezyny do Dniepru padały ulewne deszcze. Żołnierze musieli brnąć przez błoto, z którego z najwyższym trudem

wyciągano sprzęt. Naprawa wielu uszkodzonych pojazdów stała się trudna, czasami wręcz niemożliwa. Nie wiedzieli, że czekają ich wkrótce daleko gorsze przejścia. Mimo jednak błota i krótkotrwałej, acz zaciętej bitwy, podczas której zbombardowało ją sowieckie lotnictwo, dywizja „Das Reich" sforsowała Dniepr na południe od Szkłowa.

„Kampania rosyjska nie została jednak «wygrana w czternaście dni», jak to zanotował w swoim *Dzienniku* pod datą 3 lipca generał pułkownik [Franz] Halder – wspomina Skorzeny. – Innym błędem, popełnianym przez historyków, jest twierdzenie, że «od początku kampanii oddziały rosyjskie miały rozkaz trwania aż do końca». Przeciwnie, dostały one rozkaz jak najszybszego odwrotu, by ujść z okrążenia; poświęcono tylko niektóre jednostki. Przeszło 500 000 żołnierzy sowieckich uszło z mińskiej pułapki i Hitler o tym wiedział. 13 lipca zatrzymaliśmy gwałtowne kontrataki sowieckie, po czym ruszyliśmy następnego dnia na południe od Gorkiego. Wspólnie z 10. Dywizją Pancerną generała [Ferdinanda] Schaala uderzyliśmy wzdłuż szosy Smoleńsk–Stodoliszcze, zdobywając po ciężkiej walce 18 i 19 lipca Jelnię".

Jelnia, położona nad rzeką Desną, siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Smoleńska, była jednym z ważniejszych punktów strategicznych i ważnym węzłem kolejowym. Wspólnie z 10. Dywizją Pancerną żołnierze „Das Reich" utworzyli przyczółek mostowy i rozbudowali obronę „na jeża" o promieniu ośmiu kilometrów. (Ten system obrony okrężnej polegał na rozmieszczeniu stanowisk promieniście, na wszystkie strony przyczółka). Dywizjon Skorzenego znalazł się w jej południowo-wschodniej części.

Walki o Jelnię przeszły do historii pod nazwą „piekielnych". Przez sześć tygodni mianowany niedawno dowódca Frontu Zachodniego marszałek Siemion Konstantinowicz Timoszenko próbował przełamać niemieckie pozycje, rzucając do ataku dywizje rezerwowe, dowodzone przez przyszłego marszałka Konstantina Rokossowskiego. Jednego tylko dnia, 30 lipca, na „jeżu" obsadzonym przez pułk „Grossdeutschalnd" i dywizję „Das Reich" załamało się trzynaście sowieckich ataków.

„To chyba tego dnia na widok T-34 wyłaniających się przed 6. baterią 2. dywizjonu nasz dowódca, Hauptsturmführer Joachim Rumohr, skoczył na motocykl i zachowując zimną krew, dowodził, krążąc między naszymi działami a czołgami przeciwnika. Ostatni został zniszczony pociskiem 105 mm działa piętnaście metrów przed stanowiskiem. Najwyższy czas! Epizod ten był naprawdę niezwykły. Niebawem Rumohr awansował do stopnia Sturmbannführera (majora), a ja otrzymałem Krzyż Żelazny II klasy”.

*

Na początku sierpnia zluzowały ich dwie dywizje piechoty, nie było jednak czasu na odpoczynek, ponieważ prawie natychmiast rozkazano im obsadzić stanowisko na północ od „jeża”, gdzie piechota sowiecka nacierała, ponosząc potworne straty. „Fala za falą wróg szedł prosto na śmierć, zawsze w to samo miejsce, gdzie skierowany był ogień naszych dział – pisze Skorzeny. – Było to niezrozumiałe, okropne, wręcz odrażające”.

„Próżno szukać opublikowanych wspomnień żołnierzy sowieckich, które wiarygodnie oddałyby nastrój z okopów Wojny Ojczyźnianej – czytamy w artykule Andrzeja Rafała Potockiego *Zanim ktoś zabije Niemca, zginie kilkadziesiąt milionów ludzi*. – Te pisane w czasach przed pieriestrojką poważnie przekłamują rzeczywistość, a te, które powstały później, albo są nadmiernie retuszowane, albo cenzurowane przez samych autorów. Oczywiście prawdziwe są opisy walk, uzbrojenia czy przykłady bohaterstwa żołnierzy. Brak w nich jednak kompletnie analizy barbarzyńskich zachowań dowództwa, skazującego bezmyślnie miliony sołdatów na rzeź z powodu niekompetencji i strachu przed przełożonymi […].

Generalnie podstawowym celem tej hekatomby było pokazanie przeciwnikowi własnej determinacji, tego, co jest dla niego nieuchronne […], tego, że taktyka jest jedna: napierać masą ciał. Ktoś w końcu zabije Niemca. Na żołnierzach III Rzeszy, nie da się ukryć, te działania robiły

wrażenie, ale mimo to trwali oni dalej na swoich pozycjach, zmieniając tylko magazynki”.

Oddajmy znów głos Otto Skorzenemu:

„Pomyśleliśmy, że nasz oficer ogniowy, Hauptsturmführer Scheuffele, który za linią frontu kierował ogniem ustawionej za nim baterii, złożonej z 24 dział, zwariował lub został ranny, gdyż przestał strzelać. Z trudnością dotarłem do jego stanowiska, wokół którego leżały rozrzucone puste butelki po wódce. Był pijany. Zdegustowany kierowaniem co 3 godziny ogniem 24 dział na wciąż takie same masy Rosjan, idące na rzeź przez zwały trupów z poprzednich ataków, Hauptsturmführer zaczął pić. Zastąpiłem go, ale muszę przyznać, że aby wytrzymać napięcie, po trzecim ataku rosyjskim również wypiłem”.

Jedynym wymiernym efektem samobójczych szturmów były ludzkie zwłoki używane na pierwszej linii i tyłach jako materiał budowlany. „Nieboszczykami faszynowano bagna, robiono z nich kryjówki, odpoczywano siedząc na trupach – napisała jedna z ofiar sowieckiej machiny wojennej Nikołaj Nikulin w książce *Sołdat*. – Ponieważ brakowało podkładów kolejowych, nierzadko kładziono pod tory zamarzniętych nieboszczyków. Leży Iwan, w potylicę ma wbity gwóźdź, na wierzchu szyna, a po szynie leci wagonik, popychany przez żołnierzy”.

System zafundował swojemu narodowi klęskę i system musiał poszukać jakiegoś rozwiązania. Znaleziono najprostsze z możliwych. Pierwsze samobójcze ataki na wielką skalę zastosowano właśnie pod Jelnią. Generał Friedrich Mellenthin charakteryzował w książce *Bitwy pancerne* taktykę natarcia rosyjskiej piechoty w sposób następujący:

„Aż do końca wojny Rosjanie nie zawracali sobie głowy sprawą rozluźniania nacierających szyków i wysyłali żołnierzy do natarcia niemal ramię przy ramieniu. Instynkt stadny i przejawiana przez młodszych dowódców niezdolność do samodzielnego działania sprawiały, że ataki zawsze były prowadzone zbitymi gromadami. Dzięki przewadze liczebnej taktyka ta pozwoliła im osiągnąć wiele ważnych i znaczących sukcesów… W mgnieniu oka zapełniali teren przed obrońcami. Wyłaniali się jak spod

ziemi i trudno było oprzeć się wrażeniu, że nadciągającego potopu nie da się powstrzymać. Wielkie wyrwy spowodowane przez nasz ogień zamykały się natychmiast. Fale nadciągały jedna po drugiej, dopóki rezerwy ludzkie nie uległy wyczerpaniu… Odparcie takiego ataku nie jest tylko kwestią sprzętu, bardziej zależy od wytrzymałości nerwowej obrońców. Jedynie weterani byli w stanie opanować lęk, który musiał ogarnąć każdego… Niekiedy Rosjanie rozdawali w batalionach szturmowych wódkę i wtedy w noc przed atakiem słyszeliśmy ich szatańskie wrzaski… Takie bezwzględne metody stanowiły najbardziej nieludzki, a zarazem najbardziej kosztowny sposób prowadzenia walk".

W roku 1942 ze względu na ciężką sytuację frontową Stalin wydał słynny rozkaz 227 o oddziałach zaporowych NKWD, które cofającym się żołnierzom miały strzelać w plecy. Teraz sołdatom pozostało już tylko jedno wyjście: kierunek Berlin. Średnią życia w piechocie liczono na trzy ataki.

Zginąć, tak po prostu, od jednego strzału, to wcale jeszcze nie było złe wyjście. Dużo gorzej było dostać się do niewoli…

Zgodnie z danymi sowieckimi w okresie od 22 czerwca do końca września 1941 roku dostało się do niewoli około miliona siedmiuset tysięcy żołnierzy Armii Czerwonej. W liczbie tej mieściło się także kilkaset tysięcy jeńców – byłych żołnierzy Frontu Południowo-Zachodniego. Ich los był wyjątkowo tragiczny. Jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych przeciwko ZSRS OKH wydało rozkaz, zgodnie z którym wszystkich wziętych do niewoli oficerów politycznych Armii Czerwonej należało natychmiast rozstrzelać. Wobec pozostałych jeńców można było stosować broń bez ograniczeń. Nie bez znaczenia był fakt, że rząd sowiecki nie podpisał konwencji genewskiej z 27 lipca 1929 roku o ochronie jeńców wojennych.

Warunki panujące w obozach jenieckich dla czerwonoarmistów upodabniały je do obozów śmierci. Pułkownik Konstantin Kromiadi, późniejszy dowódca Kwatery Głównej generała Andrieja Własowa, opisując w 1941 roku jedno z takich miejsc, stwierdził:

„Jeńcy byli półnadzy, brudni, wycieńczeni, zarośnięci, a co najważniejsze – doprowadzeni do całkowitej desperacji […]. Bicie i używanie broni były zjawiskami normalnymi. Najżałośniejsze było to, że wyżywienie jeńców miało czysto «formalny» charakter […] ludzie byli całkowicie wyczerpani i ledwie trzymali się na nogach […]. Tej zimy 80% zmarło z głodu i chłodu".

Dramat rosyjskich jeńców potęgowal fakt, że władze ZSRS nie przejawiały żadnego zainteresowania ich losem. Co więcej, zgodnie z wydanym 16 sierpnia 1941 roku przez ludowego komisarza obrony marszałka Siemiona Timoszenkę rozkazem 270 wszystkich czerwonoarmistów oddających się do niewoli uznawano za zdrajców ojczyzny. Ich rodziny były poddawane różnego rodzaju represjom włącznie z aresztowaniami i zsyłkami. Wielu żołnierzy, którzy zdołali mimo wszystko przeżyć niemiecką niewolę, trafiło po wojnie ponownie do obozów – tym razem w ZSRS.

*

To był potworny kraj dla czołgów. Wielkie sosnowe lasy rozciągające się na setki kilometrów, wielkie bagna niewysychające nawet w czasie największych upałów, mosty po których ledwie mogły przejechać prymitywne rosyjskie taczanki, a co dopiero mówić o ponad trzydziestotonowych PzKpfw IV[12], i straszne drogi, jeżeli w ogóle „to coś" można było nazwać drogami. Kurz i piasek nadwerężały silniki pojazdów i zapychały filtry. Guderian zażądał sześciuset nowych silników, dostał zaledwie połowę.

Dostarczone przez wywiad mapy były również kiepskiej jakości – według Skorzenego postarał się o to zdrajca Canaris. Drogi kołowe, oznaczone na nich głęboką czerwienią, zamieniały się błyskawicznie w pyliste ścieżki, a przeprawy były płytkie. Czołgi wciąż nacierały, pokonując po trzydzieści czy nawet pięćdziesiąt kilometrów dziennie, ale niechronione kolumny transportowe, rozciągnięte na setki kilometrów,

bezskutecznie próbowały je dogonić. Tylko spocona piechota, pokryta chmurami kurzu, ledwie nadążała za pancerną czołówką.

Pomimo tych strasznych warunków Niemcy odnosili zwycięstwo za zwycięstwem. Rwali na Moskwę, pozostawiając za sobą wypalone miasta i wsie, tysiące zabitych i rozstrzelanych. Oddziały SS „czyściły" tuż za frontem wszystkich, którzy jeszcze pozostali i mogli być w najmniejszym stopniu podejrzani o sprzyjanie Armii Czerwonej. Szlak bojowy dywizji „Das Reich" znaczyły ogromne, zbiorowe mogiły.

„To, co widzieliśmy w centralnej Rosji, a także zobaczyliśmy nieco później na Ukrainie, upewniało nas, że lud rosyjski oczekiwał od nas wyzwolenia – ubolewał Skorzeny. – Niestety, ludzie pokroju Martina Bormanna czy Komisarza Ukrainy Ericha Kocha są odpowiedzialni za absurdalną politykę okupacyjną. Zamiast deportować mieszkańców wsi, należało ich wyzwolić i traktować po ludzku. Takiego zdania był Reichsleiter Alfred Rosenberg, ale jego rozsądne zdanie spotykało się ze sprzeciwem".

Wiadomości o kolejnym wielkim zwycięstwie rozchodziły się jak pożar w stepie między nacierającymi oddziałami. Rosjanom nie pomogła korzystna dla nich dysproporcja w uzbrojeniu: trzy i pół tysiąca czołgów niemieckich walczyło przeciwko dwudziestu pięciu tysiącom maszyn przeciwnika, z czego około czterech tysięcy było o całą generację nowocześniejszych. Około sześciu tysiącom „sokołów Stalina" (w tym półtora tysiąca zaawansowanych technologicznie maszyn), przeciwko którym stanęło tysiąc osiemset samolotów Luftwaffe, także nie udało się zapobiec spektakularnej klęsce.

Późnym latem 1941 roku sowieckie ministerstwa oraz ambasady rozpoczęły ewakuację do Kujbyszewa, miasta nad Wołgą, które obecnie nazywa się Samara. 16 października w stolicy wybuchła panika. Sądząc, że wróg lada chwila wkroczy do miasta, ludzie zaczęli grabić sklepy. Utworzono specjalny pułk NKWD, który jak kamikadze miał bronić Moskwy do ostatniego żołnierza.

– To nie będzie trwało długo, panowie – przekonywał kolegów Skorzeny. – Wkrótce będziemy w Moskwie.

– Może – skrzywił się jeden z nich nazwiskiem Schwartz. – Tylko na razie gnijemy tutaj jak dekownicy, a inni odwalają za nas robotę. Już od tygodnia nie widziałem w celowniku żadnego rosyjskiego czołgu. Tylko masy uciekających piechurów, którzy ratując skórę, porzucali broń.

– Wiem, Schwartz – Otto zaciągnął się z lubością dymem z papierosa. – Trzeba jednak przyznać, że już odwaliliśmy kawał dobrej roboty.

– Ale jak tak dalej pójdzie, to gówno zobaczymy, nie Moskwę – nie ustępował Schwartz. – Sierżanci na tyłach śmieją się z nas, że toczymy miękki walec. Ta kampania bardziej przypomina rajd terenowy niż prawdziwą wojnę.

– Jeszcze się nawalczysz – wtrącił się któryś z młodszych oficerów. – Patrz lepiej, żebyś wyniósł stąd cało swoją głowę.

– Defetysta! – rozległo się wołanie z tyłu. – Tchórz!

– Nie jestem tchórzem – obruszył się młodzieniec. – Ale tu, w Rosji, wszystko jest inaczej.

– Co to znaczy inaczej?

– Po prostu inaczej. Na zachodzie walczyliśmy normalnie. A tu… W ich postawie jest coś przerażającego. Jakby zmagało się dwóch nagich dzikusów i nie istniały żadne reguły walki.

– Ma rację – powiedział któryś z obecnych. – Pamiętacie tych dwustu niemieckich jeńców w milicyjnych koszarach? Tych z głowami przedziurawionymi strzałami z pistoletu?

– Prawda – rozległ się głos poparcia. – W Brześciu było jeszcze gorzej. Któregoś dnia wysłali mnie na patrol do lasu. Natknąłem się tam na dwóch oficerów z naszej dywizji. Mieli ręce związane na plecach, a w usta wepchnięte własne genitalia.

To popołudnie zakłócało tylko echo strzałów artyleryjskich, rozlegających się zresztą dość daleko od nich. Siedzieli wszyscy, chroniąc się od lepkiego upału, w jednej z rosyjskich chałup z glinianą polepą, skąd

przegnali gospodarza, ryzykując kontakt z wszami, których wielka liczba zasiedlała izbę.

Jeszcze gorsze były wszechobecne pluskwy. Insekty te miały szczególne obyczaje; czekały zwykle, aż światło zgaśnie, i jak tylko zrobiło się ciemno, wyłaziły. Nie kierowały się przypadkiem: zmierzały prosto do karku, który – nie wiedzieć dlaczego – przedkładały nad inne części ciała; czasami kierowały się ku przegubom rąk, rzadziej dawały pierwszeństwo kostkom.

Kończył się kolejny dzień strasznych upałów i wszystko wokół promieniowało nagromadzonym w ciągu długich letnich godzin żarem. Gdzieś z pola dobiegały głosy chóralnie śpiewanej piosenki:

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor,
Stand eine Laterne und steht sie noch davor.
So wolln wir uns da wiedersehn,
Bei der Laterne wolln wir stehn,
Wie einst Lili Marleen, wie einst Lili Marleen.
Wie einst Lili Marleen[13].

Pięć minut później do chałupy wpadł zdyszany łącznik z dowództwa dywizji. Twarz miał zlaną potem, a oczy błyszczały mu w podnieceniu.

– Wszędzie was szukałem – zawołał, zapominając w pośpiechu, jak powinien zwracać się do starszych stopniem.

– Co się dzieje?

– Wielkie nowiny, naprawdę wielkie. Za godzinę wyruszamy. Właśnie przyszły rozkazy ze sztabu armii!

Otto chwycił pospiesznie hełm i przypiął pas z pistoletem.

– No dalej, Schwartz, ruszamy.

– Chwili spokoju człowiekowi nie dadzą – zaczął marudzić Schwartz.

– Przed chwilą narzekałeś, że inni odwalają za nas robotę.

– No… tak. Ale jak przyjemnie narzekało się, siedząc w chłodnej izbie. Myślisz, że idziemy na Moskwę?

– Niewykluczone.

– No to dalej, chłopaki. Pokażmy tym zasranym Iwanom, do czego zdolni są żołnierze „Das Reich”.

Znużone drzewa pospuszczały bezsilnie liście. Powietrze trwało w całkowitym bezruchu. Z pobliskich krzaków wychyliła się głowa gospodarza. Był to bardzo stary człowiek w szmacianej czapce i podartej, niegdyś białej, koszuli. Miał zapadnięte, wychudłe, pokryte siwym zarostem policzki i wilgotne, całkowicie pozbawione wyrazu oczy. Wieśniak długo patrzył za odjeżdżającymi pospiesznie żołnierzami. W końcu przeżegnał się, splunął trzy razy i wymruczał:

– Jeszcze się Fryce przekonacie, psia wasza mać!

*

Dywizja „Das Reich” wzięła udział we wrześniowych ciężkich walkach oskrzydlających na wschód od Kijowa, prowadzonych przez nadchodzącego z północy Guderiana, i z południa – generała Paula von Kleista. Kijów skąpany był w jesiennym błocie, z którego jak złote grzyby wyrastały w górę kopuły cerkwi Świętej Zofii i Świętego Michała, zwieńczone lasem prawosławnych krzyży. W dole, niczym obnażona głownia szabli, błyszczał Dniepr, ów „patryarcha” rzek ruskich, „wielki kniaź wód”, zwany prze wielu „sarmackim Renem”. Miejscami rzeka tworzyła łachy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą w urwiste brzegi, wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne.

Rezultat bitwy przeszedł najśmielsze oczekiwania: sześćset sześćdziesiąt pięć tysięcy wziętych jeńców, osiemset osiemdziesiąt cztery zniszczone lub zdobyte czołgi oraz trzy tysiące siedemset osiemnaście dział. Walczyli w rejonie Priłuk i Romn, gdzie w 1708 roku podczas wojny północnej miał swój sztab król Szwecji Karol XII. Następnie ruszyli na północ przez Homel do Rosławla, do którego dotarli w końcu września, by wziąć udział w pierwszej fazie operacji „Tajfun”, mającej na celu zajęcie Moskwy.

Na początku października skręcili na północny wschód, w kierunku Juchnowa i Gżacka, gdzie musieli walczyć na dwa fronty: na zachodzie

z przeciwnikiem usiłującym przerwać okrążenie i wydostać się z pułapki, a na wschodzie z dywizjami, które Timoszenko posyłał na „autostradę" Moskwa–Smoleńsk. Słowo „autostrada" przywodzi na myśl szeroką drogę pokrytą gładkim asfaltem. To coś zwane „autostradą" przypominało jednak szeroki wał ziemi pokryty szutrem.

Dywizja „Das Reich" walczyła wspólnie z brygadą generała Bruna von Hauenschilda z 10. Dywizji Pancernej, 7. pułkiem pancernym, batalionem 90. pułku artylerii zmotoryzowanej i 10. batalionem motocyklistów. Między „autostradą" a starą drogą pocztową, położoną nieco bardziej na północ, Rosjanie założyli pola minowe, wybudowali zapory z drutu kolczastego, okopy przeciwczołgowe i schrony, których załogę stanowiły oddziały uzbrojone w miotacze płomieni, doskonałą artylerię i „organy Stalina".

Te ostatnie cieszyły się wśród Niemców wyjątkowo złą sławą. Rosjanie nazywali je „Katiuszami", co było popularnym u nich zdrobnieniem żeńskiego imienia Jekatierina. Piosenkę o Katiuszy, mówiącą o tęsknocie dziewczyny za ukochanym, który odbywa służbę wojskową, po drugiej stronie frontu śpiewano równie często, ja po tej *Lili Marleen*. Muzykę skomponował w 1938 roku roku Matwiej Blanter, a słowa napisał Michaił Isakowski. Pierwszy raz wykonała ją Walentyna Batiszczewa 27 listopada 1938 roku na koncercie w Sali Kolumnowej Moskiewskiego Domu Związkowego. Lidia Rusłanowa, znana interpretatorka rosyjskich pieśni ludowych, rozsławiła później piosenkę swoimi wykonaniami na frontowych koncertach. Ufundowała też ze swoich honorariów dwie wyrzutnie rakietowe, skąd właśnie wzięła się ich nazwa – Katiusze.

Rascwietali jabłoni i gruszy,
Popłyli tumany nad riekoj;
Wychodiła na bierieg Katiusza,
Na wysokij bierieg na krutoj.

Z wojskowego punktu widzenia „Katiusza" była wspólną nazwą, obejmującą sowieckie wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe BM-8

kalibru 82 mm, BM-13 kalibru 132 mm i BM-31 kalibru 310 mm (oraz ich późniejsze modyfikacje). Chrzest bojowy przeszły 14 lipca 1941 roku pod Rudnią niedaleko Smoleńska, a już 8 sierpnia powołano w Armii Czerwonej osiem oddziałów artylerii rakietowej wyposażonych w trzydzieści sześć wyrzutni każdy. Po uzyskaniu przez Związek Radziecki przewagi na froncie zmasowany ogień „Katiusz" był stałym elementem artyleryjskiego przygotowania natarcia każdej sowieckiej ofensywy.

Broń tę montowano na różnych pojazdach, między innymi na amerykańskich Studebakerach, sowieckich Zisach-6, a nawet na podwoziach czołgów KW-1. Mimo niewielkiej celności prowadzonego ognia ostrzał pozycji wroga z użyciem „Katiusz" był bardzo efektywny, a to dzięki jego koncentracji na stosunkowo niewielkiej powierzchni i masowemu użyciu. Potrafiły one w ciągu dziesięciu sekund wystrzelić szesnaście rakiet na odległość ponad jedenastu kilometrów. „Katiusze" niemal zawsze uciekały z pozycji natychmiast po oddaniu salwy, dzięki czemu przeciwnik nie mógł namierzyć ich stanowisk i odpowiedzieć ogniem. Całości dopełniał czynnik psychologiczny – charakterystyczny dźwięk wydawany przez startujące pociski wzbudzał w niemieckich żołnierzach uczucie panicznego lęku.

Śmierć od miotaczy płomieni nie była w niczym przyjemniejsza od śmierci w wyniku ostrzału „Katiusz". Opis takowej zamieścił Kurt Mayer w książce *Grenadiers*:

„Słyszałem jęki rannych i rozdzierające serce krzyki naszego spalonego towarzysza. Leżał na noszach i błagał, abym mu wymierzył *coup de grâce*. Jego okaleczone ręce nieruchomo leżały na jego spalonym torsie. Bezwłosa czaszka, spuchnięte wargi i spalony korpus to jego jedyne rany […]. Jestem zbyt zawstydzony, by wypowiedzieć słowa pociechy. W takiej sytuacji pocieszanie byłoby bezczelnym kłamstwem. Inni moi towarzysze przyglądają mi się w napięciu. Chłopiec nieustannie błaga, by przynieść mu ulgę. Lekarz nie ma dla niego żadnej nadziei i ledwie potrafi znaleźć miejsce do wbicia igły z zastrzykiem przeciwbólowym. Bezradne wzruszenie ramionami to wszystko, na co lekarz może się zdobyć.

Ścinający krew w żyłach wrzask wypędza mnie z polowego punktu opatrunkowego. Nie mogę się zdobyć na żadne pożegnanie. Nie potrafię nawet położyć mu dłoni na czole. Ostatni rzut oka i wybiegam. Wraz z odchodzącym dniem nasz towarzysz stoczył swą ostatnią bitwę”.

„Spośród najbardziej zaciętych bitew, w jakich miałem honor uczestniczyć, ta należała z pewnością do najkrwawszych – wspomina Skorzeny. – Trwała dwa dni. Widziałem śmierć wielu dobrych kolegów. «Papa» Hausser został ciężko ranny niedaleko mnie; stracił oko. Jednakże artyleria, dowodzona przez pułkownika [Helmutha] Weidlinga, dokonała wyłomu. W wyrwę rzucili się nasi grenadierzy szturmowi i rygiel pierwszej linii obrony Moskwy został zniszczony. 19 października weszliśmy do Możajska; do Moskwy pozostało niecałe 100 kilometrów”.

*

Za Możajskiem opór był dużo słabszy, przekonani więc byli, że wkroczą do Moskwy na początku listopada. Wtedy nadeszła katastrofa.

Od niedzieli 19 października zaczęły padać ulewne deszcze. Potworne błoto zastąpiło kurz. Skorzeny był szczęśliwy, mając do dyspozycji prawie setkę sprawnych ciężarówek. Po wielkich bitwach na Ukrainie marsz na północ stał się jednak kolejną „drogą przez mękę”, zupełnie jak u Aleksego Tołstoja.

W ciągu trzech dni cała Armia „Mitte” ugrzęzła w tym błocie. Widok był przerażający. Na przestrzeni dziesiątek kilometrów w trzech rzędach stały tysiące pojazdów, zanurzonych w błocie niekiedy aż po maski silników. Brakowało benzyny i amunicji. Zaopatrzenie, średnio dwieście ton na dywizję, dostarczano transportem lotniczym. Korek ciągnął się setki kilometrów. W ciężkim, ulewnym deszczu, który zamienił drogi w morze błota, żołnierze „Das Reich” mijali spoconych, klnących, pokrytych lepką mazią ludzi, poganiających dygoczące konie ze spienionymi pyskami, zatopione w ziemistej brei aż po brzuchy. Wszędzie wokół na nasiąkniętych wodą polach zalegały sterty porzuconego przez Rosjan sprzętu – skrzynki

z nabojami, radiostacje, karabiny, martwe konie i zabite krowy z nogami sterczącymi sztywno w górę… No i ciała zabitych żołnierzy. Ciała, otoczone przez czarne kruki, dziobiące swoją zdobycz.

„Całymi dniami leje – wspominał Herbert Brunnegger w książce *Kto sieje wiatr… Opowieść żołnierza Dywizji SS «Totenkopf*». – Wiemy dobrze, że wszystko, co ma koła, powinno poruszać się wyłącznie po drodze utwardzonej okrąglakami, aby nie utopić się w błocie. Tymczasem przez podmokły las nie prowadzi do naszych stanowisk żaden pomost z okrąglaków ani nawet marna droga. Amunicję i zaopatrzenie, poległych i rannych musimy ciągnąć przez bezdenne mokradła. Wszystko dookoła śmierdzi obrzydliwie tym bagnem, które nieprzerwanie wsysa w siebie wszystko, co na nim stanie: czołgi i auta, rozszarpane ciała żołnierzy i końskie trupy. Woń padliny miesza się z wilgotnymi wyziewami lasu, sykiem rac oświetlających, gwizdem przelatujących wysoko pocisków i dobiegającym z daleka zapachem spalenizny z płonących wilgotnych strzech rosyjskich chałup”.

I w innym miejscu:

„Od tygodni nieprzerwanie padają ulewne deszcze. Woda wdziera się wszędzie. Przecieka nawet przez stropy ziemianek, wskutek czego wewnątrz tworzą się głębokie kałuże. Okopy strzeleckie i rowy łącznikowe wypełnia błotnista maź, a w bezużytecznych w tych warunkach jednoosobowych dołkach strzeleckich woda sięga do wysokości piersi. Od tygodni nie ma ognia, przy którym moglibyśmy wysuszyć nasze przemoczone ubrania […]. Szerzy się czerwonka, wielu żołnierzy nie może utrzymać moczu i stolca. Nocą od rozkładających się na przedpolu zwłok poległych żołnierzy sowieckich dochodzi do naszych pozycji potworny trupi zaduch. Ciężkie rosyjskie pociski kal. 152 mm raz po raz wyrzucają z płytkich grobów gnijące ciała naszych zabitych. Wśród cynicznych żartów zakopujemy ich wciąż od nowa, za każdym razem płycej, wierząc, że zabici koledzy nam to wybaczą. Nasz odcinek obrony już dawno w pułku ochrzczono «okopami zabitych»”.

Przepadły trzy bezcenne tygodnie oraz ogromne ilości zaopatrzenia. W wydanej w 1958 roku książce *Decisive battles of the Western World, and their influence upon History* (*Decydujące bitwy zachodniego świata i ich wpływ na historię*) angielski generał John Frederick Charles Fuller napisał: „Moskwę uratował nie tyle opór Rosjan, choć był on twardy, ile utknięcie w błocie niemieckich transportów na całej długości frontu”.

Za cenę ciężkiej, prowadzonej dwadzieścia cztery godziny na dobę pracy żołnierze „Das Reich” zbudowali piętnaście kilometrów szosy z okrąglaków. Mimo kontrataków Sybiraków i czołgów T-34 przeszli rzekę Moskwę powyżej Ruzy. Tak bardzo chcieli być pierwsi na Placu Czerwonym…

– Żeby tylko szybko zamarzło – modlił się głośno Skorzeny.

– Nie spiesz się z tym chłopcze aż tak bardzo – poradził mu Sturmbannführer Rumohr. W zimie są tu takie mrozy, że człowiekowi odpadają jaja. Jeszcze zatęsknisz za miłym ciepełkiem.

Zawsze robili postój przy „zabitym Iwanie” – zwłokach dawno poległego i dotąd nie pogrzebanego sowieckiego żołnierza, jedynym punkcie orientacyjnym w bezkresnym lesie. Trzy razy wkładali je pod mech, bo smród rozkładającego się ciała, leżącego niemal na samej ścieżce, był nie do wytrzymania. Trzykrotnie jednak pociski armatnie sowieckiej artylerii wyrzucały je znów na zewnątrz. Faza rozkładu była już bardzo zaawansowana, nie było nawet robaków, a z resztek przegniłego mięsa sączyły się płyny ustrojowe. Martwe truchło leżało tak na ścieżce przez wiele dni i żołnierskie buty zdążyły przez ten czas potrącić je tysiące razy i podeptać. Aż pękło wysuszone przez palące słońce i rozmyte przez lejącą się z nieba wodę, zapadając się do wewnątrz. Z jednej nogawki sterczała ziemista naga stopa z długimi odrostami pazurów. But zerwała jedna z licznych eksplozji rosyjskich rakiet. Głowa nieboszczyka zwrócona była pozbawioną oczu twarzą do ziemi. Zęby, już od dawna obnażone na całej szerokości, wyglądały tak, jak gdyby gryzły trawę. Niegdyś była to twarz młodzieńca, wiedzieli o tym, bo widzieli świeże jeszcze zwłoki, zanim

nastąpił rozkład. Ziemista skóra opinała teraz jak pergamin ostrzyżoną na łyso czaszkę i zwisała nad wystającymi kośćmi policzkowymi.

Mróz ścisnął w nocy z 6 na 7 listopada. Otrzymali amunicję, paliwo, trochę żywności i papierosów. Rannych ewakuowano i przystąpiono do organizacji decydującego natarcia. To, co było błotem, teraz zamarzło na kamień. Wszyscy kierowcy musieli uważać, żeby ich pojazdy nie wmarzły kołami w ziemię, o co nietrudno, gdy mróz i odwilż następują na przemian.

Zgodnie z planem mieli wejść do Moskwy przez Istrę, leżącą pięćdziesiąt sześć kilometrów na zachód od stolicy, która jeszcze do niedawna nosiła nazwę Woskriesieńsk. Skorzeny otrzymał zadanie zapobieżenia zniszczeniu tamtejszego wodociągu i zapewnienia jego drożności. Miasteczko stanowiło centralny bastion drugiej linii obrony Moskwy. Broniła jej elitarna jednostka radziecka – syberyjska 78. Dywizja Strzelców.

Otto z podziwem spoglądał na widniejące przed nim miasto. Ilekroć tylko wiatr zwiał na bok morze dymów, monastyr Nowojerozolimski ukazywał się nietknięty, wspaniały jak zawsze, wyniosły, ze złotymi kopułami głaskającymi spokojnie lodowaty błękit nieba. Mimo że potężne mury zewnętrzne i wieże nadawały monastyrowi wygląd fortecy, nigdy nie służył, tak jak inne klasztory moskiewskie, militarnym celom. Daleko nad baniastymi kopułami cerkwi Bożego Narodzenia i Soboru Zmartwychwstania wśród białych chmur dogorywały ostatki czerwonej łuny zachodu.

Do szturmu ruszyli 19 listopada. Tego dnia temperatura spadła do minus dwudziestu stopni. Nie mieli przystosowanego do mrozów oleju do silników i odpowiedniego uzbrojenia. Uruchomienie maszyn stało się problemem. Mimo to 27 listopada podpułkownik Helmuth von der Chevallerie zajął Istrę, mając do dyspozycji dwadzieścia cztery czołgi (które pozostały z 10. Dywizji Pancernej) i batalion motocyklistów dywizji „Das Reich” Hauptsturmführera Fritza Klingenberga.

Niecałe pięćdziesiąt kilometrów dalej na wschód znajdowały się Chimki, moskiewski port położony zaledwie osiem kilometrów od sowieckiej

stolicy. 30 listopada zwiad motocyklowy 62. batalionu saperów z korpusu pancernego 4. Armii Pancernej generała Ericha Höpnera wjechał tam bez jednego wystrzału, wzniecając panikę wśród mieszkańców. Okazji jednak nie wykorzystano, z niewiadomych powodów zwiadowcy się wycofali.

Na innym odcinku frontu 19 listopada 1942 roku wojska sowieckie przełamały front, okrążając armię Friedricha von Paulusa pod Stalingradem. Idące z odsieczą oddziały również zostały rozbite. W ciągu grudnia i stycznia następnego roku doszło do kilku operacji, które doprowadziły w rezultacie do największej w dziejach klęski niemieckich wojsk. Ale to dopiero miało nadejść.

*

Zima tymczasem coraz bardziej dawała się atakującym we znaki. Obrońcom oczywiście też, ale byli do takich warunków dużo lepiej przystosowani. Rosyjska zima wyraźnie przybyła na ratunek swoim rodakom.

W temperaturze minus trzydziestu stopni wydychane powietrze zamieniało się w mgłę podobną do dymu z papierosa i tworzyło od razu szkliste płatki śniegu. Mróz ciął bezlitośnie jak dobrze naostrzone nożyce. Gryzły również wszy, wywołując przekleństwa, które mogły wstrząsnąć Bogiem, lecz z pewnością nie tymi obrzydliwymi, małymi zwierzątkami. Żołnierze drapali się szaleńczo, jak tylko wchodzili do „podgrzewanych ziemianek”, aby otrzymać jedyny ciepły posiłek w ciągu całego dnia. Składał się on przeważnie z rzadkiej zupki, warzonej z końskiego mięsa i kawałków chleba, które odcinano piłą do drewna z zamarzniętych bochenków.

„Nie mogąc pochować swych zabitych i zamarzniętych na śmierć w twardej jak kamień ziemi, znosiliśmy trupy do cerkwi – wspominał Otto Skorzeny. – Był to straszny widok. Mróz skuł im ręce i nogi, zastygłe podczas agonii w nieprawdopodobnych pozach. Aby jakoś nadać im postawę nieboszczyków, trzeba było wyłamywać stawy. Oczy ich patrzyły

szklisto w niebo. Na koniec wysadzano ładunek dynamitu i do powstałego w ten sposób leja wciągano martwych ludzi”.

Równie straszliwy opis zimowych zmagań pod Moskwą w 1941 roku możemy znaleźć w książce Kurta Mayera *Grenadiers*:

„Widziałem grenadierów leżących za swymi karabinami maszynowymi ze łzami rozpaczy w oczach, spływającymi im po twarzach – roztrzęsionymi rękami posyłali całe taśmy amunicji w atakujące masy […]. Dowódca kompanii poprowadził swych grenadierów do kontrataku, nie mając na nogach butów. Na krótko przed tym odcięto je z jego nóg. Obie stopy miał ciężko odmrożone […]”.

Niektórzy znajdowali inne wyjście z sytuacji. Karabin ułożony wzdłuż ciała, nagi wielki palec od nogi ustawiony na spuście zamka… A potem lekkie naciśnięcie na język spustowy. I koniec głodu, nędzy i niekończącego się zimna…

Rosyjskie zimy… Ta następna, stalingradzka przede wszystkim… Starły uśmiech z twarzy „niezwyciężonych” zdobywców. W odblasku śniegów, w pyłach stepowej przestrzeni pogasły butne spojrzenia i wypaliła się pycha pewnego zwycięstwa. Tam, na Wschodzie, utknęła gigantyczna wyprawa i tam rozpoczął się odwrót. Wracali potem z podboju świata w twardej walce o każdy metr i każdy dzień. Wracali długo, znacząc drogę powrotną zgliszczami i krwią, aż wreszcie ukorzyli się przed bezwarunkową kapitulacją.

„Przypomniałem sobie, że Napoleon, który przekroczył Niemen 22 czerwca, wszedł do Moskwy 14 września, a 19 października musiał opuścić wypaloną stolicę, by wraz ze 100 000 ludzi rozpocząć tragiczny odwrót – pisał Skorzeny. – Widząc padający śnieg, który rankiem 7 października 1941 roku nadał pejzażowi smutny wygląd, miałem ponure przeczucie, które jednak szybko przezwyciężyłem dzięki wrodzonemu optymizmowi”.

2 grudnia w dalszym ciągu parli do przodu, zajmując położony piętnaście kilometrów od Moskwy Nikołajewsk. Podczas słonecznej pogody Otto widział przez lornetkę kopuły moskiewskich cerkwi. „Już był

w ogródku, już witał się z gąską…” Niemieckie baterie ostrzeliwały przedmieścia, brakowało jednak ciągników do dział. Helmuth von der Chevallerie dysponował już tylko dziesięcioma czołgami zdolnymi do akcji. Temperatura spadła do minus trzydziestu stopni.

Od 9 października do 5 grudnia dywizja „Das Reich”, 10. Dywizja Pancerna i inne jednostki XXXXVI Korpusu Pancernego utraciły siedem tysięcy pięćset osiemdziesięciu dwóch oficerów, podoficerów i żołnierzy, co stanowiło czterdzieści procent stanu etatowego. Sześć dni później, kiedy ich stanowiska zaatakowały nowo wprowadzone do walki dywizje syberyjskie, straty przekroczyły siedemdziesiąt pięć procent stanu wyjściowego.

W przeciwieństwie do Niemców Rosjanie zadbali na czas o zimowe umundurowanie dla swoich żołnierzy. Wszyscy mieli filcowe buty z cholewami, tak zwane walonki, watowane spodnie i kurtki, futrzane rękawice i czapki, wielu poruszało się na nartach, a pojazdy jeździły na oponach z kolcami. Nade wszystko zaś Sowieci dysponowali bronią, która nie zawodziła w ekstremalnie niskich temperaturach. Otto i jego koledzy leżeli w śnieżnych jamach, wciąż bez odpowiedniego zimowego wyposażenia. Na podszyte wiatrem płaszcze wojskowe narzucali koce polowe, jak niegdyś żołnierze Napoleona.

7 grudnia dowiedzieli się o japońskim ataku na amerykańską bazę Pearl Harbor na Hawajach. Następnego dnia prezydent USA Franklin Delano Roosevelt zwrócił się do Kongresu z żądaniem wypowiedzenia wojny Japonii. Kongres zatwierdził deklarację o rozpoczęciu działań wojennych zaledwie przy jednym głosie wstrzymującym się. Nie powiadomieni uprzednio o japońskich planach Niemcy i Włosi wypowiedzieli Ameryce wojnę 11 grudnia. W ten sposób Stany Zjednoczone przystąpiły do walki po stronie koalicji.

Następnego dnia dywizja „Das Reich” otrzymała rozkaz odwrotu na linię Wołokołamsk–Możajsk.

*

W Możajsku nie było ani trochę cieplej niż w Nikołajewsku, tyle że w ciągu kilku następnych dni nie byli bezpośrednio narażeni na ogień sowieckiej artylerii. Od Bożego Narodzenia temperatura ciągle spadała, nawet poniżej trzydziestu stopni poniżej zera. Ostry wiatr gnał przed sobą kryształki lodu jak zakładników. Trudno było w takich warunkach otworzyć oczy, ale żołnierze pełniący straż musieli nieprzerwanie lustrować okolicę. Sama temperatura to jeszcze nic takiego, ale ta kipiąca burza śnieżna, pędząca po nieskończonej białej pustyni, powodowała, że mróz przenikał do szpiku kości. Narzucone na ramiona koce twardniały na blachę i nie chroniły od zimna. Przez żałośnie cienkie wełniane rękawice szczypał w dłonie lodowaty chłód. Jedyną przydatną na rosyjskim mrozie częścią europejskiego umundurowania były wełniane kominiarki, na których w okolicach ust powstawały od zamarzającego oddechu lodowe sople. Nawet smar do broni maszynowej zamarzał, po pierwszym wystrzale broń bezapelacyjnie się zacinała. Szare mundury koloru feldgrau czyniły z niemieckich żołnierzy idealne cele na tle oślepiająco białego śniegu.

Otto wraz z kilkoma kompanami usadowił się w zniszczonej cerkwi. Ściany z jasnego niegdyś piaskowca poczerniały od sadzy, Kilka okienek z kolorowymi szybkami, tych, które nie zostały wybite, przyciemniał lepki brud.

Rosnące wzdłuż drogi olbrzymie drzewa wyciągały długie oblodzone gałęzie, podobne do ramion gigantów. Ich kryształowe palce trzepotały się w takt przeraźliwych podmuchów. Pochylały się ku sobie w zapadającym zmroku, niczym stęsknieni kochankowie, czarne jednak i złowrogie. W takich miejscach jak to wiatr nigdy nie wyje i nie huczy, lecz jęczy, zawodzi, lamentuje i wydaje dźwięki pochodzące jakby z zupełnie innego świata. Brzmi to jak *requiem* dla potępionych albo jak krzyk duszy skazanej na mękę. Taki lament wichury doprowadził już niejednego do szaleństwa.

A gdy wiatr ustał, głęboka cisza zawisła nad krajem głuchym, odludnym, zakrzepłym w bezruchu, zimnym i tak pustym, że w tej martwocie nie było nawet smutku. Zwierzęta poukrywały się w swych norach, szukając

schronienia przed mrozem, który srebrzystymi okowami skuł strumienie i rzeczki.

Pomimo że na wszelkie sposoby usiłowali bronić się przed zimnem, wciąż przybywało żołnierzy z ciężkimi odmrożeniami. Moda na rosyjską odzież przywlekła epidemię tyfusu plamistego, który przy ich wycieńczeniu i niedożywieniu dla wielu okazywał się wyrokiem śmierci. Kwatery cuchnęły fekaliami i gnijącymi od odmrożeń ranami, w które powoli wdawała się gangrena. Ciężko ranni nasłuchiwali z niepokojem odgłosów walki i krzyków nacierających Rosjan. Tak upływał dzień po dniu, nieprzyjaciel bowiem kontrolował prawie wszystkie drogi dojazdowe między zmienionymi w punkty oporu wioskami.

Tylko zabici towarzysze leżeli w oborach, czekając, aż w jakiś dobry, słoneczny dzień ziemia ich przyjmie. Ciała układano w formie stosu, płaszcze koloru feldgrau, całe w śniegu, były sztywne jak kamień. Przyjmowali rozmaite pozy, wydawało się, że leżą tam tak, jak umarli: jeden z szeroko otwartymi ramionami, niczym ksiądz odprawiający mszę. Inny skulony, tak jak zamarzł, kryjąc się w swojej śnieżnej jamie. W ciemności połyskiwał blady, wysmarowany krwią brzuch. Na samym czubku tej sterty spoczywał ciężki żołnierski but, w którym wciąż tkwiła czyjaś noga oderwana od ciała na wysokości uda. Może podczas pochówku ustali się, do kogo należała? Możliwe też, że to wszystko, co pozostało po żołnierzu…

W starej cerkiewce ktoś wyciągnął ocalałą jakimś cudem butelkę wódki. Zapadały ciemności, ale pod krawędziami hełmów Otto widział poruszające się niespokojnie oczy i bezbarwne twarze. Chłopcy z „Das Reich” zaczęli przechwalać się swoimi seksualnymi wyczynami. Na froncie seks i śmierć były niemal jednoznaczne.

– Mówię ci, jak na dwanaście lat miała cycki jak balony – opowiadał z przejęciem niski, krępy mężczyzna o jasnych włosach i harmonizującej z nimi cerze. – Mogłeś między nimi schować głowę po uszy.

– Córkę miałem za puszkę „starego dziadka[14]” – przechwalał się inny, typ o bulwiastej, dobrodusznie wyglądającej gębie, ale o czujnych oczach

handlarza bydła. – A matkę za paczkę herbaty. Jakbym chciał, to i jej męża dostałbym za odrobinę tytoniu.

– Rosjanki to jednak straszne świnie. One nawet śpią z kołkami wsadzonymi między nogi.

– Po jaką cholerę?

– Wsadzają je tam, żeby być zawsze chętne. Wszyscy o tym wiedzą.

– Ja nie wiedziałem.

– Boś jeszcze dzieciak. Za paczkę szlugów pociągną ci druta, że aż miło. Nie pragną niczego innego. Wyobrażasz sobie? Jakby robiły to dla samego Stalina.

– On podobno ustalił, że nie mogą dawać dupy, dopóki nie ukończą osiemnastu lat.

– Chrzanisz!

– Nie. Prawdę mówię. Tak mówi sowieckie prawo. Ale obciąganie laski to coś zupełnie innego.

– Miałem wczoraj taką jedną – wtrącił się kolejny dyskutant. Miał oczy koloru rdzy i ręce, które wyglądały na wystrugane z drewna. – Założę się, że nie miała więcej niż czternaście lat. Ale, uwierzcie mi, tak wciągnęła mi ptaka, że aż dojechałem do jej migdałków.

– To musiało jej smakować niczym mleko matki.

Skorzeny siedział pozornie spokojnie, przysłuchując się rozmowie. Z papierosa, który trzymał w ustach, unosiły się w górę kółka dymu. Pęczniejące aureole wędrowały pod sufit, przechylały się, łamały i roztapiały w srebrzystej mgiełce. W końcu nie wytrzymał:

– Uciszcie się wreszcie! – wrzasnął. – Gadacie jak banda starych zboczeńców. A przecież Hans – wskazał na jasnowłosego – zostawił w domu żonę i dwoje dzieci. Sam mi to niedawno mówiłeś, prawda? A Siegfried…

Kogo zostawił Siegfried, już się nie dowiedzieli. W pewnej chwili coś nad nimi zagwizdało i zagrzmiało. Dobrze znali ten charakterystyczny odgłos wydawany przez „organki Stalina”. Kilkadziesiąt metrów dalej

wzbiła się ognista chmura. Druga eksplozja wyrwała cały płat ściany wraz z potrzaskanymi drzwiami i wyrzuciła go w powietrze.

– *Stalinorgel* – rozległy się wokół okrzyki pełne przerażenia. – Kryć się!

Powietrze ożyło od pędu, rozdzierane ryczącymi pociskami, syczącymi jak tony roztopionego metalu zanurzonego nagle w wodzie. Pociski eksplodujące z błyskiem i hukiem, przewracający się ludzie, znikający w nagłych erupcjach ziemi, rozrywani na krwawe strzępy… Pociski jak plujące zgarbione wiedźmy, ciche, nieprzyjemnie bliskie dźwięki, jak brzęk napiętych strun.

Przed Skorzenym dosłownie rozpękła się podłoga. Kawałki drewna opadły na niego jak deszcz.

– *Heilige Maria Mutter Gottes, erbarme unser!* – usłyszał obok siebie słowa szeptanej gorączkowo modlitwy – Święta Mario, Matko Boża, zmiłuj się nad nami!

Wtem coś głucho walnęło go w czaszkę. „Tylko nie zemdleć!” – przemknęło mu przez głowę, zanim zapadł w miękką, atramentową ciemność.

*

Obudził się w polowym szpitalu. Na szczęście doznał tylko silnego wstrząsu i niewielkiej rany głowy. Odezwała się jednak ostra dyzenteria, której nabawił się pod Rosławlem. Już wcześniej, podczas odwrotu, miał kilka ostrych ataków kolki wątrobowej, trzymał się na nogach jedynie dzięki zastrzykom przeciwbólowym.

Na początku 1942 roku został ewakuowany do Smoleńska, a potem pociąg szpitalny powiózł go i innych ocalałych z nieszczęsnej zimowej ofensywy przez pustkowia Rosji do Polski i dalej do Wiednia. Był ciężko chory, zapadła nawet decyzja o operacji, przed którą uchronił Skorzenego pobyt w szpitalu w Karlowych Warach.

W sierpniu tego roku wrócił w dużo lepszym stanie do Wiednia, dokładnie tydzień przed śmiercią ojca.

– Jestem pewien, że europejskie wojska pokonają Sowietów – powiedział z trudem umierający starszy pan Skorzeny. – Nadejdzie niebawem dzień, gdy mocarstwa zachodnie zrozumieją, iż skończenie z bolszewizmem leży w ich interesie. W ten sposób świat zazna długotrwałego pokoju i wasze pokolenie będzie szczęśliwsze od naszego.

Na karcie wypisu ze szpitala Otto Skorzenego odnotowano, że jest „GvH", czyli zdatny do służby garnizonowej na obszarze kraju. W związku z tym przydzielono go jako oficera-inżyniera do skoszarowanego w Berlinie zapasowego batalionu jego starej dywizji SS Leibstandarte Adolf Hitler. Nudził się tam śmiertelnie przez sześć miesięcy. W końcu znalazł sposób na wyrwanie się z tego marazmu, zgłaszając się ochotniczo do szkoły wojsk pancernych. Po przejściu kilku testów został przeniesiony do dywizji Waffen-SS „Totenkopf", która właśnie miała być przekształcona z jednostki zmotoryzowanej w pancerną.

Totenkopf to niemieckie słowo oznaczające „trupią główkę", używane w celu opisania wojskowych insygniów przedstawiających czaszkę na tle skrzyżowanych kości. 3. Dywizja Pancerna SS „Totenkopf" uznawana była za najbardziej fanatyczną spośród wszystkich dywizji Waffen-SS. Sformowana została po kampanii wrześniowej w Polsce, w październiku 1939 roku. Jej żołnierze oraz dowódca, Theodor Eicke, w większości wywodzili się z jednostek pełniących służbę wartowniczą w obozach koncentracyjnych. Pierwszy raz wkroczyła do boju 16 maja 1940 roku podczas kampanii francuskiej. W rejonie Cambrai dywizja wzięła wtedy do niewoli prawie szesnaście tysięcy francuskich żołnierzy. Następnie walczyła na froncie wschodnim, odnosząc wiele militarnych sukcesów i dopuszczając się licznych okrucieństw. Prowadziła szczególnie ciężkie i zawzięte boje w kotle demiańskim, gdzie wiosną 1942 roku zostało okrążonych około dziewięćdziesięciu tysięcy niemieckich żołnierzy. W kwietniu 1942 roku dywizja zdołała wyrwać się z okrążenia i dotrzeć do obszarów kontrolowanych przez armie niemieckie.

Skorzeny jednak nie zagrzał tam długo miejsca. Na przełomie 1942 i 1943 roku nawrót choroby spowodował odesłanie go z powrotem do

berlińskiego batalionu zapasowego Leibstandarte. Kiedy tylko trochę wydobrzał, zaczął natychmiast podejmować aktywne próby porzucenia garnizonowego życia. Napisał do Sturmbannführera Rumohra i Standartenführera Hansena listy z prośbą o wstawiennictwo u „Papy" Haussera, żeby pomógł mu powrócić do jednostki liniowej.

Napisał też do swojego starego kumpla jeszcze z czasów wiedeńskich, Ernsta Kaltenbrunnera, który przed zajęciem Austrii przez Niemcy pełnił tam stanowisko dowódcy SS i Policji (Hoherer SS und Polizeiführer), a po śmierci Reinharda Heydricha w wyniku zamachu w Pradze (4 czerwca 1942 roku) objął po nim funkcję szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Był to wyjątkowo odrażający typ: chamski, brutalny i głupi, choć przebiegły i sprytny. Torował sobie drogę do kariery z bezwzględnością, która uznawała tylko jedną zasadę – zajść wyżej, posiąść więcej. (W 1946 roku został skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze na karę śmierci i stracony).

Tymczasem w hotelu „Anfa" w Casablance odbyły się w dniach od 14 do 24 stycznia tajne rokowania pomiędzy Rooseveltem, Churchillem i Charlesem de Gaulle'em, mające na celu zaplanowanie alianckiej strategii dotyczącej dalszego przebiegu wojny. Józef Stalin również został zaproszony, ale odmówił przybycia, nie chcąc opuszczać kraju w czasie, gdy trwała bitwa pod Stalingradem. De Gaulle też początkowo odmawiał przybycia do czasu, gdy Churchill zagroził, że za przywódcę Wolnych Francuzów uzna Henriego Girauda. Ten ostatni również był obecny w Casablance i w czasie prowadzenia rozmów napięcie między oboma Francuzami było aż nadto widoczne.

Na konferencji ustalono, że alianci będą zgodnie żądać bezwarunkowej kapitulacji państw Osi, i zgodzono się pomóc ZSRS, tworząc drugi front w Europie w przyszłym roku. Podjęto także decyzję zajęcia Sycylii i Włoch oraz nasilenia bombardowań Niemiec.

31 stycznia 6. Armia feldmarszałka Friedricha von Paulusa skapitulowała pod Stalingradem. Dzień wcześniej von Paulus został awansowany przez Hitlera do stopnia feldmarszałka. Hitler liczył na to, że

świeżo mianowany feldmarszałek nie skapituluje i popełni samobójstwo, od 1871 roku bowiem żaden niemiecki feldmarszałek nie dał się żywcem wziąć do niewoli. W mniemaniu Führera samobójstwo von Paulusa stanowiłoby symbol nieustępliwości wojsk niemieckich. Gdy dowiedział się o kapitulacji i jego oddaniu się w ręce sowieckie, wpadł we wściekłość:

– Kobieta pozbawiona godności potrafi popełnić samobójstwo, a nie ma do tego odwagi feldmarszałek niemiecki! – krzyczał. – Do końca wojny nikogo już nie mianuję feldmarszałkiem!

W lutym 1943 roku Niemcy zostali odrzuceni o pięćset kilometrów na Kaukazie. 18 lutego przerwane zostało trwające prawie dwa i pół roku oblężenie Leningradu. W czasie blokady – głównie z głodu i zimna – zmarło tam osiemset tysięcy mieszkańców.

Pod koniec marca Skorzeny otrzymał niespodziewane wezwanie do sztabu, od samego szefa, Obergruppenführera Hansa Jüttnera.

Przypisy

1 V kolumna – określenie sił dywersyjnych działających w okresie kryzysu politycznego i działań wojennych wewnątrz państwa. Określenie to powstało w czasie hiszpańskiej wojny domowej, kiedy w 1936 roku cztery kolumny wojsk frankistowskich uderzyły na Madryt, a piątą stanowili dywersanci w mieście.

2 Po roku 1945 układ monachijski został uznany przez państwa koalicji antyhitlerowskiej i NRD za nielegalny. RFN uznała go za nieważny, ponieważ został narzucony pod groźbą użycia siły.

3 Członkowie Leibstandarte nawet poza służbą zwracali się do siebie per „Kamerad”.

4 Paul Hausser (1880–1972) był w znacznym stopniu odpowiedzialny za przekształcenie Waffen-SS w potężną siłę zbrojną, którą w sposób zasadniczy uformował. Chętnie przedstawiał Waffen-SS jako czwartą część

Wehrmachtu, niezależną od innych organizacji SS, chociaż między Waffen-SS i oddziałami wartowniczymi obozów koncentracyjnych istniała wymiana kadr. Jako generał był ponadprzeciętnie utalentowanym dowódcą dywizji i wręcz błyskotliwym dowódcą korpusu. Odznaczał się nie tylko osobistą odwagą, walcząc na czele swoich oddziałów, lecz również odwagą cywilną – często sprzeciwiał się rozkazom Hitlera, ponieważ nie chciał bezsensownie poświęcać swoich ludzi.

5 Jean de Mayol de Lupé (1873–1955) – francuski duchowny katolicki, w 1941 roku został głównym kapelanem wojskowym *Légion des volontaires français contre le bolchevisme* – Legionu Ochotników Francuskich przeciw Bolszewizmowi (LVF). W związku z problemami dotyczącymi złożenia przez Francuzów przysięgi na wierność Adolfowi Hitlerowi zorganizował 5 października tego roku masową polową mszę świętą, podczas której skłonił żołnierzy do tego. Pomimo zaawansowanego wieku przeszedł wraz z LVF cały szlak bojowy. Miał stopień SS-Obersturmbannführera. W roku 1942 został odznaczony Żelaznym Krzyżem. Po zakończeniu wojny powrócił do Francji, gdzie w 1947 roku został aresztowany i skazany na karę 15 lat więzienia. Na wolność wyszedł w 1951 roku. Zmarł w 1955 roku w Versailles, przebywając w zakonie.

6 W kwietniu 1944 roku 2. Dywizja Pancerna „Das Reich” trafiła ponownie do Francji. 10 czerwca 1944 roku popełniła tam jedną z najgłośniejszych zbrodni Waffen-SS, mordując 642 mieszkańców francuskiego miasteczka Oradour-sur-Glane. Po klęsce we Francji walczyła w Ardenach, a potem na Węgrzech. W maju 1945 roku poddała się Amerykanom pod Linzem. Wielokrotnie podczas II wojny światowej różne dywizje Waffen-SS były oskarżane o pogwałcenie konwencji genewskich i powszechnie przyjętych zasad prowadzenia wojny. Leibstandarte miała na sumieniu pięćdziesięciu rozstrzelanych cywilów, w tym wielu Żydów, podczas kampanii wrześniowej 1939 roku w Polsce oraz osiemdziesięciu jeńców brytyjskich pod Dunkierką w czerwcu następnego roku. Podczas bitwy o Charków żołnierze tej jednostki podpalili w jednym przypadku budynek, w którym przebywało trzystu rannych sowieckich żołnierzy,

w drugim zaś – zastrzelili leżących w łóżkach czterystu rannych oficerów. Po wojnie około stu członków I Korpusu Pancernego SS zostało oskarżonych o zabijanie cywilów we Włoszech w 1943 roku, kanadyjskich żołnierzy w Normandii w 1944 roku oraz belgijskich cywilów i amerykańskich jeńców podczas bitwy zimowej w Ardenach. Wielu udowodniono winę.

Ale biorąc pod uwagę drugą stronę medalu, *Historia Leibstandarte* [Rudolf Lehmann – *The Leibstandarte*, J.J. Fedorowicz Publisching Inc., Manitoba, Canada 1987] publikuje fotografię wykonaną w lipcu 1943 roku, ukazującą groby całej kompanii cyklistów, która, jak podano w tekście, została „bestialsko zamordowana koło Ołyki". Wspomniana publikacja podaje również wiele wypadków, kiedy żołnierze Leibstandarte byli traktowani w przerażający sposób przez swych nieprzyjaciół. Inne straszne wydarzenie zostało tam opisane przez członka 1. pułku Grenadierów Pancernych SS Leibstandarte po zdobyciu Charkowa: „Ciała naszych towarzyszy, poległych w bitwie o ponowne zdobycie Charkowa, oraz tych, których groby zostały otwarte przez Rosjan po tym, jak opuściliśmy miasto po raz pierwszy, zostały zgromadzone w parku centralnym […]. Tam powitał nas przerażający widok, jakiego nigdy wcześniej nie oglądałem ani nigdy nie spotkałem później. Wszyscy ludzie byli nadzy, a większość ciał została okaleczona. Wielu z nich, w tym koledzy z mojej kompanii, nie tylko zostali pobici i uduszeni, ale też ich członki zostały odcięte, a oczy wyłupione, tak że trudno ich było zidentyfikować […]. Od tej chwili strach przed wzięciem do niewoli przez Rosjan nawiedzał nas jak widmo". Za: Reynolds Michael, *Ludzie ze stali. 1 Korpus Pancerny SS w Ardenach i na froncie wschodnim*, Erica, Warszawa 2009.

7 Holendrów do okresu II wojny światowej łączyło wiele więzów z Rzeszą Niemiecką. Do 1648 roku Niderlandy wchodziły formalnie w skład Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego. Istniała bliskość plemienna i językowa. Głębokie były powiązania gospodarcze, handlowe i przemysłowe. Małżonkowie i małżonki członków rodziny Oranje przez kilka pokoleń pochodzili z niemieckich domów panujących.

8 W 1944 roku książę Bernhard zur Lippe-Biesterfeld został naczelnym dowódcą wojsk holenderskich, rok później wraz z rodziną powrócił do Holandii. Uczestniczył w rozmowach kapitulacyjnych w maju 1945 roku.

9 Na placu Adolfa Hitlera / Stoi młody dąb / Szybuje do słońca / Przez burzę i niedolę / On jest naszym wzorem / Walczy wiernie i dzielnie / Za naszą Ojczyznę / Aż do śmierci. Refren: Piekło rozbrzmiewa niemieckim śpiewem / Przez całe nasze życie / Wierna wesoła piosenka / Rozbrzmiewa wciąż / Przez cały świat.

10 W ZSRS od końca 1935 roku stosunki między partią a armią były bardzo napięte. Po okrutnych represjach Stalina w stosunku do kułaków, młodzieży, intelektualistów, trockistów i innych na Rosję padł okrutny strach. Wychowany w carskiej armii komandarm (marszałek) Tuchaczewski konkurował z wodzem w walce o sławę. Niektórzy obywatele liczyli w duchu, że Tuchaczewski uwolni ich od tyrana. W wyniku wyrafinowanej prowokacji wywiadu niemieckiego Stalin zdecydował się pozbyć rywala oraz jego popleczników.

11 *Deutschland, Deutschland über alles* – pierwsze słowa pieśni Augusta Heinricha Hoffmanna von Fallerslebego z 1841 roku, która w latach 1922–1945 była hymnem Niemiec.

12 PzKpfw IV (Panzerkampfwagen IV) – niemiecki czołg średni z okresu II wojny światowej. Aż do jesieni 1942 roku był najcięższym wozem pancernym służącym w armii III Rzeszy. Początkowo był uzbrojony w krótkolufowe działo kalibru 75 mm, jednak pod wpływem doświadczeń wyniesionych ze starć z sowieckimi czołgami T-34 i KW-1 przezbrojono go w armaty długolufowe. Przez kilka miesięcy był najlepszym czołgiem państw Osi i jedynym, który mógł nawiązać równorzędną walkę z wozami alianckimi. Mimo pojawienia się cięższych maszyn: PzKpfw V Panther i PzKpfw VI Tiger, nigdy nie został przez nie wyparty z dywizji pancernych i do końca wojny był podstawowym czołgiem niemieckim.

13 Przed koszarami, przed wielką bramą / Stała latarnia i jeszcze stoi, / Tam chcemy się znów spotkać, / Przy latarni chcemy się zobaczyć / Jak kiedyś Lili Marleen, jak kiedyś Lili Marleen. / Jak kiedyś Lili Marleen.

Lili Marleen to najsłynniejsza niemiecka piosenka z okresu II wojny światowej. Hans Leip napisał w 1915 roku słowa w formie wiersza zatytułowanego *Das Lied eines jungen Soldaten auf der Wacht*. W 1938 roku kompozytor Norbert Schultze dopisał do niego muzykę. Pierwszym wykonawcą utworu była niemiecka wokalistka kabaretowa Lale Andersen (właśc. Liselotte Bunnenberg). Płyta z piosenką, która ukazała się rok później, sprzedała się w liczbie zaledwie siedmiuset egzemplarzy. Popularność piosenka zdobyła dopiero dzięki nadawaniu jej przez niemiecką okupacyjną rozgłośnię Soldatensender Belgrad (Żołnierskie Radio Belgrad) w 1941 roku. Od razu stała się przebojem wśród żołnierzy Afrika Korps, gdyż belgradzkie radio było dobrze odbierane w Afryce. Początkowo piosenka nie spotkała się z aprobatą hitlerowskiego aparatu propagandowego (szczególnie nie lubił jej Goebbels, uważając, że jest za bardzo sentymentalna i zamiast budzić bojowego ducha, rozkleja mu żołnierzy). Usiłowano zabronić jej śpiewania, lecz popularność i powszechne jej wykonywanie przez żołnierzy zmieniło stanowisko hitlerowskich propagandzistów. Piosenka w wersji niemieckiej była słuchana chętnie także wśród żołnierzy alianckich. Została przetłumaczona na 48 języków, a żołnierze niemieccy w Rosji śpiewali ją często z własnym tekstem: „Patrz Lili Marleen, jak wieszałem ten gnój”.

14 Slangowe określenie frontowych puszek z racjami mięsa.

Rozdział 3

Friedenthaler Jagdverbände

Gabinet szefa sztabu Leibstandarte nie był specjalnie okazały. Na podłodze leżał podniszczony dywan, meble ograniczono do koniecznego minimum. Na ścianie wisiał portret Hitlera z dedykacją. Na biurku stał marmurowy przycisk do papieru z trzema małpami z brązu. Jedna zatykała sobie łapami uszy, druga zasłaniała oczy, a trzecia – usta. Nie słyszały, nie widziały ani nie mówiły nic złego.

Obergruppenführer Hans Jüttner był wysokim, tęgim mężczyzną o jasnych włosach, sprawiającym wrażenie, jakby tego dnia szczególnie dużo uwagi poświęcił swojemu wyglądowi. Każdy cal jego munduru był nieskazitelnie gładki, a czarne półbuty lśniły jak… No nieważne jak lśniły, grunt, że lśniły. Jedynie mgiełka potu na czole niszczyła wrażenie absolutnej doskonałości. Uwagę przyciągały przenikliwe błękitne oczy, ukryte za okrągłymi szkłami w cienkich metalowych oprawkach.

Hans Jüttner urodził się 2 marca 1894 roku w Poznaniu jako Jan Śmigiel. Po wybuchu I wojny światowej zgłosił się ochotniczo do niemieckiego wojska. Zakończył ją w stopniu porucznika. Pracował jako sprzedawca, w 1933 roku został nauczycielem wychowania fizycznego w jednej ze szkół w Breslau (Wrocławiu). W tym czasie wstąpił do SA, a dwa lata później do SS. 1 września 1936 roku został awansowany do stopnia Sturmbannführera i powołany do departamentu kontroli SS-Verfügungsgruppe w Berlinie. Obecny stopień – Obergruppenführera – otrzymał w czerwcu 1942 roku. 30 stycznia 1943 roku osiągnął apogeum kariery, kiedy to został mianowany

szefem sztabu jednostki zapasowej Leibstandarte. Był jedną z osób odpowiedzialnych za tworzenie obozów, w których trzymano jeńców sowieckich[1].

Zameldowawszy się przepisowo, Otto zauważył leżącą na biurku Jüttnera papierową teczkę z wypisanym na okładce własnym nazwiskiem.

– Niech pan siada, Skorzeny – zezwolił łaskawie Obergruppenführer.

– Dziękuję. – Otto zajął miejsce na krześle, po drugiej stronie biurka.

– Jak wynika z uzyskanych przeze mnie informacji – przełożony wskazał na teczkę – potrafi pan prowadzić i naprawiać czołgi niemieckie, amerykańskie, a nawet rosyjskie T-34.

– Tak jest.

– To chyba niełatwa rzecz.

– Niełatwa, Obergruppenführer. Biegi w tych ostatnich trzeba zmieniać czasami za pomocą młotka.

Jüttner uśmiechnął się nieznacznie.

– Umie pan też pilotować samolot, szybką łódź, pływać, dość dobrze strzelać z broni długiej i krótkiej, kierować ogniem artylerii, dowodzić zwiadem, budować mosty oraz pisać przejrzyste raporty.

– Tak jest.

– Jest pan również jedynym oficerem, jakiego znam, którego mianowano Untersturmführerem i Obersturmführerem w dziesięć minut! Piękny awans.

– Dziękuję, Obergruppenführer.

– Potrzebujemy oficera wyszkolonego technicznie, przygotowanego do pełnienia szczególnych obowiązków.

Na słowo „szczególnych” Jüttner położył szczególny nacisk. Otto wytężył słuch. Chyba rysowała się szansa oderwania się od nudnych obowiązków w służbach technicznych.

– Postanowiliśmy utworzyć oddziały komandosów, wzorowane na jednostkach brytyjskich – mówił dalej szef sztabu. – Anglicy pierwsi podjęli dywersyjne działania wojenne tam, gdzie nie byli w stanie zaatakować dużymi formacjami. Trzecia Rzesza widzi potrzebę zorganizowania podobnych oddziałów. Ponieważ większość regularnych

jednostek została uwięziona w Rosji, pojawiło się pole do popisu dla świetnie wyszkolonych, niewielkich grup odważnych żołnierzy, którzy podjęliby walkę z wrogiem tam, gdzie najmniej się tego spodziewa. Ich akcje pozbawiłyby przeciwnika choćby części poczucia pewności i jednocześnie siały panikę w jego szeregach. Mamy taki batalion zakwaterowany w leżącym niedaleko Berlina Friedenthalu. Szefostwo SS pragnie powierzyć panu dowództwo nad tym batalionem…

– Czuję się zaszczycony – odparł zaskoczony Otto.

– Chodzi z pewnością o nową koncepcję wojny i, nie ukrywam tego, o bardzo odpowiedzialne stanowisko – Jüttner poprawił na nosie okulary. – Wydaje się, że jest pan oficerem, jakiego właśnie potrzebujemy. Naturalnie, musi się pan zastanowić nad propozycją i ma pan prawo odmówić.

Zanim Obergruppenführer skończył ostatnie zdanie, Skorzeny wiedział, co odpowie.

– Już się zastanowiłem i zgadzam się.

– Szybko podejmuje pan decyzje.

– Sądzę, że właśnie tego wymaga się od osoby, która ma kierować batalionem komandosów.

– To fakt – uśmiechnął się znów Hans Jüttner. – Zgodził się pan od razu. To znakomicie. Myślę jednak, że powinien pan zobaczyć wcześniej Friedenthal i szkołę „Seehof” koło Hagi. Może się zdarzyć, że powstaną jakieś nieprzewidziane trudności. Po powrocie przekaże mi pan swoje wrażenia i wtedy uznamy pana zgodę za ostateczną.

– *Jawohl!*

18 kwietnia 1943 roku Otto Skorzeny otrzymał awans do rangi SS-Hauptsturmführera. Dwa dni później został szefem pierwszych niemieckich oddziałów specjalnych Friedenthaler Jagdverbände (Grupy Zwiadowczej Friedenthalu). Tak zaczęła się jego wielka kariera.

*

Jako pierwsi sił specjalnych w II wojnie światowej zaczęli używać Brytyjczycy. Tydzień po ewakuacji z Dunkierki podpułkownik Dudley Wrangel Clarke – oficer mający bogate doświadczenie wojskowe z czasów służby w Palestynie i walk z Arabami – opracował sposoby przygotowania i wykorzystania niewielkich wyselekcjonowanych grup żołnierzy, świetnie wyszkolonych i nadzwyczajnie wytrzymałych psychofizycznie, używających wyspecjalizowanego uzbrojenia oraz wyposażenia. Na pamiątkę wojny burskiej proponował nazwać ich komandosami[2].

Projekt został przyjęty zarówno przez szefa Sztabu Generalnego Wielkiej Brytanii Johna Dilla, jak i przez premiera Winstona Churchilla. Obaj zdawali sobie sprawę, że w okresie ponoszonych przez brytyjskie korpusy ekspedycyjne jedna za drugą klęsk na wszystkich frontach, należy mieć doborowe, choć nieliczne oddziały, które mogłyby prowadzić śmiałe, zaczepne akcje na terytorium okupowanej przez Niemców Europy. Akcje, których główną wartością byłoby podniesienie upadającego ducha w narodach brytyjskiego imperium. W ten sposób powstała koncepcja utworzenia Dowództwa Operacji Połączonych – Combined Operations Headquarters, których symbolem stały się kotwica, karabin i stylizowany orzeł, mottem zaś: Połączeni zwyciężymy!

14 czerwca 1940 roku dowódcą „operacji rajdowych”, jak je początkowo nazywano, został generał porucznik Alan Bourne – doświadczony oficer Royal Marines. Pierwsze akcje, pod Boulogne-sur-mer i na wyspie Guernsey zakończyły się jednak fiaskiem.

17 lipca Bourne’a zastąpił admirał floty lord Roger Keyes – bohater I wojny światowej i zaufany przyjaciel Churchilla. Keyes powołał Dowództwo Operacji Połączonych z własnym sztabem w Londynie, gdzie skupił pod swoją komendą specjalistów z Royal Navy, armii i Royal Air Force. Założył również w szkockim mieście Inveraray główny ośrodek szkolenia technik desantowych – Combined Training Centre. Podobne powstały potem w Egipcie i Indiach. Pod jego kierownictwem komandosi osiągnęli pierwszy głośny sukces, kiedy w marcu 1941 roku przeprowadzili udany rajd na Lofoty. Keyes konsekwentnie dążył do osiągnięcia coraz

większej autonomii i uniezależnienia się od niechętnych mu zwierzchników poszczególnych rodzajów sił zbrojnych, co doprowadziło do konfliktu i jego ustąpienia ze stanowiska.

27 października 1941 roku Keyesa zastąpił kolejny protegowany Churchilla – komandor lord Louis Mountbatten. Wręczając nominację, premier wyznaczył mu dwa podstawowe cele: rozpoczęcie szeroko zakrojonego programu rajdów na wybrzeża okupowanej Europy, mających wiązać jak największe siły Niemców w celu odciążenia frontu wschodniego, oraz przygotowanie planów przyszłej inwazji kontynentu. W ramach realizacji pierwszego zadania Mountbatten przeprowadził serię spektakularnych akcji dywersyjnych na terenie Francji i Norwegii. Dzięki tym sukcesom w marcu 1942 roku został awansowany na wiceadmirała oraz otrzymał tytuł Szefa Operacji Połączonych. Osiągnął również to, o co bezskutecznie zabiegał jego poprzednik, czyli autonomię względem Szefów Sztabu. Został bowiem mianowany pełnoprawnym członkiem Komitetu Szefów Sztabu. Jego zasługą było ujednolicenie i scentralizowanie szkolenia komandosów. W tym celu na zamku Achnacarry powołano w 1942 roku Commando Basic Traning Centre, które do końca wojny było głównym ośrodkiem szkoleniowym wszystkich oddziałów Commando.

W grudniu 1942 roku powołano z inicjatywy Mountbattena Oddziały Pilotujące Operacji Połączonych (Combined Operations Pilotage Parties). Były to specjalnie wyszkolone i wyposażone (między innymi w nadajniki podczerwieni, kajaki, miniaturowe okręty podwodne) oddziały złożone z żołnierzy armii i marynarzy Royal Navy, którzy otrzymali zadanie przeprowadzania rekonesansów na plażach w celu rozpoznania wrogich umocnień i wskazania dogodnych miejsc do lądowania. Ich działania wydatnie przyczyniły się do sukcesu Operacji „Husky” oraz desantu pod Salerno i lądowania w Normandii[3].

SOE (Special Operations Executive – Kierownictwo Operacji Specjalnych) było tajną brytyjską agencją rządową, powołaną 16 lipca 1940 roku do prowadzenie dywersji, koordynacji działań politycznych i propagandowych oraz wspomagania ruchu oporu w okupowanych

państwach Europy. Kiedy w czerwcu 1940 roku Wehrmacht usadowił się nad kanałem La Manche i Atlantykiem, Churchill wydał zbieraninie awanturników i najemnych zbirów, zbzikowanych arystokratów i marksizujących homoseksualistów rozkaz „podpalenia Europy".

Podłożony przez SOE ogień szybko się rozprzestrzeniał, pomagając aliantom odnieść zwycięstwo siłami zupełnie nieproporcjonalnymi do osiągniętych efektów: w szczytowym okresie dla SOE pracowało około dziesięciu tysięcy mężczyzn i trzech tysięcy kobiet. Ryzyko było ogromne. Pojmanym agentom, których traktowano jako szpiegów, a nie jeńców wojennych, groziły tortury i egzekucja. Agent SOE we Francji średnio miał przed sobą sześć tygodni życia.

SOE powstało w wyniku fuzji działających od czerwca 1940 roku Departamentu – MIR, Ministerstwa Wojny Sekcji D (sabotaż), cząstki SIS/MI6 oraz zespołu Ministerstwa Spraw Zagranicznych ds. propagandy. Centrala organizacji mieściła się pod numerem 64 przy Baker Street w Londynie i miała swoje placówki w głównych miastach Europy i Afryki, między innymi w Sztokholmie, Lizbonie, Madrycie, Bari i Algierze. Działało pod oficjalną nazwą „Union Trading Company". Szefem operacyjnym SOE został sir Frank Nelson. W maju 1942 roku zastąpił go na tym stanowisku sir Charles Hambro. Od września 1943 roku aż do rozwiązania w styczniu roku 1946 kierownictwo SOE spoczywało w rękach generała majora Colina Gubbinsa. Pełna ocena działalności SOE nie jest możliwa, gdyż dotychczas nie odtajniono wszystkich dokumentów.

W 1941 roku powstała najbardziej znana formacja tego typu: SAS (Special Air Service) – elitarna jednostka specjalnego przeznaczenia, stanowiąca trzon oddziałów specjalnych brytyjskich sił zbrojnych (United Kingdom Special Forces). Założył ją pułkownik Archibald David Stirling w celu przeprowadzania ataków dywersyjnych za liniami wroga w trakcie działań w Afryce Północnej. Motto współczesnego SAS brzmi: *Who Dares Wins*, co można przetłumaczyć jako: „Kto się odważy, ten wygrywa"[4].

W końcu 1941 roku specjalne komanda Stirlinga w Afryce Północnej zniszczyły w ciągu trzech miesięcy więcej niemieckiego sprzętu niż

jakakolwiek eskadra RAF-u. Legendarny pseudonim, jaki mu nadano, „Phantom” (Zjawa), był bardzo znaczący. Za dnia chował się wraz ze swymi żołnierzami na pustyni, by pojawić się i uderzyć nocą, czasami setki kilometrów za liniami wroga, po czym znikał jak zaczarowany.

Operacje US Army Special Forces – jednostek specjalnych amerykańskich sił lądowych, zaczęły się znacznie później. Jej żołnierze uczestniczyli zarówno w bezpośrednich działaniach bojowych, jak i w akcjach niekonwencjonalnych (np. w działaniach dywersyjnych). Jedną z najsłynniejszych jednostek była 1st Special Service Force (1. Grupa Sił Specjalnych), utworzona w roku 1942 z ochotników jednostek spadochronowych i rangersów.

Nic dziwnego, że Niemcy zapragnęli mieć do dyspozycji podobne oddziały.

Od żołnierzy jednostek specjalnych w czasie II wojny światowej wymagano niezwykłego hartu ducha, wspaniałej kondycji fizycznej i wytrzymałości, szerokich i wszechstronnych umiejętności, a także olbrzymiej odwagi i poświęcenia, z reguły bowiem przeznaczeni byli do przeprowadzania akcji, z których powrót był wielce problematyczny.

Do tego typu oddziałów przyjmowano jedynie ochotników, zarówno oficerów, jak i szeregowych, których poddawano bardzo trudnemu, specjalistycznemu treningowi. Obejmował on zarówno opanowanie umiejętności posługiwania się wszelkimi możliwymi rodzajami broni i sprzętu technicznego, jak również wyrabiał wielką sprawność fizyczną i umiejętność radzenia sobie w każdej, nawet najbardziej skomplikowanej i nieprzewidzianej okoliczności.

Żołnierzy jednostek specjalnych uczono też walki wręcz i posługiwania się nożem w bezpośrednim starciu. Ćwiczyli wspinanie się na skały, przebywanie wpław w pełnym umundurowaniu i ze sprzętem rozmaitych przeszkód wodnych, rozbrajali pola minowe zarówno na lądzie, jak i w wodzie, uczyli się przebywać wąwozy czy rzeki na zaimprowizowanych mostach linowych. Oswajano ich z walką i ogniem nieprzyjacielskim, aby uodpornić na zaskoczenie, znieczulić na zwykły, naturalny, ludzki strach.

*

Przywódcom SS marzył się własny oddział komandosów. Wehrmacht miał jednostkę specjalną „Brandenburg”, a SS nie miało. Z punktu widzenia Himmlera, Kaltenbrunnera, Schellenberga i innych była to niedopuszczalna sytuacja.

Nazwę *Friedenthal* można przetłumaczyć jako Dolina Pokoju…

„Położony dwadzieścia kilometrów na północ od Berlina Friedenthal był dawnym miejscem polowań Hohenzollernów – wspomina Skorzeny. – W rozległym parku, wokół dwóch pawilonów, w których gromadzili się dawniej goście cesarza, zbudowano w 1943 roku baraki z prefabrykatów”.

O czym nie wspomina, to kto i w jakich warunkach budował te baraki i inne elementy ośrodka. Konzentrationslager Sachsenhausen – niemiecki obóz koncentracyjny, znajdował się zaledwie o kilkanaście minut drogi pieszej od Friedenthal. Założony został w 1936 roku z rozkazu Heinricha Himmlera tuż po objęciu przez niego kierownictwa całego aparatu policyjnego III Rzeszy. Na jego terenie szkoliło się wielu komendantów i wysokich funkcjonariuszy SS, którzy później obejmowali funkcje w innych obozach, między innymi Rudolf Höss, późniejszy komendant KL Auschwitz. W obozie Sachsenhausen dokonywano zbrodniczych eksperymentów medycznych na więźniach, które często kończyły się śmiercią lub kalectwem. W roku 1941 przeprowadzono tu na jeńcach sowieckich próby gazowania w zaadaptowanych do tego celu ciężarówkach. W 1942 roku zbudowano komorę gazową, krematoria i izbę przeznaczoną do egzekucji przez rozstrzelanie.

Od początku 1943 roku do parku zamkowego we Friedenthal przyganiano setki więźniów z pobliskiego Sachsenhausen. Dniem i nocą budowali dookoła całej posiadłości wysoki na trzy metry mur. Ilu ludzi przy tym zginęło, zostało zakatowanych podczas katorżniczej pracy – tego nie wie nikt. Na szczycie muru przeciągnięto druty kolczaste, podłączone do prądu o wysokim napięciu. W postawionych na rogach wieżyczkach pojawili się strażnicy, dookoła, od strony zewnętrznej, zaczęły chodzić

patrole z psami. Jedyną drogą w stronę stalowej bramy podjeżdżały kolumny ciężarówek pokrytych brezentem oraz limuzyny z oficerami.

Tak powstał ośrodek SS zwany „Specjalnymi kursami szczególnego przeznaczenia – „Oranienburg”. Słuchacze tego ośrodka, zawsze w cywilnych ubraniach, wychodzili za mur tylko nocą, kierując się według z góry ustalonej marszruty, z wyraźnym rozkazem, by nie zatrzymywać się po drodze.

Otoczony utrzymanym w stylu angielskim parkiem ośrodek wybrano nieprzypadkowo. Położony o godzinę jazdy samochodem od centrali Gestapo i SS, w bardzo urozmaiconym terenie, mający pod bokiem nieprzebrane siły bezpłatnej siły roboczej, był idealnym miejscem do szkolenia szpiegów, sabotażystów i dywersantów. Jednym z ważniejszych przedmiotów szkolenia były sposoby bezszelestnego usuwania ludzi, mordowania po cichu, przez uduszenie, otrucie czy zasztyletowanie.

Podczas ostatnich tygodni wojny nalot samolotów amerykańskich i brytyjskich zniszczył w dużym stopniu zarówno zamek, jak i wybudowane obok pomieszczenia obsługi oraz sam park. Leje po bombach, resztki fundamentów po zainstalowanych tam kiedyś urządzeniach łączności radiowej, rozwalone mury i okopcone mury baraków – tyle pozostało z ośrodka we Friedenthal. Pozostaje tajemnicą, czy bombardowanie było przypadkowe, czy też atakujący mieli informacje dotyczące celu. Wydaje się jednak wątpliwe, by pod koniec wojny dotarły do aliantów wiadomości o tym, co dzieje się za trzymetrowym murem ośrodka. Raczej więc był to przypadek…

*

Ale to wszystko nastąpiło dopiero później. Na razie, kiedy tylko Skorzeny obejrzał swoich ludzi i dostarczony ekwipunek, szybko zdał sobie sprawę, że przyszłość pierwszych niemieckich komandosów nie rysuje się bynajmniej różowo.

Na miejscu zastał kompanię piechoty, pół innej i część kompanii transportowej. Oddziałem tym, nazwanym „Sonderverband z.b.V. Friedenthal”, dowodził holenderski oficer Waffen-SS i niemal nieistniejący sztab. Służba archiwalna, dokumentacyjna i łączność prawie nie istniały. Spośród trzystu ludzi, których Otto znalazł w ośrodku, 85% stanowili Niemcy. Na pozostałą część składała się przedziwna zbieranina ludzi z innych państw: Holendrzy, Flamandowie, rumuńscy i węgierscy Volksdeutshe. Można było spotkać nawet resztki byłych carskich emigrantów rosyjskich, ściągniętych z kabaretów Paryża, czy Amerykanów niemieckiego pochodzenia. Wszyscy byli oczywiście ochotnikami i należeli do Waffen-SS.

Specjalne wyposażenie komandosów było wręcz śmieszne – kilka przechwyconych od wroga sztuk broni i trochę ubrań. Standardowe dla brytyjskich komandosów wyposażenie, takie jak pistolety z tłumikami, plastikowe ładunki wybuchowe, wyrzutnie rakietowe i tym podobne, leżało poza zasięgiem marzeń Skorzenego. Potrzeby były olbrzymie, możliwości ich zaspokojenia praktycznie żadne, nie dysponowano specjalistycznym wyposażeniem. Z tego, co wiedział o Adolfie Hitlerze, nie sądził, aby Führer zgodził się na angażowanie przeciążonego niemieckiego przemysłu zbrojeniowego w produkcję takich „ekstrawaganckich gadżetów”.

Skorzeny nie poddawał się jednak łatwo. Nie wierzył w klęskę i był pozbawiony strachu. Nieprzypadkowo jego mottem życiowym na najbliższe lata stał się cytat z Friedricha Nietzschego: „Żyj niebezpiecznie”, co oznaczało tyle co „przekraczaj siebie samego, spróbuj zakwestionować wszystkie utarte schematy, które dotąd określały twoje życie”.

Po jako takim wyposażeniu jednostki we Friedenthalu pojechał do szkoły specjalnej w Hadze. W secesyjnej willi, otoczonej wielkim parkiem, spotkał dwudziestu pięciu elewów pracujących pod kierunkiem SS-Standartenführera Jürgena Knollego z SD, specjalisty od nasłuchu, łączności radiowej, kodów, szyfrowania i deszyfrowania. Wśród elewów dziesięciu należało do Waffen-SS, jeden był Irańczykiem, pozostali zaś okazali się agentami SD.

Powstał pewien kłopot, ponieważ Skorzeny był formalnie niższy stopniem, chociaż stopnie SD nie miały odpowiednika w Waffen-SS. Praktycznie pracownicy SD byli bardziej funkcjonariuszami niż żołnierzami. Na szczęście Knolle szybko rozwiązał problem.

– Chętnie pozostanę na stanowisku jako pana podwładny – oświadczył.

Nominalnie bezpośrednim przełożonym Skorzenego był młody i zdolny SS-Standartenführer Walter Schellenberg, szef wywiadu zagranicznego Sicherheitsdients (SD), jeden z nielicznych pierwszoplanowych przedstawicieli służb policyjnych III Rzeszy, któremu udało się uniknąć poważniejszych konsekwencji za przestępstwa wojenne. Przez wielu nazywany jest „arcyszpiegiem", co z pewnością stanowi znaczną przesadę. Na jego opublikowane w Polsce *Wspomnienia* składają się głównie opisy akcji, które autor chciał przeprowadzić, lecz nie przeprowadził, oraz jego opinie na temat nazistowskiego państwa. Z całą natomiast pewnością był „arcykrętaczem" i „arcymitomanem", podobnie zresztą jak sam Skorzeny.

Najbardziej zdumiewa fakt, że Walter Schellenberg nie uważał się za nazistę, a to, co działo się w III Rzeszy, postrzegał jako „żałosną farsę, której główni bohaterowie wykazywali się nader miernym aktorstwem". Miał swój udział w ratowaniu Żydów, umożliwiając niedoszłym ofiarom obozów koncentracyjnych wyjazd do Szwecji i bezpieczne życie. Była to ryzykowna gra, lecz uważał, że w ten sposób uspokaja swe sumienie. Miał także wrogów i ocaliło go tylko jedno: Himmler potrzebował jego wiedzy i niepospolitych zdolności.

Reprezentował dużą inteligencję, wiedzę i obycie towarzyskie, obdarzony też był iście diabelskim sprytem. Himmler dawno już zwrócił uwagę zwłaszcza na ten ostatni przymiot młodego, trzydziestotrzyletniego wówczas człowieka. Uznawszy jego nadzwyczajną wprost przydatność do służby wywiadowczej, interesował się nim stale, co Heydrich przyjmował bez szczególnego entuzjazmu. Jak się przekonał, Schellenberg był w istocie prawdziwym talentem, a doświadczenie życiowe mówiło mu, że ludzie tego pokroju potrafili być dla przełożonych równie pożyteczni, jak niebezpieczni.

Przyszedł na świat 16 stycznia 1910 roku w Saarbrücken, lecz kiedy Francuzi po I wojnie światowej zajęli kraj Saary, przeprowadził się wraz z rodziną do Luksemburga. W 1933 roku ukończył prawo na uniwersytecie w Bonn. Wtedy też zasilił szeregi SD, gdzie talentem do języków zwrócił uwagę samego Reinharda Heydricha. Dwa lata później Heydrich ściągnął go do kwatery głównej SD w Berlinie, w której Schellenberg zajął się sprawami kontrwywiadu. Jednym z pierwszych powierzonych mu zadań było zapewnienie bezpieczeństwa Mussoliniemu w czasie wizyty duce w Berlinie w 1938 roku, co wykonał wzorowo, otwierając sobie drogę do dalszej kariery.

W roku 1939, z chwilą powołania Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), został szefem kontrwywiadu „Amt IVE" w Departamencie IV (Gestapo). 9 listopada tego roku wsławił się porwaniem dwóch brytyjskich oficerów Secret Inteligence Service (wywiadu brytyjskiego MI6) z holenderskiego miasteczka Venlo, co zwiększyło jeszcze jego prestiż. Awansował wtedy do stopnia Standartenführera SS (pułkownika), a od Hitlera otrzymał Krzyż Żelazny.

W roku 1940 minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop wysłał go do Portugalii z zadaniem uprowadzenia stamtąd wielkiego sympatyka nazizmu, księcia Windsoru – byłego króla Edwarda VIII (Operacja „Willy"). Hitler planował, że po kapitulacji lub pokonaniu Wielkiej Brytanii książę wróci na brytyjski tron i powoła proniemiecki rząd. Misja zakończyła się fiaskiem, agenci brytyjskiego wywiadu podtruli Schellenberga, uniemożliwiając w ten sposób porwanie.

Dzięki wyjątkowemu sprytowi udało mu się uniknąć poważniejszych konsekwencji służbowych i 21 czerwca 1941 roku objął szefostwo wywiadu zagranicznego (urząd VI RSHA), który szybko zreorganizował, tworząc bardzo skuteczną instytucję. Jego największym osiągnięciem na tym stanowisku stało się wytropienie sowieckiej siatki szpiegowskiej, działającej pod kryptonimem „Die Rote Kapelle" – Czerwona Orkiestra[5].

Od dawna już zbierał materiały przeciwko Wilhelmowi Canarisowi. Z zaskoczeniem obserwował na przykład nadzwyczaj przyjazne kontakty

szefa Abwehry z Reinhardem Heydrichem, choć obydwaj prowadzili przecież walkę na śmierć i życie. Często się zastanawiał, czy przypadkiem Canaris nie maczał palców w organizację zamachu w Pradze, w wyniku którego Heydrich zmarł. Podjął nawet śledztwo w tej sprawie, lecz nie udało mu się znaleźć żadnych dowodów.

Już wkrótce, bo we wrześniu 1943 roku, miał doprowadzić do upadku Canarisa. Dowody, które zebrał, wystarczyły aż nadto, żeby postawić admirała przed sądem za zdradę, lecz z nieznanych mu powodów Heinrich Himmler nie zdecydował się na to, zadowoliwszy się jedynie usunięciem Canarisa ze stanowiska szefa Abwehry. Schellenberg wolał nie dochodzić, co stało za taką decyzją jego szefa.

*

Skorzeny poprosił Schellenberga o spotkanie, licząc na pomoc przełożonego w odpowiednim wyposażeniu Friedenthaler Jagdverbände. Standartenführer kazał mu przyjechać na Prinz Albrechtstrasse, do głównej siedziby Gestapo.

W Berlinie panowały akurat fatalne warunki atmosferyczne. Wiosna pokazywała swoje kaprysy: lekki opad śniegu przechodził w deszcz ze śniegiem, a potem w ulewę. Ten zimny, zacinający deszcz padał z taką siłą, że aż kłuł w twarz. Zanim Otto dotarł do samochodu, włosy przylepiły mu się do głowy, a za kołnierzem miał pełno wody. Jego nastrój był równie przykry jak dzisiejsza pogoda.

Po przybyciu na miejsce, ku jego zdziwieniu, jakiś oficer poprowadził go nie na górę, lecz stromymi schodami na dół. Był wysoki, chudy, w typie pruskim, o kościstej twarzy i niebieskich, osadzonych głęboko oczach, orlim nosie i włosach tak jasnych, że wydawały się białe, o sztywnym karku i adekwatnej do niego postawie. „Prawie karykatura – pomyślał z rozbawieniem Otto. – Mógłby zdobyć nagrodę w konkursie na wzorcowego Aryjczyka”.

Wkrótce usłyszał odgłosy strzelania.

– A cóż to takiego? – zdziwił się jeszcze bardziej.

– Strzelnica w podziemiach – wyjaśnił krótko oficer. – Standartenführer nie chce wyjść z wprawy.

– Radzi sobie jakoś? – zażartował Otto.

– Nie ma sobie równych. Nigdy nie widziałem, by ktoś strzelał lepiej od niego.

– Czyżby? – Skorzeny nie wydawał się o tym przekonany.

Ale chwilę później, gdy otworzyli drzwi i weszli do środka, miał podstawy, by zrewidować swoją opinię. Schellenberg strzelał do kilku tekturowych postaci imitujących sylwetki sowieckich żołnierzy. Strzelił do trzech kolejnych postaci, umieszczając po dwie kule dokładnie w miejscu serca. Kiedy przerwał, by ponownie załadować broń, zauważył obecność olbrzymiego esesmana.

– Hauptsturmführer Skorzeny – zameldował przepisowo Otto.

– A więc udało się tu panu dotrzeć – powiedział Schellenberg.

– Dotrzeć tutaj to żadna sztuka – na twarzy Skorzenego pojawił się szeroki uśmiech. – Dużo trudniej, jak słyszałem, jest się stąd wydostać.

– Ha, ha – zaśmiał się szef VI Urzędu. – Rzeczywiście. Przynajmniej niektórym. Ale pana to nie dotyczy.

– Mam nadzieję, Standartenführer.

Schellenberg załadował ponownie swego Mausera.

– Grüner – zwrócił się do stojącego obok wysokiego Scharführera (sierżanta) SS o ponurej twarzy. – Znajdź coś dla szefa naszych komandosów. Słyszałem, że całkiem nieźle strzela.

Grüner wepchnął magazynek do kolby Walthera PPK i wręczył go Skorzenemu.

– W porządku? – zapytał Schellenberg.

– Pański strzał, Standartenführer.

Ukazały się nowe tarcze. Schellenberg oddał błyskawicznie sześć strzałów i znów każda z trzech postaci miała w okolicach serca po dwie dziury.

– Jestem pod wrażeniem – ukłonił się Otto, po czym wyprostował rękę i wystrzelił trzy pociski w takim tempie, że brzmiało to niemal jak jeden strzał. Na czole każdej z trzech postaci pojawił się otwór.

– *Mein Gott!* – nie wytrzymał Schellenberg. – Przejawia pan wybitne zdolności, Skorzeny.

– Jak mam rywalizować ze słynnymi brytyjskimi komandosami, o których wyczynach krążą już legendy – poskarżył się Otto pół godziny później, kiedy siedzieli już obaj przy kawie w gabinecie Schellenberga.

– Powinien pan jak najszybciej zorganizować jakąś akcję komandosów i w ten sposób wywrzeć wrażenie na Hitlerze – to jedyne, co usłyszał. – Jestem przekonany – dodał jeszcze Schellenberg – że byłoby to bardzo pożyteczne dla rozwoju pańskiej jednostki.

*

Chcąc nie chcąc, zabrał się Otto za zbieranie odpowiednich ludzi, których potrzebował do swych planowanych operacji specjalnych. Jako jeden z pierwszych do Friedenthal trafił kapitan Wehrmachtu Karl Radl, jeden ze starych znajomych Skorzenego jeszcze z czasów wiedeńskich. Szczupły, niewysoki, z prostymi blond włosami i niewielkim wąsikiem wyglądał jak typowy urzędnik i nikt z wyjątkiem Skorzenego oraz kilku jeszcze innych osób nie podejrzewał, jak wielki duch tkwił w tym mikrym ciele. Miał niespożytą energię i nie przerażały go żadne trudności. Czasami Otto odnosił wręcz wrażenie, że Radl sam szuka kłopotów i uwielbia znajdować się w sytuacji bez wyjścia. W takich sytuacjach ten niepozorny i nieporadny na pierwszy rzut oka mężczyzna zmieniał się w groźnego zabijakę, który jak czołg łamał wszelkie bariery.

Do pomocy Radlowi zwerbowani zostali dwaj inni młodzi ludzie, którzy właśnie zdali maturę i byli przygotowani do podjęcia pracy w tajnych służbach.

Następnie Skorzeny zaczął się rozglądać za szeregowymi żołnierzami. Tych ściągnął z kilku różnych miejsc. Trochę z Batalionu

Spadochronowego SS, trochę z Brandenburskiego Batalionu Piechoty, który dostarczył świetnie wyszkolonych spadochroniarzy, w większości biegle władających obcymi językami.

Był to niemiecki oddział dywersyjny, zorganizowany w październiku 1939 roku w Brandenburgu przez wywiad wojskowy (Abwehrę) pod nazwą „Baulehr-Kompanie zbV 800". Podlegał bezpośredniemu dowództwu szefa Abwehry, ale podczas specjalnych misji żołnierze tego oddziału byli przydzielani do jednostek regularnego wojska.

W formacji „Brandenburg" służyli przede wszystkim żołnierze urodzeni poza krajem: Niemcy sudeccy, Ślązacy, Niemcy zamieszkali w Rosji, na Bałkanach, w Ameryce Południowej, Stanach Zjednoczonych i byłych koloniach niemieckich w Afryce. Przyjmowano tam również Ukraińców, Hindusów, Arabów oraz członków szczepów afgańskich czy kaukaskich. Zdarzały się przypadki, że również Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Finowie, Szwedzi, Norwegowie, Rumuni i Węgrzy byli przyjmowani do tej jednostki. Jednym z podstawowych warunków przyjęcia do jednostki była znajomość obcych języków oraz posiadanie średniego lub wyższego wykształcenia.

Pierwszym i głównym centrum szkolenia była posiadłość Quenz niedaleko Brandenburga nad Hawelą. Uczono tam podstawowych technik, posługiwania się bronią, jeżdżenia konno, latania, skoków spadochronowych, obsługi radiostacji, walki wręcz, robienia i zakładania środków wybuchowych oraz taktyki partyzanckiej. Niektóre pododdziały przechodziły bardzo specjalistyczne szkolenia. Jedna kompania składała się z profesjonalnych narciarzy i była szkolona do walki w warunkach silnego mrozu na dalekiej północy ZSRS.

Podczas akcji wojskowych – w zależności od ich charakteru – „Brandenburczycy" działali w zespołach liczących po dwóch żołnierzy, w dwunastoosobowych oddziałach lub pełnych trzystuosobowych kompaniach. Większość prowadzonych przez nich operacji miała miejsce za liniami przeciwnika. Często używali zdobycznej broni i wyposażenia, występowali w mundurach drugiej strony, czasami mając fałszywe

dokumenty. Zawsze jednak przestrzegali zasady, że pod obcym umundurowaniem noszą niemieckie mundury. Wynikało to z przeświadczenia, że są żołnierzami, a nie szpiegami. Podczas swoich tajnych misji wszyscy mieli przy sobie pigułki, po których połknięciu umierali, aby nie wpaść w ręce wroga.

„Brandenburczycy" wykazywali dużą skuteczność w działaniach podczas kampanii francuskiej 1940 roku i wojny na terytorium Grecji w latach 1940–1941, a także w początkowej fazie wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku. Na Ukrainie w ciągu 1942 roku oddziały „Brandenburczyków" poprzedzały natarcie sił Armii Grupy „Południe", zajmując mosty, węzły drogowe i kolejowe oraz atakując i dezorganizując sowieckie dowództwa.

Pułk Specjalny „Brandenburg" operował w latach 1941–1944 na terenie ZSRS, Albanii, Grecji, Jugosławii i Węgier. Wydzielone pododdziały działały także w Afganistanie i Persji, przeprowadzając tam akcje przeciwko Brytyjczykom. Żołnierze tej jednostki znaleźli się też w składzie Afrika Korps, który wylądował w Libii w lutym 1941 roku. Zgrupowani byli w czterech (tropikalnych) kompaniach. Używali zdobycznego sprzętu angielskiego do prowadzenia akcji głęboko za liniami przeciwnika. (Podobne misje wykonywały po drugiej stronie angielskie oddziały Long Range Desert i SAS).

Początkowo „Lis pustyni", generał Erwin Rommel, sprzeciwiał się akcjom „Brandenburczyków", polegającym głownie na przerywaniu linii zaopatrzeniowych, jako niezgodnym ze zwyczajami wojskowymi. Do czasu, aż zorientował się, jak wielkie szkody wyrządzają mu podobne rajdy Brytyjczyków[6].

Pod koniec rekrutacji Skorzeny miał już dwa bataliony świetnie wyszkolonych, pełnych entuzjazmu młodych mężczyzn, głęboko oddanych sprawie nazizmu. Fascynowali go brytyjscy komandosi, godzinami potrafił wertować zeznania jeńców i zdobyte dokumenty, próbując zrekonstruować szkolenie, jakie przechodzili, i zrozumieć ich taktykę. W swoim oddziale zaprowadził również brytyjskie porządki. Tak jak komandosi wroga,

żołnierze Skorzenego musieli być nieustraszeni, umieć skakać na spadochronach, nurkować, prowadzić samochody i motocykle, walczyć wręcz i posługiwać się każdym rodzajem broni, w tym strzelać z moździerzy i armat. Uczyli się angielskiego i rosyjskiego.

Ciągle jednak Otto nie był w pełni usatysfakcjonowany. Potrzebował jeszcze specjalistycznego wyposażenia, dorównującego wyposażeniu podobnych sił nieprzyjaciela.

*

Tymczasem w Holandii już po kilku miesiącach okupacji początkowa bierność społeczeństwa zaczęła ustępować miejsca rosnącej niechęci wobec niemieckich najeźdźców. Niezależnie od tendencji kolaboracjonistycznych rodził się autentyczny ruch oporu, który początkowo miał raczej bierny charakter, polegający głównie na sabotowaniu zarządzeń władz okupacyjnych. Z czasem jednak przybrał bardziej zdecydowaną formę. Od 1942 roku zaczęto w Holandii organizować pomoc i kryjówki dla Żydów oraz innych ukrywających się osób, zwanych „nurkami” (*onderduiker*), wydawano fałszywe kennkarty, prowadzono działalność wywiadowczą i sabotaż. Zagrożonych aresztowaniem przerzucano potajemnie przez granicę do Szwajcarii, skąd udawali się dalej, do Hiszpanii i Anglii. Podziemne wydawnictwa dementowały szerzone w oficjalnej prasie kłamstwa hitlerowskiej propagandy.

Topografia tego małego kraju wyjątkowo nie sprzyjała rozwojowi partyzantki, niemniej jednak organizacje podziemne drogą zamachów starały się kontynuować walkę zbrojną. Z ich ręki zginęli tacy kolaboranci jak generał H.A. Seyffardt – twórca faszystowskiego Legionu Holenderskiego, czy były minister wojny i członek kierownictwa NSB[7] – Joost Postuma. Ukatrupiono kilku przywódców policji w większych miastach; odbito też kilkudziesięciu więźniów politycznych.

Z przechwyconych brytyjskich dokumentów Skorzeny dowiedział się, że alianckie samoloty latają nocą nad Holandią i zrzucają broń oraz

zaopatrzenie dla tamtejszego ruchu oporu. Nad kilkoma takimi grupami przejął kontrolę niemiecki wywiad. Kiedy dowiedział się o tym Otto, wpadł na znakomity pomysł, postanowił mianowicie, że Brytyjczycy zaopatrzą przy okazji również jego własny „ruch oporu” – jednostkę Friedenthal. Przez pewien czas zaczął prowadzić przez radio interesujący dialog z wrogiem. Tą drogą, na przykład, złożył zamówienie na pistolet maszynowy z tłumikiem. Otrzymał go dwa tygodnie później za pośrednictwem holenderskiego kapitana szwedzkiego okrętu. Otworzył okno biura w Amsterdamie, w którym akurat pracował, i strzelił w kierunku przelatującego nad kanałem stada kaczek. Usłyszał jedynie ciche syczenie. Przechodnie nie podnieśli nawet głów.

Tym sposobem został pierwszym żołnierzem niemieckim uzbrojonym w „Stena” z tłumikiem. Nazwa „Sten” powstała jako skrót nazwisk projektantów: Reginalda Sheperda i Harolda Turpina oraz miejscowości Enfield, gdzie mieściła się fabryka Royal Small Arms Factory. Nawet bez tłumika pistolet maszynowy tego typu miał ogromne zalety. Z pewnością był dużo lepszy i bardziej precyzyjny od produkowanych przez Niemców MP 40[8]. Produkowano go trzy razy szybciej i był cztery razy tańszy. „Sten” mógł wpaść w błoto, w śnieg, do wody, i ciągle działał, a niemiecki MP się zacinał. Skorzeny postanowił doprowadzić do produkcji tej cichej broni w Niemczech.

W tym celu zaprosił na kolację do Friedenthal dwóch wysokich stopniem oficerów z Urzędu Gospodarki Wojennej i Uzbrojenia (OKW), którego szefem był generał Georg Thomas. Panowie oficerowie jednak owszem kolację zjedli, popili ją dobrym reńskim winem, ale do projektu odnieśli się bardzo sceptycznie. Po kolacji Otto zaproponował im małą przechadzkę w parku. W pewnej chwili niespodziewanie złapał każdego z nich za rękę.

– Wybaczcie panowie – powiedział – ale obaj jesteście już martwi.

– Czy pan zwariował, Hauptsturmführer – obruszył się jeden z nich.

– W żadnym wypadku. Jestem całkowicie przy zdrowych zmysłach.

– Wobec tego chyba wypił pan za dużo wina do kolacji – wyraził przypuszczenie drugi. – Przyznaję, było znakomite, ale…

– Nie, nie, nie – przerwał mu Otto. – Panowie nic nie zrozumieliście. Proszę tylko spojrzeć.

– Na co?

– Hans, zapal latarkę! –zawołał zamiast odpowiedzi Skorzeny.

Stojący za nimi jeden z jego żołnierzy wykonał polecenie. W jasnym świetle ukazał się drugi z ludzi Skorzenego. Trzymając w ręce „Stena" z tłumikiem, wskazał gestem na leżące na ziemi łuski po nabojach.

– Przed chwilą opróżniłem cały magazynek, strzelając w powietrze – wyjaśnił.

Technicy z Urzędu Gospodarki Wojennej i Uzbrojenia byli pod wrażeniem swej cichej, choć na szczęście tylko teoretycznej śmierci.

– Spróbujemy coś z tym zrobić – obiecali. – Niech pan napisze list do generała Thomasa i przedstawi całą sprawę. My ją poprzemy.

Odpowiedź nadeszła już po dwóch tygodniach:

„W zasadzie ma pan rację. Musi Pan jednak przyznać, że «Sten» nie jest modelem precyzyjnym. A przecież Führer mówił i powtarzał, że niemiecki żołnierz ma prawo do broni najlepszej z każdego punktu widzenia. Nie możemy więc brać odpowiedzialności za zlecanie produkcji tego pistoletu, nawet z tłumikiem, mniej precyzyjnego niż ten, który obecnie produkujemy w Niemczech. *Heil* Hitler!".

*

Cóż było robić? Żeby kompletnie uzbroić swoich ludzi, Skorzeny czekał każdej nocy na brytyjskie samoloty, które przy akompaniamencie pomruku silników zrzucały mu świeże zapasy plastiku, min Hawkinsa, radiostacji i „Stenów".

Przez cały czas trwało również intensywne szkolenie. Przygotowywano między innymi grupę płetwonurków, „ludzi żab", na wzór oddziału słynnego włoskiego księcia Junio Valerio Borghese, dowódcy legendarnej eskadry „X-MAS" (Motoscafo Armato Silurante) – X Lekkiej Flotylli (Decima Flotiglia).

Podczas II wojny światowej jednostka ta uchodziła za jedną z najlepszych, specjalizujących się w morskiej dywersji. Jej komandosi-płetwonurkowie korzystali z przeznaczonych do dywersji (lecz bynajmniej nie do ataków samobójczych – jak to często podawane jest w literaturze) „żywych torped", zwanych *maiale* (świnie). Podejmowali działania od Aleksandrii po Gibraltar i dalej aż po Morze Czarne. Oddział zasłynął spektakularną akcją, podczas której przedarł się do portu w Aleksandrii i 29 grudnia 1941 roku ciężko uszkodził pancerniki HMS „Queen Elizabeth" oraz HMS „Valiant". (Trzecia „świnia" ciężko uszkodziła tankowiec oraz niszczyciel. Łącznie w czasie wojny zatopili pięć okrętów o tonażu 72 190 t oraz dwadzieścia trzy statki handlowe o wyporności 130 572 t.

Włosi rozpoczęli jako pierwsi operacje specjalne, topiąc w Pola pod koniec I wojny światowej pancernik „Viribus Unitis". Wydział broni specjalnych w X Flotylli miał dwa dywizjony. W pierwszym, nawodnym, znajdowały się szybkie łodzie wybuchające i motorowe kutry torpedowe; w drugim, podwodnym, wykorzystywano właśnie owe *maiale*, dwuosobowe wolnobieżne torpedy sterowane. W tym dywizjonie ubrani w nieprzemakalne kombinezony płetwonurkowie podczepiali za pomocą specjalnych przyssawek pod stabilizatorami wrogich okrętów – cztery do pięciu metrów poniżej linii wodnej – małe ładunki o wielkiej sile rażenia z opóźnionym działaniem.

Całością dowodził nieprzejednany antykomunista i jednocześnie charyzmatyczny oficer, wspomniany komandor Junio Valerio Borghese, zwany „Czarnym Księciem". W grudniu 1943 roku Borghese planował przeprowadzenie na rzece Hudson ataku na Nowy Jork, licząc głównie na efekt psychologiczny i propagandowy, podobny do nalotu pułkownika Jamesa „Jimmy'ego" Doolittle'a na Tokio – pierwszego (i jedynego jak dotąd) nalotu bombowców startujących z pokładów lotniskowców. Operacja została przeprowadzona na osobiste życzenie prezydenta Franklina Delano Roosevelta i była symbolicznym odwetem Amerykanów za japoński atak na Pearl Harbor.

Kiedy Mussolini utworzył na okupowanych przez Niemców terytoriach Włoch nowe państwo faszystowskie, Repubblica Sociale Italiana (Republikę Salò), „Czarny Książę” dowodził sześcioma tysiącami żołnierzy skupionych w X Flotylli (lądowej), zwalczając bezwzględnie wszelkich partyzantów, zwłaszcza komunistycznych[9].

Dowódcą płetwonurków Skorzenego został Hauptsturmführer Otto Wimmel, który dla Friedenthaler Jagdverbände porzucił dywizję „Brandenburg”. „Był to oficer naprawdę niesłychanej odwagi i zimnej krwi” – określił go Skorzeny. W latach 1940–1941 dowodził niewielkim oddziałem w strefie Gibraltaru. Zatopił wtedy kilka okrętów brytyjskich, a z pomocą robotników hiszpańskich udało mu się podłożyć w podziemiach – w których znajdowały się magazyny z bronią – potężną bombę z opóźnionym zapłonem. Została ukryta w metalowej obudowie, podobnej do pocisku jednego z wielkich angielskich dział artyleryjskich. Jej eksplozja pociągnęłaby za sobą wybuch tysięcy pocisków dużego kalibru, z opłakanym skutkiem dla całej twierdzy gibraltarskiej. Wimmelowi nigdy nie dane było dowiedzieć się, dlaczego ładunek nie eksplodował. Podobno w ostatniej chwili zdradził jeden z robotników pomagających w jego transporcie.

Wśród jednostek Friedenthaler Jagdverbände znalazło się również „Jagdkommando Donau”, dowodzone przez Untersturmführera Kurta Steinera, które od jesieni 1944 roku prowadziło w Rumunii odważną partyzantkę rzeczną. Przepływający przez Wiedeń Dunaj ma 400 metrów szerokości. W Budapeszcie – już 950 metrów, a przy rumuńskich „Żelaznych Wrotach”[10] osiąga aż półtora kilometra. Tam właśnie, w licznych odgałęzieniach rzeki, żołnierze Skorzenego ukrywali za dnia swoje łodzie bojowe.

„Operacja na Dunaju miała kryptonim «Forelle» (Pstrąg) – zanotował Skorzeny. – Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie byłem dumny z obrony tej starej rzeki, nad którą jako dziecko spędziłem wiele szczęśliwych dni”.

Armia Czerwona była już w Rumunii, oni zaś atakowali często jej konwoje z zaopatrzeniem. Nurkowie czynili wszystko, co możliwe, używali motorówek wypełnionych materiałami wybuchowymi oraz pływających min. Cenne dla nieprzyjaciela barki-cysterny zatapiała także zamaskowana niemiecka flotylla prywatnych jachtów uzbrojonych w działka kalibru 20 mm oraz karabiny maszynowe i wyposażona w improwizowane opancerzenie oraz podrasowane silniki. Podczas całej operacji „Forelle” „Jagdkommando Donau” zatopiło statki o łącznej pojemności trzynastu tysięcy BRT.

Jedno i drugie komando ćwiczyło na pobliskim kanale Odra–Hawela. Wszyscy kursanci poznawali szyfry, materiały wybuchowe, zasady operowania sztyletem i trucizną. Musieli nauczyć się rozbierać i składać z zamkniętymi oczami brytyjskie, amerykańskie i rosyjskie karabiny oraz pistolety.

Część przeznaczonej dla dywersantów amunicji chroniono w specjalnych żelaznych skrzyniach, oznaczonych trupią czaszką. Przysyłano ją z utajnionego techniczno-eksperymentalnego oddziału Waffen-SS, pracującego w pobliskim obozie w Sachsenhausen. Były to pociski zatrute.

Skorzeny, który pełnił również obowiązki szefa zaopatrzenia, przeprowadzał z tą amunicją eksperymenty na więźniach, o czym – zapewne przez roztargnienie – zapomniał wspomnieć w swoich pamiętnikach. W tych odrażających czynnościach uczestniczył niejaki Heinz Baumkätter, naczelny lekarz SS obozu, bezpośrednio odpowiedzialny za ogrom zbrodni. Do jego obowiązków należało asystowanie i czuwanie nad należytym przebiegiem wszelkich egzekucji (rozstrzeliwanie, wieszanie i trucie gazem) oraz nad wykonywaniem kary chłosty. Dodatkowo znęcał się nad więźniami, nakazując im po każdorazowym chłostaniu dokonywać przysiadów i skoków. Przeprowadzał także selekcje niezdolnych do pracy więźniów, przeznaczając ich na śmierć, oraz dokonywał różnych medycznych pseudoeksperymentów[11].

Do doświadczeń z zatrutą amunicją sprowadzano głównie więźniów polskich i rosyjskich. Wyprowadzano ich na strzelnicę, gdzie kazano im kłaść się na ziemię, a następnie strzelano do nich. Nie tak jednak, żeby zabić, lecz aby tylko zranić. Po kilku minutach od chwili trafienia nieszczęśnicy doznawali konwulsji, umierając w potwornych męczarniach. *Herr* doktor podchodził do ciał i jednym słowem konstatował: *Exitus!* Trupy poddawano następnie sekcji.

Z obozowego ośrodka specjalnego Skorzeny otrzymał jeszcze jedną rzecz, stanowiącą obowiązkowe wyposażenie dywersantów – odpowiednio spreparowane dawki cyjanku potasu wręczane każdemu wyruszającemu do działania żołnierzowi. Zgodnie z tajną instrukcją Himmlera żaden szpieg czy dywersant z wywiadu SS nie miał prawa wpaść w ręce wroga. Jego obowiązkiem było natychmiastowe samobójstwo, właśnie przy pomocy stale noszonej przy sobie trucizny.

Jak dowodzi dalsza historia, ludzie wyruszający na sabotaż z błogosławieństwem Skorzenego niezbyt kwapili się na tamten świat. Sam Skorzeny, kiedy dostał się do niewoli w 1945 roku, także nie skorzystał z kapsułki z cyjankiem. Heinrich Himmler natomiast podobno połknął truciznę w czasie próby przesłuchania go przez Brytyjczyków 23 maja 1945 roku.

Podobno, ponieważ wcale nie jest to pewne. Dokumenty z sekcji zwłok szefa Gestapo i SS zostały utajnione na okres stu lat, aż do roku 2045. Nie ma więc niepodważalnych dowodów na to, iż Himmler rzeczywiście popełnił samobójstwo i jakie były losy jego ciała. Historycy ustalili, iż marszałek Bernard Law Montgomery rozkazał pochować zwłoki Himmlera w potajemnym miejscu (najprawdopodobniej w lesie nieopodal Lüneburga), bez nagrobka. Żadnej z osób najbliższych Himmlerowi, w tym bratu Gebhardowi i kochance Hedwig Potthast, którzy przybyli do Lüneburga, nie pokazano zwłok, chociaż się tego domagali. Lekarz dokonujący sekcji przyznał, że na twarzy nie było blizny, jaką autentyczny Himmler miał po ranie otrzymanej w pojedynku na szpady w 1921 roku. W raporcie kapitana M.C. Bonda, który dokonał oględzin ciała tuż po samobójstwie, nie ma też

wzmianki o bliźnie, jaką Himmler miał na prawym ramieniu – śladzie po ranie zadanej przez pocisk, który trafił go przypadkowo w czasie zamachu na Hitlera w Scharfheide 20 czerwca 1943 roku.

Istnieją uzasadnione podejrzenia, że Heinrich Himmler został „uciszony na zawsze", aby Amerykanie nie dowiedzieli się, że rząd brytyjski prowadził tajne negocjacje z Niemcami, dotyczące zawarcia separatystycznego pokoju. (Podczas tajnej konferencji w Casablance w 1943 roku Roosevelt i Churchill zobowiązali się do prowadzenia wojny aż do bezwarunkowej kapitulacji Niemiec).

*

Aby dobrze wyposażyć swoich ludzi, Skorzeny potrzebował pieniędzy. Dużo pieniędzy. Jednakże w opisywanym czasie, trzecim i czwartym roku wojny, finansowe zasoby III Rzeszy znajdowały się w opłakanym stanie. Bank nie posiadał prawie rezerw walutowych, a istniejące jeszcze resztki zużywano przede wszystkim na sprowadzanie ważnych strategicznych surowców z niektórych państw neutralnych albo ze… Stanów Zjednoczonych. Już po wojnie okazało się bowiem, że niektóre metale, jak molibden czy wolfram, docierały do Niemiec z Ameryki *via* Portugalia bądź Hiszpania. Taki „niewinny" eksport pośredni…

Wyjście znalazła jak zwykle pełna szatańskich pomysłów Służba Bezpieczeństwa Rzeszy. Specjaliści z SS razem z kierownictwem Reichsbanku opracowali plan masowej produkcji fałszywych pieniędzy.

Zakładano, że za pomocą masowego zarzucania państw zachodnich doskonałymi, trudnymi do wykrycia falsyfikatami można będzie osiągnąć kilka zasadniczych celów. Przede wszystkim podratować puste kasy walutowe, a dzięki posiadanym pieniądzom kontynuować na innych kontynentach zakupy surowców potrzebnych do produkcji broni. Przecież doświadczenie w tej sprawie miał nie kto inny, jak sam prezydent hitlerowskiego Reichsbanku Hjalmar Schacht. To on wiele lat wcześniej,

podczas I wojny światowej, kupował w Belgii znaczne ilości różnych towarów za fałszywe banknoty.

Ponadto możliwość rzucenia na rynek przeciwnika ogromnych ilości pieniędzy mogła znacznie poderwać cały jego system ekonomiczny i międzynarodowy autorytet, zdestabilizować gospodarkę, nie mówiąc o utracie zaufania społeczeństwa do pieniądza.

Wreszcie, posiadanie wielkich kwot pieniędzy innych państw umożliwiało tajne finansowanie istniejących w nich V kolumn, określonych środowisk pronazistowskich, sympatyzujących z III Rzeszą lub skrycie im pomagających. Tego rodzaju posunięcia nie były obce ówczesnym władcom w Berlinie. Już w 1918 roku na terenie Rosji pojawiły się w rękach kontrrewolucjonistów ogromne ilości fałszywych rubli drukowanych w berlińskiej tajnej drukarni. Podczas wojny domowej w Rosji walutę przeciwnika fałszowały zresztą obydwie walczące strony.

Pomysł nie był ani nowy, ani oryginalny. Już w XIX stuleciu brytyjski premier William Pitt opracował skierowany przeciwko rewolucji francuskiej plan, którego celem było doprowadzenie do inflacji i zniszczenia gospodarki republikanów. W 1810 roku Francuzi fałszowali w państwowych mennicach rosyjskie ruble, chcąc zdestabilizować ekonomię Moskwy przed planowaną inwazją. Ofiarą wojny ekonomicznej padła swego czasu także Polska. Król pruski Fryderyk II Wielki po zajęciu Śląska rozkazał bić fałszywe polskie monety. Wwożone do naszego kraju w ogromnych ilościach, przyczyniły się do dewastacji gospodarki. Tak więc decyzja o produkcji pieniędzy w pełni odpowiadała zasadom wojny totalnej, jaką ustami Goebbelsa głosił Hitler.

Na pierwszy ogień miała pójść Wielka Brytania. „Żeby prowadzić skutecznie wojnę, potrzebne są trzy rzeczy – powiedział już przed dwustu laty cesarz Napoleon Bonaparte. – Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze”. W czasie II wojny światowej przywódcy nazistowskich Niemiec doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że zwycięstwa nie zapewnią im tylko żołnierze. Wiedzieli, iż prowadzona przez nich zbrojna konfrontacja jest jednocześnie – a właściwie przede wszystkim – walką

o przemysł, surowce i pieniądze. O ewentualnym sukcesie zadecydować miała wydolność gospodarki biorących udział w wojnie państw. Zmasowany atak na gospodarkę przeciwnika stał się więc jednym z najważniejszych strategicznych celów. Anglia była przeciwnikiem szczególnie niebezpiecznym, jej gospodarka stanowiła bowiem finansowe centrum światowego handlu, a wysoka pozycja funta dawała Wielkiej Brytanii dogodne warunki finansowania jej działań strategicznych. To właśnie owa waluta, wyjątkowo mocna, stabilna i godna zaufania, była filarem brytyjskiego imperium. Hitlerowscy specjaliści od początku więc łamali sobie głowę nad możliwością wywołania w Wielkiej Brytanii sztucznej inflacji poprzez wprowadzenie do obiegu na ogromną skalę fałszywych funtów i złamanie w ten sposób wroga ekonomicznie.

Prowadzona w ścisłej tajemnicy operacja nigdy zapewne nie wyszłaby na jaw, gdyby nie pewien amerykański sierżant, który pod koniec maja 1945 roku, wypiwszy kilka głębszych, postanowił zabawić się, wrzucając granaty do jeziora Ebensee w zachodniej Austrii. Osiągnięty efekt przekroczył jego najśmielsze oczekiwania. Oto na powierzchni wody pojawiło się tysiące pływających banknotów funtowych. W krótkim czasie sierżant, który błyskawicznie wytrzeźwiał, wyłowił z jeziora za pomocą łodzi i rybackiej sieci całkiem niemały majątek.

Eksploatowanie „wodnej żyły złota” i dostarczanie większych ilości brytyjskiej waluty na czarny rynek nie umknęło jednak uwagi agentów amerykańskiej służby wywiadowczej CIC, kwaterujących w pobliskim Altaussee. „Klondike” na powierzchni jeziora Ebensee zostało otoczone kordonem wojska, które przejęło dotychczasowe funkcje prywatnej dwuosobowej spółki sierżant – rybak.

Wyłowione szczątki skrzyń, które – jak się okazało – spływały do jeziora rzeką Traum, poddano pieczołowitym badaniom. Jeden z oficerów CIC przypomniał sobie wówczas, że widział już gdzieś skrzynie wykonane z podobnego materiału. Rozpoczęły się gwałtowne poszukiwania…

Po kilku dniach doprowadziły one do odnalezienia ciężarówki stojącej sobie spokojnie w wielkim parku w Altaussee, mieszczącym setki

zdobycznych pojazdów po dawnym Wehrmachcie. Na platformie samochodu znajdowały się dwadzieścia trzy skrzynie, w których poukładanych równiutko spoczywało… dwadzieścia jeden milionów funtów szterlingów.

Dokonane odkrycie spowodowało zjechanie się na miejsce kilku wybitnych alianckich ekspertów od fałszerstw. Z głównej kwatery armii amerykańskiej przybył George McNally, z Bank of England – Harry Resves i trzech wysokich funkcjonariuszy działu fałszerstw Scotland Yardu. Prowadzone bardzo intensywnie śledztwo doprowadziło do ujawnienia wszystkich szczegółów i rozmiarów tej największej w dziejach świata fałszerskiej operacji.

*

Jej pomysłodawcą był podobno znany hitlerowski zbir, mistrz wszelkiego rodzaju dywersji, Obersturmbannführer Alfred Naujocks, mający za sobą piękną i godną najlepszego esesmana przeszłość. Urodzony w roku 1912 w Kilonii, z zawodu inżynier, do SS wstąpił jeszcze w okresie walki Hitlera o władzę, zyskując niemałą sławę w ulicznych bójkach i awanturach. Podczas jednej z nich jakiś przeciwnik polityczny złamał mu i spłaszczył zupełnie żelaznym drągiem narząd powonienia.

Jesienią 1939 roku Naujocks wraz z późniejszym szefem VI Oddziału Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Walterem Schellenbergiem, opracowali i przeprowadzili operację „Venlo” – uprowadzenie z terenu Holandii dwóch oficerów angielskiego wywiadu, co miało udowodnić całemu światu, że przeprowadzony 8 listopada w Bürgerbraukeller w Monachium zamach bombowy na Hitlera, zaaranżowany do celów propagandowych przez tajną policję niemiecką, był w rzeczywistości dziełem brytyjskich służb specjalnych.

31 sierpnia tego roku Naujocks zorganizował operację „Himmler”, prowokacyjną akcję „napadu” przebranych w polskie mundury kryminalistów na niemiecką radiostację w Gliwicach, co posłużyło jako

pretekst do rozpoczęcia wojny z Polską. Wszystkich biorących udział w akcji odznaczono wtedy Żelaznym Krzyżem. Wszystkich oprócz Naujocksa. Szef RSHA Reinhard Heydrich niechętnym okiem patrzył na człowieka, który być może był jeszcze bardziej podły niż on sam. Chcąc zasłużyć się kierownictwu, dzielny Obersturmbannführer miał w zanadrzu jeszcze sporo dobrych pomysłów, między innymi właśnie ten z fałszywymi funtami.

Alfred Naujocks objął tymczasem stanowisko kierownika sekcji F w VI Oddziale RSHA. Jej głównym zadaniem było wykonywanie fałszywych dokumentów, od praw jazdy poprzez paszporty aż do dyplomów doktora habilitowanego włącznie. Mieszczące się w Berlinie przy Delbrückstrasse laboratoria zaopatrzone zostały w najwyższej jakości urządzenia techniczne, a do pracy przy nich oddelegowano najlepszych fachowców. Wkrótce udało się sekcji F wykonać sfałszowane paszporty nieomal wszystkich krajów świata oprócz szwedzkich i szwajcarskich. Kierownikiem pracowni był zastępca Naujocksa, Hauptsturmführer Bernhard Krüger (ur. w 1904 roku). Operacja otrzymała kryptonim „Andreas”, a do roboty zatrudniono wyciągniętych głównie z więzień i obozów najwybitniejszych niemieckich fałszerzy.

Chociaż w obiegu znalazła się pewna liczba wyprodukowanych falsyfikatów, operację odwołano, tym bardziej że część wyprodukowanych w jej ramach funtów została zdemaskowana. Teraz banki o wiele uważniej przyglądały się będącym w obiegu banknotom. Zanim jeszcze operacja została zakończona, Naujocks wypadł zupełnie z łask szefa i został przez Heydricha odstawiony na boczny tor.

W 1942 roku sprawą zainteresował się ponownie Heinrich Himmler, szef SS. Bezpośrednie kierowanie przedsięwzięciem powierzono Krügerowi, od którego imienia cała operacja przyjęła kryptonim „Bernhard”. Główny Urząd Administracyjno-Gospodarczy SS, któremu podlegały obozy koncentracyjne, wydał tajną dyrektywę, nakazującą poszczególnym komendantom wyszukanie żydowskich więźniów mających wykształcenie

w użytecznych dla zadania profesjach. Mieli to być drukarze, graficy, specjaliści w zakresie papiernictwa, fotografii itp.

Spośród setek kandydatów wybrano najbardziej kompetentnych, których umieszczono w bloku nr 19 obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, umiejscowionego o rzut beretem od Friedenthal. Dostali dodatkowe racje żywności i specjalne przywileje, mogli nawet grać w ping-ponga. Za drutami obozu drukowali banknoty, które naziści wprowadzać mieli do obiegu. Do dyspozycji otrzymali nowoczesny sprzęt drukarski, laboratorium fotograficzne i wszystko, czego można potrzebować do przeprowadzenia największej operacji fałszerskiej w dziejach. W nagrodę za odniesienie sukcesu mogli liczyć na pozostanie przy życiu. Oczywiście dopóki będzie trwała akcja. Liczba etatów w „mennicy" w Sachsenhausen powiększyła się szybko z czterdziestu do stu czterdziestu.

Prace wykonywano w dwóch barakach w obozie odgrodzonych od reszty trzema rzędami zasieków z drutu kolczastego pod napięciem. Teren chronił liczny zastęp strażników z SS. Proces podzielono na pięć sekcji, a każdą z nich nadzorował inny żydowski więzień: drukowanie, introligatornia, fotografia, fototypia i rytownictwo.

Zadaniem wykonania idealnych kopii banknotów został obarczony fotograf z Żywca Wilhelm Brasse. Jego rodzina pracowała przed wojną u Habsburgów, on sam zaś jako dorosły już mężczyzna prowadził zakład fotograficzny w Katowicach przy ulicy 3 Maja. Do pomocy otrzymał malarza i rysownika obozowego rodem z czeskiej Opawy, Leona Haasa, który po ukończeniu niemieckiej akademii sztuk pięknych pracował w Berlinie w pracowni graficznej, po czym wrócił do rodzinnego miasta. Zamknięty w obozie w Auschwitz, kreślił na zlecenie gestapowców sceny z doświadczeń doktora Josefa Mengele. Był niesamowicie dokładny, choć jego ręka nieraz zadrżała, a dłoń zaciskała się w pięść.

Niemieckim fachowcom udało się pokonać większość problemów technicznych. Uporali się ze składem farby i techniką samego drukowania, skomplikowanym systemem numeracji, informującym między innymi o dacie puszczenia w obieg, technologią tłoczenia, a także uzyskiwania

filigranu – znaku wodnego, służącego do zabezpieczania nominałów. Największe trudności jeszcze podczas akcji „Andreas” hitlerowscy fałszerze mieli z doborem odpowiedniego papieru. Próby wykorzystania lnu niemieckiego się nie powiodły. Len turecki, choć lepszy, także nie spełniał wymogów. Dopiero gdy Krüger wpadł na pomysł, by używane jako surowiec lniane szmaty najpierw wyprać, rezultat okazał się zadowalający.

*

Po wyprodukowaniu podróbek, które nie budziły wątpliwości najlepszych bankowców, pozostało nadanie im cech przebywania w obiegu, czyli mówiąc prościej – podniszczenie. Wielokrotnie zginane, brudzone przez więźniów, zostawały następnie spięte szpilkami, gdyż tak właśnie postępowali brytyjscy kasjerzy. Zapisywano na nich angielskie słowa i numery telefonów. Teraz dopiero fałszywki nie dało się odróżnić od brytyjskiego oryginału. Ale czy na pewno? Ich jakość przetestowano w wielce oryginalny sposób.

Osobą odpowiedzialną za sprawdzanie nazistowskich funtów był Fryderyk Paul Schwend, odbywający długoletni wyrok za oszustwa. Za wstawiennictwem Himmlera znalazł się na wolności i aktywnie włączył w operację „Bernhard”. Schwend wpadł na pomysł wysłania pewnego urzędnika hitlerowskiej administracji na urlop za granicę i zaopatrzenia go w większą ilość podrobionej waluty. Facet nazywał się Rudolf Rasch i o niczym naturalnie nie wiedział.

Kiedy tylko wsiadł w pociąg, Gestapo zawiadomiło straż graniczną tego kraju, że za chwilę wjedzie do nich Niemiec używający najprawdopodobniej fałszywych funtów. Rascha zatrzymano, a będące w jego posiadaniu pieniądze poddano skrupulatnej kontroli. Okazało się, że alarm był całkowicie fałszywy, waluta natomiast prawdziwa, a oburzonego takim potraktowaniem urzędnika trzeba było długo przepraszać. Rasch dobrze wypoczął i wydał wszystkie otrzymane funty, które bez jakichkolwiek wahań wszędzie chętnie przyjmowano.

W ten sposób powstało ponad sto trzydzieści dwa miliony fałszywych funtów szterlingów. Z tych wykonanych najlepiej korzystali agenci Trzeciej Rzeszy. Fałszywkami zapłacono chociażby Elyasowi Baznie, pseudonim „Cycero”, pracującemu jako lokaj brytyjskiego ambasadora w Ankarze, który dostarczył III Rzeszy ściśle tajne dokumenty dotyczące lądowania Sił Sprzymierzonych we Francji i otwarcia drugiego frontu na Zachodzie. Cała sprawa wydała się po wojnie, gdy Baznę zatrzymano za posiadanie podrobionych pieniędzy. (Istnieją podejrzenia, że była to prowokacja brytyjskich służb wywiadowczych. „Cycero” zmarł w Albanii na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. Dokumenty dotyczące jego sprawy nadal są objęte przez brytyjskie służby klauzulą tajności).

Tymi samymi pieniędzmi zostali również przekupieni włoscy strażnicy ministra spraw wewnętrznych, hrabiego Galeazzo Ciano, zięcia Mussoliniego. Hrabia, początkowo zwolennik sojuszu z hitlerowskimi Niemcami i ekspansji terytorialnej Włoch, w miarę upływu czasu opowiadał się za podpisaniem separatystycznego pokoju z aliantami. 25 lipca 1943 roku, podczas pamiętnego zebrania Wielkiej Rady Faszystowskiej, poparł przeciwników duce i głosował za jego usunięciem. Internowany przez rząd marszałka Badoglio, zdołał uciec przy pomocy hitlerowskich agentów i przedostać się do Niemiec. Tu został natychmiast aresztowany przez Gestapo w związku ze swoim udziałem w usunięciu Musssoliniego i próbami negocjacji z aliantami, co zostało uznane za wrogą działalność. Następnie, przekazany w ręce włoskich faszystów, stał się jednym z oskarżonych w pokazowym procesie w Weronie. Mimo wysiłków żony został skazany na karę śmierci za zdradę stanu i rozstrzelany.

Płatnik Urzędu VI RSHA wręczył pięć tysięcy tych funtów Karlowi Radlowi, kiedy chodziło o odnalezienie i uwolnienie duce. Za te banknoty pośrednicy Skorzenego kupowali od partyzantów Tito całe ciężarówki wypełnione bronią, amunicją i wyposażeniem, dostarczanymi im regularnie przez okręty podwodne oraz małe brytyjskie statki w zatoczkach wybrzeża adriatyckiego. Niemcy odbierali bezpośrednio dostawy, płacąc fałszywymi funtami, które zachwyceni partyzanci wymieniali na dinary. Handel trwał

całymi miesiącami, dopóki nie zwąchał go sztab Josipa Broza. W czasie jednej z dostaw wywiązała się walka i użyteczne, tanie dostawy się zakończyły.

Najmniej doskonałe banknoty planowano rozrzucić z samolotów nad Wielką Brytanią. Aby mieć stuprocentową pewność, że pieniądze podrobione są idealnie, Krüger zdecydował się na jeszcze jeden ostateczny test. Bank Państwowy w Niemczech przesłał pewną liczbę funtów z Sachsenhausen swym kolegom ze Szwajcarii z prośbą o sprawdzenie, czy nie są one przypadkiem fałszywe. W Bazylei banknoty dokładnie sprawdzono i stwierdzono, że niepokój przyjaciół z Deutsche Bank nie ma najmniejszego uzasadnienia: pieniądze są autentyczne.

Podziękowawszy szwajcarskim kolegom za uprzejmość, Niemcy zwrócili się do nich z jeszcze jedną prośbą, aby dla pewności przesłali banknoty do Londynu, do Bank of England, w celu uzyskania ostatecznej opinii. Szwajcarzy wprawdzie pieniędzy nie przesłali, lecz skierowali do Anglików zapytanie, czy emitowano tam banknoty o takich to a takich numerach, seriach i podpisach. Wkrótce nadeszła odpowiedź: Tak, emitowano i pieniądze są z pewnością oryginalne, jeśli nie różnią się tylko w jakikolwiek sposób od prawdziwych funtów szterlingów.

Wprowadzeniem do obiegu tak wielkich ilości gotówki zajął się posiadający rozległe koneksje w świecie międzynarodowych spekulantów Fryderyk Paul Schwend. Przy pomocy całej siatki współpracowników skupował wszystko, co tylko dało się kupić i przedstawiało jakąkolwiek bądź wartość: złoto, inne waluty, surowce strategiczne, samochody, dzieła sztuki, kosztowności… Spora ilość wyprodukowanych w Sachsenhausen podróbek trafiła na rynek w związku z aranżowanymi przez niego zakupami broni. Fałszywymi pieniędzmi opłacano niemieckich agentów, regulowano za granicą rachunki za penicylinę i materiały wybuchowe. Wysyłano je też do niemieckich ambasad w Norwegii, Danii, Hiszpanii, Portugalii lub Szwajcarii, gdzie wymieniano je na lokalne waluty. Zarówno Schwend, jak i jego agenci otrzymywali za swoją działalność wysoką prowizję, oczywiście w prawdziwej walucie.

Tak wielka liczba wprowadzonych do obiegu fałszywek nie mogła umknąć uwagi Banku Brytyjskiego. Większość z nich pozostawała wprawdzie poza Wyspami, jednak głównie banki szwajcarskie, do których trafiały podrobione banknoty, domagały się szczegółowych informacji o zabezpieczeniach brytyjskiej waluty. Angielski bank początkowo traktował te doniesienia z rezerwą, nie będąc bynajmniej skory do ujawniania sekretów własnych zabezpieczeń i nie chcąc wywoływać paniki. Wobec tego rodzaju postawy Brytyjczyków szwajcarscy bankierzy, obserwując zalew swojego rynku niepewnymi pieniędzmi, podjęli jedyną możliwą w tej sytuacji decyzję – przestali je przyjmować. Tym samym Niemcy osiągnęli swój cel. Brytyjska waluta stała się w wielu miejscach Europy podejrzana – wartość funta stopniowo malała, co godziło już w samo imperium.

Fałszywe funty długo krążyły po Europie, zaś Bank Brytyjski podejmował wiele starań, aby usunąć je z obiegu bez zbędnego rozgłosu. Z legalnego obiegu wycofano na przykład wszystkie banknoty pięciofuntowe, zastępując je banknotami z nowej serii. Jedynym gwarantowanym sposobem odróżnienia fałszywek od oryginałów było sprawdzenie znaku wodnego. W banknotach oryginalnych linia w dolnej części litery „N” w słowie „ENGLAND” była leciutko przesunięta. Ten „błąd” został skorygowany w wersji niemieckiej, gdzie linia ta biegła od samego środka dolnej części litery „N”. Ta różnica pozwoliła ustalić, że pod koniec wojny około 40 procent będących w obiegu angielskich banknotów o tym nominale było fałszywkami.

Jeszcze długo po wojnie rozmaite podróbki wypływały w niejednym miejscu w Europie, czasami nawet w sposób dosłowny. Odzyskano miliony funtów, ale większości fałszywek nie znaleziono. Najprawdopodobniej znaczna część tego, co pozostało, trafiła do bankowych depozytów w Szwajcarii. Po wojnie skorzystali z niej oficerowie SS i inni naziści, którzy uniknęli aresztowań i skazania za zbrodnie przeciw ludzkości popełnione w czasie wojny[12].

*

Skorzeny, dla którego posiadanie odpowiednich funduszy walutowych miało wielkie znaczenie, poznał już wcześniej Bernharda Krügera. Współpraca z nim podyktowana była potrzebą fabrykowania falsyfikatów przeróżnych dokumentów, tak potrzebnych w planowanej dywersyjnej robocie. Zanim jednak dowódcy Friedenthaler Jagdverbände pozwolono na wgląd w niektóre tajemnice Krügera, musiał złożyć na ręce szefa RSHA pisemne oświadczenie o zachowaniu w absolutnej tajemnicy wszystkiego, co będzie mu wiadome. Chodziło przecież o rzecz wielkiej wagi. Nie o pomysły rodzące się w jaskini SS na temat podboju i wyniszczenia narodów, lecz o sprawę obejmującą o wiele szerzy zakres: największą w dotychczasowej historii ludzkości aferę przygotowania miliardów fałszywych pieniędzy, jakimi obracał niemalże cały świat kapitalistyczny.

Któregoś dnia obaj panowie umówili się na spotkanie w kawiarni berlińskiego hotelu „Eden”, położonego w Charlottenburg-Wilmersdorf, w odległości zaledwie dwóch minut spacerem od słynnej ulicy handlowej Kurfürstendamm.

Skorzeny wysiadł z samochodu kilka przecznic przed miejscem, do którego zmierzał. Dzień był zimny i deszczowy, ale Otto lubił taką pogodę. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Mgła mieszała się z popiołem rozdmuchiwanym przez jesienny wiatr z ruin, które pozostały po nalotach alianckich samolotów. Pachniało wapnem i siarką.

Intensywne naloty na stolicę III Rzeszy rozpoczęły się 23 sierpnia 1943 roku. Brało w nich udział ponad półtora tysiąca samolotów RAF, a niemieckim myśliwcom udało się zestrzelić ledwie sto dwadzieścia sześć spośród nich. Na szczęście dla berlińczyków na początku września dowództwo brytyjskie wstrzymało naloty, choć było oczywiste, że bombowce uderzą ponownie późną jesienią, kiedy tylko noce staną się dłuższe.

Przeszedł przez Schlossplatz, wzdłuż lip, potem przez Brandenburger Tor – wspartą na sześciu doryckich kolumnach Bramę Brandenburską. Jej

budowę, zainspirowaną Propylejami z ateńskiego Akropolu, ukończono w 1791 roku. Wyznaczała granicę między historycznym centrum miasta na wschodzie a królewskim parkiem Tiergarten na zachodzie. Kiedyś tylko cesarzowi wolno było przechodzić przez główny prześwit. Bramę wieńczyła kwadryga – czterokonny rydwan powożony przez Wiktorię, boginię zwycięstwa.

Stamtąd droga prowadziła aż do Kolumny Zwycięstwa. Za nią skręcił w lewo, w Hofjaegerallee. Poszedł jeszcze dalej, przez Budapester Strasse, obok Kawiarni Romańskiej, w której przez całe noce przesiadywali niegdyś i dyskutowali Erich Kästner, Kurt Tucholsky i Mascha Kaléko. „Romanisches Café" (Kawiarnia Romańska) znajdowała się w najlepszej części Berlina, tak zwanym West Endzie przy Kurfürstendamm, niedaleko Kaiser-Wilhelm-Gedächtniskirche, dokładnie w miejscu, gdzie dziś stoi „Europa-Center". W pewnym sensie „Romanisches Café" zdetronizowała najpopularniejsze wśród berlińskiej bohemy końca epoki wilhelmińskiej „Café Monopol" przy Friedrichstrasse w Mitte, gdzie do stałych bywalców należeli między innymi Max Reinhardt i Alfred Kerr, oraz „Café des Westen". W tej chwili jednak, wśród morza czerwonych flag ze swastyką, czasy te wydawały się tak odległe jak potop.

W końcu, po kilku minutach szybkiego marszu, wokół Gedächniskirche dotarł do Kurfürstendamm i do szerokich schodów samego hotelu przy Uhlandstrasse 184. W kawiarni panował utworzony przez ciężkie pluszowe lambrekiny półmrok, rozświetlany przez kryształowe kinkiety.

– Ileż te wróble złego narobiły… – powiedział na jego widok Krüger.

Skorzeny uśmiechnął się tylko i zająwszy miejsce naprzeciwko rozmówcy, zamówił kawę. On też pamiętał dobrze słowa Hermanna Göringa, który zapewniał Hitlera, że bez jego zgody nawet wróbel nie przedostanie się nad Berlin. Od tego czasu minęły trzy lata, a skutki działania tych „wróbli" widać było na zewnątrz. Dowódca Luftwaffe uwielbiał przesadnie zachwalać potęgę lotnictwa III Rzeszy. „Będę się nazywał Meier, jeżeli nad Niemcami pojawi się chociaż jeden wrogi samolot" – powiedział również we wrześniu 1940 roku. Jak na ironię,

jeszcze w tym samym miesiącu bombowce RAF-u pojawiły się na berlińskim niebie… W momencie gdy przegrał bitwę o Anglię, popadł w niełaskę nawet u Hitlera.

– To dopiero początek zła – kontynuował Krüger. – Raporty wywiadowcze wykazują, że generał Harris przygotowuje plany wielkiej ofensywy powietrznej na stolicę.

Air Chef Marshal Arthur Harris był od lutego 1942 roku szefem brytyjskiego Dowództwa Lotnictwa Bombowego (Bomber Command). Ani jednak Krüger, ani Skorzeny nie zdawali sobie w tym momencie sprawy, że fala, która miała się rozpocząć 18 listopada, będzie trwała nieprzerwanie niemal przez wiele miesięcy, podczas których alianckie samoloty dokonają aż szesnastu zmasowanych nalotów.

Otto kiwnął lekko głową.

– Też o tym słyszałem. Ale damy radę.

– Pewnie, że damy. My, Niemcy. Ale nie wiem, jak ja dam radę.

– Co masz na myśli? – zainteresował się Skorzeny.

– Przez naloty tych skurwysynów całą moją pracę mogą wziąć diabli. Jak trafią w końcu w odpowiedni barak, to pozamiatane.

– Nie możesz schować się na czas nalotów do schronu?

– Ja mogę. Ale nie da się chować za każdym razem całego warsztatu grawerów pracujących nad kliszami i wszystkich maszyn, a potem znowu rozkładać, jak wytrzepany dywan.

– To przenieś część interesów do mnie.

– Do ciebie? To znaczy gdzie?

– No jak to gdzie, do Friedenthal – Skorzeny zapalił papierosa i spojrzał przez okno na zewnątrz. Krople deszczu wymieszane z unoszącą się z kominów sadzą opadały na ziemię jak czarne łzy.

– A tam to bomby niby nie spadają.

– A żebyś wiedział – uśmiechnął się szeroko Otto. – Ta część Berlina nie leży w polu zainteresowań angielskiego lotnictwa. Przecież tam nie ma nic ważnego.

– Nic ważnego, mówisz – zakpił Krüger. – Nie wiedziałem, że tak nisko cenisz przydzielone ci zadanie.

– Ja sobie cenię wysoko, ale Angole nie mają zielonego pojęcia, co tam wyrabiamy. I nie będą mieli, bo projekt jest otoczony najściślejszą tajemnicą.

Krüger zastanowił się chwilę.

– Wiesz, to może nie jest zły pomysł. Ale musiałbym wystąpić o zgodę przełożonych.

– No to występuj, zanim znowu zacznie się to całe piekło.

Obaj szefowie, od dywersantów i od fałszerzy, szybko doszli do porozumienia i otrzymali zgodę dowódców. W okolicy Friedenthal rzeczywiście nie było jeszcze czuć wojny. Można było spokojnie produkować na każde zawołanie, mając przy tym szybki i wygodny dojazd do centrum Berlina. Umożliwiało to również na miejscu, bez zbędnych podróży, wzajemną wymianę doświadczeń między poszczególnymi „gospodarstwami” Skorzenego i Krügera.

W taki oto sposób Otto Skorzeny znalazł się w głównym nurcie operacji „Bernhard”.

*

Zanim jednak obaj esesmani spotkali się w hotelu „Eden” i powzięli wyżej opisaną decyzję, Schellenberg znowu zaczął naciskać, żeby komandosi ruszyli jak najszybciej do akcji. Skorzeny zintensyfikował prace nad przygotowaniem operacji „Franz”, która była już w toku, kiedy objął dowództwo batalionu „Friedenthal”. Chodziło o wysłanie do Iranu doradców wojskowych i instruktorów z zadaniem zaangażowania do walki wojowników kaszgarskich i innych plemion górskich, które odłączyły się po wymuszonej abdykacji Rezy Szaha Pahlawiego.

Po wybuchu wojny Pahlawi zadeklarował neutralność, jednak Wielka Brytania uznała, że jego odmowa stacjonowania brytyjskich wojsk na terytorium Iranu jest wyrazem poparcia dla działań nazistowskich Niemiec.

Wielka Brytania i Związek Sowiecki zaatakowały więc Iran w obawie, że będzie on dostarczał nazistom ropę naftową. 16 września 1941 roku oba te kraje doprowadziły do abdykacji szacha na rzecz jego syna Mohammada Rezy Pahlawiego.

W opisywanym czasie oddziały sowieckie okupowały północ Iranu, jednocześnie kilka dywizji brytyjskich, posuwających się od Zatoki Perskiej, zajęło całe południe tego kraju. Irańskie koleje zaopatrywały Rosjan przez Abadan, Teheran i Tabriz, tak jak koleje Kaukazu przez Tbilisi lub Baku. Ani Sowieci, ani Brytyjczycy nie cieszyli się wśród tubylców sympatią. Żadni okupanci zazwyczaj nie cieszą się sympatią okupowanych. W grudniu 1942 roku wybuchły zamieszki, które nasiliły się jeszcze w lutym następnego roku. W obu przypadkach zastosowano krwawe represje.

Wymienione plemiona gotowe były prowadzić walkę partyzancką przeciwko alianckim kolumnom zaopatrzeniowym w zamian za prezenty od Niemców w postaci upragnionych karabinów i pałaszy. To mogło odciąć linie zaopatrzeniowe, którymi dostarczano do Związku Sowieckiego ważne surowce: ropę naftową, nikiel, mangan oraz angielskie i amerykańskie materiały wojenne. Pewnego dnia Skorzeny wezwał do siebie Radla.

– Słuchaj, Karl, weźmiesz z kasy pieniądze i pojedziesz do Berlina na zakupy.

– Zrobi się, Hauptsturmführer. Co mam kupić?

– Broń.

Podwładny spojrzał na swego dowódcę z niepokojem, czy ten aby nie zwariował. W ciężkich warunkach bojowych takie wypadki, owszem, zdarzały się. Ale żeby podczas wykonywania biurokratycznych w gruncie rzeczy zadań…

– O ile mi wiadomo, to… nie zaopatrujemy się w broń tą drogą… To znaczy, kupując ją w Berlinie… – zdołał w końcu wydukać.

– Tę broń można dostać tylko w Berlinie – wyjaśnił Otto. – Chodzi o stare karabiny i pałasze, koniecznie zdobione bogato srebrem i złotem.

– Stare karabiny?… Pałasze?…

– Tak, właśnie.

– Bogato zdobione srebrem?…

– Mogą też być kamienie szlachetne i inne tego rodzaju świecidełka.

– Kamienie szlachetne?… – Radl nie był pewien, czy dobrze słyszy. – I taką bronią mielibyśmy walczyć z… z…

– Nie my, na miłość boską! – zdenerwował się Skorzeny. – Nasi arabscy przyjaciele z operacji „Franz”. Tego właśnie zażądali i to musimy im dostarczyć.

– Aha! – odsapnął z wyraźną ulgą Radl. – Rozumiem.

Ale zaraz naszły go wątpliwości.

– Ale gdzie, do diabła, dostanę taki szmelc?

– Nie mam pojęcia. Spróbuj w antykwariatach i tego typu sklepach.

– A może mam obrabować jakieś muzeum?

– Nie, chyba raczej nie – zastanowił się Skorzeny. – To nie byłby dobry pomysł.

W okolice Teheranu zrzucono na spadochronach dwóch oficerów od Schellenberga wraz łącznikiem, autentycznym Persem. Użyto do tego Junkersa 290 z „Kampfgeshwander 200”, który wystartował z lotniska na Krymie.

„Kampfgeshwander 200” (KG 200), tajny pułk lotnictwa bombowego, był jednostką Luftwaffe przeznaczoną do zadań specjalnych – wywiadowczych i dywersyjnych. Tak tajną, że jego poszczególne ogniwa nic o sobie nie wiedziały. Do dzisiaj nie wiadomo, kto na szczeblach kierowniczych Sił Powietrznych III Rzeszy rzucił myśl utworzenia tej jednostki.

W drodze ostrej selekcji kadrowej skierowano do niej najbardziej doświadczony personel, elitę wybranych, którzy mieli za sobą lata służby i tysiące przelatanych godzin na pokładach różnych samolotów. Kadra tej jednostki mogła się składać wyłącznie z ludzi politycznie sprawdzonych, godnych zaufania i czynnie aprobujących program hitlerowskiej dyktatury, co – gwoli ścisłości – nie było czymś wyjątkowym. W całej Luftwaffe, od

początku rozwijanej pod patronatem partii „brunatnych koszul”, tylko dla takich otwierało się miejsce z perspektywą awansów i orderów.

W profilu zadań KG 200 mieściły się przede wszystkim tajne zlecenia wywiadu, początkowo Abwehry, a później – od lipca 1944 roku – RSHA. Na samolotach tego pułku przerzucani byli agenci i ich sprzęt, często do odległych punktów w krajach Europy i Afryki Północnej. Podejmowane były również próby ich ewakuacji drogą powietrzną, połączone z lądowaniem na terenach położonych w dużej odległości od linii frontu.

Inne zadanie KG 200 polegało na próbach nowych środków napadu powietrznego, pośpiesznie projektowanych i budowanych w drugiej połowie wojny. W nomenklaturze niemieckiej propagandy nosiły one nazwę „cudownych broni”, co miało wywołać wrażenie, że nie wszystko jeszcze jest stracone.

Pułk KG 200 był wreszcie jedynym w Luftwaffe dysponentem samolotów zdobycznych, w tym amerykańskich bombowców dalekiego zasięgu B-17 „Flying Fortress”, które po doznanych uszkodzeniach przymusowo lądowały na terenie Niemiec. Po przeprowadzeniu niezbędnych remontów służyły jako transportowce i były wykorzystywane przez załogi w tajnych wyprawach na głębokie zaplecze frontu. Pomysł zastosowania ich w zadaniach wywiadowczych zrodził się z inicjatywy pilotów, którzy w ten sposób chcieli zdezorientować naziemną obronę przeciwlotniczą, co w lotach nocnych nie było wykluczone.

Zrzutu dokonano ciemną nocą, w pobliżu dużego słonego jeziora, na południowy wschód od irańskiej stolicy. Nie zapomniano o zdobytych przez Radla strzelbach myśliwskich, pałaszach i pistoletach „Walther” z kolbami również inkrustowanymi srebrem i złotem dla perskich dowódców.

Po czternastu godzinach oczekiwania Skorzeny dowiedział się przez radio, że jego wysłannicy dotarli do celu. Dowiedział się również, że dowodzenie operacją „Franz” powierzono doktorowi Heinzowi Gräfemu, jednemu z wysokich funkcjonariuszy Urzędu IV RSHA. Dla ambitnego esesmana nie była to zapewne przyjemna wiadomość.

„Bez entuzjazmu przygotowywałem żołnierzy do wyjazdu w nieznane – czytamy w jego wspomnieniach. – Zawsze czułem się odpowiedzialny i muszę stwierdzić, że gdybym mógł przewidzieć wszystkie intrygi, podłości i szykany biurokracji, jakich doznałem podczas pierwszych miesięcy we Friedenthalu, z pewnością nie przyjąłbym zaproponowanego mi stanowiska.

W czasie operacji «Franz», której rezultaty można określić jako połowiczne, nie byliśmy niestety, na tyle dobrze wyposażeni, aby zapewnić żołnierzom konieczny sprzęt. Brakowało nam Junkersów 290 dalekiego zasięgu. Awaria jednego z tych samolotów uniemożliwiła kolejny zrzut siedmiu instruktorów wojskowych. I dobrze się stało, gdyż później dowiedzieliśmy się, że nasza centrala w Teheranie była «spalona». Tylko jednemu z agentów Schellenberga udało się zbiec i dotrzeć do Turcji, skąd nas ostrzegł. Wstrzymano zrzuty, a nasi wysłannicy pozostali wśród buntowników do końca wojny. Jeden z oficerów popełnił samobójstwo, aby nie wpaść w ręce Sowietów. Pojmani w czasie przedzierania się do Turcji, powrócili do Niemiec dopiero w 1948 roku.

Operacja «Franz» postawiła w stan gotowości bojowej kilka dywizji nieprzyjaciela. Rosjanie i Brytyjczycy obawiali się powszechnego powstania nieustannie buntujących się plemion perskich. Irańczyków walczących w oddziałach sowieckich ścigano bez litości”.

*

Skorzeny i Radl mieli niewiele czasu, by rozpamiętywać swoje daremne wysiłki. Wkrótce otrzymali nowy rozkaz od działającego z polecenia Himmlera Schellenberga. Szef SS zażyczył sobie ni mniej, ni więcej, tylko… podjęcia rajdu na miasto Magnitogorsk, leżące kilkaset kilometrów za Uralem. Ważne zakłady sowieckiego przemysłu zbrojeniowego mieściły się poza zasięgiem niemieckich bombowców, konstruowanych z myślą o wojnie błyskawicznej i atakowaniu nieprzyjaciela na froncie lub tuż za nim. Do celu mogłyby dolecieć z biedą czterosilnikowe samoloty Focke-

Wulf Fw 200 Condor, ale było ich niewiele, większość zaangażowana zresztą została w wojnę na Atlantyku.

Wielka i krwawa kampania 1941 roku nie doprowadziła do osiągnięcia przez Niemcy żadnego ze strategicznych celów, jakie sobie stawiali, wyruszając na podbój. Zadali Armii Czerwonej ogromne straty, lecz już na początku 1942 roku jej potęga zaczęła odżywać. Zniszczyli bądź zajęli tysiące zakładów przemysłowych wroga, ale w pierwszej połowie tego samego roku produkcja zbrojeniowa Związku Sowieckiego zaczęła bardzo szybko rosnąć. Nie udało się opanować żadnego z głównych sowieckich ośrodków przemysłowych: ani Moskwy, ani Leningradu, ani Stalingradu. Po pół roku zażartych walk zdobyli tylko przestrzeń. Tę straszną wschodnią przestrzeń z błotnistymi drogami, szerokimi – zbyt szerokimi – torami kolejowymi, wysadzonymi mostami i spalonymi polami.

A przed nimi było jeszcze więcej tej przestrzeni. Doszli do Kaukazu, pozostawiając za sobą potwornie długie linie komunikacyjne i wielkie obszary ziemi, na których zmuszeni byli zostawiać okupacyjne dywizje, gdyż ideologia nie pozwalała im na zawieranie sojuszy z podbitymi na wschodzie narodami, które witały niemieckich żołnierzy jako wyzwolicieli spod bolszewickiego terroru. Kiedy terror sowiecki przeistoczył się w terror niemiecki, narody te szybko wzięły stronę Rosjan i rozpoczęły zaciekłą walkę partyzancką, która dodatkowo wyczerpywała coraz wątlejsze niemieckie siły.

W tej sytuacji Himmler wpadł na pomysł, aby nowa jednostka komandosów Skorzenego wyłączyła z produkcji piece hutnicze Magnitogorska oraz „przy okazji” uszkodziła „jedną lub dwie” elektrownie, dostarczające energię do wielkich kombinatów metalurgicznych tego regionu.

Otto natychmiast zasiadł do pracy nad tym projektem, który ochrzczono kryptonimem „Ulm”. Szybko jednak odkrył, że choć samoloty zwiadowcze Luftwaffe dostarczyły liczne zdjęcia rejonu, to jednak niemiecki wywiad nie wie dosłownie nic ani o Magnitogorsku, ani o całym kompleksie przemysłowym Uralu.

– Przeprowadzenie tej operacji jest w takich warunkach niemożliwe – zwierzył się Radlowi. – Trzeba będzie zameldować o wszystkim Himmlerowi. Misja nie ma najmniejszych szans powodzenia.

– To nie jest chyba najlepszy pomysł – zastanowił się Radl.

– Co nie jest najlepszym pomysłem?

– Irytowanie najpotężniejszego człowieka w Europie. Przecież ta akcja to jego oczko w głowie.

– To co mam zrobić?

– Najlepiej pogadać z Schellenbergiem.

Ale gładki i cyniczny esesman też był przeciwny informowaniu Himmlera.

– Niech się pan z tym powstrzyma – poradził Skorzenemu. – I niech pan zechce wysłuchać pewnej rady, która wynika z doświadczenia.

– Słucham, Standartenführer.

– Im bardziej absurdalny pomysł przedkłada ci jakaś naprawdę ważna osoba, tym bardziej entuzjastycznie powinieneś go przyjąć – pouczył Skorzenego. – Niezwłocznie musi pan podjąć efektowne przygotowania i stale składać zapewnienia, że intensywnie pracuje nad projektem. Potem stopniowo, krok po kroku, można zacząć podsuwać sugestie, że pewne czynniki zewnętrzne mogą utrudnić osiągnięcie sukcesu, póki sam autor projektu nie zacznie analizować swojego początkowego entuzjazmu, a później dyskretnie wycofywać się z całej sprawy, by ostatecznie jak najszybciej o wszystkim zapomnieć. W ten sposób zdobędzie pan opinię człowieka, którego nikt nie powstrzyma i na którego zawsze można liczyć, tym bardziej że nie podejmując żadnych kroków, nie poniesie pan porażki.

Skorzeny przestał się dziwić, że w tak młodym wieku Walter Schellenberg zdołał zrobić tak błyskawiczną karierę i zająć tak wysokie stanowisko.

W ten sposób kolejne tygodnie upływały na narodzinach projektów, które nigdy nie miały być zrealizowane.

Tak było aż do 26 lipca 1943 roku. Tego dnia, korzystając z chwili wytchnienia, poszedł na obiad ze starym wiedeńskim przyjacielem do

hotelu „Eden”. Siedział właśnie z lampką koniaku w dłoni, gawędząc sobie miło, w cywilnym ubraniu, odprężony, myślami odbiegający daleko od wojny, kiedy przypomniał sobie, że musi się zameldować telefonicznie w kwaterze we Friedenthalu. Przeprosił przyjaciela, wstał niechętnie i ruszył przez hall do najbliższej budki telefonicznej.

Sekretarka jednostki była bliska histerii. Szukano go już prawie od godziny w całym Berlinie.

– Szefie, wzywają pana do Kwatery Głównej! – wykrzyczała niemal do słuchawki. – Samolot będzie czekał o piątej na lotnisku Tempelhof!

– Niech Radl uda się do mojego pokoju, zabierze mundur i podrzuci mi go na lotnisko – polecił zdziwiony. – Czy wiadomo kto mnie wzywa? – dodał jeszcze zaciekawiony.

– Podobno sam Führer chce się z panem widzieć.

Pędząc na berlińskie lotnisko, nie miał w tym momencie jeszcze zielonego pojęcia, że już niedługo weźmie udział w operacji „Eiche”.

Przypisy

1 17 maja 1945 roku Obergruppenführer Hans Jüttner został wzięty do niewoli przez siły brytyjskie. W 1948 roku skazano go na 10 lat pobytu w obozie pracy. W postępowaniu odwoławczym kara została obniżona do 4 lat. W roku 1961 zeznawał jako świadek na procesie Adolfa Eichmanna w Jerozolimie. W późniejszym czasie był właścicielem sanatorium w Bad Tölz, gdzie zmarł 24 maja 1965 roku.

2 Określenie „komandos” pochodzi od portugalskiego słowa *comando* (rozkaz). Swoje współczesne znaczenie wywodzi od burskich oddziałów konnych zwanych „kommando”, które wsławiły się walkami partyzanckimi z armią brytyjską podczas wojen burskich. Słowo to zostało następnie zaczerpnięte przez Brytyjczyków podczas II wojny światowej, którzy mianem Commando nazywali tworzone od 1940 roku

oddziały przeznaczone do działań na terenach okupowanych przez przeciwnika.

3 W 1943 roku skala powierzanych Dowództwu Operacji Połączonych działań zaczęła się zmniejszać. Przygotowania do inwazji Francji powierzono bowiem COSSAC, który przejął wielu specjalistów Operacji Połączonych. 27 października odszedł też lord Mountbatten, którego wyznaczono na dowódcę sił alianckich w południowo-wschodniej Azji. Dalsze istnienie organizacji stanęło pod znakiem zapytania. Ostatecznie zadecydowano o jej utrzymaniu. Kompetencje nowego Szefa Operacji Połączonych, którym został współtwórca formacji Commando generał major Robert Laycock, zostały jednak znacznie ograniczone. Laycock utracił miejsce w Komitecie Szefów Sztabu i został podporządkowany bezpośrednio jego członkom. Nadal odpowiadał za oddziały komandosów, operacje rajdowe (ich realizacja wymagała jednak konsultacji z COSSAC) oraz szkolenie i doradztwo w zakresie technik desantowych. Laycock kierował Dowództwem Operacji Połączonych aż do jego rozwiązania w 1947 roku.

4 Przymiotnik „specjalne” w nazwie SAS nie pojawił się tam przypadkowo. Od samego początku istnienia jednostka działała w ukryciu. Jej zadania obejmują między innymi wypady w głąb terytorium przeciwnika, zazwyczaj w celu zdobywania informacji, ale często także po to, by dokonać aktów sabotażu, eliminować terrorystów, uwalniać zakładników oraz sprawować opiekę nad bogatymi i wpływowymi ludźmi. Podobnie jak członkowie wszystkich elitarnych oddziałów, żołnierze i oficerowie SAS prowadzą spokojne życie we własnym środowisku, nie mogą rozmawiać o swojej pracy z nikim obcym, nie pozwalają się fotografować i w ogóle niezmiernie rzadko wychodzą z cienia. Dyrektor Sił Specjalnych podlega Dyrektorowi Operacji Wojskowych (zawsze w stopniu generała), ten z kolei szefowi Sztabu Generalnego (także generałowi, tyle tylko, że wyższemu rangą), Sztab Generalny zaś podlega ministrowi obrony.

5 W 1942 roku Die Rote Kapelle była największą na świecie organizacją szpiegowską, dysponującą ponad 400 radiostacjami w krajach europejskich i kilkudziesięcioma tysiącami czynnych agentów – także w takich krajach, jak Stany Zjednoczone, Kanada i Wielka Brytania. Brukselska struktura Czerwonej Orkiestry została rozpracowana w grudniu 1941 roku przez Abwehrę, która zlokalizowała jej nadajniki i aresztowała jej przywódców, między innymi Leopolda Treppera w listopadzie 1942 roku. W grudniu 1942 roku część kierownictwa siatki w Brukseli skazano na śmierć i stracono. W 1942 roku zlikwidowany został ośrodek w Paryżu, będący ówczesną centralą Rote Kapelle. Abwehra z początkiem 1943 roku zorganizowała prowokację wywiadowczą, do której pozyskano między innymi Treppera – siatka miała działać pod kontrolą niemieckiego wywiadu, dostarczając sowieckiemu GRU spreparowane i fałszywe informacje. W połowie 1943 roku GRU zorientował się jednak w podstępie i zerwał wszystkie kontakty z Czerwoną Orkiestrą, która wkrótce całkowicie przestała funkcjonować. Po upadku Canarisa, zlikwidowaniu wywiadu wojskowego (Abwehry) i powierzeniu jej obowiązków SD, Walter Schellenberg w końcu lipca 1944 roku stanął na czele tej instytucji, kierując tym samym całym wywiadem SS. Osiągnął też rangę SS-Brigadeführera (generała-majora), którą zachował do końca wojny.

6 Po zdymisjonowaniu Canarisa rola Abwehry została zmarginalizowana. Większość jej funkcji przejął Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA). W 1944 roku część „Brandenburczyków” trafiła do jednostek Skorzenego, a reszta do nowo formowanej Dywizji Grenadierów Pancernych „Brandenburg”, która weszła w skład Korpusu Pancernego „Grossdeutschland”. Wielu byłych „Brandenburczyków” zostało po wojnie przyjętych do brytyjskiego SAS, amerykańskich sił specjalnych czy francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Ciekawostką jest fakt, że podczas bitwy pod Dien Bien Phu większość francuskich legionistów stanowili byli żołnierze Waffen-SS i Wehrmachtu, w tym co najmniej kilku „Brandenburczyków”. Również Związek Sowiecki używał „Brandenburczyków” w swoich operacjach specjalnych. Inni wyjechali do

Afryki, Ameryki Południowej czy Azji. Za licznymi zamachami stanu, organizowanymi w nowo powstałych państwach afrykańskich, stali „Brandenburczycy”. Szefem służb specjalnych marksistowsko-islamskiego przywódcy Indonezji Ahmeda Sukarno był „Brandenburczyk”. Doradcami Mao Zedonga także byli oficerowie Dywizji „Brandenburg”, podobnie jak separatysty z Konga Moise’a Czombe. Wielu „Brandenburczyków” znajdowało się również w służbie w armii pierwszego prezydenta Egiptu Muhammada Nadżiba.

7 NSB – Nationaal Socialistische Beweging (Narodowy Ruch Socjalistyczny) działał pod przywództwem Antona Musserta. Głównie z NSB rekrutowali się ochotnicy walczący po stronie Rzeszy na froncie wschodnim. Dużą grupę członków NSB stanowili zresztą holenderscy Niemcy.

8 Produkcję pistoletów maszynowych MP 40 uruchomiono w 1940 roku. Nazywano je popularnie „Schmeisserami” – od nazwiska konstruktora Hugo Schmeissera (1884–1953), chociaż ten akurat pistolet został zaprojektowany przez Heinricha Vollmera. Poza zakładami wcześniej produkującymi MP 38, czyli Erfurter Maschinenfabrik B. Geipel GmbH i Waffen- und Fahrradfabrik C.G. Haenel, produkcję MP 40 uruchomiono także w austriackich zakładach Steyr (wcześniej produkujące MP 34).

9 Po ogłoszeniu zawieszenia broni z aliantami przez rząd Badoglio (8 września 1943 roku) mieszany zespół włosko-angielski zatopił w La Spezia ciężki krążownik „Bolzano” (22 czerwca 1944 roku) i poważnie uszkodził ciężki krążownik „Gorizia” (26 czerwca). Nocą z 19 na 20 kwietnia ten sam zespół unieruchomił za pomocą „żywej torpedy” przebudowywany lotniskowiec „Aquila”, co miało na celu niedopuszczenie do zablokowania przez Niemców portu w Genui.

10 Żelazne Wrota albo też Żelazna Brama (rum. *Porţile de Fier*) – przełomowy odcinek doliny Dunaju, oddzielający Karpaty i Góry Wschodnioserbskie. Stanowi granicę między Rumunią a Serbią. Dawniej żeglugę poprzez Żelazną Bramę utrudniały progi skalne, wysadzone w latach 1890–1896.

11 Aresztowany w 1945 roku przez Brytyjczyków Heinz Baumkätter, wydany został władzom sowieckim celem osądzenia. W procesie załogi Sachsenhausen przed sowieckim Trybunałem Wojskowym w Berlinie został skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Więziono go w ZSRS do 1955 roku, kiedy to został zwolniony na mocy ogłoszonej przez Nikitę Chruszczowa amnestii. Powrócił do Niemiec, gdzie jednak po pewnym czasie został ponownie aresztowany, tym razem przez władze RFN. Wkrótce stanął przed sądem w Münster, oskarżony o zbrodnie popełnione w Sachsenhausen, w tym uczestnictwo w masowej egzekucji 125 więźniów obozu w dniach 31 stycznia – 1 lutego 1945 roku oraz dokonanie selekcji przynajmniej 110 więźniów do komór gazowych w latach 1942–1945. 19 lutego 1962 roku został uznany za winnego i skazany na karę 8 lat pozbawienia wolności. Sąd uznał jednak, że Baumkätter odbył już karę więzienia w ZSRS i zwolnił go od obowiązku jej odbywania.

12 W czerwcu 1944 roku, wobec lądowania aliantów w Normandii, komando Krügera stanęło przed nowym wyzwaniem – sfałszowaniem amerykańskiego dolara. Zadanie nie było łatwe, ponieważ opracowanie technologii jego wykonania jawiło się jako robota na lata, a Niemcy tyle czasu nie mieli. Niesamowity Krüger odnalazł wtedy niejakiego Salomona Smolianoffa, rosyjskiego przestępcę wsławionego jeszcze przed wybuchem wojny wyprodukowaniem perfekcyjnie sfałszowanych studolarówek. Kiedy wybitny fachowiec pojawił się w bloku nr 19, prace nabrały odpowiedniego tempa. Wkrótce produkowane w Sachsenhausen dolary stały się na tyle zbliżone do oryginałów, że Reichsführer SS Heinrich Himmler nakazał wykonywać ich na sumę miliona dziennie. Wojna jednak zbliżała się do końca, nieprzyjacielskie wojska podchodziły z obydwu stron do Berlina. W tej sytuacji wydano rozkaz zaprzestania prac i ewakuacji ekipy do jednego z podobozów Mauthausen, położonego w rejonie Alp austriackich. Więźniowie zostali przeznaczeni do rozwałki, ale dzięki wstawiennictwu Krügera doczekali wyzwolenia. Operacja „Bernhard” – największe fałszerskie przedsięwzięcie w historii świata – została zakończona. Jej

główny bohater, Bernhard Krüger, został aresztowany przez Anglików i spędził dwa lata na wikcie Jego Królewskiej Mości. Na wolności znalazł się w roku 1948. Zamieszkał w RFN i pracował tam dla przedsiębiorstwa, które wcześniej dostarczało specjalny papier przeznaczony na użytek operacji „Bernhard”. Zmarł w roku 1989. Alfred Naujocks w 1944 roku poddał się Amerykanom. Składał zeznania podczas procesu norymberskiego, tłumacząc atak na radiostację w Gliwicach bezpośrednimi rozkazami Heydricha i Heinricha Müllera – szefa Gestapo. Po wojnie zajmował się różnymi biznesami w Hamburgu, opublikował też opowieść o swojej tajnej karierze pt. *Ten, który rozpoczął wojnę*. Bywał oskarżany o związki z organizacją ODESSA i przemycanie byłych zbrodniarzy do Ameryki Łacińskiej. Data jego śmierci nie jest pewna. Podobno był to 4 kwietnia 1960 roku, jednak niektórzy autorzy wskazują także na rok 1966 czy nawet 1968.

Rozdział 4

Teheran

Misja ratowania Mussoliniego – przez aliantów i przez rząd Badoglia traktowana oczywiście jako odbicie więźnia – szybko trafiła na listę najsłynniejszych tajnych operacji, jakie przeprowadzono w trakcie II wojny światowej. Zmęczony wojną świat słuchał o akcji z zaskoczeniem: niewielu miało pojęcie o rozległości makiawellicznych intryg, snutych latem 1943 roku przez państwa Osi.

Następnego dnia Niemcy podali wiadomość o uratowaniu duce w rzeczowym komunikacie, który podkreślał rolę Skorzenego i SS. W artykule przedrukowanym następnie w „New York Times” napisano:

„Członkowie zbrojnej gwardii SS i służb specjalnych z pomocą sił powietrznodesantowych przeprowadzili dziś operację uwolnienia duce. Misja się powiodła. Mussolini znajduje się na wolności, a przekazanie go aliantom, na które zgodził się rząd Badoglia, zostało udaremnione”.

Całość akcji w Gran Sasso nakręcał na taśmę filmową specjalny korespondent Waffen-SS. Było to potrzebne nie po to, aby pochwalić się przed Hitlerem, lecz dla Josepha Goebbelsa. Po obejrzeniu filmu minister propagandy III Rzeszy natychmiast pojął, jaka trafiła mu się gratka. Każda okazja do podnoszenia upadającego ducha wymęczonego wojną społeczeństwa była dobra. Wszystkie środki goebbelsowskiej propagandy otrzymały zadanie szerokiego przedstawienia „bohaterskiego czynu”. Prasa rozpoczęła przedrukowywanie artykułów opisujących „niesłychanie brawurową akcję”. Rysownicy dokonywali cudów, przedstawiając na

planszach i afiszach muskularne sylwetki niemieckich spadochroniarzy, pokonujących „morderczy ogień skalnej fortecy”.

Na najbardziej popularnym do dziś zdjęciu z Gran Sasso duce stoi przed hotelem, w za dużym na niego ciemnym płaszczu i czarnym filcowym kapeluszu, otoczony gromadą uśmiechniętych niemieckich żołnierzy. Na zmęczonej twarzy Mussoliniego maluje się blady uśmiech.

„Trudno byłoby wymienić jakieś inne wydarzenie podczas tej wojny, które wzbudziłoby tak silne emocje i tak wielkie zainteresowanie – zanotował Goebbels w swoim dzienniku. – Możemy świętować moralne zwycięstwo najwyższej próby”.

W rzeczywistości Skorzeny pokazał światu nowy sposób prowadzenia wojny. To, co Brytyjczycy próbowali bez powodzenia uczynić w roku 1941, kiedy wysłali grupę komandosów, by porwali lub zabili generała Rommla w jego kwaterze na Pustyni Zachodniej, Skorzeny dokonał z powodzeniem we Włoszech. Urozmaicił działania bojowe o takie gangsterskie metody jak morderstwa czy porwania. Okazało się, że akcje tego typu mogą być w określonych warunkach bardziej skuteczne niż działania całej armii. Podkreślił to nawet Winston Churchill, wygłaszając przed Izbą Gmin przemówienie, w którym stwierdził między innymi:

– To uderzenie było bardzo śmiałe, przeprowadzono je z wielkim impetem. Nie ulega wątpliwości, że we współczesnej wojnie takie akcje stwarzają zupełnie nowe możliwości.

Hitler był wniebowzięty. Uratowanie duce dodało ducha wyraźnie tracącym morale Niemcom. Co ważniejsze, w sierpniu zdołał wzmocnić niemieckie siły na Półwyspie Apenińskim, co umożliwiało obronę Rzeszy. Przynajmniej przez jakiś czas. Alan Bullock, autor książki *Hitler. Studium tyranii*, napisał:

„W połączeniu z okupacją większości terytorium Włoch i zatrzymaniem aliantów daleko na południe od Rzymu, przywrócenie władzy Mussoliniego mogło być przedstawione jako triumfalne zakończenie kryzysu, który latem [1943 roku] groził odsłonięciem południowych granic Rzeszy i wystawieniem ich na aliancki atak”.

Kontrolowane przez nazistów radio paryskie przepowiadało – nieco zbyt optymistycznie – że uwolniony duce otworzy drogę do odrodzenia faszyzmu we Włoszech:

„Mussolini jest wolny i może teraz znowu zapanować nad Włochami, prowadząc je w kierunku, od którego starał się je odwieść Badoglio. Jest wolny i może zemścić się za zhańbienie włoskiej flagi. Jest wreszcie wolny i może stanąć wraz ze swoją armią po stronie Europy. Włochy odzyskały przywódcę!”.

Japonia, dalekowschodni partner Osi, przekazała najszczersze gratulacje: „Na wieść o uratowaniu Mussoliniego cały naród japoński ogarnęła radość”.

*

A główny bohater tej historii, Otto Skorzeny? Jego wielka kariera dopiero się rozpoczynała, akcje mknęły w górę jak strzała teutońskiego wojownika. Obok Krzyża Rycerskiego, awansu i złotej odznaki honorowej pilota odebrał pochwały i wyrazy najwyższego uznania od całej plejady brunatnych władców. Szczęśliwy Mussolini obiecał mu order „Stu Muszkieterów”, lecz na obietnicy się skończyło, gdyż ordery były w Rzymie, a duce nigdy już tam nie zdołał powrócić. Nawet były dowódca Skorzenego, generał SS Paul Hausser, podlizał się robiącemu błyskawiczną karierę podwładnemu, przesyłając mu telegram z gratulacjami i… ukradziony w jakimś włoskim dworze sportowy biały kabriolet.

Po raz pierwszy Skorzeny na fali euforii propagandowej został przedstawiony szerokiemu ogółowi. Dotychczas nie był znany z racji wykonywanych funkcji szpiegowsko-dywersyjnych, jak również ze względu na… konkurencję. Jeszcze działał admirał Wilhelm Canaris, szef wywiadu wojskowego. Sztab wojsk lądowych starał się jak mógł, aby do uszu Führera docierały raczej wyczyny jemu podległych jednostek. Himmler dopiero robił wstępne przymiarki do pacyfikacji organów wywiadowczych armii, którą przyspieszył dokonany na Hitlera zamach.

Teraz Skorzeny szeroko uśmiechał się z ekranów kin, afiszy i rysunków w prasie. Na zebraniach hitlerowskich organizacji młodzieżowych oblekano postać „bohatera” w coraz bardziej zmyślone historyjki. Otrzymawszy błogosławieństwo Hitlera, kilka dni po akcji wystąpił w radiu, by oznajmić światu, że to właśnie on jest tym człowiekiem, który uratował duce.

„Akcja na Gran Sasso w oczywisty sposób zmieniła nieznanego kapitana Skorzenego w bohatera dnia – wspominał już po wojnie Sturmbannführer Wilhelm Hoettl, oficer służb specjalnych III Rzeszy, zastępca szefa Departamentu VI (zagranicznego) RSHA. – Jednak to, że jego sława rozbrzmiała tak szeroko i przetrwała tak długo, zawdzięcza doktorowi Goebbelsowi. Goebbels potrzebował pilnie jakiegoś niemieckiego sukcesu, którego mógłby użyć w celach propagandowych, a Skorzeny dostarczył mu niezwykle dramatycznego materiału”.

Jeszcze wiele lat później Otto uśmiechał się, wspominając swoje pierwsze spotkanie z ministrem propagandy. Miało ono miejsce podczas uroczystej ceremonii w wielkiej hali w Berlinie, gdzie zebrało się prawie tysiąc osób. Impreza była oczywiście filmowana i największe zmartwienie jej organizatorów stanowiło wyrównanie wzrostu obu bohaterów. Minister Goebbels miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, Skorzeny prawie dwa metry. Jak więc malutki minister miał mu zawiesić na szyi medal? W końcu znaleziono sprytne rozwiązanie. Goebbels zakończył swoje wystąpienie stojąc na podwyższeniu, a wtedy Skorzeny podszedł do niego i stanął o dobre pół metra niżej.

Nie wszyscy jednak byli w nastroju do świętowania. Podczas gdy Otto cieszył się swoją nową pozycją sławnej osobistości, generał Student i major Mors zgrzytali ze złości zębami. Ich zdaniem całkowicie niesłusznie czciło się Skorzenego i jego komandosów za to, co w rzeczywistości było operacją Luftwaffe, zaplanowaną od samego początku i wykonaną przez niemieckich lotników. Wiedzieli dobrze, że Skorzenemu i Radlowi udało się przejąć Mussoliniego i zgarnąć całą chwałę tylko dlatego, że niezgodnie z planem i wbrew rozkazowi wylądowali na Gran Sasso jako pierwsi.

„Mussolini nawet nie podziękował ani mnie, ani moim żołnierzom z jednostki powietrznodesantowej za ich rolę w operacji – skarżył się Kurt Student. – Wyglądało tak, jakby Skorzeny i jego esesmani sami wypełnili tę sensacyjną misję”.

Otto Harald Mors próbował złożyć oficjalną skargę, lecz Adolf Hitler pozostał głuchy na jego wyjaśnienia. Zdecydowanie bardziej wolał, żeby cały blask padał na Skorzenego i jego fanatycznie lojalnych esesmanów, członków jedynej organizacji, której Führer, jak sądził, mógł jeszcze ufać.

Aż do swojej śmierci w roku 2001 major Mors niestrudzenie bronił zasług Luftwaffe podczas akcji na Gran Sasso. W wywiadzie udzielonym w 1987 roku gazecie „Los Angeles Times” powiedział między innymi:

„To jednostka spadochronowa zaplanowała i przeprowadziła operację. Ale przez ponad czterdzieści lat całą chwałę przypisywano Skorzenemu. Jego wersja brzmi jak bajka […]. W rzeczywistości Skorzeny i jego komandosi polecieli jako pasażerowie; oddziałem dowodził Berlepsch”.

Mors twierdził, iż jego rolę w operacji przyćmił fakt, że pozostał w dolinie:

„Postanowiłem zostać z dwiema kompaniami, ponieważ gdyby coś się przydarzyło szybowcom, mógłbym nadal czuwać nad misją i zdecydować, co robić. Później niektórzy tego nie rozumieli, ale moim zadaniem było dowodzenie całą operacją, nie tylko jednym jej aspektem”.

Inny oficer z oddziałów powietrznodesantowych, Arnold von Roon, który jako major służył w sztabie generała Studenta, zgodził się, że kwestie polityczne zaciemniły prawdę o akcji: „Kiedy Hitler postanowił, że to Skorzeny i komandosi SS kierowali operacją, nie można było nic zrobić. Generał Student nie chciał spierać się z Göringiem o to, komu należą się pochwały. Nigdy nie protestował. Myślał, że problem rozsądzi historia […]. Skorzeny to była imponująca postać. Był olbrzymi, potężny, inteligentny, choć nie był intelektualistą. Umiał także czarować i potrafił być bardzo przekonujący. Ale po prostu to nie on zaplanował czy przeprowadził operację odbicia Mussoliniego. To wszystko”.

Nie pomniejszając zasług niemieckich sił powietrznych, niektórzy historycy wojskowości, jak chociażby William H. McRaven, akcentują jednak silnie znaczenie Skorzenego:

„Mors z pewnością odegrał istotną rolę zarówno w okresie planowania, jak i w wykonaniu misji – napisał w książce *Spec Ops: Case Studies in Special Operations Warfare: Theory and Practice*. – Jednak to Skorzeny przeprowadził rekonesans z powietrza, to Skorzeny pierwszy wylądował na Gran Sasso, to Skorzeny pilnował generała Solettiego i to on dotarł pierwszy do Mussoliniego. Nieważne, czy był tylko pasażerem, czy też stał za całą akcją. O jej powodzeniu ostatecznie zadecydowały dokonania Skorzenego, a nie Morsa".

Zadanie wytłumaczenia aliantom, w jaki sposób gruba ryba wymknęła się z sieci, spadło na Winstona Churchilla.

„Mieliśmy wszelkie powody sądzić, że Mussolini znajduje się pod silną strażą w bezpiecznym miejscu – powiedział 21 września przed Izbą Gmin. – Z pewnością interesem rządu Badoglia było nie dać mu uciec. Sam Mussolini podobno oświadczył, że jest przekonany, iż zostanie przekazany aliantom. Z pewnością taki był zamiar i tak by się stało, gdyby nie wydarzenia, które były całkowicie poza naszą kontrolą […]. Strażnicy dostali rozkazy, by w razie próby odbicia Mussoliniego zastrzelić go, lecz zawiedli, widząc spory oddział Niemców, którzy spadli na nich z nieba i na pewno obarczyliby ich odpowiedzialnością za zdrowie i bezpieczeństwo duce. To wszystko na ten temat".

Kiedy fala euforii minęła, Skorzeny powrócił do swojej „normalnej" pracy. Najważniejsze jednak było to, że odtąd mógł za zgodą Hitlera rekrutować do swojej jednostki najlepszych żołnierzy ze wszystkich formacji i frontów, gdzie tylko walczyli Niemcy.

*

Układ o zawieszeniu broni pomiędzy Francją a Niemcami podpisano 22 czerwca 1941 roku w Compiègne, w tym samym wagonie kolejowym,

w którym w listopadzie 1918 roku podpisano kapitulację Niemiec po I wojnie. Francja została podzielona na dwie strefy. Część północną kraju, liczącą ponad połowę terytorium, z całym wybrzeżem atlantyckim i głównymi ośrodkami przemysłowymi, okupowali Niemcy. Władzę nad południową częścią Francji zostawiono rządowi państwa francuskiego z sędziwym marszałkiem Philippe Pétainem na czele. Jego siedzibą było znane uzdrowisko Vichy. Zredukowano do stu tysięcy żołnierzy armię francuską, która miała odtąd wykonywać zadania wyłącznie policyjne. Ogromne rzesze Francuzów podjęły kolaborację z Niemcami.

Po kapitulacji Francji przedostał się do Anglii generał Charles de Gaulle. W przemówieniu radiowym wezwał Francuzów do dalszej walki przeciwko Niemcom. Wezwanie to nie spotkało się wówczas z szerszym odzewem w społeczeństwie.

W nocy z 7 na 8 listopada 1942 roku wojska brytyjskie i amerykańskie, działając w ramach operacji „Torch” (Pochodnia), dokonały desantu na francuskie porty Afryki Zachodniej i Północnej. Lądowanie sprzymierzonych w Casablance, Oranie i Algierze spotkało się z oporem oddziałów francuskich, wiernych rządowi w Vichy. Ich obrona załamała się jednak bardzo szybko. Po krótkotrwałych walkach oddziały te, na rozkaz admirała François Darlana, przeszły na stronę aliantów. Obawiając się, że alianci wykorzystają Afrykę jako bazę do inwazji na południową Francję, 14 listopada Niemcy zajęli nieokupowaną część Francji.

Na przełomie listopada i grudnia wojska niemieckie w Afryce znalazły się w potrzasku. Od wschodu wypierała je do Tunisu zwycięska pustynna ofensywa brytyjskiej 8. Armii generała Bernarda Montgomery’ego, od zachodu zaś blokowali Amerykanie. W maju 1943 roku resztki oddziałów niemieckich w Afryce poddały się sprzymierzonym. W styczniu 1943 roku odbyła się w Casablance polityczno-strategiczna konferencja Roosevelta z Churchillem.

Z Vichy tymczasem już od pewnego czasu napływały niepokojące Hitlera sygnały. Tamtejszy rząd marszałka Pétaina zdecydował się nawiązać stosunki z nowym rządem włoskim marszałka Pietro Badoglio, który

podpisał kapitulację z aliantami, odmówił zaś utrzymywania stosunków z faszystowskim rządem, jaki Mussolini utworzył w Saló. Wywiad niemiecki donosił ponadto, że Pétain zamierza usunąć ze swojego rządu Pierre'a Lavala, wielokrotnego ministra spraw zagranicznych i premiera rządu francuskiego w okresie międzywojennym, faszystę i zdecydowanego zwolennika sojuszu z Niemcami. Laval od samego początku był przeciwny przystępowaniu Francji do wojny z III Rzeszą. Od 10 lipca 1940 roku sprawował w rządzie Vichy stanowisko wicepremiera[1].

Tego rodzaju posunięcia jednoznacznie wskazywały na to, że Pétain ma zamiar zerwać współpracę z Niemcami. W październiku informacje wywiadowcze z Vichy stały się jeszcze bardziej alarmujące, pojawiły się mianowicie sygnały, że marszałek zamierza uciec do opanowanej przez aliantów Algierii. Dla Niemców taki obrót rzeczy byłby nadzwyczaj niekorzystny. Właśnie dopiero co utracili jednego sojusznika w basenie Morza Śródziemnego, a drugi szykował się pójść tą samą drogą. Przejście rządu Vichy na stronę aliantów mogło się stać zaraźliwym przykładem dla innych szefów satelickich rządów, jak Rumunia, Węgry czy Bułgaria. Ponadto w sytuacji, gdy alianci wylądowali na Półwyspie Apenińskim, przejście na ich stronę Francuzów mogłoby ułatwić inwazję na południową Francję.

Wszystko to razem spowodowało, że Hitler ponownie wezwał do siebie Skorzenego, polecając mu uprowadzenie starego marszałka.

Otto zabrał się do dzieła z właściwym mu rozmachem i precyzją. Pod koniec listopada zebrał kompanię batalionu „Friedenthal", w Paryżu dołożył do niej dwa bataliony z dywizji SS „Hohenstaufen" oraz dwa bataliony policyjne. Nie były to wprawdzie zbyt imponujące siły, liczyły w sumie około dwóch tysięcy ludzi, ale całkowicie wystarczały do opanowania małego Vichy. Policjanci stanęli na rogach ulic, udając, że kierują ruchem. Czekali tylko na sygnał z Paryża, w postaci hasła *Der Wolff bellt* (Wilk wyje). Słysząc je, mieli zablokować ulice, aby nikt nie mógł wyjechać z miasta. W tym samym czasie do działania miały przystąpić trzy

kompanie esesmanów, których zadaniem było otoczenie rządowych budynków.

„W Vichy marszałek Pétain mieszkał na trzecim piętrze w «Hôtel du Pare» – wspomina Skorzeny. – Jego ochrona osobista, którą widziałem kiedyś przy oddawaniu mu honorów, sprawiała dobre wrażenie. Było prawdopodobne, że w razie naszej akcji doszłoby do zaciętej walki. Najbardziej obawiałem się jednak o porę dnia, w której «wilk mógł zawyć». Miałem nadzieję, że nie dojdzie do tego w nocy […]. Muszę powiedzieć, że darzyłem najwyższym szacunkiem tego starego żołnierza, którego francuscy politycy wezwali na pomoc, gdy wszystko było już stracone. Miał wtedy 87 lat i ubrany w niebieskawy mundur trzymał się jeszcze prosto”.

Mijały dni, lecz żaden sygnał nie nadchodził, żaden wilk nie zawył. W końcu operacja została odwołana, a Skorzeny otrzymał zupełnie inne zadanie.

*

Jesienny poranek był chłodny, wietrzny i dżdżysty. Ciężkie, ołowiane chmury wisiały nisko, przepuszczając niewielką ilość światła. Okolice Wilczego Szańca sprawiały wrażenie dojmującego smutku i opuszczenia. Ogołocone z liści krzewy chwiały się żałośnie, miotane podmuchami ostrego wiatru. Zdążający do sali narad wysocy oficerowie podnosili kołnierze i przyspieszali kroku, broniąc się przed przenikliwym zimnem i wilgocią.

Sala narad, której ściany i sufit ozdobione były sosnową boazerią, sprawiała zaskakująco przyjemne wrażenie. Znajdowały się tam dwa stoły: jeden okrągły, z wazonem kwiatów na środku i kilkunastoma wyplatanymi z wikliny fotelami wokół, drugi podłużny, z rozłożoną mapą. Stojący przy nim mężczyźni omawiali sytuację na froncie. Szczerze mówiąc, nie wyglądała wesoło, ale nadrabiali minami.

Był w tym gronie Reichsführer SS Heinrich Himmler, minister propagandy Rzeszy Joseph Goebbels, feldmarszałkowie Karl Rudolf Gerd von Rundstedt, Günther Hans von Kluge i inni najwyżsi dowódcy. Erwin Rommel, „Lis pustyni”, wcale nie wyglądał lisio. Był to mały, niestrudzony człowiek o twarzy agresywnego chłopca: duży nos, usta w podkowę, podbródek z wgłębieniem pośrodku, poszarpana blizna na lewym policzku. Włosy miał obcięte tak krótko, że ani jeden nie wystawał spod obrzeża czapki.

Masywna postać Hermanna Göringa odziana była w zwykły biały mundur, na szyi tylko „Pour le Mérite”, niemiecki odpowiednik Krzyża Wiktorii, odznaczenie, które otrzymał w 1918 roku, latając na myśliwcach Albatros i trójpłatach Fokkera. Zrezygnował dziś z dziesiątków medali, które zwykle pokrywały jego szeroką pierś, a które stały się przyczyną licznych dowcipów w rodzaju, „że Hermann jest dla Rzeszy cenniejszy jako kupa złomu niż jako dowódca”.

Kiedy Hitler wszedł do pokoju, wszyscy stanęli na baczność. Mimo paskudnej pogody na zewnątrz, Führer był tego dnia wyraźnie w znakomitym humorze. Oczy mu błyszczały, a z ust nie znikał lekki uśmieszek.

– I cóż, panowie – klasnął w dłonie. – Co sądzicie o akcji, którą przeprowadził Hauptsturmführerer, przepraszam, Sturmbannführer Otto Skorzeny?

Ponieważ nikt jakoś nie kwapił się do odpowiedzi, Hitler wskazał na Himmlera:

– Co pan o tym sądzi, Herr Reichsführer?

24 sierpnia 1943 roku Himmler otrzymał nominację na ministra spraw wewnętrznych, co ostatecznie pozwoliło mu zrealizować jego wielkie marzenie – podporządkowanie SS całego aparatu policji. Wezwany „do tablicy” przez Hitlera zdjął srebrne binokle i czyszcząc starannie szkła, odparł:

– Całkowite zwycięstwo, mój wodzu. A cóż by innego? Uratował pan zręcznie sytuację, kiedy ten zdrajca Badoglio podpisał zawieszenie broni.

Führer przytaknął z poważną miną, po czym zwrócił się do Goebbelsa.

– A co ty na to, Joseph?

Ciemne, szalone oczy ministra propagandy płonęły entuzjazmem.

– Zgadzam się, wodzu. Uwolnienie duce odbiło się szerokim echem i u nas, i w innych krajach. Przyjaciele i wrogowie są równie pełni podziwu. Dzięki pańskiemu natchnionemu przywództwu możemy świętować pełne moralne zwycięstwo.

– Nie zawdzięczamy go jednak moim generałom! – Wódz spojrzał wyraźnie na feldmarszałka Günthera von Kluge, który stał wpatrzony w mapę, z lekkim, ironicznym uśmiechem na twarzy. – A pan, *Herr feldmarschall*? Czy pan także uważa, że to pełne moralne zwycięstwo?

Są chwile, kiedy opłaca się mówić prawdę, ale nie zawsze tak bywa. W przypadku Hitlera nigdy nie było łatwo zorientować się, co lepsze.

– Wodzu, włoska flota wojenna stoi teraz zakotwiczona pod działami fortecy na Malcie. Musieliśmy opuścić Korsykę i Sardynię. Mamy informację, że nasi dawni sojusznicy przygotowują się już, by walczyć po stronie wroga…

Hitler zbladł jak ściana, oczy mu zabłysły, a na brwiach pojawiły się krople potu. Von Kluge mówił jednak dalej:

– A jeśli chodzi o nową Socjalistyczną Republikę Włoską, którą proklamował duce… – w tym miejscu wzruszył ramionami. – Jak dotąd żaden neutralny kraj nie zgodził się ustanowić z nią stosunków dyplomatycznych, nawet Hiszpania. Z przykrością stwierdzam, wodzu, że moim zdaniem nie dojdzie do tego.

– Pańskim zdaniem?! – Hitler wybuchnął wściekłością. – Pańskim zdaniem! Jest pan równie dobry, jak moi generałowie. A co się dzieje, kiedy ich słucham? Wszędzie niepowodzenia. Duce jest wolny tylko dlatego, że to ja sam osobiście nalegałem na utworzenie jednostki do zadań specjalnych. Intuicja podpowiedziała mi, jak należy postąpić.

Goebbels wydawał się zaniepokojony. Himmler był opanowany i nieprzenikniony jak zwykle. Von Kluge nie dawał się jednak zbić z tropu.

– Nie miałem zamiaru pana krytykować, *Mein Führer*.

– Ale ja mam zamiar skrytykować pana – oświadczył zimno Hitler. – Porozmawiamy o tym później.

Zabrzmiało to jak groźba i tym w istocie było.

Podczas bitwy na Łuku Kurskim (5 lipca 1943) Günther Hans von Kluge dowodził Grupą Armii Środek, nacierającą na pozycje Armii Czerwonej od północy. Trzy dni po inwazji aliantów na Sycylię Hitler rozkazał von Klugemu przerwać bitwę pod Kurskiem. W ostatniej dekadzie września feldmarszałek wycofał wojska ze Smoleńska w obawie przed okrążeniem. W listopadzie 1943 roku został usunięty z zajmowanego stanowiska za krytykę decyzji Hitlera. 27 października miał wypadek samochodowy, na skutek którego trafił do szpitala. Oficjalnie podano, że ten fakt był powodem opuszczenia stanowiska dowódcy Grupy Armii Środek.

Hitler powiódł wzrokiem po obecnych. Z humoru, którym tryskał jeszcze przed chwilą, nic nie pozostało.

– Nic nie zdziałaliście! – wrzasnął. – Niczego od was nie dostałem! A mając takich ludzi i takie możliwości, powinienem od was dostać głowy Churchilla, Roosevelta i Stalina. Wszystkie trzy!

Zapanowała przez chwilę kompletna cisza.

– Czemu nie, wodzu – odezwał się w końcu Himmler. – Ostatecznie wszystko jest możliwe, choćby graniczyło z cudem. Udowodnił pan to, wydostając duce z Gran Sasso.

– Bardzo słusznie – Führer był znów opanowany. – A więc pokażcie, na co was stać.

Himmler był zdumiony.

– Wodzu, czy mam rozumieć…

– Angielscy komandosi zaatakowali kwaterę Rommla w Afryce – nie dał mu dokończyć Hitler. – Podobne jednostki wielokrotnie uderzały na wybrzeżu Francji. Czy mam uważać, że naszych niemieckich chłopców nie stać na tego typu wyczyny? – Poklepał Himmlera po ramieniu i dodał uprzejmie: – Niech pan się tym zajmie, Reichsführer. Niech pan ruszy sprawę z miejsca. Jestem przekonany, że coś pan wymyśli.

– Jak pan rozkaże, wodzu!

– Dobrze. Wiedziałem, że jak zawsze mogę na pana liczyć. A teraz, moi panowie, czas omówić sytuację we Włoszech.

*

Termin i miejsce zaplanowanego na koniec 1943 roku spotkania Wielkiej Trójki miały – oczywiście – stanowić ścisłą tajemnicę. Tej rangi wydarzenie trudno jednak było ukryć przed oczami ciekawskich i wkrótce wywiad niemiecki znał już wszystkie szczegóły. Zamach na Roosevelta, Churchilla i Stalina! Wszystkich trzech przywódców wielkiej koalicji! To było coś, co mogło zadowolić Adolfa Hitlera! Rozpoczęły się przygotowania do operacji „Weitsprung” – Długi skok. Opracowanie planu zamachu na uczestników konferencji w Teheranie powierzono Otto Skorzenemu. Wszystkie mocarstwa uważały w tym czasie Iran za kraj strategicznie istotny. Londyn i Moskwa toczyły tu zadawnioną rywalizację, a do nieufnej współpracy pchnęła ich III Rzesza, włączając się do gry wywiadów w Iranie za cichym poparciem proniemieckiego szacha.

Operacja „Weitsprung” obrosła w literaturze w rozmaite legendy, wypaczające kompletnie rzeczywisty przebieg wypadków. Sam Skorzeny w swych wspomnieniach był na jej temat niezwykle wstrzemięźliwy, poświęcając temu – było nie było ważnemu – wydarzeniu zaledwie dwie strony.

Pierwszym problemem, który musiał rozwiązać, to jak w ogóle dotrzeć do Teheranu. Jego komandosi, gdyby wystartowali z któregoś z lotnisk położonych na zajętych terenach Związku Sowieckiego, mogli tam dolecieć tylko na pokładzie samolotów dalekiego zasięgu.

W grę wchodził czterosilnikowy ciężki bombowiec Heinkel He 177 Greif, ale była to jedna z najbardziej nieudanych maszyn, jakie wyprodukowano podczas całej II wojny światowej. Największą jej wadą był sposób ustawienia silników, jeden za drugim w ten sposób, że każda para napędzała jedno śmigło. Prowadzenie tego samolotu wymagało od pilota niesamowitej wprawy, a powtarzające się jedna za drugą usterki

układu olejowego powodowały częste pożary. Zawodziło podwozie i w ogóle cała konstrukcja kadłuba była bardzo słaba. W rezultacie pięćdziesiąt prototypów rozbiło się w czasie lotów bądź spłonęło. Po wejściu samolotu do regularnej służby było już za późno, aby zniwelować wymienione usterki. Wszelkie zalety samolotu przekreślał fakt, że przemysł lotniczy nie był w stanie udoskonalić jego konstrukcji. Z dokładnie tysiąca dziewięćdziesięciu czterech Heinkli 177 Greif, jakie wyprodukowano do końca 1944 roku, zaledwie dwieście użyto na froncie i to głównie do transportu zaopatrzenia.

Użycie do akcji takiego „szmelcu” groziło niepowodzeniem całej operacji. Po namyśle Otto postanowił więc zrezygnować z tych – jak je nazywali niemieccy piloci – „latających trumien”. Wybór był niewielki. Pozostał tylko Ju 290, samolot transportowy i rozpoznawczy, zbudowany w 1942 roku w zakładach Junkersa w Magdeburgu, w wyniku zmian konstrukcyjnych wprowadzonych w samolocie Ju 90. Tych jednak prawie nie było. Ogółem do końca wojny wyprodukowano zaledwie pięćdziesiąt pięć maszyn tego typu, zaś do listopada 1943 roku tylko kilkanaście.

Ktoś, nie wiadomo kto, podsunął Skorzenemu pomysł skorzystania z amerykańskich ciężkich bombowców B-17 i B-24 Liberator, znajdujących się na wyposażeniu tajnej jednostki KG 200. Generał Fritz Koller z Luftwaffe obiecał mu uruchomienie na potrzeby operacji specjalnego warsztatu remontującego te samoloty, spośród przymusowo lądujących lub rozbitych na terenie Niemiec.

„Czy jednak ciężki samolot będzie w stanie wylądować w Iranie?” – zastanawiał się Skorzeny. Znalezienie odpowiedniego terenu i przygotowanie lądowiska na pustyni wydawało się zadaniem nadzwyczaj trudnym i przede wszystkim czasochłonnym, a termin konferencji Wielkiej Trójki zbliżał się milowymi krokami.

Kolejnym pomysłem było użycie bombowców do holowania szybowców, których zaletą było to, że mogły lądować na każdym terenie. Ale tutaj również pojawiły się techniczne problemy. Samoloty musiałyby pokonać trasę liczącą dwa i pół tysiąca kilometrów, zaś z szybowcami DFS

230, z których każdy mógł zabrać na pokład dwunastu żołnierzy ze sprzętem, były po prostu zbyt wolne. Maksymalna szybkość, jaką mogły rozwinąć w tych warunkach, nie przekraczała 210 km/h. Inne szybowce, Gotha 242, można było holować z prędkością 290 km/h, lecz Skorzeny uznał, że to także zbyt wolno.

No i jeszcze jeden problem. Jak miałyby ponownie wznieść się w powietrze po skończonej akcji? Bezpieczny powrót ludzi użytych do akcji był zadaniem priorytetowym. Żołnierze Friedenthaler Jagdverbände byli odważni i skłonni do poświęceń, nie byli jednak samobójcami. Przedarcie się przez cały Iran w drodze powrotnej do domu nie dawało najmniejszych szans na powodzenie.

W końcu znaleziono rozwiązanie, tak się przynajmniej początkowo wydawało. Niemieccy naukowcy pracowali w tym czasie nad urządzeniem pozwalającym samolotowi bez lądowania wyciągać w powietrze stojące na ziemi szybowce. Szybko jednak okazało się, że owszem, dawało się za pomocą tego wynalazku unieść szybowiec w powietrze, ale tylko mały, sportowy. Postąpienie w ten sam sposób z ciężkimi, ważącymi ponad dwie tony DFS 230, nie mówiąc już o siedmiotonowych Gotha 242, nie wchodziło w rachubę.

Z informacji przekazanych przez niemiecki wywiad z Iranu wynikało również, że stolica była w pełni kontrolowana przez trzy wrogie mocarstwa, których służby specjalne postawiono w stan najwyższej gotowości. Uderzenie na Teheran wymagałoby stu pięćdziesięciu do dwustu świetnie przygotowanych do tego celu komandosów, odpowiednich samolotów, specjalnych pojazdów oraz dokładnego rozpoznania miejsc i systemu zabezpieczeń nieprzyjaciela.

Poza tym, co z wyjątkiem wydźwięku propagandowego dawałoby Niemcom zabicie wrogich przywódców, szczególnie Roosevelta? Do czasu następnych wyborów, przewidzianych na listopad 1944 roku, i do czasu zaprzysiężenia nowego prezydenta w styczniu roku następnego najwyższy urząd w Stanach Zjednoczonych sprawowałby zgodnie z postanowieniami konstytucji aktualny wiceprezydent, Henry Agard Wallace, wielki miłośnik

Związku Sowieckiego, jeszcze większy niż sam Roosevelt. Wallace był początkowo działaczem liberalnego skrzydła Partii Republikańskiej, jednakże kiedy Roosevelt mianował go w 1933 roku sekretarzem ds. rolnictwa, zmienił przynależność partyjną, wstępując do Partii Demokratycznej. Po stworzeniu wielkiej koalicji wielokrotnie wzywał do udzielenia Rosjanom jak najdalej idącej pomocy. W maju 1944 roku Henry A. Wallace odbył podróż po łagrach na Kołymie. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych publicznie zachwycał się ustrojem Związku Sowieckiego. Pisząc o więźniach przymusowo wydobywających na Kołymie złoto, zapewniał z wielkim entuzjazmem: „Ludzi Syberii nikt nie zmusza do pracy, to po prostu dzielna, pełna życia rasa". Wierzył święcie, że mordercza rewolucja sowiecka była częścią „marszu do wolności ostatnich stu pięćdziesięciu lat" – tak samo jak rewolucja amerykańska… (Gdy po śmierci Roosevelta Wallace kandydował na prezydenta USA – jedną z popierających go organizacji była finansowana przez Stalina Komunistyczna Partia USA). Z punktu widzenia interesów III Rzeszy zastąpienie Roosevelta Wallace'em byłoby zamianą siekierki na kijek.

Ostatecznie z operacji „Weitsprung" nic nie wyszło. „Ten projekt należało uznać za utopijny – zanotował Skorzeny. – Przedstawiłem swoją opinię Hitlerowi i Schellenbergowi. Hitler się ze mną zgodził". A jednak konsekwencje nieprzeprowadzonego nigdy „Długiego skoku" okazały się dla Skorzenego dużo poważniejsze, niż można to sobie wyobrazić.

*

Sowieci dowiedzieli się o planowanej operacji „Weitsprung" dzięki jednemu ze swoich agentów, Nikołajowi Iwanowiczowi Kuzniecowowi, urodzonemu 27 lipca 1911 roku w Zyrjance, w rodzinie Niemców nadwołżańskich, który występował jako sobowtór porucznika Wehrmachtu Paula Sieberta, faktycznie znajdującego się w sowieckiej niewoli. (Zapewne to właśnie on posłużył po latach Andrzejowi

Szypulskiemu i Zbigniewowi Safjanowi do stworzenia literackiej postaci Hansa Klossa).

Jeszcze przed wybuchem wojny Kuzniecow, funkcjonariusz kontrwywiadu NKWD, zwerbował do współpracy dyplomatę czechosłowackiej ambasady w ZSRS Ladislava Krno, dotarł też do otoczenia attaché wojskowego Niemiec w Moskwie, Ernsta Köstringa. Po ataku Hitlera na Rosję służył jako żołnierz sowieckiego specjalnego oddziału ochotników na froncie wschodnim OMSBON (Samodzielna Brygada Zmotoryzowana Strzelecka Specjalnego Przeznaczenia) i osobiście wykonał kilka udanych zamachów na przedstawicieli niemieckich władz okupacyjnych, między innymi na Alfreda Funka, przewodniczącego Sądu Najwyższego w Komisariacie Rzeszy Ukraina, oraz na doktora Otto Bauera, wicegubernatora Dystryktu Galicja. (Celem tego drugiego zamachu, przeprowadzonego 9 lutego 1944 roku, był gubernator dystryktu Otto von Wächter). Dziełem jego grupy były także zamachy bombowe na kasyno i dworzec kolejowy we Lwowie.

Od otoczenia komisarza Rzeszy dla Ukrainy Ericha Kocha w Równem Kuzniecow uzyskał między innymi informacje o planowanej ofensywie Wehrmachtu na Łuku Kurskim oraz właśnie o wspomnianej operacji „Długi skok”[2].

„Pod koniec sierpnia 1965 roku światowa prasa przedrukowała fragmenty powieści kryminalnej, opublikowanej w sowieckim czasopiśmie «Ogoniok» – czytamy w pamiętnikach Skorzenego. – Przedstawiam streszczenie tego marnego opowiadania:

«W Teheranie źli naziści chcieli zamordować lub porwać Stalina, Roosevelta i Churchilla. Operację powierzono mnie, Otto Skorzenemu. Dowódcą ohydnego komanda był młody Sturmbannführer, Paul von Ortel, który nigdy nie istniał. Tymczasem towarzysz Ławrientij Beria, najwyższy zwierzchnik sowieckiej służby bezpieczeństwa, czuwał. Wszystkich nazistów w Iranie zdemaskowano i zlikwidowano w ostatnich dniach listopada 1943 r. Był to najwyższy czas»”.

Według źródeł sowieckich, już nie powieści, lecz „rzetelnych” opracowań historycznych, Otto Skorzeny miał między innymi koordynować próbę przedarcia się do ambasady brytyjskiej kanałem zaopatrującym w wodę i zamordowania Churchilla w dniu jego urodzin, 30 listopada. Przeszkodziła temu siedmioosobowa grupa rosyjskich agentów, na czele której stał władający biegle ośmioma obcymi językami Ormianin Gework Wartanian pseudonim „Amir”, syn działającego w Iranie od lat trzydziestych pod przykrywką bogatego kupca sowieckiego szpiega Andrieja Wartaniana. W ciągu kilku ostatnich lat działając w Iranie, grupa ta zlikwidowała podobno aż czterystu niemieckich agentów i ich miejscowych współpracowników. Również podobno kilka dni przed rozpoczęciem konferencji siatka „Amira” miała zlokalizować w okolicach Teheranu kilku niemieckich komandosów, którzy wraz z radiostacją wylądowali na spadochronach w pobliżu miasta Kom (kilkadziesiąt kilometrów od stolicy). Transportując broń i wyposażenie na wielbłądach, dotarli (wciąż podobno) do jednej z willi w Teheranie, usytuowanej nieopodal ambasad ZSRS i Wielkiej Brytanii, należącej do niemieckiego wywiadu. Stąd planowali nadawać koordynaty dla komandosów Skorzenego, którzy dopiero mieli się pojawić w mieście.

„Podczas obserwacji grupy ustaliliśmy, że kontaktuje się ona z Berlinem drogą radiową, więc nagrywaliśmy jej komunikację – opowiadał po latach sam Gework Wartanian. – Po dekryptażu tych przekazów radiowych dowiedzieliśmy się, że Niemcy przygotowywali zrzucenie drugiej grupy dywersantów do przeprowadzenia aktu terroru – zabójstwa lub uprowadzenia Wielkiej Trójki. Ta druga grupa miała być kierowana przez samego Skorzenego, który właśnie przebywał w Teheranie, w celu zbadania sytuacji na miejscu. Wtedy również śledziliśmy każdy jego ruch. Aresztowaliśmy wszystkich członków pierwszej grupy i zmusiliśmy ich do skontaktowania się z wywiadem wroga pod naszym nadzorem. Pojmanie Skorzenego było kuszące, ale Wielka Trójka już przybyła do Teheranu i nie mogliśmy sobie pozwolić na podjęcie ryzyka. Celowo daliśmy radiooperatorowi możliwość zakomunikowania niepowodzenia misji,

a Niemcy zdecydowali nie wysyłać głównej grupy pod dowództwem Skorzenego do Teheranu. W ten sposób sukces naszego zespołu w zlokalizowaniu nazistowskiej forpoczty i nasze późniejsze działania udaremniły próbę zamachu na Wielką Trójkę".

Tak doniosły wyczyn uczynił Wartaniana legendarnym agentem ZSRS. Kiedy zmarł w jednym z moskiewskich szpitali na początku stycznia 2012 roku (w wieku 87 lat), w jego pogrzebie uczestniczyli między innymi ówczesny premier Władimir Władimirowicz Putin i prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew. Wcześniej, w latach osiemdziesiątych XX wieku, przyznano mu tytuł Bohatera Związku Sowieckiego, Order Lenina i Złotą Gwiazdę – wszystko oczywiście pod innym nazwiskiem.

Taka właśnie wersja wydarzeń lansowana była przez długie lata przez Sowietów i KGB, chociaż od początku wątpili w nią ambasadorowie USA i Wielkiej Brytanii w Moskwie: William Averell Harriman oraz Archibald Clark Kerr, których tuż przed konferencją o groźbie zamachu ostrzegał ludowy komisarz spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow. Niestety, nie wszyscy byli tak sceptyczni.

Operacja „Długi skok", co do której Sowieci mieli pełną świadomość, że została odwołana, posłużyła im w gruncie rzeczy do uknucia niezwykle chytrej intrygi, a samemu Józefowi Stalinowi do osiągnięcia bardzo istotnego celu. Roztoczona przez sowiecki wywiad aura niebezpieczeństwa miała skłonić Roosevelta do zatrzymania się w sowieckiej ambasadzie. W ten sposób Stalin miałby okazję porozmawiać z amerykańskim prezydentem w cztery oczy i doprowadzić do storpedowania planów Churchilla przeprowadzenia ataku aliantów na Bałkany, który mógł odmienić rezultat wojny, przynajmniej dla niektórych narodów.

*

Miliony lewicujących Amerykanów do dziś uważają Franklina Delano Roosevelta za najlepszego ze wszystkich prezydentów USA, za mędrca i dobroczyńcę. Polacy, Czesi, Węgrzy czy Rumuni mają na ten temat zgoła

odmienne zdanie. Dla nich prezydent Roosevelt to skończony głupiec i łajdak, który cynicznie oddał Stalinowi Europę Środkowo-Wschodnią jako łup, zwany eufemistycznie „sowiecką strefą wpływów". Na skutek jego idiotycznej polityki kilkaset milionów ludzi cierpiało przez kilkadziesiąt lat komunistyczny terror.

„We wrześniu 2012 r. Ameryknie ujawnili ok. 1 tys. stron tajnych dotychczas dokumentów, w tym dotyczących zbrodni katyńskiej – pisze Stanisław Janecki w artykule *Przyjaciel Stalina*. – Wynika z nich, że już w kwietniu 1943 r., czyli po odkryciu przez Niemców miejsca kaźni polskich oficerów, dwaj amerykańscy jeńcy wojenni – ppłk John H. Van Vliet oraz kpt. Donald B. Stewart – ściągnięci przez Niemców do Katynia poinformowali wywiad wojskowy USA, że zbrodni dokonali Sowieci […]. Najprawdopodobniej w kwietniu 1943 r. powstał też raport katyński płk. Henry'ego Szymańskiego służącego w latach 1942–1944 w ataszacie wojskowym USA w Kairze. Był on także łącznikiem z polskimi siłami zbrojnymi na Bliskim Wschodzie. Nieznane wcześniej informacje o raporcie Szymańskiego znalazły się w odtajnionych w 2013 i 2014 roku dokumentach amerykańskiego wywiadu wojskowego (205 stron). Szymański przedstawił dowody na to, że polscy oficerowie «zniknęli» przed zajęciem przez Niemców terenów, na których leżą Kozielsk, Katyń, Starobielsk i Ostaszków. Swój raport Szymański przekazał w maju 1943 roku George'owi V. Strongowi, do stycznia 1944 roku szefowi wywiadu wojskowego. Ale dokument zniknął w archiwum wywiadu (sklasyfikowano go jako «zniszczony»), a Szymański został przez Stronga oskarżony o stronniczość i fuszerkę.

Z dokumentów odtajnionych przez Amerykanów w latach 2013–2014 oraz z decyzji podejmowanych po 13 kwietnia 1943 roku jednoznacznie wynika, że Roosevelt już w kwietniu 1943 roku nakazał, aby za wszelką cenę ukryć prawdę o zbrodni Stalina. Po sukcesach Armii Czerwonej w styczniu i lutym 1943 roku Stalin się wzmocnił i mógł wobec Roosevelta grać rolę kluczowego sojusznika. Zresztą już w maju 1942 roku podczas wizyty w Waszyngtonie ludowego komisarza spraw zagranicznych

Wiaczesława Mołotowa rozmawiano o powojennym porządku na świecie, przewidując bardzo ważną rolę dla ZSRS. W kwietniu 1943 roku, gdy wyszła na jaw prawda o Katyniu, prezydent Roosevelt już zdecydował, że strategiczne znaczenie mają dla Ameryki relacje z ZSRS, natomiast absolutnie marginalne z Polską. Dlatego za jego wiedzą, a wręcz na jego rozkaz zakopano prawdę o zbrodni katyńskiej. Podobnie postąpili Brytyjczycy: premier Winston Churchill i szef MSZ Anthony Eden […]".

Poza kłamstwem katyńskim prezydent Roosevelt już od listopada 1942 roku, czyli od drugiego spotkania z premierem Władysławem Sikorskim, zaczął otwarcie oszukiwać polskie władze na uchodźstwie. Jeszcze podczas spotkania z Sikorskim w marcu 1942 roku amerykański prezydent zgadzał się z polskim premierem, że trzeba bronić przed zakusami Stalina ziemie Polski i państw nadbałtyckich. Ale już w listopadzie tego roku otwarcie łgał, że nie dopuści do jakichkolwiek rozmów o zmianach terytorialnych w Europie do momentu zakończenia wojny. Tymczasem na kilka miesięcy przed konferencją w Teheranie był już gotów oddać Związkowi Sowieckiemu polskie ziemie wschodnie w zamian za włączenie się Stalina do wojny z Japonią oraz wspólne z USA urządzenie nowego porządku światowego w ramach wielkiej organizacji międzynarodowej przewidywanej przez sygnatariuszy Karty Atlantyckiej. Amerykański prezydent opowiadał się za tym, żeby światowy porządek gwarantowała czwórka żandarmów: USA, ZSRS, Chiny i Wielka Brytania.

Na konferencji w Teheranie, na przełomie listopada i grudnia 1943 roku, Roosevelt, przy pełnej akceptacji Churchilla, sprzedał Polskę Stalinowi. Prezydent USA po prostu uznał, że sprzedanie Polski i innych państw tej części Europy jest adekwatną ceną za stabilizację w Europie, nawet pod sowieckim butem w jej wschodniej części. W wizji Roosevelta Stalin i ZSRS mieli być gwarantującymi pokój na tym terenie. Ceną było oddanie Stalinowi wschodnich terytoriów RP (wschodnia granica na tzw. linii Curzona). Zachodnia granica miała przebiegać na Odrze.

O sprzedaniu Polski Stalinowi premier Stanisław Mikołajczyk dowiedział się dopiero 13 października 1944 roku podczas rozmów

w Moskwie ze Stalinem, w obecności Winstona Churchilla. Wtedy zrozumiał, że od połowy 1943 roku, gdy zastąpił na stanowisku premiera Władysława Sikorskiego, był bezczelnie i z pełnym cynizmem okłamywany, szczególnie przez Roosevelta.

Od czasu bezprecedensowego przehandlowania Polski w Teheranie prezydent Roosevelt popierał żądania Stalina, by w Polsce powstał rząd przyjazny Moskwie, czyli wyznaczony przez Stalina. Gdy w czerwcu 1944 roku Mikołajczyk rozmawiał w Waszyngtonie z Rooseveltem, ten ograniczał się tylko do naciskania na polskiego premiera, by porozumiał się ze Stalinem. I łudził Mikołajczyka, że wszystko, w tym sprawa granic Polski, jest kwestią otwartą. Stalin zaś jest gotów do negocjacji.

Amerykański prezydent oszukiwał też Mikołajczyka w kwestii zachowania się USA, gdyby w Polsce wybuchło powszechne powstanie. Aż do początków sierpnia 1944 roku Mikołajczyk nie otrzymał jasnego stanowiska Roosevelta, że nie wesprze on zrywu w Warszawie. Prezydent USA twierdził też, że gdyby wybuchło powstanie, ewentualna pomoc Rosjan nie byłaby niemożliwa. To wszystko spowodowało, że Mikołajczyk zepchnął decyzję o wybuchu powstania w Warszawie na Delegata Rządu oraz dowództwo Armii Krajowej.

Roosevelt oszukiwał polskie władze także po wybuchu powstania, klucząc w sprawie naciskania na Rosjan, by zgodzili się na amerykańskie zrzuty. Na wszelkie polskie ponaglenia, np. ze strony ambasadora w USA Jana Ciechanowskiego, padała odpowiedź, że sprawa jest „rozpatrywana z jak największą życzliwością” i stanowi przedmiot „nieustannych rozważań”.

Dopiero 1 września 1944 roku Winston Churchill poinformował Mikołajczyka, że Roosevelt nie będzie nalegał na Stalina w sprawie pomocy Warszawie. Kilka dni później amerykański prezydent przyjął do wiadomości fałszywą informację o opanowaniu Warszawy przez Niemców i uznał, że w tej sytuacji pomoc nie ma już sensu. Ostatecznie Roosevelt zgodził się na wysłanie samolotów 18 września, ale w tym momencie losy powstania były już przesądzone.

*

Zachodni marksiści wraz z szerokim kręgiem środowisk lewicowych i liberalnych uparcie odmawiają prawa do prowadzenia jakichkolwiek badań aktywności szpiegowskiej Sowietów w otoczeniu prezydenta, nazywając je „polowaniem na czarownice”. Na szczęście nasza wiedza na ten temat jest coraz większa.

„Polityką zagraniczną w rządzie Franklina Delano Roosevelta przez wiele lat zarządzali szpiedzy sowieccy – czytamy w artykule Petera Stachury *Agenci sowieccy w administracji Roosevelta*. Obecność tylu sowieckich szpiegów w otoczeniu prezydenta Roosevelta, a do szpiegów zaliczali się nawet najbliżsi doradcy tego politycznego szulera, jest w jakimś stopniu wyjaśnieniem przyczyn oddania przez Roosevelta połowy Europy komunistycznym mordercom tow. Stalina […].

Szpiegów oraz miłośników bezwarunkowej współpracy z sowieckimi bandytami w administracji F.D. Roosevelta było wielu, i to na bardzo wysokich szczeblach […]/ M.in. byli to Edward Stettinius Jr., Harry Hopkins, gen. John York oraz wiceprezydent Henry A. Wallace. Wszyscy oni wierzyli tow. Stalinowi oraz byli zdecydowanymi zwolennikami «bezwarunkowej pomocy» dla państwa sowieckiego […].

Znanym sowieckim szpiegiem był także Alger Hiss – kolejny współpracownik Roosevelta. Hiss od 1933 roku był prawnikiem w organizacjach wprowadzających nową politykę ekonomiczną, tzw. New Deal Roosevelta. Od 1936 roku Hiss był pracownikiem Department of State. Mimo że już w 1939 roku było wiadomo o przynależności Hissa do tajnej komórki partii komunistycznej, nie zwolniono go z pracy. Jako sowiecki szpieg Hiss był organizatorem oraz przedstawicielem USA na konferencję Organizacji Narodów Zjednoczonych w San Francisco w 1945 roku[3].

Harry Hopkins był najbliższym i najbardziej wpływowym doradcą F.D. Roosevelta, a także niewątpliwym sowieckim szpiegiem, kilkakrotnie wysyłanym przez Roosevelta do Stalina. W administracji Roosevelta

Hopkins znaczył więcej niż cały amerykański Departament Stanu USA (Ministerstwo Spraw Zagranicznych). Właśnie Hopkins zarekomendował Rooseveltowi włączenie państwa sowieckiego do programu Lend-Lease.

Z kolei Edward Stettinius «wsławił» się tym, że po objęciu stanowiska Sekretarza Stanu w 1943 roku polecił oddać Stalinowi sowieckie książki kodowe zdobyte przez armię fińską w Finlandii. Spowodowało to znaczne opóźnienie w rozszyfrowaniu setek sowieckich telegramów wysyłanych przez siatkę sowieckich agentów w USA do Moskwy oraz zapobiegło odkryciu dużej penetracji administracji Roosevelta przez sowieckich szpiegów, m.in. takich jak właśnie Hopkins".

Należałoby w tym miejscu wspomnieć także o uroczej małżonce pana prezydenta, Eleanor Roosevelt, jednej z najbarwniejszych postaci epoki, osobie o zdecydowanie lewicowych poglądach, która wielokrotnie w różnych wystąpieniach publicznych otwarcie popierała Sowiety.

W sierpniu 1948 roku przed senacką komisją do zbadania działalności antyamerykańskiej, kierowaną przez Josepha Raymonda McCarthy'ego, pojawił się niejaki Whittaker Chambers – pisarz, dziennikarz, a zarazem i kurier IV Zarządu NKWD. Ujawnił on cały szereg działających w bezpośrednim otoczeniu prezydenta Roosevelta członków moskiewskiej siatki szpiegowskiej, między innymi wspomnianego wyżej Algera Hissa, statystyka rządowego George'a Silvermana, pracownika Departamentu Skarbu Harry'ego Dextera White'a, czy zatrudnionych w Departamencie Rolnictwa Johna J. Abta i Nathana Witta. Pomimo to większość z nich kontynuowała w najlepsze swą karierę w organach państwowych jeszcze przez długie lata.

Cała ta imponująca koteria to zaledwie tylko wierzchołek góry lodowej. Nie ulega najmniejszych wątpliwości, że administracja Roosevelta na najwyższych szczeblach władzy była głęboko spenetrowana przez zadziwiająco wielką liczbę sowieckich agentów i osób z nimi sympatyzujących. Jedni w swych działaniach kierowali się czysto ideologicznymi względami, innym natomiast przyświecała wyłącznie chęć zarobienia jak największej ilości pieniędzy. Wielu z nich, często

pochodzenia żydowskiego, z całą pewnością przyczyniło się do bagatelizowania haniebnego aktu zdrady wobec Polski i doprowadziło do zaprzepaszczenia wielu polskich interesów. Ale to już zupełnie inna bajka…

Największe tajemnice Wielkiej Brytanii również znajdowały się w zasięgu wzroku sowieckiego wywiadu, przede wszystkim za sprawą osławionej „piątki z Cambridge".

W latach trzydziestych XX wieku KGB zwerbowało w Wielkiej Brytanii grupę agentów spośród prokomunistycznie nastawionych studentów uniwersytetu Cambridge. Pięciu z nich prowadził oficer NKWD (później KGB) Jurij Modin. W 1951 roku dwójka z tych agentów, wówczas pracowników Foreign Office (brytyjskiego MSZ), Donald MacLean i Burgess Guy, uciekła do Związku Sowieckiego. W rezultacie tej ucieczki ich przyjaciel, Kim Philby, wysoki rangą pułkownik MI6, został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Zajął się wówczas pracą dziennikarską, którą kontynuował również do czasu… swej ucieczki do ZSRS w 1963 roku. Philby, niegdyś uważany za przyszłego szefa MI6, przekazał KGB wiele najbardziej strzeżonych sekretów brytyjskiego wywiadu. Czwartą postacią w tej siatce był Sir Anthony Blunt, oficer MI5 od 1940 do 1945 roku. Później działał jako szpieg, będąc jednocześnie kustoszem Królewskiej Galerii Obrazów. MI5 wiedział o jego zdradzie jeszcze przed oficjalnym ujawnieniem w 1979 roku. Ostatnim z piątki agentów, których nazwiska podano do publicznej wiadomości, był John Cairncross. W swojej karierze zawodowej zajmował stanowiska w MI6, Agencji Rozpoznania Środkami Łączności – zwanej GC lub CS (później GCHQ), a także w różnych ministerstwach.

Stalin – w przeciwieństwie do Churchilla i Roosevelta – dysponował więc bogatym materiałem wywiadowczym. Pierwszy z nich nadał priorytet inwigilacji swych sojuszników, podczas gdy dwaj pozostali skierowali wszystkie wysiłki wywiadowcze przeciwko państwom Osi. (Sytuacja uległa zmianie dopiero pod koniec wojny). W ten sposób, kiedy toczył się bój o powojenny porządek świata, Stalinowi bez trudu udało się skomunizować

znaczną część Europy. Znał przecież dobrze myśli przywódców USA i Wielkiej Brytanii.

*

Właśnie wspomniany Harry Hopkins, najbliższy doradca Roosevelta, stał teraz przy fotelu prezydenta, pochylony nad nim w ugrzecznionej pozie. Był to szczupły facet o przerzedzonych łysiną włosach i złych, wodnistych oczach jaszczura. To jego, a nie sekretarza stanu Cordela Hulla, Roosevelt zamierzał zabrać ze sobą do Teheranu, ku niezmiernej radości Stalina.

Były oficer KGB Oleg Gordijewski, który współpracował z brytyjską służbą wywiadowczą MI-6 w latach 1974–1985, zebrał informacje, z których wynikało, że Hopkins uznawany był w Moskwie za sowieckiego agenta. To Hopkins bez wątpienia stał za prezydencką decyzją usunięcia ze stanowisk kilku osób mało przychylnych Sowietom. Byli wśród nich między innymi ambasador USA w Moskwie Laurence A. Steinhardt, attaché wojskowy w Moskwie major Ivan D. Yeaton oraz kierownik sekcji sowieckiej w Departamencie Stanu Loy W. Henderson.

– Skąd, na miłość boską, udało im się zdobyć tę informację? – Roosevelt uderzył gniewnie dłonią w kartkę z treścią depeszy. Wysunąwszy przy tym do przodu swoją potężną szczękę, patrzył z wyrzutem na swego asystenta.

– Nie mam pojęcia, panie prezydencie – odparł Hopkins, spoglądając trwożliwie przez ramię, jakby spodziewał się, że mimo szczelnego obstawienia Białego Domu przez piechotę morską za jego plecami za chwilę pojawi się wynajęty przez Niemców zabójca. – O tej konferencji mówi się przecież na najwyższym szczeblu od wielu tygodni, a zna pan przecież to waszyngtońskie koktajlowe towarzystwo… Żadna tajemnica nie utrzyma się przy takich ludziach.

Roosevelt zamknął pojemnik na cygara władczym gestem, tak dobrze znanym wszystkim widzom kronik filmowych na zachodniej półkuli.

– Wiem o tym – warknął gniewnie. – Wiem cholernie dobrze, że środki bezpieczeństwa w Waszyngtonie zdają się psu na budę. Hoover[4]

całkowicie stracił nad wszystkim kontrolę. Powinien odejść ze stanowiska, jeśli nie potrafi porządnie robić tego, co do niego należy.

– Z pewnością, panie prezydencie – przytaknął skwapliwie Hopkins.

– A Churchill, nadal chce jechać?

– Tak, panie prezydencie.

– Pomimo zagrożenia?

– Jego biuro potwierdziło w rozmowie telefonicznej, że dotrze na miejsce za jakieś dwie doby.

Roosevelt wsadził w zamyśleniu binokle na nos, zastanawiając się nad decyzją swego głównego sojusznika, który ciągle chciał lecieć do Teheranu, mimo nadesłanej dzisiejszego ranka przez Stalina depeszy z ostrzeżeniem o przygotowywanym przez Niemców zamachu.

– To typowe dla niego – mruknął po chwili. – Cholernie typowe. Wszędzie musi wsadzić ten swój czerwony od whisky nos.

– Zapewne uważa, że ta konferencja może mieć przełomowe znaczenie dla imperium brytyjskiego – powiedział ostrożnie Hopkins.

– Imperium brytyjskie – parsknął prezydent. – Churchill wykombinował sobie, że przyszłość jego imperium to jego wyłączna sprawa, a nam nic do tego. I tu się myli. Bardzo się myli. Kilkakrotnie już próbowałem mu wyjaśnić, że skoro jesteśmy aliantami i razem walczymy o zwycięstwo, to nie po to, żeby zachować ich średniowieczne imperium kolonialne. Mój Boże, ten facet, gdyby mógł, wsadziłby brytyjską flagę nawet w każdy worek piasku nad Hudsonem, żeby zająć rzekę dla swojego imperium.

Nie po to Roosevelt z niemałym trudem wyrwał Stany Zjednoczone ze słodkiego izolacjonizmu, w który zapadły po I wojnie światowej. Nie po to posłał na fronty na Pacyfiku, w Afryce i w Europie ponad dziesięć milionów żołnierzy i uruchomił gigantyczną machinę wojenną. Nie po to przelewał krew amerykańskich chłopców i wydawał pieniądze amerykańskich podatników, aby zwrócić Brytyjczykom to, co zagarnęli podczas kolonialnych wypraw, a co w czasie wojny wydarli im Niemcy, Włosi i Japończycy. Ta wojna była wielką inwestycją, która miała przynieść profity amerykańskiemu społeczeństwu.

Hopkins grzecznie zachichotał.

– Przypuszczalnie to dlatego właśnie premier chce być w Teheranie, panie prezydencie. Chce być przy wszystkim, co pan i Stalin możecie przygotować. Tylko że w tym wypadku to ogon macha psem, jeśli można tak to ująć.

– Może i tak – Roosevelt zacisnął gniewnie końską szczękę. – Ale to wujek Joe i ja poprowadzimy to przedstawienie… W porządku, Hopkins. Więc pojadę tam mimo zagrożenia. Przekaż to służbom bezpieczeństwa. Na czas trwania konferencji Persowie muszą zamknąć swoje granice na całej długości.

– Oczywiście.

– Wszystkie rozgłośnie radiowe w Teheranie też mają zostać zamknięte, mogłyby przecież przekazywać zamachowcom zakodowane informacje. Trzeba również przerwać wszelki transport kolejowy i drogowy poza tym, który zaopatruje mieszkańców w żywność. Wszystkie samoloty mają pozostać na ziemi. Jasne?

Hopkins tylko kiwnął głową, zajęty zapisywaniem wszystkich poleceń w notatniku. Skończywszy, pomógł Rooseveltowi przesiąść się na jego wózek inwalidzki. Zaskrzypiały stalowe wsporniki i skóra na oparciu siedzenia. Usadowiwszy się wygodnie, prezydent wcisnął mocniej na nos binokle i w zamyśleniu spojrzał na wiszącą nad jego biurkiem mapę świata.

– Wyobraź sobie, Hopkins, że za parę dni spotkamy się po raz pierwszy po tych wszystkich latach. Dwóch najpotężniejszych ludzi na świecie. Wschód i Zachód spotkają się razem, aby zdecydować o przyszłości świata. Nie sądzisz, Hopkins, że to wielka sprawa?

– Z pewnością, panie prezydencie. Tylko…

– Tylko co?

– Nie wiemy, czy w tej sytuacji, po tym ostrzeżeniu, Stalin również zdecyduje się przyjechać.

Roosevelt zaczął się nagle trząść. Bardziej odrażający niż niezwykła zmiana w zachowaniu był jednak wyraz jego twarzy. Fala dziwnych drgań przepłynęła przez nieruchome policzki, a bezkrwiste wargi rozchyliły się,

aby ukazać rząd białych zębów. Przez chwilę Hopkins zastanawiał się, czy nie jest to aby pewnego rodzaju skurcz, wywołany spazmem epileptycznym. Upłynęła sekunda lub dwie, nim zaświtało mu w głowie, co się naprawdę dzieje. Roosevelt się śmiał.

– Oczywiście Hopkins, że przyjedzie – wysapał wreszcie prezydent, złapawszy oddech. – Wujek Joe Stalin nie przestraszy się garstki niemieckich zabójców. Spotkamy się w Teheranie. Na pewno. I z bożą pomocą będziemy tworzyć historię.

*

Delegacja sowiecka na konferencję w Teheranie wyjechała z Moskwy pociągiem specjalnym wcześnie rano, 25 listopada. Całe miasto znajdowało się już w objęciach zimy. Gigantyczne figury z brązu przed katedrą Świętego Bazylego na Placu Czerwonym, upamiętniające opór Rosjan przed inwazją Polaków w roku 1610, wyrzucały ręce do góry, jakby chciały odeprzeć napierający chłód. Strażnicy przed Mauzoleum Lenina zastygli w czujnym bezruchu; tylko rzęsy poruszały się bezgłośnie pod wielkimi czapkami. Zasuszona mumia wodza spała spokojnie w swojej szklanej trumnie. Wysoko nad żółtymi murami Kremla, na szczycie baszty Troickiej, sowiecka flaga łopotała w lodowatych podmuchach wiatru jak gorący, czerwony płomień.

Stalin, Mołotow i Woroszyłow odbywali podróż w specjalnej salonce, w której na wyznaczonych postojach przyjmowali meldunki sytuacyjne. Podczas posiłków i narad z ożywieniem rozprawiano o nadchodzącym spotkaniu. Tematami przyciągającymi największą uwagę sowieckiej delegacji było utworzenie przez aliantów drugiego frontu oraz forsowana przez Churchilla kwestia ewentualnej inwazji na Bałkanach.

Jak już wspomniano wcześniej, 17 sierpnia 1943 roku wojska alianckie zakończyły zdobywanie Sycylii. Dwa tygodnie później, 3 września, trzy kanadyjskie brygady idące w czołówce brytyjskiej 8. Armii zajęły miasto Reggio di Calabria na południu Włoch, nad Cieśniną Messyńską. Niemcy,

uznając, że obrona pociągnie zbyt duże ofiary, nie bronili tego rejonu. Tego samego dnia rząd Badoglio podjął decyzję o kapitulacji przed aliantami, chociaż z obawy przed reakcją Niemców fakt ten przez pięć kolejnych dni trzymano w tajemnicy. W ten sposób alianci utworzyli silny przyczółek do dalszej ofensywy, która mogła być skierowana w dwóch kierunkach. Na północ – do Niemiec lub na wschód – na Bałkany.

Stalin zdawał sobie sprawę, że brytyjski premier będzie zabiegał u Roosevelta o wysłanie alianckich armii inwazyjnych na Wschód. W ten sposób po opanowaniu Grecji Wielka Brytania uzyskałaby kontrolę nad wybrzeżami morza tak ważnego dla imperium. Ważne było też zajęcie Dodekanezu – grupy wysp na Morzu Egejskim, spośród których największe znaczenie miała Rodos. Znajdowała się tam włoska baza lotnicza, a jej przechwycenie w sposób istotny przyspieszyłoby inwazję na Bałkanach. Już 8 września Brytyjczycy zrzucili tam na spadochronie oficera, któremu wyznaczono zadanie przekonania dowódcy trzydziestotysięcznego garnizonu włoskiego do zaakceptowania ogłoszonej przez rząd Badoglia kapitulacji i przystąpienia do działań wojennych po stronie aliantów.

Dodajmy w tym miejscu, że misja zakończyła się fiaskiem, ponieważ zanim Włosi zdążyli podjąć jakąkolwiek decyzję, stacjonujący na Rodos siedmiotysięczny garnizon niemiecki przejął całkowitą kontrolę nad wyspą.

Brytyjczycy wzmogli wysiłki zmierzające do opanowana Dodekanezu, przerzucając w ten rejon brygadę piechoty z Bliskiego Wschodu oraz nasilając działania komandosów. Na początku listopada już pięć tysięcy brytyjskich żołnierzy zaangażowanych było w walkę o opanowanie wysp. Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę ze strategicznego znaczenia Dodekanezu, więc również wzmocnili znajdujące się tam ich siły. Krwawy bój toczył się z niezwykłą zawziętością.

Z Grecji wojska alianckie z pewnością skierowałyby się na północ, wypierając Niemców kolejno z Bułgarii, Rumunii, Węgier, Czechosłowacji i Polski. Dla Stalina było to nie do pomyślenia. Wymienione kraje dawno już przeznaczył jako swoją strefę wpływów. Wyzwolenie ich przez wojska alianckie z pewnością zniweczyłoby jego plany. Nie ulegało wątpliwości, iż

z Grecji alianci szybciej dotarliby do Bałtyku niż jego armie do Bugu. Sprzyjała temu tak a nie inaczej zbudowana sieć kolejowa sprawiająca, że Niemcy dużo łatwiej i szybciej mogli przemieścić swoje dywizje z Rosji do Francji niż do Grecji.

Stalin nie miał najmniejszych wątpliwości, do czego zmierza Churchill. Musiał przeciwdziałać, w przeciwnym razie wschodnia Europa wymknęłaby mu się z rąk. Udawanie obrażonego sojusznika i grożenie zawarciem separatystycznego pokoju z Hitlerem już nie wystarczało. Musiał starannie rozegrać partię, której stawka była bardzo wysoka: przyszłość Europy. Za wszelką cenę musiał wkraść się w łaski Roosevelta i zniweczyć plany Churchilla.

Wieczorem 26 listopada pociąg wiozący Stalina i pozostałych sowieckich dygnitarzy wtoczył się na bocznicę dworca kolejowego w Baku. Stąd do Teheranu zostało już niedaleko. Wylecieli samolotem następnego dnia o ósmej rano w towarzystwie kilkudziesięciu myśliwców osłony. Niecałe trzy godziny później byli na miejscu.

Na lotnisku nie było żadnych ceremonii i powitań, które z reguły towarzyszą tego rodzaju wydarzeniom. Natychmiast po opuszczeniu maszyny Stalin i towarzyszące mu osoby wsiedli do podstawionych tuż przy schodkach samochodów i szybko pomknęli do sowieckiej ambasady.

Miasto wtłoczone między stare mury było labiryntem uliczek i zaułków, tak że łatwo było stracić orientację. Teheran był ogromny, bezkresny, na wpół europejski, brzydki i w dodatku pozbawiony budowli o znaczącej wartości historycznej czy artystycznej. Przecinały go szerokie, równoległe ulice, wzdłuż których ciągnęły się długie rzędy identycznych domów. W słoneczne dni te ulice były zakurzone, w deszczowe – tonęły w błocie. Wzdłuż nich wznosiły się rzędy pokrytych pyłem platanów, a po deszczu pojawiały się strumyki. Persowie używali tej wody do prania, do gotowania, wylewali do niej pomyje. W mieście często szalała cholera i dyzenteria.

Przy jedynej wybrukowanej ulicy miasta – Lalezar, znajdowały się luksusowe sklepy, ministerstwa, siedziba banku, policji oraz kiczowaty

pałac w pseudoeuropejskim stylu należący do Urzędu Poczty i Telegrafu, wychodzący na ogromny plac Sepah. Po ulicy jeździły *droschke*, malownicze teherańskie pojazdy konne. W Teheranie naprawdę nie było nic ciekawego do zobaczenia, może z wyjątkiem kilku przepięknych meczetów. Tylko domy i mury, mury i domy. Ulice nie miały nazw, domy numerów, nawierzchnia była wyboista, pełna dziur, a dychawiczne latarnie włączano tylko od zmierzchu do północy. W nocy bardzo trudno było orientować się w mieście, a chodzić po nim było niebezpiecznie. Tajna wojna służb specjalnych trwała w Iraku już od dawna. Każdego dnia na ulicach Teheranu znajdowano trupy niezidentyfikowanych Europejczyków: poznawszy przeciwnika, odpowiednie komórki likwidowały go często od razu, nie bawiąc się w żadne sądy i wyroki.

*

Minęło południe, kiedy w Teheranie wylądował samolot wiozący Churchilla. Na miejscu wyczuwało się już atmosferę wielkiego podniecenia. Na drodze prowadzącej z lotniska zgromadziły się tłumy, rozprawiające z przejęciem o wielkim wydarzeniu. Zawiodły wszelkie próby konspiracji i akcje pozorowane, między innymi zmyłkowe opróżnienie dwóch hoteli: „King David” w Kairze i „Eden” w Jerozolimie.

Szczupłe, ruchliwe Iranki, w bawełnianych sukienkach i obwieszone biżuterią, rywalizowały wśród tłumu z powodzeniem z czerwonolicymi, przygnębionymi Europejkami. Ostatnimi czasy dużo mniej kobiet nosiło tradycyjne czarne szaty i czarczafy. Mężczyźni wciąż witali się w ten sam wylewny sposób – wyrzucając w bok prawe ręce, zanim z głośnym plaśnięciem je połączyli, potrząsając sobie dłońmi co najmniej przez minutę lub dwie, chwytając jednocześnie lewą ręką ramię tego drugiego i gadając jak najęci.

Roiło się od żebraków i handlarzy ulicznych, wykorzystujących napływ naiwnych cudzoziemców. Przyjezdnych oblegały kaleki, kobiety z dziećmi, pucybuci i mężczyźni sprzedający wszystko, od używanych żyletek do

olbrzymich wiecznych piór, które miały zapas atramentu rzekomo na sześć miesięcy.

Po mieście krążyły powolne, pełne robactwa tramwaje z pasażerami uczepionymi niebezpiecznie na zewnątrz, na stopniu, stłoczonymi w kabinie motorniczego lub siedzącymi po turecku na dachu. Nie lepiej prezentowały się autobusy i taksówki – najwidoczniej brakowało części zamiennych, bo bardzo wiele pojazdów miało wybite szyby, opony bez powietrza, spora część jeździła bez reflektorów lub wycieraczek. Churchill ze zdziwieniem zauważył starego Morrisa i jeszcze starszego Packarda, które już całkiem się zepsuły i teraz ciągnęły je osły. Wśród pojazdów przewijały się uwikłane w śmiertelną walkę z nimi konne zaprzęgi i chłopskie wózki z mułami i osłami.

Tramwaje dzwoniły bez przerwy, w korkach ulicznych przez cały czas trąbiły wszystkie samochody, a jak już nie miały na co trąbić, to trąbiły z zasady. Woźnice i poganiacze wielbłądów, żeby się nie dać, wydzierali się na całe gardło. Z wielu sklepów i ze wszystkich kawiarni grzmiała arabska muzyka z puszczonych na pełny regulator tanich odbiorników. Uliczni sprzedawcy krzykliwie i nieustannie zachwalali swój towar, a przechodnie kazali im się wynosić. Psy szczekały, a nad głowami skrzeczały krążące ptaki. Zwykle do tego wszystkiego dołączały się jeszcze ryki przelatujących nad miastem samolotów, ale teraz, na czas konferencji, zamknięto dla nich przestrzeń powietrzną.

Tę szczególną atmosferę ulic Teheranu oddaje relacja attaché wojskowego Rzeczypospolitej Polskiej w Teheranie, Tadeusza Rudnickiego:

„Mimo środków ostrożności dla zachowania tajemnicy miasto już na drugi dzień wiedziało o sensacyjnej wizycie i oczekiwanym przybyciu pozostałych z Wielkiej Trójki. Przed poselstwem brytyjskim, wzdłuż alei od lotniska do poselstwa amerykańskiego stały od rana 27 listopada tłumy w oczekiwaniu wysokich gości. Sklepy zaczęły przybierać odświętny wygląd, wystawiając wśród kwiatów portrety Wielkiej Trójki i szacha,

a jakiś jubiler zdążył nawet wystawić w swym oknie srebrne papierośnice z portretem Stalina”.

Przewrażliwiony na punkcie konspiracji Churchill był wściekły i dodatkowo jeszcze przeziębiony. Jego niepokój o bezpieczeństwo począł wzrastać w miarę przybliżania się do miasta. Kiedy ruszył z lotniska, dojrzał po obu stronach rozstawionych co pięćdziesiąt metrów irańskich kawalerzystów, żywą reklamę sunących limuzyn. W miarę dojeżdżania do centrum miasta odstępy między kawalerzystami wypełniała tłocząca się ciżba. Wkrótce zdany był na łaskę lub niełaskę żywiołu.

– *Damned!* – zaklął wściekle.

„Bliżej centrum Teheranu gapie stali w czterech czy pięciu rzędach – zanotował w swych pamiętnikach zatytułowanych *Druga wojna światowa*, sześciotomowym cyklu, za który w 1953 roku otrzymał Nagrodę Nobla. – Ludność wydawała się być przyjazna, ale jednocześnie przejawiała rezerwę. Tłoczyła się w odległości kilku metrów od samochodu. Gdyby znalazło się dwóch, trzech ludzi zdecydowanych na wszystko i uzbrojonych w pistolety lub z bombą, nie mielibyśmy żadnej możliwości obrony. W miejscu, gdzie mieliśmy skręcać do poselstwa, powstał korek i przez trzy czy cztery minuty staliśmy pośród kłębiącej się ciżby zagapionych Persów”.

Wreszcie i ta przeszkoda została pokonana i premier, jakkolwiek pełen emocji, znalazł się w gmachu ambasady Wielkiej Brytanii.

*

W Waszyngtonie padał śnieg. Grube wodniste płaty wirowały w powietrzu, z wolna osiadając na trotuarach, gdzie w mgnieniu oka zmieniały się w lepką papkę. Nadchodził wczesny, nieprzyjemny zmierzch 11 listopada 1943 roku. Długa kolumna czarnych Buicków wyruszyła spod Białego Domu, kierując się w stronę bazy marynarki wojennej w Quantico. Tam prezydent Roosevelt w towarzystwie Harry’ego Hopkinsa, admirała Williama D. Leahy’ego, Edwina M. Watsona oraz dwóch innych doradców

wsiadł na pokład okrętu wojennego „Potomac”. Natychmiast wyruszyli w dół rzeki i nad ranem dopłynęli do ujścia Potomaku.

Już z daleka widać było masywną sylwetkę pancernika „Iowa”, jednego z największych i najszybszych okrętów w amerykańskiej marynarce wojennej, noszącego przydomek „The Big Stick” (Wielki patyk). Został zwodowany 27 sierpnia 1942 roku, a matką chrzestną została Ilo Wallace, żona wiceprezydenta USA, Henry’ego Wallace. Okręt przyjęto do służby 22 lutego 1943 roku z kapitanem Johnem L. McCrea na stanowisku dowódcy.

Prezydent, do którego dołączył generał George Marshall (ten od późniejszego planu Marshalla), admirał Ernest J. King i paru innych doradców, wprowadził się do kapitańskiej messy, którą uprzejmie oddał mu do dyspozycji kapitan McCrea. Otoczony niszczycielami okręt skierował się do Oranu.

Drugiego dnia podróży kapitan McCrea zaprosił Roosevelta na pomost, z którego prezydent mógł przypatrywać się przeprowadzanym właśnie ćwiczeniom przeciwlotniczym. Było to piękne widowisko, gdy spowity chmurą dymu ze stu sześćdziesięciu dział pancernik postawił zasłonę ogniową przeciwko wyimaginowanym samolotom nieprzyjaciela. Nagle jeden ze stojących obok prezydenta oficerów krzyknął przerażonym głosem:

– Cholera! To prawdziwa torpeda!

Okręt gwałtownie zwiększył prędkość, wykonując ciasny skręt.

– Co to jest? – zaniepokojony prezydent spojrzał na Hopkinsa.

Nim równie zdezorientowany doradca zdążył odpowiedzieć, usłyszeli głośny wybuch i zobaczyli wielką fontannę wzbijającą się z wody kilkadziesiąt metrów na prawo od pancernika.

– To jeden z niszczycieli, „William D. Potter” – zameldował po chwili admirał Ernest King. – Przypadkowo odpalił torpedę. Natychmiast każę zdymisjonować dowódcę.

– Niech pan tego nie robi – zaprotestował Roosevelt. – Dla tego nieszczęśnika sama świadomość, że mógł posłać na dno pięciu admirałów i prezydenta, będzie wystarczającą karą.

Dalsza podróż do Oranu przebiegała już bez zakłóceń.

„Pogoda wspaniała, jest dostatecznie ciepło i mogę siedzieć w samym tylko swetrze narzuconym na rybacką koszulę – napisał jeszcze tego samego dnia Roosevelt do swojej żony Eleanor, nie ośmielając się wspomnieć nawet jednym słowem o wypadku z torpedą. – Nie mogę opisać trasy, ale powinniśmy zobaczyć Afrykę jutro w nocy i wylądować w niedzielę rano".

Zgodnie z planem pancernik „Iowa" wszedł do orańskiego portu w niedzielę wczesnym rankiem. Stojąc na pomoście, Roosevelt powitał gestem dłoni stojących na nabrzeżu swoich synów, Elliotta i Franklina, oraz generała Dwighta Eisenhowera i kilku innych wyższych oficerów, którzy mieli mu towarzyszyć w podróży do Teheranu.

W tym samym czasie samolot Winstona Churchilla wylądował na lotnisku w Kairze. Premier wraz z towarzyszącym mu ambasadorem Alexandrem C. Kirkiem natychmiast odjechał do przygotowanej dla niego willi, niedaleko piramidy Cheopsa. Z niecierpliwością oczekiwał przyjazdu prezydenta Stanów Zjednoczonych, zdecydowany skruszyć jego nieufność wobec planu inwazji na Bałkanach, a przy okazji, podczas zaplanowanej na dzień następny konferencji i wieczornego przyjęcia, uwikłać Roosevelta we wspólne ustalenia, które ograniczyłyby Amerykanom pole manewru w Teheranie i możliwość zbliżenia ze Stalinem.

Prezydencki samolot „Sacred Cow" (Święta krowa) wylądował w Kairze 22 listopada. Prosto z lotniska Roosevelt w otoczeniu swojej świty udał się do przygotowanej dla niego przez ludzi Churchilla willi, w pobliżu willi premiera.

Następnego dnia, gdy obie delegacje zajęły miejsca przy długim stole konferencyjnym w hotelu „Mena Place", ku zdumieniu delegacji brytyjskiej na salę wkroczył odziany w czarną tunikę chiński *genaralissimus* Czang Kaj-szek. Nie znalazł się tam przypadkowo. Było to po prostu bardzo sprytne zagranie doradców Roosevelta, mające na celu skierowanie dyskusji na problemy Dalekiego Wschodu i ograniczenie czasu, jaki obaj politycy mogli poświęcić zagadnieniom europejskim.

„W obozie amerykańskim daje się zauważyć jakieś zacietrzewienie, jakaś złowieszcza ostrość przebija z ich wypowiedzi, kiedy mówią, że nie zamierzają dopuścić do zepsucia wszystkiego przez brak zdecydowania” – zanotował w swoim dzienniku osobisty lekarz Winstona Churchilla, Charles Moran.

Atmosfera ociepliła się znacznie podczas wieczornego przyjęcia wydanego przez córkę premiera Sarah Churchill. Prezydent jednak starannie unikał podczas rozmowy jakichkolwiek wiążących deklaracji w sprawie Bałkanów. Bardzo zręcznie za to, siedząc na wysokim krześle na kółkach, podzielił pieczonego indyka – był akurat Dzień Dziękczynienia[5].

– Duże rodziny są z reguły bardziej zjednoczone niż małe – powiedział, wznosząc toast. – Tego roku stanowimy z przedstawicielami Zjednoczonego Królestwa jedną wielką rodzinę, bardziej zjednoczoną niż kiedykolwiek wcześniej. Proponuję toast za tę jedność, niech trwa jak najdłużej!

Churchill podniósł swój kieliszek, przywołując na twarz coś, co przy maksimum dobrej woli można by uznać za uśmiech.

– Niech trwa! – rzucił krótko.

Coraz bardziej zdawał sobie sprawę, że większość atutów znalazła się poza jego talią. Ale nie wszystko było jeszcze stracone. Przede wszystkim należało nie dopuścić, żeby w Teheranie Roosevelt zwąchał się ze Stalinem…

W sobotę 27 listopada o godzinie 6.35 kawalkada limuzyn zatrzymała się na kairskim lotnisku tuż przy samolocie prezydenta. Tego ranka cały Kair spowiła gęsta, żółtawa mgła. W promieniu wyciągniętego ramienia oczy napotykały jakby nieprzenikniony mur, poza którym nie było widać nic. Biały całun przesłonił świat, wchłonął go w siebie, czyniąc nieistniejącym dla wzroku. Owinął wszystko dookoła, stwarzając złudzenie pobytu na samotnej wyspie. Ustał prawie wszelki ruch kołowy, a nieliczni przechodnie wlekli się noga za nogą, przesuwając ręce – jak ślepcy – po murach mijanych kamienic. Świadomość pustki i zatraty skradała się wolno

razem z tą poranną mgłą, która podchodziła coraz bliżej i bliżej, walcząc zawzięcie ze światłem.

Franklin Delano Roosevelt i towarzyszący mu ludzie zajęli miejsca w samolocie, czekając cierpliwie, aż mgła się podniesie i będą mogli wystartować.

*

Według urzędowego dziennika czynności prezydenta Stanów Zjednoczonych, samolot Roosevelta wylądował w Teheranie o godzinie 15.00 miejscowego czasu, na lotnisku sowieckich sił powietrznych, położonym kilka kilometrów na północ od miasta. Bezpośrednio po tym prezydent udał się do gmachu poselstwa Stanów Zjednoczonych, powitany przez ambasadora amerykańskiego w Teheranie, Gerarda Louisa Dreyfusa. Na miejscu zameldowali się wkrótce pozostali członkowie amerykańskiej ekipy oraz osoby towarzyszące. Dość powiedzieć, że obok licznej ochrony osobistej głowy państwa, dyrygowanej przez Mike Reilly'ego, do Teheranu przyjechało dziewięciu kucharzy i stewardów.

Szef ochrony z niepokojem obserwował zatłoczone ulice, przez które mieli przejeżdżać dwa, a może nawet więcej razy dziennie. Dobrze pamiętał dzień 15 lutego 1933 roku, kiedy to niedługo przed planowaną inauguracją Roosevelt przyjechał w odkrytym samochodzie do Miami. Z tłumu gapiów wyrwał się wtedy pewien włoski murarz nazwiskiem Giuseppe Zangara.

– Zbyt wielu ludzi umiera z głodu! – krzyknął, oddając do prezydenta pięć strzałów z nabytego specjalnie w tym celu rewolweru.

Rooseveltowi nic się nie stało, ale kule dosięgły siedzącego obok niego burmistrza Chicago Antona Cermaka, który zmarł z odniesionych ran trzy tygodnie później. „Cieszę się, że to ja zostałem postrzelony, a nie pan, panie prezydencie" – miał podobno powiedzieć do Roosevelta w szpitalu niedługo przed śmiercią[6].

Reilly był tym bardziej zdenerwowany, że zgodnie z uzyskanymi przez działającego w Teheranie pułkownika Herberta Normana Schwarzkopfa[7] informacjami teren Teheranu był wyjątkowo trudny i niebezpieczny. Działało tu wiele antybrytyjskich i antyamerykańskich ugrupowań, bardzo skorych do współdziałania z Niemcami. Już wcześniej szef ochrony proponował, żeby przenieść konferencję na Maltę, będącą całkowicie pod kontrolą Anglików, gdzie w odróżnieniu od Teheranu ewentualni agenci niemieccy nie mogli liczyć na współpracę z miejscową ludnością. Jednakże zaatakowana wściekle przez włoskie i niemieckie samoloty wyspa zamieniła się niedawno w stertę gruzów, w związku z czym zakwaterowanie tak dostojnych gości i odbycie tam konferencji stało się niemożliwe.

I tak oto w godzinach popołudniowych 27 listopada 1943 roku, po długiej korespondencji i skomplikowanych negocjacjach, Stalin, Roosevelt i Churchill spotkali się wreszcie w Teheranie. Bardzo pragnął dołączyć do nich prezydent Czechosłowacji Edvard Beneš, który swoimi kanałami dowiedział się o planowanej konferencji Wielkiej Trójki. 25 listopada wybrał się w podróż, jednak angielska ostrożność przewyższyła czeski spryt. Kiedy tylko samolot Beneša wylądował w Habbanii – angielskiej bazie lotniczej pod Bagdadem, poinformowano go o usterce technicznej maszyny i umieszczono jako gościa w pokojach gościnnych kasyna oficerskiego bazy. Usuwanie tej usterki trwało osiem dni, po czym Beneš przybył w końcu do Teheranu 5 grudnia, tylko po to już jednak, żeby zobaczyć jak wygląda miasto po odjeździe Wielkiej Trójki.

Z podobnym zamiarem nosił się premier Rządu Rzeczypospolitej Polskiej Stanisław Mikołajczyk. Nie mogąc spotkać się z Churchillem i Rooseveltem przed ich wyjazdem do Teheranu, zaproponował przybycie w każde miejsce, które zostanie zaproponowane przez obu mężów stanu. Chciał uzbroić premiera i prezydenta w odpowiednie argumenty wobec spodziewanej dyskusji ze Stalinem na tematy polskie. Ci jednak mieli w tym czasie do rozwiązania ważniejsze problemy niż wysłuchiwanie jego skarg.

Mike Reilly odetchnął trochę, kiedy Roosevelt znalazł się na miejscu. Budynek ambasady amerykańskiej położony był za wysokim murem i otoczony licznymi posterunkami wyposażonymi w broń maszynową. Dawał pełne poczucie bezpieczeństwa, ale tylko wtedy, gdy prezydent był w środku. Co będzie jednak, gdy wyjedzie poza tę fortecę? Dlatego też z radością przyjął wiadomość o zaproszeniu Roosevelta przez Churchilla do zamieszkania w poselstwie brytyjskim. To położone było tuż obok poselstwa sowieckiego, co oznaczało, że konferencje będą się odbywały w budynkach położonych blisko siebie, a trasa przejazdu prezydenta przez niebezpieczne ulice zostanie skrócona do minimum. Niestety, Roosevelt odrzucił zaproszenie.

– Szef suwerennego państwa nie może być gościem na obcej ziemi – odpowiedział.

Z tego samego powodu zresztą odrzucił podobne zaproszenie Stalina. Ale następnego dnia rano sowiecki przywódca ponowił zaproszenie, informując przy okazji ambasadora Harrimana, że jego ludzie w Teheranie aresztowali właśnie trzech zamachowców przygotowujących atak, który miał nastąpić w trakcie przejazdu prezydenta przez miasto. Wiedząc już, że do zamachu nie dojdzie, Stalin nadal mógł szermować jego groźbą. Dano Amerykanom do zrozumienia, że prawie czterdziestu niemieckich spadochroniarzy złapano, ale sześciu „pozostaje na wolności”. Ambasada sowiecka znajdowała się vis-à-vis placówki brytyjskiej, podczas gdy amerykańska była ulokowana niemal dwa kilometry dalej. Codzienny przejazd takiego odcinka mógł narazić Roosevelta na atak niemiecki. Był to dość wygodny argument nie tylko dla Stalina, ale także dla prezydenta USA, aby ulokować tego drugiego w ambasadzie sowieckiej, którą uznano za bezpieczniejszą od brytyjskiej.

Roosevelt przebywał we własnym pokoju, kiedy Harriman i Reilly przyszli powiadomić go o planowanym przez Niemców zamachu.

– Przekazane nam przez Rosjan szczegóły wskazują jednoznacznie, że zagrożenie jest bardzo duże – oświadczył Reilly.

– Długie i częste przejazdy ulicami Teheranu są ogromnie ryzykowne – poparł go ambasador Harriman, powtarzając nieświadomie argumentację Wiaczesława Mołotowa. – Odrzucając propozycję Rosjan, sam czułby się pan odpowiedzialny, gdyby cokolwiek przydarzyło się Churchillowi lub Stalinowi w drodze do lub z poselstwa amerykańskiego.

– No a Churchill? – zapytał Roosevelt. – Odrzuciłem przecież jego zaproszenie.

– Churchill nie będzie obrażony – przekonywał Harriman. – Rozumie doskonale, że gmach brytyjskiej ambasady jest niewielki i umieszczenie tam całej amerykańskiej delegacji byłoby bardzo uciążliwe, zarówno dla gości, jak i gospodarzy.

– No dobrze – zgodził się w końcu Roosevelt, dla którego perspektywa porozmawiania sam na sam ze Stalinem, bez udziału Churchilla, była również bardzo pociągająca.

Minęła godzina 15.00 28 listopada, kiedy ciągnąc za sobą całą swoją świtę, Roosevelt opuścił siedzibę ambasady USA. Piętnaście minut później zamknęły się za nim wrota prowadzące do poselstwa ZSRS.

– Ta konferencja skończyła się, zanim zdążyła się rozpocząć – westchnął tylko na wieść o tym doradca Churchilla, generał Allan Brooke.

Przywódcy dwóch przyszłych supermocarstw już zawczasu zamierzali „przełamać lody” ponad głową słabszego brytyjskiego sojusznika, czego Churchill był zresztą doskonale świadomy, lecz nic nie mógł na to poradzić. W ten oto sposób Stalin i Roosevelt pozbyli się jego ciągłego towarzystwa.

*

Otwarcie obrad wyznaczono na godzinę 16.00. Wcześniej jednak doszło do sceny godnej wielkiego dramatu. Do spotkania dwóch ludzi, którzy już od dawna o tym marzyli. Teraz wreszcie byli razem, w jednym kraju, w jednym mieście, w jednym budynku i za chwilę mieli sobie uścisnąć ręce. Prezydent Stanów Zjednoczonych Franklin Delano Roosevelt, mąż stanu, świadom tworzonej przez siebie rzeczywistości, oraz Józef Stalin,

twórca politycznej i ekonomicznej potęgi Związku Sowieckiego, naczelny dowódca Armii Czerwonej.

Roosevelt był wniebowzięty. Od dawna marzył o tej chwili, by mieć przed sobą Stalina i mówić o bohaterstwie Armii Czerwonej, mówić o swoich szerokich planach powojennej organizacji świata. Przekonać Stalina do nich, podbić go swym urokiem osobistym, otoczyć ciepłem, z jakim odnosił się do swych rozmówców. Chciał zawojować Stalina, uczynić go swym przyjacielem i powiernikiem, chciał wziąć go za ręce i pójść razem ku nowej, świetlanej przyszłości.

Nie wiedział tylko, biedaczek, że będzie miał do czynienia z kimś, kogo chytrość i podstępność tysiąckrotnie przewyższała jego własną.

Właśnie z zainteresowaniem rozglądał się po przydzielonej mu sypialni, kiedy Mike Reilly poinformował go, iż marszałek Stalin pragnie powitać swego gościa.

Kaleka wjechał na swym wózku inwalidzkim do salonu, w którym czekał już niski mężczyzna ze śladami po ospie na twarzy. Górna warga wpadnięta, dolna wysunięta do przodu. Ubrany w mundur koloru musztardowego, z wielkimi złotymi epoletami i jednym tylko orderem zawieszonym na piersi. Przywódca Związku Sowieckiego. Wódz i Nauczyciel ludzi pracy z całego świata, Ojciec Narodów, Mądry i Zapobiegliwy Wódz Sowieckiego Narodu, Największy Geniusz wszystkich czasów, Największy Dowódca wszech czasów, Koryfeusz Nauki, Wierny Towarzysz Lenina, Wierny Kontynuator dzieła Lenina, Górski Orzeł, Wielki Językoznawca, etc., etc.… Józef Wissarionowicz Dżugaszwili, ksywa „Stalin”. Wojenne lata odcisnęły na nim ogromne piętno. Przygarbił się, posiwiał, poruszał się wolniej, jakby z wysiłkiem. Stał się jeszcze bardziej podejrzliwy i nieufny. Dla prezydenta Stanów Zjednoczonych przygotował jednak na ten dzień jedną ze swoich masek – Najlepszego Przyjaciela wszystkich dzieci.

– Miło mi pana widzieć, marszałku – zawołał żywo Roosevelt, wyciągając rękę. Jego słowa natychmiast przetłumaczył stojący pół kroku

za sowieckim przywódcą tłumacz, Walentin Bierieżkow. – Mam wrażenie, że nieco się spóźniłem, proszę wybaczyć.

– Nie, pan przybył punktualnie – zaoponował Stalin. Tłumacz Roosevelta, Charles „Chip” Bohlen, pochylił się nad wózkiem, przekładając wiernie prezydentowi słowa gospodarza. – To ja przyszedłem wcześniej – Dżugaszwili przywołał na twarz swój najbardziej reprezentacyjny uśmiech. Ten przyjazny na pierwszy rzut oka grymas grał jednak w dziwnej sprzeczności z władczym spojrzeniem zimnych oczu. – Było to moim obowiązkiem jako gospodarza. Pan jest naszym gościem. Było nie było, znajdujemy się przecież na terytorium sowieckim…

– Protestuję! – roześmiał się Roosevelt. – Przecież zdecydowaliśmy się spotkać na terytorium neutralnym. Tu jest więc moja rezydencja, a pan jest moim gościem.

– Nie będziemy się sprzeczali – ustąpił Stalin, i było to jedno z nielicznych ustępstw, które poczynił aż do końca trwania konferencji. – Proszę lepiej powiedzieć, czy wygodnie się pan tutaj urządził, panie prezydencie. Może czegoś panu potrzeba?

– Nie, dziękuję, wszystko jest w porządku. Czuję się jak w domu.

– To znaczy, że jest pan zadowolony?

– Jestem panu bardzo wdzięczny za odstąpienie tego domu.

– Proszę do stołu – zaproponował Stalin.

Służący Roosevelta, młody Filipińczyk, przesunął wózek na wskazane miejsce, obrócił go i zaciągając hamulec na kole wyszedł z pokoju. Stalin poczęstował prezydenta papierosem, ale ten, podziękowawszy, odmówił. Wyjął swoją papierośnicę, długimi, cienkimi palcami włożył papierosa do wytwornej cygarniczki i zapalił.

– Przyzwyczaiłem się do swoich – usprawiedliwił się, uśmiechając się przy tym rozbrajająco. – A gdzież to pańska słynna fajka, marszałku? Ta fajka, którą, jak mówią, wykurza pan swoich wrogów?

Stalin uśmiechnął się chytrze i przymrużył oczy.

– Wydaje się, że już wszystkich wykurzyłem, ale, mówiąc poważnie, lekarze radzą mi mniej używać fajki. Zabrałem ją jednak ze sobą i żeby

sprawić panu przyjemność, przyniosę ją następnym razem.

Stalin lubił tytoń „Hercegowina fleur”, kruszył papierosy i nabijał fajkę uzyskanym w ten sposób tytoniem. Sama ta czynność pochłaniała go wielce, mając znaczenie psychoterapeutyczne. Nie uznawał też żadnych leków prócz jodyny i żeńszenia, przeważnie leczył się sposobem kaukaskich górali – nakładał papachę, wypijał gorącą herbatę i kładł się spać.

– Czy ma pan jakieś propozycje co do porządku dziennego dzisiejszej rozmowy? – szybko przeszedł do rzeczy.

– Nie sądzę, żebyśmy musieli już teraz ściśle określać krąg problemów, które mamy omawiać. – Roosevelt zaciągnął się głęboko dymem. – Po prostu można by ograniczyć się do najogólniejszej wymiany poglądów w sprawie obecnej sytuacji oraz perspektyw na przyszłość.

– Jestem gotów przyjąć tę propozycję – powiedział Stalin, po czym powolnym ruchem wziął pudełko z ulubionymi „Biełomorkanałami”, otworzył, długo wybierał odpowiedni papieros, jak gdyby czymkolwiek się różniły, i zapalił. W pomieszczeniu rozszedł się smród palonych opon.

Biełomorkanał. Wielka budowa z czasów stalinowskich i jedne z najpodlejszych papierosów na świecie. Oba Biełomorkanały odpowiadają za śmierć tysięcy istnień ludzkich. Przy budowie potężnego kanału łączącego Morze Białe z Bałtykiem, przebiegającego przez tereny pokryte litymi skalami granitowymi, pracowało przez dwadzieścia jeden miesięcy sto siedemdziesiąt tysięcy więźniów. Używali drewnianych szpadli, zwykłych pił, kilofów i taczek… Wedle niektórych wyliczeń podczas prac zmarło dwadzieścia pięć tysięcy ludzi! Mordercze papierosy nazwano na cześć morderczego kanału.

*

Ta rozmowa, przy której obecni byli tylko tłumacze, trwała zaledwie pół godziny. Obaj przywódcy nie wyszli poza ogólnikową wymianę zdań na temat sytuacji na świecie. Najpierw chcieli się lepiej poznać. Dzięki

ściągnięciu Roosevelta do sowieckiej ambasady mieli jeszcze wiele czasu i okazji, aby w cztery oczy omówić najważniejsze sprawy powojennego porządku.

Czy omawiali również kwestię ewentualnej inwazji na Bałkany? Nie wiadomo. Zapewne tak, chociaż Stalin wcale nie musiał specjalnie skłaniać swego gościa do storpedowania planu Churchilla. Doskonale wiedział, że Roosevelt bynajmniej nie pali się do tego. Naiwny jak dziecko prezydent Stanów Zjednoczonych wiódł ze swoimi doradcami na terenie sowieckiej ambasady niczym nieskrępowane rozmowy:

– Rosjanie wejdą wkrótce do Rumunii – mówił na przykład. – Co odpowiemy im, jeżeli powiadomią nas o tym fakcie i spytają, w jaki sposób sojusznicy zachodni zamierzają udzielić niezwłocznej pomocy armii sowieckiej?

– Za kilka miesięcy rozpoczniemy operację „Overlord” – zauważył generał Henry Harley Arnold – szef Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych [kryptonimem tym oznaczone było przewidywane lądowanie wojsk alianckich w Normandii].

– No właśnie, dopiero za kilka miesięcy. A co należy czynić tymczasem?

– Istnieje już plan zdobycia Rzymu – wyjaśnił szef amerykańskiego sztabu, admirał William Daniel Leahy. Nie mówiąc o naszym przewidywanym zaangażowaniu na Morzu Egejskim.

– Bzdura – Roosevelt machnął pogardliwie ręką. – Kampania włoska wyraźnie go przekonywała, natomiast operacja „Rodos” w żadnej mierze. – Nie wierzę, by Turcja wystąpiła, nie stawiając postulatów nie do zrealizowania, przynajmniej obecnie. Angażowanie się do działań na Morzu Egejskim, do czego dąży Churchill, jest zupełnie bez sensu.

Nie przyjmował do wiadomości, iż premierowi Wielkiej Brytanii chodzi w rzeczywistości o naprawdę niewielkie siły, równowartość dwóch dywizji. Upatrywał w tym nowego podstępu, dywersji w stosunku do już przyjętych planów.

– Zapewniam panów, że opanowanie wysp Dodekanezu stworzy worek bez dna i pochłonie olbrzymie środki, albowiem po usadowieniu się na

Rodos i zgodnie ze swą dotychczasową taktyką Churchill zmieni front, a potem powie nam: Teraz zabieramy się do Grecji. I co? I będzie nowy front.

– Anglicy nigdy nie wysuwali planów lądowania w Grecji – wtrącił George Marshall. – A to miałoby nawet swoje pozytywne strony.

– Zbyt idealistycznie ocenia pan sytuację – wybuchnął Roosevelt. – Należy dużo bardziej krytycznie spoglądać na wszystkie zamierzenia Churchilla w strefie śródziemnomorskiej, którą Anglicy uważają za obszar znajdujący się pod brytyjską dominacją.

Oceniając krytycznie brytyjskie plany w sprawie Rodos, amerykański prezydent uczepił się kampanii włoskiej. Sądził, że działając na tym kierunku, będzie można przyjść z bardziej odczuwalną pomocą Związkowi Sowieckiemu i że po zdobyciu Rzymu i wyparciu Niemców za Alpy wojska frontu włoskiego będą kontynuowały działania w północnej części Adriatyku albo przejdą do południowej Francji. Pierwszy z tych wariantów bardziej trafiał do wyobraźni Roosevelta. Otwierał bowiem teoretyczne możliwości dojścia do Austrii przy użyciu tylko tych sił, które znajdowały się na froncie włoskim. Dojście do określonych rubieży na północ od Rzymu – zdaniem Roosevelta – należało wykorzystać również dla udzielenia wydatnej pomocy partyzantom Josipa Broz-Tito, a nawet dla wysłania na Bałkany niewielkich oddziałów komandosów, które nie przekroczyłyby dwóch tysięcy ludzi.

Wykonanie tych planów i wykorzystanie rysujących się możliwości uzależnione było od pokonania niemieckiej obrony u stóp Monte Cassino. Można to było osiągnąć drogą przełamania wprost lub w wyniku operacji desantowych, podjętych z morza na tyłach niemieckiej obrony. Do tego niezbędne jednak były odpowiednie oddziały szturmowe, a przede wszystkim środki desantowe. Tymczasem decyzje w tych sprawach zostały uzależnione w ostatniej instancji od przebiegu konferencji teherańskiej i charakteru podjętych tam decyzji.

*

Decyzja o podjęciu ofensywy we Francji w maju 1944 roku (ostatecznie zaczęła się ona w czerwcu) była doskonałą wieścią dla Stalina, podobnie jak przyzwolenie na „bezpieczną” granicę zachodnią ZSRS kosztem Polski. Ponadto za sprawą Kima Philby’ego Stalin wiedział też, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone chciały pominąć milczeniem polskie oskarżenia Sowietów o zbrodnię katyńską.

Churchillowi nie udało się zrealizować planów wojennych opracowanych z myślą o ataku na „miękkie podbrzusze” Europy. Brytyjski premier przegrał z czasem i amerykańskim sojusznikiem, który ochoczo stanął po stronie Stalina. Przegrał także z sowieckim wywiadem.

„Siedziałem tam z wyciągającym łapy, wielkim rosyjskim niedźwiedziem z jednej strony i potężnym amerykańskim bizonem z drugiej, a między nimi był mały, biedny angielski osiołek” – żalił się potem.

Pozostaje jeszcze pytanie: skąd Stalin o tym wszystkim wiedział wcześniej? Odpowiedź jest banalnie prosta, tak prosta, że aż trudno uwierzyć, że Amerykanie nie zdawali sobie z tego sprawy. A może po prostu chcieli w ten sposób przekazać „wujkowi Joe” pewne wiadomości?

W trakcie całego pobytu Roosevelta w sowieckiej placówce gdzieś w tle przemykał człowiek, który za przyzwoleniem dzierżył na Kremlu wielką władzę. W Teheranie był prawie niewidoczny, pozostający w cieniu, chociaż jego ludzi spotykało się na każdym kroku. Ławrientij Beria – Ludowy Komisarz Spraw Wewnętrznych. Objął to stanowisko w 1938 roku, po wielu latach ciężkiej pracy w sowieckim aparacie policyjnym, WCzK i GRU. Z jego polecenia od 1939 roku organizowano w ZSRS deportację ludności polskiej z terenów zajętych przez sowieckie wojska po 17 września 1939 roku. Z jego polecenia przeprowadzono przymusowe przesiedlenia Tatarów krymskich, Czeczeńców i innych mniejszości narodowych, w czasie których śmierć poniosły setki tysięcy ludzi. 30 lipca 1941 roku wszedł w skład państwowego Komitetu Obrony.

Najważniejszym zadaniem Berii w Teheranie, obok – oczywiście – zapewnienia bezpieczeństwa Stalinowi, było zbieranie informacji

wywiadowczych. Głównym źródłem tych informacji były ukryte w pokojach Amerykanów mikrofony. Zgodnie z zeznaniami, jakie po wojnie złożył jego syn, Sergo Beria, ojciec dawał mu do tłumaczenia taśmy z nagranymi rozmowami członków amerykańskiej delegacji, w tym rozmowę Roosevelta z Churchillem, który pewnego dnia zdecydował się odwiedzić prezydenta. Każdego dnia Beria przygotowywał dla Stalina dokładny raport na temat tego, czego dowiedział się z podsłuchów. A czego dokładnie się dowiedział? Tego nie wiemy. Do dnia dzisiejszego rosyjskie archiwa pozostają zamknięte na cztery spusty.

„Służący, którzy ścielili łóżka i sprzątali pokoje, byli funkcjonariuszami bardzo skutecznej NKWD, tajnej policji, a pod ich białymi marynarkami na biodrach były wyraźnie widoczne pokaźne wybrzuszenia – zanotował Harry Hopkins. – To był nerwowy okres dla Michaela F. Reilly'ego i jego służby Białego Domu, wytrenowanych w podejrzewaniu każdego i bardzo nielubiących, gdy do prezydenta zbliżał się ktokolwiek mający przy sobie coś więcej niż wykałaczkę".

Ambasada sowiecka była naszpikowana podsłuchami, więc nawet kiedy premier Wielkiej Brytanii próbował coś ustalać z prezydentem USA w cztery oczy, treść rozmowy natychmiast docierała do uszu sowieckiego dyktatora. A ten już dobrze wiedział, co chce osiągnąć. Lansowana przez Churchilla koncepcja inwazji na Europę od strony Bałkanów upadła, a Roosevelt w zasadzie przystał na oddanie Europy Środkowo-Wschodniej Stalinowi.

Takie konsekwencje pociągnęła za sobą nigdy niezrealizowana operacja „Weitsprung", którą przeprowadzić miał Otto Skorzeny.

*

Konferencja w Teheranie, stolicy Iranu, była pierwszym z cyklu trzech spotkań przywódców koalicji antyhitlerowskiej, czyli tak zwanej Wielkiej Trójki. Trwała od 28 listopada do 1 grudnia 1943 roku. Głównymi sprawami poruszanymi w trakcie jej trwania było otwarcie drugiego frontu

w zachodniej Europie Na konferencji potwierdzono żądanie bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy i poddanie całego terytorium Niemiec okupacji Wojsk Sprzymierzonych. Zdecydowano o udzieleniu pomocy komunistycznym oddziałom marszałka Josipa Broz-Tito, przy jednoczesnym wycofaniu poparcia dla czetników i rezygnacji z inwazji na Bałkanach.

Rozmawiano także o utworzeniu Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz o Europejskiej Komisji Doradczej, która miała zadecydować o powojennych losach Niemiec. Stalin zażądał dodatkowo wydzielenia sowieckiej strefy wpływów w Europie Wschodniej i krajach nadbałtyckich. Ustalono ponadto, że żadna ze stron nie zawrze separatystycznego pokoju z Niemcami.

Sprawy polskie koalicjanci potraktowali marginesowo. Prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Wielkiej Brytanii wstępnie zaakceptowali żądanie Stalina, aby granica pomiędzy Polską a ZSRS była wytyczona wzdłuż linii Curzona – proponowanej linii demarkacyjnej (linii odgraniczającej w czasie zawieszenia broni lub rozejmu walczące wojska, w tym wypadku polskie i bolszewickie), opisanej w nocie z 11 lipca 1920 roku i wystosowanej przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych lorda George’a Curzona do Ludowego Komisarza Spraw Zagranicznych RFSRR Gieorgija Cziczerina. Przebieg linii oparty został na Deklaracji Rady Najwyższej Głównych Mocarstw Sprzymierzonych i Stowarzyszonych w sprawie tymczasowej granicy wschodniej Polski z 8 grudnia 1919 roku. Jednocześnie zdecydowano o przesunięciu kosztem Niemiec zachodniej i północnej granicy Polski.

Podjęcie decyzji w najistotniejszych dla Polski sprawach odbyło się bez wiedzy i zgody rządu polskiego na emigracji. W trakcie dyskusji na temat granicy polsko-sowieckiej Churchill zadeklarował, że nie będzie „kruszył kopii o Lwów”.

– Ognisko państwa polskiego i narodu polskiego powinno znajdować się między tak zwaną linią Curzona a linią rzeki Odry, z włączeniem w skład

Polski Prus Wschodnich i prowincji opolskiej – powiedział w ostatnim dniu trwania konferencji. Z jego stanowiskiem zgodził się łaskawie Roosevelt.

Ze względu na odbywające się jesienią 1944 roku w USA wybory prezydenckie, na prośbę prezydenta Roosevelta liczącego na głosy Polonii amerykańskiej utajniono postanowienia Wielkiej Trójki w kwestii polskiej.

Rząd polski, po zapoznaniu się z tymi ustaleniami, ufny w poparcie rządów zachodnich mocarstw, energicznie zaprotestował, choć został uprzedzony, że rząd Jego Królewskiej Mości usilnie nalega na ich akceptację, dostrzegając w nich „szansę dla odrodzenia narodu polskiego, świetniejszą niż kiedykolwiek". Rząd polski żądał przywrócenia granicy wschodniej ustalonej po pokoju ryskim w roku 1921 oraz jak najszybszego powołania polskiej administracji na ziemiach uwolnionych od okupacji niemieckiej[8].

Równie dobrze mógł żądać ziemi na Księżycu. Odtąd przyszłość świata miała się potoczyć innym torem.

Czy w takiej sytuacji może dziwić fakt, że Stalin wrócił z konferencji teherańskiej w doskonałym humorze?

Przypisy

1 Po wyzwoleniu Francji przez wojska alianckie Pierre Laval uciekł do Niemiec, a stamtąd do Austrii i Hiszpanii. Wydany władzom francuskim w 1945 roku, stanął przed sądem i został skazany na karę śmierci. 9 października 1945 roku zginął rozstrzelany przez pluton egzekucyjny. Marszałek Pétain natomiast po inwazji aliantów w Normandii zgłosił w sierpniu 1944 roku wysłannikowi generała Charlesa de Gaulle'a gotowość przekazania władzy. Został przez Niemców internowany, wywieziony w głąb Rzeszy i osadzony w zamku Sigmaringen w Badenii-Wirtembergii. Odmówił wykonywania obowiązków głowy państwa, pozostając w areszcie domowym. W kwietniu 1945 roku powrócił

dobrowolnie ze Szwajcarii do wolnej już Francji, gdzie oddał się w ręce władz francuskich. Chciał procesu sądowego w swojej sprawie. Rozprawa przed paryskim Trybunałem Stanu (ta sama, podczas której sądzony był Laval) rozpoczęła się 23 lipca 1945 roku. W skład sądu wchodzili francuscy parlamentarzyści, którzy pięć lat wcześniej przekazali władzę w jego ręce, oraz sędziowie i uczestnicy ruchu oporu. Przed procesem został zdegradowany. Rozprawie przewodniczył Paul Mongibeaux. Postawione zarzuty to: zaakceptowanie porażki militarnej w 1940 roku, przekroczenie uprawnień przyznanych przez Zgromadzenie Narodowe, polityka kolaboracji z III Rzeszą, dostarczanie siły roboczej i surowców dla przemysłu wojennego Niemiec (akt oskarżenia nie wspominał o odpowiedzialności za wywiezienie z Francji do obozów koncentracyjnych ponad 75 tys. Żydów). Prokurator André Mornet nie wahał się używać określenia „zdrada narodowa”. Żądał dla Pétaina kary śmierci, mówiąc, że nawet tak znamienite nazwisko nie może chronić zdrajcy. Pétain występował podczas procesu w mundurze ze wszystkimi odznaczeniami bojowymi, jednak bez stopnia wojskowego. W ręku trzymał marszałkowską buławę i marszałkowskie kepi. W rozprawie zabrał głos tylko raz, wygłaszając oświadczenie do Trybunału, w którym zawarł słowa: „Na waszą ocenę odpowiada Bóg i potomność, niech mnie osądzi Francja”. Wyrok zapadł 15 sierpnia 1945 roku o godzinie 4.00 rano. Trybunał Stanu podtrzymał argumenty oskarżenia i skazał Pétaina na karę śmierci przez rozstrzelanie, apelując jednak do de Gaulle’a o odstąpienie od wykonania kary śmierci ze względu na podeszły wiek skazanego (89 lat). Z tego właśnie powodu oraz z powodu wcześniejszych zasług dla Francji w czasie I wojny światowej generał de Gaulle ostatecznie zamienił mu karę na dożywotnie więzienie na wyspie Île d’Yeu u zachodniego wybrzeża Francji, gdzie Pétain zmarł 23 lipca 1951 roku w wieku 95 lat.

2 Nikołaj Iwanowicz Kuzniecow zginął wraz z dwoma towarzyszami 9 marca 1944 roku w pobliżu wsi Boratyn w okolicach Brodów, rozstrzelany przez oddział partyzantów UPA. (Istnieje też udokumentowana wersja, że zatrzymanie i śmierć Kuzniecowa nastąpiły w okolicach Werby na

Wołyniu). Jeszcze inna wersja mówi, że sam rozerwał się granatem, nie chcąc wpaść w ręce wroga. Pochowany został we Lwowie. Od jego nazwiska pochodzi nazwa miasta Kuzniecowsk w obwodzie równieńskim na Ukrainie.

3 Przeprowadzony w 1949 roku proces sądowy uwolnił działającego pod pseudonimem „Ales” Hissa od zarzutu szpiegostwa. Ponowny proces w roku 1950 po ujawnieniu przechowywanej przez Whittakera Chambersa korespondencji Hissa doprowadził do skazania go na 5 lat więzienia za krzywoprzysięstwo, którego dopuścił się, zeznając pod przysięgą w procesie o szpiegostwo, że nie był agentem ZSRS. (Zgodnie z prawem Hiss nie mógł być ponownie sądzony i skazany za szpiegostwo).

4 John Edgar Hoover (1895–1972) stał na czele FBI przez 48 lat. Podczas jego kariery przez Biały Dom przewinęło się ośmiu prezydentów, od Calvina Coolidge’a do Richarda Nixona. Przeżył II wojnę światową, rewolucję seksualną i kryzys kubański. Kiedy w grudniu 1924 roku, dziesięć dni przed swymi trzydziestymi urodzinami, obejmował stanowisko szefa FBI (czy też raczej jeszcze wtedy BI) zatrudniało ono około 650 pracowników, w tym 441 agentów specjalnych. Rozbudował w jego ramach skutecznie działającą agencję do walki z przestępczością kryminalną, tworząc scentralizowaną bazę danych o odciskach palców, laboratoria kryminalistyczne i szkoły policyjne. W latach trzydziestych walka z gangsterami uczyniła z niego bohatera Ameryki. Później łapał hitlerowskich szpiegów i bezlitośnie ścigał komunistów – tych prawdziwych i tych domniemanych. Zbierał informacje o wszystkim i wszystkich, szczególnie ceniąc doniesienia o homoseksualizmie i innych seksualnych dewiacjach. Dla przeciętnych Amerykanów był „Pierwszym Gliną”, dla wtajemniczonych: „nietykalnym” i „nieusuwalnym” szefem najpotężniejszej instytucji rządowej w historii Ameryki. Do jego ulubionych metod należało obrzucanie przeciwników błotem poprzez „zaprzyjaźnione” źródła w mediach czy wysyłanie anonimowych listów do ich bliskich i współpracowników. Większość kompromitujących materiałów Hoover gromadził w podręcznym archiwum, a jak zeznał jeden

z wtajemniczonych urzędników, były to „szuflady pełne politycznego raka”. Curt Gentry, autor książki *J. Edgar Hoover. The Man and The Secrets*, wylicza, że znalazły się tam między innymi: „materiały kompromitujące głowę amerykańskiej dynastii politycznej, jego synów, ich żony i inne kobiety” (klan Kennedych); pogłoski o dwóch aresztowanych homoseksualistach, co dzięki przeciekowi do prasy pomogło zniszczyć jednego z demokratycznych kandydatów na prezydenta; raporty wywiadowcze o rzekomych kochankach (mężczyznach i kobietach, białych i czarnych) jednej z najpopularniejszych Pierwszych Dam; listy agentów działających w Białym Domu za rządów ośmiu administracji, jakim Hoover służył jako dyrektor FBI; setki nielegalnych podsłuchów i nagrań, zawierających na przykład dowody, że prokurator generalny (późniejszy sędzia Sądu Najwyższego) otrzymywał łapówki od chicagowskich gangsterów; wreszcie teczki z wszelkimi niesmacznymi plotkami o największych postaciach show-biznesu, jakie tylko udało się zgromadzić. „Do cholery! On ma teczki na wszystkich” – skarżył się podobno swego czasu sam prezydent Richard Nixon. Przez całe lata Hoover zdobywał coraz większą władzę, mając wgląd do tajnych akt dotyczących działalności i prywatnego życia wielu przywódców politycznych. Kiedy rankiem 2 maja 1972 roku zwłoki Hoovera znaleziono na podłodze w jego sypialni, skończyła się pewna epoka. Wielu odetchnęło z ulgą, a wśród nich prezydent Nixon, który aż dwukrotnie próbował pozbyć się szefa FBI, za każdym razem bez skutku.

5 Dzień Dziękczynienia – słynne święto amerykańskie nawiązujące do czasów, kiedy w XVII wieku w Massachusetts panował głód i ludzie przeżyli tylko dzięki wzajemnej solidarności. Obchodzone jest w ostatni czwartek listopada. Jest to święto rodzinne, podczas którego najbliżsi zasiadają do stołu zastawionego tradycyjnymi potrawami, jakie spożywano dawniej. Nie może zabraknąć przede wszystkim pieczonego indyka, słodkich ziemniaków, kukurydzy i ciasta z dyni. Przed posiłkiem każdy powinien powiedzieć głośno, za co szczególnie dziękuje Bogu w minionym roku.

6 Ujęty na miejscu Giuseppe Zangara został osądzony i skazany na karę śmierci pomimo podejrzenia, iż jest nie do końca sprawny umysłowo i poczytalny. Zaledwie w dwa tygodnie po śmierci Cermaka, 20 marca 1933 roku, został stracony na krześle elektrycznym. Idąc na egzekucję, wznosił okrzyki *Viva Italia!*, a jego ostatnie słowa, skierowane do obsługującego aparaturę kata, wypowiedziane łamanym angielskim, brzmiały: „Naciśnij guzik! No dalej, naciśnij wreszcie ten cholerny guzik!” Dla wielu Zangara pozostaje symbolem doprowadzonej do rozpaczy i ostateczności masy ludzkiej, która padła ofiarą wielkiego kryzysu.

7 Herbert Norman Schwarzkopf (1885–1958) był ojcem generała Herberta Normana Schwarzkopfa Juniora, późniejszego (1991 rok) dowódcy międzynarodowych sił koalicji antyirackiej podczas pierwszej wojny w Zatoce Perskiej (operacja „Desert Storm” – Pustynna Burza). Matką generała była Ruth Alice Bowman, potomkini sławnej Indianki Pokahontas.

8 Po konferencji w Teheranie wzrósł nacisk Churchilla na rząd premiera Stanisława Mikołajczyka, aby za cenę uznania granicy na linii Curzona doprowadzić do ponownego nawiązania przez Związek Sowiecki stosunków dyplomatycznych z rządem emigracyjnym w Londynie. Dawano przy tym do zrozumienia, że jeżeli rząd polski na emigracji nie poczyni ustępstw w sprawie granicy wschodniej, to Stalin powoła nowy rząd polski, który przyjmie żądania Moskwy. Wkroczenie Armii Czerwonej na polskie Kresy Wschodnie w początkach 1944 roku czyniło takie rozwiązanie najbardziej prawdopodobnym. Stanowisko rządu polskiego na emigracji w sprawie unormowania stosunków z ZSRS na podstawie przywrócenia przedwojennej granicy Polski nie uległo zmianie przez kolejne miesiące 1944 roku pomimo brytyjskich nacisków. Sytuację zmieniło dopiero powstanie PKWN w Moskwie w lipcu 1944 roku. Od tej pory nie było już mowy o uznaniu rządu polskiego na emigracji przez Związek Sowiecki, lecz jedynie o ewentualnym poszerzeniu PKWN o zaakceptowanych przez Stalina polityków z emigracji. Nie przyniosły wyników wizyty Stanisława Mikołajczyka w Moskwie, zaś tragedia powstania warszawskiego

doprowadziła do umocnienia pozycji PKWN w kraju. 31 grudnia 1944 roku przekształcono PKWN w Rząd Tymczasowy, uznany natychmiast przez Moskwę. Kolejne, już bardziej szczegółowe decyzje zapadły na konferencji w Jałcie, której postanowienia były kluczowe dla powojennego świata, w tym również i przyszłości Polski.

Rozdział 5

Zamach

Wiosną 1944 roku Skorzeny otrzymał z OKW (Oberkommando der Wehrmacht – Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu) rozkaz wykrycia i zniszczenia kwatery głównej Josipa Broz-Tito. Sam marszałek miał zostać wzięty do niewoli, a gdyby okazało się to niemożliwe – zabity.

„Przyznaję, że byłbym zachwycony, gdyby udało mi się uwięzić innego marszałka, Josipa Broz-Tito – napisał w swojej książce. – Pochodzenie głowy państwa jugosłowiańskiego jest dyskusyjne. Mój nieodżałowany przyjaciel, Alexander Botzaris, twierdził, że opowieść o jego chorwackiej babce jest fikcją. Oficjalnie Josip F. Broz urodził się w Kamrovcu w 1892 roku […]. Był ślusarzem z zawodu. W I wojnie światowej walczył w armii austro-węgierskiej. W 1915 roku awansował do stopnia sierżanta. Dostał się do rosyjskiej niewoli w Karpatach. Następnie podobno bił się z bolszewikami w okolicach Omska. Według oficjalnych biografów stał się bojownikiem jugosłowiańskiej partii komunistycznej pod pseudonimem «Walter». Czy to ten sam Broz, który po pięciu latach więzienia działał w 1934 roku w Wiedniu, przebywał w moskiewskich szkołach specjalnych w latach 1935–1936 i stanął na czele prosowieckiego ruchu oporu w Jugosławii w latach 1941–1942? Możliwe”[1].

Już w roku 1942 Bałkany sprawiały Niemcom wiele kłopotów, a w latach 1943–1944 interesy III Rzeszy w całym regionie stawały się coraz bardziej zagrożone na skutek eskalacji działań partyzantów. Przeciwnik nieustannie rósł w siłę, osiągając w styczniu przedostatniego

roku wojny liczebność prawie trzystu tysięcy ludzi pod bronią. Na obszarze okupowanej Jugosławii najsilniejszy był ruch noszący nazwę Narodnooslobodilačka Vojska Jugoslavije (NOVJ), na którego czele stał przewodniczący Komunistycznej Partii Jugosławii (KPJ), wspomniany Josip Broz, używający pseudonimu „Tito". Jego działalność uzyskała wsparcie Józefa Stalina, a dzięki temu również pozostałych członków koalicji antyhitlerowskiej, regularnie zaopatrujących partyzantów za pomocą zrzutów w broń, amunicję, środki opatrunkowe itp. W rękach komunistycznej partyzantki znalazło się około jednej trzeciej przedwojennego terytorium kraju, w tym trudny do prowadzenia regularnych działań wojennych, pozbawiony infrastruktury komunikacyjnej, niedostępny, górzysty teren Bośni i Hercegowiny.

Inne ugrupowania partyzanckie, jak na przykład wierne emigracyjnemu rządowi Jugosławii Jugoslovenska Vojska u Otažbini (JVUO) – zwane czetnikami, na których czele stał generał Dragoljub Draža Mihajlovič, dawny minister obrony króla Piotra II, za największe zagrożenie uważały nie włoskich czy niemieckich okupantów, lecz właśnie komunistów. W związku z powyższym czetnicy podejmowali czasami nawet współpracę z Niemcami, jeśli chodziło o zwalczanie sił Tito. Z problemem komunistycznej rewolty nie radziła sobie również niepodległa Chorwacja (Nezavisna Država Hrvatska) Ante Pavelicia.

Z powodu takiego a nie innego rozwoju walk na frontach, ustabilizowanie sytuacji na terenie Jugosławii stało się dla Niemców w 1943 roku niezwykle ważne, szczególnie po kapitulacji Włoch. Zagrożone były drogi zaopatrzenia łączące Rzeszę chociażby z kontyngentem znajdującym się w Grecji (Grupa Armii „E"). Dobrze wyszkolone i uzbrojone oddziały Tito blokowały na Bałkanach aż trzysta tysięcy żołnierzy Wehrmachtu i formacji SS, sto dwadzieścia tysięcy bułgarskich, dwadzieścia siedem tysięcy węgierskich, czterdzieści pięć brygad czetników serbskich oraz sto trzydzieści tysięcy „Ustaszy" – chorwackich faszystów Ante Pavelicia.

Gdyby problem z partyzantami przestał istnieć, pozwoliłoby to Niemcom na zaangażowanie części stacjonujących tam jednostek w działaniach na froncie wschodnim, gdzie sytuacja wyglądała wręcz rozpaczliwie. Hitler skierował więc w ten rejon dodatkowe oddziały i wyznaczył nowych energicznych dowódców. Generał Lothar Rendulic objął nowo utworzoną 2. Armię Pancerną, do której przydzielono między innymi Dywizję Grenadierów Pancernych „Brandenburg". 4 października dowódca Obszaru Operacyjnego „Południowy Wschód" (Oberbefehlshaber Südost), feldmarszałek Maximilian Freiherr von Weichs, otrzymał od Führera nowe wytyczne, dotyczące podjęcia zdecydowanych działań zmierzających do rozbicia działającej na podległym mu obszarze partyzantki. Przy okazji Hitler napomknął, iż najlepszym rozwiązaniem problemów w Jugosławii byłoby porwanie bądź fizyczna eliminacja owianego sławą komunistycznego dowódcy. Wola wodza była święta, wobec czego wkrótce podjęto przygotowania do tego rodzaju akcji.

Dzięki prowadzonemu systematycznie nasłuchowi partyzanckich radiostacji Niemcy mieli dosyć dobre rozeznanie sytuacji w szeregach przeciwnika. Wyspecjalizowane służby nasłuchu 2. Armii Pancernej na bieżąco śledziły ruchy i koncentracje sił partyzanckich, dokładnie lokalizując ich miejsca nadawania, a wyśmienici kryptolodzy bez większego trudu łamali jugosłowiańskie szyfry. Pełną parą działała również agentura. Nawiązane pod koniec roku kontakty z bośniackimi czetnikami pozwoliły ustalić, że „czerwony marszałek" przebywa wraz ze swym sztabem w mieście Jajce. Od 2 stycznia do maja 1944 roku przeprowadzono przeciwko partyzantom aż trzydzieści sześć operacji o różnym natężeniu. Mimo jednak poniesienia przez nich dotkliwych strat komuniści działali nadal, a sam Tito, który w tym czasie kilkakrotnie zmienił miejsce postoju, cieszył się znakomitym zdrowiem.

*

Pierwotny plan zakładał przeprowadzenie akcji, w ramach której komandosi niemieccy mieli zaatakować sztab marszałka, a jego samego porwać lub zabić. Akcja miała być skoordynowana z działaniami formacji SS na okolicznych terenach, które otrzymały zadanie osaczenia partyzanckiego dowództwa i odciągnięcia pewnych sił od ochrony „zasadniczego celu". Zadanie opracowania planów operacyjnych zlecono sztabowi Jagdverbände w RSHA, a konkretnie Untersturmführerowi Wolframowi Kirchnerowi.

Kirchner przygotował dwa warianty operacji i przedstawił je do zatwierdzenia dowódcy stacjonującej w tym rejonie dywizji, pułkownikowi Alexandrowi von Pfuhlstein. Pierwszy wariant zakładał zrzucenie na spadochronach w pobliżu miejsca postoju marszałka dwóch jeńców w brytyjskich mundurach. Spadochrony miały być uszkodzone tak, aby się nie otworzyły. Przewrotny Niemiec liczył na to, że partyzanci odnajdą ciała, a przy okazji umieszczoną w przytroczonych do nich torbach pocztę kurierską dla Tito. Oczywiście dostarczą ją do rąk własnych marszałka, a wtedy umieszczony w paczce materiał wybuchowy wyeliminuje raz na zawsze „upierdliwego" dowódcę partyzantów wraz z połową jego sztabu.

Tego rodzaju plan nie zawierał żadnego ryzyka dla Niemców z wyjątkiem tego, że się nie powiedzie. Mogło się przecież zdarzyć tak, że przesyłkę otworzy ktoś inny, zaś „zasadniczy cel" będzie się znajdował w zupełnie innym miejscu. I od tego momentu stanie się znacznie bardziej czujny.

Drugi wariant przewidywał utworzenie z esesmanów, żołnierzy „Brandenburga" i czetników grupy bojowej, która ubrana w jugosłowiańskie mundury przedrze się do samego sztabu marszałka i zwiąże go walką. Wtedy na zlokalizowane już dokładnie miejsce pobytu Tito zostanie zrzucony desant powietrzny, który dokończy dzieła. Ten wariant wzbudził znacznie większe zainteresowanie, chociaż wymagał zaangażowania całkiem sporych i to doborowych sił. Na podstawie zdjęć lotniczych i meldunków wywiadu wykonano dokładny plan rejonu działania z zaznaczeniem wykorzystywanych przez marszałka obiektów.

Kirchner wraz ze swym oddziałem udał się do Banja Luki, gdzie w stałej gotowości czekał na sygnał rozpoczęcia akcji.

Tymczasem Tito zrobił Niemcom głupi kawał. 1 stycznia 1944 roku jego oddziały zaatakowały nagle Banja Lukę. Ciężkie walki trwały dwa dni. Marszałek opuścił swoje górskie stanowisko dowodzenia i udał się w nieznanym kierunku, czym zdezaktualizował całe dotychczasowe rozpoznanie wywiadowcze. Sytuacja wróciła do punktu wyjścia.

Wściekłość Hitlera nie miała granic. Natychmiast zwołał naradę poświęconą sytuacji na Bałkanach.

– Raz jeszcze rozkazuję zlikwidować sztab czerwonej partyzantki! – wrzeszczał. – Jego przywódcę, tego Tito, nakazuję dostarczyć do mnie żywcem lub zabić! Czy panowie zrozumieli?

– Tak jest – rozległo się kilka nieśmiałych głosów.

– Mam co do tego wątpliwości – syknął wódz. – To, co dotychczas zrobiono w tej sprawie, wykazało całkowitą nieudolność naszych jednostek. Tym razem przygotowaniem akcji zajmie się osobiście Reichsführer Heinrich Himmler!

– Tak jest, wodzu – Himmler poprawił nerwowo na nosie swoje srebrne binokle. – Może pan na mnie polegać.

– Mam nadzieję – warknął Hitler i zakończył naradę.

Himmler postanowił za wszelką cenę nie zawieść pokładanego w nim zaufania. Wezwał do siebie generała Rendulica, któremu przydzielił doborową jednostkę Kirchnera, SS-Falschirmjäger Batalion 500/600. Do wykonania desantu z powietrza przewidziano żołnierzy z pułku generała Studenta. Ponownie rozpoczęto zbieranie informacji wywiadowczych.

Wiosną 1944 roku Niemcom udało się znów zlokalizować siedzibę marszałka. Był nią Drvar w zachodniej Bośni. Specjalne patrole z oddziału dalekiego rozpoznania Wolframa Kirchnera podjęły stałą obserwację miasta ze stoków masywu Klekovač. Udało się im ustalić zarówno miejsca stacjonowania alianckich misji wojskowych, jak i miejsce pobytu samego Josipa Broz-Tito.

6 maja 1944 roku feldmarszałek Maximilian Freiherr von Weichs podpisał dyrektywę nakazującą przeprowadzenie 25 maja operacji „Rösselsprung” (Skok konika szachowego). W końcu można było uruchomić całą maszynerię bezczynną od prawie pół roku.

*

Przygotowany przez generała Rendulica plan był znacznie bardziej realistyczny i dużo lepiej dopracowany niż ten, napisany w 1943 roku przez Kirchnera. Całość sił specjalnych podzielono na dwa rzuty. Pierwszy stanowili spadochroniarze, łącznie trzystu czterdziestu ludzi, którzy mieli wylądować z zaskoczenia na szybowcach Gotha-242 i których podzielono na sześć grup.

Składająca się ze stu dziesięciu żołnierzy grupa główna, o kryptonimie „Panther” – (Pantera), która miała wylądować na cmentarzu w Drvarze, otrzymała zadanie zdobycia i utrzymania kluczowego wzgórza Szobića oraz „Cytadeli” – jak zakodowano kwaterę główną Tito. Grupa „Stürmer” (Szturmowiec) – pięćdziesięciu komandosów – miała opanować kwaterę sowieckiej misji łącznikowej, zakodowaną jako „Moskwa”.

Zadaniem siedemdziesięcioosobowej grupy „Draufgänger” – „Śmiałek”, dodatkowo wzmocnionej dwudziestoma ludźmi z komanda „Svadil” (Dywizja „Brandenburg”) oraz łącznościowcami i tłumaczami z Dywizji „Prinz Eugen”, było zablokowanie przewidywanej trasy ucieczki marszałka oraz zdobycie partyzanckiej radiostacji, a następnie wysłanie w eter wiadomości o śmierci Tito i likwidacji jego sztabu, co miało zniechęcić obrońców do dalszej walki.

Grupa „Greifer” – (Łapacz) – oddział w sile czterdziestu ludzi, miała zdobyć „Londyn”, jak określono kwaterę brytyjskiej misji łącznikowej, oraz wziąć do niewoli przebywających tam oficerów. Analogiczne zadanie, zajęcie amerykańskiej misji łącznikowej, otrzymała grupa „Brecher” – (Kruszarka). Najmniejszy oddział, trzydziestoosobowa grupa „Beisser” – „Gryzoń”, miał opanować drogę wiodącą do wsi Bosansko Grahovo

i rozstawić przy niej posterunki z bronią maszynową, co blokowałoby alternatywną trasę ucieczki, jak również utrudniało przybycie partyzanckich posiłków z tej strony.

Następnie do akcji miało wejść trzystu czternastu komandosów, głównie z oddziałów powietrznodesantowych SS, którym powierzono zadanie opanowania pobliskiego Drvaru i utrzymania go do momentu przybycia sił głównych oraz zabezpieczenie lądowisk dla szybowców. „Niebiescy" – „Blaue" (stu dziesięciu ludzi) zajęliby wschodnią część miasta, „Zieloni" – „Grüne" (dziewięćdziesięciu pięciu ludzi) – południowo-wschodnią, „Czerwoni" – „Rote" zaś mieli przypuścić szturm na zajęty przez oddziały przeciwnika budynek miejskiego hotelu. Wkrótce po rozpoczęciu operacji w rejon walk ściągnąć powinny większe siły wojsk lądowych: 7. Ochotnicza Dywizja Górska SS „Prinz Eugen"[2], 1. pułk z Dywizji Piechoty „Brandenburg", 202. batalion pancerny z 2. Rezerwowej Armii Pancernej (pod dowództwem Generalleutnanta Ernsta von Leysera, któremu powierzono również dowództwo nad całą operacją), 105. batalion rozpoznawczy SS, 92. pułk piechoty zmotoryzowanej wzmocniony na czas operacji 54. batalionem rozpoznania, elementy 1. Dywizji Górskiej oraz 373. Dywizja Piechoty (chorwacka) i batalion z 369. DP (chorwacka). Łącznie w ataku na Drvar uczestniczyć miało czterdzieści tysięcy żołnierzy niemieckich. Za bezpośrednie wykonanie odpowiadało dowództwo 2. Armii Pancernej. Sztab operacji usytuowano w mieście Knin.

Otto Skorzeny tymczasem zakwaterował swój batalion Jagdverbände we Fruškiej Gorze, w górach równoległych do doliny Dunaju. Bojąc się, aby wojskowy konwój nie zaalarmował straży marszałka, w towarzystwie tylko dwóch młodych podoficerów przemierzał okolice cywilnym samochodem, dokonując rozpoznania terenu przyszłej akcji. Trzeba przyznać, że było to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne, bowiem większość dróg kontrolowali partyzanci. Spotkali nawet kilka grup brodatych wieśniaków ze strzelbami przewieszonymi przez ramiona. Odbezpieczali wtedy dyskretnie ukryte pod kocami na siedzeniach pistolety maszynowe, lecz partyzanci tylko ich serdecznie pozdrawiali. Zapewne nie mieściło im się w głowach, że

w poruszającym się swobodnie po tak niebezpiecznym terenie cywilnym aucie mogą podróżować niemieccy żołnierze.

„Popełniłem wtedy dużą nieostrożność – przyznał po latach bohater tej książki, pisząc swe wspomnienia. – *Skorzeny porwany przez Tito!* Cóż to byłby za piękny tytuł dla «Daily Mirror» w maju 1944 roku!”

Zbadawszy teren, Otto powrócił do Berlina. Dowiedziawszy się swoimi kanałami, że Tito przebywa najprawdopodobniej w okolicach Drvaru, natychmiast wysłał swojego szefa sztabu, Hauptsturmführera Adriana von Fölkersama, aby uprzedził dowódcę stacjonującego w tym regionie X Korpusu, że jest gotowy do rozpoczęcia operacji „Rösselsprung”. Po kilku dniach von Fölkersam powrócił do Friedenthal.

– Coś tu jest nie tak – zameldował.

– Co to znaczy: nie tak? – zirytował się Skorzeny.

– Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami szef sztabu. – Ale generał przyjął mnie bardzo chłodno i właściwie nie chciał rozmawiać na temat operacji.

– Jak to: nie chciał?

– Po prostu nie chciał. Wydaje się, że nie możemy na niego liczyć.

– *Donnerwetter!* – zaklął Skorzeny. – Coś tu jest nie tak.

– No właśnie – zgodził się skwapliwie von Fölkersam. – Sam to na początku powiedziałem.

Co jest „nie tak”, dowiedział się już wkrótce z wiadomości radiowej od pozostawionego w Zagrzebiu małego sztabu roboczego: „X Korpus przygotowuje się do akcji na kwaterę główną Tito. Datę operacji wyznaczono na 25 maja”. Tym razem inni zamierzali sobie zasłużyć na pochwałę Führera i spić całą śmietankę, zostawiając Skorzenego na lodzie.

„Było to niewymownie głupie – zanotował oburzony esesman w swych wspomnieniach. – Gdyby generał odkrył karty, podporządkowałbym się chętnie jego rozkazom, pozostawiając mu cały splendor. W przypadku niepowodzenia wziąłbym na siebie całą odpowiedzialność. Było jednak coś o wiele poważniejszego. Skoro ja wiedziałem, że akcję mają przeprowadzić 2 czerwca, to Tito także musiał o tym wiedzieć. [Skorzeny błędnie podaje

datę operacji, w rzeczywistości miała ona miejsce 25 maja – przyp. aut.]. Natychmiast uprzedziłem X Korpus i wysłałem wiadomość do sztabu w Banja Luce, prosząc o odroczenie operacji. Bez skutku. Wyznaczonego dnia oddziały niemieckie napotkały oddziały partyzanckie w gotowości bojowej. Batalion strzelców spadochronowych Waffen-SS został otoczony w dolinie Drvaru i trzeba było wysłać im wsparcie szybowcami. Batalion dywizji «Brandenburg» musiał osłaniać odwrót atakowanych ze wszystkich stron żołnierzy. Dowodził nim dzielny podpułkownik [Wilhelm] Walther, który odniósł obrażenia. W styczniu 1945 roku został on szefem sztabu moich «SS-Jagdverbände», zastępując von Fölkersama. Bataliony strzelców spadochronowych Waffen-SS oraz batalion z dywizji «Brandenburg» przeszły także pod moje dowództwo we wrześniu 1944 roku. Dzielni «Brandenburczycy» zostali włączeni w skład «Jagdverbänd Süd-Ost». Inne kompanie złożone z Chorwatów, dowodzone przez Sturmbannführera Otto Becka, wcielono do «Jagdverbänd Süd» […].

Amerykańska Centralna Agencja Wywiadowcza (CIA) przypisała mi później operację przeciwko kwaterze głównej Tity, sądząc, że dowodziłem batalionem strzelców spadochronowych Waffen-SS”.

*

Wszystko było już zapięte na ostatni guzik, na lotniskach czekały formacje Luftwaffe ze spadochroniarzami. Wywiad jeszcze raz potwierdził, że Tito nie ruszył się z ustalonego wcześniej miejsca, drewnianego baraku zbudowanego wewnątrz dużej jaskini. Zgodnie z zebranymi danymi w rejonie Drvaru siły partyzantów wynosiły w sumie około dwunastu tysięcy ludzi, w tym z 1. „Proletariackiej” Dywizji Piechoty i 3. Brygady Piechoty „Lika”. Wejścia do jaskini sztabu – miejsca pobytu Tito, strzegł batalion ochrony marszałka, trzystu pięćdziesięciu znakomicie uzbrojonych żołnierzy wspieranych przez cztery zdobyte na Włochach czołgi. Analitycy wywiadu nie docenili obecności stu trzydziestu słuchaczy Partyzanckiej Szkoły Oficerskiej z miejscowości Slipovlani, usytuowanej w odległości

dwóch kilometrów od Drvaru. Jak miało się okazać w trakcie walki, siły te znacząco utrudniły atak na jaskinię, w której przebywał jugosłowiański sztab. Wzmożona aktywność radiowa Niemców wzbudziła zainteresowanie brytyjskiego wywiadu. Kryptolodzy z Bletchley Park ustalili, że trwają przygotowania do operacji „Rösselsprung". Tajemnicą pozostawał jedynie termin i cel niemieckich działań. Brytyjczycy zalecali zmianę miejsca postoju, lecz ponieważ czas mijał i nic nie wskazywało na prawdziwość informacji, Tito przestał w końcu wierzyć w podobne doniesienia, co w rezultacie miało obrócić się przeciwko niemu.

Przeznaczeni do ataku niemieccy żołnierze dowiedzieli się o tym zresztą również w ostatniej chwili. 25 maja 1944 roku o świcie zarządzono alarm bojowy. Dopiero w tym momencie dowódcy wszystkich oddziałów mogli rozerwać zapieczętowane koperty ze szczegółowymi planami ataku.

O godzinie 5.00 rano „Stukasy" Luftwaffe rozpoczęły nalot na Drvar i okolice w celu zlikwidowania obrony przeciwlotniczej oraz dezorganizacji obrony naziemnej. Zastosowano bomby odłamkowe i fosforowe (zapalające), które pokrywały zgliszcza dywanem białego, duszącego dymu. Rozpryskujący się na wszystkie strony fosfor zapalał dosłownie wszystko, nie dając się w żaden sposób ugasić. Ludzie, na których padły małe, dymiące krople, instynktownie zakrywali poparzone miejsca dłońmi, zmoczonymi szmatami i kawałkami ubrań. Z zaskoczeniem spostrzegali jednak, że po usunięciu „okrycia", fosfor natychmiast znowu się zapalał, osiągając temperaturę tysiąca trzystu stopni Celsjusza. Tak zwany fosfor biały, otrzymywany w wyniku kondensacji jego par powstających podczas prażenia bez dostępu powietrza fosforanu wapnia z koksem i piaskiem, szybko utlenia się na powietrzu, łatwo ulegając samozapłonowi (w formie litej w temperaturze 25–60°C, rozdrobniony natychmiast). Paląc się, wydziela dużą ilość żrącego dymu (pięciotlenek fosforu), jest niezwykle trudny do ugaszenia i w żaden sposób nie należy go gasić wodą. Poza tym jest silnie trujący, dawka śmiertelna dla dorosłego człowieka wynosi około 0,1 g.

Atak lotniczy trwał godzinę, lecz dzięki doskonale przygotowanym stanowiskom obrony skutek tych działań „zmiękczających” był marny. Pięć minut po godzinie 6.00 komandosi otrzymali rozkaz startu. Trójsilnikowe Ju-52 uniosły się w powietrze. Nad horyzontem pojawiła się powietrzna flotylla czterdziestu transportowych Junkersów, wlokących za sobą wypełnione żołnierzami i sprzętem szybowce. Unoszący się nad Drvarem dym fosforowy ułatwił im zadanie, znacznie ograniczając skuteczność artylerii przeciwlotniczej. W tych okolicznościach odczepiono szybowce, które cicho i majestatycznie zaczęły przesuwać się po niebie w stronę górskiego pasma Gradina, gdzie znajdował się sztab Tito.

Tuż przed 7.00 niemieccy spadochroniarze wylądowali w wyznaczonych strefach i sprawnie zabezpieczyli lądowiska dla dalszych szybowców. Na tym jednak skończył się efekt zaskoczenia. Partyzanci zorientowali się szybko, że mają do czynienia z poważnym i dobrze przygotowanym atakiem. Kolejno podchodzące do lądowania szybowce napotkały już silny ogień z broni maszynowej jugosłowiańskich obrońców. Trzy z nich uległy zniszczeniu jeszcze w trakcie lądowania, co pociągnęło za sobą śmierć części esesmanów jeszcze przed rozpoczęciem walki oraz utratę cennego wyposażenia.

*

Oddziały niemieckie, które miały opanować miasto, napotkały tymczasem niespodziewanie silny opór. Do broniących się żołnierzy NOVJ dołączyli cywile, zrzucając z dachów na atakujących płonące bele i co tylko wpadło im w ręce. Komandosi szli jednak jak burza, niszcząc ogniem broni maszynowej wszystko, co stało im na drodze. Strzelali nawet do dzieci. Złapanych ludzi rozstrzeliwali na miejscu, nie przejmując się faktem, czy ktoś miał przy sobie broń, czy nie.

Najsilniejszy opór stawiła sześcioosobowa zaledwie załoga miejskiego sztabu. Po wyczerpaniu amunicji partyzanci rozerwali się granatami w piwnicy zabarykadowanego domu. Poważnym problemem okazali się

również snajperzy, których esesmani sukcesywnie likwidowali, płacąc za to kolejnymi rannymi i zabitymi. Wkrótce miasto znalazło się pod kontrolą napastników, którzy zgodnie z planem zdobyli radiostację i zaczęli puszczać w eter fałszywą wiadomość:

„Tu Radio Wolna Jugosławia! Nadajemy wiadomość z ostatniej chwili. Niemieckie jednostki desantowe zaatakowały dziś Drvar, siedzibę naczelnego sztabu oddziałów partyzanckich. W walkach polegli wszyscy członkowie sztabu. Zginął również marszałek Tito".

Marszałek ciągle jednak jeszcze żył. Górę, na której mieścił się jego sztab, zaatakowała grupa „Pantera" z 500. Batalionu Strzelców Spadochronowych SS. Niemieccy żołnierze musieli wcześniej sforsować wąską rzekę, za którą dopiero zaczynało się zbocze góry. Posuwali się szybko w jej kierunku, nie napotykając najmniejszego oporu. Na znajdującym się po drodze cmentarzu znaleźli jedynie rannego partyzanta i opatrującą go sanitariuszkę. Zastrzelili oboje bez wahania. Dowódca grupy, Hauptsturmführer Kurt Rybka (ujęty w niektórych opracowaniach jako Ripke), zaczął już podejrzewać, że pomylili się, czytając mapę, i atakują niewłaściwą górę. Sforsowali jednak przeszkodę wodną.

Dopiero wtedy rozpętało się piekło. Doskonale ukryty na drugim brzegu, niewidoczny dla komandosów oddział jugosłowiańskich partyzantów otworzył ogień. Niemieccy żołnierze zaczęli padać jak muchy. Wycofali się z powrotem na cmentarz, przegrupowali i ponowili atak. Tym razem doszli na odległość około pięćdziesięciu metrów od głównego celu, nie zdołali jednak pokonać znakomicie zorganizowanej obrony. Dodatkowo jeszcze raził ich celny ogień z flanki, prowadzony przez oddział kadetów Partyzanckiej Szkoły Oficerskiej w Slipovlani oraz stopniowo napływających wraz z upływem czasu kolejnych oddziałów partyzantów z 1. „Proletariackiej" Dywizji Piechoty.

Wyraźnie odczuwali brak ciężkiego uzbrojenia. Posiadali wprawdzie na wyposażeniu kilka lekkich dział bezodrzutowych LG-40 (Leichtgeschütze 40), tylko że w tym momencie broń ta znajdowała się w zupełnie innym rejonie Drvaru. Tuż po godzinie 9.00 Hauptsturmführer Rybka poprosił

drogą radiową o wsparcie lotnicze, jednak ze względu na bliskość pozycji walczących stron było to zbyt ryzykowne i do nalotu nie doszło.

Wściekli esesmani odstąpili od dalszego szturmu i wlokąc za sobą rannych towarzyszy, wycofali się do miasta, gdzie wyładowali swoją złość na ludności cywilnej. Po pewnym czasie spostrzegli samoloty, które zaczęły bombardować partyzanckie fortyfikacje na drugim brzegu rzeczki. Na niebie rozkwitły białe czasze spadochronów żołnierzy drugiego rzutu, trzystu osiemnastu esesmanów dowodzonych przez SS-Hauptsturmführera Josefa Obermaiera. Zrzucono też pojemniki z amunicją, która była już na wyczerpaniu.

Tak wzmocnieni podjęli kolejną próbę szturmu, z nadzieją wypatrując nadciągnięcia pododdziałów pancernych dywizji „Prinz Eugen". Walka o górę Gradina weszła w decydującą fazę.

*

Kolejne próby sforsowania obrony na zboczach załamywały się, jednak prowadzony przez obrońców ostrzał słabnął z godziny na godzinę z powodu wyczerpywania się amunicji. Sam Tito miał bardzo mgliste pojęcie o swoim położeniu. Napływające doń meldunki o ruchach niemieckich wojsk były chaotyczne i niejasne. Na górze panował kompletny chaos, wywołany bombardowaniem i stopniowym wykruszaniem się obrony.

Niemieckie bomby spadły również na „Moskwę". Szef sowieckiej misji łącznikowej, generał Nikołaj Korniejew, nakazał swoim ludziom spakować najważniejsze dokumenty do plecaków i przedzierać się na własną rękę przez góry. Zaskoczeni nalotem Amerykanie i Brytyjczycy zabrali to, co było pod ręką i schronili się w pobliskim lesie, podpalając wcześniej archiwum. Kiedy w końcu komandosi niemieccy dotarli do alianckich misji, udało im się wziąć do niewoli jedynie grupkę dziennikarzy.

Tito wciąż przebywał w swej jaskini, która była najlepszym schronem przeciwlotniczym. Nie mogąc przełamać zaciętej obrony, Niemcy uciekli

się do metod, które stosowali już w roku 1109 pod Głogowem[3]. Ściągnęli z miasta cywilów, w tym kobiety i dzieci, i ustawili ich przed frontem własnych oddziałów jako żywe tarcze. Padł rozkaz do natarcia. W chwili gdy atakujący zbliżyli się wystarczająco blisko do partyzantów, cywile padli na ziemię, a partyzanci zasypali esesmanów gradem kul.

W tym samym momencie za plecami nacierających dały się słyszeć – odległe jeszcze – strzały i potężne okrzyki „Hurra”. Do Drvaru przebiły się partyzanckie posiłki, głównie z 3. Brygady Piechoty „Lika”, omijając jakimś cudem kolumny Waffen-SS. Zajęci torowaniem drogi przez miasto, byli jeszcze dość daleko od komandosów, jednak zagrożenie stało się poważne. Nie widząc innego wyjścia, Niemcy parli dalej, uważając słusznie, że „ucieczka do przodu” jest w tej sytuacji ich jedyną szansą. Hauptsturmführer Kurt Rybka odniósł groźne rany wskutek wybuchu granatu. Dowództwo nad niedobitkami grupy szturmowej objął wówczas SS-Hauptsturmführer Karl Bentrup.

Pomimo trudnej sytuacji komandosi wspinali się na zbocze Grabiny. Obrona była już wyczerpana, zdziesiątkowana i dość chaotyczna. Krwawy był to marsz, jednak ostatecznie udało im się dotrzeć do wejścia do pieczary marszałka. Pokonanie bezpośredniej ochrony sztabu zajęło im chwilę…

Tito przebywał w tym czasie w zbudowanym w jaskini baraku. Towarzyszyła mu mała grupka najwierniejszych oficerów, wyposażona jedynie w broń osobistą. Droga ucieczki przez główne wejście była definitywnie odcięta. Kilku jugosłowiańskich oficerów zerwało podłogę baraku, pod którą płynął podziemny, wartki strumień. Wszyscy skoczyli w dół. Podziemny strumień wiódł wprost do płynącej znacznie niżej rzeki. Czekał ich jeszcze niebezpieczny spływ w ciemnościach podziemnym, stromym tunelem, ale na razie udało im się wymknąć ścigającym.

Spadochroniarze z SS osiągnęli więc wyznaczony cel, ale nie było już tam nikogo. Ich jedynym łupem padł galowy mundur jugosłowiańskiego dowódcy, prezent na świętowane wcześniej urodziny marszałka. Pokazywano go potem tryumfalnie na zorganizowanej w Wiedniu wystawie. Tito odzyskał swoje śliczne wdzianko dopiero po wojnie.

Tymczasem wojska pozostające wciąż w rejonie cmentarza musiały odpierać natarcie oddziałów jugosłowiańskich od strony Drvaru. Na ich szczęście wokół rozciągała się nieużywana, zbudowana jeszcze przez Włochów, linia umocnień polowych – ziemianki, rowy i betonowe bunkry. Sytuacja stała się krytyczna wraz z nadejściem zmierzchu. Zachód słońca przerwał aktywność Luftwaffe i esesmani pozostali zdani tylko na siebie. W trakcie zaciętych, nocnych walk jugosłowiańskim partyzantom kilkakrotnie udało się przełamać niemieckie linie obrony i wedrzeć na cmentarz, jednak za każdym razem desperackie kontrataki spadochroniarzy likwidowały zagrożenie.

Sytuacja Niemców poprawiła się dopiero wraz z nadejściem świtu. Około 4.30 partyzanci przerwali atak na cmentarz i wycofali się w obawie przed ponownym atakiem lotniczym. Wołania o pomoc dotarły w końcu do sztabu generała Rendulica, który wydał oddziałom zmechanizowanym kategoryczny rozkaz przebicia się za wszelką cenę do cmentarza. Chociaż rozkazu nie udało się wykonać – drogi były zatarasowane zwalonymi pniami drzew, a partyzanci bronili ich zaciekle – sama próba stanowiła już istotną pomoc, ponieważ jednostki zmechanizowane związały walką znaczną część partyzanckich sił.

W tym czasie Tito dotarł do swoich oddziałów w Ostażewcu. Zorientowawszy się w sytuacji, wydał rozkaz odwrotu. Całość sił jugosłowiańskich opuściła rejon cmentarza i rzeki. Miejsce bitwy przedstawiało koszmarny widok. Z miasta pozostały tylko zgliszcza, nawet góra nie wyglądała już tak jak przed kilkunastoma godzinami, zryta lejami po bombach i pociskach moździerzowych. Wszystko, włącznie z lasem, było jednym wielkim pogorzeliskiem. Wszędzie leżeli zabici i ciężko ranni. Kiedy około godziny 9.00 na miejsce dotarły czołgi i transportery opancerzone dywizji „Prinz Eugen”, było już po walce.

*

Było już po walce, ale na tym bynajmniej nie zakończyła się operacja „Rösselsprung”. Wyczerpani komandosi zostali ewakuowani, jednostki lądowe natomiast rozpoczęły pościg za wycofującymi się oddziałami partyzanckimi, no i oczywiście za samym Tito.

Niemcy mieli znaczną przewagę w mobilności i – rzecz jasna – w ciężkim sprzęcie. Dzięki temu byli w stanie zadawać osłabionym piechurom potężne straty. Mimo początkowych sukcesów sytuacja tych ostatnich była więc bardzo trudna. Przebijali się wprawdzie z powodzeniem, lecz Tito ciągle czuł na karku niemiecki oddech. Generał Rendulic nie miał najmniejszego zamiaru zrezygnować. W końcu przecież coś udało mu się osiągnąć – wykurzył jugosłowiańskiego marszałka z jego kryjówki!

Niemcy ścigali sztab Tito jeszcze przez kilka dni, aż do 3 czerwca. Tego dnia marszałek dotarł wraz z głównymi siłami partyzanckimi do wsi Ravno, skąd wysłano drogą radiową prośbę o wsparcie do sztabu wojsk alianckich w Bari. Pomoc nadeszła, choć była bardzo dziwna. W Armii Sowieckiej znalazł się mianowicie ochotnik, Aleksander Szornikow, który podjął ryzyko dotarcia do wsi pojedynczym samolotem transportowym, bez żadnej eskorty, i ewakuowania jugosłowiańskiego dowódcy do wyzwolonej części Włoch. W ten sposób w ostatniej chwili Tito wymknął się Niemcom, którzy wciąż deptali mu po piętach.

Po krótkim pobycie w Bari na brytyjskim okręcie został ewakuowany na leżącą na Adriatyku chorwacką wyspę Vis, położoną pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej od Splitu i sto pięćdziesiąt kilometrów od włoskiego wybrzeża. Już nie odważył się dalej kierować ruchem partyzanckim z głębi kraju. Do czasu wyzwolenia Belgradu wyspa stała się kwaterą główną jego sztabu. Alianci dostarczyli tam dziesięć ton benzyny, dziesięć tysięcy karabinów, sto ton amunicji oraz dziesięć ton leków i opatrunków. Tito zamieszkał w jaskini wykutej w skale, skąd wydawał rozkazy partyzantom działającym w Jugosławii.

Operacja „Rösselsprung” nie doprowadziła więc do osiągnięcia zasadniczego celu, wyeliminowania Tito, chociaż w dużym stopniu

sparaliżowała działalność partyzantów, zadając im poważne straty. Przede wszystkim zaś wyeliminowała groźbę odcięcia wojsk stacjonujących w Grecji. Próba pojmania marszałka kosztowała Niemców dwustu trzynastu zabitych żołnierzy i ośmiuset osiemdziesięciu jeden rannych, a pięćdziesięciu jeden uznano za zaginionych. Straty jugosłowiańskie szacuje się na około sześciu tysięcy ludzi.

„Zapomniano już, że represje rozpoczęły się w Jugosławii od kwietnia 1945 roku – zanotował ciężko urażony w poczuciu swej godności pierwszego komandosa III Rzeszy Otto Skorzeny. – 11 listopada tego roku Tito stanął na czele rządu Ludowej Federacyjnej Republiki Jugosławii, ogłosił upadek dynastii Karadżordżewiczów i skonfiskował wszystkie dobra królewskie. Kazał stracić generała Mihailowicia i jego sztab 17 lipca 1946 roku oraz zamordować dziesiątki tysięcy Chorwatów i Serbów, a także aresztować 3 670 000 zwolenników poprzedniej władzy, z których wielu zginęło w więzieniach lub obozach pracy. W sierpniu 1945 roku Churchill napisze do Piotra II: „Dowiaduję się, że dzieją się w Jugosławii rzeczy godne pożałowania, którym, niestety, nie jestem w stanie zapobiec”.

*

Już na początku 1944 roku nasiliły się naloty lotnictwa Sprzymierzonych na Niemcy. W pierwszej kolejności atakowano fabryki produkujące paliwa syntetyczne. Dokonano także wielu nalotów na wielkie miasta niemieckie, licząc na osłabienie woli walki hitlerowskich żołnierzy. Lotnictwo Sprzymierzonych uzyskało w tym czasie pełne panowanie w powietrzu. Wreszcie nadszedł długo oczekiwany dzień…

Wczesnym świtem 6 czerwca 1944 roku, który już na zawsze wszedł do historii jako dzień „D”, rozpoczęła się operacja „Overlord” – inwazja aliantów na Europę. Do normandzkich plaż podpłynęła największa armada, jaką kiedykolwiek oglądał świat – niemal siedem tysięcy okrętów (dokładnie 6697), transportujących ponad dwieście tysięcy żołnierzy, marynarzy i marines z 1. Armii USA i 2. Armii brytyjskiej. Lądowanie

poprzedziły desanty jednostek pancernych i wzmożona działalność lotnictwa (14 600 samolotów), skierowana na linie komunikacyjne, mosty, urządzenia i transporty kolejowe, samochodowe itp. Dezorganizację komunikacji potęgowały masowe akcje sabotażowe i dywersyjne francuskiego ruchu oporu. O godzinie 6.30 na sześciu inwazyjnych plażach oznaczonych kryptonimami: „Utah", „Omaha", „Gold", „Juno" i „Sword", rozpętało się piekło. Jak napisał kilka lat później pewien facet nazwiskiem John Steinbeck: „W śmierci na polu bitwy nie ma dostojeństwa. Najczęściej sprowadza się to do rozbryzgania ludzkiego mięsa i cieczy, wynik zaś jest ohydny".

Ogółem w operacji wzięło udział osiemdziesiąt sześć dywizji; czterdzieści dywizji w pierwszym rzucie. Niemcy mieli jedynie trzy niszczyciele, trzydzieści sześć szybkich kutrów niezdolnych do walki podczas sztormowej pogody, trzydzieści cztery okręty podwodne, trzysta pięćdziesiąt samolotów (z czego dziewięćdziesiąt myśliwców nie wróciło z pierwszej akcji), pięćdziesiąt dziewięć dywizji piechoty i pancernych. Wsparcie alianckiego desantu zapewniało pięć pancerników, dwadzieścia dwa krążowniki i dziewięćdziesiąt trzy niszczyciele. Na zdobytych plażach normandzkich Sprzymierzeni zbudowali sztuczne porty, przez które do 16 czerwca wyładowano sześćset dziewiętnaście tysięcy żołnierzy, dziewięćdziesiąt pięć tysięcy pojazdów oraz dwieście osiemnaście tysięcy ton sprzętu. Podczas gdy Amerykanie napotykali silny opór, Brytyjczycy i Kanadyjczycy odrzucili oddziały Wehrmachtu. Przygotowywali w ten sposób obszar lądowania o długości trzydziestu kilometrów i głębokości dziesięciu kilometrów. Pod koniec pierwszego dnia działań inwazyjnych aliantom udało się wedrzeć do Francji[4].

Hitler zapewniał generałów Erwina Rommla i Gerda von Rundstedta, iż lądowanie w Normandii to tylko podstęp aliantów, którzy, jego zdaniem, przygotowują prawdziwy desant w rejonie Pas-de-Calais z zadaniem zajęcia Zagłębia Ruhry. W celu jeszcze silniejszej dezinformacji Niemców alianci przygotowali szeroką kampanię propagandową oraz wiele pozorowanych działań; nie zapomniano ani o fałszywych komunikatach

radiowych, o nadmuchiwanych, gumowych czołgach, ani też o pozostawieniu generała George’a Pattona na czele 40 dywizji w hrabstwie Kent po to, aby wywołać u nieprzyjaciela przeświadczenie, iż lądowanie nastąpi w Calais. Hitler jeszcze przez wiele dni po ataku uparcie odmawiał wysłania posiłków do Normandii.

Sprzymierzeni tymczasem powoli rozszerzali przyczółki we Francji. 27 czerwca wojska amerykańskie osiągnęły Cherbourg, 9 lipca Anglicy zajęli Caen. Pod koniec lipca Wojska Sprzymierzonych przełamały front niemiecki we Francji. W krwawej bitwie pod Falaise (7–17 sierpnia) zniszczono wiele otoczonych niemieckich jednostek pancernych. W bitwie tej znaczącą rolę odegrała polska 1. Dywizja Pancerna, dowodzona przez generała Stanisława Maczka. Sukces został jednak okupiony dużymi stratami własnymi – dwa tysiące trzystu dwudziestu siedmiu zabitych i rannych. W tym czasie na wybrzeżu śródziemnomorskim Francji lądowały wojska amerykańskie i oddziały Wolnych Francuzów. Po opanowaniu Marsylii i Tulonu wojska te nawiązały w rejonie Dijon kontakt z jednostkami walczącymi w północnej Francji.

14 sierpnia 1944 roku w Paryżu wybuchło antyniemieckie powstanie. Po kilku dniach miasto wyzwolili sami Francuzi. 24 sierpnia do Paryża dotarły oddziały francuskiej dywizji pancernej. Generał Charles de Gaulle mógł odbyć tryumfalny przemarsz ulicami wolnej od okupacji stolicy wśród entuzjazmu tysięcznych tłumów paryżan. Dalsze działania Wojsk Sprzymierzonych doprowadziły w połowie września do wyzwolenia niemal całej Francji. Niemcy bronili się jeszcze w Alzacji i Lotaryngii oraz w kilku blokowanych portach wybrzeża atlantyckiego.

Wcześniej jednak do niezwykle istotnych wydarzeń doszło w samym sercu III Rzeszy Niemieckiej.

*

Czwartek 20 lipca 1944 roku zapowiadał się wyjątkowo sucho i upalnie. Ziemia wokół Wilczego Szańca na Mazurach, po wielu bezdeszczowych

letnich dniach, była wypalona na popiół. Trzaskające pod stopami patrolujących teren wartowników gałązki wydawały cichy odgłos, podobny do chrzęstu łamanego kręgosłupa. W kwaterze Hitlera odbywała się tego dnia narada służbowa. Dobrane grono generałów i oficerów sztabowych otoczyło podłużny, ciężki dębowy stół z rozłożonymi mapami, aby wysłuchać kolejnej tyrady wodza o własnej nieudolności i jego genialnych posunięciach, które nie są niestety właściwie wykonywane, prowadząc w konieczności do niepowodzeń i konieczności „planowego skracania frontu". Przypadek sprawił, że zebranie miało miejsce nie w bunkrze, lecz w wolno stojącym na powierzchni drewnianym baraku sztabowym, o ścianach wzmocnionych murem ceglanym i betonowym suficie.

Führer wszedł do sali prawie niepostrzeżenie i gdyby nie wyniosła sylwetka jego adiutanta, generała Rudolfa Schmundta, pozostałby niezauważony przez dobrą chwilę. Uścisnął szybko dłonie tym, których dziś widział po raz pierwszy. Jednooki, barczysty pułkownik Claus von Stauffenberg spojrzał mu przy tym głęboko w źrenice. Były bez wyrazu, jak gdyby zapatrzone bezmyślnie w dal.

Trzydziestosześcioletni oficer (urodzony 15 listopada 1907 roku w Jettingen w Bawarii) od 1 listopada 1943 roku pełnił funkcję szefa sztabu Armii Rezerwowej (*Chef des Stabes beim Befehlshaber des Ersatzheeres*) u Friedricha Fromma, co zapewniło mu udział w naradach sytuacyjnych z Hitlerem. Po wybuchu wojny uczestniczył w kampanii polskiej, a następnie francuskiej. 1 stycznia 1943 roku awansował do stopnia podpułkownika. Wkrótce potem przeniesiono go do Afryki Północnej, gdzie podjął służbę w sztabie 10. Dywizji Pancernej. W kwietniu tego roku, w czasie służby w Tunezji, został ciężko ranny pociskami wystrzelonymi przez dwa amerykańskie samoloty myśliwskie. Trafił do szpitala, skąd po dwóch miesiącach wyszedł bez lewego oka, prawej dłoni i dwóch palców lewej. Ponadto odłamki uszkodziły mu kolano i ucho[5].

Z początku von Stauffenberg nie był przeciwnikiem polityki Hitlera, zdecydowanie popierał wypowiedzenie traktatu wersalskiego i aneksję Austrii. Po wydarzeniach „nocy kryształowej" z 1938 roku zdystansował

się wobec reżimu, lecz po sukcesie kampanii francuskiej ponownie uległ ogólnonarodowej euforii. Do opozycji przeszedł rok później, po ataku Niemiec na ZSRS. Zdawszy sobie sprawę z niekompetencji Hitlera w prowadzeniu wojny, zaangażował się w ruch mający na celu ratowanie Niemiec.

Pomieszczenie, w którym odbywały się narady, znajdowało się na końcu baraku i miało rozmiary 5 x 10 metrów. Generał Rudolf Schmundt rozłożył na stole zwykłe codzienne „Lagerberichte". Hitler ledwie musnął je wzrokiem. Feldmarszałek Keitel, szef naczelnego dowództwa sił zbrojnych, omówił sytuację, jak panowała w Normandii po lądowaniu tam alianckich wojsk. Stauffenberg ze wstrętem słuchał jego przymilnego głosu, zwróconego wyłącznie ku Führerowi. Wyjątkowa służalczość, jaką Keitel wykazywał na każdym kroku wobec wodza, już dawno zyskała mu zasłużone przezwisko „Lokajtel". Pułkownik skorzystał ze sposobnej chwili, aby powolnym, pozornie niedbałym ruchem położyć pod stołem grubą czarną teczkę, z którą nie rozstawał się od rana.

Tuż przed naradą von Stauffenberg poprosił Ernsta von Freyeda, aby mógł w jego pokoju odświeżyć się i zmienić koszulę. Adiutant marszałka Keitla zgodził się bez problemu. Pułkownik wszedł tam razem ze swoim adiutantem, porucznikiem Wernerem von Haeftenem. Kiedy tylko znaleźli się w pomieszczeniu, przystąpili do uzbrajania znajdującego się w teczce ładunku wybuchowego. Bomba miała chemiczny zapalnik produkcji angielskiej, działający z dziesięciominutową zwłoką. Uruchomienie zapalników okazało się zajęciem dosyć skomplikowanym i czasochłonnym. Należało najpierw zgnieść miedziane łuski, w których tkwiły szklane ampułki z kwasem. Kwas w określonym czasie miał strawić druciki napinające spiralne piórka z bolcami zapalnikowymi. Trzeba było przy tym postępować bardzo ostrożnie, aby obcęgami nie zgnieść drucików napinających. Patrząc przez otwór, należało stwierdzić, czy piórka zapalnika były jeszcze napięte, a następnie usunąć bezpiecznik i włożyć zapalnik do ładunku.

Wniesienie bomby do sali narad nie przedstawiało trudności, ponieważ uczestnicy spotkań nie byli przeszukiwani. Przed wejściem do sali należało jedynie pozostawić w garderobie czapkę i kaburę z pistoletem.

Teraz, położywszy teczkę w najwłaściwszym jego zdaniem miejscu, niedaleko Hitlera, von Stauffenberg jął pocierać lewą ręką kikut prawego ramienia, do którego przymocowana była sztuczna dłoń z giętkiego metalu. Od tego momentu nad grupą ludzi, zgromadzonych w baraku, zawisła śmierć. Tylko jeden z nich wiedział, jak i kiedy jej ujść. Była godzina 12.33. Miał jeszcze niecałe dziesięć minut, w czasie których musiał wyjść z pomieszczenia i wydostać się z kwatery na lotnisko. Od tego zależało powodzenie całej akcji zamordowania Hitlera, której nadano kryptonim „Walkiria".

Twarz Stauffenberga osłaniała maska skupienia i powagi, należna wysokiemu gronu, w którym się znajdował. Jego nerwowego napięcia nie zdradzał nawet błysk jedynego, prawego oka. Zacięte usta i nieobecny jakby wzrok nie wyrażały niczego poza twardym postanowieniem. Miejsce, gdzie kiedyś znajdowało się drugie oko, zakrywała czarna opaska. Wokół ropiały tu i ówdzie drobne ranki. Starał się teraz skoncentrować na przewidywanym skutku działania bomby. Mimo uzyskania przez Hitlera najwyższej w Rzeszy godności, mimo że był naczelnym dowódcą sił zbrojnych, dla hrabiego von Stauffenberga zawsze pozostawał parweniuszem. Nie dziwiły go prostackie maniery Führera. Został co prawda czołowym mężem stanu Niemiec, lecz przecież zawdzięczał to, zdaniem pułkownika, jedynie generalicji.

Niemieckiemu sztabowi generalnemu przyświecał cel, który Hitler realizował przez dłuższy czas nad wyraz umiejętnie. Nadeszły jednakowoż dni, kiedy dysponując ogromem władzy, wyniósł się ponad najwybitniejszych generałów i wskutek własnej ignorancji począł tracić to, co oni wcześniej zdobyli. W roku 1944 władza najwyższa dowódców wojskowych była już tak ograniczona, iż nie mogli bez jego zgody wydać nawet najdrobniejszego rozkazu. Dobitnie określił to feldmarszałek von

Rundstedt: „Jako naczelny dowódca na Zachodzie miałem akurat tyle władzy, aby zarządzić zmianę warty przed wejściem do mojej kwatery”.

Część spiskowców domagała się koniecznie, aby zgładzić Hitlera wraz z Göringiem i Himmlerem. Usunięcie tego triumwiratu mogło znacznie ułatwić dalsze powodzenie akcji. Marszałkowie Günther von Kluge i Erwin Rommel wysunęli nawet to żądanie jako niezbędny warunek ich udziału w spisku. Dwukrotnie wcześniej, 16 i 18 lipca, von Stauffenberg usiłował dokonać zamachu, lecz za każdym razem odstępował, ponieważ obu wymienionych nie było w otoczeniu Hitlera. Tymczasem upływały bezcenne dni i sytuacja ciągle się pogarszała. Pułkownik zdecydował się użyć bomby bez względu na ich nieobecność.

*

Teczka znajdowała się w odległości nie większej niż dwa metry od Hitlera. Ukryta w niej bomba była ładunkiem starego typu, jakiego bez powodzenia użył wcześniej generał Henning von Tresckow, usiłując wysadzić wodza w powietrze razem z jego samolotem. Tym razem jednak przygotował ją nie byle jaki spec, bo sam pułkownik Freytag von Loringhoven, szef wydziału sabotaży Abwehry, korzystając z planów zdobytych na angielskich dywersantach. Można było mieć pewność, że ani zapalnik, ani ładunek wybuchowy nie zawiodą. Konstrukcja bomby była prosta, jak budowa cepa. Wciśnięty zapalnik powodował rozbicie szklanego zbiornika, w którym znajdował się żrący płyn. Płyn ten, rozlewając się, „przegryzał” przewód regulujący wybuch. Największą zaletą bomby były jej małe rozmiary.

Pułkownik przeklął w duchu upalną pogodę, która spowodowała, że narada zamiast w dusznym bunkrze, odbywała się w stosunkowo chłodnym, bo przewiewnym baraku. Siła wybuchu musiała ulec przez to znacznemu zmniejszeniu, lecz mimo to można się było spodziewać, że sam podmuch zgniecie Führera na placek – prawie kilogram TNT był zdolny poczynić takie szkody. Żałował tylko, że wraz z dyktatorem na wieczny spoczynek nie udadzą się nieobecni na naradzie Göring, Himmler, Goebbels czy

Bormann. Rozprawa z nimi była jednak kwestią najbliższego czasu. Szkoda było za to tych, których pułkownik uważał za ludzi wartościowych, a którzy będą musieli teraz zginąć.

Ale cofnąć się już nie było wolno…

Wszyscy uczestnicy narady usadowili się wokół ogromnego, dębowego stołu. Na honorowym miejscu siedział oczywiście Hitler, mając po bokach z jednej strony feldmarszałka Wilhelma Keitla, z drugiej generała porucznika Adolfa Heusingera, szefa oddziału operacyjnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych (Oberkommando des Heeres – OKH).

Wskazówki zegara biegły po nakreślonym kręgu, pracowicie odmierzając czas. Każda uciekająca w przeszłość chwila zbliżała koniec wielu ludzkich istnień. Pułkownik przypuszczał, że generał Erich Fellgiebel, szef służby łączności, także spogląda w tej chwili na zegarek i czyni to, co zostało z góry umówione: poleca wezwać pułkownika von Stauffenberga do pilnego telefonu z Berlina. Rozmowa jest tak ważna, że konieczne jest natychmiastowe opuszczenie miejsca narady, co też szef sztabu dowódcy wojsk rezerwy za chwilę uczyni. I rzeczywiście, do pomieszczenia wszedł jeden z oficerów.

– Panie pułkowniku von Stauffenberg, pilny telefon z Berlina.

Wezwany skłonił się i wyszedł wolno z pokoju narad. Teczki nie zabrał ze sobą, przecież po skończonej rozmowie miał tutaj powrócić. Wychodząc, rzucił ostatnie spojrzenie na salę. Hitler usiadł właśnie na swym stałym miejscu. Mówił coś do generała Jodla, ten zaś kiwał głową, wskazując na Heinza Brandta, pierwszego oficera Sztabu Generalnego, zastępcę generała Adolfa Heusingera. Brandt właśnie zaczął się podnosić z krzesła… Taki obraz pochwyciło ostatnie cyklopowe spojrzenie pułkownika hrabiego von Stauffenberga.

Oczywiście nie mógł już wiedzieć, że Brandt, wstając z miejsca, natrafił nogą na jakiś przedmiot. Stwierdziwszy, że to teczka Stauffenberga, odsunął ją na bok, poza pionową przegrodę, aby mu nie przeszkadzała. Tym samym usunięta poza płytę bomba straciła sporą część swej siły rażenia…

Mijały minuta po minucie. W pewnej chwili Hitler podszedł do jednej z map, pragnąc bliżej zapoznać się z sytuacją na jakimś odcinku frontu. Otoczyła go grupka sztabowców.

Czas nieubłaganie biegł naprzód. Mało odporny metal ulegał coraz bardziej zażarcie atakującemu go kwasowi. Pozostał jeszcze tylko jakiś strzęp, ledwie dostrzegalna metalowa nitka, usiłująca opierać się ciężarowi młotka, którego przeznaczeniem według pomysłu jakiegoś angielskiego specjalisty miało być uderzenie w spłonkę…

Stauffenberg przystanął wraz z Fellgiebelem w odległości około dwustu metrów od baraku.

– Węzeł łączności Kwatery Głównej gotów jest do natychmiastowego przerwania tej pracy – poinformował ściszonym głosem generał pułkownika. – Staniemy się punktem martwym na taki okres, jaki jest nam potrzebny.

– Ten okres już się rozpoczął – szepnął pułkownik. – To już tylko sekundy…

*

Urzędnik wojskowy Heinrich Berger sumiennie pełnił swój dyżur, stenografując dokładnie przebieg narady. Ponieważ wypowiedzi stały się dość chaotyczne, zanotował krótko: „Nad propozycją generała Jodla wywiązała się dyskusja”, po czym wyciągnąwszy swobodnie nogi, oddał się wcale nie optymistycznym rozmyślaniom. Z racji pełnienia swej funkcji miał możność dokonania wielu obserwacji, nasłuchał się wielu wiadomości niedostępnych nie tylko zwykłemu śmiertelnikowi, lecz nawet oficerom sztabów. Zapatrzył się w ostry czubek twardego ołówka. Przyszłość malowała się już tylko w czarnych barwach.

W ułamku sekundy ołówek zniknął mu sprzed oczu. Sala rozbłysła przerażającym blaskiem i natychmiast spowiła ją czerń. Chciał unieść głowę, lecz jakaś straszliwa siła sparaliżowała w jednej chwili wszystkie jego mięśnie. Nawet nie czuł bólu.

Huk był suchy i przypominał wystrzał porządnego działa, słyszany z bezpośredniej odległości. Na Stauffenbergu nie zrobił specjalnego wrażenia, choć pułkownik zdążył już odwyknąć od bitewnych odgłosów. Tylko stojący obok kolejny uczestnik spisku, porucznik Werner von Haeften, wtulił głowę w ramiona i wpił się w przełożonego wzrokiem przestraszonego dziecka. Stauffenberg nawet na niego nie spojrzał, obchodziło go tylko miejsce zamachu. Przez okna buchnęły kłęby dymu, wylatywały z nich na wszystkie strony różne przedmioty. Dach uniósł się w górę. Pułkownik zdążył zauważyć, że chyba jakieś zwinięte w kłębek ciało, odziane w czarne spodnie i szarą kurtkę, poleciało wraz z wyrwaną framugą okna w przestrzeń. Tak właśnie ubierał się Hitler.

Zapadło kilka sekund martwej ciszy. Dopiero po chwili zewsząd rozległy się okrzyki grozy i wołanie o pomoc. Dosyć – pomyślał Stauffenberg – teraz jak najszybciej do samolotu.

Generał Fellgiebel już zniknął. Zapewne zajęty był wydawaniem rozkazu do przerwania wszelkiej łączności ze światem. Kwatera Główna Führera stała się „martwym punktem” i takim miała pozostać na długie godziny. Stauffenberg ruszył do wyjścia, drżąc z podniecenia. Teraz należało błyskawicznie przebyć wszystkie strefy bezpieczeństwa.

Jeżeli wybuch bomby przypominał stojącemu na otwartej przestrzeni i w pewnej odległości od baraku pułkownikowi huk wystrzału działa, to dla znajdujących się wewnątrz równał się łomotowi wszystkich armat świata. Nikt nie zdołał ustać na nogach. Rosłego Brandta wyzwolona śmierć rzuciła jak piórko o ścianę. Pozostał z niego tylko żałosny strzęp. Ten sam los spotkał Heinricha Bergera i generała Günthera Kortena.

Generał Schmundt chciał coś powiedzieć, krzyknąć, ale nie udało mu się wydobyć z siebie głosu. Zrobiło mu się czerwono przed oczami, w uszach huczało, potworny ból miażdżył mu dosłownie piersi. Świat cofał się szybko, niknął w długim, piekącym tunelu. Po kilku sekundach ból ustąpił. Leżąc w poprzek zasłanej gruzem podłogi stracił przytomność. Zmarł z odniesionych ran kilka tygodni później w szpitalu. Ci, którym udało się przeżyć, przedstawiali sobą godny pożałowania widok.

Zginęły cztery osoby, spośród dwudziestu czterech obecnych w pomieszczeniu. Reszta uczestników narady odniosła mniejsze lub większe obrażenia. Wnętrze baraku zostało całkowicie zniszczone. W miejscu wybuchu bomby utworzył się głęboki lej o średnicy prawie półtora metra. Ciężki stół, pod którym stała teczka, załamał się. Wokół leżały części połamanych krzeseł, strzępki map, dokumentów i kawałki szkła. Całe pomieszczenie wypełnione było gęstym czarnym dymem.

Co jednak stało się z Hitlerem?

Właśnie! Gdy minęło pierwsze oszołomienie, wszyscy zadali sobie to pytanie, ponieważ każdy bez wyjątku wiedział dobrze, komu ów piekielny poczęstunek był poświęcony. Feldmarszałek Keitel, który poprzez opary wybuchu podążył jak tylko mógł najszybciej w kierunku wyjścia, widząc teraz, że niebezpieczeństwo minęło, zląkł się swego tchórzostwa. Pragnąc uzasadnić swą błyskawiczną rejteradę, biegał teraz wokół baraku, wołając wielkim głosem jedno zdanie:

– Gdzie jest Führer?…

W Wolfschanze trwał stan alarmu. Wybuch, słyszany w całej okolicy, podniósł na nogi wszystkich. Komendant ochrony, SS-Brigadenführer Johann Rattenhuber, pędził ku barakowi, dobywając z płuc resztki tchu.

Stauffenberg wraz z leutnantem Haeftenem parli zdecydowanie naprzód. Po chwili znaleźli się w samochodzie. Któryś z bardziej przytomnych esesmanów usiłował ich zatrzymać. Nastąpiła krótka wymiana zdań. Pewny i wyniosły wyraz twarzy pułkownika, który znany był jako wybitna osobistość, zdezorientował strażnika. Sytuację wyjaśnił wreszcie oficer dyżurny, Untersturmführer (podporucznik) Leibstandarte o nazwisku Kolbe.

– Panie pułkowniku, ogłoszono alarm. Nie wolno mi nikogo przepuścić.

– Nie zawracaj głowy – parsknął Stauffenberg. – Mam pilne polecenie od samego Führera.

– Jaki powód zmusza pana pułkownika do opuszczenia Kwatery Głównej? – zapytał głosem słodkim jak syrop na kaszel Untersturmführer.

– Już powiedziałem, osobisty rozkaz Führera – warknął krótko von Stauffenberg. – Oczekuje mnie samolot. Masz ochotę to sprawdzać i zatrzymywać mnie w niecierpiącej zwłoki misji?

– No… właściwie to… – zastanowił się Kolbe.

– No to otwieraj człowieku szlaban! – zawołał pułkownik, nie dając wartownikowi czasu na podjęcie decyzji.

Untersturmführer wahał się jeszcze przez sekundę, po czym zdecydowanym ruchem podniósł ciężką zaporę i zasalutował. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, aby połączyć szybki wyjazd pułkownika z tajemniczą detonacją. Nie miał zresztą pojęcia, co właściwie się stało.

Obaj oficerowie odjechali, nieniepokojeni już więcej przez nikogo. Stauffenberg miał twarz nieruchomą jak posąg. Haeften za to raz po raz rzucał wzrokiem to na prędkościomierz, to na zegarek. Po drodze wyrzucił przez otwarte okno samochodu drugą bombę, która nie została użyta.

Nie minęło wiele czasu do chwili, w której dyżurny lotniska dał zezwolenie na start. Pilot dodał gazu i ciężki He 111 z obydwoma spiskowcami pomknął naprzód niczym myśliwski Messerschmitt, biorąc kurs na Berlin. Zegary wskazywały godzinę 13.15.

*

Generał Erich Fellgiebel przystąpił tymczasem do wykonania swojej części zadania. Bunkier szefa łączności Wehrmachtu znajdował się na południe od szosy przecinającej na pół teren kwatery. W obszernym pomieszczeniu z dużymi, ujętymi w żelazne framugi oknami siedziało pod bocznymi ścianami kilkudziesięciu oficerów. Każdy dysponował odrębną centralką telefoniczną, z których bez przerwy rozlegały się sygnały anonsowanych rozmów. Wszyscy na wyścigi krzyczeli coś do trzymanych przy twarzach słuchawek. W sali panował gwar podobny do tego, jaki słyszy się w ptasich oddziałach wielkich ogrodów zoologicznych, tylko spotęgowany tysiąckrotnie.

Kiedy Fellgiebel wszedł do pomieszczenia i miarowym krokiem przemierzył wyłożony na środku szeroki, gruby dywan, nikt z dyżurujących przy aparatach łącznościowców nie zwrócił na przybysza najmniejszej uwagi. Jedynie szef węzła łączności Kwatery Głównej pozwolił sobie wyrazić niejakie zdziwienie, lecz wystarczyło, że generał rzucił nań jedno tylko spojrzenie, aby raźno zajął się wykonywaniem rozkazu. Kable bezpośredniej łączności zostały wyłączone. Jeden z telegrafistów zdobył się nawet na niewczesny żart:

– Chyba zbliżają się Rosjanie! – zawołał ze śmiechem.

Fellgiebel miał zamiar przerwać łączność radiową, niszcząc po prostu urządzenia, lecz nim zdążył się do tego zabrać, postanowił sprawdzić skutki eksplozji. Zbliżył się na powrót do baraku i… zastygł w zdumieniu jak żona Lota. Usłyszał bowiem głos, który dosłownie przykuł go do ziemi. To był jedyny w swoim rodzaju głos, o pomyłce nie mogło być mowy…

Przed skamieniałym generałem pojawiła się postać innego generała, Helmutha Stieffa, inicjatora całego zamachu. Fellgiebel z trudem wyjąkał cisnące się mu na usta pytanie, czepiając się resztek nadziei. Stieff chyba go nie dosłyszał, ponieważ ni stąd, ni zowąd zaczął mówić o konieczności zbadania połączeń telefonicznych.

– Co się dzieje? – powtórzył Fellgiebel. – Jak się to… skończyło?…

– Myślę, że obaj musimy teraz postępować normalnie – odparł pozornie bez związku z pytaniem zdenerwowany Stieff. – Jak najbardziej normalnie… Obaj nic nie wiemy… Jeżeli padnie na nas choćby cień podejrzenia, to jesteśmy zgubieni.

– Co pan ma na myśli? – Fellgiebel ostrożnie ściszył głos i zaczął mówić szeptem, który nie mógł być słyszalny w odległości większej niż dziesięć metrów. – Co mamy dalej robić?

– Ciszej, na miłość boską! – Stieff rozejrzał się trwożliwie dookoła. – Wszystko jest beznadziejne – jęknął. – Zawsze było beznadziejne…

Fellgiebel powiódł wokół wzrokiem. W pobliżu nie było nikogo.

– Stauffenberg jest już chyba w drodze do Berlina – powiedział – i z pewnością…

– Radzę nie wzbudzać najmniejszych podejrzeń – przerwał mu Stieff.

– Przecież nie można ich pozostawić własnemu losowi…

– Może wyjdziemy z tego jakoś czyści – mruknął w odpowiedzi Stieff, po czym pośpiesznie się oddalił.

Generał Fellgiebel raz jeszcze wydał bezpośredni rozkaz szefowi węzła łączności. Tym razem rozkaz natychmiastowego odblokowania połączeń. W ten sposób Kwatera Główna uzyskała łączność z całym obszarem, na którym walczyły lub chociażby tylko stacjonowały niemieckie wojska. Jeden z podstawowych warunków powodzenia puczu nie został spełniony.

*

Hitler stał nieruchomo z grymasem bólu na osmalonej od wybuchu i zakrwawionej twarzy. Mundur i spodnie zwisały w strzępach, przez które przeświecała bielizna. Od stóp do głów pokryty był kurzem. Lewą ręką zasłaniał oczy, prawa zwisała bezwładnie. Włosy miał przypalone, prawą nogę solidnie poparzoną, plecy stłuczone spadającą belką. Ale żył. Masywna, solidna podstawa stołu, za którą znalazła się bomba, i gruby dębowy blat uchroniły go od śmierci. Swoje ocalenie uznał później za cud.

Był mocno ogłuszony, bo gdy wreszcie dopadł do niego Keitel ze swym przeraźliwym wrzaskiem, nawet nie odwrócił ku niemu głowy. Z ust wydobywał mu się ni to bełkot, ni to jęk.

– *Mein Führer!* – zawył Keitel. – A więc żyjesz!

– Zdrajcy! – wymamrotał Hitler.

Zdemolowana sala szybko zapełniała się czarnymi i polowymi mundurami SS. Ktoś rzucał nerwowe rozkazy, przez wybite okno widać było biegające we wszystkich kierunkach straże.

– Nosze, przynieść nosze! – Powietrze rozdarł szczególnie ostry wrzask. Potem dał się słyszeć tupot dziesiątek nóg.

Pojawiła się nowa grupka ludzi, a na jej czele popularny „Doktorek”, Theodor Morell, osobisty lekarz Adolfa Hitlera. Dopadł swego

podopiecznego i wtedy powietrze przeszył obłąkany wrzask, z którego zrozumieć dało się tylko pojedyncze słowa: zdrajcy i opatrzność.

Po dłuższej chwili Hitler wymamrotał żałosnym głosem:

– Moje nowe spodnie. Dopiero wczoraj po raz pierwszy włożyłem je na siebie…

Kiedy przywrócono jaki taki porządek, kiedy barak począł się opróżniać z rannych i ogłuszonych dostojników, do pracy zabrali się oficerowie śledczy wszelkiego autoramentu, których w Kwaterze Głównej nie brakowało.

– *Um Gottes Willen, was nun*? (Na litość boską, co teraz?) – jęknął Keitel, kiedy mu przypomniano, że za chwilę w Kwaterze Głównej pojawić ma się Benito Mussolini. Według ostatniego meldunku wiozący duce pociąg specjalny minął już Olsztyn. Cóż miał ujrzeć nieszczęsny przywódca resztek faszystowskich Włoch, który przybywał tutaj po otuchę? Zgodnie z wcześniejszym planem Führer miał go powitać na dworcu w Kętrzynie, lecz przecież nie mógł pojawić się tam w takim stanie, w jakim w tej chwili się znajdował.

Hitler jednak szybko doszedł do siebie, chociaż ciągle jeszcze chwiał się na nogach. Wpijał się wzrokiem w oczy swoich generałów i ministrów, zadając nieme pytanie: Który z was? Który z was to zrobił? Usta miał wykrzywione tak bardzo, że ich lewy kącik opadał ukośnie ku brodzie.

– Nasza dzielna Kriegsmarine dziękuje Opatrzności za widomy znak jej opieki nad panem, *Mein Führer* – jako pierwszy odzyskał rezon admirał Karl Dönitz. – Marynarka wojenna niezłomnie stoi pod pana dowództwem, wierna do ostatka!

Podobne zapewnienia zaczęli składać po chwili także pozostali generałowie. Ci, którym udało się wyjść cało.

Hitler przyglądał im się badawczo, wciąż zadając sobie jedno i to samo pytanie: kto z tych, którzy płaszczyli się teraz przed nim, chciał jego śmierci?

Oficerowie SS czołgali się po podłodze baraku, skrupulatnie badając każdy jej centymetr. Znajdowane tu i ówdzie okruchy raczej niż odłamki

bomby pieczołowicie zgarniano w jedno miejsce. Pojawił się także jakiś osobnik w cywilnym ubraniu, na którego wystarczyło tylko spojrzeć, aby przekonać się, iż należy do szczególnie dobranych szpicli Gestapo. Ten węszył gorliwie wśród zrujnowanego wnętrza, rozglądając się na boki za jakimś tylko sobie znanym tropem.

Tymczasem Führer, który przezwyciężył już pierwszy szok przeżyty po zamachu, o godzinie 16.00 witał na dworcu w Kętrzynie Mussoliniego. Przed rozpoczęciem rozmów pokazał mu zniszczony barak.

– Duce – rzekł, wyciągając do Włocha zdrową rękę. – Jeszcze raz opatrzność mnie uchroniła. Jeszcze raz Niemcy zostały uratowane.

Badający skutki eksplozji bomby eksperci byli zgodni co do faktu, że użyta przez von Stauffenberga ilość materiału wybuchowego zabiłaby wszystkich, gdyby obrady odbywały się w bunkrze betonowym. Ponieważ jednak odbywały się w baraku, obrażenia, jakich doznali uczestnicy, były stosunkowo niewielkie.

*

W Berlinie tymczasem grupa spiskowców zebrała się w biurze generała Friedricha Olbrichta, w budynku Sztabu Generalnego przy Bendlerstrasse. Zamierzała ogłosić wiadomość o śmierci Hitlera i o powstaniu antynazistowskiego rządu pod zwierzchnictwem Carla Friedricha Goerdelera jako kanclerza, Ludwiga Becka jako głowy państwa oraz feldmarszałka Erwina von Witzlebena jako naczelnego dowódcy sił zbrojnych. W ich imieniu zamierzano wprowadzić stan wyjątkowy i przekazać całą władzę w ręce armii po to, żeby nie uchwyciła jej w swoje ręce SS. Administracja państwowa, SS, policja i partia miały przejść pod władzę dowódców wojskowych; w Niemczech – dowódcy Armii Rezerwowej, w krajach okupowanych – dowódców poszczególnych teatrów wojny. Waffen-SS podlegało wcieleniu do armii, a wszystkich przywódców NSDAP, SS, SD i Gestapo chciano aresztować. Z koszar pod Berlinem planowano ściągnąć oddziały wojskowe, otoczyć nimi dzielnicę

rządową, opanować siedzibę Gestapo i radiostację oraz rozbroić SS. Na froncie zachodnim Niemcy powinni wycofać się za linię Zygfryda i wkrótce nawiązać rozmowy z aliantami zachodnimi, umożliwiając im przejście przez Francję do granicy niemieckiej.

W przygotowaniach do zamachu uczestniczyli spiskowcy z kręgów wojskowych (Wehrmacht), pozostający w ścisłym kontakcie z kręgami cywilnymi, między innymi z opozycjonistami skupionymi w Kreisauer Kreis – Kręgu z Krzyżowej, skupiającym opozycjonistów z różnych grup społecznych, wyznaniowych i orientacji politycznych. Nazwa została nadana przez Gestapo i nie była używana przez samych członków. Grupa Krąg z Krzyżowej powstała w roku 1940 w Krzyżowej (dawnym niemieckim Kreusau) z inicjatywy hrabiego Helmuta Jamesa von Moltke i Petera Yorcka von Wartenburga.

Za spiskowcami stały określone siły niemieckiego kapitału, które zrozumiały wcześniej, że Hitler już właściwie przegrał, a jego obietnice ogromnych zdobyczy i ustanowienia imperium przestały być realne. Zyski skończyły się, zaczęły przeważać straty. Niemiecki imperializm wyniósł nazistów do władzy, teraz jednak sam tracił grunt pod nogami. Starano się uratować cokolwiek. A jedyną drogą ratunku mógł być tylko separatystyczny pokój z zachodnimi aliantami. Chodziło zatem wyłącznie o zamianę dyktatury Hitlera na dyktaturę soldateski, śmietanki Oberkommando der Wehrmacht, która już od wielu lat czuła się poniżona komenderowaniem nią przez „tego obrzydliwego kaprala”, jak pokątnie nazywano swego oficjalnie „ukochanego” Führera.

Ryzyko tkwiło w tym, że nie było wiadomo, czy rozkazy nowych władz znajdą posłuch, ale spiskowcy mieli nadzieję, że gdy już uda im się usunąć Hitlera, ci oficerowie, którzy dotychczas wzdragali się przed przystąpieniem do spisku ze strachu bądź pod wpływem skrupułów z racji złożonej przysięgi wierności, poprą nowy rząd. Istniejąca wciąż wrogość pomiędzy armią, SS i partią, rozpaczliwa sytuacja Niemiec, które tylko kompromisowy pokój mógł uratować, i – co najważniejsze – świadomość,

że Hitler nie żyje, wszystko to zdoła – jak sądzili – przekonać wahających się.

Sukces całego planu zależał od dwóch warunków: powodzenia zamachu na Hitlera i szybkiej, zdecydowanej akcji w Berlinie. Pierwszy z warunków nie został spełniony, ale von Stauffenberg nie wiedział o tym, ponieważ opuścił Kwaterę Główną w Kętrzynie przekonany, że nikt w pokoju konferencyjnym nie zdołał się uratować. Wiadomość, która dotarła na Bendlerstrasse wkrótce po godzinie 13.00, nie pozostawiała jednak żadnej wątpliwości: Hitler żył.

Spiskowcy byli w bezpośrednim kontakcie z głównym kwatermistrzem OKH, generałem Eduardem Wagnerem, który na umówiony sygnał miał wydać rozkaz do zajęcia kluczowych punktów Berlina. W zaistniałej sytuacji Olbricht nie odważył się jednak wydać rozkazu do rozpoczęcia drugiej części planu „Walkiria”. Tym sposobem więc także drugi warunek nie został spełniony. Rozkazy płynęły więc z dwóch stron. Na Bendlerstrasse w pocie czoła pracowali spiskowcy, próbując uruchomić przygotowany wcześniej plan, w Kętrzynie zaś miotał się feldmarszałek Wilhelm Keitel, odwołując wszystko to, co udało się wprowadzić w życie ekipie Stauffenberga i pozostałych uczestników zamachu.

Stauffenberg dopiero po trzech godzinach lotu i po wylądowaniu na lotnisku w Rangdsdorfie mógł połączyć się telefonicznie z Olbrichtem i – wciąż przekonany, że Führer zginął – namówić go do rozpoczęcia przewidzianej akcji. Była już jednak godzina 15.45 i pułkownik potrzebował jeszcze trzech kwadransów, by dotrzeć do centrum Berlina i na nowo tchnąć w spiskowców energię.

Ale nawet przy największej determinacji, jaką wykazał, nie mógł nadrobić utraconego czasu. Nic jeszcze nie było zrobione. W Berlinie nie uczyniono nic, aby zająć radiostację czy kwaterę Gestapo przy Prinz Albrechtstrasse, właściwie niestrzeżoną. Nie próbowano też aresztować Goebbelsa, gauleitera stolicy, mimo że hrabia Wolf-Heinrich von Helldorf, szef berlińskiej policji, tkwił po uszy w spisku i tylko czekał, żeby zacząć działać.

*

Nie mniej od niego niecierpliwy był generał Paul von Hase, komendant wojskowy Berlina, lecz dopiero o godzinie 16.00 powiedziano mu, że ma wyprowadzić wojsko i zająć siedzibę rządu. Wtedy dopiero wezwał z Döberitz batalion wartowniczy gwardii „Grossdeutschland", dowodzony przez majora Otto Ernsta Remera. Był on batalionem tylko z nazwy, ponieważ jego liczebność przekraczała wielkość niejednego pułku. Nienależący do spisku Remer działał szybko, ale oficer oświatowy, nazista dr Hans Hagen, zarozumiały młody człowiek z Ministerstwa Propagandy, który akurat miał jakiś odczyt w batalionie, powziął podejrzenie i skontaktował się z Goebbelsem. Kiedy więc Remer zjawił się w Ministerstwie Propagandy, mieszczącym się u wylotu Unter den Linden, by aresztować Goebbelsa, ten zdołał namówić go do telefonicznego połączenia się z Hitlerem.

– Niech pana oddział natychmiast przystąpi do akcji przeciw zdrajcom – major usłyszał w słuchawce głos, który natychmiast rozpoznał jako należący do samego wodza. Ten głos rozpoznałby bez pudła wśród tysięcznego gwaru tłumu. Miał go jeszcze świeżo w pamięci, ponieważ zaledwie kilka dni temu Hitler osobiście wręczał mu liście dębowe do Krzyża Oficerskiego.

– A jeżeli napotkam opór, *Mein Führer?* – zapytał, wyprężając się równocześnie w pozycji „na baczność".

– Wtedy zdławi go pan wszelkimi środkami! Zdrajców rozstrzeliwać! Pozostawiam panu w tym względzie wolną rękę. Może pan rozstrzelać tylu ludzi, ilu pan będzie chciał.

– Ale… – zawahał się Remer.

– Nie ma żadnego ale! – przerwał mu gwałtownie Hitler. – Pan składał przysięgę, Remer, prawda? – W głosie dyktatora zabrzmiała wyraźna groźba.

– Jestem gotów, *Mein Führer.*

– To świetnie. Upoważniam pana do tego moim osobistym rozkazem i awansuję jednocześnie do stopnia pułkownika. Niech pan działa razem z Himmlerem i Goebbelsem. I niech pan nie traci czasu.

Przy Bendlerstrasse wciąż trwało niesamowite zamieszanie. Po powrocie Stauffenberga do Berlina na gwałt zaczęto wysyłać rozkazy do wyższych dowódców, aby natychmiast przystąpili do akcji „Walkiria". Do 17.30 udało się zaalarmować wiele oddziałów stacjonujących poza Berlinem. Oddział pod dowództwem majora Friedricha Jacoba zajął siedzibę radia przy Masureenallee w berlińskiej dzielnicy Charlottenburg, jednak nie zdołał przerwać nadawanego programu. Kiedy więc o wpół do siódmej na podstawie tekstu, który Goebbels podał przez telefon, radio ogłosiło o dokonanej, lecz nieudanej próbie zgładzenia Hitlera, akcję realizowali już w Paryżu generał Carl-Heinrich von Stülpnagel i w Wiedniu pułkownik Heinrich Kodré, aresztując na potęgę członków SS. Dopiero gdy dotarły wiadomości o klęsce zamachu, oddziały wierne Hitlerowi odzyskały kontrolę nad sytuacją. Lęk przed zemstą wodza i asekuranctwo zaczęły dominować w umysłach przeważającej części oficerów, którzy przedtem siedzieli cicho i przyłączenie się do puczu uzależniali od jego wyniku.

Wielu dowódców wojskowych udało się na konsultacje do hitlerowskich przywódców, których wcześniej mieli aresztować. Przebiegłość Hitlera, który systematycznie pozbawiał dowódców wojska samodzielności, dawała teraz owoce. Obok tego przynosiło również plon wieloletnie wpajanie wierności dla Führera i władz narodowosocjalistycznej Rzeszy Niemieckiej.

W tym, że pucz nie zakończył się powodzeniem, pewną drobną rolę odegrał także Otto Skorzeny.

*

W ów pamiętny czwartek 20 lipca 1944 roku późnym popołudniem słońce zalewało Berlin światłem o barwie stopionego z miedzią złota. Kończył się kolejny dzień strasznych upałów i wszystko wokół, budynki, jezdnie

i chodniki, promieniowało nagromadzonym w ciągu długich letnich godzin żarem. Znużone drzewa pospuszczały bezsilnie liście. Powietrze trwało w całkowitym bezruchu. Dobiegające z oddali odgłosy pędzących samochodów były dziwnie stłumione, jak gdyby ryk silników czy buczenie klaksonów uległy filtracji w zgęstniałym powietrzu.

Skorzeny i Radl usadowili się wygodnie w zarezerwowanym dla nich przedziale sypialnym pociągu jadącego do Wiednia. Jechali tam w celu zorganizowania ze swoich najlepszych nurków grupy mającej ująć Josipa Broz-Tito, który, jak wiedzieli, schronił się na wyspie Viz.

W hali dworca można było zmieścić kościelną wieżę. Sapiąca ciężko niemiecka lokomotywa o długim podwoziu wyrzucała z siebie obłoki pary, które osiadały na szklanym dachu. Posapywała cicho wysilonym oddechem konającego na astmę smoka, jakby i jej dawał się we znaki panujący upał. Każdy ciężki oddech wydawał się na pewno ostatnim, potem jednak następował kolejny. Ze złączy pomiędzy wagonami unosiły się smużki pary i rozwiewały szybko w ciepłym lipcowym powietrzu.

– Sturmbannführer Skorzeny! Sturmbannführer Skorzeny! – Rozległ się krzyk jakiegoś oficera, który biegał jak szalony wzdłuż peronu.

Otto rozpoznał w nim Untersturmführera ze sztabu Obergruppenführera Jüttnera, który pełnił funkcję łącznika z Urzędem VI Schellenberga.

Opuścił okno przedziału.

– Tutaj!

– Jest pan natychmiast oczekiwany w VI Urzędzie RSHA, Sturmbannführer – ledwo wychrypiał oficer.

– Co się stało?

– Nie mam pojęcia. Kazano mi tylko przekazać wiadomość i jak najszybciej pana sprowadzić.

– Kto?

– Sam Schellenberg.

Czasu do namysłu nie pozostało wiele, pociąg bowiem już zaczął ruszać. Zresztą co tu było myśleć, rozkaz, to rozkaz. Otto błyskawicznie wyskoczył

na peron. Radl podał mu przez okno bagaż. Ogromny, kolejowy zegar wskazywał godzinę 18.30.

Jeszcze z dworcowego biura wojskowego Skorzeny zatelefonował do przebywającego we Friedenthal swojego szefa sztabu, Adriana von Fölkersama.

– Postaw batalion w stan pogotowia i niezwłocznie melduj o gotowości pierwszej kompanii do wymarszu – polecił mu. We Friedenthalu mieli przygotowane do działania w każdej chwili cztery kompanie „SS-Jägerbataillon 502”.

Następnie wyszedł z dworca, kierując się w stronę zaparkowanego w pobliżu samochodu, który wskazał mu oficer łącznikowy Hansa Jüttnera. Przez Alexanderplatz toczyły się bez przerwy żółte tramwaje z przyczepami. Właśnie nadjechał 65 – od Rzeźni Głównej przez Grosser Ring, Weddingplatz i Luiseplatz. Kierujący ruchem policjant patrzył okiem znawcy w obie strony, znając na pamięć wszystkie przepisy. Na nogach miał owijacze, z prawej strony zwisała mu długa, gumowa pałka. Kiedy machał poziomo ramionami z zachodu na wschód, to północ i południe nie mogły ruszyć. Wschód przelewał się na zachód, a zachód na wschód. Potem policjant odwracał się i północ waliła na południe, a południe na północ.

Berlin wyglądał upiornie. Wzdłuż ulic, rozrytych bombami, sterczały jedynie fasady domów. Ruina osłaniała ruinę. Po każdym nocnym nalocie powstawały nowe, rozległe przestrzenie pokryte rumowiskiem gruzów. Mimo to Berlin żył. Przynajmniej żył tam, gdzie przetrwały potężne gmachy rządowe, zaopatrzone w betonowe schrony. Przy Wilhelmstrasse, w częściowo zrujnowanym budynku kancelarii Rzeszy, urzędowały centralne instancje NSDAP i Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Naprzeciwko bez specjalnych zakłóceń pracowało Ministerstwo Propagandy. Przy Prinz-Albrechtstrasse uparcie obracała się mordercza machina RSHA i sztabu SS, zaś przy Bendlerstrasse pod opieką umundurowanych strażników w pełni działało Naczelne Dowództwo Wojsk Lądowych – OKH.

Czarny mercedes ruszył spod dworca, kierując się w stronę Schmargendorf, dzielnicy Berlina, w której na Berkaerstrasse znajdowała się siedziba VI Urzędu Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Na miejsce przybyli o 18.45. W radiu przerwano właśnie program, zapowiadając komunikat specjalny.

– W dniu dzisiejszym dokonano zamachu bombowego na Führera – oświadczył uroczystym głosem spiker. – Z jego otoczenia ciężko ranni zostali: generał piechoty Rudolf Schmundt, pułkownik Heinz Brandt i współpracownik Heinrich Berger. Lżej ranni są: generał-pułkownik Alfred Jodl, generałowie Günther Korten, Walther Buhle [szef Wydziału Organizacyjnego Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych], Karl-Heinrich Bodenschatz [oficer łącznikowy Naczelnego Dowództwa Luftwaffe przy Kwaterze Głównej], Adolf Heusinger i Walter Scherff [specjalny pełnomocnik Hitlera ds. historii militarnej], admirałowie: Hans-Erich Voss [przedstawiciel Kriegsmarine przy Kwaterze Głównej Hitlera] i Karl-Jesco von Puttkamer [adiutant Hitlera ds. Kriegsmarine], komandor Heinz Assmann [oficer sztabowy w sztabie dowodzenia w OKW] i podpułkownik Heinrich Borgmann [adiutant Hitlera]. Führer jest tylko lekko poparzony i kontuzjowany. Niezwłocznie podjął swe obowiązki i zgodnie z przewidzianym programem przeprowadził długą rozmowę z duce. W krótkim czasie po zamachu do Führera udał się marszałek Rzeszy Göring.

*

„Zastanawiałem się nad treścią tego komunikatu – wspomina Skorzeny. – Kto dokonał zamachu? Czy nieprzyjacielowi udało się przeniknąć do samego serca Wilczego Szańca? Dziesięć miesięcy wcześniej mówiłem w Kętrzynie pułkownikowi [Gustavowi] Strevemu, że Kwatera Główna nie jest w stu procentach zabezpieczona przed niespodziewanym atakiem zdecydowanego i pomysłowego przeciwnika. Równocześnie najdziwniejsze pogłoski krążyły w biurach Berkaerstrasse, w których spotkać można było

uzbrojonych po zęby funkcjonariuszy obchodzących się tak niezgrabnie z pistoletami maszynowymi, że dostałem gęsiej skórki. Wtedy właśnie zobaczyłem Oberführera Schellenberga.

18 lutego 1944 roku połączono niemiecki wywiad polityczny z wojskowym. Niektórzy agenci Canarisa zdradzili w zbyt widoczny sposób i zostali zdemaskowani jako podwójni agenci, jego natomiast zdymisjonowano. Nie mniej Keitel uczynił admirała szefem specjalnego sztabu do spraw wojny gospodarczej z siedzibą w Eiche koło Poczdamu. Schellenberg, który wciąż pozostawał szefem VI Urzędu RSHA, odziedziczył Abwehrę. Zmieniono jej nazwę na Amt Mil".

Twarz Shellenberga miała kolor zielonkawy. Na biurku leżał pistolet Walther P-38. „W apokryficznych *Wspomnieniach* [Schellenberg] napisał, że w biurku zainstalowany był uruchamiany pedałem, ukryty karabin maszynowy – zanotował Skorzeny. – Jedno naciśnięcie stopą i odwiedzający pada ścięty. Nigdy tego mechanizmu u niego nie widziałem, ale nie to jest najważniejsze".

Skorzeny dotknął lekko dłonią daszka czapki, w niedbały wiedeński sposób, jak to miał w zwyczaju.

– No, nareszcie raczył się pan pojawić – warknął szef VI Urzędu na widok komandosa.

– Niewiele brakowało, Oberführer, żebym nie pojawił się w ogóle – wyjaśnił Otto. – Siedziałem już w pociągu do Wiednia.

Schellenberg pominął całkowicie tę uwagę.

– Jeśli tu przyjdą, potrafię się obronić – powiedział. – Nie dostaną mnie łatwo.

– Ktoś nastaje na pana życie aż do tego stopnia?

– Skorzeny, sytuacja jest poważna. Słyszał pan przed chwilą komunikat.

– Tak.

– Kazałem rozdać pistolety maszynowe całemu męskiemu personelowi. Będziemy się bronić aż do końca.

– Rozumiem – skinął głową Skorzeny. – Ale pański rozkaz wydaje mi się bardzo nieostrożny. Ci ludzie w ogóle nie potrafią się posługiwać bronią

palną i pozabijają się nawzajem. Właśnie odesłałem do piwnicy jednego z pańskich podoficerów, który trzymał pistolet maszynowy jak parasolkę.

– Lepsi tacy, jak żadni – mruknął Schellenberg. – Niech pan posłucha. Centrum spisku znajduje się w siedzibie szefostwa Wojsk Zapasowych na Bendlerstrasse. Czy mógłby pan wezwać jedną ze swych kompanii dla zapewnienia nam ochrony?

– Oczywiście, sam powinienem o tym od razu pomyśleć. Mój batalion jest już przygotowany do wymarszu. Tylko… Kto właściwie jest naszym przeciwnikiem?

– Przecież mówię panu, że coś się knuje na Bendlerstrasse. To spisek. Oni nie cofną się przed niczym!

– Ale o kogo chodzi? Kto spiskuje przeciw komu?

– Zdaje się, że przygotowano pucz. Czołgi krążą po ulicach. Czołgi, Skorzeny! Zdaje pan sobie sprawę?

– Proszę się uspokoić, Oberführer – uśmiechnął się łagodnie Otto. – Oczekując moich ludzi, postaram się zasięgnąć nieco więcej informacji.

Dochodziła już godzina 19.00. Skorzeny złapał za telefon i polecił Fölkersamowi przysłać natychmiast na Berkaerstrasse 1. kompanię pod dowództwem Hauptsturmführera Karla Fuckera, który miał słuchać tylko i wyłącznie jego rozkazów. Sam Fölkersam oraz Oberjunker (chorąży) Paul Ostafel też mieli jak najszybciej tam dołączyć, co wykonali zresztą w rekordowo krótkim czasie. Fölkersam pozostał w siedzibie VI Urzędu, Skorzeny zaś z Ostafelem wyszli na zewnątrz, żeby obejść dzielnicę rządową. Wszędzie panował spokój.

– Jak na razie, to ten cały pucz wygląda mi na operetkę – Skorzeny wydął kpiąco wargi.

– *Jawohl, Sturmbannführer* – przytaknął posłusznie Paul Ostafel, wielki i ponury typ, przy którym nawet Heinrich Himmler wyglądałby jak dobroczyńca z Armii Zbawienia.

– Pojedźmy do jednostki pancernej.

– *Jawohl, Sturmbannführer*.

*

Wśród oficerów wojsk pancernych Skorzeny miał wielu przyjaciół. Znał także szefa sztabu Inspektoratu Wojsk Pancernych z Fehrberliner Platz, pułkownika Ernsta Bolbrinkera. Przybywszy na miejsce, natychmiast odniósł wrażenie, że dzieje się coś podejrzanego. Czołgi ze szkoły pancernej w Wünsdorf pod Berlinem stały rozstawione na całej szerokości alei. Otto zasalutował oficerom. Pozwolono mu przejść bez przeszkód.

Bolbrinker przyjął go natychmiast. W skórzanym płaszczu i z wiszącymi niedbale na szyi ochronnymi goglami, które zostawiły wyraźne, wolne od kurzu owale wokół jego bladoniebieskich oczu, wyglądał jak kopia samego Rommla.

– Zgodnie z rozkazem otrzymanym z Bendlerstrasse mam posłać czołgi w stronę Lankwitz i koszar Lichterfelde, w których zakwaterowana jest jednostka Leibstandarte Adolf Hitler – wyrzucił jednym tchem. – Nic z tego nie rozumiem. Słuchałeś niedawno radia? Zamach przeciwko naszemu Führerowi? To niesłychane! Pułkownik Wolfgang Gläsemer, komendant szkoły wojsk pancernych z Krampnitz, nie wrócił z Bendlerstrasse. Zdaje się, że jednostki SS zaplanowały pucz i doszło do starć. Co o tym myślisz, Otto?

– Co myślę? – parsknął Skorzeny. – Mam zaszczyt należeć do Waffen-SS. Nie wierzę w jakikolwiek spisek moich towarzyszy przeciw Führerowi. Jestem pewien, że ktoś rozgłasza takie pogłoski, żeby wywołać wojnę domową i przeciwstawić wojska lądowe Waffen-SS.

– Wojnę domową? – zdumiał się Bolbrinker. – Jak to?

– Zwróć uwagę, że jeśli jednostki pancerne, które opuściły Wünsdorf, by ruszyć w kierunku Berlina, skierują się na Lichterfelde, Leibstandarte może zareagować otwarciem ognia. A tego przecież za wszelką cenę należy uniknąć. Wydany rozkaz nie ma sensu.

– Chyba masz rację. Na szczęście moje czołgi jeszcze nie wyruszyły.

– No i bardzo dobrze.

– Co robimy?

– Daj mi dwóch oficerów – zaproponował Skorzeny. – Pojadę z nimi do Lichterfelde i zobaczę, co tam się dzieje.

– No to zasuwaj.

Wyruszyli natychmiast, zalecając po drodze dowódcom czołgów, żeby nie ruszali się z miejsca, dopóki nie otrzymają nowych rozkazów. (Nieco później Bolbrinker rozkazał swoim żołnierzom wykonywać rozkazy tylko generalnego inspektora wojsk pancernych Heinza Guderiana).

Popędzili samochodem do dawnych koszar Skorzenego w Lichterfelde, gdzie Otto miał okazję porozmawiać z Oberführerem (a niebawem już Brigadeführerem) Wilhelmem Mohnkem.

– Jest pan dla mnie wysłańcem opatrzności – ucieszył się na widok Skorzenego Mohnke. – Niedawno dzwonił do mnie Goebbels i uprzedził, że podobno jakieś elementy w armii, przekonane o śmierci Führera, starają się przejąć władzę i wysyłają różne sprzeczne ze sobą rozkazy. Puczyści twierdzą przy tym, że to jakoby Waffen-SS dokonały zamachu stanu. Przyszykowałem już działa i karabiny maszynowe, a ludzie zajęli stanowiska. Gdybyście nie przyjechali, a nadciągnęłyby czołgi, to polałaby się krew.

– Niech pan się nie da sprowokować – przestrzegł go Skorzeny. – Może się przecież tak zdarzyć, że jeden czy dwa zbłąkane czołgi pojawią się przed koszarami. Waffen-SS nie powinny odpowiadać ogniem na każdą prowokację.

Pozostawiwszy przy Mohnkem jednego z oficerów łącznikowych Bolbrinkera (drugi miał wrócić, aby zdać relację swemu dowódcy), Otto zdecydował się pojechać do Wannsee, do sztabu generała Studenta. Wcześniej jednak zatelefonował na Berkaerstrasse do Fölkersama.

– Przybyła już 1. kompania zmotoryzowana z Friedenthal – zameldował szef sztabu.

– Doskonale, trzymaj ją cały czas w pogotowiu przed budynkiem.

Minęła godzina 20.00. W tej chwili właśnie feldmarszałek Wilhelm Keitel wysyłał dalekopisem rozkaz do wszystkich dowódców, odwołując rozporządzenia pochodzące z Bendlerstrasse i zabraniając wykonywania

innych rozkazów niż kontrasygnowane przez niego lub przez Himmlera, którego Hitler mianował naczelnym dowódcą Armii Rezerwowej i uczynił odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Rzeszy.

W godzinę później radio zapowiedziało, że jeszcze przed północą Hitler przemówi do narodu.

*

Dochodziła godzina 21.00, kiedy Skorzeny po wcześniejszym uprzedzeniu telefonicznym zameldował się w willi w Lichterfelde, w której mieszkał generał Student. Cicha uliczka tonęła w zieleni i kwiatach. Poszczególne działki, na których stały okazałe wille, oddzielone były od siebie wysokimi żelaznymi płotami i gęstymi, równo przystrzyżonymi żywopłotami. Za ogrodzeniami rozciągały się ogrody, a w nich huśtawki z obrośniętymi trawą metalowymi nogami i gipsowe figurki krasnali. Jakby nie było wojny…

Generał przyjął go na tarasie, ubrany w granatową podomkę, przeglądając jednocześnie dokumenty przy starannie zaciemnionym świetle lampy. Obok siedziała na wiklinowym fotelu żona, Gertrude Beer, zajęta haftowaniem makatek.

– Przybyłem z powodów służbowych. – Skorzeny spojrzał znacząco na małżonkę generała.

Pani domu zniknęła natychmiast. Otto zrelacjonował zwięźle generałowi to, co wiedział o toczących się wypadkach. Student pokręcił niedowierzająco głową.

– Ależ mój drogi Skorzeny, to wszystko, co pan mówi, brzmi jak powieść przygodowa! Próba puczu? Spisek wojskowych? To niemożliwe! Musiało zajść po prostu jakieś nieporozumienie.

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu. Dzwonił marszałek Rzeszy Hermann Göring, który poinformował Studenta, że zamachu na Hitlera dokonał oficer sztabu Armii Zapasowej, który sądził, że Führer zginął. W związku z tym na Bendlerstrasse wydano odpowiednie rozkazy

i niektóre z nich zaczęto nawet wykonywać. Od tej pory należało respektować tylko rozkazy Kwatery Głównej i OKW. Göring zalecił zachowanie zimnej krwi, aby nie doszło do niepotrzebnych starć.

Generał pobladł w jednej chwili. Odwrócił się do Skorzenego i powiedział:

– Miał pan rację.

Powiadomił Göringa o wizycie Skorzenego i o poczynionych przez niego krokach.

– To naprawdę nie do wiary! – sapnął, odkładając słuchawkę. – Ogólnie rzecz biorąc, sytuacja jest bardzo poważna. Natychmiast stawiam moje oddziały w stan pogotowia!

– Panie generale – skinął głową Otto. – Zapobieżono już nieszczęściu w wojskach pancernych i Waffen-SS. Proponuję panu nawiązanie kontaktu z pułkownikiem Bolbrinkerem i Oberführerem Mohnkem.

– Doskonale – zgodził się generał Student. – Będziemy w kontakcie.

Pożegnawszy się serdecznie z generałem, Skorzeny powrócił pospiesznie na Berkaerstrasse. Właśnie minęła godzina 22.00.

– Oni podobno utworzyli już nowy rząd – poinformował go natychmiast Fölkersam. – Odpowiednie rozkazy wysłano z szefostwa Armii Zapasowej do dowódców okręgów wojskowych, obszarów okupowanych i na front!

– Szaleńcy – skomentował krótko Otto.

– Wciąż sądzą, że Hitler nie żyje. Mamy do czynienia ze zdradą stanu.

– To obrzydliwe. Wehrmacht na trzech frontach walczy przeciwko najsilniejszym armiom świata, a oni… – Skorzeny splunął na podłogę. – Na froncie wschodnim zagrożona jest Rumunia. Sowieci zajęli kraje bałtyckie, a w centrum minęli Pińsk i Białystok, zagrażając Brześciowi!

– Na zachodnim alianci panują całkowicie na morzu i w powietrzu – uzupełnił Fölkersam. – Rozszerzyli przyczółek i zdobyli Cherbourg oraz zamieniony w ruinę Saint-Lô. We Włoszech minęli Arezzo i doszli do Pizy.

– To już nie cios nożem w plecy, ale seria z karabinu maszynowego – rzekł z wściekłością Otto. – Trzeba…

– Pilny telefon z Kwatery Głównej do Sturmbannführera Skorzenego – przerwał mu jakiś oficer.

To był sam marszałek Göring.

– Niech pan natychmiast, wszystkimi siłami uda się na Bendlerstrasse, aby wzmocnić batalion wartowniczy Grossdeutschland – polecił. – Jego dowódcą jest obecny już na miejscu major Remer.

– Ale dysponuję w tej chwili tylko jedną kompanią, która ochrania siedzibę RSHA przy Berkaerstrasse, *Herr Feldmarschall* – uprzedził rozmówcę Skorzeny.

– Ruszać natychmiast i oczekiwać na miejscu rozkazów! – brzmiała odpowiedź.

*

Minęła godzina 11.00. Jechali z największą możliwą prędkością pomiędzy zniszczonymi przez nieprzyjacielskie naloty terrorystyczne budynkami, które przydawały letniej nocy atmosfery horroru. Szeroki Kübelwagen Skorzenego – wojskowa wersja samochodu osobowego Volkswagen Typ 1 – posuwał się na czele konwoju składającego się z około trzydziestu ciężarówek. Po kilkunastu minutach dojechali na miejsce.

Plan opanowania Berlina całkowicie zawiódł, a sytuacja małej grupki konspiratorów stała się beznadziejna. Kilka minut przed godziną 23.00 sztab spiskowców przy Bendlerstrasse został zaatakowany przez kompanie z batalionu „Grossdeutschland”. W korytarzu doszło do walki, w której Stauffenberg został ranny. Uwolniono trzymanych dotąd w areszcie wiernych Hitlerowi oficerów Armii Rezerwowej wraz z dowódcą jednostki generałem Ernstem Friedrichem Frommem (którego stanowisko objął po zamachu generał Erich Höppner).

Zachowanie się samego Fromma było wcześniej bardzo dwuznaczne, toteż płonął teraz chęcią szybkiego pozbycia się tych, którzy mogli go obciążyć. Kiedy nadciągnęły oddziały wojskowe, aby aresztować spiskowców, Fromm kazał rozstrzelać von Stauffenberga, jego adiutanta

porucznika Haeftena, Olbrichta i Albrechta Mertza von Quirnheima. (Niewiele mu to pomogło. Dzień później został z rozkazu Himmlera aresztowany. Skazany na śmierć przez Trybunał Ludowy, został rozstrzelany 19 marca 1945 roku).

Egzekucji dokonano na podwórzu, przy świetle reflektorów samochodu pancernego, pomiędzy godziną 0.15 a 0.30. „Niech żyją święte Niemcy" – zakrzyknął tuż przed śmiercią Claus von Stauffenberg[6].

Ludwigowi Beckowi pozwolono popełnić samobójstwo. W zgładzeniu innych przeszkodziło Frommowi przybycie na Bendlerstrasse głównego zastępcy Himmlera, Ernsta Kaltenbrunnera, który teraz, gdy pucz się nie udał, wolał usłyszeć, co mu powiedzą pozostali przy życiu uczestnicy spisku, niż ich z miejsca rozstrzelać.

Skorzeny dotarł na miejsce podobno już po wszystkim. Tak przynajmniej udowadniał później przesłuchującym go amerykańskim oficerom. Podobnie zanotował w swych wspomnieniach, przedstawiając jednak zapis wypadków w sposób dość zawiły, szczególnie jeżeli chodzi o czas. Zgodnie z jego relacją uzgodnili z Remerem, że major zajmie się obstawieniem budynku z zewnątrz, on zaś wewnątrz.

„Do działania przystąpiłem natychmiast – relacjonował […]. W towarzystwie Fölkersama, Ostafela i dwóch moich oficerów wszedłem na pierwsze piętro, na którym znajdowały się biura Olbrichta i Stauffenberga. Wszędzie wrzało. Zewsząd pojawiali się uzbrojeni po zęby oficerowie. Uspokoiłem ich szybko […]. Kazałem anulować dyrektywy mające związek z operacją «Walkiria», przywrócić normalne kontakty z Kwaterą Główną Hitlera, okręgami wojskowymi i sztabami wszystkich frontów, a także zorganizować służbę podsłuchu telefonicznego, przede wszystkim rozmów na duże odległości. Jednakże nie mogłem połączyć się telefonicznie z Kwaterą Główną.

Zdawałem sobie sprawę, że od mniej więcej dziesięciu godzin wszyscy zajmowali się wszystkim, co wiązało się z puczem, tylko nie pracą. Najpilniejszą rzeczą wydało mi się ponowne uruchomienie gigantycznego

aparatu administracji. Wezwałem szefów służb oraz oddziałów i powiedziałem:

– Najistotniejsze jest anulowanie wszystkich rozkazów dotyczących planu «Walkiria». Miliony naszych towarzyszy walczą. Pomyślcie o nich. Na wszystkich frontach potrzeba zaopatrzenia, amunicji, posiłków. Niech w ciągu tej nocy każdy spróbuje nadrobić stracony czas.

Jeden z pułkowników zwrócił mi uwagę, że niektóre pilne decyzje o zaopatrzeniu miały być podjęte i podpisane przez generała Fromma, generała Olbrichta lub pułkownika Stauffenberga.

– Biorę na siebie odpowiedzialność za podpisanie i wysłanie najpilniejszych dyrektyw – powiedziałem. – Niech panowie podejmą swoje obowiązki. Do pracy, panowie!

Usadowiłem się w biurze Stauffenberga. W szufladach biurka odnalazłem prawdziwy plan «Walkiria», dwie kości do gry i rodzaj gry planszowej, wydrukowanej w czterech kolorach. Przedstawiała ona szlak jednego korpusu Grupy Armii «Süd» w czasie kampanii rosyjskiej. Objaśnienia ruchów na polach były tak cyniczne, wulgarne i niskie, że byłem oburzony. Widać, że często grano w tę grę. Wyobrażam sobie, co musieli myśleć ordynansi lub kelnerzy w kasynie na widok «panów oficerów» sztabowych oddających się podobnej rozrywce! Doprawdy, odczuwałem wstręt”.

*

Pół godziny po północy nocą z 20 na 21 lipca wszystkie niemieckie stacje radiowe przystąpiły do transmitowania przemówienia Hitlera.

„Niemieccy towarzysze i towarzyszki! – zaczął ocalały Führer. – Nie wiem, który to już raz zaplanowano i dokonano zamachu na moje życie. Jeśli dzisiaj do was przemawiam, to robię to z dwóch powodów: Po pierwsze, byście usłyszeli mój głos i wiedzieli, że jestem cały i zdrowy. Po wtóre, byście dowiedzieli się czegoś więcej o zbrodni, która nie ma sobie równych w historii Niemiec. Niewielka grupka zżeranych ambicją,

nieodpowiedzialnych, a jednocześnie nierozsądnych i głupich oficerów uknuła spisek w celu usunięcia mnie i naczelnego dowództwa sił zbrojnych. Bomba, którą podłożył mi pułkownik hrabia von Stauffenberg, wybuchła o dwa metry w prawo ode mnie. Jedna z osób, które były przy mnie, zginęła. Inni koledzy, bardzo mi drodzy, odnieśli ciężkie rany. Ja zostałem tylko lekko draśnięty, potłuczony i poparzony. Przyjmuję to jako potwierdzenie mojego zadania, zleconego przez Opatrzność, by dalej realizować mój cel życiowy, tak jak to dotychczas czyniłem. Grupa ludzi, którą ci uzurpatorzy reprezentują, nie ma nic wspólnego z duchem niemieckiego Wehrmachtu, a przede wszystkim nic wspólnego z niemieckim narodem. Rozkazuję więc teraz, aby żadna władza wojskowa, żaden dowódca i żaden zwykły żołnierz nie słuchał rozkazów pochodzących od grupy tych uzurpatorów. Rozkazuję też, aby każdy uważał za swój obowiązek aresztować lub w razie oporu zastrzelić natychmiast każdego, kto wydaje lub spełnia podobne rozkazy. Jestem przekonany, że wraz z wykryciem tej garstki zdrajców i sabotażystów została wreszcie stworzona na tyłach ta atmosfera, jakiej potrzebuje walczący front. Tym razem porachujemy się z nimi, jak zwykli to robić narodowi socjaliści!…”.

Dwie godziny później Skorzenemu udało się wreszcie połączyć ze sztabem generała Jodla. Poprosił, by ktoś przejął jego obowiązki, najlepiej jakiś kompetentny generał. W odpowiedzi usłyszał, że niezbędne posunięcia zostaną dokonane rano, a w oczekiwaniu na nie ma pozostać na posterunku. Pozostał więc na nim przeszło trzydzieści godzin, drzemiąc od czasu do czasu kilka minut w fotelu, mimo wypijania litrów kawy przygotowywanej i przynoszonej mu przez sekretarki. W tym czasie otrzymał wiele raportów, po których przeczytaniu dyktował pisma sekretarkom Olbrichta i Stauffenberga, podpisując je za nich „z upoważnienia”.

Koło południa generał Jodl zadzwonił do niego osobiście z Kętrzyna i polecił wytrwać jeszcze kilka godzin. W razie konieczności podjęcia jakiejś szczególnie ważnej decyzji kazał mu zawiadomić OKW.

– No tak, tylko że ja często nie jestem w stanie stwierdzić, czy jakaś decyzja jest, czy nie jest ważna – skrzywił się Otto.

– Skorzeny – usłyszał w słuchawce chichot generała. – Bardzo dobrze wiem, że czuje pan wstręt do sztabowej pracy, ale nie o nią tutaj chodzi. Niech pan kontynuuje swoją misję. Zmienimy pana nocą, najpóźniej jutro rano.

Rankiem 21 lipca pucz można już było uznać za całkowicie stłumiony. Zmęczony, choć w znakomitym humorze Joseph Goebbels nazwał pogardliwie cały spisek „rewolucją przy telefonie". Tylko jednookiemu pułkownikowi nie odmówił swego szacunku:

– Jednak ten Stauffenberg to był facet! – powiedział. – Niemal go żałuję. Co za zimna krew! Jaka inteligencja, jaka żelazna wola! Wprost niepojęte, że się zadał z taką bandą durniów!…

22 lipca około godziny 9.00 na Bendlerstrasse przybyli Himmler i generał Jüttner. Skorzeny wrócił z Fölkersamem i Ostafelem do Friedenthalu, gdzie śmiertelnie zmęczeni przespali bez przerwy piętnaście godzin. Obudził ich telefon od Waltera Schellenberga.

– Przed chwilą dzwonili do mnie Reischführer Himmler i Heinrich Müller, szef Gestapo – powiedział dowódca SD. – Wiele poszlak wskazuje, że admirał Canaris był również zaangażowany w spisek. Otrzymałem rozkaz aresztowania go.

– Świetnie – ucieszył się nierozbudzony jeszcze do końca Otto. – Zawsze mówiłem, że to kanalia.

– Ale jestem w delikatnej sytuacji – głos Schellenberga przybrał płaczliwy ton. – Reischführer, który wykonuje rozkaz samego Hitlera, chce, aby admirała potraktowano z szacunkiem. W obecnych okolicznościach wydaje mi się właściwe, abym dysponował oddziałem pańskiej jednostki w charakterze eskorty, podczas spełniania misji, której prawdę mówiąc, chętnie bym się zrzekł. Należy się także liczyć z oporem.

– Jeżeli chodzi o zatrzymanie tylko Canarisa, to wystarczy jeden oficer z kierowcą – odpowiedział Skorzeny.

„Od końca lipca 1944 roku państwo i naród niemiecki znalazły się w śmiertelnym zagrożeniu – zapisał w swych wspomnieniach. – Jestem przekonany, że gdyby Hitler choć przez sekundę pomyślał, że jego śmierć pomoże narodowi, który wyniósł go do władzy, zakończyć wojnę w sposób honorowy, popełniłby natychmiast samobójstwo […].

Po deklaracjach Roosevelta i Morgenthaua[7], Niemcy, «kapitulując bezwarunkowo» na wszystkich frontach, miały stać się trzeciorzędnym państwem rolniczym, bez przemysłu, a wedle twierdzenia sowieckiego propagandysty Ilii Erenburga «pustynią popiołów».

Nie mieliśmy innego wyjścia, jak kontynuować walkę”.

Jeszcze 20 lipca, późnym wieczorem, po powrocie z Kętrzyna do Berlina Himmler założył sobie kwaterę w siedzibie Goebbelsa i tej samej nocy zarządził pierwsze przesłuchania. Rozpoczęły się masowe łowy na ludzi.

*

22 lipca Himmler utworzył w Gestapo tak zwaną Komisję Specjalną 20 Lipca (Sonderkommission 20 Juli), której zadaniem było zbadanie wydarzeń i wykrycie dalszych spiskowców. W jej skład weszło czterysta osób działających pod kierownictwem szefa RSHA Ernsta Kaltenbrunnera i szefa Gestapo Heinricha Müllera. Obok spiskowców aresztowano wielu opozycjonistów, którzy już wcześniej wzbudzili podejrzenia organów ścigania, ale nie byli zaangażowani w przygotowania zamachu. Uprzedzając aresztowanie przez Gestapo, generał-major Hennig von Tresckow popełnił samobójstwo, które upozorował jako śmierć z rąk partyzantów – wysadził się w powietrze na skraju lasu za pomocą granatu ręcznego.

4 sierpnia 1944 roku powołano do życia tak zwany Sąd Honorowy Wehrmachtu (Ehrenhof), mający wykluczyć z armii oficerów zaangażowanych w próbę wysłania Hitlera na drugi świat. W jego skład weszli: feldmarszałek Gerd von Rundstedt jako przewodniczący, jako członkowie zaś feldmarszałek Wilhelm Keitel oraz generałowie: Walther

Schroth, Karl Kriebel, Heinrich Kirchheim i Heinz Guderian, który powrócił do łask i mianowany został na miejsce Kurta Zeitzlera szefem sztabu wojsk lądowych, bezpośrednio podległym Hitlerowi.

Ponieważ zdegradowani do stopnia szeregowca i zwolnieni z armii oficerowie nie mogli stanąć przed sądem wojskowym, zajął się nimi Trybunał Ludowy (Volksgerichtshof), którego przewodniczącym został sędzia Roland Freisler, doktor praw, członek NSDAP od roku 1925. Przewodniczył w ponad tysiącu procesach przeciwników politycznych, wydając niemal wyłącznie wyroki śmierci. Wśród skazanych przez niego osób znalazło się wcześniej między innymi rodzeństwo Hans i Sophie Scholl[8]. Prowadzone przez niego rozprawy charakteryzowały się grubiaństwem i brutalnością; wyzwiska i groźby pod adresem oskarżonych były w Trybunale Ludowym na porządku dziennym. Elementarne zasady sprawiedliwego procesu sądowego – takie jak domniemanie niewinności i prawo do obrony – były zwykłą fikcją.

Wyroki wydał zresztą już wcześniej sam Führer, stwierdzając:

– Tym razem zrobię krótki proces. Ci przestępcy […] nie dostaną uczciwej kuli, będą wisieć, jak zwykli zdrajcy! Sąd honorowy ma wykluczyć ich z Wehrmachtu, wtedy zorganizuje się im proces jak cywilom […]. I wyrok ma być wykonany w ciągu dwóch godzin od jego ogłoszenia! Muszą natychmiast zawisnąć, bez żadnej litości! A najważniejsze jest, by nie mieli czasu na długie przemowy.

Pierwszy proces rozpoczął się 7 sierpnia 1944 roku. Oskarżonymi byli: Erwin von Witzleben, Erich Höpner, Paul von Hase, Peter Yorck von Wartenburg, Helmuth Stieff, Robert Bernardis, Friedrich-Karl Klausing i Albrecht von Hagen. Posiedzenia odbywały się w Sali Wielkiej berlińskiego Sądu Najwyższego przy Elseholzstrasse. Uczestniczyło w nich stale około trzystu widzów – w tym Ernst Kaltenbrunner, wybrani urzędnicy, funkcjonariusze partyjni, wojskowi i dziennikarze. Przebieg procesu był filmowany, tak aby Hitler był w stanie śledzić postępowanie i by nagranie mogło być wykorzystane w filmie dokumentalnym pt. *Zdrajcy przed Trybunałem Ludowym*.

Oskarżonych zmuszono podczas procesu do noszenia zniszczonych ubrań, nie pozwolono na krawaty, wprowadzano ich do sali pod eskortą, przykutych kajdankami do policjantów. Postępowanie zostało wszczęte zapowiedzią Freislera, że będzie orzekał w sprawie „najbardziej przerażających oskarżeń, wniesionych kiedykolwiek w historii narodu niemieckiego". Do spółki z dwoma pozostałymi członkami składu orzekającego, Heinrichem Lautzem i Hermannem Reineckem, Freisler prześcigał się nawzajem w określaniu zmaltretowanych oskarżonych wyrazami uważanymi powszechnie za obelżywe, spośród których takie, jak *schweinehund* – świński pies – należało do najłagodniejszych.

Sześćdziesięciodwuletni feldmarszałek von Witzleben jako pierwszy został wezwany przed Freislera i natychmiast został skrzyczany za użycie hitlerowskiego pozdrowienia. Stał upokorzony, trzymając kurczowo opadające spodnie, ponieważ pozbawiono go paska i szelek.

Oskarżeni nie mogli poradzić się obrońców, którzy nie siedzieli blisko nich. Żadnemu z nich nie wolno było zwracać się bezpośrednio do Trybunału i próby takie były przez Freislera natychmiast przerywane.

– Możesz nas przekazać katu – krzyknął wtedy do sędziego von Witzleben. – Jestem pewien, że wkrótce także ciebie rozwścieczeni i udręczeni ludzie pociągną do odpowiedzialności i przeciągną cię przez błoto ulic.

Wszyscy zostali skazani na śmierć, a wyroki, które zapadały podczas tej i kolejnych rozpraw, miały stanowić ostrzeżenie dla całego społeczeństwa niemieckiego.

Tuż przed rozpoczęciem procesu głównych uczestników spisku Hitler powiedział: „Chcę, aby zostali powieszeni. Jak bydło!".

Rozkaz ten wykonano dosłownie. 8 sierpnia 1944 roku o godzinie 17.00, dwie godziny po ogłoszeniu wyroków skazujących, w ponurej piwnicy więzienia w Plötzensee trzech rosłych katów z SS przystąpiło do dzieła. Naoczny świadek, Hans Hoffmann, jeden ze strażników więziennych, tak opisał po wojnie przebieg egzekucji:

„W małym, niskim pomieszczeniu wisiały wielkie haki, takie same, jakich używają rzeźnicy do wieszania ubitego bydła. Obecni byli – generalny prokurator Rzeszy, kat ze swoimi dwoma pomocnikami, dwóch operatorów filmowych i kilku strażników więziennych. Skazańcy mieli na sobie tylko ubiór więzienny, drewniane chodaki i kajdanki. W środku pomieszczenia stał stół z butelką wódki i szklankami. Duchownego nie było. Wieszano ich kolejno na cienkich sznurkach. Najpierw przyprowadzono Witzlebena. Jego agonia trwała pięć minut…

Przez cały czas nieprzerwanie terkotała kamera filmowa. Wieczorem Hitler oglądał film, pokazujący śmierć jego wrogów”.

Zdaniem Adolfa Hitlera zdrajcy nie mieli prawa do godnej śmierci. Żaden oficer, skazany za udział w spisku na jego życie, nie stanął przed plutonem egzekucyjnym. Statutowa kara przewidywała śmierć przez powieszenie, zazwyczaj na rzeźniczym haku. Nierzadko stosowano strunę z fortepianu. Agonia skazańców trwała na ogół długo i wyglądała bardzo nieprzyjemnie. Führer kazał utrwalać wszystkie tego typu egzekucje na filmie. Niektóre były tak wstrząsające, że podobno nawet sam Himmler wychodził z pokazów, nie mogąc opanować mdłości.

Egzekucje trwały aż do kwietnia 1945 roku. Wiele osób trafiło do obozów koncentracyjnych. W obozach tych umieszczano niekiedy całe rodziny skazanych. Aresztowana została też między innymi cała rodzina pułkownika von Stauffenberga. Jego żona, Nina Schenk, trafiła najpierw do więzienia w Berlinie, a następnie do obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück. Dzieci umieszczono w domu dziecka, zmieniając im nazwisko na Meister, wszystkim jednak udało się przeżyć wojnę.

*

Wśród ponad dwustu osądzonych w kolejnych procesach i straconych za udział w puczu znaleźli się między innymi: Erich Fellgiebel, Carl-Heinrich von Stülpnagel, który stracił wzrok przy próbie samobójczej, Helmuth James von Moltke i brat bezpośredniego wykonawcy zamachu, Berthold

Schenk von Stauffenberg. Dziewiętnastu generałów, dwudziestu sześciu pułkowników, dwóch ambasadorów, siedmiu dyplomatów, jeden minister, trzech sekretarzy stanu, a także szef policji kryminalnej, wielu prezydentów i premierów rządów krajów związkowych i regionalnych prezydentów policji.

W sumie przeprowadzone po zamachu czystki zakończyły się egzekucją niemal tysiąca przeciwników nazizmu spośród siedmiu tysięcy aresztowanych bądź tylko przesłuchiwanych. Podczas odbywających się śledztw podejrzanych traktowano zwykle bardzo brutalnie i poddawano torturom, aby wymusić zeznania, nie oglądając się ani na ich stanowiska, ani na wcześniejsze zasługi.

Himmler i Bormann poinformowali Hitlera, że ze spiskowcami solidaryzował się również Erwin Rommel. Czy tak było naprawdę, do dzisiaj nie wiadomo. Potwierdzeniem chwiejnej postawy feldmarszałka w oczach Hitlera był jego wcześniejszy apel o zakończenie wojny i podpisanie układu z aliantami. Ze względu na ogromną popularność Rommla Führer zdecydował o zgładzeniu go po cichu i bez rozprawy sądowej.

14 października 1944 roku do jego domu w Herrlingen koło Ulm udali się generałowie Wilhelm Burgdorf i Ernst Maisel, stawiając „Lisa pustyni” przed prostym wyborem: publiczny proces i kompromitacja oraz prawdopodobny lincz na rodzinie lub zażycie cyjanku i uniknięcie dalszych nieprzyjemności. Wychodząc z domu, feldmarszałek zdążył tylko szepnąć do żony i syna: „umrę za piętnaście minut”, nim odjechał wraz z obydwoma wysłannikami śmierci. Opinię publiczną poinformowano, że Erwin Rommel zmarł w wyniku odniesionych ran. Hitler zainscenizował imponujący pogrzeb, wysłał też wdowie pełne hipokryzji kondolencje. Współudział feldmarszałka w nieudanym zamachu z 20 lipca 1944 roku był utrzymywany w ścisłej tajemnicy aż do końca wojny.

Zdania historyków co do śmierci Günthera von Kluge są podzielone. Większość podaje, że aresztowany wcześniej feldmarszałek popełnił samobójstwo 18 sierpnia 1944 roku podczas podróży z Paryża do Metzu,

rozgryzając fiolkę z cyjankiem. Według relacji generała policji i SS Jürgena Stroopa natomiast miał zostać następnego dnia zamordowany, przy czym samobójstwo tylko upozorowano. W pożegnalnym liście wyraził jednak podziw dla wielkości Hitlera oraz swą dozgonną wierność, wzywając go jednocześnie do zakończenia wojny.

Jak wspomniano już wcześniej, rozkazem Führera z lutego 1944 roku Abwehrę wcielono do RSHA, admirała Canarisa zaś zwolniono z zajmowanego stanowiska, powierzając mu funkcję szefa specjalnego sztabu do spraw wojny handlowej i ekonomicznej. Za tą szumną nazwą nie kryły się jednak żadne poważniejsze uprawnienia i dla wszystkich – a najbardziej dla samego zainteresowanego – było jasne, że został dożywotnio odstawiony na boczny tor.

Czy to właśnie te osobiste niepowodzenia sprawiły, że przystąpił do spisku mającego na celu usunięcie Adolfa Hitlera? A może była to patriotyczna troska o pchane przez szaleńca do zguby Niemcy. Może wreszcie Canaris nie brał udziału w żadnym spisku, a nieudany zamach dokonany przez pułkownika von Stauffenberga postanowiono tylko wykorzystać do usunięcia niewygodnego asa wywiadu? Historia nie daje jednoznacznej odpowiedzi na żadne z tych pytań.

22 lipca 1944 roku, kiedy w dalekim Lublinie podpisywano tragiczny manifest, Wilhelm Canaris został aresztowany i osadzony w wiezieniu na Prinz Albert Strasse w Berlinie. Tak zaczęła się gehenna admirała: przesłuchania w Gestapo, szykany, okrutne traktowanie. Oprawcy z SD brali na nim odwet za to, że śmiał tak długo i wytrwale toczyć z nimi walkę konkurencyjną i tak długo cieszyć się zaufaniem Hitlera. Nadal jednak brakowało dostatecznych dowodów, by oskarżyć go o zdradę stanu.

Po ukończeniu wstępnego śledztwa Canaris został przewieziony do obozu koncentracyjnego we Flossenburgu w Bawarii. Zgodnie z relacją Jürgena Stroopa Canarisa tłuczono tam po kilka razy dziennie w bunkrze. Cały czas był zakuty w kajdany. „Przed egzekucją wyglądał na osiemdziesięcioletniego starca, a miał przecież 56–58 lat. Siwe włosy.

Wychudzony do ostateczności. Oba ramiona i żebra obandażowane po złamaniach. Czerwony i siny na twarzy…”.

Trzeba się było spieszyć, zarówno z zachodu, jak i ze wschodu zbliżały się alianckie wojska. Nocą z 8 na 9 kwietnia 1945 roku odbyła się na terenie obozu rozprawa przed specjalnym trybunałem SS. Wyrok – wiadomy. Według relacji wspomnianego wyżej generała, Canaris został powieszony za żebro na haku rzeźniczym i tak skonał. Wersja ta jest jedną z kilku istniejących na temat ostatnich chwil Canarisa. Niektórzy twierdzą, że szef Abwehry został po prostu rozstrzelany. Jego ciało oraz ciała kilku innych skazańców spalono i rozrzucono na cztery wiatry.

Główny inicjator spisku, niedoszły kanclerz Carl Friedrich Goerdeler, zaszył się gdzieś jak borsuk w norze i mimo wyznaczenia nagrody w wysokości miliona marek za pomoc w jego ujęciu aż do 12 sierpnia pozostawał na wolności. Tego właśnie dnia postanowił odwiedzić Kwidzyn, gdzie znajdowały się groby jego rodziców. Siedzącego w gospodzie Goerdelera rozpoznała pracowniczka służby pomocniczej kobiet Luftwaffe, Helene Schwärzel, pamiętająca go jeszcze z czasów, gdy był zastępcą burmistrza w Królewcu, i natychmiast zawiadomiła Gestapo.

Po uwięzieniu przez Gestapo Goerdeler nie ukrywał bynajmniej swojej działalności spiskowej. Co więcej, szafował kolejnymi nazwiskami, ujawniając przesłuchującym go najdrobniejsze szczegóły akcji. Znacznie ułatwił tym zadanie gestapowcom, którzy potrzebowali takich informacji, aby ostatecznie rozprawić się z opozycją. 8 września Trybunał Ludowy skazał go na karę śmierci. 2 lutego 1945 roku został stracony przez powieszenie w berlińskim więzieniu Plötzensee.

Zgodnie z obietnicą denuncjatorka otrzymała w nagrodę czek na milion marek, który wręczył jej osobiście sam Adolf Hitler. Po wojnie sąd przysięgłych w Berlinie skazał ją za to na piętnaście lat ciężkiego więzienia. Rok później w rozprawie rewizyjnej sąd zmniejszył jej wymiar kary do sześciu lat. Helene Schwärzel okazała się jedyną osobą, która została kiedykolwiek pociągnięta do odpowiedzialności za *Justizmord* (mord sądowy) na Goerdelerze. Poza nią nie skazano żadnego sędziego ani

prokuratora. Była także pierwszą z łącznie czterystu dziewięćdziesięciu donosicieli skazanych w Niemczech po wojnie.

Przypisy

1 Josip Broz ps. „Tito” (1892–1980). Z pochodzenia Chorwat. Najmłodszy sierżant major w historii armii austro-węgierskiej. Poważnie ranny i pojmany przez wojska rosyjskie w czasie I wojny światowej, został zesłany do obozu pracy na Uralu. Brał udział w rewolucji październikowej; dołączył do jednostki Czerwonej Gwardii w Omsku. W 1920 roku powrócił do Jugosławii i wstąpił w szeregi KPJ. W roku 1934 wszedł w skład Biura Politycznego Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Jugosławii. Od roku 1937 sekretarz generalny tej partii, którą to funkcję pełnił aż do śmierci. Po agresji Niemiec na Jugosławię w 1941 roku zorganizował ruch partyzancki. Jego partyzanci walczyli jednocześnie przeciwko okupantom i czetnikom, wiernym królowi Piotrowi II Karadziordziewiciowi. W roku 1943 z jego inicjatywy powstała Antyfaszystowska Rada Wyzwolenia Narodowego Jugosławii (AVNOJ), a on sam został przewodniczącym Narodowego Komitetu Wyzwolenia Jugosławii, pełniącego w latach 1943–1945 funkcję tymczasowego rządu na wyzwolonych terytoriach.

Kočevski Rog, Kočevska Reka, Sosice. Nazwy miejscowości przez dziesiątki lat pomijane milczeniem, wspominane po chorwackich domach szeptem, ze zgrozą. To tam właśnie, w górskich jaskiniach południowej Słowenii, odkryto w czerwcu 1990 roku masowe groby bestialsko pomordowanych Chorwatów i serbskich antykomunistów, w tym także żołnierzy generała Mihajlovicia. Wzorem sowieckich oprawców z Katynia i Miednoje – strzałem w tył głowy. Byli to jeńcy wojenni, którzy poddali się w maju 1945 roku brytyjskiej armii w pobliżu miejscowości Bleiburg w austriackiej Karyncji. Złożyli broń pełni nadziei na szybki powrót do domów. Brytyjczycy przekazali jeńców oddziałom marszałka Tito. Te zaś

w ciągu zaledwie kilku tygodni dokonały masowej rzezi, zrzucając zabitych, a często jeszcze rannych, w głąb skalnych przepaści. Dziś warstwa ich kości ma ponad 40 metrów. Oblicza się, że siepacze Tito wymordowali z zimną krwią ponad 100 tys. jeńców. Sam Josip Broz panicznie bał się, aby ta zbrodnia nie została ujawniona. Dlatego też kazał o niej „zapomnieć” na wieki także rodzinom pomordowanych. Nie ujawnił też masakr dokonanych przez przeciwników, lękając się, że może to spowodować wybuch nacjonalistycznej nienawiści. Chciał, aby jego wsławiona w bojach partyzancka armia zachowała jak najlepszą opinię w oczach jugosłowiańskich narodów, sojuszników i świata. Piekło – to określenie najwierniej oddaje wydarzenia między rokiem 1941 a 1945 na Bałkanach.

Po wojnie Tito został premierem i ministrem obrony narodowej. Od roku 1953, po wprowadzeniu nowej konstytucji, dożywotni prezydent, w rzeczywistości dyktator, otoczony oficjalnym kultem. Zawsze starał się zachować samodzielność polityczną w kontaktach z Moskwą. W 1956 roku Tito poparł interwencję sowiecką na Węgrzech. Stosując krwawe represje, utrwalił ustrój komunistyczny w całym kraju. Dziełem jego życia była Socjalistyczna Federacyjna Republika Jugosławii, która rozpadła się w 1991 roku, zaledwie 11 lat po jego śmierci.

2 7. Dywizja Górska SS „Prinz Eugen”, dowodzona przez Gruppenführera Artura Phlepsa, składała się z Niemców i Austriaków z Banatu, Chorwacji i Siedmiogrodu. Ze względu na niewystarczającą liczbę ochotników jednostkę uzupełniano z poboru i dodano do niej Serbów, Rumunów, Węgrów i Chorwatów. Dywizja ta od chwili sformowania w 1942 roku aż do niesławnego końca uczestniczyła we wszystkich niemal większych akcjach przeciwko partyzantom, wyróżniając się w nich szczególnym bestialstwem. Już w październiku 1942 roku została rozmieszczona na pograniczu serbsko-chorwackim, gdzie przeprowadziła pacyfikację wiosek górskich nad rzeką Ibar (prawy dopływ Driny). Przykładem zbrodniczych metod, które towarzyszyły działaniom esesmanów z dywizji „Prinz Eugen”, jest los niewielkiej wioski Bišac

w Bośni. 3 listopada 1942 roku o świcie wioska została otoczona przez kompanię 14. pułku SS z dywizji SS Prinz Eugen oraz dwie kompanie chorwackich ustaszów. Wszystkich schwytanych mężczyzn (wyłącznie Serbów) w wieku 14–60 lat spędzono w pobliże kuźni, gdzie przystąpiono do publicznych tortur mających na celu wymuszenie zeznań o miejscu pobytu partyzantów. Przesłuchiwanym wybijano metalowymi prętami oczy i zęby, łamano kości, przypalano ciało rozgrzanym w kuźni żelazem i miażdżono w imadle palce. W tym samym czasie pozostali esesmani i ustasze przeprowadzali we wsi rewizję połączoną ze zwykłą grabieżą i gwałceniem kobiet. Przed zmierzchem nieludzkie śledztwo zostało zakończone. Wszystkich aresztowanych, z których część w wyniku przebytych tortur nie była w stanie iść o własnych siłach i musiała być niesiona przez współtowarzyszy, spędzono do pobliskiego jaru, gdzie powiązano ich drutem i wymordowano za pomocą ręcznych granatów. Dających jeszcze oznaki życia, esesmani dobili, rozbijając im głowy kolbami karabinów. Kobiety i dzieci wysłano do obozu koncentracyjnego. Według raportu dowódcy kompanii SS zlikwidowano 74 partyzantów (57 mężczyzn i 17 kobiet). Rzeź i obóz koncentracyjny przeżyły 3 osoby. Należy podkreślić, że od pierwszych dni wybuchu komunistycznego powstania Niemcy starali się je uśmierzyć, stosując najdzikszy i pozbawiony jakichkolwiek hamulców terror oraz ludobójstwo. W ciągu czterech lat walki o wolność narody Jugosławii doznały ogromnych cierpień. W trakcie walki i pacyfikacji zginęło 1 706 000 ludzi, w tym 1 401 000 ludności cywilnej.

3 Pod pozorem obrony praw Zbigniewa (brata Bolesława III Krzywoustego) w roku 1109 niemiecki cesarz Henryk V najechał Polskę. Jako warunku pokoju zażądał od Krzywoustego służb wasalnych oraz oddania połowy państwa Zbigniewowi, spotkał się jednak z kategoryczną odmową. „Jeżeli pieniędzy naszych lub rycerzy polskich żądasz tytułem trybutu, to mielibyśmy się za niewiasty, a nie za mężów, gdybyśmy wolności naszej nie bronili” – odpowiedział Bolesław na otrzymany od cesarza list. Wojna z potężnym królem niemieckim dowiodła

zarówno wielkiego talentu wojskowego Bolesława III, jak i dojrzałego już patriotyzmu nie tylko rycerstwa, ale całej ludności kraju. Mając bez porównania mniejsze i gorzej uzbrojone siły, Bolesław nie mógł dopuścić do walnej bitwy. Wysiłek Polaków skupił się na obronie grodów i walce podjazdowej. Do legendy przeszła obrona Głogowa. 24 sierpnia 1109 roku Niemcy przeprawili swoje wojska przez bród na rzece Baryczy i zajęli podgrodzie Głogowa, wycinając przy okazji przysłane przez Krzywoustego posiłki. Gród został okrążony. W tym momencie dalsze losy państwa polskiego były praktycznie uzależnione od postawy załogi grodu, liczącej niespełna trzystu wojowników. Szturm nie przyniósł rezultatu, cesarz zaproponował więc rozejm, dając obrońcom pięć dni na porozumienie się z księciem Bolesławem. Na czas tego rozejmu Henryk V wziął zakładników, w tym syna komesa Głogowa, obiecując uwolnić ich w ustalonym terminie. Dopuścił się jednak przy tym wiarołomstwa i jak pisze Gall Anonim: „sądząc, że litość nad synami i krewniakami zmiękczy serca mieszczan, polecił co znaczniejszych pochodzeniem spośród zakładników z miasta oraz syna komesa przywiązać do machin oblężniczych, że tak bez krwi rozlewu otworzy sobie bramy miasta”. W odpowiedzi na ultimatum cesarza Krzywousty zagroził głogowianom szubienicą w razie poddania się. Grodzianie przekazali jego słowa Henrykowi V wraz z żądaniem uwolnienia zakładników. Rozgniewany król kazał trąbić do szturmu.

„Niemcy nakręcali kusze, Polacy machiny oprócz kusz – relacjonował to, co działo się pod Głogowem, Gall Anonim. – Niemcy wypuszczali strzały, Polacy pociski oprócz strzał. Niemcy obracali proce z kamieniami, Polacy kamienie młyńskie z zaostrzonymi drągami. Gdy Niemcy osłonięci przykryciem z desek usiłowali podejść pod mur, Polacy sprawili im łaźnię płonącymi głowniami i wrzącą wodą. Niemcy podprowadzali po wieże żelazne tarany, Polacy zaś staczali na nich z góry koła nabijane żelazem”. Załoga nie zawahała się nawet razić pociskami własnych dzieci – zakładników, których Niemcy przywiązali do machin oblężniczych.

Pomimo olbrzymiej przewagi w liczbie wojska i uzbrojeniu Henryk nie zdołał przełamać bohaterskiej obrony grodu. Zagrożony bezustannymi atakami Bolesława i zbliżającymi się roztopami 15 września odstąpił od Głogowa. Ruszył na Wrocław, gdzie wkrótce dostał lanie w miejscu zwanym Psim Polem. Do walki z najeźdźcą stanęli mieszkańcy całego kraju, zadając Henrykowi V wielkie straty. „Z takim to tryumfem opuścił cesarz Polskę […] wynosząc żałobę zamiast wesela, trupy poległych zamiast trybutu". Polska Bolesława Krzywoustego potwierdziła swą niezależność.

4 Do dzisiaj nie ustają spory co do tego, który z alianckich żołnierzy pierwszy postawił stopę na francuskiej ziemi 6 czerwca 1944 roku. Zaszczyt ten przypisują sobie zwiadowcy z amerykańskich 82. i 101. Dywizji Powietrznodesantowych oraz brytyjskiej 6. Dywizji Powietrznodesantowej. Nie sposób dzisiaj stwierdzić, czy uczynili to przed innymi Jim Wallwork, John Howard i inni żołnierze kompanii D z szybowca nr 1. Natomiast wiadomo z całą pewnością, że kompania D pułku Ox i Bucks weszła do akcji jako pierwsza. Postawiono też przed nią najtrudniejsze i najważniejsze zadanie, które wypełniła doskonale.

5 Von Stauffenberg, uznawany współcześnie w demokratycznych Niemczech za bohatera narodowego, był konserwatywnym nacjonalistą. Jego poglądy względem niemieckiej wojny na Wschodzie i przeciwko Polsce były zgodne z ideologią niemieckiego nacjonalizmu o długiej tradycji, który nie ograniczał się wyłącznie do ideologii nazistowskiej. Podczas kampanii 1939 roku wyraził wiele nacjonalistycznych uwag na temat polskiego społeczeństwa oraz zadowolenie z użycia pracy niewolniczej przez Niemcy. W liście do swojej żony Niny Schenk pisał m.in.: „Ludność to niesłychany motłoch, tak wielu Żydów i mieszańców. To lud, który czuje się dobrze tylko pod batem. Tysiące jeńców wojennych posłuży nam dobrze w pracach rolniczych". Poglądy te nie ograniczały się do prywatnie wyrażanych opinii, lecz znalazły miejsce także w założeniach programowych spiskowców Stauffenberga. W książce *Germans against Hitler. 20 July 1944,* którą napisali Erich Zimmermann i Hans-Adolf

Jacobsen, omówione są cele, jakie stawiali sobie po zwycięstwie współtowarzysze Stauffenberga oraz on sam. Należały do nich warunki, pod jakimi rozpoczęłyby się negocjacje z aliantami. Spiskowcy domagali się panowania nad ziemiami polskimi, zamieszkanymi przez miliony Polaków, takimi jak Wielkopolska z Poznaniem, Górny Śląsk i Pomorze Gdańskie.

6 Został pochowany przy kościele św. Mateusza w Schönebergu. Na rozkaz Himmlera już następnego dnia jego zwłoki zostały ekshumowane i spalone, a prochy rozsypane po polach.

7 Henry Morgenthau (1891–1967) – amerykański polityk żydowskiego pochodzenia, bliski współpracownik prezydenta Franklina Delano Roosevelta. W latach 1934–1945 pełnił funkcję sekretarza skarbu. 9 września 1944 roku na drugiej konferencji brytyjsko-amerykańskiej w Quebecu przedstawił projekt dotyczący kształtu Niemiec po zakończeniu II wojny światowej, znany jako plan Morgenthaua, który przewidywał między innymi: rozbicie Niemiec na Niemcy Południowe i Niemcy Północne oraz na strefy międzynarodowe, całkowitą demilitaryzację, likwidację przemysłu ciężkiego i stworzenie państwa rolniczo-pasterskiego. Północna część Prus Wschodnich miała być przyłączona do ZSRS, część południowa, Górny Śląsk i część Dolnego Śląska, do Polski, a obszar nad Renem i Mozelą – do Francji.

8 Sophie Scholl (wł. Sophia Magdalena Scholl) urodziła się 9 maja 1921 roku w Forchtenbergu. W 1934 roku wstąpiła w Ulm do licealnej organizacji Hitlerjugend, a raczej do jej żeńskiej przybudówki BDM. Przez pewien czas pełniła nawet funkcję kierowniczki sekcji, ale drogi wrażliwej, utalentowanej muzycznie i plastycznie dziewczynki oraz hitlerowskiej młodzieżówki, w której posłuszeństwo i wojskowy dryl były wszystkim, szybko się rozeszły. W 1942 roku zaczęła studiować w Monachium biologię i filozofię. Za pośrednictwem swojego brata, Hansa, który studiował medycynę na Uniwersytecie Ludwiga Maximiliana w Monachium, poznała wiele osób z kręgu antynazistowskiej opozycji. Mimo iż brat próbował trzymać ją od tego z dala, zajęła się produkcją

i rozprowadzaniem ulotek studenckiej grupy ruchu oporu „Biała Róża”. Pochodzenie tej nazwy nie jest całkiem jasne. W każdym razie zaprzyjaźniony z Hansem Schollem (później również aresztowany i skazany na śmierć) student medycyny Alex Schmorell podczas rozmowy z jedną z przyjaciółek wypowiedział się na temat białej róży jako jej ulubionego kwiatu: „Tak! Biała róża jest symbolem czystości i piękna”. Członkowie organizacji wysyłali swoje apele pocztą, rozkładali ulotki w budkach telefonicznych i zaparkowanych samochodach oraz przekazywali je studentom z innych miast w celu dalszego kolportażu. Na łamach pierwszej ulotki można było przeczytać: „Nic nie jest mniej godne kulturalnego narodu, jak bez sprzeciwu pozwalać sprawować nad sobą władzę nieodpowiedzialnej i miotanej ciemnymi żądzami klice rządzących. Stawiajcie pasywny opór, opór, gdzie tylko jesteście. Przerwijcie dalszą pracę tej rozpędzonej ateistycznej wojennej machiny, zanim będzie za późno, zanim legną w gruzach ostatnie miasta, tak jak Kolonia, zanim ostatki młodzieży wykrwawią się gdzieś w imię pychy człowieka niezasługującego na to miano. Nie zapomnijcie, że każdy naród zasługuje na rządy, które znosi…”.

18 lutego 1943 roku Sophie i Hans zostali przyłapani na rozprowadzaniu ulotek na uniwersytecie monachijskim przez woźnego Jakoba Schmidta. O tym fakcie pedel natychmiast zawiadomił władze uczelniane, które z kolei wezwały Gestapo. Śledztwo trwało trzy dni. W czwartek zostali aresztowani. W niedzielę akt oskarżenia był gotów. W poniedziałek rano wyznaczono proces. Prowadził go przysłany specjalnie na tę okoliczność samolotem z Berlina przewodniczący Trybunału Ludowego Roland Freisler. 22 lutego 1943 roku Sophie Scholl, jej brat Hans oraz trzeci członek „Białej Róży” Christoph Probst zostali skazani na karę śmierci przez zgilotynowanie – za zdradzieckie sprzyjanie nieprzyjacielowi, przygotowania do zdrady oraz osłabienie zdolności obronnych państwa. Podczas procesu, z czyniącą na obecnych wielkie wrażenie swą nieustraszonością, Sophie powiedziała: „Ktoś przecież musiał kiedyś zacząć. To, co powiedzieliśmy i napisaliśmy, myśli wielu innych. Tylko

brakuje im odwagi, żeby to powiedzieć”. Cała trójka była głęboko religijna. Christoph Probst, młody ojciec trójki dzieci, którego żona znajdowała się w szpitalu złożona gorączką popołogową, nie był w dzieciństwie ochrzczony, lecz przez studia zbliżył się do Kościoła katolickiego. Przed egzekucją przyjął chrzest i komunię. Ewangelicy Hans i Sophie Scholl otrzymali Eucharystię w swoich celach.

Wyrok wykonano jeszcze tego samego dnia około godziny 17.00 w zakładzie karnym München-Stadelheim. Podobno jeden z asystujących przy egzekucji gestapowców chciał dziewczynie dać ostatnią szansę na ocalenie. – „Panno Scholl, czy gdyby pani to wszystko przemyślała, dałaby się pani wciągnąć w tę sprawę”? – zapytał. – „Robiłabym wszystko tak samo, bo to nie ja, lecz pan ma fałszywy światopogląd” – odpowiedziała. O Sophie Scholl, na której wyrok wykonano najpierw, kat powiedział, że jeszcze nigdy nie widział, żeby ktoś tak umierał. Hans Scholl był ostatni. Przed śmiercią zawołał głośno: „Niech żyje wolność!”. Rodzinom zamordowanych wysłano rachunek – 600 marek za użycie gilotyny!

Listy i notatki z dziennika Sophie Scholl ukazują młodą kobietę wrażliwą na piękno natury i ludzkie nieszczęście. W jej listach pojawia się wielokrotnie cytat z francuskiego filozofa i teologa Jacquesa Maritaina: *„Il faut avoir l’esprit dur et le cœur tendre”*. (Trzeba posiadać twardego ducha i miękkie serce). Po wojnie grono „Białej Róży” weszło do panteonu niemieckiego ruchu oporu. Grób Sophie Scholl znajduje się na cmentarzu Friedhof am Perlacher Forst w Monachium. Jest pochowana wraz z bratem Hansem, zaś obok spoczywa Christoph Probst. Jednak pamięć o rodzeństwie Scholl nie jest w Niemczech zbyt powszechna, tak jak w czasach III Rzeszy nie była zbyt powszechna ich postawa.

Rozdział 6

„Panzerfaust”

Otto Skorzeny spojrzał przez okienko samolotu. Zasłaniające dotąd widok pierzaste chmury uciekły gdzieś w bok i świat w dole otworzył się przed jego oczyma w całym majestacie. Stąd, z góry, wyglądał spokojnie i kolorowo. Równy warkot silników i jednostajnie błyszczące kręgi kreślone w słońcu przez szybko obracające się śmigła podkreślały wrażenie spokoju. Siedzący obok niego na niewygodnym płóciennym fotelu pasażerskiej kabiny Junkersa 52/3m oficer Wehrmachtu wyciągnął ze swojej torby kanapki, podsuwając je pod nos esesmana. Skorzeny przecząco pokręcił głową. Lot trwał już prawie trzy godziny i niedługo zapewne mieli dotrzeć w końcu na miejsce.

I rzeczywiście, po chwili silniki samolotu zmniejszyły obroty. Na dole mignęło błyszczące pasmo linii kolejowej, zabudowania jakiegoś miasteczka z zamkiem i wysoką wieżą kościelną, wreszcie pojawiła się równa, betonowa płyta lądowiska. Koła maszyny uderzyły silnie o podłoże, odbiły się od niego i opadły ponownie z taką siłą, że wyrzuceni w górę pasażerowie mało nie wybili głowami dziur w suficie.

– Czasy dobrych pilotów już dawno się skończyły – skwitował dalekie od doskonałości lądowanie oficer Wehrmachtu, patrząc z ukosa na ogromnego sąsiada. – Większość leży pod Stalingradem albo w piaskach Afryki – dodał z sarkastycznym grymasem.

Widząc, że ten znów nie reaguje, wzruszył tylko ramionami i podniósł się ze swego miejsca. W ciągu całej podróży wszystkie próby nawiązania

bliższego kontaktu z ponurym, wielkim esesmanem z blizną na policzku spełzły na niczym. Mruczał tylko coś pod nosem, a jeżeli już odpowiadał, to półgębkiem i w najkrótszy z możliwych sposobów.

Skorzeny również dźwignął swe potężne cielsko z fotela, co nie było zadaniem prostym w kabinie samolotu przygotowanego naprędce do przewozu pasażerów. Chociaż powstał jako maszyna cywilna, a w chwili wybuchu II wojny światowej był już konstrukcją przestarzałą, to jako podstawowy samolot transportowy niemieckiego lotnictwa wojskowego odegrał jednak doniosłą rolę w wielu bitwach tego największego w dziejach ludzkości konfliktu.

Zeszli po dostawionych do drzwiczek kabiny chybotliwych stopniach, przytrzymując dłonią czapki, gdyż śmigła wciąż pracowały i wzniecony przez nie podmuch powietrza mógł je unieść gdzieś daleko w mazurskie lasy. Otto Skorzeny po raz kolejny przybył do Wilczego Szańca na wezwanie Adolfa Hitlera.

Po otrzymaniu wiadomości od samego początku spodziewał się dostać jakieś szczególne zadanie. Na wszelki wypadek polecił, aby komando „Mitte”, jak nazwano batalion 502. Waffen-SS, było gotowe do akcji w każdej chwili.

Przysłany z naczelnego dowództwa Wehrmachtu samochód już czekał. Otto usadowił się na przednim siedzeniu obok kierowcy, mocno kuląc nogi, choć i tak uderzył kolanami o deskę rozdzielczą. „Dlaczego większość samochodów produkuje się dla rasy skarlałej?” – przyszło mu na myśl pytanie.

Po chwili auto toczyło się już z górki wąską betonową drogą, zbudowaną specjalnie dla dojazdu do lotniska. Kilometr dalej przeskoczyło asfaltową szosę, prowadzącą z Kętrzyna, i zagłębiło się w przylegający las. Jechali teraz wśród gęstwiny drzew, mieszaniny sosen i dębów, poprzetykanej krzakami leszczyny.

Samochód zatrzymał się przed szlabanem „Wache Süd”, czyli posterunkiem południowym. Z baraku wartowni wyszło dwóch podoficerów z opaskami Leibstandarte Adolf Hitler na rękawach. Kontrola

trwała dobry kwadrans. Wartownicy porównywali fotografie w książeczkach wojskowych z twarzami ludzi w samochodzie, dzwonili dokądś i sami odbierali telefony, dokładnie sprawdzili też zawartość teczek. Nikogo nie dziwiła ta ostrożność. Był 15 września 1944 roku, od zamachu na Hitlera, z którego wódz cudem uszedł z życiem, minęło zaledwie kilka tygodni. Ostatecznie jednak pojazd ruszył ponownie krętą drogą przez las, gdzie wśród drzew ginęły wypielęgnowane ścieżki i migały szare kopuły betonowych bunkrów. Za chwilę przy kolejnym posterunku cała procedura powtórzyła się ponownie.

Skorzeny rozglądał się z zaciekawieniem wokół, widząc, jak wiele zmieniło się w „Wolfschanze” od czasu jego ostatniej wizyty. Powstał nowy wielki bunkier oznaczony numerem 11, doskonale zabezpieczony przed bombami i atakiem gazowym. Co prawda, Armia Czerwona była jeszcze daleko, lecz zaczęto się już obawiać ataku z powietrza, przeprowadzonego przez jakiś duży oddział sowieckich spadochroniarzy. Teoretycznie mogliby opanować lotnisko, na którym następnie wylądowałyby samoloty transportowe, przywożąc działa i ciężką broń.

„Mieliby ich jak na strzelnicy – pomyślał Skorzeny. – Gdyby to ode mnie zależało, natychmiast wydałbym rozkaz do zdobycia całego sowieckiego dowództwa, wyznaczając do tego dwie dywizje spadochronowe”.

Na parkingu przed strefą bezpieczeństwa „I”, w samym centrum Kwatery Głównej, oczekiwał adiutant komendanta obiektu, rotmistrz Leonhard von Möllendorf. Powitał serdecznie obu przybyłych, przydzielając im odpowiednie kwatery.

*

W Kwaterze Głównej odbywały się codziennie dwie narady sytuacyjne – południowa, około godziny 14.00, i wieczorna, rozpoczynająca się o 22.00. Uczestniczyli w nich najważniejsi dowódcy Wojsk Lądowych, Luftwaffe i Kriegsmarine oraz oficerowie z Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu,

z szefem OKW, feldmarszałkiem Wilhelmem Keitlem i szefem Sztabu Dowodzenia, generałem-pułkownikiem Alfredem Jodlem na czele.

– Możliwe, że Führer powierzy panu odpowiedzialną operację na chwiejnym i kłopotliwym odcinku frontu południowo-wschodniego – powiedział Skorzenemu generał Jodl. – Niezbędne jest, aby znał pan doskonale problemy strategiczne i taktyczne dotyczące Węgier. Proszę więc, by stawił się pan na południową naradę sytuacyjną.

Wielka sala konferencyjna znajdowała się w baraku położonym około pięćdziesięciu metrów od ukończonego dopiero co bunkra Hitlera, zmuszonego do życia pod siedmiometrową warstwą zbrojonego betonu. Wietrzenie tego schronu zapewniał dość skomplikowany system wentylacyjny, ale atmosfera była tam bardzo niezdrowa, czuło się intensywny zapach świeżego jeszcze i wilgotnego betonu. Na wielkim stole leżała mapa wszystkich frontów. Walczące aktualnie siły zaznaczono na niej różnymi kolorami. Po obu końcach stołu siedzieli dwaj stenografowie – od 1942 roku Hitler żądał, aby wszystkie dyskusje utrwalano na piśmie.

Kiedy Skorzeny zameldował się w pomieszczeniu, wszyscy obecni stali. Rozległa się krótka komenda i po chwili wszedł Hitler. Otto ledwo go poznał. To nie był ten sam człowiek, którego widział ostatnio zeszłej jesieni. Wszedł pochylony, przygarbiony, powłócząc nogami. Raz po raz podtrzymywał prawą ręką wyraźnie drżącą lewą. Głos miał przytłumiony, brzmiał jak szelest liści wymiatanych podmuchem wiatru.

Stres i trudy coraz bardziej wyczerpywały siły pięćdziesięciopięcioletniego wodza. Już na początku 1943 roku pojawiło się u niego silne drżenie lewej ręki i nogi. Próby opanowania drżenia, które pomimo leczenia wciąż się nasilało, doprowadziły do tego, że Hitler przytrzymywał często lewą rękę prawym ramieniem i przyciskał lewą stopę do najbliższego przedmiotu, najczęściej ściany biurka. Chociaż wstrzemięźliwy dyktator nie palił i nie pił alkoholu, był jednak hipochondrykiem i nie potrafił funkcjonować w tych trudnych warunkach bez częstych dawek rozmaitych leków, witamin, glukozy, hormonów, kolonii nieznanych bakterii, rzekomych antybiotyków i diabli wiedzą,

jakich jeszcze egzotycznych specyfików, które z upodobaniem aplikował mu doktor Theodor Morell[1]. Już po wojnie wyszło na jaw, że przy leczeniu Führera Morell wykorzystywał około siedemdziesięciu działających doraźnie substancji, powodujących natychmiastowe zniesienie dolegliwości, wśród których znajdowała się również strychnina i narkotyki. Skutecznie odpierał przy tym ataki innych lekarzy, w tym Karla Brandta i Erwina Giesinga, zarzucających mu działanie na szkodę pacjenta.

Dojrzawszy Skorzenego, o co ze względu na słuszny wzrost esesmana nie było trudno, Hitler przywitał się z nim serdecznie.

– Niech pan będzie obecny na wszystkich naradach dotyczących Bałkanów – poprosił.

„W Wilczym Szańcu przebywałem trzy dni – wspominał Skorzeny. – Hitler zaskoczył mnie nadzwyczajną pamięcią, wyczuciem sytuacji wojskowych i politycznych oraz możliwości ich rozwoju i związanych z tym problemów. Generał pułkownik Jodl przedstawiał sytuację militarną. Gdy Hitler potem zabierał głos, wszystko stawało się prostsze i jaśniejsze.

Jestem przekonany, że gdyby Führer był dokładnie i lojalnie informowany od sierpnia 1941 roku, uniknięto by wielu katastrof, a zwłaszcza tej pod Stalingradem. W drugiej części książki wspominam o złości, jaka go ogarnęła, kiedy ujawniono mu prawdziwą siłę niektórych dywizji. Chciałbym dodać, że w trakcie mojego pobytu ukrywano przed nim prawdę o powstaniu wywołanym w Warszawie przez Armię Krajową generała [Tadeusza] Bora-Komorowskiego, o potwornościach walk ulicznych i niepewnej sytuacji niektórych naszych jednostek w południowej części miasta.

Jeżeli chodzi o sytuację w Bułgarii, Rumunii, Jugosławii i na Węgrzech, to wszystko zmierzało ku katastrofie. Hitler bardzo dobrze zdawał sobie z tego sprawę. Rumuńską ropę naftową definitywnie utracono, a po zajęciu przez podporządkowane Sowietom oddziały rumuńskie mostów na Dunaju straciliśmy w kotle piętnaście dywizji. Bułgaria przeszła na stronę wroga wraz z czołgami i lekkimi działami, które niedawno jej dostarczyliśmy.

W Jugosławii prący ku północy partyzanci Tito byli bliscy nawiązania kontaktu z wojskami sowieckimi”.

*

Trzeciego dnia po wieczornej naradzie generał Jodl poprosił Skorzenego o pozostanie na sali. Poza nim i oczywiście Hitlerem obecni na tym nadzwyczajnym zebraniu byli jeszcze Jodl, Keitel, von Ribbentrop i Himmler.

– Front wzdłuż granicy Węgier ustabilizował się z najwyższym trudem – rozpoczął Führer, krążąc wokół wielkiego stołu z mapami. – Musimy utrzymać tę sytuację za wszelką cenę! Tam jest trzydzieści naszych dywizji. Prawie pół miliona żołnierzy. Będą straceni, jeśli nie uda nam się zatrzymać Rosjan! W przeciwnym wypadku w trudnej sytuacji znajdą się też żołnierze walczący we Włoszech, ponieważ Sowieci mogliby uderzyć z południowych Węgier przez Jugosławię w kierunku Triestu i Udine.

Powiódł uważnym wzrokiem po obecnych. Wszyscy siedzieli w milczeniu, oczekując dalszych wyjaśnień i instrukcji.

– Panowie, nie mam najmniejszych wątpliwości, że admirał-regent Horthy przygotowuje się do negocjacji nie tylko z zachodnimi aliantami, ale również ze Stalinem. Jest nawet gotów oddać się na łaskę Kremla! Tajne raporty wywiadu nie pozostawiają co do tego faktu najmniejszych wątpliwości.

Skorzeny patrzył na wiszącą na przeciwległej ścianie mapę. W wielką podkowę Karpat, zaginającą się wzdłuż węgierskich granic, wbito szesnaście chorągiewek oznaczających pozycje sowieckich oddziałów. Dla każdego, kto miał jakie takie pojęcie o taktyce i strategii wojennej, było całkowicie jasne, że jeśli Armia Czerwona przedrze się przez zaporę, jaką stanowią góry, i wydostanie się na Nizinę Węgierską, nic i nikt nie będzie jej w stanie zatrzymać.

– Tak się jednak nie stanie! – wrzasnął niespodziewanie silnym głosem Hitler, jakby czytał w jego myślach. – Regent myśli, że jest wielkim

politykiem. Ale tylko tak mu się zdaje. Nie ma pojęcia, że podobnym postępowaniem przygotowuje powrót jakiegoś kolejnego Károlyiego[2]. Zapomniał zapewne, że 25 listopada 1941 roku odnowiliśmy na pięć lat pakt antykominternowski[3]. Czy można zapomnieć – zwrócił wzrok na Ribbentropa – że 2 listopada 1938 roku na konferencji w Wiedniu wydał pan razem z hrabią Ciano decyzję przyznającą Węgrom dwie trzecie obszarów, których domagali się od Rumunii, w tym całej północnej Transylwanii? Pozwoliło to Węgrom odzyskać większą część Siedmiogrodu, którą zabrano im na mocy traktatu z Trianon[4]. Czterdzieści pięć tysięcy kilometrów kwadratowych i dwa miliony trzysta osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców, którym dziś zagraża bolszewizm!

– Rzeczywiście – ośmielił się odezwać Joachim von Ribbentrop. – Sytuacja w Budapeszcie jest coraz trudniejsza. Do zrezygnowania ze swoich stanowisk zostali zmuszeni dwaj wierni przyjaciele Rzeszy: wicepremier Jenö Rátz i minister gospodarki Béla von Imrédy. Władzę przejął nowy gabinet kierowany przez Gézę Lákatosa.

– Władzę! – wybuchnął Hitler. – Władzę w Budapeszcie to przejmie Stalin, jeśli nieszczęśliwym zrządzeniem losu zostaniemy zmuszeni do opuszczenia Węgier! Czyż regent może zapomnieć swoje własne słowa wygłoszone 16 kwietnia? „Będziemy walczyć ramię przy ramieniu z armią niemiecką, aż wyjdziemy zwycięsko z tej burzy”. A teraz mówi chytrze do Guderiana: „Drogi kolego, w polityce zawsze trzeba grać na kilku fortepianach”. Oto język regenta! To nie jest język wiernego sprzymierzeńca, ale człowieka, któremu wydaje się, iż może zmieniać kierunek i bezkarnie zdradzać uroczyste przysięgi! Nie zamierzam tego tolerować, bo nasi żołnierze bronią także węgierskiej ziemi!

Führer zamilkł na chwilę, po czym odwrócił się do Skorzenego.

– Prosiłem pana, drogi Otto, żeby śledził pan narady dotyczące sytuacji na froncie południowo-wschodnim. Pan zna Węgry, a zwłaszcza Budapeszt. Za żadne skarby nie chcę tam mieć drugiego Badoglia. Jeżeli Horthy zdradzi nasz sojusz, pan, Skorzeny, musi być przygotowany do zajęcia siłą Zamku w Budapeszcie. Będzie pan musiał opanować Górę Zamkową,

razem ze wszystkimi, którzy znajdą się w Zamku i ministerstwach. Wtedy otoczy pan wszystko i obsadzi wojskiem. Sztab Generalny rozważa atak spadochroniarzy lub oddziałów w szybowcach. Ostateczna decyzja będzie jednak należeć do pana. Dowodzenie całą operacją w mieście zostało powierzone nowemu dowódcy korpusu, generałowi Ulrichowi Kleemanowi. Podlega mu pan podczas tej operacji. Natychmiast musi pan rozpocząć przygotowania w uzgodnieniu z generałem-pułkownikiem Jodlem. Dostanie pan moje nieograniczone pełnomocnictwo, które ułatwi panu pokonanie wszelkich przeciwności w sformowaniu oddziału i które zaraz podpiszę.

Chwilę później Otto przeczytał wręczony mu przez Hitlera dokument:

„Sturmbannführer Skorzeny wykonuje mój osobisty i wysoce tajny rozkaz najwyższej wagi. Rozkazuję wszystkim politycznym i wojskowym władzom udzielić mu wszelkiej pomocy, jakiej wymaga, i zastosować się do jego życzeń. Der Führer und Reichskanzler Adolf Hitler”.

– Polegam na panu i pana żołnierzach, Skorzeny – dodał wódz na zakończenie.

Udzielone ogromnemu esesmanowi pełnomocnictwo stawiało go w zasadzie w rzędzie ludzi wszechmogących, niemalże równych bogom. Zaznaczmy jednak w tym miejscu – uprzedzając wypadki – że użył go tylko jeden jedyny raz w okolicznościach „wielce dramatycznych”.

W trakcie przeprowadzania akcji, właściwie już po zakończeniu jej zasadniczej części, poczuł się po prostu głodny. Udał się więc do kasyna oficerskiego, gdzie zamówił dwie kiełbaski. Dopiero wtedy spostrzegł, że zapomniał zabrać ze sobą kartki przydziałowe.

– Nic nie poradzę – powiedział zdecydowanie zarządzający kasynem tęgi pułkownik intendentury, sprawiający wrażenie, jakby w cywilu zajmował się sprzedawaniem odkurzaczy. Miał twarz jak księżyc w pełni, gładką, jak gdyby wykonano ją z gumy, niemal pozbawioną konturów. Człowiek jak balon. – Musiałby pan być samym Führerem, żeby zostać obsłużonym bez kartek – dodał pełnym arogancji tonem.

– Powiada pan samym Führerem, pułkowniku – zacisnął zęby głodny jak wilk i zmęczony Otto.

– Dokładnie tak właśnie powiadam – uśmiechnął się kpiąco pułkownik.

Skorzeny sięgnął do kieszeni, skąd wydobył wspomniany dokument, podtykając go pod nos pułkownika.

– A teraz? – zawołał gromko. – Czy z tego rodzaju pełnomocnictwem zechce mi pan łaskawie podać dwie *Leberwursten*?

Oficer wyprężył się gwałtownie, jakby już celował do niego pluton egzekucyjny. Na jego okrągłej twarzy pojawiły się jedno po drugim różne uczucia, niczym przedmioty na powoli wywoływanej fotografii. Najpierw stała się czerwona, potem sina, przybierając na koniec barwę buraczkowopopielatą. Przez kilka chwil łapał powietrze jak wydobyty z wody karp.

– Mój drogi, dlaczego nie wspomniał pan o tym wcześniej – powiedział miękkim jak aksamit głosem. – Proszę siadać, już się robi. A może woli pan *Frikadellen* zamiast…

– *Nein!* – przerwał mu zdecydowanie Otto. – Poproszę dwie *Leberwursten.* Tylko na jednej nodze, bo cokolwiek się spieszę.

Tymczasem jednak zadzwonił do Friedenthal, do Adriana von Fölkersama.

– Słuchaj, Adrian – rzucił do słuchawki. – Otrzymałem właśnie nowe ważne zadanie od samego Führera. Łap za ołówek i zapisuj: 1. kompania w pełnym składzie ma wejść na pokłady samolotów w Gatow jeszcze dzisiaj, najpóźniej do godziny 20.00. Zabezpiecz dla nich amunicję i nie zapomnij o materiałach wybuchowych dla czterech oddziałów saperskich. Żelazne racje na sześć dni. Dowództwo obejmie Obersturmführer Werner Hunke. Zapisałeś?

– Tak jest. Wszystko będzie przygotowane na czas. A ty?

– Ja odlatuję stąd tak szybko, jak tylko będzie to możliwe. Sądzę, że najdalej do dziesiątej wyląduję na lotnisku zakładów Heinkla w Oranienburgu. Odbierzesz mnie stamtąd.

– Jasne.

– No to ruszaj do roboty.

Dopiero, kiedy odłożył słuchawkę, zorientował się, że nie podał kryptonimu operacji. Skąd zresztą miał go znać? Nikt na ten temat nic nie mówił. A porządna akcja musi mieć przecież porządny kryptonim. „Panzerfaust[5] – pomyślał. – To dobra nazwa”.

*

W końcu XVII stulecia zakończyła się dla Węgrów turecka niewola. Międzynarodowa armia, w której obok oddziałów austriackich walczyli także Polacy, zadała Turkom wiele ciosów, wypierając ich wojska z granic kraju. W 1686 roku została wyzwolona Buda, a ostateczny kres panowaniu niewiernych położył pokój zawarty w Karłowicach w roku 1699.

Szybko jednak okazało się, że sympatyczni Madziarzy wpadli z deszczu pod rynnę. Całe terytorium Węgier dostało się pod władzę Habsburgów, którzy wcale nie myśleli o przywróceniu im wolności, traktując kraj jako jeszcze jeden zdobyty teren i wprowadzając system wyzysku niewiele ustępujący dawnemu.

Próby narodowego odrodzenia nastąpiły w tak zwanym okresie reform, w pierwszej połowie XIX wieku, ale dopiero wybuch rewolucji europejskiej w 1848 roku – określanej powszechnie jako Wiosna Ludów – dał niejaką nadzieję na całkowite wyzwolenie. Powstanie antyhabsburskie z lat 1848–1849, z licznym udziałem Polaków, ostatecznie jednak załamało się na skutek interwencji wojsk carskich, przybyłych na Węgry pod wodzą zdobywcy Warszawy, osławionego Iwana Paskiewicza.

Po klęsce powstania nastąpił okres bezwzględnego ucisku. Administracja austriacka zdławiła wszelkie swobody, zupełnie upadło życie kulturalne, wreszcie – po zniesieniu w 1850 roku granicy celnej – zaczęła się dusić gospodarka, niemająca najmniejszych szans konkurencji z przemysłem Austrii.

Dopiero niepowodzenia Habsburgów w wojnach z Italią i Prusami zmusiły ich do zmiany polityki i szukania porozumienia. W lecie 1867 roku

została podpisana umowa, w myśl której cesarstwo austriackie przekształcono w monarchię Austro-Węgier. Drugi człon tego tworu otrzymał własny parlament, rząd i dużą samodzielność. Wspólne były tylko sprawy zagraniczne i obrona, przy istnieniu osobnej armii węgierskiej – oddziałów honwedów. Oba państwa połączyła też osoba monarchy, Franciszek Józef został bowiem koronowany w Budapeszcie na króla Węgier.

Miklós Horthy de Nagybánya (1868–1957) – węgierski admirał, regent państwa w latach 1920–1944, przez przeciwników politycznych nazywany był ironicznie „admirałem bez floty w kraju bez morza”. Na tego rodzaju kpiny pozwalali sobie jednak tylko ludzie słabo znający historię Madziarów. Horthy został wiceadmirałem w okresie, gdy do Węgier należał ważny port adriatycki Fiume i gdy korona świętego Stefana zarządzała flotą chroniącą długie wybrzeże dalmatyńskie. W czasie I wojny światowej zyskał sławę bardzo sprawnego dowódcy. W 1915 roku był dowódcą okrętu SMS „Habsburg”, potem objął krążownik SMS „Novara”, którym dowodził w bitwie z włoskimi okrętami w cieśninie Otranto w maju 1917 roku. W trakcie tej bitwy Horhy został ranny, a dowodzenie po nim przejął kolejny pod względem rangi dowódca, oficer polskiego pochodzenia, Stanisław Witkowski. Z czasem Wiedeń postawił Horthyego na czele całej floty austro-węgierskiej.

Na ramieniu miał wytatuowanego ogromnych rozmiarów węża – pozostałość z czasów, kiedy był jeszcze zwykłym marynarzem na okrętach floty Austro-Węgier. Podczas rządów Horthyego Węgry stały się pierwszą po wojnie prawicową dyktaturą w Europie. Miklós Horthy jest postacią, która do dziś jeszcze budzi wśród Węgrów wielkie emocje. Jedni uważają go za bohaterskiego męża stanu, drudzy za krwawego zamordystę. Szczególnie przeciwni są mu – oczywiście – tamtejsi postkomuniści, jak również dawni lewicowi opozycjoniści. Przeciwnicy admirała przedstawiają go jako symbol „białego terroru”, obwiniają też za tragiczny los wielu węgierskich Żydów w czasie II wojny światowej.

Horthy przez wiele lat pełnił funkcję adiutanta cesarza Franciszka Józefa I, który był z tego niezwykle rad. Niejednokrotnie zresztą podkreślał jego zdolności organizacyjne, talent dyplomatyczny, umiejętność jednania sobie ludzi i postawę urodzonego żołnierza – w dodatku z cenionego, szlacheckiego rodu. Pochlebstwa cesarza mile łaskotały dumę osobistą Miklósa. Świadczyły, że podąża właściwą drogą, że ma otwartą bramę do zrobienia wielkiej kariery. Zdarzyło się nawet kiedyś, że w przypływie szczerości Franciszek Józef I powiedział mu:

– Jesteś bardzo ambitny. Jeśli przy tym jeszcze staniesz się bezkompromisowy, osiągniesz wielkie sukcesy.

Kiedy ojczyzna Horthyego została dotknięta nieszczęściem w postaci utworzenia Węgierskiej Republiki Rad, wrócił do kraju i zajął się organizowaniem oporu przeciwko komunistom. Węgry pozostały królestwem. Karol I Habsburg-Lotaryński cofnął wprawdzie swoją decyzję o abdykacji, ale przebywał wraz z rodziną w Szwajcarii i pozbawiony był faktycznej możliwości wpływu na losy kraju.

W tej sytuacji Zgromadzenie Narodowe wybrało w 1920 roku na regenta Królestwa Węgier Miklósa Horthyego. Pierwsze lata jego rządów rzeczywiście cechowały się silnymi represjami, zwykle jednak zapomina się przy tym, czym naprawdę była istniejąca sto trzydzieści trzy dni Węgierska Republika Rad pod dowództwem Béli Kuna i wprowadzony przez nią „czerwony terror”.

Jak wyraźnie widać z perspektywy lat, dla mieszkańców tego naddunajskiego kraju zwycięstwo Horthyego było niemal wybawieniem. Co ciekawe, admirał wspierany był przez znaczną grupę Żydów, którzy wybrali drugą, „białą” stronę barykady. Wielu żydowskich kapitalistów w znaczący sposób pomogło antykomunistom, między innymi podczas kontrrewolucji w Szegedzie. Horthy odwdzięczył się im później, twardo przeciwstawiając się próbom organizowania pogromów. Zaiste zabawnie wygląda przy tym oskarżanie tego dyktatora o antysemityzm[6].

Po konferencji w Monachium Węgry bezskutecznie zabiegały u mocarstw zachodnich o przyznanie im południowej części Słowacji, która

po traktacie z Trianon należała do Czechosłowacji i była w większości zamieszkiwana przez ludność węgierską. W wyniku tego traktatu Węgry utraciły w sumie aż siedem ósmych swojego dotychczasowego terytorium i jedną trzecią ludności, która znalazła się w państwach ościennych.

W dziejach Polski potęgami zaborczymi pozostają Niemcy i Rosja. W XX-wiecznej historii Węgier natomiast mocarstwa rozbiorowe to demokracje zachodnie: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Francja. To właśnie one w 1920 roku narzuciły Budapesztowi warunki pokoju w Trianon. O ile w Polsce po I wojnie światowej nazywano ulice i place imieniem Woodrowa Wilsona, to w kraju naszych bratanków prezydenta USA przeklinano jako grabarza Korony Węgierskiej.

Po niepowodzeniu w sprawie południowej Słowacji Horthy postanowił zwrócić się o pomoc do Niemiec. Hitler i Mussolini zgodzili się na rolę arbitrów w sporze węgiersko-czechosłowackim (pierwszy arbitraż wiedeński). Zgodnie z ich rozstrzygnięciem w listopadzie 1938 roku Węgry zaanektowały sporne terytorium południowej Słowacji i południowej Rusi Zakarpackiej. Po rozpadzie Czecho-Słowacji w marcu 1939 roku Węgry, podejmując działania zbrojne przeciw Karpato-Ukrainie, zlikwidowały po walkach z oddziałami Siczy Karpackiej jej państwowość i uzyskały w ten sposób wspólną granicę z Polską wzdłuż pasma Karpat Wschodnich.

We wrześniu 1939 roku Horthy odmówił przepuszczenia przez terytorium Węgier idącego przeciwko Polsce Wehrmachtu i nakazał zaminowanie tuneli kolejowych oraz ich wysadzenie w przypadku próby przedarcia się Niemców siłą. W sierpniu 1940 roku Węgry otrzymały w wyniku drugiego arbitrażu wiedeńskiego północną część rumuńskiego Siedmiogrodu. W zamian miały przystąpić do Paktu Trzech – sojuszu Niemiec, Włoch i Japonii. W obawie przed rozszerzeniem się komunizmu Horthy podpisał traktat 20 listopada 1940 roku.

Od września 1939 roku rząd Horthyego, przychylnie nastawiony do Polski, udzielał schronienia polskim uchodźcom. Mimo silnych nacisków do końca listopada następnego roku zezwalał na oficjalne funkcjonowanie poselstwa polskiego w Budapeszcie i przyjmował posła polskiego Leona

Orłowskiego. Z Węgier do Francji, przy czynnym udziale polskiego poselstwa i potajemnej aprobacie władz węgierskich, ewakuowano do maja 1940 roku około trzydziestu pięciu tysięcy żołnierzy Wojska Polskiego, oficjalnie internowanych we wrześniu 1939 roku. Do 19 marca 1944 roku (to znaczy do czasu niemieckiej wojskowej okupacji Węgier) w Budapeszcie działała główna ekspozytura wywiadu polskiego w Europie Środkowej, prowadząca łączność kurierską z okupowanym krajem, polskie szkoły i instytucje kulturalne. Było to tolerowane przez władze węgierskie pomimo formalnego sojuszu Węgier z III Rzeszą.

Dzięki prowadzonej przez Horthyego polityce węgierskiemu rządowi przez kilka lat udawało się skutecznie powstrzymywać naciski Hitlera, ciągle nalegającego na rozpoczęcie masowej deportacji Żydów. W tym czasie mieszkało ich na Węgrzech prawie pół miliona, z czego znaczna część była wyznawcami idei głoszonych przez twórców haskali. Jej zwolennicy głosili hasła emancypacji, objęcia Żydów świeckim i nowoczesnym nauczaniem, twierdzili, że Żydzi powinni częściowo zrezygnować z własnej kultury, tradycyjnego stroju i niektórych obyczajów, a w życiu codziennym posługiwać się językiem kraju, w którym żyją.

Widząc wahania sojusznika, Niemcy wysłały na Węgry pewnego urzędnika nazwiskiem Adolf Eichmann – architekta „ostatecznego rozwiązania”, człowieka określanego przez swoich współpracowników jako „opętanego obsesją zamordowania każdego Żyda, którego dopadnie”. Od tej pory wszyscy Żydzi zostali zobowiązani do noszenia na ubraniach żółtych gwiazd Dawida, wkrótce też ruszyły ich masowe transporty do obozów śmierci.

*

Kiedy stało się już jasne, że Niemcy przegrają wojnę, Horthy zaczął negocjować odrębny traktat pokojowy z aliantami. Spotkało się to z bardzo ostrą reakcją Hitlera, który wysłał swoje wojsko na terytorium Węgier, okupując je od 19 marca 1944 roku. Horthy zdecydował się wówczas

utworzyć proniemiecki rząd pod kierownictwem generała Döme Sztojaya, dotychczasowego ambasadora Węgier w Berlinie, nie ryzykując otwartego, beznadziejnego starcia z Niemcami. Kontynuował jednak poufne kontakty z aliantami.

Rozmowa, która toczyła się tego wieczoru w jednej z sal pałacu w pobliżu Wzgórza Gellerta, była otoczona specjalną tajemnicą. Służba pałacowa otrzymała na ten dzień wolne, wokół pałacu czuwała jedynie – jak zawsze zresztą – gwardia przyboczna.

Ludzie biorący udział w tajnym posiedzeniu zdawali sobie sprawę, jak wiele ryzykują. Poinformował ich zresztą o tym lojalnie sam regent Horthy. Przy okrągłym stole siedziało dziesięć osób: premier Miklós Kállay de Nagy-Kálló, szef Sztabu Generalnego generał-pułkownik Ferenc Szombathelyi, szef Centrali Bezpieczeństwa Państwowego generał Stephen Ujszászy oraz kilku jeszcze wyższych oficerów, zaufanych regenta Horthyego.

Zebranie dobiegało końca. Dyskusja nie obfitowała w sprzeczne poglądy. Na ogół wszyscy byli zgodni, że wobec zbliżającego się niebezpieczeństwa trzeba podjąć jakieś kroki dla ratowania Królestwa Węgier. Ostatnie słowo należało do samego regenta. Horthy długo namyślał się, zanim powziął decyzję.

– Moi panowie. Jeśli nie zdecydujemy się właśnie teraz, to za kilka miesięcy może już być za późno. Amerykanie i Brytyjczycy zdobędą Włochy, połączą się z partyzantami w Grecji i Jugosławii, a w ciągu lata mogą dotrzeć do naszych granic.

– *Uram kiralyom!* (Wasza ekscelencjo!) – powiedział siedzący naprzeciw regenta generał Ujszászy. – Jestem przekonany, że należy coś przedsięwziąć, lecz nie wiem, czy teraz jest najodpowiedniejszy moment do działania. Wojska aliantów zostały właśnie zatrzymane na rzece Garigliano. Trudno jeszcze przewidzieć, jaki będzie skutek tych działań. Kesselring broni się dzielnie. Wszelkie wystąpienia przeciwko Niemcom mogą spowodować dla nas nieobliczalne skutki.

– Otóż to! Spodziewałem się tych słów – odparł Horthy. – Nie miałem zamiaru skłonić panów do wyrażenia poparcia dla wywołania zbrojnego wystąpienia przeciwko Niemcom. Nie przyszła jeszcze odpowiednia chwila. Ale nie w tym rzecz. Trzeba zawsze starać się trzymać w ogniu więcej niż jedno żelazo – wtrącił swoje stare powiedzenie.

– To prawda, ale… – spróbował się wtrącić Miklós Kállay, regent jednak nie dał mu dojść do słowa.

– Musimy nadal prowadzić tę samą politykę wobec Niemców, a jednocześnie pozyskać sobie sojuszników po drugiej stronie. Rozmowy należy rozpocząć z Amerykanami. Tą sprawą zajmie się pan, generale Szombathelyi, wspólnie z szefem II Oddziału – regent wskazał oczami na Ujszászyego i dodał: – Dalsze wytyczne nakreślimy po rozmowach z panem Allenem Dullesem.

Tymi słowami Miklós Horthy przypieczętował sprawę spisku. Zebrani opuścili jego siedzibę natchnieni nowym duchem. Spodziewali się obfitych plonów po świeżo zasianym ziarnie.

Niebawem wyznaczeni pracownicy II Oddziału Sztabu Generalnego, w porozumieniu z szefem Centrali Bezpieczeństwa Państwowego generałem Ujszászym, w wielkiej tajemnicy przystąpili do pracy. Najważniejsze było zachowanie wszelkich środków ostrożności, tak aby o niczym nie dowiedział się wywiad niemiecki.

Przygotowano odpowiednie dokumenty, przesyłając je za pośrednictwem posła węgierskiego w Berlinie szefowi Europejskiej Centrali OSS – Allenowi Dullesowi. Horthy i najbliżsi mu ludzie, wtajemniczeni w spisek, pełni najlepszych nadziei oczekiwali odpowiedzi z Berna. Tymczasem zupełnie niespodziewanie zostali zaalarmowani niepokojącym wypadkiem, jaki zdarzył się w II Oddziale. Major Karoly Kern, któremu powierzono sporządzenie tajnych dokumentów, stwierdził pewnego dnia, że w czasie jego nieobecności ktoś niepowołany otwierał stalowy sejf, w którym znajdowały się oryginały.

23 sierpnia 1944 roku na ręce Horthyego wpłynął niewiarygodny wprost meldunek o wydarzeniach w Rumunii. Król rumuński Michał I ogłosił

proklamację o rozejmie ze Związkiem Sowieckim i wypowiedział wojnę Niemcom. Premier Ion Antonescu został aresztowany i uwięziony. Na żądanie Józefa Stalina przekazano go 3 września Sowietom i przewieziono do Moskwy[7].

Horthy pomyślał wtedy również o rozejmie z Rosjanami. Gdyby jednostki węgierskie wycofały się z frontu – kombinował – ogłosiłby z Niemcami stan wojny. Sądził, że w ten sposób może uratować swój kraj. W takiej sytuacji, przy poparciu Anglo-Amerykanów, Rosjanie nie śmieliby przecież wkroczyć do Budapesztu…

To miała być już jego ostatnia polityczna gra. Stary regent zdecydował się uknuć nowy spisek przeciwko Hitlerowi.

*

Na początku września nakazał przyprowadzić do siebie z więzienia Stephena Ujszászyego, którego wcześniej sam umieścił za kratkami, chcąc pozornie przypodobać się Hitlerowi. W pokoju, do którego wprowadzono generała, oprócz samego regenta nie było nikogo. Horthy siedział w fotelu przy małym okrągłym stoliczku, na którym stała kryształowa karafka i dwa kieliszki o zwężonym zakończeniu. Na widok niedawnego więźnia uśmiechnął się szeroko, wstał i wyciągnął do niego rękę.

– Nareszcie nadeszła chwila, w której możemy przerwać pańskie cierpienia – rzekł ze wzruszeniem. – Od początku wierzyłem, że będę mógł pana uratować. Ten potwór Veesenmayer [pełnomocnik III Rzeszy na Węgrzech] chciał pana zniszczyć, ale przeliczył się, szubrawiec. Codziennie domagał się pańskiej śmierci.

Generał stał przed regentem blady. Nogi drżały mu z osłabienia i nerwowego wyczerpania. Wydawał się zupełnie nie pojmować wypowiadanych do niego słów. Horthy ujął go pod ramię i poprowadził do fotela. Generał usiadł na nim ciężko.

Regent napełnił kieliszki *pálinką*, narodowym napojem Węgrów[8]. Ujszászy wychylił kieliszek bez tradycyjnej degustacji węchowej

i wzrokowej. Łzy natychmiast stanęły mu w oczach.

– *Barack pálinka*, morelowa, z okolic Keeskemét – wyjaśnił Horthy. – Najlepsza. Pokrzep się, mój przyjacielu. Mnie samemu łzy napływają do oczu. Sam pan widzi, że czyniłem wszystko, by pana uratować. Dziś możemy wspólnie uczcić to wielkie święto. Jest pan wolny.

– Tak, tak – mruknął generał i nie czekając na przyzwolenie przełożonego, nalał sobie ponownie do pełna.

– Mimo to – mówił dalej z powagą Horthy – musimy obaj przedsięwziąć odpowiednie środki, żeby nie wpadł pan w ręce Gestapo. Wkrótce będziemy mogli kontynuować nasze wielkie dzieło w obronie Węgier. Pan był i nadal jest moją prawą ręką.

Ujszászy nie odezwał się ani słowem, wychylił tylko drugi kieliszek, tracąc na chwilę oddech. Regent ciągnął dalej:

– O tak, zaraz panu przejdzie… Nie wie pan nawet, jak bolałem nad tym, że nic więcej nie mogłem dla pana zrobić. Oni tylko czyhali, żeby pana zamordować. Teraz rozumie pan chyba, dlaczego musiałem uczynić to, co uczyniłem. Chodziło o ratowanie pańskiego życia.

Dopiero teraz Ujszászy odezwał się:

– Czego Wasza ekscelencja życzy sobie ode mnie?

– Chcę, by tak jak zawsze, teraz również wziął pan na swoje barki część odpowiedzialności za naszą nieszczęsną ojczyznę. Musimy bronić jej honoru.

– Przyznam szczerze, że niewiele z tego rozumiem.

– Był pan odcięty od świata, to normalne. Niech mi pan wierzy, że ten właśnie fakt pozwolił panu uniknąć wielu cierpień, których ja sam zmuszony byłem doznać.

Tu Horthy w krótkich słowach opowiedział generałowi o wszystkich wydarzeniach, które miały miejsce po jego aresztowaniu. Mówił o terrorze Gestapo i coraz większej bezczelności Hitlera żądającego wciąż nowych dywizji dla wsparcia wojsk niemieckich na froncie, o grabieniu majątku narodowego, o kontyngentach żywności i produktów przemysłowych dla wzmocnienia potencjału wojennego Rzeszy. Wspomniał o porażkach

poniesionych przez niemiecką armię na froncie wschodnim i o wielkiej sile Armii Czerwonej. W końcu rzekł uroczystym tonem:

– Naszym świętym obowiązkiem jest ochrona Węgier przed Rosjanami. Musimy okazać dużą czujność polityczną.

– Dużą czujność?

– Tak. W kraju wzrasta znaczenie komunistów. Trzeba uczynić wszystko, by utrzymać w naszym ręku kierownictwo.

– Najlepiej powystrzelać to robactwo – zasugerował Ujszászy.

– Nie, nie represjami, gdyż te w obecnej sytuacji nie pomogą nam w realizacji naszych świętych celów. Musimy spowodować, by komuniści zobaczyli w nas sprzymierzeńców. Teraz to jest najważniejsze. W porozumieniu z nimi nawiążemy kontakt z Jugosławią, za ich zaś pośrednictwem z Rosjanami. Wywołamy powstanie. Niemców jest obecnie na Węgrzech niewielu. Ogłosimy zerwanie układów i przejdziemy oficjalnie na stronę aliantów.

– Mamy rozmawiać z Rosjanami? – zdziwił się generał. – Tylko czy oni zechcą pertraktować z nami?

– Zechcą, i to bardzo chętnie – odparł z przekonaniem Horthy. – Pan tego dokona, że będą z nami rozmawiali i Rosjanie, i jugosłowiańscy komuniści.

– Ja?! – Przecież Wasza ekscelencja sama chyba rozumie, że to jest niemożliwe.

– Tak, właśnie pan. Nawiąże pan rozmowy z komunistami jugosłowiańskimi w kraju i przy ich pomocy rozpoczniemy pertraktacje. Wszystko można naprawić. Nie należy tylko tracić ducha!

– Ależ to ja przez cały czas byłem najzagorzalszym wrogiem komunistów – pokręcił głową Ujszászy. – Chyba nie jestem tu najodpowiedniejszym człowiekiem, przynajmniej do nawiązania samego kontaktu, bo później…

– Po pańskim uwięzieniu tamte sprawy poszły w niepamięć – przerwał mu regent. – Komuniści też są ludźmi. Oni może nawet bardziej niż my pragną zniszczenia Niemców. Można im obiecać, że w przyszłym rządzie

narodowym zasiądzie również ich przedstawiciel. A nasza współpraca będzie korzystna również i dla pana. Jest pan urodzonym działaczem społecznym. Teka, powiedzmy… wicepremiera, to właśnie coś dla pana…

– *Hálás köszönet* (dziękuję bardzo), ale jak mówiłem, jestem chyba nie najlepszą osobą do nawiązania kontaktu.

– Myślałem i o tym. Tą sprawą zajmie się mój syn.

– Pana syn, ekscelencjo?

– Tak. Miklós Junior Horthy. Nie uważa pan, że to dobry pomysł?

– Hm, proszę pozwolić mi przemyśleć sprawę w spokoju.

– Zgoda, byle szybko. Mówiąc szczerze, sprawa wymaga piekielnego pośpiechu. Rosjanie wkrótce podejdą do Karpat. Nie możemy zwlekać. Każdy dzień zwłoki z naszej strony to zwiększenie szans przeciwnika.

– Przeciwnika… to znaczy Rosjan czy Niemców?

– I jednych, i drugich.

*

Po powrocie Skorzenego do Berlina przygotowania do akcji ruszyły z kopyta. Ale zebranie odpowiedniego ekwipunku do jej przeprowadzenia nie było bynajmniej łatwe w zniszczonych przez alianckie bombowce Niemczech. W tej sytuacji Otto postanowił nie marnować czasu, jaki jego oddział potrzebował na zgromadzenie wyposażenia. Pod przybranym nazwiskiem Wolff ruszył z Radlem do Budapesztu, aby osobiście przyjrzeć się miejscu przyszłej akcji.

Pozornie miasto liczyło sobie niecałe sto pięćdziesiąt lat historii, chociaż w rzeczywistości jego dzieje rozpoczęły się jeszcze w czasach rzymskich. Formalnie jednak utworzono Budapeszt dokładnie 1 stycznia 1873 roku, z administracyjnego połączenia trzech odrębnych do tej pory miast: Pesztu na lewym brzegu Dunaju, oraz Budy i Obudy (Starej Budy) na prawym brzegu rzeki.

Powstała wielka metropolia, licząca sobie już wówczas trzysta tysięcy mieszkańców, ścigająca się z Paryżem i Wiedniem o miano kulturalnej

stolicy Europy. Jej kształt zaplanowali najwybitniejsi architekci, otaczające miasto podwójnym pasem bulwary mogły śmiało rywalizować z najznakomitszymi tego typu założeniami urbanistycznymi na świecie. Zadaniu przekazania sumy wrażeń, jakie daje Budapeszt, mógłby sprostać tylko ktoś, kto w jednej osobie łączyłby talenty malarza, poety i kompozytora. W 1887 roku ruszył tu pierwszy na kontynencie europejskim tramwaj elektryczny, a w 1896 roku wybudowano pierwszą kolej podziemną – metro.

Skorzeny nie przyjechał jednak do Budapesztu zachwycać się historią miasta ani podziwiać wspaniałe widoki. Zatrzymać się mieli u wskazanego im przez SD pewnego węgierskiego Niemca czy też niemieckiego Węgra, który pozostawił do ich dyspozycji swoją willę z pokojówką, kucharką i kamerdynerem. Ten właśnie kamerdyner oczekiwał obu esesmanów na peronie kolejowego dworca.

– Proszę za mną – powiedział, chwytając bagaże gości i prowadząc ich do zaparkowanego przed stacją samochodu. – Musimy pojechać nieco okrężną trasą – wyjaśnił. – Na Attila Utca jest kilka węgierskich posterunków. Sprawdzają wszystkie samochody.

– Nasze papiery są bez zarzutu – uspokoił go Skorzeny.

– Nie wątpię w to, proszę pana – kamerdyner spojrzał na niego znacząco, chowając walizki do bagażnika. – Ale drobiazgowe kontrole bardzo opóźniają przejazd. Od pewnego czasu węgierscy żołnierze zachowują się dość nieprzyjaźnie wobec Niemców.

Przejechali szybko ulicami węgierskiej stolicy, która wyglądała jak miasto pogrążone w wojnie. Już na dworcu dało się zauważyć panujący tłok i bałagan. Perony wypełniali żołnierze oraz podróżni z tobołkami i z dziećmi. Rozkłady jazdy utraciły jakiekolwiek znaczenie. Wiele pociągów po prostu nie odchodziło. Zawsze i wszędzie pierwszeństwo miały wojskowe transporty. Czuć było zamieszanie już nie w skali jednego dworca, ale w skali całego miasta.

Budapeszt pełen był żołnierzy, taborów samochodowych i ogromnych parków artyleryjskich z działami pomalowanymi łamanymi liniami w pstre

kolory. Grzmiały czołgi i samochody pancerne. Kilka razy musieli się zatrzymać, aby przepuścić niemieckie kolumny ciężarówek i sanitarek. Pokrywające je błoto zdradzało, że powracają prosto z frontu. W oknach wielu domów widać było paski papieru przyklejone na krzyż w celu wzmocnienia szyb. Na ścianach budynków wymalowano białe strzałki wskazujące drogę do schronów przeciwlotniczych.

Okazała willa, do której dotarli po trzech kwadransach, odgrodzona była od ulicy niewielkim skwerem. Musiała powstać gdzieś na przełomie wieków. Balkon nad wejściem wspierał się na masywnych kariatydach z piaskowca.

Gospodarz okazał się niedużym i korpulentnym człowiekiem. Miał schludnie przystrzyżoną brodę, elegancki czarny garnitur, szarą kamizelkę i srebrny krawat. Na serdecznym palcu lewej dłoni tkwił herbowy sygnet wielkości dojrzałej śliwki. Zatrzymał się przed gośćmi nie wiedząc, czy podnieść rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, czy też podać ją w najzwyklejszy sposób. W końcu wybrał trzecie wyjście.

– *Heil Hitler!* – powiedział, wykonując krótki ukłon.

– *Jo estét* – odpowiedział spokojnie po węgiersku Otto.

Zorientowawszy się, że strzelił gafę – jego goście przybyli tutaj przecież *incognito*, gospodarz ujął Skorzenego konfidencjonalnie za ramię i poprowadził na górę.

– *Bacsass* (przepraszam) – bąknął. – Mam nadzieję, że spodoba się panom apartament, który kazałem przygotować. Proszę się rozgościć i odświeżyć. Potem zapraszam na dół na kolację.

Wprowadził ich do obszernego pokoju, chociaż… Określenie „obszerny” nie oddawało w pełni istoty rzeczy. Wysoki, kwadratowy salon zdołałby pomieścić co najmniej cztery standardowe pokoje. Ściana po lewej i ściana na wprost mieściły rząd okien, które zaczynały się na wysokości pasa i biegły w górę aż do sufitu. Białe meble zestawione ze smakiem, pochodziły ze sklepów z antykami. Oczom gości ukazały się kryształy i polerowane drewno, kosztowne materie i orientalne dywany. Lśniący fortepian stał w rogu, obok godnej niejednego muzeum kolekcji ceramiki.

*

Kolację podano na tarasie, nad niewielkim stawem.

– Kazałem przygotować na dzisiejszy wieczór coś z kuchni węgierskiej – oświadczył gospodarz. – *Pörkölt*, rodzaj gulaszu[9]. Powiedzenie mówi, że węgierska gospodyni, kiedy ma przygotować posiłek, stawia na stole słoik z papryką i zastanawia się, co do niej dodać. Faktycznie, kuchnia węgierska nie ma sobie równych zarówno co do liczby potraw zawierających paprykę, jak i w ilości tej przyprawy dodawanej do jednego dania. Typowa ilość mielonej papryki, zalecana w przepisach na *pörkölt*, to dwieście gramów. Specjalnie dla panów kazałem jednak doprawić danie nie papryką w proszku, lecz ostrymi strąkami papryki czereśniowej.

– Mam nadzieję, że to się da zjeść – szepnął dyskretnie Radl do Skorzenego.

Gospodarz nie dosłyszał tego komentarza i z przejęciem dalej popisywał się swą znajomością tajników węgierskiej kuchni.

– Zapewne zdziwi to panów, że papryka weszła tutaj do powszechnego użycia dopiero kilkadziesiąt lat temu.

– Niesamowite – Radl pokręcił głową.

– Tak, tak – ucieszył się gospodarz, nie dostrzegając ukrytej w głosie esesmana kpiny. – W węgierskich książkach kucharskich wydanych na początku XIX wieku można o niej znaleźć tylko nieliczne wzmianki, a książki osiemnastowieczne zupełnie jej nie znają. Wprowadzili ją na węgierską ziemię Turcy, którzy w czasie drugiej okupacji tego kraju uprawiali ją na własne potrzeby.

Pörkölt okazał się wyśmienity, chociaż straszliwie palił w przełyku. Skorzeny sięgnął po stojące na stole wytrawne wino. Było ciemnoczerwone, mocne, z wyraźnie wyczuwalnymi taninami.

– Egri Bikavér – wyjaśnił gospodarz. – Bycza Krew, prosto z Egeru. Według jednej z legend niejaki István Dobó, kapitan zamku w Egerze, w czasie obrony twierdzy przed Turkami w 1552 roku zezwolił obrońcom na picie takiego wina dla podniesienia morale. Inna z kolei wersja mówi, że

tradycja picia tego wina dała siłę załodze do wielomiesięcznej obrony. Turcy, niepijący wina muzułmanie, „wpadli w panikę, gdy dowiedzieli się, że załoga zamku pije przed bitwą byczą krew, i zobaczyli „zakrwawione" brody węgierskich żołnierzy. W ten sposób według legendy Egri Bikavér przyczynił się do zwycięstwa obrońców Egeru. Według innej wersji nazwę „Bycza Krew" wymyślili właśnie Turcy, obchodząc w ten sposób obowiązujący ich jako muzułmanów zakaz picia alkoholu.

Zapadała noc, przynosząc ze sobą przenikliwy chłód. Znad stawu uniosła się lekka mgła. Wszędzie kładły się cienie. Słabe światło gasnącego dnia było złudne i mętne. Zniekształcało raczej niż oświetlało przedmioty. Biesiadnicy przenieśli się do pokoju kominkowego, gdzie kamerdyner podał im cygara i koniak.

– Doktorze Wolff – odezwał się gospodarz, usadowiwszy się w fotelu obok Skorzenego. – Nie znam wprawdzie celu pańskiej misji, sądzę jednak, że przyda się panu parę poufnych wiadomości o tutejszej sytuacji.

– Niech pan mówi.

– Ale nie wiem, co pana interesuje.

– Wszystko, co pan wie i co wydaje się panu istotne – Skorzeny zaciągnął się głęboko cygarem. – Proszę mi powiedzieć na przykład coś więcej o rodzinie Horthych.

– Regent ma oczywiste pretensje dynastyczne. Już w lutym 1942 roku wywarł presję na parlament, żeby ten zatwierdził jego starszego syna Istvána Horthyego jako wiceregenta, z prawem do sukcesji. To był zresztą bardzo porządny młody człowiek. Walczył z Sowietami jako oficer lotnictwa myśliwskiego.

– Był?

– Tak. Zginął dwa lata temu, ale nie bardzo wiadomo, gdzie. Według jednej wersji na froncie wschodnim, według innej tutaj, na Węgrzech, w wypadku lotniczym. Od tego czasu ojciec przelał wszystkie uczucia na młodszego, Miklósa Juniora, zwanego z angielska Nicky. To zupełnie inny człowiek. Należał do stałych gości nocnych klubów i znany był głównie

z orgii, jakie wyprawiał na Wyspie Małgorzaty. Stał się utrapieniem dla całej rodziny.

– Należał? Wyprawiał? Mówi pan w czasie przeszłym, a przecież, o ile mi wiadomo, to młody Horthy żyje.

– Oczywiście. Mówię tak, ponieważ zmienił się ostatnio, od kiedy rzucił się w wir wielkiej polityki. Nie przestał jednak kłapać wokoło jęzorem. Dzięki temu wiemy, że w imieniu ojca rozpoczął tajne negocjacje z wysłannikami Tito, przez którego chce dotrzeć do Rosjan.

Skorzeny słuchał w skupieniu, zainteresowany osobą młodszego syna admirała. W głowie rodził mu się pewien plan.

*

Jak się okazało, o planowanym spotkaniu Miklósa Juniora z wysłannikami jugosłowiańskiego marszałka wiedziała też doskonale niemiecka policja w Budapeszcie. Wyższy dowódca SS i policji w stolicy Węgier, Oberguppenführer Otto Winkelmann, znał nawet doskonale termin i miejsce wyznaczonego spotkania – 15 października w biurowcu należącym do jednej z firm handlowych, położonym blisko nabrzeża Dunaju w centrum miasta.

– SD zdecydowane jest ująć młodego Horthyego – zwrócił się do Skorzenego, kiedy ten, wciąż ubrany po cywilnemu, odwiedził go w jego biurze. – Życie jego synalka to byłby znakomity argument w ewentualnych negocjacjach z regentem. Jestem pewien, że stary nie odważy się w tej sytuacji skumać z Rosjanami. Jednego syna już stracił…

– Hm, szantaż to stara i wypróbowana metoda. Sam o tym myślałem.

– Czy zgodzi się pan wprowadzić do akcji swoich ludzi?

– To da się zrobić – odrzekł Skorzeny. – Ale pod warunkiem, że to ja będę decydował, w jaki sposób moi żołnierze zostaną wykorzystani.

– Zgoda – odparł krótko Winkelmann.

Przypadek sprawił, że ktoś źle zrozumiał przydomek syna regenta, nazywając go nie Nicky, lecz Mickey. W ten sposób operacja, którą

zamierzano przeprowadzić, zyskała kryptonim „Mickey Mouse”.

Akcja nie zapowiadała się łatwo, Miklós Horthy Junior miał się na baczności, cały czas podążała za nim silna obstawa. Pracownicy budapeszteńskiego SD wpadli jednak na chytry pomysł. Kilku ich agentów weszło do budynku już poprzedniego dnia i ukryło się w lokalach biurowych na piętrze. Na ich sygnał wejście do biurowca miało zostać zaatakowane przez kolejną grupę Sicherheitsdienst, która odcięłaby Horthyemu i jugosłowiańskim wysłannikom drogę ucieczki. Powodzenie operacji zależało od obezwładnienia strażników strzegących syna regenta i zapewne dlatego dowodzący nią Oberguppenführer Winkelmann uznał, że warto uciec się do pomocy Skorzenego i jego komandosów.

Niedzielny poranek 15 października 1944 roku wstał ciepły i słoneczny. Nicky przyjechał na miejsce spotkania tuż przed dziesiątą pod ochroną kilku oficerów węgierskich ukrytych w półciężarówce z plandeką, która zatrzymała się tuż za jego samochodem, dokładnie przed wejściem do biurowca.

Ubrany po cywilnemu Otto Skorzeny podjechał samochodem pod wejście do biurowca. Udając, że samochód mu się zepsuł, zatrzymał go tuż przed maską pojazdu Nicky’ego. Stary Fiat 508 z 1934 roku, zwany popularnie „Balilla”, był na tyle sfatygowany, że nie wzbudził niczyich podejrzeń. Podniósł maskę i zajął się „reperacją”, uważnie obserwując przy okazji otoczenie.

Naprzeciwko był skwer, po którym przechadzali się dwaj węgierscy oficerowie. Jego trzej ludzie w cywilnych ubraniach „czytali” na pobliskiej ławce gazety. Pozostali, w sile trzydziestu ludzi, już w mundurach, pod dowództwem Adriana von Fölkersama czekali w zaparkowanych w bocznej uliczce ciężarówkach. Przez szparę w plandece półciężarówki widać było węgierskiego oficera. Trzymając w ręku pistolet maszynowy, bacznie rozglądał się po okolicy.

Dokładnie o 10.10 zza rogu wyszli dwaj funkcjonariusze Winkelmanna, ubrani – oczywiście – po cywilnemu. Raźnym krokiem zmierzali w kierunku wejścia do biurowca. W pewnej chwili wyciągnęli z kieszeni

pistolety. Ludzie z obstawy Horthyego byli jednak czujni. Wystrzelona z półciężarówki seria rzuciła jednego z nich na ziemię. Odgłos strzałów był zupełnie taki, jakby ktoś okładał mokrą ścierką stół. Drugi zdołał dopaść wejścia i skryć się w sieni.

Skorzeny również wyciągnął pistolet i schroniwszy się za swoim Fiatem otworzył ogień w kierunku półciężarówki. Dołączyli do niego trzej ludzie z ławki, porzuciwszy bez wahania swe gazety. Widać nie było w nich niczego specjalnie interesującego. Sytuacja nie wyglądała jednak wesoło. Węgierscy żołnierze strzelali z pistoletów maszynowych, przy których sile ognia krótka broń Niemców była równie groźna, jak wykałaczka przy szabli. Cienką ścianę pojazdu przestebnowały serie automatów. Kierowca Skorzenego otrzymał ciężki postrzał w udo. Po chwili samochód wyglądał jak durszlak. Na szczęście jakimś cudem żaden z pocisków nie trafił w bak z paliwem. Gdyby do tego doszło, siła wybuchu benzyny wysłałaby wszystkich ukrytych za pojazdem prosto do piekła.

– Gdzie jest, do cholery, Fölkersam? – leżący na chodniku Otto krzyknął do kulącego się za kołem esesmana.

W tym momencie zobaczył, jak nadbiegają pochyleni tuż przy murze. Druga grupa pojawiła się po chwili na przeciwległym krańcu ulicy. Ukryci dotychczas pod plandeką półciężarówki Węgrzy zeskoczyli na ziemię i ostrzeliwując się, pobiegli do znajdującego się naprzeciw biurowca budynku. Dwaj ludzie Skorzenego rozstawili na trójnogu karabin maszynowy MG-42, strzelający pociskami kalibru 7,92 mm o prędkości początkowej 765 m/s. Szybkostrzelność takiej maszynki, zasilanej taśmą, wynosiła 1200 strzałów na minutę. Ogień karabinu przydusił obstawę do ziemi. Kilku Niemców obrzuciło granatami wejście. Runął portal, zasypując je gruzem i uniemożliwiając przebywającym tam strażnikom Horthyego wkroczenie do akcji. Strzelanina ustała.

Policjantom, czekającym na spiskowców piętro wyżej, pozostało tylko zejść i zgarnąć całe towarzystwo. Skrępowali Nicky’ego sznurem i zawinęli w dywan. „Pisano później, że pochodził z Persji” – zanotował Skorzeny. Szarpiący się wściekle więzień szybko przestał się rzucać, zapewne mdlejąc

z powodu braku powietrza. Napastnicy wrzucili „dywan” do policyjnej ciężarówki, która na dany znak podjechała pod drzwi. Pozostali wsiedli do niej bez oporu, woląc to niż kulę w łeb.

– Gazu, na lotnisko! – krzyknął do kierowcy Skorzeny. – Jadę za wami!

Wskoczył do kolejnej ciężarówki, która tymczasem znalazła się na ulicy, i ruszył za znikającym właśnie za rogiem samochodem uwożącym syna admirała.

Na wysokości mostu Elżbiety Otto natknął się na nadjeżdżające trzy ciężarówki wypełnione węgierskimi żołnierzami. Zapachniało masakrą.

– Zatrzymaj się! – polecił kierowcy Otto.

Wyskoczył z samochodu i podbiegł do ciężarówki z Węgrami.

– Stać! – wrzasnął, unosząc w górę dłoń. – Gdzie jest wasz dowódca?

– O co chodzi? – Z szoferki wysiadł oficer w stopniu majora, sprawiający wrażenie całkowicie zdezorientowanego.

– Jedziecie w złym kierunku. Jedźcie tam, wskazał ulicę przeciwległą do tej, w której znikała właśnie ciężarówka z Nickym. – Tam bandyci zaatakowali naszych ludzi.

– Jacy bandyci?

– Nie słyszał pan strzałów? Ukryli się tam – Otto wskazał ręką na zrujnowany dom, w którym ukryła się część obstawy Horthyego. Bełkotliwym głosem zaczął opowiadać jakąś wymyśloną naprędce historyjkę o partyzantach.

Nie wdając się w dalszą dyskusję, węgierski major skinął na swoich żołnierzy i wskoczył do samochodu, ruszając natychmiast we wskazanym kierunku.

Te dwie lub trzy zyskane dzięki temu minuty to było bardzo dużo. Fölkersam miał dzięki temu czas, by zabrać swoich ludzi i wynieść się do wszystkich diabłów. Nieniepokojona przez nikogo ciężarówka z więźniami mknęła na lotnisko. Pół godziny później Horthy Junior, jego przyjaciel Bornemisza oraz dwóch wysłanników Tito znajdowali się już w wojskowym samolocie lecącym w kierunku Wiednia.

Cała zasadnicza część akcji trwała zaledwie pięć minut. Niemcy odnieśli pierwsze zwycięstwo, wywożąc z placu boju czterech więźniów, okupując to zaledwie dwoma rannymi. Pozostało tylko czekać, jak zareaguje admirał Horthy.

*

Edmund Veesenmayer otrzymał stanowisko pełnomocnika Rzeszy na Węgrzech w marcu 1944 roku. Od tego czasu aż do listopada współdziałał aktywnie z Adolfem Eichmannem w deportacjach miejscowych Żydów, zajmując się wszystkimi kwestiami dyplomatycznymi koniecznymi do skutecznego przeprowadzenia „ostatecznego rozwiązania". Jego zadaniem było zwłaszcza pozyskanie do współpracy w tej akcji miejscowych władz. Mimo że nominalnie podlegał Ribbentropowi, odpowiadał bezpośrednio przed Ernstem Kaltenbrunnerem.

Punktualnie w samo południe Veesenmayer stanął przed admirałem Horthym.

– Jeśli wywąchamy zdradę, natychmiast poprowadzimy pana synalka pod ścianę! – oświadczył, patrząc mu prosto w oczy.

Zapowiedziane na godzinę 14.00 przemówienie radiowe regenta do narodu wydawało się w tej sytuacji tylko formalnością. Nikt nie sądził, żeby człowiek, który utracił właśnie jedynego syna, zechciał narazić jego życie. Jakież było zdziwienie Niemców, kiedy Miklós Horthy de Nagybánya zakończył swoje wystąpienie słowami:

„Dzisiaj stało się jasne, że Niemcy przegrali wojnę […]. Węgry osiągnęły wstępne porozumienie rozejmowe z Rosją i wstrzymują wrogie działania przeciwko temu państwu".

Przemówienie regenta okazało się jednak groźbą bez pokrycia. Dowództwo wojsk węgierskich nie otrzymało rozkazu przerwania walki. Czy Horthy traktował swoje oświadczenie poważnie, czy też rozwścieczony uprowadzeniem syna zdobył się jedynie na pusty gest, zamierzając tylko dać Niemcom nauczkę, ale nie przerywając w rzeczywistości działań

wojennych przeciwko Sowietom? Tego nie wiadomo. W każdym razie późnym popołudniem do sztabu niemieckiego dowództwa w Budapeszcie zatelefonował attaché wojskowy ambasady Rzeszy, która mieściła się w małym pałacyku położonym w obrębie Góry Zamkowej.

– Placówka jest otoczona przez węgierskie wojsko – zameldował. – Zabroniono mi wychodzić poza jej obręb.

Wkrótce przerwano wszystkie połączenia telefoniczne z ambasadą. Podjęcie działań zmierzających do przeprowadzenia operacji „Panzerfaust" stało się potrzebą chwili. (Miklós Horthy Junior został wysłany do obozu w Dachau, gdzie doczekał wyzwolenia obozu przez Amerykanów 5 maja 1945 roku).

Jeszcze tego samego dnia w niemieckim sztabie odbyła się na ten temat narada, w której uczestniczyli generałowie: Walther Wenck, dowódca 1. Armii Pancernej i jednocześnie szef wydziału operacyjnego OKH, oraz przybyły dopiero co z Warszawy generał Erich von dem Bach-Zelewski.

„Bach przypominał stracha na wróble w okularach – zapisał Otto Skorzeny w swych wspomnieniach. – Nie wywarł na mnie najlepszego wrażenia, w przeciwieństwie do niektórych naszych oficerów".

– Z Górą Zamkową możemy skończyć bardzo szybko – zaproponował Bach-Zelewski. – Możemy rozbić Zamek Królewski „Thorem" razem ze wszystkimi znajdującymi się tam ludźmi.

Nie chodziło bynajmniej o Thora z rodu Azów – nordyckiego boga piorunów, syna Odyna i Jörth, ale o najcięższy, samobieżny moździerz kalibru 600 mm, którego ważące dwa tysiące dwieście kilogramów pociski przebijały „wszystkie znane grubości betonu". Moździerzy tego typu użyto wcześniej między innymi przeciwko fortom Sewastopola oraz ostatnio w Warszawie. Jeden z pocisków trafił 28 sierpnia 1944 roku w szczytową część budynku Towarzystwa Ubezpieczeniowego „Prudential", uszkadzając poważnie jego konstrukcję. Kolejny pocisk przebił się do piwnicy pod znaną warszawską restauracją „Adria" przy ulicy Moniuszki 8 i nie eksplodował. Po rozbrojeniu pocisku przez Stanisława Dutkiewicza ps. „Pillert" materiał wybuchowy został wykorzystany do produkcji granatów,

a sam korpus pocisku pozostawiony. (W połowie lat sześćdziesiątych pocisk wydobyto z gruzów „Adrii” i przekazano do zbiorów Muzeum Wojska Polskiego, gdzie można go oglądać do dziś).

– To oznaczałoby kres wszelkich nadziei na jakiekolwiek porozumienie z Węgrami – odważył się zaprotestować Skorzeny.

– Ale załatwiłoby w ciągu minuty cały problem zdobycia Zamku – nie ustępował Bach-Zelewski.

– Dla mnie, Austriaka i Europejczyka, niedopuszczalne jest zniszczenie wzgórza, na którym władca z dynastii andegaweńskiej, János Hunyady[10], „Biały Rycerz”, odważnie bronił Zachodu.

– Pan jest żołnierzem czy historykiem sztuki? – zapytał złośliwie generał.

– Jestem żołnierzem, ale to ja dowodzę operacją i mam nadzieję wykonać rozkazy OKW w mniej krwawy i brutalny sposób, niż robiono to niedawno gdzie indziej.

Po tym oświadczeniu atmosfera stała się napięta jak struna w gitarze. Na szczęście Skorzeny nie musiał wyciągać pełnomocnictwa Hitlera, ponieważ z niespodziewaną odsieczą przyszedł mu generał Wenck. „Thor” odjechał razem z generałem Bachem-Zelewskim i ze swoimi pociskami o wadze dwóch tysięcy dwustu kilogramów.

Krótko przed północą do sztabu przybył pułkownik z węgierskiego Ministerstwa Wojny, żądając usunięcia wojsk niemieckich spod Zamku.

– Negocjacje będą możliwe tylko wtedy, gdy regent publicznie odwoła oświadczenie w sprawie zawarcia rozejmu ze wspólnym wrogiem – otrzymał odpowiedź. – Nasi dyplomaci zostali zatrzymani siłą na Górze Zamkowej, co traktujemy jako znamienny akt wrogości.

Na wniosek Skorzenego napisano ultimatum do rządu węgierskiego:

„Jeśli do godziny 6.00 rano 16 października nie zostaną zdjęte zapory i miny uniemożliwiające dostęp do wiodącej do niemieckiej ambasady Wiener Strasse, ku naszemu wielkiemu żalowi zmuszeni będziemy wyciągnąć daleko idące konsekwencje”.

*

Skorzeny zdecydował się opanować Górę Zamkową 16 października, punktualnie o godzinie 6.00. Postawiony przed nim cel nie wydawał się łatwy. Otoczona rozległymi fortyfikacjami długości przeszło trzech kilometrów i szerokości co najmniej sześciuset metrów góra dominowała nad Dunajem. Dzięki uzyskanym przez wywiad informacjom wiadomo było, że jej garnizon został niedawno znacznie wzmocniony. Regenta strzegło prawie trzy tysiące żołnierzy, pozostających w stałym pogotowiu.

Za Bramą Wiedeńską znajdowały się koszary jednego z pułków, w których za workami z piaskiem umocniły się oddziały wyposażone w ciężkie karabiny maszynowe i moździerze. W skrajnym, południowym punkcie wzgórza, w położonych na naddunajskim zboczu ogrodach zamkowych zbudowano pięć solidnych punktów oporu, ze schronami i gniazdami cekaemów. Przed Zamkiem stanowiska ogniowe zajęły dobrze okopane trzy ciężkie czołgi. Za murem i bramą, na dziedzińcu, znajdowały się stanowiska sześciu dział przeciwpancernych. W samym Zamku stacjonowali żołnierze dysponujący bronią automatyczną. Przed dotarciem do Zamku trzeba było przebyć drogę wiodącą przed budynkami Ministerstwa Wojny i Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bronionymi przez dwa bataliony, moździerze i karabiny maszynowe.

Istniało także podziemne przejście, łączące prawy brzeg Dunaju z podziemiami Ministerstwa Wojny, do którego wiodły tajemne schody. Mniej więcej w ich połowie znajdował się dawny skarbiec, w którym strzeżono klejnotów Korony Węgierskiej. Przejście rozdzielały liczne pancerne drzwi, które także trzeba było sforsować.

Jak wspomniano wcześniej, w niemieckiej Kwaterze Głównej rozpatrywano możliwość operacji spadochronowej lub powietrznodesantowej. Jedynym zdatnym do lądowania terenem było tak zwane „Krwawe Pole” – Vérmező, gdzie w 1795 roku ścięto przywódcę węgierskich jakobinów, Ignacá Martinovicsa, wraz z jego najwierniejszymi towarzyszami. Znajdowało się ono w dzielnicy Krisztinaváros (Miasto

Krystyny), okalającej Wzgórze Zamkowe od zachodu. Po zbadaniu sytuacji na miejscu Skorzeny stwierdził jednak, że lądowanie tam jest zbyt ryzykowne, Góra Zamkowa dominowała całkowicie nad placem, toteż w przypadku podjęcia przez Węgrów obrony komandosi znaleźliby się w ogniu żołnierzy z Zamku Królewskiego. Z wysoko umieszczonych stanowisk można by było strzelać do nich jak do zajęcy. Koniecznie trzeba było znaleźć inne rozwiązanie.

Skorzeny miał do dyspozycji składającą się z około ośmiuset Węgrów niemieckiego pochodzenia 22. Ochotniczą Dywizję Kawalerii SS „Maria Theresa", która jednak dopiero się formowała. Poza tym silny batalion podchorążych szkoły oficerskiej z Wiener Neustadt – jak napisał: „tysiąc ochotników o wspaniałej żołnierskiej postawie" – oraz dwie kompanie czołgów typu „Panther" i oddział „Goliathów", małych, zdalnie sterowanych pojazdów, wyładowanych materiałem wybuchowym. Mógł też oczywiście wykorzystać swoje „Jagdverbänd Mitte" i batalion strzelców spadochronowych Waffen-SS.

O godzinie 3.00 nad ranem wezwał wszystkich oficerów na Krwawe Pole, gdzie wydał ostatnie rozkazy. Mieli zaatakować jednocześnie z czterech stron. Batalion podchorążych z Wiener Neustadt miał wysadzić od strony południowej stalowy płot ogrodów zamkowych, wedrzeć się do nich i związać ogniem okopane tam siły węgierskie. Od zachodu specjaliści z „Jagdverbänd Mitte", dowodzeni przez Hauptsturmführera Karla Fuckera, mieli sforsować linię starych umocnień i dojść do południowo-zachodniej fasady Zamku, utrzymać ją i równocześnie zaatakować od tyłu żołnierzy węgierskich okopanych w ogrodach. Od strony wschodniej batalion strzelców spadochronowych powinien opanować tunel prowadzący z nabrzeża Dunaju i utorować przejście wiodące do Ministerstwa Wojny. W tym samym czasie Skorzeny z większością sił zmotoryzowanych i pancernych oraz z dwiema kompaniami „Jagdverbänd Mitte" powinien sforsować Bramę Wiedeńską i zaatakować Zamek. Operacja miała w sumie niewielkie szanse powodzenia, dysproporcja sił była aż nadto widoczna. Liczyć mógł tylko na zaskoczenie…

– Akcja powinna wyglądać jak przyjazny przemarsz – wytłumaczył swoim żołnierzom. – Zabezpieczoną broń ukryć za burtami ciężarówek. Nie odpowiadać na pojedyncze strzały.

– Mam nadzieję, że Węgrzy zastosowali się do ultimatum i droga prowadząca do Wienertor oraz dwie równoległe drogi na górze, które zbiegają się przed Zamkiem, będą rozminowane – zauważył cicho von Fölkersam.

– Też mam taką nadzieję – odpowiedział równie cicho Skorzeny.

– Nie lepiej sprawdzić?

– Nie mamy na to czasu ani możliwości.

– A jeśli nie?… – rzucone pytanie zawisło nieruchomo w powietrzu, jak uwięziony balon.

– Jeśli nie, to zakończymy akcję jako mielone kotlety…

Była godzina 5.59. Było zupełnie cicho, nad Zamkiem niebo nasiąkało perłowym blaskiem przedświtu, a w trawach nawoływały się pierwsze przepiórki. Nie wszystkim dane było doczekać słońca.

– Do wozów! – Skorzeny spojrzał na zegarek i uniósł w górę dłoń. – Naprzód marsz!

Z opancerzonych rur wydechowych czołgów buchnęły gęste, niebieskawe pióropusze dymu. „Panthery” szarpnęły gąsienicami i wyrwały do przodu. Za nimi wolno ruszyły wypełnione komandosami ciężarówki.

*

Otto Skorzeny jechał na czele kolumny w pierwszym odkrytym samochodzie dowodzenia. Obok niego miejsca zajęli von Fölkersam, Ostafel i pięciu innych żołnierzy uzbrojonych w pistolety maszynowe, granaty i Panzerfausty. Wszyscy uczestniczyli wcześniej w brawurowej akcji odbicia Mussoliniego z Gran Sasso. Za nimi posuwały się cztery „Panthery”, oddział „Goliathów” i wreszcie ciężarówki, w których żołnierze siedzieli jak na paradzie. Wolno wspinali się ku Bramie Wiedeńskiej w ogłuszającym hałasie silników i szczęku gąsienic.

Kiedy znaleźli się na Wienerstrasse, prowadzącej do niemieckiej ambasady, Skorzeny oblizał suche wargi. Obok to samo zrobił von Fölkersam. Czy miny zostały usunięte? Tylko oni dwaj wiedzieli o tym niebezpieczeństwie. W każdej chwili spodziewali się wybuchu, który zapewne położyłby kres ich istnieniu. Wszystkie mięśnie napięte mieli do ostatnich granic. Pięćdziesiąt metrów… Sto pięćdziesiąt… Nic się nie działo. Na szczęście dla nich okazało się, że prawie dwukilometrowa droga, wiodąca z Krwawego Pola do Zamku, została oczyszczona z min i innych pułapek.

Przekroczyli otwarte szeroko na oścież wrota Wienertor, obserwowani przez kilku wyraźnie zaskoczonych węgierskich żołnierzy. Na ich twarzach pojawiło się jeszcze większe zdziwienie, kiedy Otto z uśmiechem im zasalutował i pomachał wesoło ręką. „Czego chcą ci Niemcy i co tu robią?” Ale nie otrzymali żadnego rozkazu strzelania do sojuszników, więc ich przepuścili. Oddział minął stanowiska ciężkiej broni. Od tego momentu Węgrzy, gdyby przyszła im taka myśl do głowy, mogli im strzelać w plecy.

– Przyspiesz trochę – polecił Skorzeny kierowcy.

Wtaczali się pod górę z prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Ciągle nic się nie działo, nikt nie wszczynał alarmu, nikt nie strzelał.

– Spokojnie, bez pośpiechu – powtarzał Skorzeny, stojąc na stopniu szoferki pierwszego samochodu.

Z lewej strony wyłonił się budynek węgierskiego garnizonu.

– Byłoby trochę głupio, gdybyśmy dostali ogień z flanki – mruknął Fölkersam na widok ustawionych przy wejściu do koszar kilku karabinów maszynowych.

Jechali w napięciu, lecz węgierscy żołnierze, których głowy widać było nad workami z piaskiem, patrzyli tylko zdziwieni. Nic nie wskazywało, że mają zamiar otworzyć ogień.

Minęli wznoszący się po lewej stronie wielki, masywny budynek Ministerstwa Wojny, kiedy niespodziewanie rozległy się dwie stłumione eksplozje.

– To chyba nasi – zauważył Fölkersam, odbezpieczając swojego Schmeissera i wystawiając lufę przez okno.

– Pewnie tak – zgodził się Otto. – Wdarli się do tunelu.

Kiedy wjechali na rozpościerający się przed Zamkiem Królewskim rozległy plac, czekała ich niespodzianka.

– Czołgi! – wrzasnął któryś z komandosów.

Były to trzy węgierskie czołgi typu Toldi 38M, produkowane w budapeszteńskich zakładach „Ganz Vállalatok” od 1939 roku na licencji szwedzkiego Stridsvagn L-60, napędzane niemieckimi silnikami Büssing-NAG o mocy 155 KM. Kadłub czołgu wykonano z nitowanych, walcowanych płyt pancernych. Grubość pancerza wynosiła z przodu oraz z boków 13 mm, z tyłu 10 mm, a nad przedziałem silnika i dnie kadłuba – 5 mm. Dwuosobową wieżę zaś wykonano ze spawanych płyt pancernych. Umieszczono w niej uzbrojenie, które stanowiła rusznica przeciwpancerna 36.M kal. 20 mm oraz km 34/37 A.M. kal. 8 mm (wariant czechosłowackiego km ZB vz.35).

Stanowili dla nich wspaniały cel. Komandosi odbezpieczyli Panzerfausty i unieśli celowniki.

– Nie strzelać! – zawołał Skorzeny.

Załoga pierwszego czołgu uniosła lufę ku niebu, co było najbardziej oczywistym znakiem, że nie zamierza podejmować walki.

Wejście do Zamku osłaniał wysoki, kamienny mur.

– Zjedź na bok! – nakazał Skorzeny kierowcy, dłonią dając znać jadącej za nimi „Pantherze”.

Z całą siłą czterdziestopięciotonowej masy ciężki czołg uderzył w przeszkodę, robiąc w niej szeroki wyłom. Wyskoczyli z samochodu i popędzili przez wyrwę na wybrukowany kostką dziedziniec zamkowy. Cała grupa biegła za Skorzenym, ściskając w dłoniach Panzerfausty bądź pistolety maszynowe. Przede wszystkim należało ubezpieczyć pozostałe czołgi, które wspinając się na sterty kamieni z rozbitego muru, odsłaniały podwozia – najsłabiej chronione miejsce, gdzie pancerz miał tylko 16 mm

grubości. Wystarczył jeden celny strzał, żeby stalowy kolos zapalił się i zablokował na długo wjazd do Zamku.

Dobiegli w sam czas, gdyż na dziedzińcu stało sześć działek przeciwpancernych, ale węgierscy żołnierze nie otwarli ognia, zapewne zaskoczyło ich gwałtowne pojawienie się pierwszego czołgu, a może stracili głowy widząc esesmanów wspinających się na zniszczoną barykadę. Wykorzystując ten moment zawahania obrońców, komandosi wbiegli na dziedziniec. Drogę zastąpił im jakiś węgierski oficer, wymachując pistoletem. Krzyczał coś po swojemu, ale nie mogli zrozumieć co, ponieważ język węgierski, co łatwo zauważyć, jest całkowicie odmienny od większości języków, którymi posługują się cywilizowani ludzie, przynajmniej na kontynencie europejskim[11]. Fölkersam silnym uderzeniem kolby wytrącił mu broń z ręki.

Przed Skorzenym wyrósł nagle kolejny oficer Madziarów. Minę miał taką, jakby przed chwilą zobaczył pingwina w marynarskiej czapce z pomponem na głowie.

– Proszę zaprowadzić mnie do dowódcy Góry Zamkowej! – naskoczył na niego Otto, zanim Węgier zdołał ochłonąć ze zdumienia. – Nie mamy nawet chwili do stracenia!

– Proszę tędy – oficer wskazał marmurowe schody, pokryte wspaniałym, czerwonym dywanem.

Przeskakując po kilka stopni naraz, wbiegli na górę. Znajdowały się tam liczne sypialnie, a w niektórych stały łóżka z baldachimami.

– Matko boska, czy tak żyją bogaci? – zdziwił się von Fölkersam. – Widziałeś, jak daleko do łazienki?

Korytarz… Przedpokój… Pod otwartym oknem stał wielki stół, a na nim lekki karabin maszynowy MG 08/15. Leżący przy nim żołnierz właśnie szykował się do oddania serii. Nie namyślając się wiele, Skorzeny chwycił za broń i wyrzucił ją przez okno. Oszołomiony żołnierz spadł ze stołu.

Po prawej stronie Otto zobaczył dwuczęściowe drzwi. Zapukał i wszedł do dużego pokoju. Po przeciwległej stronie stał mężczyzna o twarzy

gryzonia, z cienkim wąsikiem, bardzo schludny i bardzo chudy, ubrany w mundur węgierskiego generała.

– Czy mam przyjemność z komendantem Zamku? – zapytał z kurtuazją po niemiecku Skorzeny.

– Tak, ale…

– Nie ma żadnego ale – przerwał mu ostro Skorzeny. – Żądam natychmiastowej kapitulacji pańskiej załogi! Jeżeli pan tego nie zrobi, przejmie pan odpowiedzialność za przelanie krwi sojusznika!

– Ale…

– Niech się pan szybko decyduje, generale!

Węgier spojrzał z przestrachem na trzymany w ręku przez esesmana peem. Wyraźnie obawiał się, że ogromny oficer za chwilę zrobi z niego użytek. Ciągle jednak jeszcze się wahał.

– Ale…

– Dalsza obrona nie ma najmniejszego sensu. Zajęliśmy już wszystkie wasze umocnienia.

Z zewnątrz dobiegały odgłosy pojedynczych wystrzałów. Potem rozległ się monotonny, irytujący terkot przestarzałego węgierskiego karabinu maszynowego. W tym momencie do pomieszczenia wpadł jak bomba jeden z komandosów Skorzenego, Obersturmführer Werner Hunke, z racji skośnych oczu nazywany „Chińczykiem”.

– Dziedziniec i główne wejścia są w naszych rękach – zameldował. – Oczekuję dalszych rozkazów.

– Wyślę oficerów łącznikowych z rozkazem przerwania ognia – wydusił z siebie generał. – Czy mam uważać się za pańskiego jeńca?

– Jak pan uważa, generale – uśmiechnął się Skorzeny. – Zgadzam się, by pan i pańscy oficerowie zachowali broń osobistą.

Ustalili wspólnie, że przerwania ognia dopilnuje kilka wspólnych patroli. W skład każdego z nich miał wchodzić jeden oficer węgierski i jeden z Niemców. Dziesięć minut później umilkły ostatnie strzały. Przeprowadzenie całej operacji „Panzerfaust” zabrało niecałe pół godziny.

Kosztowała życie siedmiu żołnierzy: czterech niemieckich i trzech węgierskich, nie licząc dwudziestu siedmiu rannych po obu stronach.

*

Skorzeny ruszył w stronę skrzydła zamkowego, gdzie mieściły się apartamenty regenta. „Wzięcie Horthyego do niewoli będzie wspaniałym finałem tej akcji” – myślał. Miał minę zadowolonego kota, który właśnie najadł się do woli gospodarskiej śmietany.

„Zamek robił wrażenie kompletnie umeblowanego – możemy przeczytać w jego wspomnieniach. – Przechodziliśmy przez znamionujące przepych sale pełne dywanów, tkanin na ścianach, obrazów batalistycznych i portretów. Przestudiowaliśmy wcześniej szczegółowo wnętrze rezydencji, toteż w newralgicznych punktach umieściłem pół tuzina uzbrojonych w Panzerfausty podoficerów.

Jestem, oczywiście, zdecydowanie przeciwny używaniu Panzerfaustów w salonach, chyba że byłoby to absolutnie konieczne. Broń ta jest nie tylko skuteczna w walce z czołgami; jej użycie bywa spektakularne. Jeden wystrzał oddany w miejscu, w którym zbiega się cztery czy pięć sal, z pewnością zmusiłby do rozsądku ewentualnego napastnika, podobnie jak jeden pocisk z tej broni, wystrzelony w amfiladzie korytarzy, poczyniłby ogromne zniszczenia”.

Z zaskoczeniem otwierał drzwi do opustoszałych pomieszczeń, nigdzie nie mogąc znaleźć admirała – głównego celu swojej operacji. Nie miał pojęcia, że cała akcja była właściwie niepotrzebna. Kilka godzin wcześniej na Zamku rozegrały się bowiem następujące wypadki:

Poprzedniego wieczoru w siedzibie węgierskiego rządu doszło do sporego zamieszania. Mimo późnej pory ministrowie wciąż obradowali. Po wielogodzinnej dyskusji doszli w końcu do wniosku, że admirał powinien złożyć swój urząd. Generał Antal Vattay udał się do apartamentów regenta, aby poinformować go o tej decyzji.

– Odmawiam podania się do dymisji – odpowiedział krótko Horthy, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami swojej sypialni.

Generał wrócił na salę obrad, gdzie oczekiwali zmęczeni i marzący o odrobinie snu ministrowie.

– Admirał Horthy zaakceptował nasz plan w całości – ogłosił uroczystym głosem, czemu towarzyszyło wyraźne westchnienie ulgi, wydarte z kilku piersi.

Otwarte pozostaje do dziś pytanie, dlaczego zdecydował się skłamać. Podobno bardzo nie lubił przekazywać złych wieści…

Nie bacząc na późną porę, członkowie Rady Regencyjnej przekazali niezwłocznie niemieckiemu ambasadorowi, że admirał zdecydował się abdykować, oni zaś sami rozwiązać Radę.

O godzinie 3.00 nad ranem Edmund Veesenmayer zatelefonował do Berlina, budząc Joachima von Ribbentropa.

– Nie mogę podjąć żadnej decyzji bez uprzedniego powiadomienia Führera – burknął wyciągnięty z łóżka minister spraw zagranicznych III Rzeszy.

Minęły dalsze dwie godziny, zanim ambasador otrzymał wiadomość, że Hitler akceptuje abdykację węgierskiego regenta. O wpół do szóstej Veesenmayer wsiadł do samochodu i niecały kwadrans później wjechał na dziedziniec Zamku Królewskiego, domagając się obudzenia Horthyego. Admirał pojawił się po kilku minutach.

– Mam niemiły obowiązek aresztowania pana – oświadczył Veesenmayer.

– Aresztowania? – zdziwił się regent.

– Proszę udać się za mną. Za dziesięć minut rozpocznie się atak.

„Horthy dał się bez oporu doprowadzić do samochodu i odjechał z niemieckim ambasadorem – opisał tę scenę Bogusław Wołoszański. – Było to najbardziej groteskowe wydarzenie w niezwykłym ciągu pomyłek, niedomówień i nieudolności. Admirał Horthy wyjeżdżał przez bramę Zamku obsadzonego przez wiernych mu żołnierzy dysponujących ciężką bronią maszynową, działkami przeciwlotniczymi, artylerią, gotowych do

odparcia ataku. Atakujący, o których mówił niemiecki ambasador, musieliby stoczyć ciężką i krwawą walkę, której wyniku nie można było przewidzieć. Oddziały niemieckie w Budapeszcie były nieliczne i musiałyby ulec przeważającym siłom węgierskim. Dlaczego więc Horthy, który musiał zdawać sobie z tego sprawę, oddawał się tak łatwo w ręce niemieckiego ambasadora? Czyżby ten podczas krótkiej rozmowy na dziedzińcu powiedział coś jeszcze – coś, co złamało upór regenta? Zapewne tak, choć nigdy do tego się nie przyznał. Syn Horthyego był w rękach niemieckich i regent nie miał żadnych złudzeń, że od jego decyzji zależy los jego dziedzica. Skapitulował”.

Chociaż tyle mówi się o niemieckiej precyzji, niemieckim porządku i znakomitej organizacji, nikt nie raczył poinformować Skorzenego, że regent znajduje się już w niemieckich rękach.

Po wywiezieniu z Zamku admirał Miklós Horthy znalazł schronienie w domu zaprzyjaźnionego z cesarzem Wilhelmem II SS-Obergruppenführera Karla von Pfeffer-Wildenbrucha na Węgrzech. Przebywał tam do grudnia 1944 roku, kiedy to eskortowany przez Otto Skorzenego został przewieziony specjalnym pociągiem do zamku Hirschberg w Górnej Bawarii. Tam doczekał nadejścia wojsk alianckich, które osadziły go na pewien czas w więzieniu w Norymberdze jako świadka oskarżenia. Wtedy ponownie miał okazję spotkać się ze Skorzenym. Wypuszczony na wolność w roku 1945, resztę życia spędził z żoną i synem na wygnaniu w Estoril w Portugalii, korzystając z gościny dyktatora tego kraju António de Oliveiry Salazara. Zmarł 9 lutego 1957 roku.

Po upadku systemu komunistycznego i wycofaniu wojsk sowieckich z Węgier jego prochy przeniesiono uroczyście w 1993 roku do mauzoleum w Kenderes – zgodnie z testamentem regenta, który pragnął być pochowany w ojczystej ziemi, gdy opuści ją stopa ostatniego okupanta.

*

Skorzeny poprosił wszystkich węgierskich oficerów, aby udali się z nim do sali koronacyjnej, gdzie przemówił do nich po niemiecku. Zdawał sobie sprawę, że w tak niezwykłych okolicznościach powinien wygłosić mowę odpowiednio poważną i uroczystą. Wiedeński akcent i osobisty urok nie zawiodły go i tym razem.

„Byliśmy panami góry, a co za tym idzie, siedziby rządu – wspominał. – Kilka wystrzelonych z zamkowych okien granatów z Panzerfausta sprawiło, że broniące się jeszcze w ogrodzie oddziały węgierskie złożyły broń. Była godzina 6.30. Straciliśmy szesnastu ludzi, czterech zabitych i dwunastu rannych. Równie niewielkie były straty Węgrów, trzech zabitych i piętnastu rannych.

Spowodowałem, by żołnierze pułku «Honwedów», batalionu Gwardii i batalionu Gwardii Korony złożyli broń. Następnie, około 9.30, zebrałem węgierskich oficerów i powiedziałem im: «Chciałbym na początku przypomnieć w tym historycznym miejscu, iż Niemcy od stuleci nie walczyli z Węgrami. Jako wiedeńczyk nie mogę nie pamiętać o naszym wspólnym wyzwoleniu w 1718 roku[12]. Przeżywamy zbyt ciężkie chwile, by europejscy żołnierze, niezależnie od wiary i wyznawanej ideologii, nie zjednoczyli się dobrowolnie, zwłaszcza jeśli chodzi o Węgrów i Niemców. Od jutra każdy z was, jeśli zechce, będzie mógł dowodzić swoim pułkiem, batalionem lub kompanią. Nikt nie ma bowiem prawa zmuszać człowieka do walki wbrew woli i przekonaniom. Będziemy walczyć ochotniczo, dlatego proszę tych, którzy chcą kontynuować walkę po naszej stronie, by wystąpili krok naprzód».

Wszyscy oficerowie węgierscy zrobili ten krok; każdemu uścisnąłem rękę”.

Aby utrzymać Węgry w stanie wojny z Sowietami, Niemcy utworzyli nowy rząd, na którego czele stanął wierny Hitlerowi przywódca Strzałokrzyżowców Ferenc Szálasi, w pełni podporządkowany Rzeszy. Anulowane zostały wszelkie poprzednie postanowienia, a Węgry walczyły po stronie państw Osi prawie do samego końca wojny, do kwietnia 1945 roku.

Przez dwa kolejne dni, chcąc nie chcąc, Otto Skorzeny pełnił funkcję wojskowego dowódcy budapeszteńskiej Góry Zamkowej. Noce spędzał w wygodnym, ogromnym łóżku należącym kiedyś do Franciszka Józefa I i kąpał się w równie wielkiej wannie cesarza o wymiarach 2,5 x 1,5 metra.

Drugiego dnia odwiedził go pewien dystyngowany starszy pan, noszący mundur generała-pułkownika armii cesarsko-królewskiej. Jego twarz przypominała wyrzeźbione w marmurze dumne oblicze rzymskiego senatora.

– Serwus, serwus! – zawołał z entuzjazmem. – Ktoś chciał mnie zaskoczyć, mówiąc, że jesteś wiedeńczykiem. Ale ja wcale nie byłem zdziwiony. A wiesz dlaczego? Bo pomyślałem sobie: tylko wiedeńczyk może sobie poradzić w podobnej sytuacji. Wspaniale! Co za brawura! Cieszę się, że cię poznałem. Cudownie!

Wydawało się, że zszedł z jednego z obrazów zdobiących wielkie rokokowe sale, w których poprzedniego dnia manipulowali Panzerfaustami ludzie Skorzenego.

– Kto to jest u diabła? – szepnął Otto do von Fölkersama.

– Arcyksiążę Józef von Habsburg – mruknął szef sztabu.

– Proszę spocząć, Wasza Książęca Mość – zaproponował natychmiast Skorzeny. – W czym mogę pomóc?

– A możesz, możesz, kochaneczku – rzekł radośnie książę, siadając we wskazanym mu fotelu. – Możesz mi oddać wielką przysługę.

– Mianowicie…

– W stajniach zamkowych stoi kilka moich koni wyścigowych. Czy myślisz, że mogą tu zostać?

– Ależ oczywiście, Wasza Książęca Mość. Wszystko zostanie po dawnemu.

– To znakomicie, mój drogi, znakomicie. Chodź ze mną, pokażę ci, jakie są piękne.

„To były naprawdę piękne stworzenia – zapamiętał Otto Skorzeny. – Arcyksiążę chciał podarować mi jednego na pamiątkę. Wytłumaczyłem mu,

że nie wiedziałbym, co z nim zrobić, dowodziłem przecież jednostkami zmotoryzowanymi”.

– To prawda – zmartwił się książę. – Dzisiejsza wojna nie przypomina tej z dawnych czasów – dodał ze smutkiem. – A mimo to wczoraj rozstrzygnąłeś sprawę po staremu, jak prawdziwy kawalerzysta! Jeśli wrócisz kiedyś do Budy, nie zapomnij mnie odwiedzić. Serwus!

Zamek Królewski w Budapeszcie wraz z pełnymi przepychu salami i stajniami całkowicie zburzyły w 1945 roku artyleria i lotnictwo Sowietów. Po wojnie rozpoczęto odbudowę, jednak z powodów ideologicznych nie zachowano wyglądu wiernego oryginałowi, wiele elementów uproszczono, części nie odbudowano, a niektóre ocalałe fragmenty dekoracji i wszystkie zachowane wnętrza nawet celowo zniszczono – taki los spotkał między innymi schody Habsburgów, kopułę na dachu, stajnie cesarskie, strażnicę i królewską szkołę jazdy. Rozebrano także zrujnowany kościół zamkowy (ocalał jedynie neogotycki ołtarz oraz część malowideł).

W październiku 1956 roku Zamek został poważnie uszkodzony przez rosyjską artylerię w trakcie topienia we krwi antykomunistycznego powstania.

*

9 grudnia 1944 roku czołówki wojsk 2. Frontu Ukraińskiego podeszły pod Budapeszt, a dwa tygodnie później zamknęły pierścień wokół miasta, w którym sto dziewięćdziesiąt tysięcy żołnierzy węgierskich i niemieckich przystąpiło do obrony. Głównodowodzący nimi generał Karl Pfeffer-Wildenbruch ogłosił drakońskie prawa wojenne, grożąc rozstrzeliwaniem każdemu, kto tylko zechciałby się poddać. 29 grudnia marszałek Rodion Jakowlewicz Malinowski wysłał do niego parlamentarzystów z propozycją kapitulacji. „Był przystojnym, pięćdziesięcioletnim mężczyzną o jasnych włosach, herkulesowej figurze i dłoniach wielkości tenisowej rakiety – zapamiętał sowieckiego dowódcę Skorzeny. – Miał prostą twarz o regularnych rysach, z niebieskimi, inteligentnymi i chytrymi oczami.

Można by go wziąć raczej za dobrze prosperującego rzeźnika niż wyższego oficera”.

Oferta została odrzucona; sam Adolf Hitler żądał osobiście możliwie długiej obrony naddunajskiego miasta. W niewyjaśniony do dzisiaj sposób wracający do swoich parlamentarzyści zostali zabici. Od tego momentu obrońcy Festung Budapeszt wiedzieli, że wróg nie będzie miał dla nich litości.

Zmagania o Budapeszt były jedną z najkrwawszych bitew II wojny światowej, porównywalną w zaciekłości walk i liczbie ofiar ze Stalingradem – blisko dwieście tysięcy zabitych żołnierzy po obu stronach, ponad trzysta tysięcy zabitych wśród ludności cywilnej. Krwawe, zacięte walki o każdy dom i każdą ulicę trwały przez pięćdziesiąt dni – do 13 lutego 1945 roku.

Tego dnia stolicę Węgier objął w posiadanie siarczysty mróz. Rankiem zaczął padać drobny, kłujący śnieg, bielszy niż kornet zakonnicy. Świt z trudem przedzierał się przez śnieżny całun, zwisający gdzieś wysoko i ginący w odchodzącym mroku nocy. Miasto leżało w ruinach, siedemdziesiąt procent domów mieszkalnych i budynków publicznych zostało całkowicie zniszczonych, wysadzono wszystkie mosty na Dunaju.

Nagle powietrze zaczęło drżeć, nieliczni przechodnie rozpierzchli się po bramach, z niepokojem spoglądając w górę. Szyby brzęczały coraz głośniej, chociaż na gładkim niebie nie było widać żadnego samolotu. W ulice wjechały motocykle żandarmerii. Huk zbliżył się na tyle, że dało się rozróżnić ryk motorów, jazgot i szczęk żelaza. Od wschodu nadjechała kolumna wozów pancernych, dział samochodowych i zmotoryzowanej piechoty.

Huk przenikał ciała, zmuszał je do poddania się ogłuszającemu rytmowi łoskotu. Ludzie z przerażeniem patrzyli na ten przepływ żelaza i stali z czerwonymi gwiazdami oraz na żołnierzy, jakby z tej samej materii jak sprzęt, nieludzko nieruchomych. Do Budapesztu wkraczała zwycięska Armia Czerwona. Wyzwolenie stolicy Węgier od faszystowskich okupantów było najważniejszą operacją na ostatnim etapie II wojny

światowej. Szczególne znaczenie dla hitlerowców miał rejon Nagykanizsa, obfitujący w złoża ropy naftowej. Zdobycie miasta i pokonanie w straszliwej walce prawie dwustutysięcznego ugrupowania wroga zapewniło Armii Czerwonej pomyślny marsz na Austrię i Niemcy.

Wkrótce w wygłodniałym mieście zostanie osobiście „wyzwolonych" przez krasnoarmiejców pięćdziesiąt tysięcy kobiet. Biskup Vilmos Apor zginie zabity przez sowieckich żołdaków, gdy podejmie próbę ich obrony, ukrytych w jego rezydencji przed sowieckimi gwałtami. Wydany jugosłowiańskim komunistom szef sztabu węgierskiej armii Ferenc Szombathelyi poniesie męczeńską śmierć na palu. Tysiące ludzi znajdą się w sowieckich łagrach na Syberii.

Aż do roku 1990 pamięć o zagładzie Budapesztu nie istniała w oficjalnym życiu publicznym…

Przypisy

1 Swą pozycję u boku wodza Morell utrzymał niemal do końca wojny. Dopiero 22 kwietnia Hitler stracił do niego zaufanie i odprawił ze swojego bunkra. Przyczyny dramatycznego pogorszenia się stanu zdrowia Führera w ostatnich latach jego życia są właściwie do dzisiaj nieznane. Pojawiają się sugestie, że mogło ono być związane z początkami choroby Parkinsona, nie można jednak wykluczyć, iż było po prostu efektem olbrzymiego stresu psychicznego.

2 Hrabia Mihály Károlyi na przełomie 1918 i 1919 roku stał na czele rządu koalicyjnego. Potem, do marca 1919 roku, był tymczasowym prezydentem Węgier. W okresie istnienia Węgierskiej Republiki Rad wyemigrował. Stanął na czele opozycji wobec Horthyego, współpracując z komunistami. Powrócił do kraju w roku 1946. Protestując przeciwko represyjnym rządom Mátyása Rákosiego (właśc. Mátyása Rosenfelda), zrezygnował ze stanowiska ambasadora w Paryżu i pozostał na emigracji.

3 Pakt antykominternowski – układ dotyczący walki z zorganizowaną działalnością Międzynarodówki Komunistycznej, zawarty w 1936 roku pomiędzy Niemcami a Japonią. W latach 1937–1941 do paktu dołączyły Włochy i Hiszpania oraz pozostałe państwa satelickie Niemiec. Wymierzony był również pośrednio w mocarstwa zachodnie, ponieważ faktycznym celem zbliżenia się Japonii i Włoch do Niemiec była walka o światową hegemonię.

4 I wojna światowa zakończyła się dla Węgier klęską. W wyniku traktatu z Trianon zawartego w 1920 roku państwo to utraciło dwie trzecie swojego terytorium: Chorwacja znalazła się w Jugosławii, Siedmiogród w Rumuni, Słowacja zaś – wraz Czechami – utworzyła Czechosłowację. W trakcie II wojny światowej Węgry, w nadziei odzyskania straconych terenów, ponownie opowiedziały się po niewłaściwej stronie.

5 Panzerfaust (niem. Pancerna pięść) – niemiecki bezodrzutowy granatnik przeciwpancerny jednorazowego użytku, broń tania, łatwa w produkcji i skuteczna. Skonstruowany został w 1942 roku. Była to rura o długości 80 cm, do której żołnierz wsuwał pocisk. Miał 15 cm średnicy i zaopatrzony był w drewniany trzonek z lotkami ze sprężystej blachy, zwijanymi dookoła trzonka przed wsunięciem do rury. Odpalenie pocisku następowało po naciśnięciu na spust umieszczony na górze pancerzownicy, tuż za podnoszonym celownikiem. Ładunek kumulacyjny w głowicy wykonany był z heksolitu (mieszaniny trotylu i heksogenu), którego efekt kumulacyjny dodatkowo wzmagała wkładka o odpowiednim, stożkowym kształcie, wykonana z miękkiej blachy (miedzi ze względu na koszty nie stosowano). W celu polepszenia własności aerodynamicznych głowica wyposażona była w czepiec balistyczny. Detonowana była prostym zapalnikiem bezwładnościowym, uderzającym w spłonkę osadzoną w małym ładunku pobudzającym. Zapalnik był dodatkowo zabezpieczony przed przypadkowym zadziałaniem przez spiralną sprężynę. Działanie bezpiecznika polegało na zasłonięciu kanału ogniowego wiodącego od spłonki do ładunku prochowego. Jeśli tuleja bezpiecznika została przekręcona o 1/4 obrotu, odsłaniał się kanał ogniowy. Rurowa wyrzutnia

wykonana była z miękkiej stali i trwale połączona z mechanizmem odpalającym oraz celownikiem. Wewnątrz rury umieszczano tekturowy pakiet z prochem – ładunkiem miotającym. Koniec rury zatkany był kartonową pokrywką, zabezpieczającą przed przypadkowym zapchaniem przewodu wyrzutni – przy strzale wyrzucało go ciśnienie gazów prochowych. W listopadzie 1944 roku rozpoczęto produkcję modelu „100” o zasięgu stu metrów. Wprowadzony na początku następnego roku model „150” miał zasięg stu pięćdziesięciu metrów. Do kwietnia 1945 roku wyprodukowano ponad 200 tys. Panzerfaustów, chociaż wiele nie dotarło do jednostek frontowych ze względu na trudności z transportem.

6 Zwycięstwo Horthyego na Węgrzech było też polskim zwycięstwem. Dzięki niemu walcząca o „być albo nie być” Polska była w stanie odeprzeć w 1920 roku nawałę sowiecką. To bowiem rząd węgierski przekazał nam w krytycznym momencie wojny z Rosją Sowiecką tak potrzebną pomoc. Podczas gdy Czesi, Niemcy i Austria blokowały transporty do Polski, a komunizujący zachodni marynarze i dokerzy utrudniali przeładunki w portach, to właśnie Węgrzy dostarczyli Polsce niezbędne zaopatrzenie i broń. Ogółem dostaliśmy nieodpłatnie ponad 50 mln pocisków do karabinów typu Mauser i Mannlicher, 30 tys. samych karabinów Mauser, kilka milionów części zapasowych, dużą liczbę pocisków artyleryjskich oraz wiele innego rodzaju sprzętu i wyposażenia wojskowego. Transport odbywał się przez Rumunię.

7 Proces Iona Antonescu rozpoczął się w Bukareszcie 6 maja 1946 roku. Został skazany na karę śmierci i rozstrzelany. Wyrok wykonano 1 czerwca 1946 roku.

8 *Pálinka* to wódka podwójnie pędzona z zacieru owocowego o zawartości alkoholu od 40 do 70% Najpopularniejsza jest *körte pálinka* – gruszkówka, najlepsza zaś *barack pálinka* (morelowa), pochodząca z okolic Keeskemét. Dobrą *pálinkę* można poznać po bąbelkach powietrza i piance po wstrząśnięciu butelką. *Pálinkę* pije się z kieliszków o zwężonym zakończeniu, ażeby – podobnie jak przy winie – móc wyczuć specyficzny

aromat, zgodnie z zasadą, że najpierw następuje degustacja wzrokowa, następnie węchowa, a na końcu smakowa.

9 Aby przygotować dobry *Pörkölt*, trzeba zaopatrzyć się w następujące składniki: pół kilo polędwicy wieprzowej, dwie duże cebule, ćwierć litra domowego przecieru pomidorowego, dwie czerwone papryki, pięć ząbków czosnku, pół litra rosołu, dwieście gramów ostrej papryki mielonej (lub jak w opisanym wyżej przypadku kilka ostrych papryczek czereśniowych), łyżka słodkiej papryki mielonej, sól, pieprz oraz trzy łyżki masła. Warzywa myjemy, cebulę obieramy, papryki pozbawiamy gniazd nasiennych – kroimy w kostkę. Mięso myjemy i kroimy na nieduże kawałki (kostka około 1,5 x 1,5 cm), podsmażamy w rondlu na rozpuszczonym maśle. Dodajemy warzywa, mieszamy i podsmażamy razem około 3 minut. Następnie zalewamy rosołem i dusimy pod przykryciem na średnim ogniu około 30 minut. Zwiększamy ogień, dodajemy przecier pomidorowy i gotujemy dalej, aby objętość sosu zmniejszyła się o połowę. Przyprawiamy mielonymi paprykami, solą, pieprzem i czosnkiem – podgrzewamy jeszcze przez około 5 minut. Podajemy z ziemniakami lub kaszą.

10 Wojewoda siedmiogrodzki János Hunyady (1387–1456) był węgierskim wodzem, który wyróżnił się w bitwach z Turkami, którzy nazywali go „Przeklętym Jankiem”. 22 lipca 1456 roku sprawił im tęgie lanie pod Belgradem. Na polu bitwy zostało 50 tys. ciał Turków, a dalsze 25 tys. zginęło z rąk bałkańskich chłopów. To świetne zwycięstwo, które odepchnęło Turków od granic Węgier, zostało jednak okupione dotkliwymi stratami. Jedną z nich była śmierć Jánosa Hunyadyego, który zmarł na tyfus.

11 Język węgierski nie należy do rodziny indoeuropejskiej, wywodzącej się z sanskrytu, lecz do grupy ugrofińskiej, pochodzącej zza Uralu. Pokrewnymi węgierskiemu są w Europie fiński i estoński, a także języki niektórych narodowości zamieszkujących tereny obecnej Rosji (Komi, Maryjczyków, Chantów czy Mansów). Przede wszystkim należy pamiętać, że w języku węgierskim „sz” czytamy zawsze jako „s”, „s” zaś

jako „sz”. Nieprzestrzeganie tej reguły grozi wpadką, której doświadczają często zagraniczni turyści podróżujący do miasta Szeged. Wymawiając nazwę tego uroczego miejsca dosłownie jako Szeged, nie zaś „Seged”, artykułują w rzeczywistości wulgarną nazwę tylnej części człowieczego ciała. *Seged* po węgiersku (czytaj szeged), znaczy dokładnie: dupa.

12 W trakcie wojny z Imperium Osmańskim, dowodzeni przez księcia Eugeniusza von Savoyen (Sabaudzkiego) Austriacy udzielili pomocy Węgrom i pobili Turków pod Zentą 11 września 1697 roku, co doprowadziło do zawarcia pokoju w Passaarowitz 21 lipca 1718 roku.

Rozdział 7

W Ardenach

Nad Londynem z wolna zapadał zmrok. Zachodzące słońce rzucało ostatnie czerwonawe płomienie. Wysoko na niebie unosiły się dziesiątki wielkich srebrzystych balonów, mających za zadanie uniemożliwić atak niemieckim samolotom. Sklepy i budynki publiczne otaczały sterty worków z piaskiem, w parkach budowano nowe schrony przeciwlotnicze, zaś wszyscy przechodnie mieli przy sobie maski przeciwgazowe. Worki z piaskiem leżały dosłownie wszędzie: w bramach domów, w oknach, na wystawach sklepowych, na barykadach, na rogach ulic. Worki z piaskiem stały się symbolem. Po drugiej stronie kanału Adolf Hitler poprzysiągł, że zniszczy Anglię. Anglicy skrycie wierzyli w tę groźbę i równie skrycie zbroili się w oczekiwaniu na jej spełnienie.

Wokół rozciągała się wojenna Anglia – wciąż ta sama, ale jakby nieco odmieniona: trochę zszargana i trochę zmaltretowana, niczym popadająca w ruinę dostatnia posiadłość albo dobrze urodzona dama, na którą przyszły ciężkie czasy.

Ludziom towarzyszyła świadomość, że w każdej chwili mogą zginąć, co sprawiało, iż rezygnowali z tradycyjnej rezerwy i rozmawiali przyjaźnie nawet z nieznajomymi. Wszyscy naokoło mówili tylko o wojnie. Dzieci były podniecone jej perspektywą, mężczyźni z mądrymi minami rozmawiali przyciszonymi głosami o czołgach i artylerii, kobiety wyglądały na mocno zaniepokojone.

Po zmroku obowiązywało tu całkowite zaciemnienie w celu utrudnienia orientacji nieprzyjacielskim lotnikom, gdyby ci chcieli zbombardować miasto. Szyby zostały wzmocnione naklejonymi na krzyż paskami taśmy samoprzylepnej, by w razie wybuchu ostre odłamki nie poraniły przechodzących ulicą ludzi. Najmniejsze światło nie przedostawało się z przepisowo zaciemnionych okien.

Podczas II wojny światowej Londyn stał się właściwie miastem frontowym. Od 24 sierpnia 1940 roku do 27 marca 1945 roku stanowił cel ataków powietrznych III Rzeszy. Wyspiarskość Anglii przestała być ochroną przed nieprzyjacielem[1]. Pierwszy atak Luftwaffe na Londyn nastąpił 24 sierpnia 1940 roku. Kościół św. Egidiusza przy Cripplegate wpisano tego dnia na długą listę blisko stu tysięcy całkowicie zniszczonych budynków.

14 września 1940 roku częściowo zniszczony został pałac Buckingham. W tym samym miesiącu Luftwaffe zamieniła w gruzy bądź poważnie uszkodziła kościół św. Klemensa od Duńczyków, pałac Lambeth, szpital Guy'a i Galerię Tate. Szczególnie pamiętna była noc z 29 na 30 grudnia tego roku, kiedy wskutek nalotów hitlerowskich lotników wybuchło w City sześćdziesiąt dużych pożarów. Jedynie katedra św. Pawła stała nienaruszona wśród morza dymów i płomieni. W przylegającej do niej uliczce księgarzy i antykwariuszy – Paternoster Row – spłonęły tej nocy blisko cztery miliony książek. Podobny wielki nalot miał miejsce 19 kwietnia 1941 roku, kiedy na miasto spadło 1026 ton bomb burzących i 4253 ładunki zapalające.

Podczas wojennej próby Londyn okazał się jednak miastem dojrzałym. Zniknęła dawna podatność na plotki i panikę. W momencie śmiertelnego zagrożenia, gdy od czerwca 1940 roku do czerwca roku 1941 Anglia była jedynym walczącym z III Rzeszą niepodbitym państwem europejskim, londyńczycy spełniali swój obowiązek, tak jak przed laty marynarze admirała Horatio Nelsona pod Trafalgarem.

W mieście pozostała większość mieszkańców, a wraz z nimi król Jerzy VI i premier Winston Churchill. Przed nalotami londyńczycy kryli się

w schronach, z których najlepiej sprawdzały się stacje kolejki podziemnej oraz budowane jeszcze w okresie wiktoriańskim tunele komunikacyjne pod Tamizą. W największym z tych schronów, który znajdował się w Southwark, w tunelu łączącym City z Londynem Południowym, nocowało nieraz do dziesięciu tysięcy osób.

Po wyjściu ze schronu angielskie gospodynie przygotowywały *cup of tea* dla sąsiadów, których domostwa zostały zniszczone w czasie ostatniego nalotu. Rzucone przez Churchilla hasło: *Business as usual* (pracujemy normalnie), pojawiało się niemal natychmiast w witrynach na wpół zniszczonych sklepów. Wprowadzono również wojenne racjonowanie żywności. Dla wielu ubogich mieszkańców miasta oznaczało to znaczną poprawę odżywiania, dzięki zapewnieniu jednakowych dla wszystkich przydziałów kartkowych. Czarny rynek żywnościowy w wojennym Londynie miał znacznie mniejsze rozmiary niż w jakiejkolwiek innej stolicy europejskiej.

Ubrania przechodniów były podniszczone, ale twarze ciągle uśmiechnięte. Nawet tu, w Chelsea, z dala od centrum, roiło się od żołnierzy: Polaków, Wolnych Francuzów, Amerykanów, Kanadyjczyków i Anglików. Cała stolica sprawiała wrażenie obozu wojskowego. Co najmniej połowa kobiet nosiła mundury polowe w różnych kolorach.

*

W niemieckich laboratoriach naukowych, w ściśle strzeżonych, tajnych stacjach doświadczalnych rodziły się plany tajemniczych nowych broni, powstawały projekty, które wprowadzone w życie miały odmienić niekorzystny dla hitlerowców przebieg wydarzeń. Niemiecka nauka i niemiecka technika – obie bez wątpienia postawione na bardzo wysokim poziomie – koncentrowały się na rozwoju udoskonalonych środków zagłady, na przygotowaniu sprzętu wojennego, który mógłby wyrównać przewagę przeciwników, powstrzymać i odwrócić nadciągającą nieuchronnie klęskę.

W roku 1944 w Niemczech bardzo posunęły się naprzód doświadczenia z bronią jądrową, zbudowano prototypy samolotów o napędzie odrzutowym i rakietowym, jakie dopiero dużo później zastosowano w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. W roku 1944 pojawił się również nowy gatunek broni odwetowej, seria „Vergeltungswaffen”, a szczególnie jej pierwsze odmiany: V-1 i V-2.

I tak oto wieczorem 13 czerwca zapóźnieni przechodnie w stolicy Anglii stali się świadkami niezwykłego wydarzenia… Dawno już zapadła ciemność, dawno słońce zaszło za horyzontem, dawno wylądowały „Latające Fortece”, a wystartowały „Lancastery”, „Halifaxy” i „Stirlingi”. Dawno poszły nad Niemcy kąśliwe „Mosquito”. Było cicho i spokojnie, o ile cisza i spokój w ogóle są możliwe w dziesięciomilionowym mieście. Nagle, niespodziewanie, powietrze rozdarło przeraźliwe wycie syren alarmowych. Nalot! Londyńczycy nie mogli uwierzyć.

– O tej porze? Teraz, przy końcu wojny?…

– To chyba jakaś pomyłka!…

Niestety, nie była to pomyłka. Wyostrzony słuch wyłowił wkrótce oddalone jeszcze dźwięki: szum silników. Dziwny, niezwykły szum…

Biegający w ciemnościach ludzie potrącali się wzajemnie, klnąc i psiocząc. Spieszyli się do swych domów lub do schronów, niespokojnie spoglądając w górę. Ponad dachami domów, ponad koronami drzew i fabrycznymi kominami położyły się jaskrawe smugi reflektorów przeciwlotniczych. W pewnym momencie zbiegły się i nałożyły na siebie na ciemnym jakimś kształcie, szybko posuwającym się do przodu. Przybliżał się z zatrważającą szybkością Dookoła lecącego przedmiotu, za którym ciągnęła się długa, ognista struga, niczym ogon spadającej komety, rozbłysły wybuchy artyleryjskich pocisków. Smuga zgasła, nastąpił moment ciszy, a potem powietrzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Daleko, gdzieś w okolicach West Endu pojawiła się łuna pożaru.

– Do schronu, do schronu! – wrzeszczał jakiś oficer w mundurze RAF.

Ktoś nerwowo zapalił papierosa.

– *Put that light out!* (Zgaś to światło!) – rozległy się wokół przerażone okrzyki.

– *Go to hell!* (Idźcie do piekła!) – rzucił z wściekłością palacz.

Ale oto na ciemnym niebie pojawiły się dwie kolejne strugi, a w pewnej odległości za nimi – trzecia. Świeciły piekielnym ogniem i rechotały silnikami, niosąc w swych wrzecionowatych kadłubach zagładę i zniszczenie. Wściekle zadudniła artyleria, zawtórowały jej szybkostrzelne działa średniego kalibru. Nowy huk i nowa eksplozja. Przerażony amator tytoniu rzucił na ziemię papieros, biegnąc co sił w nogach w kierunku najbliższego schronu. Ktoś podniósł niedopałek, zgasił o podeszwę buta i starannie schował do kieszeni. Dziwne bomby rozrywały się pomiędzy ulicami w gęsto zabudowanych dzielnicach, rwały dachy domów, demolowały mury, zabijały ludzi…

Schron był pełen przerażonych ludzi. Jego filary pokryte były szarą farbą olejną, w której odbijało się blade światło żarówki umieszczonej wysoko na suficie i przesłoniętej drucianym kloszem ochronnym. Na twarzach obecnych malowało się zdumienie, strach i niepewność. Ludzie, którzy przeżyli już niejeden nieprzyjacielski nalot, nie pojmowali nowej sytuacji. Co to było do cholery?!

Na widok lotniczego munduru kilku mężczyzn podeszło bliżej do oficera Królewskich Sił Powietrznych.

– *Excuse me, sir, what's going on?* (Przepraszam pana, co się dzieje?).

Betonowe ściany schronu zadrżały od kolejnego wybuchu. Do wnętrza wdarł się przygłuszony odgłos.

– Proszę się nie niepokoić – uśmiechnął się blado oficer. – Nie ma powodów do paniki.

– Jak to, nie ma? Widział pan to… to coś? To nie był zwykły nalot.

– Hm, rzeczywiście trochę odmienny – przyznał żołnierz. Hitler wypuścił na nas nową broń.

– Co takiego?

– Jak to?

– *Hitler's secret weapon?* (Tajna broń Hitlera?). *Oh My God!* (Mój Boże!).

– I co teraz będzie?!

– Czy to… bardzo groźne?

– Mamusiu, ja chcę do łóżka!

Oficer RAF podszedł do dziewczynki z czerwoną wstążką we włosach, gładząc ją po jasnej główce.

– Niedługo pójdziesz spać – zapewnił łagodnie. – Cóż, proszę państwa – zwrócił się do reszty – nie wolno mi wiele mówić, rozumiecie, tajemnica wojskowa. Powiem tylko, że przeżywamy właśnie pierwszy nalot V-1. Są to pociski bezpilotowe, rodzaj latających bomb wyrzucanych przez wroga u wybrzeży francuskich i belgijskich. My w lotnictwie nazywamy je „Whitchcraft" (czarownicami). Więcej przeczytacie z pewnością w porannych gazetach.

– O ile się ich doczekamy – jęknął w kącie jakiś pesymista.

Zapadła chwila ciszy, a potem do schronu wsunęła się postać w płaskim metalowym hełmie.

– Koniec alarmu – padła wesoła nowina.

Ludzie wysypali się na zewnątrz, mężczyźni zapalili papierosy lub fajki, kobiety tuliły do piersi rozespane dzieci. Z dala dochodził jednostajny głos syren oznajmiających *All clear* – (Czysto, czyli koniec ataku).

*

Prace nad bronią, którą nazwano później Fieseler Fi-103 (V-1), prowadzone były już pod koniec lat trzydziestych pod kierownictwem Fritza Gosslaua. Posuwały się szybko naprzód, pod ogromnym naciskiem sponsora, czyli Ministerstwa Lotnictwa. Prób startu dokonywano w wielu wariantach, również przy użyciu samolotu, a jedna z koncepcji zakładała kierowanie V-1 przez pilota (wersja Reichenberg). Najlepszym rozwiązaniem okazał się jednak start ze specjalnej wyrzutni-katapulty.

V-1 były ośmiometrowej długości pociskami z napędem rakietowym, wyładowanymi ośmiuset pięćdziesięcioma kilogramami materiału wybuchowego o wielkiej sile rażenia. Z tyłu znajdowały się zbiorniki paliwa oraz wiele przyrządów utrzymujących bombę w locie. W ogonie umieszczono również silnik. Kierunek lotu regulowano przed wystrzeleniem.

Pocisk leciał z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę, w zależności więc od lokalizacji wyrzutni i innych czynników czas dotarcia do Londynu wynosił 20–25 minut. Zasięg dochodził do 240 kilometrów, pułap do 3000 metrów. Podczas lotu działał cały system żyroskopów, utrzymujących kierunek i wysokość. Odległość lotu regulowana była mechanizmem zegarowym, który po określonym czasie odcinał dopływ paliwa i w ten sposób zatrzymywał pracę silnika. Zapalniki były bardzo czułe i powodowały wybuch z chwilą uderzenia w jakikolwiek obiekt.

Rzeczą nader charakterystyczną był moment ciszy, pozornego spokoju pomiędzy zamilknięciem silnika bomby a jej wybuchem. Gdy silnik przestawał pracować, bomba spadała na dół. Gdy zaś przelatywała, nawet nisko nad głową patrzącego, a silnik wciąż pracował, nie było powodu do obaw.

Z racji stosunkowo małej celności broń ta nadawała się do ostrzeliwania stosunkowo rozległych terenów. W niszczeniu budynków pociski V-1 były o wiele skuteczniejsze niż zwykłe bomby lotnicze o podobnej masie. Ogółem do końca 1944 roku wystrzelono 6046 pocisków V-1, z której to liczby 1681 rozbiło się niebawem po starcie.

Po wybuchu wojny produkcję pocisków V-1 rozrzucono po całych Niemczech oraz terenach okupowanych, co spowodowane było potężnym nalotem lotnictwa RAF na ośrodek Peenemünde, w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 roku. W 1943 roku na północnym wybrzeżu Francji Niemcy wybudowali wyrzutnie pocisków V-1 oraz zespoły schronów służących do magazynowania pocisków. Pierwsze bombardowanie nimi przeprowadzono właśnie w nocy z 13 na 14 czerwca 1944 roku. Z dobrze

zamaskowanych wyrzutni odpalono dziesięć pocisków w kierunku Londynu, z czego na szczęście tylko cztery dotarły do Wysp Brytyjskich.

Kolejny atak rozpoczął się 15 czerwca krótko przed północą. Z pięćdziesięciu pięciu wyrzutni wystrzelono do południa dnia następnego około stu pocisków. Niemcy wiązali ze swoją „wunderwaffe” (cudowną bronią) ogromne nadzieje. Swoje ataki rozpoczęli jednak za późno – gdyby pocisków V-1 użyli do bombardowania skoncentrowanych przed desantem barek i okrętów w brytyjskich portach przed 6 czerwca, mogliby osiągnąć większy efekt psychologiczny i być może wpłynąć na decyzję o inwazji…

6 września 1944 roku Niemcy po raz pierwszy wystrzelili V-2[2]. W głowicy tej dwunastometrowej rakiety mieściła się tona silnego materiału wybuchowego. Wystrzeliwano ją pionowo w górę – w ciągu minuty osiągała wysokość stu kilometrów, po czym, lecąc wielokrotnie szybciej od dźwięku, zmieniała tor lotu, by pod ostrym kątem uderzyć w wyznaczony na ziemi cel. Także i ta „cudowna broń” nie przyniosła spodziewanych efektów. W czasie gdy jej użyto, wynik wojny był już właściwie przesądzony.

*

Latem 1944 roku w Peenemünde pojawił się Otto Skorzeny. W położonej nad brzegami jeziora Wannsee miejscowości rozważał możliwość umieszczenia w V-1 pilota na wyrzucanym fotelu i ze spadochronem. Przychylnie usposobiony do projektu feldmarszałek Erhard Milch, sekretarz stanu w Ministerstwie Lotnictwa, dał mu zielone światło na jego realizację pod warunkiem, że nie sprzeciwi się temu ministerialna komisja. Ta jednak, przynajmniej początkowo, właśnie się sprzeciwiała.

– Skąd weźmie pan robotników, mistrzów i inżynierów do budowy nowego prototypu? – pytał przewodniczący, szacowny admirał z rozwianą siwą brodą. – Przecież brakuje nam siły roboczej!

– Niedaleko Friedenthalu jest fabryka Heinkla, która nie wykorzystuje całej swojej mocy produkcyjnej – odpowiedział Skorzeny. – Sam profesor

Ernst Heinkel zaoferował mi wcześniej trzech inżynierów i piętnastu techników.

– No dobrze – odrzekł po namyśle admirał. – Ale przecież może pan pracować tylko z elementami już istniejących V-1. Czy pan nie wie, że mamy ich za mało?

„Wszystkiego mamy za mało” – pomyślał w duchu Otto, lecz oczywiście nie wyrzekł tego na głos. Zamiast tego oświadczył:

– Mój przyjaciel, profesor Ferdinand Porsche, mówił mi co innego[3]. Właśnie niedawno dziwił się bardzo, że w jego zakładach znajduje się kilkaset całkowicie wykończonych V-1, których nikt nie odbiera. Mogę panów zapewnić, że z chęcią odda mi ich co najmniej tuzin.

– No dobrze – przesądził admirał.

Niebawem Skorzeny miał do swojej dyspozycji dwa małe warsztaty u Heinkla. Kazał wstawić do nich stoły oraz łóżka i wszyscy – inżynierowie, majstrzy oraz robotnicy – ruszyli do wytężonej pracy, czasem po czternaście godzin na dobę, nad realizacją tego, co nazwali operacją „Reichenberg”.

Kiedy ponownie spotkał się z Erhardem Milchem, feldmarszałek powitał go z szerokim uśmiechem na swej buldogowatej twarzy. Miał wyraźnie zarysowany brzuszek i – mimo że dopiero niedawno przekroczył pięćdziesiątkę – mocno łysiał, co niewątpliwie bardzo go postarzało.

– No cóż, Skorzeny, mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

– Oczywiście – zgodził się Otto. – Choć straciliśmy dwa lub trzy tygodnie.

– Trzy tygodnie w przypadku takiego projektu nic nie znaczą. Pilotowane V-1! Jeżeli pokaże mi pan prototyp za cztery lub pięć miesięcy, będzie pan miał prawo do moich gratulacji.

– *Herr Feldmarschall*, mam nadzieję, że pokażę go panu za cztery lub pięć tygodni!

Milch spojrzał groźnie na wysokiego esesmana, sądząc, że ten stroi sobie z niego żarty. Po chwili doszedł jednak chyba do wniosku, że tak nie jest, chrząknął bowiem znacząco i powiedział:

– Myślę, mój drogi, że ma pan za dużo złudzeń. Ale to dobrze. Byle nie za dużo. Pomówimy o pańskiej maszynie za cztery lub pięć miesięcy.

– Tak jest!

– No to niech pan rusza do pracy. Powodzenia!

Kiedy tylko pozwalały mu na to inne obowiązki, Otto spędzał w warsztacie Heinkla po kilka godzin dziennie, nadzorując robotę. Po piętnastu dniach zameldował się u feldmarszałka, oznajmiając, że trzy V-1 są gotowe do lotu. Zaskoczony Milch dał mu zezwolenie na wykonanie próbnych lotów na lotnisku Gatow.

Wyznaczono dwóch pilotów doświadczalnych. Zamiast odpalić V-1 z wyrzutni, dwie z nich zrzucono z Heinkla 111 na wysokości dwóch tysięcy metrów. Obydwie rozbiły się przy lądowaniu. Piloci odnieśli obrażenia.

Tym razem Milch rozmawiał ze Skorzenym dość „sucho” i po oświadczeniu o powołaniu komisji do zbadania przyczyn obu wypadków zakazał mu na razie dalszych prób.

*

Otto zamierzał już się poddać, kiedy otrzymał niespodziewane zaproszenie od słynnej pilotki, Hanny Reitsch, oblatywaczki i rekordzistki lotniczej, pierwszej kobiety-kapitana lotnictwa wojskowego, jednej z dwóch kobiet w historii Niemiec odznaczonych Krzyżem Żelaznym I Klasy. Hanna Reitsch była również inicjatorką powstania oddziału niemieckich pilotów-samobójców, wzorujących się na japońskich kamikadze. Propozycja ta, przedstawiona Hitlerowi w Obersalzbergu w lutym 1944 roku po uroczystości wręczenia Krzyża Żelaznego, nie znalazła jednak jego uznania. Z ciężkiego wypadku podczas oblatywania prototypu myśliwca odrzutowego Me 163, w którym połamała sobie kości (podczas startu nie odczepił się od samolotu wózek z kołami podwozia), wygrzebała się tylko dzięki żelaznej sile woli.

– Też uważam, że V-1 można by pilotować – oświadczyła zdecydowanie, parząc kawę, kiedy Skorzeny odwiedził ją w Domu Weteranów Luftwaffe pod Berlinem, gdzie aktualnie mieszkała. Otrzymałam jednak formalny zakaz podejmowania jakichkolwiek działań w tej materii.

– To tak jak ja – mruknął Otto. – Przyczynę wypadków bada właśnie specjalna komisja. Może jak coś w końcu ustalą, otrzymam pozwolenie na dalsze próby. Ale to raczej wątpliwe.

– Przyczynę wypadków – parsknęła pani kapitan. – Tutaj nie potrzeba ustalać żadnej przyczyny, bo ona jest jasna jak słońce.

– Mianowicie?

– Obaj lotnicy prowadzili dotychczas wyłącznie maszyny śmigłowe. Natomiast prototyp, lżejszy niż seryjna V-1, osiągał prędkość siedmiuset kilometrów na godzinę, a przy lądowaniu – sto osiemdziesiąt kilometrów.

– I czego to dowodzi? – Skorzeny nie wydawał się do końca przekonany.

– Piloci po prostu nie sprostali zadaniu. Ot, i tyle. Doszłam już do siebie i mam zamiar ponowić próbę. Podobnie zresztą jak dwaj moi koledzy, którzy już pilotowali samoloty odrzutowe.

– No tak, tylko że to wbrew rozkazowi.

Hanna Reitsch wstała gwałtownie ze swego krzesła i stanęła tuż obok Skorzenego. Zadzierając w górę głowę, popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

– Myślałam, że jest pan odważniejszy.

Drobna, niska – mierząca zaledwie sto pięćdziesiąt cztery centymetry wzrostu – blondynka wyglądała doprawdy zabawnie przy prawie dwumetrowym esesmanie, zarzucając mu brak odwagi. Ale Skorzenemu wcale nie było do śmiechu. Wydawało mu się, że w spojrzeniu lotniczki dostrzega żal, że nie pracuje w obozie koncentracyjnym, w którym on byłby więźniem.

„Chyba przesadzam” – skarcił sam siebie i odrzekł:

– Zgodnie z wydanymi rozkazami nie otrzymamy już w Gatow Heinkla 111 do naszej dyspozycji.

– I co z tego? – wzruszyła ramionami kobieta. – Jeśli tylko się chce, zawsze można latać. Moi koledzy odwiedzili już pański warsztat i zbadali pańskie pierwsze V-1. Jesteśmy pewni, że mamy rację. To są wspaniałe samoloty. Porozmawiamy o tym jutro.

„Muszę przyznać, że spędziłem bezsenną noc – wspominał Skorzeny. – Trzeci wypadek był prawdopodobny. Czy miałem prawo angażować w awanturę wspaniałą kobietę-ptaka, o której marzyło wielu młodych Niemców? Nazajutrz Hanna i jej koledzy przekonali mnie do wprowadzenia w błąd komendanta lotniska. Z obojętną miną wytłumaczyłem mu, że nadeszło pozwolenie na kontynuowanie operacji «Reichenberg», po czym poprosiłem go o «światłą radę» w kilku sprawach. Równocześnie rozkazałem dwóm oficerom nie opuszczać komendanta na krok, odprowadzić go do kasyna i zadbać, by pod żadnym pozorem nie zatelefonował do sztabu feldmarszałka Milcha.

Skłamałbym, mówiąc, że nie miałem ściśniętego serca, kiedy zobaczyłem, że Heinkel zrzuca V-1 pilotowaną przez Hannę. Bez wahania podjęła wielkie ryzyko, wiedząc, że dotknie ziemi z prędkością 180 km/h. Nie wiem dlaczego, ale byłem pewien, że jej się uda. I udało się. Wylądowała «jak motyl» i ponowiła próbę. Gratulowałem jej serdecznie.

Odpowiedziała mi: Co za wspaniały samolot. Dzięki niemu dokonamy wielkich rzeczy. Zobaczy pan.

Obaj koledzy Hanny Reitsch również polecieli i wylądowali bez trudności. Jednakże w przyszłości nie mieliśmy przeżywać wojennych sukcesów.

Kiedy nadeszła wieść o wyczynie Hanny i jej dwóch kolegów, otrzymaliśmy pozwolenie na budowę pięciu prototypów, na których mogło trenować trzydziestu wybranych pilotów. Spośród wielu setek kandydatów wyselekcjonowaliśmy we Friedenthalu jeszcze sześćdziesięciu ochotników z Luftwaffe. Nareszcie można było przeprowadzać najbardziej śmiałe przedsięwzięcia! Niestety, z zamówionych przeze mnie na początku lata 1944 roku pięciuset metrów sześciennych benzyny lotniczej tylko część dostarczono”.

Na tym etapie wojny, głównie wskutek przeprowadzanych systematycznie przez alianckie lotnictwo nalotów dywanowych, niemiecki przemysł nie był już w stanie wyprodukować takiej ilości paliwa, żeby starczyło dla wszystkich. Gospodarka Niemiec dostawała coraz cięższej zadyszki. Szczególnie dotkliwe było odcięcie nazistów od źródeł zaopatrzenia w ropę. Nie znaczyło to jednak wcale, że gospodarka miała się załamać. Kierowana żelazną ręką Alberta Speera, pracowała jeszcze pełną parą, a jej wyniki produkcyjne, pomimo bombardowań i wciąż powiększającego się deficytu siły roboczej, były wciąż imponujące. Między samym tylko wrześniem a listopadem 1944 roku niemieckie fabryki wyprodukowały łącznie 1764 pojazdy pancerne, z których jednak tylko 1371 dotarło do jednostek liniowych. Pozostałe padły w drodze na front ofiarą alianckich nalotów. Produkcja przemysłu zbrojeniowego w 1944 roku pobiła więc wprawdzie wszystkie dotychczasowe rekordy, jednakże nic nie mogło wyrównać ogromnych strat na frontach ani sprostać kolosalnej przewadze materiałowej Związku Sowieckiego i zachodnich aliantów.

„Gdybyśmy mieli go sześć lub osiem miesięcy wcześniej…” – powiedziała z wielkim smutkiem Hanna Reitsch do Otto Skorzenego, kiedy już po wojnie spotkali się pewnego dnia we Frankfurcie nad Menem.

*

20 października Skorzeny powrócił z Budapesztu do Berlina. Następnego dnia otrzymał rozkaz natychmiastowego stawienia się u Führera. To były ostatnie dni, które Hitler spędzał w Kętrzynie. W listopadzie 1944 roku, kiedy jego rezydencji zagroziła sowiecka ofensywa w Prusach Wschodnich, ostatecznie opuścił „Wilczy Szaniec”, rozkazując go jednocześnie zniszczyć. Ale niemieckim inżynierom zabrakło materiałów wybuchowych, by dokończyć dzieła. Pozostałości „Wolfschantze” są obecnie atrakcją turystyczną na polskich Mazurach.

– Dobra robota, Skorzeny – pochwalił go Hitler. Sprawiał wrażenie zadowolonego, choć drżenie ręki i przekrwione oczy wskazywały, że nie czuje się zbyt dobrze. – Od tej chwili awansuję pana do stopnia Obersturmbannführera [podpułkownika] i nadaję panu Niemiecki Złoty Krzyż.

– *Danke, Mein Führer* – ucieszył się Otto.

– Niech pan mi nie dziękuje – kontynuował Hitler. – Dobrze pan sobie na to zasłużył. Nie mam wątpliwości, że odznaczenia należą się również pańskim żołnierzom. Proszę się w tej sprawie porozumieć z moim adiutantem, Sturmbannführerem Otto Günschem. Otrzymał już ode mnie stosowne pełnomocnictwa.

Wziął Skorzenego pod ramię i poprowadził w róg pokoju, sadzając w miękkim fotelu stojącym przy niewielkim, okrągłym stoliku. Sam zajął miejsce obok.

– A teraz proszę mi powiedzieć, jak przebiegała cała akcja.

Otto opowiedział pokrótce, jak wspólnie z agentami SD uprowadzili syna regenta Horthyego i o szturmie na Zamek Królewski, przerywając jedynie na chwilę, by przeczekać wybuch śmiechu wodza, wywołany opisem zawijania protestującego „Nicky'ego" w dywan. Poza tym krótkim momentem Führer słuchał w skupieniu, uśmiechając się pod wąsem.

– Proszę, aby pozostał pan tutaj jeszcze jakiś czas – stwierdził na koniec. – Mam dla pana kolejne zadanie. Najważniejsze, jakie otrzymał pan w całym dotychczasowym życiu. Chodzi o planowaną w największej tajemnicy kontrofensywę w Ardenach. Aliancka propaganda uważa nas już za „cuchnącego trupa", nie chcąc dostrzec, że to Niemcy walczą i krwawią za Europę, blokując Azjatom drogę na Zachód. Ale czeka ich przykra niespodzianka. Anglia i Ameryka są już jednak wyraźnie zmęczone wojną. Jeżeli ten trup powstanie nagle i zada im potężne uderzenie, zmusi ich to niewątpliwie do zawarcia pokoju z Niemcami. Wtedy będziemy mogli skoncentrować wszystkie siły na Wschodzie i w krótkim czasie odsuniemy niebezpieczeństwo, które stamtąd nadciąga.

– Tak jest – skinął głową Skorzeny. – Przeznaczeniem Niemiec jest być twierdzą przeciwko Azji.

– Brytyjczycy i Amerykanie rozciągnęli nadmiernie swoje siły. Na froncie o długości siedmiuset kilometrów mają zaledwie siedemdziesiąt dywizji pozbawionych odpowiedniego zaopatrzenia. Już teraz skrobią dno beczki z zapasami. Wykorzystamy tę sytuację. Uderzymy w zaplecze potężnej armii alianckiej, co wstrzyma planowane przez nią uderzenie na Ren. Następne natarcie, w Ardenach, przez słabo bronione tereny, doprowadzi nas do Mozy. Stamtąd nasze czołgi wbiją się klinem pomiędzy Amerykanów a Anglików i zajmą Antwerpię, główny port zaopatrzeniowy dla wojsk na kontynencie.

– A jaka w tym ma być moja rola?

– Pańskim zadaniem będzie opanowanie kilku mostów na Mozie, położonych między Liège a Namur. Pańscy ludzie przenikną przez linie przeciwnika przebrani w amerykańskie mundury. Dowiedziałem się, że wróg zastosował taki sam manewr pod Aachen. Ponadto kilka pańskich oddziałów, przebranych w mundury przeciwnika, w miarę możliwości będzie go wprowadzać w błąd, powodując zamieszanie w sztabach. Wiem, że pozostało panu bardzo niewiele czasu na przygotowanie operacji, jestem jednak przekonany, że zrobi pan, co w pańskiej mocy. Wszystkie szczegóły uzgodni pan z generałem Jodlem.

– Nie zawiodę pana, *Mein Führer* – zapewnił gorąco Skorzeny.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Proszę pamiętać, że to ścisła tajemnica, tylko kilku ludzi zna ten plan. Swoim żołnierzom powie pan, że spodziewamy się zmasowanego ataku wroga między Kolonią a Bonn, oni zaś mają powstrzymać ten atak. I jeszcze jedno. Nie chcę, aby osobiście przekraczał pan linię frontu. Gdyby został pan przypadkiem ranny lub nie daj Boże dostał się do niewoli, byłaby to dla nas klęska.

W ten sposób rozpoczęła się operacja „Greif” (Gryf), której nazwa pochodziła od znanego z mitologii greckiej skrzydlatego lwa z głową i szponami orła.

*

Ledwie Skorzeny zabrał się do formowania swoich specjalnych oddziałów – 150. Brygady Pancernej, otrzymał okólnik, na którego podstawie doszedł do wniosku, że „ściśle tajna” operacja „Greif” nie jest już wcale tajna. Okólnik ów, OKW/WFSt/Op (HH) West Ia no 0012759/44, został podpisany przez feldmarszałka Keitla i głosił, co następuje:

„Ściśle tajne. Tylko do dowódców armii i dywizji. Do udziału w misji specjalnej poszukiwani są oficerowie i żołnierze mówiący po angielsku. Wybrani ochotnicy mają dołączyć do jednostek pod dowództwem Obersturmbannführera Skorzenego. Zgłoszenia żołnierzy należy kierować do kwatery głównej we Friedenthal”.

Rozkaz został następnie powielony przez sztaby dywizji i rozesłany do pułków, batalionów i kompanii. „Wywiad USA miał go w rękach osiem dni po wydaniu – wspomina Skorzeny. – Amerykanie nie wyciągnęli z niego początkowo należytych wniosków, ale rozkaz OKW zaalarmował ich później. Jeżeli chodzi o mnie, omal nie udusiłem się ze złości. Podobny idiotyzm wydał mi się początkowo niemożliwy. Pomyślałem o jawnym sabotażu. Dziś myślę, że to była głupota, gorsza czasem od zdrady”.

Trzęsąc się z wściekłości, Otto zameldował się u przedstawiciela Himmlera przy Hitlerze, Gruppenführera Hermanna Fegeleina. „Był to lew salonowy, którego próżność graniczyła ze śmiesznością – opisał go później. – Niebawem poślubił jedną z sióstr Ewy Braun. W nocy 26 na 27 kwietnia 1945 roku zbiegł z posterunku i został zatrzymany na przedmieściu Berlina podczas próby ucieczki w cywilnym ubraniu, z walizką wypełnioną dużą sumą zagranicznych dewiz. Dwa dni później rozstrzelano go na jednym z dziedzińców Kancelarii Rzeszy”.

– Operacja powinna zostać natychmiast odwołana – zażądał Skorzeny.

– Ależ mój drogi, niech pan nie przesadza – uśmiechnął się pobłażliwie przyszły szwagier Hitlera.

– Chciałbym wobec tego, żeby Adolf Hitler dowiedział się, dlaczego tak się stało.

– Co też pan opowiada – padła odpowiedź. – Führer w żadnym wypadku nie powinien się dowiedzieć o tym przykrym incydencie.

Skorzeny udał się do generała-pułkownika Jodla, lecz ten powiedział mu, że działania trzeba kontynuować. Podobną opinię wyraził Himmler, który właśnie chciał bombardować Nowy Jork pociskami V-1.

Wyznaczone Skorzenemu zadanie napotkało wiele rozmaitych trudności. W przeciągu pięciu – maksymalnie sześciu tygodni musiał zebrać trzy tysiące ludzi, przeprowadzić ich szkolenie oraz wyposażyć swoją brygadę w aliancki ekwipunek. Zaczęło się od wyselekcjonowania odpowiednich kandydatów, którzy z założenia mieli mówić po angielsku, a właściwie po amerykańsku, bo takie wojsko mieli przecież udawać.

Sześciuset ochotników przeegzaminowali specjaliści. Dziesięciu z nich mówiło biegle, czterdziestu „dość dobrze”, stu pięćdziesięciu „jako tako”, reszta umiała tylko powiedzieć: *yes*, *no* lub *fuck you*. Utworzenie „anglojęzycznej brygady” nie było w tych warunkach możliwe. Ustalono, że brygada wystąpi w amerykańskich mundurach jedynie w przypadku całkowitego odwrotu nieprzyjaciela. Pozwoliło to Skorzenemu zachować najlepiej mówiących po angielsku dla kompanii do zadań specjalnych, która w małych grupkach miała działać na tyłach wroga.

Było oczywiste, z czego zdawał sobie również sprawę Skorzeny, co oznacza z punktu widzenia prawa międzynarodowego posyłanie ubranych w mundury wroga ludzi na tyły przeciwnika. W wypadku dostania się do niewoli oznaczało to ni mniej, ni więcej tylko wyrok śmierci przed sądem polowym.

W celu wykonania pierwszego zadania, to znaczy opanowania mostów na Mozie, Otto zażądał w OKW utworzenia dodatkowych jednostek, które wraz z jego dwoma batalionami Jagdverbände i resztą z sześciuset ochotników dałyby mu razem około dwóch tysięcy żołnierzy.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja w zakresie wyposażenia. W celu zbudowania nowego konia trojańskiego, nazwanego tym razem „Greif”, Naczelne Dowództwo obiecało Skorzenemu dwadzieścia amerykańskich czołgów typu „Sherman”. Dostał dwa, z tego tylko jeden

zdatny do użytku. Zamaskowali więc dość prymitywnie dwanaście „Panter”, którymi dysponowali. Z bardzo daleka i o zmroku mogłyby ewentualnie nabrać jakichś młodych rekrutów wroga, w dodatku krótkowidzów.

Przysłano płaszcze wojskowe, ale trzeba je było odesłać, ponieważ okazały się brytyjskie. Dostarczono sześć pojazdów opancerzonych. One także były brytyjskie, ale zanim Skorzeny zdążył zaprotestować, wszystkie się zepsuły. Można je było wyrzucić tylko na złom, najwyraźniej Brytyjczycy porzucili je nie bez powodu.

Skierowane do OB West (Oberbefehlshaber West – Dowództwo Wojsk Niemieckich na Zachodzie) zapotrzebowanie na inny sprzęt aliancki: 20 samochodów pancernych, 20 dział samobieżnych, 247 jeepów, 40 motocykli, 193 ciężarówki oraz odpowiednią dla stanu osobowego brygady liczbę sortów mundurowych i wyposażenia indywidualnego, okazało się w większości niemożliwe do zrealizowania. Musieli więc improwizować, mając nadzieję, że podczas ofensywy uda się posłużyć zdobycznym sprzętem.

Mit 150. Brygady Pancernej utrwaliły filmy o Ardenach, jako że była ona dość widowiskowym zjawiskiem, ale prawda o jej działaniach wygląda nieco inaczej niż na filmach. Ostatecznie w przededniu rozpoczęcia operacji Skorzeny miał do dyspozycji dwa „Shermany”, dwa transportery opancerzone, piętnaście ciężarówek i trzydzieści jeepów. W założeniu 150. Brygada Pancerna miała liczyć trzy tysiące trzystu ludzi, ale o takiej liczbie nie było nawet co marzyć. Udało się zebrać niespełna dwa i pół tysiąca (tysiąc ludzi z Wehrmachtu, ośmiuset z Luftwaffe, pięciuset z Waffen-SS i dwustu z Kriegsmarine). Tym samym z planowanych trzech batalionów utworzono jedynie dwa.

*

Brygadę wysłano na szkolenie prowadzone przez Obersturmbannführera Waffen-SS Williego Hardiecka. Prowadzono je początkowo na poligonie

Grafenwöhr we wschodniej Bawarii, później w Wahn koło Kolonii. Cały rejon zakwaterowania tajemniczych oddziałów otoczyły jednostki SS i służb bezpieczeństwa. Fałszywym aliantom odebrano wszystkie prawdziwe dokumenty i uniemożliwiono jakikolwiek kontakt ze światem zewnętrznym. Przez cały okres szkolenia obowiązywał całkowity zakaz opuszczania miejsca pobytu. Francuski historyk Jacques Nobécourt utrzymuje nawet, że jeden z żołnierzy został rozstrzelany za „wysłanie do domu listu z pełnym opisem warunków, w których przebywał". Dodaje też: „[…] izolacja była tak rygorystyczna, że chorych nie odsyłano do szpitala".

Wszyscy otrzymali dolary i funty szterlingi, oczywiście fałszywe. Dostarczono im również umundurowanie, wyposażenie i wszystko, co udało się do tej pory zdobyć Wehrmachtowi na zachodnich aliantach: dokumenty, listy czy nawet osobiste drobiazgi tych żołnierzy, którzy zginęli na froncie zachodnim lub trafili do niewoli.

Szkolenie obejmowało nie tylko naukę języka angielskiego, ale przede wszystkim sposobu zachowania amerykańskich żołnierzy. Komandosów uczono na przykład, jak żuć gumę czy jak otwierać paczkę papierosów „camel", jak tracić czas, wystając na rogach ulic, jak przybrać pozę „luzaka", jak rzucać piłką baseballową w każdej wolnej chwili czy jak odpoczywać w samochodzie z nogami na kierownicy. A wszystko to musieli czynić tak, jak żołnierze amerykańskiej piechoty. Najtrudniej jednak było wyrobić w ludziach zwyczaj chodzenia z rękami w kieszeniach i oduczyć nawyku salutowania poza służbą – pruska dyscyplina wychodziła z nich jak podszewka spod poprutej marynarki. Gdyby człowiek ubrany w oliwkowy mundur, międlący w ustach gumę, wyprężył się przed oficerem na baczność jak Prusak, natychmiast zostałby zdemaskowany.

Wybrano stu dwudziestu najlepiej posługujących się językiem angielskim ochotników, którzy mieli odgrywać rolę tak zwanych *speakers*, czyli mówiących. Innym nakazano milczenie. W ewentualnych rozmowach mieli brać udział tylko przez pomrukiwanie lub wypowiadanie pojedynczych słów. Wszyscy byli młodzi, odważni, doświadczeni, i wszyscy chcieli wziąć udział w tajemniczej misji.

Żaden z żołnierzy Skorzenego nie miał pojęcia o celu operacji „Greif”. Nawet dowódca 6. Armii Pancernej Obergruppenführer [generał pułkownik] Joseph Dietrich, „bryła mięsa z kwadratową głową”, dowiedział się o niej dopiero w końcu listopada.

Popularny „Sepp” nie był wybitnym dowódcą, brakowało mu wykształcenia wojskowego i talentów strategicznych. Przez całe życie był rzeźnikiem, dopóki nie „oświecił” go narodowy socjalizm. Później zresztą też był rzeźnikiem, tylko że zamiast cieląt i krów zarzynał ludzi. 30 czerwca 1934 roku uczestniczył w „nocy długich noży” jako dowódca oddziału egzekucyjnego, który zamordował większość przywódców SA. Nie znosił uczenia się, ale był przekonany, że w całej armii nie ma równego mu eksperta od broni pancernej. Jego umiejętności i przygotowanie wojskowe były bardzo krytykowane przez wielu dowódców, jak na przykład Gerda von Rundstedta, który mówił o Dietrichu, że jest „uczciwy, ale głupi”. Dowódca dywizji pancernej „Das Reich”, Obergruppenführer Wilhelm Bittrich, stwierdził natomiast pewnego razu: „Kiedyś spędziłem półtorej godziny, próbując wyjaśnić „Seppowi” Dietrichowi sytuację za pomocą mapy. To było zupełnie beznadziejne. W ogóle mnie nie rozumiał”.

Był jednak otoczony ogromnym podziwem przez swoich ludzi, którym imponowała jego bezsprzeczna odwaga i bezwzględność. Nie przeszkadzały im przysadzista i krępa postać „Seppa”, szeroki nos, ciężki bawarski akcent i prymitywne poczucie humoru ani fakt, że jego słownictwo szokowało niektórych przełożonych, lepiej wykształconych oraz przynależnych do wyższych klas społecznych. Rzeczywiście, było ono bogate w wyrazy częściej słyszane w piwiarniach i salach koszarowych niż na odprawach dowódców[4].

Oczywiście, o zadaniu kompanii specjalnej krążyły najbardziej fantastyczne i nieprawdopodobne plotki. Pewnego razu podczas przeprowadzanej na początku grudnia inspekcji rozmowy ze Skorzenym zażądał kapitan Stielau.

– Wiem – powiedział – jaki jest naprawdę cel naszej misji. Mamy porwać Eisenhowera!

Otto podszedł ostrożnie do drzwi, po czym nagle je otworzył, żeby sprawdzić, czy nikt pod nimi nie podsłuchuje.

– Proszę mówić ciszej! – skarcił młodego oficera. – Trafił pan w sedno, ale nade wszystko proszę o dyskrecję.

– Ależ oczywiście, Herr Obersturmbannführer – stropił się kapitan. – Ja tylko głośno myślę.

– To niech pan z łaski swojej myśli trochę ciszej.

– Tak jest! Myślę, że to wykonalne.

– Co? Żeby pan zachował dyskrecję?

– Myślę o porwaniu generała.

Wyłożył szczegółowo swój plan. Szanse powodzenia były mniej więcej takie, jak przetrwanie kostki lodu na pustyni. Skorzeny pozostawił go ze złudzeniami.

– Proszę mi wierzyć, że kiedy przyjdzie pora, na pewno pana wezwę.

Tak narodziła się wielka legenda, która samego Eisenhowera miała nękać przez kilka tygodni ofensywy, Skorzenego zaś przez kilka lat.

*

Ofensywę, która miała się rozpocząć 20 listopada, a następnie 1 grudnia, z powodów zaopatrzeniowych i meteorologicznych przesunięto na 16 grudnia. Dzień wcześniej w Kwaterze Głównej Führera odbyła się ostatnia narada sytuacyjna.

„22 października Hitler oświadczył mi, że «niedługo będziemy mieli w powietrzu 2000 myśliwców odrzutowych». – pisze Skorzeny. – Przyrzekł mu to Göring. Na początku grudnia zdziwiony usłyszałem, że będzie ich tylko 250! Przypomniałem sobie wówczas długą rozmowę, jaką odbyłem w kwaterze we wrześniu, jeszcze przed operacją «Panzerfaust» z generałem Luftwaffe Robertem von Greimem. Zostałem mu kiedyś przedstawiony przez Hannę Reitsch. Już wtedy ubolewał, że myśliwców odrzutowych nie ma na wszystkich frontach. Hitler zamierzał nawet mianować Greima na

miejsce Göringa, ale zrobił to dopiero w oblężonym przez Rosjan Berlinie, w kwietniu 1945 roku”.

Na prośbę Hitlera Skorzeny przedstawił mu podczas tej ostatniej narady stan przygotowań do operacji „Greif”.

– Jestem pewien, że zrobi pan wszystko najlepiej, jak można – powiedział wódz. – Tylko jeszcze raz przypominam, nie może pan osobiście brać udziału w operacji. Odpowiedzialność za wykonanie tego rozkazu nałożyłem na dowódcę 6. Armii Pancernej. Nie opuści pan swojego stanowiska dowodzenia. Będzie pan prowadził operację przez radio.

„W naradzie towarzyszył mi również Hauptsturmführer Radl – wspominał Skorzeny. – Nigdy wcześniej nie rozmawiał z Hitlerem, który teraz uścisnął mu dłoń i powiedział kilka serdecznych słów. Nasz «Karli» był pod takim wrażeniem, że stał cały czas na baczność”.

Opracowując szczegóły operacji „Greif”, Skorzeny podzielił swoich podkomendnych na cztery oddziały, wyznaczając im konkretne zadania. Trzy podstawowe grupy o nazwach: „Kampfgruppe X”, „Kampfgruppe Y” oraz „Kampfgruppe Z”, miały wyprzedzić natarcie głównych sił, uchwycić oraz utrzymać przeprawy na Mozie do momentu przybycia wsparcia w postaci nacierających za nimi oddziałów liniowych (1. SS-Panzer Division, 12. SS-Panzer Division, 12. Volksgrenadier Division). Ustalono szczególne znaki rozpoznawcze, dzięki którym Niemcy mieli uniknąć wzajemnego wybijania się – oni także przecież mogli nie odróżnić wroga od przebranych w jego mundury swoich: niebieskie światła za dnia i czerwone nocą, odpięty drugi guzik bluzy, szczególny sposób zdejmowania hełmów i odpowiednie litery wymalowane na lewej stronie pojazdów.

Praktycznie zadania wyznaczone poszczególnym grupom zostały im przekazane dopiero 10 grudnia, czyli sześć dni przed rozpoczęciem operacji. Tak późny termin podyktowany był dążeniem do utrzymania jak największej tajemnicy nie tylko w zakresie operacji „Greif”, ale i całego planu „Wacht am Rhein”, pod którym kryła się kontrofensywa w Ardenach.

Grupa „X” pod dowództwem SS-Obersturmbannführera Williego Hardiecka (który zginął wskutek najechania na minę w czasie rekonesansu i został zastąpiony przez Adriana von Fölkersama) miała opanować most w Egnis. Grupa „Y” dowodzona przez SS-Hauptsturmführera Jürgena Scherfa – uchwycić most w Amay. Grupa „Z”, której dowódcą był SS-Obersturmbannführer Karl Wolf – zabezpieczyć most kolejowy w miejscowości Huy. Ostatnia – specjalna grupa zadaniowa, „Einheit Stielau”, dowodzona przez kapitana Stielaua, wyposażona została w trzydzieści jeepów i otrzymała najtrudniejszą misję, o której jednak za chwilę.

*

Ardeny to mocno pofałdowany, pokryty lasami i trudno dostępny region leżący na terytorium Belgii, Luksemburga i częściowo Francji. Właśnie tutaj wiosną 1940 roku niemiecka armia znienacka zaatakowała alianckie oddziały, zmuszając je do przesunięcia się aż do kanału La Manche. W owym czasie Adolf Hitler budził strach w całej Europie i wszystko wskazywało na to, że nikt i nic nie będzie w stanie go zatrzymać.

Cztery lata później, jesienią 1944 roku, sytuacja była już diametralnie inna. Naziści ponosili porażkę za porażką. Po zakrojonej na olbrzymią skalę ofensywie na froncie wschodnim sowiecka armia „wyzwoliła” ponad połowę Polski. Poniesione przez Niemców na froncie zachodnim straty sięgały setek tysięcy ludzi, a alianci niebezpiecznie zbliżyli się do niemieckich granic. Zagrażali Zagłębiu Ruhry, w którym skupiła się zasadnicza część nazistowskiego przemysłu. Jeżeli Hitler utraciłby te tereny, bez kopalń, fabryk i rafinerii nie byłby w stanie kontynuować wojny.

Wszyscy byli przekonani, że Niemcy już przegrały wojnę. Wszyscy z wyjątkiem Führera. Zmizerniały wódz ciągle jeszcze wierzył w zwycięstwo III Rzeszy. Mimo odbywających się każdego dnia nalotów na III Rzeszę produkcja niemieckiego przemysłu zbrojeniowego miała się świetnie. Również fanatyczni podszeptywacze wodza obiecywali mu

„cudowną broń” – niezwyciężone samoloty odrzutowe, niezatapialne elektryczne łodzie podwodne, kilkustopniową rakietę „New York” i bombę atomową. Do tego dochodził jeszcze – jak pisze austriacki historyk Peter H. Gryner – jeden „sprzyjający drobiazg”: „Alianci na wschodzie i zachodzie zatrzymali się na jakiś czas. Brakowało im amunicji i benzyny. Trzeba było wymienić wyczerpane w walkach oddziały i uzupełnić zapasy. Dzięki temu zdziesiątkowane wojska Hitlera zyskały czas do przegrupowania się i umocnienia obrony”.

Hitler musiał przede wszystkim zyskać na czasie. Do niemieckiej armii zmobilizowani zostali wszyscy zdolni do walki mężczyźni, zwłaszcza ci pracujący w administracji wojskowej, którzy uchylając się od pójścia na front, ukrywali się za biurkiem. Totalną porażkę mógł odwrócić jedynie nagły, miażdżący atak. Podobnie, jak to miało miejsce w 1940 roku, decydującą rolę odegrać miał moment zaskoczenia i tajemnicy. Pozostało tylko ustalenie miejsca uderzenia. Swój plan Hitler obmyślił w łóżku, gdzie kurował się po lipcowym zamachu. Według marszałka Alfreda Jodla Führer pierwotnie rozważał kontrofensywę na froncie wschodnim, ale po kilku dniach zmienił zdanie, kierując uwagę na front zachodni. Dobrze wiedział o problemach aliantów z aprowizacją i ich słabej obronie w Ardenach. Gdzie więc jego armia miałaby złapać „drugi odech”, jeśli właśnie nie tam? W miejscu, gdzie przed laty rozpoczęła się wielka kampania w Europie.

Jeśli udałoby mu się wbić klin między Amerykanów i Brytyjczyków, być może zmusiłby ich do zawarcia separatystycznego pokoju… Ostateczna wersja operacji „Straż nad Renem” brzmiała prosto:

„Dwie armie pancerne zaatakują przez Ardeny wąskim korytarzem w kierunku rzeki Mozy, przekroczą ją, skierują się na północny zachód, zajmą kluczowy dla zaopatrzenia aliantów port belgijski w Antwerpii i odetną główną część sił wroga. Ich południowe skrzydło kryć będzie druga armia”.

Wczesnym rankiem 16 grudnia 1944 roku nad pogrążonymi w sennym mroku gęstymi ardeńskimi lasami przetoczył się nagle potężny huk. Dokładnie o godzinie 5.30 dwa tysiące niemieckich dział wszelkiego

kalibru rozpoczęło kanonadę na całej studwudziestokilometrowej długości frontu od Monschau na północy po Echternach na południu. Wielka, czerwona łuna nad horyzontem drżała, rozświetlała się i gasła co chwila. Ciężko dudniły 330-milimetrowe działa kolejowe, przemawiały basem haubice, wyły wylatujące z wielolufowych moździerzy rakiety. Na transportery pancerne siadali biało ubrani fizylierzy. Czołgiści w czarnych watowanych kombinezonach zapuszczali silniki.

Minutę później pierwsze czternastocalowe pociski zaczęły spadać na teren St. Vith. Pierwsza odpalona salwa obróciła w gruzy miasteczko, budząc belgijskich cywilów i ich amerykańskich wyzwolicieli przerażonych perspektywą powrotu Niemców. Strumienie ognia błyskawicznie objęły wielkie połacie lasów, a narastający grzmot kompletnie dezorientował żołnierzy, na których spadł nagle druzgocący ogień tysięcy niemieckich moździerzy i dział. Niemcy zjawili się tak niespodziewanie, jak w *Fauście* pojawia się trzeci i ostatni diabeł, ten, który jest „prędszy od myśli i tak szybki, jak przejście od dobrego do złego”.

Ta kanonada, będąca wstępem do potężnego natarcia piechoty i sił pancernych, zapoczątkowała pierwszy dzień ostatniej wielkiej ofensywy Wehrmachtu na froncie zachodnim. Zaczęła się operacja „Herbstnegel” – „Jesienna mgła”.

Celem strategicznym ofensywy było zajęcie portu w Antwerpii, wbicie klina między grupę armii Stanów Zjednoczonych generała Omara Bradleya a grupę armii marszałka Bernarda Montgomery’ego i oddzielenie sił amerykańskich od brytyjskich i kanadyjskich. Następnie Niemcy zamierzali zaatakować w kierunku północnym, okrążając i niszcząc cztery armie alianckie, co miało zmusić aliantów zachodnich do wynegocjowania pokoju z krajami Osi. W celu zmylenia przeciwnika i jego wywiadu zmienili z czasem kryptonim operacji na „Wacht am Rhen” (Straż nad Renem).

Na północy 6. Armia Pancerna SS „Seppa” Dietricha miała osiągnąć i przejść Mozę w kierunku Liège, a potem natrzeć na Louvain, Malines i Antwerpię. Bardziej na południe 5. Armia Pancerna, dowodzona przez generała Hasso von Manteuffla, miała uderzyć na Dinant, dojść do

Brabancji i skręcić ku Brukseli i Malines. Całością ofensywy kierował ulubieniec Hitlera, feldmarszałek Walter Model – dowódca Grupy Armii B, która składała się z 6. Armii Pancernej SS, 5. Armii Pancernej i 7. Armii. Ogółem było to dwanaście dywizji piechoty, dwie dywizje powietrznodesantowe i siedem dywizji pancernych. W odwodzie pozostawały dalsze cztery dywizje piechoty, dwie dywizje pancerne i dywizja zmotoryzowana. Siły te miały na stanie razem 1750 czołgów i dział pancernych.

„Rozmawiając z jego [Modela] szefem sztabu, generałem Hansem Krebsem, odniosłem wrażenie, iż wierzy niezachwianie w jej powodzenie” – zanotował Otto Skorzeny. On sam także był głęboko przekonany, że wszystko się uda. Udawało mu się zawsze, więc dlaczego nie miałoby się udać i tym razem?

Szczególnie zła pogoda i nisko położone chmury wyłączyły z działań lotnictwo, w której to broni alianci mieli zdecydowaną przewagę. Czołgi armii pancernych SS rozniosły w pierwszym uderzeniu czołowe oddziały wojsk brytyjskich i amerykańskich. Została dokonana szeroka wyrwa na linii frontu, w którą wdarły się zagony pancerne. W pierwszym impecie i przy całkowitym zamęcie Niemcy osiągnęli sukces. Zdezorientowane jednostki alianckie nie były w stanie połapać się, gdzie jest front, a gdzie tyły. Na polu walki pozostało ponad siedemset amerykańskich i angielskich czołgów. Tysiące żołnierzy zginęło w bezsensownych potyczkach lub dostało się do niewoli.

*

17 października rano Otto udał się na front, do Losheim, aby odwiedzić swoją kompanię specjalną. Na drogach panował niesamowity chaos. W końcu nie mógł już jechać dalej samochodem i resztę drogi, dziewięć kilometrów, zmuszony był przebyć piechotą.

Idący na czele ofensywy 1. Korpus Pancerny nie mógł otrzymać wsparcia, a następnego dnia zabrakło mu paliwa. Nie było mowy o dotarciu

do mostów na Mozie. W tej sytuacji Skorzeny zaproponował Obergruppenführerowi Dietrichowi użycie swej 150. Brygady Pancernej jako normalnego oddziału liniowego. „Sepp” wyraził zgodę i zdecydował, że przeprowadzi ona atak przez rejon Malmédy w celu połączenia się z Leibstandarte w Stavelot.

Plan Skorzenego polegał na odciągnięciu amerykańskich rezerw i zaatakowaniu nocą wschodniego skraju Malmédy przez grupę bojową „Y”, a potem na rozpoczęciu głównego ataku grupy bojowej „X” w celu uchwycenia skrzyżowania dróg dokładnie na zachód od mostu na rzece Warche, po zachodniej stronie miasta. Opanowanie tego skrzyżowania było kluczowe dla otwarcia szosy N-32 do Francorchamps oraz drogi N-23 do Stavelot.

Choć jeden z jego własnych patroli przeniknął 17 grudnia do Malmédy i znalazł tam kilkunastu saperów obsadzających zapory na wszystkich drogach, Skorzeny nie miał najmniejszego pojęcia, z czym będzie miał do czynienia 21 grudnia. Amerykanie z pewnością mądrze wykorzystali nadarzający się czas. O zachodzie słońca 20 grudnia ponad trzy bataliony piechoty, dwie kompanie niszczycieli czołgów i większa część batalionu inżynieryjnego broniły miasta, zaś sześć dywizjonów artylerii znajdowało się w granicach zasięgu, zapewniając im wsparcie.

Przyjmując wyznaczone jego oddziałom zadanie, Skorzeny liczył na łatwe zwycięstwo. Zaskoczenie oraz słaba zdaniem wywiadu obrona miejscowości pozwalały zakładać, że stosunkowo słabe siły 150. Brygady Pancernej przełamią opór i z marszu opanują miasto. Jednak jeszcze przed rozpoczęciem ataku zniweczony został efekt zaskoczenia. Jeżeli Skorzenemu brakowało informacji o Amerykanach, z pewnością odwrotnej sytuacji nie było. Późnym popołudniem 20 grudnia jeden z jego ludzi został schwytany i ujawnił podczas przesłuchania, że miasto zostanie zaatakowane następnego ranka o godzinie 3.30. Jeszcze przed północą ostrzeżenie dotarło do wszystkich amerykańskich jednostek.

Grupa bojowa „Y” Jürgena Scherfa z sześcioma zakamuflowanymi działami szturmowymi, dwiema kompaniami piechoty po około stu

pięćdziesięciu ludzi każda i kompanią ciężką, w składzie dwóch plutonów grenadierów pancernych oraz po plutonie ciężkich moździerzy, saperów, łączności i przeciwpancernym – przeszła przez skrzyżowanie dróg w Baugnez o godzinie 3.00 i wkrótce potem wpadła na amerykańską kompanię piechoty, okopaną w Mon Bijou na wschodnim krańcu Malmédy. Dowódca amerykańskiej kompanii, kapitan Murray Pulver, opisał to, co stało się potem:

„Amerykański pojazd półgąsienicowy zbliżył się drogą, mając za sobą kolumnę czołgów i innych pojazdów. Wpadł na minę i stracił przednie koła […]. Grupa niemieckich żołnierzy poszła do przodu, wrzeszcząc: «Hej! Jesteśmy amerykańskimi żołnierzami. Nie strzelać!» Droga była wąska z wysokim brzegiem z prawej i wąwozem po drugiej stronie i uniemożliwiała niemieckim czołgom posuwanie się naprzód […]. Myślę, że wszystkie armaty w 230. dywizjonie artylerii wystrzeliły, by nam pomóc […]. Sytuacja była nader gorąca aż do pełnego światła dnia”.

Była to jedna z pierwszych okazji dla amerykańskiej artylerii do użycia nowego, ściśle tajnego zapalnika „Pozit”, powodującego, że pocisk wybuchał nad ziemią, a nie wskutek kontaktu z nią, rozsypując w ten sposób odłamki na znacznie większym obszarze. Miało to niszczący skutek dla piechoty Scherfa, która straciwszy dwa działa szturmowe, wycofała się.

Główny atak na Malmédy rozpoczęła o godzinie 6.50 grupa bojowa „X”, która miała taką samą siłę jak grupa Scherffa, tylko zamiast dział szturmowych posiadała jednego „Shermana” i pięć zakamuflowanych „Panter”. Skorzeny przyglądał się jej działaniom z pagórka koło La Falize.

Podczas gdy mała część grupy ruszyła w stronę przejścia dla pieszych koło głównego wiaduktu, najsilniejsza część skierowała się do mostu na rzece Warche. Jej zadaniem było zajęcie kompleksu dróg dokładnie na północny zachód od niego. To zaskoczyło Amerykanów i około południa część ich obrony została odepchnięta w stronę rejonu Burniville. Dla przezwyciężenia dobrze rozlokowanej obrony, wspieranej dodatkowo skutecznym ogniem artyleryjskim, ludziom Skorzenego brakowało jednak zarówno sprzętu, jak i odpowiedniej liczby żołnierzy. Późnym popołudniem

stało się jasne, że atak się nie powiódł. Tylko jednej „Panterze” udało się przejechać przez most na Warche, zaś ani jeden z niemieckich komandosów nie zdołał wedrzeć się na nasyp kolejowy, biegnący wzdłuż północnej strony miasta. Przy okazji poważnie ranny został Adrian von Fölkersam, który otrzymał ciężki postrzał poniżej pleców czy też dokładniej mówiąc – jak sam stwierdził: „w dupę”.

Wycofując się z pola bitwy, Niemcy zostawili za sobą cztery „Pantery” i około stu pięćdziesięciu zabitych, rannych oraz zaginionych. Malmédy pozostało amerykańskie, chociaż potworny chaos doprowadził do trzykrotnego zbombardowania miasta przez ich własne lotnictwo.

Nigdy nie ujawniono żadnych danych liczbowych na temat strat w ludziach w trakcie tych bombardowań, którym notabene alianci przez długi czas zaprzeczali, ale szacunki miejscowych wskazują, że zginęło około trzystu cywilów i prawdopodobnie tyle samo żołnierzy. Po nalotach 9. Air Force, wśród ludzi z 30. Dywizji Piechoty, na którą spadły bomby, jednostka ta zyskała sobie miano „amerykańskiej Luftwaffe”.

Późnym wieczorem owego dnia, 21 grudnia, Skorzeny wracał do swojego stanowiska dowodzenia mieszczącego się w ekskluzywnym hotelu „Du Moulin”. W pewnej chwili usłyszał odgłosy ciężkiej artylerii…

Kiedy kawałki szrapnela wielkości pięści świsnęły w powietrzu, siedemdziesięcioletni właściciel hotelu, Peter Rupp, zobaczył, jak „potężny mężczyzna zatacza się i pada”. Otto został trafiony prosto w twarz, po policzku spłynęła krew. Jakiś żołnierz wybiegł z budynku, chcąc udzielić mu pomocy, lecz esesman oddalił go gestem i zataczając się, dotarł na miejsce.

Znalazłszy się w hotelu, chwycił butelkę koniaku, pozostałą tutaj z zapasów amerykańskiego generała Edwarda Timberlake’a, który kwaterował w budynku jeszcze cztery dni wcześniej. Nalał sobie pełną szklankę i duszkiem wypił.

– Lustro! – zażądał.

Natychmiast dostarczono mu wymagany przedmiot. „Czułem, jak ciepła krew spływa po moim policzku – wspominał tamten nieprzyjemny moment.

– Ostrożnie obmacałem twarz. Kawał skóry i mięsa, wyrwany z czoła, zwisał zasłaniając oko. Byłem przerażony. Czyżbym stracił oko?”.

Okazało się, że nie stracił. Jakiś czas potem pozwolił zaciągnąć się do lekarza pułkowego.

– Paskudnie to wygląda – stwierdził doktor.

– Wiem – odburknął. – Widziałem w lustrze.

– Trzeba będzie zaszyć.

– No to niech pan szyje.

– Każę podać panu środek odurzający.

– W żadnym wypadku. Muszę zachować jasny umysł. Zabawa ciągle jeszcze trwa.

– Będzie bolało.

– Trudno.

– Będzie bardzo bolało.

– Niech pan mnie nie straszy, tylko bierze się do roboty. Jakoś to przeżyję. W studenckich czasach zadawano mi już w pojedynkach podobne rany.

– Surowicę przeciwtężcową, gazę, bandaże! – zadysponował lekarz.

Pielęgniarz miał już w ręku wygotowaną strzykawkę. Pewnymi ruchami wyjmował z torby inne przybory. Gdy lekarz podniósł pełną strzykawkę do góry, jego wzrok padł na twarz leżącego. Wśród smug wytartej krwi i siniaków tkwiły czujne, przytomne oczy. Pochylił się nad rannym i wbił igłę w obnażone ramię. Pielęgniarz przemył dolną szczękę wodą utlenioną. Lekarz szybko i bezlitośnie zdezynfekował ranę. Pacjent skurczył się z bólu i zagryzł zęby. Pielęgniarz posypał sowicie sulfamidon. Krew zmieszała się z żółtym proszkiem.

*

Kiedy rozpoczęła się ofensywa, do akcji ruszyli też ludzie Skorzenego z grupy specjalnej – „Einheit Stelau”, liczącej dziewięć zespołów w jeepach, po czterech żołnierzy w każdym. Jak się później okazało, był to

błąd, gdyż mający pod dostatkiem tych pojazdów Amerykanie, dla większej wygody jeździli w nich po trzech, o czym Niemcy nie wiedzieli. Pojawienie się samochodów z czteroosobowymi załogami zwróciło uwagę Amerykanów i umożliwiło im schwytanie wielu dywersantów.

W pierwszym etapie walki jednak przebrani w amerykańskie mundury niemieccy komandosi zajmowali mosty, zawieszali na drzewach czerwone wstęgi ostrzegające, że droga jest zaminowana, cięli linie telefoniczne, wzbudzali panikę i poszerzali chaos w szeregach zaskoczonych przeciwników. Któraś z drużyn tak przekonująco udała przerażenie, że amerykański batalion pancerny zawrócił i uciekł. Szczególnie skuteczną metodą było przestawianie drogowskazów, przez co alianckie oddziały idące na odsiecz obrońcom błądziły po całej okolicy. Przecięto główny kabel telefoniczny łączący kwaterę główną Bradleya w Luksemburgu z atakowaną w Ardenach 1. Armią Amerykańską, dowodzoną przez generała Courtneya Hodgesa.

W pobliżu miasteczka Huy, w połowie drogi między Liège a Namur, przed kolumnę amerykańskich ciężarówek wybiegł żołnierz siedzący dotychczas w jeepie na poboczu szosy.

– Nie możecie jechać tą drogą! – krzyknął do kierowcy pierwszego pojazdu.

Z kabiny ciężarówki wychylił się amerykański porucznik.

– Co jest, chłopie?

– Droga zaminowana. Jedźcie tym objazdem – żołnierz wskazał na podmokłą ścieżkę wiodącą w stronę lasu.

– Przez to bagno? Przecież utopię w nim wszystkie samochody.

– Wolicie wylecieć w powietrze na minach?

– Pewnie, że nie.

– No to smarujcie przez las. Inni już tamtędy przejechali, więc i wam z pewnością się uda.

– Widzieliście kapuściarzy?

– Nie.

– No to dziękuję, chłopie – porucznik dał ręką znak sygnaliście, aby ten skierował kolumnę na drogę wskazaną przez żołnierza z jeepa.

Kilka minut później cała kolumna amerykańskich ciężarówek skryła się w lesie, podążając drogą, która miała ich wyprowadzić w kierunku całkowicie przeciwnym do tego, w którym zmierzali. Jeśli oczywiście wcześniej wszystkie ciężkie pojazdy nie utoną w bagnie.

Żołnierz, który wskazał tę drogę, wrócił tymczasem do jeepa.

– *Mensch, das war ein Meisterstück* (Człowieku, to był majstersztyk) – pochwalił go po niemiecku któryś z kolegów.

– Durnie – rzucił w tym samym języku żołnierz. – Ciekawe, jak udało im się dotrzeć przez Atlantyk do Europy i się nie pogubić?

– Masz niezły akcent, Willy – siedzący w kabinie uruchomił silnik, po czym wszyscy szybko odjechali z miejsca, które mogło się stać dla nich niebezpieczne, gdyby Amerykanie zorientowali się zbyt szybko w podstępie i wrócili.

Chociaż operacje oddziału specjalnego, podobnie jak cała niemiecka ofensywa, zakończyły się niepowodzeniem, w porównaniu do konwencjonalnych oddziałów Wehrmachtu i Wafen-SS przyniosły o wiele lepsze rezultaty, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę niewielką liczebność „Einheit Stielau”. Nie spowodowały zbyt wielu ofiar w alianckich szeregach, ale nie takie przecież było ich zadanie. Miały dezorganizować życie na tyłach wojsk alianckich i ułatwić zajęcie mostów na rzekach nacierającym oddziałom. Tyle że jednostki, na rzecz których komandosi wykonywali zadania, nigdy do tych mostów nie dotarły, zatrzymując się na prowizorycznej linii obrony utworzonej przez heroicznie broniących się Amerykanów.

Plotki wyolbrzymiały ich dokonania. Zaniepokojeni obecnością niemieckich dywersantów Amerykanie ustawili posterunki drogowe, by ich wyłapać, co spowalniało przerzut własnych żołnierzy i zaopatrzenia. Na całym obszarze pola bitwy żołnierze Skorzenego wywołali zamieszanie niewspółmierne do ich liczby, znacznie obniżając amerykańskie morale.

Druga, równoległa operacja specjalna została opracowana przez feldmarszałka Waltera Modela i zakładała nocny desant ośmiuset spadochroniarzy na amerykańskie tyły. Żołnierze ci mieli za zadanie zakłócać komunikację i ruch oddziałów zagrażających prawej flance niemieckiego natarcia. Co prawda, Hitler nie wierzył, że Luftwaffe jest w stanie przeprowadzić tak dużą operację desantową, ale ostatecznie się zgodził. Akcja otrzymała kryptonim „Stosser".

Jak się okazało, Führer się nie mylił. Po pierwsze, w momencie rozpoczynania operacji pogoda nie nadawała się do lotów. Było to w sumie do przewidzenia, ponieważ niemiecka ofensywa została specjalnie zaplanowana tak, żeby alianci nie mogli wykorzystać swojej przewagi w lotnictwie, więc wybrano termin, kiedy prognozy pogody zapowiadały duże zachmurzenie i ogólnie ciężkie warunki atmosferyczne. Nie wiadomo więc, dlaczego Niemcy myśleli, że sami w tym czasie będą mogli latać swoimi transportowcami. Po drugie, spadochroniarze, wchodząc na pokład samolotów, stwierdzili, że nie nadają się one do desantów.

Ostatecznie jednak w nocy 16 grudnia sześćdziesiąt osiem Junkersów 52/3m z ośmiuset siedemdziesięcioma spadochroniarzami na pokładzie wystartowało do misji. Wspomniane już ciężkie warunki pogodowe, noc, niedoświadczeni piloci oraz ostrzał artyleryjski spowodowały rozproszenie się formacji i po wyładowaniu tylko trzystu spadochroniarzy udało się zebrać w zorganizowana grupę. Dodatkowo nie mieli oni łączności ani ciężkiego sprzętu. Jakby tego było jeszcze mało, grupa zorganizowała się zbyt późno i w momencie, kiedy była gotowa do wejścia do akcji, cel ich operacji, powstrzymanie amerykańskiej 1. Dywizji Pancernej przed zajęciem pozycji obronnych, stał się nieaktualny, ponieważ Amerykanie weszli już w kontakt bojowy z czołowymi oddziałami niemieckimi.

Pomimo że główny cel operacji „Stosser" nie został zrealizowany, odniosła ona pewien sukces. Z powodu wielkiego rozrzutu skoczków Amerykanie myśleli, że mają do czynienia z wielką operacją desantową i przez dłuższy czas marnowali swoje siły na poszukiwania nieistniejącego wroga. O wymianie ognia z niemieckimi spadochroniarzami wspomina

wiele raportów sporządzonych w późniejszym okresie, przez co można powiedzieć, że odegrali rolę znacznie większą niż wskazywałby na to ich stan liczebny.

*

Chociaż w porównaniu ze starciem pancernych dywizji działalność ludzi Skorzenego przypominać mogła szkolne psoty, jednak po wypadku, jaki zdarzył się przy stacji benzynowej, nabrała ona zupełnie innego znaczenia.

Kierowca jednego z jeepów zatrzymał się przy cysternie.

– *Petrol, please!* – krzyknął do obsługującego ją pompiarza, żując ostentacyjnie gumę.

Żołnierz spojrzał na niego ze zdumieniem. Żaden amerykański żołnierz nie powiedziałby na benzynę *petrol*, lecz użyłby słowa *gas*. Poza tym spiesząc się, nigdy nie powiedziałby *please*, czyli proszę.

– Ty, stary, czemu masz takie dziwne buty? – zapytał podejrzliwie.

– Odpierdol się od moich butów!

– Skąd ty właściwie jesteś?

– Z kompanii E.

– Co takiego? Od kiedy to w kawalerii są jakieś kompanie?

Kierowca jeepa zorientował się, że popełnił błąd, który go zdekonspirował. (Rzeczywiście, w amerykańskiej kawalerii nie było kompanii, jedynie szwadrony albo – jak w tym wypadku – plutony). Nie czekając na dalsze pytania, wskoczył do samochodu, wrzucił bieg i ruszył ostro przed siebie. Na mocno oblodzonej drodze samochód wpadł jednak w poślizg i stoczył się do rowu.

Kiedy spod pogiętej karoserii wydobyto trzech żołnierzy, ktoś zauważył, że pod amerykańskimi mają oni niemieckie mundury. W samochodzie znaleziono ponadto dziewięćset dolarów amerykańskich, tysiąc brytyjskich funtów szterlingów, dwa pistolety maszynowe „Sten”, dwa colty, sześć amerykańskich granatów i… niemiecki pakiet z żelazną racją żywnościową.

– Jak się nazywacie? – padło pytanie pod adresem zatrzymanych.

– Charles W. Lawrence.

– George Sensenbach.

– A ty, łysy?

– Clarence van der Wert.

– A ja jestem marszałek Göring – rzucił sarkastycznie Amerykanin. – Mówcie prawdziwe nazwiska albo natychmiast idziecie pod mur.

– Günther Billin – zdecydował się powiedzieć prawdę kierowca.

– Stopień?

– Scharführer [sierżant].

– Ty?

– Wilhelm Schmidt, Sturmmann [kapral].

– A ty, łysy?

– Manfred Pernass.

– Tylko tyle?

– Unterscharführer [plutonowy] Manfred Pernass.

Chcąc ratować życie, trzej Niemcy ochoczo zdradzili wszystko, co wiedzieli o jednostce i planach Skorzenego. Przekazane do alianckiego sztabu informacje podziałały jak pożar w suchym lesie. Ich następstwem było wysłane do wszystkich dowódców jednostek ostrzeżenie:

„Obersturmbannführer Otto Skorzeny, specjalista od porwań i zabójstw wysoko postawionych osobistości, zmierza z dwudziestoosobowym oddziałem w kierunku kwatery naczelnego dowódcy wojsk alianckich, generała Dwighta Eisenhowera. Niemieccy żołnierze mówią biegle po angielsku, noszą amerykańskie mundury i poruszają się w amerykańskich samochodach. Rozpoznać ich można poprzez brak regulaminowych *dog-tags* [blaszek identyfikacyjnych] na szyi pod koszulami”.

*

Sztab Eisenhowera pod Paryżem oraz kwatery innych alianckich dowódców: Bradleya, Pattona i Montgomery’ego, otoczono zasiekami z drutów kolczastych. Postawiono przy nich czołgi i podwojono warty.

W trosce o bezpieczeństwo głównodowodzącego amerykański wywiad posunął się nawet jeszcze dalej. Od momentu otrzymania informacji o planowanym zamachu każdego dnia pomiędzy St. Germain a Wersalem zaczął przejeżdżać odkryty jeep, z którego manifestacyjnie wychylał się… generał Dwight Eisenhower. Tak przynajmniej myślało wielu.

W rzeczywistości był to tylko jego sobowtór. Nazywał się Baldwin B. Smith i był jedynie podpułkownikiem. Ochrona miała nadzieję, że „mordercy Skorzenego" spróbują rzucić w niego granatem lub ostrzelać z karabinu, a tym samym ujawnią się i zostaną schwytani. Nieszczęsna przynęta oddawała szybkim, ledwie dostrzegalnym, tak charakterystycznym dla generała ruchem honory salutującym, oczekując na szybką i możliwie bezbolesną śmierć. Podobno Smith tak długo ćwiczył ten gest i odgrywał swoją rolę z takim przekonaniem, że w końcu sam uwierzył, ze jest Eisenhowerem. Podobno również pozbył się po wojnie tej iluzji z dużą trudnością.

Prawdziwemu Eisenhowerowi towarzyszyła na każdym kroku kompania MP (Military Police). W końcu poproszono go, by nie wychylał nosa na zewnątrz, bo może go ustrzelić jakiś niemiecki snajper. Ostatecznie opuścił małą willę w Petit Trianon, przenosząc się do Wersalu. Jeszcze niedawno była to kwatera feldmarszałka Gerda von Rundstedta i ludzie z obstawy obawiali się, że Niemcy mogą znać każdy kąt tego budynku. Wigilię 1944 roku generał Eisenhower spędził zamknięty w czterech ścianach nowej kwatery, pod czujnym okiem ochroniarzy, nieodstępujących go właściwie na krok.

Najlepiej chyba panującą w Najwyższym Dowództwie atmosferę tych niespokojnych dni opisała sekretarka generała, eksmodelka, pani porucznik Kay Summersby w wydanej po wojnie książce *Eisenhower Was My Boss*:

„Co za życie […]. Nie śpię godzinami. Liczę się ze śmiercią, a co gorsza, ze śmiercią z ręki SS […]. Oficerowie ochrony natychmiast obrócili teren kwatery w istną fortecę. Pojawiły się kolczaste druty. Wjechało kilka czołgów. Normalne straże zostały podwojone, a nawet potrojone. System haseł, normalnie zwykła formalność, stał się kwestią życia i śmierci. Huk

z rury wydechowej samochodu wystarczał, by wywołać lawinę telefonów do naszego biura i gorączkowych pytań, czy z szefem wszystko w porządku. Atmosfera była gorsza niż w punkcie dowodzenia na froncie, gdzie na ogół wszyscy wiedzą, jak sobie radzić z krytyczną sytuacją”.

W końcu Eisenhower miał dosyć. Któregoś dnia wyszedł po prostu ze swojego biura, mamrocząc do sekretarki:

– Niech to diabli! Idę na spacer. Jeśli ktoś chce mnie zastrzelić, niech to zrobi. Ja muszę wyjść!

Przed sztabem zamiast dwóch wartowników zauważył przynajmniej piętnastu. Wszyscy trzymali ręce na kolbach pistoletów maszynowych i wpatrywali się podejrzliwie w każdą istotę ludzką, która pojawiała się w odległości ćwierć mili. Najpilniej przy tym obserwowano duchownych wszystkich wyznań. Ludzie Skorzenego, jak głosiła fama, nie dość, że przebrali się za zakonnice, ale zostali również zaopatrzeni w miniaturowe granatniki…

Pod datą 22 grudnia Kay Summersby zanotowała w dzienniku, że wywiad wysłał raport z informacją o przybyciu sabotażystów-morderców do Paryża. Na szczęście znane było miejsce ich spotkania – „Cáfe de la Paix” przy placu Opery.

Grudniowy Paryż stał się miastem widm. Jakże był niepodobny do tego radosnego miasta, które jeszcze w sierpniu wznosiło okrzyki na cześć Charlesa de Gaulle’a, Philippe Leclerca i George’a Pattona! Wojna trwała dalej, ludzie przygarbili się pod ciężarem codziennych trosk. Zwycięzcy i wyzwoliciele zachowywali się zdecydowanie zbyt swobodnie jak na gust paryskiego mieszczanina. A poza tym bardzo nie pasowali do heroicznego ideału, jaki od czasów Napoleona kojarzył się mało wojowniczemu skądinąd francuskiemu *burgeois* z własną lub zaprzyjaźnioną armią. Ustalenie godziny policyjnej na ósmą wieczór wstrząsnęło Paryżem. Zmora, która ciążyła takim brzemieniem podczas okupacji, wracała w nowej formie.

– *Monsieur* Dubois, niech pan omija okolice Opery – szeptano przy kawiarnianych stolikach. – Cały kwartał w pobliżu jest obstawiony.

– Co się dzieje?

– Mają GO tu złapać…

– *Bien sur* – odpowiadał *monsieur* Dubois i przeklinał nadkładanie drogi.

W istocie okolice Opery, a w szczególności wszystkie punkty, z których widać było nieszczęsną kawiarnię „de la Paix”, otoczono gęstą siecią policji. Agenci byli marnymi klientami, sączyli lemoniadę i przyglądali się bacznie personelowi. Jeśli tak miałoby trwać dłużej, plajta firmy byłaby nieunikniona.

Nareszcie klient! W krótkiej kurtce w kolorowe łaty, na głowie polówka. Odpina dwa guziki kurtki…

– *Mesje, rum silwuple!*

Z tej rzekomej „francuszczyzny” barman zrozumiał jedynie słowo „rum”, ale natychmiast otworzył butelkę. W tej samej jednak chwili od stolika podniosło się dwóch rosłych facetów o twarzach, które można zobaczyć tylko w tańszych filmach holywoodzkich.

– *Helo, boy*… – Chwycili klienta za łokcie.

Potrącona szklanka spadła podczas szamotaniny za bufet.

– *Mon Dieu* (Mój Boże) – szepnął barman. – I ten też od NIEGO!

Sporo brytyjskich i amerykańskich oficerów, którzy wpadli na kiepski pomysł, aby wpaść do „Cáfe de la Paix”, mimo protestów aresztowano. Spokojni paryżanie, których zachowanie wydało się podejrzane, również padli ofiarą tego szaleństwa.

*

W wyniku operacji „Gryf” pół miliona żołnierzy amerykańskich bawiło się w kotka i myszkę ze swoimi towarzyszami za każdym razem, kiedy spotykali się na drodze. Alianci mieli poważne problemy z odróżnieniem przyjaciela od wroga i poddawali się nawzajem nieskończonym przesłuchaniom. Prawdziwi amerykańscy żołnierze trafiali do więzienia jako nazistowscy szpiedzy. Pewien amerykański kapitan został uwięziony, gdyż nosił niemieckie buty rybackie. Dwóch innych ludzi wsadzono za

kratki, ponieważ odwiedzając obcą garkuchnię stwierdzili, że jedzenie jest dobre. Szykany dotyczyły nawet najwyższych rangą.

Generał Bruce Clark, obrońca oblężonego węzła drogowego i kolejowego St. Vith, został zatrzymany na całe pięć godzin przez swoich własnych ludzi. Wepchnięty do strażnicy, wściekły generał usłyszał od szczerzącego zęby w uśmiechu żandarma:

– Nie rozśmieszaj mnie. Jesteś jednym z tych nazistowskich morderców.

Żadne błagania, groźby ani odwoływanie się do rozsądku nie przekonały go, by puścił generała wolno.

– Siedź cicho, bo cię zaknebluję!

– Jestem generałem, durniu!

– A ja marszałkiem.

– Nazywam się Bruce Clark.

– Masz jakiś dokument, który by to potwierdził?

– Nie.

– No to siedź cicho.

„18 grudnia wieczorem zamierzałem pojechać samochodem przez Bastogne do Spa, kiedy zatelefonował adiutant Hodgesa, proponując, abym poleciał samolotem – wspominał w książce *Żołnierska epopeja* generał Omar Bradley. – Przez nasze linie przedostali się niemieccy dywersanci mówiący po angielsku; odziani w zdobyczne amerykańskie mundury, w bezczelny sposób próbowali siać panikę na tyłach. Dwa tygodnie przedtem wpadły w nasze ręce rozkazy nieprzyjaciela o tworzeniu specjalnych jednostek rozpoznania. Jednostki te złożone były z ochotników wybranych i szkolonych przez podpułkownika Otto Skorzenego, który stał się sławny po swoim pirackim wyczynie, kiedy to przed rokiem wykradł Mussoliniego uwięzionego po obaleniu jego władzy we włoskim hotelu. Większość tych przebranych w nasze mundury żołnierzy niemieckich została ujęta, zanim dotarli do Mozy, nie bez tego jednak, że przez pewien czas pół miliona żołnierzy amerykańskich bawiło się ze sobą na drogach w kotka i myszkę. Ani szlify generalskie, ani dokumenty uwierzytelniające, ani protesty, nic nie chroniło od inkwizycyjnych pytań na każdym

skrzyżowaniu dróg. Nawet mnie ostrożni żołnierze amerykańscy trzykrotnie kazali udowodnić swoją tożsamość. Za pierwszym razem chcieli, abym za stolicę Illinois uznał miasto Springfield (przesłuchujący mnie żołnierz był raczej za Chicago); za drugim razem musiałem ustawić pilnującego między środkowym a chwytaczem na linii bieżącej akcji [terminy dotyczące gry w futbol amerykański – przyp. aut.]; za trzecim razem miałem podać, kto jest w danej chwili kolejnym małżonkiem pięknej blond gwiazdy filmowej Betty Grable. Tu zresztą wpadłem, ale wartownik, zadowolony, że mnie zagiął, i tak mnie przepuścił".

Jedyną korzyść z całej tej sytuacji odniósł tylko marszałek polny British Army, Bernard Law Montgomery, który poskarżył się w amerykańskim dowództwie, że jest ciągle niepokojony przez żołnierzy zadających mu rozmaite pytania, na które nie potrafi odpowiedzieć. Poprosił dowódcę 9. Armii o amerykańską kartę identyfikacyjną (ID), której oficjalnie wciąż mu odmawiano i którą w końcu otrzymał.

*

Za Otto Skorzenym, którego nazwano „najbardziej niebezpiecznym człowiekiem w Europie", wydano listy gończe, nakazujące doprowadzenie go żywego lub martwego. Zdjęcie Sturmbannführera pojawiło się w wielu miejscach na rozwieszanych przez Amerykanów plakatach. Pod fotografią widniał rysopis i krótki tekst: „Człowiek ten jest niezwykle inteligentny i bardzo niebezpieczny. Wąsy à *la* Hitler lub ogolony. Może nosić mundur amerykański, brytyjski, kanadyjski lub ubranie cywilne".

Wkrótce jego twarz znał cały Paryż, równie dobrze jak oblicze Maurice'a Chevaliera. Barczysty typ z wielką szramą na policzku! Ten, który porwał Mussoliniego, a teraz chce zabić Eisenhowera, Montgomery'ego, a może i nas wszystkich! Skorzeny i jego ludzie obrastali w legendę, stając się nową atrakcją. Oryginalną własnością miasta, które zawsze przodowało w rozrywkach.

„Radio Calais”, aliancka stacja propagandowa, prowadzona przez brytyjskiego dziennikarza Seftona Delmera, której głównym celem było szerzenie defetyzmu w niemieckich szeregach, doniosła, że schwytano dwustu pięćdziesięciu ludzi przebranych w amerykańskie mundury.

– Jeżeli ta liczba jest prawdziwa, alianci musieli aresztować też własnych żołnierzy – roześmiał się w głos Skorzeny, kiedy mu o tym doniesiono.

Z czasem niektórych z jego ludzi udało się zatrzymać na skutek omyłek językowych czy drobnych szczegółów w umundurowaniu. Amerykańska żandarmeria wojskowa doszła do wniosku, że najlepszym sposobem na złapanie szpiegów wśród tysięcy amerykańskich żołnierzy będzie zadawanie pytań, na które odpowiedzi powinien znać każdy Amerykanin, ale które mogą być kłopotliwe dla obcokrajowców, bez względu na to, jak dobrze władają językiem angielskim.

Piętnaście kilometrów przed St. Vith przed jadącą powoli kolumnę czołgów wyskoczył nagle, jak diabeł z pudełka, podwójny patrol Military Police. Żandarmi wyglądali bardziej bojowo niż normalnie, pod białymi hełmami twarze były poważne i czujne. Pistolety maszynowe nie dyndały na pasach – żandarmi trzymali je lufami do ziemi, lecz palce mieli w okolicy spustu i odciągnięte zamki.

Dowódca batalionu zbliżył się do nich, ale nie zdążył nawet mrugnąć okiem, gdy ujrzał pistolet wycelowany w miejsce, gdzie wszyscy lekarze badali mu żołądek.

– Stolica stanu Kentucky? – zapytał groźnie dowódca patrolu MP.

- *What?* (Co?) – odparł zdumiony czołgista.

– Mówię wyraźnie, więc proszę łaskawie odpowiedzieć. Jak się nazywa stolica stanu Kentucky?

– Frankfort – padła odpowiedź po chwili wahania.

– Na pewno?

– Chyba tak. Ja jestem z Illinois.

Ta krótka chwila zaostrzyła jednak najwyraźniej podejrzliwość żandarma.

– Jak ma na imię dziewczyna Myszki Miki?

– Minnie – odpowiedział automatycznie czołgista, którego zaczynała ogarniać coraz większa wściekłość.

– Kto gra na środku pola w „New York Yankees”?

– Odpierdol się, człowieku! Mówiłem już, że jestem z Illinois. Kibicuję „Chicago White Stockings”.

– Co, nie wiesz?

– Słuchaj, ty mądralo! – ryknął dowódca batalionu czołgów. – Możesz mnie jeszcze zapytać, kto był pradziadkiem Abrahama Lincolna albo ile kieliszków Edgar Alan Poe wypijał dziennie przed napisaniem opowiadania. Ale, do wszystkich diabłów, odpowiem ci na to listownie! A teraz puszczajcie nas do St. Vith, jeśli nie chcecie, żeby nas na tej cholernej drodze rozjechały „Tygrysy”.

„Shermany”, które zostały nieco z tyłu, pojawiły się nagle na zakręcie i żandarm zrezygnował z dalszej indagacji. Lufa pistoletu opadła.

– *Okay*, proszę wybaczyć, majorze, ale Niemcy rzucili nam na tyły dywersantów w naszych mundurach. Wszyscy mówią podobno świetnie po angielsku, tak jak pan i ja, i mają nasze uzbrojenie.

Na jednym z posterunków żandarmi pytali o rozmiar koszuli czy butów, licząc na to, że przyzwyczajeni do systemu metrycznego Niemcy będą się gubili w tej numeracji. Jeszcze gdzie indziej szczególną uwagę zwracano na sposób wymawiania litery „r”. Większość Niemców, nawet bardzo dobrze mówiących po angielsku, wymawiało „r” w charakterystyczny twardy sposób. Sprawdzano także dokumenty. Był pewien rodzaj identyfikatora, który w oryginale miał błąd ortograficzny. Niemcy, fałszując te dokumenty, przy okazji poprawili błąd i w ten sposób wielu zostało złapanych – bo mieli dokumenty lepsze od oryginalnych.

Z perspektywy czasu to wszystko może się wydawać śmieszne, jednak wtedy niosło za sobą poważne konsekwencje. Zatrzymywano ludzi odpowiedzialnych za powstrzymanie i odparcie niemieckiej ofensywy, a nawet kilkunastogodzinny areszt znacznie utrudniał im pracę. Niejeden rozkaz nie dotarł przez to w porę do miejsca przeznaczenia, niejedno

zadanie nie zostało wykonane, a cała amerykańska armia w Europie odpowiadała na pytania o największe miasta w Teksasie, wymieniała kolejnych mężów Mae West i studiowała aktualne miejsca poszczególnych drużyn w lidze koszykówki czy baseballu.

Dodatkowo żołnierze wroga, którzy zostali złapani w obcych mundurach, nie byli chronieni przez konwencje genewskie i mogli zostać rozstrzelani. Co prawda, armia amerykańska miała w tym zakresie znacznie wyższe standardy i raczej nie dochodziło do rozstrzelania bez przeprowadzenia całej oficjalnej procedury, w której zapewne wszyscy prawdziwi Amerykanie wykazaliby swoją niewinność, ale zawsze istniało pewne niebezpieczeństwo. W końcu była to wojna, wystarczył jeden żandarm o słabszych nerwach…

Tak czy inaczej efekty operacji „Grief” przeszły najśmielsze oczekiwania. Francję i Belgię ogarnęła istna mania szpiegowania. Aresztowano każdego, kto był choć odrobinę podejrzany.

Niemieccy komandosi, którym udało się uniknąć złapania, próbowali powrócić na własne terytorium. Nie zawsze udawało się tego dokonać bez ofiar. Podczas jednej z takich prób niemiecki oddział, złożony z ośmiu szeregowców i kapitana w amerykańskich mundurach, podjechał jak najbliżej linii frontu. Los chciał, że trafili na stanowisko sierżanta z 82. Dywizji Powietrznodesantowej, które akurat było ostrzeliwane przez niemiecki czołg. Sierżant chciał wezwać nowych towarzyszy do siebie i odeprzeć jakoś atak, jednak ci, zamiast zająć pozycje obronne, popędzili w kierunku niemieckich linii. Po kilku bezskutecznych wezwaniach podejrzliwy spadochroniarz otworzył ogień i trafił w plecy niemieckiego kapitana, jednak grupa była już na tyle blisko własnych pozycji, że przeciągnęli swojego dowódcę na niemiecką stronę frontu.

Ponieważ niemieccy żołnierzy byli chwytani w amerykańskich mundurach, później przeważnie rozstrzeliwano ich – była to dość powszechna praktyka stosowana we wszystkich innych armiach świata i wynikała z tego samego prawa, które mówi o możliwości skazania na karę śmierci szpiegów czy innych dywersantów działających w ubraniach

cywilnych. Skorzeny i jego ludzie świetnie zdawali sobie sprawę z tego niebezpieczeństwa i dlatego wielu nosiło niemieckie mundury pod amerykańskim przebraniem.

Ze stu dwudziestu żołnierzy działających w ramach grupy „Einheit Stielau" czterdziestu czterem udało się przedostać przez linię frontu i powrócić do własnych wojsk. Dalszych osiemnastu zostało pojmanych przez wojska alianckie i osądzonych za szpiegostwo, a ośmiu zginęło w trakcie operacji. Co do pozostałych ludzi z grupy „Einheit Stielau", brak jest wiarygodnych danych o ich losie.

Dla samego Skorzenego ofensywa w Ardenach zakończyła się 28 grudnia, kiedy jego brygadę zluzowała dywizja piechoty. Trzy dni później otrzymał wezwanie do kwatery Hitlera, aby osobiście złożyć raport.

*

Podczas ofensywy w Ardenach i walk o Malmédy doszło też do wydarzenia, które jeszcze przez lata całe miało wpływ na życie bohatera tej książki. 17 grudnia nacierająca w sektorze północnym w kierunku zachodnim grupa bojowa utworzona z elementów 1. Dywizji Pancernej SS Leibstandarte Adolf Hitler, wchodzącej w skład I Korpusu Pancernego SS, dowodzona przez Obersturmbannführera Joachima Peipera, około godziny 12.30 natknęła się w pobliżu skrzyżowania niedaleko wioski Baugnez, na trasie między Malmédy a miejscowością Ligneuville, na amerykański oddział z 285. batalionu obserwacyjnego artylerii polowej, który zmieniał miejsce dyslokacji. Amerykanie dostali w drodze do St. Vith wiadomość, że w okolicy działa silna jednostka niemiecka, ale postanowili zaryzykować i nie pojechali objazdem, który umożliwiłby im uniknięcie spotkania z oddziałem Peipera.

Siły niemieckie były wyposażone w czołgi, w tym ciężkie „Tygrysy Królewskie" (Panzerkampfwagen VI Ausf. B „Königstiger"). Amerykanie natomiast poruszali się lekkimi samochodami terenowymi i ciężarówkami, nie mieli broni przeciwpancernej. Wskutek niemieckiego ostrzału kolumna

amerykańska została zatrzymana. Zniszczono jedynie cztery ciężarówki, gdyż Niemcom pojazdy były bardzo potrzebne. Zanim po krótkiej walce Amerykanie się poddali, stracili trzech ludzi.

Około stu dwudziestu żołnierzy zostało rozbrojonych i ustawionych w otwartym polu, w pobliżu skrzyżowania dróg. W niewyjaśnionych do dziś okolicznościach siedzący w przejeżdżającym obok jeńców pojeździe esesman otworzył do nich ogień. Najprawdopodobniej jeńcy rzucili się do ucieczki, a wtedy zaczęli do nich strzelać inni esesmani. Grupa jeńców próbowała się schronić w pobliskiej kawiarni, jednak Niemcy podpalili budynek i zastrzelili usiłujących się wydostać. Inni padli na ziemię, bezskutecznie próbując udawać martwych. Część Amerykanów zdołała uciec do lasu, czterdziestu trzech z nich dotarło do linii alianckich, niektórzy z pomocą ludności belgijskiej.

Dokładna liczba zabitych nie jest znana. Odnaleziono łącznie osiemdziesiąt sześć ciał na miejscu masakry i w pobliżu. Prawdopodobnie Niemcy dobijali rannych – co najmniej dwadzieścia zwłok miało rany postrzałowe głowy, świadczące o oddaniu salwy z najbliższej odległości. Na ciałach kolejnych dwudziestu zabitych znaleziono rany postrzałowe głowy z broni krótkiej bez śladów prochu na ciele, a u dziesięciu innych ofiar stwierdzono śmiertelne obrażenia czaszki, powstałe w wyniku uderzeń kolb karabinowych.

Według późniejszych ustaleń komisji Senatu Stanów Zjednoczonych ofiarą „Kampfgruppe Peiper” padło w tych dniach łącznie trzystu sześćdziesięciu dwóch jeńców amerykańskich oraz stu jedenastu belgijskich cywilów. W kwietniu 1946 roku przed amerykańskim sądem wojskowym w Dachau odbył się proces Josefa Dietricha i Joachima Peipera oraz ujętych przez siły alianckie ich podkomendnych. W zbrodnię pod Malmédy usiłowano także wrobić Skorzenego, który nie miał z tym wydarzeniem nic wspólnego. W niektórych artykułach i opracowaniach, które ukazywały się w Polsce przed 1989 rokiem, Skorzeny figuruje wręcz jako „zbrodniarz z Malmédy”.

„Sepp” Dietrich został skazany na dożywocie. Później wyrok zamieniono mu na 25 lat pozbawienia wolności, a 20 października 1955 roku został potajemnie zwolniony. W sierpniu następnego roku został ponownie aresztowany, tym razem za udział w „nocy długich noży” i po procesie skazany na 19 miesięcy pozbawienia wolności. Wypuszczono go z więzienia w lutym 1959 roku ze względu na zły stan zdrowia. Zmarł na atak serca w 1966 roku. Jego pogrzeb był okazją do spotkania sześciu tysięcy weteranów Waffen-SS. O losach Joachima Peipera będzie można przeczytać w dalszej części książki.

*

Minął już dawno czas, w którym historycy uważali kontrofensywę w Ardenach za „próbę absurdalną i utopijną” lub za „szalony pomysł chorego mózgu”. Miała ona duże szanse powodzenia. Pierwszy zdał sobie z tego sprawę generał George Patton, mówiąc 18 grudnia 1944 roku: „Możemy jeszcze przegrać tę wojnę”. Sir Basil Liddel Hart wyraził to samo zdanie w *History of the Second World War*: „Pomysł, decyzja i plan strategiczny były autorstwa Hitlera. Wszystko znakomicie zaplanowano i akcja musiałaby się zakończyć pięknym sukcesem, gdyby miał on siły i rezerwy gwarantujące jego osiągnięcie…”.

Niemniej jednak, jak powszechnie wiadomo, Niemcy ponieśli ostatecznie druzgocącą klęskę, chociaż w pierwszej fazie bitwy udało im się całkowicie zaskoczyć anglo-amerykańskie wojska, zadając im ciężkie straty i zmuszając do zaangażowania sporych sił do powstrzymania ofensywy. Sami jednak stracili tak dużo sprzętu i żołnierzy, że ułatwili aliantom podjęcie ataku na linię Zygfryda, a Rosjanom ofensywę, która ruszyła na wschodzie w początkach stycznia 1945 roku.

Właściwie już 24 grudnia, po ośmiu dniach walk, stało się oczywiste, że kontrofensywa w Ardenach się nie powiodła. Bitwa jednak trwała do 8 stycznia 1945 roku, kiedy to w końcu Hitler zmuszony był uznać, że poniósł porażkę, i zgodzić się na ograniczony odwrót.

Niemcy stracili w niej około stu dwudziestu tysięcy zabitych, rannych, zaginionych i wziętych do niewoli. Straty w sprzęcie pancernym były równie pokaźne i wyniosły łącznie około sześciuset czołgów i dział szturmowych. Sama 6. Armia Pancerna „Seppa" Dietricha utraciła trzysta pięćdziesiąt czołgów i trzydzieści siedem tysięcy ludzi. „Panzerlehrdivision" generała porucznika Fritza Bayerleina wróciła ze „zwycięskiego marszu na Zachód" z dziesięcioma czołgami, sześcioma działami szturmowymi i czterystoma żołnierzami.

Także i alianci ponieśli w Ardenach ciężkie straty. Oficjalne dane sztabu Eisenhowera, odnoszące się do jednostek US Army, wymieniały liczby: 76 800 ludzi oraz 733 czołgi i niszczyciele czołgów. Dywizje 28. i 106. przestały praktycznie istnieć. Jednak w odróżnieniu od swych wrogów alianci potrafili szybko uzupełnić swoje straty. 22 stycznia pogoda znów się poprawiła i alianckie bombowce zaczęły likwidować kolumny niemieckich aut wycofujących się z Ardenów. W kolejnych dniach amerykańskie oddziały niszczyły ostatnie ogniska oporu i 28 stycznia alianci wrócili na pozycje, jakie zajmowali 16 grudnia, kiedy zaskoczył ich nieoczekiwany atak Hitlera.

Największe sukcesy na polu bitwy w Ardenach odnieśli – jak się ostatecznie okazało – Rosjanie. 5. i 6. Armie Pancerne były jeszcze wówczas największym atutem Hitlera. Na front wschodni przesunęły się jednak dopiero po rozpoczęciu ofensywy Stalina na Wiśle, co znacznie ułatwiło Armii Czerwonej marsz naprzód. Co prawda, nawet wykorzystując całą swoją siłę, nie zatrzymałyby Sowietów, niemniej jednak liczba zabitych rosyjskich żołnierzy byłaby niezaprzeczalnie większa, a II wojna światowa potrwałaby z pewnością dłużej.

12 stycznia 1945 roku z przyczółka wiślanego pod Baranowem ruszyła wielka ofensywa sowiecka. Front niemiecki załamał się jak pod żelaznym walcem. W ciągu paru dni czołówki rosyjskie dotarły do Bydgoszczy i przekroczyły dawną granicę polsko-niemiecką, zbliżając się szybkim marszem do Odry. Na odcinku południowym armie sowieckie zdobyły

Budapeszt i wkroczyły na terytorium Słowacji, gdzie latem 1944 roku wybuchło krwawo stłumione przez Niemców powstanie.

Na początku marca czołówki amerykańskie generała Omara Bradleya przekroczyły Ren. Dowódca obrony wewnętrznej, Heinrich Himmler, wydawał coraz okrutniejsze i bardziej bezwzględne rozkazy, aby powstrzymać defetyzm. Nie wolno było cofać się, nie wolno było nawet słowem wspomnieć o kapitulacji. W każdym wypadku karano za to szubienicą, jednakowo oficerów i żołnierzy, jak i cywilów. Od pięciu lat padały rozkazy, od pięciu lat raz po raz ruszała gigantyczna machina Wehrmachtu uzbrojona przez wielki niemiecki przemysł, wyhodowana przez starych pruskich militarystów i opatrzona nową, bandycką ideologią nazizmu, spojona tradycją dawnych podbojów i widmem nowych łupów. Teraz jednak klęska III Rzeszy stała się już oczywistym faktem.

*

Wiejący od wschodu wiatr przynosił odgłos armat, zdradzając, że jeszcze trwają ostatnie podrygi czarnej bestii, która przed pięcioma laty wypełzła na podbój Europy. Życie ludzkie znaczyło w tych dniach mniej niż guzik od spodni. Coraz bardziej aktualny dla sojuszników stawał się problem określenia zasad okupacji pokonanych Niemiec i cały szereg innych podstawowych problemów, wynikających ze zwycięskiego rozstrzygnięcia wielkiej wojny.

Konferencja w Jałcie, zwana także krymską, odbyła się w Pałacu Potockich (leżącym właściwie w Liwadii, ukraińskim osiedlu położonym na przedmieściach Jałty, około trzech kilometrów na południowy zachód od tego miasta). Trwała od 4 do 11 lutego 1945 roku. Była drugim – po konferencji teherańskiej – spotkaniem przywódców antyhitlerowskiej koalicji, tak zwanej Wielkiej Trójki: Roosevelta, Churchilla i Stalina. Miała decydujące znaczenie dla powojennego kształtu Europy, zdecydowała też ostatecznie o przesunięciach powojennych polskich granic oraz o przynależności przyszłego państwa polskiego do bloku krajów-satelitów

Związku Sowieckiego. Wielka Trójka odbyła kilka konferencji, jednak to właśnie na konferencjach teherańskiej i jałtańskiej (oraz późniejszej poczdamskiej, lipiec–sierpień 1945 roku) zapadły decyzje najwyższej wagi.

Szybkie postępy terytorialne zimowej ofensywy Armii Czerwonej zostały na konferencji w Jałcie bezlitośnie wykorzystane politycznie przez Józefa Stalina. To właśnie, a także fakt, że Stany Zjednoczone oczekiwały na szybką pomoc ZSRS w wojnie z Japonią, zadecydowało o zbliżeniu stanowisk między Rooseveltem a Stalinem. Oba mocarstwa były gotowe do podziału świata na dwie strefy wpływów. Pozycja Churchilla – inicjatora Karty Atlantyckiej – została mocno ograniczona.

Przede wszystkim rozstrzygnięto tam sprawę Niemiec: siły każdego z trzech mocarstw, łącznie z Francją, miały okupować wyznaczone na konferencji 4 strefy pokonanej Rzeszy. Zgodnie z tym planem przewidziano utworzenie skoordynowanej administracji i kontroli za pośrednictwem Sojuszniczej Komisji Kontroli, złożonej z naczelnych dowódców trzech mocarstw. Obciążono też Niemcy reparacjami wojennymi. USA i Wielka Brytania wyraziły zgodę na przyłączenie do Związku Sowieckiego państw bałtyckich oraz uzyskanie przez Stalina zasadniczych wpływów politycznych w Bułgarii, Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii i w Polsce, tudzież – w mniejszym zakresie – w Jugosławii i Austrii. Przystąpienie ZSRS do wojny z Japonią uzyskane zostało również dzięki zgodzie na zdobycie przez Stalina wpływów w Mongolii i Korei. Podjęto też decyzję o powołaniu Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ), której pierwsze posiedzenie odbyło się już w kwietniu tego roku.

W sprawie Polski postanowiono, że jej wschodnia granica przebiegać będzie wzdłuż linii Curzona (z niewielkimi odchyleniami na korzyść Polski) oraz że Polska powinna otrzymać od Niemiec rekompensatę na północy i zachodzie za zagarnięte przez Związek Sowiecki Kresy Wschodnie. Mocarstwa zgodziły się na utworzenie w Warszawie Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, który zobowiązany został do przeprowadzenia „wolnych i nieskrępowanych wyborów na zasadzie powszechnego głosowania”. (Wybory zostały oczywiście sfałszowane).

Churchill i Roosevelt uznali też zgodność działań NKWD z konwencją dotyczącą prowadzenia wojny na lądzie – w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa, spokoju i porządku na tyłach Armii Czerwonej na terytorium Polski. Sojusznicy dali Stalinowi *carte blanche* na siłowe zniszczenie niepodległościowego podziemia zbrojnego, przede wszystkim Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych[5].

Przypisy

1 Zanim jeszcze rozwinęła się komunikacja lotnicza, Londyn stał się jedną z pierwszych stolic zaatakowanych z powietrza. Pierwszy nalot miasto przeżyło już w 1915 roku, kiedy zbombardowano je z zeppelinów. Rok później Niemcy cesarskie posłużyły się już usprawnioną techniką ataków lotniczych, używając do tego celu samolotów i zrzucając niewielkie bomby na Billingsgate, Cheapside i Aldersgate. W czasie II wojny światowej w wyniku bombardowań City zamieniona została w gruzy i pogorzeliska. Drugą dzielnicą najczęściej atakowaną przez hitlerowców był East End. Wybrano ją jako cel ze względu na największe zagęszczenie mieszkańców. Niemcy liczyli bowiem, że straty zadane najbiedniejszej ludności wywołają nastroje defetystyczne i antywojenne. Jednakże cały Londyn wykazał wielki hart ducha i zdyscyplinowanie. Te cechy oraz sprawna organizacja sprawiły, że w Londynie zginęło w czasie wojny zaledwie 30 tys. osób, a około 50 tys. zostało rannych.

2 V-2 (Vergeltungswaffe-2) – pierwszy w historii udany konstrukcyjnie rakietowy pocisk balistyczny, skonstruowany przez zespół niemieckich konstruktorów pod kierunkiem Wernhera von Brauna w czasie II wojny światowej. Pocisk V-2 po raz pierwszy w historii ludzkości przekroczył tzw. linię Kármána (wysokość stu kilometrów), wchodząc w przestrzeń kosmiczną. Projekt rakiety pionowego startu A4 (niem. Aggregat 4), znanej później pod wojskowym oznaczeniem V-2, opracowany został już

w połowie lat trzydziestych przez Hermanna Obertha i Wernhera von Brauna. Prace prowadzone były w doświadczalnym ośrodku rakietowym w pobliżu wioski Kumersdorf, w lasach na południe od Berlina. Ze względu na wagę przywiązywaną do prac nad nową bronią przez kierownictwo III Rzeszy i samego Führera, jak również z powodu niewystarczających możliwości ośrodka w Kumersdorfie, w 1937 roku wybudowano nowy ośrodek badawczy na wyspie Uznam w pobliżu wioski Peenemünde. W tym samym roku prace nad bronią rakietową zostały przeniesione do nowego ośrodka i były tam prowadzone aż do końca wojny. Pierwszy udany start rakiety A4/V2 przeprowadzono 13 czerwca 1942 roku, lecz właściwie na starcie się skończyło, ponieważ eksplodowała po przeleceniu zaledwie 1300 metrów. Całkowicie udana próba odbyła się 3 października tego samego roku. W połowie lata 1943 roku w ośrodku doświadczalnym w Peenemünde uruchomiona została linia montażowa rakiet V-2. Uruchomienie drugiej linii oraz szerszą produkcję rakiet uniemożliwił Niemcom nalot na Peenemünde przeprowadzony przez alianckie lotnictwo bombowe w sierpniu 1943 roku.

Do 1943 roku alianci nie zdawali sobie sprawy z wagi prac prowadzonych przez Niemców w ramach projektu A4/V2 i powstającego w związku z tym zagrożenia dla Wielkiej Brytanii. Nie znali też roli ośrodka doświadczalnego w Peenemünde, którego znaczenie odkryte zostało przez polski wywiad AK w lutym 1943 roku. To właśnie głównie informacje polskiego wywiadu stały się podstawą decyzji o zbombardowaniu Peenemünde przez brytyjskie lotnictwo bombowe RAF. Bombardowanie odbyło się w nocy z 17 na 18 sierpnia 1943 roku. Zniszczenie znacznej części ośrodka doświadczalnego opóźniło prace nad rozwojem rakiety i, co ważniejsze, opóźniło uruchomienie masowej produkcji pocisków (rakieta V-2 została użyta przez Niemców dopiero po lądowaniu aliantów w Normandii 6 czerwca 1944 roku). Nalot uświadomił Niemcom, że ośrodek w Peenemünde znajduje się w zasięgu alianckiego lotnictwa bombowego i że aliantom znana jest jego rola. Zmusiło to Niemców do rozproszenia produkcji pocisków V-2 po terenie Rzeszy oraz

do przeniesienia prób poligonowych rakiety w bezpieczniejszy rejon. Część produkcji przeniesiona została do ogromnej podziemnej fabryki w Nordhausen w górach Harzu, funkcjonującej pod kryptonimem „Dora” (filii obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie). Zarówno żeby zbudować system tuneli w tej fabryce, jak i zbudować rakiety V-2 w ogromnej liczbie, Niemcy wykorzystali do tego robotników przymusowych pochodzących głównie z obozów koncentracyjnych. Do tego celu zatrudnili 60 tys. więźniów, z których wielu zmarło z powodu głodu, zimna i chorób. Próby poligonowe rakiety V-2 przeniesione zostały w rejon Pustków–Blizna (niem. Heidelager Blizna) na południu Polski. Pierwszą rakietę na nowym poligonie odpalono 5 listopada 1943 roku. 20 maja 1944 roku w okolicach Sarnak Armia Krajowa przejęła niewybuch rakiety V-2. Po rozebraniu na części został on zbadany w tajnych laboratoriach AK. W badaniach pocisku udział brali m.in. prof. Janusz Groszkowski, prof. Marceli Struszyński oraz inż. Antoni Kocjan. Najważniejsze części rakiety oraz wyniki badań zabrane zostały do Wielkiej Brytanii w nocy z 25 na 26 lipca 1944 roku przez brytyjski samolot, który wylądował na terenie okupowanej Polski w pobliżu Tarnowa (operacja „Most III”). Latem 1944 roku w związku ze zbliżaniem się frontu próby balistyczne rakiet przeniesiono na poligon „Heidekraut” (pol. „Wrzos”) w okolicach Wierzchucina w Borach Tucholskich. Ostatnie strzelanie stamtąd miało miejsce 11 stycznia 1945 roku, po czym wyposażenie poligonu ewakuowano do miejscowości Wolgast. W lipcu i sierpniu 1944 roku Amerykanie dokonali trzech nalotów na Peenemünde, podczas których około 1200 samolotów B-17, latających fortec, zrzuciło 3 tys. ton bomb.

Masową produkcję rakiet V-2 Niemcy uruchomili w październiku 1943 roku, a w styczniu 1944 roku pierwsze rakiety tego typu mogły być już dostarczane na uzbrojenie Wehrmachtu, jednak żadna z nich nie miała odpowiednio wysokiej jakości, żeby mogła zostać wykorzystana bojowo. Rakietą nie dało się sterować, bardzo trudno było też określić dokładny zasięg tych pocisków, a sama rakieta bardzo często chybiała cel o odległość kilku kilometrów. Oznaczało to, że mogła ona zostać użyta tylko jako „broń

terroru”. Na początku produkowano około 500 rakiet V-2 miesięcznie, ale celem Niemców było zwiększenie produkcji do 900 sztuk miesięcznie. Należy jednak pamiętać, że około 6% wszystkich V-2 eksplodowało natychmiast po starcie, a kolejne 60% miało zbyt duże wady techniczne oraz konstrukcyjne i zanim mogły one zostać wprowadzone do służby, potrzebowały dodatkowych ulepszeń. Powstało także wiele projektów, które były bazowane na podstawie V-2. Między innymi dwustopniowa wersja mająca zasięg ponad 5500 km oraz obsadzona załogą wersja „kamikadze” tej rakiety. Zbudowano również specjalne okręty podwodne, które miały wystrzeliwać pociski V-2 w zanurzeniu. Istniały nawet plany ataku na Nowy Jork za pomocą V-2, które miały zostać wystrzelone właśnie z okrętu podwodnego tego typu. Głównym przeznaczeniem pocisków V-2 był jednak ostrzał miast Wielkiej Brytanii. W tym celu na francuskim wybrzeżu kanału La Manche Niemcy przygotowali schrony-wyrzutnie do wystrzeliwania rakiet. Zniszczenie znacznej części wyrzutni przez alianckie lotnictwo zmusiło ich do przygotowania wystrzeliwania rakiet V-2 z ruchomych wyrzutni, których 45 miało być rozmieszczonych na wybrzeżu francuskim od Calais do Cherbourga. Inwazja wojsk alianckich w czerwcu 1944 roku w Normandii uniemożliwiła realizację i tego planu. Ostatecznie rakiety V-2 wystrzeliwano z terenu Holandii, z okolic Hagi. Pierwsza rakieta V-2 odpalona została 7 września 1944 roku o godz. 8.30 na Paryż. Do 27 marca 1945 roku z Holandii odpalono około 5500 rakiet, z których 2894 trafiły Londyn, a około 1600 – Antwerpię. Do zakończenia działań bojowych przez jednostki rakietowe ogółem odpalono 5500 rakiet V-2. Około 70% z nich trafiło w cele. Ostatnią rakietę odpalono 27 marca 1945 roku. Ogółem ataki rakiet V-2 spowodowały śmierć 7250 żołnierzy i cywilów.

Po zakończeniu wojny Wernher von Braun przechwycony został przez Amerykanów, a V-2 stały się podstawą rozwoju pocisków balistycznych w USA, ZSRS, Chinach oraz Francji. Duża grupa naukowców i konstruktorów programu V-2 została aresztowana, wielu z nich zostało przewiezionych do USA, gdzie stanowili następnie trzon personalny

programu balistycznego US Army. Związek Sowiecki dla przechwyconych przez siebie niemieckich specjalistów programu V-2 utworzył pierwotnie ośrodek naukowo-badawczy – Instytut Rabe w Nordhausen, gdzie mieli kontynuować swoją pracę. Jednakże 22 października 1946 roku funkcjonariusze NKWD aresztowali ich wraz z rodzinami oraz specjalistami z innych dziedzin techniki wojskowej. Grupę tę, złożoną z około 5 tys. osób, wywieziono w głąb ZSRS, gdzie mieli kontynuować swoje prace pod ścisłym nadzorem. W konsekwencji niemieccy konstruktorzy V-2 wnieśli znaczący wkład zarówno do amerykańskich, jak i sowieckich programów balistycznych.

3 Skorzeny miał widać sporą skłonność do nadawania różnym nieuprawnionym do tego ludziom naukowych tytułów. Ferdinand Porsche, podobnie jak i wymieniony przez niego wcześniej Ernst Heinkel byli takimi samymi „profesorami”, jak uparcie tytułowany przez niektórych tym mianem Władysław Bartoszewski. Inżynier Porsche (1875–1951) – konstruktor samochodów i innych pojazdów mechanicznych, był tylko doktorem i to w dodatku *honoris causa* kilkunastu światowych uczelni.

4 Po załamaniu się ofensywy w Ardenach 6. Armia Pancerna została przerzucona na Węgry. Po ciężkich walkach wojskom „Seppa” Dietricha ledwo udało się uniknąć okrążenia przez Armię Czerwoną i musiały się wycofać do Austrii, gdzie powierzono im obronę Wiednia. W maju 1945 roku Dietrich poddał swoje oddziały 7. Armii amerykańskiej.

5 Rząd Polski na emigracji wydał w lutym 1945 roku oświadczenie stwierdzające, że układy jałtańskie nie są zobowiązujące dla narodu polskiego. Postanowiono trwać w oporze, nie legalizować bezprawia: odebrania Polsce połowy jej przedwojennego terytorium i wyrażenia zgody przez aliantów na politykę faktów dokonanych, uprawianą przez Stalina od połowy 1943 roku. Część środowisk emigracyjnych ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele nie podzielała stanowiska rządu. Ich zdaniem kraj był wycieńczony wojną i zbrojny opór przeciwko ustaleniom jałtańskim nie miał szans powodzenia. Dlatego też Mikołajczyk zdecydował się na wzięcie udziału w rozmowach moskiewskich w czerwcu 1945 roku,

podczas których ustalono ostateczny skład Tymczasowej Rady Jedności Narodowej.

Rozdział 8

Nad Odrą

Nadszedł rok oznaczony dla Niemców ową magiczną liczbą – 45. Rok popiołów. Rok, w którym przyszło płacić rachunki. Jeszcze wiele lat później, gdy wymieniało się tę liczbę, każdy zdradzał, co o niej myśli. Dla jednych oznaczało to swobodne odetchnięcie po upadku największej tyranii, dla innych – kres wszelkich nadziei na to, aby pozostałych zmusić przy użyciu brutalnej przemocy do niewolnictwa. Swoiste niemieckie *mene tekel*, którego wielu nie chciało, czy też nie potrafiło pojąć. A nie chcieli pojąć przede wszystkim ci, którzy nie mieli odwagi użyć słowa „wyzwolenie” lub wymawiali je z pogardliwą intonacją bądź też używali zamiast tego słowa „załamanie”.

W owym roku przemoc i krew na ulicach niemieckich miast stawały się czymś powszechnym i normalnym. Był to czas ulotek propagandowych i bomb pozostawiających po sobie dygocące i dymiące szczątki ciał ludzkich, procesji i przemarszów świętych i generałów cuchnących obłudą i agonią, płomiennych przemówień, w których wszyscy kłamali i wszyscy mieli rację. W zatrutym powietrzu wisiały wściekłość i nienawiść, nagromadzone przez lata, w trakcie których ludzie mordowali się wzajemnie w imię wielkich haseł i w imię barw na byle szmacie. Bezustanna mgła wyciekająca z fabrycznych kominów pełzła po brukowanych alejach pokrytych bruzdami szyn. Były to lata, kiedy dojrzewało się szybko, a dzieci, które ledwo odrosły od ziemi, miały już spojrzenie starych ludzi.

– Rozpoczyna się Nowy Rok, 1945. Z tej okazji, moi drodzy, chcę bardzo podziękować wam wszystkim, mężczyznom, kobietom oraz młodzieży z Hitlerjugend, za to, co wycierpieliście, zrobiliście, znosiliście i osiągnęliście – Otto Skorzeny słuchał nadawanego przez rozgłośnię radiową „Grossdeutscher Rundfunk” noworocznego przemówienia Führera. – Nie rozpaczajcie! Pragnę, abyście w dobie kryzysu naszego narodu z największym poświęceniem kontynuowali walkę. Nie mogę zakończyć bez złożenia podziękowań Panu Bogu na wysokości za wsparcie, jakie dawał mnie i mojemu Narodowi, co uczyniło nas silniejszymi od naszych wrogów.

W przemówieniu nie znalazła się najmniejsza nawet wzmianka o walkach na zachodzie, która sugerowałaby klęskę na tym froncie. Wielu ludzi było przekonanych, że zostało nagrane wcześniej lub że jest to zwyczajne oszustwo, ponieważ Hitler nie pokazywał się publicznie już od bardzo dawna i po Berlinie krążyło mnóstwo różnych plotek. Niektórzy uważali, że wódz Rzeszy całkowicie oszalał i że Göring znajduje się w jakimś tajnym więzieniu, gdyż próbował uciec do Szwecji.

Wielu berlińczyków, jakby obawiając się tego, co przyniesie ten Nowy Rok, nie stukało się nawet kieliszkami podczas wznoszenia tradycyjnego toastu *Prosit Neujahr!* Joseph Goebbels wraz z rodziną gościł tego dnia u siebie pułkownika Hansa-Ulricha Rudela, asa z jednostki samolotów szturmowych, stukasów, jednego z najbardziej obsypanych odznaczeniami oficerów Luftwaffe. Okazując swoją obywatelską postawę w tych trudnych chwilach, rodzina ministra propagandy przywitała gościa kartoflanką.

Dzień wcześniej, 31 grudnia, w Sylwestra, Otto stawił się w Ziegenbergu w górach Taunus, niedaleko Bad Nauheim, na północny zachód od Frankfurtu nad Menem. Na potrzeby kwatery Hitlera zaadaptowano tam osiemnastowieczny pałac, połączony czterystuseśćdziesięciometrowym betonowym tunelem z dwukondygnacyjnym bunkrem (Haus 7). Bunkry w Ziegenbergu, podobnie jak bunkry punktu dowodzenia, obłożono maskującą elewacją. W pobliżu pałacu znajdował się również punkt ewakuacyjny, trzykondygnacyjny schron przeciwlotniczy, który służył jako

schronienie zarówno żołnierzom, jak i cywilom, garaż dla pojazdów ze stacją paliw, baraki mieszkalne i bunkry ochrony przeciwlotniczej[1].

*

Jechał tam z duszą na ramieniu. Wiedział, że Führer zdaje sobie sprawę z załamania swojego pierwotnego planu. Niemcom nie udało się przeskoczyć za Mozę, nie mówiąc już o dotarciu do morza. 26 grudnia do oblężonych w Bastogne oddziałów alianckich dotarła pomoc i pierścień niemieckiego okrążenia pękł. Natarcie Dietricha z północy też się nie udało. Po wzięciu Manhay dywizje niemieckie zostały powstrzymane w trzydniowej krwawej walce.

Hitler rzucał do boju dywizje odwodowe, toczyła się druga bitwa o Bastogne – znacznie bardziej krwawa i zacięta od pierwszej. Wielkie jednostki niemieckie miotały się jak ryby w sieci, uderzając w różne strony. W Alzacji rozpoczęła się operacja „Nordwind”, która miała pomóc atakującym w Ardenach. Wszystko to jednak nie mogło zmienić istoty rzeczy: pierwotny plan nie zdał egzaminu.

A przecież Skorzeny ze swoją brygadą miał właśnie odegrać w nim tak wielką rolę…

To on miał uchwycić mosty na Mozie i utrzymać je do chwili nadejścia oddziałów pancernych Dietricha! Co prawda, to Dietrich, a nie on, zawalił sprawę, ale niejednego już Cygana zamienili z kowalem na szubienicy…

Minąwszy po drodze kilka rozlokowanych w lesie posterunków, Otto wszedł do poczekalni. Po chwili pojawił się tam feldmarszałek Wilhelm Keitel i zaprowadził go do Hitlera.

Jak na wodza trzech armii, które jeszcze nie wygrały bitwy i nie osiągnęły celów, które im postawiono, Führer wyglądał dość rześko. Kiedy zobaczył zabandażowaną głowę Skorzenego, natychmiast rozkazał, aby zbadali go lekarze. Doktor Ludwig Stumpfegger stwierdził zainfekowanie rany, opatrzył wielkiego esesmana jak należy i zaordynował serię zastrzyków.

Hitler ucieszył się wyraźnie na wieść, że oko Skorzenego jest całe, i poświęcił mu pół godziny rozmowy.

– Zła pogoda wyeliminowała wprawdzie nieprzyjacielskie lotnictwo – powiedział – ale nasze czołgi zostały zablokowane przez pierwsze dwa dni. Nie mogły poruszać się w odpowiednim tempie po fatalnych drogach. Maszerujące dywizje piechoty posuwały się równie szybko jak niektóre nasze dywizje pancerne! Mimo wszystko przeciwnik poniósł ciężkie straty i, co najważniejsze, ofensywa zadała poważny cios jego morale.

– Tak jest! – powiedział Skorzeny, no bo co właściwie miał powiedzieć?

– Najważniejsze – kontynuował Führer – że żołnierz brytyjski i amerykański myślał, iż dalej będzie go już czekać tylko wojskowy spacerek. Oświadczyli mu to jego dowódcy. A tu nagle nieboszczyk wstaje i przechodzi do ofensywy! – Zaśmiał się głośno. – 17 grudnia tylko w Schnee-Eifel zagarnęliśmy od ośmiu do dziesięciu tysięcy jeńców! Nie możemy czekać, aż przyjdą nas zarżnąć, Skorzeny! Jedyne wyjście dla Niemiec to zwycięska walka!

– To prawda, *Mein Führer*, ale przecież nie został osiągnięty żaden z dwóch celów operacji „Greif” – Otto zdecydował się na szczerość.

– Nie mam panu nic do zarzucenia, Skorzeny – Hitler machnął lekceważąco ręką. – Musiał pan przecież improwizować, mając do dyspozycji bardzo szczupłe środki. A pańska brygada pancerna nie mogła odegrać swej roli u boku 6. Armii. Udałoby się, gdybym postawił pana w czołówce 5. Armii. Udałoby się panu wtedy niewątpliwie minąć Dinant. Być może nawet dotarłby pan do Brabancji i kto wie, co z tego by wynikło! Co do pańskich komandosów, to mam wrażenie, że psychologiczny efekt ich działania był prawdopodobnie dużo ważniejszy niż pan może przypuszczać.

Otto wyraźnie odetchnął z ulgą. Ta rozmowa mogła przecież wyglądać zupełnie inaczej.

Hitler przyznał również Honorową Odznakę Wojsk Lądowych samemu Skorzenemu oraz dowódcom grup bojowych „X”, „Y” i „Z” (Obersturmbannführer Hardieck otrzymał ją pośmiertnie).

Najważniejsze zostawił na koniec.

– Teraz zaczniemy prawdziwą ofensywę, tutaj! – rzekł z emfazą, uderzając dłonią w leżącą na stole ogromną mapę.

Wzrok Skorzenego powędrował tam, gdzie spoczęła ręka wodza. Zobaczył południowy wschód: może to Węgry, może Śląsk… – nie bardzo mógł to rozeznać.

– Tutaj! – powtórzył Hitler. – Tutaj musimy rozpocząć nowe uderzenie! Wszystkie siły muszą zostać skierowane na wschód. Tam, gdzie jest główny i najgroźniejszy przeciwnik, Rosja!

Skorzeny opuścił salę konferencyjną nieco zdumiony, chociaż w dużo lepszym nastroju niż w momencie wejścia. Zadawał sobie tylko pytanie, skąd Hitler czerpie ten swój cały optymizm.

Gdy zbierał się w poczekalni do odejścia po zakończonej audiencji, ktoś nagle ujął go za łokieć. Doktor Karl Brandt!

– No i co? – zapytał półgłosem lekarz. – Führer się trzyma…

– Całkiem nieźle – odpowiedział Otto.

– To te zastrzyki Morella – Brandt ściszył głos do szeptu. – Przeanalizowałem ostatnio skład jednej z tych pigułek na ból żołądka. Zawierała arszenik. Ostrzegałem Führera, ale nie chciał słuchać.

– Chyba nie jest tak źle, skoro spełniają swój cel i Hitler wydaje się być w jak najlepszej kondycji.

– Spełniają… – parsknął lekarz. – Ale na jak długo to starczy?…

*

Z dywersantów Skorzenego po pogromie ocalała tylko jedna trzecia. Resztki przetrzebionych grup powracały do zamku Friedenthal, gdzie panowała atmosfera niczym w pasie przyfrontowym. Powoli Otto zaczynał dostrzegać drugą stronę medalu. Starannie planowane misje z dawnych czasów, przeprowadzane przez kilku śmiałych specjalistów, ustąpiły obecnie pospiesznie kleconym „robótkom” przeprowadzanym przez

śmiałych, ale słabo wyszkolonych ludzi, których życie poświęcano z godną uwagi niefrasobliwością. Wojna stawała się koszmarem.

Baron Gustav von Leppel, oficer służby bezpieczeństwa, skierowany w tych dniach do Friedenthal, otrzymał szczególnie tajną i delikatną misję. W jej treści przewijało się najczęściej jedno słowo: Hiszpania. W Barcelonie od lat istniała „Niemiecka Szkoła Handlowa", pod którym to szyldem kryło się centrum wywiadu SS. Z biura Waltera Schellenberga, który trzymał już w rękach wszystkie nici wywiadów – Schutzstaffel i wojskowego – napływały do Friedenthal nieprzerwanie rozkazy. Pakowano najcenniejsze dokumenty, zwijano w role filmy i niepozornie wyglądające bagaże wędrowały samolotami na Półwysep Iberyjski. Dotychczas jeszcze nigdy nie widziano takiej liczby tajnych kurierów, zmierzających spod Berlina do Hiszpanii. A każdy z nich holował co najmniej jedną ogromną walizę.

Teraz, kiedy 150. Brygada była praktycznie w rozsypce, Adrian von Fölkersam poprosił Skorzenego o nowy przydział.

– Chyba nie będzie już żadnych misji w rodzaju tej we Włoszech czy na Węgrzech… – zastanowił się szef sztabu.

– Chyba nie. Tamte chwalebne dni przeszły do historii… Gdzie chciałbyś służyć?

– Poproszę o przydział na regularną linię frontu.

Otto spełnił prośbę swego wiernego druha. Nigdy więcej go już nie zobaczył, dwudziestosiedmioletni SS-Hauptsturmführer zginął 21 stycznia 1945 roku pod Inowrocławiem. „Należał z pewnością do najbardziej eleganckich i zachowujących zimną krew poszukiwaczy wojennych przygód – napisał o nim w swych wspomnieniach – […]. Dla tych, którzy go znali, Adrian von Fölkersam nie zginął. Zbyt gardził śmiercią, by kiedykolwiek umrzeć".

Adrian von Fölkersam, a właściwie baron Adrian von Fölkersam, urodził się 20 grudnia 1914 roku w arystokratycznej rodzinie bałtyckich Niemców, zasłużonych wielce dla Imperium Rosyjskiego. Jego dziadek, admirał Dmitrij von Fölkersam, zginął 28 maja 1905 roku w przegranej przez

rosyjską flotę bitwie z Japończykami pod Cuszimą. Pradziadek Adriana, Gustav von Fölkersam, był carskim generałem.

Po rewolucji październikowej rodzina Fölkersamów schroniła się na Łotwie, gdzie Adrian ukończył gimnazjum w Rydze. W 1934 roku rozpoczął studia ekonomiczne na Uniwersytecie w Monachium, które kontynuował następnie w Königsbergu i Wiedniu. W tym samym roku został członkiem NSDAP i SA. Po skończeniu studiów wrócił na Łotwę, a po wybuchu II wojny światowej wyjechał do Niemiec, gdzie w maju 1940 roku wstąpił do „Brandenburczyków", niemieckiej jednostki wojskowej przeznaczonej do działań specjalnych, głownie dywersyjno-rozpoznawczych. (Pod koniec wojny przekształconej w dywizję grenadierów pancernych).

W ramach tej jednostki wziął udział w operacji „Barbarossa". Dowodzona przez von Fölkersama grupa 62. Dywizji Niemców Sudeckich wsławiła się przeprowadzoną na terenie wroga śmiałą akcją.

„Było to w lipcu 1942 roku na Kaukazie – wspominał sam von Fölkersam. – Choć byłem tylko podporucznikiem dywizji «Brandenburg», w tej operacji odgrywałem rolę majora Truchina z NKWD, który przybył wprost ze Stalingradu ze specjalnymi instrukcjami […]. W większości w jego [dowodzonego przez Fölkersama oddziału] skład wchodzili mówiący płynnie po rosyjsku mieszkańcy krajów bałtyckich. Resztę stanowili osobiście wybrani przeze mnie Niemcy sudeccy. Nie byliśmy specjalnie dumni z noszenia mundurów NKWD, ale mus to mus, zwłaszcza jeśli wróg nie przestrzega praw wojennych. Znaleźliśmy się na czele 17. Armii generała [Richarda] Ruoffa, a dokładniej 13. Dywizji Pancernej generała [Traugotta] Herra, która w Armawirze dotarła do rurociągu Rostów–Machaczkała–Baku. Wypuszczono nas przed miejscowością Biełoreczeńsk, położoną 50 kilometrów na północny zachód od Majkopu – dużego ośrodka wydobycia ropy. Otrzymaliśmy dwa zadania: mieliśmy maksymalnie ułatwić naszym czołgom zdobycie Majkopu oraz zapewnić – w miarę możliwości – ochronę instalacji wydobywczych przed

zniszczeniem. Dowodziłem komandem, którego wszyscy członkowie nosili mundury NKWD.

Zwiad doniósł mi, że w nieodległej wiosce biwakują rozbitkowie z wycofujących się jednostek sowieckich. Zostali odcięci od swoich oddziałów. W zróżnicowanych grupach dochodziło do kłótni. Znajdowali się w nich Kozacy z Kubania, Ukraińcy, oddziałki Kirgizów, Czerkiesów i Turkmenów (wszyscy byli muzułmanami) oraz Gruzinów, Rosjan i Sybiraków. Razem około 700–800 ludzi. Tylko Rosjanie i Sybiracy pragnęli dołączyć do odchodzących jednostek, ale pozostawali w mniejszości; ich oficerowie byli zaniepokojeni. Jeszcze bardziej zaciekawił mnie fakt, że poza końmi i wielbłądami mieli ciężarówki i benzynę. Mój plan był niebawem gotów.

O świcie otoczyliśmy wioskę i strzelając w powietrze, zaatakowaliśmy, budząc, rozbrajając i popychając całe towarzystwo na główny plac przy akompaniamencie okrzyków «Dawaj! Dawaj!» Tam moi wierni towarzysze «z NKWD» otoczyli całą grupę i osłaniali mnie, gdy wskoczyłem na maskę jednej z ciężarówek i zaimprowizowałem przemówienie.

Po stwierdzeniu, że znaleźliśmy wszystkich w błogim śnie, podczas gdy sowiecka ojczyzna wymaga czujności od każdego z jej obrońców, krzyknąłem: «Co tu się dzieje? Mamy tu dezerterów?! Mamy zdrajców! Czy wy nie rozumiecie, towarzysze, że genialny ojciec narodów, nasz wielki towarzysz Stalin, wszystko przewidział? Po co faszyści doszli aż do Kaukazu? Powiem wam! Aby tu wyginąć co do jednego! Te góry będą ich grobem».

W tym momencie kilku Kozaków pozwoliło sobie na sarkastyczne uwagi, które rozśmieszyły jednego z nich. Na mój znak chwyciło go dwóch moich enkawudzistów.

– Zabić go, towarzyszu majorze?

– Za chwilę, towarzysze. Nie zaszkodzi, jak posłucha. Odprowadzić!

Kontynuowałem moje przemówienie. Na zakończenie wydałem rozkaz:

«Większość z was zasługuje na śmierć! Chcę wierzyć, że pozwoliliście się zwieść kilku obmierzłym gadom. Znam ich, bo jesteśmy dobrze

poinformowani. Powinniście nam dziękować za niedopuszczenie do ohydnej zbrodni zdrady sowieckiej ojczyzny, jakiej mieliście się dopuścić! Wszyscy Kozacy na prawo! Turkmeni, Gruzini i inni na lewo! Ukraińcy tam! Inni zostaną na placu aż do mojego powrotu. Kozacy, ruszać przodem!»

Moi ludzie natychmiast podzielili się na grupy. Na placu zostawiłem ich około trzydziestu. Po załadowaniu pozostałych moich enkawudzistów na ciężarówki i rekwizycji dwóch samochodów powiedziałem, by Kozacy ruszyli przodem. Po trzech kwadransach intensywnego marszu doszliśmy do wąwozu. Wyszedłem z samochodu i wezwałem atamana.

– Chcesz dołączyć do Niemców? – zapytałem. – Wiem o tym. Ty przecież wiesz, że przy ich boku walczą jakieś jednostki kozackie. Powiedz prawdę.

– Dlaczego mi to mówicie, towarzyszu majorze?

– Czy myślisz, że twoi ludzie pójdą z tobą?

Nie odpowiedział.

– Słuchaj. Schowasz się tu na godzinę lub dwie. W wiosce zostaną tylko Ukraińcy. Idź wtedy w kierunku Anapy. Wmieszaj się między uciekinierów z Armii Czerwonej, a dojdziesz do Niemców.

– Co to za gra, towarzyszu?

– Za chwilę usłyszysz strzelaninę. Nie ruszysz się. Pomyślisz tylko: no tak, NKWD nas rozstrzeliwuje! Teraz rozumiesz?

Wróciłem do wioski, w której wszyscy słyszeli «strzelaninę». Wyjaśniłem rosyjskim i syberyjskim oficerom, że trzeba zostawić na miejscu Ukraińców i żołnierzy z Kaukazu, którymi «zajmie się» mająca niebawem przybyć inna jednostka NKWD. Rosjanie i Sybiracy wskoczyli na ciężarówki, a ja ruszyłem za nimi, odtąd zmotoryzowanym moim komandem.

Rankiem 2 sierpnia dotarliśmy do głównej drogi i włączyliśmy się do ogromnego ruchu pojazdów sunących wprost na południe. Panował nieopisany chaos. Na skrzyżowaniu drogi z linią kolejową Armawir–Tuapse autentyczne jednostki NKWD na próżno usiłowały opanować panikę.

Przedstawiłem się ich dowódcy, którym okazał się będący w paskudnym humorze pułkownik.

– Kim jesteście? – zapytał

– Major Truchin z brygady Żdanowa, towarzyszu pułkowniku.

– Skąd jedziecie, jaki jest cel waszej misji?

– Jedziemy ze Stalingradu ze specjalnymi rozkazami, towarzyszu pułkowniku. 124. Brygada.

Twarz pułkownika rozjaśniła się. Nigdy nie słyszał o 124. Brygadzie ani specjalnych rozkazach. Doświadczenie podpowiadało ostrożność.

– Nareszcie jesteście! Czekamy na was od wczoraj. Jak widzicie, odsyłamy artylerię i czołgi w kierunku Tuapse, a pojazdy w rejon Majkopu. Piechota też się tam przegrupuje. Kierujcie waszą kolumnę do Majkopu i proszę was, uważajcie na piechurów. Możliwe, że faszyści wprowadzili między nich szpiegów. Liczę na was!

– Możecie na mnie liczyć, towarzyszu pułkowniku!

W Majkopie zatrzymałem kolumnę przed kwaterą dowództwa NKWD. Na schodach spotkałem jednego z rosyjskich oficerów, którzy wyjechali z wioski przede mną. «Złożyłem już raport w tej sprawie – rzucił mi w przelocie. – Czekają na was».

Generał NKWD przyjął mnie serdecznie. Miałem na tyle wyrobioną reputację, że nie pytał mnie o dokumenty ani o rozkaz wyjazdu. Mimo to pokazałem mu je. Ruchem ręki dał mi znać, że to zbędne.

– Mieliście rację – powiedział. – Ci Kozacy to urodzeni zdrajcy. Daliście zbawienny przykład. Zapraszam was dziś wieczorem. Od tej chwili jesteście moim gościem i będziecie mieszkać jak należy.

Słysząc te słowa, myślałem, że zostałem zdemaskowany. Ale nie! Generał zarekwirował dla nas obszerną i wygodną willę z garażem. Mieliśmy szczęście, bo w zapchanym uciekinierami Majkopie nie można było dostać żadnej kwatery. W ten sposób mogliśmy zrealizować nasze plany w samym centrum pozycji przeciwnika. Mieliśmy sześć lub siedem dni do przybycia naszych czołgów. Trzeba było je wykorzystać do maksimum.

Staranne przeszukanie willi dało nam pewność, że nie było w niej mikrofonów, ale o naszych sprawach rozmawialiśmy tylko przy grającym radiu. Moi obaj zastępcy – chorąży Franz Koudele, alias podporucznik Protow, oraz sierżant Landowsky, alias podporucznik Okczakow – grali doskonale. W Majkopie panował chaos. Obawiano się nas. Zostawiono nas w spokoju, jednak najmniejsza nieostrożność któregokolwiek z naszych ludzi mogła wszystko zepsuć. W ciągu pierwszych dwóch dni musiałem zebrać kilku moich żołnierzy, którzy nie pilnowali się dostatecznie.

«Zapomnieliście, czego was uczono w szkole specjalnej w Allensteinie [Olsztynie]? Towarzyszu Wujszkin, zmieńcie wreszcie ten dobrotliwy wyraz twarzy, który może zgubić was i nas wszystkich! Jesteście funkcjonariuszem Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych i nigdy o tym nie zapominajcie. Towarzyszu Lebiediew, przestańcie zalecać się do sprzedawczyń z likwidowanego *uniwiermaga*, nie takie macie zadanie. Towarzyszu Bałamontow, powtarzałem wam już, żebyście do słowa faszystowski dodawali: śmierdzący szczur albo coś podobnego. Poza kilkoma przypadkami mówicie faszysta, jakbyście mówili szewc albo mechanik samochodowy. Tak nie można! Kiedy używacie słowa faszysta, musicie najpierw złośliwie je wyśmiać. Następnie trzeba spojrzeć waszemu rozmówcy prosto w oczy i przyjrzeć mu się podejrzliwie. Przestraszy się tym bardziej, że nie wiedząc dokładnie, kto to jest faszysta, będzie się czuł winny i spuści z tonu».

Po dwóch nocnych przyjęciach u generała Perszoła i wielkiej ilości wspólnie wypitej wódki, byliśmy z nim w bardzo dobrej komitywie. Zwiedziliśmy pozycje obronne. Jedynym jej naprawdę groźnym punktem było skrzyżowanie drogi z linią kolejową. Skoncentrowano tam całą artylerię, którą urzutowano w trzech liniach w głąb, a do tego wykopano rowy przeciwczołgowe. Generał spytał mnie, co myślę o pozycjach obronnych, ale tym razem szczerze!

– Towarzyszu generale, obrona jest przygotowana znakomicie. Pod warunkiem jednak, że faszystowskie czołgi pójdą po tej drodze i to jeden za

drugim. Ale co będzie, jeśli wynurzą się z tamtych pól słonecznikowych lub zza tamtego wzgórza?

Generał zastanowił się i odpowiedział:

– Dokładnie tę samą uwagę zrobiłem towarzyszom specjalistom od obrony przeciwpancernej!

– Faszyści mogli wejść do Taganrogu i Rostowa dlatego, że oczekiwano ich tylko na jednej, głównej drodze, towarzyszu generale! I co się stało? Przypuścili atak na szerszym froncie w szyku podobnym do gwiazdy! Mogą to samo zrobić tutaj. Jedna szpica tu, następna tam, a jeszcze inna za nami, by wejść na nasze tyły! Trzeba wszystko przewidzieć, towarzyszu generale. Atak w kilku rzutach jest zawsze niebezpieczny.

– Macie rację. Znając wasze zdanie, będę mógł teraz energiczniej bronić mojego punktu widzenia. Odpowiednie kroki trzeba poczynić jeszcze tej nocy.

Był wyraźnie zadowolony, że nie musi sam ponosić jakiejkolwiek odpowiedzialności. My też poczyniliśmy odpowiednie kroki. Aż do ranka 7 sierpnia zbieraliśmy wszystkie przydatne informacje i przygotowywaliśmy nasz plan. 7 sierpnia wszystko było gotowe.

Pojechałem do siedziby NKWD. Perszoła już tam nie było – nie spotkałem go już nigdy – a archiwa wywieziono. W mieście działali już rabusie. Wszędzie panował kompletny chaos. Podzieliliśmy się na trzy grupy. Pierwszą, najliczniejszą dowodził sierżant Landowsky. Jej zadaniem było przeszkodzenie – w miarę możliwości – niszczeniu instalacji naftowych. Na razie niczego nie zdemontowano, gdyż brakowało ciężarówek, a linia kolejowa Armawir–Tuapse stała się linią frontu.

Dowództwo drugiej grupy powierzyłem Koudelemu-Protowowi, który miał zostać w mieście i zniszczyć centralę telefoniczną i telegraficzną łączącą miasto z północnym Kaukazem.

Wcześniej sam chciałem dowodzić pierwszą grupą, ale w nocy z 8 na 9 sierpnia dowiedziałem się, że dwie brygady gwardii przybyły właśnie z Tbilisi i Baku, i zajęły pozycje na osławionym skrzyżowaniu. Głupia sprawa. O świcie 9 sierpnia zostałem poinformowany przez radio, że

czołowe oddziały 13. Dywizji Pancernej znajdują się dwadzieścia kilometrów od Majkopu i niebawem zaatakują skrzyżowanie. Wziąłem więc cztery samochody i z uzbrojonymi ludźmi na stopniach torowałem sobie z trudem drogę pod prąd przelewającej się ulicami fali uciekinierów. Udało mi się w końcu wyjechać z miasta i niebawem kazałem zatrzymać samochody w pobliżu oddalonego od nich i strzeżonego budynku centrali łączności armii. Tu i ówdzie zaczęły padać granaty z naszych haubic kalibru 15 cm. Na drodze było już znacznie mniej ludzi. Słyszeliśmy wystrzały rosyjskiej artylerii. Sześciu moich żołnierzy wśliznęło się do centrali z paczkami pod pachą. Wrócili biegiem i natychmiast odjechaliśmy w stronę frontu pośród nadlatujących granatów. Trzy minuty później usłyszeliśmy silną detonację. Centrala łączności wyleciała w powietrze.

Dojechałem aż do stanowisk artylerii; spostrzegłem dowodzącego nią podpułkownika, któremu Perszoł przedstawił mnie podczas naszej «inspekcji». Spytałem go, do czego i kogo strzelają.

– No jak to, w Giermancow!

– Faszyści wykonali dziś rano manewr okrążający i ich front biegnie teraz za Majkopem! Spróbujcie zatelefonować!

Próbował, oczywiście nie udało mu się, toteż kazał natychmiast przerwać ogień i wycofać się.

– Jedziecie z nami? – spytał.

– Obowiązek nade wszystko, towarzyszu pułkowniku. Pojadę ostrzec naszą dzielną piechotę, zanim zamknie się za nią pułapka.

– Towarzyszu majorze, czy wiecie, czym ryzykujecie?

– Już od jakiegoś czasu jestem tego świadomy.

Dotarliśmy na pozycje obsadzone przez piechotę gwardii. Przedstawiłem się generałowi i zameldowałem, że grozi mu odcięcie, gdyż faszyści minęli już Majkop. Generał był drobiazgowy, podejrzliwy i chyba nie lubił NKWD. Uciekłem się jeszcze raz do wybiegu z telefonem; nie zapomniałem dodać, że stojąca za nim artyleria już się wycofała. Bezskutecznie usiłował się połączyć, po czym zadał mi kilka kłopotliwych pytań. Byłem pewien, że mnie podejrzewa. Patrzyliśmy sobie prosto

w oczy. Sądziłem, że będę zmuszony użyć rewolweru. W tym momencie nadbiegł zadyszany sierżant łączności z meldunkiem, że artyleria już się wycofała! Odwróciłem się. Dopiero wtedy generał wydał rozkaz odwrotu. Widząc wymarsz, sąsiednie jednostki przysłały łączników do generała, co pozwoliło mi uniknąć delikatnych i mogących przybrać niespodziewany kierunek dyskusji.

W tym samym czasie, o ustalonej godzinie X, Koudele-Protow zameldował się z ludźmi w centrali łączności północnego Kaukazu. Zachowywali się tak, jakby przybyli tam na rozkaz; zaaferowani, rozkrzyczani, napotkali na jakiegoś majora, który krzyknął:

– To, że NKWD już zwiało nie znaczy, że ja muszę zrobić to samo!

– Co?! – ryknął Koudele-Protow. – Jestem podporucznikiem NKWD i proszę was, towarzyszu majorze, o natychmiastowe cofnięcie tego, co powiedzieliście!

Major nieco spuścił z tonu i oświadczył, że nie dostał rozkazu odwrotu.

– Więc już go nie dostaniecie. Front organizuje się teraz koło Apszerońska. Proszę, przekonajcie się.

Zadzwonił do centrali łączności armii. Bez rezultatu. Wiadomo dlaczego.

– Mam rozkaz wysadzenia tego budynku – oświadczył Koudele.

– Mam podobny rozkaz na wypadek, gdyby…

– Zostańcie więc, to wylecicie razem z waszym personelem. Za niespełna kwadrans ta centrala przestanie istnieć. Faszyści mogą się pojawić w każdej chwili!

Major i jego personel zniknęli z zadziwiającą szybkością. Nadszedł moment wielkiej gry. Ludzie Koudelego zajęli stanowiska operatorów łączności i na wszystkie pytania odpowiadali: Nie możemy was połączyć z X, Y lub Z. Miasto jest ewakuowane i wojska wycofują się w kierunku Tuapse. Mamy rozkaz wysadzenia centrali za kilka minut.

Wszystkie służby, które pozostały w Majkopie, rzuciły się na południe. Koudele i jego ludzie utrzymywali centralę północnokaukaską tak długo jak się dało rankiem 9 sierpnia. Nadeszły jednak szyfrogramy, na które nie potrafili odpowiedzieć. Wtedy zapytano ich o tożsamość. Najlepszym

wyjściem było wysadzenie wszystkiego w powietrze i musieli się na to zdecydować. Wysadzenie centrali utrudniło jednak bardzo wykonanie zadania komandu Landowskiego.

Rosjanie przewidzieli wdarcie się sił niemieckich do Majkopu i podjęli środki ostrożności, w tym również przeciw atakowi strzelców spadochronowych. Landowsky, który dysponował najliczniejszym komandem, podzielił je na małe grupki fałszywych enkawudzistów. Posługując się telefonem polowym z zaciskiem, podłączył się do właściwego kabla i uzyskał połączenie z armijną centralą łączności. Kiedy ta, także przez radio, nie odpowiedziała, skierował swoje grupy do rozrzuconych instalacji naftowych. Ich działanie wyglądało następująco: nadbiegając, kazali się prowadzić do posterunku ochrony. Tam twierdzili, że na rozkaz z góry mają zastąpić straż przemysłową, a w przypadku zbliżenia się wojsk wroga wysadzić instalacje.

Nie wszędzie im się udało. Do Makdse przybyli za późno. Dowódca ochrony zatelefonował do centrali łączności armii, a później do centrali łączności północnego Kaukazu. Ponieważ nie otrzymał odpowiedzi, kazał natychmiast wysadzić urządzenia. Chmura dymu zaalarmowała inne posterunki, które poszły za jego przykładem.

Atakująca na północ od Majkopu czołówka 13. Dywizji Pancernej napotkała słaby opór małych oddziałów piechoty ariergardy nieprzyjaciela. Pierwsze czołgi generała Herra wjechały na przedmieścia Majkopu w południe 9 sierpnia 1942 roku”.

Za ten wyczyn Adrian von Fölkersam otrzymał Krzyż Rycerski[2].

*

Był mroźny wieczór 30 stycznia 1945 roku. Awansowany niedawno do stopnia SS-Standartenführera (pułkownika) Otto Skorzeny siedział w swoim biurze we Friedenthal, pogrążony w rutynowej pracy biurowej, kiedy nagle zadzwonił telefon. Po drugiej stronie sznurka usłyszał głos Heinricha Himmlera, szefa SS, który objął właśnie długo oczekiwane

dowództwo frontowe – Grupę Armii „Wisła”. Podobnie jak wszystkich po kolei pomniejszych hitlerowskich wodzów, również i jego owładnęła obsesja, że właśnie dzięki niemu nastąpi wciąż oczekiwane, „decydujące” uderzenie. Marzył o noszonym przez wielu oficerów Waffen-SS Krzyżu Rycerskim, ale nigdy go nie dostał.

Wcześniej, 20 lipca 1944 roku, Himmler zastąpił Friedricha Fromma na stanowisku szefa *Ersatzarmee* – Armii Rezerwowej w Niemczech. Był także zwierzchnikiem głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy i ministrem spraw wewnętrznych. „Wykonywanie jednej tylko z tych funkcji wystarczyłoby dla bardzo nawet pracowitego człowieka – wspominał Skorzeny. – Himmler nie był taktykiem ani strategiem […] Heinzowi Guderianowi udało się przekonać Führera, by na pewien czas oddelegował do sztabu Grupy Armii «Weichsel» generała [Walthera] Wencka. Niestety, wieczorem 17 lutego Wenck padł ofiarą poważnego wypadku samochodowego i do Reichsführera skierowano generała [Hansa] Krebsa”. Według opinii Heinza Guderiana był to „mądry, mający staranne wykształcenie wojskowe oficer, brak mu jednak było doświadczenia dowódcy, gdyż przez cały czas wojny pracował tylko na stanowiskach sztabowych”.

„Co mogło takiego dyletanta jak Himmler skłonić do tego, aby dobijać się o dowództwo wojskowe? – zastanawiał się Guderian w swoich *Wspomnieniach żołnierza*. – Sam wiedział, że nie ma pojęcia o sprawach wojskowych. Wiedzieli o tym wszyscy, przypuszczalnie również Hitler. Cóż więc pchało go do tego? Pchała go widocznie jego bezgraniczna ambicja. Przede wszystkim chodziło mu o Krzyż Rycerski do Orderu Żelaznego Krzyża. Poza tym jednak, podobnie jak Hitler, nie doceniał kwalifikacji potrzebnych dowódcy. Gdy zaś po raz pierwszy stanął w obliczu widocznego dla wszystkich zadania, kiedy nie można już było stać za kulisami i łowić ryby w mętnej wodzie, kompromitacja stała się nieunikniona. Nie do darowania była jego lekkomyślność, że podjął się tego zadania, nie do darowania także lekkomyślność Hitlera, że mu je powierzył!”.

12 stycznia grupa uderzeniowa wojsk rosyjskich ruszyła z przyczółka pod Baranowem do dobrze przygotowanego natarcia. Następnego dnia na odcinku przełamania frontu na zachód od Baranowa Sowieci osiągnęli dalsze postępy w kierunku Kielc i stąd dalej na północ. Ogółem na tym odcinku wprowadzili do akcji trzydzieści dwie dywizje piechoty i osiem korpusów pancernych. Było to największe od początku wojny zmasowanie sił na tak wąskim obszarze. W Prusach Wschodnich rozpoczęli wielkie natarcie na odcinku Ebenrode–Schlossberg. Również i tutaj udało im się wbić klinem w niemiecką obronę. Tego samego dnia ofensywa Hitlera w Alzacji zakończyła się ostatecznym fiaskiem. 14 stycznia można już było się zorientować, że Rosjanie zamierzają uderzyć w kierunku okręgu przemysłowego Górnego Śląska.

Znaczne siły przeciwnika posuwały się z rejonu Baranowa w kierunku północno-zachodnim i północnym w celu nawiązania łączności ze związkami działającymi z przyczółków pod Puławami i Magnuszewem. Niemieckiej obronie udało się wprawdzie odeprzeć pierwsze rosyjskie uderzenie przeprowadzone z tych przyczółków, ale ogólna sytuacja nie pozwalała żywić większych nadziei na utrzymanie tego odcinka frontu.

„20 stycznia wróg stanął na ziemi niemieckiej – zanotował w swych *Wspomnieniach żołnierza* Heinz Wilhelm Guderian, generał-pułkownik Wehrmachtu, Generalny Inspektor Wojsk Pancernych, szef sztabu Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych. – Teraz chodziło już o życie lub śmierć”.

23 stycznia Hitler dowiedział się, iż leżąca w Prusach Wschodnich twierdza Giżycko – najsilniejszy bastion frontu wschodniego – poddała się bez walki. Führer uznał to za zdradę. Dowodzącego Grupą Armii „Mitte” generała pułkownika Georga Reinhardta zastąpił generał-pułkownik Lothar Rendulic, rodak Skorzenego.

„Rendulic nadawał się na to stanowisko – napisał Skorzeny. – Niestety po poddaniu Giżycka wzrosła nieufność Hitlera wobec niektórych generałów. Podjął on pożałowania godną decyzję, mianując Himmlera dowódcą Grupy Armii «Weichsel»”[3].

– Skorzeny – rzucił krótko do słuchawki Himmler. – Niezwłocznie uda się pan ze wszystkimi jednostkami, którymi dysponuje, do miejscowości Schwedt nad Odrą i założy przyczółek na wschód od rzeki.

– *Jawohl!* – odpowiedział równie krótko Otto. Rozkaz brzmiał jasno i konkretnie, znak, że Reichsführer był bardzo zdenerwowany, na co dzień nie grzeszył precyzją w wypowiedziach.

– Przyczółek musi być wystarczająco duży, by mógł posłużyć za punkt wyjściowy do późniejszej ofensywy – kontynuował Himmler. – W trakcie podejścia do przyczółka żołnierze muszą ponownie zająć miasto Freienwalde, gdzie w tej chwili siedzą Rosjanie.

– *Jawohl!*

– Utrzyma go pan za wszelką cenę. Powtarzam: za wszelką cenę!

Reichsführer sprawiał wrażenie, że w niewielkim stopniu orientuje się w sytuacji na froncie nadodrzańskim, ale wdawanie się z nim w jakąkolwiek polemikę nie miało najmniejszego sensu.

– *Jawohl!* – odpowiedział więc po raz kolejny Otto.

Skorzeny wiedział, że Himmler obiecał Hitlerowi uratowanie Berlina przed siłami rosyjskimi, zagrażającymi miastu. Przyczółek na Odrze miał więc najwyraźniej posłużyć szefowi SS za punkt wyjściowy dla wielkiej, dwukorpusowej ofensywy mającej odrzucić Rosjan na wschód. Odłożył słuchawkę, uśmiechając się przy tym cynicznie. Wiedział również doskonale, że owe dwa korpusy istnieją jedynie w wyobraźni Himmlera. Totalna wojna, z szumem ogłoszona dwa lata wcześniej przez Goebbelsa, kończyła się teraz na niemieckiej ziemi.

*

Jednak rozkaz to rozkaz, więc cały wieczór i większą część nocy spędził we Friedenthal na przygotowaniach. Udało mu się zebrać następujące jednostki: „Jagdverbänd Mitte” – batalion dowodzony przez Hauptsturmführera Karla Fuckera, kompanię strzelców wyborowych Obersturmführera Odo Wilschera, zredukowany do dwóch kompanii

„Jagdverbänd Nord-West”, którym dowodził Hauptsturmführer Appel, batalion strzelców spadochronowych z Neusterlitz Hauptsturmführera Miliusa oraz pozostającą w odwodzie kompanię szturmową pod dowództwem weterana z Gran Sasso, Obersturmführera Schwerdta, dysponującą kilkoma lekkimi czołgami.

Do wyżej wymienionych jednostek należy dodać sztab i kompanię dowodzenia, podporządkowane następcy Fölkersama, podpułkownikowi Wilhelmowi Waltherowi oraz dwa plutony łączności wraz ze służbą nasłuchu i kompanię zaopatrzenia utrzymującą łączność z Friedenthalem. Razem niewiele ponad tysiąc ludzi. Diablo mało, ale cóż było robić? Katastrofa na froncie rozwijała się z niepowstrzymaną siłą i szybkością lawiny.

„Jeszcze raz podkreślę, że jedynym wyjściem była walka – napisał Skorzeny w swoich pamiętnikach. – Zabicie Hitlera i zlikwidowanie reżimu narodowosocjalistycznego niczego by nie zmieniło, nieprzyjaciele już bowiem dawno zdecydowali o losie Niemiec. Refleksje niektórych historyków o rozkazach Hitlera zmuszających do «trwania w oporze aż do końca», które ocenia się dziś jako «zbrodnicze i absurdalne», są bez sensu. Każdy, świadomy odpowiedzialności przed historią niemiecki mąż stanu, postawiony wobec woli nieprzyjaciela doprowadzenia do «bezwarunkowej kapitulacji», wydałby takie same rozkazy. «Historycy», krytykujący opór narodu niemieckiego, zagrożonego całkowitym zniszczeniem przez Sowietów w przypadku ich dojścia do Renu, dają dowód, że nie przemyśleli tego, o czym mówią”.

W środku zostały jedynie niezbędne posterunki oraz oddana pod dowództwo wiernego Radla kompania wartownicza Waffen-SS składająca się z rumuńskich Volksdeutschów.

Chociaż Skorzeny dwoił się i troił, starając się skompletować i wyprawić w drogę swoje skromne siły, telefony z kwatery Himmlera nie ustawały ani na chwilę.

– Czy już pan wyruszył?…

– Zameldowaliśmy Hitlerowi, że jest pan już w drodze….

– Dlaczego pan jeszcze nie wyjechał?…

Doprowadzony do kresu wytrzymałości Otto nie tylko próbował zorganizować transport dla swych ludzi, zwerbowanych w dwunastu krajach Europy, nawet w neutralnej Szwecji, ale także dowiedzieć się czegoś więcej o celu swojego marszu. To było jednak niemożliwe. Ani kwatera Himmlera, ani nawet samego Hitlera nie znała pozycji nadchodzących Rosjan. Nikt nie miał żadnych wiadomości ani o Freienwalde, ani o samym Schwedt.

Następnego dnia o godzinie 5.00 rano jego ponadtysiącosobowy oddział był gotowy do wymarszu. Siedząc w zdobycznym, przywiezionym z Ardenów jeepie ze swoim wiernym dogiem alzackim Luxem u boku, dał wreszcie sygnał do wymarszu. Kolumna ruszyła. Jeszcze raz dowódca komandosów szedł na wojnę.

Dopiero w trakcie marszu dowiedział się od oficera łącznikowego, że Rosjanie jeszcze do Schwedt nie dotarli. Dwie godziny później stanął na obrzeżach tego średniowiecznego grodu. Zbudowany w miejscu dawnej słowiańskiej osady, w XIV wieku stał się siedzibą bocznej linii margrabiów Brandenburgii. Nazywany „perłą Uckermarku” słynął ze swego zamku i pułku kawalerii, w którym służyła pomorska arystokracja. W okresie II wojny światowej w mieście żyło około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, do których należało doliczyć jeszcze wcale niemałą falę nieszczęśliwych uchodźców ze wschodu.

Nad zamkiem, w centrum uśpionego miasta, wciąż powiewała niemiecka flaga. Niedaleko wielkiego mostu na Odrze i równoległego do niej kanału czekały patrole zwiadowcze. Skorzeny posłał je natychmiast w stronę odległej o siedemnaście kilometrów Chojny, leżącej na wschód, przy linii kolejowej Szczecin–Kostrzyn. Sam szybko dotarł do zamku, wysłał patrole nad zamarzniętą rzekę i zaczął szukać miejsca nadającego się na punkt dowodzenia.

W Schwedt znalazł tylko niekompletne, pełne chorych i ozdrowieńców trzy bataliony piechoty rezerwy oraz batalion saperów rezerwy. Punkt dowodzenia zorganizował na prawym brzegu Odry, w Krajniku Dolnym, po

czym udał się na inspekcję aż do Chojny, zapchanej przez tłum uchodźców ze wschodu i żołnierzy, którzy zgubili macierzyste oddziały. Błyskawicznie podjął odpowiednie kroki, by kierować ich do koszar w Schwedt, gdzie po opatrzeniu i nakarmieniu reorganizowano ich i włączano do czterech miejscowych batalionów, które niebawem stały się prawie pełnowartościowymi jednostkami.

*

„Na początku stycznia 1945 roku nie mieliśmy juz złudzeń, poza nadejściem cudu, co do rezultatu wojny – możemy przeczytać w jego wspomnieniach *Nieznana wojna. Moje operacje specjalne.* – Ani ofensywa w Ardenach, ani wykonane po niej uderzenie w Saarze i Alzacji (1–26 stycznia) nie przyniosły spodziewanych efektów. Obie strony osłabiły się nawzajem i sytuacja na froncie zachodnim ustabilizowała się na kilka tygodni – 68 dywizji niemieckich walczyło przeciwko 69 dywizjom alianckim. Wojska amerykańskie przeszły Ren dopiero 8 marca po moście w Remagen, którego nie zdołaliśmy całkowicie zniszczyć. W tym momencie przewaga wroga na Zachodzie stała się miażdżąca, szczególnie w powietrzu. Jego 79 dywizji miało przed sobą zaledwie około 30 dywizji niemieckich, materialnie i moralnie niezdolnych do uzyskania jakiegokolwiek powodzenia w walce.

Od 8 stycznia 1945 roku wiedzieliśmy jednak wszyscy, że najtrudniejsze bitwy przyjdzie nam stoczyć na Wschodzie”.

Sytuacja militarna III Rzeszy przedstawiała się tragicznie. Prowadzona przez aliantów wojna lotnicza wyrządzała w Niemczech coraz większe spustoszenia. Poważnie ucierpiał przemysł zbrojeniowy. Szczególnie dotkliwe było zniszczenie fabryk benzyny syntetycznej, od których w zasadzie zależało całe zaopatrzenie w paliwo. 13 stycznia zbombardowana została fabryka produkująca taką benzynę w Policach pod Szczecinem. 14 stycznia rafinerie w Magdeburgu, Derben, Ehmen i Brunszwiku oraz zakłady „Leinawerke” i zakłady benzyny syntetycznej

w Mannheim. 15 stycznia – fabryki benzolu pod Bochum i Recklinghausen. Według niemieckich komunikatów alianci stracili w tych nalotach 57 samolotów, Niemcy – 236.

Po unieruchomieniu większości zakładów produkujących materiały pędne, rozporządzali tylko terenami naftowymi w Zistersdorf w Austrii i w rejonie jeziora Balaton na Węgrzech. Tym też po części tłumaczy się niezrozumiała skądinąd decyzja Hitlera przerzucenia większości sił zwalniających się na Zachodzie – na Węgry. Chodziło o utrzymanie w ręku ostatnich węgierskich źródeł ropy i rafinerii nafty, których produkcja była niezbędna dla zaopatrzenia w paliwo wojsk pancernych i lotnictwa.

1 lutego Rosjanie wyszli nad Odrę pod Kostrzynem. Przeciwnik osiągnął też rejon na zachód od Chełmna i na zachód od Elbląga. 2 lutego padł Toruń. 3 lutego Rosjanie, omijając dzielnie broniącą się Piłę, wtargnęli na Pomorze Zachodnie między Pyrzycami i Wałczem. 5 lutego Niemcy utracili Żuławy nad Zalewem Wiślanym. Toczyły się walki o Poznań, Frankfurt nad Odrą i Kostrzyn.

6 lutego rozgorzały walki w Poznaniu. Rosjanie uchwycili przyczółek nad Odrą pod Kostrzynem. 8 lutego Niemcy odparli ich ataki pod Pyrzycami i Choszczem. 10 lutego nacierali na zachód od Wisły, pod Świeciem i Grudziądzem. 12 lutego zdobyli Elbląg. Lotnictwo alianckie kontynuowało naloty na niemieckie rafinerie, jak również na wiele niemieckich miast. Szczególnie ucierpiał Berlin.

13 lutego Niemcy utracili Świecie nad Wisłą, znaczną część obszaru Pomorza i – na skrajnym prawym skrzydle na Węgrzech – zamek w Budapeszcie. 15 lutego padły Chojnice, Piła i Tuchola. 16 lutego – Zielona Góra, Lubsko i Żary. Okrążony został Wrocław. Dwa dni później jego los podzielił Grudziądz. 21 lutego Rosjanie zdobyli Tczew.

W okresie od 17 do 22 lutego Grupa Armii „Południe” zdołała zlikwidować rosyjski przyczółek nad rzeką Hron (lewym dopływem Dunaju, powyżej Budapesztu). Sukces ten zawdzięczali Niemcy umiejętnemu kierownictwu dowódcy tej grupy armii, generałowi Otto Wöhlerowi, o którym Hitler – gdy zreferowano mu plan natarcia – wyraził

się w sposób następujący: „Wöhler wprawdzie nie jest narodowym socjalistą, ale za to przynajmniej prawdziwym mężczyzną!”. 24 lutego Rosjanie zdobyli Poznań i Choszczno, 28 lutego – Człuchów, Czarne, Bobolice i Biały Bór na Pomorzu Zachodnim, a 1 marca – Szczecinek.

3 marca Finlandia wypowiedziała Niemcom wojnę. Tego samego dnia wojska niemieckie przeszły do natarcia pod Lubaniem na Śląsku, aby odzyskać jedyne na wschód od Karkonoszy połączenie kolejowe między Berlinem a Śląskiem. Do 8 marca natarcie to przebiegało pomyślnie, miało jednak tylko lokalne znaczenie.

*

Zorientowawszy się jako tako w sytuacji, Skorzeny natychmiast zabrał się do pracy. Przede wszystkim musiał powstrzymać wszechobecną panikę, rozluźniającą dyscyplinę. W promieniu pięćdziesięciu kilometrów wokół panował nieopisany chaos. Gdyby w tym momencie pojawiły się pod Schwedt ze dwa lub trzy sowieckie czołgi, weszłyby do miasta bez oporu. Na zachód ciągnęły smętne kolumny pokonanych niemieckich żołnierzy, przepojonych strachem, otępieniem i apatią. Wyglądało na to, że nikt i nic nie jest ich w stanie zatrzymać.

Okazało się, że jednak jest. Skorzeny wydał kilka rozkazów. Na zachód od miasta uformowano kordon z podoficerami obsadzającymi każdą drogę wylotową. Mieli zatrzymywać wycofujących się żołnierzy, uzbrajać ich na powrót i formować z nich nowe kompanie. Szczytem bezwzględnej postawy Skorzenego w stosunku do żołnierzy było oświadczenie, jakie przekazał podległemu mu wojsku: rodziny każdego, kto wpadnie do niewoli nie będąc ciężko rannym, zostaną zlikwidowane. „Wymaga tego dług wobec narodu i germańska tradycja”. (Widocznie ta sama „tradycja” kazała Hitlerowi wydać rozkaz zatopienia tuneli metra w okrążonym Berlinie wraz z tysiącami jego mieszkańców).

Już na trzeci dzień po przybyciu wojska do miasta pod przewodnictwem Skorzenego w ratuszu rozpoczął urzędowanie sąd polowy. Efekt jego

przerażających wyroków mieszkańcy zobaczyli jeszcze tego samego dnia. Na rynku pojawił się samochód ze związanym człowiekiem. Zatrzymał się pod drzewem. Człowiek wykrzykiwał przekleństwa pod adresem faszystów. Na szyję skazańca zarzucono sznur, po czym pojazd ruszył. Zebrany przypadkowo tłum zastygł w bezruchu. Na szyi wisielca kołysała się tablica z wypisanym koślawymi literami przesłaniem: „Ja, Kurt Flöter, zostałem powieszony za porzucenie swego miasta w nieszczęściu". Tak zginął burmistrz miasteczka Königsberg (Królewiec) w okręgu Neumark. Wyrok zapadł w trzy minuty, egzekucja trwała dwie. Przez kolejnych pięć dni wisielec pozostawał na drzewie. Skorzeny zabronił go pochować.

Flöter był wysokim oficjelem partyjnym, ze świetnymi koneksjami w Berlinie. Jego egzekucja ściągnęła na głowę Skorzenego gniew samego Martina Bormanna, który poprzysiągł mu „krwawą zemstę" za ten „nieodpowiedzialny wybryk". Od stopnia Kreislaitera wzwyż przywódcy partyjni byli nietykalni, mogli być sądzeni tylko przez sąd składający się z partyjnych dygnitarzy. Interweniującemu w imieniu Bormanna gauleiterowi Emilowi Stürtzowi Skorzeny odpowiedział, że Flöter nie został skazany jako kierowniczy funkcjonariusz partii, ale jako dowódca pozostającej pod jego rozkazami jednostki wojskowej.

– Proszę o jasną odpowiedź na pytanie, czy przywódcy partyjni podlegają karze za opuszczenie posterunku i dezercję w obliczu wroga? – zapytał.

Odpowiedzi z Kancelarii Partii nigdy nie otrzymał.

Sąd pracował „w pocie czoła" dzień za dniem, wydając tylko wyroki śmierci. Publiczne wieszanie ludzi na rynku przestało być jakimś szczególnym wydarzeniem. Grupy egzekucyjne SS wieszały ludzi dosłownie wszędzie: na przęsłach mostu na Odrze, na masztach statków, na dworcu w Angermünde, nawet na ogrodzeniach cmentarzy. Pewien żołnierz został powieszony za to, że zobaczywszy w kolumnie uciekinierów swoją matkę, uradowany odprowadził ją kilkaset metrów. Do dzisiaj wiele z tych zbrodni nie zostało wyjaśnionych, gdyż okoliczności i wszystkie fakty zostały starannie zatarte. Skorzeny zabronił prowadzenia jakiejkolwiek

dokumentacji, wpisywania powieszonych do akt zmarłych i ewidencjonowania posiedzeń sądu polowego. Nawet grzebiąc ciała zamordowanych, zdejmowano z nich mundury, znaki tożsamości i zabierano wszystko, co mogłoby umożliwić identyfikację.

Do obrony przyczółka przed całą potęgą Armii Czerwonej Skorzeny potrzebował wszystkich ludzi, jakich tylko mógł znaleźć. Dodatkowo jeszcze znalazł więc batalion Kozaków dońskich, dowodzonych przez kapitana Nikołaja Nikołajewicza Krasnowa, wnuka sławnego generała Piotra Nikołajewicza Krasnowa, oraz dwa bataliony *Volkssturmu*, miejscowej straży obywatelskiej, liczące w sumie sześciuset bardzo młodych i bardzo starych mężczyzn, w większości słabo lub w ogóle niewyszkolonych.

– Nie są najlepsi – Otto mruknął cicho do stojącego obok Karla Fuckera, patrząc na przesuwające się przed jego oczami zabiedzone postaci.

– Z pewnością.

– Ale lepsi niż nic. A wsparci przez weteranów z Friedenthalu, wytrzymają.

– Z pewnością – potwierdził znów dowódca „Jagdverbänd Mitte”. – Ciekawe tylko jak długo? – dodał jeszcze pod nosem, ale tego Skorzeny już nie usłyszał.

Z miejscowych sił najlepszym oddziałem okazała się grupa szkoleniowa stu osiemdziesięciu kadetów, którzy trafili do Schwedt na kurs szkoleniowy i którzy przeszli już chrzest bojowy. Poza tym wciąż zbierał maruderów, bez względu na rodzaj ich macierzystej jednostki. Okazało się, że te działania szybko zaczęły przynosić profity. Miejscowe koszary wypełniały się żołnierzami różnych formacji, w tym także i kawalerii.

Dzień po przybyciu do miasta Otto zdumiał się na widok dwudziestu pięciu ludzi człapiących główną ulicą na wysłużonych koniach. Młody oficer, jadący na czele tej grupy, zauważył wysokiego rangą oficera. Szarpnął cugle i zdołał nakłonić swego rumaka, by ten ruszył truchtem. Zatrzymał się przed Skorzenym i zameldował:

– To są pozostałości mojego oddziału z 8. Dywizji Kawalerii! Czy ma pan dla nas jakieś zadanie?

Otto uśmiechnął się. No pewnie, że miał!

– Proszę się zameldować u moich ludzi w koszarach – odrzekł młodemu kawalerzyście o wyglądzie arystokraty. – A u mnie proszę się stawić jutro rano.

*

Miejscowi cywile nie bardzo palili się do kopania rowów przeciwczołgowych. Nic w tym dziwnego, bowiem zimą, przy zamarzniętej ziemi, było to zadanie niezwykle niewdzięczne. Kilka ostrych słów skierowanych do lokalnych bossów partyjnych załatwiło sprawę. Dygnitarze polecili swoim ziomkom zabrać się do pracy.

– Słyszałem, jak niektórzy z was mówią po cichu: Po co to wszystko? – Skorzeny zebrał wszystkie miejscowe autorytety i wygłosił ostrym tonem przemówienie. – Wszystko jest stracone, jutro będą tu Rosjanie. Otóż pragnę wam oświadczyć, że dopóki odpowiadam za obronę Schwedt, Rosjanie nie będą tu ani jutro, ani żadnego innego dnia. Nie wejdą tu nigdy!

Wokół rozległ się szum podnieconych głosów.

– Cisza! – krzyknął esesman. – A wy, panowie Orstgruppenleiterzy[4] z NSDAP, nie mówcie obywatelom Schwedt, by brali łopaty i kilofy i szli kopać rowy. Nie, to wy weźmiecie łopaty i kilofy, by dać przykład innym. Dacie też przykład chwytając za karabiny, kiedy okopy będą gotowe. Wtedy wszyscy pójdą za waszym przykładem i miasto pozostanie na wieki niemieckie!

Fala cywilnych uchodźców z Chojny i z północy, ze Szczecina, została zebrana w jednym miejscu. Udzielono im pomocy, a sam Skorzeny osobiście czuwał nad ewakuacją pociągami na zachód dzieci, starców i kobiet.

Przy pomocy majora saperów wytyczył przyczółek na prawym brzegu rzeki. Miał kształt półkola o promieniu mniej więcej ośmiu kilometrów;

zaczynał się przy Odrze i biegł wzdłuż jej dopływu – Rurzycy. W środku półkola zbudował następną linię umocnień wraz z punktami oporu, gniazdami broni maszynowej, rowami łączącymi i punktami obrony okrężnej. Trzecie półkole chroniło bezpośrednio miasto oraz Krajnik Dolny. W celu uniknięcia zaskoczenia obsadził kilka wysuniętych przed pierwszą linię wiosek.

Wieczorem Otto rzucił okiem na Odrę. Himmler postrzegał ją jako naturalną zaporę. Rzeka była solidnie zmarznięta, na tyle, by mogła się przez nią przeprawić nieprzyjacielska piechota i lekkie pojazdy, a może nawet czołgi. Kazał wysadzić lód, co przywróciło rzece funkcję naturalnej przeszkody wodnej i uwolniło kilka statków parowych.

Następnie wysłał żołnierzy na zwiady na ziemię niczyją po drugiej stronie rzeki, żeby oszacowali siłę, rozlokowanie i zamiary nadchodzących Rosjan. Sam zaś zaczął się rozglądać w poszukiwaniu cięższej broni, niezbędnej do zatrzymania czołgów. Jego ludzie dysponowali do tej pory przeważnie bronią lekką. We Frankfurcie nad Odrą jego ludzie odkryli duży skład znakomitych MG-42 (Maschinengewehr – karabin maszynowy), konstrukcji Wernera Grunera. Była to broń skomplikowana i droga w produkcji, ale dobrze sprawdzająca się w warunkach bojowych – do dziś zresztą w większości współczesnych karabinów maszynowych stosuje się rozwiązania, które po raz pierwszy pojawiły się właśnie w MG-42. Z powodu charakterystycznego odgłosu wydawanego podczas strzelania serią, który ze względu na szybkostrzelność karabinu zlewał się w jeden dźwięk przypominający warkot piły spalinowej, żołnierze alianccy nazywali go „Piłą Hitlera”.

Dowódca kompanii zaopatrzenia dowiedział się, że w odległej o pięćdziesiąt kilometrów na południowy zachód fabryce produkują działa przeciwpancerne kalibru 75 mm. Otto pojechał tam z kilkoma ludźmi i zarekwirował czterdzieści egzemplarzy wraz z amunicją. Marszałek Göring przysłał dwa bataliony artylerii przeciwlotniczej z działami kalibru 88 i 105 mm. Zamontowano je na ciężarówkach jako namiastkę mobilnej artylerii. Jeżdżąc wzdłuż dwudziestokilometrowego odcinka frontu, trudne

do wykrycia baterie ostrzeliwały przeciwnika to stąd, to stamtąd, tworząc u niego wrażenie, że ma przed sobą znacznie liczniejsze niż w rzeczywistości siły.

Podobny manewr zastosował na uwolnionych z oków lodu trzech statkach parowych. Dało to tak znakomite rezultaty, że w przedstawionym OKW raporcie zaproponował zastosowanie podobnego rozwiązania w Berlinie, w którym było sporo akwenów, brakowało natomiast artylerii, choć nie przeciwlotniczej. Jego sugestii nie wzięto pod uwagę.

Przez cały czas wydzielone komanda Skorzenego przenikały jak najdalej na wschód, na tyły Rosjan, na głębokość od pięćdziesięciu do nawet sześćdziesięciu kilometrów, wprowadzając spore zamieszanie wśród wojsk nieprzyjaciela. Każde z tych komand dostarczało jeńców i ważnych informacji, co pozwalało mu organizować kolejne wypady na słabo chronione obiekty.

Tymczasem napływało coraz więcej żołnierzy. Wkrótce dowódca obrony Schwedt dowodził już liczącą prawie piętnaście tysięcy ludzi dywizją. „Nie bez dumy nazywałem ją «Dywizją Europejską» – zanotował we wspomnieniach. – A przecież 30 stycznia było w mieście może stu rzeczywiście zdolnych do walki żołnierzy”.

*

W czasie, kiedy Otto werbował wojsko i załatwiał dla niego broń, zadzwonił marszałek Göring, bardzo zainteresowany przyczółkiem w Schwedt. „Może z tego powodu, że pamiętał Skorzenego z Wiednia, kiedy nagradzał go medalem za operację Gran Sasso” – wyraził przypuszczenie Charles Whiting w swojej książce zatytułowanej *Skorzeny – najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*. Otóż nic podobnego. „Pierwszy Lotnik III Rzeszy” zrobił to z obawy o swój przepiękny zamek Karinhall, położony w pobliżu Schwedt, na północny wschód od Berlina, w lasach Shorfheide.

Dowódca Luftwaffe uwielbiał mówić o sobie jako o „człowieku renesansu” i świadomie starał się – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – promować swój wizerunek publiczny. Kolekcjonowanie dzieł sztuki stało się obsesją, która zdominowała jego życie. Ta kolekcjonerska pasja kolidowała nawet z jego obowiązkami wojskowymi. To, że Göring traktował swoją kolekcję jako spuściznę, skłaniało go do jeszcze intensywniejszych zakupów i kradzieży. Jak obliczyli po wojnie alianccy eksperci, marszałek zdołał w powyższy sposób zgromadzić do końca wojny 1375 obrazów, 250 rzeźb, 108 gobelinów, 170 sztuk mebli z różnych epok, 60 perskich i francuskich kobierców, 75 witraży i prawie 200 innych *objects d’art*. Była to bez wątpienia jedna z największych i najcenniejszych kolekcji sztuki na całym świecie. Wartość wszystkich zrabowanych przez hitlerowców skarbów wyceniono na 17 miliardów funtów szterlingów – sumę w cenach dzisiejszych wyższą około czterdzieści do pięćdziesięciu razy.

W styczniu 1945 roku stało się jednak oczywiste, że Hermann Göring nie będzie się już długo cieszył swoją kolekcją. Do jego rezydencji w lasach Shorfheide milowymi krokami zbliżała się Czerwona Armia. A właśnie tam ów „człowiek renesansu” zgromadził zwiezione prawie z całej Europy skarby, których starczyłoby na wyposażenie kilku muzeów.

Posiadłość otrzymała nazwę od imienia pierwszej żony marszałka, baronowej Karin von Kantzow, pochodzącej ze Szwecji, która zmarła w 1931 roku. Na temat tego miejsca krążyły istne legendy. Nie były zresztą bezpodstawne – w głównym budynku mieściły się apartamenty Göringa i jego nowej żony Emmy. W lewym skrzydle była wielka biblioteka, równie ogromna sala gimnastyczna oraz basen kąpielowy, gdzie gospodarz usiłował pozbyć się nadwagi, całkowicie zresztą bez rezultatów.

W prawym skrzydle znajdowały się apartamenty dla gości, kuchnia i pokoje dla służby. Reprezentacyjne pomieszczenia kapały od przepychu, jaki tworzyły marmurowe podłogi pokryte najkosztowniejszymi dywanami, ściany na których wisiały najpiękniejsze francuskie gobeliny i obrazy największych mistrzów włoskich, holenderskich, francuskich. Oko cieszyły

najpiękniejsze rzeźby i okazy sztuki rękodzielniczej. W gabinecie Göringa obok wielkiego dębowego biurka stały złote kandelabry, rzucające światło na srebrne ramki fotografii Karin i Hitlera. Jadalnia miała dwieście pięćdziesiąt metrów kwadratowych, a za stołem mogło usiąść czterdziestu gości. Największą atrakcję stanowiło okno z widokiem na jezioro. Miało dziesięć metrów szerokości i pięć metrów wysokości. Po naciśnięciu guzika szyby chowały się w podłogę. W posiadłości wybudowano podziemne mauzoleum, do którego złożono, sprowadzone ze Szwecji, doczesne szczątki pani Karin von Kantzow.

Słynący z zamiłowania do luksusu gospodarz dbał, aby jego rezydencja wzbudzała wśród odwiedzających prawdziwy podziw. Wszystko to miało służyć mu aż do późnych lat starości, a po śmierci zostać przekształcone na muzeum, które nie tylko uświetniałoby osiągnięcia Tysiącletniej Rzeszy, ale i samego właściciela. Stało się jednak inaczej, historia przewidziała zupełnie inną rolę zarówno dla samego Karinhall, jak i dla związanych z nim ludzi.

12 stycznia 1945 roku Göring obchodził tam swoje pięćdziesiąte drugie urodziny, w szczupłym gronie najbliższych. Kawior, kaczkę, dziczyznę, gdańskiego łososia i pasztet z gęsich wątróbek spłukiwano niezliczonymi butelkami szampana i brandy z pojemnej piwnicy marszałka. Z Berlina zjechało wielu gości, zapominając o tym, że wypalają ostatnie rezerwy benzyny Trzeciej Rzeszy. W wielkiej sali na stole złożono cenne prezenty, wśród których najbardziej kuriozalny był podarunek od architekta: plany rozbudowy Karinhall. Miały powstać trzy nowe gmachy, wśród których najważniejszym miała być otwarta dla publiczności galeria oraz dworzec specjalnej linii kolejowej z Berlina dla ludzi, którzy przybywali obejrzeć galerię.

Następnego dnia po telefonie do Skorzenego marszałek osobiście przyjechał na front. Ciemnozielona kurtka mundurowa, którą miał na sobie, robiła wrażenie niemal świetnie skrojonej bonżurki. Na piersiach połyskiwała tylko jedna mała srebrna gwiazdka orderowa. Szare spodnie podkreślały grubość nóg, zazwyczaj ukrywanych pod połami długich

płaszczy. Kolosalne rozmiary i tusza postaci wydawały się wprost stworzone do tego, by siać dookoła strach i zmuszać do pokory. Można się było śmiać z Hermanna Göringa, ale dużo lepiej i rozsądniej było tego nie robić, zważywszy, ile krwi już popłynęło na skinienie tej olbrzymiej góry sadła. Masywna głowa na krótkiej, rozdętej szyi wydawała się być nasiąknięta czerwoną posoką, jak głowa Cezara, z której zdarto skórę.

– Jak leci? – zapytał marszałek pozornie niedbałym tonem starego frontowca, dodając: – Przyjechałem po sąsiedzku, zorientować się w sytuacji.

– Robimy, co tylko się da – zameldował wielki esesman.

– Chciałbym pójść na linię frontu.

– Jak pan sobie życzy.

– Bierze pan na siebie ogromną odpowiedzialność – szepnął Skorzenemu do ucha jakiś generał ze świty marszałka.

– Wiem – odparł Otto.

Ponieważ zapadał już zmrok, kazał zatrzymać samochody na drodze do Krajnika Dolnego. Dalej szli z marszałkiem obok siebie, pieszo, zmuszeni czasem przypaść do ziemi, gdy gdzieś niedaleko padał artyleryjski pocisk. Göring odwiedził należącą formalnie do Luftwaffe, ale używaną jako przeciwpancerna, wysuniętą baterię dział przeciwlotniczych kalibru 88 mm. Uścisnął kilka dłoni, rozdał kilka butelek sznapsa, papierosy i cygara, w które obficie zaopatrzona była jego świta. To samo powtórzyło się na stanowisku bojowym strzelców spadochronowych.

Była już głęboka noc, kiedy Otto towarzyszył Göringowi do wielkiego mostu na Odrze.

– Jutro go jeszcze nie przejdą, prawda Skorzeny? – Ni to stwierdził, ni to zapytał z nadzieją w głosie „tłuścioch”.

– Nigdy, dopóki go bronimy, *Reichsmarschall!* – zapewnił go gorąco Skorzeny, chociaż chyba sam nie wierzył w to, co mówi.

Göring również nie wydawał się przekonany.

– Pan naprawdę w to wierzy, Standartenführer? – ściszył głos do szeptu.

– No… Mógłbym się utrzymać, gdybym miał trochę więcej żołnierzy – odpowiedział ostrożnie Skorzeny.

Marszałek odnotował życzenie swego rozmówcy i następnego dnia podesłał mu sześćsetosobowy batalion Dywizji „Hermann Göring”, składający się z lotników, dla których nie starczyło już samolotów. Byli to dzielni wprawdzie i pełni zapału młodzi ludzie, ale straszliwie niedoświadczeni w walkach lądowych. Skorzeny zdał sobie sprawę, że nie mogą służyć jako samodzielny batalion piechoty, pomimo protestów ich dowódcy podzielił więc lotników i rozproszył wśród własnych oddziałów. Z samym marszałkiem nie miał już więcej kontaktu, przynajmniej w Schwedt nad Odrą. „Ponownie zobaczyłem go dopiero w norymberskim więzieniu” – zanotował.

Kilkanaście dni po spotkaniu Skorzenego z Göringiem w otaczających Karinhall lasach zauważono sowiecki samochód terenowy. Nadszedł najwyższy czas, by z posiadłości wyjechały kobiety. Marszałek zastrzelił osobiście cztery swoje ulubione żubry i zaczął pakować do skrzyń kolekcję dzieł sztuki. Dokonał obchodu swoich włości, w czasie którego wskazał, co chce przetransportować, a co można pozostawić. Dzieła sztuki i inne wartościowe przedmioty, zapakowane do skrzyń wyłożonych słomą, zostały załadowane na ciężarówki Luftwaffe i przewiezione na miejscową stację kolejową. W trakcie tych czynności na terenie rozległej posiadłości zakopano wiele dużych, cennych obiektów. Najsłynniejszym z nich był marmurowy posąg Wenus, darowany gospodarzowi przez rząd Włoch. Po ukryciu skarbów niemieccy żołnierze, których marszałek Rzeszy wykorzystał do tej pracy, zostali niezwłocznie skierowani na front wschodni. Okazałe budynki Karinhall wysadzono w powietrze. Wśród drzew pozostało rumowisko, posągi lwów, które cudem ocalały, i… mauzoleum Karin von Kantzow. Göring bowiem nie zabrał sarkofagu – widać dzieła sztuki były dlań dużo cenniejsze niż doczesne szczątki ukochanej żony. Kilka godzin później do Karinhall wkroczyli sowieccy żołnierze[5].

*

Walki rozpoczęły się już 1 lutego od potyczek plutonu rozpoznawczego w leżącym osiem kilometrów od Chojny i dwadzieścia pięć kilometrów od Schwedt Bad Schönfliess (Trzcińska Zdroju). W pierwszym tygodniu tego miesiąca starcia z silnymi jednostkami wroga były coraz częstsze. 5 lutego Rosjanie zaatakowali Trzcińsko. Otto pojechał tam w celu zapoznania się z sytuacją na czele grupki ludzi z „Jagdverbänd Mitte”, składającej się w większości z weteranów z Gran Sasso.

Kiedy zbliżali się do celu, dostali się pod ostrzał. Dwóch ludzi padło martwych na śnieg. Patrol wycofał się, lecz Skorzeny nie zamierzał rezygnować ze swojego planu rozpoznania Rosjan. O zmroku podszedł do Trzcińska z innego kierunku.

Miasteczko wydawało się całkowicie opuszczone. Śnieg padał, spokojny i cichy w swojej drodze do otwartych ran ziemi. Na głównej ulicy leżały dwa trupy cywilów, kobieta i mężczyzna. Wszędzie panowała śmiertelna cisza, żadnego znaku życia. A jednak byli tam ludzie. Zza potrzaskanego okna na pierwszym piętrze Otto dostrzegł wychylającą się bladą twarz. Rozgorączkowany widokiem niemieckich żołnierzy mężczyzna popędził na dół i po chwili ukazał się w drzwiach domu. Chorowity osobnik z wypukłym czołem i wąskimi wargami, nienawykłymi do mówienia.

– Na Boga, skąd się tutaj wzięliście? – wykrzyknął. – Tutaj wszędzie pełno Iwanów!

– Tutaj, to znaczy gdzie? – zapytał Skorzeny.

– W Bad Schönfliess. To jest Bad Schönfliess.

– Wiem, gdzie jestem – wyjaśnił Otto. – Mówiąc „tutaj”, miałem na myśli: gdzie „tutaj” jest pełno Iwanów?

– Tam założyli swoją główną kwaterę i punkt dowodzenia – mężczyzna wskazał ręką na pobliski dworzec kolejowy. Poruszał przy tym w dziwny sposób palcami obu rąk, jakby grał w powietrzu na fortepianie. – Przywrócili ruch pociągów i regularnie przyjmują żołnierzy i pojazdy.

– Jakie pojazdy?

– Czołgi.

Kryjąc się po bramach, podeszli ostrożnie we wskazane miejsce. Dworzec tonął w mroku, zwiększonym jeszcze przez sypiący śnieg. Wśród wirujących płatków ledwo można było dostrzec przyćmione światełka latarek. Po opustoszałych peronach kręciło się kilku krasnoarmiejców. Po drugiej stronie budynku naliczyli przeszło trzydzieści czołgów. Majestatyczne T-34 i kilka amerykańskich Shermanów, dostarczonych widocznie przez aliantów w ramach planu „Lend-Lease”[6]. Wojska sowieckie zajęły wschodnią i południową dzielnicę małego miasteczka. Na ulicach ujrzeli kolejne trupy, w tym zwłoki półnagiej kobiety.

Zobaczyli już dostatecznie dużo. Czas było wracać. Kiedy się wycofywali, dobiegł ich dźwięk uruchamianych rosyjskich czołgów, ale byli już bezpieczni w pokrytym grubą warstwą śniegu lesie.

Rosjanie zaatakowali następnego dnia późnym popołudniem. Do Królewca wjechały ich czołgi i coś, „co wyglądało na kilka batalionów piechoty”. Walcząc o każdy dom, wspomagani przez batalion Volkssturmu spadochroniarze Skorzenego wycofywali się stopniowo na zewnętrzną linię obrony, niszcząc przy okazji Panzerfaustami jedenaście maszyn wroga.

Od 7 lutego przewaga Rosjan stała się tak przytłaczająca, że Skorzeny zmuszony był ewakuować wszystkie swoje placówki. Została tylko jedna, w wiosce Nipperwise (Ognica). Rosyjska piechota, wsparta czołgami, atakowała niemalże bez ustanku. Nadchodzili w długich, szarobrązowych tyralierach, krzycząc głośno: „Urrra!” i lekceważąc swoje ciężkie straty. Raz za razem Niemcy odrzucali ich natarcia, podejmując często kontrataki.

Ale Rosjanie podchodzili coraz bliżej. Któregoś dnia ich czołgi dotarły nawet na odległość niespełna dwustu metrów od mostu na Odrze, którego Skorzeny nie chciał jeszcze wysadzać, licząc na wykorzystanie go do ewentualnego kontruderzenia. Zatrzymał je dopiero oddział samobieżnej artylerii przeciwlotniczej, a idącą za czołgami piechotę wystrzelali ukryci na drugim brzegu rzeki niemieccy snajperzy. I tak dzień za dniem sowieckie wojska coraz bardziej zbliżały się do miasta.

*

Tego samego dnia, kiedy wdarły się na przyczółek w Grabowie, Otto otrzymał rozkaz stawienia się na godzinę 16.00 w sztabie dowódcy Grupy Armii „Weichsel” w Prenzlau. Nie mógł jednak opuścić żołnierzy w trakcie walki, żeby spotkać się z Himmlerem. Pojawił się tam dopiero około 20.30, po definitywnym odrzuceniu nieprzyjaciela poza zewnętrzną linię obrony. Jadąc, rozglądał się po okolicy. Wraki czołgów na poboczu drogi dawno już się wypaliły, ale w powietrzu wciąż unosił się swąd tlących się szmat, gumy i prochowego dymu. Dwa T-34 stały pochylone na bok w miejscu, gdzie dosięgły je niemieckie pociski.

Dworacy Reichsführera przyjęli Skorzenego jak skazańca idącego na miejsce kaźni, inni okazywali mu ostentacyjnie taką oziębłość, jak gdyby był już zwolniony ze służby. Adiutant Himmlera poinformował go oschłym tonem, że szef dostał ataku szału z racji jego niepunktualności.

Skorzeny zapukał do pokoju, w którym urzędował zwierzchnik, po czym, nie czekając na odzew, wypełnił drzwi swym ogromnym cielskiem. Spod kołnierza panterki błyszczał Krzyż Rycerski, dowód jego zasług.

– Kazać mi czekać cztery godziny!… Nie, nie cztery, cztery i pół! – pienił się ze złości przywódca SS. Z jego wąskich ust padały oskarżenia o niesubordynację i zuchwalstwo, a także groźby zdegradowania i postawienia przed sądem wojennym. Zza srebrnych binokli błyskały nienawistne spojrzenia, po których wezwany powinien był co najmniej zapaść się pod ziemię.

Skorzeny spokojnie przeczekał ten atak, po czym rzekł z godnością:

– Przepraszam pana, Reichsführer, ale kiedy otrzymałem pańskie wezwanie, trwał akurat rosyjski atak. Nie mogłem pozostawić swoich żołnierzy bez dowództwa w takim momencie.

– No tak, tak – uspokoił się nieco Himmler, ale po chwili natarł znowu. – Wbrew moim rozkazom oddaliście nieprzyjacielowi Nipperwiese! Czy dowódca tego odcinka został postawiony przed sądem wojennym, czy też może już go rozstrzelano?

Otto wziął głęboki oddech.

– Dowódca nie został oskarżony ani rozstrzelany.

– Powieszony?

– Również nie. Jednostka wycofała się na przyczółek na mój rozkaz. Oficer spełnił tylko swój obowiązek.

– Pan dopuścił się aktu jawnej niesubordynacji! Więc to pan powinien stanąć przed sądem!

Olbrzymiego esesmana ogarnął nagle gniew. Nie bawiąc się w dalsze konwenanse, wygarnął Reichsführerowi, co myśli o Wysokim Dowództwie i jego arbitralnych zachowaniach.

– Dywizja Schwedt otrzymała do tej pory cholernie dużo głupich rozkazów z korpusu, lecz ani kilograma zaopatrzenia! – ryknął na koniec.

Nagły atak sprawił, że Himmler stracił rezon. „Wówczas, ku zaskoczeniu obecnych, Reichsführer zaprosił mnie na kolację – wspominał Skorzeny. – Dworacy natychmiast zmienili postawę. Było to tak niesmaczne, że jak najszybciej zapragnąłem znaleźć się wśród swoich żołnierzy”.

Podczas kolacji dowódca Grupy Armii „Wisła” obiecał nawet przysłać swemu podwładnemu kompanię dział pancernych nowego typu. Co najdziwniejsze, dotrzymał obietnicy, chociaż odebrał te posiłki już po tygodniu. O przewidywanej ofensywie, której odskocznią miał być przyczółek Skorzenego, nie padło ani jedno słowo.

Po północy Otto wrócił do Schwedt. Lutowa noc miała kolor i gęstość mleka. Białe tumany mgły przeciągały po okolicy, wlokąc się po nadrzeczu i przez opustoszałe pola. Od czasu do czasu podmuch wiatru tworzył w nich coś w rodzaju tunelu, przez który można było dostrzec włochaty od świerków niedaleki las, przyobleczony w zimową szatę, potężny i cichy.

*

26 stycznia nowym dowódcą X Korpusu Armijnego SS („Odra”), operującego między innymi na odcinku frontu powierzonym Skorzenemu,

został „zwycięzca Warszawy”, generał Erich von dem Bach-Zelewski, oficer, z którym Otto miał kłopoty jeszcze w Budapeszcie. (Jak pamiętamy, generał chciał wtedy zburzyć Górę Zamkową pociskami z moździerza „Thor”). Na stanowisku tym zastąpił generała Wolfa Hagemanna, mianowanego dowódcą obrony Kołobrzegu.

Jak przewidywał, generał rychło zaczął wtrącać się do dowodzenia. Do kwatery w Schwedt popłynęła istna rzeka jego próśb, żądań i rozkazów, jeden głupszy od drugiego. Od rana do wieczora Skorzeny chodził wściekły jak osa. Jak napisał później: „Najbardziej oburzało mnie to, że żaden z jego oficerów sztabowych nigdy nawet nie wizytował przyczółka. Bach-Zelewski odwiedził mój posterunek na tyłach i na zamku Schwedt, ale na ogół mnie tam nie było, więc zadowolił się meldunkiem od jednego z moich oficerów, wypił lampkę koniaku i wrócił do swojej kwatery głównej”. W końcu Otto przestał zwracać uwagę na rozkazy przychodzące od dowódcy korpusu, a niedługo później generał utracił swoje stanowisko, kiedy jego oddziały zostały błyskawicznie rozbite przez aliantów.

W Schwedt tymczasem trwała zacięta bitwa i rosły straty. Przewaga wroga w ludziach, czołgach, artylerii i lotnictwie wynosiła 15:1. Po dwóch dniach zaciekłych walk ponownie padło Grabowo. Rosjanie doszli aż do Krajnika Górnego, dwa kilometry od Odry. Sytuacja niemieckich wojsk stała się krytyczna, rzec można nawet, że beznadziejna. Obersturmführer (porucznik) Schwerdt, mianowany niebawem Hauptsturmführerem (kapitanem) odbił gwałtownym kontruderzeniem Grabowo. Zginęło przy tym czterech starych towarzyszy Skorzenego spod Gran Sasso. Któregoś dnia sowieckie myśliwce ostrzelały punkt dowodzenia, tłukąc wszystkie szyby, lecz nie czyniąc żadnych większych szkód, poza szokiem wyrwanego ze snu Luxa.

Znakomicie spisywała się kompania strzelców wyborowych z Friedenthalu, dowodzona przez Obersturmführera Odo Wilschera. Maskował swoich strzelców w grupach po dwóch na „ziemi niczyjej” bądź na pozostałych po wysadzeniu lodu na Odrze olbrzymich blokach

pokrytych drewnem i gałęziami. Byli naprawdę groźni i słusznie się ich obawiano, ponieważ strzelali zazwyczaj do oficerów i podoficerów.

Któregoś wieczoru, słuchając radia, Otto usłyszał w BBC, że awansowano go do stopnia Brigadeführera (generała-majora). Jako dowódca formacji o sile dywizji uważał, że ma prawo do tej rangi, ale nie dopatrzył wypełnienia odpowiednich formularzy. BBC zrobiło to za niego: „Znany powszechnie esesman Skorzeny, który swego czasu uratował Mussoliniego, został awansowany do rangi generała majora i wyznaczony do obrony Berlina. W ten sposób został jednym z najpotężniejszych ludzi w niemieckiej stolicy […]. Zaczął już likwidować wszystkie niepewne elementy wśród mieszkańców Berlina".

Otto dowiedział się później, iż rzeczywiście w tym samym czasie Hitler rozważał mianowanie go dowódcą obrony Berlina. Wiara Führera w możliwości swego ulubieńca była bezgraniczna i niezachwiana, jednak nawet hitlerowski „Terminator" nie był w stanie uratować „nieśmiertelnej" Rzeszy… Poza tym, mimo poparcia generała Jodla, sztab odrzucił propozycję Hitlera. „Jakim cudem wiadomości z Kancelarii Rzeszy dotarły do Anglii tak szybko?" – zastanawiał się Skorzeny w swych wspomnieniach. Nigdy nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

BBC oznajmiła również, że „kwaterę główną porywacza Mussoliniego całkowicie zniszczono". Rzeczywiście, Friedenthal ucierpiał dość mocno podczas jednego z alianckich nalotów, lecz najważniejsze służby ewakuowano wcześniej do Hof w Bawarii.

28 lutego 1945 roku przyczółek mostowy w Schwedt ciągle jeszcze się trzymał. Tego dnia wieczorem Skorzeny otrzymał nagłe wezwanie do Kwatery Głównej Hitlera w Berlinie. Wiadomość była krótka i lakoniczna – miał się przygotować do przekazania dowództwa w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, wrócić do Friedenthal i tam oczekiwać dalszych rozkazów.

Natychmiast zadzwonił do Berlina z pytaniem, co ma zrobić ze swoimi komandosami, którzy ocaleli. Oznajmiono mu chłodno, że mają pozostać w Schwedt. Odwołał się do generała Jodla, lecz ten powiedział mu, że wszelkie prośby w tym zakresie są bezcelowe:

– Pańscy ludzie muszą zostać na miejscu i nadal bronić przyczółka.

Ze smutkiem opuścił swoich weteranów, którzy podążali za nim lojalnie od Gran Sasso poprzez Budapeszt i Ardeny, aż po Odrę. Wielu z nich nigdy nie miał już zobaczyć.

3 marca przyczółek w Schwedt został ewakuowany.

Przypisy

1 W połowie marca 1945 roku cały sztab w Ziegenbergu został ewakuowany, a kilka dni później, 19 marca, nalot brytyjskich bombowców nurkujących zniszczył większą część kompleksu łącznie z pałacem. Bunkry ukrytego w lesie punktu dowodzenia nie zostały rozpoznane przez aliantów i w stanie nienaruszonym zajęto je bez walki 30 marca. Obecnie wciąż są wykorzystywane jako magazyny Bundeswehry. Pałac w Ziegenbergu został odbudowany w 1987 roku. W tej chwili znajdują się tam mieszkania prywatne.

2 Krzyż Rycerski, właśc. Krzyż Rycerski Krzyża Żelaznego (Ritterkreuz des Eisernen Kreuzes, RK) – niemiecki order, najwyższe odznaczenie wojskowe okresu III Rzeszy. Stanowił rozszerzenie klas Krzyża Żelaznego. Pierwsze nadanie Krzyży Rycerskich miało miejsce 30 września 1939 roku. Do końca 1939 roku nadano ich 27.

3 W końcu dzięki wstawiennictwu Heinza Guderiana 20 marca 1945 roku dowódcą Grupy Armii „Wisła” został mianowany generał Gotthard Heinrici, dowodzący dotychczas w Karpatach 1. Armią Pancerną, ale było już za późno. 11 kwietnia 1945 roku do Heinriciego dotarł rozkaz Hitlera o kryptonimie „Spalona ziemia”. Rozkaz ten nakazywał niszczenie wszelkich zakładów przemysłowych o znaczeniu strategicznym na terenach, którym groziło zajęcie przez wojska rosyjskie. Heinrici nie przekazał tego polecenia dowódcom oddziałów znajdujących się na obszarach kontrolowanych przez Grupę Armii „Wisła”. W dalszej części

rozkaz Führera zawierał szczegółowe wytyczne na wypadek zajmowania przez Armię Czerwoną kolejnych dzielnic Berlina. Treść rozkazu obligowała obrońców stolicy III Rzeszy do wysadzenia wszystkich mostów w mieście, zniszczenia elektrowni, gazowni, wodociągów, sieci kanalizacyjnej i środków komunikacji. 28 kwietnia 1945 roku Heinrici odmówił walki w obronie za wszelką cenę, za co został zwolniony przez Naczelnego Wodza Adolfa Hitlera. Najbliżsi podwładni skłonili go, by nie stawił się w Kwaterze Głównej w obawie, że Hitler każe go rozstrzelać lub zmusi do popełnienia samobójstwa. W maju dostał się do niewoli amerykańskiej.

4 Orstgruppenleiterzy – kierownicy lokalnych organizacji partyjnych.

5 Obecnie ruiny posiadłości porastają drzewa, a dwie wieże stojące przy bramie wjazdowej z herbami rodowymi Göringa przypominają o mrocznych latach wojny i okazałej rezydencji, będącej niegdyś miejscem spotkań najważniejszych osobistości świata polityki i nie tylko. Przez dziesiątki powojennych lat nie było wiadomo, co stało się z grobem Karin. Władze NRD zamknęły teren dawnej posiadłości marszałka Rzeszy, nie dopuszczając tam nikogo. Dopiero w listopadzie 1950 roku pewien szwedzki ksiądz dostał się do Karinhall. Na podłodze w mauzoleum leżały kości baronowej von Kantzow. Duchowny pozbierał je do worka i powiadomił rodzinę w Szwecji. Zmarłą kobietę pochowano ponownie na niewielkim cmentarzu w Lovö, skąd w 1934 roku Göring zabrał zwłoki ukochanej żony, aby zbudować dla niej mauzoleum i pałac wypełniony arcydziełami sztuki.

6 Lend-Lease Act – specjalna pożyczka wojskowa udzielona państwom sprzymierzonym na mocy ustawy amerykańskiego Kongresu z 11 marca 1941 roku. Upoważniała ona prezydenta do sprzedaży, wynajmu, dzierżawy i pożyczki materiałów wojennych i sprzętu państwom, dla których pomoc uzna on za żywotny interes obronny Stanów Zjednoczonych. Państwa, które otrzymywały pomoc w ramach tego aktu, zawierały ze Stanami Zjednoczonymi dwustronne porozumienia. Długi za materiały, które w czasie działań wojennych zostały zniszczone lub stracone, podlegały

umorzeniu, a resztę spłacano po wojnie w formie długoterminowych kredytów. Układ ten podpisał 1 lipca 1942 roku w Waszyngtonie również polski rząd emigracyjny w Londynie. Ogólna suma dostaw dla wszystkich 42 państw do 1945 roku wyniosła 50,6 mld USD. Skorzystały z nich głównie Wielka Brytania (30 mld – 3/5 dostaw) i Związek Sowiecki (11 mld – 1/5 dostaw). Wielka Brytania otrzymała m.in. 25 tys. czołgów i 50 tys. samolotów, a Związek Sowiecki 11 tys. czołgów i 18 tys. samolotów oraz pomoc żywnościową w wysokości 4,5 mln ton. Po kilkaset milionów dolarów otrzymały: Australia, Francja, Polska, Nowa Zelandia, państwa Afryki i Bliskiego Wschodu. Dużą pomoc w ramach programu Lend-Lease otrzymały także Chiny. Negocjacje w sprawie spłaty zaciągniętych przez Sowietów w ramach Lend-Lease Act kredytów trwały do roku 1972, kiedy kredyty te uległy prawie w całości umorzeniu.

Rozdział 9

Mityczna „Reduta Alpejska”

Od lutego 1945 roku Hitler przebywał stale w Berlinie, w specjalnym bunkrze mieszczącym się w podziemiach gmachu Kancelarii Rzeszy przy Wilhelmstrasse 77. Otaczali go tylko najbliżsi współpracownicy: Bormann, Goebbels, adiutanci z SS i personel cywilny. Towarzyszyła mu także długoletnia przyjaciółka Ewa Braun – eksmodelka nadwornego fotografa wodza Heinricha Hoffmanna, bawarska mieszczka, zakochana podobno do szaleństwa w Führerze.

Ukochaną wodza Albert Speer scharakteryzował następująco:

„Ewa Braun nie interesowała się polityką, prawie w ogóle nie starała się wywierać wpływu na Hitlera. Była wysportowana, świetnie biegała na nartach, często robiliśmy wspólne wycieczki górskie poza granicami posiadłości. Pewnego razu Hitler dał jej nawet ośmiodniowy urlop, naturalnie w czasie, gdy jego nie było na górze. Pojechała z nami na kilka dni do Zuers, gdzie nierozpoznana tańczyła z młodymi oficerami aż do świtu. Daleko jej było do tego, by być jakąś nowoczesną Madame Pompadour”.

Ewa wypełniała swój wolny czas sprawami, które leżały jej na sercu: modą, sportem, muzyką jazzową i filmowaniem okolicy za pomocą małoobrazkowej kamery. Gdy Führer był poza domem, pozwalała sobie od czasu do czasu na zapalenie papierosa.

Zupełnie inny obraz ostatniej kochanki Hitlera nakreśliła w napisanej przez siebie biografii niemiecka historyk Heike Görtemaker [*Ewa Braun.*

Na dworze führera]:

„Uważano zawsze, że była ona głupawą blondynką, a w najlepszym razie miłą dziewczyną z sąsiedztwa, która miała nieszczęście zakochać się w potworze – twierdzi autorka. – Moim zamiarem było jednak, by spojrzeć, co kryje się za legendą, kim była naprawdę ta kobieta, która żyła i umarła z Hitlerem. Ukazał mi się zupełnie inny obraz […]. Z upływem lat Ewa Braun odgrywała coraz ważniejszą rolę w otoczeniu Hitlera. Była nietykalna i nie była pasywną, niepolityczną osobą […]. W rezydencji Berghof pomagała przedstawić Hitlera jako troskliwego przywódcę, zatem współtworzyła wizerunek Führera […]. Podzielała przekonania Hitlera, dawała mu psychologiczne wsparcie, utwierdzała go w urojeniach u kresu wojny i wraz z nim polowała na rzekomych zdrajców. Tym samym stała się jego wspólnikiem” – oceniła pani Görtemaker.

Był późny wieczór 15 marca 1945 roku. Wiozący Skorzenego Mercedes skręcił z Wilhelmplatz w Vosstrasse i pojechał w kierunku Kancelarii Rzeszy. Obok Ottona na tylnej kanapie siedział Walter Schellenberg.

– Jak przedstawiają się sprawy, Brigadeführer? – zapytał go Otto.

– To już nie te czasy, gdy Göring twierdził, że jeśli na Berlin spadnie choć jedna bomba, możemy mówić do niego Meier – odpowiedział z kwaśnym uśmiechem szef wywiadu SS.

– Jak widać, pomylił się.

– Obawiam się, że tak. Führer kazał zbudować pod kancelarią bunkier. To podziemne centrum dowodzenia. Beton ma trzydzieści metrów grubości, więc alianci mogą sobie zrzucać tyle bomb, ile im się żywnie podoba.

– Czyżby to miał być jego ostatni bastion? Z płynącą z głośników muzyką Wagnera?

– No cóż – wzruszył ramionami Schellenberg – wolimy się nad tym nie zastanawiać. Ważniejsze osobistości mają tam na dole rezerwowe kwatery. Oczywiście Reichsführer również.

Skorzeny wydął lekko wargi, słysząc o Himmlerze.

– I co dalej? – zapytał po chwili. Spodziewają się, że RAF zbombarduje dziś w nocy miasto, czy jak?

– Nie będzie aż tak ciekawie. Führer lubi od czasu do czasu zwoływać zebrania sztabu w pokoju operacyjnym. Potem zaprasza wszystkich na obiad.

– W tych podziemiach? – Skorzenego przeszedł dreszcz. – Wolałbym poprzestać na kanapce z mielonką.

Z uwagą rozejrzał się wokoło. Wszystko było szare i zmęczone, podobnie jak jego wzrok. Szare były sklepy i domy stojące wśród pustkowi przerywanych ceglanymi rumowiskami i gołymi żebrami stalowych zbrojeń, które pewnie pozostały po dawnych sklepach i domach. Minęli imponujące ruiny kościoła pamięci Cesarza Wilhelma I Hohenzollerna. Patrząc na strzaskane wieże i prześwitujące przez oczodoły murów mozaiki, Otto nie mógł się nasycić urodą zdruzgotanej wojną świątyni. Być może to właśnie bombardowaniom zawdzięczała ona swój majestat. Strzelała w niebo ponad trywialność sklepów, kin, hoteli, ocalałych mieszkalnych domów. Trwała niczym starożytne, pogrążone w dżungli ruiny Angkor Wat, w niczym nie przypominając szczątków statecznego miejskiego kościoła z przełomu wieków[1].

Oto gmach Opery, a tu ruiny politechniki. Z jej schodów jeszcze tak niedawno Hitler pozdrawiał wyruszające na front oddziały… Na prawo Brama Charlottenburska. Patrzył przez szybę z mieszanymi uczuciami. Było to ciekawe, ale i przygnębiające. Majestatyczne budowle wznoszone z myślą o naukach i sztukach leżały w gruzach. Pomniki dawnej chwały nie przetrwały siły wybuchu alianckich bomb. Kolumna zwycięstwa, wzniesiona jako symbol pruskiej potęgi, przypominała pokiereszowaną dłoń z odstrzelonym palcem.

Plac Wilhelma wyglądał ponuro i nieprzytulnie. Gdzie wzrok sięgał, wszędzie widać było ruiny, sterczące resztki murów, czarne, złowieszcze wyrwy i otwory okienne, za którymi rozciągał się bezład gruzów, belek i kamieni. Zamiast pięknego, stylowego, barokowego pałacyku, gdzie mieściła się Kancelaria III Rzeszy, ten dawny symbol minionych czasów cesarskich, teraz sterczały tylko na wpół spalone kikuty. Rezultat nalotu z 3 lutego, najcięższego w trakcie całej wojny. To wszystko, co pozostało po

dawnej świetności… Mały ogródek przed pałacem też był zawalony gruzem. Niegdyś były tu ładne kwietniki… ocalała tylko część muru gmachu nowej Kancelarii Rzeszy oraz niewielki kwadratowy balkon. Z tego balkonu Adolf Hitler odbierał owacje mieszkańców Berlina…

Miasto było pogrążone w ciemnościach. Z obu stron wyłaniały się ponure, złowieszcze szkielety zrujnowanych i wypalonych murów, nieforemne stosy zgliszcz, żelastwa i belek. Nic nie zdradzało, że było to kiedyś wspaniałe, tętniące życiem, zalane kaskadą świateł, pełne ludzi i sklepów wielomilionowe miasto. Teraz towarzyszyły im tylko ruiny, milczenie, ciemności i śmierć czająca się w zdradliwie cuchnących rumowiskach cegieł.

„Kilka tygodni spędzonych w zrujnowanym Berlinie – upiornych resztkach pozostałych po znanym mi mieście, które Hitler chciał całkowicie przekształcić w 1940 roku, było dla mnie prawdziwym koszmarem” – zanotował później Skorzeny w swoich pamiętnikach.

Kiedy Mercedes jechał wzdłuż Kurfürstendamm, zaczął padać śnieg. Hulający po ruinach wiatr i panujące wokół ciemności nie nastrajały optymistycznie.

– Proszę spojrzeć – odezwał się Schellenberg, jakby czytał w myślach Skorzenego. – To było kiedyś wspaniałe miasto. Słynęło ze sztuki, muzyki i teatru. I z nocnych klubów. „Raj”, „Błękitny Nil”… Zawsze było tam pełno najpiękniej ubranych transwestytów, jakich można sobie wyobrazić.

– Nigdy w tym nie gustowałem – stwierdził Otto.

– Ani ja – Schellenberg wybuchnął śmiechem. – Zawsze byłem zdania, że wiele tracą.

O czym Skorzeny nie wiedział, to o tym, że Schellenberg już w roku 1942 zorientował się, że Niemcy wojny nie wygrają, i usiłował nakłonić Heinricha Himmlera do rokowań pokojowych z aliantami zachodnimi – rokowań prowadzonych za pośrednictwem przedstawicieli Czerwonego Krzyża i bez wiedzy ZSRS. Udało mu się nakłonić Reichsführera do podjęcia rokowań w tajemnicy przed Hitlerem przed samym zakończeniem wojny[2].

*

Mercedes podjechał do rampy. Do samochodu zbliżył się wartownik z SS. Mimo generalskiego munduru Schellenberga zostali przepuszczeni dopiero po dokładnej kontroli dokumentów.

Skorzeny podążał za Brigadeführerem wzdłuż ciągnącego się w nieskończoność korytarza. Szli w półmroku, wśród betonowych ścian, słysząc cichy szum elektrycznych wentylatorów i czując od czasu do czasu podmuch zimnego powietrza. Tu i ówdzie pełnili straż esesmani, ale obecność innych osób pozostawała właściwie niezauważalna.

– Myliłby się pan, sądząc, że nikogo tu nie ma – powiedział Schellenberg. – Wokoło jest mnóstwo różnych pomieszczeń. W takich salach, jak to centrum łączności, przebywa kilkaset osób.

W głębi korytarza otworzyły się kolejne drzwi i ukazał się w nich Heinrich Himmler w towarzystwie barczystego, dosyć krępego mężczyzny w mało efektownym mundurze. Kiedy podeszli bliżej, Schellenberg odsunął Skorzenego na bok i stanął na baczność. Otto uczynił to samo. Bormann obrzucił ogromnego esesmana nienawistnym spojrzeniem. Obydwaj dygnitarze przeszli obok i skierowali się w stronę widniejących po drugiej stronie korytarza schodów.

– Sam Martin Bormann – mruknął Skorzeny. – Reichsleiter. Szef Kancelarii Partii Narodowych Socjalistów. Dotknąłem niemal rąbka jego szaty.

Schellenberg spojrzał na niego uważnie.

– Zastanawiam się czasem przyjacielu, jakim cudem żyje pan tak długo – powiedział cicho.

– No cóż, Brigadeführer, chyba dzięki temu, że mam szczęście.

– Rzeczywiście, ma pan cholernie dużo szczęścia – westchnął szef wywiadu. – Pytanie tylko, na jak długo go panu starczy?

Dwie minuty później Skorzeny prężył się w postawie zasadniczej przed samym Wodzem. Był przerażony wyglądem Hitlera. „Pochylony, z siwymi włosami, sprawiał żałosne wrażenie” – zapamiętał. Człowiek, który kiedyś

obiecał Niemcom, że uczyni je „tysiącletnim imperium”, zdawał już sobie chyba sprawę, że to imperium zbliża się do końca istnienia po zaledwie dwunastu latach.

Ostatnie dwa miesiące wojny, której główne fronty przecinały niemieckie ziemie, były właściwie totalnym samobójstwem. W jednej z ostatnich rozmów, zanotowanej przez wiernego Bormanna, Hitler powiedział, że „jeśli naród niemiecki nie potrafił zwyciężyć wroga, to nie wart jest, aby żył”. Wszystkie jego rozkazy były konsekwentnym stosowaniem tej deklaracji. Odwrót odbywał się na zasadzie „spalonej ziemi”. Każde niemieckie miasto miało być „fortecą”, bronioną „do ostatniego żołnierza”. Tylko nieliczni dowódcy wykazali jeszcze tyle odwagi, by starać się ocalić ludność cywilną od niepotrzebnej rzezi. Większość do końca słuchała obłędnych rozkazów Führera.

– Witam pana, Skorzeny – powiedział znużonym głosem Hitler. – Chcę raz jeszcze podziękować panu za dokonania nad Odrą. Z pańskim przyczółkiem przez trzy tygodnie wiązaliśmy wielkie nadzieje. Przez całe dnie był to jedyny jasny punkt w otrzymywanych przeze mnie raportach.

– Dziękuję, *Mein Führer!*

– Odznaczyłem pana Dębowymi Liśćmi i chciałem je wręczyć osobiście. Potem może mi pan zdać dokładną relację. Na teraz mam dla pana inne zadanie.

Przez następnych kilkanaście minut generał Jodl tłumaczył Skorzenemu w imieniu wodza, na czym będzie polegać jego kolejna misja.

Otto skierował wzrok na wiszący nad kominkiem portret swojego imiennika, von Bismarcka, pędzla Franza von Lenbacha. Oczy wielkiego męża stanu groźnie patrzyły na odbywającą się u jego stóp rozmowę. W słabo oświetlonym kącie sali konferencyjnej lśnił jego kirasjerski hełm. Żelazny kanclerz zdawał się pytać: „Co wy robicie z mojej Rzeszy?”. Z tyłu Skorzeny czuł utkwiony w sobie wzrok Hindenburga, którego brązowe popiersie stało pod przeciwległą ścianą. I on jakby pytał: „Co robicie z Niemcami? Co stanie się z moimi Prusami?”.

– Zobaczymy się jeszcze – powiedział na koniec Hitler.

Z tymi słowami człowiek, który przez ostatnie sześć lat władał niemalże połową świata, odszedł, szurając nogami. Złamany, umierający mężczyzna. Nigdy więcej Skorzeny już go nie zobaczył.

W ostatnich dniach swego życia Führer był człowiekiem fizycznie i psychicznie zrujnowanym. Do niedawna jeszcze, przy swoich pięćdziesięciu z górą latach, był nieprzeciętnym okazem zdrowia i energii. Wiele pisało się w Niemczech na temat „magnetycznego wpływu", jaki wywierać miał na otoczenie, w szczególności na posłusznych mu generałów. Był to oczywisty nonsens, służący za usprawiedliwienie własnej małości ducha, ale z drugiej strony wiele również świadczy o kolosalnej sile woli i fantastycznym uporze wodza, cechującym z reguły wielkich zbrodniarzy.

Teraz, zamknięty w podziemiach Reichkanzlei, zmienił się nie do poznania. Ci, którzy spotykali się z nim w tym czasie, opisują Hitlera jako osobnika na pograniczu obłąkania. Niewątpliwie niszczyło go stałe napięcie psychiczne i systematyczne zatruwanie narkotykami, dostarczanymi przez osobistego lekarza, pseudoprofesora Morella, w istocie zwykłego szarlatana. Istnieje też bardzo prawdopodobna wersja, że Hitler cierpiał na chorobę Parkinsona, ciężkie schorzenie nerwów, o czym świadczyło stałe drżenie kończyn, które wszakże mogło być wywołane kontuzją odniesioną w zamachu z 20 lipca. Wszystko to jednak nie usprawiedliwia poglądu, jakoby Führer był szaleńcem.

„W strasznych, marcowych dniach 1945 roku odwiedzałem dość często służbowo Kancelarię – czytamy w książce *Nieznana wojna. Moje operacje specjalne*. – Bolało mnie zranione oko i doktor [Ludwig] Stumpfegger chciał je zbadać. Badanie odbyło się w pomieszczeniach przylegających do sekretariatu Hitlera. Tego właśnie dnia przedstawiono mnie Ewie Braun […]. Młoda kobieta, o której istnieniu dotąd nie wiedziałem, była bardzo prosta w obejściu i niezwykle sympatyczna. Stwierdziła, że jest szczęśliwa z poznania mnie i zaprosiła na któryś z wieczorów. Nie skorzystałem z zaproszenia, gdyż dr Stumpfegger ostrzegł mnie, iż na tych przyjęciach obecny był zawsze [Hermann] Fegelein, szwagier Ewy Braun […]. Jego

fanfaronady i próżność znane były w Waffen-SS. Już gdy przygotowywałem operację «Greif», miałem z nim do czynienia i nie chciałem go bliżej poznać”.

W końcu kwietnia, gdy Berlin był już otoczony i ostrzeliwany przez sowieckie wojska, ukryty w znajdującym się pod jego kwaterą betonowym bunkrze Hitler napisał testament, w którym twierdził, że nie ponosi odpowiedzialności za śmierć milionów ludzi w podbitych państwach i milionów własnych rodaków oraz że został zdradzony, a Niemcy okazali się niegodni jego przywództwa.

29 kwietnia 1945 roku zawarł związek małżeński z Ewą Braun. Następnego dnia pomiędzy godziną 15.30 a 15.50 oboje popełnili samobójstwo. Hitler zastrzelił się w swych prywatnych apartamentach w podziemnym schronie obok starej Kancelarii Rzeszy w oblężonym Berlinie, siedząca u jego boku Ewa przegryzła kapsułkę z trucizną. „Umrę tak jak żyłam – zapisała chwilę wcześniej. – Nie będzie to dla mnie trudne”. Zwłoki oblano benzyną i podpalono. Tak skończyła się era, która miała trwać tysiąc lat. Ciał małżeństwa Hitlerów nigdy nie znaleziono, co stało się pożywką do podsycanych przez samego Stalina spekulacji o rzekomej ich ucieczce do Ameryki Południowej czy Hiszpanii.

To wszystko jednak nastąpić miało dopiero za kilka tygodni. Na razie życie toczyło się dalej. „Tak jak w powieści balzakowskiej *Jaszczur*, terytorium, na którym walczyliśmy, kurczyło się każdego dnia na Wschodzie i na Zachodzie” – zapisał Otto Skorzeny.

*

Mosty zawsze odgrywały w wojnach kluczową rolę. Wynik wielu bitew i całych kampanii niejednokrotnie zależał od tego, komu uda się je utrzymać, zdobyć czy zniszczyć. Podczas II wojny światowej w walkach w północno-zachodniej Europie szczególny rozgłos zyskały trzy z nich.

Pierwszym był stanowiący niezwykle ważny punkt strategiczny Pegasus Bridge (Most Pegaz) w miejscowości Bénouville w Normandii, na rzece

Orne, zdobyty przez brytyjską 6. Dywizję Powietrznodesantową w ramach akcji „Deadstick”. Jej zadaniem było wsparcie głównego natarcia podczas operacji „Overlord” oraz ochrona lewego skrzydła wojsk inwazyjnych poprzez zajęcie mostów na rzece Orne i terenów w okolicy miasta Caen. Akcja rozpoczęła się nocą 5 czerwca 1944 roku. Kluczowym elementem stało się natarcie jednej kompanii przetransportowanej na miejsce szybowcami typu „Airspeed Horsa”. Dowódcą kompanii D, która zdobyła i utrzymała most, był John Howard, a pilotem szybowca nr 1 – James Wallwork. Ogółem podczas akcji rannych zostało dwunastu spadochroniarzy, dwóch z nich zmarło. Następnego dnia próbę odbicia mostu z rąk brytyjskich powierzono niemieckiemu pułkownikowi Hansowi von Luckowi, który jednak po długich walkach został zmuszony do odwrotu.

Drugi ze sławnych mostów znajdował się w Arnhem. Był słabo znany na świecie aż do roku 1974, kiedy to Cornelius Ryan opublikował książkę *O jeden most za daleko.* Wyczyny pułkownika Johna Frosta i jego spadochroniarzy w Arnhem zyskały rozgłos po obu stronach Atlantyku.

Wyzwalanie Holandii rozpoczęło się jesienią 1944 roku wraz z operacją „Market-Garden”. Był to brytyjski plan szybkiego zakończenia wojny przez stworzenie korytarza od Eindhoven do Arnhem. Dawałoby to kontrolę nad trzema głównymi rzekami leżącymi na trasie korytarza, izolowałoby siły okupacyjne na zachodzie w Niderlandach i pozwalałoby na natarcie wprost na Niemcy. Plan był ryzykowny, ale gdyby się powiódł, przyśpieszyłby koniec bestialstw.

17 września brytyjska 1. Dywizja Powietrznodesantowa została zrzucona na spadochronach w okolicach wsi Oosterbeek, leżącej w pobliżu najbardziej na północ wysuniętego punktu całej operacji, mostu w Arnhem. Niemiecki opór był jednak dużo silniejszy niż się spodziewano i po ciężkich walkach siły sojusznicze zdołały zająć tylko północny kraniec mostu. Nacierająca armia brytyjska nie zdołała przebić się dość szybko i po czterech dniach zdziesiątkowany batalion broniący mostu został zmuszony do wycofania się[3].

Trzecim był słynny żelazny most kolejowy w Remagen, noszący imię Ericha Ludendorffa. Miał trzysta dwadzieścia pięć metrow długości i przebiegały przezeń dwie linie kolejowe oraz droga dla ruchu pieszego. Zaprojektowany został przez Karla Wienera w czasie I wojny światowej w celu zwiększenia efektywności transportu żołnierzy i materiałów wojennych na front zachodni.

*

Czerwony zmierzch obmył drzewa i wyszorował domy. Był 7 marca 1945 roku. Powściągliwy zazwyczaj i dystyngowany dowódca 1. Armii Amerykańskiej, Courtney Hodges, stracił nad sobą panowanie, kiedy przeczytał dostarczoną mu wiadomość.

„W dniu dzisiejszym dowodzony przez porucznika Karla Timmermanna patrol z kompanii B 9 Dywizji Pancernej generała Williama M. Hoge'a zdobył most na Renie" – przeczytał ze zdumieniem.

Trafiła się wyjątkowa gratka. Przez kilka ostatnich dni oddziały generała próbowały przechwycić mosty na Renie, ale wszystkie wylatywały w powietrze na oczach sfrustrowanych Amerykanów. I oto grupa śmiałków właśnie zdobyła nienaruszony most…

Tego dnia, 7 marca, porucznik Karl H. Timmermann i jego żołnierze przebili się przez wyżynę Eifel. Pozwoliło im to osiągnąć Ren i odciąć wojska niemieckie w rejonie Bonn od tych, które wciąż zajmowały lewy brzeg rzeki. Przybyli do Remagen, małego miasteczka u ujścia Ahry do Renu, czterdzieści kilometrów od Kolonii i trzydzieści od Koblencji. Tam odkryli niezniszczony most kolejowy, prowadzący do tunelu, w którym ukrywali się cywile i wojskowi. Szybkość, z jaką posuwały się wojska amerykańskie, uniemożliwiła zniszczenie go. Po raz pierwszy alianci znaleźli się na prawym brzegu Renu.

Był to jeden z najbardziej śmiałych wojennych wyczynów, który doczekał się upamiętnienia w książkach oraz filmach. Najlepszy opis akcji zawiera książka Kena Hechlera *The Bridge at Remagen*. Na jej podstawie

nakręcono również głośny film wyświetlany w Polsce pod tytułem *Most na Renie* w reżyserii Johna Guillermina.

Z okna swojego gabinetu Courtney Hodges mógł dojrzeć nabrzmiałą od deszczu rzekę, płynącą kilkadziesiąt metrów dalej. Posępne o tej porze roku belgijskie uzdrowisko Spa, znane z leczniczych gorących źródeł, nie prezentowało się bynajmniej okazale. Chmury wisiały nisko nad dachami budynków, ciągnąc za sobą przemoczone, utkane z mgły brody. W 1918 roku miasto było kwaterą główną niemieckiej armii. Stąd wyruszyli niemieccy delegaci na konferencję pokojową kończącą I wojnę światową. Latem 1920 roku odbyła się tu międzynarodowa konferencja, znana jako konferencja w Spa, dotycząca realizacji przez Niemcy postanowień traktatu wersalskiego.

Generał doskonale zdawał sobie sprawę, że oto niebiosa zesłały mu niepowtarzalną szansę na przerwanie zachodniego frontu. Porzucając zwykłą sobie ostrożność, dwie minuty później wydał swoim oficerom rozkaz:

– Natychmiast przeprawić na drugą stronę wszystkie jednostki, jakimi dysponujemy!

Potem sięgnął po słuchawkę telefonu, żądając błyskawicznego połączenia z Kwaterą Główną w Namur w Belgii. Po drugiej stronie odezwał się głos generała Omara Bradleya.

– Brad – powiedział nieco drżącym jeszcze z emocji głosem Hodges – mamy most.

– Most? Jaki most?

– Most Ludendorffa na Renie.

– Co takiego?! Czy ja dobrze słyszę? Macie ten cholerny most?

– I to nietknięty, bracie. Chłopcy Hoge’a zdobyli go, zanim Niemcy zdołali wysadzić.

– Jasny gwint, Court, to trzeba wykorzystać i przeprawić się na drugą stronę.

– Już wydałem odpowiednie rozkazy.

Zaminowany most w Remagen miał być wysadzony 7 marca, po przejściu wycofującej się niemieckiej ciężkiej artylerii, nie zadziałał jednak zapalnik. Budowla została mocno uszkodzona, lecz się nie zawaliła. Ot, zwykła „wada towaru”. W normalnych czasach w takich wypadkach po prostu dzwoni się do najbliższego serwisu i żąda naprawy zgodnie z kartą gwarancyjną. Ale czasy nie były normalne, wciąż trwała wojna. Hitler wpadł we wściekłość i domagał się ofiar. Rozstrzelano w trybie doraźnym pięciu oficerów.

Marszałek Göring zobowiązał się zniszczyć most resztkami swojej Luftwaffe. Podobnie jak to było wcześniej w Nijmegen, niemieckie bombowce w locie nurkowym chybiały jednak fatalnie z powodu bardzo mocnej obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela. 10 marca dwadzieścia tysięcy Amerykanów znalazło się już po drugiej stronie Renu, przechodząc przez most Ludendorffa.

Wtedy zadanie powierzono obsłudze ciężkiego moździerza samobieżnego typu Gerät 040 kalibru 600 mm, nazywanego popularnie „Karl”, na cześć generała Karla Beckera, inicjatora i gorącego orędownika budowy broni tego typu. Był to jeden z najciekawszych typów sprzętu artyleryjskiego z lat II wojny światowej, broń o niezwykłej sile niszczącej i stosunkowo małym rozrzucie, przeznaczona do niszczenia wszelkich istniejących wówczas fortyfikacji stałych, „braciszek” wspomnianego wcześniej przy okazji akcji Skorzenego w Budapeszcie „Thora”[4]. Oddano pięć salw, po czym moździerz trzeba było wycofać do naprawy.

Z Holandii wysłano kilka rakiet V-2, także bez sukcesu. Dopiero wtedy wezwano Skorzenego. We wspomnianej wyżej rozmowie z Jodlem w obecności Hitlera Otto zwrócił generałowi uwagę, że nakazana misja jest bardzo trudna.

„Należało ją przeprowadzić wpław, w wodzie o temperaturze nieprzekraczającej 7 lub 8 stopni Celsjusza, a nieprzyjacielski przyczółek mostowy był dużo bardziej rozległy niż w Nijmegen; rozciągał się na głębokość szesnastu kilometrów na południe od mostu – czytamy w jego wspomnieniach. – 17 marca operację przeprowadzili nurkowie bojowi

z «Jagdkommando Donau», którzy przybyli z Wiednia samolotem. Dowodził nimi Untersturmführer [podporucznik] Schreiber, człowiek wręcz zuchwały.

Płynąc mroźną nocą Renem z torpedami, użytymi już w Nijmegen, nasi towarzysze potrzebowali około godziny na dotarcie do Remagen. Schreiber stwierdził wówczas, że mieliśmy rację przewidując najgorsze. Nieprzyjaciel zbudował już dwa inne mosty pontonowe. Oddział wypełnił swoje zadanie. Most Ludendorffa został uszkodzony. Zginęło 28 żołnierzy amerykańskich. Schreiber zdecydował się zniszczyć położony nieopodal most pontonowy, lecz naszych nurków namierzono za pomocą promieni CDL (Canal Defense Lights), których źródła nie można zlokalizować. Schreiber stracił trzech ludzi, w tym dwóch z powodu zimna. Pozostałych, kompletnie wyczerpanych, schwytali Amerykanie.

Sądzę, iż żołnierz powinien być przekonany, że jego obowiązkiem jest posłuszeństwo. Misja oddziału Schreibera może się dziś wydawać absurdalna. Niemniej jednak, po przedstawieniu jej trudności generałowi Jodlowi, nie wahałem się wezwać ochotników do jej wykonania. Schreiber i jego nurkowie wypełnili swoją misję najlepiej, jak potrafili”.

Kilka dni później most w Remagen zawalił się w końcu sam, prawdopodobnie wskutek wszystkich wcześniejszych uszkodzeń. Ale Amerykanie byli już wtedy na drugim brzegu, a zaopatrzenie przez Ren dosyłali swoim żołnierzom przez wspomniany most pontonowy. Wszystkie wysiłki Niemców poszły więc na marne.

*

Z Kwatery Głównej Führera Skorzeny otrzymał rozkaz udania się do południowych Niemiec i Austrii. Miał tam utworzyć jednostkę złożoną ze zdesperowanych, najbardziej zagorzałych nazistów, którzy w trudno dostępnych rejonach Tyrolu i Styrii broniliby mitycznej „Reduty Alpejskiej”, górskiego rejonu pomiędzy Austrią a Bawarią. Himmler dał na to swoje pełnomocnictwo Kaltenbrunnerowi. W zasadzie redutę miano

rozbudować jako teren umocniony, mający około trzystu pięćdziesięciu kilometrów długości i siedemdziesiąt pięć kilometrów szerokości, od Bregenz na zachodzie do Bad Ausee na wschodzie, przez Füssen, Traunstein i Salzburg na północy, Glorenzę, Bolzano, Cortinę d'Ampezzo i Lienz na południu. W zasadzie…

Kiedy Otto pojawił się wraz z Radlem na wyznaczonym miejscu, ujrzał tylko góry, lodowce, lasy i potoki. Ani śladu wojska czy umocnień. Szukali wszędzie najmniejszego choćby znaku zorganizowanej obrony, ale bez skutku. Znaleźli jedynie kilka wypełnionych prowiantem wozów konnych, kilka niedokończonych stanowisk obrony i rdzewiejącą maszynerię, mającą służyć nigdy niezbudowanym podziemnym fabrykom amunicji. „Reduta Alpejska" istniała jedynie w wyobraźni Kwatery Głównej i w sennych koszmarach oficerów alianckiego wywiadu obawiających się, że jeszcze długo po zakończeniu wojny będą musieli walczyć z niemieckimi partyzantami w niezwykle trudnym terenie.

Zrozumiał, że jeszcze raz będzie musiał improwizować od początku do końca. Tym razem jednak jego jednostki były rozproszone i zdziesiątkowane lub nawet całkiem zniszczone. Z wielkim trudem udało mu się uzyskać kilku ludzi z doświadczeniem alpejskim, postarał się też o odkomenderowanie pod jego rozkazy resztek „Jagdverbänd Mitte", w sumie dwustu pięćdziesięciu ludzi. Z właściwą sobie fanfaronadą nazwał ich „Korpusem Alpejskim". Większość należała do szczególnie „zasłużonych", z bogatym kontem zbrodni, doskonale zdających sobie sprawę, czego mogą oczekiwać w wypadku dostania się do niewoli. Zabrał się za oczyszczanie dróg Górnej Austrii z uchodźców tak, aby mogło nimi przejść wojsko. Ustanowił punkty kontrolne, do których mogli się zgłaszać odcięci od swoich jednostek żołnierze i gdzie mieli być formowani w nowe jednostki, gotowe do walki. Potem kazał zaminować wszystkie wąwozy, tamy i górskie drogi. Teraz należało je tylko odpowiednio obsadzić i można było prowadzić dalej działania opóźniające.

W starym zamczysku Wizowitz na północ od Ołomuńca spotkał się z feldmarszałkiem Ferdinandem Schörnerem, ostatnim naczelnym dowódcą

wojsk lądowych III Rzeszy. Schörner uważany był za żołnierza wyjątkowo wiernego Hitlerowi. Do końca nie wątpił w możliwość przechylenia szali zwycięstwa na stronę niemiecką w ostatnich tygodniach wojny. Wierzył, że głównym celem armii sowieckiej będzie Praga, a nie Berlin. Kierując się takim rozumowaniem zluzował słabe linie obronne na przedpolach niemieckiej stolicy. Niemieccy weterani wojenni krytykowali go za wydany w roku 1945 rozkaz, zgodnie z którym wszyscy żołnierze napotkani za linią frontu i niemający pisemnych rozkazów mieli zostać rozstrzelani bez procesu.

Wkrótce Schörner ruszył na północ, na odsiecz okrążonego już Berlina. Szamoczący się w podziemiach Kancelarii Rzeszy Hitler liczył na te oddziały, łudząc się, że przerwą okrążenie i… Właśnie, co dalej? Tego nikt już wodzowi tysiącletniej Rzeszy nie był w stanie powiedzieć. Na razie oczekiwano tej akcji jako ostatniej deski ratunku. Przeciwko wojskom feldmarszałka walczyły nad Nysą dywizje 2. Armii Wojska Polskiego, w ciężkich bojach, wspólnie z oddziałami sowieckimi zagradzając drogę wszelkim próbom przebicia się. Dzięki bohaterstwu żołnierzy polskich i rosyjskich Schörner i jego ludzie nigdy Berlina nie zobaczyli.

Skorzeny oddał do dyspozycji feldmarszałka stu ludzi z „Jagdverbänd Ost II”. (Jednostka nosząca numer I została zniszczona niemal w całości pod Inowrocławiem). Podczas rozmowy z Schörnerem dowiedział się też, że zagrożony jest Wiedeń, w którym wciąż przebywała jego rodzina – matka, żona, córka i brat, podobnie jak niektórzy komandosi z oddziałów z Friedenthalu. Żadna z kobiet nie miała pojęcia, czym tak naprawdę zajmuje się Otto.

– Ale co mam powiedzieć ludziom? – zapytała go matka podczas którejś z krótkich wizyt w domu, kiedy po raz kolejny nie chciał wyjaśnić, co robi.

– Powiedz im, że pracuję w łączności – odparł.

– A jeśli będą chcieli dowiedzieć się czegoś więcej?

– Ktoś, kto chce dowiedzieć się czegoś więcej, zachowuje się w sposób podejrzany – wyjaśnił. – W takim wypadku powinnaś natychmiast zawiadomić policję.

Teraz Skorzeny postanowił pomóc rodzinie w wydostaniu się ze strefy walk.

– Panie feldmarszałku, proszę o pozwolenie udania się do Wiednia – poprosił Schörnera, chociaż jego jednostka specjalna nie podlegała formalnie rozkazom Wehrmachtu.

– Zgoda – odpowiedział Schörner. – Niech pan regularnie informuje OKW o sytuacji na froncie południowym, wzdłuż którego będzie pan przejeżdżał.

Wczesnym popołudniem wyruszył więc Otto w kierunku austriackiej stolicy wraz z adiutantem, Untersturmführerem Galentem, swoim kierowcą – Antonem Gfölnerem, który towarzyszył mu już w Gran Sasso, oraz oddelegowanym do jego dyspozycji przez Naczelne Dowództwo Wehrmachtu – Oberkommando der Wehrmacht (OKW) radiotelegrafistą.

Po sześciu godzinach uciążliwej jazdy zbliżył się do przedmieść rodzinnego grodu. Wszędzie dookoła w bezładnym odwrocie ciągnęli na zachód niemieccy żołnierze, myślący już tylko o ocaleniu własnej skóry. Gfölner co chwila naciskał ze złością klakson, torując sobie w ten sposób drogę przez niezdyscyplinowany tłum. Minęli zapory przeciwczołgowe. Na prawo i lewo w rowach przydrożnych leżeli ranni. Drogą sunęła kolumna sześciu konnych wozów. Na pierwszym siedział gruby sierżant, dowodzący kolumną, obok niego młoda dziewczyna. Za nimi wlekli się ranni.

Na ten widok Skorzeny wpadł we wściekłość. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zrozumieć, że grubas zajmuje się przeprowadzką. Na wozach znajdowały się meble, rozmaite sprzęty i stos ubrań.

– Zatrzymaj się! – powiedział do kierowcy.

Gfölner natychmiast wykonał polecenie.

– Stać! – krzyknął Otto, podnosząc w górę prawą dłoń. – Proszę zabrać na wozy rannych.

– Niemożliwe – odparł opryskliwie opasły sierżant. – Nie ma miejsca.

– Co takiego? – Nie wdając się w dłuższe wyjaśnienia, ogromny esesman chwycił żołnierza za kołnierz i przemocą ściągnął go z wozu.

– Co pan robi? – wrzasnął sierżant. – Mam rozkaz… i już nie dokończył tłumaczyć, jaki to ma rozkaz, bo potężne uderzenie pięści Skorzenego, wymierzone prosto w szczękę, rzuciło go na ziemię.

– Wyrzucić te wszystkie graty na ziemię! – zażądał kategorycznym głosem Otto. – Zrobić miejsce dla rannych!

– A ja, co ze mną? – zapytała z lękiem dziewczyna. – W zapadającym zmroku jej twarz zdawała się stanowić przedziwne połączenie bizantyjskiej Madonny i pogańskiej Wenus, syntezę naiwnej niewinności i rozkwitającego grzechu.

Otto spojrzał na nią uważnie.

– Ty, jeśli chcesz podróżować z nimi, możesz jechać.

Aby upewnić się, że jego rozkazy zostaną wykonane, odebrał wracającemu właśnie do przytomności sierżantowi pistolet i podał go najbliżej stojącemu rannemu.

– Pilnuj, żeby na wozie jechali tylko ranni! – powiedział. – Jedźcie na zachód, do najbliższego szpitala – dodał, patrząc na fatalnie pokiereszowaną rękę żołnierza. – A po drodze zbierzcie tylu rannych, ilu się tylko da.

Znokautowany sierżant podniósł się na nogi.

– Jesteś skończoną świnią – rzucił pod jego adresem Skorzeny.

– Dlaczego? Ja…

– Milczeć! Zabieraj się stąd ze swoimi ludźmi. Jeśli nie chce się walczyć, trzeba w przyszłości mniej kraść i być bardziej koleżeńskim.

Zaistniały incydent przekonał Skorzenego, że sytuacja na Wschodzie jest rozpaczliwa. „W tak krytycznej sytuacji, z obawy o swoje życie, ludzie zrzucali maski i stawali się w najwyższym stopniu egoistami” – zapisał później w swojej książce. W tej chwili nie miał jednak czasu, by wdawać się w dalsze rozważania. Musiał dostać się do stolicy. Wrócił do samochodu i kazał kierowcy ruszać.

*

Zanim dotarli do Wiednia, zrobiło się ciemno. Słychać było bliskie dudnienie armat. Miasto zdawało się wymarłe. Tu i ówdzie widać było pożary. Powietrze miało smak popiołu. Nad zgliszczami unosił się zapach sadzy i wilgotnych piwnic. W wielu miejscach strzelały w niebo słupy ognia. Okiennice w domach zwisały niczym głownie, odsłaniając ciemną, pogruchotaną czeluść, podobną do bezzębnych ust rozwartych w ostatnim, niemym, śmiertelnym bełkocie. Umierające miasto spowił całun nieprzeniknionego, gęstego, dławiącego dymu. Wypełniał wszystkie ulice, kłębił się jak w piekielnej otchłani w łagodnym powietrzu wiosennego wieczoru.

Przejechali do Stuberingu, przed opuszczonym dawnym Ministerstwem Obrony. Wartownik poinformował ich, że stanowisko dowodzenia przeniesiono do Hofburga, dawnego pałacu cesarskiego, położonego w centrum miasta.

– Gdzie są nasze wojska? – zapytał Skorzeny. – Kto właściwie, do jasnej cholery, broni Wiednia?!

W odpowiedzi wartownik tylko wzruszył ramionami.

Na placu Szwedzkim musieli zawrócić. W miejscu, gdzie do tej pory znajdowało się mieszkanie jego zmobilizowanego do wojska brata, w tej chwili leżała tylko bezładna kupa dymiących gruzów, blokujących dojazd do nabrzeża Dunaju. Nad ulicą, niczym przekleństwo, unosił się czarny, duszący dym.

Minęli po drodze cmentarz, usiany trumnami, które wybuchy wyrzuciły z wnętrza ziemi na powierzchnię. Wiele z nich pootwierało się, odsłaniając ludzkim oczom swą przerażającą zawartość. Na gruzach kościoła siedziała gromadka kobiet, drżących czy to z zimna, czy ze strachu, a najprawdopodobniej z obu tych powodów razem. Nie płakały, nie mówiły nic, siedziały tylko milcząc, z opuszczonymi głowami. Utytłana w pyle staruszka modliła się gorąco z zamkniętymi oczami. Z uszkodzonych domów wychodziły, nie kryjąc się nawet, cienie wynoszące zegary ścienne, obrazy, wazony, szkatułki. Szabrownicy rozpoczynali swoją niszczycielską działalność. Grupa obłąkanych, która wydostała się ze zburzonego szpitala

psychiatrycznego, przemykała się wśród ruin, co chwila wybuchając śmiechem, od którego ciarki przechodziły po plecach.

Dom, w którym mieszkała matka Skorzenego, był w połowie zburzony, na szczęście wychodzący właśnie z piwnicy sąsiad uspokoił go:

– Wyjechała z Wiednia dwa dni temu. Razem z pana żoną i córką.

Jego budynek w Döbling był nietknięty. Zabrał stamtąd tylko kilka egzemplarzy broni myśliwskiej. „Po raz ostatni przyjrzałem się miejscu, w którym byłem szczęśliwy – wspominał później. – Teraz zostawiałem je wrogowi i szabrownikom”.

Wreszcie dotarli do siedziby „Jagdverbänd Süd-Ost”. Dowiedzieli się, że niedobitki jednostki przeniosły się po południu na północ od Kremsu. Grupa bojowa „Donau” również ewakuowała się z centrum szkolenia w Diana Bad. (Żołnierzy tych zabrał później Skorzeny w drodze do „Alpejskiej twierdzy”).

Dziedzińce dawnego pałacu cesarskiego były zatłoczone najróżniejszymi pojazdami. W piwnicy pałacowej jakiś oficer powiedział Skorzenemu, że prawdopodobnie Sowieci przeniknęli do miasta, lecz zostali wszędzie odparci.

– Przez kogo?

– Nie wiem, tak tylko mówią – wzruszył ramionami rozmówca.

– Kto tak mówi?

– Tajemnica.

Ponieważ chciał mieć czyste sumienie, Otto wydał rozkaz kontynuowania jazdy. Wjechali na obwodnicę Matzleindorf. Zbliżała się północ. Nagle przed samochodem wyrosła barykada. Otto wysiadł z pojazdu. Zza barykady wyszło dwóch wiedeńskich policjantów. Starsi mężczyźni, uzbrojeni w pistolety maszynowe.

– Bronimy barykady, Herr Standartenführer – wyjaśnił jeden z nich. – Jeśli Rosjanie nadejdą, okrążymy ich i się poddadzą.

W Wiedniu poczucie humoru nigdy nie ginęło, nawet jeśli był on czarny lub wisielczy.

*

Pustymi ulicami pojechali w stronę Hofburga, wiedeńskiego pałacu władców Austrii, poczynając od Rudolfa I aż do Karola I, czyli od XIII wieku aż po rok 1918. Wejście znajdowało się od strony placu św. Michała. Wartownik sprawdził uważnie ich dokumenty i pozwolił wjechać za płot. Tam, na Dziedzińcu Szwajcarskim, Skorzeny natknął się na podpułkownika Helmutha Kurtza, adiutanta Baldura von Schiracha, dawnego szefa Hitlerjugend, który utracił przywództwo w 1940 roku na rzecz Arthura Axmanna. Jednocześnie jednak Hitler mianował go gauleiterem Wiednia.

Przez następne lata von Schirach był odpowiedzialny za wysłanie stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy wiedeńskich Żydów do obozów koncentracyjnych. W przemówieniu z 15 września 1942 roku określił deportacje Żydów jako „wkład do kultury europejskiej". Później jednak krytykował warunki deportacji i postulował „umiarkowane traktowanie" mieszkańców Europy Wschodniej. Między innymi z powodu interwencji jego żony Henrietty (z domu Hoffman[5]) u Hitlera po jej powrocie z Holandii – gdzie była świadkiem brutalności Niemców – Baldur popadł w niełaskę, jednak funkcję gauleitera pełnił aż do końca wojny.

– Kiedy wyjadę – powiedział Skorzeny do Kurtza – zamierzam powiadomić Führera, że Wiedeń jest stracony.

– Otrzymane przez nas informacje dowodzą czegoś przeciwnego – obruszył się podpułkownik. – Z meldunków wynika, że front się ustabilizował. Zresztą, niech pan idzie porozmawiać z gauleiterem.

Swój sztab von Schirach umieścił w piwnicach pałacu. Tyle że zrobił z nich podziemny, oświetlony kandelabrami salon. Podłoga pokryta była kosztownymi dywanami, za które każdy Turek oddałby pół życia. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające osiemnastowieczne sceny bitewne i portrety generałów. W przedpokojach jedzono, pito i hałasowano. Człowiek, który przepajał niemiecką młodzież fanatyzmem, nie lubił

odmawiać sobie luksusu, nawet w takiej sytuacji. Na widok gościa uśmiechnął się szeroko:

– Widzi pan, Skorzeny, muszę pracować przy świecach.

– Nie widziałem w mieście ani jednego niemieckiego żołnierza – zameldował Otto, puszczając mimo uszu ten dowcip. – Barykady są opuszczone, blokady drogowe nieobsadzone. Rosjanie mogą wejść, kiedy im się tylko spodoba.

– Niemożliwe – uśmiechnął się ponownie gauleiter.

– Może więc zechce się pan o tym przekonać osobiście? Zapraszam do inspekcji.

– Nie mam czasu na takie głupstwa – odpowiedział von Schirach. – Niech pan tu podejdzie, Skorzeny – dodał, pochylając się nad rozłożoną na stole wielką mapą. – Dwie dywizje SS będą gotowe do ataku. Jedna zaatakuje z północy, druga przeprawi się przez Dunaj i pojawi nagle z zachodu. Powstrzymamy Rosjan! Takim samym manewrem książę Ernst Rüdiger von Starhemberg zmusił Turków do zwinięcia oblężenia Wiednia w 1683 roku.

Skorzeny spojrzał na niego z niedowierzaniem. Jeszcze ze szkoły wiedział, że wprawdzie von Starhemberg odznaczył się męstwem i znakomitym dowodzeniem oblężonej stolicy, ale Turków przegnał stamtąd polski król Jan III Sobieski. Co ważniejsze jednak, w tej chwili zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnych dwóch dywizji SS. Nie ma ani jednej. Były tylko zjawami, wytworami chorej wyobraźni gauleitera. Cała atmosfera w piwnicy była zresztą odległa od rzeczywistości.

Otto opuścił pomieszczenie, nie wdając się w dalszą polemikę. Baldur von Shirach pożegnał go patetycznymi słowami:

– Mój obowiązek, Skorzeny, da się streścić jedynie w trzech słowach: zwyciężyć albo zginąć!

Wkrótce okazało się, że gauleiter miał raczej na myśli słowa: „zwyciężyć lub się zwinąć”, gdyż uciekł z Wiednia bardzo szybko, zaledwie pięć godzin później. Człowiek, który tak wielu młodych Niemców, oślepionych skutecznie wpajanymi im złudzeniami, wysłał na

śmierć, udał się do Schwazu w Tyrolu, gdzie pod przybranym nazwiskiem Richard Falk pracował nierozpoznany jako tłumacz w amerykańskie placówce. Dodatkowo zajmował się działalnością pisarską – rozpoczął tworzenie powieści *Tajemnica Myrny Loy*.

Niespodziewanie poddał się zachodnim aliantom 5 czerwca 1945 roku, choć do tego czasu był uważany za zmarłego. Jako powód podał „możliwość odpowiadania przed sądem międzynarodowym". Zmotywował go do tego fakt oskarżenia organizacji Hitlerjugend. Von Schirach zdecydował, iż powinien stanąć na czele kierowanego przez siebie ruchu, mimo że zastąpił go Axmann. Uznał, że sam ponosi odpowiedzialność i chciał osądzenia swojej winy.

Następnie stanął przed obliczem Trybunału w Norymberdze. Został skazany za „zbrodnie przeciw pokojowi" oraz „zbrodnie przeciw ludzkości" na dwadzieścia lat pobytu za kratkami. Wyrok odbył w więzieniu w Spandau. Na wolność wyszedł w 1966 roku i opublikował swoje wspomnienia *Ich glaubte an Hitler* (*Wierzyłem w Hitlera*, 1967). Zmarł 8 sierpnia 1974 roku w Kröv. Na jego nagrobku widnieje napis *Ich war einer von euch* (Byłem jednym z was).

Czarne niebo zaczęło nasiąkać fioletową poświatą, na tle której można było rozróżnić niewyraźne zarysy chmur, kiedy Skorzeny wraz z towarzyszącymi mu osobami opuszczał Wiedeń. Nie było burmistrza ani rady miejskiej, pozostało tylko wymarłe i zniszczone miasto, rozświetlone ogniem zaporowym sowieckiej artylerii. Wypalone ruiny sterczały tam, gdzie kiedyś stały domy mieszkalne i sklepy. Wiedeń cuchnął spalenizną i śmiercią, pełen pożarów: czerwonych, zielonych, żółtych i białych. Niektóre z nich były tylko delikatnym pełzaniem płomieni ponad zwalonymi ruinami, inne strzelały z dachów wysoko do nieba. Były ognie, które pieszczotliwie owiewały stojące jeszcze frontony domów, obejmując je nieśmiało i ostrożnie. I były takie, które przemocą wybuchały z okiennych otworów. Były pojedyncze pożary i ściany ognia, były płonące trupy i płonący żywi, którzy krzycząc wypadali z domów i biegali jak

szaleni w kółko. Przewracali się i czołgali jęcząc ochryple, a potem już tylko drgali i rzęzili.

Przekraczając Floridsdorfer Brücke Otto zatrzymał się na chwilę, by rzucić ostatnie spojrzenie na rodzinne miasto. „Wyjechałem z miasta przez Most Florisdorfski i odwróciłem się – wspominał już po wojnie. – Żegnaj Wiedniu […]. Nagle straciłem swój dotychczasowy zapał".

Aby wypełnić do końca powierzoną mu przez feldmarszałka Schörnera misję, po kilku kilometrach zatrzymał się jeszcze raz i polecił radiotelegrafiście nadać radiogram:

„Wszystko wskazuje na to, że Wiedeń padnie jeszcze dziś, 11 kwietnia 1945 roku".

*

Wcześniejsze ustalenia Stalina z zachodnimi aliantami dotyczyły powojennych wpływów politycznych każdej z zainteresowanych stron w odniesieniu do Europy Wschodniej i Środkowej. Nic jednak nie mówiły one na temat losu Austrii, uważanej oficjalnie po anschlussie za wschodni teren III Rzeszy. Z tego właśnie powodu „Największy Wódz Wszystkich Czasów" uznał, że zwycięstwo sowieckiej ofensywy w Austrii i wyzwolenie większej części tego państwa przez Armię Czerwoną postawi go w znakomitej sytuacji w powojennych rokowaniach z sojusznikami.

Po niepowodzeniu operacji „Frühlingserwachen" (Wiosenne przebudzenie)[6], ostatniej niemieckiej ofensywy podczas II wojny światowej, 6. Armia Pancerna SS „Seppa" Dietricha wycofywała się stopniowo w rejon Wiednia. Niemcy desperacko przygotowywali pozycje obronne, próbując uchronić Wiedeń przed szybko nadchodzącymi Rosjanami. Wiosną 1945 roku natarcie 3. Frontu Ukraińskiego marszałka Fiodora Tołbuchina i 2. Frontu Ukraińskiego marszałka Rodiona Malinowskiego wyprowadzone z zachodnich Węgier skoncentrowało się na obydwóch brzegach Dunaju.

30 marca nacierający Rosjanie sforsowali rzekę Hron, potem sforsowali rzekę Nitra, zajmując Sopron i Nagykanizsa oraz przechodząc granicę między Węgrami a Austrią. Armia Czerwona była już teraz gotowa do natarcia na Austrię i zdobycia Wiednia.

2 kwietnia 1945 roku „Radio Wiedeń" zaprzeczyło, jakoby stolica Austrii została ustanowiona miastem otwartym. Tego samego dnia wojska sowieckie zbliżyły się do Wiednia od strony południowej i przejęły Wiener Neustadt, Neunkirchen i Gloggnitz. Baden i Bratysława zostały zajęte 4 kwietnia. Po dotarciu do rejonu Wiednia Armia Czerwona okrążyła i zaatakowała austriacką stolicę.

Jedynym poważniejszym zgrupowaniem niemieckim, które miało stawić czoło Armii Czerwonej, był II Korpus Pancerny SS, będący częścią 6. Armii Pancernej. Korpus wspomagany był przez naprędce utworzone siły, składające się z jednostek garnizonowych i obrony przeciwlotniczej. Wiedeń, który został uznany za region obronny, dowodzony był przez generała Rudolfa von Bünau, zaś dowódcą wspomnianego korpusu był generał SS Wilhelm Bittrich. W czasie bitwy dochodziło do zaciętych walk ulicznych, choć były też takie części miasta, w których Armia Czerwona posuwała się bez większego oporu. W parku Prater broniła się 6. Dywizja Pancerna, na południu obronę stanowiły 2. Dywizja Pancerna SS „Das Reich" i 3. Dywizja Pancerna „Totenkopf", a na północy – Dywizja Grenadierów Führera.

Siłami 4. Armii Gwardii i częściowo 9. Armii Gwardii Rosjanie zaatakowali wschodnie i południowe przedmieścia miasta. Obrońcom udawało się trzymać ich poza południowymi przedmieściami do 7 kwietnia. Jednak po zakończonym sukcesem opanowaniu kilku przyczółków w rejonie południowych przedmieść, 8 kwietnia Armia Czerwona ruszyła na przedmieścia zachodnie, mające bardzo duże znaczenie, ponieważ znajdowała się tam główna linia kolejowa. Powodzenie wojsk sowieckich w zachodniej części miasta jeszcze tego samego dnia przełożyło się na sukcesy w części wschodniej i północnej. Na północ od Dunaju podążała w kierunku zachodnim 46. Armia, przechodząc przez północne

przedmieścia miasta. Śródmieście Wiednia zostało tym samym odcięte od reszty Austrii.

9 kwietnia wojska sowieckie zaczęły zajmować śródmieście, choć walki uliczne toczyły się jeszcze przez kilka dni. W nocy 11 kwietnia 4. Armia Gwardii wraz z 20. Korpusem Strzeleckim Gwardii i 1. Korpusem Zmechanizowanym zaatakowała kanały na Dunaju, kierując się na most Reichsbrücke. Śmiałym atakiem 13 kwietnia Flotylla Dunajska wysadziła wojska po obu brzegach mostu (80. Dywizję Strzelecką Gwardii oraz 7. Dywizję Powietrznodesantową Gwardii), które przecięły kable ładunków wybuchowych i tym samym zabezpieczyły most. Jednak inne mosty zostały zniszczone. Wiedeń ostatecznie padł tego samego dnia po poddaniu się ostatnich obrońców. Wieczorem 13 kwietnia jednostki pancerne SS Wilhelma Bittricha wycofały się na zachód w celu uniknięcia okrążenia. Tego samego dnia 46. Armia zajęła Essling, a Flotylla Dunajska wysadziła piechotę morską koło miasta Klosterneuburg. Podczas gdy na południowych i zachodnich przedmieściach Wiednia wciąż trwały walki uliczne, inne jednostki 3. Frontu Ukraińskiego ominęły Wiedeń i skierowały się na Linz i Graz.

W połowie kwietnia wojska 3. Frontu Ukraińskiego wdarły się jeszcze głębiej na terytorium Austrii. Kompletnie wyczerpane pozostałości tego, co kiedyś było 6. Armią Pancerną SS, zmuszone zostały do ucieczki w rejon pomiędzy Wiedniem i Linzem. W pogoń za nimi ruszyły sowieckie jednostki 9. Armii Gwardii oraz 46. Armii. Żadna z niemieckich jednostek nie była w stanie stawić ciągłego oporu wojskom sowieckim, poza chwilowym opóźnianiem ich marszu.

Wiele ze wspaniałych budynków Wiednia legło w gruzach. Złożone zarówno z Austriaków, jak i obcokrajowców bandy rabowały i atakowały pozostawionych na łaskę losu mieszkańców. Nie było wody, elektryczności ani – jak się wkrótce okazało – chleba. Rabunków i gwałtów dopuszczały się także oddziały sowieckie. Szacuje się, że około stu tysięcy austriackich kobiet i dziewcząt ucierpiało z rąk żołnierzy 2. i 3. Frontu Ukraińskiego.

Te ostrożne szacunki nie uwzględniają stosunków seksualnych pod przymusem. Kobiety sypiały z żołnierzami, oficerami i komendantami, żeby chronić swoje dzieci, żeby ratować życie mężów, braci i przyjaciół. Wojskowi wymuszali współżycie płciowe groźbą deportacji na Syberię. Miłość w Wiedniu w kwietniu 1945 roku była pospieszna i zupełnie pozbawiona kunsztu. Brana szybko, ale nie bez namiętności. Takiej namiętności, jaką tylko wyzwolić może połączenie rodzącej się wiosny i umierającego miasta. Dowódcy Armii Czerwonej tolerowali seksualną przemoc swoich podwładnych. W zwycięskim rauszu sowieccy żołnierze mścili się za przestępstwa, jakie Niemcy popełnili wcześniej na rosyjskiej ludności, na ich żonach, matkach i dzieciach[7].

Podobnie jak Wilhelm Bittrich, generał Rudolf von Bünau opuścił stolicę przed jej upadkiem, nie chcąc wpaść w ręce Rosjan. W kwietniu 1945 roku, za milczącą zgodą władz sowieckich, austriacki polityk Karl Renner powołał w Wiedniu Tymczasowy Rząd, ogłaszając jednocześnie oddzielenie Austrii od III Rzeszy. Co najważniejsze jednak, Austria uniknęła losu komunistycznej republiki i dostania się w strefę wpływów Związku Sowieckiego.

*

Feldmarszałek Ferdinand Schörner był w opisywanym czasie ostatnim dowódcą posiadającym jeszcze w pełni sprawne oddziały Wehrmachtu i SS, operujące na Morawach. Tam też na tyłach hitlerowskich wojsk coraz silniej dawały o sobie znać oddziały partyzantki czechosłowackiej. Szczególnie narażone były koleje i szosy, bez których grupa armii Schörnera nie mogła się swobodnie poruszać. Potrzebna była karna ekspedycja, potrafiąca sobie poradzić z ruchem oporu. Po powrocie z Wiednia Skorzeny obiecał feldmarszałkowi, że „zrobi z tym porządek”.

Szybko nawiązał kontakt z miejscowym Gestapo, które poprzez swych terenowych agentów przekazało dane o rozmieszczeniu i organizacji partyzantów. 19 kwietnia 1945 roku Skorzeny wraz z dowódcą specjalnego

batalionu SS „Süd-Ost” oraz dwiema setkami ludzi wyruszyli do miejscowości Plostina. Inne kompanie podążały bocznymi drogami celem okrążenia całego leśnego obszaru, na którym mieli ukrywać się partyzanci.

Około południa pierścień wokół wioski zamknął się, a tyraliery weszły w pierwsze opłotki. Ludność zamarła w chałupach. Rozpoczęto rewizje, wyganianie ludzi, grabież i podpalanie. Szukano wszędzie partyzantów, ale ci odeszli wcześniej z niebezpiecznego rejonu. Spoceni żołnierze w szarozielonych mundurach kazali mieszkańcom wyprowadzić na drogę konie, bydło i trzodę. Z rozbitych okien wyleciały na drogę sprzęty i cały dobytek. Próbujących uciec ukarano natychmiastowym rozstrzelaniem. Salwy głuszył śmiertelny pisk zarzynanego drobiu. Przerażający Nibelundzy, jeźdźcy Apokalipsy przytraczali tymczasem kaczki z ukręconymi łbami do swych pasów z napisem „Gott mit uns” na klamrach.

Na koniec pognano w kierunku płonących domów dwudziestu siedmiu schwytanych mężczyzn i po kolei rozstrzelano ich na oczach kobiet i dzieci… O tym wydarzeniu, zapewne przez delikatność, Skorzeny zapomniał wspomnieć w swojej książce… Ano, jak powiada stara łacińska zasada prawna: *Accusare nemo se debet* – Nikt nie musi oskarżać samego siebie.

Były to już ostatnie tygodnie wojny światowej. Wiatr ze wschodu przynosił odgłos armat, zdradzając, że jeszcze trwają ostatnie podrygi czarnej bestii, która przed sześcioma laty wypełzła na podbój Europy.

W poniedziałek 30 kwietnia Otto dowiedział się o śmierci Hitlera w Berlinie. Otoczona przez Sowietów stolica była już tylko morzem ruin. „Hitler nie żyje – zapisał w swych pamiętnikach. – Po pierwszym szoku nie uwierzyliśmy w tę wiadomość. Czy Adolf Hitler nie powinien być wśród nas, gotowych bronić się aż do śmierci? To było niemożliwe! Oszukiwano nas. Być może go zobaczymy. Wiadomość została jednak potwierdzona i trzeba się było z nią pogodzić. Następnego dnia, po usłyszeniu w radiu siódmej symfonii Antona Brücknera, stało się oczywiste, że podano prawdę. Przed śmiercią Hitler mianował Karla Dönitza głową państwa […].

Zebrałem moich oficerów i żołnierzy […]. Nie wygłosiłem mowy, nie była potrzebna. Powiedziałem im tylko: «Führer nie żyje. Niech żyją Niemcy!» Następnie zaintonowaliśmy hymn *Deutschland über alles*. Razem z nami obecni europejscy ochotnicy zaśpiewali *Ich hatt' einen Kameraden*[8]".

Po samobójczej śmierci Hitlera na mocy jego testamentu funkcję kanclerza przejął Joseph Goebbels, admirał Karl Dönitz zaś objął stanowisko prezydenta. Ministrem NSDAP został Martin Bormann, szefem SS – gauleiter z Wrocławia Karl Hanke, stojący na czele beznadziejnej obrony tego miasta, zamienionego – podobnie jak Berlin – w twierdzę. Wszystkim spadkobiercom duchowym i politycznym Führer nakazał testamentem wojnę z żydostwem jako święte zadanie narodu niemieckiego.

Kaltenbrunner zwolnił ze wszystkich zajmowanych funkcji Waltera Schellenberga, mianując szefem Wydziału Politycznego Służby Wywiadowczej Obersturmbannführera Wancka, szefem Wojskowego Zarządu Służby Bezpieczeństwa Rzeszy zaś Standartenführera Skorzenego. Tym samym Otto znalazł się w końcu wśród „elity", tyle tylko, że nie było już Rzeszy i związanych ze stanowiskiem przywilejów.

*

Pozostało tylko kilkadziesiąt kanistrów po benzynie z zapakowanymi do nich mikrofilmami, zawierającymi najbardziej tajne dokumenty wywiadu SS. Skorzeny zajął się realizacją dalszego planu działania, który już wprawdzie nie zawierał żadnych prób dokonywania „decydujących uderzeń", przewidywał jednak ukrycie i wywiezienie materiałów oraz organizację ukrytych składów uzbrojenia i sprzętu, z zamiarem przeprowadzania zbrojnych akcji przeciwko wojskom okupacyjnym. W tym celu już wcześniej przystąpił do tworzenia zbrojnego ruchu oporu – Wehrwolfu (niem. Wilkołak). Były to małe oddziały, których zadaniem było dokonywanie sabotażu na terenach zajętych przez aliantów – wysadzanie mostów, niszczenie fabryk itd.

Jeszcze w listopadzie 1944 roku, w przededniu ofensywy w Ardenach, Skorzeny otrzymał niespodziewane wezwanie od Himmlera. Nie podano żadnego konkretnego powodu. Zdecydowanie nie uznał tego za wyróżnienie.

W pobliżu Paderborn w Westfalii w niewielkim miasteczku Wawelsburg stał zamek o tej samej nazwie, który Reichsführer przejął w 1934 roku od lokalnych władz. Pierwotnie zamierzał przekształcić go w szkołę dla kadry SS, ale zanim architekci i budowniczowie skończyli prace, które pochłonęły wiele milionów marek, powstało gotyckie monstrum, godne planu zdjęciowego numer sześć w wytwórni MGM, z ogromnymi dekoracjami, jakie królowały w Hollywood, gdy trwała moda na historyczne filmy.

Zamek miał trzy skrzydła, wieże i fosę, a w południowym skrzydle mieściły się apartamenty Reichsführera i stanowiąca przedmiot jego szczególnej dumy ogromna jadalnia, gdzie spotykali się wybrani funkcjonariusze SS, tworząc coś w rodzaju honorowego dworu. Wszystko to było wynikiem obsesyjnego i zaprawionego niemałą dozą okultyzmu zainteresowania Himmlera królem Arturem i Rycerzami Okrągłego Stołu. Przy stole w jadalni zasiadali jedynie tacy szaleńcy, jak sam Himmler, który wierzył święcie we wszystkie średniowieczne bzdury na temat wyższości Anglosasów, albo oportuniści mający własne krzesła z wypisanymi na srebrnych tabliczkach nazwiskami. Fakt, że król Artur był władcą celtyckich Brytów i prowadził walkę z anglosaskimi najeźdźcami, sprawiał, że wszystko zakrawało na jeszcze większą bzdurę.

Owego listopadowego wieczoru Skorzeny zapalił papierosa na tylnym siedzeniu kübelwagena, który wiózł go szybko w kierunku odległego o parę kilometrów zamku. Zgodnie z obowiązującą w Wawelsburgu etykietą miał na sobie czarny polowy mundur SS z przypiętym do bluzy po lewej stronie Krzyżem Żelaznym.

Otto ledwie widział własny oddech i osiadającą na bocznej szybie parę. Przecierając ją dłonią, poczuł pod palcami zimy, wilgotny brud. Co jakiś czas w światłach samochodu ukazywały się bielone domy i pogrążone w mroku gospody, a raz minęli podążający w drugą stronę konwój

ciężarówek. Na ogół jednak miał wrażenie, ze podróżuje w kompletnej próżni. Nie było żadnych latarni ani znaków, które by ich prowadziły, żadnych oświetlonych okien; nawet jedna zapałka nie zabłysła w czerni. Można było pomyśleć, że są ostatnimi żywymi ludźmi na ziemi.

Nikłe światła, jakie rzucały reflektory przysłonięte parcianymi kapturami, prześliznęły się po fosie, w której nie było wody, jedynie cienka warstwa śniegu. Kiedy samochód przejechał przez most w kierunku bramy, Otto oparł się wygodniej o siedzenie i mruknął cicho sam do siebie:

– Ciekawe, kto rządzi tym domem wariatów?

Wieczór był wyjątkowo chłodny i wietrzny, więc wysiadając, nasunął na głowę kaptur wojskowej kurtki, aby ochronić się przed rzęsistą ulewą. Nie zatrzymywany przez warty, najwyraźniej poinformowane o jego przybyciu, skierował się do drzwi. Na widok wchodzącego stojący w korytarzu oficer stanął na baczność i podniósł rękę w hitlerowskim salucie tak energicznie, że Otto aż uśmiechnął się pod wąsem.

– Reichsführer oczekuje pana w prywatnym salonie w południowym skrzydle – powiedział esesman. – Tu może pan zostawić kurtkę – wskazał na wieszak, na którym wisiało już kilka płaszczy.

Zdjął z siebie przemoczone okrycie i poprzedzany przez oficera udał się w głąb domu.

– Pułkowniku Skorzeny, jest pan wreszcie – powitał go opryskliwie Himmler, odwracając się od kominka.

Brzmiało to jak nagana, odparł więc:

– Wyjechałem natychmiast po otrzymaniu od pana informacji, Reichsführer.

– No dobrze, już, dobrze – Himmler skrzywił twarz w obłudnym uśmiechu.

Był dużo niższy od rosłego esesmana, co wyraźnie wprawiało go w zakłopotanie. Pragnąc, aby olbrzym jak najprędzej usiadł, wskazał mu krzesło, sam zaś odwrócił się do kominka, by poprawić drwa.

– Jak droga?

– Bez incydentów. Ich lotnicy śpią widać smacznie.

– Tak, niestety – westchnął Himmler. – W powietrzu oni panują zdecydowanie. A ten wstrętny grubas Göring uważa, że to przejściowe. Dureń!

Otto skinął tylko uprzejmie głową, uznając, że nie wypada mu potwierdzać tej uwagi.

Usiedli wokół dużego okrągłego stołu: Himmler, Skorzeny, Kaltenbrunner, Obergruppenführer Hans-Adolf Prützmann i Schellenberg. Za oknami i w kominie wył wiatr, zamieć sypała śniegiem w okiennice, lecz od wielkiego paleniska, na którym płonęły sosnowe kłody, strzelając co moment iskrami, rozchodziło się przyjemne ciepło. Ogień buzował jak pod diabelskim kotłem, w którym potępiane dusze się przetapia, słychać było syk pełgających płomieni i miły dla ucha trzask palącego się drewna.

– Chodzi o stworzenie ruchu oporu, któremu Bormann nadał dziwną nazwę „Wehrwolf” – wyjaśnił Reichsführer.

„Zacząłem się zastanawiać nad swoją obecnością w tym gronie – zapisał Skorzeny. – Nastawiłem uszu i patrzyłem w milczeniu. Wszyscy mieli poważne miny. Schellenberg, jak zwykle, przytakiwał energicznie szefowi. Nie uwierzyłem w skuteczność owego «Wehrwolfu», ponieważ każdy ruch oporu musi być zorganizowany na dużych obszarach, mieć realistyczne i konstruktywne cele polityczne, a przede wszystkim powinien być podtrzymywany lub utrzymywany potężnymi środkami. Strategia «Wehrwolfu» mogłaby być z pewnością zastosowana na Bałkanach, w Iranie, Rosji lub Chinach i osiągnąć sukcesy, ale nie w kraju o dużym zaludnieniu na ograniczonym terytorium, posiadającym koleje, autostrady oraz drogi, a ponadto bez możliwości udzielenia pomocy z zewnątrz. Oczekiwanie, że Anglicy lub Amerykanie udzielą nam pomocy przeciwko Sowietom, było wielką iluzją”.

– Z wojskowego punktu widzenia to głupota – powiedział bez ogródek. – Partyzanci nie wygrywają wojen.

Zapadła cisza, którą przerywał tylko trzask płonących drew.

– Tak, ma pan rację, Skorzeny – odparł po chwili Himmler. – To dziecinada, ale odnoszę wrażenie, że Hitler tracąc zdolność kierowania

państwem, chętnie daje posłuch pochlebcom, którzy przychodzą do niego z nierealnymi pomysłami.

Po raz pierwszy Otto słyszał tak otwartą krytykę Führera. Zawsze dotąd uważał, że Himmler jest mu bezgranicznie wierny i oddany, zwłaszcza że podkreślał to przy każdej okazji.

– Ale cóż robić? – Reichsführer rozłożył bezradnie ręce. – Potwierdzam rozkaz zorganizowania „Wehrwolfu”.

Dalsza polemika nie miała sensu.

– Czy pole działania moich jednostek będzie znajdowało się tak jak do tej pory poza granicami Niemiec? – zapytał tylko.

– Tak – potwierdził krótko Himmler.

Do zorganizowania tego ruchu wyznaczył Obergruppenführera Prützmanna.

„Jak było do przewidzenia, działania «Wehrwolfu» nie zakończyły się godnym uwagi sukcesem – czytamy dalej w pamiętnikach Skorzenego. – Każdy rozsądny Niemiec może się z tego tylko cieszyć. Na szczęście możemy umieścić tę operację między wymyślonymi, ale nie zrealizowanymi”.

Wbrew temu, co pisze Skorzeny, „Wehrwolf” nie był jednak tylko i wyłącznie pomysłem. Do tworzenia tej organizacji przystąpiono późną jesienią tego roku. Miała działać na terenach zajętych przez wojska sojusznicze. W praktyce działalność prowadzono na terenach byłego „niemieckiego wschodu”. Organizację tworzyły służby RSHA, NSDAP i Hitlerjugend. Celem Wehrwolfu mieli być również alianccy dowódcy i żołnierze w wyzwolonej od nazistów Europie. Jedna z tajnych akcji przewidywała otrucie amerykańskich i brytyjskich żołnierzy za pomocą toksyn umieszczonych w kawie rozpuszczalnej, kostkach cukru, czekoladzie i kiełbaskach. Sabotaż alianckich składów z żywnością nie udał się w znacznym stopniu dzięki temu, że brytyjskim żołnierzom na terenie Niemiec pod groźbą surowych kar nie wolno było jeść niemieckiej żywności ani palić niemieckich papierosów.

Na wyposażeniu członków hitlerowskiej organizacji znajdowały się zapalniczki wydzielające trujące opary przy przypalaniu nimi papierosa. Były też upozorowane na aspirynę trujące pigułki, powodujące śmierć w ciągu dziesięciu minut.

Inną bronią był trujący proszek, umieszczany na powierzchni przedmiotów dotykanych ręką, na przykład biurek, książek, klamek itp. Jeszcze inny wymyślny proszek służył jako dodatek do żywności. Wdychany nie powodował skutków śmiertelnych, ale połknięty był silną trucizną. Z kolei drobinka umieszczona w popielniczce powodowała, że po zetknięciu się z gorącym popiołem wydzielała trujące opary, zabijające przebywające w pobliżu osoby.

Działalność „Wehrwolfu” zdezorganizowała na wschodzie ofensywa wiosenna 1945 roku. Na polskich ziemiach jednak ostatecznie położono jej kres dopiero w roku 1947.

*

W czasie tej samej narady u Himmlera poruszono również kwestię nowych broni.

– Według admirała Hellmutha Heyego możliwe okazało się wyposażenie niektórych okrętów podwodnych w wyrzutnie V-1 – zauważył Skorzeny.

Na te słowa Himmler poderwał się z krzesła i ruszył gwałtownie w kierunku mapy zakrywającej większą część ściany.

– A więc trzeba zbombardować Nowy Jork! – wykrzyknął z entuzjazmem.

– Tak, tak – poparł go gorąco Schellenberg, znakomity doprawdy aktor i niedościgły wazeliniarz.

Reichsführerowi oczy wyszły na wierzch za binoklami:

– Trzeba, żeby Amerykanie również poczuli ciężar tej wojny! Musimy niezwłocznie zawiadomić o tym Führera.

– I zadzwonić do admirała Heyego – podsunął usłużnie Schellenberg.

– Wierzcie mi – kontynuował Himmler – efekt psychologiczny będzie ogromny! Jestem przekonany, że Amerykanie nie zniosą faktu, iż atakuje się ich na własnym terytorium. Ich morale spadnie do zera. Co panowie myślą?

– To znakomity pomysł – odezwał się natychmiast Schellenberg.

Twarz Kaltenbrunnera pozostała kamienna, jak u rasowego pokerzysty, nie uwidaczniały się na niej żadne emocje. Po chwili skierował wymowne spojrzenie na Skorzenego, który nie kwapił się do zabierania głosu przed starszymi rangą uczestnikami narady. Teraz jednak, zachęcony przez szefa RSHA, postanowił wypowiedzieć swoją opinię.

– Hm… – zastanowił się. – Obawiam się, że i tak mało precyzyjna krzywa może zawieść, jeśli samolot-pocisk zostanie wystrzelony z kołysanego falami okrętu podwodnego…

Himmler utkwił w nim wściekłe spojrzenie.

– Rząd amerykański głosi, że Niemcy zagrażają Stanom Zjednoczonym – kontynuował niezrażony tym Otto. – Zbombardowanie Nowego Jorku dwoma lub trzema pociskami pozwoliłoby zatryumfować propagandzie Roosevelta. Myślę, iż z każdego punktu widzenia efekty psychologiczne byłyby dla nas niedobre. Jestem pewien, że naród amerykański, daleki od ulegania panice, zareagowałby tak jak ludność Wielkiej Brytanii w czasie nalotów na Londyn w 1940 roku. Szczerze mówiąc, nie widzę korzyści, jakie moglibyśmy odnieść z takiej operacji. Lepiej byłoby, gdyby jedna rakieta V-1 osiągnęła jakiś ważny cel po zapowiedzi naszego radia typu: „Tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie, zostanie zniszczony taki to a taki cel”.

Natychmiast poparł go Kaltenbrunner:

– Rzeczywiście, i ja sądzę, że lepiej byłoby poczekać, aż nasi technicy poprawią precyzję tych pocisków.

Himmler wyraźnie stracił rezon.

– Proszę informować mnie na bieżąco o postępach w pracach nad bronią V – zadysponował, siadając z powrotem na krześle.

Wiadomo, że terytorium Stanów Zjednoczonych nigdy nie zostało zbombardowane przez pociski V ani przez żaden niemiecki samolot. Przypomnijmy jednak w tym miejscu, że wysadzić Nowy Jork w powietrze hitlerowcy chcieli już w roku 1942. Zadaniem tym została obarczona grupa komandosów pod dowództwem Georga Johannesa Dascha, która przypłynęła do Stanów Zjednoczonych łodzią podwodną 26 maja. Operacja nosiła kryptonim „Pretorius”[9], a jej plan zatwierdzili osobiście Adolf Hitler i admirał Karl Dönitz. Na szczęście dla Amerykanów zaraz po wylądowaniu szef oddziału zgłosił się do FBI. Wcześniej próbował z innymi instytucjami:

– Mówi US Government-Information – w słuchawce zabrzmiał miły dziewczęcy głos.

– Czy może mnie pani połączyć z centralą wywiadu wojskowego – poprosił Dasch.

– Ależ proszę pana – zaśmiała się dziewczyna – ja nic nie wiem o żadnych tajnych sprawach! Te, którymi się zajmujemy, są jawne, przed nikim ich nie ukrywamy. Właśnie po to istniejemy.

– Rozumiem. Ale proszę mnie poinformować o czymś w rodzaju niemieckiego Sicherheitsdienst. Przecież musicie mieć coś takiego!

– Chodzi panu o coś poufnego, dotyczącego spraw politycznych albo wojskowych?

– No tak, coś podobnego. Pani chyba się orientuje.

– Proszę zaczekać przy aparacie, połączę pana z Secret Service w Białym Domu. Dobrze?

– Dziękuję. Właśnie tego szukałem.

– Tu Secret Service – odezwał się po chwili przyjemny męski baryton.

– To świetnie. Właśnie chciałem zakomunikować…

– Przepraszam, ale kto mówi?

– Szpieg.

– Pan żartuje.

– Nie mam czasu ani ochoty na żarty. Pan jest w błędzie. Mówi hitlerowski szpieg.

– Nie rozumiem, pan wybaczy.

– Nie rozumie pan, że w czasie wojny działają szpiedzy i dywersanci? Jestem jednym z nich.

– I dlaczego pan tutaj dzwoni. O co panu chodzi?

– Chciałbym złożyć w Secret Service ważne zeznanie na temat planowanego zamachu.

– Zamachu? Na kogo?

– Na Nowy Jork, na US Army, na wolność Ameryki!

– Wobec tego przepraszam pana, ale zaszło zasadnicze nieporozumienie. Przykro mi, że nie mogę panu pomóc. Nasze biuro zajmuje się wyłącznie osobistym bezpieczeństwem prezydenta USA i fałszerstwami banknotów dolarowych. Niczym więcej.

– Więc dlaczego, do diabła, nazywacie się Secret Service? – Dasch nie posiadał się ze zdumienia. W Trzeciej Rzeszy nawet sklepikarz, nawet mleczarz nie mógłby się tak zachowywać. Natychmiast wylądowałby w obozie.

– Nie mam pojęcia – zaśmiał się mężczyzna po drugiej stronie. – To dla nas także jest zagadką.

– Więc gdzie mam się zgłosić? – zapytał zniechęcony.

– Proponowałbym panu FBI. To jedyny urząd, który u nas zajmuje się wszystkim. Nawet więcej niż wszystkim.

– Może więc będzie pan tak uprzejmy i poda mi numer telefonu FBI.

– Niestety – westchnął ciężko urzędnik. – Nie znam numeru FBI.

W końcu po wielu perypetiach Daschowi udało się skomunikować z FBI. Za zasługi w uratowaniu od zagłady Nowego Jorku został w roku 1942 skazany na śmierć przez Trybunał Wojenny Sądu Wojskowego Stanów Zjednoczonych. W 1951 roku karę zamieniono na deportację do Niemiec. Sześciu jego towarzyszy stracono.

*

Inny plan, omówiony na zamku Wawelsburg i realizowany już w „Reducie alpejskiej”, związany był z uchronieniem możliwie największej liczby własnych agentów, nawiązaniem kontaktów z wziętymi do niewoli pracownikami służby bezpieczeństwa i przygotowaniem odpowiednich tras przerzutu tych wszystkich esesmanów, którzy musieli jak najszybciej opuścić Europę.

Tak się więc złożyło, że Skorzeny miał w swych rękach wszystkie materiały z agenturami tak zwanych sieci uderzeniowych, czyli jednostek dywersyjnych. Były to sieci szpiegowskie, organizowane przez wywiad SS w tych państwach europejskich, z których hitlerowcy byli po kolei wypierani przez armie alianckie. Wiedział również, gdzie zostały ukryte wielkie ilości sprzętu wojskowego w niedostępnych sztolniach alpejskich: tony materiałów wybuchowych, zapalników, bomby zegarowe, pistolety z tłumikami czy trucizny. Po dłuższym czasie Amerykanom udało się odnaleźć niektóre tego rodzaju kryjówki, z pewnością jednak nie wszystkie.

Zapewne też Skorzeny wiedział jeszcze o czymś, ale o tym za chwilę.

Tymczasem wojska alianckie zajmowały w szybkim tempie przemysłowe okręgi Nadrenii i Westfalii, na południu wtargnęły do „uświęconych” w III Rzeszy Monachium i Norymbergi zdobyły Bremę, Hamburg, Kilonię i Wilhelmshaven. Na froncie wschodnim armie marszałka Konstantego Rokossowskiego doszły do Gdańska. Przełamanie Wału Pomorskiego oraz przekroczenie Odry i Nysy Łużyckiej przez fronty sowieckie, w skład których wchodziły również 1. i 2. Armia Wojska Polskiego, dało początek tak zwanej operacji berlińskiej. W ostatnich dniach kwietnia rozgorzała ostatnia wielka bitwa na ulicach stolicy Rzeszy. Armia Czerwona była w stanie wystawić tysiąc dział na odcinku jednego kilometra!

Po ciężkich walkach 2 maja 1945 roku załoga miasta skapitulowała. Front obrony Berlina załamał się pod lawiną ognia i stali. Czerwona flaga zawisła na ruinach siedziby parlamentu, tym samym odbudowanym poprzednio gmachu, którego pożar przed dwunastu laty stał się sygnałem do tępienia komunizmu. Zanim sto tysięcy mieszkanek Berlina zostało

zgwałconych przez żołnierzy Armii Czerwonej, wiele z nich oddało się żołnierzom niemieckim. Tuż przed upadkiem w mieście rozszalała się największa orgia II wojny światowej. „W ostatnim tygodniu kwietnia, kiedy powszechne już było poczucie rzeczywistej klęski i rozkładu i pito na umór […] pary zwierały się w miłosnych uściskach. Podobne sytuacje zdarzały się także w bunkrach i piwnicach. Bliskość śmierci działała jak afrodyzjak” – napisał Anthony Beevor w książce *Berlin 1945. Upadek*.

7 maja w jednym ze szkolnych budynków we francuskim Reims Niemcy skapitulowali na froncie zachodnim przed przedstawicielami armii USA i Wspólnoty Brytyjskiej. Dzień później w Berlinie podpisali również akt kapitulacji w obecności Sowietów. Tym samym II wojna światowa w Europie oficjalnie dobiegła końca, choć na niektórych obszarach działania zbrojne trwały jeszcze przez jakiś czas. Dopiero 11 maja – jako ostatni niemiecki związek operacyjny – poddała się na terenie Czechosłowacji Grupa Armii „Środek”. Do 15 maja toczyły się walki na froncie jugosłowiańskim.

*

„Niemcy rozpoczęły w 1939 roku wojnę po to, by uniknąć kryzysu zadłużeniowego – napisał w «Parkiecie» Hubert Kozieł. – Udało im się go wcześniej nieco odsunąć w czasie. Dzięki kradzieży austriackiego i czeskiego złota. Druga wojna światowa była wielką hazardową rozgrywką Hitlera, która miała uchronić Niemcy przed katastrofą gospodarczą, do której pchała je polityka ekonomiczna nazistowskiego reżymu. Część historyków sugeruje, że gdyby III Rzesza nie rozpoczęła wojny w 1939 r., w ciągu kilku miesięcy spotkałby ją krach i bankructwo”.

Jak chwalił się publicznie ówczesny jego prezes Hjalmar Schacht: „Żaden bank centralny nie prowadził takiej odważnej polityki kredytowej jak Reichsbank od momentu przejęcia władzy przez narodowych socjalistów. To właśnie dzięki tej polityce kredytowej Niemcy uzbroiły się tak, że nikt nie może im dorównać”.

Trudno zaprzeczyć jego słowom. W latach 1933–1939 III Rzesza wydała na zbrojenia blisko czterdzieści pięć miliardów marek, czyli trzykrotnie więcej niż w roku 1937 wyniosły jej wpływy do budżetu. Ale jak powiadają, każdy kij ma dwa końce…

Żeby sfinansować swe plany wojenne, Niemcy zaciągnęły w zachodnich bankach, zwłaszcza we francuskich, olbrzymie pożyczki. Niechęć do ich spłaty stała się jednym z ważniejszych motywów pchających Berlin do wojny.

Zachodnie pożyczki nie były jednak jedynym źródłem przeznaczonego na zbrojenia kapitału. Finansowy ciężar wojny miała wziąć na siebie również ludność. W hitlerowskich Niemczech podatek od osób fizycznych był najwyższy w Europie, miał sześć progów, z których najwyższy wynosił pięćdziesiąt procent. Dodatkowo jeszcze wszystkie pensje obciążono piętnastoprocentowym podatkiem od funduszu płac. Budowę autostrad sfinansowano głównie skonfiskowanymi oszczędnościami emerytów.

Gdy i to nie wystarczyło, zaczęto stosować kreatywną księgowość. Schacht ominął limity pożyczek udzielanych rządowi przez bank centralny, tworząc firmę-krzak Metallurgische Forschungeselschaft (MAFO), która wydawała gwarantowane przez państwo weksle, a banki komercyjne mogły je spieniężyć w Reichsbanku. Z pomocą tych papierów sfinansowano trzydzieści procent programu niemieckich zbrojeń.

Berliński bank zaczął się bogacić cudzym kosztem już w połowie lat trzydziestych. Pierwszymi ofiarami stali się niemieccy Żydzi, którym na mocy ustaw norymberskich zabrano majątki[10].

Termin spłacania weksli rozpoczął się w roku 1939, trzeba było więc znaleźć odpowiednie środki budżetowe oraz pochodzące z pożyczek, aby można było umorzyć długi. Jednocześnie armia wystąpiła z wnioskiem o przyznanie jej w bieżącym roku budżetowym sumy jedenastu miliardów marek, co w sumie przekroczyło możliwości rynku kapitałowego. W tej sytuacji minister finansów zaczął emitować na potęgę półroczne bony skarbowe, aby pokryć bieżące wydatki. Jesienią 1939 roku Niemcom groził krach finansowy, który powstrzymała wojna.

Groźba taka pojawiła się już wcześniej, lecz zapobiegł jej opisany wyżej *anschluss* Austrii. Jedną z pierwszych decyzji nowych narodowosocjalistycznych władz w Wiedniu był rabunek rezerw złota Österreichische Nationalbanku (Austriackiego Banku Centralnego). Przejęto wówczas z jego skarbca 79,2 tony złota, a do oficjalnych rezerw austriackiego państwa dodano skonfiskowane depozyty prywatne. (Przed *anschlussem* w Austriackim Banku Centralnym pracowało stu dwudziestu zakonspirowanych członków NSDAP, więc Niemcy dokładnie wiedzieli, gdzie i czego szukać). Zrabowanego w Wiedniu złota było więcej, niż wynosiły aktualne rezerwy Reichsbanku, wynoszące na początku 1938 roku zaledwie dwadzieścia dziewięć ton.

Kolejna okazja do rabunku pojawiła się kilka miesięcy później wraz z postanowieniami układu monachijskiego. Czechosłowacja zmuszona została do przekazania III Rzeszy 14,5 ton złota na potrzeby monetarne Sudetenlandu. 15 marca 1939 roku, gdy Wehrmacht wkroczył do Pragi „na zaproszenie" prezydenta Emila Háchy, specjalny komisarz Reichsbanku Friedrich Müller udał się do siedziby Narodni Banka pro Cechy a Moraw – Banku Generalnego Czechosłowacji, i z pistoletem w ręku zmusił dyrektorów tej instytucji do przekazania Reichsbankowi dwudziestu trzech ton złota z czechosłowackich rezerw walutowych.

Broniąc się przed niemiecką pazernością, rząd Czechosłowacji wysłał zapasy złota do Wielkiej Brytanii. Owo złoto znajdowało się w Banku Anglii, który szybko wykonał polecenie uzależnionego od III Rzeszy kierownictwa Protektoratu Czech i Moraw, wywołując tym prawdziwą burzę w brytyjskim parlamencie. Wielu deputowanych oburzało się na decyzję prezesa banku, Montagu Normana, która pozwoliła na ten oczywisty rabunek, prowadzący przy tym do wzmocnienia niemieckiej machiny wojennej. Mimo to już w listopadzie 1939 roku, ponad miesiąc od wybuchu wojny, prezes banku Anglii autoryzował transfer pozostałej części czechosłowackich rezerw na niemieckie konto!

We wrześniu 1939 roku Niemcy przejęli rezerwy złota Wolnego Miasta Gdańska, szacowane na cztery miliony ówczesnych dolarów. Nie zdołali

tylko położyć łap na polskich rezerwach złota – osiemdziesięciu trzech tonach kruszcu. Uniemożliwił to wybitny piłsudczyk, były szef polskiego wywiadu wojskowego pułkownik Ignacy Matuszewski, który zdołał je ewakuować przez Rumunię do Francji. Ekipa generała Sikorskiego wytoczyła mu za tę brawurową akcję pokazowy proces, ponieważ podczas transportu „zdefraudował" państwowe pieniądze, kupując pudełko aspiryny. W czerwcu 1940 roku ludzie Sikorskiego sami jednak porzucili polskie rezerwy złota na nabrzeżu portowym w Cherbourgu, pozostawiając je Francuzom z Vichy, ci zaś w try miga wywieźli złoto do Afryki.

Podobną praktykę Niemcy stosowali wobec kolejnych podbitych krajów. Przejęli rezerwy Francji o wartości 225 mln dolarów, Holandii – 163 mln, Węgier – 32 mln, a także innych państw, np. Jugosławii, Grecji czy Norwegii. Oblicza się, że ogółem Niemcy zrabowały z podbitych krajów równowartość dwóch bilionów obecnych euro. Część tej sumy, czasowo wytransferowana do Argentyny, powróciła po wojnie do Republiki Federalnej Niemiec, stając się podwaliną niemieckiego „cudu gospodarczego". Do wątku Argentyny wrócimy jeszcze w dalszej części książki.

*

Podczas II wojny światowej w podbitych przez Niemcy krajach doszło do niespotykanej dotąd w dziejach grabieży nie tylko złota, ale również dzieł sztuki i skarbów kultury narodowej. Kiedy Adolf Hitler najechał w 1939 roku Polskę, spuścił jednocześnie ze smyczy największą armię licencjonowanych złodziei, jaką kiedykolwiek sankcjonował jakikolwiek rząd. Miała tylko jeden przykaz – grabić i plądrować w podbijanych krajach antyki, złoto, kamienie szlachetne, obrazy i pieniądze na budowę kulturalnych podwalin wymarzonego przezeń gmachu Tysiącletniej Rzeszy. Wszystko skończyło się w ciągu niespełna sześciu lat, jednak w owym czasie blond nadludzie spod znaku trupiej czaszki i skrzyżowanych

piszczeli zgromadzili ogromne fortuny, jakich nie dała żadna z dawniejszych krucjat.

Pastwą hitlerowców padły setki tysięcy najwspanialszych eksponatów muzealnych. W zbiorach nazistowskich dygnitarzy znalazły się dzieła najwybitniejszych europejskich i światowych twórców. Część z nich została zniszczona w pożodze wojennej, wiele powróciło do prawowitych właścicieli. Niestety nie wszystkie. W tym gigantycznym, bezprecedensowym procederze przywłaszczania zagrabionych skarbów prym wiódł marszałek III Rzeszy Hermann Göring. Większość zrabowanych dóbr przechowywano w Reichsbanku w Berlinie – głównym banku hitlerowskich Niemiec.

W sobotnią noc 3 lutego 1945 roku mieszkańcy Berlina doświadczyli największego nalotu alianckiego od początku wojny. Nad stolicę Niemiec nadleciało dziewięćset pięćdziesiąt samolotów amerykańskich i angielskich, które zrzuciły łącznie dwa tysiące dwieście sześćdziesiąt pięć ton bomb. Zginęło ponad dwa tysiące ludzi, a sto dwadzieścia tysięcy straciło dach nad głową. Niektóre części miasta zostały dosłownie zrównane z ziemią. Wiele budynków, w tym Kancelaria Rzeszy, legło w gruzach lub poważnie ucierpiało.

Tej pamiętnej nocy pięć tysięcy pracowników Reichsbanku skryło się w podziemnych schronach. Wśród nich był sam prezes, pięćdziesięcioczteroletni doktor Walther Funk, znany ekonomista, członek NSDAP, od 1938 roku pełniący również funkcję ministra gospodarki III Rzeszy. (Zastąpił na tym stanowisku Hjalmara Schachta). Podziemny skarbiec nie ucierpiał, ale prezes utwierdził się w przekonaniu, że zgromadzony majątek nie jest już bezpieczny w Berlinie. Zniszczenie finansowego centrum toczących wojnę Niemiec zapoczątkowało serię tajemniczych wydarzeń, których efektem jest jedna z największych, niewyjaśnionych dotąd zagadek.

W Reichsbanku zdeponowana była większość niemieckich zasobów złota, które w dużej mierze pochodziły z grabieży krajów podbitych przez niemiecką armię, wycenianych według dzisiejszych cen na prawie osiem

miliardów dolarów, oraz należące do Włochów złoto o wartości prawie dwóch miliardów.

Doktorowi Funkowi wystarczył jeden rzut oka na gruzy i tlący się ogień. Natychmiast podjął decyzję o rozlokowaniu członków kierownictwa w innych miastach, aby stamtąd bezpiecznie mogli zarządzać Reichsbankiem. Nakazał też przewieźć złoto i pieniądze do znajdującej się trzysta dwadzieścia kilometrów od Berlina kopalni soli potasowych „Kaiseroda".

Była to świetna kryjówka, położona osiemset metrów pod ziemią. Pięć niezależnych wejść prowadziło do labiryntu podziemnych korytarzy o łącznej długości prawie pięćdziesięciu kilometrów. Aby dostarczyć tam Skarb III Rzeszy, na który składało się sto ton złota i tysiąc worków z banknotami, potrzeba było aż trzynastu wagonów kolejowych.

Siedem tygodni później, 4 kwietnia, w okolice kopalni „Kaiseroda" nadciągnęli żołnierze 3. Armii Amerykańskiej, dowodzeni przez generała George'a S. Pattona. Hitlerowcom udało się zabrać przedtem stamtąd czterysta pięćdziesiąt worków z markami. Dwa dni później patrolujący okolicę amerykańscy żandarmi natknęli się na dwie idące drogą Francuzki, byłe robotnice przymusowe. Zgodnie z obowiązującym zarządzeniem o ograniczeniu poruszania się przesiedlonych przez Niemców cywilów, zabrali obie kobiety na posterunek, który znajdował się w miejscowości Merkers. Kiedy mijali po drodze kopalnię, jedna z nich palnęła:

– To tutaj Niemcy trzymają złoto.

– Jakie znów złoto? – zainteresował się jeden z żandarmów.

– Jakie? Nie wiem dokładnie, ale podobno je tam ukryli.

– Jakieś bzdury – skrzywił się drugi żandarm, lecz po dotarciu na posterunek nie omieszkał powiadomić o dziwnych słowach francuskiej kobiety swoich przełożonych.

*

7 kwietnia siedmiu amerykańskich oficerów, wyposażonych w odpowiedni sprzęt i przewodnika, wybrało się do kopalni.

Dłuższy czas postępowali coraz niżej, nim wreszcie znów znaleźli się na prostej drodze. Było teraz gorąco i duszno, lecz powietrze pozostało dość czyste, a od czasu do czasu świeży powiew muskał im twarze, ciągnąc nie wiadomo skąd. W bladych promieniach latarek dostrzegali niekiedy zarysy schodów, sklepień, bocznych korytarzy i tuneli, wznoszących się ku górze lub stromo spadających w dół albo ziejących czarną pustką. Ta gmatwanina wprost oszołamiała i wydawało się, że nie sposób się w niej rozeznać. Widoczne w świetle lampek ich wyolbrzymione cienie podskakiwały w górę i uciekały gdzieś w gęstą ciemność.

– Całkiem jak rzymskie katakumby – rzucił któryś uwagę.

– Tyle, że tam jest weselej – dodał drugi.

Tu i ówdzie ziały jamy i szyby, w których kroki idących dudniły głuchym echem. W panującej ciszy nic nie było słychać, prócz odgłosu tych kroków. Kiedy zatrzymywali się na chwilę, cisza zalegała zupełna, tylko od czasu do czasu dolatywał do ich uszu szmer niewidocznej wody i kapanie kropel. Wylewała się z niewidocznego otworu, gdzieś ze ściany. Spadając w zachłanną i nienasyconą głębię, rozbijała się na tysięczne drzazgi o żelazne belki ocembrowania. Wypełniała ją ciemnym, mlaszczącym szumem i zwalała się na samo dno szybu.

Szli osamotnionymi gankami, opuszczonymi przez ludzi i myszy, minęli jedną i drugą, a potem następną tamę, jaśniejącą w czerni pobielaną ścianą. Minęli szereg bocznych ganków, raz szli pod górę opustoszałymi pochylniami, raz prostopadle do nachylonego pokładu, przechodząc skomplikowanym układem korytarzy, przypominających słynny labirynt zbudowany przez Dedala w pałacu w Knossos na Krecie, w którym według greckiego mitu uwięziony był straszliwy potwór – Minotaur. Bez niemieckiego przewodnika przypuszczalnie nigdy nie trafiliby na miejsce, a już z pewnością nigdy nie zdołali wrócić.

– Patrzcie! – rozległ się okrzyk. – Korytarz się kończy.

Na przodzie ciemny mur zamykał przejście.

– Jezu Chryste! – wyrwało się jednemu z siedmiu oficerów amerykańskich, kiedy wysadzili mur w powietrze i weszli do leżącej sześćset trzydzieści metrów pod ziemią jaskini wyrąbanej w solnej ścianie.

Znaleźli tam pięćset pięćdziesiąt worków z banknotami o wartości miliarda marek. Po wysadzeniu oznaczonych cyfrą „8” stalowych drzwi, przedostali się do kolejnego pomieszczenia. Było tam siedem tysięcy ponumerowanych worków, zawierających osiem tysięcy pięćset dwadzieścia siedem sztabek złota, złote monety z Francji, USA i Szwajcarii oraz banknoty. Sprasowany złoty i srebrny złom był spakowany w pudła i skrzynie. Znaleźli też kufry z brylantami, perłami i drogimi kamieniami, zagrabionymi więźniom obozów koncentracyjnych, oraz worki ze złotymi mostkami i plombami, które wydarto jeńcom. Dodając do tego mniejsze ilości walut z innych krajów – Anglii, Norwegii, Turcji, Hiszpanii i Portugalii, odnalezione bogactwa okazały się największym wówczas skarbcem na świecie, stanowiącym 93,17% rezerw finansowych Niemiec w momencie zakończenia wojny.

W podziemnych tunelach odnaleziono też czterysta ton dzieł sztuki, w tym obrazy z piętnastu niemieckich muzeów i wartościowe książki z weimarskiej kolekcji Goethego. Skarby z kopalni „Kaiseroda” spakowano do 11 750 skrzyń i w silnej eskorcie, trzydziestoma dwoma dziesięciotonowymi ciężarówkami, przewieziono do Frankfurtu nad Menem, gdzie bezcenny ładunek złożono w sejfach lokalnego oddziału Reichsbanku. W krążących uparcie pogłoskach mowa jest jednak o trzech ciężarówkach, które „zaginęły” na trasie Merkers–Frankfurt. Do tego ostatniego miasta miało podobno dotrzeć tylko dwadzieścia dziewięć samochodów zamiast trzydziestu dwóch. Co znajdowało się na platformach zaginionych ciężarówek? Ponoć legendarna Bursztynowa Komnata[11]…

*

Informacja o amerykańskim odkryciu w Merkers szybko dotarła do Berlina i wywołała wściekłość nazistowskich wodzów. Chociaż według

hitlerowskiego szefa propagandy i ministra oświecenia publicznego Josefa Goebbelsa „kryminalne zaniedbanie obowiązków” przez doktora Funka doprowadziło do przejęcia Skarbu Rzeszy przez aliantów, w rzeczywistości jego część pozostała w rękach Niemców. Niespodziewanie w obronie niezbyt lubianego na szczytach NSDAP prezesa Banku Rzeszy stanął sam Adolf Hitler, który osobiście polecił, aby to, co z rezerw finansowych Niemiec jeszcze pozostało w zagrożonym szybkim atakiem Armii Czerwonej Berlinie, przewieźć na południe, do tworzonej tam „twierdzy alpejskiej”, bastionu nazistów w okolicach Berchtesgaden. O tym, co działo się później, napisano setki artykułów prasowych i kilka książek, zrealizowano wiele telewizyjnych filmów dokumentalnych. I… Na dobrą sprawę niewiele wiadomo. Co rusz natrafiamy na fałszywy trop lub wchodzimy w ślepą uliczkę.

Plan ewakuacji opracował pułkownik policji Friedrich Josef Rauch. Idąc w ślady Gestapo, które rozpoczęło już akcję ukrywania swojego złota, biżuterii, dzieł sztuki i pieniędzy w kopalniach, jeziorach i innych kryjówkach w górach południowej Bawarii i północnej Austrii, pułkownik Rauch zaproponował, aby pozostałe w Reichsbanku 6,83% oficjalnych rezerw w złocie wysłać na południe kraju. Złoto, które miało zostać tam ukryte, osiągnęłoby dziś wartość stu pięćdziesięciu milionów dolarów.

W ciągu kolejnych kilku miesięcy alianckie bombardowania sparaliżowały komunikację, a chciwość związanych z projektem osób spowodowała wypadki, których przebiegu nie udało się dokładnie odtworzyć. Wiadomo, że 14 kwietnia pieniądze zostały pospiesznie załadowane do dwóch pociągów, natomiast złote monety i sztabki – na platformy kilku policyjnych samochodów ciężarowych. Z drukarni państwowej zabrano matryce i rezerwy papieru banknotowego.

Przebycie pięćsetkilometrowej trasy do Monachium zajęło pociągom aż dwa tygodnie. Konwój ciężarówek przedzierał się mozolnie przez atakowaną ze wszystkich stron Rzeszę, przez Drezno, Pilzno i Monachium, jadąc w okolice Garmisch-Parten-kirchen, do Mittenwaldu w Bawarii.

Na którymś etapie podróży współpracownik doktora Funka, Hans Albert von Rosenberg-Lipinski, kazał przenieść worki na ciężarówki. Ostatecznie dowiozły one złoto i banknoty do maleńkiej miejscowości w Alpach Bawarskich, pociągi zaś skierowano do Monachium. Rosenberg-Lipinski zachował worek obcych walut i pięć małych skrzynek złota „na pewne cele". Nie wiadomo, co się z nimi stało, lecz wydaje się prawdopodobne, że w obliczu nieuchronnego końca III Rzeszy bankier postanowił zapewnić sobie dostatnią przyszłość.

Inni poszli za jego przykładem. Pełne skarbów ciężarówki jechały poprzez gęsto zalesione góry Karwendel w kierunku ośrodka szkoleniowego piechoty Wehrmachtu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jeden z pracowników Reichsbanku, niejaki Emil Januszewski, ukrył dwie sztaby złota w przewodzie kominowym. Znalazł je tam ktoś usiłujący rozpalić ogień w piecu. Kiedy sprawa wyszła na jaw, Januszewski, człowiek cieszący się dotąd powszechnym szacunkiem, popełnił samobójstwo. Zanim jednak doszło do tego odkrycia, reszta złota została umieszczona w wodoszczelnych kryjówkach w ziemi, w pobliżu samotnie stojącej chaty nad jeziorem Walchensee, zwanej „leśnym domem". Banknoty zakopano na trzech różnych szczytach górskich.

Ostatecznie obie odnalezione w kominie sztaby złota (obecnie warte pół miliona dolarów) i większa ilość gotówki znalazły się w rękach miejscowego funkcjonariusza partyjnego Karla Jacoba. Od tego czasu słuch po nich zaginął. Kilkunastu biorących udział w ukrywaniu skarbu urzędników partyjnych niższej rangi, wśród nich kilku wybitnych wojskowych, najwyraźniej też uległo pokusie.

Wkrótce Walther Funk i jego współpracownicy wpadli w ręce aliantów. Nikt nie przyznał się, że wie, gdzie ukryto brakującą część Skarbu III Rzeszy. Armii amerykańskiej udało się odzyskać od innych urzędów państwowych czternaście milionów dolarów w złocie, należących do Reichsbanku i czterdzieści jeden milionów dolarów w złocie należących do Rzeszy. Nigdy jednak nie odnaleziono skarbu z „leśnego domku". Przez cztery lata Amerykanie prowadzili śledztwo, chcąc wyjaśnić tę tajemnicę,

jednak musieli w końcu przyznać, że około trzech i pół miliona dolarów w złocie (dziś warte prawie pięćdziesiąt milionów) oraz dwa miliony dolarów w gotówce przepadło bez śladu.

Nie brakuje opinii, że złoto z Reichsbanku trafiło na Dolny Śląsk i do dziś spoczywa w podziemiach któregoś z tamtejszych zamków. Kiedy 15 maja Rosjanie wkroczyli do skarbca Reichsbanku, znaleźli tam dziewięćdziesiąt sztab złota, około trzech i pół miliona dolarów w różnych walutach oraz obligacje, których ówczesna wartość przekraczała czterysta milionów dolarów. Wszystko zapakowano do skrzyń i wywieziono do Związku Sowieckiego.

Czy naprawdę – jak twierdzą niektórzy – hitlerowski „oberdywersant" przejął, a następnie zakamuflował ogromne sumy pieniędzy? Czy z tego między innymi powstała w Hiszpanii po wojnie firma „Export-Import-Immobilen"? Tego już raczej nikt nigdy się nie dowie. W swoich wspomnieniach Skorzeny napisał tylko: „Gdy więc minister gospodarki i prezes Reichsbanku, Walther Funk, przysłał do mnie dwóch swoich przedstawicieli, prosząc o ochronę skarbu Reichsbanku, z wymaganą grzecznością dałem im do zrozumienia, że trafili pod niewłaściwy adres, gdyż nie jestem strażnikiem kasy pancernej, lecz żołnierzem". Wiele wskazuje, że – nie po raz pierwszy zresztą – mija się tu z prawdą.

*

Kiedy 6 maja 1945 roku Karl Dönitz wydał rozkaz złożenia broni, dwa dni później, o północy, Skorzeny wraz z Radlem i kilkoma najbliższymi współpracownikami schronił się w górach. Ze smutkiem zdał sobie sprawę, że oto dotarł do kresu swojej wojennej kariery. Miał zbyt mało ludzi i wyposażenia, aby dalej prowadzić wojnę. Pozostało pytanie, co dalej?

W tym samym czasie w Niemczech zwycięskie armie rozpoczęły zakrojone na ogromną skalę polowanie. Komisja Narodów Zjednoczonych do Dochodzeń w Sprawach Zbrodni Wojennych (United Nations Commission for the Investigation of War Crimes, utworzona 20

października 1943 roku w Londynie) sporządziła rejestr, w którym figurowało sto dwadzieścia tysięcy nazwisk zbrodniarzy i ponad osiemset tysięcy nazwisk podejrzanych o popełnienie zbrodni wojennych. Funkcjonariusze amerykańskiego Counter-Intelligence Corps oraz sowieckiego kontrwywiadu Smiersz[12] przetrząsali obozy jenieckie, obozy dla uciekinierów, górskie samotnie w poszukiwaniu zbrodniarzy. Brytyjczycy posunęli się jeszcze dalej, tworząc oddziały zabójców wymierzających na miejscu sprawiedliwość schwytanym hitlerowskim oprawcom. Ci zaś, świadomi, że za potworne czyny, jakich dopuszczali się na podbitych terytoriach, czeka ich szubienica, ukrywali się w tłumie uchodźców, obozach jenieckich dla żołnierzy Wehrmachtu, pasterskich szałasach lub domach przyjaciół.

„Ostatnie moje oddziały znajdowały się w pobliskich dolinach; podzielone na małe jednostki miały czekać na moje rozkazy – wspominał Skorzeny. – Niemcy przegrały II wojnę światową, mimo wielkiej odwagi swoich żołnierzy. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby temu zapobiec […]. W naszej górskiej kryjówce w Dachstein stwierdziliśmy, że w nowoczesnej wojnie szczęście wojenne nie sprzyja zdradzonym żołnierzom.

Mógłbym wybrać śmierć samobójczą. Wielu z nas dało się zabić w ostatnich bitwach albo odebrało sobie życie. Mógłbym również bardzo łatwo uciec za granicę na pokładzie Ju 88. Odrzuciłem myśl o porzuceniu ojczyzny, rodziny i towarzyszy. Nie miałem nic do ukrycia, ponieważ żaden żołnierz nie powstydziłby się żadnego z moich czynów i rozkazów. Postanowiłem pójść do niewoli”.

W tamte majowe dni, gdy ludzkość radowała się zakończeniem najkrwawszej z wojen, wielu hitlerowskich prominentów usiłowało ujść przed sprawiedliwością. Nawet Himmler i Kaltenbrunner wykorzystali przygotowane wcześniej fałszywe dokumenty. Jeszcze w Berlinie Skorzeny przekazał Reichsführerowi kapsułkę z cyjankiem i paszport na nazwisko feldfebla Heinricha Hitzingera, policjanta tajnej żandarmerii polowej (Geheime Feldpolizei) fizycznie do niego podobnego. 8 maja 1945 roku

Himmler z opaską na oku, bez wąsów, wraz z czternastoma esesmanami, w tym z osobistym lekarzem chirurgiem, wyruszył na południe Niemiec. Grupa miała przypominać zdemobilizowaną jednostkę żandarmerii polowej.

Kaltenbrunner otrzymał dokumenty na nazwisko Arthura Scheidlera. W skrytce jednego ze szwajcarskich banków na nazwisko to czekało dużo pieniędzy w różnych walutach. Adolf Eichmann – architekt „ostatecznego rozwiązania", człowiek określany przez swoich współpracowników jako „opętany obsesją zamordowania każdego Żyda, którego dopadnie", szybko znalazł się w Argentynie, gdzie ręka sprawiedliwości dopadła go dopiero wiele lat po wojnie. Wielu wyższych oficerów SS czatowało w tamte majowe dni wysoko w Alpach, czekając w turystycznych namiotach na sygnał do ucieczki.

W ręce żandarmerii wpadały jednak kolejno co grubsze ryby, nie licząc wielu pomniejszych płotek. Kaltenbrunnera szybko ujawniono, mimo charakteryzacji. Był wysoki, zdradził go wzrost. 1 października 1946 roku został skazany przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze na karę śmierci i stracony. „Całym sercem służyłem mojemu narodowi i ojczyźnie – powiedział stojąc pod szubienicą. – Spełniłem swój obowiązek zgodnie z interesem państwa. Żałuję, że ci, którzy nami rządzili w tych trudnych czasach, nie zachowali się jak żołnierze i że popełniono tyle zbrodni, ale nie brałem w nich udziału. Niech żyją Niemcy!".

Nie na wiele zdały się również dostarczone przez Skorzenego dokumenty Himmlerowi. Został zatrzymany przez patrol sowiecki 22 maja po tym, jak okazał je w punkcie kontrolnym w Meinstedt koło Bremervöde. Wedle relacji, gdyby tego nie uczynił, podobnie jak tłumnie zmierzająca ludność niemiecka, wówczas uznano by go tak jak innych za przesiedleńców, wędrujących po całym kraju po kapitulacji Niemiec. Himmler popełnił jednak błąd, postępując zgodnie ze swym biurokratyczno-policyjnym podejściem. Funkcjonariusze Geheime Feldpolizei, jako podlegającej od 1942 roku zbrodniczej Służbie

Bezpieczeństwa SD, byli również ścigani przez aliancki wymiar sprawiedliwości. Po aresztowaniu został przekazany Brytyjczykom. Wtedy dopiero sam ujawnił, kim jest, licząc być może na ubicie jakiegoś politycznego interesu.

Do końca wierzył, że Amerykanie w obawie przed państwem Stalina zgodzą się na zawarcie pokoju z Niemcami. Zrabowane bogactwa miały służyć odbudowie zniszczonego kraju. Wierzył w przyszłość, w której to on będzie kierował losami Niemiec. Planował założenie nowej Partii Jedności Narodowej (Nationale Sammlungspartei) i przygotowywał skład powojennego rządu. Był do tego stopnia nieświadomy rzeczywistości, że zastanawiał się, czy witając się z generałem Dwightem Eisenhowerem, powinien podać mu rękę.

Jak już wcześniej wspomniano, rzekomo popełnił samobójstwo w trakcie próby przesłuchania, połykając kapsułkę z cyjankiem potasu 23 maja. Tuż przed śmiercią miał podobno krzyknąć: *Ich bin Heinrich Himmler!* (Jestem Heinrich Himmler!). Brytyjczycy sfilmowali i sfotografowali zwłoki, sporządzili maskę pośmiertną oraz wycięli część mózgu do badań laboratoryjnych.

*

Inny z bohaterów tej książki, Hermann Göring, oddał się w ręce Amerykanów 8 maja 1945 roku w zamku Fischhorn nad jeziorem Zeller w Bawarii. Do czasu rozpoczęcia procesu został internowany wraz z innymi osadzonymi w miejscowości Bad Mondorf w południowo-wschodnim Luksemburgu, w kantonie Remich. Bardzo się zdziwił, dowiadując się, że stanie przed międzynarodowym trybunałem i będzie sądzony za zbrodnie wojenne. Ostatni okres swego życia podsumował w sposób następujący: „Przynajmniej żyłem jak należy przez dwanaście lat”.

Był najwyższej rangi nazistą, który miał odpowiedzieć za swe czyny. Po zakończeniu wojny sądził go Trybunał w Norymberdze. Stanął przed nim oskarżony między innymi o deportację milionów robotników

przymusowych do Rzeszy Niemieckiej, udział w intensywnej i wyniszczającej eksploatacji ekonomicznej okupowanych krajów, grabież dzieł sztuki z całej Europy, prowadzenie akcji prześladowania Żydów, a w szczególności grabież ich majątku, udział w planowaniu agresji na Czechosłowację oraz inne kraje, zbrodnie w czasie wojny powietrznej, którą kierował (m.in. w 1939 roku Göring był inicjatorem bombardowań polskich miast i obiektów cywilnych pozbawionych znaczenia strategicznego, w czasie których poniosło śmierć wiele tysięcy osób). Ostatecznie uznany został za winnego zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni przeciwko pokojowi oraz zbrodni wojennych i skazany na karę śmierci[13]. Po odczytaniu aktu oskarżenia powiedział: „W sensie oskarżenia nie przyznaję się do winy". Cały czas uważał, że nie popełnił żadnych zbrodni wojennych. Twierdził, że wszystko, co robił, miało służyć jak najlepiej pojmowanym interesom Niemiec.

Egzekucja skazanych odbyła się w nocy 16 października 1946 roku. Wykonał ją zawodowy kat amerykański, sierżant John C. Wood z Teksasu. Ciała straconych przewieziono następnego dnia – według jednej wersji do obozu koncentracyjnego Dachau pod Monachium, według drugiej – do krematorium na cmentarzu Ostfriedhof-Muenchen, gdzie zostały spalone. Prochy zbrodniarzy rozrzucono z samolotu nad Izerą.

Göring nie wziął w ceremonii udziału. Kiedy dowiedział się, że mają go powiesić, siadł i napisał cztery listy: do żony, do kapelana więziennego i dwa do władz. W piśmie zaadresowanym do Międzysojuszniczej Komisji Kontroli stwierdził: „Nie mam nic przeciwko rozstrzelaniu, ale nie chcę nikomu ułatwiać egzekucji niemieckiego Marszałka Rzeszy przez powieszenie […]. Z tych powodów postanowiłem umrzeć jak wielki Hannibal".

15 października, kilka godzin przed zaplanowaną egzekucją, połknął sporą dawkę cyjanku potasu. W chwili przybycia do Bad Mondorf miał ze sobą trzy kapsułki z cyjankiem. Jedną schował w ubraniu, tak by łatwo można było ją odszukać. Drugą – ukrytą w słoiku z kremem – znaleziono w jego rzeczach już po samobójstwie. Badania laboratoryjne trzeciej –

której resztki znaleziono między jego zębami – dowiodły, że przez jakiś czas ukrywał ją w odbytnicy. Jak doskonale wiedzą wszyscy czytelnicy powieści kryminalnych, cyjanek ma niezwykle charakterystyczny zapach gorzkich migdałów (czy ktoś kiedyś wąchał gorzkie migdały i wie, jak pachną?). Jest uniwersalnym lekarstwem na wszystkie choroby, likwiduje je skutecznie razem z chorym.

Termin wykonania wyroków był utrzymywany w tajemnicy, jednak z pobliskiej sali gimnastycznej, która miała być miejscem straceń, dobiegały do cel odgłosy prac stolarskich. Gdy zakończyły się prace i zaległa cisza, skazańcy wiedzieli, że już wkrótce nastąpi koniec.

Zwłoki Göringa zostały skremowane i wrzucone do rzeki, aby miejsce pochówku nie stało się celem pielgrzymek.

Przypisy

1 Kościół ucierpiał mocno podczas bombardowania już w listopadzie 1943 roku. W roku 1957 rozpisano konkurs na nową świątynię, który wygrał Egon Eiermann. Projekt spowodował publiczną debatę. Mimo początkowych planów usunięcia zgliszczy starego kościoła pozostawiono sześćdziesięcioośmiometrową ruinę głównej wieży jako symbol antywojenny. Obok wybudowano nowoczesny, szklany ośmiokątny kościół z dzwonnicą, kaplicą i kruchtą. Architekt zaprojektował także wyposażenie: ołtarz, ambonę, chrzcielnicę, świecznik, lampy i ławki. Szklane ściany składające się z 30 tys. elementów są dziełem francuskiego artysty Gabriela Loire. 17 grudnia 1961 roku kościół poświęcił biskup Otto Dibelius. W roku 1987 świątynia otrzymała krzyż wykuty z żelaza pochodzącego z więźby dachowej zburzonej katedry z Coventry jako symbol pojednania.

2 Alianci zachodni odrzucili ofertę zawarcia separatystycznego pokoju na Zachodzie, a Hitler na dwa dni przed samobójczą śmiercią (28 kwietnia 1945 roku) dowiedział się o sprawie z zachodnich mediów i zdegradował

Himmlera, na jego miejsce mianując Karla Hanke. Wiosną 1945 roku Schellenberg próbował również – zapewne raczej dla ratowania własnej skóry niż z nagłego odruchu serca – wynegocjować uwolnienie (lub przynajmniej zapewnienie bezpieczeństwa) więźniom obozów koncentracyjnych i możliwie najłagodniejsze warunki pokojowe. W styczniu 1948 roku amerykański sąd wojskowy uznał go winnym przynależności do SS i służby bezpieczeństwa SD (obie te organizacje zostały uznane za zbrodnicze) i skazał na 6 lat więzienia. Na wolność wyszedł w czerwcu 1951 roku ze względu na zły stan zdrowia. W tym właśnie czasie zaczęło się tworzenie zachodnioniemieckiego wywiadu. Co bardziej doświadczeni oficerowie z czasów wojny wracali do łask – w końcu mieli doświadczenie w walce z Sowietami. Schellenberg miał nadzieję, że będzie jednym z nich. I w tym właśnie celu spisał swoje wspomnienia. Zmarł w Turynie 31 marca 1952 roku w wieku zaledwie 42 lat.

3 W walkach o wyzwolenie Holandii brały również udział oddziały polskie. 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa dowodzona przez generała Stanisława Sosabowskiego uczestniczyła w nieudanym desancie pod Arnhem, zaś 1. Dywizja Pancerna generała Stanisława Maczka wyzwoliła Bredę i wiele okolicznych miejscowości. Podczas wymienionych operacji zginęło przeszło 400 polskich żołnierzy i oficerów.

4 Moździerze „Karl” o masie całkowitej 124 t były przerzucane do rejonu przewidywanych działań bojowych transportem kolejowym lub drogowym. W pierwszym przypadku moździerz był zawieszony nad torami kolejowymi pomiędzy dwiema specjalnie skonstruowanymi pięcioosiowymi platformami. W drugim przypadku „Karla” demontowano na kilka części i przewożono na specjalnych wieloosiowych przyczepach kołowych (tzw. Culemeyer-Strassenfahrzeuge). Sześć seryjnych moździerzy „Karl” przekazano Wehrmachtowi w okresie pomiędzy listopadem 1940 a sierpniem 1941 roku. Poszczególne egzemplarze były dla odróżnienia oznaczone rzymskimi cyframi od I do VI; ponadto każdy moździerz ochrzczono innym imieniem. Pierwsze cztery to: „Adam”,

„Eva”, „Thor” i „Odin”. Niestety nie można w ich przypadku ustalić, którym konkretnym numerom odpowiadają poszczególne imiona. Pewne jest jednak, że Gerät V to „Loki”, a Gerät VI to „Ziu”. Moździerze „Karl” uczestniczyły w działaniach bojowych na froncie wschodnim już w 1941 roku. Jednak ich najbardziej znaną akcją bojową był udział w operacji „Störfang” – szturmie Sewastopola w czerwcu 1942 roku.

W pierwszych dniach sierpnia 1944 roku na poligonie w Hillersleben utworzono 638. baterię artylerii najcięższej z moździerzem kal. 600 mm o nazwie „Ziu”. W połowie miesiąca baterię wysłano do Warszawy. Jedno ze stanowisk moździerza „Ziu” znajdowało się w parku Wolskim, kilkadziesiąt metrów od pomnika generała Sowińskiego. Inne stanowisko przygotowano w rejonie Dworca Zachodniego. W drugiej połowie sierpnia podstawowym zadaniem 638. baterii było wsparcie Grupy Bojowej SS-Gruppenführera Reinefartha, atakującej powstańców na Starówce. „Ziu” ostrzeliwał zabudowę wewnątrz dzielnicy staromiejskiej. Skutki trafienia granatu kal. 600 mm w kilkupiętrową kamienicę były przerażające. Pocisk przebijał kolejne stropy i zazwyczaj eksplodował w części parterowej, powodując zburzenie całej kamienicy i zasypanie piwnic pełnych ludności cywilnej i rannych powstańców. Po zakończeniu walk o Stare Miasto „Ziu” ostrzeliwał Śródmieście.

Dane taktyczno-techniczne moździerzy samobieżnych „Karl” (Gerät 040): kaliber 600 mm; długość lufy 5068 mm; masa pocisku 2200 kg; masa ładunku wybuchowego 348 kg; prędkość początkowa pocisku 220 m/s; donośność maksymalna 4300 m; zdolność przebijania betonu o grubości 2500 mm; szybkostrzelność 6–12 strz./h; masa całkowita moździerza 124 tys. kg. Moździerz montowano na samojezdnej, gąsienicowej lawecie, napędzanej silnikiem benzynowym Daimler-Benz MB503 o pojemności 4450 cm^3 i mocy 580 KM. Silnik umożliwiał jazdę z prędkością 10 km/h. Zgodnie z projektem wylot lufy moździerza był skierowany ku tyłowi pojazdu – na swoje stanowisko ogniowe moździerz wjeżdżał na wstecznym biegu. Za: M. Skotnicki, *Moździerz samobieżny „Karl” (Gerät 040)*, http://www.muzeumwp.pl.

5 Henriette Hoffmann, żona Baldura von Schiracha, była córką osobistego fotografa Hitlera, Heinricha Hoffmanna.

6 Operacja Frühlingserwachen, zwana też „operacją balatońską”, skierowana była przeciwko oddziałom sowieckim i bułgarskim na Węgrzech, działającym w pobliżu jeziora Balaton. Jej celem było odbicie zdobytego 13 lutego przez wojska sowieckie i rumuńskie Budapesztu oraz zabezpieczenie pól naftowych koło Nagykanizsy, ostatniego niemieckiego źródła ropy naftowej. Główne siły niemieckie pochodziły z jednostek pancernych Waffen-SS, biorących udział w nieudanej kontrofensywie w Ardenach. Pomimo bardzo niekorzystnej pogody oraz warunków terenowych (grząska ziemia powodowała, że pojazdy bardzo łatwo się zakopywały) 6 marca 1945 roku Niemcom udało się zaskoczyć Armię Czerwoną, a ich największej jednostce bojowej 6. Armii Pancernej, dowodzonej przez „Seppa” Dietricha, zdobyć znaczny obszar. Po tygodniu Rosjanie ruszyli do kontrataku i zepchnęli Niemców z powrotem na pozycje wyjściowe.

7 Gwałty popełnione przez zachodnich sojuszników także miały miejsce, nie osiągnęły jednak nigdy takiego nasilenia jak akty przemocy Rosjan w Wiedniu czy później w Berlinie. Na przykład po wkroczeniu Francuzów do Freudenstadt i Pforzheim zgwałcono około stu kobiet w wieku od czternastu do siedemdziesięciu czterech lat. W Stuttgarcie policja odnotowała 1198 przypadków wykorzystania seksualnego kobiet przez żołnierzy francuskich.

8 *Ich hatt’ einen Kameraden* (Miałem towarzysza walki). Pieśń tę śpiewano tradycyjnie w Niemczech nad grobami poległych żołnierzy.

9 Legendarny Franz Daniel Pretorius był podobno pierwszym Niemcem, który wyemigrował do Ameryki Północnej.

10 Wartość majątku zagrabionego Żydom jest niemożliwa do oszacowania. Jednak o skali procederu świadczy raport z operacji „Reinhard” przeprowadzonej w 1943 roku. Dzięki akcji eksterminacji samych tylko Żydów w Generalnym Gubernatorstwie do depozytów SS

wpłynęła równowartość ponad 40 mln dolarów – niemal 0,5 mld według dzisiejszej wartości.

11 To tylko domysły oparte na mniej lub bardziej wiarygodnych przesłankach. Jest jednak i *corpus delicti* grabieży. Oto w 1976 roku na aukcji w Filadelfii pojawił się wart majątek „niebieski Mauritius" – jeden z siedmiu zaginionych znaczków ze zbiorów Muzeum Poczty Niemieckiej. Zbiory te zmagazynowane były właśnie w kopalni „Kaiseroda". Nie tylko Niemcy starali się korzystać z niepowtarzalnych okazji, jakie stwarzało tak ogromne rozproszenie skarbów. Napawało to przerażeniem ludzi pokroju George'a Pattona, który był niezwykle skrupulatny w stosunku do majątku niemieckiego i który kiedyś stwierdził: „Nie chcę, aby ktokolwiek kiedykolwiek powiedział, że ten sukinsyn Patton coś ukradł". Ale jego podwładni nie mieli już takich skrupułów. Niepokojąco wielu żołnierzy amerykańskich miało lepkie ręce. Do dziś panuje przekonanie, że grabieży dopuszczali się czerwonoarmiści, którzy równie gorliwie jak hitlerowcy łupili podbijane przez siebie kraje. Jednak nie tylko sowieccy żołdacy i naziści traktowali muzealne zbiory i dzieła sztuki z prywatnych kolekcji jak zdobycz wojenną. Historia zna wiele przypadków spektakularnych kradzieży dokonanych w Niemczech przez zachodnich aliantów. Okazuje się, że niechlubny prym wiedli wśród nich właśnie żołnierze armii Stanów Zjednoczonych. Dzieła sztuki, nierzadko powtórnie zrabowane, do dziś znajdują się w prywatnych kolekcjach oraz państwowych instytucjach USA. Znanych jest trzysta przypadków nielegalnego wywiezienia do Ameryki wartościowych dzieł sztuki. Winowajców sądzono jako złodziei i skazywano na karę więzienia lub karnie wydalano z armii.

12 Chociaż formalnie istniała zaledwie przez trzy lata, od 14 kwietnia 1943 roku do wiosny roku 1946, organizacja Smiersz zdążyła się zapisać w historii wyjątkowo krwawymi zgłoskami. Żadnemu obywatelowi Związku Sowieckiego przy zdrowych zmysłach nawet do głowy nie przychodziło, aby wypowiedzieć to słowo inaczej jak szeptem. Smiersz, akronim powstały od słów *smiert' szpionam* (śmieć szpiegom) określał specjalne jednostki zajmujące się kontrwywiadem wojskowym w Armii

Czerwonej, flocie, w przemyśle zbrojeniowym, zagranicznych przedstawicielstwach sowieckich sił zbrojnych, szkolnictwie wojskowym, w GRU oraz innych instytucjach powiązanych z obronnością i siłami zbrojnymi bolszewickiego państwa. Jej dowódcą był osławiony generał pułkownik Wiktor Abakumow, wicekomisarz obrony i zastępca Stalina, wcześniej naczelnik Zarządu Oddziałów Specjalnych NKWD oraz jednocześnie Zastępca Ludowego Komisarza Spraw Wewnętrznych ZSRS Ławrientija Berii. Poza normalnymi zadaniami kontrwywiadu wojskowego komórki organizacyjne Smiersz przywiązywały ogromną wagę do wykrycia i zwalczania członków narodowych konspiracyjnych struktur wojskowych i politycznych, nieakceptujących nowego proradzieckiego powojennego porządku w swych krajach, między innymi w Polsce. Po przekroczeniu granicy Rzeczypospolitej przez Armię Czerwoną funkcjonariusze Smiersz ze wspomagającymi go Wojskami Wewnętrznymi NKWD i agenturą NKGB oraz komórkami Gwardii Ludowej (potem Armii Ludowej) rozpoczęły wyłapywanie i rozbrajanie oddziałów Armii Krajowej. Grupy Operacyjne Smiersz działały według wcześniej przygotowanych list, na których znajdowały się dane osobowe i adresy aktywnych uczestników konspiracji akowskiej. Listy te zostały wcześniej przygotowane przez agenturę GL-AL, a następnie, za pośrednictwem funkcjonariuszy NKGB, którzy dowodzili niektórymi oddziałami partyzanckimi GL, były przekazywane do Moskwy.

Wchodząc na tereny Rzeczypospolitej, Smiersz miał już przygotowane zaplecze agenturalne i rozpoznawcze, dzięki któremu efektywnie zwalczał oddziały niepodległościowe. Począwszy od 1942 roku wywiad sowiecki interesował się Polskim Państwem Podziemnym i za wszelką cenę przy pomocy polskich komunistów starał się rozpoznawać jego struktury, skład osobowy i lokalizację oddziałów, liczbę oraz miejsca składów broni i amunicji. Według różnych źródeł zaraz po przekroczeniu granicy przedwojennej Polski przez oddziały Armii Czerwonej na terenach później włączonych do ZSRS w pierwszych tygodniach specjalne oddziały NKWD do zabezpieczenia tyłów (były to w dużym procencie wojska wewnętrzne

i pograniczne NKWD oraz oddziały Smiersza), aresztowały około 20 tys. obywateli, którzy według sowieckiego aparatu bezpieczeństwa byli wrogo nastawieni do Związku Sowieckiego i nowo powstałego PKWN. Wielu aresztowanych akowców wywożono w głąb ZSRS, gdzie masowo ginęli w łagrach. Od 1945 roku na terenie Polski powstawały specjalne więzienia i obozy NKWD i Smiersza, z których najbardziej znanym jest specjalny obóz nr 10 w Rembertowie. Po powołaniu do życia „polskiego" Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego funkcjonariusze Smiersz doradzali jego jeszcze niedoświadczonym funkcjonariuszom w prowadzeniu aparatu bezpieczeństwa i przymusu, asystując przy aresztowaniach, przesłuchaniach, nauczając stosowanych od lat w ZSRS metod śledczych, czyli krótko mówiąc, tortur. Nadzorowali też ważniejsze procesy sądowe czy też raczej pseudoprocesy.

Dużą rolę Smiersz odegrał przy formowaniu polskiego kontrwywiadu wojskowego, tak zwanej Informacji Wojskowej (późniejszych WSI). Powstały już w 1943 roku Oddział Informacji przy 1. Dywizji Piechoty obsadzony był w 90% przez funkcjonariuszy Smiersz, tak samo było przy kolejnych reorganizacjach Informacji Wojskowej. Wydział Informacji 1. Korpusu, Wydział Informacji 1. i 2. Armii Wojska Polskiego były całkowicie zdominowane przez funkcjonariuszy Smiersz w polskich mundurach. Szefami Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego byli funkcjonariusze Smiersz, tacy jak na przykład Dmitrij Wozniesienski.

Zarząd Informacji ściśle współpracował z oddziałami Smiersza. W rozkazie nr 60 z 30 września 1944 roku zatytułowanym *Ustawa o Zarządzie Informacji WP i jego organach* (ściśle tajne) w rozdziale II można przeczytać: „Wszystkich aresztowanych lub zatrzymanych przez organa Informacji WP agentów, dywersantów, spadochroniarzy mających za zadania zbieranie informacji o Armii Czerwonej natychmiast (niezwłocznie) przekazywać organom Smiersz".

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny Polski w pogoni za wojskami niemieckimi oddziały Smiersz podążały zaraz za pierwszą linią frontu z zadaniem poszukiwania ważnych materiałów i prominentów III Rzeszy,

naukowców, zbrodniarzy oraz dokumentów, najnowszej technologii, np. pocisków V-2, pierwszych silników odrzutowych itp. Po zakończeniu działań wojennych Smiersz był odpowiedzialny za swoiste „przebadanie” ponad pięciu milionów obywateli sowieckich repatriowanych z Zachodu do ZSRS. Organy Smiersz bardzo dokładnie „przebadały” też parę milionów żołnierzy Armii Czerwonej, którzy dostali się do niemieckiej niewoli. Wielu z nich zostało rozstrzelanych, a większość skończyła w łagrach syberyjskich za złamanie rozkazu nr 227. 4 maja 1946 roku Decyzją Biura Politycznego KC WKP(b) (nr P. 51/IV) formację Smiersz zlikwidowano. Nowa struktura została włączona do Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego ZSRS jako III Zarząd Główny (kontrwywiadu wojskowego). Ministrem bezpieczeństwa państwowego ZSRS został były naczelnik Smiersz, wspomniany już generał Abakumow.

13 Wyrok w pierwszym procesie norymberskim ogłoszony został w październiku 1946 roku. Dwunastu oskarżonych skazanych zostało na karę śmierci przez powieszenie. Byli to: Martin Bormann (sądzony zaocznie), Hans Frank, Wilhelm Frick, Alfred Jodl, Ernest Kaltenbrunner, Wilhelm Keitel, Joachim von Ribbentrop, Alfred Rosenberg, Fritz Sauckel, Arthur Seyss Inquart, Julius Streicher i Hermann Göring. Trzej oskarżeni – Walther Funk, Rudolf Hess i Erich Raeder skazani zostali na karę dożywotniego więzienia. Niższe kary więzienia wymierzono czterem oskarżonym: Baldur von Schirach i Albert Speer dostali po 20 lat, Konstantin von Neurath – 15 lat, a Karl Dönitz – 10 lat. Trzech oskarżonych – Hansa Fritsche, Franza von Papena i Hjalmara Schachta uniewinniono.

Rozdział 10

W niewoli

Poddać się. Niby prosta sprawa. Ale nie wtedy, gdy człowiek pragnie poddać się Amerykanom. Przekonał się już o tym wspomniany wcześniej w poprzednim rozdziale Georg Johannes Dasch, ten sam, który chciał, a raczej nie chciał, wysadzić w powietrze Nowy Jork.

Skorzeny wysłał list do najbliższego amerykańskiego dowódcy, powiadamiając go o swoim zamiarze. Odpowiedź nie nadeszła. Wysłał więc kolejny list. Znowu bez odzewu. Tymczasem „Radio Luxemburg", kontrolowana przez aliantów rozgłośnia, zaapelowało do swoich słuchaczy o pomoc w odnalezieniu „najbardziej poszukiwanego człowieka w Europie". Jednak Amerykanie w dolinie wciąż nie wydawali się interesować esesmanem. Napisał ponownie, informując, że oficerowie i żołnierze „Korpusu Alpejskiego" mogą zebrać się i razem pójść do niewoli. I tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

W końcu wraz z Radlem, Wernerem Hunke i tłumaczem, porucznikiem Peterem, zszedł w dolinę. Był 22 maja 1945 roku. Od kapitulacji minęły dwa tygodnie. Był wczesny ranek. Perłowoszare niebo było bez chmur i bez barwy. Jedynie na horyzoncie wystawał ponad szczyty wąski pasek srebra. Było tak cicho, że słyszeli własne oddechy.

Po godzinie marszu Skorzeny i jego trzech ludzi wkroczyli do amerykańskiej kwatery. Byli uzbrojeni po zęby i wciąż w niemieckich mundurach, ale ku ich zdumieniu nikt nie zwracał na nich uwagi.

– My tu nie zajmujemy się jeńcami – wyjaśnił im chudy sierżant o suchej i pomarszczonej twarzy teksańskiego poganiacza bydła. W rzeczywistości pochodził z Bostonu, a wysuszoną cerę zawdzięczał camelom, które ćmił niemalże bez przerwy.

– Jestem Otto Skorzeny!

– A ja Patrick Broock.

Skorzeny spojrzał na Radla z niedowierzaniem, ale wierny towarzysz wzruszył tylko ramionami.

– Jestem pułkownikiem SS!

– A ja sierżantem US Army. I co z tego?

– Poszukujecie mnie przez radio!

– Ja tam nie mam czasu słuchać radia – rzucił amerykański sierżant, zaciągając się głęboko papierosem. – Jeżeli czujecie się ważni, to zorganizuję wam jeepa i będziecie się mogli poddać w dowództwie dywizji.

Wyjechali więc z amerykańskim kierowcą do dowództwa dywizji do Salzburga. Facet miał gładko ogoloną twarz kelnera i poruszał się jak dżokej bez konia. Ten z kolei, w przeciwieństwie do sierżanta, bardzo zainteresował się swoimi pasażerami. Postanowił nawet przerwać podróż i zatrzymał samochód przed barem. Lokal przypominał suknię wielkiej damy nadjedzoną przez mole, której właścicielka rozpaczliwie stara się ukryć ten fakt pod biżuterią i kolorowymi apaszkami. Błyszczące żyrandole i wymyślne, aksamitne portiery niezupełnie zakrywały zniszczone obicia czy ledwie widoczne, przypominające pajęczynę pęknięcia w suficie. Kierowca zamówił dwie butelki wina, za które jednak zapłacić musiał Otto.

– Ty naprawdę jesteś Skorzeny? – zapytał. – Bez jaj.

– Naprawdę.

– A to ci dopiero numer! Żona mi nigdy nie uwierzy, kiedy wrócę do domu i jej o tym opowiem. Szkoda, że nie wziąłem ze sobą aparatu.

Porucznik Peter dokładnie przetłumaczył słowa Amerykanina. Otto nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać:

– Mogę ci napisać dedykację na serwetce.

– Eee, to do niczego – skrzywił się kierowca. – Ale napijmy się jeszcze po jednym, chłopie. Dzisiaj pewnie zawiśniesz na szubienicy.

W Salzburgu wysadził ich przed zajętym przez aliantów hotelem.

– Nie mam pojęcia, gdzie tu jest sztab dywizji – wyjaśnił. – Mimo wszystko życzę powodzenia, chłopaki – uśmiechnął się i odjechał.

Skorzeny westchnął ciężko, odrzucił papierosa i patrzył, jak punkcik pomarańczowego światła opada na mokrą, pustą ulicę. Nadal nie wzbudzali zainteresowania. Wreszcie pojawił się jakiś major i poradził, żeby poszli sobie gdzie indziej.

– Gdzie?

– Najlepiej do Sankt Johann in Pongau. Tam jest obóz dla jeńców wojennych.

Z Sankt Johann in Pongau skierowano ich do Werfen. Kiedy tam dotarli, było już późne popołudnie. Promienie zachodzącego słońca lizały ich mile po twarzach.

– Jak oni mogli wygrać tę wojnę? – zdumiał się Radl.

– Ta wojna była wojną idei – wyjaśnił Otto. – Wygrali ją, gdyż my nie przewidzieliśmy, że dwa przeciwstawne systemy, kapitalizm i komunizm, mogą się przeciwko nam zjednoczyć. To jak połączyć wodę i ogień. A wiesz dlaczego?

Radl nie odezwał się, rozumiejąc, że jest to pytanie retoryczne, na które jego dowódca wcale nie oczekuje odpowiedzi.

– Bo Roosevelt uważał, że dla przyszłego świata większym zagrożeniem jest brytyjski kolonializm niż rosyjski komunizm! – mówił dalej z zapałem Otto. – No i zniszczył ten kolonializm. Tak, zniszczył! W ciągu najbliższych lat brytyjskie, francuskie, holenderskie, hiszpańskie i diabli wiedzą, jakie jeszcze inne kolonie będą łamać się jak spróchniałe gałęzie.

– My, na szczęście, nie mieliśmy dużo kolonii – odezwał się Radl, uznając, że wypada coś powiedzieć.

Skorzeny machnął tylko z niecierpliwością ręką.

„W Werfen sztab batalionu amerykańskiego znajdował się na zboczu doliny w wygodnej willi, w której zacząłem pertraktacje z amerykańskim

kapitanem – wspominał. – Radl i Peter musieli zostać przy wejściu. Zamiast podpisania zgody na przejazd, której potrzebowałem, żeby zabrać mój Korpus Ochrony Alp do Salzburga, kapitan zaprowadził mnie do jadalni. Znajdowali się w niej dwaj oficerowie i tłumacz. Kiedy pokazywałem na mapie, gdzie znajdują się moi ludzie, z hukiem otworzono troje drzwi i okna jadalni. Wycelowano we mnie dwanaście pistoletów maszynowych, a tłumacz poprosił o oddanie pistoletu, co uczyniłem, mówiąc:

– Proszę uważać, jest nabity, a ostatnia kula jest niebezpieczna”.

*

Teraz Amerykanie nie pozwalali już sobie na dalsze zaniedbania. Skorzeny został rozbrojony, a następnie rozebrany do gatek i zrewidowany w poszukiwaniu trucizny. Następnie wraz z Radlem, Peterem i obstawą załadowano go do samochodu konwojowanego przez dwa wozy pancerne.

Do Salzburga dotarli nocą. Zostawiono ich w ogrodzie jakiejś willi. Otto zapalił właśnie papierosa, kiedy od tyłu zaatakował ich patrol Military Police – Policji Wojskowej (MP). Służące w tej formacji chłopy były potężne, jeden w drugiego dwumetrowi, więc błyskawicznie obalili jeńców na ziemię, wykręcili im ręce za plecami i założyli na nie kajdanki. Skorzeny został zaprowadzony do pomieszczenia, w którym za kilkoma stołami siedziało kilkanaście osób, a wśród nich kilku fotografów i dziennikarzy.

– Zostanie pan za chwilę przesłuchany – oświadczył mu jakiś amerykański pułkownik.

– Nie będę odpowiadał na żadne pytania, dopóki nie zdejmiecie mi tych bransoletek – powiedział z godnością Niemiec.

Kiedy uczyniono zadość jego żądaniu, podszedł do okna. Kilku uzbrojonych w pistolety maszynowe żołnierzy natychmiast podniosło broń do góry. Roześmiał się na ten widok.

– Hej, Radl, Peter! – krzyknął. – Nadal jesteście w kajdankach?

– Tak! – odkrzyknął Karl. – Co za świństwo!

Otto zwrócił się ponownie do pułkownika:

– Dopóki moi towarzysze będą skuci, niczego się pan ode mnie nie dowie.

Amerykanin skinął tylko głową. Po chwili rozległ się głos Radla:

– Teraz w porządku. Dziękuję!

Pułkownik kazał Skorzenemu usiąść za stołem na jednym z wolnych krzeseł, po czym rozpoczął przesłuchanie. Pierwsze pytanie brzmiało:

– Dlaczego próbował pan zamordować generała Eisenhowera?

To samo pytanie stawiali mu później podczas trzyletniej niewoli oficerowie wywiadu francuskiego i brytyjskiego.

– Nigdy tego nie próbowałem ani nawet o tym nie myślałem – odpowiedział. – Gdyby kiedykolwiek rozkazano mi zaatakować kwaterę główną aliantów, przygotowałbym sobie plan, który zapewne wprowadziłbym w życie. Ale taki rozkaz nigdy nie padł.

Posypały się kolejne pytania:

– Jeśli nie chciał pan zabić Eisenhowera, to czy miał pan zamiar go porwać?… Czyż nie jest oczywiste, że chciał pan zabić lub porwać generała Bradleya?… Dlaczego wojska włoskie i węgierskie nie strzelały do pana w Gran Sasso i w Budapeszcie?… Co robił pan w Berlinie pod koniec kwietnia 1945 roku?… Gdzie zawiózł pan Hitlera?… Wiemy z pewnych źródeł, że wyleciał pan samolotem z Berlina wraz z Hitlerem o świcie w poniedziałek 30 kwietnia!… Gdzie on się ukrył?… Potrafi pan pilotować samolot, prawda?… Pan pilotował, a Hitler był obok pana w kabinie, widzi pan, że jesteśmy dobrze poinformowani!… Lądowaliście w nocy na Balearach, nie ma sensu zaprzeczać!… Chciał pan wysadzić kwaterę główną marszałka Montgomery’ego, mamy na to dowody!… Skąd może pan wiedzieć, że Hitler popełnił samobójstwo, jeśli nie było pana w Berlinie pod koniec kwietnia 1945 roku?… Czy Hitler osobiście wydał panu rozkaz zabicia generała Eisenhowera?… Nie?… To kto?…

W końcu udało się Skorzenemu przekonać pułkownika Henry’ego Gordona Sheena, jednego z szefów amerykańskiego wywiadu, że naprawdę niczego nie wie o wywiezieniu Führera z płonącego Berlina.

– Gdybym go zabrał w jakieś bezpieczne miejsce, zostałbym z nim – argumentował. – Nie wracałbym tylko po to, aby dać się uwięzić.

Nie przekonał jednak chyba amerykańskiej prasy. „To podstęp – ogłosili nazajutrz dziennikarze. – Skorzeny chce zatrzeć ślady”.

„Skorzeny bez wątpienia robi wrażenie – napisała z kolei korespondentka „New York Timesa”. – Jest w nim coś nieustępliwego: wielka, silna postać. W porównaniu z nim «Bestia z Belsen» to przedszkolak[1]”.

I zapewne przez wzgląd na czytelniczki dodała tytułem refleksji: „Ma niebieskie oczy”.

Inna dziennikarka zanotowała: „Jest całkiem przystojny, mimo blizny, biegnącej od lewego ucha do policzka. Z uśmiechem wypiera się kierowania misją zabicia członków alianckiego najwyższego dowództwa […] i zapewnia, że jeśli za amerykańskimi liniami działali jacyś niemieccy żołnierze w amerykańskich mundurach, zaplanował to ktoś inny, nie on […]. Próbował niecierpliwie przekonać przesłuchujących, że jest tylko zwykłym żołnierzem, oczernionym przez plotki, a następnie zasiadł wygodnie, żeby opowiedzieć historię, z której najwyraźniej był dumny i którą przekazywał z ochotą; o tym, jak wraz z garstką innych wybranych ludzi wyrwał Mussoliniego losowi, który ostatecznie dopadł go w północnych Włoszech”.

Brytyjski reporter napisał zaś: „Uznano, że najlepiej będzie trzymać Skorzenego z rękami skutymi na plecach. Kiedy dostawał papierosa, trzeba było strząsać mu popiół, a szklankę wody trzymać przy ustach”.

Zaczynała się rodzić, a raczej rosnąć legenda Pierwszego Komandosa III Rzeszy. Szorstki urok Skorzenego uwiódł, jak widać, część żurnalistów, innych jednak po prostu brzydził. Ci ostatni uważali go za zwykłego terrorystę.

*

Rozpoczęło się przenoszenie Skorzenego z jednego więzienia do drugiego. W szóstym z kolei dzielił celę z feldmarszałkiem Albertem Kesselringiem. Potem zamknięto go w piwnicy nafaszerowanej mikrofonami wraz z jego starym kumplem, Ernstem Kaltenbrunnerem.

„Przywoływaliśmy nasze wspomnienia z czasów studenckich i służby nasłuchu były bardzo rozczarowane – wspominał. – Kaltenbrunner miał pecha, gdyż objął stanowisko po Reinhardzie Heydrichu, szefie RSHA, zabitym w Pradze w 1945 r. Został wysłany do Londynu i początkowo przez kilka tygodni przesłuchiwano go poprawnie. Później spędził siedem tygodni w londyńskim Tower. Trzymany dzień i noc w ciemnościach. Kaltenbrunner znosił tortury, którymi poddawano dawnych rosyjskich więźniów Twierdzy Pietropawłowskiej. Poziom wody powoli podnosił się w jego celi, gdy przekraczał metr – opadał. Potem stosowano zimny prysznic i bicie. W Norymberdze trzy następujące po sobie zapalenia opon mózgowych uniemożliwiały mu przeważnie uczestniczenie w procesie. Po raz ostatni zobaczyłem go w lipcu 1946 r. Był spokojny i opanowany, mimo iż wiedział, że zostanie skazany na śmierć i stracony.

Moim towarzyszem niewoli był również Reichsleiter dr Robert Ley[2], którego aresztowano w błękitnej pidżamie i kapciach. Wyjeżdżając, nałożył ogromny płaszcz wzięty przypadkowo z garderoby, na głowę założono mu tyrolski kapelusz. Nieszczęśnik nie wytrzymał sposobu, w jaki go traktowano; wolał popełnić samobójstwo wkrótce po przewiezieniu go do Norymbergi [25 października 1945 r.].

W obozie Oberursel odnalazłem Radla, który otrzymał zgodę na pobyt w mojej celi, lecz 20 września znów nałożono mi kajdanki, żeby zabrać mnie do samolotu, który miał nas zawieźć do Norymbergi […].

Gdy dotarliśmy na teren więzienia w Norymberdze, komendant zakładu penitencjarnego, amerykański pułkownik [Burton] Andrus, który nosił binokle i do złudzenia przypominał Heinricha Himmlera, omal nie dostał apopleksji. Ze zgrozą stwierdził, że wielki admirał Dönitz jest jeszcze w mundurze i nosi dystynkcje odpowiadające jego stopniowi. Byłem w tej samej sytuacji. Szef więzienia krzyczał, że nasze mundury są

niedopuszczalne, że jest to prowokacja. Krzyczał tak głośno, że nadbiegło wielu czarnych policjantów wojskowych. Ja już jednak oddawałem honory wielkiemu admirałowi. Zrozumiał i przyzwalająco odpowiedział na moje pozdrowienie.

Bez słowa zdegradowaliśmy się nawzajem. Następnie zasalutowaliśmy sobie krótko i ostatni przywódca Trzeciej Rzeszy uścisnął mi dłoń […].

Przez pierwsze tygodnie karmiono nas dobrze. Pracujący w kuchni starzy, miejscowi niemieccy więźniowie, robili co mogli, czym zasmucali pułkownika Andrusa. Jako Litwin z pochodzenia, był Amerykaninem dość świeżej daty i nienawidził wszystkiego co niemieckie. «Wiem – powiedział nam – że nazywają was *Krauts* (kapusta), ponieważ bardzo ją lubicie. Tak więc będziecie ją jeść codziennie». Dopilnował, żeby jedzenie było jak najgorsze".

Więzienie w Norymberdze było obszernym budynkiem zbudowanym na planie pięcioramiennej gwiazdy. Początkowo trzymano Skorzenego w skrzydle dla oskarżonych, zajmował celę naprzeciwko Hermanna Göringa, o którym pułkownik Andrus powiedział kiedyś: „Gdy Göring przyszedł do mnie do Mondorf, był sztucznie uśmiechającym się łamagą. Miał dwie walizki wyładowane paracodeiną. Myślałem, że to handlarz narkotyków. Zabraliśmy mu ten towar i zrobiliśmy z niego człowieka".

Porozumiewał się z marszałkiem za pomocą znaków, gdyż rozmowa była zakazana. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia 1945 roku przeniesiono go do celi dla świadków. „Nasze cele były zamykane w nocy i otwierane za dnia – napisał w swym pamiętniku. – Andrus opracował surowy regulamin, według którego po jego pojawieniu się każdy więzień miał stawać na baczność i salutować na progu swojej celi do momentu, gdy komendant znajdował się w odległości piętnastu kroków przed wejściem, aż do momentu, gdy był dwanaście kroków za nim. Uważając to żądanie za śmieszne, wchodziłem do najbliższej celi, gdy tylko jego dostojna osoba była zapowiadana przez strażników. Zauważył to i wezwał mnie do siebie.

– Odmawia pan salutowania mi?

– Salutowałbym panu, gdybym był tu traktowany jak żołnierz. Odmawiam robienia tego w sposób służalczy. Jestem równym panu stopniem oficerem, a nie lokajem.

– Mogę pana zamknąć dyscyplinarnie na miesiąc w izolatce za odmowę posłuszeństwa.

– Może pan zrobić, co pan chce.

Myślę, że oficerowie amerykańscy podlegający Andrusowi nienawidzili go jeszcze bardziej niż on nienawidził nas. Kilka lat temu, podczas podróży samolotem, spotkałem jednego z nich. Rozpoznał mnie. Powiedział, że moje zachowanie w stosunku do pułkownika Andrusa przyniosło jemu i jego towarzyszom wiele satysfakcji.

Postawa Amerykanów na zewnątrz była «poprawna». Pułkownik Andrus obwieścił, że każdy ma prawo składania zażaleń. W rzeczywistości żadna skarga nie została pozytywnie załatwiona. Przekonał się o tym generał pułkownik Halder, który zresztą miał bardzo dobre kontakty z Amerykanami. Pozwolił sobie na zwrócenie uwagi strażnikom, że był lepiej traktowany w niemieckim obozie koncentracyjnym niż w Norymberdze, za co otrzymał czternaście dni karceru”.

Szkoda, że bohater tej książki nie trafił do niemieckiego obozu koncentracyjnego. Zobaczyłby wtedy, jak jego koledzy traktowali przebywających tam więźniów, i zrozumiał, że pobyt w Norymberdze i wszelkie szykany pułkownika Andrusa były przy tym dziecinną zabawą.

*

Na początku marca 1946 roku wszyscy więźniowie Norymbergi zdali sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego. Pułkownik Andrus postawił Pałac Sprawiedliwości w stan pogotowia, straże zostały potrojone. Przed wejściami zbudowano barykady przeciwczołgowe, pojawiły się osłonięte workami z piaskiem i drewnianymi balami gniazda karabinów maszynowych. W korytarzach ustawiono wykonane z pancerzy czołgowych

małe stanowiska strzeleckie, z których ukryci strażnicy mogliby odeprzeć nieprzyjaciela.

Przyczynę tej paniki wyjaśnił wkrótce Skorzenemu kapelan wojenny, ojciec Sykstus O’Connor.

– Pewien amerykański generał powiedział mi, że w okolicach Norymbergi zauważono zmotoryzowane jednostki niemieckich partyzantów. Mają za zadanie zorganizowanie w mieście puczu, zdobycie więzienia i uwolnienie wszystkich aresztowanych. Podobno dowodzi nimi pułkownik Otto Skorzeny.

– Ja? – zdziwił się Otto. – Przecież ja jestem tutaj.

– No właśnie – uśmiechnął się ojciec O’Connor. – To samo powiedziałem temu generałowi, że nawet nie dalej jak wczoraj z panem rozmawiałem.

– I co on na to?

– Odrzekł, że mogę być pewny, że w więzieniu siedzi fałszywy Skorzeny, gdyż jego informacje są nadzwyczaj pewne.

„Kiedy kilka miesięcy później wysłano mnie do obozu w Ratyzbonie, w Bawarii, spotkałem tam mojego byłego oficera, który wszystko wyjaśnił – czytamy w pamiętnikach Skorzenego. – W momencie rozwiązania Korpusu Ochrony Alp sam się zdemobilizował i powrócił do rodziny w Norymberdze. Gdy dowiedział się z prasy, że znajduję się w miejscowym więzieniu, zdecydował się przyjść mi z pomocą i gdyby okazało się to możliwe, uwolnić mnie. Opracowano plan, zresztą niewykonalny, ale gadulstwo jednego ze spiskowców spowodowało aresztowanie całej grupy. Jednakże policyjni konfidenci prawdopodobnie uwierzyli, że mnie rozpoznali, gdy poruszałem się po Niemczech. Stąd wziął się stan pogotowia, który trwał w więzieniu jeszcze kilka miesięcy po moich przesłuchaniach”.

Z zeznań Skorzenego w charakterze świadka na procesie norymberskim pozostał ślad na tyle osobliwy, co – jak na tamte dni – wręcz zadziwiający. Jednego z oskarżonych, Obergruppenführera (generała) Fritza Sauckela, bronił adwokat Robert Servatius, wzięty prawnik z Köln, znany później już

w latach siedemdziesiątych z reprezentowania interesów wielu nazistowskich prominentów. Sauckel oskarżony był o to, że jako pełnomocnik do spraw zatrudnienia w III Rzeszy (w tym przypadku pracowników przymusowych) i główny organizator niewolniczej siły roboczej z całej Europy odpowiedzialny był za pięciomilionową armię zagnanych z wielu państw ludzi, zbrodniczo wykorzystywanych bez żadnych praw i warunków do życia.

Pan mecenas usiłował dowieść sądowi, że kierownicy NSDAP nie mieli najmniejszego pojęcia o popełnianych zbrodniach. Trudno było jednak znaleźć świadków, którzy potwierdziliby coś takiego pod przysięgą. Wówczas Sauckel zaproponował mu powołanie przed sąd jego zdaniem najbardziej odpowiednich ludzi, którzy mogliby zaświadczyć o niewinności hitlerowskiego pełnomocnika do spraw zatrudnienia. Obok oficera SS Maksa Rardmana Rödera i kilku innych osób znalazł się wśród nich także Otto Skorzeny.

Röder zeznał, że kiedy w 1943 roku do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen przybyła delegacja kierownictwa NSDAP, odniosła wówczas wrażenie, iż „wszelkie nieprzychylne informacje o obozach koncentracyjnych, rozprzestrzeniane za granicą, nie mają podstaw”. Wywołało to ogólny śmiech na sali.

W podobnym tonie wypowiadał się Skorzeny, twierdząc między innymi:

„To właśnie w tym okresie powstała czarna legenda dotycząca najokropniejszych, najobrzydliwszych zbrodni, za które odpowiedzialnością obarczono cały naród niemiecki. Tę zbiorową odpowiedzialność oparto na fakcie, że dziewięćdziesiąt procent Niemców opowiedziało się za człowiekiem, który w imię prawa narodów do samostanowienia chciał połączyć wszystkich Niemców w jednej wspólnocie”.

Bez mrugnięcia okiem Otto oświadczył również sądowi, że Sauckel nic nie wiedział o obozach koncentracyjnych, chociaż jego główne biuro znajdowało się niedaleko obozu w Buchenwaldzie.

Tak czy inaczej wygłaszane przez Skorzenego banialuki nie uratowały byłego gauleitera Turyngii od stryczka. Sauckel został przez Najwyższy Trybunał Wojskowy w Norymberdze skazany na śmierć. 16 października 1946 roku zajął się nim amerykański kat, wspomniany już wcześniej teksańczyk John C. Wood.

*

Niezależnie od wygłaszanych przed sądem w Norymberdze kłamstw Skorzeny dokonywał w tym czasie również wielu innych sztuczek w swych zeznaniach, aby wybielić przede wszystkim służbę bezpieczeństwa, a szczególnie całkowicie ukryć oraz zagmatwać wszystko, co dotyczyło wywiadu SS i jego utajnionych już kanałów, zarówno na terenie Niemiec, jak i poza ich granicami.

Adwokat Hans Gawlik, dawny prokurator sądu specjalnego w Breslau (takie sądy Hitler powołał do likwidacji przeciwników politycznych oraz osób o innej narodowości i pochodzeniu etnicznym), zajmujący się obroną służby bezpieczeństwa, wysunął Skorzenego na czoło jako świadka koronnego. Otto zaś, zeznając pod przysięgą, przedstawił fałszywe zadania VI Departamentu RSHA, kierowanego przez Waltera Schellenberga, wybielając jego działalność jako związaną „wyłącznie z wewnętrznym zabezpieczeniem interesów państwa, podejmowaną zgodnie z prawem i sprawiedliwością”.

W wyroku sądu norymberskiego widnieje dokładne określenie winy hitlerowskiej służby bezpieczeństwa, uznające tę organizację za zbrodniczą, podobnie jak wszystkich ludzi w niej i dla niej pracujących. Dla Skorzenego powinno to oznaczać wyrok, wbrew jednak oczywistym faktom dalsze losy bohatera tej książki potoczyły się według zupełnie innego scenariusza.

Sam Skorzeny, w dalszym ciągu przesłuchiwany często przez oficerów amerykańskich służb specjalnych, początkowo być może nie zdawał sobie sprawy, o co chodzi. Odpowiadał wyczerpująco na stawiane mu pytania,

szeroko rozwodził się na temat własnych pomysłów i technicznej strony różnych dywersyjnych akcji. Oczywiście skrzętnie ukrywając przy tym wszystko, co dotyczyło bezprawia i zbrodni. Stopniowo pojął jednak, że gra idzie o jego głowę, o możliwość uniknięcia stryczka. Zaczął zatem dawać do zrozumienia, że ma wiele innych wiadomości i że gotów jest o wszystkim wyczerpująco informować.

Podczas jednego z przesłuchań w pokoju przebywał szef amerykańskiego Biura Służb Strategicznych (Office of Strategic Services – OSS), generał William Joseph Donovan. Zadaniem tej agencji było m.in. gromadzenie i analiza materiału strategicznego dla Komitetu Połączonych Szefów Sztabów (Joint Chiefs of Staff – JCS) oraz planowanie operacji specjalnych potrzebnych JCS i kierowanie ich realizacją. Donovan występował jako oskarżyciel pomocniczy w kilku procesach przed Trybunałem Norymberskim, później, w latach 1949–1952, był członkiem American Committee for the Investigation of the Katyn Massacre – Amerykańskiego Komitetu do Zbadania Zbrodni Katyńskiej. Po wyprowadzeniu Skorzenego Donovan miał ponoć wyrazić opinię, że „jest to fajny chłopak”. Opinia ta nie była oparta na pierwszej znajomości.

Już w 1944 roku szef OSS próbował poprzez poselstwo amerykańskie w Madrycie nawiązać kontakt ze Skorzenym i skaptować go do służby w wywiadzie amerykańskim. W roli łącznika występował wówczas profesor Karl Gebhardt, osobisty lekarz Himmlera[3], który często jeździł do Hiszpanii i Portugalii. Ponieważ trudno było wówczas ustalić z nim łączność, gdyż nieprzerwanie działał w różnych miejscach, wypełniając rozkazy dowództwa, Donovan polecił swemu adiutantowi włączyć Skorzenego do spisu esesmanów „specjalnego zainteresowania”. Tym samym Otto znalazł się pod opieką amerykańskiego wywiadu.

W maju trafił do obozu w Dachau, gdzie stał się najbardziej pilnowanym więźniem, o którym gazeta amerykańskich sił zbrojnych „Stars and Stripes” napisała: *Guarded like a cobra* – strzeżony jak kobra. Przeczytał ten artykuł, leżąc w izbie chorych po operacji woreczka żółciowego. Strażnik nie opuszczał jego pokoju dzień i noc.

Na terenach dawnego obozu koncentracyjnego Amerykanie postawili nowe baraki z dwuosobowymi celami. „Dla izolowanych pomieszczenia dawnego obozu były względnie wygodne – oburzał się w swych pamiętnikach. – Każdy skazany na odosobnienie miał tam dość szeroki pokój (około 3,5 x 2,5 x 3 metra) z dużym oknem, umywalką i oddzielną toaletą. Nasze dwuosobowe cele miały 2,3 metra długości, 1,40 szerokości i 2,20 wysokości […]. Myć musieliśmy się w WC”. Skorzeny był tymi warunkami do tego stopnia zdegustowany, że zorganizował nawet strajk głodowy, żeby zaprotestować przeciwko przetrzymywaniu go w pojedynczej celi i złemu traktowaniu jeńców niemieckich. Ciekawe, dlaczego na taki sam pomysł nie wpadli wcześniejsi więźniowie Dachau?

Być może apetyt odebrał mu pod koniec lipca pułkownik Albert Rosenfeld, prokurator armii amerykańskiej, odczytując Skorzenemu sporządzony przez siebie akt oskarżenia, w którym zarzucił mu „maltretowanie, torturowanie i dokonanie egzekucji około stu amerykańskich jeńców wojennych”.

*

„Wiedziałem, że niektórzy członkowie 150. Brygady Pancernej przebywają w Dachau, w żadnym wypadku jednak nie sądziłem, że może to mieć jakikolwiek związek z procesem przeciwko moim oficerom oraz mojej osobie” – napisał Otto Skorzeny.

Akt oskarżenia bazował na słynnym dekrecie nr 10 Sojuszniczej Rady Kontroli z 20 grudnia 1945 roku, na mocy którego alianci mieli prawo do powoływania trybunałów sądowych, których zadaniem było osądzenie osób odpowiedzialnych za „zbrodnie wojenne, zbrodnie przeciwko pokojowi oraz zbrodnie przeciwko ludzkości”. Obok Skorzenego oskarżonych zostało jeszcze dziewięciu innych oficerów: pięciu z Wojsk Lądowych, trzech z Kriegsmarine i dwóch z Waffen-SS. „Wszyscy należeliśmy wcześniej do 150. Brygady Pancernej – zanotował Skorzeny. – Sześciu z nich nie znałem”. Oprócz niego samego do Waffen-SS należał jeszcze tylko

trzydziestosiedmioletni Holender, były Sturmbannführer (major) Arend de Briun.

Akt oskarżenia składał się z czterech punktów:

„I. Naruszenie praw i zwyczajów wojennych

W związku z tym, że Otto Skorzeny [i pozostałych dziewięć osób] […] w okresie pomiędzy 1 października 1944 roku i 15 stycznia 1945 roku na terenach znajdujących się na pograniczu Królestwa Belgii i ówczesnej Rzeszy Niemieckiej, w celu realizacji założeń wspólnego planu, dopuścili się popełnienia zarzucanych im czynów, powodując użycie w sposób niezgodny z prawem wojskowych oznaczeń, numerów identyfikacyjnych, emblematów, nieśmiertelników oraz mundurów sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki w ten sposób, że pomagali, wspierali i brali czynny udział w walce w tym przebraniu oraz w sposób podstępny strzelali do żołnierzy sił Stanów Zjednoczonych Ameryki i zabijali ich.

II. Naruszenie praw i zwyczajów wojennych

W związku z tym, że Otto Skorzeny [i pozostałych dziewięć osób] w czasie pomiędzy 10 grudnia 1944 roku a 15 stycznia 1945 roku na terenach znajdujących się [dalej jak w punkcie oskarżenia I] w sposób niezgodny z prawem nakłaniali, pomagali, wspierali oraz uczestniczyli i przyczynili się do pozbawienia życia, rozstrzelania, znęcania się, obrzucenia wulgarnym słownictwem i maltretowania członków sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki, którzy złożyli broń i znaleźli się jako nieuzbrojeni jeńcy wojenni w mocy ówczesnej Rzeszy Niemieckiej, a których nazwiska oraz dokładna liczba nie są znane, ale z pewnością przekraczają liczbę stu osób.

III. Naruszenie praw i zwyczajów wojennych

W związku z tym, że Otto Skorzeny [i pozostałych dziewięć osób] w czasie pomiędzy 10 grudnia 1944 roku a 15 stycznia 1945 roku na terenach ówczesnej Rzeszy Niemieckiej lub na obszarach znajdujących się

w owym czasie pod panowaniem ówczesnej Rzeszy Niemieckiej, w celu realizacji założeń wspólnego planu, dopuścili się w sposób niezgodny z prawem popełnienia zarzucanych im czynów nakłaniając, pomagając, wspierając oraz biorąc czynny udział w przywłaszczeniu sobie i użyciu mundurów, dokumentów osobistych, oznak stopni wojskowych, odznaczeń oraz innych przedmiotów osobistego użytku, będących własnością żołnierzy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki, którzy złożyli broń i znaleźli się jako nieuzbrojeni jeńcy wojenni w mocy ówczesnej Rzeszy Niemieckiej.

IV. Naruszenie praw i zwyczajów wojennych

W związku z tym, że Otto Skorzeny [i pozostałych dziewięć osób] w czasie pomiędzy 10 grudnia 1944 roku a 15 stycznia 1945 roku na terenach ówczesnej Rzeszy Niemieckiej lub na obszarach znajdujących się w owym czasie pod panowaniem ówczesnej Rzeszy Niemieckiej, w celu realizacji założeń wspólnego planu, dopuścili się dla własnej korzyści i własnego użytku w sposób niezgodny z prawem popełnienia zarzucanych im czynów nakłaniając, pomagając, wspierając oraz biorąc czynny udział w blokowaniu i udaremnianiu dostaw Czerwonego Krzyża oraz innego rodzaju paczek, zawierających żywność i ubiór, przeznaczonych dla żołnierzy sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych Ameryki, którzy złożyli broń i znaleźli się jako nieuzbrojeni jeńcy wojenni w mocy ówczesnej Rzeszy Niemieckiej”.

Proces rozpoczął się w poniedziałek 18 sierpnia 1947 roku o godzinie 13.45 i trwał przeszło miesiąc. Przewodniczącym dziewięcioosobowego Sądu Wojskowego został pułkownik George Gardner, zwany „The Hanging Judge” (Wieszający sędzia), gdyż we wszystkich procesach hitlerowskich zbrodniarzy, w których do tej pory uczestniczył, wydał tylko wyroki śmierci przez powieszenie. Jako oficjalni obrońcy oskarżonych figurowali podpułkownicy Robert D. Durst i Donald McClure oraz major Lewis I. Horwitz, później dołączyło do nich siedmiu niemieckich adwokatów, wśród

nich dr Heinrich Lietzmann z Essen, dr Klaus Peyrer-Angermann z Salzburga.

*

Akt oskarżenia odczytał osobiście prokurator pułkownik Albert Rosenfeld, błyskając co chwila wymownie oczami zza szkieł swych okularów. W czasie ofensywy ardeńskiej służył w Field Security (Polowej Policji Bezpieczeństwa), poza tym, co łatwo odgadnąć, był – jak to mówią – wyznania mojżeszowego, w związku z czym nie pałał specjalną sympatią do Niemców, a do esesmanów w szczególności.

Pierwszą porażkę poniósł w momencie oddalenia przez sąd zarzutów sformułowanych w punkcie II aktu oskarżenia. Chodziło o opisaną wcześniej w rozdziale VII masakrę pod Malmédy, z którą Skorzeny nie miał w rzeczywistości nic wspólnego. Zeznania w tej sprawie złożyli członkowie 6. Armii Pancernej, wśród nich odpowiedzialny za nią Joachim Peiper, skazany za to wraz z czterdziestu dwoma innymi żołnierzami we wcześniejszym procesie na karę śmierci. Jego przesłuchanie nie wniosło jednak niczego, co mogłoby obciążyć Skorzenego i jego współoskarżonych. Rosenfeld zamierzał przesłuchać w tej sprawie jeszcze dwóch świadków z USA, którzy prawdopodobnie mogliby tego dokonać, ale świadków owych nie udało się mu zlokalizować. Nie udało się także zdobyć dowodów świadczących o podjęciu czynności mających na celu zamordowanie generała Eisenhowera.

Przez jakiś czas utrzymywał się natomiast zarzut używania zatrutej amunicji. Jeden z zaufanych ludzi Skorzenego, młody kapitan, szef oddziału zaopatrzeniowego 150. Brygady Pancernej, zeznał przed sądem:

– Brygada otrzymała dwieście sztuk amunicji do pistoletów. Powodowała ona potężne wybuchy i była wypełniona trucizną, powodującą śmierć po upływie pół godziny. Kule tego rodzaju zostały znalezione u jednego z rosyjskich żołnierzy, później skopiowane przez niemiecką firmę

zbrojeniową i po próbach, dokonanych na jeńcach obozów koncentracyjnych, wydane niemieckim oddziałom.

– Proszę, aby świadek sprecyzował, po czym mógłby rozpoznać taką zatrutą amunicję – odezwał się mecenas podpułkownik Durst, któremu przed chwilą Otto szeptał coś gorączkowo do ucha.

– To bardzo proste – odpowiedział żołnierz. – Między łuską a pociskiem namalowane było czerwone kółko.

Po krótkiej konsultacji z oskarżonym Durst poprosił wysoki sąd:

– Chciałbym przesłuchać świadka w dniu jutrzejszym.

– Zgoda – odparł sędzia Gardner.

Skorzeny rzeczywiście rozkazał wydać tego rodzaju amunicję swoim ludziom, którzy obawiali się dostania do niewoli. „W roku 1941 lub 1942 znaleźliśmy u rosyjskiego partyzanta naboje z cyjankiem – wyjaśnił w *Nieznanej wojnie*. – Przygotowane zostały do pistoletu; czubek, mający cztery nacięcia, zawierał cyjanek. Naboje te, nadające się do pistoletów TT, służyły oficerom politycznym i specjalnym jednostkom nieprzyjaciela do egzekucji. Arthur Nebe, szef Urzędu V RSHA, kazał wyprodukować kilkaset takich nabojów w laboratoriach Policji Kryminalnej i dostałem ich wówczas około dwustu. Gdy któryś z moich oficerów miał wypełnić zadanie, podczas którego groziło mu schwytanie, a potem tortury, dostawał jeden, łatwo rozpoznawalny nabój. Nie był on jednak oznaczony czerwonym kółkiem, a krzyżykiem na końcu pocisku. Ja także miałem taki nabój, ostatni w magazynku. Kiedy 22 maja 1945 roku poddałem się US Army i położyłem pistolet na stole przed siedzącym naprzeciw mnie amerykańskim oficerem, ostrzegłem go: «Uwaga! Jest nabity, a ostatni nabój jest niebezpieczny»”.

Wszystko ładnie, ale w jaki sposób dowieść, że kule miały służyć nie przeciwko Amerykanom, lecz nim samym? Przyszła mu do głowy diabelska sztuczka, dzięki której mógłby wykorzystać pomyłkę młodego kapitana. Postanowił wysłać gryps do Radla, który także zeznawał w procesie jako świadek i przebywał w Dachau w zwykłym obozie jenieckim. Poprosił go o próbkę pewnego pocisku, by pokazać ją sądowi.

Jak należało przypuszczać, wierny kompan go nie zawiódł. Następnego ranka znalazł nabój wewnątrz porannej porcji czarnego chleba.

Półtorej godziny później, podczas odbywającego się przewodu sądowego, Durst zaprezentował tryumfalnie kulę z czerwonym pierścieniem u podstawy, pytając jednocześnie wezwanego ponownie kapitana:

– Czy to jest właśnie pańska zatruta amunicja?

Przez chwilę na sali zapanowała cisza, zaskoczeni sędziowie wychylili się do przodu, aby przyjrzeć się dokładnie niespodziewanemu dowodowi rzeczowemu. Przerwał ją gwałtownie prokurator Rosenfeld, krzycząc:

– Skąd pan to ma?

– To nieważne, w jaki sposób pocisk znalazł się w naszym posiadaniu – powiedział spokojnie Durst. – Ważne jest, by sąd dowiedział się, jakiego typu jest to nabój. Proszę Wysoki Sąd, by świadek mógł obejrzeć go z największą uwagą i powiedzieć, czy rzeczywiście jest to jeden z nabojów, jakie rozdano oficerom i żołnierzom pod rozkazami pułkownika Skorzenego.

Kapitan przytaknął z wahaniem:

– Tak, to jest jeden z zatrutych naboi, jakie rozdawano nam we Friedenthalu.

– Proszę świadka – naciskał dalej Durst – to zeznanie ma pierwszorzędne znaczenie. Proszę jeszcze raz dokładnie obejrzeć nabój i potwierdzić, że świadek jest całkowicie pewien, iż się nie myli. Czy to na pewno jest jeden ze specjalnych naboi, zatrutych, jak świadek powiedział, w jakie świadka uzbrojono?

– Jestem tego absolutnie pewien – padła już dużo bardziej stanowcza odpowiedź.

– Bardzo dobrze. Dziękuję świadkowi. Proszę Wysoki Sąd o umożliwienie wyjaśnień oskarżonemu.

– Zgoda.

– To nie jest żaden zatruty nabój, co łatwo można sprawdzić – oświadczył pewnym głosem Skorzeny. – Jest to amunicja określana

w języku angielskim jako *waterproof*, czyli wodoodporna. Naboje wodoszczelne rozdawano niektórym oddziałom, biorącym udział w akcjach, w których istniało prawdopodobieństwa ich zmoczenia. Czerwone kółko miało za zadanie zapobiec pomieszaniu tej amunicji z inną. Chcę dodatkowo wyjaśnić, iż żadna jednostka Wehrmachtu nigdy nie używała „pistoletów z cyjankiem" ani żadnej innej broni podobnego typu[4].

*

Zarzut został oddalony, lecz proces toczył się dalej. W punktach III i IV dziesiątce oskarżonych zarzucono, że ukradli amerykańskim jeńcom wojennym przedmioty wyposażenia oraz paczki Czerwonego Krzyża. Z nich to właśnie pochodziło wiele drobnych rzeczy, bez których nie można sobie było wyobrazić amerykańskiego żołnierza: papierosy, kartki żywnościowe, guma do żucia, otwarte listy, fotografie itp.

Były Standartenführer Fritz Meurer, podlegający generałowi SS Ottonowi Bergerowi i zajmujący się sprawami jeńców wojennych w Niemczech, poinformował, że zgodnie z jego pamięcią Skorzeny zażądał w listopadzie 1944 roku około tysiąca do dwóch tysięcy amerykańskich mundurów.

– Ponieważ zdobyczne zapasy nie były wystarczające, aby sprostać tego rodzaju poleceniu, posiłkowano się nadchodzącymi dostawami Czerwonego Krzyża – zeznał Meurer.

– Dostawy te okazały się również niewystarczające, w związku z czym dwóch oficerów Marynarki Wojennej zostało upoważnionych przez Skorzenego do odebrania mundurów jeńcom wojennym, osadzonym w obozie w Fürstenbergu – uzupełnił jego zeznania kolejny świadek, były Hauptsturmführer SS z oddziałów pościgowych Skorzenego, Georg Gerhardt. – Akcja ta nie zakończyła się jednak w sposób zadowalający, bowiem amerykańscy jeńcy wojenni zniszczyli w przeważającej mierze swoje mundury, zanim zdołano je im odebrać.

– Czy świadek rozpoznaje wśród siedzących na ławie oskarżonych tych dwóch oficerów Kriegsmarine? – zapytał prokurator.

– Tak – padła odpowiedź.

– Proszę ich wskazać.

– To oskarżeni Dennis Müntz i Günther Fitze.

Zeznania te miały dużą wagę, ponieważ Skorzeny dowodził wcześniej, że całe niewystarczające zaopatrzenie otrzymał na polecenie dowództwa Wehrmachtu, które kierowało całą akcją ofensywy. Jeśli coś takiego miało rzeczywiście miejsce, zaś esesman działał tu bez wyraźnego pozwolenia wyższych instancji, punkt III aktu oskarżenia byłby całkowicie uzasadniony.

Adwokatom nie udało się wprawdzie jednoznacznie wskazać, skąd padł rozkaz odebrania jeńcom sprzętu i odzieży, jednak z zeznań dalszych świadków oraz zaprezentowanych przez obronę dokumentów wynikało niezbicie, że Skorzeny sam nie miał możliwości dokonania tego bez wiedzy, przyzwolenia i wydania odpowiedniego rozkazu przez odpowiedzialne za to gremia.

Podobnie miała się sprawa z paczkami Czerwonego Krzyża oraz pozostałymi dostawami pomocniczymi dla amerykańskich jeńców wojennych. Nie ulegało wątpliwości, że dla wyposażenia 150. Brygady Pancernej Skorzenego – a w szczególności dla kompanii komandosów – sięgano po tego rodzaju dostawy, aczkolwiek sam główny oskarżony mógł czynić takie zakusy jedynie na wniosek dowództwa Wehrmachtu; ostateczne rozkazy, uruchamiające cały ten proces, nie leżały w jego gestii.

Tym sposobem upadły również zarzuty sformułowane w punktach III i IV. „Odniosłem wrażenie, że Rosenfeld był w tym momencie bliski ataku” – zanotował z satysfakcją były Standartenführer SS Otto Skorzeny.

*

Pozostał tylko jeden zarzut: użycie nieprzyjacielskich mundurów poza walką w ścisłym tego słowa znaczeniu. Zgromadzone w tej materii dowody

wydawały się wyjątkowo mocne i niepodważalne, poczynając od znalezionego nieopodal Falize czołgu grupy bojowej „Z” aż po wziętych do niewoli w amerykańskich mundurach członków kompanii komandosów Skorzenego. On sam zresztą, przystępując do zadań wyznaczonych mu w ramach operacji „Greif”, miał w tej sprawie wiele wątpliwości, myśląc o negatywnych konsekwencjach dla prawa narodowego, jakie niosła ze sobą realizacja operacji:

„Przeprowadziłem pewną ważną rozmowę z pewnym pułkownikiem ze sztabu generała Wintera – możemy przeczytać w jego *Nieznanej wojnie*. – Omówiłem z nim aspekty prawa międzynarodowego w odniesieniu do planowanego przedsięwzięcia. Również i on nawiązał do meldunku z Akwizgranu, uważając za rzecz wielce prawdopodobną, że Hitler dopiero w wyniku tego meldunku powziął decyzję o użyciu żołnierzy wykorzystujących dla niepoznaki mundury nieprzyjaciela. W przypadku małych oddziałów komandosów istniała obawa, że z chwilą wzięcia do niewoli wchodzący w ich skład żołnierze będą traktowani jak szpiedzy i postawieni zostaną przed sądem wojennym. Co się zaś tyczyło dużej części moich oddziałów, międzynarodowe prawo zabraniało użycia broni wroga, gdy noszono nieprzyjacielskie mundury. Poradził mi więc, aby moi ludzie mieli pod mundurem wroga mundur niemiecki, by zrzucić ten pierwszy z chwilą właściwego ataku. Postanowiłem naturalnie pójść za radą fachowca, ściśle stosując się do jego zaleceń”.

Taktyka obrony szła po pierwsze w kierunku udowodnienia, że Skorzeny wykonywał tylko wydany mu rozkaz, a odmowa jego wykonania mogła się dla niego zakończyć plutonem egzekucyjnym. Po drugie, że również i wojska aliantów nie stroniły podczas wojny od podobnych „sztuczek”.

„Wiadomo powszechnie, że w Warszawie dowódca polskiego powstania, generał Tadeusz Bór-Komorowski, nosił niemiecki mundur – dowodził przed sądem Otto Skorzeny[5]. – Wiadomo też, że Amerykanie weszli do Akwizgranu i walczyli tam w naszych mundurach”.

Adwokaci Skorzenego i pozostałych oskarżonych napisali list do generała Omara Bradleya, z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy.

W wystosowanej do Trybunału odpowiedzi generał stwierdził, że „fakt taki nie jest mu znany”. „Wydaje się zresztą, że Bradley nie wiedział zbyt wiele, co dzieje się w grupie armii, której był dowódcą – skomentował jego zachowanie w swych wspomnieniach Skorzeny. – To przykre dla nas osłabienie pamięci zostało, być może, spowodowane wspomnieniem aresztowania go przez Military Police, podejrzewającą, że jest «przebranym Niemcem»”.

Udało się jednak zdobyć innych świadków. 22 lipca 1947 roku były profesor uniwersytecki i autor *Dziennika wojennego dowództwa Wehrmachtu w latach 1943–1945*, dr Percy Ernst Schramm, zeznał:

„Pamiętam dokładnie, jak Naczelne Dowództwo, na krótko przed zdobyciem Aachen [Akwizgranu], otrzymało meldunek, z którego wynikało, że amerykańscy żołnierze zaatakowali tam w niemieckich mundurach[6].

Wiem, że podobne przypadki miały również miejsce na innych frontach. Na przykład w Afryce, gdzie siostrzeniec marszałka polowego lorda [Harolda] Alexandra został pojmany w niemieckim mundurze. Były więc podstawy prawne, by postawić go pod sąd wojenny i rozstrzelać jako szpiega, tak się jednak nie stało. Jak się dowiedziałem, niemieckich mundurów używali przede wszystkim Rosjanie.

Jak dalece krążące w czasie wojny opowiadania o pojmanych szpiegach lub partyzantach w niemieckich uniformach są zgodne z prawdą, na ile są niepotwierdzonymi pogłoskami, tego nie podejmuję się ocenić, ale przyczyniają się one do tego, że istniejące na początku wojny poglądy, dotyczące prawa międzynarodowego, uległy demoralizacji i upowszechniło się zdanie: przeciwnicy dopuszczają jako element podstępu wojennego użycie uniformów niemieckich, więc my możemy im odpłacić tym samym”.

Podpułkownik Durst odczytał również przed sądem datowany 24 lipca 1947 roku list, otrzymany od generała artylerii Waltera Warlimonta, zastępcy szefa sztabu Wehrmachtu:

„Podczas minionej wojny doszło według moich informacji do niejednokrotnego zastosowania form prowadzenia wojny, nieodpowiadających przyjętym wojskowym normom prawnym. W toku tego rodzaju działań wojennych uciekano się również do nietypowych środków, mających zmylić przeciwnika. Naczelne Dowództwo Wehrmachtu wielokrotnie otrzymywało powtarzające się meldunki z różnych frontów o pojawieniu się wrogich samolotów z niemieckimi oznaczeniami przynależności państwowej. Szczególnie w pamięci zapadł mi atak dużej liczby samolotów na znajdujący się w porcie w północnej Norwegii pancernik «Schanhorst», którego dowódcą był mój kolega, komandor Rolf Junge”.

1 sierpnia 1947 roku generał-major w stanie spoczynku baron Kurt von Mühlen złożył pod przysięgą następujące oświadczenie:

„Od 1 sierpnia 1944 roku do 6 maja 1945 byłem dowódcą 559. Dywizji Grenadierów Ludowych. 4 lub 5 grudnia 1944 roku moja dywizja walczyła po obu stronach miasta Saarlautern. Główny most na Saarze był broniony przez mój 1127. Pułk Grenadierów. Stanowisko dowodzenia dowódcy pułku, podpułkownika Hendela, znajdowało się tuż obok mostu […].

Tego dnia zameldowano mi, że most przeszedł o godzinie 6.00 w ręce wroga. Oddział niszczący, składający się z trzech pionierów z 1559. Plutonu Pionierów, miał na rozkaz podpułkownika Hendela lub także i bez niego wysadzić most w powietrze, jak tylko pojawią się na nim czołgi wroga. O godzinie 6.00 pojawiły się nagle przed mostem dwa rozpoznawcze samochody pancerne z niemieckimi oznakami przynależności państwowej oraz żołnierzami w niemieckich stalowych hełmach i otworzyły ogień w kierunku naszej załogi, która nie wysadziła mostu sądząc, że ma do czynienia z wojskami niemieckimi.

Moja dywizja nie dysponowała żadnego rodzaju samochodami pancernymi. Jedyną jednostką na polu walki, mającą samochody rozpoznawcze, była 21. Dywizja Pancerna pod dowództwem generała-podporucznika Edgara Feuchtingera, który stwierdził, że te dwa pojazdy nie należały do jego dywizji […].

Gdybyśmy schwytali wrogów w trakcie działań wojennych w niemieckich mundurach, używających niemieckich opancerzonych samochodów rozpoznawczych, jako dowodzący generał dywizji postawiłbym jeńców pod sąd wojenny, który skazałby ich za sabotaż, prawdopodobnie na śmierć. Gdyby wpadli w nasze ręce we własnych mundurach, potraktowałbym ich jako jeńców wojennych".

Generał von Mühlen powiedział również:

„Ze zorganizowaniem wyposażenia, to znaczy mundurów, pojazdów etc., podobnie jak z zaopatrzeniem w środki żywności, Skorzeny nie miał nic wspólnego. Było to zadanie całkiem innych służb i należało o nie zapytać oficera podległego głównemu kwatermistrzowi Sztabu Generalnego wojsk lądowych […].

W związku ze swoją pozycją służbową i rangą Skorzeny nie miał nawet możliwości położenia ręki na obojętnie jakiego rodzaju zapasach amerykańskich. Udostępniano mu je w związku z rozkazami pochodzącymi od samego Hitlera […].

Gdyby Skorzeny nie zgodził się na zadanie, jakie powierzył mu Hitler lub nie zgodził się z pojedynczymi rozkazami, zostałby ze względu na nieposłuszeństwo postawiony przed sądem wojennym. To, że skończyłoby się to wyrokiem śmierci, co było pod koniec 1944 roku normalną praktyką, jest rzeczą więcej niż pewną".

*

Cytowane wyżej zeznania świadków składane były przez Niemców. Prawdziwą sensacją stały się jednak dopiero zeznania złożone przez pułkownika lotnictwa Forresta Yeo-Thomasa, uważanego przez wielu za „jedną z najwspanialszych osobistości, jakimi mogły się poszczycić brytyjskie służby specjalne". Widniejące na piersi tego bohaterskiego żołnierza odznaczenia mówiły same za siebie. Podobno inspirując się właśnie jego osobą, Ian Fleming stworzył postać Jamesa Bonda. Posługujący się kryptonimem „White Rabbit" (Biały królik), Yeo-Thomas

został trzykrotnie zrzucony na spadochronie na terytorium okupowanej Francji, po czym trafił do niemieckiej niewoli i był torturowany przez Gestapo. Przewieziono go do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, skąd jednak uciekł i przedostał się na tereny zajmowane przez aliantów[7].

Skorzeny nie był przekonany, że jest to właściwy świadek, którego zeznania może wykorzystać obrona. Yeo-Thomas nie miał najmniejszych powodów do okazywania życzliwości swoim byłym przeciwnikom, którzy traktowali go tak źle podczas pobytu w obozie. Ale czekała go – podobnie jak cały skład sędziowski i prokuratora – spora niespodzianka.

– Jeden z moich towarzyszy przebywał w więzieniu w Rennes w Bretanii – zeznał Yeo-Thomas. – Rozpoznałem teren i przekupiłem jednego ze strażników, żeby dostarczył mi szczegółowych informacji o porządku dnia itd. […]. Kilku moich ludzi, mówiących dobrze po niemiecku, przebrałem w niemieckie mundury i wyposażyłem ich w fałszywe dokumenty, upoważniające do zabrania więźnia z aresztu. Ukradliśmy niemiecki samochód, miałem też ciężarówkę, którą upodobniliśmy do karetki więziennej. Tak przygotowani mieliśmy pojawić się przed więzienną bramą i wjechać do środka, pokazując fałszywe dokumenty. Ciężarówka miała stanąć w ten sposób, by zagrodzić bramę i uniemożliwić jej zamknięcie.

Durst cierpliwie słuchał, jak brytyjski pułkownik zagłębia się w szczegóły operacji. Czekał na chwilę, kiedy będzie mógł „uderzyć”.

– Ludzie w niemieckich mundurach mieli wejść do strażnicy – ciągnął tymczasem swą opowieść Yeo-Thomas. – Gdyby nie doprowadzono nam więźnia na podstawie samych papierów, gdyby Niemcy wahali się choć przez chwilę, załatwilibyśmy strażników szybko i po cichu.

– W jaki sposób uzyskał pan niemieckie mundury do swojej akcji? – zapytał go na koniec Durst.

– Szczegółów nie mogę wyjawić. Powiem tyle: wydałem instrukcje, by zdobyć je, nie przebierając w środkach.

– Czy pan i pana ludzie byliście podczas akcji uzbrojeni?

– Oczywiście.

– Co planowaliście zrobić, gdybyście zostali zdemaskowani?

Yeo-Thomas rozejrzał się uważnie po sali, zanim udzielił odpowiedzi:

– Zakatrupilibyśmy tamtych facetów.

W pomieszczeniu zapanował potworny hałas. Z miejsc dla prasy bił gwałt podobny do tego, jaki słyszy się w ptasich oddziałach wielkich ogrodów zoologicznych, tylko spotęgowany tysiąckrotnie. Dziennikarze zapisywali coś w pośpiechu w swoich notesach, wymieniając głośne uwagi z kolegami, fotoreporterzy błyskali jak natchnieni fleszami aparatów, sprawozdawcy radiowi krzyczeli na wyścigi coś do mikrofonów. Wrzawa ucichła dopiero wtedy, gdy zdenerwowany George Gardner zawołał gromkim głosem:

– Spokój, bo każę opróżnić salę!

Żeby dobić oskarżyciela, Durst zapytał świadka:

– Czy zdarzyło się panu odbierać dokumenty niemieckim jeńcom wojennym i wykorzystywać je?

– Oczywiście! Jeniec nie powinien mieć przy sobie dokumentów. Jeśli je ma, to tym gorzej dla niego.

Adwokat spojrzał w kierunku stołu sędziowskiego. Siedzący za nim ludzie tkwili na swoich fotelach z oczami wbitymi w ziemię.

– Jako dowódca brytyjskich komandosów byłem zmuszony dogłębnie przestudiować operacje specjalne, wykonywane przez pułkownika Skorzenego i jego jednostki – dodał jeszcze na koniec Forrest Yeo-Thomas. – Dlatego też mogę zapewnić, że pułkownik oraz jego oficerowie i żołnierze w każdej sytuacji zachowywali się jak dżentelmeni.

Punkt I aktu oskarżenia runął jak domek z kart. Kiedy brytyjski agent opuszczał swoje miejsce za barierką dla świadków, Skorzeny i pozostali podsądni podnieśli się w milczeniu ze swych miejsc i stanęli na baczność. Był to jedyny znak szacunku i wdzięczności, jaki mogli okazać byłemu przeciwnikowi, który właśnie ocalił im głowy.

Jakiś czas później Otto wysłał mu list z podziękowaniem, na który Yeo-Thomas, pracujący wówczas jako dyrektor paryskiej firmy odzieżowej, odpowiedział: „ *You did a jolly good job during the war […]* – Wykonał

Pan kawał cholernie dobrej roboty podczas wojny. Jestem pewien, że Pan sobie dalej sam poradzi. Jeśli nie, mam mieszkanie w Paryżu, gdyby potrzebował Pan kryjówki”.

Postępowanie dowodowe zakończono 26 sierpnia. Sąd nie mógł uznać winnym człowieka ubierającego swoich ludzi w mundury wroga w czasie akcji, skoro wysoki oficer brytyjski robił to samo we Francji. W tej sytuacji wyrok musiał zapaść tylko jeden. 9 września 1947 roku o godzinie 11.15 sąd zebrał się na ostatnim posiedzeniu. Dwadzieścia minut później padło ostatnie słowo przewodniczącego składu, pułkownika George’a Gardnera: Niewinni!

Proces oskarżonych o zbrodnie wojenne w Dachau przeciwko Ottonowi Skorzenemu i pozostałej dziewiątce dobiegł końca.

Następnego dnia „Stars & Stripes”, gazeta amerykańskiej armii w Niemczech, umieściła na pierwszej stronie wielki nagłówek: „Skorzeny oczyszczony ze wszystkich zarzutów!”.

*

Mimo uniewinniającego wyroku Otto nie znalazł się bynajmniej na wolności. Po orzeczeniu sądu w Dachau został wysłany do obozu w Darmstadt, gdzie miano go „denazyfikować”. Wiódł tam stosunkowo wygodne życie, przynajmniej w porównaniu z większością Niemców, którzy w drugiej połowie 1947 roku znaleźli się na skraju klęski głodowej. Otrzymywał takie same racje żywnościowe jak jego amerykańscy strażnicy, dostał również pozwolenie na wizytę kochanki i – we właściwym porządku – żony i córki.

Większość Niemców chodziła w tym czasie głodnych, panoszyła się gruźlica. Nawet w szpitalach nie było wody. Panującą atmosferę można było określić jednym słowem: strach. Powstawał jak mgła: kłębił się, rozpływał, potem ginął. Przeważnie ze świtem. Śmierć żyła w pełnej jawności; wszędzie można było poczuć jej woń i zobaczyć, jak pożera dusze, które czasami nie zdążyły nawet zgrzeszyć.

Uratował wprawdzie głowę, ale od podjętych zobowiązań nie mógł się uchylić. Przez następne sześć miesięcy pieczołowicie dyktował Amerykanom swoje uwagi na temat wielu różnych spraw, w tym działalności wywiadu SS. Robił to ten sam Otto Skorzeny, który za jedno utajnione słowo, napisane w liście do matki przez pewnego żołnierza Wehrmachtu, posłał go bez mrugnięcia okiem przed pluton egzekucyjny. Panuje zgodna opinia, że był pierwszym tej rangi hitlerowcem, który swym nowym panom przekazał bez ogródek wszystkie znane sobie informacje, wypełniając zeznaniami wiele tomów akt. Nawet jego szef, Walter Schellenberg, nie znalazł aż tylu argumentów, aby wyłgać się od wyroku sądowego. A przecież wiedział niewątpliwie dużo więcej i miał w ręku nie takie atuty.

Przebywając w obozie, Otto złożył wniosek o włączenie go do zespołu historycznego armii amerykańskiej, piszącego historię II wojny światowej. Na podstawie relacji wielu jej uczestników, zarówno ze strony alianckiej, jak i przeciwnej, miała powstać seria oficjalnych tomów na temat tego wielkiego konfliktu. (Ostatnia z prac, traktująca o amerykańskiej 7. Armii, ukazała się dopiero w 1994 roku, pięćdziesiąt lat po opisywanych w niej wydarzeniach, kiedy większość uczestników już nie żyła!).

Przez cały czas Skorzeny dostawał od byłych kompanów z Waffen-SS aktualne wiadomości na temat rozgrywających się na zewnątrz wydarzeń. Jedna była tylko kropla dziegciu w tej beczce miodu – wniosek o ekstradycję, który napłynął z Moskwy.

Moskwa? To nie wyglądało bynajmniej wesoło. Tam z pewnością wyciśnięto by z niego jak sok z cytryny wszelkie informacje, które posiadał, a potem zostałby skrycie rozstrzelany przez pluton egzekucyjny NKWD. Jakimś cudem jednak wniosek został odrzucony. Ktoś bardzo wpływowy w obozie alianckim czuwał już nad nim na wypadek, gdyby jego szczególne talenty były potrzebne w przyszłości.

Wkrótce napłynął kolejny wniosek o ekstradycję, tym razem z Pragi, dotyczący domniemanego udziału Skorzenego w dokonanej 19 kwietnia 1945 roku pacyfikacji czeskiej wioski Plostina. W 1947 roku było już dla

wszystkich jasne, że ten nieszczęsny kraj dostał się pod wpływy komunistów. Gdyby Czechom udało się uzyskać ekstradycję… Otto nie potrzebowałby kryształowej kuli, by odgadnąć, jaki los go tam może czekać. W szybkim tempie Czechosłowacja przekazałaby go swym nowym, rosyjskim panom.

W roku 1948, kiedy zaczęła się zimna wojna, po trzech latach spędzonych w różnych więzieniach i obozach Skorzeny zaczął coraz poważniej myśleć o ucieczce.

„Uznałem, że trzy lata więzienia wystarczą – napisał we wspomnieniach. – Uprzedziłem zarządzającego obozem amerykańskiego pułkownika, że zdecydowałem się na ucieczkę. Nie uwierzył mi. Dwie godziny później 27 lipca 1948 roku ulokowałem się – z pewnymi trudnościami – w bagażniku jego własnego samochodu. Niemiecki kierowca, który jechał zrobić zakupy dla komendanta, nie wiedział o tym i przewiózł mnie przez wszystkie zapory. Ja też wybrałem wolność”.

„To okropne, że muszę stale opowiadać o swojej ucieczce – stwierdził z kolei w jednym z powojennych wywiadów. – 27 lipca 1948 roku wyruszyłem w drogę; bez nożyc do drutu i drabinki sznurowej, bez przekupstwa i pomocy innych dopiąłem celu. Zdecydowanie wkroczyłem w nowe życie, odzyskałem wolność”.

Jest bardzo mało prawdopodobne, aby kierowca nie zorientował się, iż w bagażniku wiezie stukilogramowy ciężar, o ile w ogóle dwumetrowy prawie mężczyzna mógł się zmieścić w bagażniku ówczesnego samochodu osobowego. Ucieczka Skorzenego z obozu w Darmstadt miała w rzeczywistości całkowicie inny przebieg, sam to zresztą przyznał tuż przed śmiercią, w roku 1975, swojemu biografowi, Glennowi Infieldowi.

*

27 lipca 1948 roku w miejscowości Peine koło Hanoweru trzech byłych oficerów SS w cywilnych ubraniach wsiadło do samochodu. Wszystko wskazuje, że pojazd dostarczyli amerykańscy przyjaciele Skorzenego. Tak

czy inaczej wymienieni mężczyźni ruszyli stamtąd w długą podróż przez zbombardowane drogi i zrujnowane miasta Niemiec w kierunku Darmstadt.

W okolicach Würzburgu, niedaleko obozu internowanych, samochód zjechał w las. Kwadrans później pojawił się znowu na szosie, ale siedziało w nim już trzech ludzi w oliwkowych mundurach amerykańskiej żandarmerii wojskowej, zwanej pogardliwie przez Niemców – ze względu na noszone białe buty i hełmy – „Białymi myszami”. Dotychczasowe, cywilne tablice rejestracyjne zastąpione zostały tablicami Amerykańskich Sił Okupacyjnych.

Tak zajechali przed główne wejście obozu dla jeńców wojennych w Darmstadt. Wysiadł oficer i dwóch szeregowców. Dziarsko weszli do strażnicy, a oficer oświadczył:

– Jesteśmy tu, by zabrać tego drania Skorzenego na przesłuchanie wyznaczone jutro w Norymberdze.

Cywilny strażnik, onieśmielony przez pewnego siebie „amerykańskiego kapitana”, spojrzał przelotnie na podstawione mu pod nos dokumenty i bezzwłocznie kazał przyprowadzić więźnia. Chwilę później z „Białymi myszami” po bokach i kapitanem na przedzie mały oddział przeszedł bramę obozu, zapakował się do samochodu i… zniknął. W celi Skorzenego znaleziono tylko pozostawiony przez niego list pożegnalny ze wzniosłymi słowami: „Jestem przekonany, że sąd zdobędzie się na sprawiedliwy werdykt, będzie się bowiem musiał ugiąć przed silniejszą presją z zewnątrz. Mam tylko jedno życzenie: żyć godnie w ojczyźnie”.

Mijały tygodnie poszukiwań. Bez rezultatu. Powołana niedawno do życia zachodnioniemiecka policja „robiła wszystko”, aby odszukać zbiega. Również władze Hesji, na której terenie znajdował się obóz, wydały oficjalny nakaz aresztowania. Pomimo to ludzie wzruszali ramionami, nie mając wątpliwości, co się za tym wszystkim kryje. Na terytorium Niemiec działy się w tym czasie przeróżne dziwne rzeczy, tajemnicze porachunki, lecz częstokroć nie ze zbrodniarzami, ale ich ofiarami, które próbowały szukać sprawiedliwości. Spokojni ludzie unikali wszystkiego, co mogło ściągnąć na ich głowy kłopoty. Pomimo że od upadku III Rzeszy minęło już

kilka lat, ludzi wciąż nie opuszczał strach przed osobnikami spod znaku trupiej główki. Zakorzeniony przez lata wojny lęk nie od razu ustępował poczuciu bezpieczeństwa i praworządności.

Prawie równo rok wcześniej przed opisanymi wyżej wydarzeniami, 26 lipca 1947 roku, prezydent Harry Truman powołał do życia Central Intelligence Agency – Centralną Agencję Wywiadowczą (CIA), jedyną agencję rządową, która do dzisiaj naprawdę słucha obywateli. Jej poprzedniczką była utworzona 22 stycznia 1946 roku i działająca tylko dwadzieścia miesięcy Grupa Centrali Wywiadu (Central Intelligence Group – CIG). Jej powstanie z kolei wiązało się z poszukiwaniem organizacji bardziej efektywnej niż utworzona przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta w czerwcu 1942 roku agencja wywiadowcza pod nazwą Office Strategic Service – Biuro Służb Strategicznych (OSS), z której wywodziła się większość pierwotnej kadry CIG, a następnie CIA.

Zapewne, jak twierdzi wielu historyków, to właśnie CIA patronowała ucieczce Skorzenego z obozu w Darmstadt. „Wśród jego wcześniejszych przeciwników było wielu takich, którzy bardzo by się z owej ucieczki ucieszyli – czytamy w książce Charlesa Whitinga *Skorzeny – najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*. – Zimna wojna między Wschodem a Zachodem zaczynała przybierać na sile i owi nieznani przyjaciele wiedzieli, że we właściwym czasie mogliby wykorzystać człowieka w rodzaju Skorzenego, z jego wiedzą i kontaktami istniejącymi po obu stronach opadającej żelaznej kurtyny. Niemniej jednak ci potencjalni pomocnicy zdawali sobie sprawę z tego, że muszą być ostrożni. Dla większości Amerykanów były pułkownik SS, przyjaciel Jochena Peipera, który siedział teraz w więzieniu w Dachau, ubrany w czerwoną kurtkę[8], skazany na śmierć za udział w niesławnej masakrze w Malmédy, człowiek, który próbował zamordować Eisenhowera, był w najwyższym stopniu nazistowskim zbrodniarzem wojennym. Tajemniczy przyjaciele zdecydowali więc pozwolić Skorzenemu uciec o własnych siłach, z jak najmniejszą pomocą z ich strony. Nawiążą z nim kontakt we właściwym czasie, ale ten czas jeszcze nie nadszedł”.

„Czyżby Amerykanie wypuścili Skorzenego? – zastanawia się z kolei Bogusław Wołoszański w artykule zatytułowanym *Operacja Odessa*. – Czyżby Skorzeny też był potrzebny amerykańskiemu wywiadowi? To bardzo prawdopodobne, zważywszy na to, że łatwo było przewidzieć, iż wokół niego zaczną się grupować esesmani, który umknęli z Europy. Wielokrotnie postępowali tak wobec hitlerowskich zbrodniarzy. Na przykład Klaus Barbie, szef Gestapo w Lyonie, odpowiedzialny za masowe egzekucje, osobiście torturujący więźniów, przez sześć powojennych lat pozostawał pod opieką amerykańskiego wywiadu, który korzystał z jego wiedzy na temat komunistycznego podziemia we Francji. W marcu 1951 roku w Genui amerykańscy agenci przekazali «rzeźnika z Lyonu» Krunosławowi Dragonovicowi, chorwackiemu księdzu organizującemu ucieczki hitlerowców z Europy. On zaopatrzył esesmana w fałszywe dokumenty i wysłał go statkiem «Corrientes» do Buenos Aires”.

Przypisy

1 „Bestia z Belsen” – SS-Hauptsturmführer Josef Kramer rozpoczął służbę w obozach koncentracyjnych w 1934 roku. Od listopada 1934 do czerwca 1936 roku należał do komendantury obozu w Esterwegen, następnie powrócił do Dachau. Od czerwca 1937 do sierpnia 1938 roku był adiutantem komendanta Sachsenhausen. W sierpniu 1939 roku został adiutantem komendanta Mauthausen Franza Ziereisa. Taką samą funkcję pełnił od maja do listopada 1940 roku w Auschwitz, gdzie sprawował funkcję adiutanta Rudolfa Hössa. Od kwietnia 1941 do maja 1942 roku sprawował funkcję Schutzhaftlagerführera (kierownika obozu) w Natzweiler-Struthof. W maju 1944 roku powrócił do kompleksu obozowego Auschwitz i do 1 grudnia sprawował funkcję komendanta w Birkenau. Kierował wówczas akcją zamordowania około 400 tys. Żydów węgierskich. Następnie został przeniesiony na stanowisko komendanta

obozu w Bergen-Belsen. Ze względu na swoje okrucieństwo zdobył wówczas sobie przydomek „Bestii z Bergen-Belsen”. Był odpowiedzialny za śmierć tysięcy więźniów obozu. W kwietniu 1945 roku został aresztowany przez wojska brytyjskie podczas jego wyzwalania. Stanął przed brytyjskim Trybunałem Wojskowym w Lüneburgu w pierwszym procesie załogi Bergen-Belsen. 17 listopada został skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano przez powieszenie 13 grudnia 1945 roku o godzinie 12.11 w więzieniu w Hameln.

2 Dr Robert Ley (ur. 15.02.1890) – nazistowski polityk, Reichsleiter NSDAP, przywódca Deutsche Arbeitsfront – Niemieckiego Frontu Pracy (DAF), potężnej organizacji podporządkowanej partii, która powstała 10 maja 1933 roku po likwidacji niezależnych związków zawodowych. DAF wkrótce zyskał opinię jednej z najbardziej skorumpowanych wśród czołowych instytucji w III Rzeszy, fabrykanci skarżyli się Hitlerowi oraz kręgom przywódczym NSDAP, że Deutsche Arbeitsfront w swoim postępowaniu nie różni się wiele od znienawidzonych komunistów. Ley był znany z tendencji do ulegania ślepej nienawiści i utraty poczucia rzeczywistości w trakcie przemówień, np. mówiąc o potwierdzonej wszechwiedzy Hitlera lub ogłaszając rychły podbój Księżyca i wszystkich planet. Pomimo licznych niepowodzeń utrzymał przychylność Hitlera; aż do ostatnich miesięcy wojny należał do grona najbliższych współpracowników dyktatora.

3 Karl Gebhardt był jednym z niemieckich lekarzy najbardziej uwikłanych w zbrodnicze eksperymenty pseudomedyczne, dokonywane na więźniach hitlerowskich obozów koncentracyjnych. Nie tylko nakazywał i nadzorował ich wykonywanie, ale też osobiście je przeprowadzał na więźniarkach obozu Ravensbrück i Auschwitz-Birkenau. Eksperymenty nie miały najczęściej żadnego medycznego uzasadnienia, a skutkiem ich dokonywania była śmierć lub trwałe okaleczenie wielu więźniów. Gebhardt zajmował się zwłaszcza eksperymentami chirurgicznymi. W trakcie wojny należał do sztabu generalnego Waffen-SS i był jednym z najwierniejszych towarzyszy i doradców Himmlera. Na kilka dni przed upadkiem Hitler

mianował go prezesem niemieckiego Czerwonego Krzyża. Po zakończeniu wojny został osądzony przez Amerykański Trybunał Wojskowy w tzw. procesie lekarzy, jednym z dwunastu procesów norymberskich. Postawiono mu zarzuty zbrodni wojennych i przeciw ludzkości (w szczególności przeprowadzania wspomnianych wyżej eksperymentów) oraz przynależności do SS jako organizacji przestępczej. Karl Gebhardt został uznany za winnego wszystkich zarzutów i skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano przez powieszenie 2 czerwca 1948 roku w więzieniu w Landsberg.

4 Specjalnych pistoletów rozpylających cyjanek używali natomiast Sowieci, i to już długo po wojnie. Za pomocą takiej właśnie broni agent KGB Bohdan Staszynski zamordował 15 października 1959 roku w Monachium Stepana Banderę, przywódcę Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN). Po ucieczce na Zachód w roku 1960 Staszynski podczas publicznego procesu przyznał się również do skrytobójczego zabójstwa na rozkaz Kremla innego lidera ukraińskiej emigracji – Lwa Rebeta. Za zabicie Bandery otrzymał od Chruszczowa Order Czerwonego Sztandaru. Zeznania Staszynskiego wstrząsnęły Kremlem. W konsekwencji tej afery stanowisko utracił szef KGB Aleksander Szelepin, którego zastąpił Władimir Siemiczastny. Obawiając się kolejnych podobnych kompromitacji, władze sowieckie oświadczyły publicznie, że nie będą już więcej mordować swoich przeciwników za granicą. Przez dłuższy czas słowa dotrzymywano – na Kremlu zdano sobie bowiem sprawę, że szkody na arenie międzynarodowej powstałe na skutek zdemaskowania zamachu mogą przeważać nad korzyściami wynikającymi z likwidacji kolejnego oponenta.

5 Jest to oczywista bzdura. Generał Bór-Komorowski nigdy nie nosił niemieckiego munduru. W czasie powstania warszawskiego aż do momentu pójścia do niewoli był ubrany po cywilnemu, co między innymi łatwo sprawdzić na dostępnych fotografiach z tego okresu. Jeżeli natomiast chodzi o powstańców, to w przypadku wykorzystywania zdobycznych

części mundurów wroga usuwano z nich odznaki armii niemieckiej i obowiązkowo noszono biało-czerwone opaski.

6 Akwizgran został zdobyty 20 października 1944 roku. Był pierwszym niemieckim miastem zajętym przez wojska alianckie. Krwawe walki o miasto spowodowały zniszczenie 65% zabudowy.

7 O związku Yeo-Thomasa z Bondem świadczyć mają dokumenty odkryte w Archiwach Narodowych w zachodnim Londynie przez historyk Sophie Jackson, która opisała jego dokonania w swej książce *Churchill's White Rabbit: The True Story of a Real-Life James Bond*. W teczce z odtajnionymi niedawno aktami Jackson znalazła notatkę, sporządzoną w maju 1945 roku przez Fleminga, który również działał podczas wojny w wywiadzie. Pisarz informował w niej swoich kolegów o Yeo-Thomasie oraz jego ucieczce. Yeo-Thomas i Fleming służyli w innych jednostkach – pierwszy w Kierownictwie Operacji Specjalnych, drugi natomiast w Wydziale Wywiadu Marynarki. Dopiero teraz udało się ustalić, że łączyło ich coś więcej. Treść notatki, jak również uderzające podobieństwo osobowości oraz doświadczeń Yeo-Thomasa i Bonda, zdaniem Jackson uwiarygodniają hipotezę, że Fleming wybrał owego agenta na pierwowzór swej literackiej postaci. Jackson argumentuje, że za jej teorią przemawia także zbieżność wojennych losów Yeo-Thomasa z fabułą dzieł Fleminga. Najbardziej znamienne wydają się przeżycia agenta w gestapowskim areszcie: dokładnie takim samym torturom poddawany był James Bond w pierwszej powieści *Casino Royale* (jak również w niedawnym filmie pod tym samym tytułem). W trakcie jednej z wcześniejszych misji w ekspresie jadącym z Lyonu do Paryża Yeo-Thomas wypił herbatę z Klausem Barbie, osławionym nazistą zwanym „rzeźnikiem z Lyonu". Brytyjski agent, który zajął ostatnie wolne miejsce w wagonie restauracyjnym, zorientował się, że siedzi obok szefa lokalnego Gestapo. Naziści szukali już wówczas Yeo-Thomasa, jednak on wykorzystał biegłą znajomość francuskiego i zajął Barbiego rozmową, udając zwolennika okupacji. Yeo-Thomas nie miał pewności, czy Barbie dał się nabrać, ale po przyjeździe do Paryża niepostrzeżenie wymknął się z pociągu. To spotkanie mogło zainspirować

scenę z *Pozdrowień z Rosji*, w której Bond je kolację w towarzystwie wrogiego agenta w Orient Expressie. Zdarzało się także, że Yeo-Thomas przyjmował tożsamość innego mężczyzny, by uniknąć zdemaskowania – podobnej taktyki użył James Bond w *Diamenty są wieczne* oraz *W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości*. Nie ulega wątpliwości, że wiele sprawdzonych patentów Yeo-Thomasa na ucieczkę lub wykiwanie wrogów – ukrywanie się w trumnie, zeskakiwanie z pociągu, duszenie strażników czy przebieranie się – zostało później wykorzystanych przez samego 007. Podobnie jak Bond, który miał licencję na zabijanie, Yeo-Thomas zawsze nosił przy sobie broń i był gotów jej użyć, wbrew regulaminowi Kierownictwa Operacji Specjalnych. Pewnego razu, gdy nie mógł zgubić wrogiego agenta ścigającego go po Paryżu, zwabił go w pobliże mostu, a sam się ukrył. Kiedy przeciwnik przybył na miejsce, Yeo-Thomas wyskoczył i strzelił do niego z bliskiej odległości, po czym wrzucił jego ciało do Sekwany. Potrafił też zabijać gołymi rękami. W 1920 roku, kiedy służył jako ochotnik w polskiej armii w wojnie przeciw Sowietom, udusił strażnika i uciekł z rosyjskiego więzienia. Sophie Jackson uważa również, że osobowość Bonda opiera się na cechach, które Fleming musiał zaobserwować u Yeo-Thomasa. Podobnie jak jego fikcyjny odpowiednik, autentyczny agent był czarujący i miał powodzenie u płci pięknej, a w podlegającej mu bezpośrednio komórce pracowały same kobiety. Nosił się elegancko, tym bardziej że przed wojną pracował we francuskim domu mody. Jego życie uczuciowe było za to dość zagmatwane. Nigdy nie ożenił się ze swą poznaną w trakcie wojny partnerką Barbarą, która przyjęła jego nazwisko, mimo że Forest nie był w stanie uzyskać rozwodu od swej żony Lillian, mieszkającej w okupowanej Francji. Po wojnie Yeo-Thomas zmagał się z licznymi chorobami i nawracającymi koszmarami, które przypisywał swym wojennym doświadczeniom. Pod tym względem bardziej przypominał „ponurego” i „psychicznie zmaltretowanego” Bonda z powieści Fleminga niż bardziej dowcipnego agenta z późniejszych filmów. Zmarł w 1964 roku w wieku 62 lat. (*Prawdziwy Bond zdemaskowany*, http://ksiazki.onet.pl).

8 Ubieranie skazanych na śmierć w czerwoną kurtkę, tak aby byli natychmiast rozpoznawalni, było starą niemiecką tradycją.

Rozdział 11

Po wojnie

Powojenne lata Otto Skorzenego okrywa tajemnica. Okres ten stał się tematem fantastycznych pogłosek i szalonych spekulacji, z których zapewne tylko część jest prawdą. Dziennikarze ochoczo przypisali „najniebezpieczniejszemu człowiekowi Europy” najwymyślniejsze przygody, których nigdy nie doświadczył. Sam opowiadał o tym w sposób następujący:

„Podobno byłem przywódcą międzynarodowego spisku. Istotnie, spiskowałem, żeby żyć. Straciwszy wszystko, jak ogromna większość moich rodaków, musiałem zaczynać od zera […].

Po dwóch latach spędzonych w Niemczech znalazłem w rycerskim kraju, jakim jest Hiszpania, możliwość wykonywania mojego zawodu. Nie było to łatwe, gdyż nie dysponowałem, jak twierdzą niektórzy kronikarze, «skarbem SS». Dzięki kilku wiernym przyjaciołom (między innymi koledze ze studiów, także inżynierowi, który szczęśliwie dla siebie nigdy nie wstąpił do NSDAP) udało mi się zebrać dość pieniędzy, aby otworzyć w Madrycie małe biuro projektowe.

W 1953 roku uśmiechnęło się do mnie szczęście. Uzyskałem duży kontrakt na dostawę materiałów kolejowych i urządzeń przemysłowych. Mogłem spłacić pożyczki. Znam tylko jeden sposób na życie dla przyzwoitego człowieka: jest nim praca. Zawsze tak żyłem i żyję nadal. Oczywiście, «odkryto», że reprezentowałem między innymi firmy niemieckie. Dziwne by było, gdybym reprezentował firmy sowieckie […].

Od trzydziestu lat istnieje coś w rodzaju «mitu Skorzenego». Trudno jest mi przytoczyć nawet setną część absurdalnych publikacji, najczęściej nieżyczliwych, na temat moich domniemanych dokonań.

Po moim dwutygodniowym pobycie w Kairze na łamach «Daily Sketch» oskarżono mnie w 1954 roku, że szkoliłem specjalne komanda egipskie «w sztuce zabijania oficerów i żołnierzy brytyjskich». W Londynie są jeszcze sędziowie z prawdziwego zdarzenia i surowe prawo prasowe, toteż wytoczyłem «Daily Sketch» proces, po którym redakcja musiała zapłacić 10 000 funtów szterlingów odszkodowania i pokryć koszty procesu. 5000 przekazałem angielskiemu Czerwonemu Krzyżowi na rzecz brytyjskich inwalidów wojennych, a 5000 niemieckiemu Czerwonemu Krzyżowi dla inwalidów niemieckich […].

Prasa światowa w wirze gorących i zimnych wojen nie wątpiła, że to ja przygotowałem tu i tam kilka rewolucji i organizowałem «Międzynarodówkę Nazistowską» lub «Pająka» (Die Spinne), tajemniczą mafię o wszechstronnej przestępczej i wywrotowej działalności […]. Dopiero po długim śledztwie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych RFN stwierdziło, że nie istnieje jakikolwiek «Pająk», co potwierdza dokument z datą 30 sierpnia 1972 roku […].

Nie tylko zatopiłem, ale i wyłowiłem «skarb SS» z jezior Töplitz, Hinter, czy Neusiedler (jak kto woli); liczne przygody z tym związane opisywano nie tylko w prasie, ale też w radiu i telewizji. Po tym, jak «Duce dopuścił mnie do sekretu», wszedłem również w posiadanie poufnej korespondencji Mussoliniego i brytyjskiego premiera, Winstona Churchilla. Szkoda, że nie wiem, w jakiej sprawie […].

W wielu francuskich i szwajcarskich gazetach twierdzono, że miałem porwać sułtana Maroka [Mohameda V ibn Yusufa] i jego rodzinę na zlecenie Ligi Arabskiej. Wiadomo było z pewnego źródła, iż za operację zamierzano mi ofiarować 1 000 000 dolarów. Przewieziono więc monarchę do Fort-Lany [dziś Ndżamena, stolica Czadu], a potem na Madagaskar […]. Musiałem też zaprzeczać, że chciałem kiedyś porwać algierskiego przywódcę Ben Bellę i Fidela Castro na Kubie […].

Stało się niebawem oczywiste, że gdybym chciał dementować wszystkie informacje, które publikowano w prasie światowej i ścigać wszystkich oszczerców, musiałbym poświęcić temu większą część czasu […]. Z ogromnym zainteresowaniem śledziłem zmyślone przygody na swój temat, siedząc za biurkiem w Madrycie i jestem przekonany, że Ian Fleming też je czytał. Mieszkam wyłącznie w najwspanialszych pałacach świata, otoczony upajającymi blondynkami lub tajemniczymi brunetkami i wykorzystuję ich urok w moich groźnych działaniach […].

Dowiedziałem się też, że jestem dowódcą tajnej armii stacjonującej koło «Mursuk» na «Pustyni Libijskiej «cztery tysiące kilometrów od jakiejkolwiek cywilizacji» […]. Moja stolica jest chroniona «pasmem najnowocześniejszych urządzeń alarmowych», w tym ekranów na podczerwień, które przenikają okolice w nocy i rozpoznają każdy zbliżający się obiekt […]. Wszystko wskazuje, że jestem w stałym kontakcie z Martinem Bormannem. Widuję go albo w lesie na granicy czesko-bawarskiej, albo w Górnej Amazonii, albo też… w Izraelu, co jest, oczywiście, najoryginalniejsze.

Żyję na wysokiej stopie i posiadam wiele zamków, willę na francuskim Lazurowym Wybrzeżu, jacht oraz szybkie samochody. Niestety, są to tylko zamki na piasku! Kiedy dzwoni telefon w moim madryckim biurze, rozmówcy zamawiają, jak zwykle, rury spiralnie spawane, blachę, cement, kosztorys, obrabiarki itp.

W 1962 roku dla «American Weekly» jasne było natomiast, że chcę wziąć szturmem więzienie w Spandau, aby uwolnić Rudolfa Hessa […]. W latach 1957–1970 zorganizowałem jednocześnie armie w Indiach i Kongo, zaopatrywałem i doradzałem algierskiemu Frontowi Wyzwolenia Narodowego i francuskiej Tajnej Organizacji Wojskowej (OAS), a dzięki moim irlandzkim owcom mogłem zainteresować się działalnością IRA […].

Która informacja była najbardziej niedorzeczna? Opublikowano ją w 1967 roku w polskim «Głosie Robotniczym» i natychmiast przedrukowano w «Deutsche Weltwoche». Według autora izraelski generał Mosze Dajan i pułkownik Otto Skorzeny to jedna i ta sama osoba!”.

*

Tak, to prawda, media całego świata prześcigały się w wypisywaniu na temat Otto Skorzenego najbardziej wymyślnych bzdur. Ale czy rzeczywiście wszystko, co pisano, to były kłamstwa?

Spróbujmy jednak oddzielić historyczną prawdę od mniej lub bardziej prawdopodobnych, heroicznych opowieści o czynach, zwycięstwach i przewagach. I tak zostanie jeszcze wiele materiału na sensacyjną historię.

Cóż miał robić w powojennej Europie były komandos, cieszący się tak ponurą sławą, w dodatku jeszcze członek pobitego i skompromitowanego narodu? Od dnia, w którym uwolnił Mussoliniego, propaganda nadała temu taki rozgłos, że jego twarz stała się znana każdemu dziecku. Była na plakatach, w gazetach i w kronikach „Wochenschau”. Wtedy, w 1943 roku, bardzo to schlebiało jego próżności. Teraz jednak stanowiło śmiertelne niebezpieczeństwo.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie zatrudniłby zatwardziałego hitlerowca obciążonego oskarżeniami Czechów o wojenne zbrodnie. Wcześniejsze kontakty z nazistowskimi prominentami nie pozwalały mu wrócić do spokojnej, przedwojennej profesji inżyniera w Wiedniu. Miasto kontrolowane było obecnie przez cztery mocarstwa. Gdyby tylko przekroczył granicę Austrii, natychmiast wpadłby w ręce Rosjan.

Po jego ucieczce z Darmstadt wyglądało na to, że Skorzeny rozpłynął się w powietrzu. Tymczasem przez prawie kilka miesięcy ukrywał się w Niemczech pod przybranym nazwiskiem Rolf Steinbauer. Pracował w sklepie z narzędziami w Düsseldorfie. Kiedy wreszcie ktoś doniósł o tym władzom i policja chciała dokonać aresztowania, poinformowany odpowiednio wcześnie o tym fakcie Skorzeny znowu zniknął.

Wkrótce bywalcem kilku nocnych lokali Paryża stał się pewien mężczyzna, chłop wielki jak szafa, z charakterystycznymi szramami na twarzy, mówiący łamanym francuskim. Szukał nie tylko rozrywek. Obracał się pośród miejscowych kurewek, często jednak prowadził długie rozmowy z pojawiającymi się tam ludźmi.

Widywano go również w mieszczącej się w dzielnicy Belleville knajpce prowadzonej przez byłą prostytutkę zwaną „Peggy”. Pod zniszczoną skórą właścicielki kryły się piękne rysy, a jej oczy, które teraz przypominały martwe sadzawki, zapewne niegdyś były czyste i żywe. Wystrój lokalu pochodził z początków stulecia. Siedząc przy stoliku z fałszywego marmuru, łatwo można było sobie wyobrazić Paula Verlaine’a popijającego szklaneczkę absyntu. Podłoga była spróchniała, podziurawiona i powykrzywiana. Miedziany, poobijany ekspres do kawy jak lokomotywa wypuszczał ze świstem kłęby pary. W kącie stał olbrzymi piec węglowy. Ściany były czarne od pokrywającego je brudu i sadzy. Na jednej z nich wisiało kilka malowideł z okresu *belle époque*, wyglądających jak nabrzmiałe, ropiejące rany.

Klienci także wydawali się przeniesieni żywcem z innej epoki. Handlarki rybami, emeryci, entuzjaści domina, zagorzali miłośnicy haszyszu, małomówni szachiści, zbiegli z Gujany katorżnicy, którym skórę spaliło słońce tropików, podstarzałe prostytutki, których zakres świadczonych usług ograniczał się już tylko do stosunków oralnych z cudzoziemskimi robotnikami w zakamarkach bram, i mieszkający w składach opałowych po drugiej stronie Sekwany włóczędzy, którzy przychodzili posiedzieć w tej zapomnianej przez Boga i ludzi kawiarence, aby wypić tam szklaneczkę podłego wina i ogrzać członki przy piecu.

Przypadek sprawił, że pewnego wieczoru zjawił się tam robiący serię zdjęć dla paryskiej wieczorówki „Le Soir” reporter, który bezwiednie sfotografował wysokiego mężczyznę. Zdjęcie zostało zamieszczone w numerze następnego dnia. Ktoś rozpoznał wtedy, kim jest widoczny na nim człowiek. Zanim jednak paryska policja zdążyła ruszyć do akcji, ostrzeżony w porę Skorzeny opuścił stolicę Francji.

Kolejnym etapem pobytu byłego esesmana były Włochy, gdzie bardzo szybko nawiązał kontakty z ugrupowaniami byłych nazistów z księciem Junio Valerio Borghese, włoskim dowódcą marynarki wojennej i politykiem, oraz biskupem Grazu Aloisem Hudalem na czele.

Katolicki duchowny pochodzenia austriackiego, a więc rodak Skorzenego, od dawna już popierał narodowy socjalizm. W 1936 roku ukazała się jego książka *Die Grundlagen des Nationalsozialismus* (*Podstawy narodowego socjalizmu*) z imprimatur[1] arcybiskupa Wiednia, kardynała Theodora Innitzera. Biskup chwalił w niej Hitlera oraz przekonywał, że większość nazistów broni chrześcijaństwa, a co za tym idzie, katolicy powinni współpracować z głównym nurtem nazizmu, izolując w ten sposób antychrześcijańskich radykałów. Poglądy te stały w sprzeczności z polityką zagraniczną papieża Piusa XI, którego opublikowana w 1937 roku encyklika *Mit brennender Sorge* (*Z palącą troską*) potępiała nazizm.

W 1937 roku Hudal poparł rasistowskie ustawy norymberskie, ubolewając, że „mury getta zostały w XIX wieku obalone przez liberalne państwo". Pięć lat później opublikował również broszurę *Europas Religiöse Zukunft* (*Religijna przyszłość Europy*), w której twierdził, że zarówno liberalizm, jak i bolszewizm wyrastają z inspiracji żydowskich, a chrześcijaństwo musi wykorzystać nazizm do zwalczania obu tych idei.

Po II wojnie światowej pomagał niemieckim zbrodniarzom nazistowskim w ucieczkach do Ameryki Południowej w ramach operacji „Szczurzy Korytarz". Swoją pomoc motywował tym, że wojna aliantów przeciwko Niemcom miała więcej wspólnego z rywalizującymi interesami gospodarczymi, a mniej z ideałami. W swoich pamiętnikach napisał między innymi: „Po roku 1945 cała moja działalność dobroczynna była nastawiona na pomoc dla byłych członków partii narodowo-socjalistycznej i faszystowskiej, zwłaszcza dla tak zwanych zbrodniarzy wojennych […] podlegających prześladowaniom przez komunistów i «chrześcijańskich» demokratów w sposób częstokroć niewiele odbiegający od metod wczorajszych przeciwników […]. Dzięki fałszywym dokumentom wielu z nich uratowałem. Mogli się wymknąć prześladowcom i uciec do szczęśliwszych krajów"[2].

Informacje o pobycie Skorzenego nad Tybrem pojawiły się w komunistycznym dzienniku „L'Unita". Poinformowany o tym rząd

Czechosłowacji natychmiast wystąpił do władz włoskich o ekstradycję. Z początku Ministerstwo Spraw Zagranicznych Italii usiłowało odrzucić to żądanie, lecz wobec przedstawionych dowodów przekazało sprawę do wykonania prokuraturze. Skorzeny ulotnił się jak kamfora.

Poszukiwała go też żydowska organizacja Hagannach (Hagana), działająca w owym czasie bardzo aktywnie we Włoszech. Żydowscy agenci wiedzieli o kontaktach Skorzenego z radykalnie nastawionymi Arabami, zajadłymi wrogami państwa izraelskiego, ale również ich wysiłki nie przyniosły rezultatu.

*

„Wydarzenia następnych trzech lat wskazują jednoznacznie, że Otto Skorzeny stał się jednym z głównych bohaterów wielkiej organizacji «Odessa», co było skrótem od nazwy Organisation der Ehemligen SS-Angehörigen (Organizacja Byłych Członków SS) – pisze w artykule *Operacja Odessa* Bogusław Wołoszański. – Odessa tworzona była przez wiele wojennych lat i dysponowała ogromnym majątkiem, z którym w parze szły międzynarodowe powiązania polityczne z najbardziej prominentnymi postaciami ówczesnego świata. Cała sprawa zaczęła się prawdopodobnie w kwietniu 1942 roku.

Z samolotu, który wylądował na madryckim lotnisku, wysiadł młody mężczyzna średniego wzrostu, o krótkich, gładko zaczesanych włosach i nieco wyłupiastych oczach. Przy schodkach, które dostawiono do samolotu, oczekiwał na niego Adrian Escobar, ambasador Argentyny, co wskazywało, że przybysz jest osobą ważną, choć jego paszport o tym nie świadczył. Przyjeżdżał jako attaché kulturalny, a więc dyplomata niskiej rangi. Można było uznać, że Juan Carlos Goyeneche miał do spełnienia szczególną misję, którą starano się ukryć, zaopatrując go w dyplomatyczny paszport. W istocie w następnych miesiącach Goyeneche w towarzystwie ambasadora lub sam wielokrotnie podróżował do Niemiec, gdzie spotykał się z ministrem spraw zagranicznych Joachimem von Ribbentropem oraz

prawdopodobnie z samym Hitlerem. Raporty, które przesyłał do Buenos Aires, ujawniają, że proponował III Rzeszy udział Argentyny jako mediatora w rokowaniach pokojowych z rządami Wielkiej Brytanii i ZSRS. Wobec frontowych zwycięstw Wehrmachtu mogło się wydawać, że alianci nie mają innego wyjścia, niż wynegocjować najlepsze dla siebie warunki zawarcia pokoju i złożyć broń.

Niemieccy gospodarze przyjmowali zabiegi argentyńskiego wysłannika z życzliwym zainteresowaniem, acz nie wydaje się, by pragnęli korzystać z usług takiego mediatora. Wśród rozmówców Goyeneche był jednak ktoś, kto patrzył na niego zupełnie inaczej: Walter Schellenberg, szef wywiadu SS, oraz jego zwierzchnik Heinrich Himmler. Dostrzegali możliwość ustanowienia w Argentynie ważnego przyczółka na drugiej półkuli, tym bardziej że w maju 1943 roku władzę w tym kraju przejęła grupa oficerów, w której prym wiódł pułkownik Juan Perón.

Pronazistowskie nastawienie nowej ekipy stało się oczywiste dla Niemców już dzień po zamachu stanu, gdy w gabinecie prezydenta, będącego w istocie marionetką w rękach Peróna, stawili się Hans Harnisch i Osmar Hellmuth, agenci niemieckich tajnych służb. Bez wątpienia do spotkania doszło z inicjatywy rządu argentyńskiego, który, obawiając się agresji ze strony Brazylii, chciał uzyskać z Niemiec dostawy dział przeciwlotniczych, benzyny, samolotów i amunicji, potajemnie dowożonych przez niemieckie okręty podwodne oraz hiszpańskie frachtowce. W zamian proponował bezpieczne schronienie dla nazistowskich szpiegów. Projekt spalił na panewce, a to ze względu na… zazdrość ambasady niemieckiej w Buenos Aires. Dyplomaci, rozzłoszczeni działaniami tajnych służb na ich podwórku, poinformowali brytyjski wywiad i Hellmuth, płynący w połowie października 1943 roku do Europy na pokładzie statku «Cabo de Hornos», został aresztowany, gdy statek zawinął do Trynidadu, i przewieziony do Londynu jako jeniec wojenny. Hitler nie był już zainteresowany dyplomatycznymi usługami Argentyny, gdyż po wielkich klęskach Wehrmachtu pod Stalingradem i Kurskiem, a także w Afryce i na Sycylii stawało się oczywiste,

że to Niemcy przegrały wojnę. Argentyńskie koneksje tajnych służb nabrały nowego wymiaru.

W nocy 10 sierpnia 1944 roku doszło do zadziwiającego wydarzenia. Alianckie bombowce dokonały nalotu na Strasburg, uznawany przez aliantów za miasto francuskie i z tej racji oszczędzany przez lotnictwo. Co jeszcze dziwniejsze, bomby spadły daleko od obiektów strategicznych i uszkodziły piękny zabytkowy hotel La Maison Rouge. Nalot powtórzono następnej nocy – ponownie hotel był głównym celem. Przez lata nikt nie potrafił zrozumieć tego wydarzenia, przypisywanego pomyłce pilotów. Dzisiaj wiemy, że nalot został przeprowadzony z rozmysłem na polecenie premiera Winstona Churchilla. Agent, znany jedynie z pseudonimu Mr. Waddington, poinformował wywiad brytyjski, iż w tym hotelu w nocy z 10 na 11 sierpnia odbędzie się tajne spotkanie niemieckich przemysłowców.

Zebranie rozpoczęło się wczesnym wieczorem w sali restauracyjnej zarezerwowanej na tę okazję. Następnie uczestnicy przeszli do apartamentu nr 23. Tam SS-Obergruppenführer Scheid wyjawił cel spotkania:

– Panowie, nie tylko bitwa o Francję została przegrana. Przegrana jest wojna – powiedział. – Już teraz nasz rząd będzie przekazywał duże sumy pieniędzy przemysłowcom, aby mogli utworzyć bezpieczne fundamenty powojennej działalności w innych państwach.

Następnie przekazał zebranym listę firm w Ameryce Południowej i Północnej, z którymi powinni się kontaktować «indywidualnie i bez zwracania uwagi», aby uzyskać pomoc w lokowaniu aktywów. Na tej liście znalazły się m.in. Hamburg-America Line, Chemical Foundation Inc. i US Steel Corporation.

Do dzisiaj niewiele wiadomo o transferze kapitałów wartych dziesiątki miliardów dolarów. Jest oczywiste, że przerzut z Europy do Ameryki Południowej wielkich kwot wymagał pośredników, dla których ta usługa była nadzwyczaj opłacalna. Nic więc dziwnego, że pomocą w przekazaniu niemieckich pieniędzy zainteresowały się dwory panujące i największe banki europejskie i amerykańskie. Istnieją podstawy, by przypuszczać, że dużo o tej akcji wiedział Allen Dulles, szef amerykańskiego wywiadu

w Europie w czasie II wojny światowej. Jego biuro mieściło się w neutralnej Szwajcarii, w Bernie, często bywał tam Valerian Mocarski, dyrektor i najbliższy współpracownik Kurta von Schrödera, jednego z największych niemieckich finansistów. Firma Schröder Finance House, działająca w Nowym Jorku, nawiązała kontakt z inną nowojorską firmą Sullivan & Cromwell, należącą do… Dullesa.

Prowadzone przez FBI po wojnie śledztwo w tej sprawie utknęło w martwym punkcie, co łatwo zrozumieć, jako że Allen Dulles od 1947 roku był szefem komitetu nadzorującego amerykańskie tajne służby, a następnie wicedyrektorem i od 1953 roku dyrektorem Centralnej Agencji Wywiadowczej, a jego brat John Foster Dulles od 1953 roku był sekretarzem stanu w administracji prezydenta Eisenhowera.

Istnieją podstawy, aby przypuszczać, że w transferze miliardów brał udział szwedzki Enskilda Bank należący do rodziny Wallenbergów. Czyżby więc tragiczny los Raula Wallenberga, który w 1945 roku został porwany w Budapeszcie przez sowiecki wywiad i dwa lata później zamordowany, wiązał się z tą sprawą?”.

Podobno Skorzeny był również współzałożycielem organizacji „Die Spinne” (Pająk), której członkowie opracowali wyrafinowany system „bezpiecznych domów”. Jak twierdził niestrudzony „łowca nazistów” Szymon Wiesentahl: „Uciekinierów rozwożono po obszarze Niemiec i Austrii ciężarówkami armii amerykańskiej, którymi niemieccy pracownicy rozwozili gazetę wojskową «Stars and Stripes»”. Tylko co jakiś czas któryś z żandarmów zaglądał do samochodu i widział tylko sterty gazet. Nie dostrzegał natomiast przycupniętych za tymi stertami mężczyzn, którzy wstrzymywali oddech, aby nie zdradzić swej obecności. Szlak uciekinierów miał przebiegać początkowo przez południowe Niemcy do Austrii i Szwajcarii, a w późniejszym czasie z Bremy bezpośrednio do Rzymu lub Genui”.

*

„Już od początku wojny skupianie sieci wywiadowczych w Madrycie stanowiło naszą szczególną troskę – napisał w swych *Wspomnieniach* Walter Schellenberg. – Wojskowy sektor wywiadu składał się, oprócz sieci agentów, z ponad stu współpracowników, rozmieszczonych w ambasadzie, zajmujących się nasłuchami radiowymi i łamaniem szyfrów, jak również rozszyfrowywaniem naszych depesz. Znajdowała się tam również stacja meteorologiczna z wysuniętymi punktami w Portugalii i na Wyspach Kanaryjskich oraz w Północnej Afryce. Zabezpieczenie naszych działań na Półwyspie Iberyjskim miało ogromne znaczenie dlatego, że Hiszpania i Portugalia były punktami przejściowymi dla roboty prowadzonej w Ameryce Południowej. Tą drogą można było ustanowić łączność kurierską. Przy pomocy kilku firm handlowych zorganizowana została sieć agentów w hiszpańskich portach. Stamtąd prowadzona była łączność z portami państw południowoamerykańskich. Zadania nasze ułatwiał ten fakt, że w ciągu wielu lat ekonomika niemiecka miała na tym terenie duże wpływy, umożliwiające czerpanie zasobów z pracy […]”.

Zacytowany powyżej fragment ukazuje ogromne możliwości, jakie mieli naziści na Półwyspie Iberyjskim zarówno w czasie wojny, jak również po upadku III Rzeszy. Nie ma się zatem czemu dziwić, że już kilka miesięcy po kapitulacji madrycka kolonia niemiecka gwałtownie się powiększyła: z jedenastu do szesnastu tysięcy członków. Jeżeli zaś chodzi o ruch w wywiadzie, to działania wojenne bynajmniej go nie przerwały, gdyż działały tam sieci spoza Europy, dając znać o sobie poprzez punkty przerzutowe w Hiszpanii. Tyle że teraz już nie przesyłano informacji dalej. Mocodawca przestał istnieć. Nie żył już Hitler ani Himmler, lecz tysiące ich popleczników szukało schronienia, jak szczury uciekające z zatopionego statku.

Wprawdzie nieco spóźniony, ale rzec można „na gotowe”, zjawił się w Madrycie i Otto Skorzeny. Bezpieczny azyl, swobodę i ochronę zapewnił mu dyktator Francesco Franco, jako tak zwanemu „bezpaństwowcowi”, posługującemu się nansenowskim paszportem. Był to dokument międzynarodowy specjalnego znaczenia, wydawany od 1922 roku

uchodźcom przez władze kraju, w którym aktualnie przebywali. Spełniał funkcję paszportu. Nazwa pochodziła od nazwiska Wysokiego Komisarza Ligi Narodów do Spraw Uchodźców Fridtjofa Nansena. Później zastąpił go tzw. londyński dokument podróży.

W 1950 roku w niemieckim tygodniku „Quick" rozpoczęto druk sensacyjnych artykułów o „najbardziej niebezpiecznym człowieku na świecie", których autorem był sam Otto Skorzeny. Pojawiły się tam wiele mówiące sygnały, których celem było zaktywizowanie tych wszystkich członków Waffen-SS, którzy uwinęli się wokół nowych własnych interesów, zapominając o „starych dobrych czasach". „Uciekać od życia? – pytał Skorzeny. – Wielu może tak postąpiło. Lecz ja czuję, że moim obowiązkiem jest dalej znajdować się pośród moich kolegów i razem z nimi kontynuować wszystko. Niczego przed byłymi wrogami nie ukrywałem. Wypełniłem swój obowiązek. Niech zatem i dla mnie, i dla moich kolegów zacznie się nowe życie […]".

„To podkreślenie przez zbrodniarza wojennego «obowiązku» stanowić miało pełne rozgrzeszenie w oczach świadków zbrodni i zachętę do nowych wyczynów pośród rosnącego nowego pokolenia – napisał Zdzisław Bagiński w książce *Oberdywersant*. – Swoiście pojęty obowiązek stanowić miał glejt wymazujący najcięższe przestępstwa, winy za całe hitlerowskie zło […]. Miało to miejsce w czasach, kiedy nie straciły ważności rozpisane za nim listy gończe, a sądy wielu państw wydały nakazy aresztowania, przekazując oficjalne dokumenty o ekstradycję zbrodniarza".

W tym samym roku francuska gazeta „Le Figaro" kupiła prawo do publikacji wspomnień Skorzenego, które niebawem ukazały się drukiem pod tytułem *La guerre inconnue*. (Polskie wydanie z 1999 roku – *Nieznana wojna*). Również w 1950 roku Otto rozwiódł się ze swoją żoną, Emmi Linhart, i założył w Madrycie przedsiębiorstwo zajmujące się handlem materiałami budowlanymi.

Na początku lat pięćdziesiątych do Madrytu przybył były prezes Reichsbanku, poprzednik Waltera Funka na tym stanowisku, Hjalmar Schacht[3]. Podczas procesu zbrodniarzy wojennych w Norymberdze był

jednym z głównych oskarżonych. Niemieccy finansiści zbijali majątki na niewolniczej pracy milionów robotników przymusowych i budowaniu komór gazowych w obozach koncentracyjnych, Trybunał uniewinnił jednak Schachta, ponieważ „nie uczestniczył bezpośrednio w organizowaniu ludobójstwa i innych zbrodniach wojennych”.

Czekał go jeszcze proces denazyfikacyjny przed sądem krajowym w Badenii-Wirtembergii. Tam, uznany za nazistę „szczególnie odpowiedzialnego za przestępstwa”, otrzymał osiem lat więzienia. Choć wyrok był rażąco niewspółmierny do zbrodni, dwukrotnie doszło do jego rewizji. Opiekunowie Schachta z kręgów niemieckiej finansjery nie zapomnieli o swoim człowieku. Pod koniec 1950 roku Główny Sąd Denazyfikacyjny w Lüneburgu przeniósł go do grupy „zrehabilitowanych”. W aureoli denazyfikacyjnej komedii były prezes Reichsbanku (1933–1939) zapłacił dwadzieścia marek kosztów sądowych i znalazł się na wolności. Teraz pojawił się w Madrycie w charakterze forpoczty odradzającej się bońskiej finansjery.

*

Przybyłemu do Hiszpanii Schachtowi potrzebny był człowiek na tyle zaufany, aby można mu było powierzyć nie tylko interesy ekonomiczne, ale także powrócenie do kontaktów z okresu wojny. Na Półwyspie Iberyjskim splatały się bowiem interesy zarówno koncernu Willego Messerschmitta, trustu Otto Wolffa[4] i Gustava Kruppa, jak również odradzających się kół militarnych.

Swój do swego ciągnie – jak mówi stare porzekadło. Schacht szybko skumał się ze Skorzenym. Dyskretne rozmowy między dwoma pogrobowcami rozgromionego zaledwie przed kilku laty reżymu odbywały się w zacisznym gabinecie madryckiej restauracji „Horcher”, mieszczącej się przy Avenida de Alfonso XII pod numerem 6, będącej od początku swego istnienia miejscem schadzek hitlerowców. Słynęła ze schabu

peklowanego à la Kasseler, combru sarniego à la crème, casselotte z tuńczyka i noisette z cielęciny à la florentine.

Właściciel restauracji, Otto Horcher, będący – podobnie jak Skorzeny – wiedeńczykiem, otworzył ją już w 1943 roku, przenosząc się do hiszpańskiej stolicy ze zrujnowanego alianckimi bombami Berlina. W berlińskim lokalu Horchera przy Kurfürstendamm popijali wcześniej i posilali się Hermann Göring, Joachim von Ribbentrop, a nawet sam Hitler. Oczywiście odwiedzała go również dyplomacja, wyższe sfery i najbogatsi cudzoziemcy, w związku z czym miejsce to znajdowało się pod czujnym okiem Gestapo. Horcher tak się rozkręcił w podwójnym interesie – dobrego karmienia i współpracy z Gestapo – że po zajęciu przez Niemców Paryża wkrótce znalazł się tam jako właściciel sławnego „Maxima". W Wiedniu prowadził przez pewien czas restaurację „Drei Husaren" przy Weihburggasse 4, położoną naprzeciwko ulubionej tawerny Hitlera „Stadtkrug" (Weihburggasse 3–5). Wprawdzie Otto Horcher musiał wyemigrować do Madrytu, jednak sława „Drei Husaren" zdołała się oprzeć zawieruchom historii, w tym zamknięciu jej przez władze okupacyjne. Po ponownym otwarciu lokal znów stał się ulubionym miejscem prowadzenia ciemnych interesów i poufnych rozmów, ale to już zupełnie inna historia.

Pięć lat po zakończeniu wojny nadszedł czas rozpoczęcia polityki nacisku ze strony SS, zarówno na władze państwowe, jak i społeczeństwo. Ludzie pokroju Skorzenego byli już na tyle pewni siebie, by przystąpić do tworzenia jawnych organizacji. Towarzyszyła temu nasilająca się kampania wybielania poszczególnych zbrodniarzy. W stosunku do tych, których mimo wszystko osądzono, zaczęły pojawiać się żądania zmierzające do ich uwolnienia i uniewinnienia. Dla Skorzenego, swego rodzaju kamieniem probierczym, potwierdzającym rachuby na posiadanie możliwości oddziaływania, stała się sprawa Joachima Peipera, którego wraz z czterdziestu dwoma jego podwładnymi skazano na karę śmierci przez powieszenie za dokonany pod Malmédy mord na amerykańskich jeńcach wojennych.

Amerykanie ciągle zwlekali z wykonaniem egzekucji, odkładając ją pod najrozmaitszymi pretekstami. Tak trwało do roku 1950, kiedy to Skorzeny zaczął działać.

Najpierw skontaktował się z agentem służby bezpieczeństwa Victorem de la Serną, przedstawicielem wpływowego dziennika madryckiego „ABC". Obaj panowie ustalili, że gazeta rozpocznie w najbliższym czasie druk przekazywanych przez byłego esesmana materiałów. Jakiego rodzaju były to materiały, wskazuje chociażby tylko jeden z nich, wywiad, w którym Skorzeny pozwolił sobie, ni mniej, ni więcej, tylko na szantażowanie prowadzących ciągle jeszcze w Niemczech rozmaite sprawy okupacyjne Amerykanów.

„Wychodząc z najlepszych pobudek, oddaliśmy się, oczywiście z pewnym uprzedzeniem, do ich [Amerykanów] dyspozycji – pisał. – Lecz w imieniu niemieckich oficerów, którzy pracują dla zwycięstwa Zachodu stwierdzam, że jeśli Peipera powieszą, nie ruszymy więcej nawet małym palcem i będziemy zmuszeni do zajęcia przeciwstawnych pozycji".

W jednym z czasopism frankistowskiej Falangi pisał z kolei o „sercu drogich ideałach SS".

Na wywody Skorzenego szybkim echem odpowiedziała adenauerowska prasa, cytując obszernie ultymatywne słowa w wielu najbardziej poczytnych gazetach. Republika Federalna Niemiec, która przyjęła zachodni model ustrojowy, stała się państwem o ustroju demokratyczno-parlamentarnym. W pierwszym dziesięcioleciu krajem rządziła prawicowa koalicja CDU/CSU. Urząd kanclerza federalnego sprawował w latach 1949–1963 Konrad Adenauer, zwany „Bońskim lisem" lub też „Granitowym kanclerzem", były nadburmistrz Kolonii, zwolniony z tej funkcji w 1933 roku przez nazistów. Głównymi tezami jego polityki była integracja RFN z Zachodem i umocnienie się w stosunku do Sowietów. Adenauer starał się włączyć kraj w system bezpieczeństwa europejskiego, nie tając, że w zamian za swój wkład Niemcy oczekują suwerenności.

„Pora przestać węszyć za nazistami – powiedział już w 1951 roku. – Jeśli raz zaczniemy, nie wiadomo dokąd nas to zaprowadzi". Ten swoisty

poprzednik „grubej kreski”, forowanej dużo później w zupełnie innym kraju przez zupełnie innego polityka, spotkał się z poparciem wielu wpływowych kręgów w Niemczech i na całym świecie.

Ze względu na ugodową politykę Adenauera wobec byłych członków NSDAP proces denazyfikacji w Niemczech Zachodnich nigdy właściwie nie został skutecznie przeprowadzony. Od roku 1949 został wręcz odwrócony i wielu dawnych nazistowskich urzędników oraz dygnitarzy i wojskowych zostało ponownie włączonych do życia społecznego i politycznego. Opinia publiczna doprowadziła także do uwolnienia wielu zbrodniarzy wojennych. Poza tym Adenauer konsekwentnie odmawiał uznania zachodniej granicy Polski. Już 1 stycznia 1947 roku w liście do Adolfa Kaschny’ego pisał: „Żaden członek CDU nie podpisze moim zdaniem traktatu pokojowego, który zawiera linię Odra–Nysa”. 20 września 1949 roku zaprotestował publicznie przeciw przyznaniu Polsce ziem na wschód od Odry i Nysy oraz transferowi ludności niemieckiej do Niemiec, nazwanemu przez niego „wypędzeniem”. Nie przedstawił natomiast żadnych deklaracji co do rozliczenia się z przeszłością.

Propagandowa kampania wokół osądzonych uprzednio zbrodniarzy zaczęła przynosić rezultaty. Wskutek protestów niemieckiej opinii publicznej komisja Senatu USA podjęła dodatkowe śledztwo, które wykazało uchybienia procesowe i dowodowe, w związku z czym kary śmierci zmienione zostały na kary więzienia, w większości przypadków dożywotniego. Sam Peiper, który broniąc swoich podwładnych w czasie procesu przyjął pełną odpowiedzialność za zbrodnię na siebie, został przedterminowo zwolniony z więzienia w 1956 roku. Śledztwo w sprawie zbrodni dokonanej przez jego jednostkę na cywilnej ludności włoskiego miasteczka Boves zostało umorzone z braku dowodów, co we Włoszech wywołało liczne protesty.

W latach 1957–1960 Joachim Peiper pracował w zakładach Porsche, jednak wskutek protestów związków zawodowych, które sprzeciwiły się planom awansowania zbrodniarza wojennego na stanowisko menadżerskie, rozwiązano z nim umowę o pracę. Mimo to, dzięki pomocy i kontaktom

z innymi weteranami Waffen-SS, dalej działał zawodowo w przemyśle motoryzacyjnym.

W 1972 roku osiadł we Francji, w miejscowości Traves w departamencie Górna Saona. Trzy lata później podczas robienia zakupów został tam rozpoznany przez pewnego francuskiego komunistę. W mieście pojawiły się plakaty z podobizną Peipera, informujące o jego przeszłości. Artykuł o nim i miejscu jego pobytu pojawił się również w komunistycznej gazecie „L'Humanité". W rezultacie Peiper otrzymał anonimowe ultimatum, że jeśli nie opuści Francji, zostanie zabity. Odesłał rodzinę do Niemiec, lecz sam zdecydował się pozostać w Traves. W nocy 13 lipca 1976 roku, w przeddzień narodowego święta Francji, w jego domu doszło do strzelaniny, a sam budynek spłonął w wyniku podpalenia. W zgliszczach znaleziono zwęglone zwłoki z kulą w piersi, które sąd uznał za ciało Peipera. Sprawców morderstwa nigdy nie wykryto.

*

Pośród tysięcy przestępców z Waffen-SS swoje odpuszczenie grzechów w majestacie prawa Republiki Federalnej Niemiec otrzymał również i Skorzeny. W 1951 roku jego nazwisko zostało wykreślone ze spisu ludzi poszukiwanych przez policję. Dla samego delikwenta była to zwykła formalność, gdyż już wcześniej przecież nie miał specjalnych trudności z poruszaniem się po terenie całej Bundesrepubliki. Odtąd jednak, podróżując pomiędzy Madrytem a Bonn, mógł już występować pod własnym nazwiskiem. Ale wciąż zdarzały się wypadki, że zjawiał się w Bawarii czy Hamburgu z fałszywymi dokumentami.

„Po tym, co wyjawił mi ojciec Sykstus [O'Connor] w Norymberdze, domyślałem się, że było przynajmniej dwóch Skorzenych – wyjaśnił w swoich wspomnieniach. – Pisano o tym także w tygodniku «Wochenland» w czerwcu 1950 roku. Od 1944 roku miałem sobowtóra, troszkę niższego ode mnie, którego nazwisko, prawdziwe lub fałszywe,

brzmiało Vohwinkel. Po operacji, w czasie której jakiś lekarz odtworzył mu moje blizny na policzku, byliśmy nie do rozpoznania”.

Nie próbując komentować bzdur o tajemniczym sobowtórze, którego rozmaite uczynki miały jakoby być zapisywane na konto bohatera tej opowieści, wspomnijmy w tym miejscu, że powodów do posługiwania się fałszywymi dokumentami miał w tym czasie Skorzeny aż nadto…

Wiosną 1945 roku pewien wysoki, o kamiennym obliczu generał niemiecki, członek Sztabu Generalnego, uznał, że wojna została przegrana i nadszedł czas, by zawrzeć odrębny pokój. Większość wojny spędził w odległej kwaterze, ukrytej w polskich lasach, otoczony przez dziwną mieszankę niezwykle inteligentnych oficerów sztabowych w średnim wieku, młodych i śmiałych poruczników pochodzących w większości z niemieckojęzycznych rodzin znad rosyjskiej części Bałtyku, oraz prostych żołnierzy w nieokreślonych mundurach bez dystynkcji, z których większość mówiła jedynie łamanym niemieckim.

Główna siedziba placówki jego wywiadu znajdowała się w twierdzy Boyen, położonej w zachodniej części Giżycka, na wąskim przesmyku pomiędzy dwoma dużymi jeziorami mazurskimi Kisajno i Niegocin. Zbudowana w latach 1844–1856 z rozkazu króla Fryderyka Wilhelma IV, została przygotowana dla załogi liczącej około trzech tysięcy żołnierzy. Generał rzadko jednak tam bywał, spędzając czas głównie na stanowisku dowodzenia Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych – Oberkommando des Heeres (OKH) w Mamerkach (niem. Mauerwald), znajdującym się w gęstym lesie przy drodze Radzieje–Węgorzewo, osiemnaście kilometrów od Wilczego Szańca.

Nazywał się Reinhard Gehlen i był szefem dziwnie nazwanej formacji – „Obce Armie Wschód”. Lubił trzymać się w cieniu, jak ognia unikał obiektywów aparatów fotograficznych i kamer. Dowodził hitlerowskimi służbami wywiadu na froncie wschodnim, które każdego dnia przekazywały Hitlerowi raporty o siłach sowieckich, stanowiące podstawę kolejnych planów Führera, i przygotowywały agentów wysyłanych na tereny opanowane przez ZSRS. Jego realistyczne raporty zostały jednak

uznane przez Hitlera za defetyzm, co doprowadziło do zdymisjonowania generała 9 kwietnia 1945 roku.

Urodzony 3 kwietnia 1902 roku w Erfurcie, w wieku trzydziestu trzech lat ukończył Akademię Wojenną i został oficerem sztabowym armii w wydziale operacyjnym. Po wybuchu II wojny światowej w randze majora był szefem sztabu 213. Dywizji podczas kampanii wrześniowej w Polsce. W czasie kampanii francuskiej w 1940 roku pełnił funkcję oficera łącznikowego. W czerwcu tego roku został adiutantem szefa Sztabu Generalnego Franza Haldera, a w październiku objął kierownictwo sekcji wschodniej w wydziale operacyjnym sztabu armii. W kwietniu roku 1942, już w stopniu podpułkownika, przejął kierowanie wydziałem „Fremde Heere Ost" („Obce Armie Wschód") w Sztabie Generalnym Wojsk Lądowych (OKH). W grudniu 1944 roku awansowany został do stopnia generała-majora, na wiosnę zaś następnego roku – generała-porucznika.

*

Przeczuwając upadek III Rzeszy – o co nie było już w tym czasie trudno – Gehlen zakopał w Alpach austriackich materiały wywiadowcze dotyczące Związku Sowieckiego, w sumie pięćdziesiąt blaszanych beczek, które miały być jego kartą przetargową w rokowaniach z Amerykanami.

Oddał się im do niewoli 22 maja 1945 roku, oświadczając jednocześnie:

– Jestem głównodowodzącym Grupy Armii Wschód w kwaterze głównej wojsk niemieckich. Mam do przekazania informacje o najwyższym znaczeniu dla waszego rządu.

Mimo takiej postawy i złożonej propozycji został niebawem osadzony wraz z innymi niemieckimi więźniami w obozie w Salzburgu. Rosjanie domagali się jego wydania (razem z aktami), ale na szczęście Amerykanie nie spełnili ich żądań, ponieważ wiedzieli już, kim jest ten „nieokrzesany" generał.

Wkrótce potem Reinhard Gehlen przyleciał na pokładzie wojskowego samolotu DC-3 do Fort Hunt niedaleko Waszyngtonu. W czasie wojny i po

jej zakończeniu Fort Hunt, występujący pod kryptonimem P.O. Box 1142, używany był jako ośrodek przesłuchań pojmanych niemieckich oficerów. Znany był także jako miejsce śmierci porucznika Wernera Henke, zastrzelonego 15 czerwca 1944 roku podczas próby ucieczki.

Okoliczności zdarzenia wskazują, że Henke popełnił samobójstwo, chcąc uniknąć – o czym przekonywali go amerykańscy oficerowie wywiadu – grożącej mu ekstradycji do Wielkiej Brytanii i procesu pokazowego za rzekome zbrodnie wojenne (zatopienie angielskiego statku „Ceramic" 7 grudnia 1942 roku, na którym zginęło 656 osób). W rzeczywistości zarówno ekstradycja, jak i ewentualny proces nie były planowane, będąc tylko częścią gry, mającej skłonić Henkego do współpracy.

Reinharda Gehlena nikt nie próbował straszyć ani ekstradycją, ani szubienicą. Nie było to potrzebne, gdyż do współpracy rwał się ochoczo. Odwiedzali go kolejni wysoko postawieni oficerowie wojska, wywiadu, między innymi sam Allen Dulles – szef Biura Służb Strategicznych OSS (poprzedniczki CIA) oraz doradcy prezydenta Harry'ego Trumana. Jako kierujący na froncie wschodnim rozległą i dobrze zorganizowaną siatką niemieckich szpiegów, był dla Amerykanów niezwykle cennym źródłem informacji na temat Sowietów i ich potencjału militarnego.

Z ich upoważnienia przystąpił latem 1945 roku do tworzenia służby wywiadowczej o nazwie „Organisation Gehlen" (Organizacja Gehlena), która w 1956 roku przekształciła się w Bundesnachrichtendienst – Federalną Służbę Wywiadowczą (BND). Reinhard Gehlen stał na jej czele przez dwanaście lat, aż do roku 1968, kiedy to został zmuszony do przejścia w stan spoczynku i zastąpiony przez Gerharda Wessela.

Po rocznym pobycie w Waszyngtonie Gehlen powrócił do Niemiec jako wpływowy agent. Do współpracy z Amerykanami zaangażował byłych gestapowców i esesmanów, między innymi doktora Franza Alfreda Sixa – odpowiedzialnego za wymordowanie ponad trzydziestu Żydów w getcie w Smoleńsku, Emila Augsburga – nadzorującego wcześniej mordowanie ludzi na tyłach wroga na terenie ZSRS, oraz „Rzeźnika z Lyonu" Klausa Barbie.

Znany „badacz spisków”, Carl Oglesby, twierdzi w książce *Reinhard Gehlen. The Secret Treaty of Fort Hunt*, że „Organizacja Gehlena” następnych kilka lat stanowiła przykrywkę dla „Odessy”, podziemnej organizacji założonej między innymi w celu zachowania pokonanej III Rzeszy oraz ułatwiania przerzutu zbrodniarzy hitlerowskich do krajów niemających umowy o ekstradycji, takich jak np. Argentyna, Brazylia czy Chile.

Przez następnych kilka lat „Organisation Gehlen” ze swoimi kontaktami niemieckimi i zagranicznymi, sięgającymi samej Moskwy, stała się podstawowym źródłem informacji amerykańskiego wywiadu na temat kwestii rosyjskich. Nawet wtedy, kiedy jako BND stała się już oficjalną instytucją wywiadowczą Republiki Federalnej Niemiec, wciąż pozostawała w dużej części na żołdzie „Wuja Sama”.

Jednym ze znakomitszych doradców Reinharda Gehlena w kwestiach dalekosiężnej penetracji i sabotażu został bohater niniejszego opracowania – Otto Skorzeny. Ci dwaj tak różni oficerowie, jeden śmiały i ekstrawagancki, drugi zimny i wyrachowany, pracowali już razem w czasie wojny, kiedy Skorzeny przerzucał swoje oddziały spadochroniarzy daleko na wschód sowieckiego imperium, aż za Ural, który komuniści postrzegali jako absolutnie bezpieczny.

Podobno Skorzeny pomagał brytyjskim agentom w penetrowaniu portów wschodniego Bałtyku kutrami torpedowymi, obsadzonymi przez marynarzy byłej Kriegsmarine. Podobno asystował również w imieniu brytyjskiego MI-6 agentom zrzucanym nad Albanią. Podobno uczestniczył także w tak zwanej operacji bałtyckiej, mającej uratować z rąk sowieckich zachodnich szpiegów wydanych przez „arcyzdrajcę” Kima Philby’ego[5]… Wszystko to już jednak tylko podobno…

*

Kilka następnych lat upłynęło Skorzenemu na podróżach handlowych, głównie pomiędzy Madrytem a Buenos Aires, podejmowanych oficjalnie

w ramach działalności jego firmy „Export-Import-Immobilen”.

W latach II wojny światowej Argentyna sympatyzowała z państwami Osi, utrzymując z nimi stosunki dyplomatyczne i handlowe. Na ich zerwanie – a nawet na wypowiedzenie Niemcom wojny – zdecydowała się dopiero w marcu 1945 roku, pod ogromną presją Stanów Zjednoczonych, ale – jak stwierdził wiele lat później Juan Domingo Perón: „Powiadomiliśmy ich [Niemców], że nie mieliśmy innego wyjścia, niż wypowiedzieć im wojnę, ale oczywiście była to tylko formalność”.

W 1943 roku władzę w kraju przejęła po raz kolejny armia. Tymczasem swoją pozycję umacniał tam coraz bardziej wspomniany Juan Perón – rok później był już wiceprezydentem i ministrem wojny. 24 lutego 1946 roku został wybrany na urząd prezydenta, zdobywając 52 procent głosów, co dawało mu dwie trzecie miejsc w niższej izbie Kongresu. Opierał się na poparciu związków zawodowych (którym przyznał duże przywileje), wojska i części klasy średniej, ale o jego zwycięstwie przesądziło tak naprawdę zaangażowanie się w kampanię pięknej i charyzmatycznej małżonki, Evy, zwanej Evitą. Tłumy ją wprost uwielbiały. Po raz pierwszy żona kandydata na prezydenta odegrała tak ważną rolę w kampanii wyborczej.

Mógł teraz przystąpić do reformowania kraju zgodnie ze swoją wizją. Chociaż jednak uczył się zasad faszyzmu od najlepszych europejskich mistrzów, panuje powszechne przekonanie, że nigdy nie zdołałby wcielić swych planów w życie, gdyby nie jego piękna i niebezpieczna żona. Mimo jej futer, klejnotów oraz królewskich manier prości ludzie wierzyli, że jest nadal jedną z nich. Nadawała paskudnemu w gruncie rzeczy reżymowi ludzką twarz, zajmując się opieką społeczną i sprawami kobiet.

W gospodarce prowadził politykę interwencjonistyczną. Okres rządów Peróna zapoczątkował proces gospodarczego uniezależniania się Argentyny od kapitału zagranicznego, przejawiający się między innymi w wywłaszczeniu należących do Brytyjczyków kolei, nacjonalizacji banków, budowie floty i przyjęciu pięcioletniego planu gospodarczego (1947–1952), zmierzającego do szybszej industrializacji kraju pod silną

kontrolą państwa. Wprowadził też niedzielę jako dzień wolny od pracy oraz uruchomił roboty publiczne, w wyniku których powstało wiele szkół i szpitali.

Stojąc na stanowisku radykalnego nacjonalizmu gospodarczego i politycznego, dążył do stworzenia samowystarczalnego systemu gospodarczego, głosił program tzw. justycjonalizmu (sprawiedliwości społecznej), mechanizm władzy opierał na korporacjonizmie. W 1949 roku doprowadził do uchwalenia nowej konstytucji wzmacniającej uprawnienia prezydenckie. Populistyczna strategia Peróna, mimo iż powodowała narastające trudności gospodarcze, przez długi okres zapewniała mu bezwarunkowe poparcie mas ludowych (głównie tzw. *descamisados*) oraz stworzonego przezeń silnego ruchu związkowego.

W polityce zagranicznej starał się równoważyć relacje z USA i ZSRS, łącząc nacjonalizm – hasło „wielkiej Argentyny" – z hasłami sprawiedliwości społecznej, „pokoju klasowego" i „trzeciej drogi". W realizacji planów Peróna znalazło się miejsce i dla niemieckich specjalistów. Również tych z SS… W latach 1939–1941 przyszły prezydent pełnił funkcję attaché wojskowego we Włoszech. Zafascynował go wtedy faszyzm Mussoliniego oraz idea wodzostwa, którą sam później z powodzeniem praktykował. Kiedy objął ster władzy, zaczął przyjmować licznie uciekających z Europy nazistów, szczególnie naukowców, których doświadczenia miały pomóc we wprowadzeniu w kraju europejskich technologii. Nad Rio de la Plata noszono się z zamiarem budowy fabryk broni, samolotów bojowych, a nawet broni nuklearnej. Ambicje Peróna kazały mu marzyć o przekształceniu kraju w militarną i przemysłową potęgę.

Kluczową rolę odgrywał tu szef tajnych służb Peróna, Rodolfo Freude, młody jasnowłosy Argentyńczyk. Jego ojciec, niemiecki biznesmen Ludwig Freude, utrzymywał podczas wojny ścisłe kontakty z nazistami, zwłaszcza z wywiadem niemieckim. Najważniejszym inspiratorem działalności był zaś dawny Hauptsturmführer SS, niemiecki Argentyńczyk Carlos Fuldner. Jeszcze w marcu 1945 roku jako współpracownik wydziału zagranicznego

SD pojechał do Madrytu celem wyszukania szlaków ucieczki dla swych kompanów. W 1947 roku sam uciekł do Argentyny, gdzie u boku Freudego został specjalistą do spraw niemieckiej imigracji.

Zwerbował między innymi na potrzeby argentyńskiego lotnictwa kilku niemieckich asów pilotażu: generała eskadry myśliwców Adolfa Gallanda i pułkownika Hansa-Ulricha Rudela, najczęściej odznaczanego żołnierza Wehrmachtu. Zadanie Fuldnera polegało jednak przede wszystkim na ratowaniu nazistów. Mógł się pochwalić sukcesami w zorganizowaniu udanych ucieczek między innymi Josefa Mengele, Adolfa Eichmanna, Ericha Priebke, Josefa Schwammbergera i Ante Pavelicia.

Jak już dzisiaj wiadomo, drogę tej „akcji ratunkowej” torowała Evita, piękna i kontrowersyjna żona Juana Domingo Perón a. Miłośniczka eleganckich sukien i wytwornej biżuterii kierowała się zgoła egoistyczną motywacją przy wpuszczaniu do kraju nazistów dysponujących dużą gotówką.

To głównie w Argentynie osiedli najrozmaitsi polityczni wygnańcy z całej Europy: niemieccy i austriaccy naziści, włoscy faszyści, Rosjanie z dywizji Własowa, Francuzi z Vichy i ci późniejsi z O.A.S., Holendrzy z dywizji SS „Nederland”, Czesi – wygnani po komunistycznym zamachu stanu w Pradze w roku 1948, a później Węgrzy z powstania w Budapeszcie w roku 1956. Stworzyli tu nową rodzinę o znacznie silniejszych więzach niż tamta prawdziwa, spojoną przez wspólne doświadczenia.

Rabowane przez esesmanów bogactwa przeznaczone były na zapewnienie im bezpiecznego życia po wojnie i realizację wielkiego planu Heinricha Himmlera – zbudowania na gruzach hitlerowskiej III Rzeszy himmlerowskiej IV Rzeszy. Wkrótce znaleźli miejsce, gdzie można było ulokować bezpiecznie ten majątek i gdzie Rzesza miała się odrodzić – właśnie Argentynę.

*

Człowieka, który uratował Mussoliniego, Perón przyjął z wielkim szacunkiem i zaproponował zajęcie się szkoleniem argentyńskiej tajnej policji. Delektując się pochlebstwami prezydenta, Skorzeny wyraził zgodę i w niedługim czasie Argentyna dysponowała już doskonale wyszkolonymi oddziałami specjalnymi. Podobno pewnego dnia udaremnił nawet osobiście próbę zamachu na życie pani prezydentowej, przytrzymując na muszce pistoletu dwie podejrzanie zachowujące się osoby.

Znając inne postępki Skorzenego, nie można wykluczyć, że cały domniemany spisek został przez niego zainscenizowany, żeby zrobić wrażenie na Evicie. Do Argentyny bowiem przybył Otto z określonym zadaniem.

Do tej pory Juan i Evita zachowywali się tak, jak gdyby powierzony im przez esesmanów majątek – pieniądze, złoto i klejnoty zrabowane więźniom obozów koncentracyjnych, które następnie sekretarz Hitlera, Bormann, miał przekazać Perónowi, był częścią ich własnej fortuny. Niemcy, którzy mieli czuwać nad skarbem, szybko utracili nad nim kontrolę. Otto przygotował więc plan, by tę sytuację zmienić.

Szybko zorientował się, że to właśnie Evita Perón, praktycznie myśląca kobieta, którą kierowała zarówno charakterystyczna dla dziecka ze slumsów ambicja, jak i nadzwyczajna zachłanność, jest prawdziwym mózgiem, który rządzi Argentyną. „W owym czasie otrzymałem meldunek, że jedynym sposobem zdobycia przychylności Evity było zabranie jej do łóżka, ponieważ czuła się osamotniona” – przyznał w rozmowie z Glennem Infieldem.

Czy prostytutka może zostać świętą? Dzieje niejakiej Marii Magdaleny świadczą o tym, że może. Czy portowa dziwka może zostać żoną prezydenta i wybitnym politykiem? Dlaczegóż by nie? Historia życia Evity Perón jest tego najlepszym przykładem. Argentyński dyktator Juan Domingo Perón nie stałby przez tak długie lata na czele wielkiego państwa, gdyby nie wspierała go i nie propagowała jego polityki piękna Evita. Kochano ją gorąco i równie gorąco nienawidzono za życia, wielbiono po śmierci. Do dziś otoczona jest nieprzemijającą legendą jednej z najbardziej

fascynujących kobiet XX wieku. Uznana świętą za życia, symbol populizmu i Trzeciej Drogi, do dzisiaj budzi ogromne kontrowersje. Łzawa historia o wiejskiej dziewczynce, która wyrosła na jedną z najsłynniejszych kobiet na świecie, nieustannie inspiruje wszelkiego rodzaju twórców. Poświęcono jej setki książek, filmów i musicali.

Evita miała bardzo złożony charakter. Umiała być wspaniałomyślna, a jednocześnie niezwykle mściwa. Od dzieciństwa niemal nauczyła się wykorzystywania seksu jako środka do zdobycia władzy i pieniędzy, jej dwóch największych miłości. Przed poznaniem Peróna miała wielu mężczyzn, ale po ślubie była mu wierna, z jednym tylko podobno wyjątkiem. Podczas II wojny światowej poznała Arystotelesa Onassisa, który organizował wysyłanie paczek żywnościowych do okupowanej Grecji. Kiedy w 1947 roku bawiła w Europie, spędzili wspólnie z greckim milionerem noc w letniej rezydencji Perónów na Włoskiej Riwierze. Nie wiadomo, czy doszło między nimi do zbliżenia, ale trudno przypuścić, by znany ze swych miłosnych podbojów Arystoteles został na noc u Evity w celu pochwalenia się swą wspaniałą kolekcją znaczków pocztowych. Rano Evita usmażyła mu omlet, on zaś wypisał czek na dziesięć tysięcy dolarów na cele dobroczynne. W późniejszym czasie wyznał, że był to najdroższy omlet w jego życiu.

Skorzeny rozpoczął więc subtelną grę z kobietą, która trzymała w swoim ręku klucz do „złota nazistów”. Był na tyle ostrożny, by nie okazywać otwarcie zainteresowania jej wdziękami, zazdrość dyktatora mogła przecież zniweczyć wszystkie plany. Czy rzeczywiście udało mu się zaciągnąć ją do łóżka? Świadek tamtych wydarzeń, dziennikarz „New York Timesa” Milton Bracker, twierdzi, że tak: „Byli bardzo blisko – napisał. – Wiem na pewno, że często udawali się razem na kilkudniowe wycieczki, rzekomo na inspekcję funkcjonowania państwa. W rzeczywistości zaszywali się w jednej z tajemniczych rezydencji Evity nad oceanem lub wysoko w górach. Była zafascynowana jego reputacją, jego wzrostem i męskością. Skorzenego zawsze interesowały piękne kobiety, a tym bardziej, jeśli

dysponowały władzą i wpływami. W wypadku Evity jego zainteresowanie było dużo większe, ponieważ to ona kontrolowała skarb Bormanna”.

Wielu badaczy dziejów Skorzenego twierdzi, że w roku 1950 zdołał wydostać od Evity sto milionów dolarów nazistowskiego depozytu, które przewiózł z powrotem do Europy. Trudno jednak dociec, czy wszystko to jest prawdą.

Pod presją opinii publicznej prezydent Argentyny Carlos Menem powołał w 1997 roku komisję śledczą do wyjaśnienia działalności w tym kraju grup nazistowskich. Do jej zadań należało też odszukanie legendarnego „złota nazistów”. Po dwóch latach badań komisja zdołała jedynie stwierdzić, że Argentyna stała się miejscem schronienia dla przynajmniej stu osiemdziesięciu przestępców wojennych, w tym Belgów, Chorwatów i Francuzów – mimo iż rzeczywista, nieoficjalna liczba tych osób była znacznie wyższa. Nie natrafiono natomiast na najmniejszy ślad złota.

*

Tymczasem nadszedł rok 1951. Przed mającymi się odbyć w tym roku wyborami milionowy tłum wypełnił ozdobioną gigantycznymi portretami Peróna i Evy aleję 9 Lipca. Jak grzmot niosło się potężne wołanie: Evita! Evita! Lud żądał objęcia przez nią stanowiska wiceprezydenta. Popularność pani Perón osiągnęła swój szczyt. Nikt ze zgromadzonych nie znał jednak jej straszliwej tajemnicy. Wiedziała tylko ona, mąż i kilka najbardziej zaufanych osób. Eva Perón umierała na raka szyjki macicy. Ta sama choroba zakończyła życie pierwszej żona Peróna – Aurelii Tizon, którą rak zabił w wieku dwudziestu ośmiu lat. „Prawdopodobnie Juan Domingo był nosicielem wirusa brodawczaka, wywołującego zmiany nowotworowe w nabłonku szyjki macicy” – stwierdził Jan Stradowski w artykule *Medycy ostatniej posługi.*

Jeszcze raz Evita wystąpiła publicznie 4 czerwca 1952 roku podczas uroczystości zaprzysiężenia Peróna na prezydenta, związanej z jego

reelekcją w roku poprzednim. Ważyła wówczas trzydzieści siedem kilogramów i ledwie utrzymywała się na nogach. Wystąpiła w futrze, maskującym specjalne podpórki. Bóle pojawiały się co dwie, trzy minuty, zapierając dech. Nie mogła sobie jednak pozwolić na luksus cierpienia: tego dnia o trzeciej po południu jej mąż miał po raz drugi z kolei składać przysięgę jako prezydent republiki, ludzie napływali do Buenos Aires tysiącami. Przybywali głównie po to, by zobaczyć ją, nie jego.

Tamtego dnia pozdrawiała zachwycone tłumy po raz ostatni. Nie zobaczyli jej już nigdy więcej. Zmarła 26 lipca o godzinie 20.25. Miała zaledwie trzydzieści trzy lata…

„Była wielka i ponadczasowa, stała się symbolem polityka z powołania, fanatyka zaangażowanego duchem i ciałem w sprawy Państwa i Narodu. Takich dzisiaj Polska nie posiada, przynajmniej wśród tych z pierwszych stron gazet – napisał Sławomir Dawidowski w książce *Evita Perón. Pierwsza Dama Populizmu*. – […]. Życie Evity jest przykładem na to, że jeśli ktoś chce walczyć o prawa narodu do godnego życia, wypowiadać się w jego imieniu, a wreszcie obarczyć siebie ciężarem odpowiedzialności za niego, musi liczyć się z tym, że jego droga będzie prowadzić przez mękę, że jest skazany na samotność i nieustanną walkę nie tylko z przeciwnikami politycznymi, ale i z samym sobą”.

Kraj pogrążył się w żałobie. Setki tysięcy ludzi modliły się za nią podczas odprawianej pod modrym niebem Argentyny mszy polowej. Rezydencję Perónów otoczyły tłumy płaczących na klęczkach kobiet. Echo tego płaczu powraca na całym świecie do dziś dnia, kiedy na końcu sławnego musicalu Andrew Lloyda Webbera i Tima Rice’a rozlegają się tony znanej pieśni, w której umierająca Evita prosi: „Nie płacz za mną Argentyno”.

Śmierć żony, próby wprowadzenia korekt do kolejnego pięcioletniego planu gospodarczego oraz konflikt z Kościołem katolickim, między innymi na tle ustawy legalizującej rozwody i prostytucję (1954), doprowadziły do znacznego osłabienia pozycji Perón. 16 czerwca 1955 roku papież Pius XII obłożył go ekskomuniką, a jego zwolennikom zagroził tą samą

karą. Kiedy argentyńscy katolicy stanęli przed wyborem pomiędzy Kościołem a Perónem, wzięli stronę Kościoła. Stojąc w obliczu wojskowego spisku, dyktator uciekł z kraju na paragwajskiej kanonierce, którą podesłał mu prezydent tego kraju Alfredo Stroessner.

Po krótkim pobycie w Wenezueli schronił się w rządzonej przez generała Franco Hiszpanii[6]. Chodzą słuchy, że akcją ewakuacji obalonego dyktatora kierował nie kto inny, lecz Otto Skorzeny. Być może jednak jest tak, jak w starej piosence o australijskim bandycie, synu irlandzkiego złodzieja, Edwardzie „Nedzie" Kellym i jego braciach: „Mała Peggy puszcza się, pewnie sprawka Kellych, krowy mleka dają mniej, pewnie sprawka Kellych…".

Zanim jednak dziejowa burza zmiotła z prezydenckiego fotela Juana Domingo Peróna, Skorzeny wziął udział w innej operacji, tym razem polegającej na szantażu…

*

Koniec wojny, za którym w Londynie tęskniono już od dawna, nie był jakimś dramatycznym czy nagłym zwrotem, jak w roku 1918. Klęska Niemiec była widoczna od miesięcy i nawet w kołach nazistów nie dawała się ukryć. Alianccy żołnierze pragnęli jak najszybciej wrócić do domu, a problemy związane z przyszłością Europy oddać w ręce polityków. W Anglii rozpoczęło się odbudowywanie zniszczonych niemieckimi bombami miast. Winston Churchill, a dokładniej mówiąc, konserwatyści mieli zostać na swych urzędach jeszcze tylko przez najbliższe dwa miesiące. Wdzięczność angielskich obywateli za dokonania premiera nie rozprzestrzeniła się na frakcję, której przewodził. Wyborcy nie chcieli powrotu do czasów międzywojennych i po wyborach z czerwca 1945 roku brytyjski bohater narodowy musiał wyprowadzić się z rezydencji premierów przy Downing Street, zabierając ze sobą swoje pudełko z cygarami.

Część historyków, komentując wynik wyborów, stwierdziła, że najprawdopodobniej Brytyjczycy uznali, iż człowiek, który nadawał się na czas wojenny, nie nada się na czas pokoju. Inni dopatrywali się tu nie tyle stosunku do Churchilla, ile rozczarowania społeczeństwa konserwatywnymi rządami Stanleya Baldwina i Neville'a Chamberlaina z lat trzydziestych. W lipcu 1945 roku laburzyści po raz pierwszy sformowali jednopartyjny rząd większościowy pod przewodnictwem Clementa Attlee.

Następne sześć lat Churchill spędził jako lider partii opozycyjnej, dopiero wybory z roku 1951 przyniosły druzgocącą klęskę laburzystom i ponownie wyniosły do władzy konserwatystów. Tym samym Winston Churchill kolejny raz objął więc tekę premiera. Podczas swojej kadencji odnowił ścisłe związki Wielkiej Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi, które sam nazwał „specjalnymi relacjami", i aktywnie zaangażował się w ustalanie powojennego ładu światowego. Na dalszy plan zeszły sprawy wewnętrzne, zepchnięte tam przez ważne wydarzenia międzynarodowe związane ze stopniowym upadkiem brytyjskiego imperium kolonialnego, Churchill bowiem był gorącym zwolennikiem przywrócenia Wielkiej Brytanii statusu światowej potęgi.

Przed wyborami z roku 1951 w Wielkiej Brytanii trwała zażarta walka polityczna o to, kto obejmie ster rządów na najbliższych pięć lat. Rządowi Partii Pracy kończyły się pomysły i pieniądze. Kiedy ruszyła przedwyborcza kampania, w Londynie zaczęły krążyć plotki o dziwnych związkach Churchilla z Mussolinim. Otóż podobno już w roku 1927, kiedy w rządzonych przez duce Włoszech znacząco wzrosła produkcja żelaza i stali oraz wyrobów tekstylnych, zmodernizowano i zelektryfikowano linie kolejowe, nastąpił rozwój masowego sportu, opieki socjalnej oraz ogromny wzrost wydatków na służbę zdrowia i szkolnictwo, Winston Churchill miał ponoć powiedzieć, że „to właśnie Włochy dały nam środek na sowiecki jad. Gdybym był Włochem, stałbym się faszystą". Po tej wypowiedzi pomiędzy oboma mężami stanu nawiązane zostały podobno kontakty listowne.

Kiedy nadeszła wojna, brytyjski premier układał się – znów podobno – z duce. Znaczyłoby to, że kiedy brytyjscy żołnierze ginęli tysiącami

w Afryce Północnej, a później we Włoszech, ich polityczny przywódca korespondował z tym właśnie Włochem, który wciągnął swój kraj w wojnę po stronie nazistowskich Niemiec. Czy to możliwe, by Churchill, który przez całą wojnę stanowczo zakazywał wszelkich tajnych układów z Niemcami, w tym nawet antynazistowskim ruchem oporu, przez cały czas „flirtował” z Mussolinim?

Jak wieść niosła, duce nie zniszczył tych listów. Miał je wśród swoich najważniejszych dokumentów, stale wożąc ze sobą. Nawet wówczas, gdy został aresztowany i osadzony w górskim hotelu „Albergo-Rifugio” w Abruzzach. Podobno to właśnie między innymi te dokumenty znajdowały się w trzymanej w zaciśniętych dłoniach skórzanej teczce, spoczywającej na kolanach dyktatora, gdy pilotowany przez Heinricha Gerlacha samolot startował z wąskiej łąki na masywie Gran Sasso d’Italia. Czyżby zamierzał użyć ich do ratowania własnej skóry, gdy nadejdzie krytyczny moment?

Lewicowe gazety, takie jak na przykład niewychodzący już dzisiaj „Daily Herald”, wyczuły natychmiast, że szykuje się duży skandal polityczny. Reporterzy tej gazety rozjechali się po całej Europie Zachodniej, szukając wszelkich śladów, które potwierdziłyby krążące plotki. Znaleźli nawet niejakiego Enrico de Tomę, byłego pułkownika, który podobno widział na własne oczy korespondencję Churchilla i Mussoliniego. Utrzymywał on, że pamięta list od brytyjskiego premiera do duce, oferujący Włochom kontrolowaną przez Francuzów Tunezję. W ramach rekompensaty Francja miała otrzymać Kongo Belgijskie.

Jak utrzymywał de Toma – i kilku innych, próbujących zyskać rozgłos przy okazji tej sprawy – w wymianie korespondencji początkowo, w kwietniu 1940 roku, pośredniczył Dino Grandi, późniejszy szef Wielkiej Rady Faszystowskiej. Wśród korespondencji, która zaczęła się od starań Churchilla o utrzymanie Włoch z dala od wojny, były też ponoć listy takich ludzi, jak królewski syn, książę Umberto (przyszły Umberto II).

Taki skandal mógł zniszczyć nie tylko wielkie wojenne zasługi Churchilla, ale także zniweczyć wszelkie szanse torysów na utworzenie

nowego rządu.

*

Mając za sobą pierwsze osiągnięcia w wyciąganiu spod stryczka zbrodniarzy wojennych, Skorzeny i jego mocodawcy doszli do wniosku, że nadszedł czas wypuszczenia na wolność wszystkich, odbywających jeszcze kary. Władze amerykańskie od dawna już niezwykle liberalnie odnosiły się do hitlerowców, lecz musiały się przy tym liczyć ze swym drugim zachodnim sojusznikiem – Brytyjczykami. I tu zaczęły się piętrzyć trudności. Ciągle jeszcze nad Tamizę napływały informacje o odkrywanych grobach angielskich jeńców wojennych, zaginionych obywateli Albionu, których szczątki odnajdywano między innymi w obozach koncentracyjnych. Pobudzało to do podejmowania przez prasę publikacji na temat barbarzyńskich nalotów na Londyn rakietami V-1 i V-2, wspominano los Coventry[7].

W kręgach dawnych esesmanów powstał wówczas podobno diabelski plan wywarcia nacisku na Churchilla i zaszantażowania go posiadanymi oryginałami listów do duce. Brytyjski premier spotkał się ponoć w Wenecji ze Skorzenym i za obietnicę traktowania „łagodniejszą ręką” dawnych zbrodniarzy odzyskał upragnione dokumenty.

Czy tak było naprawdę? Na dobrą sprawę, nie wiadomo. O spotkaniu tym opowiadał niejaki Paul Förster, który był rzekomo jego uczestnikiem: „Sir Winston otrzymał jakieś rzeczy z okresu wojny, których bardzo pożądał, a on [Skorzeny] otrzymał obietnicę, że niektórzy z naszych kamratów siedzących w więzieniu mogą uzyskać przedterminowe zwolnienie”.

Faktem jest, że Churchill został wybrany, a dla uwięzionych ludzi SS nastały lepsze dni. Wkrótce zwolniono z więzienia skazanego na dwadzieścia lat Franza Alfreda Sixa, który miał rządzić okupowaną Brytanią w 1940 roku, szefa VII Urzędu RSHA. Na wolności znaleźli się skazani na dwadzieścia pięć lat Obergruppenführerzy Gottlieb Berger (szef

sztabu SS) i Hans Heinrich Lammers, prawa ręka Kanclerza Rzeszy, odpowiedzialny za eksterminację narodów podbitych państw, w tym za wysiedlanie ludności polskiej z terenów włączonych do Rzeszy oraz kreowanie polityki Hansa Franka na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

Dołączyli do nich sekretarz Göringa Paul Körner i Brigadeführer Heinz Jost, w latach 1939–1941 szef urzędu VI (zagraniczna służba wywiadowcza) w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy. Podczas kampanii wrześniowej był członkiem tzw. Sztabu Heydricha, kierującego poczynaniami policji bezpieczeństwa i SD w zajmowanej Polsce. W 1942 roku został szefem grupy operacyjnej A (Einsatzgruppe A) policji bezpieczeństwa i SD, działającej na terytorium Litwy, Łotwy i Estonii oraz na okupowanych ziemiach Związku Sowieckiego, odpowiedzialnym za popełnione przez tę formację masowe morderstwa.

Swoją celę opuścił też stary kamrat Skorzenego Edmund Veesenmayer, pełnomocnik III Rzeszy na Węgrzech. Ujęty po wojnie przez Amerykanów, w 1948 roku zasiadł na ławie oskarżonych w jednym z procesów norymberskich, tzw. procesie ministerstw. W kwietniu następnego roku został skazany na karę dwudziestu lat pozbawienia wolności. Wypuszczony już po trzech latach, szybko zrobił karierę biznesową w RFN jako przedstawiciel kilku koncernów przemysłowych z Darmstadt. Zmarł w 1977 roku.

Z pamiętników brytyjskiego premiera wiemy tylko, iż ambasador Wielkiej Brytanii poinformował go w opisywanym czasie, że zgłosił się do niego jakiś Włoch, oferując sprzedaż „dokumentów Churchilla” za sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. W odpowiedzi na to Churchill otoczył się dymem ze swojego ulubionego cygara i fuknął tylko:

– Opublikuj je i idź do diabła!

Zdaniem poważnych historyków zupełnie już między bajki należy włożyć historyjkę o tym, że Mussolini został jakoby zamordowany na bezpośredni rozkaz Churchilla, zanim zdążył wyznać znane sobie tajemnice, a Skorzeny dysponował również potwierdzającymi ten „fakt” dokumentami.

Rewelacje te pojawiły się w relacjach niejakiego Bruno Giovanni Lonatiego, byłego partyzanta. Stwierdził on mianowicie, że Benito Mussolini i Clara Petacci zostali rozstrzelani nie przez włoskich partyzantów, jak głosi oficjalna wersja, lecz przez grupę żołnierzy pod dowództwem Anglika, kapitana Malcolma Smitha. Człowiek ten, znany wtedy Lonatiemu tylko jako „John", urodził się i wychował na Sycylii, był synem zatrudnionego w kopalni siarki inżyniera. Ze względu na znajomość kraju i języka, został zwerbowany przez brytyjski wywiad. (Późniejsze poszukiwania doprowadziły do ujawnienia, że człowiek nazwiskiem Malcolm Smith, posługujący się pseudonimem „John", rzeczywiście był agentem MI-6).

„Kontrowersyjną relację Lonatiego wydają się potwierdzać pamiętniki innego partyzanta, Franco Magniego, który zniknął dwa lata po zabójstwie – twierdzi Charles Whiting w książce *Skorzeny – najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*. – Pamiętniki Magniego *Rebels of the Resistance in Pre-Alpine Lombardy* zdają taką relację z wydarzeń: «Weszli [Smith i trzej inni uzbrojeni bandyci pod jego komendą] do pokoju, w którym trzymano Mussoliniego i Clarę. Około 10 wieczorem wyprowadzili ich na zewnątrz. Niedługo po tym słychać było strzały». Lonati zapamiętał to w ten sposób: «Anglik powiedział mi, że będziemy musieli ich zastrzelić i że strzelać musi jeden z nas, Włoch. Wyszliśmy z domu i po przejściu ścieżką 200 metrów wypaliłem, bez ostrzeżenia, kilka serii z pistoletu maszynowego, mierząc w serce Duce. Niemal jednocześnie John otworzył ogień do kobiety. Było tuż po 11 rano 28 kwietnia 1945 roku».

Okazało się jednak, że miała miejsce druga «egzekucja», przeprowadzona przez partyzantów z Mediolanu, «pułkownika Valerio», który naprawdę nazywał się Walter Audisio".

Autorowi niniejszego opracowania nie udało się wpaść na najmniejszy nawet ślad osoby o nazwisku Franco Magni ani jego książki o tytule *Rebels of the Resistance in Pre-Alpine Lombardy.* Podobno, jeśli czegoś nie ma w Internecie, to nie istnieje w ogóle…

Niektórzy zwracają jednak uwagę na tajemnicze zgony ludzi, którzy stali na drodze realizacji politycznych planów brytyjskiego premiera. Mowa tu o naczelnym dowódcy francuskiej floty admirale François Darlanie oraz o Naczelnym Wodzu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i premierze Rządu na Uchodźstwie, generale Władysławie Sikorskim.

*

Rok 1954 okazał się bardzo szczęśliwy dla Otto Skorzenego. Przede wszystkim w marcu tego roku zawarł w Madrycie, po raz trzeci w swoim życiu, związek małżeński. Szczęśliwą wybranką była trzydziestotrzyletnia Ilse Lutje Finke von Fickenstein, zwana „Hrabiną”. Poznali się jeszcze w 1949 roku w Bawarii. (Niektóre źródła podają, że Skorzeny miał w Hiszpanii nieślubnego syna, Alberto da Costę).

Miesiąc później z rosyjskiej niewoli powrócił starszy brat Ottona, Alfred Skorzeny. „Niektórzy europejscy żołnierze walczący z bolszewizmem pozostawali w niewoli od 1941 roku – czytamy w jego pamiętniku. – Mój brat, dlatego że nazywał się Skorzeny, przez dziesięć lat był więźniem ZSRS. Złapano go w 1946 roku na ulicy w Wiedniu. Gdy w 1954 roku uwolniono go wraz z pozostałymi przy życiu więźniami łagrów Archipelagu Gułag, ledwo trzymał się na nogach po utracie trzydziestu kilogramów. Jego pojawienie się w Wiedniu w takim stanie było niewygodne z powodów propagandowych, toteż Sowieci posłali go najpierw do Jugosławii i tam, niemal w ekskluzywnych warunkach, leczono go i żywiono”.

Po jakimś czasie Otto poczuł się już na tyle pewnie, że wybrał się w podróż do Anglii. Jego pierwsze spotkanie z Londynem okazało się jednak wręcz nieprzyjazne. Kiedy tylko samolot z Madrytu wylądował na Heathrow Airport, do byłego esesmana podeszło dwóch umundurowanych policjantów.

– Policja – powiedział jeden na wypadek, gdyby Otto pomyślał sobie, że są agentami ubezpieczeniowymi albo kimś takim. Prawie dorównywał

Niemcowi wzrostem. (Skorzeny mierzył sobie – według różnych źródeł – od stu dziewięćdziesięciu pięciu do stu dziewięćdziesięciu ośmiu centymetrów).

– O co chodzi?

– *Sorry, mister Skorzeny, but you can't leave the airport.* (Przykro nam, ale nie może pan opuścić dworca lotniczego).

– Dlaczego?

– Bo nie – odparł drugi, jeszcze wyższy od kolegi, ogromne chłopisko z ramionami szerokości dwudrzwiowej szafy.

– Dowcipniś. To nie jest żadne wytłumaczenie. Proszę mi podać powód.

– Takie mamy rozkazy.

– Zaraz, zaraz – postawił się Skorzeny. – Nie popełniłem na terenie waszego kraju żadnego przestępstwa. Nie macie prawa…

– Nic nas nie obchodzi, czy popełnił pan jakieś przestępstwo, czy nie – przerwał mu bezceremonialnie drugi policjant, ten jeszcze wyższy. – Mamy rozkaz nie wpuścić pana na teren Zjednoczonego Królestwa i zamierzamy go wypełnić. Czy zamierza pan stawiać opór władzy?

– Nie.

– No to pan nie wejdzie.

– A jak będę stawiał opór?

– To też pan nie wejdzie.

Chcąc nie chcąc, umówione spotkanie z wysłannikami szefa byłej brytyjskiej partii faszystowskiej (British Union of Fascist and National Socialists) Oswalda Mosleya musiał odbyć w restauracji lotniska.

– Wobec tego zamierzam udać się do najbliższej knajpy – rzucił jeszcze na koniec pod adresem funkcjonariuszy.

– Proszę bardzo. Byle nie przekroczył pan tej linii.

– Nie zamierzam stawiać wam drinków – dodał, nie będąc pewnym, czy policjanci nie zechcą dotrzymywać mu tam towarzystwa.

– Nawet gdyby pan chciał, nie skorzystalibyśmy.

– Nie pijecie z wrogiem, chłopcy, co? Nawet z byłym – powiedział zaczepnie.

– Nie, po prostu nie pijemy na służbie.

Stan taki nie trwał jednak długo. Skorzeny wiedział, co mówi, odgrażając się publicznie, że „jak zechcę znaleźć się kiedyś w Londynie, nikt mi w tym nie przeszkodzi (o czym pisała „Nürnberger Nachrichten” w listopadzie 1959 roku).

I rzeczywiście, podczas następnej podróży drzwi Albionu stały już dla niego otworem. Na lotnisku czekała limuzyna, skąd Otto udał się do gmachu dyrekcji BBC. Rezultatem tego spotkania było podpisanie umowy na wykorzystanie wspomnień byłego esesmana w audycji „Ludzie działania”. Reklamą „działania” Skorzenego na antenie zajął się – co zakrawa na farsę – generał Brian Horrocks, który w czasie wojny służył w sztabie wojsk brytyjskich walczących w Ardenach.

*

W końcu lat pięćdziesiątych dało się zauważyć szczególnie ciekawe i symptomatyczne zjawisko: wzrastające zainteresowanie byłych esesmanów terenem Irlandii. Nie był to bynajmniej nowy pomysł i nie powstał przypadkowo. Podczas II wojny światowej Irlandia zachowała neutralność, lecz wiadomo, że Hitler i Himmler rozpatrywali ją w swych planach pod kątem kluczowej pozycji dla przygotowań do wtargnięcia na Wyspy Brytyjskie. Grę taką rozpoczęto jeszcze przed wojną, stawiając na irlandzki nacjonalizm oraz wiekowe, zawiłe i krwawe antagonizmy, wiążące się z walką przeciwko Brytyjczykom.

O planach wykorzystania Irlandczyków wspominał w swych *Wspomnieniach* Walter Schellenberg, przyznając, że utworzenie V kolumny w tym kraju stanowiło część składową operacji „Lew Morski”, pod którym to kryptonimem przygotowywano inwazję na Albion w roku 1940. W tym celu planowano w Berlinie wykorzystanie Irlandzkiej Armii Republikańskiej do przeprowadzenia akcji dywersyjnych i sparaliżowania wojsk brytyjskich, bazujących w większości na północy wyspy. Znajdowała się tam przecież jedna z głównych baz morskich Royal Navy –

Londonderry. IRA przegrała wprawdzie wojnę domową, ale nie wyzbyła się myśli o zjednoczeniu Irlandii. W roku 1937 organizacja próbowała zabić w Belfaście króla Jerzego VI, a w 1939 roku przeprowadziła serię zamachów bombowych w Wielkiej Brytanii. Dwóch członków organizacji zostało za nie skazanych na śmierć. Podczas wojny Irish Republican Army (irl. Óglaigh na hÉireann, czyli Irlandzcy Ochotnicy) podjęła współpracę z III Rzeszą, ale bez istotniejszych efektów.

Pod koniec lat pięćdziesiątych w ziemskich majątkach irlandzkich zaczęły pojawiać się nowe nazwiska właścicieli. Jeden z nich nabył również Otto Skorzeny. Spędzał tam wakacje. Korzystając ze zgromadzonego majątku i bezkarności zapewnionej mu przez wpływowych znajomych, wiódł szczęśliwy i dostatni żywot emeryta, krążąc między hiszpańskimi plażami a irlandzkimi zielonymi polami. Po nim zjawili się Oberführer SS[8] Alexander Freiherr von Dörnberg i Friedrich Ernst Karl August Adalbert Prinz von Sachsen-Altenburg oraz wielu innych.

Panowie ci nabywali fermy hodowlane owiec i bydła, lecz nie tylko. W Dublinie pewien przybysz o nazwisku Albert Schmidt wystąpił o pozwolenie na otwarcie restauracji. Zapoczątkował tym aferę, której wynikiem stało się ujawnienie szczegółów związanych z „urządzaniem się" byłych esesmanów na terenie Irlandii. Wyszło mianowicie na jaw, że niedoszły restaurator był członkiem nazistowskiego SD, działającego w okupowanej Holandii, gdzie pełnił funkcję łącznika z wywiadem SS w Dublinie. Wypłynęło przy tym i nazwisko Skorzenego.

Do irlandzkiego rządu napłynęło oficjalne pytanie, „jakie środki podejmują władze w stosunku do dawnego dywersanta, Standartenführera SS?". Podczas gdy Londyn spokojnie pozwalał byłym oficerom Die Schutzstaffel der NSDAP na „produkowanie" się przed mikrofonami BBC, jednocześnie z niepokojem śledził usadawianie się wpływowych osobistości byłego hitlerowskiego reżymu w Irlandii.

„Panuje u nas opinia, że Otto Skorzeny stanowi ukrytą sprężynę tego wtargnięcia, skoro przede wszystkim dąży do przygotowania dla swych pobratymców nowej przestrzeni życiowej – pisał jeden z ówczesnych

obserwatorów, dziennikarz szwajcarskiej gazety «Die Tat». – To pierwsza od 1919 roku «kolonia» Niemiec z przyszłością!”.

I nie bez podstaw, zważywszy chociażby w pełni publiczne, otwarte manifestowanie przez byłych członków SS swych poglądów w środkach masowego przekazu. „Popis” taki dał chociażby Otto Skorzeny 31 sierpnia 1960 roku, występując w jednym z miast irlandzkich na posiedzeniu tamtejszego towarzystwa literacko-historycznego, o czym doniósł francuski tygodnik „Aux Ecoutes”: „Zapytany o Hitlera, przedstawił go w superlatywach, potwierdzając zarazem, że Führer nie żyje. «Oświadczam – powiedział Skorzeny – iż najlepszym dowodem tego, że Führer jest rzeczywiście martwy, to fakt mego pobytu tutaj. Gdyby był żywy, byłbym razem z nim»”.

*

Sądy w wielu krajach, ministerstwa spraw zagranicznych, parlamenty, a nawet specjalna komisja ONZ rozpatrywały przestępstwa dokonane w czasie wojny przez Waffen-SS. Przez lata krążyły dokumenty, wezwania o ekstradycję – wszystko zgodnie z międzynarodowym prawem – z podpisanymi przez zwycięskie mocarstwa zobowiązaniami do pełnego rozprawienia się ze sprawcami nazistowskich zbrodni. Tylko w parlamencie jednego państwa już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych – jak i do tej pory – nie padło na ten temat ani jedno słowo. W parlamencie bońskim…

Czytelnicy „Die Welt” bez większego zdziwienia dowiedzieli się 31 maja 1960 roku, że generalny prokurator Hamburga nie zamierza podejmować żadnych kroków przeciwko byłemu Standartenführerowi SS Otto Skorzenemu. W związku z otrzymanymi zapytaniami prokuratura tego miasta oznajmiła, że w stosunku do wspomnianego „procesu nie będzie”.

„Czyż mogło być inaczej – pisze Zdzisław Bagiński w książce *Oberdywersant* – skoro tymże prokuratorem generalnym był wówczas niejaki Willi Stergmann, od 1938 roku prokurator w berlińskiej komendanturze, w 1944 roku starszy radca sądu wojskowego dowódcy

Wehrmachtu w Belgii i północnej Francji, a pod koniec wojny sędzia korpusu wojsk SS? Gdyby Stergmann zamierzył się na Skorzenego, uderzyłby w samego siebie. Nie obawiał się również protestów ze strony własnej palestry, gdyż obaj hamburscy oberprokuratorzy, Herbert Skock i Ernst Meyer-Margret, podobnie jak trzeci z tego sądu, Hans Forrell – wszyscy porobili kariery prawnicze w specjalnych sądach hitlerowskich.

Przykład Hamburga nie stanowił wyspy na morzu bońskiej jurysdykcji. We wszystkich landach i miastach wydzielonych w sądownictwie znalazły się niemalże pełne zestawy ludzi pracujących latami w hitlerowskich «gerichtach», sądzących setki tysięcy ludzi na podstawie faszystowskich [Bagiński ma tu zapewne na myśli słowo „nazistowskich", gdyż faszyzm i nazizm to dwie zupełnie różne ideologie] ustaw specjalnych, wysyłających na śmierć patriotów niemieckich i wielu narodowości europejskich. W tym środowisku denazyfikacja była podobną farsą, jak w wielu innych kręgach partyjnych byłych członków NSDAP.

W Europie Zachodniej tu i ówdzie podnosiły się coraz częściej głosy głębokiej obawy w związku z sytuacją w RFN. Opinia publiczna, informowana wprawdzie fragmentarycznie i w małym stopniu, zasypywała redakcje gazet listami i petycjami. Brytyjska liberalna «News Chronicle» podała na tytułowej stronie wielkimi literami: «*Are the Nazis coming back*? – Czy naziści wracają?», opisując błyskotliwe kariery na bońskiej scenie politycznej niektórych zatwardziałych byłych hitlerowców".

W opisywanym czasie tylko nieliczni byli jeszcze zainteresowani doprowadzeniem zbrodniarzy przed oblicze sprawiedliwości. Byli funkcjonariusze NSDAP stanowili 1/3 gabinetu Adenauera, 1/4 Bundestagu i znaczny procent pracowników służby cywilnej, sądownictwa oraz MSZ. Poza tym ośmiu byłych nazistów znalazło się wśród ambasadorów. Norymberga uspokoiła sumienia wielu polityków. W procesach przywódców „Einsatzgruppen", lekarzy z obozów koncentracyjnych i sędziów Trzeciej Rzeszy skazano zaledwie stu osiemdziesięciu pięciu oskarżonych, zaś około 10 600 byłych nazistów za swe zbrodnie wojenne trafiło do więzienia, lecz na ogół na krótko. Zdaniem Szymona Wiesenthala

udział w zbrodniach wojennych brało sto sześćdziesiąt pięć tysięcy Niemców. Albo zwolniono ich z obozów jenieckich, albo nigdy nie złapano. Do dzisiaj zresztą mało kogo interesuje, że wiele nobliwych fortun pracowitych i zorganizowanych obywateli Republiki Federalnej, rozkwitłych w powojennym cudzie, nosi piętno Kaina. Nikt nie pyta na przykład, skąd wziął się majątek Friedricha Flicka[9], a Rudolfa Augusta Oetkera[10] ludzie wyobrażają sobie jako sympatycznego pana o okrąglutkich, różowych policzkach, który często zakłada fartuszek, bo lubi gotować budyń.

Skorzeny czuł się – podobnie jak i jego koledzy z Waffen-SS – już na tyle mocno, że pozwolił sobie w 1960 roku na publiczne zaprzeczanie stawianym mu zarzutom. W gazecie „Freiwillige” (Ochotnik) zamieścił następujące oświadczenie:

„Ze względu na to, że prasa i telewizja ostatnio rozprzestrzeniały o mnie fałszywe informacje, które całkowicie odrzucam, informuję w czterech poniższych punktach co następuje:

Nie miałem nic wspólnego ze zorganizowaniem ucieczki Adolfa Eichmanna.

Nie spaliłem pięciu synagog w Wiedniu.

Nigdy od 1945 roku nie ukrywałem się.

Nigdy nie miałem nic wspólnego z prześladowaniem ludzi”.

Na koniec zagroził procesami sądowymi tym wszystkim, którzy pomawiają go o jakiekolwiek zbrodnie.

*

29 lipca 1937 roku władzę w Egipcie przejął po swoim ojcu Faruk I, z łaski Boga Król Egiptu i Sudanu, Suzeren Nubii, Kordofanu i Darfuru. Monstrualnie otyły władca, bardziej niż swoim państwem i pomyślnością poddanych zainteresowany pornografią, był właścicielem jednej z największych na świecie kolekcji filmów porno i gadżetów. Podobnie jak jego ojciec, Fu’ad I, Faruk odrzucał ustrój demokratyczny,

oficjalnie panujący w kraju od 1922 roku. Zapowiedział wprawdzie reformy socjalne, jednak nigdy ich nie wprowadził. Z powodu nieudolnych i nepotycznych rządów oraz osobistego bogacenia się kosztem narodu początkowo popularny król szybko stracił poparcie ludności. Dodatkowo jego niewłaściwe decyzje polityczno-gospodarcze pogłębiły kryzys ekonomiczny.

W polityce zagranicznej okres rządów Faruka I odznaczył się przede wszystkim konfliktem z Wielką Brytanią. Chociaż na mocy umowy z 26 sierpnia 1936 roku ograniczono wojskową obecność Brytyjczyków do obszaru Kanału Sueskiego, to jednak podczas II wojny światowej wojska brytyjskie ponownie zajęły cały kraj. Farukowi I, pozytywnie nastawionemu do państw Osi, bardzo się to nie spodobało, w związku z czym Egipt nigdy nie przystąpił do działań wojennych i zachował neutralność aż do ostatniego roku wojny. Przez całą wojnę w królewskim pałacu w Kairze przebywali włoscy dyplomaci, na których internowanie Faruk nie wyrażał zgody. Wysyłał także listy do niemieckiego feldmarszałka Erwina Rommla, zapewniając go, że inwazja na Egipt będzie mile widziana, ponieważ pomoże w wyzwoleniu kraju spod panowania brytyjskiego. Pod naciskiem Wielkiej Brytanii Faruk przystąpił do wojny dopiero w 1945 roku, gdy walki w Afryce Północnej zostały już dawno zakończone. Po wojnie Brytyjczycy ponownie wycofali większość swoich wojsk z Egiptu.

23 lipca 1952 roku grupa egipskich wojskowych przeprowadziła zamach stanu, na czele którego stanęli generał Muhammad Nadżib i pułkownik Gamal Abdel Naser – miłośnik Hitlera, agent niemieckiego wywiadu. Faruk I został zmuszony do abdykacji na rzecz swojego półrocznego zaledwie syna Fu’ada II. 17 września Nadżib został premierem Egiptu i członkiem Królewskiej Rady Regencyjnej, pełniąc jednocześnie obowiązki ministra spraw wewnętrznych. 18 czerwca 1953 roku ogłosił koniec monarchii Egiptu i Sudanu, i utworzenie Republiki Egiptu. Jednocześnie został pierwszym prezydentem tego kraju, zachowując funkcję premiera.

Już na samym początku sprawowania przez Nadżiba władzy zaczęło dochodzić do konfliktów pomiędzy nim a Naserem. Spór dotyczył przede wszystkim celów, jakie rewolucyjny rząd powinien realizować. Mohammad Nadżib popierał demokratyzację życia politycznego w państwie, uważał, że armia powinna wycofać się z życia politycznego i ograniczyć swoją działalność jedynie do zadań obronnych, co umożliwiłoby przywrócenie rządów cywilnych w kraju. Naser natomiast sądził, że demokracja i wycofanie armii z życia politycznego umożliwi zwiększenie jego wpływów i przejęcie w przyszłości władzy przez siły radykalne, przede wszystkim przez Braci Muzułmańskich.

Wpływy Nadżiba w rządzie bardzo szybko malały, aż postawiono mu ultimatum: przejęcie absolutnej władzy albo rezygnacja. 25 lutego 1954 roku ogłoszono rezygnację Nadżiba z funkcji prezydenta. Po masowych demonstracjach decyzja została, co prawda, anulowana, ale jego dni były policzone.

Siedemnastego kwietnia 1954 roku fotel premiera objął Gamal Abdel Naser, który w listopadzie, po złożeniu urzędu prezydenta przez Nadżiba, uzyskał pełnię władzy, stając się faktycznym dyktatorem.

Początkowo prowadził politykę zdecydowanie proamerykańską, poprosił nawet Amerykanów o pomoc w utworzeniu wywiadu wojskowego i wewnętrznego korpusu bezpieczeństwa, który miałby sprawować kontrolę nad opozycją, szczególnie nad groźnym Bractwem Muzułmańskim. Amerykanom jednak nie zawsze opłacało się ujawniać swoje zaangażowanie w rejonie tak zapalnym jak Bliski Wschód. W sprawach szczególnie drażliwych woleli korzystać z pośrednictwa wspieranej przez siebie Organizacji Gehlena (przekształconej później w Bundesnachrichtendienst – wywiad RFN).

Reinhard Gehlen zwerbował zespół dwustu byłych oficerów SS i Wehrmachtu pod dowództwem generała artylerii Wilhelma Farmbachera, dowodzącego podczas minionej wojny LXXXIV Korpusem Armijnym, zdymisjonowanego za niesubordynację przez feldmarszałka Rommla 17 czerwca 1944 roku podczas bitwy o Cherbourg. Nową misją Gehlen

obarczył także Skorzenego. W ciągu kilkunastu następnych miesięcy Otto uaktywnił swoje kontakty z siecią uciekinierów SS i stowarzyszeń nazistów, po czym zwerbował około stu niemieckich doradców dla wywiadu egipskiego. Większość służyła dawniej w SS lub Gestapo.

Znalazły się wśród nich takie typy, jak Hartmann Lauterbach – dawny lider Hitlerjugend, Johann von Leers – pomocnik Goebbelsa, doradzający Naserowi w sprawach propagandy, czy Alois Brunner, obok Adolfa Eichmanna najbardziej osławiony realizator „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej" w czasach III Rzeszy i zarazem jeden z najbardziej poszukiwanych zbrodniarzy wojennych. Jak podaje Charles Whiting (*Skorzeny – najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*), znalazł się tu i Oskar Dirlewanger, zwany „Rzeźnikiem Warszawy". Dla Polaków Dirlewanger stał się uosobieniem zła. Nawet przełożeni uważali ludzi z jego jednostki za „gromadę świń, a nie żołnierzy" – jak stwierdził Brigadeführer SS Ernst Rode z niemieckiego sztabu. Zbulwersowany zbrodniami Dirlewangera szef Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Heinz Guderian próbował interweniować u Hitlera, a po wojnie sam Erich von dem Bach-Zelewski, kierujący esesmanami tłumiącymi powstanie, nazwał „dirlewangerowców" zbrodniarzami. Ale co z tego, skoro za wykazane w Warszawie „taktyczne zdolności, odwagę i zimną krew" we wrześniu 1944 roku dowództwo uhonorowało Dirlewangera najwyższym odznaczeniem: Krzyżem Rycerskim Krzyża Żelaznego.

Problem tylko w tym, że ten niewątpliwie wielki zbrodniarz, aresztowany 1 czerwca 1945 roku we francuskiej strefie okupacyjnej, zmarł sześć dni później w niewyjaśnionych okolicznościach w obozie jenieckim w Altshausen w Badenii-Wirtembergii, prawdopodobnie pobity na śmierć przez pilnujących go żołnierzy polskich, służących pod komendą francuskiej armii. Plotki o tym, że Dirlewanger żył w późniejszych latach i służył w armii egipskiej, doprowadziły do ekshumacji jego grobu w roku 1960, która ostatecznie rozstrzygnęła wątpliwości.

Tak czy inaczej Egipt, podobnie jak cały Bliski Wschód, był dla nazistowskich katów idealnym wprost miejscem schronienia. „Wróg Żydów

jest naszym przyjacielem” – brzmiało tamtejsze motto, a utworzenie państwa Izrael uznano tam za „gruby nietakt”. Tym chętniej więc witano niemieckich specjalistów od spraw tajnych, wojska i propagandy.

*

W swoich pamiętnikach Skorzeny przedstawił całą sprawę nieco inaczej, nie po raz pierwszy i nie ostatni mijając się cokolwiek z prawdą i ukrywając niektóre, niewygodne dla niego fakty.

„Prezydent Abdel Gamal Naser poinformował mnie, iż bardzo chciałby rozwinąć Egipt przemysłowo i ekonomicznie z pomocą Zachodu, szczególnie zaś Stanów Zjednoczonych – napisał. – W 1951 roku istniała w Kairze niemiecka misja wojskowa, której szefem był generał Wilhelm Farmbacher. Powstała też po upadku króla Faruka misja cywilna z doktorem Wilhelmem Vossem, byłym dyrektorem zakładów *Škoda*, na czele. Zarówno Farmbachera, jak i Vossa cechowała szczególna ostrożność. Nie chcieli, aby w ich grupach znaleźli się członkowie Waffen-SS.

W czasie mojej drugiej podróży do Kairu Naser dał mi do przeczytania gruby, stukartkowy zeszyt maszynopisu. Po przejrzeniu kilku stron powiedziałem pułkownikowi:

– Ależ chodzi tu o poufne sprawy, dotyczące polityki rządu egipskiego!

Chodziło o treść bardzo korzystnych propozycji rosyjskich, dotyczących zapory w Assuanie i dużej pomocy wojskowej.

Kiedy skończyłem czytać dokument, pułkownik Naser powiedział mi mniej więcej tak:

– Nam, Arabom, nie spieszy się. Umiemy czekać. Zupełnie nie obawiam się, aby nasze narody mogły zostać przyciągnięte przez całkowicie sprzeczny z naszą religią marksizm-leninizm. Ja osobiście jestem prozachodni. Tylko w przypadku odmowy udzielenia pomocy przez Zachód byłbym zmuszony przyjąć pomoc Wschodu. Propozycji, które pan przeczytał, nie zaakceptuję ani za miesiąc, ani za pół roku.

Zapytałem wtedy pułkownika Nasera, czy potwierdzi tę rozmowę w przypadku, gdy w ogólnych zarysach się na nią powołam. Wyraził zgodę.

Doskonale wiedziałem, że w Kairze amerykańskie i brytyjskie służby specjalne nie spuszczały ze mnie oczu. Nie byłem zbyt zdziwiony, gdy po powrocie do hotelu «Semiramis» urocza Greczynka z pochodzenia, lecz Amerykanka duchem, wręczyła mi zaproszenie od amerykańskiego attaché wojskowego na wydawane tego wieczoru przyjęcie. Udałem się tam. Po godzinnej pogawędce pułkownik zapytał, czy moglibyśmy porozmawiać na osobności. Przeszliśmy do jego biura.

– Proszę mi wybaczyć poufałość – powiedział – ale jesteśmy żołnierzami i lepiej jest mówić szczerze. Wiem, że widział się pan dziś po południu z prezydentem Naserem. Audiencja trwała przeszło dwie godziny! Oczywiście, nie chciałbym być niedyskretny, ale czy mogę zapytać, o czym panowie rozmawiali?…

– Pana ciekawość jest zrozumiała. Mogę ją zaspokoić. Niewiele powiedziałem. Czytałem, a potem słuchałem.

Tak się złożyło, że to, co powiedziałem, potwierdziło wcześniejsze informacje pułkownika, przekazane już do Waszyngtonu. Poprosił mnie o pozwolenie na umieszczenie mojego nazwiska w telegramie, który miał wysłać jeszcze tego samego wieczoru do Waszyngtonu. Nie miałem nic przeciwko temu”.

Początkowo CIA, która pośrednio nadzorowała poczynania Skorzenego w okresie zimnej wojny, nie miała żadnych zastrzeżeń. Naser w oczach amerykańskich agentów był pierwszym bastionem obronnym przeciwko obecności Rosji Sowieckiej na Bliskim Wschodzie. Pod jego przywództwem inne muzułmańskie kraje regionu stanęłyby w szyku, by zatrzymać postępy „czerwonych” w tym strategicznie ważnym rejonie. W 1952 roku Allen Dulles zgodził się nawet z Naserem, by rewolucja przeciwko królowi Farukowi następowała w delikatnie kontrolowanych etapach, przy czym kontrolę powinni oczywiście sprawować panowie z Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Za jego rządów wdrożony został program reform społecznych ukierunkowanych na budowę socjalistycznego i egalitarnego społeczeństwa. Przeprowadzona została reforma rolna oraz – w kilku etapach – nacjonalizacja największych przedsiębiorstw prywatnych, państwo zaczęło odgrywać dominującą rolę w gospodarce, upowszechniono edukację (gwarantując zatrudnienie absolwentom szkół wyższych). Zlikwidowany został system wielopartyjny na rzecz utworzenia jednej partii, wyrażającej jedność wszystkich Egipcjan.

Jak na razie wszystko jeszcze było w najlepszym porządku. Jak na razie…

*

Wśród egipskich oficerów Skorzeny czuł się wyjątkowo swobodnie. Wielu z nich działało w czasie wojny przeciwko Brytyjczykom, pod dowództwem ówczesnego majora Abdela Gamala Nasera i porucznika Anwara Sadata – przyszłego prezydenta kraju i przyszłego Laureata Pokojowej Nagrody Nobla (w 1978 roku wspólnie z Menachemem Beginem). Zajął się szkoleniem pierwszych palestyńskich terrorystów, którzy pozostawali cierniem w oku Izraela przez wiele następnych lat. Jednym z jego uczniów był podobno Jaser Arafat, późniejszy przywódca Organizacji Wyzwolenia Palestyny.

Ignorując nałożony na Egipt zakaz sprowadzania broni, Otto przemycał również najnowsze pistolety automatyczne z Włoch i Belgii. Wraz z tą bronią pojawili się niemieccy specjaliści od zabójczych gazów, których naziści używali w obozach koncentracyjnych, i gazów paraliżujących układ nerwowy, których na szczęście Hitler nie użył przeciwko aliantom, ponieważ ci nie mieli ani masek, ani ubrań ochronnych.

W miarę uświadamiania sobie, co się dzieje w Egipcie, CIA ciągle wierzyła, że zdoła opanować ambicje Nasera na Bliskim Wschodzie i tym samym uchronić Izrael, popierany przez bardzo silne w Stanach Zjednoczonych lobby syjonistów. Wiedząc, że za większością egipskich

poczynań stoi Otto Skorzeny, liczyła, że jego nienawiść do Rosji sprawi, że będzie się przykładał do pracy nad utrzymaniem komunistów z dala od Bliskiego Wschodu. Pomylili się…

Starania Nasera o pomoc amerykańską przy modernizacji armii spotkały się z odmową – USA żądały zgody na otwarcie w Egipcie bazy wojskowej i nadzorowanie zbrojeń, przede wszystkim kontrolę, czy nowo pozyskana broń nie będzie użyta przeciw Izraelowi. Naser odmówił, a w lipcu 1955 roku zawarł umowę o zakupie uzbrojenia z Czechosłowacją. W rzeczywistości miało ono pochodzić z ZSRS i Polski. Razem ze sprzętem do Egiptu przybyli sowieccy instruktorzy. W roku następnym Naser odrzucił ofertę sfinansowania budowy Tamy Asuańskiej z pożyczki udzielonej przez International Bank for Reconstruction and Development – Międzynarodowy Bank Odbudowy i Rozwoju, zwany popularnie Bankiem Światowym. Znacjonalizował też Kanał Sueski, wywołując tym światowy kryzys, i uznał Chińską Republikę Ludową, zawierając z nią układ o wzajemnych dostawach bawełny i stali.

Po uznaniu ChRL przez Egipt Stany Zjednoczone wycofały się z wcześniejszych ofert finansowania budowy Wysokiej Tamy, która w zamierzeniach Nasera miała być wieczną pamiątką jego wielkości. Po nagłej, całkowitej zmianie frontu, która zupełnie zaskoczyła Amerykanów, rozjuszony dyktator zwrócił się o pomoc do Rosjan. W maju 1956 roku Egipt otrzymał już od państw bloku wschodniego broń o wartości dwustu pięćdziesięciu milionów dolarów. Jednocześnie z zacieśnianiem kontaktów z blokiem wschodnim Naser wycofywał się stopniowo z wcześniejszej polityki represji wobec komunistów.

Paradoksalnie Skorzeny, zaciekły wróg „czerwonych”, odegrał w tym zwrocie istotną rolę. Meldunek z ambasady amerykańskiej w Kairze ujawnił, że jego współpracownik, doktor Wilhelm Voss, przez cały czas nadzorował stosowne działania ze strony Egiptu.

Było jasne, że w Kairze sytuacja wymyka się spod kontroli i że użyczeni Naserowi przez CIA niemieccy eksperci pracują na dwa fronty. Ale Skorzeny przetrwał i tę burzę, zbijając przy okazji na transakcji finansowej

pomiędzy Naserem a jego nowymi sojusznikami małą fortunę. Amerykanie nadal go wspierali. Nie mieli wyboru. Asystent sekretarza stanu USA Averell Harriman, który w czasie wojny był doradcą Roosevelta w Londynie, utrzymywał, że Niemcy powinni zostać w Egipcie: „Wyjazd niemieckich naukowców z Egiptu mógłby doprowadzić do zastąpienia ich grupą sowieckich naukowców, zdolnych do osiągnięcia tych samych celów – powiedział. – Sytuacja na Bliskim Wschodzie zmieniłaby się na tyle, że zwiększyłaby się zależność Egiptu od Związku Sowieckiego".

Zgrzyt w Egipcie – przynajmniej według Skorzenego – nastąpił w 1965 roku, kiedy Naser zaprosił do swojego kraju Waltera Ulbrichta, przewodniczącego Rady Państwa Niemieckiej Republiki Demokratycznej i zarazem I sekretarza tamtejszej Socjalistycznej Partii Jedności (SED – Sozialistische Einheitspartei Deutschlands). Rząd zachodnich Niemiec złożył ostry protest, lecz egipski dyktator odmówił wycofania zaproszenia. Bonn zareagowało wściekle, zrywając stosunki dyplomatyczne z Kairem, wstrzymując wszelką pomoc ekonomiczną i nawiązując pełne kontakty dyplomatyczne z Izraelem.

To był śmiertelny cios dla niemieckich działań w tym kraju. Misja Skorzenego dobiegła końca.

Zanim to jednak nastąpiło, doszło do wydarzenia wręcz niewiarygodnego. Otto Skorzeny, były Standartenführer SS, zdeklarowany nazista i antysemita, podjął współpracę z… Mossadem.

*

Początkowo Naser nie był wrogiem Izraela, a właściwie był, lecz ze względów pragmatycznych godził się z jego istnieniem. Przedstawiciele Egiptu i Izraela odbywali nawet często niejawne spotkania. Wzajemne relacje załamały się dopiero po aferze Lawona…

W ramach tajnej operacji izraelskiego wywiadu, znanej jako operacja „Susannah", latem 1954 roku agenci żydowscy umieścili bomby w znajdujących się w Egipcie budynkach, w większości należących do

Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii. Uczynili to z nadzieją, że winą za eksplozje zostanie obarczone Bractwo Muzułmańskie, komuniści, nieokreśleni malkontenci bądź też lokalni nacjonaliści. Wydarzenia te stały się szerzej znane jako „afera Lawona", z powodu izraelskiego ministra obrony Pinchasa Lawona, zmuszonego w jej wyniku do rezygnacji ze swego stanowiska. Żydzi określają ją raczej jako *HaEsek HaBish* – „Niefortunną sprawę". Do przeprowadzenia tej akcji przyznali się dopiero w 2005 roku, kiedy ówczesny prezydent Mosze Kacaw uhonorował biorących w niej udział dziewięciu agentów – egipskich Żydów.

W rezultacie prezydent Egiptu przyjął nieskrywanie wrogi stosunek do Izraela, jego kraj popierał odtąd antyizraelskie wystąpienia bojówek palestyńskich. Te z kolei spotykały się z odwetowymi atakami Izraela, w których wojska egipskie ponosiły same klęski. W 1967 roku rozpoczął nawet wojnę z Izraelem (tak zwana wojna sześciodniowa), która zakończyła się całkowitą klęską Egiptu i sprzymierzonych z nim krajów arabskich. Siły Nasera zostały okrążone i rozbite na Synaju. Armia izraelska pokonała również siły Jordanii. 8 czerwca obydwa państwa arabskie były zmuszone podporządkować się rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, żądającej natychmiastowego zawieszenia broni.

Wcześniej jednak w ramach egipsko-niemieckiego flirtu w Kairze pojawili się też niemieccy naukowcy, którzy pracowali kiedyś z Wernherem von Braunem w Peenemünde nad pociskami, które pustoszyły Londyn i Antwerpię w ostatnim roku wojny. Znaleźli się i tacy, którzy obiecali dyktatorowi najbardziej przerażającą broń ze wszystkich – bombę atomową. Wielu zachodnioniemieckich naukowców było sfrustrowanych faktem, że RFN nie pozwala im prowadzić badań na skalę znaną ze złotych czasów III Rzeszy. Niektórzy z nich, związani mocno z dawnym hitlerowskim reżymem, poczuli się więc jak ryby w wodzie w kraju, którego minister zdrowia stwierdził pewnego razu publicznie: „Hitler jest człowiekiem mojego życia. Chciałbym żyć tak jak on".

Już w 1959 roku niemieccy naukowcy mogli pochwalić się pierwszymi osiągnięciami. Willy Messerschmitt stworzył na przykład rewelacyjny

prototyp myśliwca przechwytującego Helwan HA-300. (Straty wojenne przesądziły o zlikwidowaniu programu w 1969 roku, po zbudowaniu trzech prototypów. W tym czasie samolot prawdopodobnie nie zagwarantowałby już lepszych osiągów od dostępnych od ręki MiG-21, które dawały szanse na szybką odbudowę).

Dla wszystkich lotników i inżynierów lotnictwa Wilhelm Emil Messerschmitt był w tym czasie żywą legendą. Jeszcze w czasie studiów, w 1923 roku założył firmę konstrukcji samolotów „Messerschmitt-Flugzeugbau-Gesellschaft". Od 1927 roku jego firma współpracowała z Bayerische Flugzeugwerke AG (BFW). W 1926 roku skonstruował pierwszy na świecie samolot metalowy M 18. Potem zbudował Me 209, na którym 26 kwietnia 1939 roku Fritz Wendel ustanowił rekord szybkości samolotów z silnikiem tłokowym – 755,138 km/h. Został głównym konstruktorem zakładów BFW, gdzie wsławił się zaprojektowaniem myśliwców Bf 109 oraz Bf 110. W roku 1938 został prezesem zakładów BFW, które na skutek tego przemianowano na „Messerschmitt A.G.". Kolejne konstrukcje Messerschmitta oznaczane były od jego nazwiska skrótem „Me". Skonstruowany przez niego w 1944 roku Messerschmitt Me 262 Schwalbe (niem. Jaskółka) był pierwszym użytym bojowo samolotem myśliwskim o napędzie odrzutowym, a zbudowany wspólnie z Alexandrem Martinem Lippischem Me 163 Komet, osiągający prędkość ponad tysiąca kilometrów na godzinę, pobił wszystkie dotychczas ustanowione rekordy szybkości. W latach 1945–1954 pracował jako główny konstruktor hiszpańskiej wytwórni „Hispano".

W „Fabryce 135" Ferdynand Brandner, ściągnięty do Egiptu przy pomocy jednego z prezesów koncernu „Daimler-Benz", pracował nad najnowocześniejszymi silnikami lotniczymi. Najbardziej utajniona była jednak „Fabryka 333". Niemcy tworzyli tam dla Nasera pociski rakietowe ziemia-ziemia, które miały dosięgnąć Izrael. W ich produkcję zaangażowani byli Eugen Sanger ze stuttgarckiego Instytutu Badawczego Napędu Rakietowego, specjaliści od naprowadzania rakiet: Paul Görka

i Hans Kleinwächter, oraz Wolfgang Pilz, który niegdyś współtworzył w Peenemünde V-1 i V-2.

*

Ponieważ Egipcjanom nie wolno było oficjalnie kupować części do rakiet na wolnym rynku, na ich potrzeby stworzono w Austrii i Niemczech kilka firm handlowo-produkcyjnych. Dyrektorem jednej z nich był doktor Heinz Krug, o którym będzie mowa za chwilę. Podobno Egipcjanie wmawiali Niemcom, że rakiety mają być użyte do „celów meteorologicznych".

21 lipca 1962 roku na paradzie wojskowej w Kairze Naser, który miał teraz i zachodnioniemieckich fachowców, i sowiecki sprzęt, pochwalił się światu swoimi nowymi zabawkami: pociskami „Al-Kahir" (arab. zwycięzca) o zasięgu kilkuset kilometrów.

– Są w stanie razić cele na południe od Bejrutu – zapewniał egipski przywódca.

Egipcjanie przyznali się do posiadania trzydziestu takich rakiet, a w planach mieli ponoć jeszcze dziewięćset. W Izraelu, którego Egipt od 1956 roku był śmiertelnym wrogiem, wybuchła panika. Mossad był przekonany, że głowice egipskich rakiet zostaną wyposażone w broń chemiczną, biologiczną lub nuklearną. Nikt w Izraelu nie wiedział, że rakiety nie mają jeszcze najważniejszego elementu – precyzyjnych systemów naprowadzania.

Szefem Mossadu był wówczas Iser Harel, urodzony w styczniu 1912 roku w Witebsku, jako Isser Halperin. Nazwisko zmienił po przybyciu do Palestyny w roku 1931.

Zwolniony ze służby w policji brytyjskiej, związał się z Haganą, podziemną żydowską formacją samoobrony, wtedy też zaczęła się jego imponującą kariera w służbach specjalnych. W okresie wszechogarniającego chaosu i zamieszania w pierwszych miesiącach niepodległości Izraela powstały tam liczne, rozbudowane i bardzo kosztowne służby wywiadowcze. Harel, bliski przyjaciel premiera Davida

Ben Guriona, wziął na siebie zadanie uporządkowania tej sytuacji i wywiązał się z niego bez zarzutu, co zjednało mu nie tylko powszechny szacunek, ale również dało zakres kompetencji i władzy rzadko spotykany w innych państwach demokratycznych. W roku 1949, po kompromitacji i upadku Issera Be'eriego, pierwszego szefa wywiadu izraelskiego, Harel został dyrektorem Służby Bezpieczeństwa Wewnętrznego nazwanej oficjalnie Szin Bet, znanej także jako Szabek. Mianowano go również *memunehem*, zwierzchnikiem wszystkich służb i koordynatorem operacji wywiadowczych Izraela, odpowiedzialnym wyłącznie przed premierem.

W 1952 roku po piastującym to stanowisko zaledwie przez osiemnaście miesięcy swoim byłym przełożonym, Reuwenie Sziloahu, przejął szefostwo Mossadu. Na stanowisku dyrektora Szin Betu zastąpił go Isi Dorot. Podczas pełnienia obowiązków szefa Mossadu Harel sformował specjalną jednostkę, zajmującą się ściganiem byłych nazistów i zbrodniarzy wojennych, którym udało się zbiec zaraz po wojnie, przeważnie do krajów Ameryki Południowej. Na pierwszym miejscu jego listy znajdowało się nazwisko Adolfa Eichmanna, współodpowiedzialnego za wymordowanie kilku milionów Żydów europejskich. Harel zgromadził dowody wskazujące, że w ucieczce do Argentyny pomagała Eichmannowi i innym tajna organizacja byłych oficerów SS – „Odessa".

W maju 1960 roku ludzie Harela odnaleźli zbrodniarza w Argentynie. Były nazista przybrał nazwisko Ricardo Clement i żył z żoną oraz czterema synami w Buenos Aires. Harel natychmiast powiadomił o tym fakcie pierwszego premiera Izraela, Dawida Ben Guriona, który niedawno ponownie został szefem rządu. Ben Gurion bez chwili wahania wyraził zgodę na porwanie Eichmanna i postawienie go przed izraelskim sądem.

Do zespołu porywaczy, łącznie z agentami wsparcia i obserwatorami, wybrano z Mossadu i Szin Bet dwudziestu mężczyzn i jedną kobietę. Wszyscy byli ochotnikami, prawie wszyscy stracili kogoś z bliskich w czasie holocaustu i nienawidzili Eichmanna. Harel przypomniał im, że muszą panować nad emocjami. Najwytrawniejszy fałszerz dokumentów

przygotował dla wszystkich lipne paszporty i inne papiery, tak żeby mogli odbyć podróż do Argentyny osobnymi rejsami i pod nazwiskami, którymi nigdy więcej nie mieli się już posłużyć.

W Buenos Aires wynajęto pół tuzina zakonspirowanych lokali i kilka samochodów na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Cała operacja przebiegła jednak z zadziwiającą łatwością. Uczestnicząca w niej agentka odgrywała tradycyjną rolę „gosposi" przygotowującej posiłki i sprzątającej lokal, w którym przetrzymywano nazistowskiego więźnia.

Uprowadzenie zostało tak zaplanowane, żeby zbiegło się z wizytą oficjalnej delegacji Izraela w Argentynie, uczestniczącej – obok wielu innych, zaproszonych gości z całego świata – w uroczystościach stupięćdziesięciolecia niepodległości tego kraju. Rejsowy samolot izraelskich linii lotniczych „El Al" przywiózł delegatów 19 maja i miał wrócić do Tel Awiwu następnego dnia wieczorem.

Ludzie Harela opowiadali potem, że najtrudniejszą częścią zadania było dla nich karmienie Eichmanna i dbanie o niego przeszło dziewięć dni w oczekiwaniu na lot powrotny do Izraela. Przyglądali mu się ze zdumieniem, dziwiąc się, że tak szary i niepozorny człowiek był w rzeczywistości personifikacją zła.

Skazany przez sąd w Jerozolimie na karę śmierci zbrodniarz został 31 maja 1962 roku powieszony. Wykonawcę wyroku wybrano spośród strażników więziennych w drodze losowania. Los padł na pochodzącego z Jemenu Shaloma Nagara. Według innej wersji dwóch funkcjonariuszy więziennych nacisnęło przyciski uruchamiające zapadnię w tym samym momencie, by żaden z nich – zgodnie z prawem talmudycznym – nie był odpowiedzialny za śmierć skazańca. Zwłoki Eichmanna spalono w naprędce przygotowanym krematorium niedaleko plaży. Podobno w czasie pierwszej próby włożenia ciała do pieca krematoryjnego zsunęło się ono z olbrzymiej łopaty i spadło na plażę – częsty obrazek w miejscach, do których denat organizował swe deportacje. Jego prochy rozrzucono nad międzynarodowymi wodami Morza Śródziemnego.

*

Teraz przed Harelem stało kolejne zadanie: zniechęcenie niemieckich naukowców do pracy na rzecz Egipcjan. W każdy możliwy sposób. Postanowił tego dokonać, przeprowadzając operację pod kryptonimem „Damokles”, zawieszając miecz nad głową każdego Niemca, który zechciałby pracować dla Nasera.

Nazwiska naukowców Mossad poznał poprzez infiltrację jednej z europejskich ambasad. Poza tym miał w Egipcie znakomitego szpiega, Wolfganga Lotza (prawdziwe nazwisko Zeev Gur-Arie), urodzonego w Niemczech Żyda o nordyckim wyglądzie. Udając byłego oficera Afrika Korps, Lotz bez trudu spenetrował szeregi egipskich Niemców.

Zaczęło się od telefonów z pogróżkami. Potem przyszła kolej na listy z ładunkami wybuchowymi, które Izraelczycy wysyłali na adresy zlokalizowanych w Egipcie fabryk. Harel uciekł się tu do techniki wypróbowanej już w 1956 roku, kiedy to na rozkaz szefa Amanu Jehoszafata Harkabiego posyłano wybuchające przesyłki tym oficerom egipskim, którzy nasyłali terrorystów ze strefy Gazy do Izraela. (W tych pierwszych antyterrorystycznych zamachach izraelskiego wywiadu zostali zabici dwaj wyżsi oficerowie egipscy).

Jeden z takich wysłanych przez agentów Harela listów otworzyła 27 listopada 1962 roku pracująca w „Fabryce 333” niemiecka sekretarka, Hannelohre Wende. Wybuch oszpecił ją, pozbawiając wzroku i słuchu. Reszta ładunków raniła bądź zabiła kilku egipskich żołnierzy oraz pracowników, nie zdołały one jednak dosięgnąć samych naukowców.

Mossad zaczął działać również w Europie. 11 września 1962 roku porwał prosto z jego biura w Monachium przy ulicy Schillera czterdziestodziewięcioletniego doktora Heinza Kruga. Mimo intensywnego śledztwa, przeprowadzonego przez zachodnioniemiecką i szwajcarską policję, naukowca, a raczej jego ciała, nigdy nie odnaleziono.

Na początku 1963 roku przebywający akurat na urlopie w Niemczech Hans Kleinwächter został napadnięty na wiejskiej drodze, kiedy wracał

samochodem do domu. Z wnętrza limuzyny, która zajechała drogę pojazdowi Niemca, wyskoczył jakiś zamaskowany mężczyzna, oddając w kierunku naukowca kilka strzałów, na szczęście dla zaatakowanego jednak nie trafił bądź też nie chciał trafić.

Chcąc jeszcze głębiej zinfiltrować środowisko naukowców, Mossad posłużył się pewnym Żydem z Miami na Florydzie, szefem tamtejszego półświatka. Gangster załatwił Harelowi wysokiej klasy sprzęt do podsłuchu. W ten sposób Izraelczycy dowiedzieli się o jeszcze jednym specjaliście, Austriaku, doktorze Ottonie Jokliku. Człowiek ten chwalił się, że jest w stanie wyposażyć głowice egipskich rakiet w materiały radioaktywne, mogące skazić olbrzymie połacie terenu.

W październiku 1962 roku Joklik, bądź to ze strachu, bądź z chęci zbicia majątku, sam skontaktował się z Mossadem, proponując współpracę. Przewieziony potajemnie do Jerozolimy, złożył obszerne wyjaśnienia. Harel był już teraz pewien, że Egipcjanie planują atak na Izrael przy użyciu broni niekonwencjonalnej.

Niemieccy naukowcy otrzymali dodatkową ochronę. Tymczasem Joklik osobiście zaangażował się w zwalczanie swoich byłych kolegów. Wraz z jednym z agentów Mossadu, nazwiskiem Josef Ben Gal, udał się do córki doktora Paula Görki, Heidi. Prowadząc miłą rozmowę i udając zatroskanego, zaczął w zawoalowany sposób grozić kobiecie. Jej ojca i innych pracujących dla Nasera miało spotkać coś złego, jeśli nie zaniechają współpracy. Natychmiast po rozmowie Heidi Görka skontaktowała się ze swoją ochroną. Jej szef uznał, że sprawę należy załatwić legalnie. Skontaktował się ze szwajcarską i zachodnioniemiecką policją. Po kilku dniach Joklik został w Szwajcarii aresztowany.

Wybuchł międzynarodowy skandal. Joklik i towarzyszący mu w rozmowie agent Mossadu zostali skazani na niedługą, co prawda, odsiadkę, ale sprawa bardzo podkopała prestiż Izraela. Kolejnych dwóch funkcjonariuszy wywiadu izraelskiego zatrzymano pod podobnym zarzutem w RFN. Na szczęście dla Mossadu jego bliskie stosunki z BND skłoniły zachodnioniemiecki wywiad do załatwienia cichego zwolnienia

Izraelczyków. Jednak Ben Gurion, który rozpoczął właśnie negocjacje zmierzające do poprawy stosunków z RFN, wściekł się nie na żarty i zwrócił się przeciwko Harelowi, który zresztą faktycznie przeprowadził tę akcję na własną rękę, bez jego zgody.

Stosunki izraelsko-niemieckie były wówczas delikatne… Już 10 września 1952 roku Niemcy podpisały z Izraelem umowę o odszkodowaniach za zagrabiony żydowski majątek oraz za cierpienia i śmierć europejskich Żydów. Stronę niemiecką reprezentował osobiście kanclerz Konrad Adenauer, stronę izraelską – minister spraw zagranicznych Mosze Szaret. Umowa zapewniała ratalną wypłatę trzech miliardów marek państwu żydowskiemu oraz miesięczne renty dla tych, którzy przeżyli Holocaust. Dla raczkującej gospodarki Izraela był to potężny zastrzyk finansowy.

Dziesięć lat później Adenauer i Ben Gurion spotkali się w nowojorskim hotelu „Waldorf-Astoria". Treść rozmowy nie została podana do wiadomości publicznej, a jej protokół, spisany przez niskiego rangą dyplomatę ambasady izraelskiej w Waszyngtonie, nigdy nie został odnaleziony. Wiadomo tylko, że wynikiem tego spotkania było zwiększenie sumy odszkodowań, a przypuszczalnie także porozumienie w sprawie dostaw broni niemieckiej dla państwa żydowskiego. Premier Izraela, doskonale poinformowany o składzie osobowym gabinetu kanclerza, nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek zgrzyt w kontaktach z Bonn.

Jedynym plusem całej operacji było to, że o Niemcach pracujących dla Egiptu zaczęła trąbić cała światowa prasa. Wobec wyraźnej utraty zaufania premiera, 25 marca 1963 roku Harel ustąpił ze stanowiska szefa Mossadu i zastąpiony został przez generała Meira Amita. Nadszedł koniec pewnej epoki, „wielki krzyżowiec" zginał od własnego miecza. Ale to dopiero miało nastąpić w przyszłości…

Na razie jednak na sali sądowej, na której toczyła się rozprawa Joklika, doszło do pewnego zdarzenia, mającego wpływ na losy bohatera tej opowieści, Otto Skorzenego. Szef ochrony niemieckich naukowców, były esesman, znany jako H. Mann, został mianowicie wyproszony z rozprawy

przez sędziego za posiadanie broni. Na nic zdały się tłumaczenia, że ma ją legalnie.

Obserwujący ten incydent agenci Mossadu natychmiast udali się do swojego bezpośredniego szefa – Rafiego Medana. Ten zaś wsiadł w pociąg i pojechał do Wiednia, do Szymona Wiesentahla, ocalałego z zagłady austriackiego Żyda, który po wojnie latami niestrudzenie tropił ukrywających się nazistów i który w związku z tym przechowywał w swoim biurze tony ich *dossier*. Medan pragnął bliżej przyjrzeć się tajemniczemu Mannowi. Okazało się, że esesman był dawniej podwładnym Otto Skorzenego…

„Mając Skorzenego, można by w dużo łatwiejszy sposób kontrolować niemieckich naukowców w Egipcie – pomyślał Rafi Medan. – Jak jednak znaleźć do niego dojście, zarazem go nie płosząc?”

*

Sprawą kontaktu ze Skorzenym zajęli się dwaj doświadczeni agenci, Abraham Ahituv – szef placówki Mossadu w RFN, i Rafi Eitan. Ten ostatni w czasie wojny wyzwoleńczej (1948–1949) służył w wywiadzie wojskowym, co zaowocowało później zatrudnieniem go w nowo utworzonym Mossadzie. Po kilku latach przeniósł się do służby bezpieczeństwa wewnętrznego Szin Bet, otrzymując stanowisko szefa operacji specjalnych. W 1960 roku dowodził słynną akcją porwania z Argentyny nazistowskiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna, który został przewieziony do Izraela, osądzony i stracony. W roku 1963 wrócił do Mossadu[11].

W sierpniu 1963 roku obaj wspomniani wyżej dżentelmeni pojawili się w madryckim biurze Skorzenego. Zaledwie dwa lata po porwaniu z Argentyny ludobójcy Eichmanna mogło się wydawać dziwne, że Izraelczycy byli gotowi w jakikolwiek sposób posłużyć się nazistą. Jednak w opinii Harela, podobnie jak i trybunału sądzącego zbrodniarzy

wojennych, Skorzeny był tylko weteranem niemieckiej armii, a nie zbrodniarzem.

Dwaj Izraelczycy podali się początkowo za agentów CIA czy też – według innych źródeł – za pracowników NATO. Po pewnym czasie wyłożyli jednak karty na stół:

– Wie pan, tak naprawdę to nie jesteśmy z CIA (NATO?). Prawdę mówiąc, jesteśmy z izraelskich tajnych służb.

Skorzeny – twardziel jakich mało, poczuł się w tym momencie słabo. Pewien był, że czeka go los Eichmanna, smutny koniec na izraelskim szafocie. *Achine talant ahine, sheh takat sheh*. Czyż nie tak po hebrajsku brzmi stara biblijna zasada – oko za oko, ząb za ząb?

Agenci Mossadu uspokoili go jednak szybko:

– Nie przyszliśmy pana zabić ani porwać. Potrzebujemy tylko pańskiej pomocy.

– Mojej pomocy? – Otto sięgnął po leżącą na biurku paczkę, wyciągnął z niej papierosa i zapalił. – To chyba jakiś żart. Wy? – ciągle jeszcze nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Tak, my. I proszę mi wierzyć, że nie mamy najmniejszej ochoty na żarty. Jesteśmy śmiertelnie poważni, jak rak płuc.

A więc o co chodzi?

– Wiemy, że ma pan dobre kontakty w Egipcie…

Rozpoczęły się długie targi pomiędzy nazistowskim komandosem i żydowskimi agentami. Eitan i Ahituv liczyli się z tym, że gdy gospodarz dowie się, o co chodzi, sięgnie po broń. Tymczasem przedstawiciel wielkiego austriackiego koncernu hutniczego VÖEST na Hiszpanię, wysłuchawszy ich zbladł, a potem zaczął pytać o gwarancje. Czyli chce się targować.

Ubrany w skromny garnitur i buty z domu towarowego Eitan starał się wypaść podczas swojej wizyty możliwie bezpretensjonalnie. Dawno temu już nauczył się, że w jego profesji nie należy imponować. Z pewnością owego sierpniowego popołudnia 1963 roku w Rafim Eitanie nie było nic, co przywodziłoby na myśl jego legendarną bezwzględność i spryt, jego

umiejętność improwizowania z niewiarygodną szybkością lub zdolność rozszyfrowywania nawet najlepiej zakonspirowanych planów. Był cichy, uprzejmy, słuchający uważnie i mówiący kulturalnie, z przechyloną na bok kanciastą głową.

Dopiero dużo później Skorzeny zdał sobie sprawę, że obcował z „człowiekiem, który wiedział doskonale, jak zagrać swoją rolę".

– Jakie mam gwarancje, że mówicie prawdę? – Wciąż nieufnie mierzył gości wzrokiem. Choć był już po pięćdziesiątce, zachował figurę atlety. Jego lewy policzek szpeciła blizna, która zaczynała się na podbródku, przecinała kącik ust i kończyła tuż pod uchem.

Eitan najchętniej skułby ręce mężczyzny z blizną, podobnie jak trzy lata wcześniej postąpił z Adolfem Eichmannem. Taki los nie groził jednak rozmówcy obu agentów, bo Izrael rzeczywiście potrzebował pomocy Ottona Skorzenego, dawnego oficera SS i ulubionego komandosa Adolfa Hitlera. Zamiast pistoletu, wyciągnął więc z kieszeni papier i długopis.

„W imieniu państwa Izrael gwarantuję, że wobec Ottona Skorzenego nie będą prowadzone żadne postępowania karne ani stosowana przemoc" – napisał.

Dopiero wtedy, gdy za dokładne informacje o egipskim programie rakietowym Mossad zagwarantował mu „wolność od strachu", były esesman, bohater III Rzeszy i człowiek, który do śmierci pozostał nazistą, zgodził się pomagać Żydom.

– Czy Szymon Wiesenthal mógłby usunąć moje nazwisko z grona osób winnych prześladowania Żydów? – zapytał, ściskając w palcach koniec drugiego papierosa. Włożył go do ust i zapalił. Wypuściwszy dym nosem, otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował i tylko wpatrywał się w Eitana spojrzeniem, w którym strach mieszał się z nienawiścią.

– Tego nie wiem – wzruszył ramionami Abraham Ahituv. – Ale możemy się o to postarać.

Po krótkim czasie „łowca nazistów" odpowiedział: „Nie. Skorzeny zamieszany jest w wydarzenia nocy kryształowej". Mimo to Otto skorzystał

z oferty Izraelczyków. Figurowanie na liście Wiesenthala to jedno, a uchronienie się od „klątwy Mossadu” to drugie. Jego szczegółowe raporty płynęły do Jerozolimy przez kolejnych kilka miesięcy. Dzięki nim Izrael wiedział wszystko o egipskich siłach zbrojnych.

Problem niemieckich naukowców został rozwiązany następująco: nazwiska trafiły do Bonn, a ludzie kanclerza Adenauera ściągnęli ich do kraju, przebijając finansowo egipską ofertę. Egipskie rakiety bez systemu naprowadzania, który mieli opracować Niemcy, okazały się bezużyteczne. A program rozwijania broni masowego rażenia bez wsparcia europejskich ekspertów obumarł.

Pozostaje pytanie, ile ryzykował Skorzeny, ujawniając sekrety swoich kolegów z Egiptu? W 1965 roku agent Wolfgang Lotz (Zeev Gur-Arie) został aresztowany przez egipski kontrwywiad. Torturowanego i skazanego na dożywocie, wymieniono go w 1968 roku – po wygranej przez Izrael wojnie sześciodniowej – na kilku wziętych do niewoli egipskich generałów. Stawka była więc wysoka. W zamian za informacje o egipskim programie rakietowym, jak się okazało lichym, uzyskał jednak spokój do końca życia. Jeszcze raz zagrał i jeszcze raz wygrał.

*

Czas ma to do siebie, że biegnie jak głupi, a co gorsza, nie można go zastraszyć, zaszantażować, zgwałcić ani przekupić. Otto Skorzeny zbliżał się do siedemdziesiątki. Starzał się, tak jak zresztą wszyscy. Przez kilka ostatnich lat życia nękały go takie bóle pleców, że całymi dniami nie mógł nawet chodzić. Wszystko to jednak okazało się zabawą wobec diagnozy, którą usłyszał od lekarza po przeprowadzonych w 1974 roku szczegółowych badaniach:

– Ma pan raka płuc.

– Co takiego? – Pomyślał, że się przesłyszał.

– Raka płuc – powtórzył lekarz głosem miękkim jak aksamit. – Nowotwora złośliwego. W stadium bardzo zaawansowanym.

Rak płuc to najczęstszy nowotwór złośliwy, na który umiera rocznie na całym świecie milion trzysta tysięcy osób. Atakuje bez ostrzeżenia. Najpierw rozwija się powoli, nie dając zwykle żadnych objawów. Od powstania pierwszej komórki nowotworowej do ujawnienia się choroby mija zwykle kilkanaście lat. To z tego powodu raka odkrywa się najczęściej zbyt późno. Potem działa już błyskawicznie.

– Ale co?… To jakaś bzdura… – jąkał się zszokowany. – Pan się chyba pomylił…

– Niestety nie. Wyniki badań są jednoznaczne.

– Tak nagle? Przecież poza bólami pleców czuję się całkiem dobrze.

– Wcale nie nagle – tłumaczył cierpliwie doktor. – Od powstania pierwszej komórki nowotworowej do ujawnienia się choroby mija zwykle kilkanaście lat. To z tego powodu często raka odkrywa się zbyt późno. Ponadto łatwo przeoczyć jego pierwsze objawy: kaszel, zwłaszcza poranny, chrypkę, duszności, krótki oddech ze świstem, złe samopoczucie, ogólne osłabienie, szybkie męczenie się, brak apetytu, nocne poty, kłucie i pobolewanie w klatce piersiowej, powtarzające się stany zapalne oskrzeli, odpluwanie żółto-białej wydzieliny czy obecność krwi w plwocinie – zwłaszcza gdy na zmianę nasilają się i ustępują, co nierzadko zdarza się przy tej chorobie. Ponieważ takie objawy mogą towarzyszyć zwykłemu przeziębieniu, często są przez chorych lekceważone.

– To znaczy, że… ja umrę?

– Wszyscy kiedyś umrzemy…

– Ale nie wszyscy już za chwilę.

– Nie powiedziałem, że umrze pan za chwilę – zaprzeczył medyk. – Myślę, że zostało panu jeszcze jakieś parę miesięcy życia, może pół roku…

– Ładna perspektywa – mruknął Skorzeny. – Ale… Skąd to się wzięło?

– Główną przyczyną rozwoju raka płuc jest palenie papierosów. Pali pan?

– Palę.

– To niech pan natychmiast rzuci.

– Teraz? – Uśmiechnął się blado Otto. – Teraz to może mnie pan pocałować w tyłek z tym rzucaniem.

Z widocznym wysiłkiem podniósł się ze stołka.

– Chyba… muszę zapalić.

– Właściwie… czemu nie. W pańskiej sytuacji… – pocieszył go lekarz.

Nadszedł madrycki świt 5 lipca 1975 roku. Gęsta mgła snuła się ulicami miasta, niby wrogie zastępy otaczające wierzchołki budynków. Tego dnia zmarł Otto Skorzeny. Niedawno obchodził sześćdziesiąte siódme urodziny.

Ciało zostało poddane kremacji i pochowane na Döblinger Friedhof, starym cmentarzu w XIX dzielnicy Wiednia. Ceremonia żałobna odbyła się bez wzniosłych przemówień, zawodzeń i płaczek, tyle że w obecności gustownie odzianych starszych panów, którym spod sztywnych kołnierzyków wystawały przypięte do krawatów żelazne krzyże. Podobne znaki widniały na szarfach wieńców.

„Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz… – Ksiądz rzucił garść wilgotnej ziemi na trumnę. Świeża ziemia pachniała jak sama śmierć. – Zbawiciel Jezus Chrystus jest zmartwychwstaniem i życiem. Wierzymy, że ciało, które dziś oddajemy ziemi i które w proch się obróci, powstanie z martwych i połączy się z nieśmiertelną duszą, którą dziś Pan powołał do siebie…”.

Wszystko żyje tylko wtedy, jeśli coś innego zginie. Nie ma życia, nie ma śmierci. Nie ma wyjątków, wszystko musi kiedyś przyjść i kiedyś odejść. Ludzie, lata, idee. Wszystko. Koło się toczy i stare staje się pożywieniem tego, co nowe. Ten, kto wyciągnie los życia, musi także wyciągnąć los śmierci. Bo przeznaczeniem życia jest śmierć.

Dwaj grabarze w granatowych kombinezonach zaczęli przysypywać mogiłę ziemią, która miała ten sam kolor co drewno trumny. Zebrani długo stali nad świeżo usypanym kopcem. Na koniec, kiedy pokryło ją morze kwiatów, sylwetki otaczających grób ludzi wyprężyły się, a ręce uniosły w geście przepisowego hitlerowskiego pozdrowienia:

– Heil!

Przypisy

1 Imprimatur (łac. niech będzie odbite) – w publikacjach kościelnych pozwolenie na druk książki, oficjalna aprobata władz kościelnych, wydawana zazwyczaj przez miejscowego biskupa (ordynariusza).

2 W 1947 roku działalność Hudala została nagłośniona przez katolicki dziennik „Passauer Neue Presse”. W wyniku nacisków innych biskupów Hudal został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska rektora kościoła Santa Maria dell’Anima i wycofania się z aktywnego życia kościelnego. Osiadł w Grottaferrata w pobliżu Rzymu i zajął się spisywaniem wspomnień, które zostały opublikowane pośmiertnie w 1976 roku. Aż do śmierci (13 maja 1963) angażował się w propagowanie abolicji dla byłych narodowych socjalistów.

Na przekór jednak wszystkim „faktom”, propagowanym przez niektóre dzisiejsze „autorytety”, usiłujące fałszywie doszukiwać się źródeł nazizmu wprost w chrześcijaństwie i które nazywają Hitlera katolikiem, argumentując, że w końcu był on ochrzczony w Kościele katolickim, wspomnieć należy w tym miejscu, iż w rzeczywistości nazizm nie miał nic wspólnego z chrześcijaństwem, a swoją rasistowską ideologią stanowił wręcz zagrożenie dla niego. Niektórzy, jak prof. Yehuda Bauer, posuwają się nawet do nazwania żydowskiego Holocaustu „największą zbrodnią chrześcijaństwa”. Żydowski autor Daniel Jonah Goldhagen w swojej książce *Moralny rozrachunek* poszedł w szkalowaniu Kościoła katolickiego i generalnie chrześcijaństwa jeszcze dalej, twierdząc między innymi, że „Kościół jest odpowiedzialny za Holocaust, a chrześcijaństwo legło u podstaw nazizmu”, zagłada Żydów zaś, jaka dokonała się w Europie ponad pół wieku temu, była po prostu „wojną religijną chrześcijaństwa z judaizmem” i „erupcją tego, co pod powierzchnią europejskiej kultury gotowało się od dawna za sprawą chrześcijaństwa”. Niestety tak to już jest, że często najgłośniej krzyczą i rzucają oszczerstwa ci, którzy albo nie wiedzą co mówią, albo kierują się zwykłą nienawiścią do chrześcijaństwa, zresztą taką samą, jaką okazywał mu Hitler. Führer w ostry sposób

szykanował Kościół i jego instytucje, zamykał religijne szkoły i gazety, przy pomocy Gestapo inwigilował kler. Gdy w efekcie tych działań papież Pius XI wydał w 1937 roku antyhitlerowską encyklikę *Mit brennender Sorge* (Z palącą troską), Führer wpadł w furię. Prześladowania Kościoła przyjęły skalę wręcz olbrzymią. Księżom zaczęto wytaczać procesy za rzekomą pedofilię, wielu duchownych wtrącono do więzień i obozów.

Jedno z haseł hitlerowskiej propagandy głosiło: „Kościół musi upaść, aby Niemcy mogły żyć". W refrenie jednej z pieśni hitlerowskich oddziałów szturmowych SA powtarzano: „Towarzysze z oddziałów szturmowych wieszajcie Żydów, stawiajcie księży pod ścianę". Z kolei młodzież z Hitlerjugend śpiewała podczas zlotu norymberskiego w 1934 roku: „Żaden podły ksiądz nie wydrze z nas uczucia, że jesteśmy dziećmi Hitlera. Czcimy nie Chrystusa, lecz Horsta Wessela. Precz z kadzidłami i wodą święconą. Kościół nie rozumie, co dla nas jest cenne. Ta swastyka przynosi zbawienie światu, chcę podążyć za nią krok w krok". Sam Hitler wypowiedział zresztą następujące zdanie: „Gdy dojdę do władzy, Kościół katolicki nie będzie w Niemczech mieć głosu, lecz by cel swój osiągnąć, nie mogę się bez niego obejść". Rzeczywisty, pełen pogardy stosunek do chrześcijaństwa wyraźnie ukazują też następujące słowa Hitlera: „Najcięższym ciosem, jaki kiedykolwiek spadł na ludzkość, było chrześcijaństwo […]. Jest ono wynalazkiem chorych umysłowo […] plagą podobną do syfilisu". Organizacje katolickie pozamykano już w 1933 roku, zaś w 1935 roku zlikwidowano modlitwę w szkołach. Konsekwentnie usuwano także księży ze szkół, tak że już w 1935 roku około 700 duchownych pozbawiono prawa nauczania religii. Wykorzystując sfabrykowane oskarżenia, stawiano przed sądem setki duchownych i katolików świeckich. Jak pisze Andrzej Solak w książce *Wojownicy Chrystusa*: „W 1937 r. Stolica Apostolska potępiła niemiecki narodowy socjalizm w encyklice *Mit brennender Sorge* (zaś włoski faszyzm – w 1931 r. w encyklice *Non abbiamo bisogno*). Watykan umieścił na indeksie ksiąg zakazanych sztandarowe dzieło głównego ideologa nazizmu, Alfreda Rosenberga – *Mit XX wieku* (Rosenberg propagował tam wizję

heretyckiego, podbudowanego neopoganizmem, «chrześcijaństwa pozytywnego»). Za rządów Hitlera dla niemieckiego Kościoła nastały ciężkie dni. Rozwiązano katolickie partie i stowarzyszenia. Zamknięto większość religijnych gazet, zniesiono szkoły wyznaniowe. Mnożyły się napady bojówek. Duchownym wytaczano procesy, często pod wydumanymi zarzutami nadużyć finansowych i przestępstw seksualnych. Prześladowania dotknęły 12 tys. niemieckich księży; setki z nich poniosły męczeńską śmierć. Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja na terenach państw zniewolonych. W jednej tylko Polsce z rąk niemieckich narodowych socjalistów zginęło 6 biskupów, 1923 księży diecezjalnych, 63 kleryków, 580 zakonników, 289 zakonnic. Symbolem męczeństwa duchowieństwa okupowanej Europy stał się obóz koncentracyjny w Dachau; więziono w nim 2720 duchownych (w tym 2597 katolickich) z 20 krajów – 1780 Polaków, 447 Niemców, 156 Francuzów, 109 Czechów i Słowaków, 63 Holendrów, 50 Jugosłowian, 46 Belgów, 28 Włochów, 16 Luksemburczyków, 5 Duńczyków, 3 Litwinów, 3 Węgrów, 2 Albańczyków, 2 Anglików, 2 Greków, 2 Szwajcarów, 1 Norwega, 1 Rumuna, 1 Hiszpana oraz 3 bezpaństwowców”. (Za: *Ideowe i finansowe źródła nazizmu*, http://w.kki.com.pl).

3 Hjalmar Schacht (1877–1970) był człowiekiem, którego polityka umożliwiła Hitlerowi zbrojenia. W latach 1908–1915 piastował stanowisko dyrektora Dresdner Banku, w latach 1915–1922 zasiadał we władzach Nationalbank für Deutschland, a w roku 1923 został komisarzem walutowym Republiki Weimarskiej i prezesem Reichsbanku. Jego reformy powstrzymały hiperinflację w Niemczech i doprowadziły do ożywienia gospodarczego, dzięki wprowadzeniu w listopadzie 1923 roku tak zwanych rentenmarek i emisji banknotów, które jako zabezpieczenie wartości miały ziemię należącą do państwa niemieckiego. W 1924 roku przywrócił reichsmarki jako walutę Republiki Weimarskiej. Wprowadzony przez Schachta system walutowy utrzymał się praktycznie aż do reform Ludwiga Erharda w 1948 roku. Polityka pieniężna Schachta zagwarantowała Niemcom stabilizację płatniczą, zwłaszcza po korzystnym dla Niemiec

renegocjowaniu spłaty odszkodowań wojennych z czasów I wojny światowej, ustalonych (bez określenia kwoty) w traktacie wersalskim, sprecyzowanych następnie w planie Dawesa w 1924 roku i skorygowanych na korzyść Niemiec w planie Younga w roku 1929. Schacht był również jednym z twórców koncernu IG Farben, a w 1929 roku negocjował wspomniany plan Younga (amerykańskie kredyty dla niemieckiego przemysłu). Po wybuchu Wielkiego Kryzysu i utracie fotela prezesa Banku Rzeszy w 1930 roku uczestniczył w dojściu Hitlera do władzy, pośrednicząc w jego kontaktach z niemieckimi elitami finansowymi i przemysłowymi, niechętnymi do początku lat trzydziestych wobec NSDAP. Cztery lata później został za to nagrodzony stanowiskiem ministra gospodarki i prezesa Reichsbanku. Organizował rozbudowę przemysłu zbrojeniowego poprzez system tzw. weksli MeFo (Metallurgische Forschungsgesellschaft mbH), umożliwiających bezgotówkowe rozliczanie wierzytelności w przemyśle ciężkim Niemiec. W 1938 roku przestraszył się, że polityka Hitlera doprowadzi do nowej wojny światowej, w wyniku czego stracił obie posady. Po zamachu na Hitlera z 20 lipca 1944 roku został internowany w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen, co po wojnie pomogło mu uniknąć stryczka w Norymberdze. Podczas odbywającego się w tym mieście procesu oskarżono go o zbrodnie przeciwko pokojowi, ale wybronił się, dowodząc, że jego polityka zmierzała jedynie do zwiększenia siły gospodarczej Niemiec – „Poszedłbym nawet z diabłem, by zapewnić Niemcom siłę i potęgę”. Został uniewinniony i jeszcze siedząc w areszcie, pomagał amerykańskim oraz brytyjskim władzom w reformie walutowej i wprowadzaniu zachodnioniemieckiej marki. W latach 1953–1963 kierował prywatnym bankiem Deutsche Aufsenhandelsbank Schacht & Co., udzielał też gospodarczych porad państwom Trzeciego Świata, szczególnie tym komunizującym. Miał IQ 143, najwyższe spośród oskarżonych w Norymberdze. W roku 1953 ukazały się jego pamiętniki zatytułowane *76 Jahre meines Lebens* (*76 lat mojego życia*).

4 Żydowski przemysłowiec Otto Wolff z Kolonii, „król stali i obrabiarek”, poparł NSDAP ogromnymi sumami i na dodatek jeszcze spłacił prywatne długi Hitlera. Podczas procesu w Norymberdze Walter Funk oświadczył, że Wolff finansował polityka nazistowskiego Roberta Leya (członka sztabu Strassera) przed rokiem 1933. Przez dziesięciolecia fakt ten był skrzętnie ukrywany – wiadomo przez kogo. Dopiero w roku 1991 ukazali to Ingolf Gritschneder i Werner Rügemer w serialu dokumentacyjnym *Paserzy Hitlera*. Przy okazji ujawnili też tajne zlecenia firmy „Otto Wolff” oraz działalność syna przemysłowca, Otto Wolffa von Amerongena, w zakresie dostarczania reżimowi Hitlera niezbędnych do prowadzenia wojny metali i środków finansowych. Można o tym szerzej dowiedzieć się z książki Rügemera *Colonia Corrupta*.

Ottonowi Wolffowi von Amerongen zarzucono tam również, że sprzedawał majątek deportowanych Żydów. Serial udowodnił, że firma „Otto Wolff” otrzymywała w czasie II wojny światowej akcje od grup zwanych „komando ochrony dewiz” z Paryża i Brukseli, które były rabowane w okupowanych krajach Europy Zachodniej, i sprzedawała te akcje bankom szwajcarskim. Otrzymane środki, po odebraniu prowizji, trafiały do Narodowego Banku Rzeszy. Akcje pochodziły nie tylko od Żydów, lecz także innych obywateli, którzy naruszali prawa dewizowe Rzeszy. Firma „Otto Wolff” dostarczała reżimowi środków na zakup na rynkach światowych niezbędnych surowców, takich jak chociażby wolfram potrzebny do hartowania elementów dział. Kiedy zaczął się flirt Hitlera ze Stalinem, obaj panowie (ojciec i syn, który po śmierci taty w roku 1940 przejął interes) wspomagali ogromnymi kredytami – w sumie blisko miliarda marek – również Związek Sowiecki.

Otto Wolff von Amerongen był nieślubnym synem Ottona Wolffa i jego sekretarki Else von Amerongen z domu Pieper (żony Hansa Taets von Amerongen). 22 lipca 1935 roku Otto Wolff zaadoptował swego biologicznego syna i tak Otto Taets von Amerongen stał się Ottem Wolffem von Amerongen. Większość wojny spędził w Portugalii, gdzie – jak twierdzi Werner Rügemer, był nazistowskim szpiegiem. W tym czasie

Portugalia była jedynym państwem, które eksportowało wolfram do Niemiec. Oficjalnie występował jako szef oddziału lizbońskiego koncernu „Otto Wolff" oraz jako przedstawiciel przemysłowego konsorcjum „Wolff, Rheinmetall, Krupp i IG Farben", korzystającego między innymi z niewolniczej pracy więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz. (Wiadomości na ten temat pochodzą z Archiwum Narodowego w Waszyngtonie). Kilka osób z kierownictwa firmy zostało po wojnie skazanych na kary więzienia w procesach norymberskich. (Gustav Krupp von Bohlen und Halbach był podobno zbyt chory, by stanąć przed obliczem Trybunału, ale aresztowany został jego syn). Otto Wolff von Amerongen wraz ze wszystkimi członkami zarządu został po wojnie internowany. Bronił się twierdząc, iż w rzeczywistości pracował jako agent kontrwywiadu (zapewne sowieckiego). Rügemer twierdzi, że Sowieci doskonale wiedzieli o jego przeszłości, zarówno przed wojną, jak i w jej trakcie, kiedy Portugalia stała się centrum działalności wielu różnych tajnych służb. W każdym razie faktem jest, że dokumenty dotyczące jego działalności zostały wywiezione do Moskwy.

Zaangażowanie von Amerongena w dostarczanie Niemcom wolframu między rokiem 1941 a 1944 potwierdziła również Barbara Bonhage, członek specjalnej komisji badającej po wojnie rolę Szwajcarii w transakcjach finansowych związanych z III Rzeszą. Efraim Zuroff, dyrektor izraelskiego biura Centrum Szymona Wiesenthala, powiedział, że nie ma żadnych informacji na temat działalności Wolffa.

Przez ponad 50 lat niemiecki przemysłowiec Otto Wolff von Amerongen, prezes „Otto Wolff A.G.", jednej z największych grup handlowych w Niemczech Zachodnich, chodził po korytarzach władzy i wpływów po obu stronach żelaznej kurtyny, służąc za nieformalnego ambasadora Bonn w Moskwie, pomagając Brandtowi w realizacji jego *ostpolitik*. Wszystko to pomimo śmierdzącej – delikatnie mówiąc – przeszłości. „Wolff był najważniejszym finansowym funkcjonariuszem w powojennych Niemczech" – twierdzi Werner Rügemer. Był również jednym z pierwszych członków Grupy Bildenberg, międzynarodowego lobby reprezentującego

interesy elity władzy w Europie i Ameryce Północnej. W 1971 roku został pierwszym niemieckim członkiem zarządu Exxon Mobil Esso). W sumie reprezentował aż 26 zarządów różnych korporacji, w tym Deutsche Banku. Jewgienij Primakow – w roku 1991 pierwszy zastępca szefa KGB, następnie dyrektor Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji w latach 1991–1995, od roku 1996 minister spraw zagranicznych Federacji Rosyjskiej, zaś od 11 września 1998 do 12 maja 1999 roku jej premier – uważał Otto Wolffa von Amerongena za osobistego przyjaciela. „On otworzył dla nas drzwi w Moskwie, i to w czasie, gdy były one na głucho zamknięte" – powiedziała o von Amerongenie Andrea von Knoop, szefowa niemieckiego Stowarzyszenia Biznesu. – Budował mosty wtedy, kiedy inni byli bardziej zainteresowani w budowaniu żelaznych kurtyn". „Kiedy pytają mnie, co jest moim największym osiągnięciem, odpowiadam, że jest nim przyjaźń narodów i między narodami" – oświadczył z kolei Otto Wolff von Amerongen niedługo przed swoją śmiercią, która nastąpiła 8 marca 2007 roku.

5 W latach trzydziestych XX wieku KGB zwerbowało w Wielkiej Brytanii grupę agentów spośród prokomunistycznie nastawionych studentów uniwersytetu Cambridge. Pięciu z nich prowadził oficer NKWD (później KGB) Jurij Modin. W 1951 roku dwójka z tych agentów, wówczas pracowników Foreign Office (brytyjskiego MSZ), Donald MacLean i Burgess Guy, uciekła do Związku Sowieckiego. W rezultacie tej ucieczki ich przyjaciel, Kim Philby, wysoki rangą pułkownik MI-6, został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Zajął się wówczas pracą dziennikarską, którą kontynuował również do czasu swej ucieczki do Związku Sowieckiego w 1963 roku. Philby, niegdyś uważany za przyszłego szefa MI-6, przekazał KGB wiele najbardziej strzeżonych sekretów brytyjskiego wywiadu. Czwartą postacią w tej siatce był Sir Anthony Blunt, oficer MI-5 od 1940 do 1945 roku. Później działał jako szpieg, będąc jednocześnie kustoszem Królewskiej Galerii Obrazów. MI-5 wiedział o jego zdradzie jeszcze przed oficjalnym ujawnieniem w 1979 roku. Ostatnim z piątki agentów, których nazwiska podano do publicznej wiadomości, był John Cairncross. W swojej

karierze zawodowej zajmował stanowiska w MI-6, Agencji Rozpoznania Środkami Łączności – zwanej GC lub CS (później GCHQ), a także w różnych ministerstwach.

6 Po przejęciu władzy wojskowi przystąpili do bezwzględnej walki ze zwolennikami prezydenta. W roku 1958 rządy objął lewicowy radykał Arturo Frondizi, obalony w 1962 roku przez armię po nieudanych próbach porozumienia się z peronistami. W 1966 roku w wyniku kolejnego wojskowego zamachu stanu prezydentem został Juan Carlos Onganía. Próba zreformowania przezeń gospodarki, m.in. przez zastosowanie drastycznych oszczędności, spowodowała masowe wystąpienia w Córdobie (tzw. Cordobazo), które przerodziły się w falę strajków i protestów w całym kraju. 20 marca 1973 roku Perón wrócił do kraju. Na lotnisku witały go trzy miliony ludzi. W październiku, uzyskując 62% głosów, został po raz trzeci wybrany na prezydenta Argentyny. Wiceprezydentem została jego trzecia żona, María Estela Martínez de Perón, zwana Isabelitą.

7 W okresie II wojny światowej Coventry zostało poważnie zniszczone przez naloty niemieckiego lotnictwa. Najpoważniejsze naloty miały miejsce 14 listopada 1940 roku. Na skutek rozszyfrowania niemieckich depesz dzięki rozwiązaniu tajemnicy maszyny Enigma przez polskich matematyków znano termin bombardowania. Nie ewakuowano jednak miasta, aby nie zdradzić Niemcom wiedzy o Enigmie.

8 Stopnia tego nie da się jednoznacznie określić jako w pełni oficerskiego lub w pełni generalskiego z powodu dosyć skomplikowanych prerogatyw dowódczych, zbliżonych do brytyjskiego brygadiera. W przypadku oficerów liniowych, którzy mieli także stopnie Wehrmachtu, poza nielicznymi wypadkami przyznawano im stopień pułkownika. Przez niektórych badaczy jest on jednak uznawany za najniższy stopień generalski, zwłaszcza że wzór munduru i oznaczeń był właściwy generałom.

9 Friedrich Flick (1883–1972) – niemiecki przemysłowiec zwany „królem Zagłębia Ruhry” zgromadził w ciągu życia dwie fortuny – jedną

przed II wojną światową poprzez powiązania z nazistami, drugą w okresie powojennym.

10 Rudolf August Oetker (1916–2007) – twórca potęgi i wieloletni prezes koncernu spożywczego „Dr Oetker”, wnuk aptekarza Augusta Oetkera, twórcy firmy. W dwudziestoleciu międzywojennym podjął studia w zakresie bankowości w Hamburgu, których nie ukończył z powodu wybuchu II wojny światowej, w czasie której służył w oddziałach Waffen-SS.

11 W latach siedemdziesiątych Rafi Eitan stał na czele tzw. Batalionu Zemsty (lub Szwadronu Śmierci), który tropił i likwidował członków palestyńskiej organizacji terrorystycznej Czarny Wrzesień, odpowiedzialnej za masakrę sportowców izraelskich podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium w 1972 roku. W wywiadzie pracował do roku 1972, potem zajął się interesami prywatnymi, między innymi hodowlą ryb tropikalnych. Jednak w 1978 roku premier Menachem Begin (urodzony 16 sierpnia 1913 roku w Brześciu jako Mieczysław Biegun) zatrudnił go jako doradcę do spraw terroryzmu. Od roku 1981 Rafi Eitan nie kierował już operacjami Mossadu, lecz stał na czele jeszcze głębiej utajnionej izraelskiej organizacji. Nazywała się LAKAM – Liszka LeKiszrei Mada (Biuro Łącznikowe do Spraw Naukowych) i była odpowiedzialna za gromadzenie danych naukowych i technicznych z innych krajów – zarówno zaprzyjaźnionych, jak i wrogich, a także za ochronę izraelskiego programu budowy broni nuklearnej. Rafi Eitan zaangażowany był również w operację zniszczenia irackiego reaktora atomowego w Osirak w czerwcu 1981 roku – wydarzenie krytykowane wówczas przez większość państw świata.

Otto Skorzeny w mundurze Hauptsturmführera (kapitana) SS, 1943 rok

Benito Mussolini, przywódca ruchu faszystowskiego, od 1921 roku premier Włoch, odsunięty od władzy w lipcu 1943 roku i uwięziony

Mussolini i król Włoch Wiktor Emanuel III, który po zajęciu Sycylii przez aliantów doprowadził do usunięcia dyktatora

Hotel narciarski Campo Imperatore na górze Gran Sasso w środkowych Apeninach, w którym uwięziono Mussoliniego

Operacja „Eiche” – odbicie Mussoliniego, 12 września 1943 roku: niemiecki spadochroniarz obok szybowca DFS 230, który wylądował na płaskowyżu w pobliżu hotelu Campo Imperatore

Operacja „Eiche”: uwolniony Benito Mussolini wśród niemieckich spadochroniarzy i komandosów z SS

Operacja „Eiche”: „słit focia” Skorzenego z Mussolinim. Oficer SS starał się, aby to na niego spadł splendor wybawcy włoskiego dyktatora

Skorzeny po dekoracji Krzyżem Rycerskim Krzyża Zasługi Wojennej, 3 października 1943 roku

Gmach opery w Wiedniu – na pocztówce z początku XX wieku. Otto Skorzeny urodził się w stolicy imperium Habsburgów w 1908 roku

Rodzina Skorzenych: w środku, w marynarskim mundurku mały Otto

Gawriło Princip, serbski nacjonalista z Bośni, strzela do austro-węgierskiego następcy tronu arcyksięcia Franciszka Ferdynanda i jego żony Zofii w Sarajewie, 28 czerwca 1914 roku. Ten zamach stał się bezpośrednią przyczyną wybuchu pierwszej wojny światowej

Otto Skorzeny (na pierwszym planie, po prawej) z kolegami z korporacji studenckiej Markomannia, 1928 rok

Berlińskie igrzyska stały się narzędziem nazistowskiej propagandy – na zdjęciu niemieccy oficjele witają hitlerowskim pozdrowieniem biegacza niosącego ogień olimpijski podczas ceremonii otwarcia. z trybun stadionu oglądał to Otto Skorzeny

Plakat Igrzysk Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku

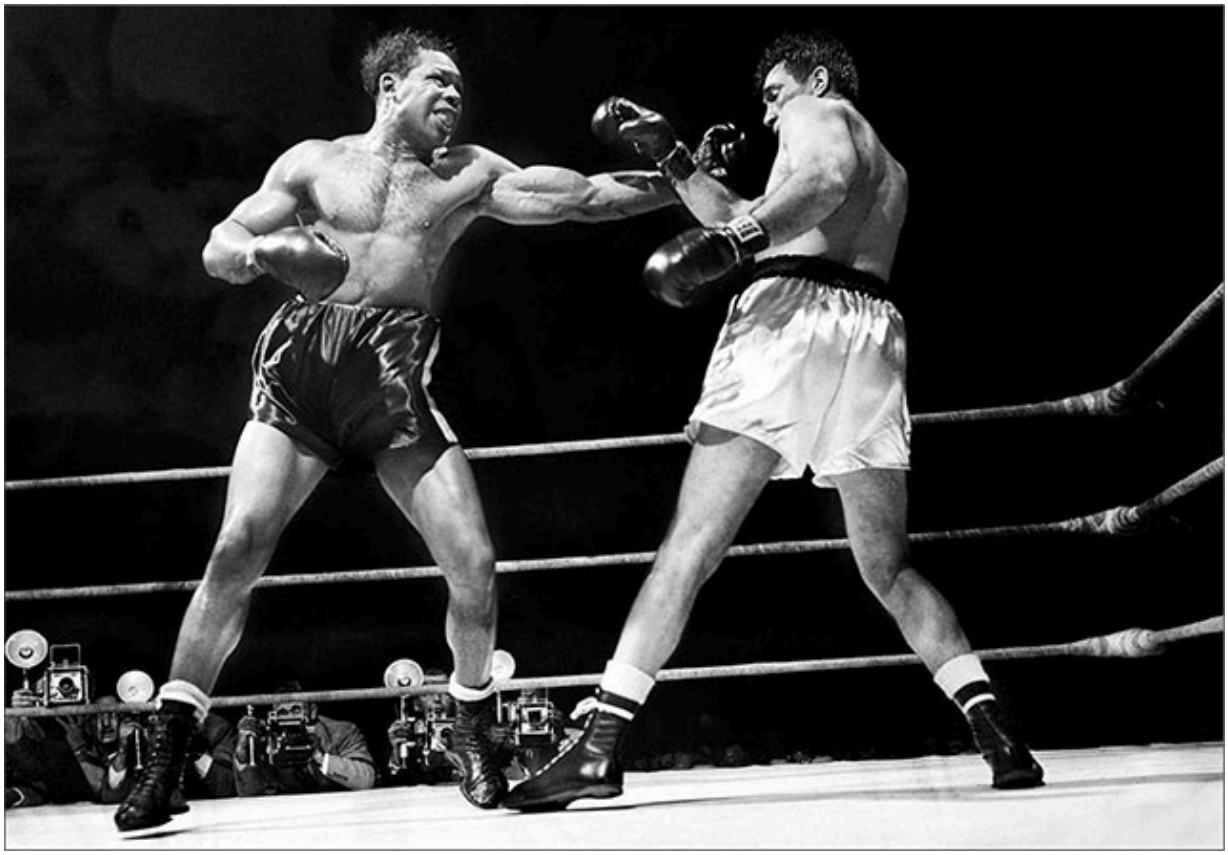

Joe Louis (po lewej) zadaje potężny cios Maxowi Schmelingowi podczas drugiej walki o mistrzostwo świata w Nowym Jorku, 22 czerwca 1938 roku. Klęska Schmelinga była tak błyskawiczna i dotkliwa – pojedynek trwał zaledwie 124 sekundy – że niemieckie radio przerwało transmisję, nie informując o wyniku…

Anschluss Austrii: Adolf Hitler odbywa triumfalny przejazd ulicami Wiednia, marzec 1938 roku

Prezydent Austrii Wilhelm Mock – podczas anschlussu należący do SS Otto Skorzeny został przydzielony do jego ochrony osobistej

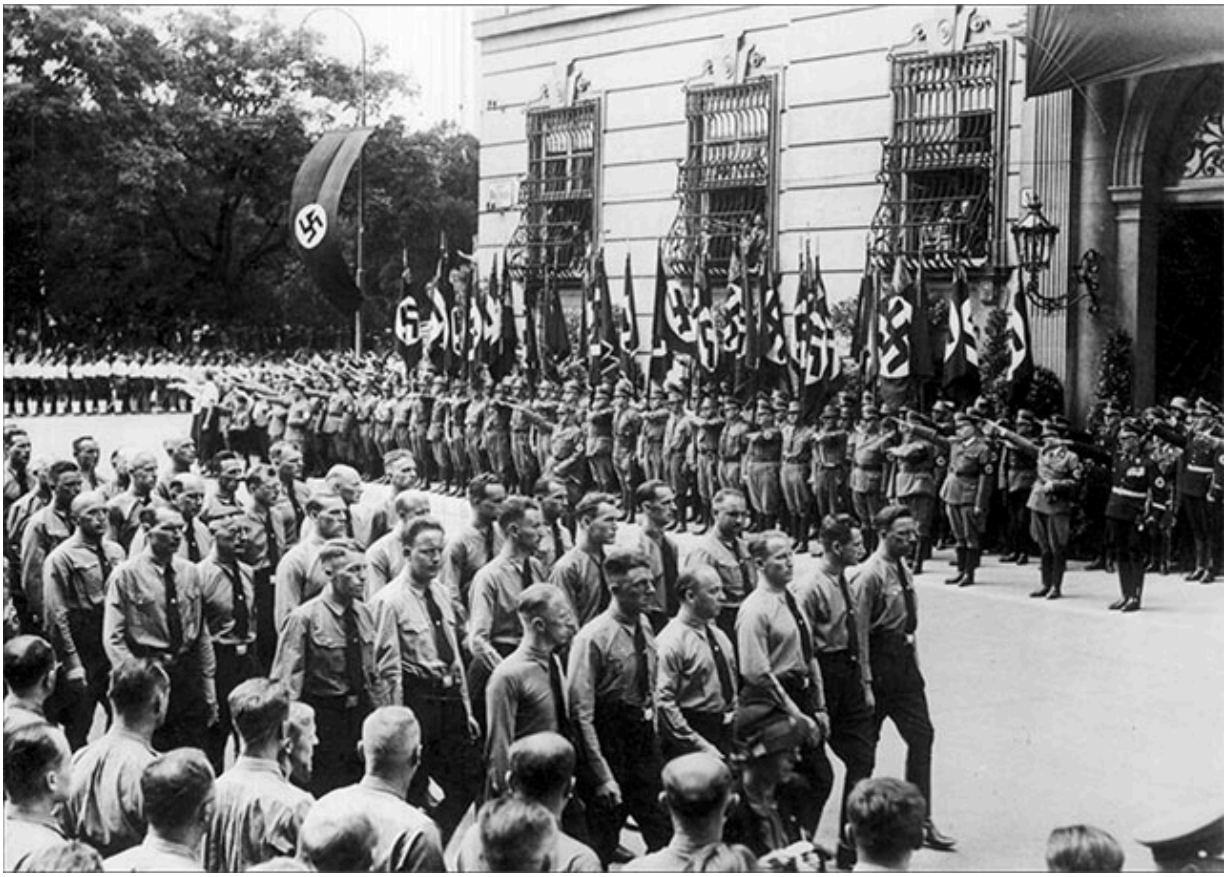

Przemarsz członków wiedeńskiego SS-Standarte 89 (do którego należał również Skorzeny) przed Arthurem Seyss-Inquartem, przywódcą austriackich nazistów

Niemiecki plakat kolportowany po przyłączeniu Austrii do Trzeciej Rzeszy, z hasłem „Jeden naród, jedna Rzesza, jeden wódz”

Oddział SS-Leibstandarte Adolf Hitler defiluje w Berlinie w 1937 roku. z czasem LAH, gwardia przyboczna Hitlera, przekształciła się w elitarną jednostkę Waffen-SS. w 1940 roku jej żołnierzem został Otto Skorzeny

Zdjęcie ślubne księcia Bernharda zur Lippe-Biesterfeld i Juliany van Oranje-Nassau, córki królowej Holandii Wilhelminy. Podczas kampanii holenderskiej Skorzeny miał strzelać do portretu księcia wiszącego w restauracji w Deventer

Obergruppenführer Paul Hausser, twórca jednostek wojskowych SS (Waffen-SS), pierwszy dowódca dywizji „Das Reich”, z którą brał udział w kampanii bałkańskiej i inwazji na Związek Sowiecki w 1941 roku

Żołnierze dywizji SS „Das Reich” ze zdobytym sowieckim sztandarem, lato 1941 roku

Esesmani z „Das Reich” podczas walk pod Jelnią, między Smoleńskiem a Moskwą, październik 1941 roku. Pod koniec grudnia 1941 roku Skorzeny został ciężko ranny pod Możajskiem

Sowieckie katiusze – wyrzutnie rakietowe BM-13 – ostrzeliwują niemieckie pozycje na froncie wschodnim. Wybuch rakiety wystrzelonej z katiuszy stał się przyczyną ciężkiej rany głowy u Skorzenego

Obergruppenführer Hans Jüttner (na pierwszym planie), szef sztabu, a następnie komendant Głównego Urzędu Dowodzenia SS, któremu podlegały m.in. rekrutacja i szkolenie kadr. Jeden z inicjatorów utworzenia oddziałów specjalnych SS

Esesmani z komanda Skorzenego odznaczeni za udział w operacji „Eiche” – uwolnieniu Mussoliniego, 3 października 1943 roku

Nikołaj Kuzniecow, agent NKWD działający w niemieckim mundurze na Ukrainie, który zdobył informacje o planach zamachu na przywódców sprzymierzonych w Teheranie

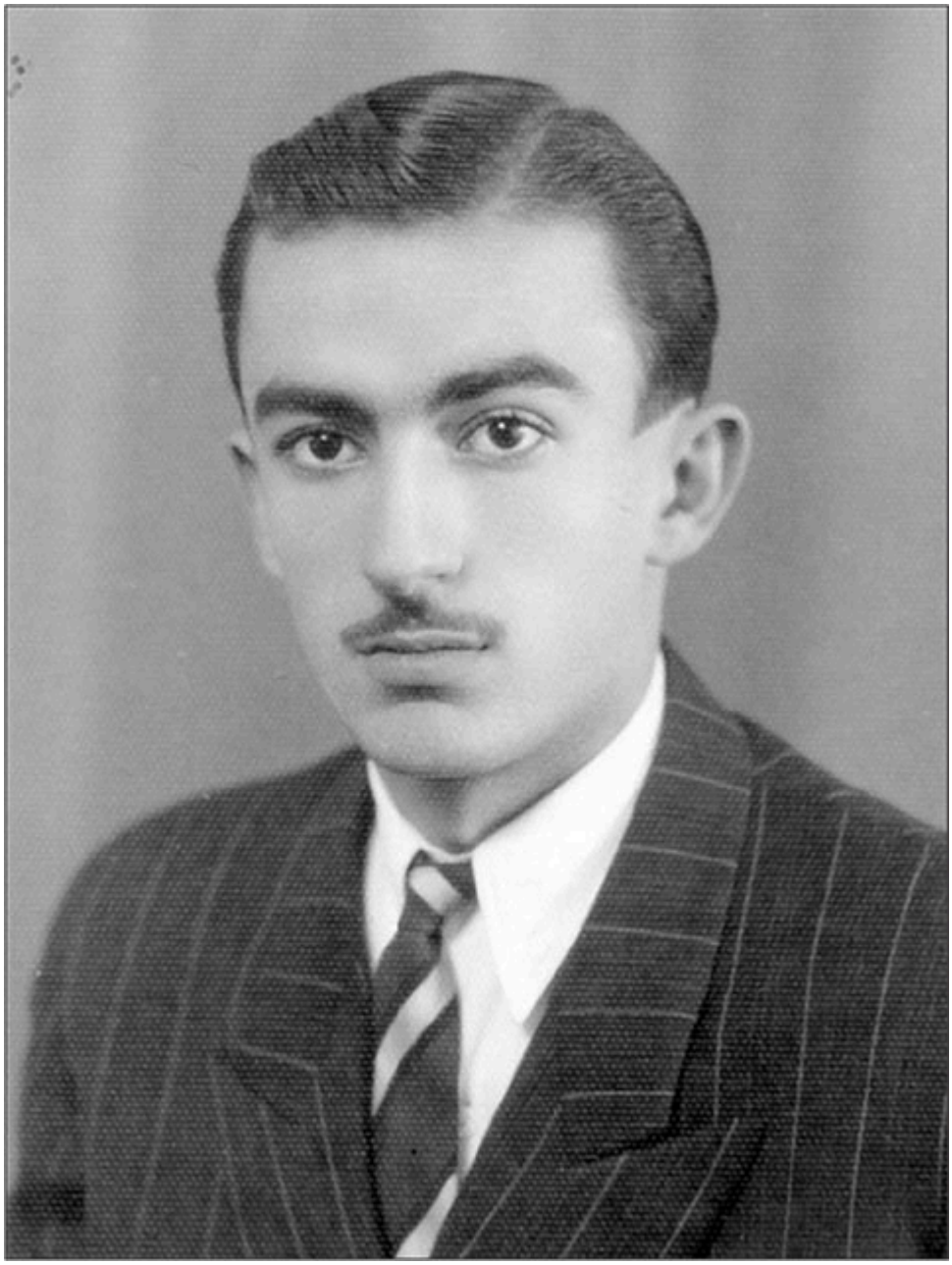

Gework Wartanian, agent sowieckiego wywiadu w Iranie, który wyśledził niemiecką grupę przygotowującą grunt dla akcji komandosów Skorzenego

Wielka Trójka na konferencji w Teheranie w 1943 roku (od lewej): sowiecki przywódca Józef Stalin, prezydent USA Franklin Roosevelt i brytyjski premier Winston Churchill. Skorzeny miał przygotować zamach na nich, ale operacja nie doszła do skutku

Josip Broz-Tito, przywódca komunistycznej partyzantki w Jugosławii – jego schwytanie lub zabicie było głównym celem operacji specjalnej spadochroniarzy z SS w bośniackim Drvarze 25 maja 1944 roku

Strażnik przy wejściu do górskiej kwatery Tity pod Drvarem

Desant strzelców spadochronowych SS pod Drvarem, 25 maja 1944 roku

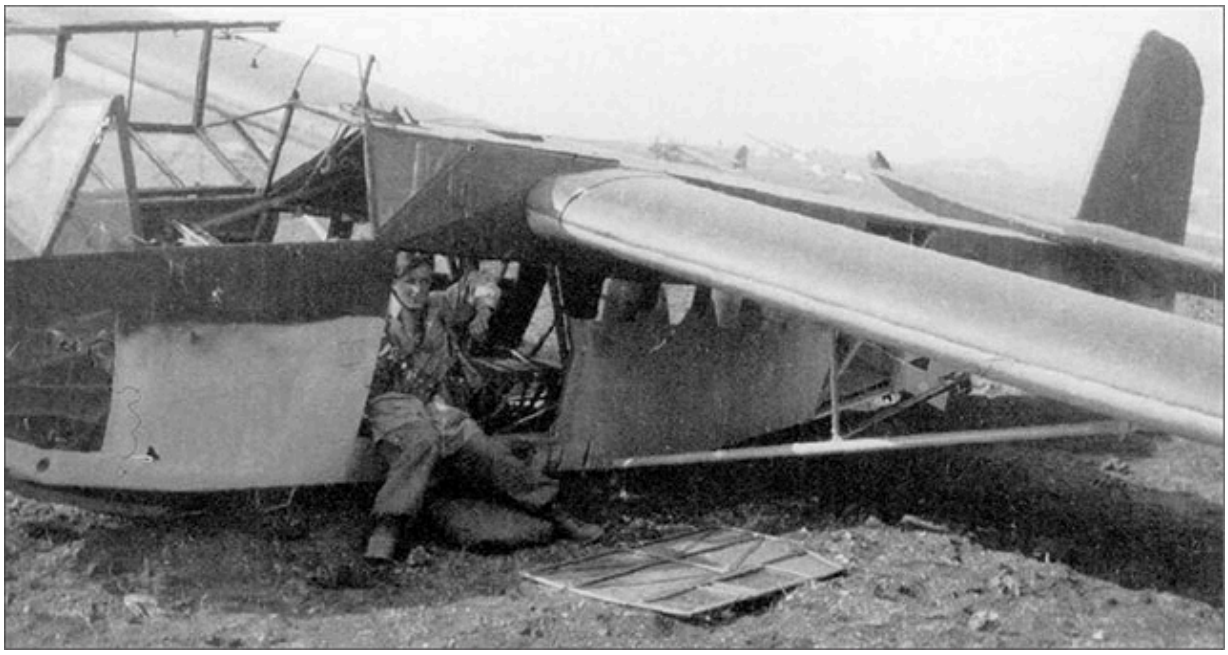

Niemiecki spadochroniarz w szybowcu, który wylądował pod Drvarem, 25 maja 1944 roku

Spadochroniarze SS podczas operacji „Rösselsprung”

Mundur marszałkowski Tity znaleziony przez Niemców – jego właściciel zdołał się jednak wymknąć z pułapki

Płk Claus Schenk von Stauffenberg (pierwszy od lewej), autor nieudanego zamachu bombowego na Hitlera 20 lipca 1944 roku. Na fotografii wykonanej w czerwcu 1944 roku w Wilczym Szańcu, mazurskiej kwaterze Hitlera, widać także dyktatora i feldmarszałka Wilhelma Keitla (pierwszy od prawej)

Lekko ranny Adolf Hitler pokazuje Benito Mussoliniemu barak sztabowy uszkodzony wybuchem bomby podłożonej przez płk. Stauffenberga

Otto Skorzeny z Hitlerem w Wilczym Szańcu

Regent Węgier Miklós Horthy, sojusznik Hitlera, który w 1944 roku, pod wpływem niekorzystnej dla Niemiec sytuacji wojennej, chciał się porozumieć z aliantami

Otto Skorzeny w towarzystwie oficerów SS na dziedzińcu Zamku Królewskiego
w Budapeszcie, 16 października 1944 roku

Esesmani oglądają zdobyczną węgierską broń na dziedzińcu budapeszteńskiego zamku

Niemieccy dywersanci ze 150. Brygady Pancernej przebrani w amerykańskie mundury podczas ćwiczeń przed ofensywą w Ardenach

Niemiecki czołg średni PzKpfw V Panther (Pantera), upodobniony do amerykańskiego niszczyciela czołgów M10 Wolverine, porzucony pod La Falize podczas ofensywy w Ardenach

Dywersant z grupy specjalnej „Einheit Stelau” pod eskortą amerykańskich żandarmów

Komandosi Skorzenego schwytani w amerykańskich mundurach byli rozstrzeliwani jako szpiedzy

Otto Skorzeny podczas walk nad Odrą, luty 1945 roku

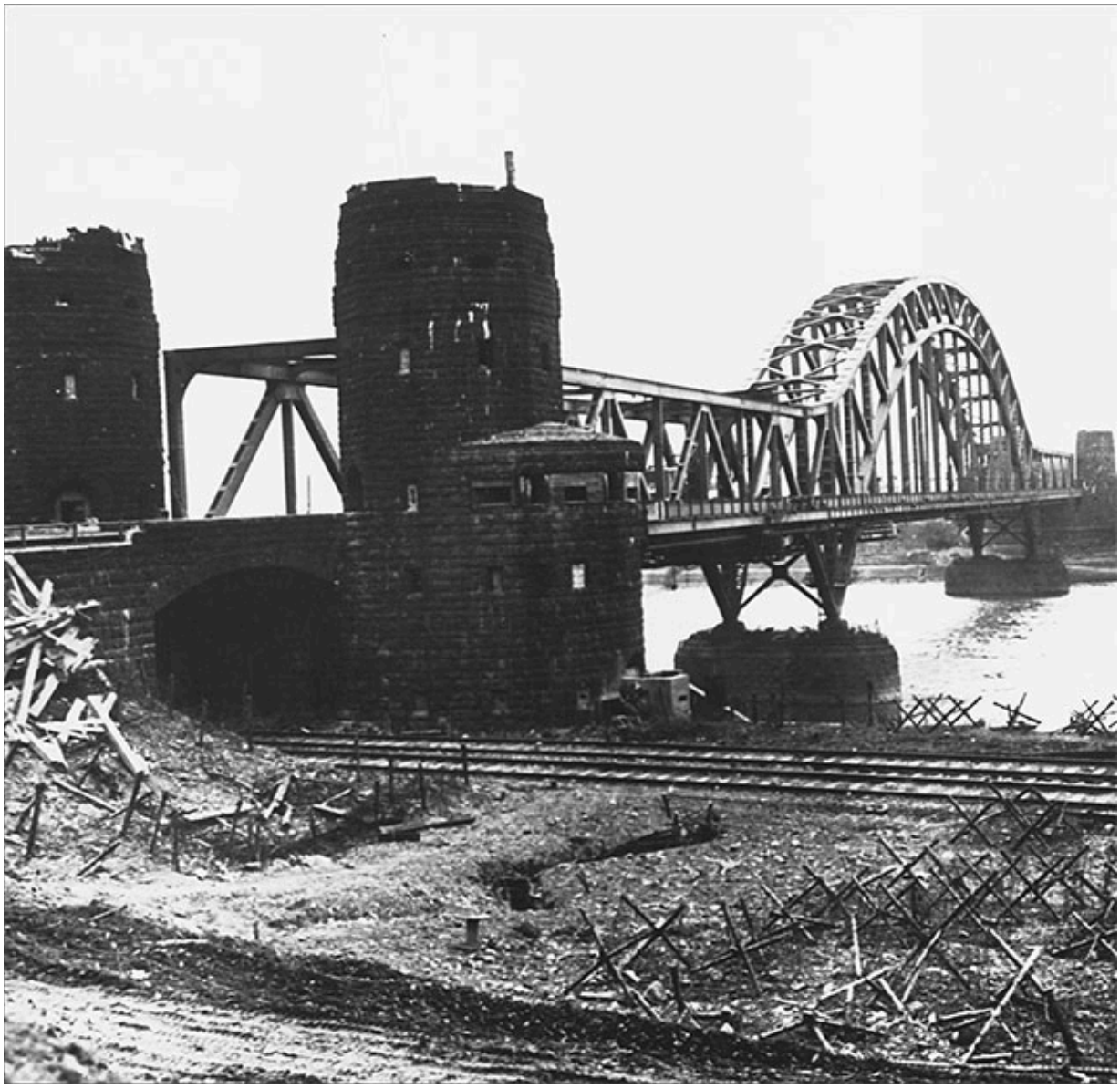

Most na Renie w Remagen, zdobyty przez wojska amerykańskie 7 marca 1945

Żołnierze amerykańscy na moście w Remagen. Niemcy usiłowali go wysadzić, ale eksplozja tylko uszkodziła jedno z przęseł. Nie powiodła się również próba zniszczenia go przez grupę niemieckich płetwonurków wysłanych przez Skorzenego

Oficerowie amerykańscy odpoczywają na tarasie zajętej siedziby Hitlera w Berchtesgaden, maj 1945 roku

Obersturmbannführer Skorzeny po poddaniu się Amerykanom w Austrii, koniec maja 1945 roku

Skorzeny w więziennej celi w Norymberdze, gdzie zeznawał jako świadek podczas sławnego procesu zbrodniarzy hitlerowskich, 1946 rok

Otto Skorzeny z nieodłącznym papierosem w 1952 roku

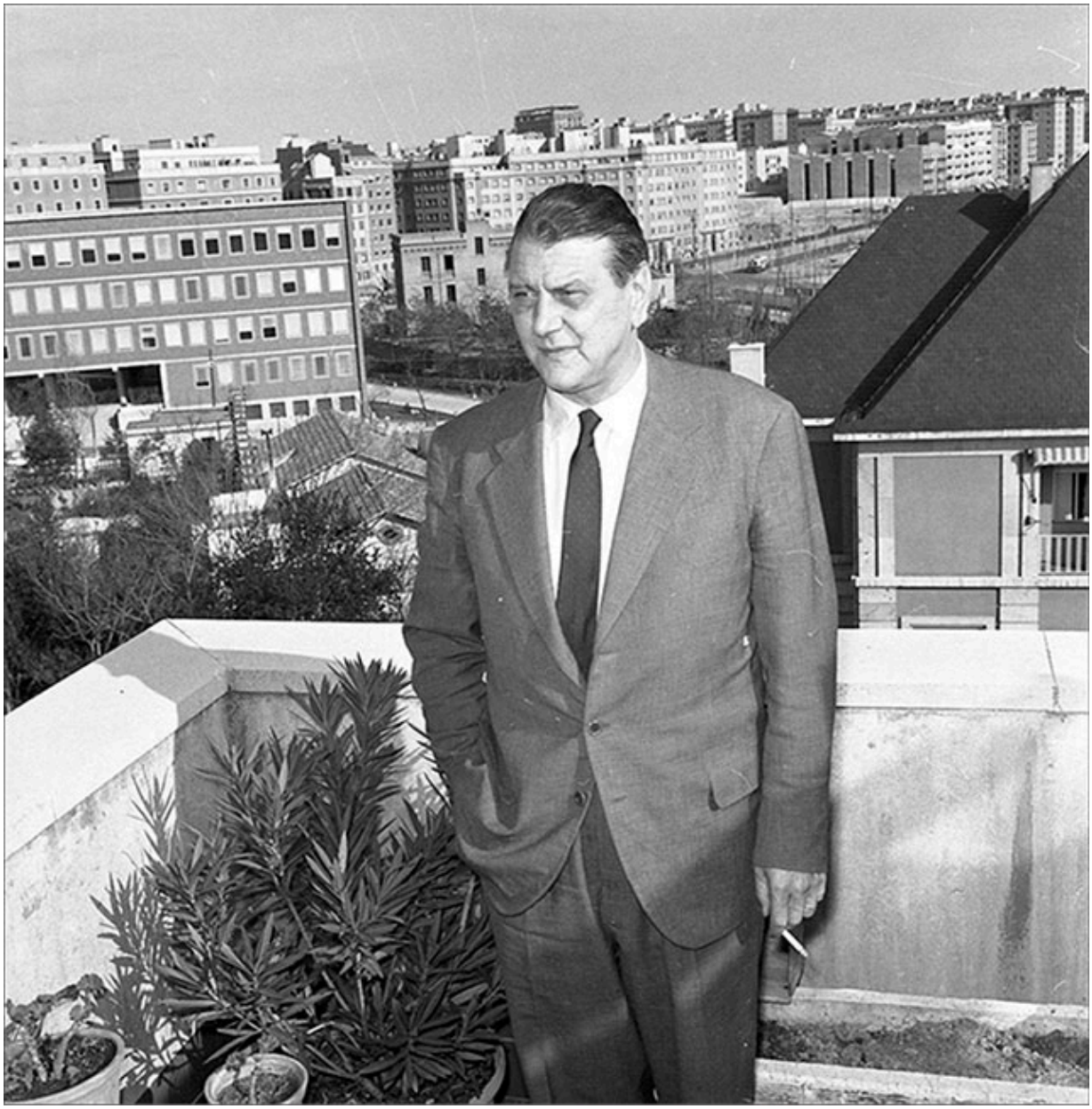

Skorzeny na tarasie domu w Madrycie, 1958 rok

Bibliografia

Ambrose Stephen E., *Most Pegasus*, Magnum, Warszawa 2004.

Annussek Greg, *Jak Hitler uratował Mussoliniego*, Amber, Warszawa 2007.

Arct Bohdan, *W pościgu za V-1*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1957.

Austriacki „Wunderteam”, http://historiafutbolu.fm.interia.pl/hf3.htm.

Bagiński Zdzisław, *Oberdywersant*, KAW, Warszawa 1980.

Bar-Zohar Michael, Nissim Mishal, *Mossad. Najważniejsze misje izraelskich tajnych służb*, Rebis, Poznań 2012.

Baxter Ian M., *Kwatery wojenne Hitlera*, Bellona, Warszawa 2001.

Beevor Anthony, *Berlin 1945. Upadek*, Znak, Kraków 2009.

Bednarek Irena, Sokołowski Stanisław, *Fanfary i werble*, Śląsk, Katowice 1964.

Bielak Feliks, *Służby wywiadowcze Republiki Federalnej Niemiec*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1985.

Bishop Chris, *Dywizje grenadierów pancernych 1939–1945*, Bellona, Warszawa 2008.

Bitwa o Ardeny (*Battle of the Bulge*) – film fabularny w reż. Kena Annakina z 1965.

Borucki Marek, *Mussolini*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986.

Bradley Omar, *Żołnierska epopeja*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1989.

Brunnegger Herbert, *Kto sieje wiatr… Opowieść żołnierza dywizji SS „Totenkopf”*, Wydawnictwo Arkadiusz Wingert, „Przedsięwzięcie Galicja” Michał Zych, Międzyzdroje–Kraków 2006.

Brzeziński Marek, *Moda w czasach okupacji*, http://www.rfi.fr.

Bullock Alan, *Hitler – Studium tyranii*, Czytelnik, Warszawa 1975.

Canetti Elias, *Pochodnia w uchu*, Czytelnik, Warszawa 1978.

Chant Christopher, *The Encyclopedia of Codenames of World War II*, Routledge & Keegan Paul, London 1986.

Churchill Winston, *Druga wojna światowa*, Phantom Press International/Refren, Gdańsk 1995.

Ciechanowski Jan, *Defeat in Victory*, Doubleday & Company, 1947.

Craig Jim, *Teheran-43: Wrecking the plan to kill Stalin, Roosevelt and Churchill*, http://en.ria.ru.

Dawidowski Sławomir, *Evita Perón. Pierwsza Dama Populizmu*, Stato, Suwałki 2011.

Encyklopedia II wojny światowej (pod red. Kazimierza Sobczaka), Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1975.

Flisowski Zbigniew, *Ardeny*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1969.

Foley Charles, *Commando Extraordinary: A Biography of Otto Skorzeny*, Costa Mesa, CA Noontide Press 1988.

Fryszkiewicz Andrzej, *KG-200 bez tajemnic*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1987.

Gajewski Jan, *Canaris*, Książka i Wiedza, Warszawa 1977.

Gehlen Reinhard, *Sensacyjne wspomnienia szefa wywiadu*, Warszawski Dom Wydawniczy, Wydawnictwo ATENA, Warszawa 1993.

Gilman J.D., Clive John, *KG-200, bezimienny oddział Luftwaffe*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984.

Gładysiak Łukasz, *Cel: Tito – operacja Rösselsprung*, http://armia24.pl.

Goni Uki, *The Real Odessa. How Peron Brought the Nazi War Criminals to Argentina*, Granta UK (reprint edition), London January 1, 2003.

Görtemaker Heike, *Ewa Braun. Na dworze führera*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2011.

Grajewski Andrzej, *W przepaść*, „Gość Niedzielny" nr 26 z 29 czerwca 2014.

Grodzki Jakub, *Fallschirmjäger Division-SS FJ Btl 500/600*, http://www.special-ops.pl.

Grünberg Karol, *SS – czarna gwardia Hitlera*, Książka i Wiedza, Warszawa 1985.

Guderian Heinz, *Wspomnienia żołnierza*, Bellona, Warszawa 1991.

Guz Eugeniusz, *Radiowe imperium Goebbelsa*, „Przegląd" nr 35 z 5 września 2010.

Halbański Maciej E., *Potrawy z różnych stron świata*, Watra, Warszawa 1975.

Hechler Ken, *The Bridge at Remagen*, Ballantine, First edition (January 1, 1957).

Higgins Jack, *Orzeł wylądował*, Amber, Poznań 1990.

Hunter Robin, *Komandosi. Prawdziwe historie*, Muza, Warszawa 2001.

Ideowe i finansowe źródła nazizmu, http://www.kki.com.pl.

Infield Glenn B., *Skorzeny. Hitler's Commando*, Buccaneer Books, New York 1988.

Isherwood Christopher, *Pożegnanie z Berlinem*, Świat Książki, Warszawa 2009.

Janecki Stanisław, *Przyjaciel Stalina*, „W sieci" nr 51–52 z 5–28 grudnia 2014.

Jantar Jerzy, *Wilcze legowisko*, Pojezierze, Olsztyn 1973.

Jegorow R., Krakowski S., *Upadek regenta*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1959.

Johnson Lonnie, *Introducing Austria*, Ariadne Press, 1989.

Kempski Benedykt, *Samolot transportowy Junkers Ju 52/3m*, seria: *Typy Broni i Uzbrojenia*, zeszyt 142.

Kessler Leo, *Dolina zabójców. Zamach w Teheranie 1943*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2012.

Kessler Leo, *Krew i lód. Śmierć Waffen-SS*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2011.

Kessler Leo, *Totenkopf*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2009.

Knopp Guido, *SS – przestroga historii*, Świat Książki, Warszawa 2004.

Knopp Guido, *Zabić Hitlera*, Świat Książki, Warszawa 2009.

Kowalski Włodzimierz T., *Wielka koalicja 1941–1945*, tom I 1941–1943, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1976.

Kozeński Jerzy, *Austria 1918–1968. Dzieje polityczne i społeczne*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970.

Kozieł Hubert, *Finansowi szalbierze spod znaku swastyki*, „Parkiet” nr 213 z 15 września 2004.

Kurowski Franz, *„Brandenburczycy” i Abwehra. Niemieckie oddziały specjalne 1939–1945*, Oskar, Warszawa 2003.

Kurzman Dan, *Zamach na Watykan*, http://www.focus.pl.

Kwatery wojenne Hitlera (praca zbiorowa), Zysk i Spółka, Warszawa 2007.

Luba Iwona, *Berlin. Szalone lata dwudzieste, nocne życie i sztuka*, PWN, Warszawa 2013.

Mainwald Stefan, *Seksualność w cieniu swastyki*, Trio, Warszawa 2003.

Majewski Ryszard, *Waffen-SS. Mity i rzeczywistość*, Zakład Narodowy Imienia Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1977.

Marshall Charles F., *Życie i śmierć Lisa Pustyni*, Wydawnictwo L&L, Gdańsk 2002.

Materiały utajnione przez Stalina. Teczka Hitlera (pod red. Henrika Eberlego i Mathiasa Uhla), Świat Książki, Warszawa 2005.

Mayer Kurt, *Grenadiers: The Story of Waffen-SS General Kurt „Panzer” Meyer*, Stackpole Books, U.S., New edition (15 May 2005).

McRaven William H., *Spec Ops: Case Studies in Special Operations Warfare: Theory and Practice*, Presidio Press (June 1, 1996).

Mellenthin Friedrich, *Bitwy pancerne*, Oskar, Warszawa 2001.

Messenger Charles, *Gladiator Hitlera: życie i czasy SS-Obergruppenführera i generała pułkownika Waffen-SS Josefa Dietricha*, Oskar, Warszawa 2001.

Miecik Igor T., *Gdzie jest złoto nazistów?*, „Newsweek” z 9 października 2012.

Miklós Horthy, Niedoceniany bohater, http://www.wykop.pl.

Miller Russel, *Komandosi*, Amber, Warszawa 2000.

Monelli Paolo, *Mussolini*, Czytelnik, Warszawa 1973.

Moracchini Michel, *Oddziały specjalne Hitlera (Einsatzgruppen)*, Bellona, Warszawa 2004.

Murawski Marek J., *Samoloty Luftwaffe*, tom II, Lampart, Warszawa 1999.

Najnowsze depesze o wydarzeniach w Austrii, „Orędownik – Ilustrowany Dziennik Narodowy i Katolicki" nr 61 z 16 marca 1938.

Natorski Rafał, *Tajemnica skarbca Reichsbanku*, http://facet.wp.pl.

Niemieckie operacje specjalne w czasie bitwy w Ardenach, http://www.konflikty.pl.

Nikulin Nikołaj, *Sołdat, Od Leningradu do Berlina. Frontowa prawda w opowieści szeregowego żołnierza Armii Czerwonej*, Carta Blanca, Ośrodek KARTA, Warszawa 2013.

Nowakowski Tomasz, *Operacja „Skok konika szachowego", Drvar, 25 maja 1944 r.*, „Poligon" nr 3 z 2014.

Nowakowski Tomasz, Skotnicki Mariusz, *Kijów 1941*, Altair, Warszawa 1995.

Nowakowski Tomasz, Skotnicki Mariusz, Zbiegniewski Jerzy, *Niemieckie wojska spadochronowe 1936–1945*, Lampart, Warszawa 1996.

Operacja „Eiche" (Dąb) – 12 września 1943 roku, www.dws-xip.pl.

Orgia na bankiecie śmierci, http://www.focus.pl.

Osęka Piotr, *Hitler ponad Niemcami*, „Newsweek" z 9 września 2004.

Ostromęcki Jakub, *Esesman w Mossadzie*, „Do Rzeczy-Historia” nr 1 z 2013.

Paxton Robert O., *Anatomia faszyzmu*, Rebis, Poznań 2005.

Paxton Robert O., *Francja Vichy. Stara gwardia i nowy ład, 1940–1944*, Bukowy Las, Wrocław 2011.

Perepeczko Andrzej, *Komandosi w akcji*, Wydawnictwo Morskie, Gdańsk 1982.

Piątek Justyna, *Teheran 1943 – szpiedzy w akcji*, www.histmag.org.

Piekałkiewicz Janusz, *Wojna pancerna 1939–1945*, Morex, Warszawa 1997.

Potocki Andrzej Rafał, *Zanim ktoś zabije Niemca, zginie kilkadziesiąt milionów ludzi*, „W sieci” nr 7(11) z 2013.

Powołocki Stanisław, *Koniec gniazda zbrodni*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1959.

Prawdziwy Bond zdemaskowany, http://ksiazki.onet.pl.

Raviv Dan, Melman Yossi, *A każdy szpieg to książę. Pełna historia wywiadu izraelskiego*, Książka i Wiedza, Warszawa 1993.

Reynolds Michael, *Ludzie ze stali. 1. Korpus Pancerny SS w Ardenach i na froncie wschodnim*, Instytut Wydawniczy ERICA, Warszawa 2009.

Riefenstahl Leni, *Pamiętniki*, Świat Książki, Warszawa 2003.

Ripley Tim, *Elitarne jednostki wojskowe Trzeciej Rzeszy. Niemieckie siły specjalne w drugiej wojnie światowej*, Firma Księgarska Jacek i Krzysztof Olesiejuk, Ożarów Mazowiecki 2007.

Ryszka Franciszek, *Noc i mgła. Niemcy w okresie hitlerowskim*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1962.

Ryzinski Martin, *Miasto maszyna dekadencji. Berlin od pruskiej prowincji do metropolii XX wieku*, http://www.wir-edition.de/wirweb/seiten/ryzinski.html.

Schaake Erich, *Kobiety Hitlera*, Videograf II, Chorzów 2005.

Schadewitz Michael, *Ardeny 1944–1945. Tajne operacje Skorzenego*, Bellona, Warszawa 2010.

Semka Piotr, *Dramatyczny wybór admirała*, „Uważam Rze Historia", nr 5 z 2012.

Sharpe Michael, Davis Brian L., *Waffen-SS: Leibstandarte, das Reich: elitarne oddziały Hitlera*, Bellona, Warszawa 2010.

Schellenberg Walter, *Wspomnienia*, KAW, Wrocław 1987.

Schneppen Heinz, *Odessa. Tajna organizacja esesmanów*, Bellona, Warszawa 2009.

Sierpowski Stanisław, *Faszyzm we Włoszech 1919–1926*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973.

Skorzeny Otto, *Nieznana wojna. Moje operacje specjalne*, Oskar, Warszawa 1999.

Skotnicki Mariusz, *Moździerz samobieżny „Karl" (Gerät 040)*, http://www.muzeumwp.pl.

Skotnicki Mariusz, *Uwolnić Duce! Gran Sasso 12 września 1943 r.*, „Technika Wojskowa -Historia" nr 5 z 2011 oraz „Komandos" nr 6 z 1998.

Słowiński Przemysław, *Brązowy Bombardier – Biografia Joe Louisa* (maszynopis).

Słowiński Przemysław, *Słynne porwania*, Videograf S.A., Chorzów 2013.

Smith Denis Mack, *Mussolini*, Wydawnictwo Michał Urbański, Warszawa 1994.

Stachura Peter, *Agenci sowieccy w administracji Roosevelta* (tłum. Agnieszka Żurek), „Nasz Dziennik” nr 181 z 4–5 sierpnia 2012.

Stradowski Jan, *Medycy ostatniej posługi*, „Wprost” nr 12 z 2005.

Trye Rex, *Żołnierze Mussoliniego*, Bellona, Warszawa 2000.

Urlowski Miłosz, *Łabędzi śpiew Wehrmachtu*, „History Revue” nr 2, luty–marzec 2015.

Uwolnienie Benito Mussoliniego przez niemieckich komandosów, www.sww.w.szu.pl.

Wąsiewski Józef, *Kilka słów o działaniach specjalnych na morzach*, http://smw.ocalicodzapomnienia.eu.

Weingartner James J., *Dywizja Führera: Leibstandarte SS Adolf Hitler*, Oskar, Warszawa 2000.

Weiss Robert, *Ostatni zamach na Hitlera*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1959.

Węgłowski Adam, *Dopaść rzeźnika Warszawy*, http://historia.focus.pl.

Whiting Charles, *Ostatni kontratak Hitlera*, Amber, Warszawa 2007.

Whiting Charles, *Skorzeny – najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie*, Finna, Gdańsk 1999.

Wieliński Bartosz T., *Ulubiony komandos Hitlera*, „Gazeta Wyborcza” z 31 października 2013.

Wielkie zagadki przeszłości. Eksperci ujawniają kulisy wydarzeń historycznych, Przegląd Reader’s Digest, Warszawa 1996.

Wilczur Jacek, *Zagłada oliwkowych mundurów*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1964.

Wistrich Robert S., *Kto był kim w III Rzeszy. Leksykon*, Znak, Warszawa 1997.

Witkowski Igor, *Nieznane operacje służb specjalnych III Rzeszy*, WIS-2, Warszawa 2007.

Wołoszański Bogusław, *Encyklopedia II wojny światowej*, Amber, Warszawa 1997.

Wołoszański Bogusław, *Jak Niemcy odbili Mussoliniego*, http://www.facet.interia.pl.

Wołoszański Bogusław, *Operacja „Odessa”*, „Wprost” nr 7 z 2004.

Wołoszański Bogusław, *Sieć. Ostatni bastion SS*, Wydawnictwo Wołoszański, Warszawa 2006.

Wołoszański Bogusław, *Straceńcy*, Colori, Warszawa 1998.

Wołoszański Bogusław, *Tajna wojna Churchilla*, Wydawnictwo Sensacje XX wieku, Warszawa 2012.

Wołoszański Bogusław, *Tajna wojna Hitlera*, Colori, Warszawa 1997.

Wołoszański Bogusław, *Teatr wojny*, „Wprost” z 31 sierpnia 2003.

Wołoszański Bogusław, *Wojna Miłość Zdrada*, Wołoszański Sp. z o.o., Warszawa 2010.

Woydyłło Jerzy, *Tito jakiego nie znamy*, Spar, Warszawa 1992.

Wydrzyński Andrzej, *Zamach na Nowy Jork*, Wydawnictwo Śląsk, Katowice 1960.

Wysocki Adam Witold, *Duce, aresztuję pana!*, Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa 1962.

Zbiegniewski A.R., *Ostatnia ofensywa*, Kagero, Warszawa 2007.

Zięba Wojciech, *Otto Skorzeny – najgroźniejszy człowiek w Europie*, monarchianaddunajska.files.wordpress.com.

Zimmerman Mateusz, *Żadnej zdrady. Szpieg, który kochał*, http://www.wiadomosci.onet.pl.

Indeks

A

Abakumow Wiktor

Abt John J.

Acimovic Milan

Adenauer Konrad

Adolf Martin

Ahituv Abraham

Aleksander III

Alexander Harold

Altenberg Peter

Alvenslieben Ludolf von

Ambrosio Vittorio

Amerongen Otto Wolff von

Amit Meir

Andersen Lale (właśc. Liselotte Bunnenberg)

Andrus Burton

Annussek Greg

Antonescu Ion

Apor Vilmos, biskup

Appel Karl

Arafat Jaser

Arnold Henry Harley

Assmann Heinz

Attlee Clement

Audisio Walter

Axmann Arthur

B

Babel Izaak

Bach-Zelewski Erich von dem

Badoglio Pietro, marszałek,

Baer Max

Bagiński Zdzisław

Baillet–Latour Henri de, hrabia

Baldwin Stanley

Bandera Stepan

Barbie Klaus

Bartoszewski Władysław

Batiszczewa Walentyna

Bauer Otto

Baumkätter Heinz

Bayerlein Fritz

Bazni Elyas ps. „Cycero”

Beck Ludwig

Beck Otto

Beckenbauer Franz

Becker Karl

Beer Gertrude

Beevor Anthon

Begin Menachem

Ben Bella

Benedykt XV

Beneš Edvard

Bentrup Karl

Berger Fritz

Berger Gottlieb

Berger Heinrich

Berger Otton

Beria Ławrientij

Beria Sergo

Berlepsch Georg Freiherr von

Berlepsch Otto von

Bernardis Robert

Bican „Pepi” Josef

Bierieżkow Walentin

Bismarck Otto von

Bittrich Wilhelm

Blanter Matwiej

Blücher Wasilij

Blunt Anthony

Bock Fedor von

Bodenschatz Karl-Heinrich

Bohlen Charles „Chip”

Bolbrinker Ernest

Bolesław III Krzywousty

Bond James, postać literacka

Bond M.C

Bonhage Barbara

Bor-Komorowski Tadeusz

Borghese Junio Valerio

Borgmann Heinrich

Bormann Martin Adolf, syn

Bormann Martin, ojciec

Botzaris Alexander

Bourne Alan

Bowman Ruth Alice

Bracker Milton

Braddock Jim

Bradley Omar

Bradley Omar

Brandner Ferdynand

Brandt Heinz

Brandt Karl

Brandt Willy

Brasse Wilhelm

Braun Ewa

Braun Wernher von

Breugel Pieter

Briun Arend de

Broock Patrick

Brooke Allan

Brückner Anton

Brunnegger Herbert

Brunnegger Herbert

Brunner Alois

Buch Gerda

Buch Walter

Buhle Walther

Bullock Alan

Bünau Rudolf von

Burckhardt Jacob

Burgdorf Wilhelm

Burgess Guy

C

Cairncross John

Canaris Wilhelm

Canetti Elias

Canetti Elias

Capone Alphonse

Carnergie Andrew

Carpentier Georges

Castro Fidel

Cermak Anton

Cesare Nicole de

Chamberlain Neville

Chambers Whittaker

Chevalier Maurice

Chevallerie Hellmuth von der

Chotek Zofia von

Chruszczow Nikita

Churchill Sarah, córka premiera

Churchill Winston

Churchill Winston

Ciano Galeazzo

Ciechanowski Jan

Ciechanowski Jan

Clark Bruce

Clarke Dudley Wrangel

Clement Ricardo

Comodus Lucius Aurelius, cesarz

Coolidge Calvin

Costa da Alberto

Crowley Jim

Curzon George

Czang Kaj-szek

Czappa Hans

Cziczerin Gieorgij

Czombe Moise

D

Dajan Mosze

Daladier Edouard

Darlan Franćois

Dasch Georg Johannes

Dawidowski Sławomir

Dedal, postać mityczna

Degrelle Leon

Delarge Fernand

Delmer Sefton

Dempsey Jack

Dentz Henri

Deutsch Julius

Dibelius Otto

Dickmann Max

Dienner Franz

Dietrich Joseph „Sepp”,

Dill John

Dirlewanger Oskar

Döblin Alfred

Dobó István

Dollfuss Engelbert

Dönitz Karl

Donovan Arthur

Donovan William Joseph

Doolittle James „Jimmy”

Dörnberg Alexander Freiherr von

Dorot Isi

Dragonovic Krunosław

Dreyfus Gerard Louis

Dulles Allen

Dulles John Foster

Durst Robert D.

Dutkiewicz Stanisław ps. „Pillert”

Dürer Albrecht

E

Eden Anthony

Edison Thomas

Edward VIII

Eichmann Adolf

Eicke Theodor

Eiermann Egon

Eisenhower Dwight David

Eitan Rafi

Emanuel III Wiktor, król

Erazm z Rotterdamu

Erenburg Ilja

Erhard Ludwig

Escobar Adrian

Ettore Muti

F

Faioli Alberto

Falk Richard

Falkenhayn Erich von

Fallersleben August Heinrich Hoffmann von

Farinacci Roberto

Farmbacher Wilhelm

Faruk I, syn Fu’ada I

Faruk, Fu’ad I, ojciec

Faruk, Fu’ad II, syn Faruka I

Fegelein Hermann

Fellgiebel Erich

Feuchtinger Edgar

Fey Heimatschutz Emil

Fickenstain Ilse Lutje Finke von

Fitze Günther

Fitzgerald Scott

Fleming Ian

Flick Friedrich

Flöter Kurt

Foch Ferdynand

Fölkersam Adrian von

Fölkersam Dmitrij von

Fölkersam Gustav von

Forrell Herbert

Förster Paul

Fosse Bob

Franciszek Józef I, cesarz

Franco Francesco

Frank Anna

Frank Hans

Freisler Roland

Freud Zygmunt

Freude Ludwig

Freude Rodolfo

Freyed Ernest von

Frick Wilhelm

Frieser Karl-Heinz

Fritsche Hans

Fromm Friedrich

Frondizi Arturo

Frossi Annibale

Frost John

Fryderyk II Wielki, król

Fryderyk Wilhelm IV, cesarz

Fuchs Amanda

Fucker Karl

Fuldner Carlos

Fuller John Frederick Charles

Funk Alfred

Funk Walter

G

Gad Hubert

Gal Josef Ben

Gall Anonim

Galland Adolf

Gardner George

Gaulle Charles de

Gawlik Hans

Gebhardt Karl

Gehlen Reinhard

Gehlen Reinhard

Gentry Curt

Gerhardt Georg

Gerlach Heinrich

Gfölner Anton

Giesing Erwin

Giraud Henri

Gläsemer Wolfgang

Goebbels Joseph

Goerdeler Carl Friedrich

Goethe Johann Wolfgang

Gordijewski Oleg

Göring Emma

Göring Hermann

Görka Heidi

Görka Paul

Görtemaker Heike

Gosslau Fritz

Goyeneche Juan Carlos

Grable Betty

Gräf Heinz

Grandi Dino Mordano di

Gregor Nora

Greim Robert von

Gritschneder Ingolf

Groot Gerrit

Grosz George

Groszkowski Janusz

Gruner Werner

Gryner Peter H.

Grzybowski Wacław

Gubbins Colin

Guderian Heinz

Guderian Heinz

Gueli Giuseppe

Günsche Otto

Gurion David Ben

Gwizjusz Henryk

H

Haas Leon

Habsburg Franciszek Ferdynand

Habsburg Józef von, arcyksiążę

Hácha Emil

Haeften Werner von

Hagemann Wolf, gen.

Hagen Albrecht von

Hagen Hans

Halder Franz

Hamas Steve

Hambro Charles

Hanke Karl

Hansen Dieter

Hardieck Willie

Harel Iser

Harkabi Jehoszafat

Harnisch Hans

Harriman William Averell

Harris Arthur

Harster Wilhelm

Hase Paul von

Hauenschild Bruno von

Hauser Adolf

Hauser Paul zw. Papa

Hausser Paul

Hechler Ken

Heidenreich Willy

Heinkel Ernst

Heinrici Gotthard

Helldorf Wolf-Heinrich von

Hellmuth Osmar

Hemingway Ernest

Hendel, ppłk

Henderson Loy W.

Henke Werner

Henryk V, cesarz

Herr Traugott

Hess Rudolf

Heusinger Adolf

Hewel Walter

Heydrich Reinhard

Heye Hullmuth

Hiedler Georg

Himmel Otto

Himmler Gebhard

Himmler Heinrich

Hindenburg Paul von

Hirohito, cesarz Japonii

Hiss Alger

Hitler Adolf *passim*

Hitzinger Heinrich

Hodges Courtney

Hoettl Wilhelm

Hoffmann Hans

Hoffmann Heinrich

Hoffmann Henriette

Hoge William M.

Hoover John Edgar

Hopkins Harry

Höpner Erich

Höppner Erich

Horcher Otto

Horrocks Brian

Horthy Istwán

Horthy Miklós,

Horthy Miklós

Horthy Miklós Junior

Horwitz Lewis I.

Höss Rudolf

Höss Rudolf

Hoth Hermann

Howard John

Hradetzky Gregor

Hudal Alois

Hull Cordel

Hunke Werner

Hunyady János

I

Imrédy Béla von

Infield Glenn

Infield Glenn

Innitzer Theodor

Isakowski Michał

Isherwood Christopher

J

Jackson Sophie

Jacob Friedrich

Jacob Karl

Jacobs Joe

Jacobs Mike

Jacobsen Hans-Adolf

Jan III Sobieski, król

Janecki Stanisław

Januszewski Emil

Jegorow Aleksander

Jerzy VI, król

Jodl Alfred

Johnson Cornelius

Joklik Otton

Jost Heinz

Junge Rolf

Jüttner Hans

Jüttner Hans (właśc. Jan Śmigel)

K

Kacaw Mosze

Kainberger Karl

Kaléko Mascha

Kaltenbrunner Ernest

Kantzow Karin von

Karol I Habsburg, cesarz

Karol XII, król

Károlyi Mihály

Kaschny Adolf

Kästner Erich

Keitel Wilhelm

Kelly George

Kempiński Berthold

Kern Karoly

Kerr Alfred

Kerr Alfred

Kerr Archibald Clark

Kesselring Albert

Keyes Roger

King Ernest J.

Kirchheim Heinrich

Kirchner Wolfram

Kirk Alexander C.

Klausing Friedrich-Karl

Kleeberg Franciszek

Kleeman Ulrich

Kleinwächter Hans

Kleist Paul von

Kliczko Władymir

Klingeberg Fritz

Klingenberg Fritz

Kloss Hans, postać literacka

Kluge Günther von

Knoll Jürgen

Koch Erich

Kocjan Antoni

Kodré Heinrich

Koller Fritz

Kordt Erich

Körner Paul

Korniejew Nikołaj

Korten Günther

Köstring Ernst

Koudele Franz, alias ppor.Protow

Kozieł Hubert

Kramer Josef

Krasnow Nikołaj N.

Krasnow Piotr N.

Kraus Karl

Krebs Hans

Kriebel Karl

Krno Ladislav

Kromiadi Konstantin

Krug Heinz

Krüger Bernhard

Krupp Gustav

Krutoff Leo

Kun Béla

Kurowski Franz

Kurtz Helmuth

Kuzniecow Nikołaj I.

L

Lákatos Géza

Lammers Hans Heinrich

Landowsky, alias ppor. Okczakow

Langguth Horst

Laudon Adolf

Lauterbach Hartmann

Lautz Heinrich

Laval Pierre

Lawon Pinchas

Laycock Robert

Le Bon Gustave

Leahy William Daniel

Leclerc Philippe

Leeb Wilhelm von

Leers Johann von

Lehmann Rudolf

Leip Hans

Lenbach Franz von

Lenin Włodzimierz

Leppel Gustav von

Levald Teodor

Lewis Carl

Ley Robert

Leyser Ernest von

Liddel Hart Basil

Liebenfels Jörg Lanz von

Lietzmann Heinrich

Lincoln Abraham

Lippe-Biesterfeld Aschwin

Lippe-Biesterfeld Bernard zur

Lippisch Alexander Martin

List Wilhelm

Loire Gabriel

Lonati Bruno Giovanni

Loringhoven Freytag von

Louis Joe

Luck Hans von

Ludendorff Erich

Lupé Jean de Mayol de

M

Machon Max

Mackensen Eberhard von

MacLean Donald

Maczek Stanisław

Madame Pompadour (właśc. Jeanne Antoinette Poisson)

Maglione Luigi

Magni Franco

Maisel Ernst

Malinowski Rodion J.

Mandel Hans

Manteuffel Hasso von

Mao Zedong

Marconi Guglielmo

Marek Aureliusz, cesarz

Maria Magdalena

Maritain Jacques

Marshall Charles F.

Marshall George

Martel Thierry de

Martinovics Ignác

Masaryk Jan

Maser Werner

Maske Henry

Mathison Charles

Matuszewski Ignacy

Mayer Helene

Mayer Kurt

McCarthy Joseph Raymond

McClure Donald

McCrea John L.

McNally George

McRaven William H.

McRaven William H.

Medan Rafie

Meisl Hugo

Mellenthin Friedrich

Mellenthin Friedrich

Menem Carlos

Mengele Josef

Messe Giovanni

Messerschmitt Willy

Meurer Fritz

Meyer-Wehner Elimar

Michael Reynolds

Michalczewski Dariusz

Michał I, król

Miedwiediew Dmitrij

Mihajlovič Dragoljub Draža

Miklas Wilhelm

Mikołajczyk Stanisław

Milch Erhard

Milius Siegfried

Minelli Liza

Mocarski Valerian

Model Walter

Modin Jurij

Mohnke Wilhelm

Möllendorf Leonhard von

Moltke Helmut James von

Mołotow Wiaczesław

Mongibeaux Paul

Monte Joe

Montgomery Bernard

Moran Charles

Morell Theodor

Morgenthau Henry

Mornet André

Mors Otto Harald, mjr

Mosley Oswald

Mountbatten Louis

Mühlen Kurt von

Müller Heinrich

Müller Friedrich

Müller Heinrich

Müntz Dennis

Mussert Anton

Mussolini Anna Maria

Mussolini Benito

Mussolini Rachela

Mussolini Roman

Mussolini Vittorio

N

Nadżib Muhammad

Nagar Shalom

Nagy-Kálló Miklós Kállay de

Nansen Fridtjof

Napoleon

Naser Gamal Abdel

Naujocks Alfred

Nebe Arthur

Nedicia Milan

Nelson Frank

Nelson Horatio

Neugebauer Hans

Neurath Konstantin

Nietzsche Fryderyk

Nikulin Nikołaj

Nikulin Nikołaj

Nispul Otto

Nixon Richard

Nobécourt Jacques

Norman Montagu

O

O’Connor Sykstus

Obermaier Josef

Oberth Hermann

Odyn, bóg wojny

Oetker Rudolf August

Oglesby Carl

Olbricht Friedrich

Onganí Juan Carlos

Onassis Arystoteles

Ondra Anna

Oranje-Nassa Juliana van

Orłowski Leon

Ortel Paul von

Ostafel Paul

Owens Jesse

P

Pahlawi Mohammad

Pahlawi Reza Szah

Papen Franz von

Paskiewicz Iwan

Patton George

Paulus Friedrich von

Pavelić Ante

Peiper Joachim

Perón Evita

Perón Juan Domingo

Perón María Estela Martínez de

Perszoł, gen.

Petacci Clara

Pétain Philippe

Peyrer-Angermann Klaus

Pfeffer-Wildenbruch Karl von

Pfuhlstein Alexander von

Philby Kim

Phleps Artur

Piazza Adeodato Giovanni

Pilz Wolfgang

Piotr II Karadziordziewić, król ,

Pitt William

Pius X (właśc.Giuseppe Melchiorre Sarto), papież

Pius XI, papież

Pius XII, papież

Planetta Otto

Platon

Poe Edgar Alan

Polzl Klara

Porsche Ferdinand

Postum Joost

Potocki Andrzej Rafał

Potocki Andrzej Rafał

Potthast Hedwig

Potthast Hedwig

Pozzo Vittorio

Pretorius Franz Daniel

Priebke Erich

Primakow Jewgienij

Princip Gawriło

Probst Christoph

Prützmann Hans-Adolf

Pulver Murray

Putin Władimir W.

Putkamer Jesko Ludwig Günther Nikolaus von, baron

Puttkamer Karl-Jesco von

Q

Quirnheim Albrecht Mertz von

R

Radl Karl

Raeder Erich

Rahn Rudolf

Rákosi Mátyás (właśc. Rosenfeld Mátyás)

Rendulic Lothar

Rasch Rudolf

Raskin Adolf

Rattenhuber Johann zwany Rattenbube

Rátz Jenö

Rauch Friedrich Josef

Rebet Lew

Reilly Mike

Reinecke Hermann

Reinhardt Georg

Reinhardt Max

Reitsch Hanna

Remarque Erich Maria

Remer Otto Ernest

Rendulic Lothar

Renner Karl

Ribbentrop Joachim von

Rice Tim

Richthofen Wolfram, gen.

Riefenstahl Berta Helene Amalie zwana Leni

Riefenstahl Leni

Risko Johnny

Rode Ernst

Röder Maks Rardman

Röhm Ernst

Rokossowski Konstanty

Rommel Erwin

Roon Arnold von

Roosevelt Eleanor

Roosevelt Elliot, syn

Roosevelt Franklin Delano

Roosevelt Franklin, syn

Rosenberg Alfred

Rosenberg Alfred

Rosenberg-Lipinski Hans Albert von

Rosenfeld Albert

Rudel Hans-Ulrich

Rudnicki Tadeusz

Rudolf I, cesarz

Rügemer Werner

Rumohr Joachim

Rundstedt Gerd von

Ruoff Richard

Rupp Peter

Rusłanowa Lidia

Ryan Cornelius

Rybka Kurt

S

Sachsen-Altenburg Friedrich Ernst Karl August Adalbert Prinz von

Sadat Anwar

Safjan Zbigniew

Salazar António de Oliveira

Sanger Eugen

Sarkozy Nicolas

Sauckel Fritz

Savoyen Eugeniusz von

Schaal Ferdinand

Schacht Hjalmar,

Schäfer Karl

Schäfer Karl

Schall Anton

Scheid

Scheidler Arthur

Schellenberg Walter

Schellenberg Walter,

Schenk Chrsitan

Schenk Nina

Scherf Jürgen

Scherff Walther

Scheuffele Robert

Schicklgruber Maria Anna

Schilly Otto

Schirach Baldur von

Schlichter Max

Schlichter Rudolf

Schmeisser Hugo

Schmeling Edith

Schmeling Max

Schmeling Rudolph

Schmidt Albert

Schmidt Jakob

Schmorell Alex

Schmundt Rudolf

Scholl Hans

Scholl Sophie

Schörner Ferdinand

Schramm Percy Ernst

Schreiber Helmuth

Schröder Kurt von

Schroeder Christa

Schroth Walther

Schultze Norbert

Schuschnigg Kurt von

Schuster Alfred Ildefons

Schwammberger Josef

Schwärzel Helene

Schwarzkopf Herbert Norman

Schwarzkopf Herbert Norman Jr.

Schwend Fryderyk Paul

Schwerdt Otto

Scorza Carlo

Seeler Uwe

Serna Victor de la

Servatius Robert

Seyffardt H.A.

Seyss-Inquart Arthur

Sharkey Jack

Sheen Henry Gordon

Sheperd Reginald

Siebert Paul

Siemiczasty Władimir

Sikorski Władysław

Silverman George

Sindelar Mathias

Six Franz Alfred

Skock Herbert

Skorzeny Alfred

Skorzeny Anton

Skorzeny Elisabeth

Skorzeny Emmi Linhart

Skorzeny Flora

Skorzeny Gretl

Skorzeny Otto *passim*

Skorzeny Waltraut Riess

Skotnicki Mariusz

Smith Baldwin B.

Smith Edward „Gunboat”

Smith Malcolm

Smolianoff Salomon

Sobieniowski Jakub

Soletti Fernando

Sosabowski Stanisław

Sowiński Józef

Speer Albert

Speer Albert

Stachura Peter

Stalin Józef

Starhemberg Ernst Rüdiger von

Starhemberg Ernst Rüdiger von

Staszynski Bohdan

Stauffenberg Berthold Schenk von

Stauffenberg Claus von

Steinbeck John

Steiner Feliks

Steiner Kurt

Steinhardt Laurence A.

Stergmann Willi

Stettinius Edward Jr.

Stewart Donald B.

Stieff Helmuth

Stielau, kpt.

Stirling Archibald David

Stradowski Jan

Strasser Georg

Strauss Johann II

Streicher Julius

Strevem Gustav

Stribling William „Young”

Stroessner Alfredo

Strong George V.

Stroop Jürgen

Struszyński Marceli

Student Kurt Arthur Benno

Stülpnagel Carl-Heinrich von

Stumpfegger Ludwig

Stürtz Emil

Sukamo Ahmed

Summersby Kay

Szálasi Ferenc

Szaret Mosze

Szelepin Aleksander

Sziloahu Reuwen

Szombathelyi Ferenc

Szornikow Aleksander

Sztojay Döme

Szymański Henry

Szypulski Andrzej

Ś

Śmiśniewicz Witold

T

Tales, grecki filozof

Teniers David

Tesla Nikol

Thomas Georg

Thomas á Kempis

Thor, syn Odyna, postać mityczna

Timberlake Edward

Timmermann Karl H.

Timoszenko Siemion Konstantinowicz

Tiso Jozef

Tito Josip Broz

Tizon Aurelia

Todt Fritz

Tołbuchin Fiodor

Tołstoj Aleksy

Toma Enrico

Trepper Leopold

Tresckow Henning von

Trocki Lew

Truman Harry

Tuchaczewski Michał

Tucholsky Kurt

Tunney Gene

Turpin Harold

U

Ujszászy Stephen

Ulbricht Walter

Umberto (przyszły Umberto II)

Uzcuduna Padino

V

Vattay Antal

Veesenmayer Edmund

Verlaine Paul

Vliet John H. Van

Vollmer Heinrich

Voss Hans-Erich

Voss Wilhelm

W

Wächter Otto von

Waddington Mr. ps. szpiega

Wagner Eduard

Walker Mickey

Walkiria

Wallace Henry Agard

Wallace Ilo

Wallenberg Raul

Wallwork Jim

Walther Wilhelm

Wanck

Warger, por.

Warlimont Walter

Wartanian Andriej

Wartanian Gework ps. „Amir”

Wartenburg Peter Yorck von

Watson Edwin M.

Webber Andrew Lloyd

Weichs Maximilian Freiherr von

Weidling Helmuth

Weiss Robert

Weizsäcker Ernst von

Wenck Walther

Wende Hannelohre

Wendel Fritz

Wessel Gerhard

Wessel Horst

West Mae

White Harry Dexter

Whiting Charles

Wiechecki „Wiech” Stefan

Wiener Karl

Wiesenthal Szymon

Wiess Bruno

Wilhelm I Hohenzollern, cesarz

Wilhelm II, cesarz

Wilhelmina, królowa

Wilscher Odo

Wilson Horace

Wilson Woodrow

Wimmel Otto

Winkelmann Otto

Winter, gen.

Witkowski Igor

Witkowski Stanisław

Witt Nathan

Witzleben Erwin von

Własow Andriej

Wöhler Otto

Wolff Karl

Wolff Otto

Wolfgang Lotz (Zeev Gur-Arie)

Wołoszański Bogusław

Wood John C.

Woroszyłow Kliment

Wozniesienski Dmitrij

Wulff Wilhelm Theodore Heinrich

Y

Yeaton Ivan D.

Yeo-Thomas Forrest

York John

York Michael

Yusuf Mohamed V ibn

Z

Zangara Giuseppe

Zeitzler Kurt

Ziereis Franz

Zimmermann Erich

Zuroff Efraim

Zweig Stefan

Projekt okładki i stron tytułowych: *Michał Bernaciak*

Redaktor merytoryczny{ *Jacek Biernacki*

Redaktor prowadzący: *Agnieszka Szymańska*

Redaktor techniczny: ***Beata Jankowska***

Korekta: *Grażyna Ćwietkow-Góralna*

Fotoedytor: *Bogusław Kubisz*

Copyright © by Bellona Spółka Akcyjna, Warszawa 2016
Copyright © by Przemysław Słowiński, Warszawa 2016

Zapraszamy na strony
www.bellona.pl, www.ksiegarnia.bellona.pl

Dołącz do nas na Facebooku
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Bellona SA
ul. Bema 87, 01-233 Warszawa
Księgarnia i Dział Wysyłki:
tel. 22 457 03 02, 22 457 03 06, 22 457 03 78
faks 22 652 27 01
e-mail: biuro@bellona.pl
www.bellona.pl

ISBN 9788311141797

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Zbrodnicze formacje

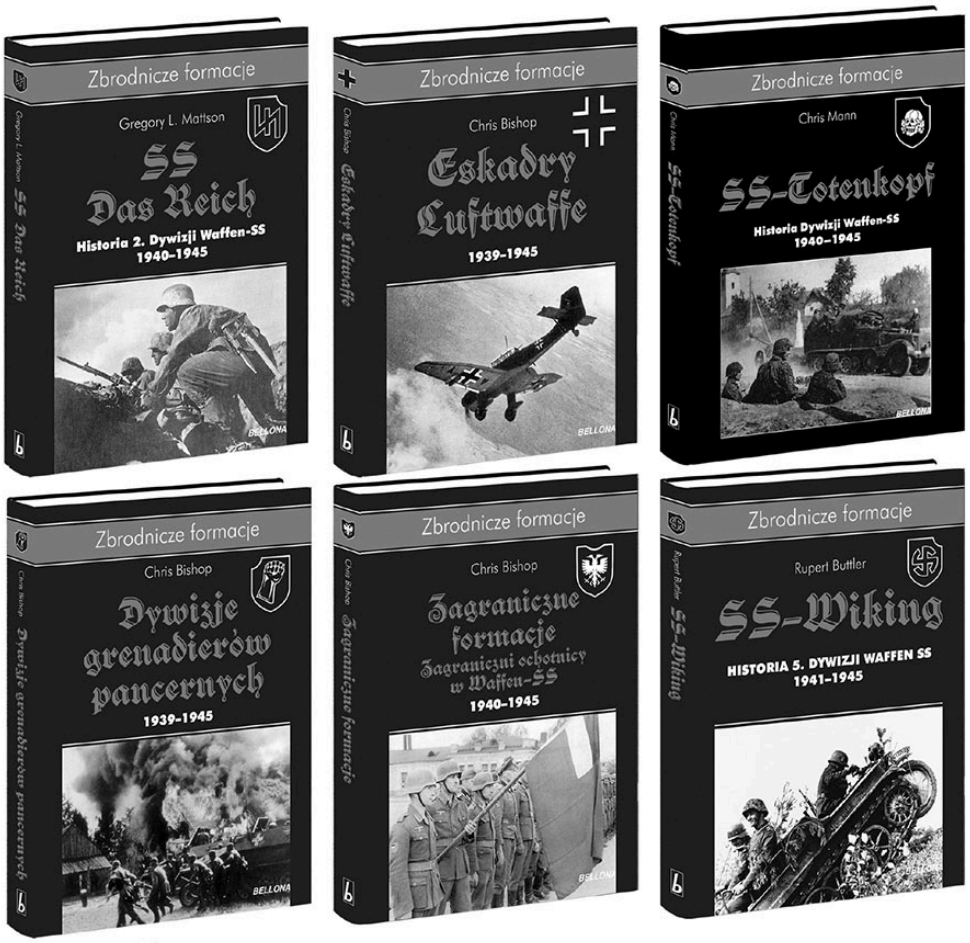

Patroni medialni: II WOJNA ŚWIATOWA www.ww-2.eu · historycy.org Polskie Forum Historyczne · HISTORYKON.PL · HISTORIA .ORG.PL

www.bellona.pl

Adolf Hitler uważał go za najlepszego fachowca od zadań specjalnych, a wśród aliantów słynął jako „najbardziej niebezpieczny człowiek w Europie". Przeprowadzonej przez niego spektakularnej operacji oswobodzenia uwięzionego w górskim hotelu w Abruzzach Benito Mussoliniego nie wymyśliliby nawet scenarzyści z Hollywood. W Budapeszcie porwał syna admirała Horthyego i po brawurowej akcji opanował siedzibę regenta na Zamku Królewskim, co uniemożliwiło zawarcie przez Węgry pokoju z aliantami. Podczas niemieckiej kontrofensywy w Ardenach wysłał na tyły wojsk alianckich oddział ubrany w amerykańskie mundury. Po zakończeniu wojny walnie przyczynił się do budowania legendy pierwszego zawadiaki Europy. W Argentynie szkolił policję Juana Domingo Peróna i romansował z jego żoną, Evitą. Szkolił w zakresie sabotażu i dywersji tajne służby Gamala Abdela Nasera, podobno także osławione palestyńskie jednostki terrorystyczne. Współpracował z Mosadem, udzielając mu informacji na temat niemieckich naukowców pracujących w Egipcie nad programem rakietowym i szantażował samego Winstona Churchilla. Do dzisiaj jego poorana bliznami twarz jest na całym świecie ikoną neonazistów.

Kim naprawdę był Otto Skorzeny? Książka Przemysława Słowińskiego stanowi próbę odpowiedzi.

www.ksiegarnia.bellona.pl

PATRONAT MEDIALNY
HISTORIA .ORG.PL
HISTORYKON.PL
MÓWIĄ WIEKI
Portal II Wojna Światowa
www.sww.w.szu.pl

This file was downloaded from Z-Library project

Your gateway to knowledge and culture. Accessible for everyone.

z-library.sk z-lib.gs z-lib.fm go-to-library.sk

Official Telegram channel

Z-Access

https://wikipedia.org/wiki/Z-Library